

Kamil Bednarek



# Imperator

Czarne Ziemie

{nawias



**Kamił Bednarek**

# **Imperator**

**Czarne Ziemie**

{nawias

Copyright © Wydawnictwo Nawias sp. j., 2021 Copyright © Kamil Bednarek

redakcja: Magdalena Sitek

projekt układu typograficznego i okładki: Katarzyna Nita-Basa

ISBN 978-83-961117-8-4

Wydawnictwo Nawias sp. j. Zawodzie, ul. Długa 100, 42-262 Poczesna

redakcja@nawias.com.pl [www.nawias.com.pl](http://www.nawias.com.pl)

## Prolog

– Skąd to się tutaj wzięło? – szepnął do siebie. – Jesteśmy przy granicy, nikt tutaj nie chodzi... Kto mógłby zgubić taką księgę? – Pochylił się nad leżącym w trawie grubym tomem, który był oprawiony w czarną skórę pokrytą sinymi pęknięciami. Wyciągnął długą, szczupłą rękę i podniósł leżący w wysokiej, nieco pożółkłej trawie przedmiot. Okładka była chropowata, co wyraźnie czuł pod palcami.

– Vidyag?! – rozległo się wołanie z wysokiej gęstwiny znajdującej się nieopodal. – Vidyag?!

– Tutaj jestem! – Wysoki, szczupły mężczyzna o jasnobrązowej skórze podniósł się i pomachał w kierunku, z którego docierał głos.

Z poplątanych gałęzi wychyliła się kobieta. Była niewiele niższa od niego, a jej skóra miała jaśniejszy odcień. Kiedy spostrzegła Vidyaga, przyspieszyła kroku i przydeptując kępy trawy, raz-dwa znalazła się obok.

– Spójrz na to, Kanto. – Wyciągnął ku niej rozłożone dłonie, na których spoczywało jego znalezisko. – Ktoś zgubił tutaj tę książkę.

– Co? Książka w środku traw, tutaj, zaraz obok granicy? – Wzięła tom w dłonie i przyjrzała się mu dokładnie. – Nie uważasz, że to dziwne?

– Oczywiście, przecież nikt poza nami nie powinien się tutaj kręcić. – Wskazał księgę głową. – Co w niej jest?

– Nie znam tego języka, ale są tutaj też jakieś rysunki... – Przeglądała pobieżnie kolejne strony. – Ten wygląda jak ziemia za granicą...

– Weźmy ją do wodza, może on powie o tym coś więcej – zaproponował Vidyag.

– Chyba nie ma innego wyjścia – zgodziła się Kanta i schowała księgę do uplecionej z trzciny torby.

Ich powrót do wioski jak zwykle wywołał spore zamieszanie. Dzieciaki wybiegły z drewnianych okrągłych domków i zebrały się wokół pary zwiadowców.

– Co słyhać pod granicą? – zapytała dziarsko niziutka, chuderlawa kilkulatka imieniem Nayaka.

– Wszystko w porządku. – Kanta pogładziła ją po krótkich czarnych włoskach. – Uciekajcie się bawić, idziemy do wodza.

Dzieciaki rozchodziły się niechętnie, towarzysząc Kancie i Vidyagowi w drodze między chatkami. Dopiero kiedy zbliżyli się do chaty wodza, najbardziej ciekawskie z nich rozpiierzchły się między zabudowaniami.

Zwiadowcy stanęli przed największą chatą w całej wiosce. Jako jedyna miała drzwi, przez które nie trzeba było się przeciskać. Składała się z trzech okrągłych budowli z pni czarnych drzew, które połączono ze sobą niezbyt długimi korytarzykami pokrytymi dachem z trzciny. W żadnej z okrągłych konstrukcji nie było okien, a stożkowate dachy stworzono ze splecionych razem trzciny i traw, zwieńczonych kawałkiem wydrążonego pnia, przez który z chaty uciekał dym. Para przeszła przez trzciniową zasłonę odgradzającą wewnątrz chaty od wioski i przyklęknęła.

– Wstańcie, zwiadowcy – powitał ich głęboki, niski głos.

W chacie panował zaduch i dało się wyczuć, jakie drewno płonęło na palenisku. Kiedy podnieśli się z kolan, wódz przywołał ich gestem. Siedział na stercie skór przeróżnych zwierząt, ubrany jedynie w trzciniową przepaskę i pióropusz stworzony z kolorowych piór, liści i kwiatów. Jego skóra była ciemniejsza niż skóra Vidyaga, a wystające spod pióropusza dłuższe włosy zdążyły już zupełnie posiwieć. Pomarszczona twarz, pokryta czarnymi jak węgiel znamionami, uśmiechnęła się przyjaźnie.

– Wracacie wcześniej, niż sądziłem. – Zmierzył ich wzrokiem. – Coś się musiało tam wydarzyć. Opowiadajcie.

– Wodzu Janado – odezwał się Vidyag – jeśli chodzi o granicę, to nie zauważyliśmy żadnych zmian. Natomiast znaleźliśmy tam jedną rzecz, która nas bardzo zaniepokoiła.

Kanta wyciągnęła grubą księgę ze swojej torby i podała wodzowi, ten ostrożnie chwycił przedmiot i bardzo wnikliwie zaczął mu się przyglądać.

– To... to chyba ludzka skóra – mruknął pod nosem bardziej do siebie niż do zwiadowców. – Te sine pęknięcia... chyba wpływ Czarnej Ziemi. Tak mi się zdaje, bo co innego... A ten symbol... białe tło i czarne wieże... Czy może to szczyty gór? Nie znam tego symbolu. Nigdy go nie widziałem.

– Nie znam języka, w którym jest napisana – wspomniała Kanta, kiedy Janad otwierał księgę.



– To starożytny dialekt. – Wódz uśmiechnął się. – Wydaje mi się, że posługiwano się nim za granicą, zanim zupełnie wyludniała. Kiedy byłem dzieckiem, ludzie stamtąd jeszcze do nas przechodzili, ale to było dawno, a skazy nie było jeszcze widać.

– Wydaje nam się, że obrazki pokazują ziemię za granicą. – Vidyag przełożył jedną ze stron.

– Tak, to na pewno to... – Mężczyzna zamyślił się na chwilę. – Kiedyś znałem ten język, uczyłem się od przybyszów, ale nie wiem, czy dalej potrafię w nim czytać.

– Musimy spróbować – zachęciła go Kanta.

– Siadajcie. – Wódz machnął ręką. – To trochę potrwa.

Zwiadowcy weszli do chaty wodza, gdy słońce wisiało wysoko nad horyzontem, a kiedy ten skończył tłumaczyć księgę, była już głęboka noc. Na twarzy Janada malowało się strapienie, a Vidyag i Kanta wpatrywali się w ścianę.

– Co teraz? – przerwała ciszę Kanta.

– W tym dzienniku opisano sprawy jasno. – Wódz przetarł dłonią zmęczone oczy. – Klątwa Czarnej Ziemi długo trzymała się daleko od cywilizacji, a potem nagle przyspieszyła.

– Ale teraz nic się nie zmienia od dawna. – Vidyag podniósł się z ziemi.

– Tak było i wtedy. – Wódz postukał palcem w jedną ze stron. – Ale tutaj zapisali, że te sine pęknięcia potrafiły w ciągu nocy wchłonąć kilka wiosek. Tutaj są spisane słowa człowieka, który uciekł z ziem objętych klątwą. Kanu jatala dura eta sparza vita karana, minisunge kolaya tanara vanu ata e pavanitu, co znaczy „Kiedy czarny ląd dotknie dalekiej wody, świat ludzi dobiegnie końca”. Chyba dokładniejszej przepowiedni nie mogli nam zostawić.

– To oczywiste, skoro wszystko, co było na tych ziemiach, umiera – powiedział i westchnął zwiadowca.

– Mogliby jeszcze napisać, jak się przed tym bronić... – mruknęła Kanta gniewnym tonem.

– Pewnie by napisali, ale nie wiedzieli, jak sobie z tym poradzić. – Wódz położył na jej kolanie pomarszczoną dłoń.

– No to co teraz? – powtórzyła kobieta.

– Trzeba wysłać posłańców do wszystkich plemion. – Wódz podniósł się ze swojego skórzanego siedziska. – Trzeba się zjednoczyć, bo tylko razem możemy stawić czoła temu złu.

# Rozdział I

Hex, przemykając przez niskie gęste krzewy, spostrzegł ślady jelenia odcisnięte w wyschniętej kałuży. Ucieszył się, bo była to dla niego niesamowita okazja, by wykazać się przed ojcem. Upolowanie jelenia na bagiennych terenach przy granicy byłoby wielkim wydarzeniem dla całej wioski. Większe zwierzęta bardzo rzadko zapuszczały się na przygraniczne tereny, instynktownie wyczuwając zagrożenie bijące od Czarnych Ziemi. Na mokradłach nie brakowało jedynie jaszczurek i węży, wszystko inne wynosiło się jak najdalej.

Drobny, chudy blondyn podążał za śladami jelenia, coraz bardziej oddalając się od swojej wioski. Ojciec zabraniał mu odchodzić dalej, bo bagna były niezwykle zdradliwe, ale to był jednak jelen... Sytuacja była wyjątkowa, nie mógł nie skorzystać z takiej okazji. Chłopak przekonał sam siebie, że ojciec wybaczy mu nieposłuszeństwo, kiedy wróci do domu z ogromnym zwierzęciem. Cała wioska uznałaby go wtedy za bohatera, a jedzenia wystarczyłoby na długo.

Krocząc dalej po błocie i mokrej trawie, stanął przed pokrzywionym drzewem, które przypominało powykręcaną dłoń wystającą z ziemi. Wyciągnął długi nóż zza pazuchy i przeciął lianę zwisającą z jednej z wyglądających jak palec gałęzi. Trop ciągnął się w coraz gęstsze zarośla, ale teraz już nie mógł odpuścić. Szelest liści i plusk wody upewniły go, że idzie we właściwym kierunku. Zeskoczył z porośniętego mchem głazu wprost w niewielką kałużę i niemal pisnął z radości. Przed nim, w większej brązowej kałuży, o życie walczył ogromny jelen. Nad wodę wystawały jeszcze przednie kopyta i głowa ustrojona rozłożystym porożem.

Chłopiec podciągnął proste zgrzebne spodnie, przewiązane w pasie sznurem, i powoli ruszył w stronę swojej zdobyczy. Zbliżył się na wyciągnięcie ręki i chwycił za rogi. Szybko zaplątał na nich linę i zaparł się bosymi stopami o spory kamień. Pociągnął z całej siły. Przewrócił się na plecy, a łeb i przednie nogi zwierzęcia spadły tuż obok niego. Mazista ciecz

chlapnęła na jego ciało, przypiekając je boleśnie. Przerazony krzyknął i zerwał się z ziemi. Zobaczył resztę ciała jelenia, która rozpuszczała się, wydzielając ohydny zapach. Grubsze kości kręgosłupa i żeber poszarzały, a mniejsze zupełnie zniknęły. Mięso topiło się i zmieniało w brązową maź. Hex odsunął się bezmyślnie, niemal wpadając do podobnej kałuży. Wskoczył na górkę i starając się uspokoić, ścierał z siebie piekącą substancję.

– Nie wiem, co to za miejsce... – Rozglądał się nerwowo. – Nigdy nie byłem w tej części lasu, ale skoro doszedłem tutaj po śladach jelenia, to i mogę wrócić po tych śladach do wioski.

Zeskoczył z górki i na powrót wszedł w zarośla. Udało mu się znaleźć ślady, które zostawiał, idąc za zdobyczą. Odetchnął, wiedząc, że tym sposobem raz-dwa znajdzie się w znajomych okolicach. Jednak cała radość zniknęła w mgnieniu oka, kiedy z nieba zaczął padać rześisty deszcz. Ulewa trwała tylko chwilę, ale to wystarczyło, żeby zmyć wszelkie ślady na podmokłym podłożu. Hex nie stracił animuszu i dalej kroczył ścieżką, która wydawała mu się właściwą. Był przekonany, że rozpoznaje charakterystyczne drzewa i gązwy, ale szedł tak długo, aż zaboląły go nogi, a wokół niego zrobiło się szaro.

– Chyba mijałem już ten głąz... – Głos drżał mu z zimna i strachu.

Nie wiedział, co ma dalej robić. Przyspieszył kroku i skręcił w lewo między dwie większe, porośnięte mchem skały, zlewające się z zapadającą ciemnością. Wszedł trochę głębiej i stanął przed wejściem do mrocznej jaskini, znajdującej się w stromym zboczu zakrywającym niebo.

– Ojciec mnie zabije, jak nie wrócę na noc, ale nocą chodzić nie można – szepnął i wszedł do środka.

Pomyślał, że najlepiej będzie spróbować się przespać niedaleko wejścia do jaskini, przeczekać do świtu i potem na spokojnie poszukać drogi do domu, a w podjęciu decyzji pomogła mu ulewa, która ponownie rozpuściła się nad lasem. Położył się na mchu i starał się przypomnieć sobie jakieś charakterystyczne punkty, które mijał po drodze, jednak nic nie przychodziło mu do głowy. Pamiętał kamień z mchem, górkę, kałuże, drzewo wyglądające jak dłoń, ale tego w tym lesie było pełno.

Przekręcił się na drugi bok, coś w oddali przyciągnęło jego wzrok. Wydawało mu się, że widzi tam błysk wody. Był spragniony i nawet nie miał w co nazbierać deszczówki, więc podniósł się i udał w głąb jaskini. Tunel skręcał raz za razem. Chłopak ostrożnie stawiał stopy, a dłońmi



wyczuwał nierówności kamiennych ścian. Gnany ciekawością i pragnieniem wchodził coraz głębiej, tracąc poczucie czasu i odległości, aż wreszcie poczuł krawędź jaskini, ostrożnie wychylił się i rozejrzał. Na zewnątrz nie było wody, ale to, co zobaczył, sprawiło, że zapomniał o pragnieniu i głodzie.

Jego oczom ukazała się czarna pustynia skąpana w świetle wschodzącego słońca. Od miejsca, w którym stał, prowadziła długa, wąska ścieżka jasnego piasku, odgradzona od reszty terenu niewielkimi czarnymi kamieniami. Jak okiem sięgnąć z ziemi wyrastały skały przypominające kolumny, a przed nim, na końcu jasnej ścieżki, widniała góra zakończona dwoma wierzchołkami. Czarne skały pokryte były nieregularnymi wzorami, do złudzenia przypominającymi sine żyły.

Hex zupełnie zapomniał o tym, że zgubił się w lesie, że był spragniony i zmarznięty, postawił stopę na jasnej ścieżce i skierował się w stronę góry, podziwiając zachwycający krajobraz. Ścieżka schodziła w dół i wijąc się delikatnie, mijając wysokie i grube kolumny z sinymi pęknięciami. Chłopak zdał sobie sprawę, jak olbrzymie są te skały, kiedy stanął obok jednej z nich. Najmniejszej nie objęłoby dziesięciu mężczyzn, trzymając się za ręce, a ich płaskich wierzchołków z ziemi nie dostrzegali. W miarę jak zbliżał się do końca ścieżki, zdawał sobie sprawę, że góra ma niezwykle regularne kształty. Pomimo ostrych krawędzi, popękanych ścian i siatki sinych śladów zdawała się być okrągła, a wyższe fragmenty stanowiły wieże.

Słońce paliło niemiłosiernie, a ścieżka, która z góry wyglądała na krótką, okazała się niekończącą się wstęgą. Ściągnął przepoconą koszulę i zarzucił ją sobie na głowę. Przyspieszył kroku, chcąc schować się w cieniu góry jak najszybciej. Spostrzegł, że ścieżka prowadzi wprost do owalnej dziury w skale. Widząc przed sobą tak wyraźny cel, zaczął biec. Gorący piasek parzył jego białe stopy, ale ciekawość gnała go przed siebie i kiedy dotarł do końca ścieżki, nie mógł złapać tchu. Stanął przed wejściem do ogromnej góry, najdziwniejszej, jaką kiedykolwiek widział. Ziejący czarny otwór w czarnej popękanej skalnej ścianie, poprzenikanej sinymi liniami, nie wyglądał zachęcająco.

– Ojciec mi nie uwierzy... – mruknął pod nosem i zajrzał do środka.

Otwór był tak duży, że chuderlawy chłopaczek zmieścił się w nim bez najmniejszego problemu. Spodziewał się kolejnej jaskini, jakich w okolicy było wiele, ale kiedy jego oczy przyzwyczyły się do mroku,

oniemiał na widok tego, co zobaczył. Przed nim znajdował się długi korytarz prowadzący wprost do jakiegoś podwyższenia. Ruszył powoli. Stawiał stopy ostrożnie, starając się nie wywołać żadnego hałasu. Poznał, że ściany i podłoga były wykonane z tej samej skały, którą widział na zewnątrz, ale tutaj były idealnie gładkie, jak wyrzeźbione w kamieniu przez uzdolnionych ludzi.

Dotarł do rozwidlenia, gdzie z jednej strony szeroki korytarz prowadził dalej w głąb góry, ale odchodziły od niego dwa boczne, nieco węższe. Hex wybrał najpierw ten po swojej prawej stronie. Oczy przyzwyczyły mu się do ciemności, ale wąski korytarz wymagał od niego jeszcze więcej wysiłku. Przesuwał prawą dłońią po ścianie, ale nagle zabrakło dla niej oparcia i upadł na twarz.

– Co jest?! – szept odbił się echem od ścian.

Rozejrzał się wokół siebie i spostrzegł, że znajduje się w pustym pomieszczeniu, które wyglądało, jakby miało służyć za celę albo sypialnię. Wyszedł z niego i ruszył dalej wąskim korytarzem. Po kilkunastu krokach trafił na bardzo podobną salę, a potem na jeszcze jedną i kolejną. Zdecydował się wrócić i zajrzeć do drugiego z wąskich tuneli. Nie odkrył w nim nic poza takimi samymi obszernymi komnatami. W jednej z nich znalazł stare zatęchłe koce, których nikt nie mógł używać od dawna. Nie szedł jednak zbyt daleko i już po sprawdzeniu trzeciej komnaty wrócił do rozwidlenia.

– Tam jest chyba trochę jaśniej... – Wytężył wzrok w kierunku środka sali.

Pochylił się i przemykał przy ścianie w kierunku jaśniejszego punktu. Szeroki korytarz skończył się nagle i chłopak znalazł się na skraju olbrzymiej ośmiokątnej sali. Dwa rzędy wysokich wyrzeźbionych w litej skale ław okalały podwyższenie na środku. Podłoga, ściany i sam podest również wyglądały na wycięte w kamieniu.

– To nie jest zwykła góra... – szepnął, a echo powtórzyło jego słowa.

Powolutku zbliżał się do jaśniejszego punktu na sześciokątnym podwyższeniu. Czuł dym, ale nie był to zapach, jaki znał. Wciągnął się na podest i podszedł do źródła światła. Znalazł się w miejscu pomiędzy dwoma sześciokątnymi otworami w podłodze. Nachylił się nad jednym, wciągając w płuca haust słodkawego odoru, i zakreśliło mu się w głowie. Otumaniony cofnął się kilka kroków i stracił grunt pod nogami. Zachwiał się i wpadł do drugiego z otworów, a lot skończył w lodowatej wodzie.

Pochodnia syczała niedaleko jej ucha i choć nie miała szans oświetlić przepastnego pomieszczenia, to pozwalała wygodnie czytać. Pożółkłe strony starej książki zapisane były zapomnianym już alfabetem. Dziewczyna, przewracając stronę, podniosła głowę, a jej długie włosy połyskiwały miedzią w blasku ognia. Od lektury oderwał ją hałas na korytarzu. Szmer zakłócił idealną ciszę panującą w świątyni od dawna.

Zaniepokojona podniosła się z krzesła i wyjrzała na korytarz. Jej biały luźny kombinezon z rozcięciami na bokach nogawek i rękawów zaszeleścił, kiedy wysunęła głowę za futrynę. Usłyszała wyraźnie odgłos ostrożnie stawianych kroków. Mogła sobie wyobrazić, jak intruz zagląda do kolejnych komnat, położyła dłoń na sztylcie wiszącym u paska, ale nie ruszyła się z miejsca. Nagle kroki zaczęły się oddalać. Bezszelestnie ruszyła za dźwiękiem. Schowała się za winklem i obserwowała niewielką postać zbliżającą się do ołtarza. Intruz był niewysoki i chudy, ale nie potrafiła odgadnąć jego płci. Wdrapał się na ołtarz, a Juvy przesunęła się trochę bliżej, z zainteresowaniem oglądając jego niepewne ruchy. Postać nachyliła się nad dołem ofiarnym, a dziewczyna zachłysnęła się oddechem.

Ruszyła biegiem w stronę ołtarza, ale nim zdążyła do niego dobiec, postać zniknęła w drugim dole. Gnana instynktem minęła podwyższenie i pobiegła dalej. W mgnieniu oka pokonała odległość dzielącą ołtarz i schody schowane w ścianie za nim. Dwoma susami znalazła się na dole. Zgrabnie przebiegła po nierównej podłodze, wskoczyła na skalną ścianę i zanurzyła się do połowy w wodzie. Po chwili udało jej się wyciągnąć intruza na krawędź zbiornika. Uderzyła go w klatkę piersiową podstawą dłoni, a ten rozkaszał się, wypluwając wodę z płuc.

Odgłosy spazmatycznego kaszlu wypełniły ogromną grootę i rozniosły się po niej echem. Juvy dopiero teraz mogła przyjrzeć się uratowanemu. Był to młody chłopak, choć już nie dziecko, nieduży, wychudzony, o jasnych włosach. Kiedy skończył kaszleć, spojrzał wprost na nią i zobaczyła w jego błękitnych oczach ogromny strach.

– Co? Kim? Gdzie? – Charczał, przesuwał się w tył.

Juvi ściągnęła go z krawędzi zbiornika, zanim ponownie w nim wylądował. Posadziła go na podłodze, oparła plecami o ścianę, ale chłopiec odsunął się od niej i przylgnął do powykręcane go suchego drzewa rosnącego tuż obok. W blasku ognia dało się zauważyć, jak blednie, a jego twarz wykrzywia grymas potwornego bólu. Juvy szarpnęła go i z trudem odciągnęła od pnia.

– Uspokój się wreszcie! – Zdzieliła go delikatnie w twarz. – Zabijesz się tutaj!

– Co... mi... – Dyszał ciężko.

– Co ci się stało? – Patrzyła mu prosto w oczy. – Wszedłeś do pradawnej świątyni Sag Bas, wpadłeś do Źródła Życia i oparłeś się o Drzewo Śmierci.

Otworzył usta, ale nie był w stanie wydusić z siebie żadnego słowa. Wpatrywał się tylko tępo w ciemne i błyszczące oczy dziewczyny.

– Coś mi się wydaje, że nic z tego do ciebie nie dotarło. – Uśmiechnęła się, pokazując białe i proste zęby. – Zaczniemy od początku. Czy mówisz w języku tolimurajskim? – Pokiwał głową twierdząco. – Dobrze. Jestem Juvi, ostatnia kapłanka Sag Bas, i mieszkam tutaj.

Chłopiec rozejrzał się po ogromnej grocie. Zobaczył wysoki znicz, w którego ogromnym palenisku wiły się nad wyraz czerwone płomienie, zaraz obok znicza rosło suche, czarne drzewo z powykręcanyimi gałęziami, a pod drzewem znajdował się sześciokątny basen, obok którego właśnie siedział. Ściany jaskini, jeśli wzrok go nie mylił, były czarne i pokryte sinymi pęknięciami. Wreszcie jego spojrzenie padło na podłogę, na której siedział. Wrzasnął i zerwał się na równe nogi.

– Uspokój się! – Głos Juvi rozszedł się donośnym echem, zagłuszonym jednak biciem serca zdenerwowanego przybysza. – To tylko czaszki, i to bardzo stare, nic ci nie zrobią. Wyjdźmy na górę, tam ci wszystko opowiem. – Poprowadziła go za ramię ku schodom.

Nie odzywali się do siebie, idąc korytarzem. Kapłanka posadziła chłopaka w jednej z sal na prostym krześle, przy równie prostym biurku i podała mu napar z teniru, który grzał się na palenisku. Zapaliła jeszcze trzy pochodnie i pozawieszała je na ścianach. Dało się teraz zauważyć czarne ściany pokryte sinymi liniami i śladami po dłutach i kilofach. W rogu stało niewielkie łóżko przykryte brązowym kocem, pod ścianą regał z księgami, a obok niego wielki kufer. Juvi zaczęła w nim grzebać i wyciągnęła skórzane spodnie, porządne buty i kamizelkę. Położyła to na stoliku przed chłopcem.

– Musisz ściągnąć te mokre spodnie – powiedziała. – Mam tylko to, będzie pewnie trochę za duże, ale musi wystarczyć. W tych komnatach jest chłodno, a lepiej żebyś tutaj nie zachorował.

Chłopak wpatrywał się w nią, popijając powoli tenir.

– Powiesz mi, jak masz na imię? – kontynuowała Juvi.

– Jesteś duchem? – zapytał niespodziewanie.

– Duchem? – Zachichotała. – Nie, nie jestem duchem. Jestem Juvi, kapłanka Sag Bas.

– Dlaczego jesteś taka biała? – Nie odrywał od niej wzroku.

– Ach! – Spojrzała na swoje ręce. – W świątyni nie ma słońca, a ten biały strój to wszystko, co mogę nosić. To jak masz na imię?

– Hex. – Wziął łyk naparu. – Co to za miejsce?

– Mówiłam ci. To jest świątynia Sag Bas. Pradawne święte miejsce, w którym oddawano hołd życiu, śmierci i wieczności. Bardzo dawno temu w tym miejscu biło serce cywilizacji. Sag Bas był zakonem kapłanek wojowniczek, które opiekowały się tym miejscem i żyły w nim. Było nas tutaj mnóstwo. W każdej takiej komnacie mieszkało kilkanaście ko-biet.

– Po co aż tyle? – Wypił kolejny łyk.

– Bo cały świat wyznawał jedną wiarę, wszyscy wierzyli w Sag Bas, czyli wieczny cykl życia i śmierci – odpowiedziała cierpliwie.

– To dlaczego teraz jesteś tutaj sama?

– Z czasem ludzie zniszczyli wszystko, powstały nowe religie i świątynia zaczęła świecić pustkami. Najstarsze kapłanki zaczęły umierać, a nowe nie przybywały i wreszcie zostałam tutaj tylko ja.

– Nie możesz sobie stąd pójść? – Założył na siebie kamizelkę, która luźno zwisała z jego chudego grzbietu.

– Nie, moją misją jest strzeżenie świątyni, naszego wielkiego księgozbioru i czekanie na właściwy moment.

– Co się ze mną stało na tym podwyższeniu i potem w tej wodzie? – Mocował się z za dużymi butami nieprzyzwyczajony do zakładania czegokolwiek na stopy.

– Ach, no tak. – Podeszła do regału i wzięła jeden z grubych tomów. – Powinam ci to wyjaśnić od razu. Wszedłeś na ołtarz, na którym składano kiedyś ofiary. Wieczny Ogień, ten, który widziałeś na dole, pali się cały czas i nigdy nie zgaśnie. Jednak jego dym otumania ludzi. Jego zapach sprawia, że tracą przytomność i ich umysły unoszą się w wieczność. Kapłanka przechodziła z takim nieprzytomnym człowiekiem do dołu, w który wpadłeś. Tam podcinała mu gardło i wrzucała do Źródła Życia. – Zauważyła dreszcze, które wstrząsnęły Hexem. – Nie bój się, chłopcze. Nie przeprowadzę na tobie ofiarnego rytuału. Wykorzystywaliśmy do tego przestępców, a ty chyba przestępcą nie jesteś, prawda?

– Nie posłuchałem ojca i odszedłem daleko od wioski. – Posmutniał. – Zabłądziłem i znalazłem się tutaj. Jak wrócę do domu, to ojciec mnie

zabije.

– Na pewno tak nie będzie. – Uśmiechnęła się serdecznie. – W każdym razie to nie przestępstwo, więc do rytuału się nie nadajesz. To drzewo, które wywołało u ciebie ból, kiedy tylko go dotknąłeś, to Drzewo Śmierci. Ono czerpie wodę z krwią ze Źródła Życia. W czasach świetności Sag Bas drzewo miało bujną koronę czarnych liści i było dużo wyższe niż teraz. Brak ofiar sprawia, że zasuszyło się i powoli umiera.

– Umrze? – zapytał, odstawiając gliniany kubek.

– Nie, nigdy nie umrze do końca. Ale skarleje jeszcze bardziej. – Zauważyła, że chłopak szykuje się do ściągnięcia spodni. – Poczekaj! Odwróć się, a ty się przebierzesz.

– Dlaczego masz się odwracać? – zapytał zdziwiony, rozwiązując sznur w pasie.

– Żebyś się spokojnie przebrał. – Odwróciła się w ostatniej chwili.

Hex zmienił spodnie na sporo za duże, wykonane z grubej, czarnej skóry. Wyciągnął sznurek ze swoich starych portek i obwiązał się nim w pasie.

– No, teraz może być. – Rozłożył ręce, a Juvi obejrzała go od stóp do głów.

Chuderlawy chłopiec stał w za dużych butach, za długich spodniach, obwiązanych sznurem w pasie, i kamizelce, która zsuwała mu się z ramion.

– Może być. – Kapłanka podeszła bliżej i przeczesała mu jasną grzywkę palcami.

Odskoczyła przerażona, kiedy większość włosów została jej w dłoni. Chwyła Hexa za ręce i przyciągnęła go bliżej pochodni. Przyjrzała się jego palcom i z ciężkim westchnieniem opadła na krzesło.

– Co się dzieje? – zapytał drżącym głosem.

– Zaczekaj tutaj, muszę się upewnić – mówiła szybko, prawie nie oddychając. – Muszę się upewnić, pójdę po księgę, ale zaraz wracam, nigdzie się nie ruszaj.

– Co się dzieje?! – powtórzył, niemal płacząc.

– Poczekaj, za chwilę wracam i wszystko ci opowiem. – Wybiegła z komnaty. Wróciła w mgnieniu oka z wielką czarną księgą pod pachą, położyła ją na biurku, dysząc ciężko. – Poczekaj chwilę, znajdę tylko właściwy fragment.

– Ale na co mam czekać? Powiedz mi, co się dzieje... – Zajęczał.

– Mam! – Klasnęła w dłonie. – Tutaj jest ten fragment, czytaj!

– Co? – Zdziwił się.



– No czytaj, na tej stronie jest wszystko napisane. – Postukała palcem w czarną księgę pokrytą sinymi liniami.

Hex podszedł do stołu, przesunął palcami po stronicy i spostrzegł w świetle pochodni, że coś jest nie tak z jego dłonią. Przysunął palce do oczu i przyglądał się im przerażony. Pokręcił głową, niedowierzając w to, co widział, a na jego dłonie opadły kępki jasnych włosów.

– Co... – szepnął.

– Nie umiesz czytać, prawda? – Przytaknął. – Nie szkodzi, nauczysz się... Ja ci przeczytam, usiądź i posłuchaj. Wszystko będzie dobrze. To Księga Przemian, najważniejsza księga Sag Bas, jest w niej zapisana przepowiednia, która nabrała sensu dopiero teraz. Od razu przetłumaczę, bo nie znasz tego języka. Słuchaj uważnie. Sag Bas nie jest osobą, jest przepływem, jest życiem, jest śmiercią, jest wiecznością. Sag Bas nie istnieje jako bóstwo, ale istnieje jako wszystko, co nas otacza w życiu, przez śmierć, po wieczność. Wszystko, co jest wokół nas, dąży do zjednoczenia pod jednym berłem, pod jednym jarzmem, pod jednym niebem i na jednej ziemi. Wszystko było już kiedyś zjednoczone, ale ta więź nie była ostateczna. Było zjednoczone na jednej ziemi, pod jednym niebem, ale nie było jednością. Sag Bas upadło przez rozproszenie całości. Rozbicie sprowadziło na świat ostateczne zagrożenie, ale przyszłość nie została jeszcze spisana i póki nie wyschnie atrament, można ją zmienić. Kiedy o Sag Bas nikt już nie będzie pamiętał, a Ogień zasilać będzie tylko jedna dusza, pojawi się Jasny Płomień Nadziei. W świątyni pojawi się Płomień, który zasili Ogień Wieczności, zaczerpnie ze Źródła Życia i ożywi Drzewo Śmierci. Płomień ten trzeba będzie pielęgnować, trzeba będzie się o niego troszczyć i dbać bardziej, niż najlepsza matka dba o swoje pierworodne dziecko. Płomień ten musi rozpalić się w każdym fragmencie, musi płonąć jako niezmacona całość, jako zjednoczenie myśli i ciała, nieba i ziemi, dnia i nocy, ognia i wody, życia i śmierci, wieczności i nicości, dobra i zła. Jeden Płomień może rozpalić pożogę na całym świecie i tylko jeden Płomień może ocalić przyszłość świata przed całkowitym mrokiem. – Odłożyła księgę na blat stołu i spojrzała na chłopca patrzącego wielkimi oczami. Jego blond czupryna poznaczona była łysymi plamami, a na końcówkach palców malowały się delikatne sine linie. – Zrozumiałeś to, co przeczytałam? – zapytała, chwytając go za dłonie.

– Nie do końca... – Pociągnął nosem.

– Siadaj. – Ustąpiła mu miejsca i klękła przed nim. – Ta przepowiednia mówi o tym, o czym ci już opowiadałam. Świat podzieliły nowe religie, nowi władcy, wiara Sag Bas przestała istnieć, a o świątynię dbam tylko ja. Rozumiesz? – Pokiwał głową. – To dobrze, teraz będzie trochę trudniej. Ty jesteś tym Jasnym Płomieniem Nadziei. To o tobie jest tutaj mowa. Miałeś kontakt z Ogniem Wieczności i przeżyłeś, wpadłeś do Źródła Życia i otarłeś się o Drzewo Śmierci. Oznacza to, że jeśli przejdziesz odpowiedni trening, to osiągniesz wielkie rzeczy, rozumiesz? Może nawet przywrócisz Sag Bas i równowagę na świecie!

– Ale ja nie mogę, ja muszę do domu... – W jego oczach zebrały się łzy, a broda zaczęła drżeć.

– Teraz tutaj jest twój dom, chłopcze – odpowiedziała mu stanowczo. – Póki się nie zadomowisz, będziesz mieszkał w mojej komnacie. Przygotuję coś do jedzenia, a potem przyniosę ci łóżko. Siadaj tutaj i poczekaj.

Kiedy tylko Juvy wyszła z komnaty, Hex zrobił to samo. Ściągnął zbyt wielkie buty i skradając się przy ścianie, przeszedł do głównego korytarza. Po ciemku przemierzał się w stronę wyjścia, spoglądając co chwila przez ramię. Dotarł wreszcie do końca korytarza i odetchnął głęboko. Przesuwał dłońmi po ścianie, szukając otworu, przez który wszedł do świątyni, ale nie mógł go znaleźć.

– No gdzie to jest! – mruknął.

– Mówiłam już, że teraz tutaj jest twój dom, chłopcze. – Usłyszał głos za sobą. – Wiedziałam, że spróbujesz uciec, więc zamknęłam wrota. Innej drogi wyjścia ze świątyni nie ma.

– Nie chcę tu zostać! – krzyknął.

– Los zdecydował za ciebie, chłopcze. Wracaj do komnaty albo będę musiała cię ukarać. – Położyła dłoń na sztylcie.

– Co to? – Wcisnął się plecami w ścianę.

– To? – Wyciągnęła z pochwy długie lśniące ostrze o prostej i eleganckiej złotej rękojeści. – To jest Kati, sztylet, który zabija, kiedy tylko przetnie skórę.

– Nie ma takich noży! – zaprotestował.

– Są. – Uśmiechnęła się. – W tym miejscu jest mnóstwo rzeczy, których jeszcze nie znasz. Zostań i rozpocznij naukę, a poznasz je wszystkie i będziesz mógł ich używać.

– Muszę wracać, bo ojciec... – chciał zaprotestować, ale kapłanka przerwała mu w pół słowa.

– Nauczysz się tutaj czytać i pisać, mówić w innych językach, walczyć, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, to staniesz się najważniejszym człowiekiem na świecie.

– Ja?! – krzyknął.

– Tak, to ty jesteś Płomieniem niosącym nadzieję. – Schowała sztylet do pochwy przy pasku okalającym jej talię. – Chodź za mną, pokażę ci coś.

Odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem poszła w stronę ołtarza. Hex musiał podbiec, żeby się z nią zrównać. Minęła ołtarz z lewej strony i zeszła po schodach w dół.

– Spójrz na Drzewo Śmierci. Pamiętasz, jak wyglądało wcześniej?

– Tak, pamiętam – potwierdził, podchodząc bliżej.

– Zobacz, co się z nim stało dzięki tobie. – Uśmiechnęła się, wskazując jedną z gałęzi.

Pojawiło się na niej kilka czarnych, drobnych listków, a samo drzewo jakby delikatnie się wyprostowało.

– Liście! – Wskazał palcem.

– Tak, a zauważyłeś, że płomień też jaśniej świeci. Poprzednio było tutaj bardziej mrocznie. – Położyła dłoń na jego ramieniu. – Chodź dalej, pokażę ci coś jeszcze.

Hex ostrożnie stawiał stopy między leżącymi na podłodze czaszkami, ale idąc obok Juvi, nie czuł strachu. Dotarli do szeregu długich skrzyń ustawionych pod ścianą. Skrzynie bardziej przypominały kamienne sarkofagi niż takie, które znał z domu. Stało ich tam sześć, a Juvi podeszła do pierwszej z prawej i odchyliła wieko.

– Spójrz, co jest tutaj. – Przywołała go dłonią. – W tej pradawnej skrzyni schowano Kati. Skrzynia jest pełna, bo brakuje tylko tego, który noszę ja. Jeśli twoje szkolenie się powiedzie, to będziemy potrzebować dużo więcej kapłanek i trzeba będzie im rozdać sztylety, a także nauczyć je posługiwać się nimi.

– A czym ja będę walczył? – Oczy mu błysnęły.

– Dla ciebie najlepsze będzie chyba to. – Szarpnęła wieko skrzyni obok i wyciągnęła z niej z trudem wielki oburęczny topór z dwoma ostrzami. – Na razie jest za duży, ale w przyszłości powinien być idealny, co sądzisz?

Hex nie dał rady podnieść broni, więc oglądał ją leżącą na skrzyni. Dwa ostrza w kształcie półksiężyca były długości łokcia i pokrywały je dziwaczne symbole. Rękojeść zrobiona była z czarnego drewna o spękanej korze, spod której wyzierała szarość.

– Trzon wykonano z gałęzi Drzewa Śmierci, a na ostrzach są zaklęcia Sag Bas. – Schowała broń do skrzyni i zamknęła wieko.

– Co jest w pozostałych skrzyniach? – zapytał zaciekawiony.

– Głównie starożytne księgi, trochę broni, ubrania i zastawa ceremonialna. Będiesz miał czas to wszystko dokładnie pooglądać. – Skierowała się do wyjścia z jaskini.

Wrócili do komnaty, gdzie na chłopaka czekała kolacja. Na glinianym talerzu leżało trochę chleba i kawałek pachnącego ptaka. Z kubeczka parował tenir, a w rogu pojawiło się dodatkowe łóżko.

– Jedz, smacznego! – Juvi wskazała mu krzesło przy stoliku. – Musisz nabrać siły, żeby przetrwać trening.

– Kiedy zaczniemy? – zapytał z pełną buzią.

– Kiedy będziesz gotowy – odparła. – Najpierw rozpoczniemy naukę czytania i pisania.

– Wolę walczyć! – zaprotestował.

– Wiem o tym, chłopcze, ale słyszałeś przepowiednię. Trzeba twoje umiejętności rozwijać we wszystkich kierunkach, więc musisz się też uczyć, jak korzystać z głowy, a nie tylko z ciała. – Podniosła dłoń, powstrzymując jego odpowiedź. – Zaczniemy jutro z samego rana, zaraz po śniadaniu. Najpierw nauczę cię czytać i pisać w języku tolimurajskim, potem zajmiemy się kolejnymi. Jedz, pij i kładź się do łóżka. Jutro czeka cię pierwszy krok na drodze do wielkości.

Nim Hex zjadł i położył się spać, kapłanka zdołała wyciągnąć od niego sporo informacji. Musiała go lepiej poznać, żeby móc go szkolić. To, czego się dowiedziała, spowodowało, że nie mogła zasnąć. Juvi leżała na łóżku, wpatrując się w sufit i rozmyślając, czy dobrze odczytała przepowiednię i faktycznie to ten drobny chłopaczek z małej wsi ma zostać Płomieniem nadziei i przywrócić jedność całemu światu. Nie była pewna, czy to prawda, czy jednak przez lata samotności w świątyni wmówiła sobie, że to jest ta jedyna szansa. Odgoniła jednak te myśli i skupiła się na planowaniu kolejnych dni nauki Hexa. Nie miała pojęcia, jak szybko chłopak będzie robił postępy, ale wiedziała, że nie może zmarnować nawet dnia. Sag Bas czekała zbyt długo, by zmitrężyć jeszcze choć godzinę.

– Ucieknę, jak tylko będę mógł! – Usłyszała głos chłopaka.

Podniosła się delikatnie z łóżka i spojrzała w przeciwległy róg, ale nie zauważyła żadnego ruchu. Koc unosił się równomiernie, a Hex nawet nie drgnął. Usiadła na łóżku i wsłuchiwała się w ciemność.

– Ojciec na mnie czeka, nie mogę tutaj zostać. – Głos Hexa znowu zadźwięczał w jej uszach.

Tym razem wstała i podeszła bliżej. Chłopiec spał jak zabity, nie poruszał ustami, a ona słyszała jego głos.

– A może to tylko sen... Obudzę się rano i to wszystko zniknie. – Usłyszała wyraźnie i musiała się przytrzymać ściany, żeby nie upaść.

Skierowała się do stolika, na którym została czarna księga. Odpaliła świecę i przekartkowała kilka stron. Zatrzymała się na jednej z nich i zaczęła czytać szeptem.

– Do zaprowadzenia Sag Bas na całym świecie nie wystarczy Ogień i żelazo. Pojawią się wiarołomcy, którzy będą gasić Ogień i tępić żelazo. Do zaprowadzenia Sag Bas potrzebna będzie myśl. Myśl, która będzie słyszalna w każdej duszy. Myśl, która będzie przez duszę przyjęta. A te dusze, które będą chciały zgasić Ogień i stępić żelazo, myśl złamie niczym wiatr suche gałęzie. Myśl zaprowadzi Sag Bas. Myśl wsparta Ogniem i żelazem.

– Coś się stało? – usłyszała z łóżka Hexa.

– Musiałam coś sprawdzić. Śpij, chłopcze. – Zdmuchnęła świecę.

## Rozdział II

– Żwawiej! Poganiać te konie! Jeszcze dziś odbierzemy, co nasze! – zakrzyknął rycerz i pognął na początek kolumny.

Mężczyzna prezentował się niezwykle dostojnie, siedząc w lśniącej srebrnej zbroi na karym koniu. Przy siodle wisiała tarcza z herbem Erskinu, czarnym stojącym bokiem niedźwiedziem na niebieskim polu. Był to symbol rodu Mithraidów, od pokoleń władającego Erskinem. Obecnie z dumą nosił go Strik, syn Lameka, prowadzący swoje wierne wojska przez południowe tereny kraju na kolejną bitwę. Król Strik nie zgodził się na propozycje zawarte w traktacie pokojowym przedstawionym mu przez posłańców z Werdgwaldu, kraju, który rozpoczął wojnę, atakując Erskin i sąsiadujący z obydwoma państwami Tasarik.

Konflikt ten ciągnął się już pięć lat, wyludniając i niszcząc przygraniczne tereny po każdej ze stron. Król Fryder, władca Werdgwaldu, wpadł na pomysł, by poszerzyć swoje stosunkowo niewielkie terytorium. W tym celu zwołał pod broń wszystkich, którzy mogli utrzymać miecz w ręku, i bez oficjalnego wypowiedzenia wojny zaatakował ziemie leżące na północ od rzeki Farafo. Zaskoczony zdradzieckim atakiem Tasarik w mgnieniu oka stracił południową część swojego terytorium wraz z miastami Maedinas i Afodinas, między którymi rozciągały się żyzne pola uprawne.

Opór udało się zorganizować dopiero w Joulinie. To ufortyfikowane miasto pełniło rolę stolicy kraju i siedziby królewskiego rodu. Dowodzone przez Frydera wojska Werdgwaldu nie miały środków na wielomiesięczne oblężenie potężnej i starej twierdzy. Dlatego pozostawiając posterunki na zajętych przez siebie do tej pory terenach, skierowali się na wschód, wdzierając się w granice Erskinu. Gęsto zalesione podgórskie tereny sprzyjały szybkim napastnikom, przedzierającym się lasami i podbijającym kolejne pozbawione obrony miasta. Zdążyli zdobyć Myrbein i Lubein, zanim wojska Erskinu zareagowały na atak.



Król Lamek najpierw wysłał rozkazy do wszystkich większych miast na południu kraju, a potem zebrał najlepsze oddziały i poprowadził je na wroga. Pięć tysięcy ciężkozbrojnych rycerzy, trzy tysiące lekkiej jazdy, dwa tysiące doborowej ciężkiej konnicy oraz dwa tysiące górskich strzelców posługujących się łukami i kuszami oraz dwustuosobowa drużyna króla. Dotarcie z armią do granic zajęło niemal rok, w tym czasie Werdgwald zdobył twierdze Colbein i Caerdinas.

Fryder zostawił część armii w twierdzach, a część rozproszył na zalesionych pagórkowatych terenach na południe od rzeki Issint. Sam zajął twierdzę Colbein, z której kontrolował nowo podbite tereny. Z tego miejsca mógł trzymać w szachu przeciwników chcących odbić utracone ziemie. Co rusz wypuszczał podjazdy nękające okoliczne miasta. Jego wojska dotarły nawet pod stolicę Tasariku. Doskonale wiedział, jak osłabiać morale skrzywdzonych wojną mieszkańców pogranicza. Z reszty kraju płynęło do nich coraz mniejsze wsparcie, a obrazu bezsilności dopełniały kurczące się zapasy żywności na pogranicznych terenach.

Lamek przegrupował swoje siły w Reimrahu, niewielkim rybacko-rolniczym mieście położonym nad jeziorem Fadloch. Całą jazdę wysłał do Lochtairu, miasteczka drwali, znajdującego się niedaleko jeziora Coiloch. Tam mieli czekać na sygnał i zaatakować rozproszoną, ukrytą za rzeką armię Werdgwaldu, składającą się w większości ze słabo wyszkolonych i uzbrojonych chłopów. Słyszana z szarzy jazda Erskinu miała zrównać z ziemią resztę wrogiej armii.

Pozostali wojowie, wraz z królem Lamekiem, udali się do twierdzy Duthbein, która według wszelkich przypuszczeń powinna być kolejnym celem Werdgwaldczyków. Władca obsadził zamek, a na polach okalających miasto kazał rozpalić wielkie ogniska. Dym miał być sygnałem dla wojsk stacjonujących w Lochtairze. Te, gdy tylko słupy dymu wzniosły się na odpowiednią wysokość, ruszyły z szarżą przez rzekę. Zbieranina chłopów porzuciła broń i starała się uciekać przed galopującą konnicą. Jeźdźcy błyskawicznie odbili Lubein i skierowali się do Myrbeinu, zamykając powoli okrążenie.

Żołnierze króla Frydera nie starali się nawet bronić miasta i uciekli tak jak ich towarzysze. Ci, którzy uszli z życiem, schronili się w Colbeinie, gdzie rozgościł się sam Fryder. W konflikcie nastął pat. Wojska Erskinu oblegały Colbein i Caerdinas, a wojska Werdgwaldu oblegały Joulin i tereny na południu Tasariku. Fryder nie chciał tkwić w tej stagnacji, więc

wystosował propozycję pokojową. W zamian za zakończenie konfliktu domagał się terenów zajętych do tej pory. Lamek odrzucił jego żądania bez zastanowienia, a posłańca odesłał ze śladami bicza na plecach.

Zupełnie inaczej sytuacja miała się w Tasariku. Doszło tam do zamachu stanu i ród Dealinów został zrzucony z tronu. Niezadowoleni z rządów dotychczasowego władcy mieszczaństwo i chłopcy rozpętali w kraju rewolucję. Władzę przejął samozwańczy lider tego powstania – Lakur, który raz-dwa usiadł do rozmów pokojowych. Mając poparcie wycieńczonego wojną ludu, oddał bez wahania tereny między rzeką Farafo, aż do okolic Maedinasu. Fryder w zamian oddał klin terenu przy Joulinie i zagwarantował bezpieczny spływ fragmentami rzeki znajdującymi się na terytorium Werdgwaldu.

Na tym pakcie najwięcej stracił Erskin. W tej sytuacji Fryder mógł skupić się wyłącznie na walce na jednym froncie, co znacząco poprawiło morale jego żołnierzy. Przerzucił ich przez granicę Erskinu, wzmacniając siły między Colbeinem a wojskami przeciwników. Pat pogłębiał się, a samopoczucie wojsk podległych Lamekowi spadło prawie do zera. Na domiar złego król Lamek zmarł w łóżu, zapadając na nieznaną chorobę, a na jego miejsce wstąpił jego syn – Strik. Nie był już najmłodszy, ale z wiekiem nie przybyło mu opanowania. Za punkt honoru postawił sobie odbicie straconych terenów jak najszybciej. Dlatego od razu nakazał szturmować miasta obsadzone przez Werdgwaldczyków. W szturmach tych stracił mnóstwo nieprzygotowanych do takiej walki żołnierzy. Erskin przez lata walczył w otwartym polu, pokazując wtedy wszystkie swoje atuty, a walka w lesie, w ciasnych miastach czy zdobywanie wzgórz wiązały się dla nich z katorgą. Wreszcie wiedziony przyływem furii władca postanowił sam poprowadzić atak. Nie skierował się jednak do najbliższej wrogiej twierdzy, czyli Caerdinas, ale nakazał wymarsz do Colbeinu. Zebrał ze sobą doborowy oddział gwardii królewskiej, służbę i syna Kastila, następcę tronu.

Młody książę jechał w środku kolumny u boku siwego, niewielkiego mężczyzny w brązowym płaszczu z ogromnym kapturem obszytym złotą nicią. Kastil siedział na wielkim koniu, co musiało być strasznie niewygodne dla nieprzyzwyczajonego do tak długiej jazdy chłopca. Miał ciemne, trochę dłuższe włosy i zmartwiony wyraz twarzy. Jego czarna szata z niebieskimi lampasami ozdobiona była srebrnym haftem. Starszy mężczyzna jadący obok niego nie przestawał mówić.

– Jako przyszły władca, mój księżę, musisz brać udział w bitwach – mówił, trzymając obydwu wierzchowce bok w bok. – Teoretyczna nauka strategii nie jest wystarczająca, żeby dobrze zarządzać wojskiem. Z ksiąg, jakkolwiek są one niezwykle przydatne, nie można nauczyć się wszystkiego.

– Czy ojciec musi sam prowadzić atak? – zapytał wreszcie Kastil, przerywając wywód.

– Nie musi. – Pokręcił głową staruszek. – Ma od tego generałów, ale czasami to król dodaje tę drobinę, która przechyli szalę na jego korzyść. Rycerze, widząc, kto walczy z nimi ramię w ramię, dają z siebie więcej. Walczą bardziej zaciekle.

– Nie możesz mu nakazać, żeby nie szedł do ataku? – Spojrzał na niego jasnymi oczami.

– Jestem tylko prostym doradcą...

– Nieprawda! – zaprotestował chłopiec. – Jesteś najważniejszym wśród uczonych!

– Najważniejszy uczyony nazywa się Telsel i jest rektorem Akademii w Andskinie. – Uśmiechnął się. – Ja jestem doradcą władców Erskinu. Doradcą, mój księżę! A więc mogę tylko coś zasugerować, a król Strik robi, co uzna za słuszne. W tym wypadku uznał, że poprowadzenie ataku będzie najlepsze.

– Przecież może zginąć! – Koń zatańczył pod chłopcem.

– Jesteśmy w trakcie wojny, każdy z nas może zginąć, i to w każdej chwili, mój księżę – odparł stanowczo. – Twój ojciec jest dobrze wyszkolony w walce, król Lamek nie szczędził funduszy na jego naukę. Ma też spore doświadczenie w boju. Brał udział w tej wojnie od samego początku.

– Ale...

– Ale może zginąć, prowadząc atak na Colbein, jest to jedna z możliwości. Pamiętasz lekcję o możliwościach? – Kastil potwierdził. – Każde nasze działanie może się zakończyć w różny sposób, nie ma jednej możliwości. Więc tutaj również należy przyjąć, że atak może się powieść, może się nie powieść, twój ojciec może zwyciężyć, może przegrać, może trafić do niewoli, a może zginąć, ale czy zamartwianie się tym może wpłynąć na ostateczny wynik?

– Nie może... – Księżę spuścił głowę.

– No to głowa do góry, mój księżę!

Orszak kroczył, a uczony nie przestawał nauczać młodego księcia, nie zwracając uwagi na jego brak zainteresowania. Armia Strika przekroczyła rzekę Issint późnym popołudniem, więc postanowiono rozbić prowizoryczny obóz w lesie. Nie rozstawiano namiotów, nie rozpalano ognia, a na obrzeżach wystawiono warty. Wyczerpani tempem marszu wojowie nie mieli już sił na rozmowy. Kawałek suszonej wołowiny i suchary popite winem z bukłaka musiały wystarczyć za kolację. Nie zdejmując nawet pancerzy, złożyli głowy na siodłach i próbowali wypocząć przed świtem. Król Strik pozostał jednak na nogach i oparty o drzewo wpatrywał się w ciemność.

– Panie. – Wysoki barczysty sługa przerwał mu rozmyślenia. – Gdzie położyć księcia?

– Co? – Strik podrapał się po długiej czarnej brodzie. – A tak, w środku obozu, jak najbardziej w środku. Owiń go kocami, daj mu jeść i pić i siedź przy nim.

– Tak, panie. – Ukłonił się i miał zamiar odejść.

– Thondarze, jeszcze jedno. – Sługa pokornie skłonił się raz jeszcze. – Pilnuj go, kiedy atak się zacznie. Lepiej, żeby jedyny dziedzic nie zginął.

Potężny Erskińczyk skłonił się z poważną miną i odszedł. Sługa był wyższy niż większość rycerzy, miał szerokie bary, długie czarne włosy, przyprószone nieco siwizną, i orli nos. Do jednej ręki wziął gruby zwitek koców, a w drugą złapał niewielki garnek.

– Książę! – zawołał do siedzącego na pniu Kastila. – Proszę za mną, król wyznaczył wasze miejsce na spoczynek. Idziemy na środek obozu, mam pilnować księcia. – Wskazał drogę garnkiem.

– Jak zawsze. – Chłopiec uśmiechnął się, choć nie był to radosny uśmiech.

Miał szesnaście lat, więc był już prawie dorosły, ale przez nadopiekuńczość ojca nie mógł poruszać się bez opieki Thondara. Od śmierci matki ojciec zabronił mu nawet samotnie chodzić po zamku. Kastil doceniał to, że Strik troszczy się o niego, ale był zdania, że to przesada. Za rok miał poznać swoją przyszłą żonę, a za dwa lata wziąć z nią ślub. Nie miał odwagi sprzeciwić się ojcu i nie chciał dokładać mu zmartwień, więc znosił w spokoju towarzystwo przyjaznego olbrzyma. Tym razem cieszył się z tego towarzystwa wyjątkowo. Las nocą, wokół pełno rycerzy, a w perspektywie bitwa sprawiały, że czuł się niepewnie.

– Proszę zjeść. – Sługa podał mu garnek i łyżkę. – Ja zajmę się posłaniem.

– Jak daleko stąd jest reszta naszej armii? – zapytał Kastil z łyżką zupy w buzi.

– Mniej niż pół dnia. – Thondar rozkładał koce pod drzewem.

– Wiedzą, że nadchodzimy? – Księżę rozglądał się między czarnymi pniami drzew.

– Tak, król Strik wysłał gońca z wiadomością.

– Co się stanie, gdy odbijemy Colbein? – Kastil drgnął, słysząc sowę.

– Odetniemy Caerdinas od reszty Werdgwaldu, a to przybliży ostateczne zwycięstwo.

– I co wtedy? – Księżę siorbał gorącą zupę.

– Wtedy, znając życie, król Strik wkroczy do Werdgwaldu i podbije go. – Sługa wyprostował się.

– Ale po co? To przecież nie zakończy konfliktu! – Kastil machnął łyżką.

– Zakończy, ale w bardzo brutalny sposób, mój księżę. – Thondar odsunął koc. – Posłanie gotowe.

– Dziękuję, Thondarze. – Kastil odstawił pusty garnek, podróż w siodle sprawiła, że był bardzo głodny, z przyjemnością wsunął się pod koc i niemal z miejsca zasnął.

Z głębokiego snu wyrwały go krzyki żołnierzy i przeraźliwe rzenie koni. Leżał przez chwilę, mrugając oczami, żeby odpędzić sen. Rozejrzał się powoli i zobaczył biegających w popłochu rycerzy, łapiących miecze, wciągających na siebie kolczugi i siodłających konie. Służący i giermkowie zbierali obóz w nie mniejszym pośpiechu. Wrzucali na wozy, co tylko się dało, i odjeżdżali w las w kierunku Myrbeinu.

– Proszę księcia. – Thondar nachylił się nad posłaniem Kastila. – Musimy uciekać, prędko.

– Co? Dlaczego? – zapytał zaspanym głosem.

– Wartownicy podnieśli alarm, zaatakowano obóz – szeptał nerwowo.

– Kto? – Kastil wyskoczył z posłania i wciągał buty.

– Nie wiadomo, ale pewnie to król Fryder – odparł.

– Gdzie Iskel? – Księżę rozglądał się po lesie.

– Król Strik odesłał go od razu, nam też kazał się pospieszyć. – Thondar osiodłał księżęcego konia i doprowadził go do chłopca.

– Dokąd jedziemy? – Kastil wdrapał się na zwierzę z trudem, odczuwając skutki długiej jazdy.

– Kierujemy się na Myrbein. Jedź, mój książę. Zaraz do ciebie dołączę. – Sługa pogonił konia klepieniem w zad.

Kastil, odjeżdżając, słyszał za sobą odgłosy walki. A ta w środku lasu, w pełnej ciemności, była dla obrońców ogromnym wyzwaniem. Ubrani w ciemne stroje łucznicy, kusznicy i oszczepnicy razili ze wszystkich kierunków, zlewając się z mrokiem nocy. Panika wkradła się w szeregi armii prowadzonej przez Strika. Sam król nie kładł się spać, więc kiedy nastąpił atak, nie musiał tracić czasu na rozbudzenie się. Ruszył do walki w pierwszej linii, ale wojska Frydera nie chciały podejmować bezpośredniego starcia i ostrzeliwały z bezpiecznych pozycji, przemieszczając się co chwila. Wielu poległo, nim udało się zapanować nad porządkiem w obozie.

– Ustawcie się w półkolu! – wrzeszczał Strik. – Tarcze w górę!

– Musimy się wycofać, wasza wysokość! – powiedział wysoki rycerz w czarnej zbroi.

– Nie możemy się wycofać przed ucieczką obozu, panie! – odezwał się drugi z członków gwardii królewskiej.

– Nie wycofamy się ani przed zwinięciem obozu, ani po – odparł niewzruszony Strik. – Utworzymy klin i wbijemy się między drzewa. Rozpalcie pochodnie!

Rycerze szybko wykonali rozkaz władcy i już po chwili każdy z nich dzierżył w ręku płonąca żagiew. Celne strzały Werdgwaldczyków przerzedziły doborowy oddział gwardii królewskiej. Na placu boju pozostało już około stu rycerzy.

– Klinem za mną! – ryknął Strik, zatraskując przyłbicę w kształcie paszczy niedźwiedzia.

Ruszył w las, oświetlając sobie drogę pochodnią. Ciężka zbroja będącego w ruchu rycerza odbijała strzały z łuku. Oddziały Frydera wstrzymały ostrzał, a cienie poruszające się między drzewami zaczęły znikać w oddali w szybkim tempie. Strik wyrwał się do przodu z szaleńczym okrzykiem i mieczem uniesionym nad głową. Kiedy większość oddziału znalazła się obok niego, drzewa za ich plecami zaczęły się przewracać jedno po drugim.

– Panie! To zasadzka! – Strik usłyszał głos jednego z rycerzy.

– Wiem, tumanie! – wrzasnął, a potem dodał pod nosem: – To już druga tej nocy, w którą daliśmy się wciągnąć.

Chciał wydać rozkaz odwrotu, ale nim powiedział słowo, na ich głowy ponownie zaczął się sypać grad strzał, bełtów i oszczepów. Kilku pechowo



trafionych rycerzy padło na ziemię. Bezradny Strik odrzucił pochodnię na stertę liści i chwycił miecz oburącz. Sterta zajęła się i wyskoczyło z niej dwóch werdgwaldzkich marynarzy ubranych na czarno i uzbrojonych w trójzęby. Skoczyli na władcę, próbując go powalić. Strik nie spodziewał się ataku, ale zdążył machnąć mieczem i trafić jednego z wrogów w przedramię. Drugi jednak uderzył i rybackie narzędzie przerysowało niedźwiedzia na napierśniku władcy, który był biegły w walce na miecze, więc wykorzystał moment natarcia, by rozciąć brzuch marynarza. Trafiony pozbierał się po ciosie w rękę i próbował zaatakować przeciwnika od tyłu. Rycerz przewidział to i odwrócił się, tnąc od góry. Uderzył tak celnie, że miecz utkwiał w klatce piersiowej wrogiego żołnierza, przecinając przy tym obojczyk.

W lesie rozpętała się prawdziwa bitwa. Rycerze Erskinu walczyli z przeważającą siłą wroga i przegrywali. Gwardziści byli lepiej uzbrojeni, opancerzeni i wyszkoleni, ale żaden rycerz nie poradzi sobie z sześcioma zdeterminowanymi mężczyznami atakującymi niekonwencjonalną bronią. Siły Erskinu kurczyły się w zatrważającym tempie. Strik rzucił się w wir walki, siekł kolejnych wojowników wyskakujących spomiędzy drzew. Jego zbroja była już mocno powgniatana, z miecza kapłała krew, a w ferworze walki stracił gdzieś hełm.

Dobiegł do jednego ze swoich rycerzy, który nie mógł poradzić sobie z pięcioma przeciwnikami. Dźgnął jednego z Werdgwaldczyków w plecy, drugiemu przeciął kolana, odwracając się, ale trzeci uderzył go drewnianą pałką w głowę. Strik poczuł, jak ziemia ucieka mu spod stóp, a zaraz potem zahuczało mu w głowie jeszcze mocniej. Rycerz próbował uratować swojego króla, ale złodziejski sztylet wbił mu się pod pachę. Król Erskinu usiłował się podnieść, wspierając się na mieczu, ale jeden z napastników kopnięciem wytrącił mu broń. Nie mieli czasu na znęcanie się nad ofiarą, nie wiedzieli też, z kim mają do czynienia. Rzeźnicki topór uderzył w tył głowy Strika i zakończył jego panowanie, rozłupując królewską czaszkę na pół.

Tętent kopyt niósł się po czarnym lesie, ulatując w noc. Kastil w towarzystwie Thondara prowadził uciekinierów z obozu. Kierowali się w stronę Myrbeinu, miasta u podnóża gór, które miało im zapewnić bezpieczeństwo. Za księciem i jego służącym jechały wozy z zaopatrzeniem, prowadzone przez innych służących i eskortowane przez giermków. Pochód zamykało dwudziestu rycerzy gwardii królewskiej,

którzy mieli chronić księcia za cenę własnego życia. Nagle las wypełnił się długim i głośnym sygnałem rogu. Kastil zatrzymał konia i uniósł dłoń, sygnalizując postój. Po chwili rozbrzmiał drugi sygnał, a zaraz po nim trzeci, krótszy i jakby urwany w połowie.

– Wiesz, co to oznacza, mój książę? – zapytał Iskel, zsiadając z wozu.

– Wiem... – Kastil zbladł.

– Panie! – Jeden z rycerzy podjechał na przód kolumny. – Jakie są rozkazy?

– Rozproście się wokół kolumny i bądźcie czujni, musimy się zastanowić – odpowiedział w imieniu Kastila Iskel.

Rycerz skinął głową i odjechał przekazać rozkaz towarzyszom. Thondar pomógł zejść z konia młodemu księciu i narzucił mu na barki koc.

– Może nie zginął... – mówił spokojnie chłopiec, ale wpatrywał się w trawę pod nogami.

– Trzy długie sygnały rogu to jasny sygnał i nikt nie odważyłby się go podrobić. – Uczony oparł pomarszczoną dłoń na barku księcia. – Zasadzka okazała się groźniejsza, niż sądziliśmy. Fryder musiał się jakoś dowiedzieć o tym, co król Strik planował.

– Dwa długie i jeden krótki... – Westchnął.

– Urwany, jakby sygnalista został zabity. – Uczony starał się zachować trzeźwy umysł.

– Skąd mógł wiedzieć, że zatrzymamy się w tym lesie? – Kastil miał drżący głos.

– Jest kilka możliwości. – Iskel zaczął wskazywać na palcach. – Po pierwsze ktoś mógł zdradzić nasz plan, po drugie Fryder mógł się dowiedzieć przez przypadek, po trzecie jego wartownicy mogli zobaczyć nasz przemarsz, po czwarte mogli się natknąć na nas przypadkiem, przechodząc do Colbeinu z Caerdinasu.

– Zdradzić...

– Może to nie jest najlepszy moment, ale czas na kolejną lekcję. – Iskel usiadł obok Kastila. – Król musi ostrożnie dobierać współpracowników i musi uważać, komu o czym mówi. Czasem warto raz na jakiś czas powiedzieć coś nieprawdziwego, żeby sprawdzić, kto się złapie na taką przynętę.

– I co wtedy? – Młodzieniec podniósł na uczonego mokre oczy.

– Wtedy albo się taką osobę eliminuje, albo wykorzystuje ją do dezinformacji wroga. Wszystko zależy od tego, co w danej sytuacji jest

bardziej opłacalne, mój królu. – Posłał mu delikatny uśmiech.

– Nie mów tak do mnie. – Kastil zacisnął dłonie.

– Uczony zawsze zwraca się w ten sposób do władcy, któremu służy. – Powstrzymał gestem protest Kastila. – Po śmierci króla na tron wstępuje jego syn, tak było z królem Lamekiem, tak było z królem Strikiem i tak samo jest z tobą, królu Kastilu. Umarł król, niech żyje król, jak śpiewali bardowie.

– Jestem za młody, za słaby...

– Jesteś młody, ale młodszy zasiadali już na tronach. Jesteś słaby, bo nie wierzysz w siebie. Od kołyski nasiąkałeś władzą i wiedzą. Wiem, czego cię nauczyłem, i wiem, że to wystarczy, by rządzić mądrze. Teraz tylko musisz sam się o tym przekonać. – Starzec podniósł się, a potem nachylił nad wozem i zaczął rozrzucać ubrania, wyraźnie czegoś szukając. – O! Jest! Thondarze, przyjacielu, czyń honory.

Podał służącemu spory, pozłacany róg zdobiony bursztynem. Mężczyzna przyglądał mu się chwilę niepewnie, po czym wziął w wielkie dłonie, nabrał powietrza w płuca i dmuchnął, ile tylko miał sił. Rozbrzmiał długi przeciągły sygnał, a zaraz po nim dwa krótsze, równie głośne. Odpowiedziały mu okrzyki radości rycerzy osłaniających obóz.

– Teraz trzeba podjąć decyzję, mój królu. – Iskel spojrzał Kastilowi prosto w oczy.

– Jak wygląda sytuacja? – Patrzył na starca nad wyraz dojrzałe i twardo.

– Jesteśmy mniej więcej dwie godziny drogi od Colbeinu i cztery-pięć dni od Myrbeinu. Jeśli ruszą za nami w pościg, to nie uciekniemy im w tych lasach – zrelacjonował uczony.

– Jeśli wie, że ojciec zabrał mnie na tę wyprawę, to ruszy w pościg... – Kastil potarł oczy.

– Najrozsądniej byłoby skierować tabor do Myrbeinu, wysłać posłańca do Colbeinu z rozkazem odstąpienia od oblężenia i wycofania się do Duthbeinu, a samemu jak najszybciej wracać do Erskinu.

– Wiem, Iskelu. Jednak sam mówiłeś przed chwilą, że mam uwierzyć w siebie. – Odetchnął ciężko i wyprostował się, kiedy Thondar wrócił z jednym z gwardzistów. – Kapitanie.

– Wasza miłość. – Rycerz skłonił się nisko.

– Przepakujcie na konie wszystko, co się przyda w Colbeinie, wozy zostawimy tutaj. Każdy zdolny do utrzymania broni ma ją dostać – mówił szybko i zdecydowanie. – Kiedy wszystko będzie gotowe, ruszymy galopem

przez las. Wyślij też dwóch posłańców. Jednego do Duthbeinu z rozkazem ataku na Caerdinas, a drugiego do naszych wojsk pod Colbeinem z ostrzeżeniem o zasadzce na tyłach. Przekażcie im też, żeby oczekiwali naszego przyjazdu, zanim przystąpią do kolejnego szturmu.

– Tak jest, wasza miłość! – Przyłożył urękawiczoną pięść do piersi.

– Każda chwila jest cenna, spieszcie się!

Rycerz odbiegł, a Iskel pokiwał głową z uznaniem.

– Bardzo odważna decyzja, mój królu. Zdajesz sobie sprawę z ryzyka?

– Wziąłem pod uwagę wszystkie możliwości...

– I wybrałeś takie rozwiązanie?

– Tak, to wydaje się mieć największe szanse powodzenia. Thondarze, podaj mi zbroję i pomóż rozpakowywać wozy.

– Wydaje się... – Iskel wyciągnął spod płaszcza długi, wąski sztylet.

## Rozdział III

Udało im się szybko zapakować to, co niezbędne, na konie i wkrótce pędzili przez las. Podróż nocą ułatwił im wysoko wiszący księżyc i bezchmurne niebo, choć mimo wszystko dwóch giermków spadło z konia, uderzając w nisko wiszącą gałąź. Zgodnie z obliczeniami Iskela mieli dotrzeć do Colbeinu niedługo przed świtem.

Kastil gnał na przedzie w zbroi dostosowanej do jego postury, ale równie dobrej jak zbroja królewska. Nosił niebieski napierśnik z wymalowanym na nim stojącym czarnym niedźwiedziem, a przyłbica miała kształt niedźwiedziego pyska, podobnie jak w pancerzu dziedzicznym od pokoleń. Jego potężny koń doskonale radził sobie w nierównym leśnym terenie.

Największy problem z utrzymaniem tempa miał Iskel. Uczony od lat nie jeździł konno, podobnie jak Thondar, który przez swoje gabaryty nie lubił tego i trzymał się obok staruszka przy końcu grupy. Konie obydwu mężczyzn były obciążone do granic wytrzymałości. Iskel powiedział, że w skrzyniach, które wiózł, ma coś, czego nie może dotykać nikt inny. Pozwolił część z nich załadować na konia Thondara, ale tylko pod warunkiem że służący będzie się trzymał blisko niego.

Jechali od wschodu, a wszyscy spodziewali się ich z północy, więc nie napotkali na żadne przeciwności. Kastil wreszcie ujrzał zarys zamku Colbein na tle ciemnego nieba. Zamek składał się z wysokiego muru z czterema wieżami na rogach oraz sporej baszty na dziedzińcu, wystającej ponad mury nierównym zwieńczeniem. Zarówno potężne ściany z kamienia, jak i wąska brama nie ułatwiały szturmowi. Przejeżdżając przez szczyt wzgórza, ujrzał swoje wojska obozujące na terenach wokół zamku. Gestem wysłał naprzód jednego z rycerzy, który popędził konia, ile zostało mu tylko sił. Wkrótce wyjechało im na powitanie kilku zbrojnych niosących flagę Erskinu i herb Colbeinu, niewielkiego, ale zasłużonego rodu, który zamieszkiwał twierdzę i okoliczne włości od wielu lat.

– Wasza miłość! – Grubawy, starszy rycerz skłonił się. – Słyszeliśmy sygnały, kondolencje i gratulacje.

– Nie czas na to. – Kastil siedział wyprostowany mimo przytłaczającego zmęczenia i bólu całego ciała, niezwyčajnego do jazdy w pancerzu. – Jak wygląda sytuacja? Hrabio...

– Dert Colbein, wasza miłość. Pan na zamku Colbein. – Mężczyzna wypiął pierś do przodu.

– Z tego, co mi wiadomo, to na zamku Colbein panuje teraz kto inny, hrabio. – Król wbił w niego wzrok i delikatnie przestraszył się swojego tonu.

– Musiałem oddać zamek, nie było kim go bronić, wasza miłość, ich wojska... – jękał się szlachcic.

– Ich wojska to zbieranina chłopstwa i rybaków, którzy nie potrafią oblegać zamków. Jakim cudem udało im się zdobyć dwie twierdze, Colbeinie?

– Ja... – Hrabia zatchnął się.

– Ty powinienes teraz siedzieć za tymi murami i czekać na odsiecz! – Kastil spał konia i przejechał obok starszego szlachcica. – Melduj, jak wygląda sytuacja w obozie!

– Mamy trzy tysiące zbrojnych i tysiąc łuczników, kończy się pożywienie i surowce do budowy maszyn oblężniczych.

– Gdybyś siedział na zamku, to im kończyłyby się surowce, Colbeinie! Zagoń ludzi do ścinania drzew, za dwa dni przypuścimy ostateczny atak.

– Ale, wasza miłość... – Rozdziawił usta.

– Czy prawo pozwala na dyskusowanie z królem, jeśli jest młodszy? – Kastil skarcił go wzrokiem raz jeszcze.

– Tak jest! To znaczy nie, nie pozwala, już przekazuję rozkaz. – Colbein przyłożył pięść do napierśnika.

– Jedź przodem, na co czekasz! Przygotuj jedzenie i miejsce na wypoczynek dla moich ludzi, zorganizuj giermków do rozładunku koni. – Król przyspieszył, a Colbein ruszył zaraz za nim i po kilku metrach wyprzedził go.

Słońce zdążyło już wstać, kiedy wszystko w obozie zostało przygotowane jak należy i Kastil usiadł wreszcie w najwygodniejszym namiocie, udostępnionym przez Derta Colbeina. Thondar pomógł królowi zdjąć zbroję, a Iskel posmarował jakąś dziwną maścią czerwone otarcia od siodła i pancerza. Młody król nie chciał się zgodzić na ten zabieg, ale uczony



wyjaśnił mu, że nie może sobie pozwolić teraz na żadną słabość. Władca siedział na stercie koców i popijał gorącą zupę, kiedy tłusta i pachnąca ziołami maść wchłaniała się w jego rany.

– Powinieneś się przespać, mój królu. – Iskel przeglądał zawartość swoich skrzyń.

– Nie ma na to czasu, trzeba dopilnować budowy katapult i drabin – odparł nerwowo Kastil.

– Na razie dopiero ścinają drzewa i przygotowują pnie do budowy, nie jesteś tam do niczego potrzebny, a musisz być w pełni sił – starał się tłumaczyć spokojnie.

– Wojsko mnie potrzebuje...

– W pełni sił i z czystym umysłem – wtrącił uczony. – Musisz przygotować plan natarcia i pilnować jego realizacji.

– Ja mam przygotować plan? Myślałem, że mi pomożesz...

– Pomogę, oczywiście, ale tym razem nie radą, a czynem. – Iskel zatrzaskał skrzynię z uśmiechem na twarzy.

– Co to znaczy? – Kastil chciał wstać i podejść do skrzyń, ale uczony powstrzymał go.

– To w swoim czasie, muszę jeszcze nad tym popracować. Śpij, mój królu, wypocznij. – Uśmiechnął się szeroko.

Trudna podróż, niespodziewany atak, utrata ojca, wstąpienie na tron i zmęczenie fizyczne odcisnęły piętno na młodym organizmie Kastila. Król przespał cały dzień i całą noc, nie budząc się nawet na chwilę z kamiennego snu. Iskel nie pozwolił nikomu wchodzić do namiotu, tłumacząc, że król opracowuje plan ataku i o wszystkim dowiedzą się w stosownym czasie. Wreszcie Kastil otworzył oczy.

– Witam, mój królu. – Iskel doszedł do posłania z kubkiem parującego naparu. – Wypij to, zjedz śniadanie i siadamy do planowania szturmu.

– Jak długo spałem? – zapytał, wyciągając dłoń po napar.

– Cały dzień i całą noc, mój królu.

– Co!? Dlaczego mnie nie obudziłeś?! – Kastil skoczył na równe nogi.

– Dlatego że armia potrzebuje dowódcy w pełni sił.

Thondar wniósł śniadanie.

– Dobrze. – Kastil westchnął, wiedząc, że nie wygra z uczonym. – Co się działo w tym czasie?

– Przyleciał sokół z Duthbeinu. Meldują, że reszta sił Werdgwaldu schowała się w Caerdinasie, jest wśród nich król Fryder. Zgodnie z tym,

czego się dowiedzieli nasi szpiedzy, prowiantu starczy im na roczne oblężenie.

– Fryder?! – Król znowu podniósł głos. – Przecież miał być tutaj!

– Miał być, ale uciekł, jak tylko zasadzka się powiodła, i z niewielkim oddziałem popędził do Caerdinasu – odparł Iskel.

– Wymknął się stąd? – Władca załamał ręce.

– Zeszli po linach tylną ścianą, konie mieli przygotowane wcześniej. – Wzruszył ramionami.

– To bardzo złe wiadomości. – Kastil grzebał w talerzu jajecznicy. – Nie dość, że nie ma tutaj króla, to jeszcze mają zapasy na rok... Nie możemy sobie pozwolić na tak długie walki.

– I nie pozwolimy, ale najpierw trzeba odbić Colbein. – Klasnął w dłonie.

– Drabiny są gotowe i jedna katapulta też, drugą stawiają.

– Dopiero drugą? – Król założył czarną szatę z niebieskimi wstawkami. – Nie zdążymy do jutra...

– Nie potrzeba nawet tej drugiej, mój królu. – Staruszek uśmiechnął się przebiegle. – Jedna wystarczy, żeby zdobyć zamek, nie niszcząc go za bardzo.

– W jaki sposób? – Kastil wyglądał na bardzo zaciekawionego.

– Mam pewną sztuczkę, która wygoni Werdgwaldczyków zza murów. Trzeba tylko to mądrze wykorzystać.

– Ta sztuczka jest w jednej ze skrzyń?

Iskel potaknął.

– Dowiem się, co to jest?

– Tak, w momencie, w którym załadują tym katapultę. – Iskel zachichotał.

– Nie rób sobie żartów, naprawdę chcę wiedzieć...

– Dobrze – przerwał mu. – W skrzyni mam trzy słoje z bardzo agresywną odmianą pcheł. Przerzucimy je przez mury i poczekamy, aż obskoczą wszystkich. Gryzą tak, że nie da się tego wytrzymać.

– Skąd pewność, że to zmusi ich do wyjścia?

– Obiecamy im, że jak wyjdą, to zdejmemy pchły. – Staruszkowi błyszczały oczy. – Ustawimy nasze wojska tak, że jeśli Werdgwaldczycy się nie poddadzą, to będziemy mogli ich łatwo zaatakować.

– To po co budujemy drabiny i katapulty? – zapytał zdziwiony Kastil.

– Dużo nauki przed tobą, mój królu. – Iskel usiadł obok. – Oblegamy zamek, zapanowała stagnacja, oni muszą być przekonani, że to zwykłe

oblężenie i nic nie kombinujemy. Muszą myśleć, że będziemy próbować szturmować mury, a do tego potrzebne są drabiny i katapulty, czyż nie?

– No tak, ale... co zrobimy, jeśli się uda i wyjdą? Będziemy musieli się do nich zbliżyć, czy się poddadzą, czy nie. Chyba nie chcemy mieć pcheł w swoich szeregach?

– Pchły przestają być agresywne, gdy się najedzą. – Iskel podał królowi zbroję. – Poczekamy kilka godzin i dopiero zaproponujemy im poddanie zamku.

– Czyli cały plan jest już opracowany, a gdzie moja rola? – Kastil przyglądał się herbowi na napierśniku.

– Ty musisz doprowadzić to wszystko do skutku, mój królu, i wyciągnąć z tego wnioski na przyszłość. – Uczony stuknął go w czarną czuprynę.

– Zaproś tutaj Colbeina i dowódców chorągwi – rzekł, a potem zwrócił się do Thondara siedzącego w rogu namiotu: – Thondarze, niech słudzy przygotowują jakiś skromny poczęstunek. Trzeba będzie przedstawić plan naszym sojusznikom.

W namiocie, w którym rezydował król, ustawiono spory, ośmioosobowy stół uginający się od prostych, acz gustownych potraw. Przy stole zasiadł król Kastil, uczony Iskel, Dert Colbein, jego syn Myt oraz czterech dowódców chorągwi uczestniczących w oblężeniu. Thondar nadzorował prace innych służących i kucharzy, którzy wyczarowali z obozowego prowiantu całkiem wystawny poczęstunek. Na przystawkę podano suchary z miodem i jagodami. Po nich na stół wniesiono solone ryby z sosem chrzanowym. Podano również zupę rybno-warzywną z grzankami. Daniem głównym były kaczki pieczone z jabłkami, podane z ziemniakami pieczonymi w ognisku, a deser stanowiły żytnie placki ze słodkim twarogiem. Goście przez cały czas byli raczeni miodem pitnym i różnymi rodzajami wina. Wreszcie, kiedy byli już przy deserze, król Kastil zabrał głos.

– Panowie! – Stuknął kielichem o blat stołu. – Cieszę się, że ten przygotowany w warunkach polowych poczęstunek przypadł wam do gustu.

– Przypadł, wasza miłość – odparł Dert Colbein, podnosząc kielich. – Tylko czy powinniśmy się tak objadać, skoro zapasy muszą wystarczyć na całe oblężenie?

– Właśnie w kwestii oblężenia zaprosiłem was tutaj. – Uniósł kielich w odpowiedzi. – Przy okazji posiłku zamierzam omówić strategię szturm

na zamek Colbein.

– Ach! – Dert Colbein pobladł. – Sądziłem, że obejdzie się bez szturm, spróbujemy pertraktacji...

– Obyłoby się bez szturm, gdybyś siedział teraz w zamku, Colbeinie. – Kastil skarcił starszego szlachcica spojrzeniem, choć nie chciał brzmieć tak agresywnie. – Kapitanie Neker, czy sprzęt do szturm jest gotowy?

– Tak jest, wasza miłość. – Wysoki rycerz z rudą brodą skłonił się znad talerza.

– Doskonale. – Kastil zanurzył kawałek placka w słodkim twarogu. – Wszyscy ludzie mają być gotowi do ataku do wieczora.

– Tak jest! – Zasalutował rycerz.

– Jak będzie wyglądał atak? – zapytał Myt, który wyglądał jak młodsza wersja ojca.

– Mój doradca, uczony Iskel, przygotował specjalną sztuczkę, która pomoże nam zdobyć zamek bardzo małym kosztem. – Król uniósł kąciki ust.

– To świetna wiadomość, wasza miłość! – Dert Colbein prawie przewrócił stół, wstając.

– Siadaj i daj królowi skończyć – syknął na ojca Myt. – Proszę wybaczyć, wasza miłość.

– Zatem atak wyglądał będzie następująco – ciągnął król. – Boczne mury obstawią chorągwie, po jednej na każdy, trzymając drabiny w pogotowiu, ale utrzymując bezpieczny dystans, by nie dać się trafić z łuku. Główna grupa wojsk, dowodzona osobiście przeze mnie, ustawi się przed bramą wraz katapultami. Wystrzelimy kilka kamieni nad murem, potem wystrzelimy tam kilka naszych niespodzianek i poczekamy.

– A kiedy nastąpi atak? – zapytał jeden z dowódców.

– Co to za niespodzianka? – dorzucił Myt Colbein.

– Atak być może nie nastąpi w ogóle. – Powstrzymał pytania gestem. – Jeśli nasz plan okaże się skuteczny, to zamek podda się sam. A co do niespodzianki... Nie musicie wiedzieć wszystkiego, ale jest to jedno z najnowszych odkryć uczonego Iskela. Skończcie posiłek, panowie, i ruszajcie gotować oddziały. O zachodzie słońca wszystko ma być gotowe.

Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, oddziały Erskinu ustawiły się wokół murów zamku Colbein. Miasto znajdowało się za zamkiem i choć było w rękach Frydera, to dostęp do twierdzy nie stanowił problemu. Na tyłach zamku stało rycerstwo i łucznicy z Andskinu, po bokach ustawiono

wojsko z północnych miast Noreskinu i Hofskinu, a miejsce przed bramą zajęły chorągwie królewskie i siły z Colbeinu.

Kastil w swojej zbroi wyjechał na przód w towarzystwie kilku rycerzy gwardii królewskiej. Jeden z nich niósł flagę Erskinu, składającą się z wąskiego brązowego pasa, niebieskiego kwadratu z wyszytą na nim czarną górą oraz rozdzielającej te dwa pasy czarnej wstęgi. Król zbliżył się do murów zamku, na którym rozstawili się łucznicy i oszczepnicy ubrani w przeróżne stroje.

– Werdgwaldczycy! – krzyknął w ich języku. – Opuśćcie zamek i wróćcie do swojego kraju, a włos wam z głowy nie spadnie!

– Ktoś ty, żeby takie obietnice rzucać? – odpowiedział mu głos zza blank.

– Król Kastil Mithraid, syn Strika, syna Lameka, władca Erskinu – odparł mu gwardzista trzymający flagę.

– Gówniarz, a nie król! – rozległo się z murów.

– Daję wam czas do zmroku. – Kastil powstrzymał rycerza chcącego odpowiedzieć na obelgę. – Jeśli nie otworzycie bramy do tego czasu, rozpoczniemy atak. Bywajcie!

Rycerze odjechali w stronę swoich towarzyszy, a z murów w ich stronę poleciały siarczyste obelgi. Kastil wjechał między równo ustawione oddziały i zeskoczył z konia.

– Nie poddadzą się. – Colbein podbiegł do króla.

– Oczywiście, że nie, ale zwyczaj wymagał zaproponowania im tego. – Kastil ściągnął hełm i odłożył go na pień. – Czekamy do zachodu słońca, potem rozpalicie ogniska i zaczniecie ostrzeliwać zamek płonącymi strzałami.

– A co z planem? – Colbein pobladł, bojąc się o swoją starą posiadłość.

– Plan zostanie wykonany, ale nie możemy zdradzić się od razu. – Kastil spojrzał na Iskela, który skinął głową. – Dwie, może trzy salwy wystarczą. Potem załadujemy katapulty. Wystrzelicie z nich pięć razy, żeby dobrze ustawić celność, a potem Iskel załaduje naszą tajną broń. Trzy wystrzały muszą być idealnie celne, potem wystrzelimy jeszcze kilka kamieni i na tym skończymy.

– A co później? – dopytywał czerwony na twarzy Colbein.

– Poczekamy do świtu, chyba że otworzą bramy wcześniej. Wracać do oddziałów! – Zbył ich.

Uczony Iskel spoglądał na siedzącego na pniu młodego władcę. Widział, jak ostatnie dni go zmieniły. Pamiętał rezolutnego i wesołego chłopca

przechadzającego się po komnatach w Erskinie. Teraz widział dorosłego człowieka. Oczy Kastila wyrażały mądrość, dojrzałość, ale też smutek. Miał zaciętą minę, na której trudno było doszukać się uśmiechu. Jego postawa i słowa, które wypowiadał, idealnie pasowały do władcy wielkiego królestwa, a zupełnie nie pasowały do dziecka, którym przecież jeszcze był.

Ogniska rozświetlały pola wokół zamku Colbein. Stara twierdza porośnięta mchem nie poddała się do zmroku, więc zgodnie z wolą króla należało rozpocząć atak. Płomienie odbijały się w lśniących zbrojach rycerzy, łucznicy trzymali w pogotowiu strzały nałożone na cięciwę. Kastil siedział na koniu przed szeregami swojego wojska i patrzył na mury zamku. Trzymał miecz w prawej dłoni, a lewą położył na łęku siodła. Oddychał głęboko, zbierając odwagę przed wydaniem rozkazu ataku. Podniósł wreszcie do góry swój lśniący miecz z głową niedźwiedzia jako głowicą, łucznicy za nim podpalili swoje strzały, naciągnęli cięciwy i wycelowali, czekając na ostateczny sygnał. Władca opuścił broń, a grad płonących strzał pofrunął w nocne niebo. Część z nich odbiła się od muru i spadła na ziemię, ale znaczna większość wylądowała w celu. Odpowiedziały im strzały Werdgwaldczyków, ale żadna nawet nie doleciała do pierwszej linii wojsk. Król ponownie wykonał gest i fala strzał raz jeszcze spadła na zamek.

– Podejdźcie bliżej, tchórzliwe psy! – wydarł się jeden z werdgwaldzkich żołnierzy.

Kastil obrócił konia i podjechał do generała Nekera, który skłonił mu się nisko.

– Załadujcie katapulty, najpierw pięć salw kamieni, a gdy będzie już pewne, jak strzelać, to wezwijcie Iskela.

– Tak jest! – Neker huknął pięścią w napierśnik i odjechał na tyły, gdzie ustawione zostały katapulty.

Po chwili pierwsze dwa kamienie poleciały w stronę zamku Colbein. Jeden huknął w ścianę, robiąc w murze niewielkie wgniecenie, drugi spadł przed zamkiem i tylko dotoczył się do murów po ziemi. Po chwili rozległ się okrzyk i kolejne dwa pociski wyleciały w stronę celu. Jeden z kamieni poleciał zdecydowanie wyżej i trafił w szczyt muru, strącając blanki i kilku Werdgwaldczyków, drugi trafił w wieżę, krusząc kawałek dachu.

– Panie! Wasza miłość! – Colbein podbiegł do siedzącego na koniu Kastila. – Może już czas na tę niespodziankę, zamku szkoda...

– Jak uciekałeś z niego, to ci szkoda nie było, Colbeinie? – Kastil patrzył na niego z góry i wykorzystał to położenie, żeby dodać sobie animuszu.

Hrabia uciekł w pośpiechu, a nad głową Kastila przemknęły kolejne dwa głązy. Pierwszy przeleciał nad murem i huknął w wewnętrzną basztę, drugi trafił prawie w to samo miejsce. Król zwrócił konia w stronę Iskela i popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Uczony załadował katapultę glinianym, szczelnie zamkniętym słojem, który dowiązał do kamienia. Głaz trafił w basztę, a uczony natychmiast nakazał załadować pozostałe dwa słoje, które również trafiły w cel. Staruszek niemal podskoczył z radości. Król spiął konia i podjechał do katapult.

– Wstrzymajcie się z ostrzałem – rozkazał. – Teraz poczekamy. Dobra robota!

– Kamienie się wam skończyły, psie syny? – dobiegło do nich wołanie z werdgwaldzkim akcentem.

– Nie reagujcie na ich zaczepki, czekamy – przestrzegł dowódców Kastil.

– Jak w stronę zamku polecą chociaż jedna strzała, to strzelec żołąd z tej wojny oddaje na przytułek, jasne?!

Dowódcy potwierdzili, że zrozumieli rozkaz, i czekali. Kastil i Iskel odeszli od nich, wracając do obozu znajdującego się tuż za liniami wojsk. Rozsiedli się przy ogniskach, czekając na świt. Generałowie i Colbein omawiali kolejne kroki, które trzeba zrobić, żeby zdobyć zamek, ale za bardzo go przy tym nie zniszczyć. Iskel pokazywał Thondarowi przyprawy, które występowały tylko w lesie w okolicach miasta.

Kastil natomiast wpatrywał się w szarozielone mury zamku nieobecny wzrokiem. Czekał z niecierpliwością na decyzję Werdgwaldczyków. Bardzo obawiał się konieczności przeprowadzenia szturm na zamek.

– Na koń, panowie! – Król zerwał się na nogi, przerywając rozmowy. – Słońce wstaje.

Zanim rycerze wstali, młody król głaskał już swojego wierzchowca podprowadzonego przez Thondara. Wskoczył na jego grzbiet i skierował zwierzę powolnym krokiem w stronę zamku Colbein. Przyspieszył, kiedy hrabia, jego syn i generałowie zrównali się z nim.

– Czegoście tu narzucali, psie syny?! – wydarł się wysoki rudobrody Werdgwaldczyk.

– Otwórzcie bramy i poddajcie zamek – odpowiedział Kastil, obniżając głos, jak tylko się dało.

– Żryjcie gnój! Nie otworzmy! – odpowiedział marynarz stojący obok rudobrodego.

– Jeśli nie otworzycie, to zaczniemy ostrzał. – Kastil odwrócił konia bokiem, szykując się do odjazdu. – Ale nie kamieniami będziemy strzelać!

– Stójcie! – krzyknął rudy żołnierz, drapiąc się w brodę jak opętany. – Naradzimy się!

– Co robimy? – szepnął do króla Colbein.

– Czekamy, aż panowie się naradzą – odparł równie cicho.

– A jak poddamy zamek, to swędzić przestanie? – Usłyszeli po krótkiej chwili.

– Przestanie – odrzekł król.

– To poddajem, wytrzymać się tego nie da.

Stalowa krata w bramie zamku zaczęła się powolutku podnosić.

– Udało się! – Colbein poczerwieniał z ekscytacji.

– To nie zasługa szczęścia, hrabio Colbein, tylko dokładnie przemyślanego planu i użycia odpowiedniego fortelu – odpowiedział Iskel, który dojechał do grupy z drugą ze skrzyń.

– I mam nadzieję, hrabio Colbein, że przy kolejnym ataku to ty będziesz za murami, kiedy przybędziemy z odsieczą.

– Oczywiście, wasza miłość, oczywiście, błagam o wybaczenie. – Colbein poczerwieniał.

Brama otworzyła się i wyszła z niej grupa kilkudziesięciu Werdgwaldczyków poubieranych w przeróżne stroje. Tylko kilku z nich miało na sobie zbroje, reszta nosiła odzież charakterystyczną dla drwali lub marynarzy. Umorusani, poobdrapywani, brudni szli w nierównych szeregach, drapiąc się niemiłosiernie.

– Panowie! – Iskel poprowadził konia w ich stronę. – Rzućcie broń obok drogi, a dostaniecie coś, co wyleczy swędzenie.

– Wartko, chłopcy! – krzyknął rudobrody. – Wściec się idzie od tego drapania.

W mgnieniu oka trawa rosnąca obok drogi do zamku pokryła się długimi nożami, oszczepami, trójzębami, sztyletami, mieczami i toporami. Na ziemię polecały też siatki, liny, łuki i strzały.

– Jeszcze ubrania zrzucić! – warknął głośno generał Neker. – Kalesony wam wystarczą!

– Rzućcie ubrania na jedną stertę, panowie, i zapraszam do mnie. – Iskel odwrócił się do Nekera. – Kiedy już wszystko będzie gotowe, to



podpalajcie.

Uczony podawał kolejnym mężczyznom płócienne woreczki, mieszczące się w dłoni, pełne sproszkowanych ziół, a obok płonęła sterta ubrań. W skrzyni zostało mu jeszcze kilka woreczków, ale każdy Werdgwaldczyk dostał już swoją porcję. Staruszek wziął jedną z paczuszek, rozwiązał, wysypał sobie na dłonie i zaczął wcierać w każdy fragment ciała porośnięty włosami. Jeńcy zrobili to sami i już po chwili było widać ulgę na ich twarzach. Kastil zostawił rozebranych jeńców pod okiem generałów swojego wojska i ruszył konno w stronę otwartej bramy.

– Hrabio Colbein. – Rozglądał się po dziedzińcu zamku, na którym leżało trochę gruzu. – Siedziba twojego rodu została odzyskana, zatem przekazuję ci ją we władanie jako król Erskinu i ostrzegam, że kolejne poddanie zamku kilkudziesięciu obdartusom zakończy się dla ciebie bardzo nieprzyjemnie.

– Dziękuję, wasza miłość, po stokroć dziękuję i kajam się przed twoim majestatem, zapraszam na ucztę...

– Dość! – przerwał mu karcąco król. – Czas na uczyty przyjdzie po wojnie, a w związku z tym, że działania wojenne na pograniczu dalej trwają, zostawiam w zamku twoich ludzi i jedną dodatkową chorągiew w liczbie pięciuset pieszych i trzystu łuczników.

– To ogromna łaska, wasza...

– Hrabio Colbein, nie wiem, jak do tej pory wyglądały wasze rozmowy z królem, ale zapamiętajcie sobie, że nie lubię lizusostwa, więc wasze przymilne słówka nie przysporzą wam moich względów. – Hrabia chciał przeprosić, ale Kastil powstrzymał go gestem. – Pozostała część armii natychmiast wyrusza w okolice Caerdinasu, żeby zakończyć ten konflikt.

– Powodzenia, wasza miłość. – Colbein uderzył pięścią w napierśnik. – Niech Beanth ma cię w swojej opiece i dopomoże w walce z wrogiem.

– To nie bogowie pokonują wrogów, tylko dobra strategia i odważni żołnierze, hrabio Colbein. – Król odwrócił konia. – Bywajcie!

## Rozdział IV

Skulony Hex siedział przy drewnianym stole, jedząc jeszcze parującą pieczoną rybę. Widać było po nim, że od dobrych kilku dni jadł jak należy, niczego mu nie brakowało, a w dodatku Juvi zmuszała go to treningów rozwijających ciało. Trochę podrósł i zmężniał, przez co nie wyglądał już na tak wychudzonego. Na głowie pozostało mu już tylko kilka kępek jasnych włosów. Obok talerza leżała otwarta gruba księga zapisana sporymi literami. Chłopiec czytał na głos w przerwach między kolejnymi kęsami ryby.

– Jak zabrudzisz tę księgę, to tak schowam ci topór, że go nie znajdziesz przez rok. – Juvi wkroczyła do sali.

– Wyczytam ci w myślach, gdzie go schowałeś – odpowiedział, uśmiechając się zaczepnie.

– Uczysz się stanowczo zbyt szybko, chłopcze. – Położyła na stole pióra i kałamarz.

– To źle? – Odstawił na bok pusty talerz.

– Los pokaże. – Podała mu puste kartki papieru. – Czas na naukę pisania.

– Po co mi pisanie? Lepiej uczyć się walki! – Zacisnął pięści.

– Już ci tłumaczyłam, że może ci się udać wygrać wojnę, używając wyłącznie siły, ale żeby utrzymać władzę na długo, niezbędna jest wiedza.

– Wcisnęła mu w dłoń pióro. – Czytanie w tolimurajskim idzie ci całkiem nieźle, ale litery stawiasz stanowczo zbyt koślawe, żeby ktoś taki rozkaz potraktował poważnie.

– Przecież mam ciebie, ty możesz pisać rozkazy w moim imieniu. – Uśmiechnął się szeroko.

– To prawda, że doradcy mogą pisać za ciebie, ale istnieje też twór zwany dyplomacją. – Stuknęła go palcem wskazującym w czoło. – Jest to zbiór zachowań obowiązujących między ważnymi ludźmi. Jednym z nich jest to, że listy do innych władców równych tobie musisz pisać osobiście. Inaczej mogą to potraktować jako obelgę.

– Ciekawe, opowiesz mi coś więcej o tej dyplomacji? – Hex odłożył pióro i patrzył na Juvi z zaciekawionym wyrazem twarzy.

– Na lekcję w tym temacie przyjdzie jeszcze czas, teraz skup się na pisaniu. – Spojrzała na niego karcąco, przerywając próbę dyskusji. – Im dłużej będziesz się ociągał, tym później przejdziemy do treningu walki.

– No dobra. – Podniósł pióro i zamoczył je w atramencie. – To muszę się spieszyć!

– Jeden rząd to jedna litera alfabetu, pamiętasz? – Usiadła na blacie, a jej bielutki strój kontrastował z czernią drewnianego starego stołu.

– Pamiętam, a mogę zerkać w książkę? – Zaczął powoli rysować kanciaste litery.

– Możesz, byle nie za często. – Podniosła z blatu maleńką, mieszczącą się w jednej dłoni książkę i zaczęła ją czytać.

Hex gryzmolił litery na kartce, co chwilę maczając pióro w glinianym kałamarzu. Zajęta czytaniem kapłanka z pozorów zupełnie nie przejmowała się tym, jak idzie jej podopiecznemu. Spoglądała jednak kątem oka na kartkę i nie mogła wyjść z podziwu. Postępy w jego rozwoju były zatrważające. Z dnia na dzień nie tylko nabierał krzepy, ale też czytał i pisał lepiej. Przeglądała wszystkie księgi dotyczące Źródła Życia i Drzewa Śmierci, aż wreszcie znalazła jedną, najmniejszą ze wszystkich i chyba jedną z najstarszych w tutejszym księgozborze, opisującą skutki kontaktu z tymi artefaktami.

W księdze tej zapisano, że woda ze Źródła Życia wspomaga rozwój każdego, kto miał odwagę się jej napić. Rozwijala jednak wszystkie ludzkie cechy, więc mogła również wpływać na te złe. Doczytała, że jeśli ktoś był przebiegły, to jego przebiegłość również rosła, co gorsza, rosła również brutalność, jeżeli była wcześniej w tym człowieku. Z kolei dotknięcie Drzewa Śmierci wiązało się z jeszcze większym ryzykiem. Zbyt długi kontakt z korą mógł doprowadzić do wyjątkowo bolesnej śmierci.

Nie była pewna, czy dobrze zrozumiała to, co w księdze zapisano, ale były tam zdania o tym, że odpowiednio długi kontakt z Drzewem Śmierci kończył się jedynie wypadnięciem wszystkich włosów i sinymi śladami na ciele. Dzięki temu jednak można było zyskać siłę zdolną kruszyć skały, ogromną wiedzę, ale też zdobyć coś, czego nie zdobył jeszcze nikt. Księga tajemniczo wspominała o tym, że przy odpowiednim ułożeniu wielu czynników można było zyskać niewyobrażalną moc. Haust dymu wydzielanego przez Wieczny Ogień, łyk wody ze Źródła Życia i kontakt

z korą Drzewa Śmierci pozwalała zyskać umiejętność czytania myśli innych ludzi, a czasami nawet przekazywania im swoich. Przeczytała, że dzięki możliwości wejścia w czyjeś myśli mógł wywołać u tej osoby straszliwe cierpienie. Nie było napisane wprost, co to mogło znaczyć, ale sama myśl o tym była dostatecznie przerażająca.

– Skończyłem. – Jej rozmyślenia przerwał wesoły głos. – Zobacz, jak wyszło.

– No, coraz lepiej, chłopcze, coraz lepiej. – Patrzyła na kartkę, zastanawiając się, kiedy Hex się zorientuje, że nie potrzebuje więcej nauki pisania. – Zerkales?

– Tylko trochę. – Odłożył pióro na stół. – To teraz ćwiczenia?

– Tak, teraz idziemy do większej sali poćwiczyć walkę wręcz. – Zeskoczyła zgrabnie ze stołu. – Lecimy!

Ruszyła biegiem, śmiejąc się, a pełen werwy Hex popędził za nią. Przez tych kilka dni spędzonych w świątyni bardzo polubił rywalizację z kapłanką i nie przepuszczał nawet takiej okazji, by się sprawdzić.

Sala przeznaczona na arenę była jedną z największych komnat w świątyni. Pod jedną ze ścian ustawiono w rzędzie różnej długości kije i pałki. Na środku pomieszczenia stała wąska ława, a po pokoju porozstawiano różnej wysokości stołki i skrzynie. Wszystko było niemiłosiernie koślawe i krzywe, wyglądało, jakby zaraz miało się rozpaść. W starych, choć zdobnych uchwytych na ścianach wisiały rozpalone pochodnie, oświetlając salę treningową i przy okazji nieco ją zadymiając. Widać było, że dawno temu na ścianach wymalowano fantastyczne i kolorowe wzory, jednak przez lata farba poszarzała i odpadła od spękanych i pokrytych sinymi liniami murów.

– Poprzestawiałaś to wszystko? – zapytał, podchodząc do ławy.

– Tak, każdy trening będziemy prowadzić w innych warunkach. – Wybierała odpowiednie kije.

– Po co? – Wskoczył sprawnie na jeden ze stołków, utrzymując równowagę na jednej nodze.

– Żebyś uczył się dostosowywać swoje działania do terenu, na którym walczysz. – Rzuciła mu długi i gruby kij.

Hex nie spodziewał się ataku z taką szybkością, ale udało mu się zbić dwa pierwsze uderzenia, zeskakując ze stołka. Juvie nie przerywała swojego natarcia, uderzając z obydwu boków. Chłopiec wycofywał się zaciekle, parując ciosy, aż oparł się plecami o ścianę. Zamiast tylko zablokować

kolejny atak kapłanki, uderzył w jej kij z dużą siłą. Juvi zachwiała się na ułamek sekundy wybita z równowagi, ale tyle wystarczyło, by Hex mógł przejść do kontrataku. Zamachnął się od góry, próbując uderzyć w okolice głowy, ale kapłanka zablokowała ten cios swoją bronią i kopnęła go w brzuch. Chłopiec poleciał do tyłu, odbijając się od ściany.

– Ej! Miała być walka na kije! – poskarżył się.

– Musisz być gotowy na każde rozwiązanie, chłopcze – odparła i skoczyła na jeden ze stołków. Podniosła swoją broń wysoko nad głowę i z krzykiem rzuciła się w dół, Hex jednak zdążył odskoczyć. Przeturlał się przez bark i jednym susem znalazł się za jej plecami. Szturchnął kapłankę kijem w nerki, dociskając ją do ściany.

– Nie żyjesz! – Zatriumfował.

– Dobrze, wykorzystałeś mój atak i świetnie skontrolowałeś. – Odwróciła się z uśmiechem.

– Chcesz się zrewanżować? – Podparł się kijem i uśmiechał wyzywająco.

Nim zdążył mrugnąć, wybiła mu kij z ręki i mocno kopnęła w żołądek. Kiedy upadł, usiadła mu na klatce piersiowej, dociskając swoją broń do jego gardła, pot perlił się na jej jaśniutkiej skórze.

– Nigdy nie świętuj zwycięstwa, dopóki twój przeciwnik nie wyda ostatniego tchu – powiedziała spokojnie.

– Ale... – Próbował złapać oddech. – Ale po tym ciosie już byś nie żyła, to niesprawiedliwe.

– Być może ja bym nie żyła, ale nie masz pewności, czy ktoś z mojej rodziny albo oddziału nie chciałby się zemścić za moją śmierć. – Wstała, podając mu dłoń. – Ta zasada nie dotyczy tylko jednostek. Jeśli podbijesz jakiś kraj, to nie możesz zacząć świętować zwycięstwa, póki całkowicie nie złamiesz w ludziach oporu. Zawsze znajdzie się ktoś, komu będzie przeszkadzała nowa władza. Rozumiesz?

– Tak. – Kiwnął głową z przekonaniem. – Najpierw doprowadzić sprawę do końca, a potem się cieszyć.

– Dokładnie, chłopcze. – Uśmiechnęła się. – Bierzemy się do pracy.

Zaatakowała, zanim Hex zdążył podnieść kij. Uchylił się przed kilkoma ciosami z góry, doskoczył do ściany, przy której ustawiono broń, i chwycił jeden z krótszych kijów. Zbijał ataki Juvi prawą ręką, a lewą złapał za stołek. Instynktownie zaczął używać tego krzywego mebla jak tarczy. Zszokowana kapłanka straciła na chwilę animusz i wpadła na ławę. Potknęła się, ale wykorzystała impet i wskoczyła na nią, z trudem łapiąc

równowagę. Kilkoma drobnymi krokami odeszła na krawędź ławki, zostawiając pole przeciwnikowi. Hex nie wskoczył jednak za nią, ale wykorzystał swoją prowizoryczną tarczę i huknął z całej siły w ławę. Ta zachwiała się wystarczająco, by Juvi musiała z niej zeskoczyć. Chłopiec ruszył na nią, ale nadział się na podstępny kontratak. W ostatniej chwili błyskawicznie przesunęła się pół kroku w bok, podstawiając Hexowi nogę. Ten wywrócił się na twarz i porządnie uderzył żebrami o stołek, który trzymał w ręku. Zwijał się z bólu na podłodze, kiedy zdzieliła go w plecy.

– Druga i ostatnia na dziś lekcja. – Uśmiechnęła się, odstawiając sprzęty na miejsce. – Czasami lepiej wejść w pułapkę przygotowaną przez przeciwnika, niż na siłę szukać własnej. Jeśli wszedłbyś w oczywistą pułapkę, którą przygotowałam, to mógłbyś bardzo łatwo wygrać. Wystarczyło, że podszedłbyś na tyle blisko, żebym musiała przygotować się do ataku lub obrony, a potem zeskoczył i przewrócił ławę. Wtedy nie zdołałabym się przygotować na twoją szarżę i byłoby po mnie. No i byś teraz nie płakał z bólu.

– Nie płaczę. – Otarł oczy wierzchem dłoni.

– W porządku. – Podeszła do niego. – Okazywanie emocji nie jest niczym złym, ale musisz uważać, kiedy i przy kim to robisz. Czasami bardziej wstrząśniesz kimś, mówiąc do niego lodowatym tonem niż gorączkowo pokrzykując.

– To kolejna lekcja, a tamta miała być ostatnia. – Podniósł się, a na skórze pod kamizelką, która już coraz lepiej na niego pasowała, było widać ślady nóg stołka.

– Masz rację, ale to kolejna rzecz, którą musisz sobie wpoić. – Złapała go za ramię i poprowadziła ku drzwiom. – Do nauki należy wykorzystywać każdą sytuację, nawet jeśli nie jest to planowane. Rozumiesz, chłopcze?

– Rozumiem, ale... – Zawiesił na chwilę głos, szukając odwagi. – Nazywasz mnie ciągle chłopcem, a przecież nie możesz być dużo starsza!

– A ile ty masz lat?

– Dokładnie nie wiem, bo w wiosce nikt się tym nie przejmował, ale następnej wiosny miałem zostać uznany za dorosłego. – Wzruszył ramionami, krzywiąc się z bólu.

– Czyli masz około szesnastu lat, chłopcze. – Uśmiechnęła się serdecznie, pokazując swoje pełne, białe zęby. – Bycie kapłanką Sag Bas wiąże się z tym, że trochę inaczej się starzejemy. Może nie wyglądam staro, ale zapewniam cię, że mam zupełne prawo, by nazywać cię chłopcem.

– Niech będzie... – Spuścił głowę i poszedł za kapłanką.

Kolejne dwa dni w świątyni wyglądały bardzo podobnie. Zaraz po śniadaniu Hex uczył się czytać i pisać. Szło mu to coraz lepiej, więc Juvi planowała już wprowadzanie podstaw języków obcych. Po rozwoju umysłu przychodził czas na rozwój ciała. Kapłanka wymyślała mu coraz bardziej dziwaczne ćwiczenia, utrudniała walkę, jak tylko mogła. Wygrywała z nim i dawała kolejne lekcje, ale chłopiec uczył się niezwykle szybko. W równie dobrym tempie nabierał siły. Ruch, odżywianie, a także moc artefaktów Sag Bas budowały jego sylwetkę i pomagały rosnać. Juvi kazała mu również biegać po korytarzach z ciężkimi, wypełnionymi kamieniami workami narzuconymi na barki.

Jego rozwój napawał ją dumą i jednocześnie przerażał. Ten chłopiec był zbyt młody, żeby poszły za nim tłumy i żeby udźwignąć odpowiedzialność. Przede wszystkim jednak przerażało ją to, że mógł mieszać w myślach. Często słyszała jego myśli, zwłaszcza nocą, i wiedziała, że musi z nim o tym porozmawiać i pomóc mu kontrolować także ten aspekt jego nowej osobowości. Odwlekała ten moment, wiedząc, że jeśli Hex opanuje tę sztukę, może stać się niezwyciężony i groźny również dla niej. Z drugiej strony wiedziała, że jeśli jej nie opanuje, stanie się niebezpieczny nie tylko dla innych, ale przede wszystkim dla siebie. Bała się również tego, czy ona podoła wyzwaniu nauczania go tak niewyobrażalnej umiejętności.

Przez lata czytania ksiąg zdobyła wystarczającą wiedzę, by go uczyć czytania, pisania, języków, historii czy strategii. Była też na tyle dobrym wojownikiem, że szkolenie go w walce nie stanowiło problemu, ale o takich umiejętnościach słyszała tylko w legendach powtarzanych przez stare kapłanki w trakcie swojej nauki. W małej księdze zapisano to, co Hex może osiągnąć, i to, jak do tego doprowadzić. Wieczorem, kiedy szykowali się do snu, postanowiła wreszcie zebrać się na odwagę.

– Zauważyłeś może jakieś zmiany w swoim umyśle? – zapytała niespodziewanie.

– Co? Ach, zauważyłem, uczę się i coraz lepiej mi wszystko wychodzi – odparł.

– Tak, to też, ale... – Zawahała się. – Zauważyłeś, że czasami wiesz, co zrobię, zanim o tym powiem?

– Czasami... – Zamyślił się. – A dlaczego pytasz?

– Przeczytaj pierwsze dwie strony. – Podała mu niewielką księgę z czarną okładką.

– Dzisiaj już była lekcja czytania! – Obruszył się.

– To nie lekcja, po prostu chcę, żebyś to przeczytał i się zastanowił. – Wcisnęła mu książkę niemal siłą.

– No dobrze... – Zabrał się za czytanie.

Otworzyła mu księgę na stronach mówiących o tym, co można zyskać, a co stracić przez kontakt z artefaktami Sag Bas. Przerywał kilkakrotnie, chcąc zadawać pytania, ale Juvii stanowczo kazała mu czytać dalej. Obiecała, że odpowie na wszystko na końcu. Dotarł wreszcie do ostatnich słów i blady odłożył książkę na bok.

– Teraz możesz pytać. – Odebrała od niego tom.

– Co to znaczy? – niemal wyszeptał.

– Wygląda na to, że wszystko, czego wymaga księga, zostało spełnione i posiadasz moc ingerencji w myśli – odpowiedziała mu najspokojniejszym tonem, na jaki było ją w tej chwili stać.

– I co to znaczy? – Błądził wzrokiem po stoliku.

– To znaczy, że musimy dołożyć jeszcze jeden element twojego szkolenia, i to znaczy, że jesteś Płomieniem, o którym mówią księgi. – Czują, jak kropla potu spływa jej po kręgosłupie.

– Jakie to będzie szkolenie? – Patrzył na nią niepewnym wzrokiem.

– W tej księdze jest zapisane, jak krok po korku doprowadzić do tego, żebyś opanował tę umiejętność.

– Ale... – Pochylił głowę. – Nie wiem, czy chcę to umieć.

– Problem w tym, że ty już to umiesz, chłopcze. – Oparła mu dłoń na ramieniu. – Teraz musimy nauczyć cię to kontrolować.

– Nie chcę tego kontrolować, to jest wbrew... wszystkiemu! – Poderwał się.

– Skoro Sag Bas uznała, że jest to możliwe, to znaczy, że nie jest wbrew niczemu – mówiła spokojnie. – A musisz nauczyć się to kontrolować, bo w przeciwnym razie bardzo zaszkożysz sobie i wszystkim w swoim otoczeniu.

– W jaki sposób? – Chwycił dłońmi poły skórzanej kamizelki blisko kołnierza.

– Słyszenie myśli innych przez cały czas, gdy tylko ktoś jest w zasięgu wzroku, spowoduje, że oszalejesz, postradasz zmysły. – Wbiła w niego wzrok. – A to, że każdy wokół ciebie będzie słyszał twoje myśli, sprawi, że wszyscy postradają zmysły, rozumiesz, chłopcze? Od jutrzejszego poranka



zaczniemy treningi, bo nie mam zamiaru oszaleć – stwierdziła tonem nie znoszącym sprzeciwu.

– Dobrze... – Westchnął zrezygnowany.

Juvi nie mogła tej nocy zmrużyć oka. Przy małej świecy przeglądała strony książki, analizując jej treść. Chciała być gotowa na wszystko, co może się wydarzyć w trakcie nauki kontroli myśli. W analizie przeszkadzały jej pojedyncze myśli Hexa, które wkradały się do jej świadomości. W tej małej księdze, której strony kruszyły się już na brzegach, zawarto niewiarygodnie wręcz precyzyjną instrukcję, choć nigdy, zgodnie z księgą, nie było nikogo, kto posiadałby tę wiedzę. Była to doskonała skarbnica teorii, ale Juvi obawiała się, że w praktyce wszystko może pójść zupełnie w inną stronę. Odłożyła wreszcie księgę i wyszła z ich komnaty sypialnej.

Udała się do jednej z nieco dalej położonych cel, w której przygotowywała posiłki. Miała tam beczki z żywnością schowane pod podłogą, pieczywo leżące na długich stołach i skrzynie wypełnione warzywami. Sięgnęła po kilka drewniek i wrzuciła je na palenisko pod rusztem. Wykrzesła iskry, pocierając swoim sztyletem o krzemień, a już po chwili drewno zajęło się ogniem. Zeszła kilka stopni pod podłogę i wyciągnęła z jednej z beczek kawałek mięsa. Pokroiła je w kostkę, dodała do tego trochę warzyw, posypała przyprawami i smażyła jakiś czas. Przyjemny zapach rozniósł się po pomieszczeniu. Nad ogniem powiesiła czajnik z wodą i liśćmi teniru, a na blacie postawiła tacę z dwoma kubkami i talerzami. Kiedy napar był gotowy, wlała go do naczyń. Na talerze wyłożyła jedzenie i zabrała tacę do komnaty sypialnej.

– Widzę, że już wstałeś. – Postawiła tacę na stoliku. – Siadaj do jedzenia, póki gorące. Dzisiaj przyda nam się porządne śniadanie.

– Słyszałem o czym... myślałaś – powiedział, wstając z łóżka.

– Ja twoje myśli też słyszałam, więc chyba sam rozumiesz, że musimy zacząć cię szkolić jak najszybciej. – Unikała kontaktu wzrokowego.

– Tak, tak chyba będzie najlepiej. – Usiadł przy stole.

Zjedli w milczeniu, a niepewność była niemal wyczuwalna w powietrzu. Hex uczył się szybko i szybko dostosował się do nowej sytuacji. Polubił swoją opiekunkę i zaczynał jej nawet wierzyć. Widział, jak zmienia się jego ciało, jak nabiera masy, siły, jak staje się mądrzejszy, ale widział też złe skutki. Na ciele pojawiały się sine linie, które zdobiły skórę niczym tatuaże. Przede wszystkim jednak stracił już wszystkie włosy. Mimo wszystko bał

się swojej mocy i wolałby nie uczyć się kontrolowania myśli. Bał się też konsekwencji, jakie mogą nadejść, jeśli nie będzie umiał nad tym panować.

– Zaczynamy. – Odstawiła swoje krzesło na środek i wzięła księgę. – Usiądź tutaj wygodnie.

– To jest bezpieczne? – Zawahał się, siadając.

– Bardziej bezpieczne niż zostawienie tej umiejętności bez kontroli, przynajmniej tak piszą w tej księdze. – Otworzyła ją na stosownej stronie. – Teraz będę czytała, co masz robić krok po kroku. Z tego, co jest tutaj napisane, to nie będziesz musiał mówić, żebym wiedziała, kiedy przejść do następnego punktu.

– A jak się nie uda? – Popatrzył przestraszony.

– To będziemy powtarzać do skutku. – Odetchnęła. – Zaczynamy. Siedzisz wygodnie, teraz zamknij oczy i wyobraź sobie siebie w pustym pomieszczeniu. Nie myśl o niczym innym poza tobą w pustej sali. Rozejrzyj się po niej, upewnij, że na pewno nic w niej nie ma. To pomieszczenie symbolizuje twój umysł i jest punktem wyjścia do opanowania mocy. Teraz wyobraź sobie mnie obok ciebie. – Po chwili zakreśliła jej się w głowie.

– Teraz możesz słyszeć, o czym myślę. – Nie musiała już nic mówić.

– I to już koniec? – Pomyślał.

– Nie, to dopiero pierwszy etap, czyli nauka kontroli. Jeśli perfekcyjnie opanujesz wchodzenie do tego pokoju i wyobrażanie sobie osoby, z którą się połączysz, będziemy mogli przejść do wpływania na myśli, odczytywania wspomnień, a nawet... – Spróbowała powstrzymać myśl w ostatniej chwili.

– Torturowania? – dokończył za nią.

– Tak, według księgi jest to możliwe...

– A czy muszę widzieć osobę, żeby móc się z nią skontaktować?

– Na początku tak, ale po opanowaniu całej mocy można to robić zawsze i wszędzie. – Czuła, że drży.

– Będę mógł porozmawiać z ojcem... – Pomyślał, ale szybko się zreflektował. – Nie powinnaś tego słyszeć...

– To kolejna rzecz, której musisz się szybko nauczyć. Blokowanie swoich myśli i zrywanie kontaktu. Według księgi są dwie metody, żeby zakończyć rozmowę. Możesz wyrzucić z pomieszczenia osobę, z którą rozmawiasz, albo samemu wyjść. Spróbuj wyrzucić mnie. – Poczowała kolejny delikatny zawrót głowy. – Bardzo dobrze – powiedziała na głos. – Teraz twoja kolej.

Po chwili Hex ocknął się, otworzył oczy i pokręcił głową. Z nosa ciekła mu niewielka stróżka krwi. Przetarł dłońmi twarz, rozmazując krew.

– Dobrze się spisałeś... – Podała mu kawałek szmatki.

– To było straszne... – Przyłożył ją do nosa. – Słyszałem wszystko, o czym myślisz, i ty słyszałaś...

– Jakie to uczucie, opowiedz mi, proszę... – Kucnęła przy nim. – Trzeba to zapisać!

– Nie znam słów, którymi mógłbym ci o tym opowiedzieć. – Kropla krwi kapnęła na podłogę. – Czułem, jakbyśmy byli jedną osobą, i czułem, że mogę osiągnąć dużo więcej niż rozmowa bez słów. To znaczy... Gdybym wiedział, jak to zrobić, to mógłbym przejrzeć twoje wspomnienia, mógłbym kazać ci zrobić wszystko, mógłbym... nawet zabić. Miałem kontrolę nad wszystkim, co się z tobą działo... i ze mną też. To było przerażające i ekscytujące. Czułem, co mogę zrobić, i jakby wyczuwałem, jak to zrobić, w taki sposób...

– Instynktowny? – podpowiedziała mu.

– Tak, to dobre słowo. – Zgodził się. – Instynktownie coś mi podpowiadało, co mam robić, żeby zdobyć pełną kontrolę, ale... Nie mogłem tego zrobić, jakby czegoś jeszcze brakowało.

– Może musisz lepiej opanować technikę? Albo po prostu poczekać do lekcji, w której opowiem ci, jak to osiągnąć. – Rozłożyła ręce.

– Tak, tak może być. – Otarł krew z twarzy. – Kiedy następna lekcja?

– Czekaaj, zerknę do instrukcji. – Otworzyła książkę. – Tutaj jest mowa o tym, że następna lekcja może się odbyć dopiero wtedy, kiedy nauczysz się odruchowego łączenia z kimś myślowo.

– Kiedy to będzie? – Spojrzał na nią zaczerwienionymi oczami.

– Nie mam pojęcia. – Rozłożyła bezradnie ręce, a niemal przezroczysty biały materiał stroju kapłanki Sag Bas przyłgnał do jej niewielkich piersi. – Będziemy ćwiczyć te podstawy, aż dojdiesz do odpowiedniego poziomu.

– A co z resztą? – Popatrzył na zakrwawioną chusteczkę.

– Reszta pozostanie bez zmian. Nadal będziesz się uczył czytania, pisania, innych języków i...

– I walki! – Uśmiechnął się wesoło, choć w jego obliczu pojawiło się coś przerażającego.

– Tak, i walki. – Odpowiedziała uśmiechem. – Odpocznij teraz chwilę. Ja posprzątam i trochę się poruszamy.

Kolejne tygodnie mijały niesamowicie szybko. Hex chłonał wiedzę jak gąbka, a jego siła fizyczna i umiejętności walki rosły z dnia na dzień. Juvimusiwała podczas każdego treningu wznosić się na wyżyny swojego wyszkolenia, żeby nie przegrać za szybko. Ubrania, które jeszcze niedawno wisały na nim jak na wieszaku, teraz pasowały idealnie. Potrafił złamać gołymi rękami kij służący do walki. Czytanie i pisanie nie sprawiało mu najmniejszego problemu. Najważniejsze jednak było to, że potrafił już w mgnieniu oka łączyć się myślami z Juvim. Wystarczył ułamek sekundy, jedna myśl i już był w jej głowie. Wiedziała, że przyszedł czas na kolejny etap szkolenia. Według księgi teraz powinien nauczyć się blokować swoje myśli, tak żeby rozmówca usłyszał tylko to, co Hex chciał mu przekazać.

– Myślę, że jesteś już gotowy, żeby przejść do następnego poziomu – powiedziała, ocierając pot z czoła po kolejnym treningu walki.

– Co teraz mam zrobić? – Usłyszała jego myśl w swojej głowie.

– Musisz znowu wyobrazić sobie siebie w pustym pomieszczeniu, ale tym razem musisz sobie wyobrazić też, że każda myśl, którą chcesz mi przekazać, jest zapisana na papierze. Tylko to, co zapiszesz na papierze, usłyszę. – Przypominała sobie to, czego się nauczyła z księgi.

– Gotowe. – Dotarło do niej po chwili. – Jest w księdze napisane, jak osiągnąć ten poziom bez wyobrażania sobie kartek papieru?

– Wygląda to tak samo jak przy poprzednim poziomie, musisz ćwiczyć, aż będzie się to działo odruchowo – odparła.

– Już...

– Co?

– Już umiem. Teraz przekazuję ci tylko to, co chcę. Żadna inna myśl nie wydostaje się z mojej głowy...

– Jak to możliwe? – Pomyślała i w pamięci przeglądała księgę. – W takiej sytuacji chyba przejdziemy do następnego poziomu.

– A jaki jest następny poziom?

– Wspomnienia... – Pomyślała z przerażeniem.

– Co mam robić? – W jego myśli wyczuła pewność.

– Musisz sobie wyobrazić, że wkładasz mi palce w uszy i przez nie wyciągasz wszystko z... – Zdanie przerwał jej własny krzyk słyszalny i w myślach, i w pomieszczeniu.

Czuła, jak w jej umysł wbija się gwałtem coś, czego nie powinno w nim być. Chciała tę siłę powstrzymać, ale była bezbronna. Miała poczucie, że

wszystkie jej wspomnienia wypływają razem z falami bólu. Nagle obca siła zniknęła, ból ustał, a ona ocknęła się, klęcząc na podłodze.

– Nie przeglądałem twoich wspomnień – powiedział Hex przepraszającym tonem. – Zrobiłem tylko tyle, żeby mieć do nich dostęp, ale ich nie przeglądałem. Przepraszam...

– Nie... nie szkodzi – mówiła cicho, a łzy spływały jej po odrobinę piegowatych policzkach. – Dziękuję, że ich nie oglądałeś. Nauczyłeś się, jak wchodzić do wspomnień, bo wolałabym tego nie powtarzać?

– Tak, każdy kolejny poziom w tej książce wydaje się łatwiejszy. – Pomógł jej usiąść na stołku.

– Przebywasz tutaj dopiero kilka miesięcy, a wydaje mi się, że jesteś w stanie osiągnąć wszystko... – powiedziała półszepem.

– Co to znaczy? – zapytał zdziwiony Hex.

– To znaczy, że już wkrótce Płomień zapłonie w sercach całego świata. – Z trudem łapała powietrze.

– Chyba musisz odpocząć. – Wyciągnął do niej dłoń poznaczoną sinymi wybroczynami. – Chodź, połóżysz się na chwilę.

– Nie rozumiesz. – Podniosła się. – Trzeba poczynić przygotowania. Muszę... – Zawahała się. – Sprawdźmy, co jeszcze musisz umieć, żeby osiągnąć pełnię tej wiedzy. – Wzięła w dłonie niewielką książkę, z którą się ostatnio nie rozstawiała, i zaczęła czytać. – Dobrze, chłopcze. – Zamknęła księgę. – Musisz nauczyć się jeszcze czterech rzeczy. Po pierwsze musisz umieć nawiązywać kontakt na znaczne odległości. Po drugie musisz umieć ukrywać się w czyimś umyśle, by nie tylko słyszeć jego myśli, ale też widzieć, słyszeć i czuć to, co ta osoba. Po trzecie musisz nauczyć się torturować, a po czwarte zabijać przy pomocy myśli.

– Te dwa ostatnie są konieczne? – zapytał smutno. – Czułem twój ból, kiedy dostałem się do wspomnień, tortury pewnie są dużo gorsze... Nie chciałbym się tego uczyć na tobie.

– Nie będziesz się tego uczył na mnie, możesz być spokojny. – Uśmiechnęła się. – Szczegółów dowiesz się wkrótce, teraz weź sobie coś do jedzenia z kuchni, a ja muszę iść na dół.

Nim wróciła do komnaty, Hex zdążył zjeść już kawałek suszonej wołowiny i przegryźć surowymi warzywami. Chłopak zerwał się na równe nogi, widząc ją w szarym, zapinanym na guzy w kształcie góry z dwoma wierzchołkami płaszczu z obszernym kapturem.

– Wychodzimy? – zapytał, żując minuv.

– Ja wychodzę, a ty będziesz się dalej szkolił. – Odsunęła poły płaszcza, pod którymi były ukryte dwa sztylety w ozdobnych biało-złotyach pochwach.

– Jak mam się szkolić bez ciebie? – Rozłożył masywne ramiona.

– Nie beze mnie, chłopcze. – Podeszła do niego. – Przecież w każdej chwili możesz wejść do mojego umysłu. Zresztą na tym ma polegać szkolenie. Zgodnie z zapisami w księdze, żebyś mógł opanować wnikanie w myśli na odległość, musisz zacząć od osoby, w której myśli już wchodziłeś.

– A co, jeśli się nie uda? – dopytywał smutno.

– Sam mówiłeś, że każdy kolejny poziom jest łatwiejszy do opanowania.

– Poklepała go po ramieniu. – Poza tym musisz się jeszcze nauczyć widzieć przez oczy innych, a tutaj znasz każdy kąt, więc nie masz już co oglądać.

– A te tortury i...

– Tego też nauczysz się w trakcie mojej podróży. – Powstrzymała gestem kolejne pytanie. – Według księgi wystarczy, że zobaczysz kogoś oczami innej osoby, żeby przeskoczyć do jego umysłu. Wiem, że to wszystko brzmi bardzo zawile, ale powinieneś sobie z tym poradzić.

– Może i tak, ale co ja będę tutaj robił całkiem sam? – Spuścił wzrok.

– Będziesz trenował – odparła krótko. – Przygotowałam ci ostrą broń w sali ćwiczeń. Masz tam dużo pni drzew, na których możesz trenować uderzenia. Będziesz czytał, pisał i wyniki tego wszystkiego pokażesz mi w myślach, a poza tym mam pewną niespodziankę. Wyczytałam, że można trenować walkę w myślach, i tego też spróbujemy.

– Ale to przecież nie to samo! – zaprotestował.

– Masz rację, to o wiele trudniejsze. Twoje mięśnie będą pracowały przy fizycznym treningu, który będziesz codziennie powtarzał. Będziesz się uczył uderzać mieczem, sztyletem, włócznią, toporem, ale żebyś wiedział, jak to robić, musisz zawsze używać mózgu, a kiedy używasz go w największym stopniu, chłopcze? Kiedy jesteś w innym umyśle. – Postukała się w głowę. – Walkę można wygrać, mając wyłącznie przewagę fizyczną, ale jeśli twój umysł będzie działał tak, by wyprzedzić zamysły przeciwnika, to zwyciężysz bez żadnych wątpliwości, rozumiesz?

– Tak, rozumiem. – Pokiwał zupełnie już łysą głową.

– Zapasów wystarczy ci, dopóki nie wrócę. – Uśmiechnęła się i chciała odejść.

– A jak długo cię nie będzie? – Chwycił ją za ramię.

- Dokładnie nie wiem. W trakcie tej podróży mam też inne zadanie. – Odsunęła jego dłoń i ruszyła w stronę wyjścia.
- Jakie zadanie? – zawołał.
- Znaleźć drwa, które pozwolą jeszcze bardziej rozpalić Płomień. – Zniknęła w korytarzu.

## Rozdział V

Armia Erskinu oblegała leśną twierdzę Caerdinas od kilku miesięcy. Początkowe szturmy na mury zamku czy ostrzał z katapult na niewiele się zdały. Postanowiono zatem wygrać bitwę cierpliwością. Król Kastil rozkazał odciąć twierdzę od strony Werdgwaldu, żeby pozbawić Frydera możliwości uzupełnienia zapasów. Erskińczycy rozbili obóz wokół zamku i czekali. Co prawda, mieli dostęp do zapasów płynących nieprzerwanym strumieniem z centrum kraju, ale dni robiły się coraz chłodniejsze, a wkrótce miała nadejść zima, co wymuszało podjęcie radykalnych decyzji.

Miały one zapaść na naradzie zwołanej w namiocie Kastila. Poza nim i uczonym Iskelem zagościć na niej mieli również generałowie chorągwi. W namiocie, składającym się z dwóch sporych izb, rozstawiono stół, na którym rozłożono mapy. Wokół stołu, poza królewskim tronem, nie było krzeseł. Szare, grube ściany namiotu nie przepuszczały coraz chłodniejszego wiatru, a oświetlające jego wnętrze lampy poza światłem dawały trochę ciepła.

Kiedy szlachetnie urodzeni rycerze zaczęli gromadzić się wokół, król Kastil siedział zasępiony. Miesiące spędzone na wojnie zmieniły jego chłopięce rysy na o wiele dojrzałe.

– Panowie – odezwał się nagle król – zbliża się zima i trzeba uradzić, co począć z oblężeniem, twierdzą i wojną. Stanie z wojskiem w śniegu i na mrozie nie przeniesie nam nic dobrego.

– Może do zimy braknie im zapasów? – zapytał jeden z generałów, wysoki, ciemnowłosa mężczyzna z dzikiem w herbie.

– Może braknie – odparł Kastil. – A może nie braknie. Z zamku nie uciekł nikt, kto mógłby powiedzieć nam, ile było zapasów. Zaatakowali wiosną, więc możemy przypuszczać, że nie było ich zbyt dużo, ale z drugiej strony przed zajęciem twierdzy złupili miasto.

– Ja bym poczekał! – krzyknął niewysoki grubawy rycerz, wychylając się między barkami wyższych od siebie.



– Ale ty, hrabio Duthbein, masz zamek pod bokiem i jeśli w trakcie zimy trzeba będzie wracać do domu, to będziesz miał najwygodniej – odpowiedział mu król. – A ja nie będę ryzykował życia moich poddanych.

– Tak jest, wasza miłość! Ja tylko... – przerwał, widząc wzrok władcy.

– Biorę pod rozwagę wasze pomysły, panowie, ale zanim coś zaproponujecie, zapamiętajcie, że dobro mojego ludu jest dla mnie najważniejsze. – Popatrzył na nich przenikliwie.

– A nie mamy żadnej sztuczki, żeby ten zamek odbić tak jak Colbein? – zapytał ktoś z tyłu.

– Gdybyśmy mieli, to już byśmy ją zastosowali. – Kastil podniósł się z tronu. – W trakcie ataku na obóz udało się zabrać tylko to, co wykorzystaliśmy w poprzednim oblężeniu.

– Możemy zabić jeńców i przerzucić ich ciała przez mury – mruknął ktoś z północnym akcentem.

– Możemy, ale to jest ostateczne rozwiązanie, z którym się nie zgadzam.

– Kastil postukał palcem w mapę, na której zaznaczono twierdzę Caerdinas.

– Zanim nasi żołnierze z północy dotrą stąd do swoich domów, minie kilka miesięcy. Nie możemy czekać do pierwszych śniegów z wymarszem.

– Nie możemy oddać zamku! – Rozległy się głosy.

– Nie oddamy. – Król uderzył dłonią w stół. – Nie oddamy zamku bez walki. Mamy katapulty, mamy wieże i drabiny. Spróbujemy ostatniego ataku, jeśli poprzecie ten pomysł.

Okrzyki poparcia i uderzenia w napierśniki wypełniły wnętrze namiotu. Kastil wsparł się na rękach i popatrzył na mapy.

– Twierdza Caerdinas ma pięciokątny mur z blankami i wieżą na każdym rogu – mówił spokojnie. – Bramę stanowi stalowa krata, za którą znajdują się drewniane wrota z okuciami, ryglowane stalowymi sztabami. Jednostki odcinające twierdzę od Werdgwaldu pozostają na miejscu. Nie możemy pozwolić sobie na nagły atak na nasze tyły. Reszta zaatakuję tutaj i tutaj. – Stukał palcem w mapę. – Te dwie ściany sąsiadują z gęstym lasem. Werdgwaldczycy nie spodziewają się naszego ataku z tamtej strony. Liczą na szturm z odkrytego terenu, jak nakazuje szkoła walki z użyciem wież oblężniczych. Po cichu przeniesiemy drabiny jak najbliżej muru. Żeby dać reszcie szansę uderzenia z zaskoczenia, dwie chorągwie uderzą na front, narobią szumu i jeśli się uda, spróbują wejść na mur. Ktoś chętny? – Rozejrzał się wokół i zobaczył cztery podniesione dłonie. – Hrabia Duthbein i hrabia Dersk. – Wskazał dwóch. – Poprowadzicie ten zaczepny

atak na front. Zanim dociągniecie wieże do murów, ostrzelamy twierdzę z katapult. Kiedy usłyszycie sygnał rogu, będzie to oznaczało, że zaczynamy atak na tył. Łucznicy będą ostrzeliwać blanki bez wytchnienia, dopóki wystarczy strzał. – Spojrzał na swoich rycerzy. – Przekażcie plan bitwy oddziałom. Dziękuję i powodzenia.

Rycerze zasalutowali i zaczęli wychodzić z namiotu. Przy stole pozostał tylko Kastil i stary uczyony Iskel. Starzec usiadł na tronie i drapał się po siwej głowie, wodząc wzrokiem po płóciennym suficie.

– To bardzo ryzykowny plan, mój królu – powiedział. – Jeśli nie zdobędziemy zamku tym szturmem, to trzeba będzie usiąść do rozmów.

– Wiem o tym. – Król oparł się o stół. – Łudzę się, że nie będzie to konieczne, ale ta twierdza jest trudna do zdobycia nawet podstępem, nie mówiąc już o frontalnym ataku. Próbowaliśmy kilka razy i wszystko, co osiągnęliśmy, to śmierć moich poddanych.

– Wojna zawsze wiąże się ze śmiercią, mój królu – stwierdził z powagą.

– Wiem, ale nie mogę się z tym pogodzić. Może powinniśmy oddać ten stary zamek i wrócić do domów?

– Może będzie taka konieczność, ale pokazałbyś słabość, gdybyś był gotów to zrobić bez tego ataku. – Iskel wstał. – Jeśli siądziesz do rozmów po przegranej bitwie, wcale nie będziesz na gorszej pozycji. Może utracimy ten kawałek ziemi i to stare zamczysko, w którym nikt nie chciał mieszkać, ale zyskasz w oczach swoich ludzi. Pokażesz im, że jako król nie poddajesz się łatwo i jesteś odważny. Oni zrozumieją to, że czasami można przegrać bitwę i czasami trzeba oddać jakiś teren, ale będą też przekonani, że w razie innego zagrożenia nie zawahasz się ruszyć w bój. Rozumiesz, mój królu?

– Rozumiem, ale koszty... – Westchnął.

– Koszty trzeba ponosić, na tym polega rządzenie. Nie jest to najmilszy jego element, ale musisz się tego nauczyć. Równowaga kosztów i zysków. – Iskel podniósł się i trącił go w bark. – Czasami to jest najlepsze, co można uzyskać.

– Król Fryder jest stary i doświadczony, pomożesz mi w pertraktacjach, jeśli nie uda się zdobyć zamku? – zapytał.

– Oczywiście, mój królu. – Uczony skłonił się. – Ale nie myśl teraz o tym, przygotuj się lepiej do bitwy.

Kastil uparł się, że poprowadzi armię na mury, choć wszyscy, łącznie z uczonym Iskelem, chcieli mu ten pomysł wybić z głowy. Starali się

przemknąć jak najciszej, ale długie drabiny nie ułatwiały im zadania. Trudnością było ukrycie wśród drzew kilku tysięcy żołnierzy, a jeszcze trudniej było przenosić między zaroślami sprzęt niezbędny do ataku.

Twierdza Caerdinas została wzniesiona wieki temu, zatem jej mury były wysokie i nie zostawiono na nich nawet małych okienek dla strzelców. Dodatkowo porastały je połacie ciemnozielonego mchu, który przeszkadzał we wspinaczce. Szczyt murów wieńczyły niewielkie blanki stworzone z nierównych kamieni. Za murem stały dwie połączone ze sobą wieże, które zamieszkiwano w czasach świetności miasta. Niższa z nich ledwo wystawała ponad mur stożkowatym dachem, a na płaskim dachu drugiej Werdgwaldczycy ustawili stanowiska strzeleckie. Teraz blanki na całej długości i baszty na rogach były usłane łucznikami.

Kastil założył, że cała obrona skupi się na frontowej ścianie i zabezpieczeniu bramy, ale teraz widział, że z tej strony też nie będzie łatwo. Ciarki przeszły mu po grzbiecie, ale wiedział, że nie może się wycofać. Z nadzieją czekał na rozpoczęcie frontalnego ataku, licząc, że wtedy posterunki na tyłach opustoszeją. Król oddychał ciężko, ściskając w dłoni miecz z głownią w postaci paszczy niedźwiedzia. Zaciskał dłoń tak mocno, że słyszał trzeszczące rzemienie.

W pewnym momencie usłyszał charakterystyczny świst tysięcy strzał, a po chwili głucho uderzenie kamienia w mury. Wartownicy nie opuścili swoich posterunków. Schowali się jedynie za blankami i wyteżali wzrok, zerkając na las. Kilku stojących bliżej krawędzi nie utrzymało równowagi na drgających, śliskich kamieniach i spadło z krzykiem.

Kastil wyciągnął miecz z pochwy i zerwał się do ataku, a za nim popędzili inni. Tymczasem oddziały hrabiego Duthbeina i hrabiego Derska ostrzeliwały front zamku. Łucznicy szyli strzałami, kryjąc się za przygotowanymi wcześniej pawężami. Z lasu wyjechały wieże oblężnicze, które miały za zadanie bezpiecznie dostarczyć żołnierzy na szczyt zamkowych murów. Pchane przez piechotę osłanianą drewnianymi daszkami były niemal nie do zatrzymania przez łuczników. Wysokie wieże, zbudowane na planie prostokąta z nierównych i nieheblowanych desek, powoli zbliżały się do murów, a nad nimi cały czas śmigwały wielkie gązdy, które – wystrzeliwane z katapult – trafiały w szczyt muru, zrzucając z niego żołnierzy, wybijając dziury w blankach i z hukiem spadając na dziedziniec.

Przewagą atakujących było ukształtowanie terenu wspomagające pchających oblężnicze wieże. Zamek znajdował się w niewielkiej dolince,

co ułatwiało dostarczenie ich na miejsce. Kiedy dwie oblężnicze konstrukcje były już blisko murów, hrabia Duthbein wstrzymał ostrzał z katapult. Wysokie konstrukcje dobiły do muru z głośnym trzaskiem, klapy z hakami opadły na blanki, zaczepiając o nie, a rycerze ukryci w środku wybiegli z uniesioną bronią, szlachtując każdego napotkanego.

Słabo opancerzeni Werdgwaldczycy musieli uciekać przed zalewem okutego w zbroje rycerstwa Erskinu. Wydawało się, że szybko uda się rozbić obrońców i otworzyć bramę, wpuszczając do środka resztę wojska. Dotarły do nich dwa krótkie sygnały rogu, które oznaczały atak z drugiej strony twierdzy. Hrabia Duthbein siedział na koniu obok katapulty i z dumą patrzył na rycerzy noszących jego barwy, którzy zmiatali przeciwników z murów twierdzy. Zbladł jednak, widząc ciężkozbrojne oddziały wybiegające z baszt łączących mury. Rycerze nie mieli ze sobą mieczy, ale drewnianą konstrukcję na kołach przypominającą przerośnięty pług.

Zajęci walką Erskińczycy nie zauważyli zbliżającego się niebezpieczeństwa i tego, że przeciwników wokół nich jest coraz mniej. Werdgwaldczycy, pchając to urządzenie przed sobą, spychali z murów wszystko, co stało na ich drodze. Deski zbite w szpic nałożone były na wóz, za którym chowali się napędzający maszynę żołnierze. W dodatku pomiędzy nierównych żerdzi wystawały włócznie. Kolejni ciężkozbrojni spadali z wysokich murów i z głuchym hukiem wbijali się w trawę. Machina przebyła trasę od jednej baszty do drugiej, nie zostawiając za sobą wiele. Na koniec podpalono ją, by nie dostała się w ręce wroga.

Werdgwaldczycy okazali się świetnymi strzelcami, więc zanim udało się zaczepić drabiny i wspiąć na nie, armia Erskinu poniosła spore straty. Kastil z drżącym sercem wysyłał kolejne oddziały, wiedząc, że musi dostać się na szczyt za wszelką cenę. Wreszcie udało się opanować teren wokół jednej z drabin. Ten manewr pozwolił zabezpieczyć przestrzeń wokół drugiej drabiny i na tym poprzestano. Kastil ruszył na mur między swoimi ludźmi. Chroniony przez gwardię królewską bez problemu dostał się na szczyt. Słabo opancerzeni żołnierze ginęli pod ciężkimi ciosami rycerstwa i choć ich siatki, trójzęby czy długie noże sprawiały problemy, to stopniowo byli spychani bliżej baszt.

– Zdobądźmy wieżę po lewej! – Wskazał mieczem. – Przebijemy się bardziej na front!

Żołnierze ruszyli we wskazanym przez króla kierunku, napierając na broniących się resztkami sił przeciwników. Gdy do baszty pozostało już tylko kilka kroków, jej drzwi otworzyły się. Wojska Werdgwaldu rzuciły się biegiem do wnętrza, a ze środka wylano na mur wiadra płynu. Kastil rozejrzał się i we wszystkich basztach zobaczył to samo.

– Odwrót! Do drabin! – wrzeszczał Kastil. – To olej! Spalą nas!

Zanim jednak żołnierze ruszyli się z miejsc, w niebo wzbily się podpalone strzały i z sykiem spadły na kamienie, zapalając olej. Płomienie w mgnieniu oka objęły szczyt muru. Przerażeni rycerze znajdujący się bliżej drabin zaczęli schodzić po drabinach, skacząc co kilka szczebli. Niektórzy spadali, łamiąc sobie kończyny. Ci, których ogień odciął od drabin, skakali z murów, nierzadko płonąc.

Rycerze gwardii królewskiej rozrzucali żołnierzy na boki, robiąc miejsce królowi. Kastil wskoczył na drabinę w ostatniej chwili. Nim dotarł na ziemię, ogień objął już całe mury. Niebo nad zamkiem zrobiło się jasne, a krzyki poparzonych słychać było w oddali. Król pozbierał się szybko spod murów i czmychnął do lasu w asyście kilku członków gwardii.

– Odwrót! – Jego krzyk przebijał się przez jęki. – Wracać do lasu!

Władca schował się za jednym z pierwszych drzew i patrzył, jak mniej niż połowa jego oddziałów wraca ze szturm. Widział płomienie rozświetlające szczyt muru i skaczące z niego płonące postaci, dymiące ciała zalegające pod murami, czołgających się ludzi z połamanymi kończynami.

– Wracajmy do obozu, wasza miłość. – Podszedł do niego jeden z generałów. Miał osmoloną twarz, powgniataną i poczerniałą zbroję, a w rękę dzierżył zakrwawiony miecz.

Król tępym wzrokiem ogarnął las i zobaczył, że armia została rozbita. Król Fryder przechytrył jego plany i wykorzystał przewagę do maksimum.

– Wasza miłość! – Z lasu wyjechał paź na koniu i podał królowi zwitek papieru. – Mam wiadomość od hrabiego Duthbeina.

– Dziękuję... – burknął i zaczął czytać na głos. – Wasza miłość! Melduję posłusznie, że szturm na bramę się nie powiódł. Są spore straty wśród ludzi, obydwie wieże spalone. Wycofaliśmy się do obozu. Czekamy na wieści.

– Przekaż dalej moje rozkazy – zwrócił się do rycerza stojącego obok. – Wycofujemy się do obozu. Rannym, którzy dotarli do lasu, pomoc, resztę

zostawić. Jak tylko nadejdzie świt, zwołuję naradę wojenną w moim namiocie. To wszystko – powiedział i ruszył zwartym krokiem przed siebie.

Oddziały uczestniczące w bezpośrednich walkach na murach twierdzy Caerdinas były przetrzebione. Niektórzy nieśli rannych na ramionach, inni – poobijani, brudni i przygnębieni – ledwo szli. Król Kastil siedział przed swoim namiotem i obserwował ten żałosny przemarsz. Jego wojsko zbierało się przy ogniskach, paziowie pomagali ściągać pogiete pancerze, uczeni i medycy opatrywali rany. W obozie panowała przytłaczająca cisza, nikt się do nikogo nie odzywał. Po bitwie o Colbein było gwarno, radośnie, a teraz ciszę rozrywały tylko jęki rannych i rzenie koni.

– Potrzebujesz medyka, wasza miłość? – zapytał mężczyzna w średnim wieku w obszernym szarym płaszczu z miedzianym obszyciem wokół kaptura.

– Zajmij się wojskiem, nic mi nie jest – odparł krótko Kastil.

– Tak, Teneku, zajmij się żołnierzami, z królem zostanie ja – dorzucił Iskel, wychodząc z namiotu.

– Ty też zajmij się żołnierzami – mruknął król.

– Nie, mój królu. Uczeni z Akademii poradzą sobie z ranami twoich żołnierzy, ale i tobą trzeba się zająć. – Powstrzymał go gestem. – Właśnie przegrałeś pierwszą bitwę, to bardzo trudny, ale ważny moment w życiu każdego władcy.

– Dlaczego ważny, przecież to porażka... – Grzebał sztyletem w ziemi.

– Owszem, porażka. – Stary uczyony usiadł na pieńku obok króla. – Ale ta porażka nauczy cię więcej niż poprzednie zwycięstwo. Pierwszą bitwę wygrałeś dzięki fortelowi, czego cię to nauczyło?

– Że trzeba próbować każdego sposobu, który może dać zwycięstwo, a zaczynać od tych najmniej narażających ludzi – odparł smutno.

– Tak? – Iskel zdziwił się. – A powinno cię nauczyć, że trzeba próbować osiągnąć zwycięstwo jak najmniejszym kosztem. Zatem jakie wnioski wyciągniesz z tej przegranej bitwy, mój królu?

– Że nie warto ryzykować życia ludzi dla starych murów. – Kastil prychnął wściekle.

– Owszem, dla starych murów nie warto. – Iskel roześmiał się. – Ale ty nie zaryzykowałeś ich życia dla starych murów, mój królu. Zrobiłeś to dla chwały Erskinu, dla zaznaczenia potęgi swojego państwa, zapewnienia mu bezpieczeństwa na lata, umocnienia swojej władzy. Gdybyś oddał zamek bez walki, to uznano by cię za tchórza, za kogoś niegodnego rządzenia

perłą zachodu. Owszem, żołnierze zginęli i to jest smutna chwila, ale król nie może patrzeć na sprawy wprost i krótkowzrocznie. Weź pod uwagę to, że dzięki temu atakowi w przyszłości każdy zastanowi się dwa razy, nim zechce stać się wrogiem Erskinu. Będą wiedzieć, że nie boisz się posłać ludzi w bój, nawet będąc na straconej pozycji, że umiesz zastosować spryt i że potrafisz obrócić porażkę w sukces.

– W jaki sposób można obrócić porażkę w sukces? – zapytał zdziwiony król.

– Wystarczy, że teraz zaproponujesz im rozmowy pokojowe – odparł starzec. – Król Fryder doskonale wie, że znalazł się w potrzasku i prędzej czy później utraci ten zamek. Liczył, że wystraszymy się zimy czy ich dobrej obrony i proponujemy pakt przed bitwą. Teraz, po ataku, jesteśmy w znacznie lepszej sytuacji. – Pokręcił głową. – Chcąc pertraktacji przed bitwą, postawilibyśmy się w pozycji przegranej. Pokazalibyśmy, że boimy się atakować i oblegać zamek, dlatego wolimy rozmawiać. Teraz, po bitwie, choć przegranej, zasiadamy do rozmów w pozycji dominującej. Możemy powiedzieć Fryderowi, że nasza armia jest na tyle potężna, że możemy szturmować zamek co wieczór, że płynie do nas nieprzerwana rzeka zapasów, która pozwoli nam przezimować, kontynuując oblężenie. Teraz rozumiesz, mój królu?

– Tak, teraz rozumiem. – Przytaknął. – Nie zmienia to jednak faktu, że ubolewam nad stratą żołnierzy. Generałowie się schodzą, czas zacząć naradę.

Gromadzący się w namiocie dowódcy byli wściekli na to, jak potoczyła się bitwa. Oczekiwali reakcji młodego władcy, do którego nie byli przekonani.

– Panowie – zaczął – proszę o raport o stanie wojsk. Hrabio Duthbein, zacznij.

– Wasza miłość. – Skłonił się. – Na mur zdążyła wejść mniej niż połowa moich ludzi i ludzi hrabiego Derska. Wstrzymałem atak, kiedy zobaczyłem ich szarżę tym urządzeniem. Reszta zdążyła się w porę wycofać na bezpieczną odległość.

– Co to było za urządzenie i co z tymi, którzy zdążyli wejść na górę? – Król spojrzał mu prosto w oczy.

– Przypominało to pług na kołach, który spychał wszystko, co stało na jego drodze. Ci, którzy byli na murze i w wieżach oblężniczych, nie

przeżyli. Część straciła życie nabita na włócznie, część po upadku, a część spłonęła.

– Dziękuję. – Kastil przeniósł wzrok na innego z dowódców. – Generale Neke, meldujcie, co z drugą częścią wojsk.

– Tak jest, wasza miłość. – Zakuty w stal rycerz przyłożył pięść do napierśnika. – Kiedy mury zaczęły płonąć, było na nich dwa tysiące naszych. Tysiąc erskińskich ciężkozbrojnych, siedmuset Lochtairczyków, trzystu Reimrahczyków z lekkiej i gwardia królewska. Gwardii udało się uciec w komplecie, chroniąc króla. – Skłonił się w kierunku Kastila. – Z pozostałych zostało mniej niż trzystu.

– Dziękuję. – Kastil spojrział ponad głowami zgromadzonych. – Król Fryder zastosował podstępne sztuczki i dzięki temu udało mu się obronić zamek. Straciliśmy wieże i sporo ludzi, ale nadal mamy ogromną przewagę liczebną. W razie konieczności możemy wezwać oddziały z pogranicza z Barbasem. Widziałem osobiście, jak wielu Werdgwaldczyków poległo w trakcie walki. Myślę, że możemy założyć, że została ich połowa. Jedno, może dwa natarcia i odbijemy zamek. – Podniósł dłoń, tłumiąc szmer. – Tylko musimy się zastanowić nad tym, czy warto.

– Warto! – krzyknął jeden z hrabiów.

– Nie warto! – odparł inny.

– Spokój! – Król uderzył stalową rękawicą w stół. – Uczony Iskel, którego autorytetu chyba nikt z panów nie podważy, jest zdania, że ta z pozoru przegrana bitwa postawiła nas w znacznie lepszej pozycji do negocjacji. Ja uważam podobnie. – Huknął jeszcze raz, uspokajając szum. – Mamy na miejscu jakieś pięć tysięcy żołnierzy. W kilka tygodni możemy sprowadzić tutaj kolejne dwa, może trzy tysiące. Odcięliśmy Caerdinas od Werdgwaldu, uniemożliwiając im uzupełnienie zapasów, za to my mamy nieprzerwany strumień wsparcia z głębi kraju. W dodatku pokazaliśmy, że jesteśmy gotowi szturmować zamek do skutku i nie zamierzamy się stąd ruszać przed zimą. Pozycja negocjacyjna króla Frydera nie jest zbyt wygodna, dlatego proponuję wysłać mu zaproszenie do rozmów pokojowych.

Kilkunastu mężczyzn zgromadzonych w namiocie zaczęło przekrzykiwać się wzajemnie, a nawet szarpać. Kastil przyglądał się temu cierpliwie, licząc, że taka ożywiona dyskusja przyniesie jakieś rozwiązanie. Nagle wszystko umilkło, a w obozie rozległ się sygnał rogu.

– Posłaniec – szeptało.



Przed wejściem do namiotu pojawił się rycerz niosący ze sobą biały proporzec. Na napierśniku pełnej zbroi płytowej miał herb Myrdinasu, czyli rozwidlenie rzeki na zielonym tle. Zgodnie z obyczajem nie miał na głowie hełmu, a pochwa u jego pasa była pusta. Skierował się do wnętrza namiotu, niosąc przed sobą zawieszony na pice płat białego materiału. Zebrani wewnątrz mężczyźni rozstąpili się, ułatwiając mu dojście do stołu. Był w średnim wieku, a jego twarz zdobiła jasna, długa broda i pozioma blizna na czole.

– Barh, breninet. – Skłonił się bardzo nisko, witając się po werdgwaldzku.

– Barh, marhod – odparł Kastil.

– Przysłano mnie z poselstwem – mówił nieco łamanym erskińskim, wyciągając zwój zza pasa.

– Zapoznam się z listem. – Kastil wziął od niego zwój. – A ciebie, rycerzu, ugoszczę, jak nakazuje tradycja. Thondarze! – zwrócił się do swojego sługi. – Przygotuj dla rycerza namiot i gorący posiłek. Podaj mu też miód pitny. – Skierował spojrzenie ponownie na gościa. – Pójdź za moim sługą, rycerzu. Zapoznam się z listem i odpowiem na niego. Czy będzie to nieuprzejmością, jeśli proszę cię, byś zczekał na odpowiedź i dostarczył ją swojemu władcy?

– Nie, breninet. – Skłonił się. – Z przyjemnością skorzystam z gościny i zaniosę odpowiedź.

Król Kastil poczekał, aż Werdgwaldczyk wyjdzie z namiotu, przeprosił zebranych i odszedł na bok, żeby przeczytać wiadomość w spokoju. Delikatnie złamał królewską pieczęć Werdgwaldu, na której widniał symbol łodzi, i rozwinął zwój.

Do Króla Kastila Mithraida, władcy Erskinu!

Zawiadamiam, że Król Fryder Fasnyh, władca Werdgwaldu, zginął w trakcie Waszego szturm na zamek Caerdinas. Został przygnieciony przez belkę ze zniszczonego pociskiem sufitu. Zgodnie z tradycją i obowiązkiem władzę przejął syn Króla Frydera, Peneth Fasnyh, który został koronowany o świcie w sali głównej zamku Caerdinas. W związku z impasem w wojnie między Erskinem i Werdgwaldem Król Peneth zaprasza Króla Kastila na zamek w celu rozpoczęcia pertraktacji.

W imieniu Króla Penetha, władcy Werdgwaldu  
uczony Denel

Kastil uśmiechnął się do siebie, pierwszy raz od śmierci ojca, zwinął rulon papieru i wrócił do stołu, gdzie ucichły gwarne rozmowy. Odłożył zwitek na stół i spoglądał na zebranych rycerzy.

– Nie musimy się już zastanawiać, czy wyjść z propozycją rozmów pokojowych, ten problem zdjęła nam z głów belka stropowa. – Zebrani zarechotali. – Uczony Iskel opowiadał mi kiedyś o rodzie Fasnyhów. Fryder rządził na tyle długo, że Peneth zdążył się zestarzeć. Podobno jest zupełnie inny niż ojciec. Nie jest porywczy, woli mieć spokój i wojna rozpętana przez ojca nie bardzo jest mu na rękę. – Gestem uciął podnoszący się gwar. – Jednak trzeba wziąć pod uwagę to, że nikt nie chce tej wojny przegrać i może to być tylko kolejny fortel z ich strony. Dlatego proponuję spotkanie w połowie drogi między naszym obozem a zamkiem, w towarzystwie uczonego i dwóch przybocznych. Zanim jednak zasiądę do omawiania planu z Iskelem, chciałbym usłyszeć, co wy macie do powiedzenia, proszę o szczerze słowa. Wszystkie propozycje i stanowiska wezmę pod uwagę.

– Rzeka Issint meandruje nieopodal. Przed wojną ten teren należał do Tasariku i mieliśmy pewne ustalenia – przerwał milczenie hrabia Duthbein. – Rozmawialiśmy, że warto by było uzyskać zapewnienie od Werdgwaldu, że nic się z meandrem nie stanie, że nie powstanie tam tama czy cokolwiek innego, co wpłynęłoby na poziom wody w Issint w jej dalszym biegu.

– To bardzo rozsądny postulat. – Kastil kiwnął głową z uznaniem. – Na pewno nie omieszkam zawrzeć tego w naszych żądaniach. Słucham dalej.

– Zapłata w złocie za zniszczenie lasów i pól na terenach, które zajęli – dorzucił ktoś z tyłu.

– Przyrzeczenie wierności pod groźbą utraty niepodległości! – krzyknął ktoś inny.

– Stały ambasador w Myrdinasie! – wyrwał się jeden z biedniejszych hrabiów.

– Nasze wojska w Myrdinasie! – padło z ust jednego z rycerzy.

– Dobrze, panowie. – Kastil podniósł się z tronu. – Dziękuję za wasze postulaty. Wezmę je pod uwagę i dokładnie przemyślę. Zanim rozejdziecie się, by poinformować wojsko o wynikach naszego spotkania, chciałem zapytać jeszcze, kto z was chciałby po wojnie zamieszkać w tym częściowo rozbitym, częściowo spalonym starym zamku i zająć się odbudową samej twierdzy i przywróceniem do życia zniszczonych wojną okolic?

– Wasza miłość – zaczął nieśmiało Dersk. – O tym też rozmawialiśmy... Jeżeli zapłata w złocie będzie wystarczająco wysoka, wedle uznania waszej miłości, i reszta warunków zostanie spełniona, to może... – Zawahał się. – To może warto zrezygnować z tego kawałka zniszczonej ziemi.

– Ciekawe stanowisko. – Król podniósł brew. – Weźmiemy je pod uwagę. Dziękuję za spotkanie. Wezwijcie, proszę, tego Werdgwaldczyka, czas odpowiedzieć na wiadomość. Iskelu – zwrócił się do uczonego stojącego na uboczu – napisz, proszę, krótką wiadomość o tym, że spotkam się z Penethem na polach jutro w południe i żeby zabrał ze sobą dwóch gwardzistów i uczonego.

– Tak jest, mój królu. – Staruszek skłonił się i ruszył w kierunku stolika z kałamarzem.

Gdy namiot opustoszał, młody król usiadł na tronie, przymykając oczy. Iskel szybko uporał się z napisaniem wiadomości do króla Penetha i podał Kastilowi zwitek papieru oraz roztopiony воск. Król przeczytał wiadomość, wylał trochę wosku na papier i przyłożył sygnet.

– Co myślisz o oddaniu zamku? – zapytał poważnym tonem.

– Myślę, że to całkiem rozsądne rozwiązanie, mój królu – odparł uczoney. – Mieszkańcy ziem należących do majątku Caerdinas uciekli i pewnie nie będą chcieli tutaj wrócić. Pola zostały splądrowane, co prawda, do wiosny daleko i będzie można wszystko obsadzić od nowa, ale to będzie wymagało sporych nakładów. Nie ma dziedziców rodu Caerdinasów, którzy mogliby się chcieć tego podjąć i którzy protestowałiby przed oddaniem zamku. Nawet biedniejsi możni, którzy nie mają swoich twierdz, nie kwapili się do przyjęcia majątku.

– Jednak mimo wszystko jest to oddanie naszego zamku i naszej ziemi wrogowi. – Kastil zamyślił się.

– Prości ludzie mogą to tak odebrać, ale wszystkie liczące się rody przyznają ci rację, mój królu. Wszyscy zdają sobie sprawę, że przywrócenie świetności tym ziemiom pochłonęłoby znaczne środki, a wojna wysuszyła skarbiec... – Rozmowę przerwało pojawienie się posłańca.

– Barh, breninet. – Ukłonił się nisko. – Powiadomiono mnie, że wiadomość dla króla Penetha jest już gotowa.

– Tak, marhod. – Król wstał z tronu z listem w dłoni. – Oto wiadomość dla twojego króla. Przekaż mu, że nie będę czekał na odpowiedź, tylko spotkamy się na miejscu i w czasie wskazanym w liście.

– Tak, breninet, przekażę twoje słowa. – Skłonił się, odbierając zwój.

– Mam nadzieję, że gościna w moim obozie nie była dla ciebie uciążliwa, marhod. – Król odpowiedział skinieniem.

– Ależ skąd, breninet. – Rycerz uklonił się po raz kolejny. – Serdecznie dziękuję za poczęstunek i wygodne miejsce do odpoczynku.

– Rad jestem, słysząc te słowa – odparł. – Powiedz mi, marhod, jak się nazywasz.

– Nazywam się Rywer Goggleliw, breninet. Pochodzę z mniej zamożnego rodu. – Spuścił wzrok.

– Sprawiasz wrażenie niezwykle kulturalnej osoby, prawdziwy wzór rycerza. – Król wyciągnął dłoń. – Miło mi było cię gościć. Gdybyś kiedykolwiek potrzebował pomocy, wystarczy, że się do mnie zgłosisz.

– Jestem wierny Werdgwaldowi, ale dziękuję za uprzejme słowa. Pojadę już dostarczyć wiadomość. – Rycerz uściśnął rękę króla. – Hyl faw, breninet.

– Hyl faw, marhod Goggleliw.

– Ta przyjacielska pogawędka była bardzo dobrym posunięciem, mój królu – odezwał się z podziwem Iskel, kiedy rycerz zniknął za wejściem do namiotu.

– Dziadek mówił, że warto być miłym dla ludzi, bo nie wiadomo, kiedy to może przynieść owoce. – Kastil wzruszył ramionami.

– Oczywiście, że tak mówił, sam go tego nauczyłem. – Uśmiechnął się starszy uczony. – Zatem z jakimi postulatami jutro podejdziesz do rozmów, mój królu?

– Postaram się zapełnić skarbiec złotem Werdgwaldu i przy okazji pozbyć się problemu. – Uśmiechnął się. – Omówmy szczegóły, Iskelu.

Ustalenie wszystkich postulatów zajęło im cały dzień. Dopiero późnym wieczorem uczony Iskel wrócił do swojego namiotu, opłukał twarz w misce, położył się na sienniku i wpatrując w sufit, uśmiechał się do siebie.

– Szybko się bestia uczy – szepnął. – Zupełnie inaczej niż ojciec. Może z niego wyrosnąć kawał władcy.

Z samego rana podniósł się z posłania, żeby jak najlepiej przygotować się do spotkania z królem Penethem. Wytrzepał swoją akademicką szatę z kurzu zebranego na polu bitwy, przetaił wilgotną szmatką złote obszycie wokół kaptura. Ubrany w odświeżony strój wyszedł z namiotu i przeszedł kilka kroków do królewskiej siedziby. Kiedy tylko stanął w wejściu, jego twarz sama rozciągnęła się w uśmiechu. Kastil akurat zakładał kolczugę na

niebieską koszulę. Na nogach miał czarne, wysokie skórzane buty, w cholewy wpuszczono nogawki czarnych spodni z brązowymi lampasami.

– Uparli się, żebym założył jakikolwiek pancerz. – Król poskarżył się wchodzącemu starcowi.

– Mieli rację, będziesz dzięki tej kolczudze wyglądał na lepiej zbudowanego, mój królu. – Iskierki rozbawienia błysnęły w oczach uczonego.

Kastil chciał coś odpowiedzieć, ale Thondar narzucił mu na barki długą błękitną opończę, zapinaną z przodu na srebrne guzy. Na klatce piersiowej widniał symbol czarnej góry, który rozwiewał wątpliwości, skąd nosząca go osoba pochodziła. Góra Ersk była najwyższym wzniesieniem w kraju, siedzibą królewskiego rodu i świętym miejscem dla północy Erskinu. Tam, według legend, mieszkał Gapur, który – zezłoszczony – potrafił sprowadzać kamienne lawiny, a nieuważnych turystów wyprowadzać na szczyt góry najbardziej stromą drogą. Służący nie zapomniął też o królewskich insygniach. W pasie przewiązał Kastila czarnym pasem, na którego końcu wyhaftowano czarnego, stojącego niedźwiedzia na błękitnym tle. Koniec pasa wisiał z prawej strony, a miecz w ozdobnej pochwie z lewej. Na opończę zarzucono królowi futro z czarnego niedźwiedzia, a na głowę wsunięto koronę do noszenia na co dzień. Wokół głowy ciągnął się wąski pas lśniącej stali, a na przedzie widniał symbol góry Ersk ozdobiony szlachetnymi kamieniami.

– Wygląda to jakoś. – Uczony zmrużył oczy. – Nie jest to najbardziej odświętny strój, jaki w życiu widziałem, i trochę chyba przymały, ale też nie ma co się stroić na obrady w namiocie.

– Strasznie to wszystko niewygodne. – Kastil potrząsnął barkami.

– Przyzwyczajaj się, mój królu. – Iskel poprawił ułożenie korony na głowie młodzieńca. – Czeka cię teraz dużo więcej obowiązków w takich albo jeszcze bardziej sztywnych strojach.

– A czy wszystko jest przygotowane do rozmów? – zapytał król jednego z rycerzy gwardii.

– Tak jest, wasza miłość! – Wyprostował się. – Namiot, stół i krzesła, wedle rozkazu.

– Zatem czas na nas, mój królu. – Iskel odsunął zasłonę w wejściu, wypuszczając władcę na zewnątrz.

Przed namiotem stało dwóch gwardzistów w czarnych zbrojach, z błękitnymi piórami przy hełmach i królewskim herbem na napierśniku.

Dosiadali kasztanowych koni, a uczony, przy pomocy jednego z giermków, wsiadł na siwą klacz. Królewski czarny koń miał na sobie czarno-błękitny kropierz z królewskimi i erskińskimi symbolami. Władca usiadł w siodle i spokojnie ruszył przez obóz, prowadząc za sobą niewielki orszak, który niemal równo w południe dotarł na miejsce spotkania. Pierwszy jechał jeden z gwardzistów, wioząc flagę Erskinu, za nim jechał król, a u jego boków pozostali.

Z przeciwnej strony dało się zauważyć podobną grupkę. Namiot, zgodnie z rozkazem Kastila, nie miał ścian i składał się jedynie z dachu oraz podtrzymujących go drewnianych tyczek. W środku stał niewielki stół i cztery krzesła. Po jednej stronie stanęli przedstawiciele Erskinu, a z drugiej ustawili się Werdgwaldczycy. Delegację stanowiło dwóch rycerzy, jednym z nich był Rywer Goggediw, który skłonił się nieznacznie, widząc króla. Drugi z rycerzy był dużo młodszy i stał sztywno z opuszczoną zasłoną. Uczony Denel był drobniutkim człowiekiem w średnim wieku. Miał szczurowaty wyraz twarzy i przebiegłe spojrzenie. Na kapturze szarego płaszcza nosił brązowe ozdoby. Król Peneth mógł być jego rówieśnikiem i widać było po nim, że biorąc udział w wojnie, nie miał możliwości zabrania ze sobą odświętnego stroju. Na głowie nosił koronę z cienkich srebrnych prętów, tworzących deltę rzeki Farafo, płynącej przez kraj. Ogrzewał go wełniany, ocieplany płaszcz w zielonkawym kolorze, pod który wdział żółtawą koszulę i tego samego koloru spodnie.

– Witaj, królu Penethcie – zaczął Kastil.

– Witaj, królu Kastilu – odparł zupełnie obojętnie. – Dziwne wybrałeś miejsce na omawianie pokoju.

– A czyż nie najlepiej rozmawiać o pokoju na polu bitwy? – Kastil rozejrzał się wokół.

– Może i najlepiej, ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego namiot nie ma ścian. – Peneth skrzywił się.

– Żeby nasze rozmowy się nie przedłużały, zimno pozwoli nam zachować rzeńskie umysły. – Poprawił pas.

– Skoro o tym mowa. – Peneth usiadł na krześle, Kastil i uczeni uczynili to samo. – Szczere wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca.

– I moje. – Skłonił głowę Kastil. – Los postanowił, żeby wojna rozpoczęta przez naszych przodków została skończona przez nas.

– Przekonamy się, czy zostanie skończona... – mruknął Peneth.

– Zostanie – przerwał mu młody władca. – Jeśli nie dziś, to za jakiś czas. Obaj wiemy, że żadne zapasy do was nie dotrą, posiłki tym bardziej. A do mnie już zmierza armia z pogranicza z Barbasem, a z centrum kraju płynie kolejne zaopatrzenie. Rozsądne było zatem, królu Penethcie, że zaproponowałeś rozmowy pokojowe.

– Pycha zgubiła już niejednego. – Erskiński Penetha był na bardzo dobrym poziomie, ale słysząc było wyraźny akcent.

– Zgadza się. – Kastil uśmiechnął się. – Zanim wystosuję nasze żądania, chciałbym usłyszeć, czego chcecie wy.

– To chyba oczywiste. – Król Peneth uśmiechnął się zimno. – Ziemi i zamku.

– Iskelu, rozłóż, proszę, mapę – zwrócił się do uczonego, który rozwinął dość szczegółowy szkic tych okolic. – Zaznacz, królu, jakie ziemie cię interesują.

Peneth poderwał się z miejsca niespodziewanie energicznie i palcem zaznaczył mniej więcej tereny wokół Caerdinasu.

– Zdajesz sobie sprawę, że to żyzna gleba, zalesiona, a w dodatku płynie przez nią rzeka Issint. – Kastil postukał palcem w mapę. – Wcześniej meander należał do Tasariku i mieliśmy ich zapewnienie, że nic z nim się nie stanie, rzeka będzie miała swobodny przepływ.

– Wiemy o tym przyrzeczeniu i utrzymamy to w mocy – odparł zblazowany Peneth.

– Twierdza Caerdinas jest prastarą budowlą, od zawsze należąca do Erskinu, wyobrażacie sobie, że zrezygnujemy z niej tak łatwo? – Kastil spojrzął twardo w stronę rudobrodego władcy.

– Zniszczycie zamek? – odparł.

– Jeśli będzie taka potrzeba, to możemy go naruszyć, przyda mu się remont.

Iskel prychnął, słysząc słowa swojego władcy.

– A czego wy oczekujecie w zamian za zakończenie wojny? – Werdgwaldczyk przesunął się na skraj krzesła.

– Zapłacicie nam dwadzieścia tysięcy sztuk złota. Może być równowartość w innych kruszcach. – Kastil wyliczał na palcach. – W dodatku podpiszemy porozumienie, w którym zobowiązacie się do wsparcia całą swoją mocą każdej wojny, w którą zamieszany będzie Erskin. Jeśli zgodzimy się oddać żądane przez was tereny, to zobowiązacie się, że

w Caerdinasie nie będzie nigdy więcej niż pięciuset zbrojnych. I na koniec domagamy się zakładnika, który zamieszka na dworze w Erskinie.

– Muszę się naradzić, wybacz na moment, królu. – Peneth wstał i odszedł kilka kroków.

Zniechęcenie, które odgrywał przy stole, prysnęło w trakcie dyskusji ze swoimi doradcami. Iskel i Kastil nie wymienili nawet spojrzeń, spokojnie czekając na odpowiedź strony przeciwnej. Po dłuższej chwili Peneth wrócił do stołu.

– Twierdza Caerdinas i ten kawałek terenu nie jest tak ważna jak pokój między sąsiadami, zwłaszcza na zachodzie stanowiącym centrum kultury całego świata. – Czerwieniał na twarzy z każdym zdaniem. – Dlatego też jesteśmy w stanie zaakceptować warunki zakończenia wojny. Jednak mamy pewne postulaty, których spełnienie będzie okazaniem dobrej woli ze strony Erskinu.

– Słucham uważnie. – Kastil oparł się o blat.

– Zamek i miasto Caerdinas wraz z przyległymi ziemiami zostanie oficjalnie terytorium Werdgwaldu. W akcie przekazania zaznaczymy, że meander rzeki Issint pozostanie nienaruszony, co zagwarantuje swobodny przepływ wód – zaczął wymieniać.

– Dobrze, słucham dalej. – Kastil lekko zmrużył niebieskie oczy.

– Werdgwald zobowiązuje się wypłacić równowartość dwudziestu tysięcy złotych monet w różnych kruszczach...

– Szlachetnych! – przerwał mu władca Erskinu. – Żeby wam nie przyszło do głowy płacić w stali.

– Różnych kruszczach szlachetnych. – Peneth poczerwieniał jeszcze bardziej. – W ciągu dwóch lat od podpisania traktatu pokojowego.

– Zgoda, pod warunkiem że w traktacie będzie zapis mówiący o tym, że Caerdinas wraca do Erskinu, jeśli kosztowności nie zostaną przekazane na czas. – Kastil uniósł palec wskazujący.

– Zgoda – syknął przez zęby Peneth. – W traktacie zostanie zapisane, że w Caerdinasie nie może przebywać jednocześnie więcej niż pięciuset zbrojnych stanu rycerskiego. Werdgwald zobowiązuje się również stawić się na każde wezwanie Erskinu wszystkimi dostępnymi środkami. Co do zakładnika, to mam tylko jednego syna, następcę tronu, dobre obyczaje zabraniają brania na zakładnika jedyne go spadkobiercy.

– Jeśli można, breninetes. – Skłonił się nisko rycerz Gogglediwi. – Może i mój ród nie jest tak ważny, ale w historii Werdgwaldu zapisaliśmy się



nieraz, dlatego proponuję, żeby zakładnikiem została moja córka Rollo. Jest drugim dzieckiem, a na królewskim dworze czeka ją być może lepsza przyszłość.

– Co ty na to, królu Kastilu? – zapytał Peneth.

– Zgadzam się na tego zakładnika – odparł zimno i skierował wzrok na rycerza. – Marhodzie Goggleldiwe, zapewniam cię, że twoja córka będzie traktowana w Erskinie w sposób odpowiedni i nic jej nie grozi.

– A pozostałe warunki? – Czerwony na twarzy król Werdgwaldu wydawał się być coraz bardziej zniecierpliwiony.

– Myślę, że są do zaakceptowania. Uczony Iskel, jako że stoi wyżej w hierarchii Akademii, sporządzi traktat i akt przekazania ziemi. Denelu – zwrócił się do szczerowatego uczonego – jeśli byłbyś łaskaw, możesz zacząć kopiować akty, żeby zaoszczędzić czas.

Kastil i Peneth mierzyli się wzrokiem, czekając, aż uczeni przygotują dokumenty. Kiedy wreszcie były gotowe, obaj władcy podpisali je zamasyście i przystawili swoje pieczęcie, dopełniając formalności. Każdy z nich dostał swój egzemplarz i gdy mieli się już rozchodzić, uścisnęli sobie dłonie, jak nakazuje obyczaj.

## Rozdział VI

Na środku wielkiej sali sypialnej, tak zdobnej, że trudno było nie mrużyć w niej oczu, stał niewielki, jednoosobowy, okrągły stolik, który ledwo był w stanie utrzymać ustawione na nim potrawy. Siedział przy nim wyjątkowo otyły mężczyzna. Miał długą rudą brodę z siwymi pasmami, a przez środek nieprzyjemnej, ulanej twarzy przebiegała gruba różowa blizna. Ubrany był w obszywane złotą nicią pomarańczowe szaty, a na siwej głowie krzywo leżała bursztynowa korona.

Kończył posiłek, popijając wino ze złotego pucharu. Przed nim na stole stało kilkanaście talerzy i półmisek ubrudzonych resztkami jedzenia. Wlewał w siebie kolejny puchar wina, kiedy do sali wpadł uczony w brązowym płaszczu z listem w dłoniach.

– Wasza miłość! – Dyszał. – Wasza miłość, przyleciał list z Erskinu.

– Mytelu, powiedz mi, czy kiedykolwiek jakkolwiek list był tak ważny, żebyś wpadał tutaj jak do siebie? – Odstawił puchar na blat.

– Nie. – Uczony wbił wzrok w mozaikową podłogę. – Nie, wasza miłość, przepraszam bardzo.

– Jak już wlażesz, to czytaj. – Król machnął tłuścą dłonią.

Do Kunlina Berna, Króla Bernsternu

Uprzejmie zawiadamia się, że wojna pomiędzy Erskinem a Werdgwaldem dobiegła końca. Władcy obydwu krajów doszli do porozumienia i zawarli traktat pokojowy. W związku z tym mam przyjemność zaprosić Waszą Miłość na uroczystą ceremonię koronacyjną nowego Władcy, która odbędzie się ostatniego dnia wiosny na zamku w Erskinie.

W imieniu Kastila Mithraida, Króla Erskinu  
uczony Iskel

– Po co robić koronację, skoro już jest królem. – Kunlin rzucił kawałek chrząstki obok talerza.

– Zwyczaj nakazuje, żeby króla koronowanego w polu ukoronować raz jeszcze z pełnym ceremoniałem w swojej siedzibie – odpowiedział Mytel, nie podnosząc wzroku.

– Te wasze zwyczaje... – mruknął. – Wymyśl jakąś wymówkę.

– Naturalnie, wasza miłość, ale... – Zawahał się. – To koronacja władcy Erskinu, naszego sąsiada i najważniejszego państwa w regionie...

– Milcz! – Król huknął pięścią w stół. – To, że inni uznają to stare zamczysko w jaskini za pępek świata, nie oznacza, że ono nim jest! Najbogatszym państwem jest Bernstern i to ja powinienem decydować, kto może zostać królem w jakimś zaścianku!

– Tak jest, wasza miłość... nie chciałem urazić... – jękał się uczony.

– Jesteś za mały, żeby móc urazić króla. – Władca poczerwieniał na twarzy. – Wyjdź i zawołaj służących, nie mogą siedzieć w takim chlewie!

W mgnieniu oka brązowy płaszcz zniknął za drzwiami z rzeźbionej dębiny. Król Kunglin odsunął krzesło i z trudem wstał. Przechadzał się po sali, powłócząc prawą nogą, i przyglądał się ścianom obitym ozdobnym, wzorzystym materiałem i zdobionym bursztynem dębowym kolumienkom przytrzymującym baldachim nad łóżem. Nigdy się nie ożenił, nie uznawał kobiet jako równych sobie. Przez lata uzbierał jednak całą gromadkę nieślubnych dzieci. Niektórym z nich wmawiał, że kiedyś zasiądą na tronie, dlatego wymagał od nich bezwzględного posłuszeństwa i wykorzystywał do najgorszych zadań, nie licząc się z ich bezpieczeństwem czy nawet życiem.

Król rozmyślał o tym, jak obrócić na swoją korzyść sytuację, o której dowiedział się przed chwilą. Mógł ukroić dla siebie kawałek tortu, musiał tylko zachować całkowitą ostrożność. Nowy król Erskinu był młodzieńcem niemogącym przecież równać się z nim doświadczeniem i sprytem. Rozmyślania przerwali służący zbierający talerze z królewskiego stołu. Byli wychudzeni, ubrani w pomarańczowe, luźne kombinezony, a ich pospieszne ruchy świadczyły o tym, że są zastraszeni. Niemal biegiem wrzucili wszystkie naczynia na wózek i zniknęli królowi z oczu.

– Mytel! – ryknął, siadając ciężko w zielonym, welurowym fotelu. – Mytel! Do jasnej cholery, biegiem!

– Tak, mój panie? – Uczony wsunął głowę przez drzwi.

– Przypomnij mi, jak to było z tym bękartem wysłanym do Erskinu.

– Ten chłopak nazywał się Ulev Throdergad i był synem córki kupca bursztynu z Warfstadu. – Zamyślił się na chwilę. – Wysłano go na dwór do

Erskinu w zamian za drobną zapłatę. Byli po jakiejś wojnie i ich skarbiec nie był zbyt pełny, więc zgodzili się wziąć chłopaka do siebie razem z workiem złota.

– Nie to mnie interesuje, durniu – mruknął. – Czy on nadal jest na dworze i co on tam robi?

– Z tego, co wiem, to miał zajmować się odbieraniem i wysyłaniem listów. Nie dostałem sygnału, żeby coś się z nim stało, więc myślę, że nadal sprawuje to stanowisko.

– Dobrze... – Kunplin przetarł dłonią tłustą od jedzenia brodę. – Musisz się jakoś dyskretnie dowiedzieć, czy twoje informacje są aktualne i czy jest możliwość, żeby się z nim skontaktować w bardzo dyskretny sposób. Rozumiesz?

– Tak, wasza miłość. – Uczony skłonił głowę.

– No to na co czekasz? Bierz się do roboty. – Król klepnął łapą w ścianę.

Uczony Mytel nie miał śmiałości przeciwstawić się królowi Kunplinowi. Słyszał, że władca Bernsternu zażyczył sobie nowego uczonego po tym, jak objął tron po śmierci swojego ojca Fargana. Stary i doświadczony doradca został odesłany do Akademii w Andskinie, a w jego miejsce przysłano Mytela.

Nigdy nie chciał zostawać doradcą na królewskim dworze, interesowała go wyłącznie nauka. Planował zostać wykładowcą w Akademii i nauczać młodych adeptów. Niestety los wybrał inaczej i zgodnie z Kodeksem Uczonych musiał wyjechać do Bernsternu. Zamieszkał na zamku, gdzie nic nie zgadzało się z jego ideałami. Apodyktyczny i zgorzkniały król nie słuchał jego rad, wykorzystywał go tylko do zdobywania informacji i pisania listów. Uczony nie miał żadnego wpływu na władcę. Nie dość, że był niewysoki i chudy, to jeszcze młodszy od Kunplina.

Dotarł do swojej komnaty, maszerując przez mieniący się bursztynowymi ozdobami korytarz. Jego sypialnia i pracownia nie miały nic wspólnego z tym, co widział w Akademii. Miał wielkie łóżce z baldachimem, ściany pokrywały najdroższe gobeliny, a na marmurowej podłodze leżały grube dywany. Zasiadł przy biurku z dębowego drewna i patrzył na zajmujący całą ścianę regał wypełniony inkrustowanymi księgami. W Akademii książek, co prawda, było jeszcze więcej, ale cele uczonych były zdecydowanie bardziej ascetyczne.

– Bez problemu dowiem się, czy Ulev dalej mieszka na dworze w Erskinie, ale żeby to zrobić dyskretnie... – Zamyślił się. – Trzeba się

zastanowić nad najprostszym rozwiązaniem, tego mnie przecież uczyli... – Rozsiadł się w wygodnym fotelu i przymknął oczy. Pozwolił myślom płynąć swobodnie i analizował możliwości, by otworzyć nagle oczy i ze świstem wypuścić powietrze z płuc. – Skoro ten chłopak zajmuje się pocztowymi ptakami, odbiera i nadaje listy, to wystarczy wysłać list bezpośrednio do niego. – Uczony postukał palcem w blat. – To dość ryzykowne, ale przez tego spasionego durnia nie mamy na zamku w Erskynie żadnego przyjaciela, który mógłby pośredniczyć w wymianie korespondencji. Nie ma wyjścia...

Sięgnął po pióro i kałamarz i zaczął pisać zwięzły list. Zapytał w nim, jak żyje się w Erskynie obywatelowi Bernsternu, oraz wyraził chęć spotkania przy okazji koronacji nowego władcy. Zwinął list ciasno, zaadresował go bezpośrednio do Uleva Throdergada i udał się z nim do ptaszarni.

Król Kunmlin siedział na bursztynowym tronie w sali głównej swojego zamku w Warfstadzie. Na głowie lśniła mu bursztynowa korona, a cała ogromna sala była zdobiona bursztynem. Przy sklepieniu założono pomarańczowe sztukaterie, a malowidła na suficie przedstawiały morze i procesy wydobywania tego kamienia. Na podłodze między marmurowymi płytami ułożono płaskie bursztynowe kamyczki. Kraj słynął z wydobycia tego kamienia i przez kolejne pokolenia władcy dorabiali następne ozdoby.

Przodkowie Kunglina kazali wykonać nawet tron z bursztynu. Było to z pozoru zwyczajne krzesło z bardzo wysokim oparciem, na którym wygrawerowano herb królewski. Podzielone po skosie pole, na jednej części, zamalowanej na szaro, znajdował się bursztynowy kamień, a na drugiej, pomarańczowej, szary miecz. Kolumny podtrzymujące sufit były całkowicie pokryte drobnym, bursztynowym pyłem. Na podłodze wokół tronu wykonano mozaikę symbolizującą powstanie świata. Obrazy pokazywały sceny pęknięcia bursztynu i wylania się z niego życia oraz boga Myna, który pomógł w rozwoju tego życia. Na ścianach wisiały portrety poprzednich władców w ramach z bursztynu.

Król siedział na tronie, sprawiając wrażenie zupełnie znudzonego. Ubrany był w bardzo luźny i bardzo obszerny stalowo-pomarańczowy płaszcz, który w zasadzie zakrywał jego obłe ciało niczym koc. Tron znajdował się na podwyższeniu na końcu owalnej sali. W połowie ustawiony był szpaler gwardzistów złożonych z najemników. Na ich różnorodnych mundurach dało się rozpoznać herby z Utvinu, Tasariku, Werdgwaldu, a nawet stroje charakterystyczne dla Barbasu. Oddzielali oni

tlum oczekujący na audiencję od królewskiego majestatu. Takie spotkania z władcą organizowano raz w tygodniu i można było w ich trakcie rozstrzygać spory, poskarżyć się na urzędników czy prosić króla o radę. Kunglin leniwie podniósł tłustą dłoń obciążoną sygnetami i zaprosił gestem pierwszego z oczekujących.

– Kupiec Taneler – wyczytał herold. – W sprawie zaginięcia transportu diamentów.

– Wasza miłość! – Grubawy kupiec w średnim wieku ukłonił się nisko, pokazując łysinę. – Transport drogocennych kamieni z północy miał dotrzeć do mnie już miesiąc temu. Morze było spokojne, a statku w porcie nie ma. Błagam o pomoc, wasza miłość! Zainwestowałem w ten transport wszystkie oszczędności.

– Wypadki... – Westchnął znudzony król. – Na morzu czasem się zdarzają. W jaki sposób miałbym ci pomóc?

– Można wysłać kilka okrętów, żeby sprawdzić... – zaczął.

– Uważasz, że poniosę koszty zorganizowania wyprawy kilku okrętów, bo ty straciłeś pieniądze na jakimś interesie? – Kunglin pobudził się. – Jesteś w poważnym błędzie, kupcze. To jest twoja prywatna sprawa, w co inwestujesz swoje pieniądze, korona nie będzie za to odpowiadać. – Machnął dłonią, odsyłając mężczyznę, który krzyczał i błagał, ale jeden z gwardzistów szybko się go pozbył.

– Kupiec Materog – odezwał się ponownie herold. – W sprawie naliczenia cła na węgiel.

– Wasza miłość! – Wysoki i przeraźliwie chudy mężczyzna o śniadej cerze i czarnych włosach przykleknął przed podestem. – Zajmuję się wytwarzaniem broni i pancerzy. Sprowadzałem węgiel z Utvinu, ale ostatnie dwa transporty zostały oclone niemal dwukrotnie wyżej niż poprzednie. Celnicy upierają się, że to nie jest ich błąd, tylko mój, dlatego proszę waszą miłość o pomoc.

– Uważacie – podniósł głos, by słyszeli go zgromadzeni na końcu sali – że król nie ma ważniejszych spraw na głowie niż liczenie waszych ceł? Nie słuchało się uważnie ogłoszenia nowego prawa celnego, co? – zwrócił się do kupca z nienawiścią w oczach. – Od dwóch pełni węgiel ma wyższe cło, jeśli jest sprowadzany drogą lądową. Urzędnicy mieli rację, zegnam.

Zszokowany kupiec przez chwilę wpatrywał się w oblicze władcy czarnymi oczami, ale potem bez słowa udał się do wyjścia, nie chcąc narażać się straży.

– Kapitan Donnentern, w sprawie piractwa.

Tłum ożywił się, ale został szybko uspokojony przez wrogie spojrzenia żołnierzy brzdękających bronią przy pasach.

– Wasza miłość! – Barczysty, bardzo jasny blondyn przyklęknął na jedno kolano. – Jestem zarządcą portu w Norstadzie i chciałem zameldować, że doszły mnie ostatnio słuchy o kolejnych pirackich atakach na kupieckie okręty.

– Słuchy was doszły, kapitanie? – zapytał kpiącym tonem król. – A od kiedy to wojsko przejmuje się słuchami, a nie dowodami. Czy jakieś statki wróciły ograbione? Czy w porcie jest ktoś, kto przeżył taki atak i może wskazać winnych? Czy patrole widziały pirackie okręty?

– Melduję, że nie... – Kapitan stracił animusz.

– To zawiadomcie mnie niezwłocznie, jeśli takie dowody się pojawią, koniec audiencji. – Król z trudem podniósł się z tronu i powolnym, kulawym krokiem skierował się ku drzwiom.

– Mytel! – ryknął, gdy tylko znalazł się w korytarzu.

Uczony dobiegł do władcy, nim ten zdążył dokuśtykać do swojej sypialni. Powoli szedł obok, starając się nie wyprzedzić swojego króla nawet o pół kroku.

– Słyszałeś coś o piratach? – zapytał ponurym głosem król.

– Tak, wasza miłość. – Mytel ostrożnie dobierał słowa, rozmawiając z władcą. – Słyszałem, jak kupcy skarżyli się, że ich transporty przepadają, ale świadków takich ataków nie ma. Żadne większe jednostki nie zostały zaatakowane.

– Dużo było tych ataków? – Przed Kunglinem otworzyły się drzwi.

– Oprócz tego, któremu zaginęły szlachetne kamienie, nie wróciło jeszcze pięć statków w ciągu ostatniego miesiąca, wasza miłość. – Uczony zamknął za sobą drzwi.

– Poprzedniej jesieni mieliśmy podobny przypadek, nie ma co się tym przejmować. – Król położył się, wzdychając ciężko.

– Ale jak to? – Uczony rozłożył ręce. – Mamy się nie przejmować piractwem?

– Jeśli twój władca mówi ci, żebyś się czymś nie przejmował, to masz tak zrobić! – Podniósł się na jednym ramieniu i stęknął. – Podważanie mojego zdania i zadawanie zbyt wielu pytań może się źle skończyć.

– Tak jest, wasza miłość... Nie będę już. – Uczony spuścił głowę.

– A i jeszcze jedna sprawa! – Król pogroził grubym palcem. – Wkrótce w naszym skarbcu pojawi się trochę złotych monet. Oczywiście nie muszę powtarzać, żebyś nie dopytywał, skąd się wzięły, prawda?

– Oczywiście, wasza miłość. – Sługa skłonił się.

– Jak ja lubię z tobą współpracować, kiedy nie jesteś załośnie dociekliwy. – Kunlig uśmiechnął się, aż ciarki przebiegły po karku Mytela.

– Wyślij list do Halvstadu.

– Do Halvstadu? – Uczony zdziwił się.

– Do Halvstadu! – warknął. – Chyba tego miasta woda jeszcze nie zmyła?!

– Nie... – Uczony nie odważył się podnieść wzroku. – Jakiej treści ma być list?

– Zawiadom ich, że król przybędzie na inspekcję portu i żeby rozpalili ogień na szczycie wieży. – Władca położył się na plecach, wpatrując w ozdobny baldachim.

– Po wysłaniu wiadomości przygotować królewski orszak? – Głos uczonego załamał się nieco.

– Jedna karetka i czterech zbrojnych konno wystarczy. – Król westchnął. – Ty jedziesz ze mną.

– Pani kapitan! – Na dziób jednomasztowego okrętu przybiegł brodaty marynarz w znoszonych łachach. – Pani kapitan! Na horyzoncie widać barkę, tassaricka bandera.

Wysoka, szczupła kobieta o płomiście rudych włosach odwróciła się do marynarza. Miała idealnie białą skórę, piękną twarz i zaskakująco czarne oczy. Nosiła męskie spodnie i niedopiętą do końca koszulę, wszystko w czerni.

– Ustaw kurs, Tyt – odpowiedziała czarującym głosem. – I pogoń te psie mordy, szykujemy się do ataku.

– Aye! – Marynarz aż podskoczył. – Się robi!

Kobieta przeszła po pokładzie, lekko stawiając długie, szczupłe nogi. Przytrzymała się masztu i spojrzała w stronę zbliżającej się barki. Był to zwyczajny szeroki, płaskodenny statek, który przewoził ciężkie towary. Na maszcie powiewała błękitno-niebiesko-granatowa bandera. Barka płynęła przy samym brzegu, prawdopodobnie z portu w Pohlinie do Harbstadu. Atak w takich okolicznościach był niezwykle ryzykowny, ale ona lubiła ryzyko jak nikt inny. Po kilku schodkach zeszła pod pokład, by zerknąć na pracujących wioślarzy. Wśród nich dało się zauważyć rudowłosych



Bernsternczyków, blondynów z Utvinu, śniadych mieszkańców Barbasu, a nawet zupełnie czarnych mężczyzn z plemion krain leżących na dalekim wschodzie.

Była jedyną kobietą na statku, kapitanem, a resztę załogi stanowiła zbieranina przestępców i biedoty z całego świata. Jej okręt miał jeden maszt i dwanaście rzędów wioseł. Był niewielki, ale zwrotny i szybki, a w dodatku uzbrojony w dziewięć armat. Wróciła na pokład i stanęła za sterem. Sprawdziła, czy jej delikatnie zakrzywiony miecz luźno leży w pochwie, i czujnym wzrokiem spoglądała w stronę barki zbliżającej się z każdym ruchem wioseł.

– Pani kapitan! – Dobiegło do niej z zejścia na dolny pokład. – Strzelać?

– W łeb sobie strzel, durniu! – warknęła w odpowiedzi. – Barka ma być cała, bez draśnięcia! Jak inaczej weźmiemy ładunek na północ? W zęby to weźmiesz?

Pirat schował się bez słowa, a po chwili na górnym pokładzie zaroilo się od mężczyzn w znoszonych ubraniach z mieczami, toporami, trójzębami i sztyletami w dłoniach.

– Wy wszy! – Spojrzeli na panią kapitan. – Abordaż musi być skuteczny. Nikt nie może ujść z życiem. Dotarło?!

Odpowiedział zgodny chór.

– To szykować te tępe druty!

Gromkie okrzyki rozeszły się po pokładzie, barka była już na wyciągnięcie ręki. Widać było przerażenie w oczach niewielkiej załogi, która nie spodziewała się żadnego niebezpieczeństwa przy samej linii brzegowej. Spod pokładu rozbrzmiał rozkaz i wiosła na lewej burcie schowały się do wewnątrz. Statki zderzyły się burtami, a banda piratów wpadła na barcę. Jeden z marynarzy rzucił się w morze i próbował dopłynąć wpław do brzegu.

– Terk! – krzyknęła, wisząc na linie. – Bierz tą gnidę w wodzie! Nikt nie może uciec!

Rudy pirat chwycił długi sztylet w zęby i skoczył za burtę. Doścignął go w mgnieniu oka, a po chwili na wodzie pojawiła się czerwona plama. Już po kilku minutach przeraźliwie skutecznego i brutalnego ataku barka trafiła w ręce piratów.

– Dobrze, smrody! – krzyknęła kapitan. – Teraz zrobić miejsce! Idę sprawdzić, co wieźli. – Zgrabnie zeskoczyła z relingu na pokład barki i weszła między ładunek. W beczkach znajdowały się ryby zasypane solą,

suszona wieprzowina i mnóstwo wina. W skrzyniach znalazła stalowe narzędzia, a między tym równomiernie rozłożone długie bale drewna. – Jak to zaholujemy na północ, to nieźle zarobimy – powiedziała do jednego z marynarzy. – Jedzenie, drewno i narzędzia. Tam tego nigdy za dużo. Przywiążcie cumy i do wiosł, chamy!

– Się robi! – Podskoczył jeden i pobiegł na rufę.

– Pani kapitan! – wydarł się czarnoskóry Azuańczyk siedzący na bocianim gnieździe. – Ogień! Ogień w Halvstadzie!

– Ogień, durniu! – krzyknęła i zwróciła się do rudego pirata stojącego przy kole sterowym: – Trzeba będzie zmienić plany. Nie lecimy od razu na północ, zatrzymamy się w Halvstadzie.

– Aye! Ale co z ładunkiem? – zapytał, kręcąc sterem.

– O wszystkim muszę myśleć sama, wy durne szczury! – Podeszła do steru. – Opłyniemy półwysep, zakotwiczymy ładunek gdzieś na otwartym morzu między Halvstadem a Norstadem. Połowa załogi zostanie na barce, żeby nam jej nikt nie zwinął, a statkiem popłyniemy do portu.

– A to nie jest za duże ryzyko... – zapytał niewysoki pirat z długą czarną brodą, ale momentalnie został powalony kopniakiem na ziemię.

– A to przypadkiem nie jest mój statek, łajzo? – zapytała, stawiając mu skórzany but na klatce piersiowej. – Ojciec chce się ze mną spotkać, więc dotrę tam, choćbym miała was potopić.

Królewski powóz minął ratusz miejski w Halvstadzie i skierował się dalej przez niemal prosto wbity w Morze Zachodnie półwysep Halv. Na samym końcu skalistego półwyspu znajdowała się wieża Halvstad i port o tej samej nazwie. Właśnie w jego okolicach mieszkańcy wydobywali największe ilości bursztynu. Sama wieża służyła nie tylko jako siedziba zarządcy portu, ale była również latarnią morską. Jednak z rozkazu króla Kunglina ogień zapalano tylko na jego wyraźne polecenie.

W ozdobnej karecie, osłanianej przez czterech najemników, leżał wygodnie władca Bernsternu, a obok niego siedział uczony Mytel. Podróż po szerokiej, równej i wyłożonej płaskimi kamieniami drodze przebiegała bardzo sprawnie i szybko.

– Mytelu – przemówił wreszcie Kunglin, który nie odzywał się prawie w ogóle – wiesz, co masz robić, jak dojedziemy na miejsce?

– Nie, wasza miłość – odpowiedział ostrożnie. – Nie było jeszcze instrukcji.

– Nie było instrukcji. – Prychnął. – No to nadstaw tych swoich uczonych uszu i słuchaj instrukcji. Zarządca portu... – Zamyślił się. – Dynelf czy jakoś tak. Zajmiesz go kontrolą. Sprawdzisz, jak idzie przeładowywanie towarów, wydobywanie bursztynu, wszystko to, co by trzeba było skontrolować. Rozumiesz?

– Oczywiście, wasza miłość – odparł sługa, po czym zaryzykował i zapytał: – A co w tym czasie będzie robić wasza miłość?

– Ja w tym czasie będę na spotkaniu w bardzo dobrym towarzystwie omawiał poważnie międzynarodowe sprawy. – Król podniósł się z trudem. – Trzeba wybadać grunt pod przyszłe interesy. Podaj mi te paszteciki, zaraz zdechnę z głodu.

Karczmy portowe nie cieszyły się nigdy dobrą renomą. Z tą, w której kapitan pirackiego statku miała się spotkać z ojcem, nie było inaczej. Zatechłe, ciemne i brudne pomieszczenie mieściło w sobie kilka koślawych stolików i bar składający się z grubej dechy stojącej na czterech beczkach. Jedynym źródłem dziennego światła była dziura w dachu, a komnatę oświetlały dwie niemiłosiernie kopzące pochodnie. Speluna znajdowała się bardzo blisko doków. Przebywały tam tylko najgorsze szumowiny, które miały zakaz wstępu do innych knajp, albo biedacy, których było stać tylko na alkohol oferowany tutaj.

Bernstern należał do najbogatszych krajów, więc klientela tego lokalu nie mogła być liczna. Dlatego było to wyjątkowo dobre miejsce na spotkanie, które miało pozostać w tajemnicy. Piratka nie chciała zwracać na siebie uwagi, więc poza charakterystycznym dla siebie męskim strojem zarzuciła na rude włosy szeroki kaptur. Zamówiła kufel piwa, ale tylko po to, żeby nie wzbudzać zainteresowania podejrzanie wyglądającego karczmarza. Piła w życiu różne świństwa, ale mętny płyn z żółtawą pianą na wierzchu wybitnie jej nie podchodził. Zajęła miejsce w dusznym kącie sali, skąd mogła obserwować cały lokal. Goście wpatrywali się mętnym wzrokiem w brudne szklanki, a część już przysypiała na stołach. Wreszcie krzywe drzwi otworzyły się i na salę wtoczył się otyły mężczyzna w poszarpanym, czarnym płaszczu z kapturem zakrywającym całą twarz.

– Witaj, tatuśku – rzuciła, gdy tylko podszedł do stolika.

– Immo! – Klapnął ciężko, aż zatrzeszczało krzesło. – Tyle razy ci mówiłem, żebyś mnie tak nie nazywała.

– To jak mam nazywać? Wasza miłość? – Białe zęby błysnęły spod kaptura.

- Milcz! – burknął. – Bez nazwisk!
- No już się nie unoś. – Imma rozparła się na krześle nieco lekceważąco.
- Po co chciałeś się spotkać?
  - Słyszałem pogłoski o tym, że transporty handlowe zaczęły znikać na morzu. – Spojrzał na nią podejrzliwie.
  - W przyrodzie nic nie znika, tatusiu. – Uśmiechnęła się czarująco, odsłaniając kawałek twarzy. – Ale można powiedzieć, że te transporty rzeczywiście mogły zmienić port docelowy.
  - Mam nadzieję, że nie muszę ci przypominać o naszym układzie. – Król zacisnął pięść.
  - Przypomnij mi – zażartowała, ale widząc czerwien bijącą spod kaptura, zmieniła ton. – Oczywiście, że pamiętam. Dostaniesz swoją dolę. Nie trzeba było od razu organizować spotkania. Pieniądze dotarłyby też do Warfstadu.
  - Bardzo mnie to cieszy, bo karanie mojego ulubionego bękarta nigdy nie było dla mnie miłym przeżyciem. – Wskazał na nią palcem. – Ale to spotkanie nie dotyczy pieniędzy. Zanim przejdziemy do sedna, mam nadzieję, że pamiętasz o tym, że nie wszystkie statki możesz napadać?
  - Oczywiście. – Uśmiechnęła się, pokazując białe zęby. – Bursztynowe figury stanowią dla mnie zakazany owoc. Ale mów, po co się spotkaliśmy, bo aż dygoczę z ciekawości.
  - W wojnie na południu zginęło dwóch władców, ale tylko jeden mnie interesuje. Teraz królem Erskinu został bardzo młody chłopak, więc stwarza to szansę, żeby zająć należne nam miejsce. – Złowieszczy uśmiech przebiegł przez jego tłustą twarz.
  - Zamieniam się w słuch. – Dziewczyna podparła brodę dłońmi.
  - Ten młokos nie ma doświadczenia w rządzeniu krajem, ale co ważniejsze, nie ma też doświadczenia w ocenianiu ludzi i to wykorzystamy... – ściszył głos. – Musimy zrobić to wszystko w białych rękawiczkach. Tak, żeby w razie niepowodzenia cała wina spadła na kogoś innego. Rozumiesz?
    - Tak. – Imma klasnęła w dłonie. – Robi się coraz ciekawiej!
    - Cicho! – syknął. – Popłyniesz do Barbasu sprzedać im to, co zwinęłaś. Wysiądziesz na ląd w Bandarag i ruszysz w drogę do miasta Pandey. Tam spotkasz się z ich królem Vizeyem i przedstawiś mu naszą propozycję.
    - Chwila, chwila. – Pokiwała palcem. – Chcesz, żebym popłynęła na Morze Północne, do zupełnie nieznanego mi kraju i spotkała się z jego królem, wcześniej jadąc ze dwa tygodnie przez pustynię?

– Po pierwsze, Immo. – Stracił swoją dłoń i jej wystający palec. – Oboje wiemy, że pływasz na Morze Północne i tam sprzedajesz zwinięte towary. Po drugie, przejazd przez pustynię to doskonała rozrywka dla kogoś, kto całe życie spędza na morzu. A po trzecie, nie zapominaj, dzięki komu możesz prowadzić swój mały interesik.

– Ale ja nie mówiłam, że tego nie zrobię. – Dziewczyna uśmiechnęła się niewinnie. – Tylko dopytywałam, czy dobrze zrozumiałam. Nadal pozostaje sprawa rozmowy z królem. Raczej trudno wejść do niego tak prosto z drogi.

– Ten problem też rozwiązałem. – Sięgnął pod płaszcz, rozglądając się, czy nikt nie patrzy. – Masz tutaj list królewski potwierdzający twój status ambasadora.

– O! Bardzo miły prezent. – Imma schowała zwój pod płaszcz.

– Teraz czas na najważniejsze. – Król przysunął się najbliższej stołu, jak tylko pozwalał mu brzuch. – Słuchaj uważnie i wszystko zapamiętaj, żebyś nic nie przekreśliła.

– Tak jest, wasza miłość. – Zachichotała.

## Rozdział VII

Kapłanka Sag Bas przeszła przez grootę, wędrowała lasem, potem bagnami, aż wreszcie trafiła na puste już pola uprawne w okolicach pierwszych wsi. Wyszukiwała w pamięci najkrótszych dróg, dzięki temu w zaledwie kilka dni udało jej się przedostać do stolicy królestwa Tolimurai, miasta Nati. Płynęła przez nie rzeka Kolima, dzięki której miasto wyrosło na najważniejszy ośrodek w całym kraju. Co prawda, na obrzeżach stawiano domki z byle czego, co najczęściej oznaczało gałęzie, trzcinę i glinę, ale im bliżej centrum, tym zabudowa wydawała się bogatsza.

Kapłanka przechadzała się kamiennymi ścieżkami, przyglądając się miastu. Nie była poza świątynią od dawna, więc każdy element świata wydawał się jej nowością. Mieszkańcy Tolimurai w ogromnej większości mieli ciemne włosy i ciemniejszą karnację skóry. Mijając piętrowe, brązowe budynki z ozdobnymi balkonikami, dotarła na kwadratowy plac porośnięty zieloną trawą, na którym rosły niewielkie, kuliste krzewy, przypominające kolorem ciemnozielone bańki w pracowniach alchemicznych. Krzątało się po nim kilkudziesięciu służących w popielatych strojach, przycinając i podlewając krzewy.

– Varav – przywitała się z jednym z nich. – Gdzie można się tutaj umyć i zjeść?

– Itai, Itai – burknął i uciekł.

– Pewnie służący nie mogą rozmawiać z obcymi. – Usłyszała w głowie głos Hexa. – Musisz spytać kogoś innego.

– Kim pani jest?

Juvi otrząsnęła się i zobaczyła wpatrującą się w nią dziewczynę, może w wieku Hexa. Miała pucułowate policzki, cudowny uśmiech, czarne oczy i czarne, falujące włosy, sięgające do ramion. Była niższa od kapłanki mniej więcej o głowę, ale bardzo kobieca. Krągłe piersi i biodra dodawały jej uroku. Wyciągnęła ku niej drobną dłoń.

– Ma pani cudowne ubrania – powiedziała, dotykając szarego, wełnianego płaszcza. – Nigdy wcześniej takich nie widziałam.

– Jestem Juvi, kapłanka Sag Bas – odpowiedziała zdziwiona. – A ty?

– Mossa Kalla, służąca na królewskim dworze. – Dziewczyna skłoniła się.  
– Przepraszam, ale nie znam tej religii.

– Jeśli będzie możliwość, to chętnie ci o niej opowiem, dziewczynko. – Juvi uśmiechnęła się do niej. – Powiedz mi, czy jest tutaj jakieś miejsce, w którym mogę się odświeżyć?

– Mamy łaźnie, ale... – Dziewczyna zamyśliła się. – Pani nie jest stąd, nie wygląda na tutejszą, więc będzie problem, ale... Mieszkam z rodzicami za pałacem, domek jest malutki, ale mamy łazienkę, więc może pani z niej skorzystać.

– Dziękuję... – zająknęła się Juvi. – To bardzo miłe z twojej strony, ale...

– Chodźmy! – zaszczębiotała zadowolona Mossa.

– Ale mówiłaś, że jesteś służącą. – Kapłanka zatrzymała ją. – Na pewno nie będziesz miała problemów, jeśli znikniesz im z oczu?

– Nie! – odparła z uśmiechem dziewczyna, ale nie było widać w jej oczach przekonania.

– Idź z nią, lepszej okazji możesz nie mieć. – Usłyszała podpowiedź w głowie.

– No dobrze, dziękuję bardzo. – Uśmiechnęła się. – Prowadź, Mosso.

Minęły pałac z białego kamienia, na którego froncie stały dwie wieżyczki przykryte złotymi kopułami, i ruszyły ścieżką między niskimi, niewielkimi domami z kamienia. Służąca skręciła nagle i złapała za klamkę jednego z nich. Niebieskie drzwi otworzyły się bez problemu i Juvi znalazła się w pomieszczeniu, które mogłaby przemierzyć w czterech krokach. Stał w nim niewielki stolik z czterema krzesłami oraz kilka jasnych szafek.

– Łazienka jest w następnym pomieszczeniu – powiedziała dziewczyna. – Proszę wejść, a ja zaraz przyniosę wodę.

– Dziękuję, jesteś naprawdę bardzo miła. – Juvi rozpięła płaszcz.

Dziewczyna wyszła z wiadrem, a Juvi rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu dumnie nazywanym łazienką. Na środku stała balia, od której niewielka rurka wychodziła przez ścianę na zewnątrz. Obok balii stał stołeczek, a w rogu powieszono kilka kołków, które prawdopodobnie miały służyć za wieszaki. Kapłanka zsunęła z siebie biały kombinezon z rozcięciami na nogawkach i rękawach i zawiesiła na nich wraz

z płaszczem. Pas ze sztyletami położyła na stołeczku, by mieć go pod ręką, i weszła do balii.

Po chwili Mossa zalała ją przyjemnie ciepłą wodą. Juvi liczyła, że będzie mogła chwilę posiedzieć w samotności, ale dziewczyna usiadła na brzegu wanny.

– Opowie mi pani o tej religii? – zapytała.

– Oczywiście... – Zawahała się. – Żebyś zrozumiała, na czym polega ta religia, musimy zacząć od początku, a żeby cię nie zanudzić, to opowiem w skrócie. Dawno temu cały świat wyznawał jedną wiarę, właśnie Sag Bas. Jest to wieczny cykl życia i śmierci, wszystko zachowane w idealnej jedności i równowadze. Świątynia Sag Bas jest nie tak daleko stąd, ale ludzie odwrócili się od wiary, wymyślili swoje własne państwa i swoich własnych bogów. Ja jestem ostatnią kapłanką Sag Bas. Naszą misją była opieka nad świątynią, krzewienie wiary i składanie ofiar. – Dziewczyna wpatrywała się w nią czarnymi oczami. – Każda z nas była biegła w nauce i sztukach walki. W podziemiach świątyni płonie Wieczny Ogień, którego dym uspokajał ofiary, obok ognia znajduje się Źródło Życia, zbiornik wodny, do którego spływała też krew ofiar, a zaraz przy zbiorniku rośnie Drzewo Śmierci. To drzewo żywi się wodą i życiem ofiar, tak jak w świecie śmierć żywi się życiem. Celem Sag Bas jest utrzymywanie wszystkiego w idealnej równowadze. Istnieje starożytna przepowiednia, w której zapisano, że kiedy już wiara wymrze niemal całkowicie, pojawi się ktoś, kto stanie się Płomieniem rozpalającym ją na nowo.

– Kto to będzie? – zapytała Mossa, słuchając z wypiekami na twarzy.

– Właśnie do tego zmierzam. – Juvi uspokoiła ją gestem. – Kilka miesięcy temu w świątyni zjawił się chłopak z jednej z małych wiosek niedaleko bagien. Był wychudzony i zaniedbany. Wydawać by się mogło, że trafił tam przez przypadek, ale nie tym razem. To przepowiednia zaczęła się ziszczać. Spełnił wszystkie warunki, które były zapisane w księdze, i rozpoczął trening. Dzięki temu wkrótce stanie się wielkim człowiekiem, który przywróci równowagę Sag Bas w całym świecie, zjednoczy go na nowo i ostatecznie.

– Atic... – Mossa rozmarzyła się. – Chciałabym zostać kapłanką tak jak pani. Chciałabym wiedzieć więcej o Sag Bas, ta religia jest dużo lepsza niż Ret. Ci kapłani są przerażający, milczą i rzucają te swoje proszki w ogień. Boję się ich, a pani... Pani jest miła, chcę, żeby wszyscy byli razem. Bez względu na to, czy jest służącym, czy królem.



– Hex! – Pomyślała Juvii. – To jest właśnie drugi cel mojej wyprawy. Ty masz się uczyć używania myśli, a ja mam znaleźć nowe kapłanki.

– Wiem o tym. – Usłyszała w odpowiedzi. – Przecież mogę być w twojej głowie. Zdażyłem złapać tę myśl. Jesteś przekonana, że ta dziewczyna się nada?

– Jest bardzo ciekawa świata, powinna się szybko uczyć...

– Zatem niech będzie. – Kontakt nagle urwał się.

– Dlaczego pani tak zamilkła? – spytała nieco przestraszona Mossa. – Powiedziałam coś nie tak?

– Nie, dziecko. – Juvii uśmiechnęła się. – Człowiek, o którym ci mówiłam, potrafi się ze mną komunikować, używając wyłącznie myśli, i teraz z nim rozmawiałam.

– Atic! – Dziewczyna aż klasnęła w dłonie. – Nie żartuje pani? To naprawdę bóg!

– Nie. – Juvii machnęła ręką. – Sag Bas nie jest bóstwem osobowym, a on jest, jakby to powiedzieć, najważniejszym jej wyznawcą, najwyższym kapłanem, który zyskał dodatkowe talenty.

Rozmowę przerwał hałas. Po chwili drzwi łazienki wypadły z hukiem, a w małym pokoju pojawiło się czterech mężczyzn ubranych w piaskowe mundury i długie kolczugi. Mieli w dłoniach zakrzywione miecze o szerokich ostrzach. Przewodziła im postać od stóp do głów ubrana na czerwono. Przerazona dziewczyna przewróciła się na podłogę i wcisnęła w kąt. Juvii siedziała w wodzie spokojna.

– Mossa Kala! – burknął jeden ze śniadych zbrojnych, miał najdłuższą brodę, sięgającą prawie do pasa. – Jesteś aresztowana za próbę wprowadzenia szpiega na teren pałacu! Twoi rodzice już wiszą na placu, teraz czas na ciebie!

– Jakiego szpiega? – odezwała się spokojnie Juvii.

– Milcz! – warknął. – Ty pójdziesz na tortury i wyśpiewasz królowi Tolviemu, kto cię przysłał.

– Ja pójdę na tortury? – Kapłanka zaśmiała się. – To miało zabrzmieć groźnie?

– Tiyak! – ryknął i we czterech rzucili się ku bali.

Juvii wyskoczyła z wody, chwytając niemal w locie obydwie sztylety. Skrzyżowała ramiona, ściskając perłowo białą broń w dłoniach, i czekała na dalszy rozwój sytuacji, ociekając wodą. Po chwilowej konsternacji żołnierze ruszyli do ataku. Obiegnęli balię z dwóch stron, otaczając nagą

dziewczyne. Najmłodszy spróbował silnego cięcia z góry, ale Juvi odchyliła się w prawo, przepuszczając uderzenie, i cięła go w odsłonięty kark jednym ze sztyletów. Na ostrzu pojawiła się krew, a żołnierz padł u jej stóp, nie dając oznak życia. Kapłanka skrzywiła się delikatnie i skoczyła w stronę drugiego z napastników. Ten próbował sparować ciosy sztyletów swoją bronią, ale nie był wystarczająco szybki i jeden z noży wbił mu się w okolicę obojczyka. Padł bez słowa, ale na skórze kapłanki w tym miejscu pojawiła się krew.

– Tiyak! Tiyak! – ryczał dowódca, ale sam nie pchał się do walki.

Popchnął w stronę dziewczyny ostatniego ze swoich ludzi, który machał mieczem, kręcąc młynki jak opętany. Kapłanka zgrabnie uniknęła każdego z ciosów, wskoczyła na krawędź balii i minęła go, lądując tuż za jego plecami. Kolczuga nie powstrzymała silnego uderzenia wąskiego ostrza w nerkę. Wyszarpnęła broń i z zaciśniętymi zębami doskoczyła do dowódcy. Złapała przerażonego mężczyznę za brodę, pociągnęła ku sobie i uderzyła łokciem w szyję. Żołnierz na kolanach próbował złapać powietrze, kiedy Juvi wbiła sztylet w jego udo i rozejrzała się. W pomieszczeniu została tylko postać w czerwieni, która – najwidoczniej sparaliżowana strachem – nie była w stanie się ruszyć. Cztery cienkie stróżki krwi spływały po jasnej skórze dziewczyny, wypływając z tych samych miejsc, w które trafiła przeciwników.

– Miałeś okazję zobaczyć, jak działają Kati. – Pomyślała. – Rany za chwilę się zagoją, ale widok kobiet bez żadnej zbroi, całych oblanych krwią był zatrważający dla wrogów.

– Nie wątpię – odparł Hex. – Chyba musisz się stamtąd wydostać i to szybko. Spójrz na kapłana.

Wykonała jego polecenie i aż zakręciło jej się w głowie. Postać w czerwieni zachwiała się i upadła, chwytając się futryny.

– To, że walczysz świetnie, już wiem. – Usłyszała damski głos, ale poznała, że to Hex. – Jednak może warto rozwiązać to inaczej. Zdejmij z nich kolczugi i weź ich broń, a ja za chwilę wrócę. Poczekaj tutaj.

– Chłopcze – zająknęła się. – Ty właśnie przeskoczyłeś w inną postać!

– Tak, chociaż nie było to najprzyjemniejsze, ale może się przyzwyczaje.  
– Ruszył do drzwi.

– Krew... – Mossa pociągała nosem. – Krew pani leci, trzeba...

– Nie, dziecko. – Juvi wzięła trochę wody na rękę i zmyła resztki krwi, pozostawiając na ciele niewielkie różowe blizny. – Dziękuję, ale już

wszystko jest w porządku. Tak właśnie działa Kati. Ten sztylet zabija jednym ciosem, wystarczy, że przetnie skórę, ale zostawia na ciele kapłanki niewielką ranę, która bardzo szybko się goi. W połączeniu z białym strojem wygląda to przerażająco.

– Rozumiem... – Dziewczyna zaczęła płakać.

– Co się stało? – Juvi wrzuciła na siebie swój strój i przyklęknęła przy dziewczynie.

– Rodzice... Król ich zabił, on zawsze zabija, gdy ma podejrzenia... Nie ma żadnej obrony... – Płakała. – Teraz pani pojedzie, a oni mnie znajdą...

– Weź się w garść! – Juvi podniosła głos. – Sprawdźmy, czy twoi rodzice naprawdę nie żyją, a jeśli okaże się to prawdą, to pojedziesz ze mną i zostaniesz kapłanką.

– Naprawdę? – Broda drżała jej jeszcze bardziej.

– Tak, a teraz weź się w garść. Nie mamy czasu do stracenia. – Kapłanka podeszła do zwłok. – Pomóż mi pościągać im te kolczugi.

Mossa otarła rękawem łzy i wzięła się do pracy, pociągając nosem. Mimo niewielkiego wzrostu i młodego wieku była całkiem silna i sprawnie poszło jej ściąganie kolczug z żołnierzy. Kiedy kończyły zbierać ekwipunek z ostatniego ciała, przed domem rozległo się rżenie konia.

– Mam wóz, którym spokojnie dojedziecie do granicy z Azu – powiedziała kobieta w stroju kapłana Ret, stając w drzwiach. – Załadujcie pancerze na wóz i wskakujcie. Ta kapłanka poprowadzi.

– Hex. – Juvi popatrzyła na niego. – Skąd pewność, że kapłanka nas dowiedzie do granicy? Będiesz w niej cały czas?

– Nie. Wie, co ją czeka, jeśli mi się sprzeciwi – odparł z lodowatym spokojem.

Religia Ret na wschodzie kontynentu była tak bardzo szanowana, że nikt, nawet żołnierze, nie ośmielił się zatrzymać wozu prowadzonego przez kapłana. Widząc charakterystyczną szatę, wieśniacy wbijali wzrok w stopy, a żołnierze patrolujący drogi usuwali się, pozdrawiając kapłana skinieniem głowy. To bardzo ułatwiło życie Juvi i Mossie, które spokojnie mogły zająć się podróżą.

Przez kilka pierwszych dni jazdy dziewczyna strasznie przeżywała śmierć rodziców, niemal nie przestawała płakać. Jednak Juvi udało się przekonać ją, że teraz rozpocznie nowy rozdział w życiu, a dzięki Sag Bas jej rodzice nadal żyją, tylko teraz są w innym momencie cyklu. Mossa była bardzo ciekawska, dlatego dopytywała o szczegóły i chłonęła wiedzę jak gąbka.

Juvi zaczęła od opowieści o samej religii i przekonania, że warto uwierzyć jej i Hexowi. Mówiła o zbiorach ksiąg zgromadzonych w świątyni i o wiedzy, jaką będzie mogła zdobyć, kiedy dotrą na miejsce.

Wieczory wykorzystywały do nauki podstaw walki. Dziewczyna nie była w tym aż tak biegła, ale braki techniczne nadrabiała siłą i zawziętością. Juvi pokazywała jej podstawowe formy ataku i obrony przy użyciu sztyletu. Zimą na wschodzie nie było mrozów, ale chłodne noce nie pozwalały kobietom spać pod gołym niebem, wykorzystywały więc towarzystwo czerwonej kapłanki, by nocować w wiejskich domach. Mieszkańcy bez słowa odstępowali swoje najlepsze pokoje, licząc na przychylną wróżbę Ret.

Po kilku dniach jazdy przez pola i wsie dotarły do gęstego lasu, gdzie poruszanie się wozem nie było już tak komfortowe. Zmieniły więc nieco trasę i podróżowały brzegiem rzeki Kolima płynącej do Azu, gdzie Juvi chciała się udać. Nad samą rzeką wiódł dukt, którym nieduży wóz mógł jechać bez przeszkód. W ciągu kolejnych dni podróży Mossa jeszcze bardziej wciągnęła się w trening. Walka szła jej coraz lepiej, a i te lekcje teoretyczne, które można było przekazać bez ksiąg, miały na nią duży wpływ. Był tylko jeden problem. Juvi nie miała żadnego kontaktu z Hexem. Kilka razy dziennie próbowała kontaktować się z nim myślami, ale nie otrzymywała odpowiedzi. Próbowała nawet pytać kapłanki, ale tamta uparcie milczała.

– Z tego, co pamiętam – zaczęła Juvi – to powinniśmy być już w Azu.

– Nigdy nie byłam w Azu. – Mossa rozglądała się z zainteresowaniem. – Jadąc z miasta Pandey, podróżowaliśmy przez Ujarę i Yelayin.

– Mieszkańcy Azu są bardzo wojowniczy i zazwyczaj najpierw atakują, a potem pytają, więc musimy uważać. – Kapłanka rozglądała się uważnie.

– Słyszysz to? – zapytała dziewczyna.

– Tak, to stamtąd. – Juvi wskazała dłonią na pobliskie drzewa. – Jakby odgłosy wioski.

– To też, ale... – Mossa zamyśliła się chwilę. – Jakby płacz i krzyki.

– Tak... Musimy to sprawdzić. – Kapłanka zeskoczyła z wozu. – Czekaj tutaj!

Po cichu przedzierały się przez gęstwinę i wreszcie ich oczom ukazała się wioska składająca się z pięciu drewnianych domków. Na środku placu płonęło ognisko, a obok niego stała szczupła dziewczyna o hebanowej skórze i krótkich włosach, ściętych przy samej skórze, przywiązana do pala.

Stała nago z rękami ponad głową, a wokół niej krążyli starsi mężczyźni z długimi witkami i uderzali ją kolejno. Na skórze dało się już zauważyć krwawe pręgi, a dziewczyna ledwo trzymała się na nogach.

– Biegnij po czerwoną – szepnęła Juvii. – Oni tutaj też wyznają tę wiarę, więc z jej pomocą może unikniemy bezpośredniego starcia.

– Dobrze. – Mossa zgrabnie wyskoczyła z krzaków, w których się chowała, i pobiegła do wozu.

Juvii obserwowała to, co działo się w wiosce. Siedmiu niewysokich, czarnoskórych mężczyzn krążyło wokół dziewczyny, rytmicznie objając ją długimi witkami. Usłyszała za sobą trzask gałęzi i spostrzegła, że Mossa i kapłanka Ret już się zbliżają. Wstała zatem i wyszła z krzaków. Rytuał został zatrzymany, a kiedy mężczyźni zobaczyli czerwony strój kapłanki, wbili wzrok w ziemię.

– Ut – zaczęła w azuańskim Juvii. – Co tutaj się dzieje?

– Ta... – Jeden z nich wskazał głową dziewczynę. – Chciała obalić wodza.

– Ta mała dziewczyna chciała obalić wodza? – Juvii uniosła brwi.

– Xa. – Kiwnął głową. – To kara za bunt. Najpierw chłosta przez cały dzień, a o zmierzchu ogień.

– Spalą ją? – szepnęła Mossa.

– Zaproponuj, że ją wykupisz. – Aż uśmiechnęła się, słysząc głos Hexa.

– Możemy uwolnić was od tego problemu. Wykupimy ją i odwieziemy do świątyni w Phedas.

– Eceh – mruknął jeden z nich i zwołał pozostałych.

– Zastanawiają się – podpowiedział Juvii Hex.

– A co masz? – zapytał inny z mężczyzn po skończonej naradzie.

– Broń i kolczugi – odparła.

– Ile? – mruknął siwowłosy siedzący do tej pory w cieniu.

– To wódz...

– Cztery tolimurajskie szable i cztery długie kolczugi. – Spojrzała w oczy mężczyzny.

– Zgoda – odpowiedział wódz, ale jakby nieco inaczej. – Rozwiązać ją, dwóch niech idzie po towary.

Długimi nożami rozcięli więzy, a dziewczyna padła na trawę. Nie miała siły nawet podnieść głowy. Mężczyźni dźwignęli ją niczym worek i pociągnęli między drzewa, w kierunku wskazanym przez Juvii. Azuańczycy rzucili dziewczynę na wóz, sprawdzili zawartość worka i zadowoleni z wymiany odeszli.

– Znajdź drogę przez las do Ujary. – Słyszała w głowie. – Patrę teraz na mapę i przez las biegnie dukt prowadzący prawie do granicy.

– Nie musimy się skradać, dam sobie radę w walce – odpowiedziała nieco obrażona.

– Dasz sobie radę, to oczywiste, ale masz na wozie trzy dziewczyny, które zginą od razu – odparł stanowczo.

– Kapłanek za jakiś czas będziesz miał mnóstwo...

– Będę miał! – Aż dreszcz przebiegł jej po kręgosłupie, słysząc ton jego głosu. – Ale póki nie mam, zależy mi na każdej z nich...

– Byłeś w ich umysłach?

Nie doczekała się odpowiedzi.

– Kapłanko – zwróciła się do kobiety w czerwonym stroju – w waszej świątyni uczą leczenia, zajmij się ranami tej dziewczyny. A ja poprowadzę wóz jak najdalej pozwoli księżyc.

Bezchmurna, ale zimna noc pozwoliła im podróżować bez przerwy. Koń ledwo już ciągnął i nad ranem musiały zrobić postój. Kapłanka rozpałała ognisko, a Juvi upolowała całkiem sporego ptaka, którego upiekły na ogniu. Azuanka obudziła się nagle i chciała uciekać w las, ale Mossa w ostatniej chwili złapała ją i powaliła na ziemię.

– Nie bój się! – mówiła. – Jesteś bezpieczna.

– Onu! – krzyczała, szarpiąc się. – Onu!

– Bug onu – szepnęła Juvi z przyjaznym uśmiechem. – Nikt cię nie zabije, z nami jesteś bezpieczna. Pamiętasz, co się stało wczoraj?

– Starszyzna chciała mnie zabić – odpowiedziała w swoim języku. – Bicie, wiązanie...

– Tak, tak. – Kapłanka uspokajała ją. – Ale potem my cię stamtąd zabrałyśmy. Sprzedali cię nam i teraz nikt cię nie zabije, rozumiesz?

– Co ze mną zrobicie? – Widać było przerażenie w jej czarnych oczach.

– Pojedziesz z nami do Ujary, potem wrócimy do Tolimurai, do świątyni Sag Bas – starała się odpowiadać spokojnie, by jej nie denerwować.

– Co? – Dziewczyna szarpnęła się.

– Wyjaśnię ci wszystko po drodze. – Juvi okryła ją szczelniej grubym kocem. – Jak masz na imię?

– Ahga – odparła.

– Ja jestem Juvi, jestem kapłanką Sag Bas. To jest Mossa. – Wskazała na ciemnowłosą dziewczynę. – Ona uczy się, by zostać kapłanką, a ta w czerwonym nie jest istotna. Mówisz po tolimurajsku?

– Trochę – powiedziała niepewnie. – Uczyłam się od handlarzy.

– Dobrze, nauczymy cię mówić lepiej. – Podała jej dłoń i pomogła wstać z ziemi. – Usiądź na wozie i nie uciekaj. Mossa i ja opowiemy ci trochę o tym, co cię czeka.

– Jestem teraz waszą niewolnicą? – Wsiadła na wóz niepewnie.

– Nie, nie jesteś niewolnicą. – Uśmiechnęła się Juvii. – Ale nie bardzo możesz wrócić do swojego plemienia, jeśli chcesz żyć. Sama w tych lasach też nie przeżyjesz, więc nie masz wielu innych opcji. Posłuchasz opowieści o Sag Bas, o tym, co robimy, i o zmianach w świecie, które nieubłagalnie się zbliżają. Potem zdecydujesz, czy chcesz się do nas przyłączyć.

– Przyłączyć? – Rozejrzała się wokół.

– Tak. – Juvii siadła obok kapłanki w czerwieni. – Nauczysz się czytać, pisać, poznać geografie, biologię, historię i wiele więcej, a przede wszystkim nauczyć się walczyć.

– Umieję walczyć! – Ahga oburzyła się.

– Oczywiście, nie wątpię w to. – Juvii uśmiechnęła się. – Ale nauczysz się tak walczyć, żeby zabijać najlepszych wojowników jednym ciosem sztyletu.

Ten argument sprawił, że czarnoskóra kobieta siedziała na wozie nieco mniej nerwowo. A ten pojechał dalej, aż udało im się znaleźć dukt, na który trzeba było skręcić, żeby dojechać do granicy państwa Ujara. Czerwona kapłanka siedziała na koźle obok Juvii, ale jak zwykle nie odzywała się nawet słowem. Z tyłu szczebiotała Mossa, opowiadając o tym, jak odważnie zachowała się Juvii, wykupując Ahgę z jej wioski. W opowieści krótkie negocjacje wyglądały jak przeddzień wojny, współplemieńcy dziewczyny targowali się zawzięcie, ale koniec końców kapłanka postawiła na swoim. Juvii uśmiechnęła się pod nosem, słysząc tę historię.

Jechały na zachód, więc robiło się coraz chłodniej i choć kapłanki Sag Bas nie odczuwały chłodu, to jej towarzyszki wyglądały na bardziej zmarznięte. Marzyła, żeby trafić na jakąś wioskę, w której mogłyby kupić cieplejsze ubrania i prowiant na dalszą drogę. Sakiewka przy pasie była ciężka od złota, ale mogła nie znaleźć miejsca, by je wydać. Wschodnie krainy były dosyć słabo zaludnione, a w dodatku Hex chciał, żeby podróżowały lasem, co nie ułatwiało znalezienia ludzi. Póki co musiały im wystarczyć ubrania służących z pałacu w Tolimuraj i trochę grubych koców, które przytomnie zabrały z domu Mossy.

## Rozdział VIII

Królewski orszak podróżował przez kraj, posuwając się na północ w ślimaczym tempie. Podróż wstrzymywali hrabiowie, których obyczaj nakazywał odprowadzić do ich rodzinnych siedzib. Oczywiście przy tej okazji upierali się, by podjąć całą wyprawę na uroczystej biesiadzie. Król, choć był zdania, że szkoda trwonić zapasy na takie bale, nie mógł postąpić inaczej. Nie chcąc splamić honoru żadnego z sojuszników, musiał zatrzymać się w ich siedzibach na trzy dni, w czasie których trwało święto.

W ten sposób tracił czas u hrabiego Duthbeina, w mieście Reimrah, w mieście Abrah, a nawet w Andskinie, gdzie mieściła się największa Akademia na całym świecie. To właśnie w niej kształcili się uczeni, których usługi cenili sobie władcy na wszystkich dworach. Najbardziej cenieni byli uczeni ze złotym obszyciem kaptura. Oznaczało to najwyższy poziom wiedzy, osiągnięcie mistrzostwa we wszystkich dziedzinach nauki, w Akademii wykładano między innymi medycynę, astronomię, botanikę, historię, geografę, kulturę, uczono wszystkich języków świata. Aby uzyskać brązowe obszycie kaptura, absolwent musiał zdobyć mistrzostwo w jednej z dziedzin nauki. Żaden z uczonych nie chciał umrzeć z brązem na kapturze, dlatego całe życie pogłębiali swoją wiedzę. Żeby zyskać srebrne obszycia, trzeba było rozwinąć się w kilku dziedzinach i poprzez to najlepiej jakimś odkryciem lub wynalazkiem. Tytuł Mistrza Akademii i idące wraz z nim złote nici przysługiwały tylko najwybitniejszym uczonym, dla których żadna z dziedzin nauki nie miała tajemnic, a w ciągu swojego życia wsławili się wieloma nowatorskimi pomysłami.

W czasie pobytu w murach Akademii to Iskel był najważniejszym gościem. Zdobył tytuł mistrza lata temu, na długo przed urodzeniem Kastila. Mógł zostać Arcymistrzem i rządzić Akademią, ale wybrał inną drogę, udając się na zamek w Erskinie, gdzie doradzał już trzem władcom.



Miasto Andskin również nie pożalowało zbrojnych na wyprawę, więc i tutaj trzeba było zabawić kilka dni. Na szczęście bliskość domu pozwalała poczuć się już zupełnie bezpiecznie. W bezchmurne dni z erskińskiego zamku było widać mury Akademii, a z Andskinu dało się dostrzec czarny kształt przeświętej góry Ersk, u stóp której zbudowano stolicę. Przemarsz zbrojnych ze stolicy i górali z północy nie trwał zatem długo, a kiedy orszak zbliżał się do miasta, mieszkańcy zorganizowali wielką fetę powitalną.

Główny trakt, prowadzący przez centrum miasta aż do bram zamku, udekorowano girlandami z kolorowych tasiemek. Wprowadzający wojska do miasta król Kastil został powitany głośnymi wiwatami. Mieszkańcy kłaniali mu się nisko, a pod końskie kopyta rzucali kwiaty. Sam młody władca niepomniecznie zmienił się w trakcie tej wyprawy. Opuszczając Erskin, był chowanym w złotej klatce chłopcem, a powrócił jako postawny mężczyzna i zaprawiony w boju władca. Urósł, nabrał ciała, przez co z dumą prezentował się w siodle, wyprostowany, z wysoko uniesioną głową. W jego wzroku nie było widać już bojaźni. Teraz patrzył spokojnie, ale władczo. Pierwsze ślady zarostu zaczynały pojawiać się na jego twarzy. Gdy dotarł pod mur swojej rodowej siedziby, zatrzymał konia i odwrócił się w stronę poddanych.

– Mieszkańcy Erskinu! – zaczął, a wiwaty stopniowo cichły. – Żołnierze! W trakcie tej wojny wydarzyło się wiele historii, o których później napiszą ballady. W trakcie tej wojny zginął mój ojciec Strik. Został zabity nie w rycerskim, honorowym boju, ale w trakcie tchórzliwej zasadzki! – Smutny pomruk rozszedł się w tłumie. – Nie pozostaliśmy jednak dłużni i król Fryder, władca Werdgwaldu, również został zabity! – Tę informację przyjęto z radością. – Po długiej i bohaterskiej walce rycerstwo odbiło Colbein – skłamał trochę. – Za co serdecznie dziękuję i czego nie zapomnę. W bitwie o Caerdinas ponieśliśmy klęskę, ale waleczność żołnierzy będzie wspominana przez wieki. Zamek był tak zniszczony, że postanowiłem zostawić go Werdgwaldowi w zamian za korzystną dla nas wymianę. Nasz skarbiec zostanie wypełniony ich złotem! Historia oceni, czy moje decyzje były korzystne dla kraju, ale zaświadczam wam, mieszkańcy Erskinu, że każda podjęta przeze mnie do tej pory decyzja była spowodowana troską o kraj i obywateli. Obiecuję wam też, że ta troska nigdy nie osłabnie! – Pozdrowił zebranych gestem, a tłum wiwatował jak oszalały.

Żegnany owacją skierował konia ku zwodzonemu mostowi. Zbliżał się do wysokich czarnych murów zamku, częściowo wykutych w skale, a częściowo wzniesionych z ogromnych kamiennych bloków. Mury opływała rzeka Issint, oddzielając górę Ersk od miasta. Pięciokątny front muru stanowił nieprzebytą przeszkodę od strony miasta. Od tyłu zamku broniła najwyższa zdobyta przez człowieka góra Ersk, która dała nie tylko nazwę całemu krajowi, ale także stanowiła integralną część fortecy. Brama, do której król się zbliżał, wydawała się zaledwie malutkim okienkiem w ogromnej ścianie. Długi most, gdy był opuszczony, pozwalał na przejście rzeki i wjazd na rozległy dziedziniec.

Po prawej stronie od wejścia pobudowano ogromne stajnie, pozwalające umieścić w nich kilkaset koni. Po przeciwnej stronie znajdowały się pomieszczenia gospodarcze, w których poza gromadzeniem drewna, siana czy narzędzi hodowano również trzodę. Dzięki takiemu rozwiązaniu nawet po utracie miasta i w trakcie oblężenia zamek nie był skazany na głód.

Władca patrzył jednak na wprost, a na sercu robiło mu się coraz cieplej. Gdy tylko wyjechał z tunelu bramnego, zobaczył front swojego domu. Wejście do głównej sali zamku znajdowało się ponad dziedzińcem. Dało się do niego dostać po szerokich schodach umieszczonych po obydwu stronach podwyższenia. W ścianie podwyższenia wybito dziewięć łukowatych wejść, którymi z kolei można było dostać się do podziemi. W nich znajdowały się pomieszczenia kuchenne, koszary dla wojska i lochy.

Nad rzeźbionymi stalowymi wrotami i częścią podwyższenia wybudowano zadaszenie, wyrastające ze zbocza góry, trzymające się na grubych i wysokich kolumnach, opartych na szerokich podstawach stojących na dziedzińcu. Na przedzie dachu widniał herb Erskinu i rodu Mithraidów. Z obu stron zadaszenia wznosiły się w górę dwie wysokie wieże. Stanowiły główną część zamku, dało się z nich wejść zarówno do głównej sali, jak i do części sypialnych. Z kolei obok podwyższenia wgryzały się w zbocze góry kolejne wieże, po trzy z każdej strony. Wybudowane na planie koła były połączone wewnętrznymi tunelami, które zapewniały doskonałą komunikację w wielkim zamczysku. Mniej więcej połowa każdej z nich została wymurowana, pozostała część była wykuta w skale.

Kastil jechał zaśnieżoną ścieżką, podziwiając swój dom. Ogrom czarnej budowli i majestat góry, w którą została wkomponowana, napawał szacunkiem nawet pana tego zamku. Skreślił na prawo w kierunku

schodów, przy których zeskoczył z konia. Chłopiec stajenny od razu odebrał królewskiego wierzchowca i poprowadził go w stronę stajni.

Młody król kroczył powoli po schodach, na których bez problemu minęłyby się dwa szerokie wozy. Jako dziecko lubił biegać po tych schodach, ale teraz pokonanie ich stanowiło spory wyczyn. Jego ciało było obolałe po podróży w siodle, a ciężar królewskiej zbroi dokładał swoje. Musiał wspiąć się prawie na wysokość połowy wieży, żeby znaleźć się na tarasie. Samo podwyższenie było na tyle szerokie, że można było na nim zorganizować bal.

Kastil zerknął przez lewe ramię i zobaczył dziedziniec pełen żołnierzy, którzy powoli zsiadali z koni. Ci, którzy byli mieszkańcami Erskinu, wydawali się nie zwracać większej uwagi na zamek, ale ci, którzy pierwszy raz widzieli zamczysko, rozglądali się z podziwem. Król minął otwarte wrota, zerknął na wyrzeźbione na nich sceny z dziejów kraju i wszedł do środka. Strop sali tronowej podtrzymywały dwa rzędy ośmiu grubych i wysokich kolumn. Na każdej z nich zwieszono cztery pochodnie dające wystarczająco światła, by oświetlić pomieszczenie, które było tak wielkie, że prosto z wrót ciężko było zauważyć tron znajdujący się na jego końcu.

Kroki króla niosły się echem po komnacie. Żeby podkreślić zjednoczenie zamku i królestwa ze świętą górą, tron wyrzeźbiono w skale. Siedzisko i oparcie wychodziły z kamiennej bryły wyrastającej z podłogi. Władca obszedł je dookoła, dotknął, ale nie usiadł. Stał za oparciem i wpatrywał się w otwarte wrota. Za tronem znajdowało się wykute w skale przejście prowadzące do królewskich komnat. Sypialnie dla gości były umieszczone za ścianami sali tronowej oraz w niektórych wieżach. Kiedy wreszcie usiadł na tronie i poczuł, jak bardzo był niewygodny, we wrotach zaroilo się od żołnierzy, którzy zostawiwszy konie, koniecznie chcieli obejrzeć wnętrze sali tronowej. Była surowa, ale na swój sposób piękna. Jej naturalne ściany tworzone przez górską skałę, kolumny podtrzymujące sklepienie oraz tron, jakiego nie było na żadnym innym zamku, sprawiały, że każdy chciał ujrzeć ten widok.

– Thondarze! – zawołał król, a bardzo wysoki służący od razu znalazł się przy nim. – Wiem, że jesteś zmęczony po podróży tak samo jak ja, ale pogoń służących, żeby zorganizowali poczęstunek dla gości.

– Tak jest. – Skłonił się. – Czy wasza miłość ma jakieś konkretne życzenia?

– Co się uda zrobić w miarę szybko. – Król uśmiechnął się. – Wszyscy są głodni po podróży, więc nie będą wybredni. Podamy jeszcze miód, wino i piwo. – Ściszył głos. – Tylko niech to podziela tak, żeby starczyło na koronację, bo Iskel będzie mi suszył głowę.

– Tak jest, wasza miłość. – Olbrzym ukłonił się i zniknął w bocznych drzwiach.

Kastil też podniósł się z tronu, ruszając w stronę swojej sypialni. Kroczył korytarzem oświetlonym przez pochodnie, zdając sobie sprawę, że znajduje się prawie pod wierzchołkiem góry Ersk. Skręcił w lewo w krótki korytarz prowadzący do komnat dla najbliższych króla i dotarł do swojej dawnej sypialni. Wychował się w tym pokoju, chciał się tutaj zatrzymać i teraz, znał przecież każdy kąt, ale nim zbliżył się do wejścia, inny służący otworzył kolejne drzwi, niejako zapraszając go do olbrzymiej sypialni królewskiej.

Rozejrzał się nieco zakłopotany, choć czasami zdarzało mu się bywać w sypialni ojca. Przy dwóch ścianach ustawiono długie regały pełne książek. Pod kolejną ścianą stało ogromne łóże z baldachimem, za którym wisiał gobelin z herbem Erskinu. Na środku stał okrągły stół z czterema krzesłami, a za wnęką drugiej z bocznych ścian znajdowała się wanna. Po obu stronach łóżka znajdowały się wysokie i szerokie szafy, a obok nich kufry. Kastil klapnął ciężko na jedno z krzesel i zaczął rozwiązywać rzemienie przy rękawicach.

Kilka chwil później siedział już w kamiennej wannie po brzegi wypełnionej parującą wodą. Zmęczenie wojną, utratą ojca, odpowiedzialnością, podróżą i balami powoli odpływało. Odchylił głowę i wziął głęboki wdech. Nie lubił biesiad tak jak jego dziadek. Przypominał sobie, jak siedział obok swojego ojca przy królewskim stole. Na początku wszyscy byli sztywni i starali się jak najbardziej podlizać królowi, a kiedy już alkohol rozwiązywał im języki, robiło się nieprzyjemnie.

Często dochodziło do bijatyk między gośćmi, a raz nawet ktoś zaczął obrażać jego ojca. Strik nie był rozsądnym i cierpliwym władcą, więc jeszcze tego samego wieczora rycerz został ścięty. Ciarki przeszły go na samą myśl o tym zdarzeniu. Ojciec uparł się, że skoro rycerz obrażał go osobiście, to on osobiście dokona egzekucji. Był świetnym wojownikiem, ale nie po alkoholu. Ledwo trzymając się na nogach, uderzył królewskim mieczem. Trafił rycerza w plecy, robiąc w nich sporą, ale nie śmiertelną ranę. Poprawił drugi raz, ale trafił w czubek głowy, odrabując kawałek

czaszki. Mężczyzna umierał w męczarniach, dopiero jeden z rycerzy wyrwał królowi miecz i dokończył egzekucję. Strik rano nic nie pamiętał i dopytywał, skąd tyle krwi na dziedzińcu.

– Wasza miłość! – Do wnętrza zajrzała starsza gruba służąca. – Przygotowałam królewski strój na bal. Gdyby wasza miłość był łaskaw i przymierzył. W razie czego zdążę jeszcze coś przeszyć.

– Tak, tak, tak. – Kastil spieszył się tym, że ktoś go ogląda siedzącego w wannie. – Dziękuję, zaraz to zrobię.

Kiedy tylko usłyszał dźwięk zamykanych drzwi, wyskoczył z wanny, szybko się wytarł i włożył strój przygotowany przez służącą. Założył na siebie szersze, proste, czarne spodnie z błękitnymi lampasami i czarną koszulę zapinaną na błękitne guziki. Na to zarzucił bluzę sięgającą kolan, również czarną z wyhaftowanym herbem rodzinnym. Przejrzał się w lustro i uznał, że wygląda niezwykle dostojnie, jak przystało na króla, a nie na chłopca. Usłyszał za sobą dźwięk otwieranych drzwi, ujrzał w nich Iskela.

– No, no. – Staruszek uśmiechnął się. – Wyglądasz po królewsku, ale brakuje jeszcze jednego elementu. Zakładaj koronę.

– Podróżną? – zapytał król.

– Oczywiście. – Uczony podał mu ją. – W oficjalnej koronie nie wysiedziałbyś nawet połowy balu, mój królu. Tamta jest tylko po to, żeby bogato wyglądała na najważniejszych uroczystościach. Nie pomylę się wiele, jeśli powiem, że będziesz miał ją na głowie dwa, no może trzy razy.

– No tak. – Kastil włożył na głowę stalową koronę ozdobioną diamentami. – Nie przypominam sobie, żeby ojciec czy dziadek chodzili w tej paradnej.

– A tak swoją drogą to przyszedłem tutaj, bo zasiedziałeś się nieco w tej wannie, mój królu. – Iskel uśmiechnął się.

– Oni to przygotowali tak szybko? – Król zdziwił się.

– Trzy godziny to nie tak szybko, ale część rzeczy była już gotowa. – Uczony rozłożył ręce. – Widzieli, jak wyruszamy z Andskinu.

– To chyba pora iść na salę. – Król westchnął.

– Oczywiście, ale najpierw chciałem ci kogoś przedstawić. Wejdz, dziecko! – krzyknął w stronę drzwi komnaty. – Zakładnik z Werdgwaldu zdążył dotrzeć tutaj trzy dni wcześniej niż my. Widocznie nie zatrzymywała się w każdym mieście na bal.

Do królewskiej sypialni weszła nieśmiało wysoka blondynka, ubrana w granatową suknię z czerwonymi wstawkami w pasie i na rękawach.

Suknia była dopasowana na górze, a od talii rozchodziła się i tworząc klosz, opadała do ziemi. Dziewczyna była niezwykle zgrabna, mniej więcej o pół głowy niższa od Kastila, a jasne, błyszczące, spięte w kucyk włosy sięgały jej do pasa. Ukłoniła się głęboko przed królem.

– To jest Rollo Goggleliw – przedstawił ją Iskel. – Córka Rywera, twoja zakładniczka i gwarant dotrzymania sojuszu, mój królu.

– Iskelu, nie wypada tak mówić o damie – zganił go król, uśmiechając się nieco niepewnie. – Witaj, pani. Nie chcę, byś czuła się w moim domu jak zakładnik. Dlatego korzystaj ze wszystkich wygód, jakie są tutaj dostępne. Jesteś gościem i zgodnie z obyczajem będziesz traktowana najlepiej, jak się da. Czy przydzielono ci już komnatę?

– Tak, wasza miłość – odparła z czarującym uśmiechem. – Służba na zamku była bardzo miła, choć nie wiedzieli, że mam przyjechać.

– Nikt nie spodziewał się ciebie tak wcześnie, panienko – wtrącił uczony.

– Ojciec nalegał, żebym wyjechała jak najszybciej. Mówił, że nie chce, by dane przez niego słowo mogło choć wydawać się nic nie warte.

– Rycerz Rywer stawia honor bardzo wysoko, zauważyliśmy, i dlatego król zgodził się, żeby to jego córka została gościem w Erskinie – odpowiedział Iskel, zauważając, że Kastilowi trudno zebrać myśli.

– Stawia honor ponad wszystko. – Przez jej śliczną twarz przebiegł cień smutku.

– Z tego, co zauważyłem, to Thondar usadził pannę Rollo przy królewskim stole, więc będziecie mieć okazję porozmawiać później, a tymczasem trzeba już iść, bo goście siedzą głodni! – Iskel popchnął delikatnie Kastila w kierunku drzwi.

Król Kastil wszedł na salę jako ostatni, tak jak nakazywał obyczaj. Cały podest zajmował długi stół królewski. To przy nim siedzieli najważniejsi goście balu zwrócenii twarzą do sali. Zanim usiadł na swoim miejscu, omiół wzrokiem salę tronową. Sześć rzędów stołów zmieściło się w pomieszczeniu, wszystkie miejsca po obu ich stronach były zajęte. Wreszcie zabrzmiał dzwonek, kilkudziesięciu służących wbiegło na salę z gąsiorkami z miodem pitnym i dzbanami pełnymi wina i piwa. Napelnili gościom kielichy i król mógł wznieść uroczysty toast.

– Szanowni goście! – zaczął przemowę, podnosząc swój puchar. – Zgodnie z obyczajem witam was w moim domu kielichem tego, co mamy w piwnicach najlepszego. Wypijmy za to, że dane nam było spotkać się tutaj w dobrym zdrowiu! – Pociągnął łyk, a za nim pozostali zebrani. –

Wypijmy za tych, którzy nie mogą z nami być! – Pociągnął drugi łyk. – Wypijmy za przodków i następców! – Znów się napił. – Wypijmy za powodzenie! Wypijmy za zwycięstwo! Wypijmy za to, żeby jutro było przyjazne, a jeśli nie będzie, to wypijmy tyle, żeby go nie dotrwać!

Wszyscy osuszyli kielichy do dna i odpowiedzieli gromkimi wiwatami.

– Udało ci się nie pomylić tekstu, mój królu – szepnął mu na ucho Iskel, którego akademicki status uprawniał do siedzenia po prawej stronie króla.

– Przypominałem go sobie przed wyjściem z sypialni, dlatego przyszedłem chwilę później – odparł.

– Mam tutaj specjalnie dla ciebie dzban z wodą – szepnął uczony.

– Po co? – Kastil spojrział na niego zaskoczony.

– Bo teraz zacznie się wznoszenie toastów przez każdego hrabiego i rycerza siedzącego pod tym dachem. – Wskazał wzrokiem salę. – Oni mają mocne głowy i wytrzymają to, a nawet jeśli padną, to nic wielkiego się nie stanie, ale ty musisz trzeźwo patrzeć na wszystko do końca.

– Mogę wcale nie pić albo po małym łyku jak na poprzednich balach. – Wzruszył ramionami.

– Nie możesz – odparł Iskel. – Obyczaj nakazuje, by król wypił do dna każdy toast, który gość wygłosi na jego cześć. Spójrz, ilu ich tutaj jest.

– Racja... – Kastil podstawił kielich, a Thondar nalał mu wody.

Rozmowę przerwał dzwonek, a na salę wjechały wózki obładowane jedzeniem. Wśród przystawek królowały wymyślnie przyrządzone warzywa i wytrwane ciastka. Nie brakowało również marynowanych ryb i wędlin. Przy okazji próbowania wszystkiego, co stało na stole, przyszła kolej na pierwszą partię toastów. Zaczęli hrabiowie z Kolmskinu, Noreskinu i Hofskinu, którzy z racji swojego stanu zasiadali przy stole razem z Kastilem. Wychwalali początek panowania nowego króla, schlebiali jego umiejętnościom w dowodzeniu armią i w polityce oraz przewidywali wspaniały czas dla całego kraju pod panowaniem nowego władcy.

Pałeczkę po nich przejęli dowódcy wojsk, którzy również zostali posadzeni razem z władcą. Ci bardziej skupiali się na odwadze Kastila, jego przebiegłości i umiejętności prowadzenia ataku, a także trosce o żołnierzy. Gdyby Kastil pił choćby najszabsze wino, to na pewno już by mu zaszumiało w głowie. Ledwie zdążył skubnąć trochę smażonych ziemniaków ze skwarkami, a wypił już cały dzban.

Kolejny dzwonek zawiadomił zebranych o tym, że czas na zupy. Na stołach rozstawiono wazy z zupą rybną, grzybową i rosółem. Aromaty

wypełniały ogromną grotę aż po sufit. Thondar, który był przybocznym króla, nalał mu rosół. Niektórzy próbowali każdej, a inni przeszli już do kolejnych toastów. Niżsi rangą dowódcy i ważniejsi rycerze zaczęli wstawać z pucharem w dłoni i kadzić królowi.

– Zajmij rozmową twojego gościa, mój królu – napomniał Kastila Iskel.

– O czym mam z nią rozmawiać? – szepnął nerwowo.

– Uczyłem cię przecież manier. – Spojrzał na niego groźnie. – Dziewczyna nikogo tutaj nie zna, czuje się zakładnikiem, jest niepewna, młoda, a jeśli rycerze się spiją, to zaczną ją podrywać. – Podniósł palec w górę. – Chyba że król będzie z nią rozmawiał. Chyba nie chcemy, żeby doszło do jakiejś tragedii, prawda?

– Och, dobrze. – Kastil westchnął i jakby trochę zbladł. – Porozmawiam z nią.

Dziewczyna siedziała po lewej stronie króla. To miejsce powinien zajmować ktoś o wyższym statusie, ale Iskel kazał Thondarowi przygotować je właśnie dla Rollo. Wy tłumaczył mu, że lepiej jej nie sadzać wśród rycerstwa, które ma pod ręką dużo alkoholu. Zauważył, że popijała wino i to nawet całkiem sporo, choć nie było tego po niej widać.

– Przepraszam, panienko – zwrócił się do niej – zaniedbałem cię, ale musisz mi wybaczyć. To mój pierwszy bal w roli gospodarza.

– Nie szkodzi, wasza miłość – odparła, nie podnosząc wzroku znad stołu.

– Dla mnie to ogromny zaszczyt móc siedzieć przy królewskim stole.

– A jak minęła podróż? – zapytał niepewnie.

– Bez problemów. Dopłynęłam statkiem do Bernsternu, a stamtąd prowadzi prosta droga do Erskinu. – Dziewczyna starała się nie patrzeć mu w oczy.

– Dobrze utrzymane szlaki handlowe to jeden ze znaków rozpoznawczych Bernsternu – odparł, nie wiedząc, co powiedzieć. – Jedzenie smakuje?

– Tak, wasza miłość – odparła. – Jest bardzo smaczne, choć inne niż w domu.

– Dolać wina? – Rozmowa wyraźnie mu nie szła.

– Dziękuję, wasza miłość. – Podniosła swój puchar. – To dla mnie ogromny zaszczyt.

– Twoje maniery pasują do królewskiego stołu, panienko Rollo – zauważył.



– Ojciec, mimo niezbyt dużego majątku, czuje się bardziej szlachecki od samego króla. – Zbladła, kończąc zdanie. – Proszę mi wybaczyć te słowa, wasza miłość.

– Szczerść to nic złego. – Kastil uśmiechnął się. – Tutaj możesz być sobą, nie musisz się obawiać, że mnie urazisz.

Dzwonek przerwał ich rozmowę, a na sali pojawiły się kolejne potrawy. Dało się zauważyć bażanty, przepiórki i kurczaki pieczone w całości, prosiaki, dziczyznę i różne rodzaje ryb. Wszystko parowało jeszcze, roznosząc przyjemny zapach. Do mięs podano gorący chleb, tłuczone warzywa i surówki. Kastil zerkał na jedzącą Rollo. Zauważył, że ma bardzo zgrabny, nieco zadarty nos, pełne usta i zielone oczy.

– Spróbuj chleba – powiedział. – Żona Thondara piecze najlepszy chleb na świecie.

– Dziękuję, wasza miłość – odparła, sięgając po niewielki bochenek.

Rozmowy nie ułatwiały toasty, król zauważył, że niektórzy rycerze mają już dość. Na końcu sali kilku z nich siedziało na podłodze z pucharami w rękach i śpiewało jakieś żołnierskie pieśni. Harmider nie pozwalał zebrać myśli. Setki ludzi rozmawiających w tym samym momencie brzmiały jak pszczoły we wnętrzu ula. Członkowie gwardii królewskiej pilnowali porządku i musieli już kilka razy interweniować, kiedy nadmiar alkoholu i wybujałe ego prowadziły do bójki. W sali tronowej nie było okien, ale sądząc po zmęczeniu, Kastil domyślał się, że niedługo zacznie świtać.

– Thondarze! – zawołał. – Podejź do kuchni i powiedz, żeby ostatnie danie zostało podane nieco szybciej.

– Ma rację. – Przytaknął Iskel. – Idź do kuchni, Thondarze.

Kastil odwrócił się do dziewczyny i dołączył jej wina.

– Jesteś zmęczona, panienko? – zapytał.

– Trochę, wasza miłość. – Po raz pierwszy spojrzała mu prosto w oczy.

– Rozkaz... – zająknął się. – Poprosiłem, żeby ostatnie danie podali szybciej. Potem bal się skończy. Jeśli będziesz chciała, to odprowadzę cię do twojej sypialni. W towarzystwie pijanych żołnierzy lepiej poruszać się pod eskortą króla.

– Dziękuję, to bardzo miłe ze strony waszej miłości. – Skłoniła się.

– Jeśli będziesz miała ochotę, to oprowadzę cię po zamku – ciągnął niepewnie. – Mamy tutaj sporą bibliotekę, do której masz oczywiście dostęp, możesz też pobierać naukę od Iskela i od innych uczonych na

dworze. Zorganizujemy to tak, żebyś nie nudziła się w tych komnatach. – Spojrzał na nią i nieco się wycofał. – Oczywiście jeśli będziesz chciała.

– W domu pobierałam nauki, więc gdybym miała taką możliwość też tutaj, to byłoby cudownie. – Rozpromieniła się.

– Zatem postanowione – odpowiedział z uśmiechem. – W ciągu najbliższych dni wszystkim się zajmę.

– Jeśli to nie będzie dla waszej miłości kłopot. – Skłoniła głowę.

– To będzie... – Nie zdążył dokończyć, bo dzwonek oznajmił ostatnie danie.

Tym razem podano ryby w galarecie, mięsa faszerowane warzywami i owocami oraz pasztety. Zajęty rozmową z Rollo Kastil zauważył, że niewielu zostało już chętnych do jedzenia. Podróż połączona z biesiadami na innych zamkach znacznie osłabiła możliwości rycerzy.

– Wasza miłość? – zapytała. – A czy nie musimy poczekać, aż podadzą desery?

– Na szczęście nie, zresztą i tak nic już bym nie wcisnął. – Zaśmiał się. – W Erskinie biesiada kończy się deserem tylko wtedy, gdy mężczyźni są zaproszeni z żonami. Taki zwyczaj.

– Rozumiem. – Rollo odstawiła kielich. – Czy wasza miłość mógłby mi wskazać, którądy najlepiej wyjść na zewnątrz? Chyba muszę się trochę przewietrzyć.

– Zaraz cię zaprowadzę. – Podniósł się. – Muszę tylko dopełnić obowiązków. – Wzniósł w górę kielich, a dźwięk dzwonka skupił uwagę gości na królewskim stole. – Szanowni goście! – zaczął. – Bawcie się, ile chcecie, zgodnie z obyczajem nikt was nie wyrzuci, ale pamiętajcie, że nawet królewska cierpliwość ma swoje granice. – Śmiech rozszedł się po sali. – Dobrej nocy!

Wypił ostatni kielich i odstawił go dnem ku górze. Odsunął krzesło Rollo i podał jej swoje lewe ramię. Skierowali się ku bocznemu wyjściu z sali. Trzeba było przejść dość długi korytarz, którego prawą ścianę zdobiły ustawione w równych odległościach dębowe drzwi komnat sypialnych. Korytarz kończył się wejściem do wieży, przez którą można było przejść do innych wież, zejść na niższą kondygnację albo wyjść na taras na zewnątrz.

– Nie miej mi za złe tego, że się tutaj znalazłaś – przerwał ciszę towarzyszącą ich marszowi przez korytarz. – Twój ojciec zaproponował, żebyś to ty była zakładnikiem, ale uzasadnił to w sposób, którego pewnie się nie spodziewasz. Powiedział, że robi to z ciężkim sercem i dla twojego

dobra, bo na królewskim dworze w Erskynie czeka cię lepsza przyszłość niż w rodzinnym domu.

– To miło, że wasza miłość tak mówi, ale znam ojca i wiem, że dla niego poświęcenie córki dla kraju to wielka nobilitacja i dlatego to zrobił. – Posmutniała.

Ciężkie drzwi wieży otworzył przed nimi jeden ze służących. Zaraz po wyjściu na powietrze poczuli chłód nocy. Wiosną o tej porze słońce byłoby już widoczne, ale teraz było jeszcze zupełnie ciemno.

– Rzeško. – Kastil zadygotał.

– Zdecydowanie. Może powinniśmy wracać, wasza miłość? – Rozejrzała się, kuląc ramiona.

– Ile masz lat, panienko Rollo? – zapytał nagle poważniejszym tonem.

– Siedemnaście, wasza miłość – odparła, lekko się wahając.

– Proszę cię zatem, żebyś przestała się do mnie zwracać w tak oficjalny sposób. – Stał przed nią. – Jestem Kastil i możesz do mnie mówić po imieniu.

– Ale to nie wypada... – Nawet w ciemności nocy widać było rumieniec na jej twarzy.

– Jestem królem. – Wskazał koronę na głowie. – Ja decyduję o tym, co wypada, a co nie.

– Nie wiem, czy dam radę tak się zwracać... Postaram się, przynajmniej wtedy, gdy będziemy sami. – Uśmiechnęła się szeroko. – Jestem Rollo.

– Chodźmy do środka, Rollo. – Ruszyli w stronę drzwi, które otworzono przed nimi. – Odprowadzę cię do twojej sypialni. Gdybyś czegoś potrzebowała, to wystarczy, że powiesz o tym któremuś ze służących.

– Dziękuję. – Zatrzymała się. – Tutaj jest komnata, w której mam mieszkać.

– Kazali ci mieszkać w tej z niedokończoną ścianą? – Zdziwił się. – Zaraz to zmienimy.

– Nie, nie trzeba! – Chwyciła go za ramię. – Sama wybrałam ten pokój. Nie jest największy, ale ta surowa skała bardzo mi się podoba.

– Skoro tak, to niech będzie. Ja mam sypialnię za tą właśnie grubą, surową, skalną ścianą. – Klepnął w kamień. – Dobranoc, Rollo.

– Dziękuję. – Spuściła wzrok, ale po chwili podniosła go ponownie z większą odwagą. – Dziękuję, że pozwoliłeś mi siedzieć przy twoim stole, że nie rozmawiałeś z możnymi, tylko ze mną, że chcesz, bym się tutaj czuła dobrze. Będziesz dobrym królem. Dobrej nocy.

## Rozdział IX

– Kiedy ta cholerna pustynia się wreszcie skończy?! – mruknęła Imma, poprawiając szelnie owijający jej twarz szal.

– Według mapy do miasta zostało pół dnia drogi, pani kapitan – odparł niewysoki pirat z krótką czarną brodą, równie szelnie owiniętą chustami.

– Pół cholernego dnia – marudziła. – Gdyby nie pomyślne wiatry, to dopiero byśmy schodzili na ląd... Mógł sam ruszyć to swoje tłuste dupsko. Tyle czasu w podróży i po co? Dla jakichś jego interesów...

– Pani kapitan – wtrącił Tyt – może czas na postój? Jest strasznie gorąco...

– Tyt, pchlarzu – syknęła, nie patrząc w jego stronę – mamy pół dnia drogi do miasta, wytrzymasz. I jeśli nazwiesz mnie panią kapitan w pałacu, to utnę ci język.

– Tak jest, pani... – Zawiesił głos. – A co właściwie mamy robić w tym pałacu? Morderstwo?

– Nie – burknęła. – Muszę tylko pogadać z królem Barbasu. Przekonam go, żeby upaprał sobie łapy, a my będziemy mieli z tego korzyść.

– Nie rozumiem, pani... – Ugryzł się w język w ostatniej chwili.

– Bo durny jesteś, Tyt. Chodzi o to, żeby ktoś odwalił robotę za nas. – Zamyśliła się na moment. – Jestem tutaj, żeby ktoś załadował złoto na statek, nanosił się ciężkich skrzyń, potem zabił załogę, a my wchodzimy na pusty okręt i odstawiamy go do siebie, zgarniając cały zysk. Teraz rozumiesz?

– Aye! Teraz już tak. – Rozweselił się.

– Według dokumentów, które dał mi... – Powstrzymała się w ostatniej chwili. – Które dostałam, nazywam się Derina Terenvik i jestem oficjalnym ambasadorem Bernsternu. Dlatego w pałacu najlepiej by było, jakbyś się w ogóle nie odzywał. Wśród arystokracji służący nie mają prawa głosu, więc uznajmy, że będziesz właśnie służącym, Tyt. Obserwuj, zapamiętuj, pilnuj, ale stój zawsze gdzieś z boku, póki cię nie zawołam, łapiesz?

– Tak, pani. – Uśmiechnął się podstępnie. – A jakby mi się jakieś złoto przyczepiło do ręki?

– To ci tę rękę wsadzę w rzyć! – Palnęła go w łeb. – Nie możemy wzbudzić żadnych podejrzeń, bo na statek wrócimy bez głów! Tobie to różnicy nie robi, tumanie, ale dla mnie byłaby to wielka strata.

Kolejne wydmy pokonywali konno, kierując się kompasem i mapą, na której zaznaczono charakterystyczne punkty występujące na pustyni, a odległości między nimi podano w dniach jazdy. Mapę dostali w porcie Bandarag, a sprzedawca wyjaśnił im, jak ją czytać. Na kawałku świńskiej skóry narysowany był port i Pandey, stolica Barbasu. Między tymi dwoma miastami naniesiono symbole i cyfry. Najpierw dwa dni mieli jechać prosto, kierując się na rozległą oazę. Po przejechaniu przez oazę trzeba było udać się na południowy wschód. Prosta droga na pustyni, gdzie trzeba przedzierać się między wydmami, była tylko pozornie łatwa. Musieli bardzo mocno trzymać się kierunków pokazywanych przez kompas. Zgodnie z legendą dołączoną do mapy po minięciu ostańca skalnego przypominającego maczugę zostało im pół dnia drogi. Słońce trzymali po swojej prawej stronie, a im niżej ono opadało, tym bardziej wyglądali murów miasta.

– Nie śpij, gamoniu. – Trąciła kimającego w siodle pirata. – Dojeżdżamy.

– Co? Już? – Chrapnął.

– Chyba dopiero, od tego konia rzyć mi odpadnie... – Przeciągnęła się. – Teraz weź jucznego i jedź trochę za mną i od tej pory nie chcę słyszeć żadnego słowa z twoich ust, sługo!

– Tak jest, pani! – Zasalutował komicznie, a Imma tylko westchnęła, poganiając konia.

Dojeżdżali do niezbyt wysokiego muru, zbudowanego z piaskowca, okalającego oazę stanowiącą miasto Pandey. Przy murach leżały naniesione wiatrem sterty piasku. Przy głównej bramie na warcie stało dwóch niewysokich śniadych mężczyzn ubranych w obszerne żółto-czerwone mundury. Byli uzbrojeni w tradycyjną broń Barbasu, czyli długie kije zakończone ostrzem przypominającym bardzo szeroką szablę, miejscowi nazywali ją Keechak. Kiedy tylko zbliżyła się do bramy, skrzyżowali swoje Keechaki, blokując przejazd.

– Nuka? – zapytał jeden z nich po barbasku.

– Derina Terenvik. Prowadźcie mnie, kmioty, do waszego króla, jestem ambasadorem Bernsternu – odpowiedziała w ich języku, choć z niezbyt

zgrabnym akcentem.

Widziała, jak zbledli i przez chwilę patrzyli na siebie, szukając rozwiązania, aż wreszcie rozsunęli się, umożliwiając jej wjazd. Jeden z żołnierzy krzyknął, a za murem pojawiła się grupka czterech kolejnych, którzy mieli eskortować panią ambasador. Po przejechaniu przez bramę rozejrzała się dokładnie. Widziała już kilka oaz w życiu, ale Pandey zaparł jej dech w piersi.

Po prawej stronie znajdowało się rozległe jezioro o brzegu porośniętym bujną roślinnością. Zieleń aż biła po oczach po tylu dniach patrzenia tylko na piasek. Wysokie drzewa porastały wolne przestrzenie między niewysokimi, malowanymi na kremowo parterowymi domkami. Dopiero te bliżej centrum, zamieszkane z pewnością przez bogatszych, miały wyższe piętro. Mimo powoli zapadającego zmroku na ulicach było gwarno. Przy straganach nadal kręcili się ludzie targujący się zawzięcie o każdy produkt, lecz kiedy zobaczyli jadącą przez miasto w towarzystwie czterech żołnierzy postać w czerni, odrywali się od swoich czynności i zerkali z zainteresowaniem.

Jeden z żołnierzy trzymał jej konia za uzdę i prowadził długą, brukowaną piaskowcem drogą między wysokimi palmami. Pozostali szli tuż obok, a Tyt wraz z jucznym koniem kilka kroków za nimi. Przy tej głównej drodze domy były zdecydowanie większe i lepiej zadbane, przed nimi znajdowały się oczka wodne, małe ogrody czy ozdobne płotki. Nie spodziewała się, że w środku pustyni może mieszkać tylu ludzi. Zatrzymali się przed innym jeziorem, przez środek którego biegł piękny most z białego kamienia z balustradą ozdobioną roślinnymi motywami. Na drugim jego końcu znajdował się parterowy biały pałac z kolumnadą na froncie. Był niewysoki, ale zajmował rozległy teren. Górowały nad nim cztery wieże z okrągłymi kopułami stojące na rogach.

– Zsiądź z konia, pani – odezwał się żołnierz. – Dalej należy iść pieszo.

Wykonała prośbę, zgrabnie zsuwając się z końskiego grzbietu, i w towarzystwie dwóch żołnierzy ruszyła mostem. Przed pałacem znajdowały się białe rzeźby ludzkich postaci i fontanny wyglądające niczym dzikie kwiaty. Imma udawała, że nie jest nimi zainteresowana, i pędziła prosto do wejścia znajdującego się między kolumnami. Pomieszczenie, w którym się znalazła, było wypełnione złotem, bursztynem i bielą. Żołnierze odprowadzili ją do środka i odmeldowali się. Natychmiast pojawił się jeden

z królewskich urzędników. Niewysoki, grubawy mężczyzna z wąsem, ubrany w luźną błyszczącą szatę w kolorze jasnego brązu.

– Saavat! – przywitał ją serdecznie. – To zaszczyt powitać ambasadora Bernsternu w progach naszego skromnego pałacu.

– Saavat! – Podała mu królewski list. – Derina Terenvik.

– Tak, tak, słyszałem, że ma pani nas odwiedzić. – Kłaniał się. – Król Vizey już czeka w sali tronowej.

– Oj! – Zatrzepotała rzesami. – Chciałabym się najpierw odświeżyć po długiej podróży. Czy nie będzie to zbyt wygórowanym żądaniem, jeśli poproszę o pokój z łazienką?

– Oczywiście, że nie. – Poprawił nerwowo wąsy. – Zapraszam za mną.

Poszedł przodem, a Imma ruszyła jego śladem. Tyt maszerował za nimi, ledwo taszcząc ciężkie kufry. Wyszli z sali i skręcili w boczny korytarz. Urzędnik zatrzymał się przy jednych drzwiach i otworzył je.

– Zapraszam, pani ambasador. – Wskazał pokój.

– Dziękuję bardzo. – Położyła mu dłoń na ramieniu. – Jest pan przemiły. Wrzuc bagaże do pokoju – zwróciła się do Tyta, który posłusznie wykonał polecenie.

– Będę czekał w sali kolumnowej – powiedział urzędnik, rumieniąc się.

– Oczywiście, za chwilę będę gotowa. – Uśmiechnęła się szeroko, poprawiając swoje rude włosy, i zniknęła za drzwiami.

Komnata była niesamowita. Może nie była największa, w jakiej zdarzyło jej się nocować, ale przepych panujący w tej sypialni był niespotykany. Na białych ścianach namalowano freski z krajobrazami oaz. Wielkie łóże, przykryte narzutą przetykaną złotą nicią, stało pośrodku. Rzeźbione meble wysadzone były drogocennymi kamieniami i bursztynem. Udała się za niewielką ścianę, gdzie znajdowała się wanna. Nie było to jednak naczynie, a dół wykuty w kamieniu na podłodze, do którego cały czas napływała gorąca woda.

Zrzuciła z siebie zakurzony czarny strój podróżny i wskoczyła do wody. Jej ciało od razu odprężyło się, czując ciepło wody, wyczuła też którą ona napływała. Powoli ustępował ból w udach i pośladkach niezwykajnych spędzania dni w siodle. Nie chciała jednak igrać z królewską cierpliwością, więc zanurzyła się na chwilę cała, a potem niechętnie wyskoczyła na zewnątrz. Wytarła szybko ciało i rozczesała długie, rude włosy. Sięgnęła do kufra z ubraniami i wybrała coś, co musiało

wzbudzić kontrowersje w tak zacofanym kulturowo kraju, jakim był Barbas.

Wyjęła srebrną suknię, której dekolt sięgał za pępek. Góra sukni była bardzo obcisła, ukazywała idealną figurę Immy, a krótkie rękawy i dekolt pozwalały zobaczyć jej mleczną skórę. Na dole sukni rozszerzała się, opadając na podłogę. Na szyi zawiesiła sobie złoty łańcuszek z bursztynowym wisiołem w kształcie łyży, mieszczącym się akurat między piersiami. Włosy zostawiła mokre i opadające na plecy. Zerknęła w srebrne lustro i puściła oczko sama do siebie. Wyszła z pokoju i udała się do sali kolumnowej, gdzie czekał już na nią wąsaty królewski urzędnik.

– Chodźmy. – Ledwo był w stanie złapać dech, widząc ją.

Udali się do korytarza, którego łukowe przejście prowadziło do niewielkiej, ale urządzonej z ogromnym przepychem salki. Za stołem siedział starszy mężczyzna ubrany w żółty strój wyszywany drogocennymi kamieniami. Wyglądał, jakby był zasuszony. Miał śniadą, pomarszczoną skórę, długie siwe włosy i jeszcze dłuższą, prawie białą brodę. Przeglądał listy, nie zwracając uwagi na to, że ktoś wszedł do pomieszczenia.

– Panie mój – odezwał się urzędnik – przybyła ambasador z Bernsternu.

– Odejdź, Yuminie. – Machnął dłonią. – Proszę usiąść.

– Dziękuję. – Usiadła na krześle i założyła nogę na nogę. – To dla mnie ogromny zaszczyt gościć w mieście Pandey.

– Tak, tak – mruknął, nie patrząc na nią. – Ja jestem bardzo stary i nie mam już czasu na te wszystkie przymilne rozmowy. Lubię przechodzić od razu do konkretów.

– Nie rozumiem – odparła słodko.

– Rozumiesz, tylko udajesz głupszą, niż jesteś. – Podniósł swoje blade oczy i popatrzył na nią ze zdegustowaną miną. – Gdyby był tutaj mój syn, to można by było jego ślinę ścierać z podłogi, ale na mnie twoje kobiece sztuczki już nie działają. Przejdź lepiej do sedna i mów, jaką masz propozycję. Obydwoje wiemy, że król Kunglin nie dba o przyjaźnie między narodami, jeśli nie ma w tym interesu. Nie przysłałby tutaj ambasadora czy kim tam jesteś, gdyby nie chciał czegoś uzyskać. Dlatego zamieniam się w słuch.

– No dobrze. – Oparła się o stół. – Skoro wasza miłość tak woli, to przejdziemy od razu do sedna. Król Kunglin przysłał mnie tutaj z propozycją, dzięki której obydwa kraje mogą zyskać. Chodzi o sytuację, w jakiej ostatnio znalazł się Erskin.



– Zatem grubas też dostrzegł, że można coś ugrać. – Uśmiechnął się przebiegle, ukazując niewielkie żółte zęby. – Muszę was jednak zmartwić, bo mój syn Pandey jest już pewnie przy granicy Erskinu. Wiezie tam dary na koronację tego dzieciaka. Jego ojciec był narwanym idiotą, któremu w głowie siedziała tylko walka, dziadek był bucem. Ten podobno jest inny, dlatego chcemy mu zaproponować zacieśnienie współpracy. Mają porozmawiać o sprzedaży drewna do Barbasu, a także o tym, żeby wszyscy mieszkańcy Erskinu, którzy nie mają szans na przejęcie rodzinnych majątków, mogli się osiedlać na terytorium Barbasu. Będą dostawać tyle ziemi, ile zdołają obrobić. Najwyższy czas, moja droga ambasadorko, by cały Barbas stał się tak rozwinięty jak to miasto.

– To bardzo ambitne plany, wasza miłość. – Imma uśmiechnęła się. – Nasza propozycja częściowo się z nimi pokrywa, ale na jeszcze większą skalę. Erskin był uwikłany w wojnę, co znacząco opróżniło jego skarbiec. – Wylizwała na długich, prostych palcach. – Tasarik wycofał się z wojny wcześniej, bo nie mieli za co walczyć. W dodatku mają problemy wewnętrzne, więc nie pomogą Erskinowi. Bernstern też mu nie pomoże, Werdgwald oczywiście również. Zostaną tylko kraje północy, które nie dysponują ogromną siłą.

– Proponujesz mi wojnę? – Zerknął na nią spode łba. – Chcesz, żebym walczył z Erskinem i jego sojusznikami tą moją bandą pustynnych szczurów?

– Nie, nic z tych rzeczy. – Zaśmiała się radośnie. – Po prostu przedstawiam pozycję negocjacyjną Erskinu. Jeśli udałoby się w jakiś sposób przejąć władzę w zamku, na przykład pozbywając się króla, który nie ma potomstwa, to można by było w miarę małym kosztem podzielić się tymi żyznymi ziemiami.

– Po co miałbym napadać na sojuszników? – Świdrował ją wzrokiem.

– Żeby nie płacić za drewno, tylko stać się właścicielem całego lasu. – Odrzuciła mokre włosy z czoła.

– Kunglin zdaje sobie sprawę, jak wielkie jest to ryzyko? – Odłożył listy na bok.

– Oczywiście wziął pod uwagę wszystkie za i przeciw. – Poprawiła naszyjnik. – Otwarta wojna będzie wielkim błędem i wszyscy to wiedzą. Dlatego odpowiednio wykorzystując obecność syna waszej miłości na dworze, można doprowadzić do tego, że sami będą prosić o wsparcie krajów sąsiednich.

– To może mieć jakieś szanse powodzenia, chociaż raczej nikłe. – Odchylił się na oparciu. – A jak wyglądałby podział ewentualnych zysków według króla Kunglina?

– Zachodnia strona do linii lasu trafiłaby do Bernsternu, a wszystko dalej na wschód przypadnie Barbasowi.

– Zatem chcecie przywłaszczyć sobie perłę zachodu za las? – Pokazał żółte zęby.

– Wy już macie perłę wschodu, a nie macie żyznej gleby. – Postukała palcami w blat stołu. – Kunglin chce największy zamek, żeby podkreślić swoją pozycję, a ziemia i lasy przydadzą się wam do rozwoju.

– Możesz gościć w moim pałacu, ile chcesz, ale domyślam się, że ta rozmowa była jedynym celem twojej wizyty tutaj. Przekaż swojemu królowi, że jego oferta jest niezwykle kusząca, ale nie skorzystam z niej. – Przerwał jej gestem. – Powiedziałem i zdania nie zmienię. Dziękuję za rozmowę. – Podniósł się i poszedł w stronę drzwi z tyłu komnaty.

– Proszę wybaczyć, pani ambasador. – Zupełnie niespodziewanie zjawił się obok niej Yumin. – Król Vizey czasem potrafi być trochę oschły. Odprowadzę panią do sypialni.

– Rozmowa była bardzo przyjemna. – Posłała mu najbardziej czarujący uśmiech, jaki potrafiła z siebie wydobyć. – To zaszczyt, że król poświęcił mi aż tyle czasu. Chętnie porozmawiałabym też z panem, ale jestem okrutnie zmęczona po podróży i chciałabym się już położyć.

– Oczywiście. – Otworzył przed nią drzwi sypialni. – Jeśli pani misja potrwa dłużej, to wystarczy słowo i oprowadzę panią po każdym zakątku pałacu i miasta.

– Och, dziękuję. – Poprawiła mu kołnierzyk żółtej szaty. – Jest pan przemity. Dobrej nocy!

– Shuraat, pani ambasador – powiedział i zniknął za drzwiami.

Otworzyła oczy i przeciągnęła się w jedwabnej pościeli. Czuła się znakomicie i jeśli miałaby wybierać między powrotem na statek pełen brudnych piratów i życiem w tym miejscu, to skłaniałaby się ku temu drugiemu. Spojrzała przez okno, gdzie dzień zdążył się już na dobre zacząć i choć łóżko było nieprawdopodobnie wygodne, to wyszła z niego i udała się do wanny, która również bardzo przypadła jej do gustu.

Po niezbyt szybkiej kąpieli ubrała się już zdecydowanie mniej odważnie. Założyła szerokie czarne spodnie, wysokie buty i białą koszulę. Sięgnęła do kufra, który Tyt zostawił w jej komnacie. Wyrzuciła z niego stertę ubrań,

a na dnie znalazła kilka czystych kartek, pióro i kałamarz. Usiadła na drewnianym krześle z rzeźbionym oparciem, a przybory do pisania rozłożyła na stoliku zdobionym złotem. Otworzyła kałamarz i wzięła pióro do ręki, ale przerwało jej pukanie do drzwi. Prędko przykryła stolik jedną z sukienek i wróciła na łóżko.

– Proszę! – krzyknęła nieco nerwowo.

– Dzień dobry, pani ambasador. – W drzwiach pojawił się Yumin. – Jak minęła noc?

– A dziękuję, bardzo dobrze. – Przesunęła dłonią po pościeli. – Macie tutaj bardzo wygodne łóżka.

– Cieszę się. – Nie mógł oderwać wzroku od rozpiętych guzików jej koszuli. – Pozwoliłem sobie zapukać, żeby zaprosić panią na śniadanie.

– Jeśli chodzi o śniadanie – zastanowiła się chwilę – to poproszę coś lokalnego i najlepiej na słodko. Pan już będzie wiedział doskonale, co może mi zasmakować. – Dłonie mu drżały. – I mam do pana jeszcze jedną prośbę. Domyślam się, że sługa, z którym tutaj przyjechałam, został zakwaterowany w pomieszczeniach dla służby.

– Tak, te pomieszczenia znajdują się z tyłu pałacu. – Wskazał kierunek.

– Bardzo dobrze, a czy byłby pan tak uprzejmy i sprowadził go tutaj jeszcze przed śniadaniem? – Uśmiechnęła się słodko.

– Oczywiście. – Skłonił się. – Pani życzenie jest dla mnie rozkazem.

Imma odetchnęła ciężko, gdy tylko zamknął za sobą drzwi. Zdawała sobie sprawę, że ten facet oddałby obie ręce, by móc ją pojąć, ale wiedziała, że Vizey będzie go wypytywał o każde jej nienaturalne zachowanie. Gdyby zauważył stojące na stoliku przybory do pisania, zaoferowałby, że wyśle list. Zgodnie z obyczajami, które jak na złość dotarły też tutaj, z królewskiego dworu można było wysłać listy tylko przez pocztowego. Był to urzędnik, który dbał o ptactwo noszące wiadomości, organizował posłańców, jeśli przesyłka była za ciężka, czytał listy, które docierały i wychodziły z dworu. Każdy podejrzany list był wstrzymywany i przekazywany bezpośrednio władcy. Wiedziała, że jej wiadomość do Kunglina z miejsca zostałaby przeczytana przez Vizeya, a na to nie mogła sobie pozwolić. Ponownie usiadła przy stoliku i zaczęła pisać.

Do K.

Papciu, dziadek połknął haczyk. Można wdrażać drugą część planu. Wracam na morze.

Zwinęła to najciaśniej, jak się dało, i schowała do kieszeni spodni. Przybory ukryła na dnie kufra i czekała na Tyta. Ten zjawił się kilka minut później.

– Pani. – Ukłonił się nieco niezdarnie.

– Wszystko załatwione – szepnęła. – Teraz czas na twoją rolę.

– Co? – Zdziwił się.

– Jajco! – Palnęła go w łeb. – Co masz w swoim kufrze?

– No mewę... – odparł niepewnie.

– No mewę! – Znowu go zdzieliła. – Teraz weźmiesz list, który ci dam. Dobrze go przymocujesz do tej mewy i ją wypuścisz. Jasne?

– Tak, ale po co? – Zmarszczył czoło.

– Zaraz będziesz pluć krwią... – syknęła przez zęby. – No chyba po to, żeby wysłać gdzieś list, durniu?

– Aye! – Potaknął. – Ale dlaczego akurat mewy?

– Bo mewy polecą tam, skąd została zabrana, a ona została zabrana z Halvstadu od Kelera. – Wcisnęła mu do kieszeni bursztynowej bluzy zwitek papieru. – To jego mewy, a one potrafią odnaleźć drogę do domu. Zresztą nie musisz wszystkiego wiedzieć!

– Aye! – krzyknął i natychmiast dostał w łeb.

– Zamknij mordę, Tyt! – Złapała go za bluzę. – Bierz ten list, leć do swojej komnaty, przytwierdź to do tego cholernego ptaka i wypuść go gdzieś poza pałacem. Rozumiesz to, tłuksu?

– Tak jest... już biegnę. – Szybko zniknął jej z oczu.

– No to teraz powrót przez cholerną pustynię... – Westchnęła, rzucając się na łóżko.

Długi orszak barwnie ubranych jeźdźców siedzących na wielbłądach zbliżał się do obozowiska kilkudziesięciu sporych okrągłych namiotów rozstawionych wokół wysokiej wieży strażniczej. Brązowo-szare namioty otaczały wieżę, a między nimi kręcili się mężczyźni ubrani w jasne, sięgające ziemi stroje. Mieli śniadą cerę i ciemne włosy. Zajęci byli cięciem pni na mniejsze kawałki i ładowaniem na wozy.

Vantahal było starą wieżą strażniczą, której zadaniem była kontrola granicy z Erskinem. Jednak od czasu, kiedy traktat handlowy połączył Barbas i Erskin, nie było potrzeby trzymania w niej wojska. Wykorzystywali to kupcy, którzy zorganizowali wokół wieży małe miasteczko służące im za punkt przeładunkowy. Część jeździła do Erskinu,

gdzie skupowała pnie drzew od tamtejszych drwali i dowoziła do Vantahalu, gdzie sprzedawała kupcom jeżdżącym w głąb kraju.

Okazało się, że w pustynnym państwie taki interes, choć dużo trudniejszy, może się okazać równie opłacalny co handel drogocennymi kruszcami. Kłótnie i odgłosy targowania się były słyszalne jeszcze przed osadą. Był to tradycyjny sposób robienia interesów w Barbasi. Mimo że obie strony od razu wiedziały, ile chcą uzyskać i ile zapłacić, to zaczynali od innych kwot, ponieważ transakcja bez targowania się uznawana była za podejrzaną.

Zajęci swoimi sprawami kupcy zauważyli barwną kolumnę dopiero wtedy, gdy pierwsze wielbłądy wjechały między namioty. Z wieży rozbrzmiała melodia rogu, a ludzie, cichnąc, padali na piasek, przyciskając do niego czoło. Orszak prowadził niewysoki grubawy mężczyzna z gęstą czarną czupryną spadającą na kark. Miał na sobie żółtą obszerną szatę, wyszywaną różnorodnymi kamieniami, które mieniły się w promieniach popołudniowego słońca. Na długich, szerokich rękawach widniały księżycy z rubinów. Palce i przedramiona mężczyzny były pełne złotych pierścieni i bransolet. Spokojnie prowadził wielbłąda, nie spoglądając nawet na kupców leżących u jego stóp. Za nim w szyku jechało dwunastu mężczyzn ubranych w jednakowe luźne żółto-czerwone mundury. Maski połączone z hełmem zasłaniały ich twarze, a kark kolczuga. Uzbrojeni byli w Keechaki, zakrzywione sztylety i długie łuki. Przysięgali, że członków rodziny królewskiej Gaddar będą bronić do utraty swojego życia.

Z drzwi kamiennej wieży wyszedł żołnierz.

– Mój książę, witamy w Vantahalu.

– Saavat, strażniku. – Grubawy jeździec zgrabnie zeskoczył z wielbłąda.

– To dla nas zaszczyt, przygotuję komnatę. – Żołnierz złapał zwierzę za uzdę.

– Nie trzeba, zajmij się wielbłędami i moją eskortą. – Pandey zdjął rękawicę i odwiesił ją za ramię siodła. – Jesteśmy tutaj tylko przejazdem, strażniku – powiedział i wszedł do wieży, a mężczyzna za nim. – Udajemy się do Erskinu na koronację ich nowego króla. Mam przedstawić mu propozycję zacieśnienia współpracy, która może sprawić, że wkrótce będziesz miał tutaj bardzo dużo roboty. Król Vizey chciałby, żeby osadnicy z Erskinu zaczęli uprawiać ziemię po tej stronie puszczy, osiedlając się tutaj. A w dodatku chcemy zacząć kupować od nich więcej drewna, więc ruch wokół Vantahalu się zwiększy.

– To bardzo dobra wiadomość, mój książę. – Żołnierz skłonił się. – Proszę usiąść, podam przekąski i wino.

– Nie... – Książę spojrział na wygodny fotel wyłożony puchatymi poduchami. – Ale w sumie to czemu nie, podawaj.

Książę padł na fotel ciężko, aż drewno zatrzeszczało. Żołnierz wrócił po chwili z tacą pełną sera, suszonych owoców i dzbanem wina. Na tacy znajdował się też zwój papieru.

– Nie mamy tutaj luksusów, ale wybrałem to, co najlepsze – powiedział żołnierz i postawił tacę na stoliku obok fotela. – To list, który dotarł dwa dni temu ze stolicy. Jest adresowany do księcia.

– Dziękuję, żołnierzu. – Książę wziął od niego zwój. – Sprawdź, co u moich ludzi, a ja zajmę się listem.

– Oczywiście, mój książę, już sprawdzam.

Pandey złamał pieczęć przystawioną przez jego ojca i zaczął czytać.

Do Pandeya Gaddara, Księcia Barbasu

Po twoim wyjeździe z miasta doszły mnie słuchy nieco zmieniające naszą pozycję w negocjacjach. Przypominam, że twoim głównym zadaniem jest nakłonienie nowego króla Erskinu do zacieśnienia współpracy między naszymi krajami i przekazanie mu pomysłów na rozwój zachodniej części Barbasu. Jednak dowiedziałem się, że Erskin nie ma poparcia sojuszników z zachodu. W dodatku mogę podejrzewać, że nastąpi próba przejęcia władzy w kraju przez kogoś innego. Dlatego miej oczy otwarte, słuchaj uważnie i sprawdzaj wszelkie możliwości. Jeśli uda ci się podpiąć do spisku bez poniesienia ryzyka, to zrób to. Wybadaj, czy istnieje możliwość dojścia w pobliże króla. Sprawdź wszystkich, którzy są blisko niego. Informacje, które posiadam, mogą okazać się prawdziwe i wtedy będziesz musiał działać w pojedynkę dla dobra Barbasu. Natomiast jeżeli jest to sztuczka naszych wrogów, musisz być niezwykle uważny i nie zostawić po swoich działaniach żadnego śladu. Jeśli cię złapią, nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Vizey Gaddar, Król Barbasu

Pandey przeczytał list raz jeszcze i uśmiechnął się, rozsiadł się w fotelu i przez chwilę wlepił oczy w kamienny sufit komnaty.

– Jak się nazywasz, strażniku? – zawołał żołnierza i wskazał mu fotel obok siebie.

– Abdas Tanahay, panie.

– Abdasie, będę miał do ciebie wielką prośbę. – Pandey położył dłoń na jego kolanie. – Jak już mówiłem, wybieram się do Erskinu z pewną misją, ale okazało się, że ta misja jest nieco inna, niż mi się wydawało. – Wskazał list. – Dowiedziałem się, że można ugrać dużo więcej, trzeba tylko zadziałać trochę bardziej zdecydowanie. Dlatego wyjeżdżamy od razu.

– Oczywiście, przygotuję orszak. – Żołnierz chciał się poderwać, ale dłoń księcia powstrzymała go.

– Chciałbym, żebyś rozesłał wici po wszystkich okolicznych osadach, w tajemnicy oczywiście, i zebrał gotowych do walki ludzi. Przekaż im, że będzie można zdobyć tereny, na których ich życie będzie łatwiejsze. Być może walka zupełnie nie będzie potrzebna, ale niech będą w gotowości. Wkrótce się z tobą skontaktuję i przekażę, co dalej.

– Tak jest, mój książę – odparł dumnie żołnierz. – To dla mnie zaszczyt.

– Nie zawieźdź mnie, a dopiero dostąpisz zaszczytów – rzekł Pandey, klepiąc go po ramieniu.

## Rozdział X

Kilka dni jazdy przez leśne dukty doprowadziło je pod granicę Ujary, z pozoru niepodległego i niezależnego kraju, jednak z wyraźnym wpływem większego sąsiada zza zachodniej granicy. W momencie wybuchu rozruchów chłopskich na ziemiach Tolimuraj bunty podniosły się także w Ujarze.

Król Vis, nie radząc sobie z rozwścieczonym chłopstwem, ugiął się pod namowami właścicieli ziemskich i zgłosił się po pomoc do Barbasu. Stary i przebiegły władca wykorzystał okazję i przy pomocy kilkuset dobrze wyszkolonych żołnierzy stłumił wszelkie chęci chłopów do walki o wolność i zdobył sobie oddanego sojusznika. Książę Vis, bo jednym z warunków było zrzeczenie się korony królewskiej, stał się zupełnie zależny od Barbasu, a drudzy czy nawet trzeci synowie barbaskich możnych osiedlali się na terenie Ujary i przejmowali majątki.

Juvi opowiadała swoim podopiecznym historię kraju, do którego miały się udać. Nie miała dostępu do ksiąg, ale starała się dbać również o ich rozwój umysłowy. Trenowały czytanie i pisanie, gdy tylko znajdowały coś, co się do tego nadawało. Najczęściej wykorzystywały do tego większe liście lub gładki piasek. Zdecydowanie łatwiej było zorganizować trening walki wręcz. Te odbywały się na każdym postoju.

Ahga zdecydowanie się wyróżniała. Była sprawniejsza, silniejsza i lepiej władała bronią od Mossy. Krnąbrna Azuanka nie chciała słuchać wskazówek kapłanki, ale swoją własną techniką nadrabiała tę wadę. Była niezwykle trudna do trafienia, poruszała się błyskawicznie, a kiedy nacierała, robiła to z takim impetem, że Mossa nie dawała sobie z nią rady. Ahga doskonale radziła sobie również z polowaniem i dzięki niej nie chodziły spać głodne.

Wreszcie udało im się wyjechać z lasu i zatrzymały się dopiero nad rzeką Pahad, która przepływała przez Ujarę. Mossa, widząc wodę, aż zapiszczała



z radości i pobiegła na brzeg. Po tylu dniach podróży Juvii również nie zamierzała odmawiać kąpieli.

– Idziesz z nami, Ahgo? – zapytała.

– Tak, tylko wezmę nóż na ryby – odparła.

– Na ryby z nożem... – Kapłanka pokręciła głową. Już miała iść w stronę brzegu, gdzie wesołe śmiechy wzbijały się ponad plusk wody, ale spojrzała na kobietę w czerwieni. – A może ty chcesz się odświeżyć? – zapytała poważnym tonem. – Podprowadzimy wóz bliżej, tam jest taki zagajnik, gdzie koń może poskubać trawę.

Przez chwilę czuła na sobie jej wzrok przez czerwoną chustę, a potem nastąpiło coś, czego się nie spodziewała. Kapłanka skierowała wóz w stronę wskazanego zagajnika blisko brzegu. Juvii poszła za nią i stanęła jak wryta. Spodziewała się, że pod czerwonym strojem znajduje się Barbaska, Tolimuraika lub przedstawicielka innego kraju, w którym Ret jest jedyną religią. Tymczasem gdy kobieta zrzuciła z siebie kapłańską szatę, oczom Juvii ukazały się krótkie jasne włosy, niebieskie oczy i ostre, zachodnie rysy twarzy. Bez słowa minęła dziewczynę i wskoczyła do niezbyt ciepłej wody. Juvii zauważyła tylko, że jej oczy, mimo pięknej niebieskiej barwy, były smutne.

Mossa nurkowała i wesoło chlapała się wodą, w czasie gdy Ahga wyrzucała na piasek kolejne ryby. Juvii obmyła ciało i siedziała teraz przy brzegu, mocząc nogi w wodzie. Przyjemnie prażące słońce wynagradzało chłód. Kapłanka cieszyła się z nowych uczennic, odczuwała dużą satysfakcję z nauczania ich i z powolnego wprowadzania w życie planu przywrócenia światu Sag Bas, ale jej organizm miał dosyć. Jednostajny ruch konia, sen na zmianę w niewielkiej skrzyni, jedzenie pieczonych na ognisku leśnych stworzeń i brak stałego dostępu do wody odbił się na jej samopoczuciu. Codziennie zakładając strój, zauważała, że chudnie. Pas musiała ścisnąć nieco mocniej, a rozcięcia na rękawach i nogawkach pokazywały mniej ciała, wisząc luźno.

Czerwona kapłanka siedziała nieopodal, piorąc swój strój w zupełnym milczeniu. Juvii rozumiała to, że dziewczyna nie stara się nawiązać żadnego kontaktu z grupą. Po pierwsze religia Ret zabraniała jej się odzywać, a po drugie została zmuszana do udziału w tej wyprawie siłą. Ta kobieta żyła w ciągłym strachu. Bała się, że ponownie usłyszy w swojej głowie głos, który zmusi ją do czegoś wbrew jej woli. Juvii nie miała pojęcia, czy Hex nadal nawiedza umysł czerwonej kapłanki. W ogóle nie miała z nim

kontaktem od rozmowy przed wyruszeniem przez las do Ujary. Zastanawiała się, dlaczego Hex nie powiedział jej o pochodzeniu kapłanki, może uznał tę informację za nic nieznaczącą albo nie pomyślał, że chciałaby to wiedzieć.

Jej rozmyślania przerwała Ahga, która wyszła z wody zupełnie naga z nożem w ustach i dwiema czerwonymi rybami w dłoniach. Rzuciła je obok pozostałych i usiadła na rozgrzanym piasku.

– Tyle wystarczy na obiad. Trzeba je obrać i upiec.

– Obrać? – Juvi wyrwała się z zamyślenia. – A tak, oczywiście. Oczyszczyć. Powinnaś powiedzieć, że trzeba je oczyścić.

– Tak, pomożesz mi? – Agha podała jej nóż.

– Pewnie, powiedz kapłance, żeby rozpałała ognisko, gdy skończy pracę. – Juvi wskazała nożem na wodę. – I niech tamta już wychodzi, bo nie mamy tutaj czym leczyć przeziębienia.

– Mossa! – krzyknęła Agha. – Wyłaź z wody!

– Cicho! – warknęła Juvi. – Słyszycie to?

Dziewczyny zastygły w bezruchu, a z oddali dochodziły do nich coraz głośniejsze męskie głosy i chlupot wiosł. Polana przy brzegu nie pozwalała się szybko ukryć. Mossa błyskawicznie wyszła z wody i wszystkie cztery znalazły się na brzegu. Kapłanka rozdała swoim podopiecznym sztylety i kazała czekać. Po chwili zza meandra wypłynęła niewielka łódź, a w niej siedziało czterech wyjątkowo paskudnych mężczyzn. Jeden z nich zawzięcie wiosłował, a reszta głośno dyskutowała. Kobiety już miały nadzieję, że zajęci kłótnią nie zauważą ich, ale wzrok jednego padł prosto na Juvi.

– Zobaczta, chłopcy! – ryknął łysawy, niewysoki grubas z opaską na oku.

– Trafiły nam się gołębiczki na handel.

– Mielim ukraść dziewczkę ze wsi, ale pofarciło nam się – dodał najwyższy z nich, szczerząc czarne zęby.

– Płyńcie dalej w swoim kierunku, panowie. – Juvi wyszła z zarośli. – Nie szukamy kłopotów.

– Patrzta, jakie mundre – zaskrzeczał przygarbiony z siwo-żółtą brodą.

Podpłynęli do brzegu i wyleźli z łódki. Wyciągnęli zza pleców długie, lekko porzewiałe noże, a wiosłarz podniósł z dna stary Keechak. Rozleźli się po polance i zaczęli otaczać grupę kobiet.

– Panowie, ostrzegam. – Juvi wyciągnęła biały sztylet z pochwy.

– Patrzta. – Najniższy zaśmiał się. – Nie dosyć, że śliczniutkie, to jeszcze bojowe!

– Pochedożym? – Stary aż się oblizał. – A potem na targ?  
– Ta – burknął bezzębny. – Szkoda nieruszone sprzedawać.  
– Akurat sztery, nikt w kolejce stać nie będzie. – Zarechotał grubawy.  
– Jeśli nie odpłyniecie, to będziemy zmuszone was zabić. – Kapłanka nie odpuszczała.

Najwyższy ruszył do ataku pierwszy. Ciął długim nożem od góry, ale Juvy płynnie uskoczyła pod jego ręką i wbiła mu sztylet głęboko w plecy. Akcja potoczyła się błyskawicznie i reszta jego towarzyszy nawet nie zdążyła zobaczyć, w jaki sposób zginął ich kolega.

Grubawy mężczyzna wybrał sobie na ofiarę Mosę, odciągając ją od reszty. Najpierw próbował ją schwytać, ale dziewczyna zgrabnie mu się wywijała. Uczyła się używać sztyletu i wiedziała, jak on działa, ale nie miała okazji wykorzystać jego mocy w prawdziwej walce. Napastnik zdenerwował się wreszcie i sięgnął po nóż. Próbował ciąć na oślep, machając wyciągniętą przed siebie bronią. Dziewczyna zacisnęła pięści i z zaciętym wyrazem twarzy zabiła kilka ataków, po czym machnęła sztyletem, zostawiając na nagiej klatce piersiowej przeciwnika krwawy ślad. Jego jedno oko rozszerzyło się ze zdziwienia, a po chwili leżał już w trawie, nie dając oznak życia. Mossa poczuła na piersiach coś mokrego, przejechała po nich dłonią i zobaczyła, że krwawi. Poczuła, że nogi się pod nią uginają, i usiadła w trawie obok zwłok swojej pierwszej ofiary.

Kilka metrów dalej wioślarz wymachiwał długim Keechakiem, próbując zranic Ahgę. Azuanka jednak poruszała się w ekwilibrystyczny sposób, unikając ostrza. Dziewczyna wykorzystwała odpowiedni moment i wykonała wślizg między jego nogami. Pewnym i szybkim cięciem otworzyła jego tętnicę udową. Wsparł się przez chwilę na drzewcu broni, ale padł jak długi, barwiąc piasek wokół siebie na czerwono.

Najstarszy z napastników zabrał się za czerwoną kapłankę. Nie miała na sobie charakterystycznej szaty, więc nie miał pojęcia, kogo atakuje. Kobieta nie była biegła w walce, więc głównie próbowała uniknąć jego pokrzywionych palców, które łąpczywie chciały wbić się w jej ciało. Juvy ruszyła w kierunku kapłanki. Zatrzymała się jednak nagle i niemal wypuściła broń z dłoni. Choć czerwona kapłanka nigdy nie była szkolona w walce i nie miała żadnej broni, to unikała ciosów noża z całkowitą pewnością i płynnością ruchów. Stary nie miał najmniejszej szansy, by ją trafić. Z daleka mogło się wydawać, że ona się z nim tylko bawi, czekając na właściwy moment, żeby zadać cios. Wreszcie wyprzedziła jego boczne

uderzenie, chwyciła go za nadgarstek i mocno wykręciła. Mężczyzna zawył głośno i wypuścił broń. Kapłanka pociągnęła go za rękę i uderzyła z przerażającą siłą w żebra. Trzask łamanych kości poniósł się echem po polanie.

– Hex... – Westchnęła Juvi.

Podbiegła do leżącego starca i klęczącej nad nim kobiety. Przez moment nie wiedziała, co ma zrobić i o co pytać. Jęki mężczyzny nie ułatwiały jej zebrania myśli.

– Kim jesteś? – zapytała czerwona kapłanka, przygniatając kolanem żebra mężczyzny.

– Auuu. – Jęknął i ledwo mógł złapać oddech. – Deiz, Deiz... Mieszkam w górze rzeki. Handluję... ludźmi!

– Komu sprzedajesz? – Kapłanka nie cofnęła kolana.

– Mały port, dzień drogi... Jedna...

Zwiększyła nacisk i po kilku nerwowych oddechach mężczyzna skonał. Juvi otrząsnęła się wreszcie. Chwyciła kapłankę za ramiona i odciągnęła od ciała.

– Hex! – krzyknęła. – Nie musiałeś go...

– Musiałem... – Lekko się zawahał. – Zobaczcie, co jest w łodzi.

– Dobrze... – Odwróciła wzrok. – Czy ty przez cały czas obserwujesz świat jej oczami?

– Nie – odparł krótko.

Juvi zauważyła zmianę w wyrazie twarzy kobiety. Wyrwała jej się po chwili otępiła i pobiegła w zarośla, gdzie w pośpiechu zakładała czerwoną szatę. Kapłanka Sag Bas rozejrzała się i zobaczyła swoje podopieczne z zakrwawionymi dłońmi. Ucięła kawałek materiału z koszuli starca, zamoczyła go w wodzie i podeszła do Ahgi. Przetarła jej udo wilgotną szmatką i ślady krwi natychmiast zniknęły. Została tylko jasna blizna, która kontrastowała z hebanową skórą.

– Tłumaczyłam ci, jak działa Kati – powiedziała i przejechała palcem po bliźnie. – Po każdym zabitym zostaje na tobie ślad, ale rana nie jest w stanie cię osłabić. Krwi może być sporo, ale to zawsze płytkie cięcie i szybko się zarasta.

Podeszła do Mossy, która wyglądała na jeszcze bardziej przerażoną tym, co się stało. Juvi zmyła krew z jej klatki piersiowej. Na śniadej skórze pozostała długa, choć wąska blizna.

– Spójrz na moje ciało. – Rozchyliła nacięcia na udach, potem na rękawach. – Mam wiele blizn, ale w słusznej sprawie mogę ich mieć znacznie więcej. One nie szpecą kapłanki. Im więcej śladów na ciele, tym większy szacunek. Rozumiesz?

– Tak – powiedziała drżącym głosem Mossa.

– To bierz się w garść. – Juvy podniosła ją siłą. – Sprawdźmy łódź.

Podeszły do nabrzeża i spojrzały na dno łodzi. Leżała tam związana niewysoka kobieta. Miała jasne włosy sięgające ramion, a na ciało zarzuconą luźną i postrzępioną tunikę. Dłonie i stopy miała dość szerokie, nogi dobrze zbudowane, podobnie jak ramiona. Wyglądała przy tym jednak niezwykle kobieco, nawet w tej sytuacji. Rozglądała się nerwowo zakneblowana.

– Rozwiążcie ją, szybko. – Poganiała Juvy.

Ahga i Mossa zabrały się za przecinanie więzów i kiedy tylko dziewczyna mogła swobodnie mówić, zaczęła zadawać pytania.

– Kim wy jesteście i co się dzieje? – mówiła zachrypnięta.

– Uratowałyśmy cię – mówiła spokojnie Juvy. – Nie będziesz niewolnicą. Teraz pojedziemy do świątyni Sag Bas.

– Dokąd?! – burknęła zaskoczona.

– Na granicę między Tolimuraj a Czarnymi Ziemiemi – odpowiadała cierpliwie kapłanka. – Tam znajduje się starożytna świątynia Sag Bas, która bardzo dawno temu była centrum świata.

– Coś kręcisz! – Kobieta odwróciła wzrok. – Nie słyszałam o tym nigdy.

– Nic dziwnego, ponieważ Sag Bas została zapomniana setki lat temu. – Juvy podała jej dłoń, by pomóc jej wyjść z łodzi. – Wtedy ludzie zaczęli dzielić świat na kraje i odwracać się do swoich wymyślonych bogów.

– A twoja religia jest niby prawdziwa? – zapytała z wyczuwalną ironią kobieta, stając na piasku.

– Tak. – Od kapłanki bił spokój. – Sag Bas nie jest bóstwem, jest równowagą i jednością. Doskonałym procesem od wieczności, przez życie i śmierć, do wieczności. Ludzie wytrącili świat ze stanu równowagi i tylko poprzez Sag Bas mogą wrócić na właściwe tory.

– I wy wiecie, jak to zrobić? – Zaśmiała się.

– Owszem, dziecko. – Juvy wpatrywała się w nią skoncentrowana. – Nie musisz mi wierzyć w tym momencie. Wiem, że nie jest to proste. Każda z nich przekonała się, że mówię prawdę, dopiero kiedy zobaczyła działanie Sag Bas na własne oczy. Ty też mi uwierzysz, ale jeszcze nie teraz.

– Dobra, dobra. – Kobieta minęła je.

– Kiedy dojedziemy do świątyni, będziesz mogła zapoznać się z jej zbiorami. Są tam księgi ze wszystkich zakątków świata. Można się tam uczyć i zdobywać wiedzę w każdej dziedzinie. A poza tym, gdybyś bardziej wolała walczyć, to możesz nauczyć się i tego. Kapłanki Sag Bas są wojowniczkami, które dzięki broni zwanej Kati potrafią zabijać jednym ciosem. – Wskazała swój sztylet.

– A kto tego wszystkie naucza, ty? – Dziewczyna prychnęła.

– Tak. – Juvy westchnęła. – Jestem ostatnią kapłanką, więc obowiązek przekazania wiedzy spoczywa na mnie.

– I walczyć też potrafisz? – Ironia wylewała się z wąskich ust kobiety.

– Oczywiście, każda blizna na moim ciele jest śladem po jednym przeciwniku. – Kapłanka odsunęła rękawy. – Kati zabija jednym ciosem, ale zostawia na ciele ślad.

– Nie wierzę w twoje słowa i one też mnie nie przekonają. – Wskazała głową dziewczyny stojące obok. – Wracam do domu.

– Dobrze, nie musisz się unosić. – Juvy uśmiechnęła się ciepło. – One też nie wierzyły od początku. Zobaczysz, jak wygląda świątynia, poczytasz o Sag Bas i zadecydujesz. Jeśli będziesz chciała odejść, to nikt cię nie zatrzyma siłą.

– Bardzo to wspaniałomyślne – mruknęła.

– To naturalne. – Kapłanka machnęła dłonią. – Ale dość o tym. Kim jesteś i jak się tutaj znalazłaś?

– Iv Suktelaj, z Utvinu. – Kobieta patrzyła ze złością w oczach. – Podobno porwali mnie piraci i sprzedali do Barbasu, ale nie pamiętam tego. Byłam za mała chyba. Służyłam w mieście Pucha. Ci czterej zwinęli mnie z brzegu, kiedy wyławiałam małże dla moich właścicieli.

– Dzięki szkoleniu i mocy Sag Bas obroniłabyś się przed nimi – wtrąciła Juvy.

– Tak, tak, ale skoro macie własną religię, to dlaczego jest z wami kapłan Ret? – Iv wskazała głową za siebie.

– Ona... – Juvy zamyśliła się na moment. – To tylko ułatwienie przejazdu. Znalazła się tutaj przypadkiem. Jeszcze w Tolimuraj chciała pojmać Mossę, ale Hex przejął kontrolę nad jej umysłem i zmusił do tego, żeby z nami pojechała.

Iv wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale taka jest moc Sag Bas.

– Przecież to jest niemożliwe! – oburzyła się Iv.

– Zobaczysz jeszcze wiele niemożliwych rzeczy, dziecko. – Juvi uśmiechnęła się troskliwie. – Ale kapłanką się nie przejmuj. Ona dowiedzie nas do granicy Tolimurai, a potem nie będzie nam już potrzebna.

– Weź ją do świątyni. – Hex wniknął w myśli Juvi. – Będzie jedną z kapłanek.

– Co?! – Była pewna, że jej zdziwienie było widać też na twarzy.

– Będiesz ją szkolić tak jak pozostałe. – Wyczuła delikatną złość.

– Nie! Nie zgadzam się! Ona jest kapłanką Ret, ona wyznaje to, czego Sag Bas zabrania! – krzyczały jej myśli.

– Zrobisz to, bo ja tak każę. – Poczowała delikatny ucisk w głowie. – Byłem w jej mózgu i wiem, że ona nie wyznaje tej religii. Zmusili ją do bycia kapłanką, ona ich nienawidzi. Trzeba jej pomóc, pokazać prawdę... Weź ją do świątyni, proszę. – Ucisk zwiększył się.

– Co się z tobą działo? – zapytała Iv, odsuwając się nieco. – Zbladłaś i na twojej twarzy było widać ból...

– Rozmawiałam z Hexem, to nic takiego... Taka forma kontaktu czasem jest trochę nieprzyjemna. Dziewczyny! – zwróciła się do pozostałych. – Hex chce, żeby kapłanka towarzyszyła nam do końca podróży. Będąc w jej umyśle, zauważył coś, co uznał za wartościowe dla naszej sprawy... Pakujcie wóz, wracamy. – Przeczesała włosy palcami, spoglądając na Iv.

Już po chwili koń ciągnął wóz. Zrobiło się na nim ciasniej, a ostatnie wydarzenia sprawiły, że dziewczęta nie były tak wesołe jak wcześniej. Kapłanka Ret powoziła, Iv rozcierała kostki i nadgarstki, a pozostałe szeptały między sobą.

– Widziałam, co ona zrobiła z tym starym – powiedziała cicho Ahga.

– Ja też to zauważyłam – dodała Mossa. – Ona jest niebezpieczna.

– Nie jest. – Juvi wzięła głębszy oddech. – I nie musicie szeptać. Opowiem wam wszystkim, co się stało nad rzeką. Bardzo dużo mówiłam wam o sile Hexa, który może doprowadzić do zapanowania Sag Bas na świecie, prawda? – Popatrzyła na twarze niespokojnych towarzyszek.

– Tak. – Mossa potaknęła, uśmiechając się. – Mówiłaś nam o tym.

– Opowiadałaś, ale nie jestem pewna, czy to prawdziwe – dodała Ahga.

– Mossa widziała to już w jej domu, ale nie na taką skalę.

Najnowsza towarzyszka przyglądała się w milczeniu.

– To nie kapłanka pokonała tego mężczyznę, to nie ona dysponuje taką siłą i umiejętnościami, to nie ona przesłuchiwała go, łamiąc mu żebra –

powiedziała Juvii.

– A kto? – Ahga zdziwiła się.

– Hex... – szepnęła Mossa.

– Tak, to był Hex – potwierdziła Juvii.

– Jak? – dopytywała Azuanka, chmurząc się przy tym straszliwie.

– Ano właśnie dzięki Sag Bas i mocom, które zyskał z artefaktów. – Kapłanka spojrzała na nie poważnie. – Właśnie dzięki temu stanie się Płomieniem, który wypali drogę dla Sag Bas. Wiedziała, że może się kontaktować myślami, rozmawiała z nim setki razy, wiedziała, że ma też inne moce, ale to, co zrobił z nią... – Pokręciła głową. – To zaskoczyło nawet mnie i teraz mam już pewność, że przepowiednia zaczęła się spełniać.

– Nie widziałam, co tam się stało, ale co mi szkodzi posłuchać opowieści, skoro i tak z wami jadę – wtrąciła Iv.

– Wygląda na to, że nie masz wyboru. – Juvii uśmiechnęła się zaczepnie.

Wiatr stawał się coraz chłodniejszy, więc schowały się za burty wozu i wsłuchały w opowieść. Juvii zaczęła historię od samego początku. Choć Ahga i Mossa już ją znały, to dopiero teraz zaczynały w pełni rozumieć. Miarowy krok konia i spokojny, miękki głos kapłanki niemal hipnotyzowały adeptki, pozwalając im chłonąć wiedzę. Uratowana dziewczyna, choć sceptyczna, słuchała najbardziej aktywnie, co chwila zadając pytania. Nauczycielka z przyjemnością na nie odpowiadała, zdobywając choć odrobinę zaufania.



## Rozdział XI

Gdy tylko ostatni oddział żołnierzy z północy wyjechał za bramy zamku, w Erskynie zapanowała gorączka przygotowań do ceremonii koronacyjnej. Wiosna miała się zacząć lada chwila, więc nie mogli już tracić czasu. Najlepsi krawcy w mieście pracowali całymi dniami, żeby zdążyć z uszyciem strojów dla gości. Najbogatsi i najbardziej znamienici mieszkańcy zostali zaproszeni na ceremonię i każdy z nich chciał wyglądać jak najbardziej dostojnie. W pocie czoła pracowali też rzeźnicy, piekarze, rolnicy, a nawet cieśle i stolarze, którzy przygotowywali stoły i ławy dla gości.

Koronacja miała się odbyć ostatniego dnia wiosny i plan przewidywał, że zgodnie z tradycją uroczysta część będzie miała miejsce w sali tronowej, a bal na dziedzińcu. Uczony Iskel upierał się, że zorganizowanie koronacji z wielką pompą będzie jasnym sygnałem dla innych krajów, że Erskine nie ucierpiał na wojnie, jest nadal silny i bogaty. Z finansami może nie było najlepiej, ale wkrótce mieli otrzymać bogactwa z Werdgwaldu.

W przygotowania zaangażowali się wszyscy poza Kastilem. Król stanowczo odciął się od wszystkich zajęć, włączając w to planowanie czy dobór gości. Nie wtrącał się również do wystroju sali czy potraw, które planowano podać. Wszelkie problemy miał rozwiązywać Iskel, władca wolał spędzać czas z Rollo. Przez ostatnie dni zaprzyjaźnili się i dużo ze sobą rozmawiali. Śnieg stopniał na tyle, że wreszcie mógł jej pokazać coś, co obiecywał od dawna. Zaprosił ją na szczyt jednej z dwóch najwyższych wież. Poza skrzyniami na strzały i masztem z powiewającą na nim chorągwią, nie było na niej nic. Rozciągał się z niej jednak doskonały widok na całe miasto. Ze szczytu dało się zobaczyć nie tylko miasto, ale również Akademię w Andskynie, a nawet ogromne lasy porastające wschodnią część kraju.

– Tu jest pięknie! – Zachwyciła się, gdy tylko znaleźli się na wieży.

– To prawda, często tutaj przychodziłem, będąc dzieckiem. Popatrz, tam jest zakład Herna, w którym szyje się twoja suknia. A tam jest kuźnia Dulfa, widzisz ten dym? Tam daleko, ten zamek, to Andskin. To tam jest najświetniejsza Akademia, w której uczył się Iskel i pozostali uczeni. A jak spojrzysz w drugą stronę, to zobaczysz puszcę. – Objął ją lekko, żeby pokazać kierunek, nie wyrwała się. – W Myrdinasie pewnie częściej oglądałaś morze?

– Zdecydowanie. – Rollo uśmiechnęła się. – Z naszego domu widać było wybrzeże.

– Tutaj masz zupełnie inne widoki, podobają ci się? – Król popatrzył jej w oczy.

– Tak, tutaj jest pięknie. – Dziewczyna przysunęła się do niego jeszcze bliżej. – Mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście, możesz mnie pytać, o co tylko zechcesz – odpowiedział, nie odrywając wzroku.

– Gdybym ja miała zostać królową, to chciałabym uczestniczyć we wszystkich przygotowaniach – zaczęła. – Chciałabym, żeby wszystko było idealnie, tak jak sobie wymarzyłam. Tak, żeby to był najpiękniejszy dzień w moim życiu, a ty... Ty spędzasz czas ze mną i nie interesuje cię nic. Dlaczego?

– Dla mnie to niepotrzebne marnotrawstwo. – Wzruszył ramionami. – Wolałbym, żeby te wydatki zostały przeznaczone na rozwój kraju, a nie przejedzone i przepite. Ja wiem, że takie gesty też są ważne w budowaniu pozycji, ale...

– Nie mogłeś zarządzić, żeby nie było koronacji? – Poglądziła go po ramieniu.

– Król rządzi, owszem, ale jest jeszcze obyczaj. – Kastil posmutniał. – U nas obyczaje są przestrzegane bez wyjątków. Gdybym teraz nagle zakazał wielkiej fety z okazji koronacji, to ludność mogłaby się ode mnie odwrócić. Niedługo też będę musiał poświęcić więcej czasu władaniu, a mniej tobie.

– Rozumiem – powiedziała nieco smutniejszym tonem. – Królewskie obowiązki.

– Tak, niestety. – Podeszedł do krawędzi i zerknął w dół. – Dziś całe popołudnie mam rozwiązywać problemy ludności w trakcie audiencji, a później możni zaczną się zjeżdżać na koronację. Będę musiał jadać z nimi obiady, spotykać się, omawiać sprawy związane z sojuszami, polityką, handlem i całą resztą.

– To strasznie poważne sprawy. – Trąciła go w bark. – A gdzie czas na przyjemności?

– Skutecznie mi go skrócili... – Kastil spuścił wzrok. – Poza tymi oficjalnymi obowiązkami Iskel zapowiedział mi, że moja edukacja nie dobiegła jeszcze końca i będę spędzał z nim czas w bibliotece, a na dodatek będę pobierał lekcje szermierki.

– Będę mogła ci towarzyszyć? – zapytała z nadzieją.

– Nie wszędzie. – Pokręcił głową. – Jesteś tylko gościem, w dodatku kobietą. Na oficjalnych spotkaniach nie ma kobiet, na lekcje szermierki też cię nie wpuszczą... Ale w bibliotece możesz się uczyć wraz ze mną! No i oczywiście cały czas przysługuje ci królewski stół na koronacyjnym balu.

– Dziękuję, wasza miłość. – Rollo skłoniła się z zadziornym uśmiechem.

– Chyba powoli musimy wracać. – Król zerknął na dół raz jeszcze. – Zdaje się, że zbliża się pora obiadu, a ja już jestem trochę głodny.

Po obiedzie Kastil zjawił się w głównej sali ubrany w prosty czarny strój z drobnymi błękitnymi elementami na nogawkach spodni, na głowie nosił delikatną stalową koronę. Kilku gwardzistów stało w różnych punktach sali, obserwując tłum gromadzący się między kolumnami. Iskel stał obok tronu, patrząc na króla karcącym wzrokiem. Kastil stanął wreszcie przed fotelem z czarnego kamienia, co wszystkim zebranym oznajmił dźwięk dzwonka. Pokłonili się nisko i król zajął swoje miejsce.

– Spóźniłeś się – szepnęła uczony.

– To oni przyszli za wcześnie. – Kastil uśmiechnął się.

– Titer Hollensyk – wyczytał głośno Iskel. – Drwal z Lochtairu.

– Wasza miłość. – Drwal, wysoki, barczysty, ale już siwy mężczyzna, skłonił się najniżej, jak mógł. – Przybyłem z okolic Lochtairu. Rządca miasta zaniedbał rzekę, przez co po wiosennych roztopach nie mogliśmy spławiać drewna bezpiecznie. Dwóch się potopiło, a jeden z mostów pnie zerwały. Byłem u rządcy, ale kazał mi zniknąć mu z oczu.

– Dobrze pamiętam, że rządcą w Lochtairze jest Dynif? – zapytał zadowolony Kastil.

– Tak, wasza miłość. – Drwal po raz kolejny pokłonił się, gniotąc czapkę w wielkich dłoniach.

– Dziękuję, że nas o tym poinformowałaś, Titerze. – Kastil uśmiechnął się do niego. – Wyślę jednego z królewskich urzędników, by zajął się regulacją rzeki, a także przekazał Dynifowi list, powiedzmy, ostrzegawczy.

– Stokrotne dzięki waszej miłości, stokrotne. – Cofał się, kłaniając.

– Moyer Danne i Felina Tenaven – przedstawił kolejnych zapisanych na audiencję Iskel. – Krawcy z Erskinu.

– Wasza miłość. – Kobieta była niska i gruba, ale miała bardzo długie, czarne kręcone włosy. Ubrana była w kolorową suknię uszytą z kilkunastu kawałków materiałów różnej barwy i faktury. – Ten tutaj ukradł mój pomysł na suknię! Zaprojektowałam swoje życiowe dzieło, suknię tak piękną, że nawet królowe chciałyby ją nosić, ale on ukradł mój pomysł!

– Wasza miłość – wtrącił krawiec, gdy tylko kobieta brała przerwę na oddech. – Ta kobieta mija się z prawdą. Suknia, o której mowa, została uszyta według mojego projektu. Niczego nie ukradłem.

– Nie kłam! – krzyknęła.

– Spokój! – Kastil podniósł głos. – Na jakiej podstawie twierdzisz, że projekt został skradziony?

– Suknia na wystawie jego sklepu jest identyczna z moim rysunkiem! – warknęła kobieta.

– Kiedy uszyto suknię, o której mowa? – Kastil patrzył na nich twardo.

– Dwa tygodnie temu, wasza miłość – odpowiedział spokojnie mężczyzna.

– A kiedy powstał rysunek?

– Jeszcze przed wojną! – pisnęła Felina.

– Komu go pokazywałaś?

– Tylko szwaczkom!

– Wszystkie nadal pracują u ciebie? – Tempo zadawania pytań rosło.

– Nie, nie ma już żadnej...

– Dlaczego je zwolniłaś?

– Bo chciały za dużo zarabiać!

– Czy przeniosły się do twojego zakładu? – Król spojrzał na Moyera.

– Tak, wasza miłość. – Krawiec przytaknął skinieniem. – Zaproponowałem im warunki, które były lepsze. Przyjęły je z wdzięcznością, a potem dzieliły się swoimi pomysłami i wykorzystałem je, z drobnymi poprawkami.

– Szwaczki przeszły tam, gdzie są lepiej traktowane. Suknia nie jest taka sama, bo przekazały Moyerowi tylko opis, a on w dodatku nałożył na niego swoje poprawki. Nie widzę tutaj żadnego przestępstwa. – Kastil wzruszył ramionami. – Można jeszcze zapytać, czy przypadkiem w twoim zakładzie, Felino, pracownicy nie są wyzyskiwani. Sprawa rozwiązana, możecie odejść.

Moyer bez słowa zniknął w tłumie, wcześniej kłaniając się nisko królowi. Kolorowa krawcowa spoglądała wściekle, ale kiedy jeden z gwardzistów stuknął kopią, odwróciła się na pięcie i poszła w swoją stronę.

Z tyłu sali tronowej rozległy się głośne kroki i zrobił się spory rozgardiasz. Ludzie zaczęli się rozchodzić na boki, żeby zrobić miejsce dla nadchodzących. Okazało się, że do tronu zbliżał się niewysoki, ale grubszy mężczyzna, o ciemnych oczach i czarnych włosach, ubrany w obszerną żółtą szatę i obwieszony kosztownościami. Za nim kroczyło sześciu mężczyzn w żółto-czerwonych mundurach niosących długą broń na ramieniu, a hełmy pod pachą na znak pokojowych zamiarów. Mężczyzna przeszedł przez środek sali tronowej z dumnie uniesioną głową, zatrzymał się dopiero przed tronem.

– Wasza miłość – odezwał się łamanym erskinskim – jestem Pandey Gaddar, książę Barbasu, syn króla Vizeya.

– Wasza wysokość. – Kastil wstał z tronu i podszedł do gościa. – Miło mi powitać cię w moim domu. Co sprowadza cię z tak odległej części świata?

– Przybyłem na twoją koronację, wasza miłość. – Pandey skłonił się. – Ojciec jest już stary i taka podróż byłaby dla niego niebezpieczna. Poza tym mam pewne propozycje, które mogą zbliżyć do siebie obydwa kraje.

– Jestem zaszczycony, że zdecydowałaś się pokonać taką drogę. – Kastil uśmiechnął się życzliwie. – O interesach porozmawiamy przy okazji. Teraz Thondar, mój osobisty służący, zaprowadzi waszą wysokość do komnaty dla gości, gdzie będziesz mógł odpocząć po podróży, posilić się nieco i odświeżyć. Oczywiście twoi żołnierze również otrzymają gościnę.

– To bardzo uprzejme z twojej strony, wasza miłość. – Pandey uściśnęła dłoń Kastila. – Z przyjemnością skorzystam z tej propozycji. Wahaar Nihaanaanega! – krzyknął do swoich ludzi. – Han aatha kea.

W komnacie na szczycie jednej ze skrajnych zamkowych wież pochylony nad biurkiem siedział niski, rudowłosy chłopak. Wokół niego znajdowały się klatki z różnymi gatunkami ptactwa. Mężczyzna miał krótko ścięte włosy, jasne oczy, był piegowaty i niezwykle blady. Miał na sobie granatowy długi płaszcz z kapturem, zwany mundurem pocztowego. W dłoniach gniótł zwoje papieru, które po raz kolejny czytał przy świetle lampy. Odgłosy ptaków nie cichły nawet na moment, chłopak podniósł się z krzesła i stanął obok klatek z jastrzębiami.

– I co ja mam teraz zrobić? – spytał. – Najpierw ten jeden list adresowany do mnie... Ucieszyłem się nawet, że uczony z Bernsternu

pamięta o moim istnieniu, ale kolejny list... Posłuchajcie, moje kochane.

Do Uleva Throdergada, pocztowego na zamku Erskin

Kilkanaście lat temu dowiedziałem się o planowanym przewrocie. W kraju zbierały się grupy, które chciały obalić mnie i pozbawić wszelkich praw do tronu cały ród Bernów. Dlatego żeby zabezpieczyć przyszłość, odesłałem cię, chłopcze, do Erskinu pod zmienionym nazwiskiem. Teraz, kiedy jesteś już dorosły, uznałem, że pora wyjaśnić ci twoją historię. Jesteś pierwszym kandydatem do objęcia po mnie władzy.

Ze względu na niepowtarzalną szansę obsadzenia Bernsternu na szczycie musisz podjąć się trudnego i ryzykownego zadania. Jednak jeśli twoja misja się powiedzie, to z czystym sercem będę mógł ogłosić cię następcą tronu i oficjalnie przyznać, że jesteś moim synem. Musisz czytać wszystkie listy, które docierają do króla Kastila i które on wysyła. Jeśli Kastil rozmawia z innym możnym, ty musisz się tej rozmowie przysłuchiwać. O wszystkim, co wyda ci się ważne, informuj mnie na bieżąco. Ze względu na stan zdrowia na koronacji się nie pojawię, ale przybędzie mój uczony. On potwierdzi prawdziwość słów zawartych w tym liście. Bądź czujny.

Kunglin Bern, król Bernsternu

– Co ja mam począć, moje kochane? – Pogłaskał jastrzębia po skrzydle. – Byłem w przytułku, a potem wywieźli mnie do Erskinu, żebym pracował na dworze. Mówili mi, że matka umarła, a nikt nie wiedział, kto jest moim ojcem, a teraz... To na pewno jakiś żart, jakaś sztuczka mająca sprawdzić moją wierność, ale... A co, jeśli to prawda? Nie, nie. To nie jest możliwe, przecież... – Padł ciężko na krzesło, ptaki zatrzepotały w klatkach. – Przecież nie zaszkodzi, jak postaram się zapamiętywać, co jest w listach... Poczekam, aż przyjedzie uczony, i jeśli on potwierdzi to, co napisano, to będę już miał o czym poinformować mojego ojca. Ojca... A jeśli nie, to zapomnę o tym, co przeczytałem! Tak! Nic mi przecież za to nie grozi!

W trakcie pierwszej audiencji od powrotu króla do kraju przewinęło się mnóstwo spraw. Kastil siedział cierpliwie do końca i wysłuchał każdego, starając się rozwiązać wszystkie problemy poddanych jak najbardziej sprawiedliwie. Kiedy odłożył koronę na stojak w swojej komnacie, czuł piekielne zmęczenie. Od siedzenia na tronie bolały go kości, a skronie pulsowały, nie dając mu zebrać myśli. Przyłożył na chwilę głowę do poduszki i zamknął oczy. Wiedział jednak, że czeka na niego jeszcze kolacja z księciem Barbasu. Nie mógł odwołać spotkania, przesunąć go na inny dzień. Obyczaj nakazywał, żeby z gościem spotkać się tego samego

dnia, w którym przybył. Poza tym władcy Barbasu, wschodniego sąsiada Erskinu, słynęli z tego, że łatwo było ich urazić.

Kastil nie chciał robić sobie wrogów już na początku panowania. Podniósł się z królewskiego łóża i opłukał twarz w misce zimnej wody. Wsunął na głowę koronę, czując miejsca, w których dotykała skóry, i ruszył do sali narad, gdzie przygotowano kolację dla niego i dla Pandeya.

– Auć! – Usłyszał, otwierając drzwi. – Uważaj!

– Rollo! – Kastil śmiechnął się na widok dziewczyny. – Nie zauważyłem cię, przepraszam.

– Poczulałam! – skarciła go z zaczepnym uśmiechem. – Przyszłam wyciągnąć cię na spacer. Przyda ci się to po tej audiencji.

– Przydałoby się, i to bardzo, ale niestety czeka na mnie książę Barbasu i oficjalna kolacja. – Posmutniał.

– Jeszcze dzisiaj? – Zdziwiła się.

– Tak, taki jest obyczaj. Mógłby się obrazić, jeśli nie spotkałbym się z nim w dniu jego przyjazdu. – Kastil odgarnął jej długie włosy z policzka.

– Przepraszam, ale dzisiaj nie będę mógł pójść z tobą na spacer. Kolacja skończy się pewnie późno w nocy. Postaram się jutro znaleźć czas. Teraz muszę już iść, bo pewnie już na mnie czeka. Przepraszam, Rollo.

– Nie szkodzi, obowiązki. Do zobaczenia! – Pomachała mu dłonią.

Przyspieszył kroku i niczym przeciąg przemknął przez królewskie komnaty wprost do sali narad. Pomieszczenie było całkiem duże, przy ścianach ustawiono regały ze zwojami i mapami, a na środku znajdował się spory owalny stół, otoczony kilkunastoma krzesłami. Zazwyczaj przykrywały go mapy i zwoje, ale dziś nakryto go białym obrusem i zastawiono drogocenną zastawą stołową. Gdy Kastil pojawił się w komnacie, Pandey już na niego czekał, przeglądając zwoje rozłożone na regałach.

– Przepraszam za spóźnienie, wasza wysokość. – Król złapał oddech. – Mam nadzieję, że nie zgłodniałeś za bardzo, ale audiencja się przeciągnęła.

– Nie szkodzi. – Pandey poklepał go po ramieniu. – Pozwoliłem sobie obejrzeć zwoje, które są tutaj zgromadzone.

– A to jeszcze nic, za tamtymi drzwiami mamy dość dużą bibliotekę, jeśli będziesz chciał, to chętnie ci ją pokażę. – Kastil wskazał drzwi po przeciwnej stronie.

– Oczywiście, z przyjemnością obejrzę, ale może nie dziś. – Pandey zerkał na stół.

– Usiądźmy – powiedział Kastil i odstawił sobie krzesło.

Gdy tylko zajęli miejsca, służący zaczęli wносить jedzenie. Na przystawkę podano kruche ciasto z pasztetem ze śledzi, a zaraz po nich wniesiono aromatyczną zupę warzywną. Panowie między posiłkami rozmawiali o błahych sprawach. Pandey chciał się dowiedzieć jak najwięcej o przebiegu wojny, a w zamian opowiadał o tym, co słychać we wschodnich krainach. Jako danie główne podano zapiekane marchewki z wołowymi żeberkami duszonymi w winie. Zgodnie z obyczajem dopiero po deserze, na który podano ciasto z leśnymi owocami, można było rozmawiać o interesach.

– Wspominałeś, wasza wysokość, że przyjechałeś z jakąś propozycją – zaczął Kastil, popijając rozwodnione wino.

– A tak. – Na śniadych policzkach Pandeya było widać rumieniec. – Ojciec uznał, że teraz, kiedy wasza miłość rządzi Erskinem, warto by było spróbować powiązać nasze kraje sojuszem handlowym i chodzi nam o bliższą współpracę. Ojciec wymyślił sobie, że skoro nasz kraj jest tak słabo zaludniony, to można zaprosić mieszkańców Erskinu, którzy chcieliby mieć więcej przestrzeni dla siebie, a nie mają na to szans w swoim kraju.

– Uważasz, że wychowani w zielonych krainach Erskinu albo w jego rozwiniętych miastach chcieliby porzucić to wszystko i przenieść się na pustynię? – Kastil spojrzał zaskoczony.

– Jeśli by ich odpowiednio zachęcić, to drudzy lub trzeci synowie mogliby się skusić. – Pandey wychylił łyk z kielicha. – Od nas, zupełnie za darmo, ochotnicy dostaną tyle ziemi, ile tylko będą w stanie obrobić. – Zamyślił się na chwilę. – A od was drewno na budowę gospodarstwa.

– I nie boicie się, że zaleje was fala osadników z Erskinu, którzy po jakimś czasie będą domagali się przyłączenia terytorium do ich ojczyzny? – zapytał z chytrym uśmiechem Kastil.

– Właśnie dlatego w aktach nadania będzie zapis o uzgodnieniu z tobą, wasza miłość, że roszczenia o przyłączenie do Erskinu nie będą rozpatrywane. – Pandey postukał palcem w dębowy blat.

– To bardzo ciekawe, ale nie sędzę, żeby wasz plan się powiódł. – Król odchylił się na krzesło. – Mieszkańcy Erskinu nie boją się ciężkiej pracy, ale życie na pustyni... Nie zrozum mnie źle, wasza wysokość, doceniam propozycję, ale nie będę nawet proponował tego moim poddanym.

– Oczywiście to twoja decyzja, wasza miłość, ale dobrze by było, gdybyś zechciał ją przemyśleć jeszcze raz, na spokojnie. – Twarz ściągnęło mu



zdeenerwowanie.

– Wydawało mi się, że masz jeszcze jakąś propozycję – powiedział Kastil, zręcznie zmieniając temat.

– A to może już przy następnej okazji. – Pandey podniósł się. – Po trudach podróży chyba się już położę, jeśli wasza miłość pozwoli.

– Nie mam nic przeciwko, sam chętnie się już położę. – Kastil uściskał dłoń Pandeya. – Dobrej nocy.

Nazajutrz udało się Kastilowi szybciej skończyć lekcję szermierki. Nauczyciel chciał się z nim zabawić i założył się, że go pokona. W nagrodę za zwycięstwo lekcja miała być krótsza, ale jeśli król przegrałby pojedynek, to ćwiczyłyby z wypchaną sianem kukłą na środku placu. Młody władca Erskinu świetnie poradził sobie w pojedynku, pozbawiając nauczyciela miecza, dzięki czemu miał chwilę na spotkanie z Rollo. Pokazał jej tym razem, jak dostać się na mury, z których spoglądali na dziedziniec.

– Widzę, że jeszcze nie odpocząłeś. – Rollo spojrzała mu w oczy.

– Ta wczorajsza kolacja skończyła się późno w nocy. A od rana musiałem stawić się na placu gotowy do lekcji szermierki. – Westchnął. – Wyobraź sobie, że Pandey razem z ojcem wymyślili, że moi poddani będą się osiedlać na ich pustyni.

– Jak to? – Zdziwiła się.

– Chcieli, żeby ludność Erskinu zasiliła ich kraj w zamian za ziemię. Problem w tym, że ich ziemia to piasek, na którym nic nie rośnie. – Skrzywił się. – Powiedziałem, że nawet nie będę o tym informował swoich poddanych. Nie ma opcji, żeby Erskińczycy w pocie czoła pracowali na rzecz innego kraju.

– Mądra decyzja, mój królu. – Dziewczyna przytuliła się do Kastila.

– Wasza miłość! – Zdyszany służący w liberii skłonił się przed nimi. – Po całym zamku szukam... Przybyły kolejne delegacje. Uczony Iskel nalega, żeby wasza miłość ich powitał.

– No i tyle było z wolnego czasu – szepnęła mu na ucho dziewczyna.

– Dziękuję, już idziemy. Odpocznij – powiedział i położył dłoń na ramieniu służącego. – Trzeba się pospieszyć, bo Iskel potrafi się zezłościć.

– Jak to idziemy? – Popatrzyła mu w oczy.

– Musisz poznać tych ludzi. – Kastil pogładził ją po głowie. – Będą tutaj mieszkać przez jakiś czas. Wypadałoby, żeby wiedzieli, kim jesteś. Poza tym musisz wiedzieć, kto jest kim, bo niektórzy są bardziej niebezpieczni od innych.

W połowie drogi do ścieżki, na której Iskel witał nowo przybyłą delegację, drogę zagroził im Pandey. Był ubrany w ociekającą złotem czerwoną kurtkę i żółte spodnie, które wyróżniały go na tle stonowanych kolorystycznie ubrań Erskińczyków.

– Witam, wasza miłość. Przedstawisz mi twoją towarzyszkę? – powiedział i wyciągnął rękę w stronę Rollo.

– Rollo Goggediw. – Kastil podał mu jej dłoń. – Córka przybocznego rycerza króla Werdgwaldu.

– Pandey Gaddar, książę Barbasu. – Książę zbliżył czoło do jej dłoni.

– Wasza wysokość, proszę nam wybaczyć, ale czeka na nas delegacja, którą trzeba przywitać. – Zbył go delikatnie Kastil.

– Oczywiście, nie przeszkadzam. – Pandey odsunął się z drogi. – Do zobaczenia!

Na dziedzińcu zamku znajdowało się sześciu konnych trzymających w dłoniach długie piki z błękitno-niebiesko-granatowymi chorągwiami. Na tarczach mieli wymalowane herby, podzielone na pół, na lewym polu znajdowała się mniejsza ryba na granatowym tle, a na prawym polu – większa na tle błękitu. Przed nimi, już bez konia, stał wysoki i szczupłutki mężczyzna o jasnych, dłuższych włosach. Ubrany był w długi ciemnozielony podróżny płaszcz z wyszytym na plecach herbem Tasariku. Miał długie kończyny, ale jego ruchy były niezwykle płynne i dostojne. Spod płaszcza wystawał miecz, choć inny niż tradycyjny. Był dłuższy i cieńszy niż ostrza jego rycerzy. Kiedy Kastil i Rollo zbliżali się do zgromadzonych, mężczyzna odwrócił się z szarmanckim uśmiechem. Wyglądał na starszego od Kastila, choć tylko o kilka lat.

– Król Kastil! – Rozłożył szeroko długie ramiona. – Od lat cię nie widziałem!

– Książę Tidur. – Uściskali się serdecznie. – Gdybyś wziął udział w niedawnej wojnie, to z pewnością byśmy się spotkali.

– Ta wojna... – Cień smutku pojawił się w czarnych oczach. – Pogadamy o tym za chwilę, a teraz może przedstawić mi tę piękną damie.

– Ach, tak, to Rollo Goggediw. Córka rycerza z Werdgwaldu.

– Tidur Dealin, książę Tasariku. – Uśmiech nie schodził mu z twarzy.

– Jestem zaszczycona, wasza wysokość. – Rollo pokłoniła się.

– Skończmy te konwenanse i mówmy sobie po imieniu. Chyba Iskel nie będzie miał nic przeciwko. – Tidur szturchnął delikatnie starszego uczonego.

– A co do powiedzenia ma staruszek. – Iskel zaśmiał się głośno. – I tak zrobicie, jak chcecie.

– I to mi się podoba. – Tidur zawtórował mu śmiechem. – Widać, że nie bez powodu masz te złote naszywki, Iskelu. Mamy do obgadania sporo spraw, wasza miłość.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Tidurze, ale będzie na to dużo czasu. – Kastil klepnął go w ramię.

– Tak, tak, ale tym razem chciałbym przyspieszyć nieco rozmowę, więc jeśli pani się nie obrazi, to chciałbym porwać Kastila na jakiś czas. – Ucałował dłoń Rollo.

– Oczywiście, ale pod warunkiem że później opowiesz mi o tym, co dzieje się teraz na południu – odparła dziewczyna.

– Z przyjemnością. Chodź Kastilu. – Tidur szarpnął go za rękę.

Król odwrócił się po kilku krokach i zobaczył Rollo idącą w stronę zamku w towarzystwie Iskela i Pandeya, który akurat do nich dołączył. Tidur jednak wyciągał swoje długie nogi w takim tempie, że Kastil musiał niemal za nim biec. Dopiero kiedy znaleźli się z dala od ludzi, Tidur zebrał się, by przekazać wiadomość od ojca.

## Rozdział XII

Król Kunglin nerwowo przechadzał się po swojej komnacie sypialnej. Od kiedy uczony Mytel wyjechał na koronację do Erskinu, władca musiał osobiście zajmować się korespondencją. Co prawda, pocztowy został na dworze, ale ze względu na interesy, które ostatnio zajmowały jego głowę, nie ufał chłopakowi spędzającemu całe życie wśród ptactwa. Gdyby jego listy do Immy albo Uleva ujrzały światło dzienne, miałyby na karku nie tylko wojsko Erskinu, ale pewnie też wewnętrzny bunt. Zdawał sobie sprawę, że nie wszyscy możni w Bernsternie popierają jego politykę i część z nich chętnie rozwikłałaby sprawę ataków piratów na kupieckie statki. Król pilnował swoich tajemnic i niejednokrotnie zdarzało się, że bardziej dociekliwi możni nie wracali z podróży.

Czekał niecierpliwie na Kelera, który dla niektórych mieszkańców miasta był nawet ważniejszy od króla. Nie wiedzieli jednak, że Keler i król współpracują ze sobą, dzięki czemu korona pozyskiwała podatki niemal dwukrotnie wyższe. Te oficjalne, które płacił każdy mieszkaniec Bernsternu, oraz połowę zysków z haraczy pobieranych od kupców w Warfstadzie. Nagle drzwi do jego komnaty otworzyły się powoli i do pomieszczenia weszła niewysoka czarnoskóra kobieta w żółtym luźnym stroju służącej.

– Mam wiadomość od Kelera – powiedziała nieśmiało. – Kazał mi przekazać ten list i wiadomość od niego. – Wyciągnęła z kieszeni dwa zwoje papieru.

– Dawaj! – Wyszarpnął jej wiadomości. – Czekał tutaj!

Klapnął ciężko na łóżko i nerwowo złamał swoją własną pieczęć grubymi palcami. Pospiesznie przebiegł wzrokiem po napisanych przez Imme zdaniach, uśmiechając się przebiegle. Odrzucił kartkę na bok i zabrał się za czytanie drugiej wiadomości. Ta była od Kelera.

Do K.B.

List dotarł dwa dni temu. Z ewentualną odpowiedzią musisz się wstrzymać tydzień, bo ptak musi odpocząć. W ramach rekompensaty przysyłam ci Make. Jedna z naszych wspólnych znajomych przywiozła mi ją kilka lat temu z Azu. Dziewczyna dużo się nauczyła przez ten czas i teraz jest jedną z większych atrakcji w moim domu rozrywki. Jest do twojej dyspozycji do rana. Nie uszkodź jej za bardzo, a zarobimy na jej umiejętnościach jeszcze niezłe pieniądze. W razie czego wiesz, jak mnie znaleźć.

K.

Kunglin odłożył zwitek papieru na bok, zaraz obok listu od Immy, i patrzył lubieżnie w stronę czarnoskórej Azuanki.

– Podejź tutaj, dziewczyno. – Oblizał wargi. – Jesteś moim prezentem.

Dziewczyna powoli zbliżała się do Kunglina, ale w jej ciemnych oczach widać było mieszaninę strachu i obrzydzenia. Król podniósł z łóżka swoje olbrzymie cielsko i chwycił szatę dziewczyny, kiedy tylko znalazła się w zasięgu jego rąk. Król pożerał ją wzrokiem, śliniąc się na widok jej niewielkich, ale zgrabnych piersi, płaskiego ciemnego brzucha, zaokrąglonych bioder i trójkąta czarnych, kręconych włosów.

– Bierz się do roboty, cała noc przed nami! – Wtoczył się na łóżko, a dziewczyna, zaciskając pięści, weszła tam za nim.

Nazajutrz przed południem dziewczyna wybiegła z komnaty naga i zakrwawiona. Król siedział przy stole, obgryzając pieczoną kure. Służący uwijali się obok niego ze zmianą pościeli i ścieraniem plam z podłogi. Kunglin nawet nie zwracał na nich uwagi zajęty połykaniem kawałków kurczaka.

Zastanawiał się przy tym, czy Mytel załatwił już sprawę, która była głównym celem jego wyprawy na koronację. Miał się spotkać z Ulevem zaraz po dotarciu do Erskinu i przekazać mu kolejny list od króla, a potem wytłumaczyć, że to nie jest żadna zasadzka i wszystko, o czym czytał, jest prawdą. Uczony zaraz po tej rozmowie miał wysłać list do Bernsternu i na ten list Kunglin czekał niecierpliwie. Dowiedział się już, że jego plan zaangażowania Barbasu w intrygę się powiódł i stary Vizey połknął haczyk. Teraz do dopełnienia planu brakowało mu tylko potwierdzenia, że jego nieślubny syn będzie szpiegował Kastila.

Podniósł się i pogardliwie popatrzył na uwijających się w pocie czoła służących. Wyszedł z komnaty, ciągnąc za sobą długą złotą pelerynę. Udał się do wieży pocztowego, nie mogąc doczekać się wiadomości. Kulał

i każdy krok sprawiał mu ból. Na jednym z polowań, jeszcze w czasach młodości, jego koń wpadł do rowu. Kunglin zdążył wyskoczyć z siodła, ale padające zwierzę złamało mu nogę w kolanie. Od tego momentu kończyła się sztywna, a każdy krok sprawiał mu ból. Uczni próbowali mu pomóc, ale nic nie wskórali, czym narażali się na nienawiść ze strony władcy. Dla niego zalecenie, by schudł, żeby odciążyć nogę, nie było żadną diagnozą.

Po przejściu długiego korytarza, obstawionego po obu stronach bursztynowymi popiersiami jego przodków, stanął przed wrotami prowadzącymi do wieży pocztowego. Dyszał ciężko i musiał przytrzymać się ściany, w tym momencie wrota otworzyły i wybiegł z nich rumiany chłopak o długich blond włosach, który na widok króla stanął jak sparaliżowany i wypuścił z rąk gruby zwój.

– Wasza... – Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. – Ja... List...

– Daj mi ten zwój i wynoś się... – Wysapał ciężko Kunglin.

Młodzieniec drżącą ręką podał królowi list i uciekł na górę, przebierając nogami najszybciej, jak tylko się dało. Król odwrócił się i powoli zmierzał w stronę swojej komnaty.

– Co on nabazgrał w tak długim liście... – mruknął do siebie, łamiąc pieczęć.

Do Kunglina Berna, Króla Bernsternu

Podróż przebiegła bez zakłóceń. Drogi do samego Erskinu utrzymane są należycie. W Erskinie zostałem powitany zgodnie z obyczajem. Młody Król ubolewa nad tym, że Wasza Miłość nie mógł przyjechać osobiście, i przekazuje życzenia dobrego zdrowia. Przede mną pojawiły się już delegacje z Barbasu, który reprezentuje księżę Pandey, oraz Tasariku, który reprezentuje Tidur Dealin, co jest nieco zaskakujące, biorąc pod uwagę zmianę władzy w Tasariku po wojnie z Werdgwaldem. Zaraz po mnie dotarła delegacja z Utvinu. W dodatku na dworze znajduje się kobieta, która ma być córką jednego z przybocznych rycerzy Króla Werdgwaldem. Przygotowania do koronacji idą bez przeszkód. Co prawda, Król Kastil nie angażuje się w samą uroczystość, ale spędza mnóstwo czasu z gośćmi, z którymi jada obiady, kolacje, oprowadza ich po mieście.

– Ty sprytny draniu... – Zaśmiał się głośno. – Tu jest tyle durnego bełkotu, że nawet jeśli list wpadłby w niepowołane ręce, to nikt nie doczytałby go do końca, a już na pewno nie odgadłby, o co w nim rzeczywiście chodzi. – Wrócił do czytania, pomijając kilka akapitów.

Udało mi się również spotkać przypadkiem jednego z obywateli Bernsternu, który pracuje na erskińskim dworze. Nazywa się Ulev Throdergad i jest pocztowym na zamku. Mówił, że tęskni za ojczyzną, ale wykonuje swoją pracę najlepiej, jak potrafi, i przykłada się do tego, co mu zlecono. Powiedział, że to zaszczyt móc wspomagać kraj, choćby pracując za jego granicami. Jego oddanie koronie zachwyciło mnie w trakcie rozmowy.

Reszty długiej wiadomości król Kunglin już nie czytał, wrzucił ją do kominka, w którym dogasał ogień. Papier zajął się i raz-dwa zniknął w płomieniach, w które władca wpatrywał się z triumfalnym uśmiechem. Zrodzony w jego głowie plan zaczynał nabierać życia. Teraz pozostała mu tylko najtrudniejsza jego część. Część, która wymagała najwięcej cierpliwości. Musiał czekać na to, co zrobi Barbas.

Bursztynowa Dama płynęła po Morzu Północnym, przecinając zupełnie płaską taflę wody. Pod względem wiatru na tych wodach to właśnie wiosna była najgorsza. Nie było nawet bryzy. Nie poruszała się nawet bandera na maszcie, nie mówiąc już o żaglach. Kapitan Imma rozkazała, by je zwinąć, i jej statek przesuwiał się napędzany jedynie pociągnięciami wiosł.

– Pani kapitan. – Tyt wskoczył na mostek. – Wioślarze narzekają, że łapska im przy rzyci odpadną.

– Mogą płynąć wplaw, jeśli im się nie podoba – mruknęła zamyślona.

Stała na mostku, wpatrując się w spokojne morze. Zastanawiała się nad tym, co wydarzyło się w mieście Pandey. Z jednej strony była zadowolona z tego, że plan jej ojca powiódł się i stary król dał się złapać na jej przynętę. Wiedziała, że Kunglin potrafi być hojny, jeśli wykonuje się jego polecenia. Liczyła na to, że dla niej ojciec będzie jeszcze hojniejszy. Jeśli uznałby ją za swoją córkę oficjalnie, mogłaby rzucić tę łajbę i tę bandę obdartusów i wyjść za mąż za jakiegoś przystojnego i bogatego paniczyka, który spełniałby jej zachcianki do końca życia.

– Pani kapitan? – Tyt dalej stał obok i czekał na odpowiedź.

– Czego? – Spojrzała na niego z wściekłością w oczach.

– Pytałem, czy... Dokąd płyniemy, pytałem – plątał mu się język.

– Do Utvinu – prawie szepnęła. – Weź kurs na Itan.

– Itan? – Aż podskoczył. – Przecież to wojskowa twierdza! Powywieszają nas tam wszystkich!

– Podważasz rozkaz kapitana, psi synu? – syknęła, łapiąc go za kolczyk w uchu.

– Nie! Aaa! Nie! – Piszczął, aż puściła.

– Trzymaj kurs na Itan i każ zmienić flagę. – Imma spojrzała w górę. – Z tą rzeczywiście mogą nas powiesić.

– Aye! – potwierdził bez entuzjazmu.

Z wizyty w Barbasi pozostała jej jeszcze jedna myśl. Od dawna wiedziała, że działa na mężczyzn i przy użyciu swoich wdzięków potrafiła wyjść z niejednej opresji. Wykorzystywała swoją urodę i urok do zdobycia pozycji wśród piratów. Nigdy jednak nie miała do czynienia z mężczyznami z wyżyn społecznych, poza tymi porwanymi dla okupu oczywiście. Nie miała pojęcia, że faceci na wysokich stanowiskach, królewscy urzędnicy też mogą biegać jak wytresowane pieski i skakać na każde jej zawołanie. Zachowanie Yumina było jednak jednoznaczne.

Zastanawiała się nad tym, że być może tylko w krajach wschodnich tak działała na mężczyzn z wyższych sfer. Tam mieli kobiety o zupełnie odmiennej od Immy urodzie, a w dodatku wycofane, skromne i słuchające mężczyzn. Może była czymś na kształt przygody, potrawy z innego końca świata, której chce się spróbować. Chciała się przekonać, jaki wpływ będzie miała na mężczyzn z zachodu, którzy częściej mogli podziwiać wdzięki rudowłosych kobiet o ognistym charakterze. Stąd pomysł na odwiedzin w wojskowej twierdzy Itan.

Co prawda, miasto było portowe, więc знаła najgorsze speluny, ale tym razem postanowiła uderzyć bezpośrednio do zamku. Spodziewała się tam rycerzy i szlachty, która będzie mogła stać się jej królikami doświadczalnymi. Wiedziała, że Utwińczycy nie są zbyt kontaktowi i zbyt szarmanccy, więc stanowili doskonałą próbę. Jeśli uda jej się z którymś z nich, to uda jej się na całym świecie.

Na czas podróży schowała się w swojej kajucie, w której leżąc w hamaku, popijała miód z pokrytego szmaragdami rogu. Bujała się, odpychając się nogą od podłogi, i patrzyła w sufit, zastanawiając się, czy nie robi największej głupoty w swoim życiu. Rozmyślanie przerwało jej pukanie do drzwi.

– Pani kapitan. – Tyt pojawił się w drzwiach. – Miałem meldować, jak będziemy dopływać, to melduję.

– Zamkniesz dolny pokład z wioślarzami. – Spojrzała na niego. – Na górny też nikogo nie wpuścisz, jasne?

– Aye! Ale celnicy...



– Nie przejmuj się tym – przerwała mu. – Ja to załatwię. Zapewniam cię, że nie będą chcieli się do statku zbliżyć, ale dla pewności miej na wszystko oko.

– Tak jest, pani kapitan. – Trzasnął drzwiami za sobą.

Imma zeszła z hamaka i otworzyła stojącą w rogu kajuty szafę. Drzwi skrzypnęły, a jej oczom ukazały się suknie rozwieszane na wieszakach. Przesunęła po nich dłonią i zatrzymała się na długiej, wąskiej sukni z zielonego jedwabiu. Uznała jednak, że to przesada, i wyciągnęła granatową suknię z obcisłą górą, która rozszerzała się od bioder. Była ostatnio bardzo modna wśród dwórek na zachodzie. Głęboki dekolt obsztyty był srebrną koronką i sięgał prawie do pępka. Długie wąskie rękawy zakończone były koronkową falbanką przykrywającą dłonie. Włosy upięła na bok, a na porcelanową szyję założyła delikatny srebrny łańcuszek z zawieszką w kształcie serca.

Wyszła na pokład, po którym biegali jej piraci przygotowujący statek do cumowania. Z daleka dało się zobaczyć twierdzę Itan, która rysowała się na tle zachodzącego słońca. Nie był to jednak widok zapierający dech w piersiach. Twierdza służyła wyłącznie obronie i nie miała prawie żadnych walorów estetycznych. Była to kamienna bryła przypominająca kształtem zamkniętą skrzynię. Zbudowana była z szarego kamienia, a w ścianach znajdowały się tylko niewielkie okienka będące stanowiskami strzelniczymi. Wejście do zamku było niewielkie, zupełnie niepodobne do wielkich wrót, jakie widywało się w innych tego typu budynkach, a prowadził do niego prosty wąski most. Twierdza wybudowana była zaraz obok doków.

Każdy statek, który chciał zacumować przy brzegu, był kontrolowany przez utwińskie wojsko. Gdy tylko Tyt i reszta chłopaków zrzucili liny, a pracownicy portu przywiązali je do pachołów, Imma opuściła trap i szybko po nim zeszła. W momencie postawienia przez nią stóp na lądzie trap został podniesiony z hukiem. Po wąskim moście w jej kierunku zmierzało już dwóch żołnierzy. Byli raczej smukli i niezbyt wysocy jak na ludzi, którzy wykonywali zawód polegający na walce. Nosili szare mundury, długie kolczugi i zwykłe szyszaki. Przy pasach mieli długie, proste miecze bez żadnych ozdób. Szybko zbliżali się do Immy, która poprawiała ułożenie koronki na dekolcie.

– Kontrola portowa – rzucił trochę wyższy blondyn o zielonych oczach. – Proszę opuścić trap.

– Panowie – powiedziała z uśmiechem. – Zapewniam was, że nie chcecie wchodzić na pokład. Płyniemy prosto z Jaramu, gdzie panuje naprawdę obrzydliwa choroba. – Żołnierze cofnęli się lekko speszeni. – Ale nie martwcie się. Kobiety nie mogą złapać tej choroby, dotyka ona tylko mężczyzn i tylko tych sfer. – Zakręciła palcem nad łonem.

– W takim razie nikt nie może zejść z tego statku! – pisnął nerwowo niższy młodzieniec o bielutkich włosach.

– I nie zejdzcie. – Podeszła bliżej i położyła dłoń na rękojeści jego miecza. – Masz na to moje słowo. Wszyscy członkowie załogi zostaną na statku, a ja chcę porozmawiać z dowódcą tej twierdzy. Kapitan powinien wiedzieć, jak was uchronić przed tą zarazą. Szkoda by przecież było, żeby tacy ładni chłopcy nie mogli zrobić użytku z mieczyków, prawda? Prowadźcie! – Przeszła między nimi, lekko się ocierając o ich ramiona.

Wyższy mężczyzna wyprzedził ją i poszedł przodem. Wyglądał na starszego od swojego kompana, miał też ciemniejsze włosy. Szła za nim, starając się poruszać z jak największą gracją. Przytrzymała suknię, unikając kałuż, przy okazji pokazując wysokie buty. Po przejściu przez kamienny mostek żołnierz zatrzymał się nagle.

– W twierdzy nikt poza wojskiem nie może nosić broni. – Na policzki wypełzył mu rumieniec.

– Nie mam broni, ale jeśli masz ochotę, to możesz sprawdzić własnoręcznie. – Rozłożyła szeroko ramiona.

– Takie mamy... procedury. – Przełknął ślinę.

Prawie nie dotykając jej ciała, przesuwał dłońmi po rękawach i gorscie sukni. Sprawdził cholewy jej butów, a potem przeniósł dłonie trochę wyżej. Kiedy był już za kolanami, Imma zachichotała, a żołnierz natychmiast zabrał ręce i wyprostował się.

– Oj, chyba nie sprawdził pan wszystkiego dokładnie. – Puściła do niego oczko.

– Proszę wejść – odparł sztywno czerwony jak burak.

Przez środek twierdzy biegł niedługi ciemny korytarz, a po jego bokach znajdowały się drzwi prowadzące do komnat żołnierzy. Strażnik, który ją przeszukiwał, wskazał jedno z nich. Zwykle drewniane drzwi z niewielkim otworem przesłoniętym kratką. Zapukał, a po chwili z komnaty wyłoniła się czarna czupryna przetkana pasami siwizny. Kapitan był dużo starszy od żołnierzy, których już poznała. Miał ciemne oczy, był wyższy i lepiej

zbudowany. Na twarzy widać było kilkudniowy zarost oraz sporo drobnych blizn.

– Panie kapitanie! – Zasalutował. – Melduję, że ta kobieta przyплыnęła statkiem, który stoi w porcie. Chce rozmawiać z panem o chorobie, którą przywiozła.

– Co?! – Kapitan otworzył szerzej drzwi. – O czym wy bredzicie, Byns, do jasnej cholery?!

– No właśnie, Byns – odezwała się, patrząc kapitanowi prosto w oczy. – To prawda, że chcę rozmawiać z kapitanem, a od kiedy go zobaczyłam, nawet bardziej, ale nie przywiozłam żadnej choroby, to nie do końca prawda.

– Zapraszam do gabinetu – powiedział po krótkiej chwili wpatrywania się w wisiołek kręcący się między palcami Immy.

Pokój, w którym dowódca twierdzy spędzał całe dnie, nie wyglądał zbyt interesująco. Na szarej kamiennej ścianie wisiała mapa Morza Północnego wraz z całym wybrzeżem, naprzeciwko stało proste biurko, a za nim krzesło. Przy przeciwległej ścianie postawiono regał, na którym leżało kilka książek i stare zwoje. Na biurku stała gruba świeca, która oświetlała dokumenty leżące obok.

– Proszę siadać. – Wskazał krzesło stojące przy ścianie, sam usiadł za biurkiem. – Zaczniemy od tego, o czym bredził Byns.

– To było wielkie nieporozumienie, ten młodzieniec sprawiał wrażenie niezwykle przejętego moją obecnością i coś źle zrozumiał – mówiła, używając najbardziej wyszukanych słów, jakie przychodziły jej do głowy. – To prawda, że przyплыnęłam tutaj z Jaramu.

– W takim razie moi ludzie wejdą na statek sprawdzić, czy nie wwozi pani nic podejrzanego, normalna procedura. – Miał niski głos.

– Oczywiście nie ma na pokładzie nic, co mogłoby wzbudzić wasze podejrzenia, ale w Jaramie panuje pewna niespotykana dotąd choroba, którą złapała część mojej załogi. – Chwyciła go za rękę, zanim się odsunął.

– Chodzi wyłącznie o męską część załogi. Kobiety nie mogą na to zachorować ani nawet przenieść tej choroby na kogoś innego, więc proszę się mnie nie obawiać.

– Nie obawiam się, pani... – Zawiesił głos pytająco.

– Derina Terenvik, panna. – Skłoniła głowę. – Wysłano mnie do Jaramu z Tasariku. Miałam zakupić towary potrzebne w królestwie, ale nie udało się i nie przywiozłam nic poza... – Odgarnęła włosy ze strapioną miną. – Tą

chorobą. Nie wiem, co mam dalej robić. Wioślarze mają już coraz mniej sił i ubłagali kapitana, żebyśmy zatrzymali się na chwilę w tym porcie.

– Płynie pani do Tasariku? – Zmrużył oczy.

– Tak, dokładnie do Pohlinu. – Założyła nogę na nogę. – To nasz port macierzysty. Liczę, że uczony coś na to zaradzi. W Jaramie są tylko szamani, którzy nie mieli pojęcia, co z tym zrobić, a sami też chorowali...

– Co to za choroba, panno Terenvik? – Patrzył przenikliwie.

– Och, to naprawdę straszne. – Miała strapioną minę, choć wewnątrz zaśmiewała się. – Niech pan sobie wyobrazi, kapitanie, że mężczyźni tracą siłę, nie mogą pracować, nie chcą jeść ani pić, ale to nie jest najgorsze. Damie nie wypada o tym mówić, ale lepiej, żeby pan wiedział... – Podniosła się i zbliżyła do niego, nachyliła nad uchem, żeby dekollet był jeszcze bardziej widoczny. – Ich męskie części robią się czarne, a potem zaczynają gnić.

– To niemożliwe! – Poderwał się z krzesła.

– Też tak myślałam, póki kapitan statku mi o tym nie opowiedział, chciał mi nawet pokazać, ale damie nie wypada. – Byli bardzo blisko siebie. – Panie kapitanie. – Obniżyła głos i spojrzała najbardziej prowokująco, jak tylko potrafiła. – Nie śmiem nawet prosić o pomoc. Kończą nam się zapasy, brakuje wody, brakuje żywności... – Oczy zaczęły jej się szklić.

– Proszę się nie martwić, panno Terenvik. – Złapał ją za ramiona. – Wymyślimy coś, żeby wam pomóc.

– Ach, dziękuję. – Objęła go. – Jest pan wspaniały!

– To obowiązek rycerza, by wspomagać potrzebujących. – Trzymał ją blisko siebie, czuła jego szalejące serce.

– Zapewniam pana, kapitanie, że niewielu tak cnotliwych rycerzy, jak pan, spotkałam w życiu. – Wysunęła się z jego objęć. – Chciałabym wrócić na statek, do swojej załogi, jeśli można. Gdyby udało się zorganizować jakąś pomoc, to proszę krzyknąć z daleka. Nie mogłabym żyć, gdyby was dopadła ta choroba.

– Oczywiście, panno Terenvik. Postaram się przybyć z pomocą najszybciej, jak się da. – Wyprostował się, niemal salutując.

– Jest pan wspaniałym dowódcą, do zobaczenia. – Musnęła dłonią jego szorstki policzek i wyszła.

– Mam pofrunąć na pokład, ty durny szczurze! – ryknęła na Tyta, kiedy tylko jego głowa pojawiła się nad burcią.

– Aye! – Pisnął i pobiegł do trapu.

Już po chwili Imma wkroczyła na pokład i bez słowa udała się do kapitańskiej kajuty. Wyszła z niej za jakiś czas ubrana już w charakterystyczne dla siebie bufiaste spodnie, wysokie buty i białą, zapinaną na guziki koszulę z długim rękawem.

– Tyt! – zawołała. – Biegiem do mnie.

– Jestem, pani kapitan. – Wydyszał, ledwo wyhamowując.

– Zjawi się tutaj wojsko. – Mrużyła oczy. – Przywiozą zapasy, ale nie będą wchodzili na pokład. Zostawią wszystko na nabrzeżu i odjadą. Wtedy wyglądający najbardziej ludzko wyjdą na nabrzeże i powoli, z dużym udawanym wysiłkiem wniosą wszystko na pokład. Jasne?

– Aye! – Spuścił głowę. – Nie rozumiem.

– Nie masz rozumieć, Tyt. Od rozumienia jestem ja, ty masz wykonywać rozkazy, pamiętasz?

– Tak jest, pani kapitan... A dlaczego mamy to zrobić, udając brak siły?

– A dlatego, że oni myślą, że na statku panuje choroba, i dlatego tutaj nie wejdą. – Przebiegły uśmieszek pojawił jej się na twarzy.

Nie musiała czekać nawet do południa następnego dnia. Kapitan twierdzy zjawił się osobiście, a wraz z nim przyjechały cztery spore wozy pełne beczek.

– Panno Terenvik. – Skłonił się, siedząc na szarym koniu. – Zgodnie ze słowem, które pani dałem, przekazujemy pomoc dla załogi tego statku. W beczkach jest pitna woda, wino, chleb i suszona barania, podzieliliśmy się tym, co mieliśmy.

– Dziękuję bardzo. – Udawała wzruszenie. – Jest pan wzorem cnót rycerskich, kapitanie. Brakuje mi słów, żeby wyrazić wdzięczność. Będę o panu pamiętać i wznosić modły do wszystkich tassarickich bogów, a może kiedyś uda mi się wrócić tutaj i podziękować osobiście.

– Będę czekał, panno Terenvik. – Pozdrowił ją gestem i odjechał.

– Miała pani rację, pani kapitan. – Tyt wychylił się za burtę, oglądając wozy. – Jak pani to zrobiła?

– A widzisz, Tyt, wszystko jest kwestią rozumu. – Imma zaśmiała się. – Ja go użyłam, a oni, a w szczególności ten kapitan nie miał możliwości użycia swojego.

– Ja tego chyba, psia krew, nie rozumiem, pani kapitan... – Westchnął ciężko.

– Bo ty jesteś prosty pirat, Tyt. – Klepnęła go w plecy. – Ale dosyć gadania, bierzcie się za załadunek i odpływamy, bo jeszcze ten kapitan

będzie chciał ode mnie czegoś w zamian za te beczki.

Po chwili grupa piratów z trudem zdejmowała beczki z wozów i toczyła na pokład. Zgodnie z rozkazami Immy robili to dwukrotnie wolniej niż normalnie i mieli przy tym okrutnie strapione miny. Odgrywali swoje role z jak największą starannością, bo wiedzieli, że kapitan nie wybacza błędów.

Imma stała przy burcie i obserwowała to przedstawienie, świetnie się przy tym bawiąc. Wypatrzyła sylwetkę kapitana stojącego na tle swojej twierdzy. Zastanawiała się przy tym, komu kapitan odjął od ust ten towar i jak daleko jej osobisty urok może ją zaprowadzić w przyszłości.

## Rozdział XIII

Przez wsie i pola podróżowały w stronę bagien, za którymi znajdowała się pradawna świątynia Sag Bas. Czerwona kapłanka wędrowała z nimi i choć nadal niewiele mówiła, to rozpoczęła szkolenie zgodnie z wolą Hexa. Miała sporą wiedzę i w tej kwestii nie musiała nadrabiać, tak jak choćby Ahga, ale zupełnie nie radziła sobie z walką. Mossa, Ahga i Iv zrobiły duże postępy w czasie zimowo-wiosennej podróży i potrafiły się już posługiwać sztyletem z niezłym skutkiem.

– Zatrzymamy się tutaj. – Juvii rzuciła plecak na mech. – To ostanie miejsce, w którym można bezpiecznie przenocować. Potem będziemy musiały dojść do świątyni. Na terenach, przez które będziemy przechodzić, nie czuję się bezpiecznie nawet ja.

– Co tam jest? – zapytała z ciekawością Mossa.

– Kiedy będziemy szły dalej w las, zobaczycie bagna, nie są to jednak zwykłe bagna. – Juvii wskazała kierunek nożykiem, który wyciągnęła z torby. – Coś sprawia, że opary z tych bagien otumaniają, a wejście w nie kończy się rozpuszczeniem ciała. – Spojrzała na adeptki, ale tylko Mossa wpatrywała się w nią z zainteresowaniem.

– A co się stanie, jeśli nie zdążymy dotrzeć do świątyni, ale przejdziemy bagna? – dopytywała dziewczyna.

– Wtedy będziemy musiały nocować na pustyni, między ostańcami, w jakichś szczelinach skalnych. – Juvii zapatrzyła się w las. – Inaczej zamarzniemy. Tam, gdzie skaza czarnej ziemi dotknęła chociaż skrawka terenu, noce robią się niewyobrażalnie zimne.

– A w świątyni nie jest zimno? – dopytywała Mossa.

– Nie. – Juvii uśmiechnęła się. – Świątynia dba o tych, którzy przebywają w jej wnętrzu.

– Co to znaczy? – wtrąciła się Ahga.

– Zobaczycie na miejscu. – Kapłanka zajrzała do torby. – Rozpalcie niewielkie ognisko, zjemy coś i potrenujemy.

Po kolacji podzieliły się na dwie drużyny. Ahga, Mossa i Iv trenowały między sobą walkę dwie na jedną w różnych konfiguracjach, natomiast Juvi skupiła się na kapłance.

– Nie wiem, z jakiego powodu Hex chciał, żebyś została – zaczęła. – Nie mam jednak zamiaru podważać tej decyzji. Musisz zacząć lepiej współpracować, jeśli szkolenie ma być skuteczne, rozumiesz? Hex poznał cię już, siedząc w twojej głowie, ale ja cię nie znam. Przez całą drogę nie mówiłaś o sobie nic. Muszę coś wiedzieć...

– Tia Tenerik – zaczęła nieśmiało. – Czerwoni kapłani zabili moich rodziców, porwali mnie z Lubein w Erskinie i wyszkolili na jedną z nich.

– Ret nie pozwala zabijać – stwierdziła Juvi.

– Nie... Chociaż nie do końca. – Zamyśliła się. – Nie pozwala zabijać tylko swoich. Jeśli chodzi o resztę, to nie ma przeciwwskazań.

– Zgodziłaś się odejść od nich czy on cię przekonał? – Nie musiała wypowiadać imienia, by Tia wiedziała, kogo ma na myśli.

– Zgodziłam się, oni potrzebowali porwanych kapłanów tylko do pracy. Nie szanowali nas, nie mam po co do nich wracać, a on... – Ponownie zawiesiła głos. – Obiecał mi, że świat może wyglądać inaczej.

– Wspólnie możemy do tego doprowadzić, ale niestety nie da się tego zrobić w pokojowy sposób, więc trzeba będzie się ubrudzić. – Juvi położyła dłoń na jej ramieniu i popatrzyła głęboko w oczy. – Jesteś na to gotowa?

– Tak, spróbuję...

– To mi wystarczy, dziecko. – Odskoczyła od niej. – Wyciągaj miecz! – Rzuciła jej drewniany kij, którym trenowały na początku. Sama też wyciągnęła swój i zaatakowała gwałtownie. Tia zbiła dwa pierwsze ataki panicznymi ruchami, ale trzeci trafił ją w łydkę. – Gdyby to był Kati, to już byś nie żyła! – krzyknęła Juvi i natarła ponownie.

Tym razem uderzyła od góry. Raz na prawy obojczyk, raz na lewy, raz na głowę. Wszystkie ciosy Tia zablokowała i nawet próbowała wyprowadzić kontratak, ale obszerne i powolne cięcie od dołu odsłoniło cały jej bok. Juvi wykorzystała to błyskawicznie i uderzyła ją w zebra.

– Au! – Tia upadła twarzą w mech.

– Twój problem polega na tym, że za dużo kalkulujesz. – Juvi podała jej dłoń. – Uderzenia, które wyprowadzasz, są dobre, ale za długo się zastanawiasz. W czasie, w którym myślisz, czy uderzyć z góry, czy z dołu, ktoś zdąży cię zabić.



– Sama mówiłaś wcześniej, że trzeba myśleć w trakcie walki i wygrywa się ją mózgiem... – Dziewczyna skrzywiła się.

– Tak, bo to jest prawda, ale myślenie musi być błyskawiczne, w zasadzie instynktowne, ale wypracujesz to, spokojnie. – Kapłanka poklepała ją po ramieniu. – Spróbujmy jeszcze raz, tym razem więcej agresji!

Kolejna krótka potyczka wyglądała już dużo lepiej. Tia dobrze się broniła, starała się nawet zaatakować szybkimi ciosami, ale mimo wszystko i tak wylądowała na mchu.

– To było bardzo dobre! – krzyknęła radośnie Juvi. – Poćwiczmy dłużej, nabierzesz kondycji i będą z ciebie ludzie! Na dziś wystarczy. Idziemy jeść! – Wskazała ognisko.

Po spokojnie przespanej nocy wyruszyły w drogę, gdy tylko pierwsze promienie słońca pojawiły się na niebie. Dzięki temu jeszcze przed południem udało im się dotrzeć do wejścia do jaskini. Juvi weszła do niej pierwsza, by bezpiecznie przeprowadzić przez nią adeptki. Długi marsz przez ciasne i ciemne zakamarki naturalnego tunelu prowadzącego przez górę zakończył się powodzeniem.

Po wyjściu na zewnątrz kapłanka uśmiechnęła się szeroko, słysząc westchnienia pozostałych. Widziały czarną pustynię pokrytą sinymi liniami i usianą skalnymi słupami. Od miejsca, w którym stały, prowadziła jasna długa ścieżka, ogrodzona niewielkimi czarnymi kamieniami. Na końcu ścieżki stała wielka góra z dwoma wierzchołkami.

– Musimy przejść przez tę górę? – zapytała niepewnie Ahga.

– Nie. – Kapłanka zaczęła schodzić w dół. – Idziemy do tej góry. To właśnie świątynia Sag Bas.

Mossa ruszyła ścieżką jako ostatnia, z trudem odrywając wzrok od tego, co miała przed sobą. Podziw wszystkich kobiet rósł jednak z każdym krokiem. Mijały ogromne skalne kolumny, widziały z bliska czarne głazy pokryte sinymi pęknięciami, które tworzyły wzory niczym żyły w ludzkim ciele. Z każdym krokiem świątynia rosła przed nimi i choć żar z nieba lał się niemiłosierny, to kobiety nie zwalniały, chcąc jak najszybciej zobaczyć z bliska tę złowrogo wyglądającą górę, która miała stać się ich domem. Dostrzegały już więcej szczegółów świątyni Sag Bas. Widziały ostre wierzchołki i nierówne krawędzie splekanych i poprzeszywanych sinymi szlakami skalnych ścian oraz czarny idealnie okrągły otwór.

– To drzwi? – ku zaskoczeniu wszystkich odezwała się Tia.

– Tak, to wrota do świątyni. Przejdziemy przez nie już niedługo. – Juvi starała się pocieszyć wymęczone upałem i marszem towarzyszki.

Późna wiosna i wiszące wysoko słońce sprawiło, że droga była dużo bardziej wymagająca niż wtedy, kiedy Hex ją przemierzał. Wreszcie stanęły przed otworem stanowiącym wejście do świątyni, przekroczyły próg i zobaczyły długi korytarz wykonany z idealnie gładniej skały. Przejście prowadziło wprost do głównej sali, w której stało zadymione podwyższenie okalane rzędami ław. Dziewczyny, szeroko otwierając oczy, rozglądały się po ciemnej sali, podziwiając jej ogrom.

– Skąd ten dym? – Ahga podeszła do Juvi.

– Wszystko wam pokażę i opowiem, co gdzie jest, ale za chwilę. Najpierw odpocznijmy i znajdziemy... – Zawiesiła głos, widząc zbliżające się do nich światło pochodni.

Worek, który trzymała na ramieniu, zsunął się na podłogę. Zbliżający się do nich mężczyzna zupełnie nie przypominał chłopca, którego zostawiła w świątyni przed wyruszeniem w drogę. Był dużo wyższy, stracił resztę włosów, a ciało aż po szyję miał pokryte sinymi wybroczynami gęsto wyrastającymi z niemal granatowych dłoni, pojedyncze linie wychodziły prawie na żuchwę.

Poznała go w zasadzie tylko po stroju. Skórzane spodnie, które kiedyś zwisały na nim smętnie, teraz opinały rozbudowane nogi, a pod kamizelką dało się zauważyć potężne mięśnie klatki piersiowej i wyrzeźbiony brzuch. Trzymał pochodnię nad głową, a płomień oświetlał jego ogromne ramiona. Juvi nie wytrzymała i podbiegła do niego, rzucając mu się w ramiona. Hex złapał ją w talii i okręcił się kilka razy.

– Nie poznałam cię, chłopcze! – Zaśmiała się, kiedy już odstawił ją na ziemię.

– W Źródle Życia zauważyłem, że udało mi się wyrosnąć. – Rozejrzał się.

– Jeszcze te ślady... Ale chyba już nie rosną.

– Wiedziałeś, że przyjdziemy. – Szturchnęła go w brzuch. – Dlaczego nie wyszedłeś przed świątynię?

– Czytałem i umknęło mi, kiedy się zbliżyłyście. – Podeszedł do zmieszanych kobiet. – Miło mi was wreszcie zobaczyć na własne oczy.

Hex zaskoczył Juvi i przygotował na ich przybycie całkiem wystawną ucztę. Zaskakiwał ją zresztą raz za razem już od momentu, w którym go ponownie ujrziała. Wyglądał inaczej, niż go zapamiętała, zachowywał się

inaczej, ale przede wszystkim widziała w jego czarnych oczach coś, czego wcześniej tam nie było.

Poczęstował je zupą warzywną z mięsną wkładką i świeżymi kukurydzianymi plackami. Siedzieli na rozłożonych na podłodze kocach w jednej z cel sypialnych oświetlonej pochodniami. Młode adeptki bały się olbrzymiego mężczyzny, przez co czuć było napiętą atmosferę. Juvy starała się ją rozładować rozmową.

– Jak udało ci się nie zwariować tutaj samemu? – zapytała wesoło.

– Tak samo jak tobie przez te wszystkie lata – odparł. – Zajmowałem się nauką i treningiem. Opanowałem już walkę toporem, który mi kiedyś pokazywałaś... Wiesz, że można nim kruszyć mury i w ogóle się nie tępi? – zapytał z dumną miną.

– Że się nie tępi, to wiedziałam, ale mury... – Zamyśliła się. – Nie miałam tyle siły, żeby wbić go w ścianę. Nie mów, że popsujesz coś w świątyni!

– Tym murom nic nie zaszkodzi. – Miał bardzo spokojny ton głosu. – Opowiedz mi, jak przebiega szkolenie. Dziewczyny są gotowe?

– Nie są, nie mogą jeszcze być! – Uniosła się. – Po paru tygodniach czy miesiącach szkolenia nikt nie jest gotowy!

– Wyruszymy ostatniego dnia wiosny. – Podniósł się, niemal zasłaniając światło jednej z pochodni. – Szkolenie musi dobiec końca do tego dnia. Jeśli nie, to i tak złożą śluby. Najwyżej będziesz kontynuować nauki w trakcie wyprawy.

– Zostało mało czasu, a one... – Juvy wzięła głęboki wdech. – Jak miałam je uczyć bez książek? Przecież w drodze nie miałam ze sobą nawet jednej książki!

– Walczyć potrafią, tyle widziałem. – Spojrzał na nią groźnie.

– Potrafią, ale nie w takim stopniu, żeby radzić sobie samemu, a Tia...

– Tia zajmę się osobiście – przerwał, a lodowaty dreszcz przeszedł jej po plecach.

– Co?! – Zerwała się. – Wyobrażasz sobie, że jak wyrosłeś, to możesz robić wszystko sam, chłopcze?! Że możesz wydawać mi polecenia i żądać niemożliwego?!

– Spokojnie, kapłanko. – Jego głos brzmiał niezwykle władczo. – Byłaś moją nauczycielką i jesteś nią nadal, ale zgodnie z księgą, którą sama mi pokazałaś, to ja jestem jedynym czynnikiem, który może przywrócić Sag

Bas światu, a to oznacza, że moje decyzje są prawem. Przeczytaj czarną księgę w całości, a przyznasz mi rację.

– Masz szczęście, że jestem zmęczona po podróży. – Zmrużyła oczy. – Jutro pokażesz mi, gdzie to niby w księdze stoi, że twoje słowo jest prawem.

– Przygotowałem dla was dwie komnaty. – Odwrócił się do reszty kobiet patrzących na ich kłótnię z przerażeniem. – Są na tyle duże, że bez kłopotu zmieścicie się w jednej we cztery. Dobrej nocy.

– Dziękujemy – nieoczekiwanie to Tia przerwała ciszę.

Wyszedł z komnaty, a oddech ulgi dało się usłyszeć chyba na końcu świątyni.

– Nie bójcie się go. – Jovi przysiadła przy nich. – Wygląda groźnie i jest stanowczy, ale to moc artefaktów Sag Bas przez niego przemawia. Kapłanki są przy nim bezpieczne jak nigdzie indziej. Zaufajcie mi. Chodźcie, pokażę wam waszą sypialnię.

Pokój był surowy, taki jak każdy w świątyni, ale Hex postarał się, żeby przyszłe kapłanki miały w nim wygodnie. Ustawił w nim cztery łóżka przy jednej ze ścian. Na każdym leżał gruby materac i kilka koców. Komnata oświetlona była dwiema pochodniami, a na stoliku stojącym przy ścianie naprzeciwko łóżek dodatkowo postawił świecznik.

– Wybierzcie sobie łóżka. Łazienka jest obok. Kiedyś w każdej celi było takich łóżek dziesięć i nie było miejsca na osobne łazienki, ale my się pomieścimy. Mój pokój jest z drugiej strony, gdybyście czegoś potrzebowały.

Mossa nie wytrzymała, kiedy leżały już w łóżkach, i zaczęła przepytywać Cię.

– On naprawdę był w twojej głowie? – szepnęła. – Jakie to uczucie?

– Na początku, w twoim domu... bolało. – Zawiesiła głos na moment. – Przy następnych wejściach nie czułam nawet jego obecności. Zupełnie nic nie czułam, póki się nie ujawnił.

– A wtedy nad rzeką? – Mossa nie dawała spokoju.

– Nie pamiętam zbyt wiele... – Tia ponownie zamilkła na dłuższą chwilę.

– Wiem tylko, że pociemniało mi przed oczami, a kiedy się ocknęłam, tamten już leżał martwy.

– Będziecie miały czas na gadanie od rana! – burknęła Iv. – Chciałabym się wyspać!

W ciągu kolejnych dni Hex nie pozwalał na marnowanie czasu. Szkolenie zaczynało się wcześnie rano, a kończyło późnym wieczorem. Każdy dzień zaczynał się od rozmowy. Zabierał jedną z kobiet na dolny poziom świątyni, tam gdzie rosnęło Drzewo Śmierci, gdzie było Źródło Życia i gdzie palił się Wieczny Ogień, i opowiadał im tam o swojej historii oraz o tym, co Sag Bas da światu.

Jednak nie sama rozmowa była najważniejsza, a budowanie zaufania. Te spotkania w cztery oczy w mistycznej atmosferze, w pradawnym pomieszczeniu, którego podłogę pokrywały czaszki tysięcy przestępców złożonych w ofierze Sag Bas, wpływały na powstawanie więzi między Hexem i jego przyszłymi wojowniczkami. Zakończeniem tych niemal intymnych spotkań była zgoda kobiet, by Hex wszedł do ich umysłu. Pierwsza zaufała mu Tia, w której umyśle już był. Mossa i Ahga wymagały więcej rozmów, ale też dość szybko udało się zdobyć ich bezgraniczne zaufanie. Najtrudniej było z Iv, która opierała się z całych sił. Podważała każde jego słowo, nie wierzyła w to, że świat może wyglądać tak, jak jej go opisywał. Właśnie dlatego to jej poświęcał najwięcej cza-su.

– Te codzienne rozmowy są bez sensu. – Iv usiadła na brzegu Źródła Życia.

– Dla mnie to miły początek dnia. – Hex usiadł obok.

– Wiem już wszystko o tej religii i o tym, jak ma wyglądać świat w przyszłości, problem w tym, że ci nie wierzę. – Jej głos był zupełnie obojętny.

– Historia twojego życia jest smutna i masz prawo nie mieć zaufania do całego świata. – Wzruszył potężnymi ramionami. – Rozumiem to doskonale i nie mam zamiaru opowiadać kolejny raz o przyszłości.

– To po co mnie znowu tutaj zabrałeś? – Spojrzała mu w oczy.

– Wiem, że rozmawiałaś z dziewczynami o mnie, i wiem, że pytałaś też, czy prawdą jest to czytanie w myślach. – Uciszył ją, kładąc wielką dłoń na jej kolanie. – Dowiedziałaś się od nich, że to prawda, dowiedziałaś się też, że to nie boli... Nie boli tylko wtedy, kiedy się na to zgodzisz. Rozumiesz?

– Rozumiem, ale nie boję się. – Strąciła jego dłoń. – Możesz mnie tutaj nawet zabić...

– Mogę. I to nawet nie brudząc sobie dłoni. – Zszedł z murku i spojrzał jej prosto w oczy. – Mógłbym cię zmusić do tego, żebyś wydrapała sobie oczy, ale nie zrobię tego.

– Dlaczego? – spytała zaskoczona.

– Juvi obiecała ci wybór po szkoleniu i ja nie mam zamiaru tego zmieniać. Będziesz mogła odejść, masz moje słowo. – Popatrzył w Ogień, na chwilę zawieszając głos. – Przedstawię ci jednak perspektywę tego, co możesz osiągnąć, zostając tutaj z nami.

– Miałeś nie mówić o przyszłości...

– O przyszłości świata. – Hex pociągnął ją w stronę końca sali. – Natomiast powiem ci o twojej przyszłości. Widziałaś zgromadzone tutaj księgi. Zawarta w nich wiedza pozwoli ci rozwinąć swój umysł w dowolnej dziedzinie. Umiejąc posługiwać się Kati, staniesz się niezwyciężona. Juvi mówiła ci, skąd tyle blizn na jej ciele... – Otworzył skrzynię, w której składowano broń. – Dwa takie sztylety pozwolą ci zabić każdego, kto stanie ci na drodze do celu. Nikt więcej nie porwie cię, nie zrobi z ciebie niewolnika.

– A ty? – Podniosła jeden ze sztyletów.

– Ja? Moje słowo jest prawem, to fakt, ale wy wszystkie jesteście mi potrzebne, żeby to prawo było jak najlepsze. Bez was nie wypełnię swojej misji, nie przywrócę ładu na świecie. Według księgi, to kapłanki mają mnie wspierać radą. Nie będziecie, nawet nie możecie być niewolnicami. Ale nie to jest najważniejsze... – Wziął głęboki oddech i zawiesił dłonie na połach kamizelki. – Widziałem, jakie księgi czytasz. Interesuje cię architektura, sztuka... Wkrótce wyjedziemy stąd i będziemy przemierzać świat. W każdym dużym mieście znajdują się budowle, rzeźby i obrazy, które stanowią arcydzieła, i dzięki temu, że będziesz z nami, dostąpisz szansy oglądania ich z bliska, a czasami nawet poznania ich twórców. Całe piękno świata stanie przed tobą otworem. Zastanów się, czy warto tracić taką szansę. Tułając się po świecie samemu, pałace pozostaną dla ciebie jedynie marzeniem...

– To nie jest takie proste. – W jej głosie było słychać już mniej bojowy nastrój.

– Żadna decyzja w życiu nie jest prosta. – Wyjął z jej dłoni sztylet i odłożył go do skrzyni.

Juvi od samego rana prowadziła zajęcia, w trakcie których stopniowo poznawały tajniki wiedzy zawartej w księgach zgromadzonych w świątyni. Przed ukończeniem szkolenia musiały umieć czytać i pisać w zadowalającym stopniu. Musiały też poznać języki krajów wschodu, przynajmniej w takim stopniu, by móc się porozumieć z miejscową ludnością. Dziewczyny pochodzące z różnych krajów pomagały sobie

wzajemnie w nauce języków, dzięki czemu ten etap przebiegał całkiem sprawnie. Nieco gorzej wypadały dziedziny, które wymagały więcej pracy. Hex popędzał Juvi, więc ta musiała zrezygnować z długiego omawiania danego tematu i tłumaczyła im zagadnienia tylko pobieżnie. To nie ułatwiało im zrozumienia trudnych elementów medycyny, astronomii, architektury czy strategii wojennej.

Hex obserwował lekcje i myślowo podpowiadał kapłance swoje spostrzeżenia. W trakcie zajęć zauważył, że nie wszystkie dziewczyny w tym samym stopniu zainteresowane są całością wiedzy. Ahga najlepiej odnajdywała się w strategii wojennej. Szybko przyswajała teorię ruchów wojsk, uczyła się nowych manewrów i potrafiła je wcielać w życie, błyskawicznie reagując na posunięcia wojsk przeciwnych. Z kolei architektura była domeną Iv. Pochłaniała wiedzę dotyczącą budowy pałaców, obróbki materiałów budowlanych czy kierunków w sztuce, którym budynki zawdzięczały swój wygląd.

Mossa brylowała w kulturze wschodu. Z łatwością rozpoznawała zwyczaje poszczególnych narodów. Wiedziała, jak się zachować, żeby nikogo nie urazić, co wypada w danym kraju, i przy okazji doskonale potrafiła posługiwać się językami używanymi w okolicy. Tia wyróżniała się w medycynie i astronomii. Przedmioty, które wymagały najwięcej wiedzy, były dla niej idealnym wyzwaniem. Poza tym jej wrodzone cechy bardziej pasowały do pomagania ludziom w odzyskaniu zdrowia niż do poznawania zaawansowanych strategii wojennych.

– Dokończycie czytanie wieczorem. – Hex wszedł do komnaty, w której trwała lekcja. – Czas na próbę walki.

– Co!?! – Juvi zerwała się z krzesła. – Jaka próba?

– Nie pamiętasz już, kapłanko? – Wbił w nią nieustępliwe spojrzenie.

– Czego niby?! – spytała twardo.

– Próby walki na zakończenie szkolenia. – Podał jej czarną księgę, otwierając ją na jednej ze stron. – Zanim kobieta zostanie kapłanką Sag Bas, musi przejść egzamin.

– Tak, pamiętam, nie musisz mi podstawiać księgi, której treść znam na pamięć, chłopcze! – Odtrąciła jego dłoń. – One nie są gotowe, żeby zakończyć szkolenie!

– Wiem, co potrafia. – Złapał ją za ramiona. – Obiecałem też, że nic złego im się nie stanie w mojej obecności. Przygotuj je. Daj im broń. Będę czekał przy ołtarzu.

Wyszedł, zostawiając wściekłą kapłankę w pomieszczeniu. Juvi starała się uspokoić oddech, zanim odwróciła się w kierunku swoich uczennic.

– To prawda? – Przerwała ciszę Tia.

– Tak, próba walki jest konieczna, żeby zostać kapłanką Sag Bas. – Juvi odwróciła się powoli. – Żeby móc nosić Kati i biały strój, trzeba ją przejść. Nikt nigdy nie robił egzaminów z wiedzy kapłanek, ale kiedyś uznano, że muszą umieć walczyć, by dostąpić tego zaszczytu.

– Jak to wygląda? – dopytywała Ahga.

– Walczy się przy użyciu dwóch sztyletów. Żeby przejść próbę, trzeba dojść do pozycji umożliwiającej zadanie śmiertelnego ciosu, wytrącić broń przeciwnikowi albo walczyć tak długo, aż uzna, że jesteście godnym przeciwnikiem. – Juvi była bledsza niż zawsze, prawie zielona.

– Czyli nie można zginąć? – Iv podniosła się z krzesła.

– To walka... Broń jest prawdziwa... – Kapłanka przełknęła ślinę. – Różne wypadki się zdarzały. Poczekajcie, przyniosę broń...

Główna sala świątyni Sag Bas, choć zawsze pogrążona w mroku, tym razem była dokładnie oświetlona. Pochodnie dawały wystarczająco dużo światła, żeby móc obejrzeć ławy okalające część ołtarzową. Tam, obok podwyższenia, stał Hex. Jego tors był nagi, a pokrywające go sine linie złowieszczo wyglądały w świetle płomieni. W dłoniach trzymał topór o dwóch półksiężycowych ostrzach, długich na łokieć i niezwykle ostrych. Rękojeść zrobiono z gałęzi Drzewa Śmierci, która poprzez sine linie niemal zlewała się w jedno z kolorem jego skóry. Zarówno na ostrzach, jak i na trzonku wyryto starożytne symbole stanowiące zaklęcia Sag Bas.

Wpatrywał się w korytarz, z którego wychodziła pierwsza kandydatka na kapłankę, Ahga, w towarzystwie Juvi. Azuanka ubrana była w krótkie luźne spodnie i szarą, dość obcisłą bluzę, w dłoniach niosła dwa biało-złote sztylety. Stały przed Hexem i pokłoniły się, Juvi oddychając ciężko, objęła dłońmi głowę dziewczyny, przez chwilę szeptała inkantacje, odetchnęła ciężko i odeszła na bok, po czym zasiadła na jednej z ław.

– Daj z siebie wszystko, Ahgo – powiedział Hex, wpatrując się prosto w jej czarne oczy.

Nie odpowiedziała mu, tylko stanęła w pozycji bojowej, wyciągając jeden sztylet nad głowę, a drugi trzymając w okolicy biodra. Mężczyzna podniósł topór, mięśnie na jego ciele napięły się. Dwoma susami znalazł się przy dziewczynie i machnął bronią od góry. Ahga zdążyła odskoczyć, a po sali rozeszło się westchnienie Juvi. Azuanka chciała wykorzystać to, że atak



toporem wymagał więcej czasu, i spróbowała uderzenia z doskoku na zebrę, ale Hex, mimo swojej masy, poruszał się niezwykle szybko i odbił jej sztylet płazem swojej broni. Dziewczyna ledwo utrzymała broń, ale przez jej umysł przebiegła myśl przypominająca o jednej sztuczce, której nauczyła się kiedyś z ksiąg o walce z przeważającym liczebnie przeciwnikiem. Wykorzystała ten ułamek sekundy, w którym topór hamował impet uderzenia, by obrócić się na pięcie i drugim nożem uderzyć na gardło przeciwnika. Hex przewidział ten ruch i złapał jej nadgarstek centymetr przed swoją skórą.

– Inny przeciwnik już by nie żył. – Mężczyzna odsunął się od Ahgi. – Jesteś gotowa do bycia kapłanką.

– To już?! – Juvi poderwała się z ławy.

– Tak. – Hex zachował kamienną twarz. – Pokazała, co potrafi. Wykorzystała coś, czego się nauczyła. Zrobiła to instynktownie i ktoś bez moich umiejętności padłby martwy z rozciętym gardłem. Nie było szans zatrzymać tego ciosu. Przyprawdź następną.

Mossa przeszła przez początkowy rytuał i została sam na sam z Hexem. Ubrana była w dość krótką sukienkę i podobnie jak jej poprzedniczka trzymała w dłoniach dwa sztylety. Nie czekała, aż przeciwnik zaatakuje pierwszy. Podbiegła kilka kroków i w wyskoku spróbowała pchnięcia. Mocne uderzenie odbiło ją jednak na bok. Ledwo zdążyła się pozbierać z podłogi, a już musiała uciekać przed ostrzem topora krzeszącym snopy iskier po uderzeniach w podłogę. Cofała się w stronę ołtarza, nie mogąc nawet wyprowadzić kontry. Wreszcie nie miała dokąd dalej uciekać. Hex podniósł topór i opuścił go z ogromną siłą. Ostrze, błyskawicznie opadając, wbiło się w skałę tworzącą ołtarz, ale w tym momencie Mossa usiadła na podłodze i wsunęła się między nogi przeciwnika, przystawiając mu ostrze sztyletu do uda.

– Koniec. – Hex wyszarpnął swoją broń ze skały. – Jesteś gotowa, by zostać kapłanką.

Dziewczyna była tak roztrzęsiona, że nie mogła wydusić z siebie słowa. Czarne włosy miała poklejone od potu, a po śniadej twarzy rozlały się rumieńce. Pomógł jej wstać.

– Przyprawdź kolejną – zwrócił się do Juvi.

Kapłanka pomogła wyjść z areny Mossie i zniknęła w korytarzu, by po krótkiej chwili pojawić się w nim z powrotem. Obok niej kroczyła Tia ubrana w czerwoną szatę kapłanki Ret. W dłoniach dzierżyła sztylety.

– Dlaczego założyłaś akurat to? – zapytał zaskoczony Hex.

– To ostatni dzień, w którym mam na sobie tę przeklętą szatę. – Stała w pozycji gotowej do ataku. – Albo zostanę kapłanką i przebiorę się w biel, albo mnie zabijesz.

Tia i Hex mierzyli się wzrokiem, krążąc po świątynnej sali. Pierwszy nie wytrzymał Hex i uderzył wprost na nią, ale jakimś cudem udało jej się uniknąć ostrza topora. Spróbowała cięcia na kolano, ale przeciwnik cofnął nogę i wyprowadził kontrę, rąbiąc z góry. W ostatniej chwili zbiła cios sztyletem, ale siła uderzenia wyrwała jej broń z dłoni.

– Działaj, nie analizuj – usłyszała w głowie głos Hexa.

Szybko musiała się pozbierać, bo kolejne uderzenia broni prawie zdmuchnęły ją z podłogi. Nauczyła się unikać ciosów w ciągu tych kilku tygodni szkolenia, ale nigdy nie miała do czynienia z taką nawałnicą. Hex uderzał niczym gradobicie i dziewczyna mogła tylko uskakiwać. Nagle atak ustał, a Tia spostrzegła, że jej czerwone ubranie jest ubrudzone krwią i pocięte. Z trudnością łapała oddech, a dłonie trzęsły jej się tak, że ledwo utrzymywała w jednej z nich Kati.

– Jesteś gotowa, by zostać kapłanką. – Hex zatrzymał się nagle i odłożył swoją broń na podest.

– Co?! – Juvi podbiegła do nich. – Przecież ona się tylko broniła! Nie poradzi sobie...

– Obroniła się przed atakiem, który byłby w stanie zmieść cały oddział żołnierzy, a poza tym trafiła mnie sztyletem. – Pokazał ranę na wierzchu dłoni, z której wyciekała czerwono-siną substancją.

– Ale... – Juvi musiała przytrzymać się podestu, ale Hex przerwał jej krótko.

– Magia Kati mnie nie zabije, spokojnie. – Uśmiechnął się. – Tia uderzyła bez zastanawiania się, instynktownie i prawie skutecznie. Kończymy próbę, przygotuj ceremonię, Juvi.

– Jeszcze ja! – Po sali rozległo się echo słów Iv.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę i zobaczyli dziewczynę w czarnym stroju uzbrojoną w Kati.

– Podjęłam decyzję. – Zbliżała się do ołtarza. – Chcę zostać z wami, zostać kapłanką Sag Bas.

– Zatem broń się! – Nie czekał na to, aż kapłanka przygotuje dziewczynę przed próbą.

Hex machnął toporem, trzymając go w jednym ręku, ale Iv zdołała przykucnąć i uniknąć morderczego ciosu. Wyprowadziła kontrę, ale jej niskie cięcie zablokował butem. Sam pociągnął drugą nogą, kopiąc ją w zebra. Potoczyła się po podłodze, ale błyskawicznie wstała i skoczyła do ataku. Zacięta wymiana ciosów trwała kilkanaście minut, aż wreszcie Iv próbowała cięcia w górę prawą ręką. Hex wypuścił z rąk topór i chwycił ją za nadgarstek, wykręcając go mocno. Wściekła kobieta próbowała wbić mu sztylet, który trzymała drugą dłonią, ale tę też złapał. Trzymając ją za nadgarstki, podniósł ją na wysokość swojej głowy, rozciągnął jej ramiona szeroko i uderzył ją głową prosto w nos. Ciało dziewczyny zwisało bezwładnie w jego olbrzymich ramionach. Rzucił ją na podłogę pod nogi Juvi.

– Jest gotowa, by zostać kapłanką – powiedział i odszedł, zabierając swoją broń. – Przygotuj resztę ceremonii.

W półmroku oświetlonym Wiecznym Ogniem, obok Źródła Życia, stały cztery nagie kobiety. Na głowach miały białe, jedwabne chusty, a w dłoniach każda z nich dzierżyła dwa sztylety Kati skrzyżowane na piersiach. Przed nimi stała Juvi ubrana w białą szatę kapłanki Sag Bas. Miała zamknięte oczy i wyśpiewywała inkantację w starożytnym języku. Hex stał z boku, patrząc na ceremonię w dużym skupieniu. Kapłanka przerwała śpiew i sięgnęła po białą szmatkę, którą zanurzyła w Źródle Życia.

– Mossa Kalla! – powiedziała głośno, podchodząc do pierwszej z kobiet. – Przechodząc szkolenie i próbę walki, udowodniłaś, że zasługujesz na przynależność do Sag Bas. W imię walki o dobro świata twoje ciało może pokryć się bliznami. Pierwsza z nich będzie symbolem twojego nowego życia. – Zdjęła jej chustę z głowy. – Wykonując cięcie, oddajesz swoje życie Sag Bas.

Mossa podniosła prawą rękę, a Juvi, chwytając ją za nadgarstek, docisnęła ostrze do swojego przedramienia. Krew spłynęła po białej szacie i natychmiast to samo pojawiło się na ręku Barbaski. Kapłanka przetarła obydwie rany ściereczką zamoczoną w Źródle Życia i krew przestała wyciekać, a ślad na skórze Mossy zmienił się w jasną bliznę.

– Załóż to i z dumą głos Sag Bas – Juvi podała jej strój podobny do tego, który miała na sobie.

Taki sam obrzęd wykonała w stosunku do pozostałych trzech dziewczyn. Mimo wody, która leczyła rany natychmiastowo, czuła się osłabiona. Kiedy

wszystkie cztery założyły już swoje stroje kapłanek, stanęła przed nimi, wzięła kilka głębokich oddechów i przeszła do zakończenia ceremonii.

– Zostałyście kapłankami-wojowniczkami Sag Bas, od dziś waszym obowiązkiem jest rozwój duszy, umysłu i ciała w równym stopniu, a także praca nad tym, by Sag Bas ponownie zapanowała na świecie. Pamiętajcie, że każde zabójstwo zostawia ślad również na waszym ciele. Jest to przestroga przed tym, że wszystko w życiu ma konsekwencje. – Skłoniła się, przykładając dłonie do czoła, a pozostałe kapłanki odpowiedziały jej tym samym gestem.

– Jutro jest ostatni dzień wiosny. – Hex podszedł bliżej. – Będzie to ostatni dzień wiosny i pierwszy dzień nowego świata zjednoczonego pod przykazaniami Sag Bas. Spakujemy dzisiaj najpotrzebniejsze rzeczy i z samego rana wyruszymy w drogę. Udamy się do Nati, by przejąć władzę nad Tolimurai, będzie to pierwszy krok w odbudowie tego, co ludzkość zniszczyła przez ostatnie stulecia. Razem rozpalimy pożar oczyszczający świat z plugastwa!

## Rozdział XIV

Zazwyczaj ciemna i ponura sala tronowa zamku w Erskinie, zachwycająca swoją mistycznością, tym razem została oświetlona tysiącami pochodni i świec, które pozwalały zgromadzonym zobaczyć każdy, nawet najdrobniejszy architektoniczny szczegół komnaty. Na ścianach zawieszono sięgające od sufitu do podłogi kilimy z herbami królewskiego rodu Mithraidów. Ławy ustawiono ciasno i udekorowano błękitnymi wstęgami. Na podeście tronowym rozłożono płachtę białego materiału, na której wokół tronu rozstawiono wysokie kandelabry.

Na tronie siedział młody król Kastil w odświętnej srebrnej zbroi ze złotymi elementami na łączeniach pancerza oraz herbem rodu wymalowanym na napierśniku. Hełm zbroi wykonany był z posrebrzanej stali i kształtem przypominał paszczę niedźwiedzia. Na kolanach władcy spoczywał długi półtoraręczny miecz z lśniącej stali, który do złudzenia przypominał miecz przekazywany w jego rodzie z pokolenia na pokolenie. Musiał być jednak wykonany od nowa, ponieważ poprzedni przepadł wraz z ciałem króla Strika w zasadzce Werdgwaldczyków. Choć sprawę odzyskania i ciała, i miecza poruszono w trakcie rozmów pokojowych, to król Peneth uparcie twierdził, że nie udało się odnaleźć ciała króla ani jego broni.

W sali tronowej twarzą do tronu rozsiedli się na ławach dostojni goście, którzy z całego świata zjechali na koronację nowego władcy Erskinu. Zgodnie z obyczajem ceremonię prowadził uczony Iskel. Przy ścianach, we wrotach i za nimi stali mniej możni goście. W pierwszych ławach siedzieli uczeni z Akademii w Andskinie ubrani w swoje tradycyjne stroje. Obok nich usadzono księcia Tidura Dealina, przedstawiciela dawnej władzy w Tasariku, oraz Rollo Goggleliw, obok której dał radę wcisnąć się książę Pandey z Barbasu, choć dla niego miejsce przygotowano za ich plecami.

Kolejne rzędy zajęte były przez delegacje z innych krajów. Werdgwald, z którym niedawno zakończyła się wojna, reprezentował osobiście król

Peneth wraz ze swoimi przybocznymi rycerzami i uczonym. Tasarik, poza księciem Tidurem, był reprezentowany przez króla Lakura, który siłą i podstępem przejął władzę z rąk rodu Dealinów. Władca ten zupełnie nie przypominał wyglądem kogoś z królewskim pochodzeniem. Został wybrany na urząd przez społeczeństwo, ale spalona słońcem twarz, olbrzymie, pocięte sieciami dłonie, ciężki chód i nieco tępy wzrok świadczyły o tym, że całe życie utrzymywał się z połowu ryb. W jego towarzystwie znajdowało się wielu kupców i handlarzy, co było widać po ich kiepsko stylizowanych na szlacheckie strojach.

Z Bernsternu przyjechał jedynie uczony i to nie najwyższej rangi. Wy tłumaczył się, że król Kunglin nie może już podróżować tak daleko ze względu na ból nogi. Król Ulf, władca Utvinu, nie dojechał z powodu starości. W jego imieniu w zamku pojawili się przedstawiciele rady w praktyce władającej krajem. Składała się z przedstawicieli gildii rzemieślników działających w kraju. Zajęli dwa rzędy ław, a byli wśród nich górnicy węglowi, górnicy rudy i diamentów, kowale, kupcy, hutnicy, płatnerze, rybacy i wielu innych. Erskin nie utrzymywał stosunków dyplomatycznych z państwami na dalekim wschodzie, więc zgodnie z oczekiwaniami żaden ich przedstawiciel nie pojawił się na ceremonii. Resztę sali tronowej zapełniła szlachta z miast całego zachodu, bogatsi kupcy, dyplomaci, uczeni, rycerze i gwardziści.

Uczony Iskel doszedł do tronu, stanął za nim i rozpoczął ceremonię.

– Obyczaj nakazuje, by w Erskinie panowała ciągłość władzy – powiedział głośno. – Dlatego po śmierci króla Strika Mithraida, w trakcie wojny na południu kraju, musiałem koronować księcia Kastila. Jednak obyczaj wymaga również tego, by król Erskinu został koronowany w tej sali. Dlatego właśnie zebraliśmy się dzisiaj w tym miejscu. Zaczniemy zatem ceremonię! – Stanął przed Kastilem tyłem do zgromadzonych. – Kastilu Mithraidzie, synu Strika, syna Lameka, czy wiadomo ci o jakichkolwiek przeszkodach, byś mógł objąć władzę?

– Nie wiadomo – odpowiedział zgodnie z formułą zapisaną w księdze dotyczącej ceremonii koronacji.

– Potwierdzasz, żeś z prawego łóża? – Iskel miał niezwykle poważną minę.

– Potwierdzam! – krzyknął, by było słychać go na końcu.

– Ześ z królewskiej krwi? Ześ rodzony w Erskinie? – wykrzykiwał pytania coraz szybciej. – Ześ w naukach obeznany? Ześ obyczajem nauczony? Ześ

prawy? Żeś sprawiedliwy? Żeś godny?

– Potwierdzam! – odpowiadał raz za razem.

– Twoje słowa zostaną osądzone przez bogów. – Iskel uspokoił głos. – Jeśli żeś skłamał choć w jednym zdaniu, spotka cię zasłużona kara. – Odwrócił się do zgromadzonych, zasłaniając sobą siedzącego na tronie króla. – Kandydat do korony nie wykazał wad, które odebrałyby mu tron, ale czy ktoś ze zgromadzonych zna powody, dla których ten człowiek nie powinien zostać królem?

Zgodnie z obyczajem czekał dwanaście oddechów, ale na sali nikt się nie podniósł. W tej sytuacji ceremoniał przewidywał przejście do przysięgi, którą koronowany składał przed założeniem korony. Uczony, nie przedłużając zbytnio ceremonii, zaczął przemowę.

– Nie ma przeszkód żebyś ty, Kastilu, synu Strika, syna Lameka z rodu Mithraidów zasiadł na erskińskim tronie. Czy jesteś gotowy wygłosić słowa przysięgi. – Iskel zmarszczył brwi.

– Jestem gotowy! – Głos Kastila był zniekształcony przez zamkniętą przyłbicę.

– Powtarzaj za mną słowa przysięgi! – Uczony rozłożył szeroko ręce. – Przysięgam przed całym narodem Erskinu, że wykorzystam całą moją wiedzę, mądrość i doświadczenie, by wybierać najlepszą drogę dla kraju. Dochowam wierności swoim przodkom i koronie, która zaciąży na mojej głowie. Będę walczył do ostatniej kropli krwi o dobro Erskinu i wykorzystam czas dany mi przez bogów do rządzenia w sposób sprawiedliwy, rozważny i taki, który nie szkodząc nikomu, przyniesie zysk Erskinowi. Moje słowo będzie prawem, ale to prawo nie stanie się tyranią. Tako i przysięgam przed wami, obywatele Erskinu, przodkowie i bogowie.

Kastil powtórzył dokładnie słowa przysięgi, co zakończyło pierwszą część ceremonii, po której Iskel przeszedł za tron i ściągnął z głowy króla hełm. Było widać stróżki potu płynące po skroniach Kastila i poklejone, mokre włosy. W tym samym czasie jedna z ubranych odświętnie służących wniosła na podest czerwoną poduszkę, na której leżała królewska paradna korona, noszona jedynie w wyjątkowych okolicznościach, takich jak koronacja czy zaślubiny. Była wysoka, obszyta białym futrem, wykonana ze złota i wysadzana drobnusieńkimi diamentami odbijającymi światło pochodni, rozpraszając je po sali. Pasy złotej stali wyginały się, odwzorowując świętą górę Ersk. Rzemieślnik, który tworzył koronę, starał się odwzorować każdą grań i każdy szczyt góry, a diamenty w różnych

odcieniach sprawiały, że wyglądała tak, jakby była pokryta śniegiem. Dziewczyna z trudem doniosła koronę do Iskela, który z pietyzmem zdjął ją z poduszki.

– Ty nie widzisz przeszkód, byś mógł włożyć koronę, lud nie widzi przeszkód, byś mógł nim władać, zatem niech się dokona! – mówił powoli, nakładając insygnium na głowę Kastila. – Na mocy prawa uczonego Akademii i zgodnie z obyczajem ogłaszam cię, Kastilu, synu Strika, syna Lameka z rodu Mithraidów, królem Erskinu w obecności świadków żywych i umarłych. Nakładając tę koronę na twoją głowę, nakładam również na ciebie wszystkie obowiązki królewskie i ciężar odpowiedzialności za losy całego kraju. Jeśli jesteś gotów przyjąć to brzemię, wstań i doładź miecza. – Nałożył ciężką koronę drżącymi dłońmi na głowę nowego króla i odsunął się.

Kastil, nieco zdrętwiały po długim siedzeniu w pełnej zbroi, podniósł się z tronu i sprawnie wyciągnął swój nowy miecz z pochwy spoczywającej na jego kolanach. Płomienie odbiły się w idealnie wypolerowanym długim ostrzu, a po sali rozeszło się westchnienie.

– Przyjmuję brzemię, dopóki śmierć mi go nie odbierze! – Wyciągnął miecz ku sufitowi, a fala okrzyków i oklasków rozlała się po sali tronowej.

Wiwatom nie było końca, a nowy król patrzył na rozradowanych poddanych, a także na zaciekawione miny członków delegacji. Dopiero kiedy opuścił miecz i wsunął go na powrót do pochwy, ludzie uciszyli się. Znali obyczaje i wiedzieli, że teraz nadszedł czas na przemówienie i pierwszy, symboliczny rozkaz.

– Szacowni goście i moi poddani – zaczął mówić spokojnie, zerkając w dal. – Przyznam się wam, że nie byłem zwolennikiem tak wystawnej uroczystości koronacyjnej, ale uczony Iskel wybił mi ten pomysł z głowy. Wiem też, że właśnie ten starszy mężczyzna dopilnuje tego, żebym was nie zawiódł. Nie pozwolę mi na podejmowanie nierozważnych decyzji, dlatego chciałem was prosić o to, abyście zawierzyli mi, a przekonacie się, że kraj może się rozwinąć i nie tylko utrzymać status kolebki zachodniej cywilizacji, ale bezapelacyjnie stać się jej perłą. – Wiwaty przerwały na chwilę przemówienie. – Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko dochować tradycji i wydać pierwszy rozkaz jako król Erskinu w tej okropnie ciężkiej koronie na głowie. Rozkazuję zatem wam wszystkim tutaj zebranym iść na pole zamkowe, jeść, pić i tańczyć tak, żeby tę koronację bardowie w pieśniach wspominali jeszcze przez setki lat!



Na te słowa większość zebranych poderwała się z ław i zaczęła głośno wiwatować i klaskać. Tylne rzędy powoli pustoszały wyprowadzane przez gwardię królewską. Miejsca przy stole były wyznaczone i nie było ryzyka, że ktoś komuś zajmie krzesło, ale jednak obyczaje nakazywały, żeby salę opuszczać w odpowiedniej kolejności. Pierwszy, jako gospodarz, musiał wyjść król Kastil, który w towarzystwie wiwatów przechodził po białym dywanie leżącym na środku sali. Za nim rząd po rządzie wychodziły koronowane głowy i ich przybocznicy.

Tym razem obyczaj stanowił, że stół królewski był przechodni. Oznaczało to, że obok władcy były puste siedzenia, które mogły na jakiś czas zajmować wszystkie zaproszone na koronację osoby. Przysiadły się ze swoim kielichem i mogły zamienić z królem słowo, dopóki władca nie wypił zawartości swojego. Kastil zasiadł przy tym stole w towarzystwie Iskela, natomiast reszta gości rozsadzana była wedle pozycji.

Przy długim stole znajdującym się na wprost stołu królewskiego posadzono koronowane głowy i ich najbliższych przybocznych oraz uczonych. Kolejny stół zajmowali delegaci niezajmujący tak wysokiej pozycji. Dalej siedziało rycerstwo, przy kolejnym stole kupcy, a na końcu, prawie przy murze, pozostali goście.

Stolarze te niewyobrażalnie długie stoły wykonali z najwyższych drzew, jakie tylko mogli znaleźć w puszczy, a w dodatku łączyli po kilka stumetrowych desek na jeden stół.

Kiedy tylko wszyscy usadowili się na miejscach wskazanych przez służbę uwijającą się jak w ukropie, na stołach zaczęły pojawiać się pierwsze potrawy. Uczta rozpoczęła się od zimnych przystawek i przekąsek. Oprócz dzbanów z winami, piwami i miodami pitnymi na stołach pojawiły się tace wypełnione jajkami nadziewanymi szynką i kawiozem, pasztecikami w kształcie niewielkich koron nadzianymi sarniną i grzybami, solonymi śledziami i pieczonymi burakami. Jako dodatek podano ciasto drożdżowe, ciemny chleb i pszenne cienkie placki.

Do królewskiego stołu zbliżył się książę Pandey, trzymając w ręku kielich. Zgodnie z obyczajem przysiadł się do Kastila, a ten podniósł wypełniony bardzo rozcieńczonym winem puchar.

– Czy to godne, by wszyscy goście jedli to samo? – zapytał Pandey.

– W Erskynie nie dzielimy gości na lepszych i gorszych, jeśli ktoś został zaproszony, to jest traktowany tak samo jak wszyscy. – Kastil wypił duży łyk, co nie umknęło uwadze Pandeya.

– Cóż, co kraj, to obyczaj... – Pandey rozejrzał się. – Zebrało się tutaj mnóstwo ważnych osób, a po herbach wnoszę, że reprezentują różne miasta. Może warto by było przedstawić pomysł osiedlania się Erskińczyków w Barbasię?

– Rozmawialiśmy już o tym – powiedział król i wziął kolejny porządny haust. – Nie proponuję żadnemu z moich poddanych takiego rozwiązania, ale jeśli masz odwagę, nic nie stoi na przeszkodzie, byś sam chodził między stołami i im o tym opowiadał. Jeśli pomysł im się spodoba, dostaną zgodę ode mnie. – Odstawił pusty kielich. – Dobrej zabawy życzę.

– Wzajemnie. – Pandey oddalił się.

– Musisz na niego uważać – szepnął królowi do ucha Iskel.

Służący, widząc, że na stołach zrobiło się pusto, przystąpili do podawania gorących przystawek. Parujące półmiski pełne gulaszu z kapustą, plastry szynki na gorąco w jagodowym sosie czy pieczone warzywa wzbudziły nie lada zainteresowanie wśród gości i szybko zaczęły znikać z talerzy. Ogromnym powodzeniem cieszyły się też słodkie przystawki w postaci pierogów z leśnymi owocami czy gruszek gotowanych w mocnym, czerwonym winie i posypanych kruszonką.

Król Kastil nie mógł cieszyć się wybornymi potrawami, bo wolne krzesło obok niego co chwila zajmował ktoś inny. Kolejni przedstawiciele delegacji chcieli zamienić kilka słów na interesujące ich tematy. Do królewskiego stołu dosiadł się Lakur, nowy władca Tasariku. Ciężko klapnął na krzesło i podniósł kielich wypełniony miodem pitnym.

– Całkiem niezgorszy bal – powiedział niskim, chrapliwym głosem. – Co tu robi ten Dealin?

– Jest moim gościem tak samo jak wy, panie. – Kastil upił spory łyk.

– Ale wiecie, że oni już nie rządzą. – Lakur spojrział na niego wilkiem.

– Wiemy, natomiast Tidura Dealina znam od dziecka i choć nie jest tutaj jako oficjalna delegacja Tasariku, to jest tu jako mój przyjaciel, czy macie z tym jakiś problem, królu Lakurze? – Kastil wytrzymał ten wzrok.

– O ile wasza przyjaźń nie wpłynie na moją legalnie zdobytą władzę, to nie mam – mruknął.

– Czy ta władza była zdobyta legalnie, nie jestem do końca przekonany, ale Erskin nie zamierza mieszać się w wewnętrzne sprawy sąsiadów. – Młody władca odstawił pusty kielich.

– Trzymam za słowo – burknął Lakur i odszedł.

Tymczasem bardowie pogrywali coraz bardziej skoczne pieśni, a część gości poszła już w tany. Czas mijał w bardzo miłej atmosferze, różnice w pochodzeniu powoli zacierał alkohol, a Thondar zbierał zapisy na pojedynki w turnieju rycerskim, który miał zakończyć ceremonię następnego dnia.

Służący pojawili się między stołami z pękatymi wazami wypełnionymi pachnącą, gorącą zawartością. Podano rosół z drobnymi jajecznymi kluskami, barszcz czerwony z tłuczonymi ziemniakami, zupę rybną z ryżem zakwaszaną winem, ciemny wywar z grzybów z dodatkiem drożdżowych klusek, a także zupę z łbów szczupaków z kuleczkami z kaszy oraz popularne jedynie w Erskinie zupy z suszonych i świeżych owoców, do których dodawało się kawałki słodkiego twarogu.

– Jadłeś coś w ogóle? – Tidur dosiadł się do króla.

– Coś tam skubnąłem, ale nie ma na to czasu, bo co chwila ktoś tutaj siada. – Kastil westchnął.

– No to jedz teraz, tylko nie pij tego wina za szybko, bo będę musiał stąd odejść. – Tidur uśmiechnął się w swoim stylu.

– Jak nastroje wśród gości? – Młody król studził łyżką rosół.

– Im więcej alkoholu, tym lepsze, jak zawsze. – Młodzieniec rozejrzał się.

– Tylko Lakur chodzi naburmuszony, chyba mu przeszkadza, że tu jestem. Wyzwałbym go na pojedynkę w turnieju rycerskim, ale nie jest rycerzem. – Zaśmiał się głośno.

– Lepiej go już nie prowokuj. – Kastil trącił go w ramię. – Pytał mnie, co tutaj robisz.

– Co tutaj robię? – Tidur zaśmiał się ponownie. – Na razie jem i piję, ale niedługo mam zamiar dobrać się do sukni którejs z dwórek. A właśnie, rozmawiałeś z Rollo?

– Ostatnio nie, od kiedy zjechali się goście, nie miałem dla niej czasu... Pewnie jest na mnie zła. – Westchnął ciężko.

– Jeśli znam się na kobietach, to jest zła jak osa. – Tidur nachylił się ku Kastilowi. – Postaram się dowiedzieć czegoś więcej, poproszę ją do tańca. Zrobiła się kolejka... – Spojrzał za siebie. – Dopij wino, a ja idę tańczyć.

Ledwo wstał od stołu, a jego miejsce zajął kolejny rozmówca. Przy takiej ilości gości Kastil nawet nie próbował spamiętać, z kim już rozmawiał i o czym. Wiedział, że oni w większości też nie będą tych rozmów pamiętać.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, co oznaczało, że przyszedł czas na danie główne. Służący z trudem wnosili ciężkie tace z mięsiwem.

Głównymi bohaterami były zwierzęta podawane w całości. Zaczynając od dzikiego ptactwa, takiego jak przepiórki, perliczki i bażanty, poprzez szczupaki, sandacze i olbrzymie sumy. Każde zwierzę było nadziewane czym innym, a pokrojono je tak, by na tacy sprawiały wrażenie całych, ale jednocześnie dały się łatwo przenieść na talerz. W całości podano także prosięta, a półmiski na których się znajdowały udekorowano świeżymi jabłkami, które o tej porze roku były rarytasem.

Do Kastila tymczasem przysiadł się przedstawiciel górników węglowych. Niewysoki, siwy mężczyzna z pokaźnym brzuchem, po którego twarzy i dłoniach było widać, że lata spędził na kopaniu węgla.

– Wasza miłość, pora może nienajlepsza, ale to sprawa niecierpiąca zwłoki.

– Proszę mówić, ten zwyczaj po to właśnie jest kultywowany. – Kastil nałożył sobie kawałek bażanta.

– Chodzi o dwie sprawy, wasza miłość. Po pierwsze na Morzu Zachodnim uaktywnili się piraci, krążą pogłoski, że Bernstern ma z tym coś wspólnego.

– Mężczyzna rozejrzał się, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma nikogo stamtąd. – A po drugie, dostałem meldunek z Itanu. Zaczumował u nich statek płynący ze wschodu, którym dowodziła bardzo ładna kobieta. Podobno przewoziła coś do Tasariku, ale we wschodnich krainach panowała choroba i nic poza umierającymi członkami załogi nie miała. Pytałem króla Lakura, ale nie wiedział nic o żadnym podobnym kursie.

– To rzeczywiście zastanawiające. – Kastil pociągnął łyk wina, przepijając kęs mięsa. – Myślicie, że to była jakaś piracka sztuczka? Albo próba szpiegostwa?

– Rada skłania się do tego pierwszego. Uważamy, że przez flautę na Morzu Północnym potrzebowali odpoczynku i zaryzykowali – stwierdził.

– A ta choroba? – dopytywał król.

– Nasz uczony nigdy nie słyszał o czymś takim, więc uznaliśmy to za błąd, żeby strażnicy bali się wejść na pokład. – Mężczyzna przetarł dłonią siwe wąsy.

– Mogło tak być, w każdym razie proszę was o informację, gdyby takie zjawiska pojawiały się częściej. – Kastil odstawił pusty kielich.

– Tak jest, wasza miłość. – Członek rady podniósł się. – Będziemy tego pilnować.

Jego miejsca zajął kolejny chętny do rozmowy w cztery oczy z władcą, a między stołami pojawili się służący z kolejną porcją gorących mięs.

Największe emocje wzbudziły ogromne dziki nadziewane kaszą i suszonymi owocami, które wwieziono na dziedziniec na wózkach. Ich ogromne łby nie zostały pozbawione kłów, co robiło jeszcze większe wrażenie na gościach. Olbrzymie tace udekorowano cukrem, który polano alkoholem i podpalono, co w połączeniu z mrokiem zapadającym nad zamkowym dziedzińcem dało niesamowity efekt.

Do królewskiego stołu zbliżył się mocno już podchmielony król Werdgwaldu – Peneth. Wyglądał, jakby postarzał się jeszcze bardziej od ostatniego spotkania. Siadając, zatoczył się i prawie spadł z krzesła. Stojący obok stołu Thondar w ostatniej chwili złapał go i usadził na miejscu.

– Wasza miłość... – bełkotał. – Przywiozłem trzy tysiące złotych monet. Pozostała część będzie wpłacona w terminie, zgodnie z umową...

– Wiem, breninet. – Kastil poklepał go po ramieniu. – Wiem, że dotrzymacie słowa.

– To nie był mój pomysł... ta wojna...

– Ale stało się. – Kastil trzymał go za bark, pomagając siedzieć prosto. – Musieliśmy dokończyć to, co zaczęli nasi ojcowie, teraz czas na nowy rozdział w historii naszych krajów.

– Mocne tu macie... – Peneth uderzył głową o stół.

– Thondarze. – Kastil skinął na swojego sługę. – Bądź łaskaw odstawić króla Penetha do jego komnaty.

– Tak jest, wasza miłość. – Wysoki służący dźwignął nieprzytomnego mężczyznę, ale wokół niego natychmiast pojawili się przybocznicy króla, którzy pomogli go taszczyć do zamku.

– Coś go musi strasznie gryźć, skoro padł jeszcze przed deserem. – Iskel nachylił się w kierunku króla.

– Obawiam się, że Werdgwald ucierpiał na tej wojnie dużo bardziej, niż myśleliśmy...

– Każdy musi odpowiedzieć za swoje zachowanie, mój królu. – Uczony spojrzał na Kastila. – Ale i ty nie wyglądasz najlepiej.

– Ta korona ciężka nie tylko w przenośni i to wino... – Uniósł brwi.

– Po deserze możesz iść spać. – Staruszek uśmiechnął się. – Jest to ostatni posiłek, więc ceremonia na tym się kończy. Od jutrzejszego południa turniej, na którym dalej będziesz musiał nosić tę koronę.

Kastil był zmuszony przerwać rozmowę, bo przysiadł się do niego kolejny rozmówca. Na coraz bardziej pijackich rozmowach czas upłynął aż

do północy, którą oznajmił trębacz, grając melodię prosto z nad bramy zamkowej. Był to znak na koniec dnia, koniec ceremonii i koniec wiosny.

Gdy tylko dźwięk trąby zamilkł, między stołami zaroiło się od służących z tacami wypełnionymi kolejnymi wyśmienitymi daniami. Okrągłe dyniowe ciasta polane miodem z domieszką cynamonu, owoce gotowane w karmelu, ciasta z leśnymi owocami pojawiły się na stołach i równie szybko zniknęły. Goście mogli też spróbować powideł ze śliwek, a także wykwintnych i delikatnych płatków róży w cukrze, pierników z nadzieniem różanym, serników cytrynowych czy leguminy z kaszy z pomarańczowym sosem. Jednak wśród znacznej większości, zwłaszcza gości męskich, największym powodzeniem cieszyły się owocowe nalewki.

Kastil, wykorzystując moment spokoju przy swoim stole, podniósł się i skierował do zamku lekko rozchwianym krokiem. Thondar towarzyszył mu, czasami niezauważalnie podtrzymując.

Służący od rana biegali w pocie czoła, próbując przygotować miejsce na turniej rycerski. W planach było rozegranie starć konnych i pieszych na środku placu zamkowego oraz usadzenie najważniejszych gości na tarasie przy głównych wrotach. Problem polegał jednak na tym, że wielu gości spało wciąż na stołach i pod nimi, przez co służba nie mogła posprzątać. Udało się wygospodarować odpowiednie miejsce na turniej pieszy, więc uczyniono go największą atrakcją. Pojedynki konne miały odbyć się przy stajniach, gdzie pijanych w sztok uczestników koronacji było mniej.

Król Kastil uroczyście otworzył pojedynki turniejowe, symbolicznie uderzając swoim mieczem w tarczę jednego z uczestników. Zaplanowano kilkadziesiąt starć pieszych i kilkanaście konnych. Zasady tych pierwszych polegały na tym, że zwyciężał rycerz, który rozbroił przeciwnika lub sprawił, że rywal się poddał. Przy takich okazjach starano się unikać rozlewu krwi. Natomiast w starciach konnych chodziło o wysadzenie przeciwnika z siodła drewnianą, stępią kopią.

Król zaczął oglądanie turnieju od walk konnych. Pole turniejowe podzielono szrankami, które oddzielały od siebie dwa szarżujące konie. Dobre jazda Erskinu słynęła ze swoich umiejętności w całym świecie i jej przedstawiciele w swoim domowym turnieju nie chcieli okazać słabości. Pierwsze pojedynki z ich udziałem zakończyły się szybkim wysadzeniem z siodła rywali z Werdgwaldu, Tasariku i Bernsternu. Wreszcie jednak doszło do pojedynku, który wydawał się być najbardziej wyrównany.

Theus Merik, jeden z najlepszych jeźdźców w gwardii królewskiej, mierzył się z Henesem Zuntem z Bernsternu, który był zdecydowanie najlepszym turniejowym rycerzem w swoim kraju. Siedział na wielkim kasztanowym rumaku ubrany w srebrną zbroję z bursztynowymi zdobieniami. Na głowie miał hełm z rudym pióropuszem, a w dłoni długą drewnianą kopię pomalowaną w pomarańczowo-białe pasy, jego klatkę piersiową chroniła niewielka tarczka z herbem jego domu rodzinnego, czyli kotwicą owiniętą białą wstęgą na czerwonym polu.

Po przeciwnej stronie Merik, w zbroi gwardii królewskiej, czarnej z błękitnymi ćwiekami i niedźwiedziem na piersi, dosiadał czarnego bojowego konia, który grzebał kopytem w piachu. Na tarczy turniejowej miał namalowany rodowy herb dwóch świerków na białym polu, a kopia, którą dzierżył w dłoni, była cała błękitna.

Herold dał znak i konie ruszyły pełnym galopem, rycerze wyciągnęli przed siebie kopie, ale żaden z nich nie trafił. Zatrzymali konie na końcu szranków, czekając na sygnał do kolejnego natarcia. Rycerz z Bernsternu w tej potyczce zdołał zadać cios, ale Erskińczyk utrzymał się na grzbiecie konia, choć nie było to łatwe. Ledwo udało mu się przytrzymać lejcy i łęku. Poprawił się w siodle i spojrzał na Kastila, który zmierzył go niezadowolonym spojrzeniem. Po chwili konie ruszyły ponownie, wzbijając spod potężnych kopyt grudki piasku. Theus pochylił się w siodle i spiął konia łydkami. Mocniej ścisnął kopie i zatrzasnął przyłbicę, a po chwili drzazgi z jego broni wyleciały w powietrze. Henes Zunte wyleciał z siodła i z hukiem wylądował w wydeptanym końskimi kopytami piasku. Rycerz gwardii królewskiej przejechał wzdłuż zgromadzonych w pobliżu szranków, pozdrawiając ich gestem. Kastil skinął głową, nie kryjąc szerokiego uśmiechu.

Młody król obejrzał jeszcze kilka konnych starć i udał się na taras, gdzie rozsiadając się w wygodnym fotelu, podziwiał wojów walczących wręcz. Broń krzesła iskry, a okrzyki wypełniały dziedziniec. Głuche uderzenia o tarcze i zbroje przerywane były krzykami triumfu i głosami heroldów oznajmiających wyniki starć. Erskińscy rycerze, słynący na świecie z umiejętności walki, popisywali się przed swoim władcą, wygrywając nie tylko starcia konne, ale i piesze.

Po kilku walkach solowych Kastil miał okazję obejrzeć walkę grupową trzech na trzech. Dwóch członków gwardii królewskiej i dowódca jednej z chorągwi Erskinu potykali się z rycerzami z Werdgwaldu. Mieli sobie do

wyjaśnienia sprawy z niedawnej wojny, a walka turniejowa była na to dobrym sposobem. Starcie rozpoczęło się od spokojnego mierzenia się wzrokiem i straszenia okrzykami. Wreszcie jeden z rycerzy Werdgwaldu z koniem w herbie uderzył, wykonując młynek nad głową. Potężny cios wyhamował jednak na tarczy gwardzisty. Skontrował to szybko krótkimi cięciami na nogi.

W tym czasie dwóch pozostałych ruszyło do walki. Blokowali ciosy Erskińczyków, trzymając miecz za klingę. Jednak walka dwuręcznym mieczem wymagała więcej terenu. Rycerze Erskinu wykorzystali to i skrócili dystans, uderzając tarczami. Treningi w całych oddziałach, które nowatorsko wprowadził Kastil zaraz po objęciu tronu, sprawiły, że działali prawie jak jeden organizm. Skoncentrowali atak na jednym z przeciwników, którego długi miecz nie miał szans poradzić sobie z nawałnicą cięć i uderzeń. Wreszcie jego długa klinga wyleciała w powietrze i wbiła się w trawę. Przewaga liczebna wystarczyła, by szybko we dwóch pozbawić broni kolejnego z przeciwników. Ostatni jednak nie miał zamiaru się poddać i sam zaatakował pchnięciem. Rycerz przytrzymał miecz rękawicą, a jego partnerzy kilkoma uderzeniami wybili Werdgwaldczykowi z głowy pomysły o kontynuowaniu walki.

Turniej trwał do wieczora, a na koniec rozdano nagrody. Król Kastil przyznał najbardziej wyróżniającym się uczestnikom kosztowne miecze w ozdobnych pochwach, co zgodnie z obyczajem zakończyło również ceremonię koronacyjną na zamku w Erskinie.



## Rozdział XV

Załadowali kufry pełne ksiąg, Kati i kapłańskich szat na stary wóz ciągnięty przez jednego chudego konia, a sami szli obok, ciesząc się, że nie muszą dźwigać tych niewdzięcznych skrzyń. W drodze do Nati mijali kilka wsi i zauważyli, że brakuje w nich mężczyzn. Wszyscy, którzy byli zdrowi i w odpowiednim wieku, musieli zjechać do stolicy, gdzie następował pobór do wojska na przeszkolenie.

W samej stolicy, do której podróż minęła im bardzo spokojnie, również nie wzbudzili sensacji. Porozstawiane na placu przed pałacem namioty, w których komisje klasyfikowały poborowych, były dużo ciekawszym zjawiskiem niż grupa wędrowców wyglądających jak handlarze.

– Dużo żołnierzy się tutaj kręci – powiedziała Juvi.

– To dobrze dla nas – odparł Hex, trzymając lejce.

– Niby dlaczego? – wtrąciła Iv.

– Bo żeby objąć tutaj władzę bez rozlewu krwi, potrzebuję poparcia armii. – Zatrzymał wóz na placu przed pałacem, zaraz obok namiotów. – Zaraz się zacznie.

– Skąd wiesz? – Mossa przysunęła się bliżej Hexa.

– Powinnaś już zapamiętać, że ja wiem wszystko. – Położył dłoń na jej ramieniu. – Ale można się też tego domyślić, bo służący właśnie wyszli z baldachimem.

– No tak. – Mossa zachichotała. – Zapomniałam, że król zawsze siedzi pod dachem.

– Jaki masz plan? – spytała zdenerwowana Juvi.

– Wyjdę na plac, poproszę króla, by przekazał mi władzę, poproszę generała, by podporządkował mi wojsko, i tyle. – Hex wzruszył potężnymi ramionami.

– I myślisz, że to się uda? – Ahga parsknęła. – Jak żyję, nie widziałam, żeby ktoś oddał władzę, bo go ktoś inny poprosił.

– Jeśli będzie tak, jak mówisz, to mam w zanadrzu jedną sztuczkę, która ostatecznie ich przekona. – Błysk w jego oku przyprawił kapłankę o dreszcz.

– Co to takiego? – drażyla temat Jovi.

– Zobaczcie. Słudzy uwijają się jak mrówki, więc król się zbliża. – Wskazał głową wyjście z pałacu. – Kiedy już zasiądą na swoich miejscach, ruszycie za mną, ale mówić będę tylko ja.

W towarzystwie kilku służących, którzy obmiatali ścieżkę tuż przed jego stopami, król zbliżał się dostojnym krokiem do tronu rozstawionego na placu. Władca był wysoki, gruby i nosił długą siwą brodę. Na głowie miał ciężką złotą koronę, a ubrany był w złoty, błyszczący w promieniach porannego słońca, długi płaszcz, zapinany od szyi po kostki. Jego twarz była sroga i nieco obojętna.

Krok za nim szedł równie wysoki, ale dużo smuklejszy mężczyzna, ubrany w czarne spodnie i czerwoną koszulę z białymi sznurami przewieszonymi przez tors. Przy pasie wisiała pozłacana, zakrzywiona nieco pochwa. Mężczyźni stanęli przed fotelami, służący zniknęli, a żołnierze kilkoma krótkimi rozkazami ustawili poborowych w długich szeregach.

– Amti! – wydarł się jeden z żołnierzy pilnujących poborowych, a na placu zapanowała zupełna cisza.

– Obywatele! – mówił głośno król, choć bez emocji i przekonania. – Macie teraz niepowtarzalną okazję dołączyć do grona żołnierzy służących ojczyźnie. Każdy z was przejdzie szkolenie, ale tylko nieliczni zostaną żołnierzami. Zaczynajmy!

Pierwszy z poborowych wysunął się z szeregu i stanął przed królem w towarzystwie żołnierza, który wskazywał mu, co ma robić. Musiał pokazać się z każdej strony, podskoczyć, kucnąć, pomachać mieczem w powietrzu.

– Teraz – rzucił krótko Hex i ruszył przed siebie.

Kroczył pewnie na czele szpicy złożonej z kobiet ubranych w białe stroje i dzierżących w dłoniach sztylety. Zanim zaskoczeni żołnierze byli w stanie zareagować, grupa zbliżyła się do króla. Hex zatrzymał dłońią swoje towarzyszki, które odwróciły się do niego plecami i pilnowały, by żaden z żołnierzy nie próbował ich zaatakować.

Generał poderwał się ze swojego fotela i chciał chwycić za miecz, ale jego z kolei powstrzymał król, widząc, że olbrzymi mężczyzna

z toporzyskiem w dłoniach nie ma zamiaru atakować.

– Kim jesteś i dlaczego ośmielasz się przerywać nam wybór rekrutów? – Zblazowanie króla Tolwiego przeszło w ciekawość.

– Jestem Hex, a te kobiety to kapłanki Sag Bas. – Jego głos był spokojny jak zamarznęte morze. – Przybyliśmy tutaj ze starej świątyni na południu, by przywrócić światu ład.

– Sag Bas? – Król poprawił się na fotelu. – Nic mi to nie mówi. Na czym miałyby polegać to przywracanie ładu, jak to nazywasz?

– Jest to niesamowicie złożony proces, królu Tolvi, który polega na przywróceniu naturalnego ładu życia, śmierci i wieczności. Wyzbyciu się fałszywych bóstw, które zostały stworzone przez chciwych kapłanów, i zatrzymaniu wyzyskiwania ludności przez możnych. Zagadnienie nie jest proste i by to wyjaśnić, trzeba więcej czasu. – Hex rozejrzał się po placu.

– Przywrócić ład? – Tolvi uniósł siwą brew.

– Dokładnie – odparł Hex. – Żeby móc osiągnąć całkowity ład, należy wrócić do tego, co było kiedyś, czyli ogromnego państwa, które nie było podzielone na drobne, chroniące wyłącznie swoje interesy królestwa.

– Jak zamierzasz to osiągnąć, przyjacielu? – Władca patrzył na niego lekceważąco niczym na błazna.

– Wszelkimi dostępnymi metodami. – Hex wbił w niego czarne oczy. – Dlatego jestem tutaj. Chciałbym, żeby królestwo Tolimuraj stało się pierwszą częścią, pierwszym krokiem ku nowemu, lepszemu światu.

– Och. – Król westchnął. – To bardzo miło z twojej strony, ale dalej nie rozumiem, w jaki sposób miałbym ci pomóc. Jeśli chcesz, to przekonuj ludzi do swojej wiary, może się uda, nie zetnę was za innowierstwo.

– Nie zrozumieliśmy się, wasza miłość. – Upiorny uśmiech pojawił się na twarzy Hexa. – Jestem tutaj po to, byś przekazał mi władzę w kraju.

– Co?! – Tolvi zdziwił się, otwierając szeroko usta. – Chcesz, żebym oddał ci... mój tron? No nie! Ta rozmowa zrobiła się już za długa. Odejdź, proszę, i zabierz ze sobą te panny.

– Oddasz mi władzę, królu Tolvi. – Hex nie cofnął się nawet o krok. – Zrobisz to dobrowolnie i zachowasz życie lub przejmę tę koronę siłą. Decyzję pozostawiam w twoich rękach.

– Grozisz mi śmiercią?! – Król wstał z fotela, a generał sięgnął po miecz.

– Nie grozę. – Hex był zupełnie poważny. – Oferuję ci możliwość życia w lepszym świecie w zamian za królestwo.

– Ty nie chcesz lepszego świata, ty chcesz władzy, i to mojej władzy! – Krzyczał. – Straże! Straże!

– Stać! – ryknął Hex, a żołnierze zatrzymali się skonsternowani. – Władza jest krokiem koniecznym, który muszę postawić, by dojść do celu. Twoja śmieszna korona i tron nie są nic warte w porównaniu z tym, co oferuje Sag Bas. Jednak jeśli nie chcesz oddać korony, to zginiesz. Zgodnie z tym, co powiedziałem.

– Jak śmiesz! Straże! Stra... – W połowie zdania zamilkł i zaczął sinieć, a oczy podeszły mu krwią. Upadł wreszcie na twarz, korona potoczyła się po bruku, a wokół jego głowy rozlała się kałuża krwi.

Ludzie na placu odsunęli się, a żołnierz stojący najbliżej nie mógł wykonać nawet kroku.

– Wasz dotychczasowy król poznał malutką cząstkę mocy Sag Bas! – mówił Hex tak donośnym głosem, że było go słychać nawet na końcu placu. – Byliście świadkami Sag Bas! Spójrzcie! Stałem od niego daleko, niczym w niego nie rzuciłem, nie miał możliwości zażycia trucizny, a nie żyje! Cała krew z jego ciała napłynęła do głowy tylko dzięki mojej myśli. Pomyślcie! Jeśli Sag Bas daje moc rozkazywania krwi, to co jeszcze może pozwolić nam osiągnąć? Czerwona religia? Oni tylko rozpalają ogniska i domagają się ofiar! Sag Bas to nie religia wymyślona przez ludzi, tylko odwieczne prawo natury. To, czego byliście świadkami, to niszczycielska moc, ale Sag Bas daje też wiele innych talentów. Żeby pokazać wam, z jaką potęgą macie do czynienia, zamknę teraz swoje usta, a nie tylko wy, ale i ludzie w całym kraju usłyszą wiadomość.

Zgromadzeni na placu mężczyźni wychodzili powoli z szoku i z zainteresowaniem przyglądali się przybyszowi z daleka. Poza grozą było w nim coś, co dawało nadzieję na lepszy los, i choć nie do końca rozumieli, o czym mówił, to narzucona im czerwona religia nie była dla nich tak ważna, by nie móc z niej zrezygnować. Perspektywy, które dawała Sag Bas, wyglądały ciekawiej, zwłaszcza dla zabobonnej biedoty, której w Tolimuraj było znacznie więcej niż wykształconych i zamożnych. Dla prostych ludzi nie miało wielkiego znaczenia, kto nimi rządzi. Nazwisko króla czy nawet państwo, w którym mieszkali, niewiele dla nich znaczyło. Wiedzieli tylko, że muszą pracować, by to państwo utrzymać. Dlatego też woleli stabilizację i ład, które obiecywał Hex.

– Mieszkańcy królestwa Tolimuraj! – Usłyszeli w swoich myślach i z przerażeniem odkryli, że mężczyzna, który zabił ich króla, rzeczywiście nie

otwiera ust. – Tolvi, człowiek, który dotychczas rządził waszym krajem, nie żyje. Został przed chwilą zabity przez moc Sag Bas. Jest to pradawna religia, która pozwoliła światu rozwinąć się setki lat temu. Jednak w pewnym momencie ludzie odwrócili się od niej, co zaburzyło ład i w konsekwencji doprowadziło do powstania czarnych ziem. Teraz jednak przystępujemy do odbudowy tej religii. Przejęcie władzy tutaj jest tylko pierwszym krokiem, małym płomykiem, iskierką, która rozpali nadzieję i da światu nowy porządek. W najbliższym czasie wraz z moimi kapłankami wyruszę w podróż po kraju. Wtedy będziecie mogli się przekonać, że to, co mówię, jest prawdą. Nie bójcie się! Od tego momentu świat zacznie zmierzać ku lepszemu!

Hex zakołysał się na nogach i ciężko klapnął na tron. Juvi podbiegła do niego i poklepała go po policzkach.

– Co to miało być? – mruknęła.

– To był pokaz... – Hex dyszał ciężko. – Teraz niewielu odważy się podnieść miecz przeciwko nam...

– Jesteś wyczerpany! – powiedziała.

– Trochę zmęczony, ale warto było... Spójrz! – Wskazał brodą w kierunku placu.

Kapłanka zwróciła wzrok na żołnierzy i zobaczyła, że wszyscy umundurowani klęczą z pochylonymi głowami. Poborowi, widząc, co robią żołnierze, też poczęli klękać. Wkrótce tysiąc mężczyzn klęczało przed siedzącym na tronie Hexem.

– Wstańcie i idźcie głosić innym to, czego świadkami byliście. – Wysłał informację do zebranych na placu, którzy powoli zaczęli wstawać z kolan i rozchodzić się po wąskich uliczkach.

Po chwili podniósł się już zupełnie pewnie i skierował swoje kroki do pałacu. Kapłanki chciały ruszyć za nim, ale powstrzymał je gestem.

– Zostawicie tutaj wóz z księgami i bronią? – zapytał. – Dopiero zaczynamy przywracać światu należyty porządek. Zabierzcie wóz do pałacu.

– Nie możesz wysłać służących? – zaprotestowała Mossa.

– Nie powierzę tak ważnego ładunku służącym. Oni są teraz zdezorientowani – mówił spokojnym tonem. – Chętnie wzięliby ten wóz z całą zawartością i wyjechali jak najdalej.

– Ma rację, Iv, Ahgo, skoczcie po wóz – zarządziła Juvi. – Lepiej nie spuszczać z oka kufców.

Kiedy tylko oddalili się na kilka kroków od placu, pojawili się służący, którzy chcieli zamiatać przed nim drogę.

– Zajmijcie się czymś pożytecznym – powiedział do nich spokojnie, choć trzęśli się jak osika pod jego spojrzeniem. – Nie będzie już zamiatania dróg przed królem, biegania z baldachimem, to wszystko umarło razem z Tolvim. Najchętniej zwolniłbym was i odesłał do domów, ale wiem od mojej kapłanki, że praca tutaj jest waszym źródłem utrzymania. Uciekajcie.

Kątem oka zauważył, że za nimi zmierza generał, który towarzyszył królowi w inspekcji. Jego czarne włosy lśniły od potu. Mężczyzna zachowywał się niezwykle nerwowo, zatrzymywał się w bezpiecznej odległości, unikał kontaktu wzrokowego, nie zerkał nawet na kapłanki. Hex, zaciekawiony zachowaniem generała, stanął przed wejściem do pałacu i zawołał go do siebie.

– Podejdź tutaj, żołnierzu! – krzyknął, a tamten niechętnie ruszył w ich kierunku. – Dlaczego żołnierzowi brakuje odwagi? – zapytał.

– Mi nie... Nie brakuje odwagi, ale wasza miłość raczył... – zaczynał się.

– Raczyłem zabić twojego króla bez mrugnięcia okiem i boisz się, że ciebie spotka taki sam los, bo byłeś jego generałem. – Hex zachował kamienną twarz. – Wiem wszystko, o czym myślisz, tak działa Sag Bas.

– To znaczy, że... – Generał podniósł przerażony wzrok.

– To znaczy, że wiem też, że planowałeś mnie zabić. – Hex uśmiechnął się. – Ale od razu powiem, że twoje próby na nic się nie zdadzą. Nie pokonasz mnie nawet z zaskoczenia, nie zabijesz mnie trucizną, więc możesz dać spokój. Boisz się, że zginiesz? Nie z mojej ręki. Zakończ ten cyrk. Dla Sag Bas walczą wszyscy, nie ma wybrańców. Potem wyrzuć dystynkcję i wróć do koszar jako zwykły żołnierz. Dowiem się, czy je wyrzuciłeś, zapamiętaj to!

Zamek był niewielki, składał się z głównego budynku, którego przednią ścianę od placu oddzielała kolumnada. Wybudowano go z piaskowca, a dwie wieże znajdujące się na końcach głównego budynku były wybudowane na planie koła i przykryte błyszczącymi kopułami. W wieżach znajdowały się niewielkie, przeszklone okienka, a do zamku prowadziły szerokie, dwuskrzydłowe wrota.

Wnętrze było pełne przepychu. Na podłodze głównej sali ułożono żółty marmur z czerwonym okręgiem pośrodku. Nad nim zawisł żyrandol z bursztynu, na którym paliły się niewielkie świece. Pod żyrandolem stał tron z wysokim oparciem. Wyrzeźbiony był w czarnym drzewie Kalu, które

rosło w lasach Gotrayi, a pokrywały go inskrypcje w języku tolimurajskim oraz ornamenty wysadzane diamentami. Wyściełano go czerwonym materiałem. Ściany wokół sali tronowej zdobiły freski, w których sprytnie zakamuflowano drzwi prowadzące do innych sal, w tym również królewskiej sypialni.

– Mosso. – Hex klapnął na tronie. – Pracowałeś też wewnątrz pałacu, prawda? Zajmij się, proszę, wszystkim. Pokaż dziewczynom sypialnie, poproś kuchnię o coś do jedzenia i picia. Są tutaj łaźnie?

– Oczywiście. – Machnęła ręką. – Tam z tyłu, za zamkiem jest osobny budynek.

– Zjedzcie, rozpakujcie rzeczy i spotkamy się tam. – Podniósł się z tronu. – Trzeba omówić, co zrobimy dalej.

– Byłam przekonana, że masz plan, wasza miłość. – Juvy prychnęła.

– Ja mam wizję, kapłanko – burknął, odchodząc w stronę tylnej ściany. – Ale plan trzeba układać na bieżąco, dostosowując go do sytuacji.

Przeszedł przez drzwi, które stanowiły element wtopiony we freski, i krótkim, wyłożonym marmurem korytarzem dotarł do drzwi królewskiej sypialni. Czuł się okrutnie zmęczony. Padł jak długi na olbrzymi puchowy materac, nad którym na czterech kolumnach rozłożono baldachim. Zarył twarzą w miękkie poduchy i ciężko oddychał.

Ból głowy sprawiał, że nie mógł myśleć jasno. Przeskakiwanie z umysłu do umysłu, przeglądanie wspomnień, przejmowanie kontroli nad innymi ludźmi wywoływały rozdrażnienie, ale wejście do tysięcy jaźni jednocześnie sprawiło, że prawie zemdlał. Kosztowało go to niebotyczną ilość energii, ale poczuł, że to było opłacalne. Jeszcze będąc w ich umysłach, czuł, że większość ludzi przekonał, a znaczna część z nich uznała go za rodzaj bóstwa potrafiącego czynić cuda.

Wiedział, że nieprzekonana reszta pójdzie za głosem większości. Pojedynczymi przypadkami się nie przejmował. Wystarczyła jedna myśl, by pozbyć się takiego człowieka. Poznał też, jak wielką mocą dysponuje, i poczuł, że trening może ją zwiększyć. Teraz wpadł na pomysł, by co wieczór zaglądać do umysłów wszystkich. Domyślał się, że będzie to mniej forsowne niż przekazywanie im myśli, a poza tym dałoby mu to wiedzę o tym, jakie nastroje panują w społeczeństwie.

Zrzucił z siebie skórzane spodnie i kamizelkę, owinał się w pasie ręcznikiem i wyszedł przez ażurowe drzwi do ogrodu, gdzie znajdował się budynek łaźni. Prowadziła do niego piaskowa ścieżka wijąca się między

zielonymi klombami porośniętymi trawą i kolorowymi kwiatami. Budynek nie był duży, ale pasował do ogrodu i pałacu. Łaźnia, podobnie jak reszta zamkowych zabudowań, była zbudowana z piaskowca, a do wejścia prowadziły cztery schody, nad którymi zamontowano płaski daszek na dwóch kolumnach. Na ścianie frontowej znajdowały się dwa duże okna, przez które można było zajrzeć do środka. Po lewej stronie od wejścia znajdowało się pomieszczenie z drewnianymi ławkami, gdzie można było się przebrać.

Miał na sobie już tylko ręcznik, więc od razu poszedł do drugiej sali. Ta była dużo większa, a na jej środku wykopano basen, do którego schodziło się po szerokich stopniach. Gorąca woda wypełniała parą pomieszczenie od podłogi po sufit wyłożone czarnym drewnem. Łaźnia była oświetlona jedynie słońcem wpadającym przez okno. Tworzyło to niebywale intymny nastrój wspomagający odpoczynek.

Dziewczyny siedziały już w wodzie, rozmawiając głośno i od czasu do czasu zaśmiewając się. Nie zauważyły go. Stał więc przy jednej z kolumn znajdującej się w rogu basenu i słuchał ich radosnych rozmów.

– Sprzątałam tę łaźnię mnóstwo razy, ale nigdy nie byłam w wodzie! – Mossa chlapała na inne dziewczyny.

– Ja nie sądziłam, że będę się kiedyś śmiała – dodała Tia. – Byłam przekonana, że umrę w tej czerwonej szmacie.

– Ej! – Iv wciągnęła ją pod wodę. – Miało być wesoło, a wam się na wspominki zebrało. Ja w takim basenie mogłabym pływać jedynie jako kurwa jakiegoś bogatego kupca.

– My kąpaliśmy się tylko w rzece, nikt nawet nie pomyślał, że woda może być ciepła. – Ahga zanurzyła w wodzie czarne, coraz dłuższe włosy.

– Mówiłem wam, że wasze życie ulegnie zmianie – odezwał się, co wywołało poruszenie wśród kobiet. – Potrzebowałyście dowodów, a teraz wam je dałem. Widziałyście, że to nie żadna sztuczka. Tolvi umarł, bo tak mu kazałem. Ludzie usłyszeli nasze przesłanie w całym kraju. Wiecie teraz, do czego jesteśmy zdolni i co Sag Bas może zrobić dla świata.

– Długo tutaj stoisz? – Juvi przerwała niezręczną ciszę.

– Chwilę. – Zrzucił z siebie ręcznik i wszedł do wody.

Mossa odwróciła głowę, a Tia zasłoniła oczy, widząc nagiego Hexa. Ahga udawała, że nie widzi jego nagości, a Iv patrzyła z zaciekawieniem.

– Nie wiem, czy najlepszym pomysłem było spotkanie się tutaj. – Juvi mierzyła go złowrogim spojrzeniem.



Jednak nie zwrócił na to uwagi i powoli wkraczał w parującą wodę. Jego ogromne mięśnie lśniły pod wpływem pary wodnej. Sine linie pokrywały jego ciało, kończąc się dopiero na szyi. Kiedy był nagi, dokładnie można było zauważyć, jakie piętno na jego skórze odcisnęło Sag Bas. Oparł się plecami o krawędź basenu, potężne ramiona rozciągnął na brzegu.

– Więcej wiary, kapłanko. – Uśmiechnął się, choć jego oczy pozostały chłodne. – Mówiłem wam wcześniej, że jako kapłanki musicie wspierać mnie w decyzjach, służyć radą, kiedy jest ona potrzebna, i właśnie po to was tutaj zgromadziłem.

– Wszystkie? – Juvi wyprostowała się w wodzie.

– Przecież wszystkie są kapłankami. – Hex spojrział na jej odsłonięte piersi. – Nie zamierzam nikogo wyróżniać.

– A co z doświadczeniem, z wiedzą?! – oburzyła się. – Przecież one dopiero się uczą, są młodziutki.

– To prawda – odparł. – Jednak nie zmienia to faktu, że są kapłankami i mają prawo głosu tak samo jak ty, Juvi. Dlatego chciałbym zapytać was, co powinniśmy zrobić dalej. Czuję, że nie ma potrzeby, byśmy tkwili tutaj. Mojej mocy wystarczy, by nawet w drodze nauczać ludzi, czym jest Sag Bas, i utwierdzić ich w przekonaniu, że nasza sprawa jest słuszna. Dlatego uważam, że powinniśmy ustalić tutaj, w Nati, zarządcę prowincji i udać się do Yelayinu, by dołączyć ten kraj do naszego dzieła.

– Skoro uważasz, że tak będzie najlepiej, to wyruszajmy – pierwsza odezwała się Mossa, jak to zwykle miała w zwyczaju.

– O ile tym razem dasz nam trochę powalczyć – dodała Ahga.

– W jaki sposób wybierzesz zarządcę? – zapytała Iv. – Jeśli nas tutaj nie będzie, to on może się mianować królem i zacząć sobie rządzić.

– To nie jest możliwe. – Machnął leniwie dłonią. – Będę miał pełną kontrolę nad jego myślami. Trzeba tylko wybrać kogoś, kto zostanie zaakceptowany przez ludność.

– Skąd mamy kogoś takiego wziąć? – Juvi zorientowała się, że woda nie zakrywa jej piersi i speszona prawie zanurkowała.

– Mossa pomoże nam wybrać kogoś szanowanego wśród prostego ludu – zaproponował. – Wychowałaś się w tym mieście, więc na pewno znasz kogoś, kto byłby poważany wśród ludzi, ale nie miał nic wspólnego z poprzednią władzą.

– Musiałabym się zastanowić, sprawdzić, czy ci ludzie jeszcze żyją... – Mossa podrapała się po głowie. – Dasz mi trochę czasu?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się do niej. – Jutro mi powiesz, na kogo się zdecydowałaś.

– Myślę, że możemy spotkać się z większymi trudnościami niż znalezienie zarządcy prowincji, jak to nazwałaś – wtrąciła się do rozmowy Tia.

– O jakich trudnościach mówisz? – Juvi odwróciła się do niej, wytwarzając falę w basenie.

– Mówi o czerwonych kapłanach – odpowiedział za dziewczynę Hex. – Ret nie pozwoli się tak łatwo wyprzeć. Każdy z kapłanów mieszkający w Tolimuraj będzie miał za zadanie walczyć o swoich wiernych. A jeśli nie będą już wiernymi, to w imię religii mogą próbować ich zabić. Dlatego wyprzedzimy ich ruch. Każcie służącym roznieść wiadomość do ludzi, by jutro w południe stawili się na placu.

– Nie możesz im tego przekazać myślą? – Iv zdziwiła się.

– Mogę, ale cuda muszą być dozowane. – Spojrzał na nią chłodnym wzrokiem. – Gdyby co chwila doświadczali Sag Bas, wtedy moc spowszedniałaby im i przestała odgrywać tak ważną rolę.

Wstał i wyszedł z basenu, ociekając wodą. Wziął ręcznik i zarzucił go sobie na ramię. Widok nagiego ciała wywołał konsternację wśród kapłanek. Sprawy, o których rozmawiali, i jego obecność sprawiły, że ich głosy po wyjściu Hexa nie były tak wesołe jak wcześniej. Wkrótce stopniowo rozeszły się do swoich obowiązków. Ostatnia w wodzie została Iv, która będąc Utvinką, uwielbiała pływać, a bardzo rzadko miała ku temu ostatnio okazję.

Już przed południem na placu przy zamku zgromadziła się większość mieszkańców miasta Nati i okolic. Nieprzebrany tłum Tolimurajczyków czekał na słowa swojego nowego władcy. Władcy, który nie ogłosił się królem, ale pokazał im, że dysponuje mocą jakiejś pradawnej, nieznannej im religii. Bali się, nie wiedząc, w jaki sposób Hex dostał się do ich umysłów i jak zabił króla, więc stawili się na rozkaz. Tymczasem kapłanki stały przed drzwiami w oczekiwaniu na Hexa i na to, co powie zgromadzonym.

– Znalazłaś kogoś? – zapytała Mossę Juvi.

– Tak, pomógł mi pałacowy talavar. – Uśmiechnęła się z dumą. – Wskazał, że wśród plebsu najbardziej szanowani są dwaj kupcy i medyk pomagający biednym.

– Dobrze, może któryś się nada, chociaż... – Machnęła ręką. – Zresztą on wie najlepiej, zajrzy im do głów i wszystko będzie jasne. Ale gdzie on jest?

– W pokoju – powiedziała Iv. – Zaraz przyjdzie.

– Idzie – szepnęła Ahga.

Juvi kiwnęła głową i otworzyła wrota z hukiem. Kapłanki ustawione w klin wyszły na dziedziniec i stanęły przed podestem zbudowanym specjalnie na przemowę Hexa. Kiedy tłum zobaczył kobiety ubrane w charakterystyczny biały strój i uzbrojone w sztylety wiszące u pasa, natychmiast się uciszył. Mężczyzna wyszedł z pałacu zaraz za nimi i po chwili milczenia zaczął swoje przemówienie.

– Wiem, że to strach kazał wam tutaj przyjść, a nie wiara. Dlatego by przybliżyć wam Sag Bas i to, co świat zyska dzięki jej powrotowi, zostanie spisana księga, która wprowadzi zwykłych ludzi, takich jak wy, w podstawy wiary. Chcemy, żebyście rozumieli i uwierzyli w Sag Bas, a nie tylko bali się mnie i tego, co Sag Bas mi ofiarowała. Te księgi zostaną spisane wkrótce i przekazane szanowanym obywatelom, którzy potrafią czytać, by mogli przekazać wiedzę tym, których brak balansu w świecie pozbawił tej umiejętności. Wyślemy też te księgi do władców wschodnich krajów wraz z prośbą, by odstąpili od władzy i przekazali ją nam, a w zamian za to zaczęli nauczać w swoim kraju religii Sag Bas. Czy to ich przekona? Nie wydaje mi się, ale musimy spróbować. Nie chcąc wywoływać wojny i podbijać kolejnych krajów siłą, musimy spróbować zrobić to w sposób pokojowy. Jednak żeby Sag Bas mogło rozwijać się z powodzeniem, musimy wyzbyć się też fałszywych bóstw. Dlatego z obszaru Tolimurai należy usunąć religię Ret. Wiem, że narzucono wam lata temu przyjęcie czerwonej religii, ale teraz możecie się jej pozbyć. Dlatego proszę, byście wypędzili ze swoich miast i wiosek czerwonych kapłanów. Jeśli nie będą chcieli odejść, zabijcie ich. Przekazujcie moje słowo każdemu, kogo napotkacie, i wierzcie, że te straszne i nieprzyjemne kroki muszą zostać podjęte, żeby na końcu drogi doznać pełnej równowagi i sprawić, by świat stał się wymarzonym domem dla każdego, a nie tylko dla najbogatszych.

Zszedł z mównicy zegnany przez brawa i okrzyki poparcia. Kapłanki, słysząc, co mówił, miały zmieszane miny. Zwłaszcza Juvi nie wiedziała, co miał na myśli, mówiąc o podręczniku Sag Bas. Wiedziała przecież, że religia jest zbyt skomplikowana, by mógł jej nauczać ktoś, kto nie jest kapłanką. A księga? Musiałaby być naprawdę gruba, żeby wyjaśnić same podstawy. No i jeszcze to mordowanie kapłanów... Sag Bas, co prawda,

zabijało ludzi, ale tylko w ofierze i tylko przestępców. Musiała porozmawiać z Hexem i to jak najszybciej.

## Rozdział XVI

Tygodnie po koronacji upłynęły Ulevowi niezwykle pracowicie. Od kiedy Kastil oficjalnie został królem, do zamku przychodziło znacznie więcej korespondencji. Znacznie więcej listów również z niego wychodziło. Prawdziwa polityka rozkręciła się na dobre, co pocztowy wykorzystywał, skrupulatnie zbierając informacje.

Rozmowa z uczonym przysłanym przez jego ojca upewniła go w tym, że król Bernsternu chce dla niego jak najlepiej, ale on sam musi się także czymś wykazać. Uczony Mytel wyjaśnił mu, jak ważną rolę może odegrać, jeśli tylko weźmie udział w ich drobnej intrydze. Bez informacji, które miał zdobyć, Bernstern nigdy nie osiadzie na należnym mu miejscu na szczycie. Był synem króla i obywatelem tego kraju, mógł zostać także jego władcą. Musiał tylko zaryzykować i zgodzić się na propozycję. Dlatego też czytał wszystko, co przychodziło do króla Kastila, i wszystko, co od niego wychodziło. Notował to skrupulatnie, a wszystkie notatki upychał pod siennikiem.

Nocami wybierał informacje, które uznał za przydatne, przepisywał je na niewielkie kartki i przywiązywał mewom do nóżek. Ptaki leciały do stolicy, gdzie trafiały do człowieka, którego nazwiska Ulev nie mógł poznać. Tenże człowiek przekazywał informacje królowi w zupełnej tajemnicy. Uczony Mytel uświadomił go, że ta dyskrecja jest konieczna do powodzenia ich misji. Gdyby Kastil albo ktoś z dworu dowiedział się, że zwykły pocztowy wysyła wiadomości do samego króla innego kraju, co zgodnie z obyczajem jest zabronione i może to czynić tylko książę lub król albo uczony w ich imieniu, to cała misja byłaby stracona.

Dużo trudniejszym zadaniem, jakie przed Ulevem postawiono, było podsłuchiwanie królewskich rozmów. Gnieździł się gdzieś za filarem albo przy drzwiach i słuchał, o czym rozmawiają możni. W trakcie wykonywania swojego zadania zauważył jedną wyjątkowo intrygującą rzecz. Widział, że po każdej rozmowie Kastila z dziewczyną z Werdgwaldu

koło niej kręcił się książę Barbasu. Król ze względu na nadmiar obowiązków nie widywał się z nią zbyt często, ale ich rozmowy zazwyczaj wyglądały podobnie. Przy odrobinie czułości młody władca opowiadał jej o wszystkim, co działo się na spotkaniach, które odbywał z delegacjami, o tym, co działo się na audiencjach, jakie listy dostał. Pandey, niby przypadkowo, niby po prostu wykazując zainteresowanie, wyciągał z niej interesujące go informacje.

Gdyby Ulev był bardziej śmiały i lepiej urodzony, oficjalnie, to postarałby się zdobywać od niej wszystko w taki sam sposób. Niestety musiał zadowolić się śledzeniem ich na spacerach i podsłuchiwaniami z zarośli. Właśnie trafiła mu się okazja, by coś usłyszeć. Blondwłosa piękność imieniem Rollo spacerowała z władcą po dziedzińcu. Przechodził więc od jednej beczki do drugiej, od sterty siana do wozu i starał się wychwycić każde pojedyncze słowo.

– Tidur dostał informację z domu, że Lakurowi nie podoba się jego długa wizyta tutaj – mówił Kastil. – Uważa, że spiskujemy.

– Dziwisz mu się? – Dziewczyna zatrzymała się i spojrzała mu w oczy.

– Nie... Taki prosty człowiek nie zrozumie tego, co tutaj się dzieje.

Ulev schował się za wozem z sianem.

– A co na to Tidur?

Stali niedaleko, więc wszystko słyszał.

– On jest dumny i uparty. – Kastil pokręcił głową. – Nie liczy się ze zdaniem rybaka.

– Chce odzyskać tron? – Rollo pogładziła go po dłuższych czarnych włosach.

– Oczywiście, ale jego ród najbardziej ucierpiał na wojnie i dopiero kiedy odbudują siły, będzie to możliwe. – Uśmiechnął się smutno.

– Ech! – Westchnęła. – Nie pomożesz im?

– Chciałbym... – Kastil poprawił miecz przy pasie czarnego stroju. – Ale Iskel doradza mi wstrzeźliwość. Dyplomacja czasami musi być ważniejsza niż przyjaźń. Jeśli sami zaatakują, to mogę ich wesprzeć, ale tylko tak, żeby mieć pewność zwycięstwa. Inaczej zostanę uznany za króla, który miesza się w sprawy innych krajów.

– Widzę, jak cię to trapi. – Dziewczyna pociągnęła go za rękę. – Chodźmy gdzieś dalej!

Wyszli na ścieżkę prowadzącą od zamku w stronę bramy. Był to zupełnie odkryty teren, więc Ulev nie mógł iść za nimi. Zaklął pod nosem i wślizgnął

się do jednej z wież. Podziemnym tunelem mknął do swoich ptaków, by zanotować to, co usłyszał. Denerwował się tym, że nie dostawał żadnych odpowiedzi, wskazówek, na czym ma się skupić. Każda kolejna mewa wracająca na zamek nie miała ze sobą wiadomości. Czuł, że przez te emocje staje się kłębkim nerwów. Liczył się z tym, że Kastil wykryje jego działania, i bał się, że rycerze z gwardii czekają na niego za każdym rogiem. Tym razem jednak go nie schwytali i bezpiecznie dotarł do swojej wieży. Wśród ptasich odgłosów usiadł przy biurku i kreślił piórem na papierze streszczenie tego, co usłyszał z ust samego króla Erskinu.

Król Kunmlin stał w oknie wykuszowym wychodzącym na dziedziniec i nerwowo stukał grubymi palcami w okienną framugę. Czekał na wiadomość od swojego bękarta z Erskinu. Przez tych kilka tygodni udało mu się zebrać już całkiem sporo informacji, ale nic konkretnego. Fakt, że ten młody król był zbyt ufny, nie mógł przecież wystarczyć. Cieszyły go wiadomości o tym, że Pandey jeszcze nie wyjechał i zbiera informacje na swój sposób. Domyślał się, że było to polecenie króla Barbasu, które miało stworzyć podwaliny pod atak. Umówili się z Kelerem, że jak tylko mewa dotrze do niego, to na drugi dzień w samo południe wyśle kogoś z wiadomością do zamku.

Kunmlin patrzył na krzątających się po dziedzińcu służących, przekrzykujących się kupców, przechadzających się między straganami najemnych strażników i starał się domyślić, kto dzisiaj ma wiadomość. Nie podobało mu się to, że Keler wysyłał za każdym razem kogoś innego. Uważał, że zbyt wielu ludzi wie o tym, że się kontaktują. On jednak był przekonany, że tak jest najlepiej. Jedna osoba mogłaby chcieć na tym zarobić i przepisywać wiadomości, sprzedawać je komuś innemu, a takie rozwiązanie było idealne. Jedna osoba niosła wiadomość raz, nie wiedziała jaką i po co, nie zauważała faktu, że król jest powiązany z Kelerem czymś poza pojedynczą informacją. Wszyscy wiedzieli, że Keler trzyma w garści świeżak przestępczy, i było to zupełnie normalne, jeśli od czasu do czasu informował o czymś dwóm. Może o szpiegu, może o nowym zagrożeniu, nikt w to nie wnikał.

Nagle otworzyły się drzwi do komnaty, a w nich pojawił się ubrany w brązowy płaszcz uczonego Mytel.

– Bardzo przepraszam, wasza miłość. – Skłonił się. – Przyszła wiadomość od Kelera.

– Ciebie z nią przysłał? – Kunmlin odwrócił się z grymasem bólu na twarzy.

– Mnie? – Uczony zbladł. – Nie, dał mi ją jakiś dzieciak...

– Nieważne. – Król machnął dłonią. – Daj mi list i wracaj do swoich obowiązków.

– Wedle rozkazu. – Mytel wyciągnął zwitek z kieszeni swojego płaszcza i przekazał go królowi.

– Znikaj! – Kunmlin klapnął ciężko na czerwony fotel i rozwinął zwój, z którego wyleciały dwa kawałki papieru.

Najpierw spojrzał na ten zdecydowanie krótszy.

Do K.B.

Ten chłopak pisze coraz dłuższe eseje. Niedługo zamiast mewy będzie przysyłał pelikana.

K.

Kunmlin zaśmiał się rubasznie, aż jego wielki brzuch poruszył się niczym wzburzone morze. Wrzucił ten zwitek do złotego pucharu i sięgnął po drugi, który rzeczywiście był zdecydowanie dłuższy. Ulev rozpisiał się w nim o relacjach Kastila z sąsiadami. Wspomniał o rozmowach z Utvinem o piratach, którzy uaktywnili się nawet na Morzu Północnym. Werdgwald informował o wstrzymaniu do końca roku wypłat reparacji wojennych ze względu na konieczność odbudowy zamku i zagospodarowania nowych terenów. Najciekawiej miała się sytuacja z Tasarikiem. Nowy król, wybrany przez lud, dopytywał się, dlaczego Kastil gości na swoim dworze członka rodziny odsuniętej od władzy. Był to jasny sygnał dla Kunmlina, że Tasarik nie zamierza włączyć się w ewentualną pomoc zaatakowanemu Erskinowi.

Najbardziej cieszyły go jednak informacje o działaniach Pandeya. Książę Barbasu coraz śmielej poczynął sobie na dworze i zaprzyjaźnił się z zakładniczką z Werdgwaldu, której zwierzał się król. W pewnym momencie usiadł bardziej spięty i przysunął list bliżej oczu. Wyczytał, że Pandey swoje listy do ojca wysyła zupełnie oficjalnie, przez pocztowego i opisuje w tych listach wszystko, o czym dowiadywał się bezpośrednio od króla Kastila. Jeszcze bardziej zaciekały go zdania o tym, że Pandey wysyła też inne listy, zupełnie tajne. Ulev zobaczył go w podziemiach erskińskiego zamku, kiedy to pisał niewielką wiadomość. Poszedł za nim do miasta, gdzie książę Barbasu kupił zwykłego jastrzębia i wysłał nim list.



Zdaniem pocztowego jastrzęb w takim stanie raczej nie miał szans dolecieć do miasta Pandey.

– To są lepsze wieści... – mruknął pod nosem i wrzucił list do pucharu.

– Otrzymałem oficjalny list od twojego ojca, króla Vizeya. – Kastil siedział w fotelu przy stole i spoglądał na Pandeya zajądającego się śledziami w śmietanie. – Prosił mnie, byś został u nas na zamku i uczył się zachodniej kultury. Nie informował cię o tym?

– Mój ojciec ma w zwyczaju podejmowanie decyzji bez konsultacji. – Pandey przetarł twarz serwetą. – Co zrobisz z tą prośbą?

– Właśnie dlatego się tutaj z tobą spotkałem. – Król zamieszał w filiżance z ziołowym naparem. – W przeciwieństwie do króla Vizeya nie lubię decydować o przyszłości ludzi bez poznania ich stanowiska w sprawie. Dlatego chciałbym poznać twoje zdanie. – Wziął łyk parującego napoju. – Powiedz, czy czujesz się dobrze w Erskinie?

– Oczywiście. – Pandey rozglądał się po stole za kolejną przekąską. – Gdyby było inaczej, to wyrwałbym do domu zaraz po koronacji.

– Świetnie. – Kastil obracał filiżankę w dłoniach. – A czy uważasz, że powinieneś tutaj zostać dłużej i nauczyć się zachodniej kultury?

– Od początku mojego pobytu tutaj przyświecała mi myśl o zacieśnieniu sojuszu między naszymi krajami. Ty się przed tym bardzo bronisz. – Wskazał na Kastila widelcem. – Dlatego, moim zdaniem, jeśli pomieszkać tutaj dłużej i lepiej zrozumieć was, to może inaczej spojrzę na niektóre rzeczy.

– Dobrze. – Kastil wstał od stołu. – Skoro znam już twoje stanowisko, wkrótce podejmę decyzję. Do tego czasu oczywiście możesz dalej tutaj mieszkać. Wybacz, ale muszę już iść. Czeka na mnie kolejne spotkanie, sam rozumiesz, królewskie obowiązki.

– O tak, rozumiem. – Pandey podniósł się i skłonił. – Mnie, jeśli Ret pozwoli, też to kiedyś czeka. Dobrze wiedzieć, jak to wygląda, będę mógł się na władzę przygotować.

– Do zobaczenia wkrótce! – Młody król pożegnał się z uśmiechem i wyszedł z komnaty.

Pandey poczekał chwilę, kończąc jedzenie, i ruszył do swojej tajnej kryjówki w podziemiach jednej z wież. Nie mógł się spodziewać tego, że zaraz za nim kroczył Ulev, który podsłuchiwał część rozmowy przez lekko uchylone drzwi, a teraz chciał się dowiedzieć, co książę Barbasu wypisuje w tych tajnych listach i do kogo je kieruje.

Podziemia zamku w Erskinie były dobrze utrzymane, bezpieczne i nawet przytulne. Ściany były gładkie, sufity wysokie, a same podziemne tunele były na tyle szerokie, żeby w razie czego dwóch rycerzy w pełnym uzbrojeniu mogło się minąć bez kłopotu. Na początku oświetlano je pochodniami, ale gryzący dym był nie do zniesienia. Dlatego zastosowano droższe w utrzymaniu, ale dużo przyjemniejsze w odbiorze oświetlenie.

W ścianach wykuto otwory, a w nich zamontowano wypolerowane srebrne tace, przed którymi postawiono świece. Srebro odbijało płomień świecy, co potęgowało jego jasność. Żeby system działał sprawnie, na zamku zatrudniono światłowego, który był odpowiedzialny za podpalanie i wymianę świec. Musiał kontrolować korytarze, robiąc obchody nawet nocami. Dlatego zarówno ukrywanie się w korytarzach pod wieżami, jak i śledzenie kogoś w nich nie należało do najłatwiejszych. Miejscami, w których było to możliwe, były piwnice w wieżach i klatki schodowe prowadzące na górę.

W jednej z wież, pod schodami prowadzącymi na parter, schował się Ulev. Wiedział, że Pandey właśnie tam pisze swoje listy. Szpieg króla Bernsternu wlaźł między skrzynie, o których istnieniu już wszyscy dawno zapomnieli, i czekał. Książę Barbasu usiadł pod ścianą, wyjął kartkę i rozłożył ją na skrzynce. Ołówkiem wypisał kilka zdań i zwinął kartkę, umieszczając ją w wewnętrznej kieszeni swojego obszernego, bogato zdobionego stroju, a potem ruszył do miasta.

Pocztowy wiedział, że Pandey udaje się na rynek kupić ptaka, którym wyśle wiadomość. Tym razem nie to go interesowało. Żeby zostać pocztowym, musiał nauczyć się pisać, czytać, ale też poznać techniki szyfrowania i odszyfrowania wiadomości. Wziął jedną ze świec i ostrożnie wylał z niej wosk na miejsce, w którym leżała kartka zapisywana przez Pandeya. Odstawił ją na bok i delikatnie podniósł zastygły wosk, odwrócił go i spojrzął pod światło. Dało się zauważyć linie tworzące skomplikowane pismo, jakim posługiwano się w Barbasi. Gwizdnął z radości, co zwróciło uwagę dwóch kucharzy przechodzących obok niego. Szybko schował woskowy skarb do kieszonki i popędził korytarzami do swojej wieży. Wpadł do komnaty z takim hukiem, że ptaki zaczęły szamotać się w klatkach.

– Teraz tylko tego nie zepsuć... – mruczał pod nosem.

Sięgnął po ostry drucik i nachylając się nad woskiem, przy płomieniu świecy pogłębiał krawędzie linii, które się w nim odcisnęły. Z pietyzmem

i wielką ostrożnością wydrapywał wosk, by niczego nie uszkodzić. Pot kapał mu z czoła, utrudniając widzenie.

Zanurzył w kałamarzu pędzelek i powoli pokrył atramentem całą powierzchnię woskowego odcisku. Gdy wszystko było już gotowe, szybkim ruchem odwrócił wosk i przyłożył go do papieru. Docisnął dłonią i po chwili odkleił papier, na którym zostały wyraźne, jasne linie pisma barbaskiego. Podskoczył, przewracając krzesło i strasząc ptaki. Po chwili jednak wyraźnie posmutniał.

– Nie znam tego języka... – Huknął pięściami w biurko.

– Kolejne wiadomości od Kelera, wasza miłość. – Uczony Mytel wyciągnął z kieszeni kilka zwitków.

– Co tak dużo? – burknął król Kunglin, zgarniając kartki z dłoni. – Znikaj mi z oczu!

Członek Akademii oddalił się pokornie i złapał za klamkę pokrytą drobnym bursztynem.

– Stój! – dobiegł go krzyk króla.

– Tak, wasza miłość? – Odwrócił się.

– Co to jest? – Król przesunął jeden z listów w jego stronę.

– To... – Uczony podniósł kartkę papieru i przyglądał się jej przez chwilę. – Jeśli się nie mylę, to jest to odcisk jakiegoś tekstu po barbasku.

– Po co on to przysłał... – Kunglin przeglądał pozostałe zwitki. – Jest coś tutaj.

Do wiadomości dołączam odcisk listu, który Pandey napisał po kryjomu i wysłał też po kryjomu, nie wiem jeszcze do kogo. Listy do kraju wysyła oficjalnie.

– Nie mógł napisać, co w tym liście było! – Kunglin wyrzucił kartkę, którą odczytał.

– Podejrzewam, że nie zna barbaskiego i dlatego...

– Pocztowy i nie zna języków?! – Król poczerwieniał na twarzy. – Czytaj, co tam napisano!

Do Abdasa Tanahaya

Wszystko idzie zgodnie z założeniami. Przygotuj formacje na koniec jesieni. Następną wiadomością będzie rozkaz ataku.

P.

– Szykuje atak?! – Kunglin zerwał się z krzesła, ale po chwili usiadł. – Czekaj... Sprawdźmy, co pisze w innych. – Przeglądał przez chwilę pozostałe wiadomości. – Barbas szykuje grubszą intrygę. Vizey prosi tego

młodego, żeby księżę mógł zostać na zamku i niby uczył się życia zachodu, żeby wzmocnić sojusz, a z drugiej strony szykują atak? Oni tę naszą małą intrygę rozbudowali do niebotycznych poziomów.

– I co teraz, wasza miłość? – zapytał Mytel, wykorzystując chwilę przerwy w słowotoku króla.

– Trzeba sprawdzić, co oni kombinują, tylko jak to zrobić... – Zamyślił się, patrząc w okno. – Mam pomysł... Trzeba będzie się skontaktować z Immą. – Machnął dłonią. – Leć po papier, napiszę wiadomość do niej, a Keler musi jakoś ją do niej dostarczyć.

Dźwięk wioseł uderzających o taflę spokojnego Morza Zachodniego niósł się daleko w jasną noc, a rozgwieżdżone bezchmurne niebo sięgało aż po horyzont. Żeglowanie latem po Morzu Zachodnim było z jednej strony fantastycznym przeżyciem, a z drugiej wielką udawką. Brak sztormów, przepiękne widoki i spokój pomagały w prowadzeniu statku, ale z drugiej strony wiatr cichł niemal zupełnie. Wioślarze nienawidzili lata, bo wtedy musieli się najwięcej napracować.

Kapitan Imma Vatkrieg nie zmieniała swoich planów bez względu na porę roku. Dlatego właśnie teraz pływali w okolicach Werdgwaldu, manewrując przy wyspach w poszukiwaniu statków handlowych, które można by było okraść. Nie mieli wiele szczęścia, bo spotykali tylko łodzie rybackie, a z nich nie było żadnego zysku. Imma liczyła na to, że spotka statek płynący z okupem do Erskinu, ale wiedziała, że to bardzo mało prawdopodobne. Żegluga śródlądowa była zdecydowanie bardziej bezpieczna i była przekonana, że wybiorą właśnie tę drogę.

– Pani kapitan! – Tyt wystawił łeb z włazu. – Wioślarze pytają, czy długo będziemy tutaj tak krążyć.

– Nie aż tak długo, żeby mieli prawo marudzić – burknęła. – Wyłaż stamtąd, durniu, i zarządz zmianę kursu. Płyniemy na północ.

– Aye! – Wyskoczył z dziury i zaczął pokrzykiwać na krzątających się przy linach piratów.

Imma wspięła się na liny i popatrzyła w stronę brzegu na majaczące w oddali światła miasta Myrdinas. Nie mogła spokojnie spać, więc nawet nocami przesiadywała na mostku. Lubiła poczucie władzy, które dawało jej bycie kapitanem pirackiego statku, ale z drugiej strony bardzo pociągało ją to, co w sobie odkryła niedawno. Zastanawiała się, co by było, gdyby zeszała na ląd i dała się poślubić jakiemuś szlachcicowi, a może nawet księciu. Jej marzenia przerwał Tyt, który zeskoczył z liny tuż obok niej.

– Jaki kurs, pani kapitan? – zapytał.

– Północ, powiedziałam już – odparła nieobecny głosem. – Zatrzymamy się gdzieś w okolicach Finlinu, między ujściem dwóch rzek. Tam musi się trafić coś ciekawszego do roboty niż straszenie rybackich łódeczek.

– Aye! – Już miał odejść, ale się zatrzymał. – Chodzą słuchy, że pani kapitan ma więcej prywatnych spraw niż pirackich do załatwienia, i załoga uważa, że przez to nie zarabiamy.

– Dzięki moim prywatnym sprawom jeszcze nas nie powiesili za piractwo, Tyt, i oni to doskonale wiedzą. – Patrzyła na oddalające się wyspy archipelagu Werd. – Znajdź mi statek na tym gładkim morzu, to zarobimy. – Spojrzała na niego wściekle. – Wszystko, co się da, wożą rzekami i lądem, jak każdego lata. Tym razem jest jeszcze gorzej. Spróbujemy bliżej ujścia rzek bardziej na północy, a jak tam nic nie będzie, to wybierzemy się na Morze Północne. Nie odpuszczę, więc możesz przekazać tym darmozjadom, że będą machać wiosłami, dopóki im nie powiem, żeby przestali, a jak któryś ma z tym problem, to załatwimy to jak przystało na piratów, jasne?!

– Tak, pani kapitan, ja...

– Odejdź stąd, Tyt – mruknęła zirytowana. – Nie mam ochoty spędzać nocy z takim parszywym grzybem jak ty. – Odwróciła się w stronę pełnego morza.

– Aye! – Biegiem ruszył z mostka, bo doskonale wiedział, że lepiej nie denerwować Immy. Kiedy był już na schodach, tuż przed nim wylądowała ledwie żywa mewa. Aż podskoczył spłoszony. Zdołał jednak opanować się na tyle, żeby podnieść bezbronnego ptaka. Wrócił na mostek.

– Mówiłam, że nie chcę cię oglądać! – warknęła, gdy tylko usłyszała jego kroki.

– Tak, wiem, ale pani kapitan... Przyleciał ptak z listem...

– Jak on nas tutaj znalazł... – Jęknęła. – Wyciągnij listy i zabierz stąd to ptaszysko.

Pirat bez słowa wyciągnął zwitek z woreczka przyczepionego do nogi mewy, podał go Immie i zniknął, zajmując się swoimi obowiązkami. Kobieta zeszła do swojej kajuty, zapaliła świecę i rozwinęła list na biurku. Gdy tylko usłyszała o ptaku z listem, wiedziała, kto jest nadawcą.

Nie było łatwo cię znaleźć, jak zwykle, ale ojcu się nie odmawia.

K.

Pogniotła kartkę i rzuciła ją do popielniczki. Odetchnęła głęboko i sięgnęła po drugi zwitek, nieco dłuższy.

Do I.V.

Mój informator dowiedział się, że Barbas planuje zaatakować Erskin na koniec jesieni. Ich intryga staje się coraz bardziej rozbudowana. Dowiedz się, czy te informacje są prawdziwe. Musisz popłynąć do miast na północy Barbasu, ewentualnie do Ujary i Jaramu, i wy badać, czy nastąpiła tam mobilizacja wojsk. Sprawa jest priorytetowa, więc musisz się pośpieszyć. Wszystkie ustalenia wysyłaj tam gdzie zawsze. Byle szybko!

K.B.

Ten list przeczytała jeszcze dwa razy, a potem dorzuciła do popielniczki i zapaliła jej zawartość. Odsunęła krzesło od biurka i przeciągnęła się mocno. Zerknęła na mapę rozwieszoną nad biurkiem, zmrużyła oczy.

– Nie ma szans, żeby tam dopłynąć... – Westchnęła. – Ale muszę spróbować, inaczej po nas.

## Rozdział XVII

Hex stał w drzwiach, wpatrując się w skrybów machających piórami i kapłanki przechadzające się wokół nich. Przy kilkunastu drewnianych stolikach siedzieli śniadzi pisarze, którzy na polecenie nowego władcy przepisywali to, co Hex wraz z kapłankami chciał przekazać ludności na temat religii Sag Bas. Ubrane w białe, niemal przezroczyste stroje wojowniczkę pilnowały, by skrybowie pisali dokładnie i czytelnie, żeby żadne ważne słowo nie zostało pominięte czy przekręcone.

Przez tygodnie, które minęły od przejęcia władzy w Tolimurai, udało im się stworzyć kilkaset ksiąg. Każdy nowy egzemplarz zaakceptowany przez którąś z kapłanek od razu wysyłano do kolejnego miasta. Miejscy rajcy byli zmuszeni przez Hexa do przekazywania tej wiedzy i sprawdzania, czy wszyscy mieszkańcy stawiają się na prelekcjach. Tych, którzy nie przyszli, Hex odwiedzał w myślach, nie zabijał ich jednak, ale łamał ich psychikę. Marnował na to dużo czasu i energii, ale w każdym mieście wystarczyło złamać tak kilka osób, a frekwencja na lekcjach od razu się poprawiała. Uczył się wywierać wpływ na tłum i dzięki temu zyskiwał bardzo oddanych zwolenników w coraz dalej położonych rejonach.

– Niedługo będą mogli pisać te księgi z pamięci. – Juvi podeszła do niego.

– To bez znaczenia – odparł, nie patrząc na nią. – I tak trzeba ich pilnować. Za dużo energii tracę na zachęcanie ludzi do słuchania lekcji, żeby siedzieć jeszcze w ich głowach i sprawdzać, czy wszystko przepisują jak należy.

– Jasne, dziewczyny dobrze sobie radzą w tej roli. Wybrałeś już kogoś do rządzenia w twoim imieniu?

– Owszem, wybrałem, ale to nie ma wielkiego znaczenia...

– A co ma znaczenie, chłopcze? – Była coraz bardziej zirytowana tym, jak się do niej zwracał.

– Zadanie, które powierzyłem Ahdze. – Wreszcie spojrział jej w oczy. – Porozmawiamy o nim po zachodzie słońca, w łaźni. Wracaj do skrybów.

Odszedł, zamykając za sobą drzwi do królewskich sypialni. Przy ścianie została zde gustowana Juvi, zastanawiając się, czy ktoś nie zabił dzieciaka pod jej nieobecność i nie podszywa się pod niego, bo zupełnie go nie poznawała. Talenty, które miał Hex, były jednak nie do podrobienia. Zrezygnowana pokiwała głową i wróciła między stoliki.

Tym razem to Hex czekał na swoje kapłanki, pływając się w gorącej wodzie. Oparł się o krawędź basenu i leżał z zamkniętymi oczami. W myślach podróżował od miasta do miasta, od osoby do osoby i sprawdzał, czy jego nauki są odpowiednio przekazywane. Usłyszał cichy plusk, poczuł niewielką falę uderzającą o klatkę piersiową i otworzył oczy. Zobaczył wchodzącą do wody Iv. Jej włosy do ramion kleiły się do wilgotnej szyi, a schodząc po schodkach, zmysłowo poruszała biodrami.

– Jestem pierwsza? – zapytała, zanurzając się.

– Na to wygląda – odparł.

– Powiesz mi, o czym dokładnie chciałeś z nami rozmawiać, zanim reszta przyjdzie? – Oparła się o krawędź tuż obok niego.

– Poczekamy. – Omiótł wzrokiem jej ramiona. – Musicie to usłyszeć jednocześnie.

– Dla mnie nie zrobisz wyjątku? – Przejechała palcem po jego bicepsie.

– Nie ma takiej potrzeby. – Wskazał głową nadchodzące Mossę i Juvi.

Dziewczyny szybko wsunęły się do wody, unikając wzroku Hexa. Juvi spojrzała na niego wściekle, widząc jedną z kapłanek prawie przyklejoną do jego nagiego ciała.

– Nie przeszkadzamy? – zapytała rozgniewana.

– Właśnie na was czekamy. – Hex uśmiechnął się, co ostatnio nie zdarzało mu się zbyt często. – Chciałem z wami porozmawiać o historii Tolimuraj i Yelayinu.

– To będzie jakaś lekcja? – zapytała Mossa.

– Myślę, że doskonale o tym wiecie, ale nie zaszkodzi przypomnieć. Jeszcze kilkanaście lat temu Tolimuraj i Yelayin były jednym krajem. Problem polegał na tym, że Tolimuraj wykorzystywało Yelayin, ciągnąc stamtąd surowce. Jak dobrze wiemy, Yelayin było krajem zamieszkanym głównie przez chłopów. Elity były tam tylko po to, by sprawować nad nimi władzę i pilnować dobrych zbiorów. I chłopci, widząc, w jakim dobrobycie



mieszkają ich nadzorcy i ile zarabiają za sprzedawanie plonów, coraz bardziej się irytowali, jeśli można to tak nazwać.

Kobiety siedziały w wodzie wokół niego i słuchały jego niskiego głosu zaciekawione.

– Sami przecież pracowali całe dni, a mieszkali w chatach, które zimą mogli ogrzewać tylko zaschniętym krowim łajnem, bo na nic innego nie było ich stać. Nie mogli jeść tego, co zebrali, tylko to, co zostało im przydzielone przez zarządcę. Dostawali tylko tyle, by mieli siłę pracować. Ogromne farmy, które pozakładano w Yelayinie, utrzymywały cały kraj. Zauważyłyście po drodze, że wsie wyglądają na nowe?

– Tak, właśnie to mnie zdziwiło – odpowiedziała Iv.

– To dlatego, że budowano je dopiero po powstaniu. Wcześniej nie było po tej stronie żadnych rolników. Wsie w Yelayinie wyglądają zupełnie inaczej. Tam wieś składała się zazwyczaj z willi, w której mieszkał pan z rodziną, oraz kilku do kilkunastu długich baraków zamieszkiwanych przez chłopów. Oni nie byli niewolnikami, ale ze względu na swoje urodzenie nie mogli robić nic innego. Było to straszne życie, ale pewne. Jednak pewnego roku wiosną, po roztopach w górach, Kolima wylała, zalewając ogromną część terenów uprawnych. Potem latem było tak gorąco i sucho, że uprawy, które przetrwały powódź, wyschły. Czy to oznaczało głód w Tolimuraj? Nie, moje kapłanki, to oznaczało głód wśród chłopstwa. Miasta w Tolimuraj odczuły powódź i suszę wzrostem cen, ale nie brakiem towarów. Niestety chłopom zmniejszono przydziały do tego stopnia, że musieli pić wywar z liści drzew, jeść zupę z trawy, wyjadać robaki z ziemi... – Zawiesił głos na chwilę i zauważył, że nawet Juvi słucha go z zapartym tchem. – Głód spowodował falę zgonów. Chłopi wreszcie nie wytrzymali i w mieście Aneti wzniesiono powstanie. Nigus poderwał swoich kompanów i obalili zarządcę. Wyrznęli całą jego rodzinę i przejęli kontrolę nad zapasami żywności. Kiedy wieść rozeszła się po kraju, a na to, jak wiecie, nie trzeba długo czekać, w kolejnych farmach zarządcy padali pod ciosami motyk, siekier i kos. Po latach wyzysku chłopci nie mieli litości i choć osłabieni głodem ginęli równie często, to postawili króla Tolwiego w bardzo trudnej sytuacji. Król zebrał całe swoje wojsko i wyruszył stłumić powstanie. Jednak jak to zwykle bywa z sytym i głodnym, to ci drudzy walczyli z większym zacięciem. W dodatku nie wszystkie rody chciały się angażować całą swoją mocą w walkę, a żołnierze, którzy poszli na front, byli zbyt pewni siebie. Widząc szarżujący motłoch, uzbrojony w to, co

leżało pod ręką, śmiali się i przekładali miecze do słabszej ręki. Na początku armia wjechała do Yelayinu błyskawicznie. Zdobywali teren, odbijali kolejne wioski, ale wreszcie Nigus pomyślał i zmienił strategię. Zaczęli walczyć nocami, atakować mniejsze jednostki i Tolvi nakazał wycofanie się do twierdzy Ellatiku. Armia robiła wypadki do Aneti i do innych wsi, ale kończyły się one zaskakującymi porażkami. Nie wiedząc, co począć dalej, Tolvi przyznał Yelayinowi niepodległość, zrzekając się praw do tego terytorium. Ustalił odgórnie granice, zamknął ją na głucho i ustawił wzdłuż nich patrole, a w Ellatiku cały czas utrzymywany jest wielki oddział armii. Barbas i Ujara, jako sojusznicy Tolimurai, również zamknęli swoje granice i zablokowali możliwość handlu. Skończyło się tak, że Nigus i chłopcy wywalczyli wolność, ale dalej żyją w biedzie.

– Nie mieli szczęścia, ale po co nam to wszystko opowiedziałeś? – zapytała najstarsza kapłanka.

– Opowiedziałem wam tę historię, ponieważ pierwszym krokiem będzie wyprawa do Yelayinu. – Patrzyły zaskoczone. – Udamy się na podbój Yelayinu. Zaproponujemy im dołączenie do naszej sprawy dobrowolnie albo zaatakujemy całą potęgą Tolimurai – mówił spokojnie.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Że chwilę po objęciu władzy rozkażesz ludziom iść na wojnę? – Juvi z każdym słowem mówiła głośniejsze. – Że wrócą na teren, z którego ich wyrzucono? Na którym przegrali z bandą chłopów?

– Tak, dokładnie tego oczekuję. – Hex spojrzał jej w oczy. – Właśnie w ten sposób działają ludzie. Zemsta ich napędza. Poprzedni król nie był w stanie pokonać bandy chłopów, która wyrzuciła ich przyjaciół, rodziny... Będą chcieli się zemścić, a ja dam im ku temu możliwość. Poprowadzę ich do tego i oni mi uwierzą, pójdą za mną, a wiesz dlaczego? Ponieważ widzą, że zmieniła się nie tylko figura na tronie, ale również sposób, w jaki kraj funkcjonuje. Pójdą za nami i za Sag Bas ze względu na rodzącą się w nich wiarę w słuszność tej sprawy, ze względu na zemstę, na chęć zdobycia moich względów, bo się mnie boją. Tak działa ludzka natura, moje kapłanki, oni będą chcieli stać się moimi przyjaciółmi, by ugrać coś dla siebie i swoich rodzin. Nie wiedzą jednak, że w Sag Bas nie ma na to miejsca. Nie muszą wiedzieć o tym już teraz, a my wykorzystamy ich wrodzoną chęć trzymania się blisko władzy do rozszerzenia wpływów Sag Bas.

– A nie możesz im nakazać w myślach, by dołączyli do nas? – Mossa przerwała ciszę.

– Pewnie bym mógł, ale nie zrobię tego. – Hex starł krople wody z czoła.

– To, że potrafię w taki sposób zwyciężać, już wiadomo. Teraz musimy pokazać światu, że nie jestem tylko cudakiem potrafiącym wchodzić ludziom do głowy, ale normalnym władcą. Takim, za którym tłumy pójdą w bój.

– Rozumiem, o co chodzi – odezwała się pierwszy raz od początku rozmowy Ahga. – W Azu pokazywanie siły odbywa się głównie przez walkę, chociaż czasami wystarczy tylko wystawienie wojsk. Można powiedzieć, że Hex wojska już wystawił, przejmując władzę umysłem, a teraz czas na próbę walki.

– Ale mówiłeś, że damy im szansę przyłączenia się do nas pokojowo... – wtrąciła nieco nieśmiało Tia.

– Dam, ale nie skorzystają z niej – odparł, obracając się w jej kierunku.

– Dlaczego? – zapytała.

– Dlatego, że niedawno przelali mnóstwo krwi, żeby zdobyć wolność i niezależność. My proponujemy im przyłączenie się do nas, wyzbycie swoich władz, swojej religii i stanie się znowu zależnym od kogoś innego. Nie pójdą na to, będą woleli zginąć, niż utracić wolność.

– Też tak uważam – dodała Ahga. – Powinniśmy dać jasny sygnał.

– A jeśli nie zwyciężymy? – odezwała się Juvi.

– Zwyciężymy, dopilnuję tego. – Minął je i wszedł na schodki.

Plac przed pałacem oświetlono pochodniami do tego stopnia, że było niemal tak jasno jak w dzień. Kapłanki stały za czerwonym fotelem z wysokim oparciem, a przed nimi w dwuszeregu stało kilkudziesięciu mężczyzn ubranych w różnokolorowe stroje. Byli w różnym wieku, niektórzy mieli siwe brody i zmęczone oczy, inni – dopiero załóżki zarostu i młodzieńczą werwę. Hex chodził wśród nich, patrzył im prosto w oczy i muskał ich psychikę. Czuł strach i niepewność, dokładnie to, czego się spodziewał. Zatrzymał się mniej więcej pośrodku, dłonie zawiesił na połach kamizelki i zabrał głos.

– Żołnierze, dziękuję serdecznie za to, że szybko zjawiliście się na rozkaz. Widzę, że wśród was jest wielu starszych mężów, i domyślam się, że to właśnie wy pamiętacie walki z Yelayinem, zgadza się? – Okrzyk potwierdził jego przypuszczenia. – Domyślam się również, że młodzież, którą tutaj widzę, musiała zostać awansowana ze względu na straty

poniesione w tej wojnie. Straciliście tam zatem towarzyszy broni, przyjaciół, braci i ojców, a co z tym zrobił król Tolvi? Nic z tym nie zrobił, zamknął granicę i udawał, że nic się nie stało. Zabrał wam możliwość pomszczenia bliskich. Zgodnie z naukami Sag Bas, których przecież pilnie się uczycie, najważniejsza jest równowaga. A co równoważy ból po stracie? Zemsta. Właśnie dlatego wezwałem was tutaj, jako dowódców garnizonów, by przedstawić wam rozkazy. Ahgo! – wezwał kapłankę. – Ta oto kobieta będzie głównym dowódcą wojsk Tolimurai i każdy z was będzie bezpośrednio jej podlegał... – Parsknięcie dobiegło do uszu Hexa gdzieś z końca szeregu. – Czyżby któryś z was wątpił w umiejętności mojej kapłanki? – zapytał, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Poszedł zatem w stronę, z której dźwięk dobiegł, i zatrzymał się przed wysokim i barczystym młodym żołnierzem. Mężczyzna miał śniadą cerę, długie kręcone włosy i czarną brodę. Wzrostem i mięśniami tylko trochę odstawał od samego Hexa i zdecydowanie wyróżniał się na tle innych wojów. Miał na sobie czarny mundur z czerwonymi pasami po bokach, a przy pasie długi zakrzywiony miecz.

– Jak masz na imię, żołnierzu? – zapytał, a z mężczyzny uciekła pewność siebie.

– Deunyh, wasza miłość – odpowiedział niepewnie.

– Deunyh, widzę w twoich myślach, że gardzisz moją kapłanką i uważasz ją za niegodną dowodzenia armią Tolimurai. – Hex powstrzymał gestem jego zaprzeczenia. – Ponadto uważasz, że ty nadawałbyś się bardziej na dowódcę. Uważasz, że jesteś najlepszym wojownikiem, jaki żyje w Tolimurai. Dlatego dam ci szansę, Deunyh. Wystąp teraz z szeregu, doładź swojej broni i stocz pojedynek z Ahgą. – Szmer rozszedł się wśród zebranych. – Jeśli wygrasz, zostaniesz dowódcą, natomiast jeśli przegrasz... No cóż, okaże się. Czy podejmiesz wyzwanie?

– Nie walczę z kobietami, wasza miłość. – Żołnierz uciekał wzrokiem.

– Odmawiasz walki, mimo że cię o to proszę? – Delikatnie ścisnął mu umysł, wysyłając sygnał myślowy.

– Nie, wasza miłość – odparł z grymasem na twarzy.

– Wspaniale, wystąp zatem. – Hex odpuścił i spojrzał na Ahgę. – Będzie to walka na śmierć i życie.

Czarnoskóra Azuanka dobyła dwa sztylety i ustawiła się w pozycji do walki. Żołnierz wyszedł z szeregu, wyciągnął z pochwy zakrzywiony miecz zwany Muri i zaczął wykonywać młynki, przerzucając sobie przy tym

miecz z ręki do ręki. Podrzucił swoją broń, chwycił ją muskularną prawą ręką i niemal w wyskoku spróbował ciąć przeciwniczkę od góry. Ahga bez najmniejszego wysiłku usunęła się na bok, unikając ostrza, które skrzesało iskry na bruku. Kapłanka obróciła się i zawirowała, wyciągając ostrza przed siebie. Zaskoczony żołnierz nie zdążył nawet podnieść miecza, by się zasłonić, a obydwie Kati przecięły skórę na jego ramieniu. Spojrzał na krew sącząca się z okolic łokcia i uśmiech rozciągnął się na jego twarzy. Chwycił swoją broń mocniej i skierował kroki w stronę kapłanki. Postawił prawą stopę, potem lewą i padł na bruk. Na ramieniu Ahgi pojawiła się mała stróżka krwi wywołana mocą Kati.

– Dlatego właśnie to Ahga zostanie dowódcą, a nie żaden z was – odezwał się Hex. – Przygotujcie oddziały do wymarszu na Yelayin. – Okrzyki odpowiedziały mu na ten rozkaz. – Wróćcie teraz do swoich okręgów i przygotujecie całą ich potęgę do walki. Macie na to dwa tygodnie. Punktem zbornym dla naszej armii będzie twierdza Ellatiku. Możecie dołączać po drodze, możecie udać się od razu na miejsce. Sprawdzę to, a jeśli ktoś odmówi pomocy, skończy tak jak Deunyh. – Spojrzał na ciało żołnierza leżące na brukowanym placu i dodał: – Każdy dzień jest na wagę życia. Rozejść się!

Odwrócił się na pięcie i ruszył powolnym krokiem w kierunku pałacu. Szum za nim świadczył o tym, że żołnierze w pośpiechu opuszczają plac. Kapłanki dopadły do niego, ale dopiero wewnątrz odezwał się do nich.

– Słucham was, moje kapłanki. – Uśmiechnął się uprzejmie.

– Dwa tygodnie?! – warknęła Juvi. – Dwa tygodnie?!

– Przecież miałeś dać im szansę pokojowego dołączenia... – Tia spojrzała na niego z wyrzutem.

– Spokojnie. – Położył dłonie na ich ramionach. – Dwa tygodnie to odpowiedni termin. Wojska zdążą wyruszyć, a jeśli Yelayin zaskoczy mnie i zrezygnuje z wolności, to zdążą też wrócić do domów. Ja zawsze dotrzymuję danego słowa, dlatego proszę was, żebyście napisały jak najbardziej przekonujący list, który wyślemy razem z księgą o Sag Bas do stolicy sąsiedniego kraju. Damy im również stosowny czas na odpowiedź – powiedział i ruszył do swojej sypialni. – Jutro rano przeczytam, co napisałyście. Dobrej nocy.

Zostawił je z szeroko otwartymi oczami i zniknął za drzwiami do królewskich sypialni. Zamykając je, zdążył usłyszeć gorącą dyskusję, jaka rozpętała się między kapłankami.

Hex otworzył oczy i poczuł wyraźne zmęczenie. Mimo tego, że dopiero się obudził, miał ciężką głowę. Dopóki starczyło mu energii, odwiedzał umysły żołnierzy, którym wydawał rozkazy i u których wyszukiwał oznak sprzeciwu. Nie znalazł wielu takich, ale pojedyncze czarne owce musiały się trafić. Jakież było ich zdziwienie, gdy w głowach, z dala od pałacu, usłyszeli ten sam głos. Nowy władca wytłumaczył im, co grozi za nieposłuszeństwo raz jeszcze, tym razem bardziej dobitnie. Drobnym ucisk mózgu wystarczył, by mężczyźni dowodzący całymi oddziałami żołnierzy pokładali się w piach w konwulsjach.

Wygrzebał się z pościeli i wyszedł ze swoich komnat. Przechadzał się po korytarzach w pałacu w poszukiwaniu swoich kapłanek i znalazł je wszystkie już w pierwszej sypialni. Widok, który ujrzał, szczerze go rozbawił. Pięć najpotężniejszych na świecie kobiet spało w przedziwnych pozycjach, były rozłożone w całym pokoju. Juv i Mossa leżały, stykając się plecami na łóżku. Tia kimała oparta o ścianę przy biurku, obok jej nóg rozłożona niczym rozgwiazda spała Iv. Ahga z kolei leżała na dużym stole ustawionym w komnacie.

Hex po cichu podszedł do tego stołu i zobaczył, że blat przykrywa sterta kartek. Odsunął sobie krzesło i usiadł, sięgając po list leżący na szczycie sterty, jedyny napisany niezwykle starannie i bez żadnych kleksów i skreśleń.

Do Nigusa, Wodza kraju Yelayin

Szanowny Wodzu, jeśli jeszcze nie dotarła do Ciebie wieść o tym, że król Tolvi został zabity, to informuję, że zrobiłem to własnoręcznie. Od tego momentu to ja, Hex, jestem władcą Tolimurai. Jestem też przywódcą kultu Sag Bas, o którym opowiada księga dołączona do tego listu. Jednak by było jasne, czego tyczy się ta wiadomość, muszę wspomnieć o tym, że Sag Bas jest religią dążącą do jedności i równowagi. Dlatego by postawić kolejny krok w dążeniu do zjednoczenia świata i podarowania mu możliwości powrotu do złotego okresu przed rozbiciem na państewka i panowaniem sztucznych bóstw, Sag Bas musi zostać przyjęta na terenach poza Tolimurai. Przez długą zażyłość historyczną postanowiłem rozpocząć dzieło od terytorium Yelayinu.

Księga dołączona do listu zawiera podstawowe nauki i dogmaty Sag Bas i jest podstawą jej nauczania. Warunkiem jest to, byście nauczali codziennie na placach miast i wsi, udział w naukach jest obowiązkowy. Moje umiejętności są wystarczające, by skontrolować, czy przestrzegacie

tego warunku, a konsekwencje za jego złamanie będą dosadne. Drugim warunkiem jest wyrzucenie z granic swojego kraju czerwonej religii. Wszyscy kapłani Ret muszą zostać wypędzeni, a jakiegokolwiek praktyki związane z Ret zostaną zakończone. Trzecim warunkiem jest przekazanie mi władzy nad krajem.

W księdze napisano, że przejęcie władzy jest czasowe, do momentu objęcia całego świata wpływem Sag Bas. Proponuję zatem, byś oddał władzę dobrowolnie. W przeciwnym razie armia Tolimurai przejmie władzę w kraju siłą. Oczekuję na odpowiedź.

Król Hex, Władca Tolimurai, Najwyższy Kapłan Sag Bas

Wstajemy! – wysłał wiadomość wprost do ich jaźni.

Po chwili zaczęły kręcić się i otwierać oczy. Pierwsza na nogi zerwała się Ahga, która chciała od razu sięgnąć po sztylet.

– Spodobała ci się walka, co? – zapytał. – Ale lepiej nie wyciągaj broni, tylko pióro. Trzeba będzie trochę ten list poprawić.

– A co chcesz w nim zmienić? – Juvi usiadła na łóżku.

– Zaczniemy od tej zażyłości historycznej. – Wskazał palcem na kartce. – Błąd, oni przecież od tej zażyłości chcieli uciec, stąd powstanie. Zamienimy to zdanie. Ze względu na zmianę złej polityki króla Tolwiego to od najbliższych sąsiadów i przyjaciół chcę zacząć drogę ku lepszemu światu. Tak brzmi bardziej zachęcająco. Do warunków trzeba dopisać, jakie konsekwencje zostaną wyciągnięte – ciągnął.

– A to ich nie odstraszy? – Iv przeciągała się jeszcze.

– Przestraszy i upewni w tym, że nie ma z nami żartów. – Hex śledził wzrokiem tekst. – Na pewno to przemyślą, bo uświadomią sobie, że nie da się ominąć kary za niewykonanie polecenia.

– I jakie te konsekwencje zapisać? – Ahga siedziała z piórem w dłoni.

– Tortury i śmierć, to samo co spotkało niechętnych Sag Bas Tolimurajczyków. Sag Bas jest równa dla każdego. – Uśmiechnął się. – Wyrzucamy też fragment o tym, że oddanie władzy jest tymczasowe. Jest to napisane w księdze, więc się o tym dowiedzą tak czy inaczej. I to zdanie o przejęciu władzy siłą jest takie... suche. – Wstał z krzesła i przechadzał się po pokoju. – Trzeba to zapisać bardziej kwiecicie. Jeśli nie oddasz władzy dobrowolnie, cała potęga armii Tolimurai zaleje twój kraj i sprowadzi na niego niespotykane cierpienia. Nie, nie, nie, to za mocne. Tylko dobrowolne przekazanie mi władzy uratuje obywateli Yelayinu przed cierpieniami wojny. Armia Tolimurai, rządna zemsty za niedawną wojnę,

prowadzona przeze mnie i kapłanki Sag Bas, jest gotowa do walki. Tym razem wojna zakończy się ostatecznie. Nikt nie stchórzy tak jak Tolvi. Oczekuję na decyzję, wodzu Nigusie. Przesyłam wyrazy szacunku. – Klasnął w dłonie. – O! Tak zakończymy list. Bardzo dobrze się spisałyście... – Zawiesił głos. – Napiszcie jeszcze, że oczekuję na odpowiedź niezwłocznie. Każdy list idzie przez Ellatiku, więc nie ma zagrożenia, że się miniemy w drodze.

Pożegnał je uśmiechem i wyszedł z sypialni, zostawiając za sobą zmieszane kapłanki. Kobiety spoglądały na siebie pytającym wzrokiem, ale żadna z nich nie wiedziała, co powiedzieć.

– Czy tylko mi się wydaje, że decyzja o ataku została już podjęta i odpowiedź Nigusa nie ma żadnego znaczenia? – Ciszę przerwała dopiero Tia.



## Rozdział XVIII

Król Kastil kręcił się na tronie, nie mogąc znaleźć wygodnej pozycji. Korona ciążyła mu na głowie, podobnie jak sprawy, z którymi mieszkańcy przychodzili na audiencję. Przyglądał się tłumowi. Widział przekrój całego społeczeństwa mieszkającego w Erskinie, ale jego uwagę przyciągnęły bardziej dwie rzeczy. Wiedział, jak nudne są te spotkania, a mimo to Pandey siedział gdzieś na uboczu i przysłuchiwał się im. Z jednej strony miał się uczyć zachodnich standardów, ale było to niespotykane, by z własnej woli ktokolwiek chciał uczestniczyć w audiencji. Jednak jeszcze bardziej zastanawiające było to, że gdzieś tam w cieniu, pod ścianą kręcił się ten dziwny pocztowy.

Z rozmyślenia wybił go kolejny obywatel wywołany na audiencję. Był to drwal pracujący w puszczy zajmującej wschód Erskinu i graniczącej z Barbasem. Był wysoki i miał szerokie plecy, w lewej dłoni brakowało mu dwóch palców. Ubrany był skromnie, choć widać było, że nie był to strój do pracy. Miał brązowe wąskie spodnie, wysokie buty ze skóry i czarną kapotę zapinaną na drewniane kołeczki. Jego włosy nie były jeszcze siwe, ale twarz wyglądała na doświadczoną życiem. Przyklęknął przed podestem tronowym i zerkając niepewnie na Kastila, zaczął mówić:

– Wasza miłość, przyjechałem spod granicy... – Drwal gniótł w dłoniach kapelusz. – Rajcy miast rozkładają ręce, ale tak źle to jeszcze nie było... Rozchodzi się o to, wasza miłość, że ostatnimi czasy drewna od nas Barbas nie chce kupować. Ich kupcy nie przyjeżdżają już do naszych granic, a jak już się któryś zjawi, to nasze piękne pieńki chce kupić po cenie jakichś ścinków. Nie możemy im po takiej cenie sprzedać, a też nie możemy nie sprzedać, bo z głodu pomrzemy.

– Kiedy przestali przyjeżdżać? – Przerwał mu król.

– Parę tygodni już będzie, chociaż tak zaraz po koronacji się robiło ich coraz mniej i coraz bardziej się, wasza miłość, targowali. Każdy pieniążek oglądali ze wszystkich stron, a płacić nie chcieli. Jeden z drwali podobnie

słyszał od swojego kolegi, że ktoś mu powiedział, że oni nie chcą kupować teraz drewna, bo na coś czekają...

– Na co? – Kastil przesunął się na krawędź tronu.

– Ano właśnie, wasza miłość, nie wiem. – Drwal rozłożył potężne ramiona. – Pytałem, a jakże, ale on nie wiedział, bo tamten z Barbasu nie chciał powiedzieć.

– Czy chcesz jeszcze coś dodać? – Młody król spojrział w kierunku, gdzie siedział Pandey, ale księcia Barbasu już tam nie było.

– Nic już więcej nie wiem, ale proszę i błagam waszą miłość, w swoim i innych drwali imieniu, żeby coś z tym zrobić, bo zimy możemy nie przetrwać. – Mężczyzna ścisnął czapkę.

– Obiecuję, że zajmę się sprawą. – Król posłał mu serdeczny uśmiech. – Możecie być spokojni. Erskin nie pozwoli swoim obywatelom umrzeć z głodu. Dziękuję, że nam o tym opowiedziałeś.

Audycja ciągnęła się prawie do zmroku, a Kastil wyszedł z sali tronowej wykończony. Opowieści obywateli, którzy potrzebowali jego pomocy, pochłaniały jego uwagę, ale z tyłu głowy cały czas myślał o tym, co powiedział mu drwal. Raz-dwa przebył korytarze, które znał od dziecka, i znalazł się pod drzwiami komnaty Iskela. Zastukał i czekał, po chwili zastukał raz jeszcze, ale głośniejsze. Usłyszał zza drzwi dobiegające stękanie i narzekanie, a zaraz potem otworzyły się drzwi, za którymi ze świecą w dłoni stał Iskel ubrany w długą, brązową koszulę i zerkał na króla zaspanymi oczyma.

– Nie mogło poczekać do rana, co? – zapytał, otwierając szerzej drzwi.

– Wiesz, że nie. – Kastil wszedł do środka. – Słyszałeś, co mówił ten drwal?

– Owszem. – Iskel odstawił świecę na biurko zastawione papierami ułożonymi w równe sterty.

– Sprawa nie jest wesoła, bo Barbas jest głównym odbiorcą naszego drewna i bez ich pieniędzy nasi drwale będą w kiepskiej sytuacji. – Król stukał palcami w blat stołu. – Myślę, że mogą w ten sposób chcieć wymóc na nas obniżenie cen drewna. Teraz nic nie sprzedamy, zima będzie się zbliżała i drwale, żeby mieć jakiegokolwiek zyski, zaczną sprzedawać po dużo niższej cenie niż normalnie. Myślę, że takie rozwiązanie ma sens, ale martwi mnie to, że oni na coś czekają...

– Może właśnie na spadek cen – podrzucił uczonego.

– Tak, zastanawiałem się nad tym i jest to najbardziej prawdopodobne. – Westchnął. – Ale coś mi tutaj nie pasuje...

– Sytuacja jest niespotykana. – Iskel spojrział w twarz królowi. – Żyję na świecie dłużej niż ty, mój królu, i przez te wszystkie lata zdążyłem nauczyć się tego, że król Vizey nie zmienia zdania ot tak. Przez całe swoje panowanie odgradzał się od zachodu, jak tylko mógł. Kupował to, co mu potrzebne, sprzedawał swoje towary i tyle. Żadnej wymiany kulturowej, żadnych odwiedzin, delegacji. Jeśli kogoś z zachodu przyjmował u siebie, to była to krótka i oschła rozmowa, a tymczasem przysłał tutaj swojego syna. Rozmawiałeś z księciem Pandeyem o tej sprawie? – Podniósł siwą brew.

– Nie, jeszcze nie...

– To porozmawiaj koniecznie, ale bardziej niż na jego słowa zwracaj uwagę na jego zachowanie. Przyjrzyj się, czy nie jest bardziej nerwowy, czy nie poci się, nie drżą mu ręce... Jeśli coś takiego zauważysz, to będziemy musieli mieć się bardziej na baczności. – Iskel stuknął pięścią w kolano.

– Co przez to rozumiesz? – zapytał niepewnie Kastil.

– Przyjazd księcia, jedyne go syna króla Vizeya, na koronację był zaskoczeniem, ale to, że on sam poprosił w liście, by Pandey został u nas na zamku i uczył się naszej kultury, jest już podejrzane. – Uczony owinął się szczelniej kocem. – Nie odrzucam tego, że przed śmiercią zmienił się i zrozumiał wreszcie, że izolacja Barbasu od zachodu i oparcie się tylko na kulturze wschodniej zatrzymało rozwój jego kraju, ale jednak bardziej skłaniam się do tego, że coś knuje. Być może kupcy mają czekać na kolejne fazy jego intrygi?

– Przyszedłem po spokojny sen, a wyjdę jeszcze bardziej skołowany. – Kastil przecierał oczy palcami. – Chociaż gdyby się nad tym zastanowić... Ten pomysł z wysłaniem naszych ludzi na ich tereny, by zwiększyć zaludnienie, to zacieśnienie współpracy... To nie pasuje do jakiejś intrygi.

– Zgadza się. – Staruszek uśmiechnął się. – To nie pasuje do jakiejś intrygi, ale muszę ci powiedzieć, mój królu, że Vizey nigdy nie robił jakichś intryg. To zawsze były rozbudowane i zaplanowane spiski, których wykrycie sprawiało ogromne trudności. W pewnym momencie swojego panowania uknuł wyjątkową intrygę, wykorzystując do tego zamieszanie w innych państwach. Wiadomo było od dawna, że Barbas prowadzi politykę mieszania się w sprawy sąsiadów, ale nie byli tak potężni, by robić

to otwarcie. Dlatego kiedy tylko w Tolimuraj wybuchła wojna domowa i biedniejszy rejon Yelayin podniósł powstanie, w sąsiedniej Ujarze biedota również chciała się zwrócić przeciwko wysoko urodzonym. Armia Ujary była zbyt słaba i źle zarządzana. Wtedy sytuację wykorzystał Vizey. Wysłał swoich ludzi przebranych za żołnierzy, by przekonali biedniejszą część armii do dołączenia do powstańców. Kiedy szlachta ujarska była już przerażona tym, że zostanie wyrżnięta w pień, pojawił się u nich sam król Vizey i zaproponował, że wyśle im na pomoc całą swoją armię. W zamian za to chciał tylko, by król Vis oddał swoją królewską koronę, a żołnierze, którzy zasłużą się w boju, otrzymali nadania ziemskie w Ujarze i tytuły szlacheckie. Wyobraź sobie, mój królu, że te grupy żołnierzy z Barbasu, które wcześniej namawiały do przyłączenia się do buntu, teraz nocami wyżywały swoich niedawnych towarzyszy. Powstańcze ogniska były gaszone podstępem i przemocą. Armia Vizeya, która wjechała do Ujary jak bohaterowie, szlachtowała wszystkich, którzy stanęli na jej drodze, paliła wioski, rabowała, i to nawet nie tych, którzy rzeczywiście się zbuntowali, ale każdego, kogo się tylko dało. Szlachta i Vis przerażili się po raz drugi, ale tym razem nic już nie mogli zrobić i zależność między tymi państwami trwa do dziś.

– Sądzisz, że w tym wypadku może chcieć osiągnąć coś podobnego? – zapytał nieco wystraszony Kastil.

– Myślę, że na coś podobnego nie ma teraz szans, ale jakaś intryga... – Staruszek zamyślił się, patrząc w płomień świecy. – Tak, to by było zupełnie w jego stylu. Myślę, mój królu, że dziś w nocy już nic więcej nie uradzimy. Trzeba porozmawiać z naszym gościem. Być może po tej rozmowie będziemy mądrzejsi.

– Nie wiem, czy zdołam zmrużyć jeszcze oczy, ale masz rację. – Kastil podniósł się i udał do drzwi. – Spokojnej nocy, Iskelu.

– Tobie również, mój królu, tobie również. – Uczony uśmiechnął się pocieszająco.

Po prawie bezsennej nocy miał niewielką ochotę na omawianie kolejnych spraw dotyczących zaopatrzenia przygranicznych wiosek i spławiania drewna rzeką. Wysłał na te spotkania Iskela, a sam wyszedł na dach jednej z zamkowych wież. Poranne słońce nie paliło zbyt mocno, a przyjemny wiaterek pozwalał mu w spokoju zebrać myśli. Zaprosił Pandeya na obiad i musiał się do tej rozmowy przygotować. Usiadł na blankach i spoglądał na miasto.

– Kiepska kryjówka, przyjacielu. – Tidur usiadł obok. – Widać cię już z dziedzińca.

– Wiem, ale nie sądziłem, że będzie się komuś chciało włązić po schodach...

– Pamiętam czasy, w których biegaliśmy po tych dachach całe dni. – Młodzieniec zaśmiał się.

– To było lata temu. – Kastil machnął dłonią.

– Tak się wydaje, ale wieczorem myślałem o tym dłużej i wyszło mi, że nie minęło wcale aż tak dużo czasu, jedynie kilka wiosen, przyjacielu – powiedział i zaśmiał się. – Wcale nie jesteśmy aż tak starzy, to ostatnie wydarzenia zmusiły nas do stania się smutnymi dorosłymi...

– Ty nigdy smutny nie byłeś. – Kastil uśmiechnął się.

– Tak to wygląda? Ech, być może. – Westchnął. – Ty za to sprawdzasz się w roli króla.

– Tak uważasz? – Król zdziwił się nieco. – Na razie jeszcze nie miałem okazji nic zrobić, ale chciałbym, żeby za mojego panowania nie było wojen, żeby Erskin wreszcie mógł postawić na rozwój, żebyśmy mogli zainwestować w rozwój techniki. Iskel pokazywał mi książki, w których opisywano wynalazki. Widziałem tam urządzenia pozwalające doprowadzać wodę na piętra, pozwalające rozprowadzać ciepło po całym domu, utrzymując ogień tylko w jednym palenisku... Chciałbym też rozwinąć medycynę. Uczni z Akademii mogliby nauczać zwykłych ludzi w zakresie podstawowej opieki, najczęstszych chorób, porodów...

– Myślę, że się nie zgodzą, przyjacielu. – Tidur błysnął zębami.

– Nie zaszkodzi spróbować. Najpierw muszę rozwiązać inny problem. – Odetchnął. – Przeszedłeś tutaj porozmawiać o czymś konkretnym?

– W zasadzie to tak. Zauważyłem coś i chciałem, żebyś wiedział. – Ściągnął króla z muru. – Zauważyłem, że w czasie, w którym ty wypełniasz obowiązki, twoja koleżanka z Werdgwaldu zacieśnia więzi z naszym wschodnim gościem.

– Z Pandeyem?

– Innego nie ma – odparł z zawadiackim uśmiechem Tidur. – Słuchaj, dwórki macie tutaj bardzo miłe, ale czasem się nudzę i zerkam, co robi Pandey. Jakoś mu nie ufam. Zauważyłem, że gdy tylko ty nagle musisz przerwać spotkanie z Rollo i zająć się czymś innym, to od razu w jej towarzystwie pojawia się on. Spacerują, rozmawiają, jedzą razem. Widać, że ona w jego towarzystwie dużo mówi i chyba miło spędza czas...

– I co w związku z tym? – Kastil obruszył się.

– Nic, zrobisz z tym, co będziesz chciał, ale wydawało mi się, że coś cie z tą dziewczyną łączy, a one mają to do siebie, że idą za tym, kto poświęca im czas... – Ściszył głos. – I poza tym podejrzewam, że dużo jej opowiadasz, a ona nawet zupełnie niechcący może to puścić dalej.

– Muszę iść, obowiązki czekają – burknął Kastil i zniknął w zejściu z dachu.

Tidur chciał jeszcze coś powiedzieć, ale przyjaciel minął go z obrażoną miną, więc nie pozostało mu nic innego, jak rozciągnąć się na blankach w promieniach słońca.

Król Kastil postanowił zaryzykować i kazał przygotować skromny poczęstunek w swojej komnacie, a potem wysłał jednego ze służących z listem zapraszającym Pandeya. Jak dotąd traktował go jak przyjaciela i jako przyjaciela zapraszał go zawsze osobiście. Tym razem chciał wykorzystać swoją przewagę. Wezwał więc księcia sąsiedniego kraju do swojej komnaty, co mogło sugerować zgodnie z obyczajem poważną rozmowę w cztery oczy. Tylko dwie formy wezwania przed oblicze króla były gorsze. Wezwanie na audiencję bez żadnego poczęstunku oraz przywleczenie przed tron przez królewską gwardię.

Przy okrągłym stole ustawiono dwa krzesła. Błat nakryto zielonym obrusem ze złotymi przeszyciami, a na nim ustawiono złotą zastawę, ale poza talerzykami i kielichami stało tam tylko kilka tac z drobnymi przekąskami. Wśród nich były przepiśorne jaja faszerowane kawiozem, kiełbasy z dziczyzny pokrojone w niewielkie plastry, kurze wątróbki zapiekane w miodzie czy zwinięte filety ze śledzi z wielką erksińską borówką wewnątrz.

Kastil, ubrany w idealnie czarny strój, na który składały się spodnie i długa bluza, sięgająca mu do kolan i rozcięta aż do bioder, zerkał na zastawiony stół. Po chwili oczekiwania rozległo się stukanie do drzwi.

– Wejść – powiedział wystarczająco głośno.

W drzwiach stanął młody służący ubrany w czarno-błękitną liberię, skłonił się i zameldował spokojnym tonem.

– Wasza miłość, książę Pandey Gaddar z Barbasu, zgodnie z zaproszeniem.

– Wprowadzić. – Kastil machnął dłonią i przybrał srogą minę.

Do pomieszczenia wszedł ubrany w swój złoty obszerny strój roześmiany książę Pandey. Jednak uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy zobaczył Kastila.

Władca Erskinu siedział sztywno z kamienną twarzą. Skinął lekko głową, widząc gościa, i dłonią wskazał miejsce po drugiej stronie stołu.

– Chciałem z tobą porozmawiać – zaczął mówić od razu chłodnym tonem, przyjmując królewską pozę. – Otóż wczoraj była audiencja, której się przysłuchiwałeś. – Kastil wbijał w niego spokojny, ale nieustępliwy wzrok. – Wśród wielu mniej i bardziej ciekawych tematów podejmowanych przez obywateli Erskinu jeden zwrócił moją uwagę szczególnie i domyślam się, że ty również musiałeś go zapamiętać.

– Byłem tam, ale...

– Ale gdybyś nie słuchał jej zbyt uważnie, to przypomnę, o czym on tam opowiadał. – Widział, jak twarz Pandeya zmienia kolor na dużo bledszy. – Mówił, że kupcy z Barbasu nie chcą kupować drewna z Erskinu, że jeśli już któryś z nich zapuści się za granicę w celu zakupu drewna, to chce je w zasadzie za darmo, oferuje zupełnie nieopłacalną dla drwali stawkę. Wiesz coś o tym?

– Jestem tutaj, w Erskinie, od dłuższego czasu. – Jego głos nie brzmiał tak bez troski jak zawsze. – Być może ojciec zdecydował o czymś, nie informując mnie...

– Wiem, że korespondujesz z ojcem często. – Przerwał mu oschle. – Jestem przekonany, że poinformowałby cię o tak ważnej decyzji, skoro wysłał cię tutaj po nauki i żeby utrwalić nasz sojusz. Takie działania nie zmierzają do utrwalenia sojuszu.

– O niczym mnie nie informował, ale... – Pandey przełknął ślinę. – To są tylko kupcy, mieszkają na pustyni całe życie, oni nie zawsze słuchają rozkazów, może coś sami wymyślili, chcą zagrać na cenach... Ugrać dla siebie coś więcej.

– W kraju rządzonym tak jak Barbas? – Kastil uniósł brew w geście niedowierzania. – Ten drwal wspomniał o czymś jeszcze. Mówił o plotkach, które zasłyszał od waszych kupców. Według drwala mają oni na coś czekać. Na coś, co pozwoli im nie przejmować się cenami drewna ani nawet samymi zakupami. Może o tym mi coś więcej powiesz, przyjacielu? – Na twarzy Kastila nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

– To tylko plotki, ktoś komuś coś powiedział, ktoś powtórzył, ktoś inny źle zrozumiał i przekazał dalej. – Pandey rozłożył ręce. – Naprawdę nie wiem, o co chodzi w tej całej sytuacji. Obiecuję jednak, że wyślę kilka listów do ojca i do osad kupieckich i wyjaśnię sprawę, daj mi tylko trochę czasu. Wiem, że sprzedaż drewna do nas jest dla ludzi z pogranicza

głównym źródłem dochodu, a lato nie potrwa wiecznie, więc załatwię to najszybciej, jak się da.

– Załatwisz? – Ciemna brew króla ponownie poszła w górę. – Zatem jest coś na rzeczy, skoro chcesz rozwiązywać sprawę.

– Nie, nie. – Kropelki potu szklily się na czole Pandeya. – Nie to miałem na myśli. Wyślę listy najszybszymi ptakami, oznaczę, że są pilne, ale sam wiesz, że to może trochę potrwać – mówił nadzwyczajnie szybko.

– Dobrze więc. – Kastil skinął głową. – Idź, działaj i melduj o postępach. Wiedz tylko, że ta sprawa jest bardzo ważna i jeśli nie rozwiąże się sama, wtedy będę musiał interweniować.

– Oczywiście. – Pandey podniósł się, nie próbując nawet jednej potrawy. – Już biegnę pisać listy.

Wyskoczył z komnaty jak poparzony, a Kastil odetchnął ciężko. Do głowy przyszły mu najgorsze myśli i słowa Iskela, że Vizey zawsze coś knuje. Pandey, który nic nie zjadł i chciał coś zrobić w pośpiechu, był więcej niż podejrzany. Młody król również stracił apetyt. Odsunął krzesło i wyszedł z sali, musiał porozmawiać z Iskelem, ale najpierw potrzebował odetchnąć.

– Chodź na spacer. – Kastil pociągnął Rollo za rękę, gdy tylko otworzyła drzwi swojej komnaty.

– Czekaj! Co się dzieje?! – Zatrzasnęła za sobą drzwi. – Wyglądasz na roztrzęsionego.

– Opowiem ci, jak stąd wyjdziemy, szybko. – Kastil ciągnął ją przez korytarz do wyjścia na dziedziniec.

– Dobrze, idę, nie musisz mnie ciągnąć! – Obruszyła się, wyrrywając dłoń z jego uścisku.

Zatrzymał się i spojrzał na nią przenikliwie. Była ubrana w zwiewną letnią suknię z błękitnego materiału, sięgającą za kolana i odkrywającą dekolt. Jej głowę okalały dwa cienkie warkocze, podtrzymujące resztę rozpuszczonych jasnych i długich włosów. Wyglądała tak samo pięknie jak zawsze, ale w jej oczach było jakby więcej dystansu.

– Przepraszam. – Westchnął. – Po prostu wydarzyło się coś... Muszę porozmawiać z tobą, ale nie w zamku, wyjdźmy na mury.

Po szybkim spacerze znaleźli się nad bramą. Król oddelegował stojących tam gwardzistów na inne pozycje, by móc porozmawiać w spokoju. Oparł się o blanki i wziął kilka głębokich oddechów.

– Mam podejrzenia, że Pandey i jego ojciec coś knują – powiedział cicho.

– Co?! – prawie krzyknęła.



– Cicho – syknął. – Na audiencji drwał mówił o tym, że kupcy z Barbasu nie chcą kupować drewna, że na coś czekają. Rozmawiałem z Pandeyem na temat tych plotek i zachowywał się bardzo dziwnie. Iskel opowiedział mi o tym, jak bardzo intrygi króla Vizeya są dopracowane i... jestem przekonany, że teraz też tak jest. Że oni muszą coś knuć, bo inaczej...

– A może to tylko jakiś zbieg okoliczności? – Rollo położyła mu dłoń na ramieniu. – Może to nieporozumienie? Pandey przecież...

– Co Pandey? – przerwał jej, odwracając się gwałtownie. – Nie wydaje się być zdolny do intrygi?

– Nie, nie wiem. – Zakłopotana się. – Ale rozmawiając z nim, nie wyczułam, by coś... By było w nim coś złego.

– Spędzasz z nim dużo czasu?

– Tak... To znaczy... – Uciekła wzrokiem. – Ty jesteś królem i jesteś zajęty, a on ma dużo czasu i poświęca mi go i...

– Rozumiem – odparł oschle. – Muszę iść do Iskela. Powiem mu, czego się dowiedziałem.

W tym samym czasie Ulev przepisywał listy podyktowane mu przez księcia Barbasu. Pandey wyraźnie zaznaczył, że mają być wysłane błyskawicznie i najszybszymi ptakami. Dodał, że to jest rozkaz królewski i król oczekuje odpowiedzi. Ulev był następcą króla, ale o tym jeszcze nikt w Erskinie nie wiedział, więc musiał zachowywać się jak zwykły pocztowy i wykonać polecenie. Wysłał więc jednego sokoła do stolicy Barbasu, jednego do Vesteget i jednego do Vantahalu, czyli dwóch przygranicznych strażnic, obok których wybudowano osady kupieckie.

W listach tych lakonicznie pytał o to, czy kupcy mają jakiś cel w rezygnacji z zakupu drewna od Erskinu i czy jest to ich pomysł, czy królewski rozkaz. W dodatku kazał dopisać, że to sprawa niecierpiąca zwłoki i mają odpowiedzieć jak najszybciej. Zapakował więc zwoje w skórzane torby i przypiął je do nóg sokołów. Pojedynczo wyciągał ptaki z klatek i wypuszczał przez najwyższe okno swojej pracowni. Kiedy wysyłał w podróż swoich przyjaciół, szeptał polecenia w pradawnym języku, który znali tylko pocztowi. Przerwał jednak zaklęcia w pewnym momencie i zapatrzył się na dziedziniec. W oddali widział charakterystycznie ubraną postać księcia Pandeya, która szybko zmierzała w stronę bramy i zwodzonego mostu, nerwowo odwracając się za siebie co kilka kroków.

Ulev miał przytwierdzoną do okna lunetę, którą obserwował chmury, by wypuszczać ptaki tylko wtedy, gdy pogoda temu sprzyjała. Śledząc

wzrokiem Pandeya, dokończył zaklęcia i wypuścił ptaka, który poszybował w powietrze. Zaraz potem przestawił lunetę tak, by widzieć księcia Barbasu. Ten doszedł do kramu, w którym sprzedawano ptaki pocztowe. Dwór królewski hodował swoje własne, ale zwykli mieszkańcy miasta korzystali z jego usług. Pandey w pośpiechu kazał handlarzowi przywiązać sakiewkę z listem do nogi sokoła. Kiedy zwierzę zniknęło za horyzontem, mężczyzna odwrócił się i spokojniejszym krokiem wracał do zamku. Ulew odstawił lunetę na miejsce i odetchnął głęboko.

– To jest podejrzane... – mówił do ptaków siedzących w klatkach. – Muszę szybko o tym zameldować...

## Rozdział XIX

– Gównu! – ryknął gruby władca. – On na pewno kręci! Kręci i mataczy, by ugrać jak najwięcej dla siebie! Wiem o tym!

– Nie wydaje mi się... – wtrącił Mytel. – Keler by...

– Nie wydaje ci się!? – Król poczerwieniał okrutnie. – Taki jesteś uczony, a nie wiesz, że on ma na mnie tyle samo haków co ja na niego! Tylko wyobraź sobie, że on najwyżej straci życie. Zamknę go w lochach, powieszę na murach, zetnę, jeden pies! Tak czy inaczej będzie zdechły! A ja... Nikt mnie nie pozbawi tronu, ale smród ciągnący się za mną... Kontrahenci się odwrócą, sojusze będą niepewne, w razie czego nawet najbliżsi współpracownicy wbiją mi nóż w plecy. – Ściszył głos. – Będiesz pierwszym, który wygada radzie Akademii, co tutaj miało miejsce, i jestem o tym przekonany bardziej niż o tym, że umrę, i to akurat tylko dobrze by o tobie świadczyło. Musiałbyś powiedzieć im całą prawdę, żeby uratować własną rzyć.

– Nie... – Mytel po raz kolejny chciał zaprzeczyć, ale przerwało mu stukanie do drzwi.

– Wejść! – warknął król.

W sali pojawił się młody służący z plikiem przeróżnych zwojów. Ukłonił się niziutko i błyskawicznie odłożył naręcze papierów na stolik. Starając się nie zwrócić na siebie żadnej uwagi, zniknął za drzwiami.

– Aż tyle wiadomości przyszło? – Mytel wyprzedził króla i zaczął przeglądać zwoje. – To są jakieś stare mapy, ale... – Wyciągnął jeden zwój i rozwinął go, przytrzymując dłońmi. Na szkicach mapy świata jasnym atramentem zapisana była wiadomość.

– Wysłałem pędem – czytał król. – Bo musisz przeczytać to, co przyszło, najszybciej, jak się da. Rozwijaj pozostałe. – Kunglin dzielił grubą pięścią chudego uczonego.

– Mam, wasza miłość! – Mytel rozłożył kolejną mapę.

Do K.

Przy granicy Erskinu z Barbasem jest konflikt o drewno. Kupcy nie chcą kupować. Księżę Pandey rozesłał oficjalne listy do przygranicznych miast kupieckich i do stolicy z prośbą o wytłumaczenie. Wysłał też nieoficjalny list, podejrzewam, że dotyczył ataku mającego odbyć się na koniec lata. Atmosfera jest napięta. Młody król rozmawiał o tym z księciem w cztery oczy.

U.

– Wygląda na to, że jego intrygę sprzedali zwykli kupcy i przez nich wszystko się posypie – mruknął Mytel.

– Nie posypie się – odpowiedział Kunglin. – Skoro młody król, wiedząc o takim zachowaniu, nie wziął tego wschodniego szczura na tortury, to nie ma co liczyć na to, że odkryje spisek. Zapewne uznał, że to jakaś pomyłka, i dał mu czas na wyjaśnienia.

– Wasza miłość. – Uczony rozwinął jeszcze jeden zwój. – Tutaj jest kolejna wiadomość...

– Co?! Od... – czytał, mrużąc po cichu.

Do K.

Za pływaniem latem takim tempem odcinam ci procent z zysków. CAŁY! Nie dopłynęliśmy jeszcze do Barbasu ani Ujary, ale spotkaliśmy po drodze kilka łodzi z różnych osad przybrzeżnych i oni nie słyszeli o żadnej mobilizacji. Nie szykują się do żadnej wojny. Byli w wieku poborowym i dokładnie sprawdziliśmy, czy mówią prawdę. Nie kłamali. Sprawdzę na lądzie, ale nie zanosz się na wojnę.

I.

– Albo któreś z nich chce mnie oszukać... albo to rozrosło się bardziej niż powinno... - Król dyszał i świszcział.

– Gdyby Morze Północne nie było pustynią, to latem nie wypłynęłabym z niego choćby na jedną noc – mruknęła, stojąc na dziobie Imma.

– Dopływamy! – rozległo się wołanie z bocianiego gniazda.

Kapitan pirackiego okrętu zniknęła w swojej kajucie, a Tyt zarządził wypłynięciem do portu w Bandaragu. Nie zamierzali długo zabawić w mieście, ale Imma musiała upewnić się, czy Barbas szykuje się na wojnę. Okręt zacumowano obok stojących w porcie statków marynarki wojennej Barbasu. Te wielkie trzymasztowe statki stały sobie spokojnie, bujając się na falach z opuszczonymi żaglami i schowanymi wiosłami. Na ich pokładach próżno było szukać marynarzy szykujących jednostki do wypłynięcia na wojnę.

Samo miasto różniło się wyglądem od reszty barbaskich osad. Zaraz za zabudowaniami portowymi znajdowała się twierdza, w której stacjonowała obsługa okrętów. Stanowiły ją dwie masywne wieże połączone ze sobą wysokim i grubym murem z kratą we wrotach i maleńkimi okienkami strzelniczymi. Między twierdzą a portem rozciągało się miasto, o którym nie można powiedzieć, że tętniło życiem. Przy głównej ulicy prowadzącej do portu znajdowały się kramy kupieckie. Sprzedawano tam wszystko, co można było znaleźć w Barbasi. Kolorowe materiały, przyprawy, szlachetne kamienie czy niespotykane na zachodzie rośliny leżały na stoiskach. Problemem był jednak brak kupców. Handel z Barbasem prowadzili jedynie piraci, a ci nieczęsto zapuszczali się na Morze Północne.

– Tyt! – zawołała Imma, schodząc po trapie. – Wyślij chłopaków na handel. Niech wezmą wszystko, co mamy, i powymieniają na to, co pójdzie w Bernsternie. Niech idzie z nimi Trent, żeby nie próbowali nas oszukać.

– Tak jest, pani kapitan! – Wskoczył pod pokład i zaczął pokrzykiwać.

Ubrana w skórzane spodnie i przylegającą do ciała białą bluzkę zawiązaną z przodu na sznurek poprawiła rude włosy potargane przez wiatr i skierowała się do miasta. Pierwszym budynkiem, jaki minęła po opuszczeniu portu, był zamieszkały dom z karczmą. Wyglądał najbardziej okazale na całej ulicy. Był to dwupiętrowy prostokąt z werandą i spadzistym dachem. Deski, z których był zbudowany, wyglądały na całkiem zadbane. Imma pomyślała, że chłopaki bardzo chętnie odwiedziłiby piętro tego domku i przypomnieli sobie, po co im kutasy. Nie sądziła jednak, żeby starczyło im na to czasu. Swoje kroki skierowała do twierdzy. Stwierdziła, że tam najprościej będzie wybadać nastroje, bo w końcu gdzie mają wiedzieć, co się szykuje, jeśli nie w porcie wojennym.

– Piękna pani – zawołał ją jeden z kupców – może jedwab? Najlepszy!

– Za chwilę przyjdą tutaj moi ludzie – krzyknęła tak, żeby było ją słychać na całej handlowej ulicy – i to im będziecie zachwalać swoje towary.

Spróbowała jednak jakiegoś owocu podstawionego jej na tacy przez innego kupca. Podziękowała uprzejmie i kontynuowała spacer do twierdzy. Gdy tylko znalazła się dość blisko, krata w bramie podniosła się, a zza niej wyszło dwóch żołnierzy ubranych w żółto-czerwone mundury. Nie mieli przy sobie żadnej broni, a same uniformy wyglądały na założone w pośpiechu i niechlujnie.

– Saavat! – przywitała się w miejscowym języku.

– Aad. – Machnął dłonią jeden z żołnierzy. Był średniego wzrostu, dosyć masywnie zbudowany, miał ciemną karnację i czarne oczy oraz łysą głowę i lekki zarost. Delikatnie chwiał się na nogach.

– Po włosach poznaję, że to słynna piratka Imma – odezwał się drugi. Miał nieco jaśniejszą skórę i dłuższe czarne, kręcone włosy. Podobnie jak kolega nie był zbyt zadbany.

– Czyżby sława mnie wyprzedzała? – Zmrużyła oczy. – Zaprosicie mnie do salonu?

– A co sprowadza panią kapitan w nasze skromne progi?

– Dobrze wiecie, jak latem żeglują się po Zachodnim, więc wpadłam tutaj, a poza tym... Mam kilka pytań i myślę, że lepiej niż do was nie mogłam trafić. To co? Mogę wejść? – Przeszła obok, ocierając się o nich.

Ruszyli za nią, a brama z łoskotem spadła na ziemię. Na niewielkim dziedzińcu nie działo się absolutnie nic. Broń leżała porozrzucana obok niesprawnych wozów, walały się po nim deski, fragmenty materiałów i pancerzy. Skręcili na schodki prowadzące do prawej wieży i weszli przez drewniane wrota do środka. Usiedli przy nieco kolebiącym się stole w niewielkiej komnacie ozdobionej sztandarem Barbasu i stojącymi na stojakach chorągwiami poszczególnych jednostek stacjonujących w zamku. Na stoliku stała karafka z winem, a obok niej dwa kielichy. Imma rozparła się na krześle i z zadziornym uśmiechem zerknęła na żołnierzy.

– Panowie – zaczęła mówić – dobrze wiecie, że mój statek często odwiedza Morze Północne. Handlujemy z Barbasem dosyć prężnie, ale ostatnio coś mnie bardzo zaniepokoiło. Słyszałam, że wasi kupcy na granicy z Erskinem podjęli coś na kształt protestu i nie chcą kupować drewna od erskińskich drwali. – Poprawiła kołnierzyk. – A jak już przystąpili do negocjacji, to chcieli płacić za drewno ziarnkami piasku.

– Co to znaczy? – wtrącił niższy, wyglądając na bardzo zainteresowanego.

– To znaczy tyle, że najchętniej nic by za to drewno nie chcieli zapłacić. – Oparła się o blat. – Ja mogę być piratem, ale jestem też kupcem i wiem, że jeśli z jednym zaufanym sprzedawcą postąpili w taki sposób, to mogą tak samo postąpić ze mną. Właśnie w tej chwili moja załoga prowadzi wymianę handlową ze wszystkimi kupcami zgromadzonymi w mieście, ale czy transakcje dojdą do skutku? Nie mam pojęcia. – Rozłożyła ręce.

– Nie wiemy, o czym mówisz. – Żołnierz nalał sobie wina. – Do nas meldunki nie docierają bez potrzeby, a nawet gdyby coś dotarło, to co nam

do konfliktu handlarzy?

– Skoro tak... ale jak już tutaj jestem, to zapytam o jeszcze jedno. – Popiła łyk ze stojącego na stole kubka. – Słyszałam, że ci wasi kupcy nie chcą kupować drewna, bo czekają na wojnę. No i wy jako żołnierze chyba coś o tym wiedzieć powinniście, prawda?

– Powinniśmy. – Zaśmiali się w głos. – Ale nie wiemy, bo żadna wojna się nie szykuje. Jak widzisz, piratko, siedzimy sobie tutaj, pijemy wino i pilnujemy, żeby nikt nie spalił portu. Tyle. Myślę, że gdyby wojna miała się zbliżać, toby nas o tym poinformowano i pewnie kazaliby nam chociaż te statki przygotować do obrony wybrzeża... – Ze śmiechem przerwał mu kolega.

– A umiecie kłamać, panowie? – Nachyliła się nad stołem tak, żeby mogli dokładnie przyrzeć się jej dekolтови.

– Nie wiem, ale myślę, że jesteś dość bystra, by się skapnąć, że tak nie wyglądają przygotowania do walki. – Żołnierz wykonał obszerny gest ręką.

– My się tutaj dobrze bawimy, na tyle, na ile pozwalają zapasy wina i kobiety w zamtuzie. Żadnej musztry, żadnych ćwiczeń, żadnego tłuczenia się mieczem, a powiem ci nawet więcej, nie ma tutaj też żadnego czerwonego kapłana!

– Rozumiem i dziękuję za poświęcony czas. – Wlała w siebie resztę wina.

– Wrócę do swoich ludzi. Muszę ich przypilnować, żeby nie wydali u waszych koleżanek wszystkiego, co zarobią.

Podniosła się i dwornie wyciągnęła jasną dłoń przed siebie. Żołnierze kolejno ujmowali ją, by dotknąć czołem. Po drodze na statek skontrolowała, jak idzie wymiana handlowa. Tutejsi kupcy nie mieli żadnych zastrzeżeń do ich towarów i chętnie wymieniali się na to, czego w Barbasiu brakowało. Pakowanie na statek zajęło trochę czasu, a kiedy wszystko było już gotowe, przy burcie, na której Imma siedziała, pojawił się Tyt.

– Wszystko mamy załadowane, pani kapitan! – zameldował niczym na wojskowym statku. – Luki pełne. To teraz kurs na Ujarę?

– Nie, wracamy do Bernsternu sprzedać to, co stąd wieziemy. – Podniosła się. – Wiemy już wszystko, co musimy wiedzieć, więc nie ma sensu brnąć dalej w tę dzicz.

– Aye! – Tyt aż podskoczył.

Na horyzoncie rysowały się poszarpane szczyty Nieprzebytych Gór, zlewając się z obłokami chmur. Mieszkając w Myrbeinie, człowiek

przyzwyczajają się do tego obrazu i do uczucia przytłoczenia przez ten górski masyw. Samo miasto położone było na pagórkowatym terenie u podnóża najwyższych gór świata. Otoczone gęstym lasem z jednej strony i naturalnym górskim murem z drugiej było jednym z bezpieczniejszych miejsc w całym Erskinie.

Miasto Myrbein różniło się od miast w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, zabudowa nie przypominała miejskiej. Domy były rozstawione dość luźno na szczytach pagórków, a wokół nich najczęściej można było zobaczyć pasące się owce. Znaczna większość mieszkańców zajmowała się hodowlą tych zwierząt, produkcją wełny i wytwarzaniem serów, w które zaopatrywano cały kraj. Latem hodowcy wypędzali owce w wyższe partie gór, poza granice miasta, by mogły się paść w spokoju przed nadejściem zimy. W trakcie górskiego wypasu stada pilnowane były przez młodych pasterzy.

Auer Deterik, jedyny syn ojca, który zginął w wojnie z Werdgwaldem, przejął rodzinne interesy i nie mógł już zajmować się wypasem, więc do tego zadania wyznaczył swoją młodszą siostrę Rigę. Była wysoka i silna, starsza niż większość pasterzy z innych rodzin, miała długie jasne włosy splecione w gruby warkocz. Choć wszyscy mówili jej, że jest śliczną dziewczyną, a w jej niebieskich oczach każdy się zakocha, to nie chciała o tym słyszeć i ubierała się zawsze po męsku. Siedząc na szczycie wzgórza, przyglądała się spokojnie skubiącym trawę owcom.

– Witaj, Rigo! – zawołał jeden z pasterzy, machając kapeluszem. – Mogę się dosiąść? Znowu siedzisz z głową w chmurach, Riga? Kiedyś ci przez to owce zginą! – Klapnął obok.

– Nie obchodzą mnie te owce, wiesz o tym – burknęła.

– Wiem, wiem. – Machnął ręką. – Całe miasto o tym wie, że panna Riga chce zostać wielkim wojem! Problem w tym, dziewczyno, że rycerzem może zostać tylko mężczyzna, i to odpowiednio urodzony. Nawet na pikinierów, kosiarzy czy łuczników nie biorą kobiet!

– A skąd ty możesz o tym wiedzieć?! – Oburzyła się.

– Ojciec mi opowiadał. Po powrocie z wojny z Werdgwaldem mówił, że wśród żołnierzy byli tylko mężczyźni... Nie widział tam ani jednej kobiety, nie licząc kurew, które ciągnęły za żołnierzami dla zarobku.

– To jeszcze o niczym nie świadczy! – Zerwała się z trawy. – To, że w jednej wojnie kobiety nie brały udziału, nie znaczy, że nie mogą wziąć w kolejnych!



– Daj sobie spokój, dziewczyno... – Włożył na głowę okrągły kapelusz. – Nigdy w historii kobiety nie walczyły i nie będą walczyć. Są stworzone do czego innego. Beanth jest opiekunką lasu i leśnej zwierzyny. Nie jest boginią wojny!

– A co to ma za znaczenie? Jestem silna i umiem walczyć! – krzyczała. – Mam gdzieś, czego boginią jest Beanth i czy w ogóle jest jakaś bogini! Nie będę paść owiec i kręcić sera przez resztę życia.

– Zawsze możesz stąd wyjechać i znaleźć męża, który zajmuje się czym innym...

– Czym? Handlem warzywami, rybami, drewnem? Nie interesuje mnie to, Anti! Nie chcę przez całe życie martwić się, czy jutro ktoś coś ode mnie kupi...

– Ech... – Westchnął głośno, przerywając jej wywód. – Szkoda strzepić język. Dobra, nawet jeśli ci się uda i ktoś w ogóle pozwoli ci wstąpić do wojska, to co zrobisz? Przecież nie umiesz walczyć.

– A ty niby umiesz? – warknęła, chwytając kij. – Sprawdźmy, kto walczy lepiej!

– Daj spokój, Riga! – Odsunął się. – Nie będę się z tobą bił.

– Tchorzysz? – Zaplotła ręce na piersi. – Boisz się dostać od dziewczyny, co? To przez to nie chcecie nas widzieć w wojsku, boicie się, że będziemy lepsze!

– Opanuj się, Riga. – Anti odwrócił się i ruszył z górki. – Do zobaczenia przy okazji...

Dziewczyna klapnęła na trawę zła jak osa. Nie rozumiała tego, że ludzie mogą nie chcieć, by spełniła swoje marzenia. Była już prawie dorosła i spodziewała się, że niedługo matka będzie kazała jej wybrać któregoś z chłopaków, którzy się do niej zalecali.

– Rigo! – Rozmyślenia przerwało jej wołanie. – Rigo! Tu jesteś! – Uśmiechnięty młody chłopak podbiegł do niej. – Twoja mama chciała, żebyś wróciła do domu, i przysłała mnie, bym pilnował owiec.

– No dobrze. – Poczochrała jego bujną, złotą czuprynę. – Tam, obok krzewów jagód, masz rozstawiony namiot. W środku jest jedzenie i świeża woda. Za tamtym wzgórzem swoje stado wypasa Anti. W razie czego możesz zatrzeć w róg, który masz w namiocie.

– Dam sobie radę! – Młody wyprostował się.

– Nie wątpię. – Riga roześmiała się, ale kiedy tylko odeszła, od razu uśmiech zszedł z jej twarzy.

Bała się tej rozmowy i liczyła, że nastąpi ona za jakiś czas. Wiedziała też, że musiała to być ważna rozmowa, bo inaczej matka nie ściągałaby jej z pastwiska. Przyspieszyła kroku, bo mimo strachu chciała mieć to za sobą. Postanowiła sobie jednak, że nie ugnie się i jeśli matka nakaże jej wychodzić za mąż, to ucieknie z domu. Mijając pierwsze zabudowania, usłyszała głuchoe dźwięki i krzyki dobiegające spomiędzy zabudowań należących do kowala Redgarsa. Po cichu wślizgnęła się między szopę wypełnioną drewnem a budynek kuźni. Zobaczyła tam trzech starszych chłopaków kopiących najmłodszego brata Tarko.

– Zostawcie go! – krzyknęła, wychodząc z szopy.

– O! – Jeden z nich odwrócił się i spojrzał w jej stronę. – Deterik! Nie wtrącaj się, bo też dostaniesz!

Ten był w jej wieku, jego ojciec miał niewiele owiec, ale produkował wyjątkowe sery, które różniły się od pozostałych i lepiej się sprzedawały. Chłopak nie był wysoki, za to gruby i silny. Drugi był wyższy, ale młodszy o rok. Miał rude włosy, co w Myrbeinie nie było często spotykane. Jego ojciec zajmował się głównie wytwarzaniem ubrań z wełny. Trzeci był z nich najstarszy. Był sierotą wychowywaną przez dziadka, który więcej czasu poświęcał swoim owcom niż jemu.

– Zostawcie go, psie syny! – powtórzyła, wyciągając swój pasterski kostur.

– Eja, panowie! – Najstarszy zaśmiał się w głos. – Deterik chce zostać wojem jak jej tatko! Może oszczędzimy jej czasu i zatłuczemy ją teraz?

– Czeka! – Rudy kopnął jeszcze raz ich ofiarę. – Ona ładniutka jest. Można by ją najpierw zlać, a potem się z nią pobawić.

– No to chodźcie, spróbujcie swoich sił! – krzyknęła, chociaż czuła, że zimny pot spływa jej po kręgosłupie.

– Spokojnie, chłopaki! – Gruby powstrzymał ich gestem. – Ona ma kostur! Trzeba uważać, bo to prawie miecz!

Wystartowali agresywnie, a pierwszy do Rigi dopadł najwyższy z chłopaków. Chciał ją złapać, ale dziewczyna zastawiła się kosturem, uderzając go w oko. Zatoczył się w tył i złapał za twarz. Krew z rozciętego łuku brwiowego przelewała się przez palce. Zaatakował raz jeszcze, ale tym razem kostur uderzył go w kolano. Kiedy klęknął, Riga zdzieliła go prosto w łeb z taką siłą, że padł na trawę jak długi.

Widząc, co spotkało towarzysza, gruby chłopak machnął ręką na rudego i zaczęli obchodzić dziewczynę z dwóch stron. Ta nie czekała, aż się na nią

rzucą. Zebrała w sobie całą odwagę i doskoczyła do grubego. Zdzieliła go kosturem w brzuch. Zgiął się, a wtedy otrzymał uderzenie drewnianą laską w twarz. Słysząc było głuchy dźwięk, po którym syn wełniarza padł na twarz. Trzeci z napastników stał przy ścianie i nie bardzo wiedział, co ma zrobić. Chciał uciekać, ale wtedy Riga wsadziła mu kostur między nogi i przewrócił się, wpadając twarzą w popiół.

Zostawiła go już w spokoju i podeszła do leżącego w trawie najmłodszego syna pani Wyner. Chłopak był mocno poturbowany, ale oddychał. Podniosła go delikatnie i trzymając pod ramię, poprowadziła do swojego domu. Weszła do sieni i posadziła obitego chłopaka na skrzyni. Po drodze młody Wyner tracił przytomność, więc musiała go nieść.

– Mamo! – krzyknęła. – Pani Wyner!

Obydwie kobiety wybiegły z korytarza. Matka pobitego niemal upadła, przytrzymując się futryny. Matka Rigi zachowała się bardziej przytomnie i złapała młodego Wynera pod pachy, wciągając go dalej do korytarza. Położyła go na sofie w pokoju i we dwie zaczęły go opatrywać. Riga opadła na fotel i łapała oddech przez dłuższy czas. Dopiero gdy zapadł zmrok, matka potrząsnęła nią, by się obudziła.

– Co z nim? – spytała jeszcze trochę śpiąca.

– Przeżyje, kości ma chyba całe. Za to siniaków będzie miał dużo – odpowiedziała. – Znalazłaś go w takim stanie?

– Jeszcze go bili, ale stłukłam ich kosturem i dali mu spokój.

Matka miała srogie oblicze. Twarz była już nieco pomarszczona, choć nadal ładna, włosy miała jasne i dość krótkie. Była szczupła i nosiła obszerne suknie w kwiatowe wzory.

– Nie mogłaś wezwać kogoś na pomoc? – zapytała zdenerwowana.

– Nie było nikogo w okolicy, musiałam mu pomóc. Ale mniejsza z tym, ściągnęłaś mnie z łąki, żeby o czymś porozmawiać. – Poprawiła się na fotelu.

– Tak... – Matka usiadła na drugim z zielonych foteli. – Był tutaj dzisiaj Anre Duerfen i oficjalnie wystąpił o twoją rękę. Zamierzam się zgodzić. Twój brat też uważa, że to dobry wybór.

– A moje zdanie się nie liczy? – zapytała, choć bez wiary.

– Liczy się, ale w tym wypadku musimy podjąć decyzję za ciebie. – Kobieta położyła dłoń na kolanie córki. – Wiem, że nie chcesz ślubu, ale twoje marzenia są nierealne. Musisz to wreszcie zrozumieć, Rigo.

– To wy musicie zrozumieć, że jeśli nie pozwolicie mi spróbować, to stracie córkę. – Wstała i ruszyła do wyjścia z salonu.

– Nie pozwolimy ci. – W progu stanął wysoki i barczysty blondyn o błękitnych oczach.

– Przepuść mnie, bracie. – Riga spojrzała mu w twarz ze złością. – Nie powiesz mi, że nie mogę wstąpić do wojska. Pokonałam trzech...

– Trzech rycerzy? Może chociaż trzech żołnierzy piechoty? – Przerwał jej. – Pobiłaś kosturem trzech małałów.

– Pomyśl, Rigo. – Matka miała łzy w oczach. – Ojciec zginął, walcząc. Dlaczego chcesz iść w jego ślady?

– Właśnie dlatego, żeby go pomścić, ale wy wolicie żyć sobie tutaj, pasąc owce, robiąc ser, i nie przejmować się tym, że gdzieś na świecie biją kogoś słabszego. Ojciec nie był taki...

– I sama chcesz to zmienić? – Przerwał jej po raz kolejny brat. – Nie dasz rady. Nie jesteś wystarczająco sprawna w walce, wystarczająco silna i jesteś kobietą. Pierwszy zbój, jakiego napotkasz po drodze, zgwałci cię, a potem zabije.

– Nie dbam o to – powiedziała spokojnie. – Przynajmniej umrę, robiąc to, co chcę robić. Wolę umrzeć jutro z mieczem w ręku, niż macać owce przez całe życie jak ty, bracie.

Uderzenie w twarz otwartą dłonią przerwało jej wypowiedź. W oczach Auera błyskała wściekłość.

– Lepiej będzie, jak pójdziesz do swojej sypialni. – Cedził słowa przez zęby. – Zanim powiesz coś, czego będziesz później żałować.

– Żebyście wy nie żałowali tej rozmowy! – krzyknęła Riga i uciekła.

## Rozdział XX

Zachodnia granica Tolimuraj po wojnie domowej została zupełnie zapomniana przez króla Tolwiego. W trakcie podróży do Ellatiku dało się to zauważyć i poczuć. Drogi były w opłakanym stanie, przez co wozy ledwo dawały radę przejechać. Można było też zobaczyć rozwalające się domy i gospodarstwa, których nie odbudowano po wojnie. Większość ludności uciekła na wschód i zostawiła swoje posiadłości. Nieliczni, którzy pozostali na tych ziemiach, przestali przywiązywać wagę do tego, jak mieszkają. Wojna zabrała im majątki i bali się, że zrobi to po raz kolejny.

Samo miasto również wyglądało na zapomniane. Spalone domy sąsiadowały z zamieszkanymi, na ulicach było brudno i niebezpiecznie. Ludzie żyjący w mieście nauczyli się radzić sobie z życiem, musieli stać się twardzi. Jednak orszak Hexa wjeżdżający do Ellatiku wzbudził w nich strach. Kolorowa armia żołnierzy na koniach i wozy z uzbrojeniem czy zaopatrzeniem przypomniały im straszliwy czas wojny. W dodatku nie spodziewali się zobaczyć na froncie orszaku ogromnego mężczyzny, którego ciało pokryte było sinymi szlakami oraz pięciu kobiet w bieli jadących u jego boku.

Hex rozlokował wojska w mieście, a sam wraz z kapłankami pojechał do stojącej na uboczu twierdzy. Walki na granicy, a także polityka Tolwiego spowodowały, że zamieniała się ona w ruinę. Wysoki mur kurtynowy łączył ze sobą trzy niższe wieże, wieżę bramną i górującą nad wszystkim basztę. Dziedziniec nie był wielki, ale zmieszczono tam stajnie, kilka pomieszczeń gospodarczych i część mieszkalną. Na dziedzińcu stało też kilka namiotów polowych. Budynek mieszkalny był jednopiętrowy, ustawiono go pod wschodnim murem, na wprost bramy. Był to w zasadzie jedyny element zamku, którego wojna i czas nie naruszyły. W wieżach ziały dziury, blanki przypominały bardziej szczerbate zęby niż szczyt potężnej osłony, a z okien strzeleckich i szczytów sypały się kamienie.

Przejeżdżając przez bramę, zauważyli też, że krata jest zardzewiała, a brukowana droga była straszliwie dziurawa.

Hex ze świtą zamieszkali w najwyższej wieży, z której szczytu rozciągał się widok na miasto i na Yelayin. Dlatego przywódca zajął najwyższe piętro, poniżej zamieszkały kapłanki. Juvi od razu chciała przejąć obowiązki miejscowego zarządcy i nauczać mieszkańców zgromadzonych na placu, ale Hex jej zabronił. Wy tłumaczył to tym, że wie, w jaki sposób wiedza jest przekazywana, i że mieszkańcom Ellatiku w zupełności to wystarcza.

Odmówił spotkania z dowódcą zamku przed naukami i kazał wezwać go dopiero wieczorem. Czekał na niego w swojej komnacie w towarzystwie wszystkich kapłanek. Rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili w komnacie znalazł się wysoki, postawny, choć już starszy żołnierz. Było widać, że jego pochodzenie nie jest jasne. Miał bardzo jasną karnację, ale jego włosy i oczy były niemal czarne, choć na skroniach widniały już szerokie oznaki siwizny.

– Wasza miłość. – Mężczyzna skłonił się głęboko.

– Nie ma potrzeby się gimnastykować, żołnierzu. – Hex podszedł do niego i wyciągnął dłoń. – Jak was zwą, kapitanie?

– Jestem Nir Nait, wasza miłość. – Żołnierz nieśmiało uścisnął dłoń króla.

– Nie musisz mnie tak nazywać, Nirze. Opowiedz lepiej o sytuacji na granicy.

– Od lat to samo. – Nir machnął ręką. – Co jakiś czas atakuje nas grupka chłystków, których potem wywieszamy na murach. Nie jest to nic groźnego, ale strasznie irytuje. Ważniejsze jest to... – Wyciągnął przed siebie zwitek papieru.

Juvi odebrała go od niego i rozwinęła. Przez chwilę patrzyła na kartkę ze zdziwioną miną, ale zaraz potem zaczęła czytać na głos.

Do Hexa, psiego syna mieniącego się tytułem króla kraju pcheł

Twój list i twoja książka przydadzą się nam na rozpałkę. Tolvi nie żyje i dobrze, niech go robale po śmierci wysrają. Szkoda tylko, że reszta tolimurajskich psów nie zdechła razem z nim. Twoje groźby i wymogi możesz sobie wsadzić w rzyć. Nie zamierzamy oddawać naszej wolności byle komu, a już na pewno nie wam. Cała potęga zaleje nasz kraj? Już raz wracaliście stąd z podkulonymi ogonami, jak na psy przystało. Poucinamy wam łby tak jak poprzednio. Swoją wymyśloną religię trzeba było zakopać razem z naszym synem Tolvim w bagnie. Miecze, kosy i siekiery

naostrzymy na wasze powitanie. Atakujcie, bo inaczej nie dobierzecie się do naszej wolności.

Chuj wam w rzyce.

Nigus

– Chyba list nie zadziałał tak, jak powinien. – Mossa usiłowała powstrzymać śmiech.

– Chyba nie. – Hex uśmiechnął się półgębkiem. – W takim razie czas zacząć planować inwazję.

– Tak od razu? – wtrąciła zdziwiona Juvi.

– A na co mamy czekać? Aż przyjdzie drugi list z przeprosinami i informacją, że to głupi żart? Nie wydaje mi się, by było to możliwe, kapłanko. – Skarcił ją wzrokiem. – Mamy tutaj generała, który nam wszystko opowie o ich armii. W mieście zgromadziliśmy bardzo duże siły, a dowodzić nimi będą świetni ludzie.

– A może zamiast niszczyć kraj, który i tak ma już podobno wielkie problemy, użyłbyś swoich mocy i przekonał ich do poddania się? – zapytała z nadzieją Iv.

– Już o tym rozmawialiśmy – stwierdził. – Poza tym czas wypróbować armię w boju.

– W razie problemów pomożesz? – zapytała w myślach Juvi.

– Nie przewiduję problemów, kapłanko – odparł.

– Opowiedz nam, Nirze, o tym, jakimi jednostkami dysponują, w jaki sposób walczą, jakie taktyki stosują... – Ahga przejęła inicjatywę w rozmowie.

– A co tu opowiadać... – Nir machnął ręką zrezygnowany. – Ostatnimi czasy to chodzą w grupach z czymkolwiek, co jest ostre, i napadają, jak leci. Kupą rzucają się na ludzi i tyle. W trakcie wojny byli bardziej cwani i walczyli nocami, atakując z zaskoczenia, paląc obozy, zatruwając wodę, zabijając konie.

– Mogli zebrać jakieś regularne wojsko przez ten czas? – Hex patrzył, jak jego azuańska kapłanka odnajduje się w swoim żywiole.

– Móc to mogli, czasu mieli dość, ale wątpię, by im się to udało. W Yelayinie po wojnie zostali tylko chłopci, którzy wcześniej byli w zasadzie niewolnikami. Myślę, że taka zbieranina osiłków, którzy idą kupą na konną jazdę, bardziej do nich pasuje.

– Tworzą oddziały?

– Wtedy do tych podchodów tworzyli, ale jak walczyliśmy z nimi otwarcie, to nie widziałem żadnych podziałów, wszyscy stali razem – odpowiadał szybko i konkretnie dowódca.

– Nirze, dlaczego wolałbyś uniknąć wojny? – Ahga spojrzała na niego wytrącona z rytmu. – Od początku widzę, że chcesz uniknąć walki za wszelką cenę, a mimo to podajesz nam informacje zachęcające do podjęcia broni.

– Wasza miłość... – westchnął. – Nawet nie pamiętam, od jak dawna siedzę w tym zapomnianym przez los mieście. Gdybyś teraz powiedział mi, że mogę umrzeć, jeśli nie chwycę za miecz, to wolałbym takie rozwiązanie. Jestem już starym żołnierzem, swoje przeżyłem, zabiłem dużo ludzi i mam tego zwyczajnie dość. A odpowiadam, bo jesteś moim królem...

– Nie mam zamiaru cię zabijać, przyjacielu. – Hex uśmiechnął się, choć jego wzrok pozostał zimny.

– Chciałbym cię tylko przekonać do tego, byś wybrał się z nami na ostatnią misję. Armia potrzebuje kogoś, kto będzie nią dowodził. Ty jesteś na tyle doświadczony i na tyle znasz żołnierzy, że będziesz mi niezbędnym w tej ostatniej w historii wojnie. Znam twój wstręt do zabijania, ale mogę cię zapewnić, że to będzie ostatnia wielka wojna, w jakiej weźmiesz udział, ostatnia w ogóle. Kiedy Sag Bas odzyska należne jej miejsce, wtedy zapanuje pokój na zawsze. Co będzie, jeśli nie odzyska? Wtedy pewnie zginiesz, więc nadal będzie to ostatnia wojna.

– A co z tym cholernym zamkiem? – dopytał żołnierz.

– Więc o to chodzi. – Hex podniósł się z krzesła, na którym siedział. – Będziesz podróżował z nami. Nie wrócisz już do tej ruiny.

– Czy ja mogę przemyśleć tę propozycję? – Żołnierz skłonił się.

– Oczywiście. Czy masz jeszcze jakieś pytania do Nira, Ahgo?

– Jedno – odparła twardo. – Czy mają w swojej armii łuczników?

– Może pojedynczych i to bardziej umiających celować do zwierząt niż do ludzi.

– Wróć tutaj jutro po naukach. Przekażesz mi, jaką decyzję podjąłeś, Nirze. – Hex odprowadził go do drzwi. – Dziękujemy za informacje, którymi się z nami podzieliłeś.

– Ahgo. – Hex odwrócił się w kierunku kapłanek, kiedy tylko drzwi zamknęły się za generałem. – Co o tym myślisz?

– Według mnie należy im wydać otwartą bitwę i stłumić wszelki opór, zabijając tych, którzy nie będą chcieli odrzucić broni. Przemarsz przez cały



kraj nie powinien zająć zbyt wiele czasu. Jeśli wierzyć temu żołnierzowi, to nie stawia nam wielkiego oporu. Dobrze zarządzana armia poradzi sobie z nimi bez kłopotu. – Wstąpiła w nią nowa energia.

– Uważam, że taka otwarta wojna może skończyć się tak samo jak poprzednia – wtrąciła Iv.

– A niby dlaczego miałyby się skończyć tak samo?! – podniosła głos Ahga.

– Bo ten cały Nigus wie, jak walczyć z armią Tolimurai.

– A czy on walczy z armią Tolimurai, kapłanko? – zapytał Hex. – On walczy z armią Sag Bas dowodzoną przez kapłanki-wojowniczeki i mnie. Wyobrażasz sobie, że on jest gotowy na takie spotkanie?

– Nie, ja... – Juvy nie wytrzymała wzroku Hexa.

– Najważniejsze dla was jest to, by nie wątpić w jakiegokolwiek nasze działania! Sag Bas kieruje tym, co robimy, żeby udało się uratować świat. Nie możemy teraz wątpić. Musimy dawać przykład naszym wyznawcom – grzmiał głośno. – Dokładny plan ataku zostawiam wam. Jednak proponuję, by podzielić naszą armię na kilka oddziałów, które będą przemieszczać się z jednej osady do drugiej i palić je. W tym czasie wyślemy do Nigusa list, w którym poinformujemy go o miejscu bitwy i o tym, że jeśli się na niej nie stawi, to będziemy tak krążyć i wybijać jego obywateli.

– Musimy wybrać dobre miejsce na bitwę, żeby wykorzystać naszą przewagę w uzbrojeniu i liczebności – podrzuciła niespodziewanie Tia.

– Tak, wybierzcie takie miejsce, ale wtedy tylko część armii wystawimy na pole walki. Druga grupa, silniejsza, musi się schować gdzieś niedaleko. W tej grupie będziemy my – ściszył głos. – W trakcie walk wyjedziemy na ich tyły. Pierwszą grupę poprowadzi do boju Nir, a w drugiej znajdziemy się my.

– Nir jeszcze się nie zgodził – wtrąciła Mossa.

– Zgodzi się – odparł zupełnie przekonany. – Przygotujcie dokładny plan i rozdzielcie zadania do chorągwi. Niech ruszają jak najszybciej. – Hex wyszedł z sali, kończąc zdanie.

Juvy rozłożyła ręce, a Ahga rzuciła na okrągły stół mapę, którą wcześniej dostały od stacjonujących w zamku żołnierzy. Kapłanki otoczyły stół i zaczęły głośno dyskutować nad szczegółami tej wojennej kampanii.

Nazajutrz, zaraz po naukach, na dziedzińcu zamku zebrali się dowódcy chorągwi z Tolimurai, czekając na rozkazy. Drzwi wieży, w której przebywał władca, otworzyły się i po kilku schodkach zszedł Hex. To, że

został oficjalnie władcą Tolimurai, nie zmieniło jego sposobu ubierania się. Dalej nosił skórzane spodnie, wyższe buty i kamizelkę na nagim torsie. Za nim wyszły kapłanki, również w swoich tradycyjnych strojach. Władca zawiesił dłonie na połach kamizelki i sprawdzał myśli żołnierzy, przeskakując z jaźni do jaźni.

– Wojna, która za chwilę się zacznie – zaczął mówić donośnym głosem odbijającym się od murów zamku – może nie być krótka, może też nie być łatwa, ale zapewniam was, że będzie ostatnią, w jakiej weźmiecie udział. Po jej zakończeniu będziecie mogli wrócić do swoich domów, żon, dzieci, na swoje pola. Będziecie mogli wieść spokojny żywot w świecie poukładanym przez Sag Bas. Jednak zanim to nastąpi, musimy pobrudzić nasze ostrza. Wysłałem do przywódcy kraju Yelayin list, w którym poprosiłem go o dobrowolne wstąpienie w szeregi Sag Bas. Wyobraźcie sobie, że w odpowiedzi obraził nas ohydnie i odmówił jednoczenia się z nami, wyzywając nas na wojnę. Człowiek tak bardzo zaślepiony chęcią utrzymania władzy nie może żyć w świecie Sag Bas, dlatego dostanie wojnę tak okrutną, że pożałuje wszelkiego złego słowa wyrzuconego w waszym kierunku i waszych rodzin. Zaplanowaliśmy strategię, która zmusi go do otwartej walki, a być może zaowocuje ona tym, że mieszkańcy jego kraju sami przejdą na naszą stronę. Większość z was wie, że Ahga, moja kapłanka z Azu, będzie dowodziła wojskiem. Zanim jednak zabierze ona głos i przedstawi wam dokładny plan działania oraz zadania, jakie wam wyznaczaliśmy, muszę dowiedzieć się jednej rzeczy. Nirze, czy podjąłeś już decyzję. – Spojrzał na stojącego przy murze oficera.

Starszy żołnierz, zaskoczony, przeczesał dłonią włosy i poprawił broń wiszącą przy pasie. Wystąpił trzy kroki przed szereg, obrócił się w miejscu w lewo i trzymając krok marszowy, skierował w stronę Hexa. Zatrzymał się na wprost władcy, wziął głęboki oddech i zabrał głos.

– Wasza miłość, nie jest to dla mnie łatwa decyzja, ale jeśli ta wojna może dać mi szansę powrotu do rodziny i życia w spokoju do końca swoich dni, to oddaję swój miecz do twoich usług – wyrecytował, patrząc w oczy króla.

– Doskonale. – Hex przesunął spojrzeniem po szeregach. – Nir będzie prawą ręką Ahgi, więc zapamiętajcie, że jego rozkaz może podważyć tylko ona lub ja. Niesubordynacja będzie karana śmiercią. Ahgo, przedstaw plan i rozdysponuj zadania.

– Z przyjemnością. – Jej mięśnie pokryte hebanową skórą zagrały pod białym kombinezonem.

Hex tymczasem odwrócił się i skierował do wieży, z której wyszli. Zostawił swoje kapłanki i swoich dowódców na placu zamkowym i zniknął za wrotami. Mimo to wszyscy wiedzieli, że nie mogą choć przez moment pomyśleć o czymś, czego nie życzyłby sobie ich przywódca. Bali się tego, że nie musi być obecny pośród nich, by wiedzieć, o czym rozmawiają, a nawet o czym myślą. Niepewność i poczucie grozy sprawiały, że nie śmieli nawet zaprotestować przeciwko nowemu władcy. Hex czuł, że jego władza umocniła się na tyle, że nie musi już kontrolować całego kraju codziennie. Wkradał się do umysłów różnych ludzi w różnych miejscach, bardziej dla pewności i po to, by trenować swoje umiejętności, niż dlatego, że obawiał się niesubordynacji.

Kapłanki, pozostawione same, nie zwlekały ani chwili. Ahga wyszła przed szereg, stanęła w lekkim rozkroku i po zmierzeniu zimnym wzrokiem szeregu dowódców rozpoczęła swoje przemówienie.

– Chorągwie pod dowództwem Vataku udadzą się w kierunku Aneti. Chorągwie pod dowództwem Kalita uderzą na centrum, kierując się w stronę gór, a chorągwie pod dowództwem Nira skierują się w stronę stolicy, czyli Yetekamy. Tak wygląda podstawowy podział armii. Dowódcy muszą wybrać po tysiącu dobrych, brutalnych i bezwzględnych żołnierzy, którzy już dziś wieczorem wybiorą się za granicę i maszerując we wskazanych kierunkach, będą napadać na wioski, osady i miasta po drodze. Zadaniem jest zabijanie cywilów i palenie ich dóbr. Im większy terror uda się zasiać, tym szybciej dojdzie do kończącej tę wojnę bitwy.

– Mamy wysłać ludzi, by zabijali niewinnych? – zapytał ktoś z tłumu.

– Tak – odparła stanowczo Juvii. – Czasem, by użyć ziemię zarośniętą przez najgorsze chwasty, trzeba użyć ognia. Teraz jesteśmy w takiej sytuacji. Tylko ogień pozwoli nam wypalić zło.

– Jeszcze jakieś pytania? – Cięty głos Ahgi rozszedł się po dziedzińcu. – Skoro nie ma, to rozejdźcie się do swoich oddziałów. Wytypowani żołnierze mają być gotowi do wymarszu przed zachodem słońca.

Gromkie okrzyki żołnierzy wychodzących z placu zamkowego wywołały ciarki na plecach młodych kapłanek. Juvii pamiętała dawne czasy, ale i na niej przygotowania do wojny robiły wrażenie. Była niezwykle podekscytowana nie tylko przez to, co miało nadejść wkrótce.

Po szybkiej śmierci jednego z najlepszych żołnierzy nikt nie odważył się kwestionować rozkazu Hexa ani nawet próbować ociągać się z jego wykonaniem. Dlatego oddziały żołnierzy były przygotowane do wymarszu, kiedy słońce wisiało jeszcze dość wysoko nad horyzontem. Trzy tysięczne grupy żołnierzy stały na błoniach pod zamkiem, czekając na rozkaz ataku. Byli to dobrze wyszkoleni i uzbrojeni żołnierze z największym doświadczeniem. Każdy z nich nosił tradycyjne dla Tolimurai czarne mundury. Nie mieli w zwyczaju nosić zbroi, dlatego jedyną ich ochroną były kolczugi i przeszywanice podbijane grubą wełną i cienkimi blaszkami. Przy szerokich pasach przytroczone mieli krótkie, zakrzywione noże i pochwy z jednoręcznym mieczem pozbawionym jelca. Na plecach każdy z żołnierzy niósł niewielki worek, w którym znajdował się podstawowy prowiant. Zapasy na dalsze dni misji mieli zdobywać po drodze. Ustawieni w oddziałach czekali w zapadającym powoli zmroku.

Hex wyszedł przez zamkową bramę i niosąc ze sobą swój ogromny topór, stanął przed żołnierzami.

– Zostaliście wybrani spośród wielkiej armii – mówił, trzymając broń opartą o ramię. – Wasze zadanie nie jest łatwe, ale zaufanie, jakie w was pokładam, jest bezmierne. Liczę, że zrobicie wszystko, co w waszej mocy, żeby wykonać rozkazy. Jak doskonale wiecie, jednym z fundamentów Sag Bas jest Drzewo Śmierci, które czerpie swą wieczną moc ze Źródła Życia. Dlatego idąc do walki, nie obawiajcie się śmierci, nie drżycie przed nią. Wiedźcie, że Sag Bas to wieczna droga równowagi między życiem i śmiercią. Zatem idźcie i walczcie, zabijajcie, palcie i siejcie terror. Ogień, który dzięki wam zapłonie, wypali wszelkie zło blokujące przepływ równowagi Sag Bas. Ogień, który wy zapalicie, rozleje się na cały świat, niosąc ze sobą Sag Bas! To wasza odwaga i ofiarność poniosą nas do zwycięstwa i przywrócą świat na właściwe tory! – Wyrzucił w górę dłoń dzierżącą topór, a salwa okrzyków odpowiedziała mu hukiem entuzjazmu.

Żołnierze wyciągnęli miecze z pochew i unieśli je wysoko w górę, wiwatując i salutując swojemu władcy. Kapłanki patrzyły z podziwem na to, jak Hex jednym krótkim przemówieniem zmotywował tych ludzi i rozpałił w nich wolę walki. Wiedziały, że w razie problemów może użyć swoich mocy, by wesprzeć atakujących, by obserwować ich poczynania czy wydawać im nowe rozkazy. Oni też o tym wiedzieli, ale jeszcze nie widzieli tej mocy w praktyce. Władca opuścił topór, a po chwili gwar ucichł zupełnie i dowódcy specjalnych oddziałów poprowadzili swoich

podwładnych w kierunkach wyznaczonych przez Ahgę. Odgłosy kroków marszu niosły się po okolicy. Hex jeszcze dłuższy czas patrzył w dal, aż wreszcie przerwała mu Juvi.

– Myślisz, że im się uda? – zapytała.

– Oczywiście – odparł, nie zerkając nawet na kapłankę. – Nie zdążą dotrzeć do największych miast. Nigus już wcześniej zdecydował się podjąć otwartą walkę. Nie będzie miał innego wyjścia. Z tego, co dowiedziałem się o Yelayinie, to u nich strach przed wojną jest jeszcze większy. Dlatego będą chcieli, by jak najszybciej wystawił wojsko i pokonał najeźdźców, ale nie wiedzą, że tym razem to najeźdźcy zwyciężą.

– Obyś miał rację, chłopcze. – Położyła dłoń na jego mocarnym ramieniu.

Minęło ledwie kilka dni, kiedy do zamku zaczęły spływać oficjalne pisemne raporty z działań grup wysłanych, by siać grozę na terenie Yelayinu. Nie były one jednak potrzebne, i to nie tylko ze względu na umiejętności Hexa, który mógł podglądać działania żołnierzy w czasie rzeczywistym, ale także ze względu na słupy dymu unoszące się nad spalonymi wioskami. Horyzont Yelayin co jakiś czas wzbogacał się o kolejny słup dymu. Władca Tolimurai obserwował to z okien swojej komnaty na najwyższym piętrze wieży zamkowej. Za jego plecami, przy dużym okrągłym stole siedziały kapłanki. Na blacie Ahga rozłożyła mapę i przesuwiała po niej chorągiewki wbite w korek.

– Mosso – odezwał się Hex, przerywając rozmowy kapłanek. – Weź kartkę papieru, pióro i kałamarz. Myślę, że do Nigusa wieści już dotarły. Czas przedstawić mu kolejny rozdział historii.

– Odpowiesz mu obelgami? – Iv nie kryła podekscytowania.

– W żadnym wypadku. – Nie odwrócił się, ale po głosie dało się poznać, że się uśmiechnął. – Jestem wybrańcem mającym naprawić świat, nie mogę sobie pozwolić na listy w stylu jakiegoś pastucha.

– Możesz dyktować. – Mossa usadowiła się z piórem w dłoni.

– Do Nigusa, władcy Yelayinu – zaczął mówić. – Zgodnie z waszym życzeniem wojna się rozpoczęła. Moje oddziały kierują się do największych miast, po drodze paląc każdą wioskę i zabijając każdego Yelayińczyka, jakiego zobaczą. Daję ci jednak szansę pokazania, że jesteś władcą, który dba o swoich obywateli. Zakończymy tę wojnę szybko, jedną bitwą. Pierwszego dnia jesieni w miejscu zaznaczonym na dołączonej do tej wiadomości mapie moje wojska będą oczekiwać wojsk Yelayinu. Starcie w tej bitwie rozstrzygnie losy wojny. Jeśli przegramy, wrócimy do swojego

kraju i nigdy więcej nie będziemy was nękać, masz na to moje słowo. Natomiast jeśli wygramy, ustąpisz i oddasz mi władzę. Propozycja jest wyjątkowo uczciwa. Nie czekam na list z odpowiedzią, będę czekał w otwartym polu. Jeśli się nie stawisz z armią, będziemy kontynuować palenie wiosek i zabijanie twoich poddanych. – Odwrócił się. – Dopisz to, co na końcu listu jest potrzebne, i gotowe.

– Wskazałeś mi miejsce i czas i co dalej? – zapytała podejrzliwie Juvii.

– Poczekamy aż nadejdzie ten czas, armia stanie w tym miejscu i dalej postąpimy według planu – odpowiedział bez emocji.

– Przecież ty mu dajesz szansę na zwycięstwo! – krzyknęła. – Zna te tereny lepiej od nas! Może rozlokować swoje oddziały w różnych miejscach. – Juvii stuknęła palcem w mapę. – Będzie miał na to czas i możliwości! Wokół wskazanego przez nas miejsca może wykopać wilcze doły, zastawić pułapki. Wystarczy, że rozleje jakiś olej na trawę, a potem wystrzeli jedną podpaloną strzałę i jest po nas!

– Więcej wiary, kapłanko. – Hex uśmiechnął się, a jego twarz przybrała złowieszczy wyraz. – Do czasu bitwy nasze oddziały będą już daleko i podejrzewam, że Nigus nie będzie ryzykował wysyłania samobójczych misji, by wykopać kilka dołów w trawie. Ten list i te ogniska mają wygnać z ukrycia przywódcę i jego najlepszych wojowników. Żeby podbić cały świat, będziemy potrzebować ludzi. Żeby Sag Bas mogło rosnąć w siłę i nabierać mocy, będziemy potrzebować ludzi. Żadna wiara nie może istnieć bez wyznawców. Nie możemy jednak liczyć na to, że uda się wykonać nasz plan bez krwawej ofiary. Musicie zrozumieć, kapłanki, że częścią waszego bytu jest walka i nie możemy z niej zrezygnować. Wydamy bitwę Nigusowi i będzie to bitwa na naszych warunkach. To, że będzie mógł się do niej lepiej przygotować, nie ma najmniejszego znaczenia. Właśnie dlatego wyślę taką wiadomość. On pomyśli tak samo jak wy. Uzna, że lekceważy jego możliwości, że będzie miał czas na przygotowania. Zastawi pułapki, wykopie doły, będzie tak gotowy jak nigdy wcześniej. A wtedy my złamiemy jego ducha jednym prostym manewrem. Jeśli ktoś od początku skazany jest na porażkę, nie ma nic do stracenia, to w bitwie jest niezwykle groźny. Jest w stanie wznieść się ponad swoje możliwości, walcząc w furii, pogodzony ze śmiercią. Natomiast w tym wypadku dam mu wiarę w to, że wygra, a potem tę wiarę w nim zniszczę. Nim zdąży się pogodzić ze śmiercią, wyzwolić pokłady nadludzkich sił, będzie już za

późno. Człowiek złamany nie będzie się bronił tak zaciekle, a być może nawet uda nam się zyskać coś więcej.

– Co takiego? – Mossa ścisnęła pióro, słuchając z przejęciem wypowiedzi Hexa.

– Niech to, póki co, pozostanie tajemnicą. – Machnął piórem, wykonując zamaszty podpis pod listem napisanym przez Mosę, i odwrócił się ponownie w stronę okna. – Każcie wybrać najszybszego ptaka i wyślijcie ten list do Nigusa.

## Rozdział XXI

Rycerze gwardii królewskiej biegali od komnaty do komnaty i wywracali wszystko do góry nogami, wykonując rozkaz króla. To było elementem ich przysięgi, przez co w historii zdarzało się już, że wykonywali absurdalne zadania. W kronikach zapisano, że bardzo dawno temu jeden z władców Erskinu nakazał swojej gwardii złapać i żywcem oskubać wszystkie koguty w mieście. Ptaki, rzekomo, miały pod piórami nosić przepowiednię dotyczącą przyszłości kraju. Oczywiście żadnej przepowiedni na ptasich skórach nie było, ale rozkaz został wykonany.

Tym razem jednak nie było to nic niedorzecznego. Król Kastil rozkazał przetrząśnięcie zamku i miasta, by odnaleźć księcia Pandeya. Następca tronu Barbasu zniknął nagle bez jakiejkolwiek zapowiedzi przed terminem wyjaśnienia sprawy drewna. Rycerze i strażnicy więzienni z zamku zostali wysłani do przeczesywania miasta i terenów wokół niego, a gwardia musiała sprawdzić wewnątrz twierdzy wbudowanej w zbocze góry. Król czekał na wyniki działań w sali narad, nerwowo przechadzając się od ściany do ściany. Towarzyszył mu uczony Iskel, który co chwila przeczesywał palcami siwą brodę.

– Powiniennem to przewidzieć – mruczał Kastil, chodząc.

– Nie słyszałem, żeby jakikolwiek król był jasnowidzem – parsknął Iskel.

– Ale ja jestem władcą! – ryknął. – Muszę wiedzieć więcej niż wszyscy inni!

– To nie działa w ten sposób, mój królu. – Iskel zachowywał całkowity spokój. – Władca ma wiedzieć, to prawda, ale przede wszystkim ma reagować na to, czego się dowiedział.

– Właśnie! A ja nie zareagowałem! Dałem mu czas, środki...

– Zareagowałeś tak jak trzeba. – Uczony spojrzał na niego. – Wysłuchałeś zdania jednej strony, więc dałeś szansę przedstawicielowi kraju sojuszniczego, by rozpoznał sprawę i mógł ją wyjaśnić. To było oczywiste, że siedząc w Erskinie, nie mógł tego zrobić od razu, więc musiał wysłać



listy. Poza tym, mój królu, nic jeszcze nie wiadomo. Mamy niejasną sprawę dotyczącą handlu między Erskinem i Barbasem oraz niejasne zniknięcie księcia Pandeya. Nie wiemy, czy nasze domysły dotyczące intrygi zgotowanej przez Vizeya są zgodne z prawdą.

– Ale przecież to oczywiste, Iskelu... – Król uderzył pięścią w ścianę. – Zrobił wszystko, co miał do zrobienia w Erskinie, i uciekł.

– A co miałyby tutaj do zrobienia?

– Mógł zbierać informacje! – wtrącił król.

– Owszem, ale czy miał szansę dowiedzieć się czegoś bardzo ważnego? – Uczony nie czekał na odpowiedź i dodał: – Raczej nie. Nie prowadzimy ukrytej polityki, sojuszów za plecami, nie szykujemy wojny, nie planujemy nic, co można by było wykorzystać przeciwko nam.

– Dlaczego oni go jeszcze nie znaleźli... – Kastil niespodziewanie zmienił temat. – Pandey różni się przecież od nas, poza tym nikt nie ukrywałby mieszkańca Barbasu. Kiedy tylko rozeszła się wieść, że wojsko go szuka, to wyleciałby z hukiem ze swojej kryjówki. Trzeba zacząć pościg!

– Pościg nic nam nie da. – Iskel rozłożył ręce. – Możemy najwyżej próbować przechwycić go na granicy, ale będzie to bardzo trudne. Granicę porasta las, jest bardzo długa, a zaludnienie tam niewielkie, nie mówiąc już o ilości żołnierzy.

– Musimy spróbować. – Król klasnął w dłonie. – Szybko wyślemy ptaki do wszystkich miast i twierdz na wschodzie. Nie ma na co czekać! – Młody władca wybiegł z komnaty, trzaskając drzwiami.

Zmrok zdążył nadejść nad górę Ersk, a Theus Merik stał przed obliczem władcy, jako dowódca gwardii królewskiej, i czekał, by złożyć raport z poszukiwań. Rycerz został dowódcą po zwycięstwie w turnieju rycerskim uświetniającym ceremonię koronacji. Poprzedni dowódca postanowił oddać tytuł ze względu na zaawansowany wiek.

– Wasza miłość! – Merik zameldował z ukłonem. – Przeczesał każdy zakamarek zamku i miasta, ale nie udało się znaleźć księcia Pandeya. Żołnierze weszli wszędzie, do każdej piwnicy i na każdy strych, obywatele nie robili problemów, ale nie znaleziono nikogo, kto byłby chociaż podobny do poszukiwanego.

– A jakieś ślady? Tropy? – zapytał uczony.

– Komnatę sprawdziliśmy od podłogi po sufit. Na drzwiach nie ma żadnych śladów, w pokoju panował rozgardiasz, ale wyglądało to raczej na pospieszne pakowanie najważniejszych rzeczy niż walkę z porywaczem –

mówił żołnierz, spoglądając raz na króla, raz na Iskela. – Przez spędzone tutaj miesiące poruszał się po zamku swobodnie, więc nikt nie zwrócił większej uwagi na to, czy wychodził gdzieś nocą. W mieście kilka osób widziało postać jadącą na koniu. Podobno kierowała się na wschód.

– Jakie to osoby? – Kastil wyprostował się.

– Kilku pijaków, piekarz, handlarka. – Rycerz rozłożył ręce. – Nikt nie jest przekonany, że to był książę Pandey. Uważają, że to mógł być on, ale pewności nie mają.

– Ale można założyć, że udał się na wschód – stwierdził Kastil, patrząc na Iskela. – Bo przecież dokąd miałby jechać? Zrobił tutaj wszystko, co miał do zrobienia, i wraca do kraju.

– Ale nie spodziewa się, że cała granica będzie obstawiona wojskiem, które zatrzyma każdego chcącego przedostać się do Barbasu – dodał z uśmiechem dowódca gwardii. – Wszyscy wiedzą, co mają robić, a miasta na wschodzie mają najlepszą obsadę.

– Najlepsza obsada może nie wystarczyć... – szepnął król.

– Wasza miłość! – Theus Merik wyprostował się gwałtownie, aż jego pancerz zatrzeszczał. – To tylko jeden człowiek, w dodatku różniący się wyglądem od mieszkańców Erskinu. Jestem też przekonany, że słabiej zna tereny, przez które będzie musiał podróżować. No i, z całym szacunkiem, jest księciem, a nie żołnierzem. Nie brał udziału w żadnej wojnie, nie wie, jak się ukryć w lesie... Chciałem powiedzieć, że znajdziemy go, wasza miłość.

– Obyś miał rację, generale... – Kastil westchnął.

Ulev Throdergad krążył po swojej komnacie, strasząc ptaki. Krzątał się, rwąc włosy z głowy, siadając i wstając, podchodząc do okna i zaglądając do ptasich klatek.

– Co ja mam zrobić... – mruczał do siebie. – Muszę napisać do ojca, ale... Tyle się wydarzyło. Jak to napisać, żeby zrozumieli. Jak to napisać...

Usiadł przy stoliku i sięgnął po kałamarz. Zaostrzył orle pióro i długo drapał się po głowie, zanim postawił na kartce pierwsze litery. Pisał, kreślił, znowu pisał przez dłuższy czas i dopiero kiedy obok niego znalazła się już spora sterta pogniecionych kartek, odłożył pióro. Posypał swój list piaskiem i podniósł się, stając przy oknie.

– Chyba tak będzie dobrze, chyba wszystko rozumieją. – Wpatrywał się w kartkę. – Muszę jeszcze przeczytać, czy wszystko tam jest, czy nie pominąłem czegoś, co mogłoby być ważne dla króla...

Do K.

Kastil kazał Pandeyowi sprawdzić, co się stało, że kupcy nie kupują drewna. Ten kazał mi wysłać listy wszędzie z takim pytaniem, ale żadna odpowiedź nie przyszła. Zwlekał do końca i wreszcie podobno uciekł. Kastil zarządził olbrzymie poszukiwania. Całe miasto i cały zamek przetrząsają rycerze, u mnie na szczęście nic nie znaleźli. Kazał wysłać listy na wschód z rysopisem Pandeya i z rozkazem patrolowania granicy i zatrzymaniem każdego, kto będzie chciał przez nią przejechać. Słyszałem, że go nie znaleźli ani w mieście, ani w zamku. Mówili, że to jakiś spisek Barbasu. Boją się, co się stanie dalej. Ja też nie wiem. Proszę o kolejne zadanie. Mam informować nadal?

U.

Złożył list na pół, potem jeszcze raz i zwinął w niewielki rulonik. Podszedł do ściany klatek i przyglądał się najróżniejszym ptakom siedzącym za drewnianymi kratkami.

– Najszybsze ptaki wysłałem na rozkaz króla – mówił do siebie. – Przez to ta wiadomość nie trafi do ojca tak szybko, jak powinna. Muszę się zastanowić...

Sięgnął po czarnego jak smoła kruka, wrzeszczącego i próbującego wyrwać się z jego uścisku. Chwytał ptaka, uważając na skrzydła, i przyłożył usta do jego głowy. Szeptał słowa, które pocztowi przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie, i ptak, choć początkowo próbował dziobać, uspokoił się. Ulev trzymał go już tylko w jednej dłoni i cały czas powtarzając słowa, przywiązał krukowi do nogi niewielką torbę, do której schował swój list. Uspokajając ptaka nieustannie, doszedł z nim do okna w wieży. Wychylił się i poczuł na twarzy chłodniejsze wieczorne powietrze zwiastujące nadchodzące deszcze. Rozłożył dłonie, a kruk poderwał się do lotu. Zakołował nad wieżą i wybrał właściwy kierunek. Jego czarne pióra szybko przestały być widoczne na tle nocnego nieba. Pocztowy oparł się o parapet i oddychał głęboko.

Przez kolejne przedpołudnie Kastil ślęczał nad mapami, analizując trasy, którymi Pandey mógł uciekać. Można było tylko przypuszczać, że skierował się najkrótszą drogą na wschód. Kastil nie przespał nocy. Nie mógł zmrużyć oka, myśląc o tym, co może się stać w niedługim czasie, jaką intrygę uknuli władcy Barbasu i jakie konsekwencje ona ze sobą przyniesie. To, co się wydarzyło ostatnio, przytłoczyło go i sprawiło, że chętnie

oddałby władzę w ręce Iskela i odsunął się w cień. Wiedział jednak, że to niemożliwe.

Siedział w czytelni przy owalnym stole, na którym rozłożono wielką mapę Erskinu. Głowę opierał na pięści i tępym, zmęczonym wzrokiem patrzył na ścieżki biegnące przez erskińskie lasy. Jego rozmyślania przerwało pukanie do drzwi. Zdobione drewniane drzwi uchyliły się lekko i do pomieszczenia weszła Rollo. Dziewczyna miała upleciony na głowie gruby jasny warkocz, a ubrana była w zwiewną letnią sukienkę z żółtego sukna z obszywanym koronką dekoltem. Na nogach miała rzemieniowe sandały.

– Nie przeszkadzam? – zapytała cicho.

– Wejdz – odpowiedział, ledwo na nią zerkając. – Sprawdzam możliwe szlaki ucieczki.

– Właśnie o tym chciałam porozmawiać. – Dziewczyna zamknęła za sobą drzwi i podeszła do stołu.

– O czym? – Kastil wyprostował się.

– O Pandeyu, tej jego ucieczce, intrydze. – Rollo spuściła wzrok. – Spotkałam uczonego Iskela i on mówił, że każda informacja może jakoś pomóc, ale nie miał czasu, by mnie wysłuchać, i odesłał mnie do ciebie.

– Sam już nie wiem, czy te informacje na cokolwiek się nam zdadzą. – Młody król przetarł oczy.

– Bo kiedy ty nie miałeś czasu, byłeś zajęty swoimi obowiązkami – mówiła, unikając patrzenia Kastilowi w oczy – on spędzał ze mną dużo... czasu. Rozmawialiśmy, chodziliśmy na spacer, ale nic nie mówił o tym, że chciałby uciec. Raczej wspominał, że dobrze się tutaj czuje i że nie chciałby, żeby ojciec odwołał go do Barbasu.

– Jak widać kłamał. – Król wykonał dłonią nieokreślony gest.

– Tak, tak to wygląda, chociaż nie wiem. – Rollo pokręciła głową. – On często pytał mnie o ciebie, o to, o czym rozmawiamy, był ciekaw, czy nam się układa, w sensie jako parze. Dopytywał, czy planujemy coś wspólnie i czy mój niższy stan nie jest przeszkodą...

– Dlaczego tak bardzo się tym interesował? Próbował zdobyć twoje serce? – obruszył się Kastil.

– Nie, nie – zaprzeczyła nerwowo. – Był mi przyjacielem i stąd te pytania. Tak mi się wydaje.

– Dobrze. – Westchnął. – A czy chcesz mi powiedzieć coś, co rzeczywiście może mieć jakieś znaczenie dla sytuacji, w jakiej znalazł się

Erskin?

– Tak, to znaczy chyba tak, bo... – Zawiesiła głos na dłuższą chwilę. – On w tych rozmowach tak mnie zagadywał, że ja mu mogłam czasami zdradzić coś, o czym mi mówiłeś...

– To znaczy? – Odwrócił się do niej z zainteresowaniem.

– Pamiętasz, jak czasem nie wiedziałeś, co zrobić, i głośno myślałeś, kiedy spacerowaliśmy, albo jak opowiadałeś mi, co się działo na tych oficjalnych spotkaniach... Kto jakie wrażenie robił, kto co chciał zyskać, kto o co prosił...

– Nie... – szepnęła, zakrywając dłonią oczy.

– Nie robiłam tego celowo, po prostu on miał czas i... rozmawiał ze mną, i... pytał o twoje decyzje, bo chciał się uczyć, jak być dobrym królem... – Łzy zaczęły napływać jej do oczu, a głos coraz bardziej się załamywał i grzął w gardle.

– Tidur mnie ostrzegał, a ja... – mówił ledwo słyszalnie Kastil. – Byłem takim głupcem... To wszystko moja wina... Mówił, że spędzasz z nim dużo czasu, że często was razem widuje i że dużo rozmawiacie, a ja byłem na tyle głupi, że mu nie uwierzyłem. Powinienem zaufać przyjacielowi, a ja zaufałem... – Podniósł na nią czerwone oczy i zamilkł. – Gdybym nie był głupcem, to nie opowiadałbym dziewczce o tym, co powinno zostać za drzwiami sali narad. Gdybym nie był głupcem, to nie musiałbym teraz szukać tego barbaskiego szczura i nie sprowadziłbym zagrożenia na kraj, który miałem mieć w opiece.

– Kastilu... – Wielkie łzy spływały Rollo po policzkach. – Ja naprawdę nie chciałam, nie sądziłam, że on może być zły i wykorzystać to...

– Nie powinnaś mieć nawet dostępu do wiedzy, którą się z tobą dzieliłem. – Wstał od stołu ze śmiertelnie poważną twarzą. – Przyjąłem cię pod swój dach, traktowałem jak gościa, chociaż jesteś tylko zakładnikiem. Chciałem złamać obyczaj i związać się z kimś twojego stanu, ale to wszystko było błędem, było olbrzymim błędem. Mam tylko nadzieję, że jego konsekwencje nie dotkną tego kraju, bo nie jego winą jest to, że ma głupiego władcę. – Ruszył do drzwi.

– Kastilu... – Rollo próbowała go dotknąć.

– Nie! – warknął, chwytając ją za przedramię mocnym uściskiem. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, czego się dopuściłaś, mówiąc mu o tym wszystkim? To była zdrada, karą za zdradę jest śmierć...

Puścił ją i wyszedł szybkim krokiem, czarna peleryna powiewała za nim, a Rollo została w komnacie, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w jego plecy. Strumień łez płynął po jej twarzy, a serce łomotało w piersi. Chciała pobiec za nim i błagać o litość, o przebaczenie, chciała jeszcze raz mu wszystko wytłumaczyć, ale nie starczyło jej na to sił. Osunęła się tylko na podłogę, podciągnęła kolana pod brodę i głośno szlochała.

Dni w siodle mijały zatrważająco szybko. Nie zatrzymywał się nigdzie na dłużej i jeśli tylko księżyc nie chował się za chmurami, podróżował nawet nocą. Pędził przed siebie na złamanie karku, by umknąć ewentualnej pogoni. Postanowił uciec nocą, zaraz po tym, jak wszyscy pójdą spać. To dawało mu najwięcej czasu, by oddalić się od miasta, nim ktokolwiek zorientuje się, że zniknął.

Kilka dni przed wyjazdem po kryjomu zbierał zapasy i upychał je w swojej komnacie tak, by nawet służące nie mogły ich znaleźć. Zebrał wszystko w pośpiechu, upychając do podróżnego wora, i wyprowadził konia ze stajni. Przejazd przez miasto po zmroku nie stanowił najmniejszego problemu. Drogi Erskinu były dobrze utrzymane, a noc jasna ze względu na pełnię księżyca, dlatego szybko udało mu się dotrzeć do granic puszczy porastającej wschód kraju. Tam droga nie była już tak dobra. Setki kół wozów z ciężkimi pniami drzew wyjeżdżyły trakt.

– Ściemnia się... – powiedział pod nosem. – I chmury zakrywają niebo. Las coraz gęstszy, chyba trzeba będzie zrobić przerwę...

Zwolnił i stanął w strzemionach, rozglądając się po ciemniejszym lesie. Po kilku minutach wolniejszej jazdy udało mu się dostrzec polanę schowaną za gęstymi zaroślami. Miejsce to było osłonięte od drogi przez rozłożyste i zielone krzewy borówek, z drugiej strony okalały je ciasno rosnące drzewa liściaste. Zeskoczył z siodła i poprowadził konia między roślinami, przywiązał go do jednego z konarów i zdjął z siodła tobołek. Na równej trawie rozłożył gruby pled, na który rzucił koc. Rozsiadł się na kocu i wyciągnął z worka kawałek suszonej kiełbasy i pół chleba. Przeżuwał spokojnie, popijając od czasu do czasu łykiem wina z bukłaka.

– Jeśli nikt w zamku mnie nie widział, to zaczęli szukać dopiero w porze śniadania – mówił, rozkładając mapę. – W tym czasie ja dojeżdżałem już do lasu... Na pewno zawiadomili Skogskin, że mogę w tamtych okolicach próbować przejechać do Barbasu, to najszybsza droga. Tymczasem ja udałem się w kierunku Vantahalu, ale nie bezpośrednio do miasta, bo to mogłoby ich naprowadzić na mój trop zbyt łatwo. – Kasztanowy koń

przyglądał mu się, żując trawę. – Jeśli ptak nie zaginął po drodze, to spotkam tam swoich żołnierzy wdzierających się już do tego kraju. Z tej mapy wynika, że muszę odbić z tej ścieżki na tę, która prowadzi na północny-wschód.

Zwinał mapę narysowaną na krowiej skórze i wrzucił ją do tobołka. W lesie robiło się coraz ciemniej, a odgłosy ptaków cichły, oddając pole innym dźwiękom natury, zdecydowanie mniej przyjemnym. Pandey rozejrzał się podejrzliwie, ale zobaczył, że jego koń nie jest przestraszony, i odetchnął z ulgą. Skończył posiłek, zagryzając ostatni kawałek kiełbasy chlebem, pociągnął spory łyk wina, a bukłak położył sobie pod głowę. Narzucił na siebie koc i wpatrując się w zachmurzone niebo, powoli zapadał w sen.

Głosy burzliwej dyskusji rozchodziły się echem po sali tronowej. Główne pomieszczenie zamku w Erskynie zostało otwarte w dniu powrotu władcy z wojny i od tego momentu każdy mógł do niego wejść. Tego dnia jednak Kastil zarządził zamknięcie sali i zwołał w niej naradę z najbliższymi doradcami. Siedział na podłodze, opierając się plecami o kamienną podstawę tronu. Jego czarny kaftan był do połowy rozpięty, a pot pokleił mu czarne włosy. Na podwyższeniu tronowym leżał Tidur Dealin, jedna z jego nóg zwisała bezwładnie. Iskel siedział w ławie obok dowódcy gwardii królewskiej.

– Jak to jest możliwe, że nadal nie ma żadnych wieści? – mówił nerwowym tonem król.

– Dostaliśmy odpowiedź o tym, że granica jest uszczelniona i patrole żołnierzy sprawdzają tereny pogranicza – odpowiedział generał Merik. – Nie miał szans się wymknąć.

– Jesteś pewny, że nie miał szans? – wtrącił Dealin. – Może tym razem też zwiódł kogoś z twojego otoczenia?

– Nie godzi się tak mówić do władcy! – Theus Merik zerwał się z ławy.

– Spokój! – warknął Kastil. – Wszyscy dobrze wiedzą, że to moja wina. Gdyby nie mój długi język, to nic by się nie wydarzyło. Nie miałby czego meldować ojcu!

– Tego akurat nie wiemy, mój królu – wtrącił uczony. – Być może te rozmowy w ogóle nie miały znaczenia. Być może nie o informacje chodziło w tej intrydze.

– Być może, być może... – Tidur bujał nogą. – A gdyby posłuchał przyjaciela i wyrzucił tego zdrajcę z kraju, to nic takiego by się nie

wydarzyło.

– Książę Pandey nigdy nie był w takiej sytuacji, nie podróżował sam przez nasze puszcze, a żołnierze znają je jak własną kieszeń, większość z nich wychowywała się tam, biegając z łukami za wiewiórkami od najmłodszych lat. – Uczony puścił słowa księcia mimo uszu. – Nie ma możliwości, żeby im umknął. Oczywiście jeśli wybrał się w tym kierunku i dotrze do granicy. Istnieje możliwość, że zginął po drodze.

– Złapcie go! Nie obchodzi mnie, w jaki sposób to zrobicie, ma tutaj być i tyle! – Król zerwał się na równe nogi i już miał wyjść z sali, ale podbiegł do niego zdyszany pocztowy.

– Wasza miłość! – Ledwo zatrzymał się przed Kastilem. – Nie chcę przeszkadzać... Ze Skogskinu przyleciał jastrzębiem...

– Daj tę kartkę! – Kastil wyszarpał mu pognieciony papier z dłoni. – Możesz odejść.

– To na pewno meldunek o tym, że pojмали go, wasza miłość – zawołał podekscytowany Theus.

– Zaraz zobaczymy, co tutaj jest napisane – zaczął czytać na głos Kastil. – Wasza miłość! Las na granicy między Erskinem i Barbasem został zaatakowany. Wojska Barbasu wdzierają się do kraju. Walczymy, ale błagamy o wsparcie! Dever Monerweh... – Głos króla załamał się, a kartka papieru wypadła mu z dłoni.



## Rozdział XXII

Słońce nie potrafiło wygrać z grubą warstwą ciemnych chmur wiszących nad wyznaczonym przez Hexa polem bitwy. Przygotowania do starcia przebiegły zgodnie z planem. Kilkanaście spalonych wioszek wystarczyło, by przywódca Yelayinu przystał na warunki postawione przez przeciwników i stawił się ze swoją armią w wyznaczonym miejscu. Wojska Nigusa prezentowały się co najmniej skromnie. Zebrał kilka tysięcy mężczyzn, ale tylko nieliczni byli ubrani po rycersku. Może kilkuset miało pełną zbroję płytową, miecze i tarcze, a jeszcze mniej siedziało na koniach.

Ogromną większość stanowili chłopci uzbrojeni w narzędzia rolnicze lub stary, zdobyty w poprzedniej wojnie oręż. Ubrani byli w zwykłe skórzane kurtki, bluzy z wełny i czapki zamiast hełmów. W dłoniach dzierżyli kosy nasadzone na sztorc, topory, widły, cepy czy nawet zaostrzone długie kije. W oddali znalazło się kilkuset łuczników, którzy z domowej roboty łukami i strzałami czekali na rozkaz. Sam Nigus nie wyglądał na władcę. Siedział na czarnym koniu ubrany w kolczugę z kapturem, przy pasie wisiał dwuręczny miecz, a na głowie spoczywała niewielka srebrna korona.

Naprzeciwko armii Yelayinu stanęło wojsko Sag Bas. Na jego czele stał Nir Nait ubrany w czarno-białą zbroję, jego hełm ozdobiło białe drzewo symbolizujące jeden z relikwów religii, za którą walczył. Za jego plecami rozstawiono tysiąc łuczników i cztery tysiące piechurów uzbrojonych w krótkie miecze i ubranych w kolczugi. Po jego lewej stronie gotowało się do boju stu konnych ciężkozbrojnych rycerzy z długimi pikami w urękawiczonych dłoniach. Atmosfera gęstniała coraz bardziej, czemu z oddalonych od pola bitwy zagajników przyglądał się Hex wraz z resztą wojska.

– Dokładnie sprawdzili pole walki? – zapytała go prawie szeptem Ahga.

– Dokładniej się nie da, kapłanko – odparł, nie odrywając wzroku od wojsk.

– Co z wojskami, które oddelegowałeś do ataków na wioski? – pytała dalej.

– Wracają, są już niedaleko – mówił lodowatym tonem. – Jeśli będzie taka potrzeba, zjawią się tutaj tuż po południu.

Hex nie zwrócił uwagi na dyskutujące za nim kapłanki. Opierając się o drzewo, patrzył na Nira i Nigusa czekających na rozpoczęcie bitwy. Ahga udała się w głąb zagajników, gdzie stacjonowała ciężka jazda Tolimurai. Każdy z rycerzy siedział na rumaku okutym w zbroję. Mieli piki, długie miecze i tarcze przy pasach. Niejednorodne mundury stanowiły pozostałość po kiepskiej władzy poprzedniego króla. Hex chciał, by mieli nowe zbroje i walczyli pod jednym herbem i jedną chorągwią, ale na to nie wystarczyło czasu i tylko proporce udało się uszyć jednolite. Czarne flagi z białym drzewem wyrastającym z szarego kamienia, obok którego stał płonący znicz. Proporce wymagały sporo pracy, ale prezentowały się niesamowicie w porównaniu z bardziej symbolicznymi wzorami na innych flagach. Las gęstniał od żołnierzy i ich koni, błyszczał srebrem i stałą ich zbroi i mieczy.

– Ty jesteś tym psim gównem, które ośmieliło się zaatakować mój kraj?! – Ciszę przerwał donośny głos Nigusa. – Założyłeś na łeb jakieś krzaki, zebrałeś tych obdartusów i myślisz, że zdobędziesz naszą wolność?! Podnieś przyłbicę, łajzo! Pokaż swoją mordę, miej chociaż na tyle jaj, by spojrzeć mi w oczy przed bitwą! Pokazuj ten psi ryj! Chcę wiedzieć, na czyje zwłoki będę mógł za chwilę naszczać! Nie podejmę miecza, póki nie podniesiesz przyłbicy!

– Teraz! – Głos Hexa zabrzmiał w głowie Nira.

Nir sięgnął po miecz wiszący u pasa, wyszarpnął go z pochwy, uniósł wysoko w górę i spiął konia, który natychmiast zerwał się do galopu. Zaraz za nim popędzili pozostali konni rycerze. Z nieba spadł deszcz strzał. Zdezorientowani Yelayińczycy nie zdążyli jeszcze podnieść żadnych osłon, a konnica wpadła już między ich szyki. Krzyki i szcęk stali poniosły się daleko, a Hex przyglądał się temu z oddali.

Piechota ruszyła w wyłom, który utworzyła konnica. Mimo braków w uzbrojeniu rywale radzili sobie nadzwyczaj dobrze, wola walki pchała ich do przodu i wyszkoleni żołnierze mieli ogromne problemy, by przełamać ich obronę. Wyszkoleni w walce na miecze mieli wielki problem z narzędziami rolniczymi. Żaden z wojów nie potrafił poradzić sobie z długimi kosami, sierpami czy widłami. Cepy miażdżyły ich głowy osłonięte jedynie kolczym kapturem.

Hex widział, że bitwa jest wyrównana i zwyciężą w niej, ale stracą bardzo wielu ludzi. Odwrócił się od zalanej krwią i usłanej ciałami polany i wskoczył na ogromnego czarnego konia. Kapłanki zrobiły to samo.

– Jedziemy! – Wszyscy schowani żołnierze usłyszeli rozkaz w swoich umysłach. – Utworzyć klin, ale nie atakować. Zaufajcie mi, jazda!

Spiął konia, a jego wielki bojowy rumak ruszył, rozpędzając się z każdym krokiem. Hex miał na sobie swój ulubiony strój, bez żadnego opancerzenia, a w rękę dzierżył topór. Trzymał go wysoko nad głową, a jego ludzie podążali za nim galopem. Wojska Sag Bas będące w kotle bitwy zaryczały potężnym okrzykiem, widząc zbliżające się wsparcie. Nowy duch wstąpił w żołnierzy, którzy zaczęli przechylać szalę zwycięstwa na korzyść Sag Bas.

– Stać! – rozkazał w myślach, a konie stopniowo wyhamowały. – Nirze, zarządz odwrót.

Dowódca wojsk zakręcił się na koniu, wykonując mieczem młynki nad głową. Żołnierze stopniowo zaczęli wycofywać się ze środka walki, co jeszcze bardziej dezorientowało przeciwników. Yelayińczycy nie wiedzieli, co się dzieje. Przygotowali się na to, że zaraz w ich bok wjedzie ciężkozbrojna szarża, a tymczasem konie zatrzymano, a pozostali ustępują im pola.

– Nigusie! – ryknął Hex. – Nigusie!

Szczęk mieczy cichł powoli, a władca Yelayinu obracał konia, szukając źródła krzyku. Zlokalizował wreszcie olbrzyma siedzącego na koniu. Zdziwił się, widząc go bez najmniejszego śladu zbroi, ale jeszcze bardziej zdziwiło go to, że za jego plecami zobaczył pięć ubranych w białe, zwiewne kombinezony kobiet, uzbrojonych jedynie w jakieś noże. Przeciągłym gwizdem wstrzymał swoje wojska i nakazał im wycofanie się z dala od zasięgu wrogich łuczników. Nir zrobił to samo, a miejsce, w którym toczyli bitwę, zostało puste. Na trawie leżały jedynie setki ciał pokrytych krwią. Hex dał znak dłonią, by jeźdźcy pozostali na miejscu, i wraz z kapłankami ruszył powoli w stronę człowieka z koroną na głowie. Nigus zrobił to samo i wysunął się nieco naprzód w towarzystwie trzech rycerzy.

– Co za chuj śmie przerywać bitwę? – zapytał Nigus, szczerząc się. – Te kurwy to podarek, żebyśmy puścili was wolno?

– Przed bitwą źle założyłeś, kto dowodzi armią. – Hex uciszył dłonią Iv, która chciała odpowiedzieć na obelgi. – Hex, władca Tolimurai i najwyższy kapłan Sag Bas. To ode mnie dostawałeś listy.

– Ha! – Nigus zaśmiał się. – Miałem rację, że jaj ci nie starcza!

– Jeśli spojrzysz za siebie, to zobaczysz, że twoja armia kurczy się coraz szybciej. – Hex puścił obelgę mimo uszu. – Jak widzisz, za mną stoi wielki oddział konnych, a zza twoich pleców w ciągu godziny wyłoni się część mojej armii, która od jakiegoś czasu dobrze się bawi w twoim kraju. Jesteście odważni, walczyście nieźle, ale przewaga liczebna moich wojsk nie pozwoli wam wygrać. Dlatego mam propozycję, by rozstrzygnąć nasz konflikt bez tak wielkiego rozlewu krwi.

– Zmiękła ci fujara? – Nigus aż podniósł się w siodle. – Możemy walczyć i możemy nawet przegrać, ale na pewno się nie poddamy...

– Nie chcę wam proponować kapitulacji – przerwał mu Hex. – W zamian za to proponuję pojedynek. Dwóch twoich wojów kontra dwóch moich. Wybierasz dwóch najlepszych, najtwardszych, najbardziej walecznych. Jeśli wygrają, to bitwa zakończy się naszą porażką, oddamy broń i wrócimy do kraju. Jeśli przegracie, to oddajesz koronę i Yelayin będzie częścią Imperium Sag Bas. Co ty na to?

– Czekaj, czekaj! – Zamyślił się, ściągając czarne, krzaczaste brwi. – Mam twoje słowo, że po moim zwycięstwie oddacie nam broń, pancerze, konie i wrócicie do swojego grajdołu?

– Owszem. – Hex spoglądał na niego twardo.

– Słowo padło przy świadkach. – Nigus podniósł palec zakrwawionej dłoni. – Zgadzam się.

– Wyznacz zatem dwóch swoich ludzi – odparł niemal bez zainteresowania Hex.

– Nie ma się nad czym zastanawiać. – Władca odwrócił konia w stronę swoich przybocznych. – Lewyn i Drum będą walczyć.

Obydwaj mężczyźni nosili pełne płytowe zbroje i długie miecze. Byli wysocy i postawni, ale nic więcej nie można było o nich powiedzieć, bo stal przykrywała dokładnie każdą część ich ciała. Hełmy mieli identyczne, zabudowane ze szpiczastą przyłbicą.

– Mossa i Tia, wasza kolej – powiedział Hex, patrząc Nigusowi prosto w oczy.

– Przeciwno moim rycerzom chcesz baby wystawić?! – oburzył się. – Masz mnie za durnia?! Co ty kombinujesz?!

– Gdybyś przeczytał księgę, którą ci wysłałem, to wiedziałbyś, że kapłanki Sag Bas są również wojowniczkami i mają pełne prawo do pojedynku. – Jego wzrok miażdżył władcę Yelayinu. – Poza tym to chyba

lepiej dla ciebie, że twoi mężni wojowie zmierzają się ze zwykłymi kobietami, prawda?

– Mniejsza z tym. – Nigus machnął ręką. – Jak ktoś ma pusty gar, to nie moja sprawa. Najpierw Lewyn i ty. – Wskazał ręką Mosę.

Kapłanka zeskoczyła z konia, a w jej niewielkich dłoniach błyskawicznie pokazały się dwa sztylety Kati. Rycerz z trudem zszedł ze swojego wierzchowca i sięgnął po długi miecz.

– Walczymy na śmierć i życie – odezwał się do Nigusa Hex.

– Ta... – mruknął tamten.

Nie mógł oderwać wzroku od krągłego ciała Mossy, ukazującego się pod prześwitującym kapłańskim strojem. Dziewczyna okrążała rycerza spokojnymi, niemal kocimi ruchami. Jej czarne, kręcone włosy falowały przy tym delikatnie. Ciężkozbrojny rycerz obracał się w miejscu, trzymając miecz wysoko. Nie zlekceważył jej tak jak jego suweren.

– Te nożyki nie przebiją zbroi. – Zaśmiał się. – Szkoda kroić takie ładne ciało.

Mossa nie słuchała jego zaczepek i cały czas okrążała Lewyna. Po zakończeniu trzeciego kółka doskoczyła nagle do niego szybkim i dalekim susem. W ostatniej chwili odbiła na swoją prawą rękę i ciężki miecz spadł na ziemię, wbijając się w trawę. Również w trawie ugrzązł but rycerza. Krążąc, zakopał się nieco, co przeszkodziło mu w dokładnym natarciu w kontrze. Kapłanka odbiła się z prawej nogi i wbiła sztylet głęboko w szyję przeciwnika, tuż przy obojczyku, w miejsce prześwitu w pancerzu. Przez chwilę przytrzymała się opadającego na kolana ciała i zgrabnie wylądowała na ziemi. Na jej białym kostiumie, w miejscu trafienia, pojawiła się krwawa plama. Lewyn upadł twarzą w trawę i już więcej nie drgnął, a kapłanka nawet nie spojrzała na pokonanego.

– Co!?! – wydarł się Nigus. – To jest kpina! Sztuczka! Oszustwo! Czary!

– Nie, Nigusie. – Hex zachowywał spokój. – To Sag Bas, do której dołączenie ci proponowałem.

– Psu w rzyć! – zaklął. – Drum! Stawaj do walki! Jak przegrasz, to sam cię zabiję!

Tia, nieco ociągając się, zeszła z konia i stanęła naprzeciw wrogiemu rycerza. Drum nie był tak powściągliwy jak jego towarzysz i tym razem to on zaczął atak. Nacierał na kapłankę, uderzając mieczem raz z prawej, a raz z lewej strony. Tia balansowała ciałem w taki sposób, że ostrze nie mogło jej dosięgnąć. Cofała się, uważnie stawiając stopy i cały czas

obserwując ruchy przeciwnika. Rycerz wyhamował i spróbował cięcia z góry, ale miecz wbił się w ziemię. Szybko wyjął broń i wzbijając grudy torfu w powietrze, zablokował nieśmiałą próbę uderzenia sztyletem.

– Czekaj, niech się zmęczy. – Usłyszała w głowie głos swojego władcy.

Zaprzestała zatem prób ataku i odstąpiła pola rycerzowi. Ciężka zbroja krępowała jego ruchy i w każde uderzenie musiał wkładać coraz więcej energii. Płynne, niemal taneczne uskoki irytowały Druma, który machał bronią z jeszcze większą zajadłością. Przy kolejnym cięciu znad głowy rycerza pojawiła się szansa dla kapłanki. Skoczyła do niego z taką szybkością, że koń Nigusa spłoszył się i potruchtął w miejscu. Przejechała ostrzem pod prawą pachą, w miejscu gdzie zbroja płytowa nie chroniła ciała Druma. Ostrze Kati płynnie przecięło wełnianą kurtę i krew zaczęła spływać po stali. Tia odbiegła od zataczającego się rycerza i chwyciła się za prawą pachę, spod której sączyła się krew. Rycerz upuścił miecz i zatoczył się w stronę Nigusa. Po czterech chwiejnych krokach padł na trawę tuż pod nogami konia, na grzbiecie którego siedział władca Yelayinu.

– Wygląda na to, że przegrałeś. – Hex spojrzał na Nigusa lodowatym wzrokiem.

– Gówno! – wydarł się. – To są jakieś magiczne sztuczki! To jest jakieś oszustwo! Takie cięcia nie zabiłyby nawet psa! Domagam się normalnej walki! Zgodnie z obyczajem!

– Obyczajem? – Hex zaśmiał się. – Zachciało ci się, Nigusie, powoływać na zachodnie tradycje? Powtórzę, że gdybyś w swej łaskawości raczył przeczytać księgę, którą dostałeś, to wiedziałbyś więcej o Sag Bas. Między innymi o tym, że kapłanki Sag Bas walczą przy użyciu pradawnych sztyletów, które zabijają, gdy tylko przetną skórę. W zamian za tę drobną pomoc na ciele osoby używającej sztyletu pojawia się rana w tym samym miejscu, w które trafiła. Dlatego teraz obydwie lekko krwawią. Te białe stroje są właśnie po to, żeby w czasie bitwy nasiąkły krwią i napawały strachem przeciwników.

– W rzyci mam to twoje gadanie! – Nigus postawił konia dęba. – Domagam się sprawiedliwej walki! Bez tych waszych sztuczek!

– W twojej sytuacji uważałbym na słowa, Nigusie. – Całkowity spokój Hexa jeszcze bardziej wyprowadzał go z równowagi. – Kazałeś mi dać słowo, dałem je. Umowa obowiązuje obie strony. Dlatego teraz złóż koronę u mych stóp, każ swoim żołnierzom oddać miecze i wracaj do swojego domu.

– Prędeż zdechnę tutaj, niż oddam koronę szarlatanowi! – Nigus splunął pod nogi rumaka, na którego grzbiecie siedział władca Tolimurai.

– Chciałem okazać łaskę i pozwolić ci dotrzymać słowa bez rozlewu krwi. – Hex zsiadł z konia. – Odrzuciłeś moją ofertę, złamałeś warunki umowy, ale musisz wiedzieć, że ja jestem władcą, dla którego dobro jego poddanych jest najważniejsze. Wiem już, że nie przekonam cię do oddania mi korony, dlatego mam inną propozycję. Zamiast kłaść na szali życie naszych żołnierzy, sami zmierzmy się w boju. Staniemy naprzeciw siebie w walce na śmierć i życie, a kto wygra, zostanie władcą. Zabójca króla zostaje królem, zgodnie z obyczajem.

– Czym byśmy mieli walczyć? – Nigus wyglądał na zainteresowanego.

– Wybierz coś, w czym czujesz się najlepiej. – Hex chwycił w dłonie swój wielki topór. – Ja wybieram tę broń.

– Co to za symbole? – Władca spojrzał podejrzliwie. – Znowu jakieś sztuczki!

– Nie, to całkiem zwyczajny topór – odparł, obracając drzewiec w palcach.

– Nie wierzę! – warknął.

– W zasadzie to twoja wiara, Nigusie, powinna teraz zejść na drugi plan.

– Patrzył mu prosto w oczy. – Przegrałeś z mocą, o której potędze nie masz pojęcia. Dałem ci jednak kolejną szansę, więc zamiast doszukiwać się podstępów z naszej strony, powinieneś chwycić za miecz i stanąć przede mną gotowy do walki. Gdybym chciał cię zabić podstępem, to wystarczy jedna moja myśl. Nie musiałbym nawet podnosić tego topora.

– W takie cuda to nie uwierzę. – Nigus zarechotał, ale po chwili zadławił się śmiechem.

Trzeci z rycerzy, którzy tworzyli jego przyboczną drużynę, zaczął sinieć i się dusić. Spadł z konia, ściągnął hełm i próbował złapać choć haust powietrza. Dłonie w stalowych rękawicach szarpały zbroję w okolicach gardła, ale nic to nie dało. W pewnym momencie rozluźnił się zupełnie i leżąc na plecach, głęboko oddychał.

– Co ty... – zająknął się Nigus.

– To była próbka, delikatna. – Hex uśmiechnął się złowieszczo. – Myślałem, że zablokowałem ci możliwość oddychania i myślałem, że pozwoliłem ci znowu oddychać. Gdybym zechciał, mógłbym zatrzymać też twój oddech czy twoje serce, ale wolę się zmierzyć w walce.

– Zatem przyjmuję. – Nigus miał rozbiegane oczy.

– Wspaniale – rzekł sucho. – Ale poczekaj, Nigusie. Najpierw wezwiemy tutaj nasze wojsko, by ustanowiło okrąg, w którym dojdzie do starcia.

– Co? A po co ci to? – Władca spojrział na niego z wyrzutem.

– A widzisz, Nigusie. – Hex postawił topór na ziemi i oparł trzonek o udo, dłonie zawiesił na połach kamizelki. – Najwięksi w historii padali wśród aplauzu tłumów i właśnie dla ciebie zamierzam ten tłum zgromadzić. A po drugie chciałbym, żeby wszyscy twoi żołnierze usłyszeli, o co toczy się pojedynek. Głównie po to, by później nie było nieporozumień.

Kilka minut wystarczyło, aby dwie armie utworzyły wielki krąg wokół pola walki. Zostawili dwóm walczącym królom okrąg o średnicy dwudziestu kroków, otoczony szczelnym kordonem tarcz. Proporce Sag Bas powiewały nad głowami żołnierzy Hexa. Nigus w tym czasie uzbroił się w długą, owalną tarczę, zasłaniającą go od stóp do głów, i krótki miecz. Zdjął koronę, którą zastąpił hełm bez przyłbicy. Ciało miała chronić kolczuga o drobnych oczkach z doczepionymi do niej elementami zbroi płytowej na piersiach, plecach i barkach.

Hex ściągnął kamizelkę i stał, trzymając topór w prawej dłoni. Sine ślady na jego skórze sięgały aż do szyi i wzbudzały ogromne zainteresowanie. Każdy, kto wcześniej go nie widział, nie mógł oderwać wzroku od tego ogromnego obrazu.

– Żadnego pancerza? – zagadnął Nigus z pozoru wesoło, choć w jego głosie pobrzmiwała nerwowość. – A może te tatuaże to jakaś magiczna zbroja?

– To nie są tatuaże, Nigusie – odparł zupełnie spokojnie Hex. – Te ślady to cena, jaką zapłaciłem za posiadanie mocy Sag Bas. Musiałem niemal poświęcić życie, by stać się tym, kim jestem, a to... – Popatrzył na swoje ręce. – To jest symbolem tego, co niesie ze sobą Sag Bas. Trzeba poświęcić coś, by zyskać niewyobrażalną nagrodę. Powiedz, czy jesteś gotowy.

– Bardziej gotowy nie będę! – Nigus podniósł miecz, a jego żołnierze zakrzyknęli.

– Juvi, zacznij, proszę. – Hex oparł topór na ramieniu.

– Zgodnie z obyczajem – zaczęła mówić głośno kapłanka – dwóch władców postanowiło zmierzyć się w pojedynku śmiertelnym o to, kto zwycięży w wojnie. Nie będą przelewać waszej krwi, żołnierze. Przeleją swoją. Ogłaszam, że ten, kto wyjdzie z tego pojedynku zwycięsko, zgodnie



z umową zawartą między królami, zostanie nowym władcą obydwu krajów. Słowa wypowiedziane stały się prawem.

Hex i Nigus unieśli w górę broń, potwierdzając to, co powiedziała kapłanka. Tłum żołnierzy wybuchł głośnymi okrzykami, dało się słyszeć stal obijaną o stal. Kiedy przycichli, Nigus nieśmiało zaczął pojedynek. Schował się za tarczą i powoli zbliżał się do centrum wyznaczonego pola. Po jego ruchach widać było, że nie jest wyszkolonym rycerzem. Poruszał się przewidywalnie i bez gracji szermierza, zupełnie jak zwykły żołnierz piechoty.

– Zabijesz go trzema ciosami. – Juvi skierowała myśli w stronę Hexa.

– Nie, to musi potrwać – odparł i ruszył na spotkanie swojemu rywalowi.

Wielki dwuręczny topór o dwóch półkolistych ostrzach śmignął w powietrze i w ułamku sekundy spadł na tarczę Nigusa. Huk uderzenia zmieszał się z głośnym stęknieniem Yelayińczyka. Ten aż przyklęknął pod siłą ciosu. Drugie, a po chwili trzecie uderzenie wbijało go w wydeptaną trawę. Na jego tarczy było widać bruzdy po uderzeniach potężnego ostrza. Nim zdążył złapać oddech, ponownie musiał się przygotować na atak. Tym razem sama statyczna zasłona nie miała szans powodzenia. Hex, mimo swojego olbrzymiego wzrostu i potężnej masy, poruszał się szybko i zgrabnie. Podbiegał, skakał, kręcił młynki i piruety, uderzając ciężką bronią w tarczę przeciwnika, jakby bawił się w trakcie ćwiczeń. Nigus cofał się prawie biegiem, poruszając tylko tarczą w strony, z których padały ciosy. Najbardziej spektakularne były jednak cięcia zadawane od dołu. Każde zablokowane tarczą uderzenie niemal wyrywało w górę Nigusa, który choć przy Hexie prezentował się marnie, to nie był przecież ułomkiem.

– Dlaczego go po prostu nie zabije? – zapytała Mossa stojącą obok Juvi.

– Ma plan – odparła. – Chce pokazać, jaką dysponuje...

Przerwała w pół zdania, kiedy kolejne druzgocące uderzenie trafiło w tarczę Nigusa. Fala okrzyku zdumienia rozeszła się wśród zgromadzonych żołnierzy. Król Yelayinu wyleciał w powietrze i padł na plecy jak długi. Pęknięta na pół tarcza pofrunęła wysoko i spadła u stóp yelayińskich piechurów.

– Wstań, Nigusie. Nie dobiję cię leżącego. Wstawaj i chwyć za miecz. – Hex dalej nie pokazywał po sobie zmęczenia.

– I co mam tym mieczem zrobić? – Nigus z trudem zbierał się z ziemi. – Podciąć sobie gardło, żeby poszło szybciej?

– Szybciej? – Hex poprawił uchwyt. – Teraz, gdy nie masz już tarczy, dopiero zacznie się prawdziwe starcie.

Król Nigus podniósł się, podpierając na mieczu. Poprawił kolczugę, która zrujnowała się w trakcie upadku. Wyciągnął broń wbity w trawę i ciężko odetchnął. Ręka, w której wcześniej trzymał tarczę, zwisała bezwładnie wzdłuż ciała. Zacisnął zęby i z każdym krokiem rozpędzał się coraz bardziej. Z furią nadbiegł i zaczął uderzać pchnięciami miecza. Liczył na to, że szybkie ukłucia pozwolą mu choć trafić przeciwnika, ale Hex w defensywie był tak samo sprawny. Wściekłość, z jaką atakował, powoli musiała ustąpić miejsca zmęczeniu. Nogi zaczynały się pod nim uginać, a na czerwonej z wysiłku twarzy było widać straszliwy grymas. Tymczasem na pokrytej sinymi śladami skórze Hexa nie było widać nawet kropli potu.

Wreszcie Nigus zgubił jeden krok ze zmęczenia i przykleknął. Nie zdążył nawet pomyśleć o tym, by zasłonić się mieczem, kiedy ostrze topora spadło na niego z bestialską siłą. Zebrani wokół pola walki żołnierze Yelayinu przestali oddychać, widząc półokrągłe ostrze wbijające się w hełm, przechodzące przez głowę, szyję, klatkę piersiową i zatrzymujące się dopiero gdzieś w okolicach miednicy. Strugi krwi trysnęły w powietrze i spadły na nagi tors Hexa. Wyciągnął topór z korpusu Nigusa, którego bezwładne ciało upadło w trawę. Porozcinane wnętrzności pod wpływem upadku wyskoczyły śliskie od krwi. Zwycięzca podniósł wysoko ponad głowę zakrwawioną broń. Wojsko Sag Bas ryknęło okrzykami radości i padło na kolana przed swoim niepokonanym władcą. Po stronie Yelayinu panowała grobowa cisza, nikt nie odważył się nawet ruszyć.

– Wojna zakończona – odezwał się donośnym głosem Hex. – Zgodnie z tym, co ustalono przed walką, Yelayin przestaje istnieć i zostaje włączone do Imperium Sag Bas, a każdy z was od tego momentu jest żołnierzem mojej armii, która już wkrótce wybierze się na podbój kolejnych krain, by zjednoczyć je pod sztandarem i wiarą Sag Bas. Od tego momentu każdy z was musi wyrzec się poprzedniej religii i przystąpić do nauk Sag Bas. W każdej osadzie będą prowadzone lekcje, które wprowadzą was w arkana Sag Bas. Jeśli ktoś nie będzie pobierał lekcji, umrze w męczarniach – mówił zupełnie spokojnym, nieadekwatnym do treści tonem. – Natomiast jeśli w pełni uwierzycie w Sag Bas i w to, co ze sobą niesie, wkrótce nie będziecie już drżeć przed zimą, nie będziecie się bać głodu ani mrozów. Nie będziecie musieli z zazdrością spoglądać na sąsiednie kraje. Zgodnie z ideą Sag Bas na świecie zapanuje jedność, która panowała tutaj

w dawnych czasach, kiedy wszyscy żyli spokojnie, wiara była jedna, świat był jeden i nie zmierzał do końca. Właśnie o to walczymy i o to możecie walczyć wy. – Rozłożył szeroko potężne ramiona.

Żołnierze dalej nie odzywali się, ale Hex zauważył, że część z nich klęka i pochyla głowę, a za nimi robią to kolejni. Po chwili cała armia znalazła się na klęczkach.

– Tę wojnę moglibyśmy wygrać, pozwalając im walczyć – zwrócił się do kapłanek Hex. – Ale czeka nas jeszcze wiele wojen, a tam każdy miecz może być na wagę złota.

## Rozdział XXIII

Skórzany plecak ciążył coraz bardziej, a szybki marsz po górzystym terenie zmęczył ją niesamowicie. Kilka dni wcześniej spakowała to, co uznała za przydatne w drodze, i wyszła z domu, nie mówiąc ani matce, ani bratu, dokąd się wybiera.

Postanowiła udać się do stolicy, by tam pobierać naukę od jakiegoś królewskiego rycerza. Wyobrażała sobie, że w Erskinie każdy potrafi władać mieczem i w największym ośrodku kultury nikt nie wyśmieje jej marzeń o byciu rycerzem. Czuła, że na stopach porobiły jej się odciski, i każdy kolejny krok sprawiał jej ból. Nie chciała się jednak zatrzymywać, bojąc się, że brat mknie konno w pogoni za nią. Była już daleko od domu i kilka razy próbowała mylić tropy, przechodząc przez leśne potoki, choć wiedziała, że brat świetnie porusza się po lesie i jeśli Tarko wyda ją za wcześnie, to jej marzenia legną w gruzach.

Wpadła na pomysł, by przyspieszyć podróż i nie tracić czasu na długi i niebezpieczny marsz przez cały kraj. Zamiast kierować się na północ, wprost do Erskinu, skrzyła bardziej na wschód, udając się do Lubein. To miasto, które po wiosennych roztopach rzeka Issint odcinała od świata, słynęło z tego, że transportowało drewno do samej stolicy, właśnie spławiając je rzeką. Riga pomyślała, że może uda jej się załapać na barcę, która dowiezie ją na wymarzone miejsce szybko i bezpiecznie. Issint na koniec lata płynęła spokojnie, a poziom wody nie był zbyt wysoki. Wzięła ze sobą trochę odkładanych od dawna pieniędzy i liczyła, że to wystarczy na transport i późniejszą naukę szer-mierki.

Przysiadła na szczycie pagórka, żeby lepiej widzieć okolice, zdjęła plecak i wyciągnęła ze środka osetkę białego sera zawiniętą w lnianą ściereczkę. Ściągnęła skórzane buty i aż syknęła. Jej stopy były czerwone i pokryte pęcherzami.

– Nie wygląda to dobrze... – szepnęła, krzywiąc się.

Chłodna już, gęsta, zielona trawa, w którą zanurzyła stopy, przyniosła odrobinę ulgi. Z zamyślenia wyrwał ją odgłos uderzeń topora. Podniosła się na kolana i wychyliła zza drzewa. Zobaczyła kilkunastu mężczyzn, którzy tłukli siekierami w pnie pobliskich drzew. Pokrzykiwali przy tym, pogwizdywali i zaśmiewali się co chwila. Spozrzęła, że mają wozy, na które ładowali ścięte drewno, i do głowy wpadł jej nowy pomysł. Założyła, że będą jechać w okolice Lubein, żeby sprzedać drewno, więc postanowiła zacząć się w okolicy i po kryjomu wskoczyć na wóz. Wciągnęła buty z ogromnym grymasem na twarzy, założyła plecak i trzymając się linii drzew porastających pagórek, podeszła w pobliże drwali.

Kiedy słońce zaczęło chować się za wysokie drzewa, szykowali się do odjazdu, a gdy wszyscy zajęli już miejsca na kozłach, konie ruszyły, powoli się rozpędzając. Riga wyszła ze swojej kryjówki, zgrabnie wskoczyła na pnie poukładane na wozie i przyłgnęła do jednego z nich, by nie było jej widać. Słyszała głosy i rubasne śmiechy drwali, kiedy wozy powoli toczyły się w stronę miasta.

– Witer! – Usłyszała głos jakby z oddali. – Jakaś wiewiórka ci się do pieńka przykleiła!

– A racja! – Słyszała coraz wyraźniej. – Musiała się przyczepić, jak się żeśmy ładowali! Na gapę się złapała.

Dotarło do niej wreszcie, że głosy, które słyszała, nie dochodzą z daleka. Otworzyła oczy szeroko i zobaczyła, że leży w otoczeniu pni. Obróciła się błyskawicznie, a stojący nad nią mężczyźni odskoczyli gwałtownie.

– E! Hola, panienko! – krzyknął jeden z nich. – Nic ci nie zrobim!

– Właśnie! – dodał drugi. – Spokojnie nam powiedz, coś za jedna i skąd się wzięłaś w naszym drzewie.

Wpatrywała się w nich przerażona i zdezorientowana. Sen jeszcze nie do końca ją opuścił i nie mogła sobie uświadomić, co się właśnie dzieje. Stało nad nią dwóch niemal identycznych, wielkich mężczyzn. Obydwaj mieli bujne czarne grzywy przyprószone siwizną, gęste szarawe brody sięgające piersi i uśmiechali się do niej szczerze, choć brakowało im wielu zębów.

– Jestem Riga Deterik... – mówiła powoli. – Wyjechałam z domu i chciałam jechać na północ do Erskinu, ale stwierdziłam, że to będzie trudniejsze, więc wpadłam na pomysł, żeby popłynąć rzeką razem z ładunkiem drewna, dlatego kierowałam się do Lubein. – Tempo, z jakim słowa wyskakiwały z jej ust, zwiększało się z każdą chwilą, zapomniała

nawet o oddychaniu. – Ale usiadłam na chwilę, żeby coś zjeść, i usłyszałam drwali, i zesłam z górki, żeby się z nimi zabrać, i weszłam na wóz, i...

– I obudziłaś się dopiero teraz. – Zaśmiali się. – Abyś nie uciekła?

– Uciekłam... – Spuściła wzrok.

– A za co taka panna na wydaniu może uciekać z domu? – Uśmiech nie schodził z ich ogorzałych twarzy. – Pewno nie za tego cię chcieli dać?

– Chcieli mnie dać, znaczy wydać w ogóle, a ja chcę zostać rycerzem...

Przez chwilę wpatrywali się w nią, potem spojrzeli na siebie i parsknęli głośnym, rubasznym śmiechem. Śmiali się długo i radośnie, a Riga czerwieniała na twarzy coraz bardziej.

– Prości z nas drwale, nie nam oceniać, czy dziewczka może być rycerzem, czy nie...

– To pomożecie mi? – zapytała nieśmiało.

– Oj, dziecinko... Ty nic nie wiesz. – Pokręcił głową ze smutkiem. – Chodź do chaty. Pewnieś głodna i spragniona. Derna już pewno nagotowała strawy. Powiem ci wtedy, jak się sprawy mają, a mają się, oj mają...

Nie mylił się. Kiedy dotarli do niewielkiej chaty, zbudowanej z ociosanych pni drzew, Riga zwróciła uwagę na ślicznie wyrzeźbione drewniane okiennice i drzwi, na których dominował motyw liści.

– Skąd macie drzwi jak we dworze? – zapytała.

– We dworze? – Uśmiechnął się. – Z bratem zimą dłubiem w drewnie, ot takie wychodzi.

Dziewczyna weszła do jednej izby, w której wszystko, poza piecem, wykonane było z drewna. Drewniany stół, krzesła wokół niego, łóżka stojące pod ścianami, szafki, a także ozdoby wiszące na ścianach. Nad garnkiem parującego jedzenia stała niewysoka, grubawa kobieta, ubrana w szarą sukienkę, na której przewięzała fartuch.

– Derna – zawołał z progu. – Mamy gościa! Dej no miszkę więcej!

– A co to za gość? – Uśmiechnęła się wesoło do Rigi.

– Jestem Riga Deterik. – Dziewczyna skłoniła się.

– Siadaj, dziecko, gdzie mi się kłaniać będziesz. – Kobieta machnęła rękami. – Zaraz podaję, a gdzie Ulm?

– Konie oporządza, zaraz przyjdzie. – Mężczyzna klapnął na krzesło, a Derna postawiła na stole cztery drewniane kubki i cztery miski.

– Skąd się tutaj wzięłaś, dziecko? – zapytała gospodyni.

– Przyszłam z Myrbeinu, w sumie to uciekłam z domu... – Riga zawiesiła głos na chwilę. – Chcę dotrzeć do Erskinu, żeby zostać rycerzem.

– Rycerzem, powiadasz? – Derna zatrzymała się w pół korku. – A to kobiety też mogą być rycerzami?

– Każdy mi mówił, że to głupi pomysł, ale marzę o tym i chcę spróbować...

– I bardzo dobrze. – Gospodyni postawiła na stole dzban mleka. – Ale wiesz, że to niebezpieczna wyprawa?

– A, Ulm, dobrze, że jesteś. – Drugi z drwali pojawił się w drzwiach. – Siadaj, przy obiedzie opowiem dziecku, co musi znać. Dobra już. – Machnął dłonią i zabrał się za jedzenie tłuczonych ziemniaków ze skwarkami. – Jedzta, a ja będę mówił. Jedz, dziecko, pewnieś głodna. Do rządcy w Lubein przyleciał ptak z listem, że Erskin został zaatakowany od wschodu. Barbas zapuścił swoje łapska na nasze ziemie. W lasach tam dalej na północ trwają walki. Rządca miał wysłać tysiąc zbrojnych, ale czy to coś pomoże, to nie wim. Zanim oni dotrą na granicę, to może się wojna skończyć.

– Dlaczego zaatakowali? – zapytała przerażona.

– A bo ja wim. – Drwal wzruszył potężnymi ramionami. – Ostatnio coś knuli, bo drewna od nas brać nie chcieli. Może o to im chodziło? Młody król dopiero co skończył wojnę, może chcieli zaatakować, żeby podbić las dla siebie.

– Były jakieś dalsze wieści? – dopytywała.

– Nic nie wiemy. – Mężczyzna rozłożył ręce. – Sam ciekawym, jak nasze wojsko radzi sobie z tymi szczurami.

– To straszne... – Riga nie ruszała jedzenia, broda trzęsa jej się, a łzy napływały do oczu. – Ojciec zginął na wojnie z Werdgwaldem, a teraz może zawezwali brata... Może powinnam wrócić...

– Drogie dziecko. – Derna chwyciła ją za dłoń. – Droga do Erskinu, zwłaszcza teraz, nie będzie łatwa, ale zrobiłaś już pierwszy krok i jeśli się wycofasz, wrócisz do domu, to możesz już nie mieć takiej okazji. Ile masz lat?

– Siedemnaście – odparła.

– Siedemnaście... – Kobieta zamyśliła się na moment. – Tak myślałam. Wrócisz do rodziny, to wydadzą cię za mąż i tyle będzie z twojego marzenia. Za dwa dni Ulm bierze nasze drewno na rzekę i płynie je

sprzedać. Jeśli uda się sprzedać je wcześniej, to nie dopłynie do samego Erskinu, ale może wziąć cię ze sobą, zawsze to bliżej i bezpieczniej.

– Dziękuję bardzo. – Ridze oczy szklily się niesamowicie. – Wrócę do domu już jako rycerz!

– Oby do ciebie się bogowie uśmiechnęli i pozwolili spełnić marzenie. – Serdeczny uśmiech krępej kobiety poprawił jej nastrój. – A teraz jedz, bo wystygnie!

– Czy ty sobie to wyobrażasz? – Król gniótł kartkę papieru w tłustych palcach. – Czy twój ograniczony uczony mózg potrafi to pojąć? Czy ty w ogóle rozumiesz, w jakiej zaszrannej sytuacji postawiła mnie ta cholerna piracka szmata? Gdybym wiedział o ataku, gdybym znał dokładne plany, przecież tego się miała suka dowiedzieć. Po to ją tam wysłałem! Miała mi powiedzieć, kiedy będzie atak. Wtedy zaatakowałbym ich od drugiej strony i ten młokos narobiłby pod siebie! To wszystko jej wina! Mogłem teraz dojeżdżać do Erskinu, mogłem mknąć na czele armii, by zająć należne mi miejsce... Ona wszystko zniweczyła... Okradła mnie. Gdybym tylko mógł dorwać ją w swoje ręce, to... – Tłuste ciało władcy aż zadrżało z emocji. – Trzeba powiadomić wszystkich zbirów! Jeśli tylko jej parszywa stopa stanie na mojej ziemi, chcę o tym wiedzieć! Wyznaczę nagrodę za jej głowę... albo nie, nie za głowę! Musi być żywa. Muszą mi ją przyprowadzić żywą! – Jasne oczy, ledwo widoczne spod powiek, błyszcząły wściekłością. – Pójdiesz teraz i zawiadomisz o tym Kelera. Ma rozesłać wieści do wszystkich swoich zbirów, że płaci pięćset sztuk złota za dostarczenie do niego tej szmaty. Za tyle sprzeda ją własna załoga. Kiedy już będzie u Kelera, ma mnie o tym niezwłocznie zawiadomić. I powiedz mu, że tutaj nie może czekać na odpowiedni moment. Każda godzina zwłoki może go drogo kosztować! – Huknął pięścią w podłokietnik fotela, na którym siedział.

– Tak jest, wasza miłość. – Uczony kłaniał się, cofając w kierunku drzwi. Odwrócił się tuż przy nich i niemal nie stracił zębów po tym, jak pocztowy otworzył je energicznie. Chłopak był tak samo przerażony jak uczony, wręczył mu zwitek, ukłonił się i zniknął w korytarzu, zatraskując za sobą drzwi.

– Wasza miłość... – zawołał niepewnie uczony. – Przepraszam, ale pocztowy przyniósł...

– Co znowu przyniósł?! Czytaj to, durniu! – warknął Kunglin, a krople śliny poleciały na posadzkę.



– Oczywiście, już czytam, wasza miłość. – Dłonie drżały mu, kiedy rozwijał list.

Do Kunlina Berna, króla Bernsternu

Królestwo Barbasu dopuściło się haniebnego, zdradzieckiego i podstępного ataku na granice Erskinu. Zapewniając nas o chęci wzmocnienia sojuszu, naruszyło granice państwa bez wypowiedzenia wojny. W związku z tym Erskin prosi o wsparcie w broni, żywności i żołnierzach. Walki trwają, więc liczy się każda godzina. Prosząc o to, odwołujemy się do wspólnych zachodnich obyczajów i dziedzictwa, które właśnie teraz jest zagrożone.

Kastil Mithraid, król Erskinu

Władca na przemian czerwieniał i bladł, wpatrując się w stojącego przed nim uczonego.

– Zanim pójdziesz do Keler... – Król dyszał. – Musimy omówić jedną, drobną kwestię... Skoro proszą o wsparcie, to trzeba na to jakoś zareagować. – Podniósł się z trudem. – Teraz nie mogę już ich zaatakować. Gdybym to zrobił równocześnie, wtedy reszta krajów poszemrałaby kilka miesięcy i przeszła nad tym do porządku dziennego, bo nie miałby kto im opowiedzieć, jak dokładnie doszło do ataku. Teraz już wszyscy wiedzą, że to Barbas zaatakował i że zrobił to zdradziecko. Gdybym wbił im nóż w plecy, to i na nas by się to mocno odbiło.

– Z listu wynika, że wysłał go do każdego kraju zachodniego, wasza miłość – dopowiedział uczony.

– Tak, na to wygląda... – Król stęknął, robiąc krok. – Zastanówmy się, Mytelu, co można zrobić, żeby z tej sytuacji wyciągnąć jak najwięcej dla nas. To, że nie możemy zaatakować Erskinu, jest całkowicie jasne, ale czy powinniśmy wysłać do nich wsparcie?

– Jeśli wyślemy wsparcie, to odsuniemy od siebie wszelkie podejrzenia co do udziału w tym spisku...

– Jakie podejrzenia?! – ryczał. – Jakiego udziału?! Przecież nikt poza nami i Kelerem nie wie o tym, że cokolwiek było na rzeczy.

– A Barbas...

– A Barbas?! – Kunlin odwrócił się gwałtownie, obszerne szaty zawirowały w powietrzu. – Wie o tym tylko Vizey, może jego syn, ale nie ma na to żadnych dowodów, a tym zdrajcom nikt nie uwierzy.

– Imma... – Mytel, czując na sobie wzrok władcy, pożałował, że się odezwał.

– Nie wspominaj imienia tej suki! Złapię ją i unieszkodliwię, nim przyjdzie co do czego! – Król posiniał ze złości, nie mógł złapać tchu.

– Myślę, że powinniśmy wysłać niewielki oddział, który nie jest dla nas wiele wart, ale pokażąoby to, że jesteśmy nadal w dobrych stosunkach z Erskinem... – mówił cicho i niepewnie uczony.

– No i czegoś cię w tej Akademii nauczyli. – Kunmlin kuśtykał po komnacie. – Każ zebrać pięciuset piechurów i wyślij ich w stronę Erskinu drogą lądową. Napiszesz im też list, w którym poinformujesz, że część armii wysłaliśmy lądem, a reszta płynie na naszych statkach do portu w Hofskinie. – Powstrzymał dłonią pytanie Mytela. – Oczywiście żaden nasz żołnierz nie wsiądzie na statek.

– A co, jeśli będą nas oczekiwać, a my nie dopłyniemy?

– Uczony... – parsknął. – Wojna jest tak nieprzewidywalna, że być może zakończy się, zanim nasz statek miałby szansę tam dotrzeć. A jeśli nie... No cóż, zawsze możemy zatopić statek czy dwa i powiedzieć, że to tragiczny wypadek i ubolewamy nad tym, że nie mogliśmy pomóc.

– Zrozumiałem, wasza miłość. – Mytel skinął głową.

– To teraz leć i załatw to wszystko. Najpierw wojsko i list, potem do Kelera, jasne? – Król spojrział na niego groźnie.

Pocztowy ponownie wpadł z hukiem do królewskiej sypialni. Niemal potykając się o własne nogi, wręczył Mytelowi list i szybko uciekł, starając się nie patrzeć Kunmlinowi w oczy.

– Co za cholerstwo znowu przyszło? – warknął król.

– To list od Kelera. – Głos mu zadrżał. – Píše, że statek Immy zawitał do Halvstadu.

W niewielkiej komnacie przy stole siedział stary król Vizey, przyglądając się mapie, na której leżała czarna książka i list. Naprzeciwko niego siedziało dwóch mężczyzn. Jednym z nich był grubawy urzędnik Yumin, będący prawą ręką króla w sprawach zagranicznych. Drugi z gości króla Barbasu był niewysoki, szczupły i ciemnej karnacji. Na jego posępnej twarzy widniały czarne wąsiska. Był w średnim wieku, ale ciągle zasępiona mina dodawała mu lat. Ubrany był w srebrną, błyszczącą tunikę, przepasaną czerwonym aksamitem. W szarfę na klatce piersiowej miał wpiętą broszę w kształcie dwóch białych księżyców na tle przedzielonej na pół żółtej okrągłej tarczy. Vizey wpatrywał się w niego przenikliwym spojrzeniem.

– Co mi tutaj przyniosłeś, Nissie? – zapytał król Vizey zachrypłym głosem.

– To jest list od nowego władcy Tolimurai i księga, którą do tego listu dołączył – mówił ambasador. – Pisze, że jest jakimś wybrańcem nowej religii Sag Bas. Przejął władzę w Tolimurai, zabijając poprzedniego króla, a w liście pisze, że mamy się do niego przyłączyć i razem przywrócić tej religii świetność.

– A z czym się wiąże to przyłączenie? – dopytywał władca.

– Z oddaniem mu władzy i wytępieniem innych religii w kraju. – Mężczyzna uciekł wzrokiem.

– Z oddaniem władzy? – Król uniósł siwą brew. – I co na to twój książę?

– Właśnie dostałem od niego list z prośbą o konsultację z waszą miłością. Chciał kategorycznie odmówić, ale ostatnio nieco zmieniła się sytuacja... – Zawiesił głos.

– Ach! – Vizey spojrział na swojego urzędnika. – A w jaki sposób zmieniła się sytuacja i dlaczego ja jeszcze nic o tym nie wiem, Yuminie?

– Otóż, wasza miłość, ten cały Hex zaatakował Yelayin – mówił, ostrożnie dobierając słowa. – Zgodnie z raportami najpierw wysłał tam pojedyncze oddziały, które paliły wioski i zabijały ludność, a potem wydał bitwę. W tej bitwie zginął Nigus. W Tolimurai popierają go wszyscy, a nasi szpiedzy milczą, od kiedy przejął władzę. W Yelayinie zaraz po wojnie cały kraj bez żadnego buntu uznał go za władcę i tutaj też nie mamy żadnego sygnału od naszych szpiegów.

– Listy z księgami rozesłano do wszystkich krajów na wschodzie i z tego, co zasłyszałem wśród pozostałych ambasadorów, to wahają się, czy nie uznać tego Hexa jako władcy. Boją się go – wtrącił Niss.

– Tak, wasza miłość – potwierdził Yumin. – Do mnie również dotarły te informacje. Podobno Jaram zwołało zgromadzenie, by omówić dołączenie do tego Sag Bas, a w Gotrayi są niemal pewni, że to jakiś wybrańiec z pradawnej przepowiedni, i chcą się do niego przyłączyć jak najszybciej.

– A Azu? – Król przeniósł wzrok z urzędnika na ambasadora. – Te dzikusy nigdy nie potrafiły się dogadać.

– Nie mam informacji. – Niss po raz kolejny nie wytrzymał kontaktu wzrokowego z królem. – Ale Azuańczycy są bojowym narodem, a Hex proponuje podbój całego świata, mogą na to pójść...

– Zatem sytuacja wygląda tak, że za moją wschodnią granicą buduje się jakiś olbrzymi sojusz tworzony przez religijnego fanatyka, za którym idą

łummy zaraz po tym, jak zabije ich króla. – Vizey sięgnął po księgę. – Trzeba będzie dokładnie przyjrzeć się tej książce i temu ruchowi. Trzeba będzie działać z wyczuciem, ponieważ dzięki temu możemy zyskać bardzo silną pozycję. Najlepszą pozycją do przyglądania się temu zjawisku będzie jego środek, dlatego przekażesz swojemu księciu, że ma przyłączyć się dobrowolnie do tego całego Sag Bas. – Postukał pokrzywionym palcem w okładkę czarnej księgi. – Odda koronę, zrzeknie się władzy i będzie przyglądał się temu, co robi nowy władca. Jak zarządza tak wielkim i różnorodnym państwem, dlaczego ludzie idą za nim bez słowa, dlaczego rozpoczął tak agresywną ekspansję, zamiast umacniać swoją władzę w kraju spokojnie. Jeśli książę Vis ma jakieś pytania, to zapraszam go tutaj. Wtedy osobiście mu wytłumaczę powody mojej decyzji.

– Tak jest, wasza miłość. – Ambasador skłonił się błady.

– Twój książę musi zrozumieć, że czasem trzeba poświęcić coś mniejszego dla większej sprawy. – Król wbijał w niego przenikliwe spojrzenie. – Nie jest głupi, więc zrozumie konieczność podjęcia takich kroków.

– Dobrze, wasza miłość, tak uczynię. – Niss podniósł się z krzesła. – Jeśli to wszystko, to udam się do pocztowego, by wysłać list.

– Wasza miłość, list od księcia Pandeya. – Niski i siwy pocztowy minął się w drzwiach z ambasadorem.

Władca wziął zwitek, który przyniósł pocztowy, i otworzył go, a kiedy tylko drzwi zamknęły się za jego gośćmi, zaczął czytać.

Do Vizeya Gaddara, Króla Barbasu

Nadarzyła się okazja, z której nie mogłem nie skorzystać. Zebrałem całkiem spory oddział i wydałem rozkaz ataku na Erskin na odcinku od Vantahalu do Skogskinu. Atakuję przy użyciu żołnierzy z Vantahalu i okolic oraz chłopów z pospolitego ruszenia. Atak nastąpi z całkowitego zaskoczenia. Zdobędę dla kraju całe połacie gęstej puszczy i twierdzę! Jeśli uda Ci się, Ojczy, wysłać wsparcie w postaci żołnierzy, wtedy będę w stanie poprowadzić tę armię dalej na zachód i zdobyć więcej.

Pandey Gaddar, Książę Barbasu

– Ret pobłogosławił mnie najgłupszym synem, jaki tylko mógł się przytrafić. – Pogniół list drżącymi dłońmi. – Próbuję go nauczyć rządzenia krajem, próbuję go nauczyć myślenia, ale to wszystko niczym krew przelana na pustyni...

Obudził ją przeszywający ból w nadgarstkach i barkach, w suchych ustach poczuła stalowy posmak krwi. Otworzyła oczy, ale wokół niej była tylko ciemność. Przejechała językiem po wargach i syknęła, natrafiając na rozcięcie. Próbowwała się poruszyć, ale podłogi dotykała jedynie czubkami palców. Czuła, jak pulsuje jej lewe oko. Nie pamiętała, co stało się po zejściu na ląd. Usłyszała ciężki i nierówny krok, a po chwili skrzypnięcie drzwi. Blask pochodni oślepił ją na chwilę. Gdy otworzyła oczy, zabrakło jej tchu. Zobaczyła przed sobą obłą twarz, szaleńcze oczy i perfidny uśmiezek króla Kunglina. W jednej dłoni trzymał pochodnię, a w drugiej niewielkie zawiniątko.

– No, wreszcie się obudziłaś. – Król odpalił dwie pochodnie zawieszane na przeciwległych ścianach wąskiej i ciemnej celi. – Już się bałem, że Keler za bardzo cię uszkodził.

– Jeśli chodzi o ten procent, to żartowałam – mówiła z trudem. – Dostaniesz swoją część zgodnie z umową, nie chcę...

– Nie interesuje mnie twoje złoto, już nie. – Z trudem doszedł do stolika stojącego obok wiszącej Immy. – Przygotowałem sobie wszystko, by nie musieć myśleć o złocie do końca życia, by zapisać się złotymi zgłoskami na kartach historii całego świata, ale nie wziąłem pod uwagę tego, że w moim planie jest tak słabe ogniwo jak ty. Gdybyś wywiązała się z powierzonego zadania, zbliżałbym się teraz do Erskinu po należną mi koronę, ale ty nie potrafiłaś załatwić tak błahej sprawy. Wystarczyło, żebyś wysłała mi wiadomość o tym, kiedy Barbas zamierza zaatakować, całą resztę zrobiłbym sam, ale nie... – Rozwinął pakunek, a w nim błysnęły narzędzia tortur.

– Wysłałam ci wszystko, czego się dowiedziałam... – Imma poczuła, że robi jej się słabo. – Nikt nic nie wiedział, całe wybrzeże... wszystkie statki...

– Być może mnie nie oszukałaś. – Kunglin wyciągał ze skórzanego pokrowca piły, noże, kleszcze i pilniki. – Być może nie zrobiłaś tego celowo, ale musisz ponieść karę. Prosiłem cię tylko o jedno, a ty zawiodłaś. Przez ciebie przepadła jedyna szansa, więc pocierpisz za to.

– Nie! – krzyknęła. – Nie rób tego, błagam! Przecież jestem twoją...

– Córką? – przerwał jej. – Nawet jeśli nią jesteś, to rolą ojca jest wychowywać. Więc teraz ukarzę cię przykładnie, byś więcej nie popełniała takich błędów.

– Błagam... – Jęknęła, a łzy pociekły po jej policzkach.

Nie odpowiedział jednak na jej błagania. Ze stolika wziął nóż, którym rozciął jej ubranie. Piski i krzyki niosły się korytarzami pod zamkiem w Warfstadzie. Milkły co kilka minut, ale potem wracały ze zdwojoną siłą. Lochy, w których król Kunclin torturował Immę Vatkrieg, znajdowały się głęboko pod mieszkalną częścią zamku, więc żaden z jego mieszkańców nie słyszał jęków dziewczyny.

## Rozdział XXIV

Strzały świstały w powietrzu obok ubranych na czarno rycerzy ustawionych na blankach. Udało im się zrzucić z muru jedną z drabin, ale za chwilę barbascy żołnierze próbowali postawić kolejną. Wysoki i masywny jak tur blondyn z długą jasną brodą biegał między rycerzami, wykrzykując rozkazy i siekąc mieczem wszystkie głowy, które pojawiły się w jego zasięgu.

Atak zaczął się trzy dni wcześniej i choć przeciwnicy nie byli tak liczni, jak się na początku spodziewali, to bardzo zmotywowana i całkiem nieźle uzbrojona armia sprawiała im ogromny kłopot. Zostali zaatakowani przez prawie dwa tysiące uzbrojonych w Keechaki żołnierzy, niemal drugie tyle łuczników i około trzech tysięcy chłopów, kupców, handlarzy i innych obdartusów uzbrojonych w to, co mieli pod ręką.

Twierdza nie była przygotowana ani na oblężenie, ani na atak z zaskoczenia. Utrzymywano w niej tylko tysiąc rycerzy, podobnie jak w innych przygranicznych zamkach. Ostatnie lata były spokojne, a Barbas stał się handlowym sojusznikiem, więc nikt nie spodziewał się ataku. Kiedy hordy żółto-czerwonych wojowników wypadły z lasu, ledwo zdążono zadać w alarmowy róg i zamknąć bramy.

Dever Monerweh, dowódca Skogskinu, wysłał wici do sąsiednich twierdz i do stolicy, ale w odpowiedzi otrzymał od króla Kastila list, który go przeraził. Dowiedział się z niego, że ten zdradziecki atak jest dokładnie przemyślany przez władze Barbasu i dowodzi nim sam książę Pandey. W liście napisano, że zmierzają ku nim posiłki, ale zanim dotrą na miejsce, muszą utrzymać zamek i zablokować dalszy marsz przeciwnika. W dodatku pozostałe twierdze przygraniczne nie mogły wysłać wsparcia w obawie przed atakiem. Rycerz zebrał więc swoich ludzi w zamku, który składał się z jednej wysokiej baszty, muru kurtynowego i prostokątnego parterowego budynku koszar. Bronili się, strącając z muru szturmujących zamek

przeciwników, choć łucznicy nie ułatwiali im tego zadania. Dever co chwilę widział, jak któryś z jego kompanów upada raniony strzałą.

– Chować się za blanki! – ryknął, tak by wszyscy go słyszeli w zgiełku bitwy.

Zrzucił hełm, by lepiej widzieć, i wyjrzał zza jednego z kamiennych występów. Łucznicy otoczyli zamek z dwóch stron, od północy i od wschodu. Osłaniali wspinających się na mury po długich drabinach piechurów. Spozrzegł kątem oka, że do głównej bramy twierdzy zbliża się kilku ubranych w łachmany mężczyzn, pchających wózek wyładowany czymś po brzegi.

– Do bramy! – wykrzyczał rozkaz do oddziału znajdującego się na dziedzińcu. – Nie dać im spalić bramy!

Gdy tylko zdążył dokończyć zdanie, tuż za nim o mur zahaczono kolejną drabinę. Po chwili długa broń zderzyła się z jego ciężkim mieczem. Iskry posypały się na mur. Wyszarpał broń i zdzielił ostrzem wspinającego się żołnierza w głowę. Ten spadł i pociągnął w dół jeszcze dwóch swoich kompanów. Dever wykorzystał ten moment, by odrąbać haki i odepchnąć drabinę od murów.

– Odstępują! Odstępują! – krzyknął jeden z rycerzy w czarnej zbroi.

Dowódca wyjrzał na podzamcze i zobaczył łuczników wracających między drzewa. Piechurzy zbierali drabiny i ściągali je w las pod osłoną strzał. Wokół zamku zrobiło się całkiem pusto, nie licząc wozu, który dalej przesuwiał się w stronę bramy.

– Uważać na ten wóz! Będą palić bramę! – krzyknął i zbiegł po schodach na dziedziniec.

Mimo swojej potężnej budowy ciała sprawnie pokonał dystans między szczytem blanków a drewnianą bramą. Zaryglowano ją czterema grubymi sztabami i podparto dwoma pniami. Dopadł do niej, odsuwając zebranych przy dwuskrzydłowych wrotach rycerzy. Otworzył lufcik, przez który patrzył na zbliżający się wóz.

– Łuk! – wydarł się. – Dajcie łuk!

W mgnieniu oka w jego rękę znalazł się długi łuk i kołczan ze strzałami. Nałożył strzałę na cięciwę, wycelował i strzelił. Trafił trzech, ale ostatni schował się za ładunkiem i mozolnie zbliżał do zamku. Dever nałożył strzałę i długo celował, ale nie miał pozycji do strzału.

– Smoła! – Odsunął się od lufcika. – To dzbany ze smołą i olejem. Brać worki z piaskiem i na górę!



Kilku rycerzy pobiegło wykonać jego rozkaz, a Dever wrócił do bramy. Serce w nim zamarło, gdy zobaczył kulę ognia zbliżającą się do murów zamku. Był to wystrzelony z katapulty płonący dzban oleju. Zdążył tylko zatrzasnąć lufcik, kiedy pocisk trafił we wrota. Wóz buchnął płomieniami, a łatwopalne ciecze zalały bramę. Gęsty czarny dym wzbił się ponad mury zamku.

Nad ogniskiem rozpalonym między drzewami bulgotał khaddak, czyli gęsta zupa gotowana na wywarze z koziny i warzyw z dodatkiem mączastej bulwy zwanej aloork i mnóstwa przypraw ze wschodu. Przy ognisku siedział książę Pandey w brudnej i podartej żółtej szacie i popijał gorące wino. Obok niego usiadł Abdas Tanahay, dowódca twierdzy w Vantahalu.

– Wasza wysokość zjawił się w ostatniej chwili – zwrócił się do Pandeya żołnierz. – Niedługo zdobędziemy ten zamek.

– Spieszyłem się, jak tylko mogłem, ale droga nie była łatwa – odparł książę, siorbiąc gorący napój. – Łatwo się zgubić w tych lasach, zwłaszcza nocą.

– Rozstawiłem czujki w okolicach drogi jakieś trzy godziny jazdy stąd, poinformowali mnie, że wasza wysokość się zbliża. – Mężczyzna zamieszał w kociołku. – Chciałem wyjechać naprzeciw, ale akurat przeprowadzaliśmy szturm.

– A w jaki sposób udało ci się zebrać takie oddziały w tak krótkim czasie i bez wsparcia władzy, bez oficjalnych rozkazów poboru? – zapytał podekscytowany Pandey.

– Żołnierzy wzięłem ze swojej twierdzy i z okolic. Stacjonowali tam, porozmawiali ze swoimi kolegami z innych jednostek i tak się rozeszło, że wkrótce zjawili się w Vantahalu w takiej liczbie. – Żołnierz zatoczył dłonią krąg. – Chłopów nie trzeba było przekonywać. To w większości biedota, która chciała sobie poprawić los. Nie są zbyt karni, ale nadają się do prostych zadań.

– I taka grupa dała radę zachować wszystko w tajemnicy? – Pandey zdziwił się.

– To Barbas, wasza wysokość. Trudno tutaj roznieść wieści lotem błyskawicy.

– A nie było trudno zbudować drabin i katapulty! – Kiwnął kubkiem z uznaniem.

– To taka moja inwencja. – Abdas pogrzebał patykiem w ognisku.

– Zadziwiasz mnie, Abdasie. – Pandey wstał i nalał sobie khaddak do miski. – Kiedy planujesz ostateczny szturm?

– Spodziewają się, że zaatakujemy jutro o świcie, skoro do tej pory nie wykorzystaliśmy osłabienia wrót, ale... – Rozejrzył się. – Jak tylko żołnierze się posilą, wydam rozkaz ataku.

Słońce nie zdążyło znacząco zmienić swojego położenia, kiedy oddziały Barbasu stały między drzewami przygotowane do szturm na zamek Skogskin. Książę Pandey przyglądał się zbiorce z ostatniego rzędu, gdzie stał obok dowódcy Abdasa. Przed nimi zebrano żołnierzy ubranych w kolczugi, na które narzucono żółto-czerwone tuniki, uzbrojonych w Keechaki i chłopskie oddziały odpowiedzialne za ustawianie drabin. Przed nimi rozstawiono łuczników.

– Katapulta? – zapytał Pandey.

– Użyjemy jej w ostateczności, wasza wysokość. Nie chcemy niszczyć murów, które potem mogą dać nam schronienie – odparł z pełnym przekonaniem w głosie Abdas.

– Zaczynamy! – Książę zatarł dłonie.

Żołnierz podniósł swój Keechak i wydał nim rozkaz rozpoczęcia ataku. Łucznicy wychylili się poza linię drzew i ostrzelali zamek. Na wprost wypalona brama była wypełniona obrońcami tworzącymi ścianę z tarcz i gotowymi na natarcie. Abdas nie sądził, by byli jednak przygotowani na to, co im obmyślił. Ostrzał łuczników nagle został wstrzymany, a z lasu wybiegła rycząca chmara śniadych mężczyzn, dzierżących w dłoniach topory, kosy, widły czy zwykłe cepy, którzy z ogromnym rykiem rzucili się w kierunku bramy. Obrońcy uwijali się, strzelając z łuków, ale nie wyrządzili tym wielkich szkód. Atakujący ścisnęli się w ciasnym szyku tuż przy bramie i siekąc i tłukąc wszystkim, co mieli w dłoniach, próbowali się wedrzeć do zamku.

– To dobry pomysł? – zapytał Pandey. – W historii wiele razy zdarzyło się tak, że wielka armia nie potrafiła pokonać kilku rycerzy w ciasnym gardle.

– A to tylko zasłona dymna. – Uśmiezek pojawił się pod czarnymi wąsami Abdasa. – Zaraz zacznie się prawdziwy atak.

Wykonał gest swoją bronią, a umundurowane oddziały ruszyły z gęstwiny. Keechaki świszczały w powietrzu, kiedy nabierali prędkości i już po chwili wspinali się po drabinach na mury zamku. Długa broń nie ułatwiała im szturm, ale zdezorientowani Erskińczycy, zajęci obroną

bramy, nie zorientowali się w porę. Na murach zamku rozpętała się straszliwa bitwa, w której dobrze opancerzeni obrońcy wcale nie mieli przewagi nad lekkozbrojnymi żołnierzami z Barbasu.

Tętent wściekle pędzących koni niósł się po leśnej ścieżce. Na czele długiego pochodu potężnych bojowych rumaków wiozących ciężkozbrojnych rycerzy w srebrno-czarnych zbrojach, którzy do pleców mieli przypięte proporce Erskinu na długiej pice, gnał król Kastil w swojej czarnej zbroi. Zaraz za nim pędziło dwudziestu rycerzy gwardii królewskiej w czarnych matowych zbrojach z błękitnymi elementami i herbem Erskinu wymalowanym na napierśniku i tarczy, wśród nich jechał sam generał Theus Merik dowodzący oddziałem gwardii na dworze w Erskinie.

Widok falujących proporców wzbudzał strach w przeciwnikach. Główną bronią tej armii była długa kopia, z cienkim, ale niezwykle ostrym grotem, którym potrafili przebić nawet kilku przeciwników jedną szarżą. Przy pasach mieli półtoraręczne miecze, używane po wykorzystaniu kopii, potrafili nimi walczyć tak samo dobrze z grzbietu konia, jak i pieszo. Ramię w ramię z królem Kastilem próbował jechać Tidur Dealin, który nosił na sobie zieloną zbroję, charakterystyczną dla jego rodu.

– Postój! – krzyknął do Kastila. – Musimy się zatrzymać, bo konie padną!

– Zostało mniej niż pół dnia drogi – odparł z zaciętą miną król. – Dojedziemy!

– Dojedziemy, ale konie się nie nadadzą do walki! – nie odpuszczał Tidur.

– Nie mogę zwlekać! – krzyknął wściekle.

– Wolisz przegrać i stracić też jazdę?!

– Tam giną moi ludzie!

– Nie giną, tylko wykonują to, co do nich należy. – Tidur wysunął się o pół konia przed niego.

– Każda chwila się liczy... – Kastil zaczął się uginać.

– Nie wiemy, czy zamek jest jeszcze w naszych rękach, nie wiemy, czy nie spotkamy ich po drodze! – Książę Dealin nie odpuszczał. – Ludzie i konie muszą odpocząć, inaczej przegrasz! Wytrzymają tam!

Władca patrzył na niego przez dłuższą chwilę kamiennym wzrokiem, a potem podniósł dłoń, co było sygnałem do zatrzymania się całej kolumny. Ciężkie bojowe rumaki powoli wytracały prędkość, by wreszcie przejść do spokojnego stępa i zatrzymać się na polanie przy drodze. Król sprawnie

zeskoczył z konia i rzucił lejce Tidurowi. Wściekły odszedł na bok z mapą w dłoniach, rozwinął ją i przyglądał się uważnie.

– Jakie rozkazy, wasza miłość? – Podszedł do niego generał Merik.

– Nakarmić i napoić konie, mają być gotowe na pół dnia jazdy i bitwę. Wystawić warty wokół obozu, wypuścić dwóch ludzi na zwiady – mówił, nawet nie patrząc na żołnierza. – Jak konie będą gotowe, niech żołnierze zjedzą i odpoczną. Wyruszamy za dwie godziny.

Żołnierz odszedł od władcy, a ten wrócił do przyglądania się mapie. Wydawało mu się, że znajdują się niecałe pół dnia jazdy od Skogskinu. Nie wiedział, jak wygląda sytuacja wokół twierdzy, ale musiał być gotowy na oblężenie własnego zamku. Wkrótce wszystko było gotowe i żołnierze siedzieli na polanie, posilając się. Kastil oparł się o pień przewróconego dębu, a tuż obok niego zasiadł książę Tidur. Naprzeciwko swoje porcje spożywali generał Theus Merik i dowódca jazdy Neuwer Nerynter. Ten ostatni miał łysą głowę i krzaczaste wąsy, które ukrywały szkaradną bliznę, biegnącą przez obydwie wargi, i braki w uzębieniu spowodowane uderzeniem topora, które dla większości ludzi powinno być śmiertelne.

– Musimy się przygotować na każdy wariant. – Kastil grzebał łyżką w misce, nie jedząc nic. – Trzeba się zastanowić, co zrobimy, jeśli zamek będzie już stracony.

– Wtedy trzeba będzie szczelnie go okrążyć i czekać na posiłki – powiedział Theus Merik, gryząc kawałek kiełbasy.

– To najrozsądniejsza opcja, wasa miłość – wyseplenił generał Nerynter, zakrywając usta dłonią.

– Tak... – szepnął pod nosem król. – Tutaj nie mamy wyboru. Nie dysponujemy wojskiem, które potrafi zdobywać zamki. A co, jeśli bitwa jeszcze trwa?

– Mamy jazdę Neryntera – odparł z przekonaniem w głosie Tidur. – Trzeba będzie przypuścić szturm i rozjechać ich.

– Tak po prostu, bez żadnego planu? – Kastil patrzył na nich z nadzieją.

– A co tutaj planować, przyjacielu? – Tidur poklepał go po ramieniu. – Nasz oddział jest nieduży, ale zaprawiony w boju. Wszyscy wiedzą, co robić i jak reagować. Generał Merik i generał Nerynter doskonale poprowadzą swoje wojska, a poza tym tak niewielki oddział łatwo skoordynować.

– Właśnie, niewielki...

– Czytałeś raport ze Skogskinu – przerwał mu szybko. – Głównie chłopstwo, zawodowych żołnierzy nie aż tak wielu, a nasza jazda radzi sobie z przewagą liczebną jak żadna inna armia na świecie.

– Ech! – Król odstawił miskę i wstał ciężko. – Zjedzcie i ruszamy.

Dowódca Dever Monerweh ciężko oddychał, opierając się o mur. W prawej dłoni dzierżył miecz umazany krwią, a na jego pancerzu widniało mnóstwo śladów uderzeń i cięć. Polepione od potu włosy zasłaniały czerwoną bliznę biegnącą od czoła po brodę. Widział, że jego rycerzy jest coraz mniej, a przeciwnicy utrzymywali przewagę liczebną. Wychylił się na dziedziniec i jego oczom ukazał się podobnie sromotny widok. Rycerze leżeli na plecach, opierali się o mur, zakrwawiona broń leżała obok bez opieki.

– Dlaczego odstąpili... – mruknął do siebie. – Mogli nas dorznąć...

Podniósł się z trudem i zwołał ludzi na dziedzińcu. Potwornie zmęczeni mężczyźni ledwo powłóczyli nogami. Ciężkie zbroje ciążyły im bardziej niż zazwyczaj. Gdy już wszyscy będący w stanie utrzymać się na nogach stanęli wedle rozkazu dowódcy, Dever wyszedł przed szereg.

– Było nas tysiąc. – Patrzył im głęboko w oczy. – Ich było siedem tysięcy. Nas zostało pięciuset, ale każdy poległy zabrał ze sobą dziesięć barbaskich psów. Nie zostało ich wielu, nie mają już zapasów na długie oblężenie, ale my też nie możemy bronić się miesiącami. Jest nas za mało. Mury są zbyt rozległe, do tego musimy pilnować zniszczonej bramy, a sił nam nie przybywa. – Jego głos niósł się echem po dziedzińcu. – Jesteśmy najlepszymi synami Erskinu i póki ja jestem dowódcą, nie pozwolę, byśmy poddali zamek. Nie pozwolę też, byśmy tutaj zdechli z głodu jak szczury. Dlatego podjąłem decyzję, że każdy, kto może podnieść miecz, wyjdzie teraz przed mury i wydamy im bitwę, w której albo zginiemy, albo wytłuczemy te psy, które wyciągnęły łapy po nasze ziemie!

Głośne okrzyki odpowiedziały na jego wezwanie, zakrwawione klingi wystrzeliły w górę, a na brudnych i porozbijanych twarzach zagościła na powrót determinacja. Dever założył znaleziony hełm i postukał w niego mieczem.

– Bądźcie gotowi! – krzyknął. – Jak tylko się pokażą między drzewami, wybiegamy przed wrota. Musimy utrzymywać pozycje, tak by za plecami mieć mur! Szyk nie może się załamać! Pilnujcie się...

Ryk setek mężczyzn przerwał mu w pół zdania. Wszyscy odruchowo spojrzeli przez otwartą bramę i zobaczyli hordeę barbaskich zbirów

pędzących na zamek.

– Za Erskin! – krzyknął i pobiegł przez bramę, a za nim ruszyła reszta jego drużyny.

Wypadli przed zamek, krzycząc nie ciszej niż przeciwnicy, którzy nieco wyhamowali, widząc rycerzy Erskinu przed bramą. Nie wstrzymali jednak ataku i z impetem uderzyli w ścianę mieczy i tarcz. Ich prowizoryczna broń i znacznie mniejsza już ilość pozwoliły obrońcom wytrzymać siłę natarcia. Widły i kosy w zwartym szyku wyszkolonych żołnierzy nie miały prawa zrobić wyłomu. Barbascy mężowie, nie widząc większych szans na powodzenie, wycofali się w las.

Dever rozejrzał się wokół i wśród gęstwiny poległych dostrzegł tylko trzech swoich ludzi. Natchnęło go to nadzieją, która jednak szybko została wystawiona na próbę, kiedy spomiędzy drzew wybiegło mrowie barbaskich żołnierzy uzbrojonych w swoje tradycyjne długie bronie i opancerzonych w kolczugi.

– Zewrzeć szyk! – ryknął głośno i podniósł tarczę.

Pierwsze zwanie odczuli okrutnie. Keechaki zdołały przebić się przez tarcze, zanim miecze mogły osiągnąć napastników. W bliskim zwarciu broń stosowana przez wojsko Barbasu nie była już tak skuteczna jak w pierwszej chwili. Gdy napierali na ścianę utworzoną z erskinskich obrońców, nie mogli w pełni wykorzystać długiej broni. Szamotali się, próbując wyrwać broń zakleszczoną między częściami pancerza czy utkwioną w tarczach, część porzucała szybko ten pomysł i dobywała długich sztyletów, ale te chwile zawahania wyłapywali żołnierze Devera. Ten widział jednak, jak półkole stworzone przez jego armię zmniejsza się, łatając luki po poległych. Głośny świst przebił się nagle przez dźwięki bitwy i płonący dzban oleju rozbił się o mury zamku Skogskin bardzo blisko walczących. Dever spostrzegł, że zaraz za dzbanem nadlatuje na nich rój strzał wystrzelonych przez barbaskich łuczników.

– Strzały! – Zasłonił się tarczą. – Za Erskin!

Zabił kolejnego, który chciał wykorzystać zamieszanie spowodowane ostrzałem. Wiedział, że ładują katapultę, z której strzelają płonącymi dzbanami. Usłyszał jednak gdzieś w oddali tętent setek końskich kopyt i charakterystyczny łoskot.

– Trzymać pozycje! – wykrzyczał, kłując mieczem schowanym za prostokątną tarczą.

Dźwięk zbliżał się i stał się już dobrze słyszalny dla wszystkich. Łucznicy, widząc nadciągającą jazdę Erskinu, zaczęli uciekać w stronę granicy. Kilkudziesięciu konnych wyjechało z lasu, w popłochu pędząc w kierunku Barbasu. Zaangażowani w walkę żołnierze spostrzegli, co nadchodzi, kiedy było już za późno. Nie mieli szans na ucieczkę, zastawili się więc Keechakami wbitymi w ziemię, ale długie piki w rękach szarżującej jazdy dosięgnęły ich bez kłopotu. Ogromne kopyta bojowych rumaków dokończyły dzieła zniszczenia, przejeżdżając bez pardonu po ciałach poległych i dobijając konających. Głośne wiwaty nielicznych pozostałych przy życiu obrońców Skogskinu powitały przybywającą z odsieczą armię. Ta jednak nie zwolniła nawet swojego galopu i pognęła za uciekinierami w stronę granicy z Barbasem.

Kilkudziesięciu ludzi konno gnało na złamanie karku w kierunku granicy między Erskinem i Barbasem. Książę Pandey nie był najlepszym jeźdźcem, ale jego koń należał do najwybitniejszych w całej zachodniej części kraju i dzięki temu wysforował się na prowadzenie w tej grupie. Żołnierze rzucali hełmy, wyrzucali broń i wszystko, co ich obciążało. Wściekła pogoń erskińskiej jazdy nadciągała jednak, wzbijając za sobą tumany kurzu. Konie, niezwykajne pędzenia z taką prędkością i po nierównych leśnych ścieżkach, potykały się, co dla jeźdźców kończyło się najczęściej straszliwym upadkiem. Erskińczycy wykorzystywali to bezlitośnie, dobijając żołnierzy uderzeniami kopii. Nawet nie zwrócili uwagi, kiedy wyjechali spomiędzy drzew na pustynię.

Krzyk ludzi i rzenie koni przeraziły księcia, który jeszcze mocniej popędził swojego zgrzanego już wierzchowca. Nie zdało się to jednak na nic, bo wkrótce kolejne jęki doleciały do jego uszu, a tętent kopyt erskińskich koni był coraz bliżej. Wkrótce poczuł na swoich plecach uderzenie kija i spadł z konia, wpadając w sypki pomarańczowo-czarny piasek. Przeturlał się i wylądował na plecach, zobaczył tylko oddalające się zwierzę i mrowie opancerzonych rycerzy stojących tuż obok niego.

– Jesteście na terytorium Barbasu! – piszczał, wypluwając piasek. – To wtargnięcie oznacza wojnę!

– Wojnę! – Kastil zeskoczył z konia i zrzucił z głowy hełm. – Zdradziecko spałeś pod moim dachem, jadłeś moje jadło, piłeś moje wina, mówiłeś, że jesteś przyjacielem, że chcesz zacieśnić sojusz, oferujesz ziemię moim ludziom. – Zbliżał się do Pandeya z wściekłością wymalowaną na twarzy. – A potem wbiłeś mi nóż w plecy, atakując z zaskoczenia! Zabijałeś moich

poddanych bez wypowiedzenia wojny, bez szans na przygotowanie, bez możliwości ucieczki bezbronnych... Stawaj!

Król wyciągnął miecz z pochwy i dysząc, patrzył na przerażonego Pandeya. Zakurzona twarz, na której widniały jaśniejsze stróżki wymyte przez spływający pot, wyglądała przerażająco. Książę Barbasu próbował się podnieść i sięgnąć po miecz, ale grząski piasek usuwał mu się spod nóg. Niespodziewanie dla swoich żołnierzy Kastil odrzucił miecz i ściągnął rękawice. Zaczął rozpinać napierśnik.

– Nie jesteś godzien honorowego pojedynku na miecze, podły zdrajco – syknął.

Trzema susami znalazł się przy Pandeyu. Przewrócił go silnym kopnięciem prosto w twarz. Ten padł na plecy jak długi i chwycił się za zakrwawione usta. Kastil atakował jak burza, tłukąc swojego przeciwnika niemal na oślep. Królewskie pięści spadały na głowę i ciało bezbronnego Pandeya z nieprzebraną furią. Młody król nie potrafił przestać, nawet kiedy jego przeciwnik przestał się ruszać. Tidur Dealin i generał Merik ściągnęli go wreszcie z bezwładnego ciała. Wyrwał im się jednak i stanął nad ledwo oddychającym Pandeyem.

– Weź miecz... – szepnął Pandey, krew spływała mu z ust. – Dobij...

– Nie jesteś godzien ginąć z królewskiej ręki – odparł zimno Kastil. – Rozpętana przez ciebie wojna dobiegła końca. Nie będzie paktu. Nasze stosunki wrócą do czasu sprzed koronacji. Wymiana handlowa na granicy dalej będzie możliwa, ale w moim kraju nie ma prawa pojawić się nikt z Barbasu. Nie wpuszczę tutaj nawet samego Vizeya. Każda próba wjazdu do Erskinu skończy się wojną, wielką wojną.

– Zostawisz... – Jęknął.

– Jesteś tylko pobity, wyżyjesz. – Odwrócił się i odszedł w kierunku swojego konia.

Zmrok zdążył spowić Skogskin i lasy wokół niego, nim zmęczone jazdą konie doczłapały z powrotem do jego murów. Przy spalonej bramie stało czterech wartowników, którzy podpierali się długimi pochodniami. Mieli zmęczone oczy i brudne twarze, a ich zbroje nosiły ślady ząartej walki. Widząc wracający królewski orszak, rozstąpili się, by wpuścić konnych na zamek. Król Kastil nie odezwał się słowem przez całą drogę, dopiero po przekroczeniu bram zamku wydał rozkazy.

– Ulokuj żołnierzy w zamku – odezwał się do Theusa Merika. – Kto się nie zmieści, niech śpi w namiocie na dziedzińcu. Każ przygotować jakąś



strawę, a obrońcy zamku niech zejść z warty, umyj się, odpoczn. Gwardia rozstawi się na murach i przy bramie. Jutro w południe chcę mieć raport ze strat. – Rozejrzał się po kręcących się po dziedzińcu wymęczonych żołnierzach. – I zwołaj apel, też na południe.

– Tak jest, wasza miłość. – Theus rozejrzał się wokół siebie. – Trzeba zająć się ciałami...

– Wiem... – Westchnął. – Musimy im z tym pomóc. Wszystkim Erskińczykom zorganizujemy pogrzeby zgodne z ich wyznaniem, a tamtych trzeba zebrać na stertę i spalić. Nie potrzeba nam tutaj gnijących trupów...

Kiedy tylko król zniknął za drzwiami, Merik ruszył, by przekazać rozkazy i przygotować wszystko na kolejny dzień. Dopiero nazajutrz, gdy władca wyszedł przed zamkowe zabudowania na dziedziniec, zobaczył, w jakim stanie jest wojsko broniące granic jego kraju. Z tysiąca żołnierzy stacjonujących w Skogskinie zostało około dwustu. Stali teraz przed nim w dwuszeręgu, niektórzy potrzebowali wsparcia, by nie upaść.

– Pozostawienie w granicznych twierdzach tylko tysiąca żołnierzy było błędem zaniechania – zaczął przemawiać. – Uwierzyłem w pozorny spokój i propozycję współpracy, zapominając, jak podstępny jest król Vizey. Przez moje błędy zginęli wierni rycerze, którym wieczna chwała. Chwała też wam, którzy uszliście z tej potyczki z życiem, broniąc dostępu do naszego kraju. W ramach podziękowania za heroizm, którym się wykazaliście, zwalniam was ze służby w tym zamku. Wróćcie do rodzin, ale liczę, że w przypadku kolejnego zagrożenia wesprzecie kraj swoją walecznością. – Na dziedzińcu rozległy się okrzyki aprobaty. – Chciałbym w szczególny sposób wyróżnić dowódcę obrony zamku.

Dever Monerweh wystąpił z szeregów, podszedł bliżej i klęknął dwa kroki od króla. Zbroja, którą miał na sobie, była pognieciona i pocięta, długa broda nieco postrzępiona, a blizna na twarzy bardziej widoczna.

– Podnieś się, żołnierzu – zwrócił się do niego król. – Po tej bitwie nie powinieneś klękać nawet przed królem. Wykazałeś się męstwem i zmysłem taktycznym w trakcie obrony murów zamku. Nie pozwoliłeś zdobyć zamku wrogom w przewadze liczebnej. Natchnąłeś ludzi wolą walki. Podjąłeś ogromne ryzyko, wydając bitwę przed zamkiem, ale ryzyko to było konieczne. Wytrzymałeś szturm, używając doskonałej taktyki, i za te zasługi oraz by wykorzystać lepiej twoje umiejętności, chciałbym, byś pojechał ze mną do Erskinu i został członkiem królewskiej gwardii.

– Panie mój... – Westchnął. – Wasza miłość, nie jestem godzien mieszkać w stolicy...

– Nie chcę słuchać wymówek – przerwał mu Kastil. – Jesteś wspaniałym żołnierzem, który przysłużył się krajowi najlepiej, służąc bezpośrednio przy władcy.

– Wasza miłość, całe życie mieszkałem w lasach, służyłem w lasach, nie nadaję się na salony...

– Przywykniesz do życia w stolicy. – Kastil uśmiechnął się. – A myślę, że dla żołnierzy, którzy służyli pod twoim dowództwem, będzie to ogromna nobilitacja.

Wiwaty, okrzyki i oklaski poniosły się po dziedzińcu. Dało się słyszeć uderzenia pikami o ziemię i mieczami o tarcze. Wreszcie Dever kiwnął głową, zgadzając się na propozycję króla. Tylko stojący z boku członkowie gwardii patrzyli na tę scenę bez cienia emocji na twarzach.

## Rozdział XXV

Zimne jesienne powietrze zawiewało z zaśnieżonych górskich szczytów majaczących w oddali. Aneti leżało dość daleko od Nieprzebytych Gór, ale mimo to żołnierze odczuwali chłód na tyle, by spędzać wieczory przy ognisku i alkoholu. Po zdobyciu Yelayinu Hex podjął decyzję, by zostać w jedynym niezniszczonym mieście w kraju. Wygodniej zarządzało się z miasta leżącego po środku terytorium.

Co prawda, nie było w nim żadnej twierdzy, ale wychowany w biednej wiosce władca nie miał problemu z mieszkaniem w willi zarządców farmy. Dom był przestronny, piętrowy i było w nim wystarczająco dużo pomieszczeń, by każda z kapłanek dostała własną sypialnię. W dodatku znalazło się miejsce na salę spotkań i nawet pokój dla dowódcy Nira Naita. Resztę zabudowań znajdujących się w mieście zajęli żołnierze.

Mimo wielkości Aneti nie różniło się niczym od innych miast-farm zwanych Gebetema. Główny punkt stanowiła willa zarządców, wokół której znajdowały się mniejsze i dużo uboższe budynki przeznaczone dla pomocników zarządców, za nimi stały długie baraki, w których mieszkali chłopcy wykorzystywani do obrabiania pól i oprzątania trzody.

Hex siedział na wygodnym welurowym fotelu w głównej sali i zerkał przez okno na krzątających się po podwórzu żołnierzy. Kapłanki zajęły miejsce przy owalnym, długim stole, na którym rozłożono mapy.

– Żołnierze mówili o tym, że na zachodzie doszło do jakiejś wojny – odezwała się Mossa.

– Też o tym słyszałam. – Iv pokiwała głową i wskazała palcem na mapie.  
– Podobno Barbas zaatakował Erskin.

– To było trzy księżyce temu – powiedział cicho Hex, nie odrywając wzroku od okna. – Nie powiedziałbym, że to wojna. Doszło do jednej bitwy, w której Erskin zwyciężył. Raczej sąsiedzki konflikt, jakich nie brakuje w tym zepsutym świecie.

– Skąd... – chciała zapytać Juvi, ale przerwało jej stukanie do drzwi. – Wejść!

– Wasza miłość, kapłanki. – Nir Nait skłonił się w progu. Rycerz miał na sobie długi zimowy płaszcz obszywany futrem przy kapturze, a na dłoniach futrzane rękawice. Rozejrzał się po pomieszczeniu zaskoczony i przysiadł się do stołu. – Jak to jest możliwe, że wam nie jest zimno. – Pokręcił głową. – Rycerze chodzą w grubej wełnie i futrach, a wy siedzicie tutaj w tych swoich zwiewnych strojach, a król tylko w kamizelce...

– Rycerzu. – Hex podniósł się z fotela. – Każdy, kto poczuł w sobie wieczny ogień, nie cierpi zimna, a każdy, kto poczuł w sobie moc Drzewa Śmierci, nie poczuje gorąca. Tak działa Sag Bas. Działa na tyle sposobów, że tylko nieliczni są gotowi, by poznać całość tej wiedzy...

– Mrocznej wiedzy – wyrwało się niechcący rycerzowi.

– Mrocznej... – Hex spojrzał gdzieś w dal ponad jego głową. – Mrocznej również, Nirze. Świat składa się z dobra i zła, z życia i śmierci, więc musi się składać z różnej wiedzy. Jednak jeśli pozna się Sag Bas dogłębnie, zauważa się, że dobro i zło nie jest jednoznaczne i oczywiste. Dla jednego coś będzie dobre, a dla drugiego złe. Dla jednego będzie to oznaczać życie, a dla innego śmierć. Sag Bas zapewnia równowagę między tymi siłami.

– Dotarł do nas list z Azu. – Nir zmienił temat. – Nie otwierałem go jeszcze, zgodnie z rozkazem.

– Ahgo, czytaj. – Hex gestem kazał podać zwój kapłance.

Do Hexa

W Anye zbiera się rada plemion pod przywództwem wodza Ndu, na której będziemy głosować nad dołączeniem do Twojego podboju. Zapraszamy Ciebie lub Twojego wysłannika na zebranie, byś przedstawił, co oferujesz w zamian za naszą pomoc. Rada zbiera się w ostatni dzień jesieni.

Kapłanka odłożyła zwój na stół i patrzyła wyczekująco na Hexa. Ten zamyślił się, wpatrując się w okno, by po chwili odwrócić się.

– Co oznacza rada plemion? – zapytał.

– Taka rada zbiera się wyjątkowo, ostatnio lata temu, by przyjąć czerwoną religię – odparła Agha.

– Dlaczego myślą, że zaoferuję coś za ich pomoc? – Zatrzymał wzrok na jej twarzy.

– Sądzę, że uważają, że to sojusz na równych prawach...

– Sojusz? – Zmarszczył czoło, a w jego czarnych oczach błysnęło coś niepokojącego. – Dlaczego mogliby w ogóle przypuszczać, że to, co tworzymy, można nazwać sojuszem?

– To prości ludzie, mogli nie zrozumieć tego, co napisaliśmy im...

– Pisałaś do nich list w ojczystym języku, czy napisałaś tam coś takiego, czego mogliby nie zrozumieć?

– Nie. – Zaczęła się denerwować. – Napisałam wprost, że dołączą do nas po dobroci, zrzekając się władzy i religii, albo zostaną podbici siłą...

– Zatem dlaczego chcą rozmawiać o tym, co zamierzam dać im w zamian? – Przeszywające spojrzenie wbijało się w nią, aż zabrakło jej tchu.

– Nie wiem, zrobiłam wszystko, co chciałam... – Uciekła wzrokiem.

– Dobrze, zatem wybierzemy się na to zebranie i przedstawię im to, co mogą dostać w zamian za dołączenie do naszej armii. – Odwrócił się, a Ahga odetchnęła. – Powiem im, że dołączając do nas, będą mogli wykazać się w boju, czym przyczynią się do przywrócenia równowagi w świecie. A jeśli nie dołączą, to wyrzniemy ich...

– Co?! – Juvy aż podskoczyła na krześle.

– Bardzo bym nie chciał, by do tego doszło, bo wyznawcy, a do tego potrafiący walczyć, będą potrzebni, by doprowadzić moją misję do końca, ale czasami trzeba coś poświęcić dla większej sprawy...

– Chcesz tam pojechać na czele armii? – zapytała Tia.

– Nie, nie ma takiej potrzeby. – Hex uśmiechnął się złowrogo. – Wystarczy mi towarzystwo moich kapłanek. W tym czasie Nir będzie sprawował tutaj władzę jako, jak to mawiają na zachodzie, królewski namiestnik.

Hex zostawił przygotowania do wyprawy na głowie swoich kapłanek, a sam zniknął na całe dni w sypialni, gdzie kontrolował umysły swoich poddanych. Nauka religii Sag Bas przebiegała bez problemów i ku jego radości coraz większe rzesze ludności zaczynały szczerze wierzyć w wartości głoszone przez Sag Bas. Biedni mieszkańcy Yelayinu nie potrzebowali wiele, by porzucić wiarę Ret przywiezioną przez ich ciemnych, a poza tym kusila ich wizja sprawiedliwego świata, w którym nie będą już wykorzystywani. Jego myślowe podróże zostały przerwane przez pukanie do drzwi. W progu pojawiła się Mossa.

– Nie przeszkadzam? – zapytała z uśmiechem.

– Wejdz. – Podniósł się z łoża. – Coś się stało?

– W sumie nie, ale... – Zamyśliła się na moment. – Rozmawiałam z Ahgą i ona uważa, że Azuańczycy mogą nas wciągnąć w pułapkę tym zaproszeniem. Myśli, że być może będą chcieli nas zabić po drodze przez las. Tam rzeczywiście jest taki gąszcz, że możemy nawet nie zauważyć, skąd padną strzały i...

– Dlaczego Ahga nie przysłała z tym do mnie sama? – przerwał jej.

– Przestraszyła się tego, jak ostatnio zareagowałeś...

– Ona zna ten kraj najlepiej, a ja musiałem poznać przyczyny takiej reakcji. Nie musisz się jednak obawiać żadnej zasadzki. Ani ty, ani Ahga. Na wyprawę wyrusza sześć najpotężniejszych osób na tym świecie, nic nam nie grozi, nawet jeśli coś przygotowują. Muszą się liczyć z tym, że jeśli nas zaatakują, zginą. – Bił od niego absolutny spokój.

– Chcesz zabić cały kraj w sześć osób? – Spojrzała na niego, a na jej dziecięcej twarzy pojawiło się zmartwienie.

– Nie, nie chcę zabijać całego kraju, moje dziecko. – Pogłaskał ją po policzku. – Wystarczy, że zabijemy kilku wodzów w odpowiednio spektakularny sposób. Musicie zrozumieć, że ja nie zastanawiam się nad tym, w jaki sposób działać. Ja po prostu pozwalam, by decyzje podejmowała za mnie Sag Bas. Nie musicie się bać o to, co się stanie, zawierzcie Sag Bas i zawierzcie mi, a wszystko skończy się tak jak należy.

– Uspokoileś mnie. – Chwyciła dłoń, która dotykała jej twarzy. – A chciałam też powiedzieć, że zwiadowcy dostrzegli oddział konnych łuczników z Jaramu jakieś dwie godziny drogi stąd.

– Ach, tak. – Hex uśmiechnął się. – Trzeba zatem wyjść z sypialni i przygotować coś na ich przyjęcie. Czy możesz się tym zająć?

– Oczywiście. – Mossa wyprostowała się, a jej biały strój zafalował, uwydatniając kobiece kształty. – Co mam zrobić?

– Niech sprzątną mapy ze stołu w dużej sali i nakryją go dla tylu osób, ile jedzie. Niech kuchnia przygotuje jakąś gorącą treściwą zupę. Wyślij też niewielki oddział Tolimurajczyków, by po nich wyjechali.

– Tak jest. – Dосkoczyła do drzwi, ale zatrzymała się w progu. – A ty co zrobisz?

– Poczekam na nich tutaj, a w odpowiednim momencie zjawię się w komnacie. – Odwrócił się do okna, a Mossa zniknęła za drzwiami.

Na czele dwunastu konnych, ubranych w zielone grube płaszcze z naszytymi na plecach czerwonymi krzyżami, wjechał niewysoki starszy mężczyzna z długą siwą brodą, okutany szczelnie w grube futro

z obszernym kapturem zakrywającym jego siwą głowę. Jechali na niewielkich, ale masywnych koniach, do których dowiązano wypchane juki. Przy wjeździe do miasta towarzyszyło im dwudziestu konnych Tolimurajczyków w czarnych płaszczach z pomarańczowymi przeszyciami i czerwonymi zdobieniami. Jaramczycy mieli na plecach długie łuki, które chcieli zostawić przed wejściem, ale jeden z żołnierzy znający język spokojnie wytłumaczył im, że nie ma takiej potrzeby, bo Hex nie boi się zamachu. Po przekroczeniu progu uderzył ich przyjemny zapach pikantnej zupy Tissa, której głównym składnikiem były ostre korzenie rosnące u podnóża gór.

– Sabhkyr! – przywitała ich po jaramsku Juvi. – Witajcie. Zapraszam do stołu. Tissa na pewno rozgrzeje was po długiej podróży.

– Sabhkyr – odparł starzec. – Chętnie posilimy się po podróży, ale chciałbym rozmawiać z władcą, a nie z...

– Domyślam się, że pierwszy raz widzicie kapłankę Sag Bas. – Spojrzała na niego zimnym spojrzeniem. – Dlatego puszczę tę wiszącą w powietrzu zniewagę mimo uszu. Hex dołączy do nas niebawem. Póki co musi wam wystarczyć towarzystwo jego kapłanek.

– Fisah. – Skłonił się. – Rzeczywiście nie miałem pojęcia, jak wyglądają stroje kapłanek Sag Bas, proszę o wybaczenie.

– Siadajcie i jedzcie, póki jest gorąca. – Juvi wykonała zapraszający gest.

Przybysze zajęli miejsca przy stole. W powietrzu dało się wyczuć niepewność, której nie przełamało nawet jedzenie.

– Nie bójcie się – zwróciła się do nich po jaramsku Tia. – Jedzenie nie jest zatrute.

– Ach, proszę wybaczyć... – Mężczyzna zmieszał się. – Nie jesteśmy przyzwyczajeni do...

– Do czego? – odezwał się Hex, który nie wiadomo skąd wziął się w pokoju. – Do przyjaznego powitania?

– Wasza miłość. – Starszy mężczyzna zerwał się z krzesła, niemal wywracając talerz. – Jestem Allarei, przewodniczący grona pasterskich rodów, wybrano mnie władcą Jaramu.

– Miło, że chociaż mnie rozpoznałeś, choć nie stroję się po królewsku. – Hex wyciągnął dłoń.

– Potęga, jaka bije od waszej miłości, mówi sama za siebie. – Allarei uścisnął ją.

– Nie musisz się podlizywać, Allareiu. – Prychnął. – Siadajcie i jedzcie w spokoju. Po posiłku porozmawiamy o tym, po co przejechaliście cały kontynent.

– Dziękujemy, zupa naprawdę nas rozgrzała, zwłaszcza moje stare kości.  
– Uśmiech wyrzął spod siwych wąsów.

– Zatem powiedz nam, Allareiu, co sprowadza tutaj twoje stare kości? – Hex rozparł się na krześle.

– Jakiś czas temu dotarł do nas list wysłany przez waszą miłość i księga zawierająca podstawy wiary Sag Bas. Z początku potraktowaliśmy to jako coś w rodzaju żartu. Z całym szacunkiem, ale nie doszły do nas żadne inne wieści z południa, które potwierdzałyby to, co jest w liście i księdze.

Hex nie przerywał mu, tylko patrzył stalowym spojrzeniem.

– Dopiero kiedy wymieniliśmy korespondencję z sąsiadami z południa i Ujara potwierdziła, że twoje wojska zajęły Yelayin, a religia zdobywa coraz więcej wyznawców, zarządziłem wiec. Zebrali się na nim najstarsi wszystkich rodów w Jaramie i uradziliśmy. Dla naszych przodków i dla nas najważniejsza jest ziemia, nasze pastwiska. Stworzyliśmy państwo, bo taka była potrzeba, ale nie wynikało to z poczucia państwowości. Zresztą nadal żyjemy i zarządzamy osobno, a tylko w niektórych najważniejszych kwestiach decyzje podejmuje wiec. Przyjechałem tutaj, by przekazać waszej miłości, że jeśli nasze pastwiska nie zostaną zniszczone, to przyłączymy się do was dobrowolnie.

– Dlaczego miałbym niszczyć pastwiska, Allareiu? – zapytał Hex. – W końcu Sag Bas dąży do tego, by świat był jak najlepszy, a do tego potrzeba również pastwisk i zwierząt, które będą się na nich posilać. Waszym ziemiom nie grozi zniszczenie, bo najważniejsza wojna odbędzie się daleko na zachodzie.

– Tylko to chciałem usłyszeć, wasza miłość. – Wyrażna ulga wymalowała się na pomarszczonej twarzy Allareia.

– Zatem wyrzekasz się władzy nad swoim ludem? – Hex nie odrywał od niego wzroku.

– Tak, wasza miłość, przekazuję mój lud pod twoją opiekę. – Sięgnął do juków stojących obok niego. – To berło jest symbolem przewodniczącego wiecu. Przekazuję je na twoje ręce jako symbol twojego panowania nad ludem Jaramu. – Staruszek dostojnie podszedł do władcy siedzącego po drugiej stronie stołu i wręczył mu rzeźbiony kij długości łokcia, pokryty szlachetnymi kamieniami. Hex obejrzał go z każdej strony, wstał i podszedł



do kominka, po czym wrzucił podarek prosto w ogień. Staruszek zamarł i zbladł. Żołnierze poruszyli się nerwowo na krzesłach.

– Przyjmuję twój podarek, Allareiu, i z radością przyjmę pod opiekę lud Jaramu. Jednak musicie się jeszcze dużo nauczyć o Sag Bas. Jak widzisz po miejscu, w którym mieszkam, po tym, co jem i co mam na sobie, nie interesują mnie symbole władzy. Sag Bas wyzbywa się tego, co mamy ludzi. Nie noszę korony, choć mógłbym nosić aż dwie. Nie będę też nosił waszego berła, bo celem nie jest zostanie władcą. Celem jest doprowadzenie świata do stanu, w którym nic nie będzie mu groziło, a to można zrobić, jednocząc wszystkie narody pod berłem Sag Bas. Zatem by dołączyć do mnie w tej misji, musicie nie tylko podporządkować się moim rozkazom, ale przede wszystkim wyrzec się czerwonej religii i przyjąć Sag Bas. Nauczać jej w każdej osadzie, a wyznawców fałszywych bożków tępić jak wilki zjadające waszą trzodę. Czy jesteś na to gotowy?

– Tak, wasza miłość – odparł przerażony.

– Zatem cieszę się, że mogę powitać Jaramczyków wśród wiernych Sag Bas. – Hex uśmiechnął się niespodziewanie. – Korzystajcie z mojej gościny, póki nie wypoczniecie po podróży. Potem wyruszysz do swojego domu z kufrem pełnym ksiąg. Rozdasz je starszym wszystkim rodów i zobowiązesz do nauczania. Jeśli dowiem się, że ktoś poniechał nauk, to zginie w straszny sposób.

Jeden z żołnierzy zaczął się krztusić. Nie mógł złapać tchu, poczerwieniał na twarzy, a z nosa zaczęła mu lecieć krew. Spadł z krzesła i czołgając się po podłodze, próbował uzyskać pomoc u swoich przerażonych towarzyszy.

– To nie trucizna w zupie. – Hex patrzył głęboko w oczy Allareia. – To moc Sag Bas, którą uwolniłem w myślach tego młodzieńca. Kazałem jego płucom przestać oddychać, kazałem jego krwi wystąpić z żył i mogę kazać mu umrzeć w tej chwili albo męczyć go tak jeszcze wiele godzin, a potem kazać rozerwać sobie trzewia gołymi rękami. Rozumiesz, Allareiu? Nie ma litości dla tych, którzy spróbują mnie oszukać.

– Tak, wasza miłość – odparł mechanicznie.

– Mam nadzieję. – Chłopak nagle złapał głęboki oddech. – Pomóżcie mu zmyć krew.

Iv i Tia podniosły się z krzesel i pomogły wstać żołnierzowi. Ten z trudem oddychał i ledwo trzymał się na nogach, opierając się na kapłankach. Iv pobiegła po wodę.

– Jutro wyruszamy do Azu – opowiadał władca, jakby to, co stało się przed chwilą, było zupełnie zwyczajne. – Jednak zanim wyjedziemy, przygotujemy kufer wypełniony księgami Sag Bas, żebyś mógł zabrać go ze sobą na północ.

– Dziękuję, wasza miłość. – Allarei skłonił się, choć nadal było widać, jak bardzo się boi.

– Jak wypoczniecie, a księgi będą gotowe, ruszycie na północ. – Władca wstał i wyszedł z sali.

Podróż do Anye mijiała bez żadnych przygód. Konie spokojnie kroczyły po starym i zapomnianym już szlaku handlowym, którego przed wojną domową używali kupcy z Tolimuraj, by dostarczać towary do Azu. Droga nadal była w niezłym stanie, więc nie mieli powodu z niej zbaczać. Nir nie chciał zgodzić się na to, by władca jechał wierzchem i spał w namiocie na gościńcu, ale nie miał siły przebicia. Kapłanki, tak samo jak Hex, cieszyły się na taką wyprawę. Dlatego jednego luzaka objuczyli sporym namiotem i kocami, które przecież zupełnie nie były potrzebne. W namiocie spali blisko siebie, więc nie tylko ogień Sag Bas ogrzewał ich ciała.

Hex jechał na przedzie kolumny, rozglądając się uważnie w milczeniu. W oddali dało się już słyszeć śpiewy i azuańskie bębny. Dźwięki były coraz lepiej słyszalne, aż wreszcie ich oczom ukazała się ścieżka prowadząca bezpośrednio do sporej osady otoczonej ostrokołem. Dwóch czarnoskórych mężczyzn ubranych w skóry dzikich zwierząt i uzbrojonych w długie włócznie rozstąpiło się przed nimi, wpuszczając ich do wnętrza osady. Niewysocy ludzie o hebanowej skórze i szerokich barkach kręcili się między drewnianymi chatami ustawionymi na planie kilku okręgów.

W środku wioski znajdowały się rzędy ławek, również ustawionych w okrąg, a po środku płonęło wielkie ognisko. Starsi, niekiedy nawet siwi mężczyźni, siedzieli na ławach wokół ognia. Odwrócili głowy i wpatrywali się w przybyszów z zaciekawieniem. Hex przepuścił Ahgę przodem i ruszył w kierunku centrum wioski.

– Przybywam na wasze zebranie, zgodnie z zaproszeniem – odezwał się, kiedy wszedł między ławy.

– Zatem to tak wygląda wielki wojownik, który chce sojuszu z Azu – odparł największy z siedzących przy ogniu mężczyzn w łamanym tolimurajskim. Mięśnie grały pod czarną skórą, a w oczach błyszczała odwaga. Nie drgnęła mu nawet powieka, kiedy skrzyżował spojrzenia z potężnym wodzem Sag Bas.

– Przyjechałem właśnie po to, by wyjaśnić pewne nieporozumienie, które wkradło się w nasze relacje. – Hex obracał się, przyglądając się zgromadzonym. – Pomyśleliście, że proponuję wam sojusz, niestety nie do końca o to chodzi. Moja propozycja dotyczyła tego, że przyłączycie się do Sag Bas dobrowolnie i oddacie mi władzę nad swoim krajem, przyjmując religię Sag Bas, albo zginiecie, a wtedy i tak przejmę nad nim władzę.

– I przychodzisz tu bez wojska? – Wódz zaśmiał się.

– Zostałem zaproszony, by przekonać was do podjęcia słusznej decyzji i przystąpienia do Sag Bas, nie muszę do tego używać wojska. – Rozłożył dłonie. – Powiedziałem, czym skończy się odmowa, macie też list, w którym dokładnie to opisuję i to w waszym ojczystym języku, więc liczę, że podejmiecie rozsądną decyzję.

– Masz nas za głupich i sam jesteś głupi. – Ndu podniósł się z miejsca i podszedł nieco bliżej.

Choć był najwyższy i najlepiej zbudowany ze wszystkich zgromadzonych, to przy Hexie wyglądał jak dziecko. Mężczyźni przez kilka chwil mierzyli się wzrokiem. Nagle koło ucha Hexa śmignął oszczep, który wbił się w klatkę piersiową Ndu. Kapłanki dobyły sztyletów i próbowały otoczyć swojego przywódcę, ale ten pozostał niewzruszony. Wódz zrobił wielkie oczy i chwycił drzewiec broni. Przeształ z nogi na nogę, cofając się, aż trafił na ławki. Zsunął się z nich na ubitą ziemię. Krew spływała z jego ust i z rany na mostku, kaszlnął, spróbował wstać, ale padł po raz drugi.

– Ach, wodzu. – Hex uśmiechnął się. – Zawsze znajdzie się ktoś, kto pomyśli rozsądniej.

W krąg oświetlony ogniskiem weszła niespotykane wysoka jak na mieszkańców Azu kobieta. Miała niezwykle czarną skórę, szerokie barki, idealnie wyrzeźbiony brzuch oraz mocne nogi. Była przepasana skórą jelenia na biodrach, ale jej piersi były zupełnie nagie.

– Ty... – Wódz wydał z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków i wyzionął ducha.

– Zapewne reszta starszyny zgodzi się, że Minu dużo bardziej nada się na wodza niż Ndu, prawda? – Hex rozglądał się po zgromadzonych na ławach mężczyznach siedzących z szeroko otwartymi ustami.

– Zabiłam wodza, więc jestem wodzem, jak nakazuje prawo – odezwała się krótkimi rwanymi zdaniami niskim, prawie męskim głosem.

– Ktoś ma coś przeciwko? – Hex siadł na ławce obok zwłok Ndu. – Nie widzę nikogo, więc zostawimy was samych, byście spokojnie mogli omówić z nowym wodzem to, czy warto przystąpić do Sag Bas, czy lepiej stawiać opór.

Władca podniósł się i bez słowa minął Minu, zabierając ze sobą kapłanki. Gdy oddalili się od kręgu na tyle, by zebrani nie mogli ich usłyszeć, Juvi podeszła do niego.

– Co to miało być? – zapytała zdenerwowana.

– Ndu zmusiłby nas do walki, a dzięki Minu udało się zachować wszystkich Azuańczyków przy życiu, no prawie wszystkich. – Hex położył dłoń na jej ramieniu.

– Ale skąd ona się wzięła? – Kapłanka nie dawała spokoju.

– Chciała być wodzem, ale przegrała pojedynek z Ndu jakiś czas temu, a teraz nie zaprosili jej na obrady starszyny. Przyglądała się z oddali, więc wykorzystałem jej umysł, by stanęła po naszej stronie. – Wzruszył ramionami. – Dzięki temu nie mam najmniejszych wątpliwości, że Azu się do nas przyłączy.

– Spójrz tam! – Mossa wskazała dłonią dwójkę zbliżających się ścieżką ludzi.

Byli znacznie wyżsi niż Azuańczycy i mieli jaśniejszą skórę. Kroczyli ścieżką wprost na spotkanie Hexa i jego kapłanek. Nieśli ze sobą spore kosze wykonane z długich liści, ubrani byli w jutowe suknie.

– Piligame. – Skłonili się nisko przed władcą i jego towarzyszami. – Jeśli jesteś wybrańcem, to nasze modły zostały wysłuchane.

– Oto Hex, najwyższy kapłan Sag Bas, Płomień Nadziei, władca Tolimurai, Yelayinu, Jaramu i w sumie Azu też – skończyła przedstawianie swojego przywódcy Juvi.

– Panie nasz! – Starsza, pomarszczona i siwa kobieta klękła przed nim, a towarzyszący jej młodzieniec zrobił to samo. – Jakimś zrządzeniem losu udało nam się ciebie znaleźć w tej wiosce. Mamy dla ciebie dar wielkiej wagi, który może pomóc w twojej misji, i chcemy oddać ci nasz kraj, a także przyjąć twoją religię. Wreszcie mi się udało! – mówiła szybko staruszka, a łzy stanęły jej w oczach.

– Wstań. – Hex podszedł do niej. – Usiądźmy gdzieś przy ogniu, byś mogła w spokoju opowiedzieć swoją historię.

Starsza kobieta nie mogła oderwać wzroku od Hexa i kapłanek. Wpatrywała się w nich jak w największy skarb i kiedy zasiedli na pieńkach

drzew rozstawionych wokół ogniska obok jednej z chat, zajęła siedzisko najbliższej władcy.

– Najlepiej będzie, jeśli zaczniesz od początku. – Juvi starała się uspokoić nieco staruszkę.

– Nazywam się Nayaka, to jest Ventik. – Kobieta wskazała swojego towarzysza. – Jestem władczynią Gotrayi, wybraną przez radę klanów. Po tym, jak dotarł do nas list wraz z księgą, podjęliśmy decyzję, by przyłączyć się do was bez wahania. Dawno temu, kiedy byłam małą dziewczynką, na naszych ziemiach znaleziono księgę z przepowiednią mówiącą o tym, że tylko zjednoczeni możemy pokonać mrok, a skoro wy próbujecie zjednoczyć świat, nie możemy stanąć po drugiej stronie.

– A jak to się stało, że znaleźliście nas tutaj, w Azu? – zapytała Iv.

– Przypadek. – Nayaka uśmiechnęła się. – Wyruszyliśmy już dawno, a ostatnio płynęliśmy rzeką w stronę Aneti. Zbliżała się noc, usłyszeliśmy te bębny i śpiewy... Zeszliśmy z łodzi i dotarliśmy tutaj, a potem na ścieżce zobaczyłam widok, który radością i nadzieją napełnił moje serce.

– Zatem powiedz mi, Nayako, czy jesteście gotowi wyrzec się swojej religii i podążać drogą Sag Bas? – zapytał Hex, spoglądając prosto w jej oczy.

– Tak, już nawet zaczęliśmy nauczać z księgi, która do nas dotarła, na razie tylko w Vantaray, ale liczymy, że uda się tę wiedzę przenieść do kolejnych miast i wsi. – Jej oczy pełne nadziei błyszcząły. – Przekazuję dobro mojego ludu w twoje ręce z nadzieją w sercu. Nie mamy atrybutów władzy, które mogłabym ci oddać, panie, ale przyjmij moje słowo za pewnik.

– Wiem, że nie oszukujesz. – Hex uśmiechnął się przyjaźnie. – Jednak wspominałaś, że masz jakiś podarek.

– Ach, tak! – Rzuciła się w stronę koszy. – Zapomniałabym na śmierć! Oto ona, księga, którą znaleźliśmy lata temu przy granicy z Czarnymi Ziemiemi.

Podła mu grubą księgę, oprawioną w czarną skórę pokrytą sinymi pęknięciami, takimi samymi, jakie pokrywały ciało Hexa. Władca delikatnie wziął ją do ręki, a Juvi westchnęła tak głośno, że niemal zagłuszyła bębny.

## Rozdział XXVI

Kiedy dopływała do Erskinu i jej oczom ukazały się pierwsze zabudowania, była zachwycona. Port rzeczny wyglądał na olbrzymi w porównaniu z przystaniami mijanymi po drodze. Spacerując ulicami stolicy, rozglądała się tak, że rozboleł ją kark. Podziwiała wysokie kamienne domy, kramy z kolorowymi towarami, pachnące jadłem karczmy. Przede wszystkim jednak dech w piersiach zapierała góra Ersk i usadowiony na niej potężny czarny zamek.

Stała na szerokiej drodze prowadzącej do zwodzonego mostu i wpatrywała się w mury z otwartymi ustami. Ludzie krzątający się po ulicach w swoim sprawach tręcali ją, niemal nie zwracając uwagi. Udała się do karczmy znajdującej się przy jednej z bocznych ulic. Karczma miała dwa piętra i na parterze znajdowała się sala jadalna i bar. Gruba karczmarka obsługiwała nielicznych o tej porze gości.

– Dzień dobry! – Riga podeszła do lady.

– Witaj, dziecino. – Karczmarka uśmiechnęła się serdecznie. – W czym mogę ci pomóc?

– Dopiero przyплыnęłam do miasta z Myrbeinu i szukam jakiegoś miejsca do spania, może mogłaby mi pani pomóc coś znaleźć? – zapytała z uśmiechem pełnym nadziei. – Chcę zostać rycerzem!

– Rycerzem, powiadasz? – Pulchna twarz rozciągnęła się w jeszcze szerszym uśmiechu. – W tym miejscu ważniejsze jest, ile masz pieniędzy. Jeśli masz ich sporo, to możesz mieszkać przy głównej ulicy w pobliżu zamku, a jeśli masz ich mniej, to zostają dla ciebie spelunki na obrzeżach.

– Mam dziesięć srebrnych monet. – Ściszyła głos.

– A ile czasu planujesz zostać w mieście?

– Dopóki nie zostanę rycerzem – odparła pewnie.

– To może zająć trochę czasu... – Kobieta odstawiła przecierany kufel. – W takim razie musisz się oddalić od miasta i tam spróbować. Przy drodze na wschód, po lewej stronie jest taka rozlatująca się chata. Tam za te

pieniądze będziesz mogła mieszkać do woli... – Nieco spochmurniała. – Będziesz musiała tam uważać. A co robiłaś w domu?

– Pracowałam, wyrabiałam sery, pomagałam w gospodarstwie...

– A w kuchni się umiesz odnaleźć? – Karczmarka spojrzała na nią podejrzliwie.

– Umiem, pewnie, że umiem, a dlaczego...

– Mam taki jeden mały pokoik na poddaszu. – Rozejrzała się. – Żadnych wygód w nim nie ma, jeno łóżko, stolik, taboret i wieszak. Pokoik jest malutki i nikogo większego tam nie daję, ale ty się pomieścisz. Ino będziesz pracować! Myć podłogi, wynosić pomyje, skrobać warzywa, rozumiemy się?

– Tak jest, proszę pani! – Dziewczyna wyprostowała się, ale po chwili spoważniała. – A ile będę musiała płacić za pokój? Chciałabym jednak, żeby coś mi zostało na nauczyciela...

– A, niech stracę! – Kobieta klepnęła się w udo. – Jak się dobrze sprawisz, to nic nie zapłacisz i tak pusty stoi, a pomoc się przyda w knajpie.

– Dziękuję! Kiedy mogę się wprowadzić, to znaczy zacząć?

– A teraz, zaraz. Chodź na górę. Zaprowadzę cię do pokoju, a potem pójdziesz do kuchni obierać jarzyny.

Uczony Mytel spieszył marmurowymi korytarzami zamku w stolicy Bernsternu. Głośne wołanie króla Kunglina po raz kolejny oderwało go od nauki. Chciał zapracować na złote obszycia kaptura, więc ślęczał nad księgami w każdej wolnej chwili. Trafiając na dwór, nie był zadowolony, ale nie spodziewał się, że będzie to aż tak ciężka praca. Słyszał, że uczeni na innych dworach służyli radą, byli traktowani z szacunkiem i władcy liczyli się z ich zdaniem, natomiast on u Kunglina czuł się jak pocztowy. Odbierał i czytał listy do króla, pisał je również, ale przede wszystkim słuchał tych wszystkich głupot, które król mu opowiadał. Wiele razy gryzł się w język przed wypowiedzeniem swojego zdania. Raz się nie ugryzł i poczuł, czym to grozi.

Bern miał w zwyczaju głośno obmyślać swoje szemrane intrygi. Nie potrzebował w nich rad, dopóki sam o to nie poprosił, zatem Mytel stał tylko obok opasłego króla i słuchał, a potem biegał, by przekazać jego rozkazy. Nie przekazywał ich tylko dworskim urzędnikom, ale musiał też umieć rozmawiać z pozbawionymi moralności najemnikami czy zwykłymi zbirami pracującymi w mieście. Od kiedy intryga w Erskinie upadła i w

mieście pojawiła się nieślubna córka króla, Kunglin stał się jeszcze bardziej upierdliwy i wołał Mytela co chwila. Tym razem uczony miał już serdecznie dość, ale otworzył zdobione drzwi i wszedł do królewskiej sypialni.

– W czym mogę służyć tym razem, wasza miłość? – zapytał unizonym tonem.

– Powiedz mi, Mytelu, co powinienem teraz zrobić? Erskin zdmuchnął te żałosne wojska Barbasu... Ten mój bękart nadal jest na dworze... – Urywane zdania przepijał winem. – Jak zaczną węszyć, to mnie wsypie, pewnie ma nadal te wszystkie listy...

– Nie wydaje mi się, by ktokolwiek mógł go podejrzewać... Nikt nie będzie szukał winnych, bo mają już winnego. To księżę Pandey, na niego spadła odpowiedzialność i za szpiegowanie, i za wojnę, do nas nikt nie będzie próbował się dobrać, trzeba tylko mądrze odpowiadać na kolejne kroki w kontaktach z Erskinem – ważył słowa, by nie narazić się pijanemu władcy.

– Mądre kroki, tak... – mruknął. – Zobaczymy, czy tym razem twój plan na coś się zda... Ostatni był przydatny jak majtki kurwie...

– Czy wasza miłość będzie mnie jeszcze potrzebował? – zapytał.

– Nie... – Twarz Kunglina była bardziej czerwona niż zazwyczaj, a świńskie oczka wyjątkowo małe. – Chociaż czekaj... Zejdiesz do lochów i sprawdzisz, czy ta moja córeczka jeszcze żyje...

Odetchnął, że nie musiał przebywać w jednym pomieszczeniu z pijanym władcą, i chętnie ruszył korytarzem. Schodził krętymi, chropowatymi schodami, ostrożnie stąpając w półmroku. Przyświecał sobie jedynie niewielką pochodnią. Nie mógł sobie wyobrazić, że można być tak okrutnym dla własnego dziecka. Zapach wilgoci nasilał się z każdym krokiem. Nie zdawał sobie także sprawy, jak głęboko są usytuowane lochy. Trzymając się dłonią ściany, czuł spływające po niej kropelki wody.

Znalazł wreszcie drzwi do celi, w której miała być córka Kunglina. Chwilę męczył się ze starym zawilgoconym zamkiem, ale wreszcie udało mu się dostać do celi. Dopiero po kilku krokach pochodnia pozwoliła mu zobaczyć przykutą do sufitu nagą i pokiereszowaną kobietę. Smród uderzył w jego nozdrza. Czuł fekalia i zapach zaschniętej krwi zmieszanej z potem. Jej rude włosy były potargane, zniszczone i poklejone krwawymi skrzepami. W migotliwym świetle pochodni zauważył też otwarte rany,



które nie chciały się goić. Nie spostrzegła go od razu, dopiero po chwili orientując się, że ktoś jest w pomieszczeniu.

– Spokojnie. – Cofnął się. – Nic ci nie zrobię... Jestem Mytel. Uczony na dworze i...

– Przyszedłeś sprawdzić, czy nadaję się na dalsze tortury... – wychrypiła.

– Nie... nie. – Zająknął się, słysząc jej głos. – Przyszedłem sprawdzić, czy żyjesz...

– Żeby mnie dobić? – Z trudem podniosła poobijaną twarz.

Uczony nigdy wcześniej nie widział Immy Vatkrieg, ale słyszał o jej powalającej urodzie. Zatrwożył się, widząc, jak kobieta wygląda teraz. Spuchnięte oczy, porozcinane i suche wargi, zakrzepła krew na policzku, złamany nos... W Akademii uczył się medycyny, ale nie był nigdy sam na sam z tak pokiereszowanym pacjentem.

– Nie... – wykrztusił z siebie.

– Nieważne... – Nie była w stanie utrzymać głowy prosto. – Możesz mnie zabić, ale zanim to zrobisz, muszę... Chcę, żeby ktoś wiedział, kim jest ten cały król... Moja matka nie była kurwą... – mówiła cicho, Mytel musiał się wsłuchać w jej słaby głos. – Była jedną ze służących na dworze, a ten... Kunglin ją zgwałcił. Długo ukrywała ciążę, ale w końcu zauważył to, kiedy sprzątała jego sypialnię... Pobił ją, ale nie poroniła, urodziła mnie zdrową. Chciała ze mną uciec, ale Keler złapał ją na granicy miasta... Kunglin zabił ją własnoręcznie... Dopóki nie podrosłam, wychowywałam się w przytułku, potem przyszedł po mnie i sprzedał na piracki statek. Jako zabawkę kapitana, który gwałcił mnie, odkąd skończyłam dziesięć lat... – Wielkie łzy kapały na podłogę. – Kiedy skończyłam czternaście, zabiłam go w łożu. Przejęłam statek i zostałam kapitanem. Kunglin dowiedział się o tym od Kelera i kiedy byłam w porcie, porwał mnie i wsadził tutaj. Siedziałam, dopóki nie zgodziłam się dzielić z nim zyskami... Wykorzystywał mnie, żeby likwidować niewygodnych możliwych. To... – Podniosła wzrok. – Spotkałam w swoim życiu wielu złych ludzi, okrutnych, bezdusznych, ale on... On jest najgorszy ze wszystkich. Mówił ci, że odesłał ostatniego uczonego do Akademii? Gówno prawda. Ten uczony leży gdzieś tutaj, w którejś z cel, zagłodził go na śmierć i ciebie też zabije, jak przestaniesz mu pasować... – Zacharczała i jej głowa opadła bezwładnie na piersi.

Przerażony Mytel wpatrywał się w dziewczynę jeszcze przez chwilę. Odwiesił pochodnię i zdjął Immę z haka. Ostrożnie położył ją w rogu

lochu, nakrywając leżącą obok szmatą. Bał się zrobić cokolwiek więcej. Oddalił się stamtąd pospiesznie, niemal wbiegając po stromych wąskich stopniach, ale udreńczony głos Immy pobrzmiwał w jego głowie jeszcze długo, nie pozwalając mu zasnąć.

Mieszkanie w koszarach ulokowanych pod główną salą zamku w Erskynie nie odbiegało aż tak bardzo od tego, do czego przywykł w Skogskinie. Duże komnaty, w których mieszkało po kilku rycerzy, proste łóżka z siennikami, kufry na rzeczy prywatne i stojaki na zbroje stanowiły całe wyposażenie.

Jednak zupełnie inaczej traktowali go kompani. Służąc w Skogskinie najpierw jako żołnierz, a potem jako dowódca, był szanowany. Nikt nie śmiał się z jego wiejskiego pochodzenia, bo wszyscy żołnierze urodzili się w Skogskinie lub okolicach. Z dala od wielkomijskich atrakcji żołnierzom pozostawało tylko szkolenie umiejętności i gra w karty. Dlatego też Dever Monerweh nie potrafił odnaleźć się w stolicy. Nie umiał poradzić sobie z przyswojeniem konwenansów, jakie panowały na dworze. Nie umiał tańczyć, nie umiał rozmawiać z kobietami, a i rozmowy z innymi rycerzami nie wychodziły mu tak, jakby chciał. Mówił prostym językiem, bez wyrafinowanych słówek, często nie rozumiał anegdot i zaczepki, którymi go częstowano.

Cieszył się, kiedy przypadał jego dyżur w ochronie króla. Kastil był jedyną osobą, z którą mógł otwarcie i szczerze rozmawiać. Choć krępował się zawracać królowi głowę swoimi problemami, czuł się przy nim nadzwyczaj swobodnie. Przez całą drogę do Erskinu jechali obok siebie i młody władca ani razu nie pokazał mu, że jest od niego ważniejszy i lepiej urodzony. W czasie, w którym nie miał dyżuru w królewskiej świcie, poznawał miasto, ale najchętniej wyrывał się poza jego granice, gdzie w spokoju mógł pomyśleć i odciąć się od reszty rycerzy. Wracając z tych eskapad, często zachodził do karczmy w pobliżu zamku, ale w jednej z bocznych uliczek. Siadał w kącie i sączył gęste piwo.

Ten dzień jednak zapowiadał się zupełnie inaczej. Uczony Iskel wymyślił, że Kastil, Dever i generał Theus Merik wybiorą się na polowanie w pobliskie lasy, by król trochę się rozerwał i przestał obwiniać się za zdradę księcia Pandeya. Mężczyźni jechali konno przez leśny dukt, wypatrując zwierzyny między pniami drzew. Uzbrojeni w łuki i oszczepy próbowali wytropić łosia.

– Deverze, jedź przodem – zaczął mówić zaczepnie Merik. – Wyrosłeś w lasach, więc pewnie poznasz łosia po zapachu.

- Może ty pojedziesz przodem, generale – odrzekł poważnym tonem król.
- Przechwalałeś się, jak dobrze umiesz polować. Pokaż, co potrafisz.
- Tak jest, wasza miłość. – Merik skłonił się ze skwaszoną miną. – Ja chciałem tylko...
- Chyba wasza miłość nie do końca jest zadowolony z polowania – stwierdził Dever, patrząc na plecy oddalającego się generała.
- Nie mam czasu na rozrywki. – Kastil wzruszył ramionami. – Muszę przemyśleć, jak najlepiej wzmocnić granicę, by taka sytuacja już się więcej nie powtórzyła.
- Może ja mógłbym pomóc. – Jechali obok siebie, nie zwracając już uwagi na zwierzynę.
- Masz pomysły, jak zaradzić na królewską głupotę i łatwowierność?
- Na to chyba nie mam rady... – Dever ugryzł się w język, kiedy dotarło do niego to, co powiedział.
- Deverze, nie musisz się bać, że mnie obrazisz. – Kastil spojrzał na niego przyjaźnie. – Właśnie dlatego cenię twoje towarzystwo. Nie czarujesz wyuczonymi słówkami, tylko mówisz to, co myślisz.
- Tylko wasza miłość uważa, że to coś dobrego...
- Dworskie konwenanse, Deverze, mają to do siebie, że trzeba się ich nauczyć. – Król wzruszył ramionami. – Ty nie musiałeś się ich uczyć od dziecka tak jak reszta, więc nie masz prawa ich znać. Dla nich to normalne, więc żartują sobie z tego, że zachowujesz się inaczej. Jeśli chcesz, to przydzielę ci uczonego, który podszkoli cię w tym wszystkim.
- Wolałbym wrócić do siebie. W końcu wasza miłość chce wzmocnić granicę, tam się bardziej przydam...
- Nie ma takiej możliwości – przerwał mu. – Tylko śmierć może cię wyciągnąć z gwardii królewskiej, a tego byśmy obydwaj nie chcieli. Nie chcę też więcej słyszeć twoich narzekań. Jesteś najtwardszym i najlepszym żołnierzem, jakiego znam. W dodatku myślisz nieszablonowo. Potrafisz zastosować taktykę, która Merikowi i innym wyszkolonym w Erskinie nie przyszłaby nawet na myśl. Dlatego musisz tutaj zostać i wykonywać swoje zadania.
- Tam jest! – głośnym szeptem przerwał im Merik. – Szykujcie oszczepy i łuki. Kawał z niego byka.

Odetchnęła ciężko, odstawiając wielkie wiadro pełne mętnych pomyj. Wynosiła je do rowu biegnącego tuż za karczmą kilka razy dziennie. Poza tym musiała zajmować się również warzywami. Najpierw przynosiła je

z targu w koszach, potem musiała je myć, obierać i kroić. Kiedy już uporała się z warzywami, musiała zająć się sprzątaniami sali. Na kolanach szorowała podłogi, potem wycierała blaty stołów i ustawiała krzesła. Wytaczała beczki z piwnicy i ustawiała je za ladą.

Gruba karczmarka prowadziła swój interes sama i choć Riga nie była mistrzem kulinarnym, to przydawała się też do podawania składników, mieszania w kotłach czy zmywania. Drzwi karczmy otwierały się w południe i do tego czasu dziewczyna miała chwilę wolnego. Wychodziła wtedy z kijem długości miecza na podwórze za karczmą i ćwiczyła ciosy. Próbowwała walczyć z cieniem, jakby był prawdziwym przeciwnikiem.

– Znalazłaś nauczyciela? – Karczmarka stanęła w drzwiach, opierając dłonie na biodrach opasanych żółtawym fartuchem.

– Niestety nie, pani Umo. – Riga dyszała, trzymając kij w dłoni. – Nikt, kto tutaj przychodzi, nie chce słyszeć o uczeniu dziewczyny.

– Rycerze nie mają czasu na nauki. – Uma uśmiechnęła się ciepło. – Mają swoich giermków i paziów i ich uczą, ale to wszystko chłopcy.

– Wiem... – Dziewczyna posmutniała. – Jak tylko ich pytałam, to mnie wyśmiewali i mówili, że dziewczynki nie mogą uczyć, bo im honor nie pozwala.

– Rycerze i honor. – Kobieta zaśmiała się. – Ciekawe, że im ten honor nie broni dziewczek w karczmach tarnosić czy w bitwach plądrować.

– Pani Umo? Myśli pani, że to głupie marzenie?

– Riga, dziecko. – Karczmarka objęła ją. – Żadne marzenie nie jest głupie. Tę karczmę wybudował mój ojciec, a moim marzeniem było, by to rozbudować, i mi się udało. Kiedyś nie było piętra, nie było pokojów do wynajęcia, spiżarka była mniejsza. Sam ojciec mówił, że żałuje, że nie ma syna, bo jego karczma upadnie. Nie upadła, więc warto marzyć, dziecko. Kończ i wracaj do karczmy, zaraz trzeba będzie gościom podawać. – Odwróciła się w progu z uśmiechem.

Riga wróciła do karczmy po chwili, ale goście zdążyli już się pojawić. Zbliżała się pora obiadu, a ta przyciągała zapracowanych kupców nie mających czasu na gotowanie. Dziewczyna podawała miski z zupą warzywną, talerze z pieczonymi kurczakami i całe dzbany ciemnego, gęstego piwa, które podobno tylko u Umy nie było rozwadniane. Riga podczas podawania rozglądała się po sali, szukając jakiejś nowej twarzy, u której mogłaby próbować wyblagać nauki. Uśmiechnęła się szeroko, kiedy zobaczyła potężnego blondyna z długą brodą siedzącego w rogu i ubranego

w strój członka królewskiej gwardii. Wzdrygnęła się, widząc jego twarz i czerwoną bliznę biegnącą od czoła do brody.

– Co podać? – zapytała, przełamując strach.

– Podaj dzban piwa i kura – burknął. – Piezonego.

– Oczywiście, już niosę. – Skłoniła się i uciekła. Wróciła po dłuższej chwili z antańkiem pełnym piwa, drewnianym kuflem, parującym kurczakiem i połową chleba. Postawiła je z trudem przed żołnierzem i już miała odejść, ale zatrzymała się na chwilę, po czym spróbowała zacząć rozmowę. – Czy pan jest rycerzem?

– Żołnierzem... – mruknął, popijając piwo.

– A czy ma pan swojego giermka?

– Nie mam. – Spojrzał na nią z zainteresowaniem. – Jestem w mieście od niedawna, a poza tym żołnierze nie mają giermków.

– Czy w takim razie mogę prosić o rozmowę? – Wyprostowała się, niemal salutując.

– O co chcesz pytać? O bitwę? Plotki cię interesują?

Ciarki przebiegły po jej plecach, gdy zobaczyła jego spojrzenie.

– Nie, przepraszam... – Spuściła głowę. – Ja chciałam zapytać, czy może zechciałby mnie pan uczyć walki na miecze i strategii, i bycia rycerzem, i...

– Dziewczyna rycerzem? – Zdziwił się. – U mnie w Skogskinie nie ma rycerzy, nie ma giermków. Jeśli ktoś chce zostać żołnierzem, to uczy się walczyć. Nie wiem, jak to wygląda tutaj, nie znam tych waszych erskińskich obyczajów – mówił, odrywając fragmenty kurczaka od kości.

– Ja też nie jestem z Erskinu, przyjechałam niedawno! – zaszczębiotała.

– Zajmij się gośćmi. – Podniósł brew. – Widzę, że karczmarka patrzy już w tę stronę nerwowo. Zapytam przyjaciela, czy można coś dla ciebie zrobić...

– Dziękuję panu! – Zacisnęła pięści i niemal podskoczyła.

– Ciekawe, czy nas wpuszczą – mruknął śniady niewysoki mężczyzna z siwą brodą, ubrany w obszerne szarawe ubranie.

– Jak poznają, że on to on, to wpuszczą... – odparł drugi siedzący obok niego na wozie, który wyglądał jak lustrzane odbicie.

– O ile to on... – Wskazał głową za siebie. – W takim stanie można mówić różne brednie.

– Ale za podszywanie się u nas karzą śmiercią w męczarniach, chyba aż tak mu łba nie uszkodzili...

– Zobaczymy. Widać już mury. – Mężczyzna popędził zaprzężone do wozu wielbłądy.

Dwa brązowe potężne zwierzęta ciągnęły wóz o szerokich kołach po piaszczystej drodze, która docierała do otwartej bramy umieszczonej w niezbyt wysokim murze okalającym miasto. Przy bramie stało dwóch żołnierzy w maskach i czerwono-żółtych mundurach opierających się o Keechaki.

Żołnierze, widząc wóz z drewnem, przepuścili go bez sprawdzenia zawartości. Mężczyźni spokojnie minęli jezioro obrosnięte gęstą roślinnością i szeroką ulicą ruszyli w kierunku pałacu. Kupcy przekrzykiwali się, próbując przekonać przechodniów do towarów rozłożonych w kramach. Niektórzy wystawiali towary na progach swoich parterowych białych domów. Wołali do jadących wozem braci, by ci zatrzymali się i pohandlowali drewnem, ale ci tylko odpowiadali, że nie mają czasu i zrobią to w drodze powrotnej. Dotarli wreszcie do białego mostu biegnącego przez jeziorko prosto do pałacu. Żołnierze pilnujący wejścia na most skrzyżowali swoją broń, nie przepuszczając ich.

– Czego tu?! – burknął jeden.

– Wieziemy księcia – odparł niepewnie woźnica.

– Księcia? Tym wozem? – Drugi ze strażników parsknął głośno.

– Tak, księcia. – Mężczyzna wskazał dłonią na wóz. – Znaleźliśmy go po drodze. Ledwo żyje.

– Prowadźcie do ojca... – Usłyszeli słaby głos.

– Co do... – mruknął żołnierz i przechylił się przez burtę wozu.

Na szerokiej desce rozłożonej na balach drewna leżał mężczyzna w złotej szacie, choć mocno już zabrudzonej i poobdzieranej. Jego twarz była pokryta świeżymi bliznami, lewe oko nie otwierało się, a w porozcinanych ustach brakowało wielu zębów.

– Prowadź do pałacu... – szepnął, ledwo mogąc złapać oddech.

– Przeżyje? – Usłyszał w oddali chrapliwy głos, podobny do głosu ojca.

– Tak, wydobrzeje za kilka tygodni – odpowiedział mu głos, który też skądś kojarzył.

– Nie mam tyle czasu, postaw go na nogi szybciej! – Syknięcie przeszło jego uszy.

– Miał połamaną szczękę, wybite dziesięć zębów, pęknięte żebra, dziurę w płucu i uszkodzone oko, nie wstanie za szybko! – Usłyszał agresywny

szept. – Robię, co mogę, ale to musi potrwać! Poza tym ma połamane palce w dłoniach. Nie jest zdolny do niczego.

– Jeśli za tydzień nie będzie stał na nogach, skończysz gorzej niż on. Wyjź! – Złość wybrzmiała w ostatnim słowie.

Drzwi stuknęły, a Pandey usłyszał powolne kroki zmierzające w jego kierunku. Z trudem otworzył oko i spojrzał na zbliżającą się ku niemu postać. Słuch go nie mylił, to był jego ojciec Vizey. Usiadł na krześle stojącym obok łóżka i wściekłym spojrzeniem mierzył leżącego syna.

– Dobrze, że się ocknąłeś, bo mam ci coś ważnego do powiedzenia – mówił, nie dając mu dojść do głosu. – Miałeś po prostu przekazywać informacje. Z taką misją zostałeś wysłany, ale musiałeś popisać się swoją niekompetencją i zaatakować największe państwo, najlepiej rozwinięte, z potężną armią, a w dodatku takie, które zapewnia nam dostawy towarów z zachodu.

– Wszystko było zaplanowane, ale ten usstate zamek. – Pandey skrzywił się. – Bronili się bardziej zaciekle, niż mogłem przypuszczać...

– Ten usstate zamek teraz będzie miał wielokrotnie większą obsadę i nigdy sami nie przedrzemy się przez granicę. Teraz będą czujni i będą się spodziewać naszego ataku, gdybyś w swej głupocie wstrzymał się jeszcze kilka miesięcy, to na wiosnę kolejnego roku zaatakowalibyśmy ich z dwóch stron, ale ty musiałeś się wyrwać jak zwykle! – Król uderzył pięścią w oparcie krzesła. – Kunglin chciał, żebym to ja uderzył pierwszy, a on się dołączy. Rozebralibyśmy Erskin bez kłopotów, ale on nie był przygotowany do uderzenia podobnie jak Barbas, bo mój syn idiota postanowił działać na własną rękę.

– To się już więcej nie pow...

– Wiem, że to się nie powtórzy! – ponownie mu przerwał. – Dopilnuję tego. W czasie gdy rujnowałeś moje plany na zachodzie, na wschodzie pojawiła się nowa, ciekawsza opcja. Człowiek, który mówi o sobie Hex i nazywa się najwyższym kapłanem Sag Bas, zdobył tron w Tolimurai, potem podbił Yelayin, Azu, Jaram i Gotrayę. Chociaż trudno nazwać to podbojem. Wystarczyła mu jedna bitwa. Reszta zgodziła się do niego przyłączyć bez żadnych warunków. Wyrzekali się władz, przodków i wiary, by oszczędzić życie. Uczą się tego Sag Bas i są bezwzględnie wierni Hexowi. Wyobraź sobie, że on to osiągnął, wysyłając listy i książki. Taką książkę przysłał też do naszej Ujary. Po tym, jak zaprzepaciłeś szansę na wzmocnienie Barbasu na zachodzie, musiałem pomyśleć bardziej do

przodu. Dlatego pojedziesz razem z księciem Visem do tego Hexa. On przekaze mu korone i przyrzeknie, że wprowadzi w kraju tę jego religię, a ty zaproponujesz mu sojusz. Przygotuję ci wszystko, co masz mu powiedzieć, przypilnuję, żebyś niczego nie zepsuł. Hex obecnie mieszka w Aneti, więc tam się udacie. Wyjazd pod koniec tygodnia. – Król Vizey podniósł się z krzesła. – Zawodisz mnie całe życie. Liczę, że tym razem tego nie zrobisz.

Drzwi zamknęły się, a Pandey został sam w wielkiej sypialni. Próbował rozejrzeć się wokół siebie, ale ból żeber uniemożliwił mu to. Leżał w jedwabnej pościeli, czując ból w całym ciele.



## Rozdział XXVII

Świece oświetlające salę narad dopalały się powoli. Kastil nerwowo krążył po pomieszczeniu, bezmyślnie poprawiając ustawienie książek na półkach. Uczony Iskel przysypiał na krześle, a książkę Tidur kończył czwarty dzban letniego wiśniowego wina. Trunek był słaby, ale w takiej ilości zdążył mu zasumieć w głowie.

– Przestań się kręcić – zaczepił króla. – Chyba że chcesz zobaczyć to wino z powrotem.

– To mi pozwala myśleć – odparł władca.

– No i co wymyśliłeś? – Tidur odstawił kielich. – Może najwyższy czas nam powiedzieć, bo stary Iskel poszedłby już spać.

– Wróćmy do samego początku. – Kastil usiadł przy stole.

– Dobrze, byle szybko... – Tidur westchnął i rozejrzał się za kolejnym trunkiem.

– Zacznijmy od tego, kiedy ostatni raz ją widzieliście. – Król spojrzał na swoich towarzyszy.

– Rozmawiałem z nią dzień przed ucieczką Pandeya – mówił Tidur. – Zachowywała się całkiem normalnie.

– Ja widziałem ją już po tym, jak odkryliśmy ucieczkę. – Iskel ocknął się i przetarł oczy. – Miała dużo do powiedzenia na temat Pandeya i dlatego odesłałem ją do ciebie.

– Tak, a ja wysłuchałem, co miała do powiedzenia. Okazało się, że to od niej wyciągał wszystko, co ważniejsze... – Zawiesił głos. – A potem wszystko działo się tak szybko, że nie pamiętam, czy ją jeszcze widziałem. Wyjechaliśmy do Skogskinu, a po powrocie na pewno nie było jej w zamku.

– Nikt jej nie widział, z nikim nie rozmawiała, zniknęła tak jak Pandey – mówił i wyliczał na palcach Tidur.

– Wykluczaliśmy już ich współpracę. – Kastil spojrzał na Iskela.

– Rozesłaliśmy listy do miast na południu, więc jeśli chciałyby wrócić do domu, to patrole ją zatrzymają, ale jak do tej pory cisza...

– Słuchaj, Kastilu. – Tidur przeciągnął się. – Możemy tutaj siedzieć jeszcze przez dwa tygodnie i nic nie wymyślimy. Nie ma wśród nas żadnej wróżki, która paląc kurze pióra, mogłaby zobaczyć, dokąd Rollo się udała. Zagroziłeś jej śmiercią, a potem wyjechałeś. Przestraszyła się i uciekła, też bym tak zrobił. Myślała, że po powrocie postawisz ją przed sądem i zetniesz jej głowę za zdradę. Możemy teraz liczyć tylko na szczęście, inaczej jej nie znajdziemy.

– Obiecałem jej ojcu, że będzie bezpieczna...

– Ale uciekła! – Dziedzic Joulinu uderzył kielichem w stół. – Nie możesz kontrolować wszystkiego, musisz wreszcie to zrozumieć. Są kwestie, na które nawet król nie ma wpływu. Fakt, mogłeś zachować się inaczej, mogłeś zrobić co innego, ale nie wiesz, czy to by coś zmieniło, i już się tego nie dowiesz. Rozmyślanie nad tym nie pomoże, a tylko wpędzi cię w szaleństwo! Najpierw rozmyślanie nad spiskiem Barbasu, a teraz nad ucieczką tej dziewczuchy! Znamy się od dziecka i mówię ci wprost to, o czym wszyscy myślą. Musisz myśleć dwa kroki do przodu i jestem przekonany, że Iskel nieraz ci o tym mówił, przygotowując do objęcia władzy. Jeśli będziesz chciał porozmawiać o przyszłości, to zawsze cię wysłucham, ale nie chcę więcej brać udziału w rozdrapywaniu ran. – Wyszedł z komnaty, trzaskając za sobą drzwiami.

– Ma rację, mój królu. – Uczony też się podniósł. – Analiza tego, co się wydarzyło, jest potrzebna, ale tylko po to, by wyciągnąć z niej wnioski. Przesadne rozkładanie minionych zdarzeń nigdy nie przynosi nic dobrego. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zakończymy dzisiejsze zebranie, mój królu, i pójdziemy do łóżek.

– Niech tak będzie. – Kastil zwiesił głowę.

Od powrotu z bitwy o Skogskin, jak nazwano tę krótką wojnę z Barbasem, władca zaniedbał nieco cotygodniowe audiencje, więc obywatele tłumnie stawili się, słysząc ogłoszenie, że dziś król wysłucha ich problemów. Kiedy tylko Kastil zasiadł na tronie, gwardia uciszyła zebranych i w takiej ciszy kolejni zapisani mieli możliwość poinformowania króla o swoich troskach, proszenia o pomoc czy zadania pytania. Wielu obywateli pytało, czy konflikt z Barbasem jest na pewno zakończony, czy nie muszą się obawiać o swoje życie. W zasadzie te same

pytania przewijały się aż do późnego wieczora. Dopiero wtedy zjawił się gość, który szczerze króla zainteresował.

– Neuer Waner – wyczytał kolejne nazwisko Iskel. – Górnik z Nordskinu.

Przed króla wystąpił niewysoki krępy człowiek o niemal białych włosach i pomarszczonej, spracowanej twarzy. Był w zaawansowanym wieku, a jego odzienie wyglądało na odświętne i rzadko noszone. Czerwoną kamizelkę i brązowe spodnie dopełnił białą koszulą, na co narzucił długi płaszcz.

– Słucham Neuerze, co cię sprowadza przed tron?

– Tak się nieszczęśliwie złożyło, wasza miłość, że moja córka wyszła za mąż za kupca z Barbasu. – Mężczyzna pokręcił głową. – Chciałem ich powstrzymać, chciałem jej to wybić z głowy, ale uparła się i nic nie poradziłem. Jednak ten mój zięć ostatnio dostał ze swojego domu wiadomość, która wydała mi się interesująca...

– Masz tę wiadomość ze sobą? – zapytał król.

– Nie, wasza miłość, spalił ją zaraz po przeczytaniu, ale zdążyłem zapamiętać. – Neuer wyprężył się dumnie. – To, co tam było napisane, chciałbym opowiedzieć waszej miłości w cztery oczy.

– A to dlaczego? Tajemnica korespondencji? – Kastil uśmiechnął się półgębkiem.

– Z całym szacunkiem, wasza miłość, ale naprawdę... – Zmieszał się.

– Dobrze. – Kastil podniósł się. – Chodźmy do sali narad. Generale, Iskelu, chodźcie z nami.

– Wasza miłość jest pewny? – dopytał Theus Merik.

– Tak, zapraszam. – Król ruszył w kierunku sali narad.

Kastil usiadł przy stole i wskazał przeciwległe krzesło górnikowi. Iskel zajął miejsce po prawej stronie króla, a Theus Merik stanął za Neuerem.

– Teraz jesteśmy sami. – Król wyrwał gościa z zamyślenia nad wyglądem komnaty. – Mów, co chciałeś powiedzieć.

– Dziękuję, wasza miłość. – Górnik nie mógł przestać się rozglądać. – W tej wiadomości jego siostra, która mieszka w Ujarze, napisała, że na wschodzie powstała nowa religia, nazywa się jakoś... Sag Bas. I jej główny kapłan, którego nazywają Hex, przejął władzę w Tolimurai, podbił Yelayin, a reszta wschodnich krajów przyłączyła się do niego dobrowolnie. Napisała, że strasznie boi się tego, co nastąpi, bo nie chce wyrzekać się Ret, ale słyszała, że księżę Ujary chce mu oddać koronę i zrzec się wiary.

Mawiają, że ten Hex jest jakimś wybrańcem i ma takie moce, że lepiej mu w drogę nie wchodzić.

– Uważasz, że to prawda i mają się czego bać? – zapytał król.

– Tak, wasza miłość – potwierdził. – Ona bardzo rzadko do niego pisze, tylko w najważniejszych sprawach. Poprzednio dostał wiadomość, jak zmarła ich matka.

– Dziękujemy za to, że przyjechałeś tutaj i nam o tym opowiedziałeś – odezwał się Iskel. – To bardzo ważna informacja.

– Generale, odprowadź naszego gościa. – Kastil podniósł się i wyciągnął dłoń do Neuera.

– Dziękuję, wasza miłość. – Mężczyzna z dumą uściśnął królewską dłoń. – To był dla mnie wielki zaszczyt...

– Co o tym myślisz, Iskelu? – zapytał Kastil, kiedy drzwi zamknęły się za górnikiem.

– Myślę, że zweryfikowanie tej informacji może być niezwykle trudne, zwłaszcza po konflikcie z Barbasem. – Uczony podrapał się po głowie. – Jednak uważam, że nie można tego zbagatelizować, mój królu. Jeśli ten Hex ma taką charyzmę, że władcy całych krain oddają mu swoje korony, a w dodatku wyzbywają się religii przodków, to znaczy, że jest to coś co najmniej niepokojącego.

– Z tego, co pamiętam z twoich lekcji, to te wschodnie kraje nie są za bardzo rozwinięte. – Kastil sięgnął do mapy. – Yelayin po wojnie z Tolimurai miało być w dramatycznym położeniu, Azu to w większości małe plemiona, które kłócą się ze sobą od lat, Jaram jest państwem tylko po to, by było łatwiej handlować, Gotraya w zasadzie jest nieznaną, a Ujara zależy od Barbasu. Jeśli w Tolimurai udało mu się przejąć władzę i zmobilizować wojsko, to podbicie Yelayinu nie było problemem.

– Być może, ale dlaczego kolejne narody się do niego przyłączyły? – Uczony przysunął mapę bliżej siebie.

– Sam mówiłeś, że ich przynależność państwowa nie jest silna, Iskelu. – Kastil rozłożył ręce. – Może pomyśleli, że przyłączenie się bez rozlewu krwi będzie lepszym rozwiązaniem? Albo obiecał im, że w jednym dużym kraju będzie im się żyło lepiej?

– Być może. – Starzec pokiwał głową. – Choć zazwyczaj jakieś ruchy, wojny domowe i przejęcia władzy w tych dalekich krajach niewiele nas obchodzą, to tym razem uważam, że powinniśmy się baczniej temu przyjrzeć. Jeśli rzeczywiście udało mu się połączyć wszystkie kraje, to

mamy do czynienia z tworem wielkości Barbasu, a w dodatku mniej stabilnym.

– Á propos Barbasu... – Kastil zamyślił się. – Sądzisz, że oni mogą chcieć zacieśnić współpracę z tym nowym państwem? W końcu w jego skład ma wejść księstwo zależne od Vizeya.

– Na zachodzie, póki co, nie mają czego szukać, więc Vizey na pewno rozważy taką opcję.

– Właśnie! – Król uderzył dłonią w mapę. – Na pewno wykorzysta szansę, by zyskać dużego sojusznika, a to nie wróży nam dobrze. Zwłaszcza po tym, co się ostatnio wydarzyło. Chyba wiem, co trzeba zrobić... Musimy zwołać zebranie wszystkich władców zachodu, na którym przedstawimy im to, co usłyszeliśmy od tego górnika, i wspólnie zastanowimy się, co zrobić. Gdyby się udało zacieśnić współpracę i w razie potrzeby wystawić wspólną armię, to bylibyśmy dużo silniejsi niż Barbas i cały wschód razem.

– O ile sama wizja jest bardzo rozsądna, mój królu, o tyle wątpię, że władcy będą chcieli zjechać tutaj, by o tym porozmawiać... Jest jesień, a oni nie bardzo lubią podróżować w trudniejszych warunkach i nie uznają informacji od jakiegoś górnika za wystarczająco ważną, by organizować z jej powodu zebrania. Tacy już są. – Iskel rozłożył ręce w przeproszającym geście. – Natomiast uważam, że warto by było zebrać ambasadorów, przedstawić im problem, o którym się dowiedzieliśmy, i poprosić, by skonsultowali się ze swoimi władcami.

– Skoro uważasz, że tak będzie lepiej. Jutro wezwę ambasadorów do siebie i przedstawię im wszystko, a jak dostaną już odpowiedzi ze swoich dworów, to zasiądziemy w sali tronowej i posłuchamy, jakie rozwiązania oni proponują.

– Dobra myśl, mój królu. Ale muszę cię ostrzec, byś nie pokładał zbyt dużej nadziei w tym spotkaniu. Żyjący w luksusach władcy rzadko zdają sobie sprawę z zagrożenia, dopóki nie zajrzy im w oczy.

Król Kastil przez kolejne dni chodził poddenerwowany. Wszystkie obowiązki na dworze przekazał swojemu zaufanemu doradcy, który w imieniu króla wydawał rozkazy, podpisywał dokumenty czy spotykał się z gośćmi. Kilka dni wcześniej młody władca zebrał w głównej sali ambasadorów czterech sąsiednich krajów i przedstawił im wieści przekazane przez górnika z północy oraz swoją wizję tego, w jaki sposób można przeciwstawić się temu nowemu tworowi na wschodzie oraz jego ewentualnemu sojuszowi z Barbasem. Ambasadorowie skrupulatnie

wszystko zapisali i zobowiązali się, że jak najszybciej prześlą tę wiedzę do swoich władców.

Thondar, będący opiekunem króla od dziecka, widział, że Kastil coraz bardziej zatracą się w swoich własnych myślach. Martwił się o niego, ale bał się wtrącać, sądząc, że król nie będzie nawet chciał słuchać służącego.

– Thondarze! – Usłyszał, stojąc za drzwiami sali narad. – Wejdz tutaj!

– Panie? – Otworzył drzwi zaskoczony.

– Niech ktoś z gwardii stanie na warcie, a ty wejdz do mnie na chwilę.

– Tak jest, panie. – Thondar zamknął drzwi za sobą, ale po chwili wrócił.

– Siadaj, chciałem z tobą porozmawiać. – Kastil wskazał mu jedno z krzesel.

– Słucham, panie. – Służący był olbrzymim mężczyzną, ale usiadł skromnie na krawędzi krzesła, jakby niepewny tego, czy w ogóle może usiąść w obecności władcy.

– Znasz mnie od dziecka... – Kastil przetarł dłonią twarz. – Powiedz mi, czy uważasz, że dobrze postępuję?

– Oczywiście, panie. – Pokornie skłonił głowę.

– Zapomnij na chwilę, że jesteś służącym, Thondarze. Jesteś moim przyjacielem i oczekuję od ciebie szczerości.

– Nie wiem... – Zmieszał się, ale przyjazne spojrzenie dodało mu odwagi.

– Myślę, że jesteś, mój panie, dobrym królem, chociaż... Za bardzo się zamartwiasz. Cały czas myślisz i wydaje mi się, że to nie jest zdrowe...

– Niezdrowe? – Kastil zaśmiał się głośno. – Może i masz rację. Podobno najszczęśliwsi są ludzie prości, a im się więcej wie, tym się gorzej sypia. Ja nie spałem dobrze od ucieczki Pandeya i chyba coraz bardziej mi to doskwiera. Nie potrafię przeboleć tego, że zaufałem i jemu, i tej dziewczynie... Wiedziałem przecież, że Barbas nigdy nie był szczery w stosunkach z innymi krajami, zawsze chcieli mieć coś dla siebie, a mimo to przyjąłem go tutaj jak przyjaciela. A ona...

– Z całym szacunkiem, panie. – Thondar wykorzystał długą pauzę w wypowiedzi władcy. – Jesteś jeszcze młody, panie, niedawno nosiłem cię na rękach do łóżka. Stojąc w pobliżu trzeciego króla, usłyszałem bardzo dużo mądrych słów, ale jedno zapamiętałem szczególnie. Twój dziadek, panie, powiedział kiedyś do twojego ojca, że on może mu opowiadać godzinami o wszystkich błędach, jakie w życiu popełnił, ale niczego go to nie nauczy. Dopiero kiedy sam popełni jakiś błąd, to wyciągnie z niego lekcję. Wydaje mi się, że te słowa są w tym momencie najbardziej trafne.

– Tak... – Władca zamyślił się na dłuższą chwilę. – Dziękuję, Thondarze. Muszę częściej z tobą rozmawiać.

– Mogę już odejść, panie? – Podniósł się z krzesła.

– Tak, tak. – Kastil pożegnał go słabym uśmiechem.

Gdy Thondar otworzył drzwi, do środka chciał wślizgnąć się Dever Monerweh. Dwaj wielcy mężczyźni ledwo minęli się w futrynie. Służący pokornie skłonił się przed członkiem gwardii królewskiej.

– Wasza miłość? – Dever ściszył głos. – Wiem, że nie chciałeś z nikim rozmawiać już dziś, ale mam pewną sprawę.

– Wejdz. – Kastil podniósł się. – Jestem zmęczony, ale nie chce mi się spać, więc mogę porozmawiać z przyjacielem.

– Jak wasza miłość wie, w Skogskinie nie było rycerzy. – Dever usiadł przy stole. – To znaczy jeśli ktoś chciał być żołnierzem, to wstępował do oddziału w twierdzy i tyle. Nikt nie był giermkim, nie terminował u rycerza, nie uczył się szermierki czy manier...

– Wiem doskonale, Deverze – przerwał mu. – Ustaliliśmy już, że mogę cię nauczyć manier.

– Nie, nie. – Pokręcił głową. – Zupełnie nie po to tutaj przyszedłem. Chodzi o to, że rycerze mogą brać sobie młodych na przyuczenie...

– Członek gwardii królewskiej nie może terminować jako giermek u innego rycerza, to wbrew obyczajowi, ale jeśli tak ci zależy na tytule rycerza, to za obronę Skogskinu i zasługi w bitwie z Barbasem mogę cię pasować choćby jutro – nie dawał rycerzowi skończyć.

– To też nie to. – Dever zbierał się w sobie. – Może powiem wprost, o co mi chodzi. Rycerze mogą brać na przyuczenie młodzików, ale czy zwykli żołnierze też mogą? – Spojrzał na króla poważnym wzrokiem.

– Były przypadki, gdzie zasłużeni żołnierze uczyli młodszych, i to nawet całe koszary. Z tego, co jednak pamiętam, to nie uczyli potomków żadnego ze znaczących rodów, raczej zwykłych prostaczków. Dlaczego o to pytasz?

– Za chwilę wszystko będzie jasne. – Żołnierz podniósł dłoń, prosząc o cierpliwość. – A czy jest możliwe, by nauczać walki dziewczyny?

– Dziewczyny? – Kastil mocno się zdziwił. – Kobiety i dzieci zazwyczaj chowa się głęboko w podziemiach w razie walki, ale... Musiałbyś dopytać Iskela, ale wydaje mi się, że zdarzały się jakieś pojedyncze przypadki, gdy kobieta chwyciła za miecz. Mów, dlaczego o to pytasz.

– Dziewczynka pracująca w karczmie zapytała, czy mógłbym ją uczyć tego, jak być żołnierzem. – Spuścił wzrok. – A ja pomyślałem, że mógłbym

tym szkoleniem wypełnić swój wolny czas tutaj...

– Chcesz poświęcać wolny czas, by uczyć fechtunku karczmarkę? – zapytał bez ironii w głosie Kastil.

– Tak, wasza miłość. – Dever wstał z krzesła. – W Skogskinie trenowaliśmy codziennie przez wiele godzin. Tutaj gwardia przeznaczą na trening tylko jeden dzień. Pozostałe, wolne od służby, można spędzić dowolnie. Wolę ćwiczyć nawet z karczmarką, niż gnić w burdelach czy szynkach jak pozostali.

– Zatem masz moją zgodę. – Kastil wyciągnął do niego rękę. – Znajdźcie sobie jakieś ustronne miejsce do ćwiczeń i... Naucz ją fechtunku, a nie bycia kobietą. A co do zajęć moich gwardzistów, to masz rację. Wprowadzimy dodatkowe dni w tygodniu, w których będziecie szkolić swoje umiejętności.

W sali tronowej płonęły wszystkie pochodnie, oświetlając ogromne pomieszczenie ciepłym blaskiem. Poniżej podestu tronowego rozstawiono okrągły stół, a wokół niego cztery wyściełane czarnym welurem krzesła. Na stole stały cztery nakrycia i kilka półmisek tradycyjnych przekąsek. Były kawałki serów i wędlin, kandyzowane owoce i pieczone warzywa, a także słodkie kulki z bakalii połączonych gęstym spadziowym miodem. W dzbanach stało lekkie wino, bo obyczaj zabraniał mocniejszego alkoholu na oficjalnych spotkaniach.

Kastil przywdział swój czarny strój z subtelnie wyhaftowanym herbem Erskinu na klatce piersiowej oraz lekką koronę. Siedział na swoim tronie, oczekując przybycia ambasadorów. Nerwowo stukał palcami w udo, nie mogąc doczekać się tego, jakie stanowisko przedstawią wysłannicy sąsiednich krajów. Uczony Iskel zajął miejsce w cieniu. Poruszył się, gdy wrota otworzyły się, a stukot butów czterech mężczyzn poniósł się po sali. Król gestem wskazał im miejsca.

– Siadajcie, panowie – powiedział dostojnym tonem. – Cieszę się, że udało się nam spotkać tak szybko. Mam nadzieję, że będzie to niezwykle owocne spotkanie. Wiemy wszyscy, w jakim celu się tutaj zebraliśmy, dlatego uważam, że nie ma co przeciągać sprawy. Ambasadorze Jelapoo, proszę o wygłoszenie stanowiska Utvinu.

Zza stołu podniósł się gruby, niski mężczyzna o szarych oczach i siwych, rzadkich włosach. Zwilżył usta winem i skłonił się królowi Kastilowi.

– Wasza miłość, panowie ambasadorowie. – Miał niski, znudzony głos. – Po przekazaniu nowin i propozycji, jakie wasza miłość raczył przedstawić



nam, król Ulf i rada gildii podjęli decyzje, które chciałbym teraz przedstawić. W kwestii plotek dotyczących nowego tworu państwowego na dalekim wschodzie kontynentu król Ulf i rada gildii uznali, że dopóki te plotki nie będą miały potwierdzenia, nie warto zwracać sobie nimi głowy. – Kastil miał coraz mroczniejsze oblicze. – Plotki zasłyszane od zwykłego obywatela nie mogą wywoływać skutków na arenie międzynarodowej. Zawierzenie mu mogłoby przerodzić się w niebezpieczny precedens prowadzący do celowej dezinformacji. Dlatego rada i król nie zamierzają zajmować się nimi, póki nie zostaną oficjalnie zweryfikowane. Król Ulf i rada są również przekonani, że dotychczasowa wymiana handlowa działa na poziomie satysfakcjonującym wszystkich zainteresowanych. Dziękuję.

– Również dziękuję, ambasadorze Jelapoo. – Młody władca miał zaciśnięte zęby. – Ambasadorze Llysgghen, przedstaw, proszę, stanowisko Werdgwaldu.

Wstał rudowłosy, brodaty, szczupły mężczyzna o nieco kobiecych ruchach. Był niewysoki, poprawił nawoskowane zakręcone wąsy i skłonił się królowi, zgodnie z obyczajem.

– Wasza miłość! – Komnatę wypełnił piskliwy głos. – Panowie ambasadorowie. Przekazałem stanowisko waszej miłości królowi Penethowi i teraz przedstawię jego odpowiedź. W temacie zacieśnienia współpracy między krajami król Peneth uważa, że to nie z winy Werdgwaldu współpraca ta ostatnio wygląda gorzej. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że wojna wywołana przez jego ojca jest jeszcze świeża w pamięci wszystkich Tasariczan i Erskińczyków, ale pragnie przypomnieć, że po śmierci króla Frydera Werdgwald zmienił swoją politykę i jest otwarty na wszelkie formy współpracy międzynarodowej, a zwłaszcza na wymianę handlową na większą skalę. – Ambasadorowie uśmiechnęli się do siebie, słysząc ostatnie słowa. – Ponadto król Peneth doskonale pamięta zapisy traktatu, który zawarł z Erskinem na zakończenie wojny, i zamierza je respektować w całości, co wiąże się z tym, że w wypadku zagrożenia zamierza wysłać do walki wszystkie dostępne oddziały. W czasie bitwy z Barbasem ogłoszono mobilizację, ale król Kastil tak szybko rozprawił się z najeźdźcą, że nasi żołnierze nie zdążyli wyruszyć w drogę. Natomiast jeśli chodzi o nową religię i kraje wschodnie, król Peneth uważa, że zagrożenie jest iluzoryczne. Nawet jeśli plotki okażą się być prawdziwe, to zacofane, biedne i mało zaludnione kraje wschodu nawet przy wsparciu Barbasu nie mogą równać się potęgą militarną z samym Erskinem. Nie mówiąc już

o sytuacji, kiedy zostanie wsparty przez Werdgwald i, miejmy nadzieję, pozostałe kraje kultury zachodniej. Dziękuję. – Mężczyzna zajął miejsce.

– Dziękuję, ambasadorze. – Kastil poprawił koronę. – Ambasadorze Kondsaaat, zechciej przedstawić stanowisko Tasariku.

Ambasador Tasariku był zupełnie przeciętny, nie wyróżniał się niczym. Miał jasne włosy, niebieskie oczy, był gładko ogolony i szczupły. Przed przewrotem w Tasariku był rybakiem i tak wyglądał.

– Wasza miłość, ambasadorowie. – Brzmiał niepewnie, a jego akcent drażnił uszy doskonale wykształconych i dobrze urodzonych urzędników. – Król Lakur odpowiedział na sytuacje przedstawione przez waszą miłość i ja teraz powiem, jaka ta odpowiedź była. Handel i współpraca jest na poziomie odpowiednim. Wojsko, jeśli będzie taka potrzeba, będzie gotowe wspomóc Erskin. Wojska, które stoją niedaleko granicy, będą wysłane do walki od razu. – Mężczyzna zerkał na kartkę. – Król nie wie, co robi zbuntowany Joulin. Decyzję o zwołaniu wszystkich zdolnych do walki król podejmie dopiero, kiedy dojdzie do zagrożenia. Król Lakur uważa, że w kwestii nowego kraju na wschodzie należy zachować spokój. Nawet jeśli prowadzi on politykę ekspansywną, to być może zatrzyma się tylko na krajach dalekiego wschodu. – Znów spojrzął na kartkę. – Te słabo rozwinięte kraje nie są zagrożeniem, a w dodatku może to ułatwić handel owocami morza, bo wystarczy dotrzeć do jednego portu, by można było je rozprowadzić po całym wielkim kraju. Dziękuję.

– Dziękuję. Joulin popiera Erskin w każdej sprawie – powiedział stanowczo. – Ambasadorze Pogilu, proszę o stanowisko króla Kunglina.

Pogil podniósł się. Był najniższy ze wszystkich, ale masywny. Miał rude, kręcone włosy i chudą kozią bródkę. Skończył przeżuwać kęs kiełbasy i skłonił się.

– Wasza miłość, szanowni ambasadorowie. – Mężczyzna zmieszał się nieco. – Król Kunglin jednoznacznie uznaje, że powstanie nowego państwa na dalekim wschodzie nie jest zagrożeniem dla Bernsternu. Ponadto twierdzi, że ktokolwiek obawia się dzikusów, powinien oddać koronę komuś, kto realnie postrzega świat i potrafi zarządzać krajem. Dlatego też nawet nie będzie poruszał tematu wyimaginowanego sojuszu tego tworu z Barbasem. Król Kunglin jest też zdania, że nie ma płaszczyzn, na których można by zacieśnić współpracę bez rezygnowania z suwerenności własnych krajów. Dziękuję.

– Również dziękuję, ambasadorze. – Kastil podniósł się z tronu. – Dziękuję za poświęcony czas, ambasadorowie. Jeśli macie ochotę, to częstujcie się przystawkami. Na mnie już pora. Dziękuję. – Wszedł, a uczony Iskel podążył jego śladem.

## Rozdział XXVIII

Złoty powóz o drzwiach zdobionych półksiężycami z czerwonego bursztynu stał po drugiej stronie mostu. Otaczało go ośmiu żołnierzy w żółto-czerwonych mundurach i hełmach zakrywających twarz maską. W uchwytach przy siodłach mieli zamontowane tradycyjne Keechaki. Na koźle umieszczonym na dachu powozu siedziało dwóch paradnie ubranych woźniców. Mieli na sobie czerwone stroje i wysokie żółte czapy. Do powozu, który mieli prowadzić, zaprzężono dziewięć koni, wszystkie nakryte kapami w kolorach Barbasu.

Królewski orszak czekał na księcia, którego miał zawieźć do Ujary. Ten odbierał jeszcze ostatnie wskazówki od króla Vizeya. Stał, wspierając się na dębowym kosturze, oddychał z trudem, ale starał się nie pokazywać po sobie, że nie jest jeszcze gotowy do wyjazdu.

– Przypominam ci jeszcze raz – syczał przez zęby stary król – rozmawiając z księciem Visem, przekażesz mu tylko tyle, ile musi wiedzieć. Nie możesz nawet słówkiem wspomnieć o czymkolwiek więcej, bo ten dureń wygada wszystko, jak tylko delikatnie przyprą go do ściany. Przekażesz mu, że moją decyzją jest, by oddał koronę tamtemu i przyjął jego religię. Powiesz mu, że to bardzo odpowiedzialna misja. Ma informować nas o wszystkim, co tamten powie, o każdym słowie, ma nie wybierać wiadomości, tylko przekazywać wszystkie. Ma wykonywać wszystkie polecenia przykładowo i karnie. Rozumiesz?

– Tak, ojczec. – Pandey kiwnął głową zbyt energicznie i syknął z bólu.

– Nawet jak będzie pytał, po co z nim jedziesz, a na pewno o to zapyta, to nie możesz się zdradzić! – Podniósł powykrzywiany reumatyzmem palec.

– Co masz mu powiedzieć?

– Mam zupełnie bagatelizować sprawę i mówić, że po prostu jadę poznać nowego władcę. – Westchnął. – Bo tak wyglądają zwyczaje na zachodzie i chciałem je przenieść do nas, bo to uprzejme powitać władcę, który

dopiero co zasiadł na tronie, a ponadto może się to okazać korzystne dla naszego kraju – wyrecytował.

– I tak masz odpowiadać! – Vizey klepnął go w ramię. – Masz dużo mówić, a nic ma z tego nie wynikać. Vis nie jest aż tak głupi i jeśli będziesz milczał całą drogę, to zaczniesz coś podejrzewać. On nie może się dowiedzieć, że my chcemy wejść w jak najściślejszy sojusz z tym całym Hexem. Nie może wiedzieć, że my nie oddamy naszej władzy i religii, tylko zażądamy współpracy na równych prawach. Wiesz, co ma być kartą przetargową, prawda?

– Pomoc w zdobyciu zachodu, jeśli on będzie miał taki plan...

– A będzie miał, bo o tym pisał w liście – przerwał mu. – A my pomożemy mu przejść do samej granicy, oddamy nasze wojsko i jeszcze nakarmimy i wyposażymy jego armię.

– Tak, ale o tym mu powiem dopiero na samym końcu rozmowy, jeśli zajdzie taka potrzeba...

– Tak, dokładnie tak masz to zrobić. Nie chcesz niczego pomieszać! To, jak urządził cię ten młody król, będzie niczym w porównaniu z moim gniewem, jeśli zepsujesz mój drugi plan. Jedź już. – Król odwrócił się, ale zatrzymał jeszcze na moment. – Melduj mi o wszystkim!

Pandey, który dużo schudł od czasu bitwy o Skogskin, powiódł wzrokiem za odchodzącym ojcem. Po chwili odwrócił się z trudem i poszedł w kierunku wyjścia z pałacu. Kulejąc, kroczył mostkiem wprost do powozu czekającego na niego z otwartymi drzwiami. Dłonie, podobnie jak cały tułów, miał nadal obandażowane. Mowa i jedzenie były nadal bolesne, ale szczęka była w lepszym stanie niż zakładano. Sporo wysiłku kosztowało go wspięcie się po schodkach do karety, ale wreszcie udało mu się wgramolić do wnętrza pojazdu. Na szczęście był to królewski powóz, więc w środku znajdowały się wielkie i wygodne kanapy, na których mógł się położyć w trakcie jazdy. Trzymając się jedną dłonią uchwytu do wsiadania, spojrzął na kostur w drugiej i odrzucił go po chwili namysłu, ostrożnie ułożył się na jednej z czerwonych welurowych kanap i stuknął w dach. Momentalnie poczuł szarpnięcie i wóz ruszył, stopniowo nabierając szybkości.

Znudzone kapłanki siedziały przy stole, czekając na Hexa, który wezwał je na spotkanie. Stół ustawiony w jednym z pomieszczeń willi zarządców w Aneti stał się miejscem codziennych spotkań. Zbierali się tutaj, by omawiać kolejne posunięcia, rozwój nauki o Sag Bas czy zdarzenia, o których Hex dowiedział się w trakcie swoich myślowych podróży.

Dziewczyny, a zwłaszcza Ahga, Iv i Mossa, zdecydowanie bardziej wolały działać, niż siedzieć i rozprawiać nad czymś, co dzieje się nawet całe tygodnie drogi od nich. Tia lepiej odnajdywała się, pomagając Juvi w planowaniu i zarządzaniu wielkim krajem. Juvi jednak wiedziała, że nie każdy rozkaz i nie każde polecenie można przekazywać myślami. Część, choćby tylko na pokaz, musi być na oficjalnych pismach. Dlatego wraz z Tią zajęły się najnudniejszymi zajęciami i spisywały to, co trzeba.

Nagle drzwi otworzyły się z rozmachem i do pomieszczenia wszedł władca.

– Wkrótce będziemy mogli zaplanować kolejne kroki – zaczął, nie spoglądając nawet na kobiety przy stole. – Trzeba jednak będzie zrobić to bardzo ostrożnie. Taktyki, które wykorzystaliśmy przy anektowaniu krain wschodu, nijak zdadzą się w walce na zachodzie.

– A to dlaczego?! – oburzyła się Iv. – Przecież ich myśli też będziesz mógł przejąć. Nasza armia z tobą i nami na czele poradzi sobie w boju bez problemu...

– Mylisz się, kapłanko. – Spojrzał na nią zimnym wzrokiem. – By zdobyć wpływy w krajach wschodnich, wystarczyło zasiać nieco strachu. Dla nich liczy się przede wszystkim to, by mieli porządek wokół własnego domu. Nie bardzo interesuje ich kraj jako całość, kapłanko. Niestety na zachodzie kultura i historia wyglądają zupełnie inaczej. Tam każdy z nich jest dumny ze swojego kraju i ze swojej przeszłości. Oni potrafią walczyć do śmierci o to, że ktoś nie zdjął czapki przy wciągnięciu sztandaru.

– Skąd wiesz? – zapytała Tia.

– Głównie z ksiąg zgromadzonych w świątyni. – Hex rozłożył ręce. – Ale wiedzę zapisaną w starych księgach uzupełniłem wspomnieniami ludzi, których myśli odwiedziłem. Wyciągnąłem z nich wszystko, co wiedzieli o krajach zachodu.

– No dobrze, ale co to oznacza dla nas? – wtrąciła się Mossa.

– To oznacza, że czeka nas najbardziej krwawa i brutalna wojna, jaką widział ten świat. – Patrzył ponad głowami kapłanek. – Dlatego niedługo będziemy musieli ogłosić wielką mobilizację – mówił, ale wydawało się, że nie do kapłanek. – Wezwę do boju wszystkich, którzy będą w stanie utrzymać jakąkolwiek broń w dłoniach. Zaczniemy gromadzić zapasy, konie, wozy... – Zmrużył oczy, a żyły na jego wielkich mięśniach uwydatniły się. – Zgromadzimy największą armię, jaką widział świat, i zwyciężymy w tej wojnie!

– Skąd taka pewność? – wyrwało się Iv.

– Skąd?! – Jego wzrok niemal wbił ją w ziemię. – Moja pewność wynika ze słuszności Sag Bas. To, co robimy i do czego zmierzamy, jest światu niezbędne, dlatego osiągniemy nasze cele. Każde z nas musi w to uwierzyć bezgranicznie. Mam nadzieję, kapłanko, że to nie był przejaw braku wiary w naszą sprawę, a po prostu nieprzemyślane pytanie.

– Daj jej spokój. – Juvi wstała z krzesła. – Skoro tutaj jesteśmy, to znaczy, że nasza wiara jest niepodważalna. Zapytała, bo wie, jakim wojskiem dysponujemy my, a jakim dysponuje zachód. Mają lepszą broń i pancerze, mają więcej zapasów, są zaprawieni w walce. I, jak sam mówiłeś, nie poddadzą się do ostatniej kropli krwi. Nie będą chcieli też przyjąć religii, która miałaby wyprzeć wiarę ich przodków. To będzie bardzo trudne wyzwanie, więc to nic dziwnego, że młode mają wątpliwości.

– To niech się ich jak najszybciej pozbędą – warknął. – Wkrótce nastąpi przełom w naszej sprawie. Będzie to moment, w którym albo pójdziemy jedną drogą bez wątpliwości, albo zostaniemy z tyłu martwi. I to dotyczy każdego z nas.

Minął ją, prawie przewracając, i wyszedł z pokoju, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi. Kapłanki spoglądały po sobie w milczeniu, nie wiedząc, jak zareagować na słowa Hexa, zwłaszcza na ostatnie zdanie.

Powóz kołysał niemiłosiernie, co zupełnie nie pomagało w rekonwalescencji Pandeya i choć dziewięć królewskich koni ciągnęło wóz bez wytchnienia, a droga mijała dość szybko, to podziwianie pustynnych krajobrazów Barbasu znudziło mu się już po połowie dnia. Towarzyszący mu żołnierze wieczorami odjeżdżali od powozu małą grupką i znajdowali nocleg. Zajeżdżali do domostwa znajdującego się po drodze i siłą wysiedlali z niego ludzi, by zrobić bezpieczne miejsce dla księcia. Mieszkańców domostwa przenosili do pomieszczeń gospodarczych, jeśli takie się znajdowały, lub wyrzucali na bruk.

Na szczęście tylko dwie noce spędzili w ten sposób. Trzeci postój udało się zorganizować już w przygranicznej twierdzy Porveget. Forteca wznosiła się nad sporym miastem łączącym wszystkie szlaki handlowe wychodzące z Barbasu na wschód. Głównym punktem miasta był owalny rynek, wokół którego rozstawiali się kupcy oczekujący dostaw towarów. Kolorowe kramy przyciągały wzrok i kusiły produktami, których w innych miejscach kraju nie było można znaleźć. Sprzedawano tutaj wschodnie rośliny,

przyprawy i owoce, można było kupić wyjątkowe w skali świata zwierzęta, a także egzotyczną broń. Parterowe domy bogatych kupców okalały rynek, od którego promieniście rozchodziły się brukowane ulice. Miasto Porveget bywało nawet nazywane Pandeyem wschodu ze względu na białą parterową zabudowę i bogactwo, jakie w tym mieście było na porządku dziennym.

Jednak nie było czasu na podziwianie dawno niewidzianego miasta. Udali się wprost do położonej za ścisłym centrum twierdzy z szarego kamienia. Zabudowania rozpoczynała pękata wieża bramna, przez którą trzeba było przejść, by znaleźć się na wąziutkim dziedzińcu ogrodzonym kurtynowym murem. Na końcu tegoż dziedzińca wznosił się niewielki zamek wybudowany zdecydowanie na modłę zachodnią. Składał się z dwóch niewielkich budynków mieszkalnych, które na środku łączyła kwadratowa wieża. Na kamiennych blokach dało się zauważyć wyschnięty zielonkawy porost. Niewielkie zakratowane okienka wybite w wieży stanowiły doskonałe miejsce dla strzelców.

Gdy tylko strażnicy wieży bramnej zobaczyli nadjeżdżający królewski powóz, otworzyli bramę na oścież. Pośpiech nakazywał mu ruszać dalej, więc na zamku spędził tylko jedną noc, dziękując za możliwość położenia się w stabilnym łożu. Skoro świt skierowali się na północny-wschód, by dojechać traktem handlowym do stolicy Ujary, miasta Vikari. Droga była tylko nieznacznie mniej wyboista i monotonna niż ta, którą do tej pory pokonał. Dopiero w pobliżu rzeki Pahad krajobraz zmienił się na tyle, że Pandey odsłonił zasłonkę w oknie powozu i z ciekawością spoglądał na zewnątrz. Porośnięte żółtym już zbożem pola i ukwiecone, jeszcze zielone łąki były miłą odskocznią od oglądania piasku.

Po przejechaniu rzeki w ciągu jednego dnia konwój dotarł do Vikari. Stolica Ujary nie przypominała miast w zachodnim tego słowa znaczeniu. Górowała nad nią stara forteca, ale samo miasto było tak rozległe, że nie było szansy go obronić. Vikari składało się z kilkudziesięciu domostw zajmujących okoliczne pola. Trzy wysokie białe wieże zwieńczone kopułami i połączone murami stanowiły osłonę dziedzińca, na którym stał niewysoki budynek mieszkalny porośnięty zielonymi pnączami.

Kiedy tylko królewski powóz przejechał przez bramę, na powitanie księcia wyszedł władca Ujary. Książę Vis był starszym człowiekiem. Miał na głowie dłuższy siwy warkocz, który zwieszał się na lewy bark. Jego szata była stonowana, ale nie było widać w niej skromności. Na gładko ogolonej



twary malowały się głębokie zmarszczki, a na skroniach opierała się cienka srebrna korona.

– Wasza wysokość! – Skłonił się. – Spodziewaliśmy się ciebie dopiero za dzień lub dwa.

– Droga minęła bez przeszkód. – Pandey skrzywił się nieco, wysiadając z powozu. – A też wydobrzałem na tyle, by sprawować urząd.

– Bardzo mnie to cieszy. – Po minie Visa nie było tego widać. – Zapraszam do pałacu, wasza wysokość. Zaraz podamy kolację, a jutro na śniadanie...

– Jutro po śniadaniu, i to wczesnym, wyruszymy do Aneti, by spotkać się z jakimś Hexem, nowym władcą państw wschodnich.

– Tak szybko? – Cień strachu przebiegł przez jego niewzruszoną twarz.

– Tak, wasza wysokość. – Pandey ruszył w stronę pałacu powolnym krokiem. – Przy kolacji i później w podróży przekażę ci dokładnie rozkazy króla Vizeya.

– Oczywiście... Helil! – warknął na jednego z służących. – Poprowadź naszego gościa do najlepszej komnaty, przygotuj mu kąpiel i przynieś z powozu jego bagaż. Przekaż stajennym, by zajęli się końmi i wyczyścili karete. Wszystko ma być gotowe na jutro!

Sługa skłonił się i poprowadził Pandeya przez ozdobne wrota prowadzące do holu zamku w Vikari.

Kąpiel w gorącej różanej wodzie cudownie podziałała na jego obolałe jeszcze ciało i pozwoliła choć w małym stopniu pozbyć się uciążliwego bólu dręczącego go w podróży. Ubrał się w luźniejsze czerwone spodnie ze ściągaczami przy kostkach i obszerną lnianą koszulę, obszywaną złotą nicią. Umieszczono go w wysokiej i przestronnej komnacie, której głównym punktem było wielkie łóżko z baldachimem.

Dotarł do sali jadalnej prowadzony przez jednego z służących. Zastał tam długi stół już zastawiony kilkunastoma potrawami. Na mniejszych złotych półmiskach znajdowały się owoce. Podano figi, daktyle, granaty, a także nieznanne Pandeyowi owoce przypominające kształtem rozgwiazdy. Tuż obok nich parowały gorące zupy, będące, zgodnie ze wschodnią tradycją, gęste i ostre. Wazy wydzielaly egzotyczne zapachy. Usiadł na krześle z wysokim oparciem, naprzeciwko zasiadł książę Vis, a służący kolejno podstawiali mu naczynia z potrawami. Skosztował kilku owoców, zjadł też dwa talerze zupy, ale nie chcąc tracić aż tyle czasu, rozpoczął rozmowę.

– Jedzenie jest wybitnie smaczne – odezwał się. – Muszę wspomnieć ojcu, żeby wezwał do nas twojego kucharza.

– To byłaby większa strata niż oddanie władzy. – Kącik ust Visa powędrował nieco w górę.

– A właśnie. – Pandey przepłukał gardło ciemnym winem. – Przyjechałem tutaj, by zabrać cię na południe do króla Hexa, ale w zasadzie nie wiesz, w jakiej roli miałbyś tam jechać.

– Zamieniam się zatem w słuch. Czekam na to, co wymyślił dla mnie król Vizey – podkreślił imię władcy.

– Zapewne doskonale zdajesz sobie sprawę, wasza wysokość, że sprawa polityki wschodniej nieco nam się ostatnio skomplikowała... Dlatego też pojawiłem się tutaj. Ojciec poświęcił sporo czasu, by wszystko to dokładnie zaplanować, i uznał, że twoja rola, wasza wysokość, jest niezbędna w naszym planie.

– Och! – Vis odłożył figę na talerz. – To zaskakujące, sądziłem, że mam oddać koronę. Tak mi mówił ambasador.

– No tak, ale... – Pandey pokręcił głową, choć sprawiło mu to nieco bólu.

– Oddasz koronę Hexowi, przyjmiesz jego wiarę, ale przy okazji mamy dla ciebie bardzo ważne i odpowiedzialne zadanie.

– Niby zadanie jest dla mnie, ale ojciec wysłał cię, żebyś mnie kontrolował – stwierdził podstępnie.

– Tutaj przyjechałem, by przekazać ci dokładnie instrukcje, a dalej jadę, by poznać nowego władcę. – Wzruszył ramionami. – Podczas mojego pobytu na zachodzie poznałem wiele z ich obyczajów. Nazywają tak tradycje, które kultywują od dawna i których złamanie mocno plami honor. Jednym z tych obyczajów jest odwiedzenie nowo koronowanego władcy. Wiezie mu się jakiś niewielki podarek i spędza dzień czy dwa na dworze w jego towarzystwie. Niektóre z ich obyczajów uważam za głupie, ale akurat ten można wprowadzić i u nas. – Uśmiechnął się delikatnie. – Zatem do sedna. Jutro wyruszysz ze mną do Aneti, w którym obecnie przebywa Hex. Oddasz mu swoją książęcą koronę i zobowiąziesz się przyjąć tę jego nową religię. Nie będziesz stawiał żadnych warunków, po prostu powiesz mu, że biorąc pod uwagę potęgę, jaką stworzył, wolisz dołączyć dobrowolnie, niż zostać podbitym za kilka miesięcy.

– Jak to będzie wyglądało? – Vis spojrzał na niego przeszywająco. – Pojadę tam razem z suwerenem, któremu podlegam obecnie, i nagle w jego obecności wypowiem posłuszeństwo i przyłączę się do innego władcy?

– Myślę, że nie będzie w to wnikał. – Pandey poczuł, jak zalewa go krew.  
– Trzymaj się tego, co ci mówię. Ja... Barbas ustosunkuje się do tego w rozmowie z Hexem.

– Dobrze, wedle rozkazu. – Księżę skłonił się.

– Jednak najważniejsze zadanie będziesz miał już później. – Pandey odłożył kostkę na srebrny talerz. – Będziesz przekazywał wszystkie polecenia, rozkazy i treść każdej rozmowy, jaką odbędziesz z tym Hexem. Nie będziesz nawet się zastanawiał, czy to ważne, czy nie. Będziesz słał do miasta Pandey wszystkie słowa, które wyjdą z ust tego człowieka, jasne?

– Tak, oczywiście, ale... – Zawahał się. – Jaki to ma cel?

– Jak zwykle, wasza wysokość, cel jest ważniejszy niż ty czy ja. – Pandey sięgnął po kukurydziany cienki placuszek. – Jest to zupełnie nowa postać, więc chcemy go dobrze poznać, wiedzieć, z kim mamy do czynienia, do czego jest zdolny, jak się zachowuje, jakie ma plany i tak dalej.

– Spędzimy ze sobą kilka dni w podróży. Co wasza wysokość powie na grę w Habakarda? – Vis odłożył kielich.

– Dobrą partią w Habakarda nigdy nie pogardzę, a będzie to też miła odmiana od patrzenia w sufit powozu czy czytania ksiąg. – Podniósł się. – Dziękuję za poczęstunek, ale musimy być wypoczęci o świcie, więc pozwolę sobie udać się do sypialni.

– Oczywiście, nie śmiem zatrzymywać. – Vis pożegnał go niskim ukłonem.

– Hex? – Mossa zajrzała do jego komnaty. – Dostaliśmy meldunek, że do miasta zbliża się ozdobny powóz w obstawie kilkunastu żołnierzy. Co mamy zrobić?

– Nic. – Chłopak leżał na plecach, nie poruszając nawet powieką. – Poczekajcie, aż dojadą, potem mnie zawołaj.

– Dobrze... – Zawahała się. – Nie trzeba przygotować poczęstunku czy...

– Nie. – Usłyszała w myślach. – Udawajcie, że ich przyjazd nie był spodziewany.

– Ich? – odpowiedziała na głos, ale po dłuższej chwili ciszy wyszła z komnaty.

Hex tymczasem obserwował zbliżający się powóz oczami strażników rozstawionych wzdłuż drogi z Ujary do Yelayinu. Doskonale wiedział, kto porusza się tym pojazdem i w jakim celu zmierza do Aneti. Przeskoczył do umysłu jednego ze strażników jadących w obstawie królewskiego powozu i towarzyszył mu aż do wjazdu do miasta.

– Hex! – Mossa odskoczyła od drzwi, kiedy chcąc złapać za klamkę, otworzyły się. – Przyjechali i...

– Wiem, kapłanko. – Jego głos był wyjątkowo spokojny. – Właśnie zmierzam, by porozmawiać z gośćmi.

Kiedy wszedł do sali, przy drzwiach stało dwóch paradnie ubranych mężczyzn. Jeden miał kilka blizn na twarzy, był krępy, ale nie otyły, stał trochę przygarbiony i nosił luźną żółtą suknię przepasaną szerokim pasem czerwonego materiału z bursztynowymi ozdobami. Drugi z mężczyzn był dużo starszy. Miał na sobie piaskowy strój składający się z luźnych spodni ze ściągaczami przy kostkach i koszuli z długimi rękawami. Charakterystyczną cechą, rzucającą się w oczy od razu, był długi siwy warkocz przewieszony przez ramię.

– Kto staje przed nami? – Spojrzał obojętnym wzrokiem na Mossę stojącą przy gościach.

– Księżę Pandey Gaddar z Barbasu i księżę Vis Vikarines z Ujary – przedstawiła ich nieco zbita z tropu tym, że Hex nie wiedział, kim są.

– Co was sprowadza, panowie? – kontynuował.

– Chciałem, wasza miłość, poprosić o przyjęcie Ujary w poczet krajów objętych twoją władzą i wiernych Sag Bas – zaczął Vis.

– To bardzo miłe z twojej strony, a księżę Pandey?

– Chciałem poznać waszą miłość i zgodnie z zachodnimi obyczajami pogratulować objęcia tronu. – Skłonił się.

– Ciekawe. – Hex spojrzał na Juvi stojącą w rogu komnaty. – Księżę Visie, czy masz przy sobie symbole władzy w Ujarze?

– Tak, wasza miłość. – Vis sięgnął do sakwy ukrytej w fałdach szerokich spodni. – Oto one.

– Wspaniale. – Hex wziął od niego niską, odkrytą koronę wysadzaną kryształami oraz niewielkie berło stworzone z tych samych materiałów. – Czy przyjmujesz religię Sag Bas jako swoją i dopilnujesz tego, by w całym kraju była nauczana zgodnie z moimi poleceniami?

– Tak, wasza miłość – potwierdził pewnie.

– Zatem Ujara w tej chwili przestała istnieć – stwierdził Hex, spoglądając na wszystkich zebranych w pomieszczeniu. – Jej terytorium stało się częścią Imperium Sag Bas. Mosso, bądź tak miła i odprowadź Visa do powozu. Przygotuj mu wszystko, czego trzeba do podróży, i odeślij do Vikari. Księżę Pandey na razie zostaje tutaj, więc powóz nie będzie mu potrzebny. – Nie zwrócił uwagi na protesty.

– Tak jest. – Mossa pociągnęła za sobą zaskoczonych Visa.

– A ciebie, Pandeyu, zapraszam do stołu. Zaraz podadzą coś do jedzenia, byś mógł się posilić po podróży. – Wskazał dłonią kierunek. – Porozmawiamy przy okazji o prawdziwym celu twojej wizyty tutaj.

Hex zajął zwyczajowo miejsce u szczytu stołu na wprost drzwi, kapłanki posadziły gościa po przeciwnej stronie. Same zajęły pozostałe wolne miejsca.

– Nie porozmawiamy w cztery oczy? – odważył się zapytać Pandey.

– Nie mamy tajemnic między sobą – odparł Hex i wskazał na kapłanki. – To moje oczy, uszy, ręce i serca. Niech cię nie zwiodą ich zwiewne stroje. To fantastyczne wojowniczkę, które zabijają jednym trafieniem.

– Nie śmiem... wątpić – powiedział bez przekonania. – Mam w powozie podarek dla waszej miłości...

– Nie obchodzą mnie podarki, Pandeyu. Interesuje mnie tylko powód twojego przyjazdu tutaj. – Hex powstrzymał go gestem. – Prawdziwy powód. I miej świadomość, że ja doskonale orientuję się, kiedy ktoś kłamie.

– Chciałem poznać... – Pandey przełknął ślinę, czując ból w szczęce. – W Barbasię usłyszeliśmy, że wasza miłość przejął władzę w kolejnych krajach i jako największy kraj sąsiedni chcieliśmy poznać...

– I zupełnie was nie obeszło, że przed chwilą zabrałem wasze terytorium zależne? – Głos Hexa był zimny jak lód.

– Ujara była dla nas bardziej obciążeniem niż wsparciem. – Książę poczuł, że stróżka potu spływa mu po kręgosłupie. – Mój ojciec, król Vizey, nie chciał im po prostu zwracać suwerenności, żeby nie okazać słabości, ale w tej sytuacji...

– Przywiozłeś tutaj Visa swoim powozem, by wręczył mi koronę. – Hex zerknął na Juvi, której na twarzy igrał uśmieszek. – Dlaczego nie wysłałeś go samego? Takie zachowanie może być uznane za bardzo podejrzane.

– Tak... – Plątał mu się język. – Jadąc tutaj, zatrzymałem się na noc w jego zamku i postanowiliśmy jechać dalej razem... Pograliśmy po drodze w Habakarda... Czas szybciej minął...

– Czas szybciej minął – powtórzył jego ostatnie słowa Hex, a Juvi prawie parsknęła. – Zatem powiedz mi, Pandeyu, z pełną szczerością, jak przyjacielowi, po co tutaj przyjechałeś, ryzykując życie?

– Przyjechałem... – Strach zatrzymywał słowa w jego gardle. – Król Vizey, mój ojciec, uznał, że takie wielkie... imperium... jest, to znaczy

będzie doskonałym sojusznikiem dla równie wielkiego kraju, jakim jest Barbas, i...

– Czyli przyjechałeś tutaj, żeby spróbować przekonać mnie, bym połączył siły z twoim ojcem, nie wiedząc, jakie mamy plany? Nie wiedząc, czy za dzień lub dwa nie dotrze do Barbasa wiadomość o tym, że żądamy bezwarunkowego poddania się i dołączenia do Sag Bas? Czego oczekujecie od nas i co oferujecie w zamian? – zadając pytania, zupełnie zmienił ton.

Pandey wzdrygnął się.

– Barbas wspomże was całym swoim wojskiem, wolną i bezpieczną drogą, żywnością, wodą, materiałami budowlanymi i wszystkim, co tylko będzie potrzebne w trakcie waszej wyprawy na zachód – odpowiedział na jednym wdechu.

– Ach, tak. – Przez posępną twarz Hexa przebiegł cień uśmiechu. – I czego chcecie w zamian za to?

– Chcemy pozostać suwerennym państwem współpracującym z wami, kiedy już podbijecie cały kontynent. – Pandey ledwo przełknął ślinę, czuł, że głos mu gdzieś ucieka. – Król chciałby zawrzeć sojusz na równych prawach...

– W sojuszu prawa nigdy nie są równe, Pandeyu – mówił nauczycielskim tonem. – Zawsze musi być ktoś, kto rządzi, nadaje kierunek. Jeśli lejce trzymają dwie osoby, to koń nie wie, co ma robić, ale zgadzam się na to, byśmy stworzyli sojusz przed wyprawą na zachód. – Juvi odsunęła krzesło, próbując wstać i zaprotestować, ale w sekundzie złapała się za głowę i pozostała na miejscu. – Mam tylko jeden warunek. Ty, Pandeyu, zostaniesz przy mnie. Niedawno przebywałeś na zachodzie, znasz ich zwyczaje lepiej niż my, więc będziesz ważnym elementem.

– Tak... dziękuję... – Pojedyncze słowa wypadały z jego bladych ust. – Chętnie zostanę... to zaszczyt...

– Mosso. – Spojrzał na kapłankę. – Byłabyś tak miła i odprowadziła naszego sojusznika do jednej z komnat dla gości? Kolację podamy, jak trochę odpocznie po podróży i rozmowie.

Dziewczyna zerwała się z krzesła, a Pandey mimo stresu dojrzał jej kształty zasłonięte jedynie przez bielutkie szaty. Wstał i poszedł za nią. Kiedy tylko zniknęli za rogiem, przy stole rozpętała się dyskusja. Kapłanki przekrzykiwały się jedna przez drugą, atakując Hexa. Władca nowego imperium siedział spokojnie na swoim krześle, czekając, aż głosy sprzeciwu nieco się uspokoją.

– Co to ma znaczyć? – Juvi oparła się o stół. – Przecież konie w jego powozie wiedzą, że on kłamie!

– Pocił się jak kurwa w czerwonej świątyni! – Iv aż podskoczyła.

– Ten jego ojciec chce nas wykorzystać i to czuć! – Wściekła Ahga nie mogła usiedzieć na miejscu.

– Wiem, jak wygląda polityka w Barbasie, i oni nigdy nie traktują dobrze swoich sojuszników, zawsze wyciskają z nich, co tylko się da, nie dając nic w zamian! – dodała Tia.

– Nie widzisz tego?! – Juvi nie mogła się opanować. – Jesteś dla niego milutki, a kiedy chcę się wtrącić, żeby powstrzymać cię przed olbrzymim błędem, to jeszcze mnie blokujesz!

– Dlaczego nie mogę oczekiwać wiary od kapłanek? – Spojrzał na nie bez emocji. – Wydaje się, że to właśnie od was powinno się oczekiwać tej wiary jak najwięcej, a tymczasem zarzucacie Sag Bas pomyłkę. Mówiłem wam już nieraz, że ja tylko działałam, a moim postępowaniem kieruje Sag Bas. Jeśli któraś z was wątpi w kroki, jakie stawia Sag Bas, w jej wieczny przepływ zmierzający do równowagi, to niech powie o tym teraz. W zbliżającej się wojnie nie będzie czasu na zawahanie. – Czekał, ale żadna z kobiet nie odezwała się. – Nie chcę więcej widzieć choćby śladu sprzeciwu z waszej strony. Inaczej ból, jaki poczuła Juvi, wyda się przyjemnym wspomnieniem. Ten chłopak i cały jego kraj jest niezbędny z jakiegoś powodu do pokonania zachodu i zaprowadzenia porządku Sag Bas na całym kontynencie. Dlatego będę trzymał go przy sobie i traktował jak sojusznika, a kiedy przyjdzie do rozwiązania, Sag Bas sama wybierze ścieżkę wydarzeń.

## Rozdział XXIX

Rollo zupełnie inaczej wyobrażała sobie podróż powrotną. Wyruszyła z Erskinu zaraz po rozmowie z Kastilem. Przestraszyła się jego słów i tego, w jaki sposób z nią rozmawiał. Bała się, że rzeczywiście może skazać ją na karę śmierci za zdradę, dlatego zabrała najpotrzebniejsze rzeczy i ruszyła przed siebie, na południe. Nie miała pieniędzy, więc poruszała się pieszo, licząc na dobre serce jakiegoś kupca, który wracając ze stolicy, podwiezie ją bliżej Werdgwaldu.

Myślała, że los się do niej uśmiechnął, kiedy minęły ją cztery kare konie zaprzężone do powozu. Był to zwykły kupiecki powóz, bez specjalnych ozdobników, ale za to wygodny i potrafiący jeździć szybko. Woźnica podróżował samotnie, a wewnątrz powozu wypełniały worki z nasionami. Zabrał ją, obiecując podwózkę prawie pod samą granicę z Werdgwaldem, a podróż przebiegała w naprawdę wygodny sposób. Wszystko zmieniło się przy pierwszym postoju. Woźnica zjechał ze szlaku i zatrzymał się na leśnej polanie na popas i odpoczynek. Dziewczyna wysiadła, by rozprostować kości, i niemal natychmiast została uderzona w głowę. Wrzucił ją, związaną, do środka, ukrywając między workami ziarna, i ruszył, ale nie na południe. Korzystając z zamieszania wywołanego przez wojenną zawieruchę, bez problemu przejechał przez granicę z Barbasem i pogonił konie starym i bardzo rzadko uczęszczanym szlakiem handlowym łączącym zachód ze świątynią w Phedas.

Czerwona religia Ret, która wyrosła w Barbasie i rozpleniła się na wschodzie kontynentu, nie miała problemu z liczbą kapłanów. Zazwyczaj skupowali lub porywali dzieci, by indoktrynować je w świątyni i wypuszczać w świat. Rudawy woźnica nie wiedział, czy uda mu się sprzedać dziewczynę w tym wieku, ale chciał zaryzykować. Handel ziarnem nie był na tyle opłacalny, by chciało mu się zajmować tym całe życie. Przejął interes po ojcu, ale nie czuł się w tym dobrze i nadarzająca się okazja spadła mu z nieba.



Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, zobaczył tylko wysoki mur okalający świątynię. Dziesięciu jeźdźców ubranych od stóp do głów w czerwieni wyjechało mu naprzeciw i zatrzymało odpowiednio daleko od zabudowań. Podał im cenę, jaką chciałby uzyskać za dziewczynę, a ci bez słowa zapłacili i zabrali ją do świątyni. Zgodnie z obrzędami osoba, która dopiero co wstąpiła na ścieżkę, by zostać kapłanem, musiała spędzić w ciemnicy określony czas, żywiąc się wyłącznie breją ze zboża i wodą, przy okazji dbając o to, by cały czas płonęła mała świeczka. Doprowadzenie do zgaśnięcia płomienia wydłużało ciemnicę o kolejne dni.

Właśnie tam trafiła Rollo. Zamknięto ją w ciasnej celi z garścią cienkich jak palec i tak samo długich świeczek. Siedziała w kącie, pilnując płomienia, a łzy ciekły jej z oczu niemal bez przerwy.

Z trudem podniosła się z ziemi, ocierając pot z czoła. Rozluźniła prawą dłoń i ponownie chwyciła miecz. Dever czekał na nią, stojąc spokojnie w zacienionej części. Młoda kobieta, którą uczył szermierki, była nie do zdarcia. Nie skarżyła się na ból, zmęczenie czy nawet rozcięcia pojawiające się czasami mimo stępionej broni.

– Znowu robisz ten sam błąd. – Podniósł miecz. – Przesuwając się w prawo, by zadać cięcie z dołu, odsłaniasz cały lewy bok. Byłoby jakiegoś wojaka z cepem zabija cię przy pierwszej okazji.

– Przecież żeby tak zrobić, muszę...

– Nie musisz – przerwał jej. – Pokażę ci to raz jeszcze, powoli. – Spokojnym krokiem zbliżył się do Rigi, trzymając klingę uniesioną ku górze. Powolnym ruchem przeniósł ciężar ciała na lewą stronę, czym odciągnął jej uwagę, a z prawej uderzył płazem w biodro, aż się zachwiała.

– Auć! – Jęknęła. – To zabolęło! Teraz moja kolej.

– Dobrze, tylko musisz zrobić to na tyle szybko, żeby przeciwnik się nie zorientował i żeby nie miał czasu na skontrolowanie – napomniął ją.

Zebrała w sobie resztę energii i dziarsko ruszyła na przeciwnika, unosząc broń. Starła się wykonać każdy ruch jak najdokładniej. Pokazała, że będzie nacierać z prawej strony, i szybko wyprowadziła uderzenie z lewej. Cięła od dołu w okolice biodra, poczuła, że wszystko zrobiła perfekcyjnie. Tym większe było jej zdziwienie, kiedy jej cios został sparowany ostrzem broni żołnierza królewskiej gwardii. Silny blok wytrącił jej miecz z dłoni i Dever mocno uderzył ją płazem w ramię.

– Przecież zrobiłam wszystko tak jak pan! – Pocierała stłuczone ramię.

– Tak, zrobiłaś to tak jak należy. – Schował miecz do pochwy i otarł czoło rękawem. – Problem polega na tym, że wykonujesz ćwiczenia idealnie, ale nie dodajesz w nich niczego od siebie. Zawsze powtarzałem moim podkomendnym, że technika walki, uderzenia i bloki są wszędzie takie same. Żeby być dobrym wojownikiem, trzeba do każdego dodawać coś od siebie. Wtedy można zaskoczyć przeciwnika, rozumiesz?

– Rozumiem, ale... – Spochmurniała. – Jak mam się dowiedzieć, czy to, co dodam od siebie, będzie odpowiednie?

– Od następnego treningu tym się właśnie zajmiemy. – Odwrócił się. – W wolnym czasie postaraj się wymyślić, co możesz zmienić w podstawowych zachowaniach. Widzimy się za parę dni.

– Za parę?! – Jęknęła.

– Tak. – Spochmurniał. – Król wyjeżdża do Akademii na kilka dni i zostałem przydzielony do jego eskorty. Nie wiem, ile to potrwa, ale zjawię się tutaj zaraz po powrocie, bądź gotowa.

– Będę... – Westchnęła smutno, patrząc na przepoconą na plecach koszulę oddalającego się Devera.

Ten, choć cieszył go treningi z dziewczyną, zgłosił się na ochotnika do wyjazdu z Kastilem do Akademii. Chciał dać Ridze trochę odpocząć. Widział, ile sił wkłada w każde ich spotkanie, i uznał, że dobrze zrobi jej kilka dni przerwy. Drugim powodem było to, że nie czuł się zbyt pewnie w koszarach, kiedy Kastila nie było w zamku. Cały czas nie mógł znaleźć wspólnego języka z pochodzącymi z zamożnych rodów towarzyszami broni. Traktowali go protekcjonalnie i wykorzystywali jego krótki staż. Choć w gwardii poza dowódcą nie było stopni, przyjęło się, że najmłodszy stażem są też najniżsi rangą. Dever odczuwał to najmocniej, ale nie skarżył się nikomu, nawet Kastilowi. Trzecia sprawa martwiła go najbardziej. Król opowiadał mu, że na dalekim wschodzie kontynentu powstał nowy wielki kraj, w którym panuje niespotykana dotąd religia. Mówił, że wszyscy lekceważą to zagrożenie, ale on nie jest pewny, czy można sobie na takie lekceważenie pozwolić.

Uczony Mytel schodził stromymi schodami do lochów. Mimo że pokonywał tę samą drogę kilka razy w tygodniu, nadal czuł strach, schodząc do podziemi. Król Kunglin zupełnie zapomniał o uwięzionej w lochach córce. Być może był przekonany, że tortury, jakim ją poddał, musiały zakończyć jej życie. Nie wziął jednak pod uwagę, że kobieta, która przez kilka lat dowodziła piracką załogą, nie jest łatwa do zabicia.

Mytel, którego w Akademii uczono pomagania innym, nie mógł tak po prostu zostawić jej na śmierć głodową. Zjawiając się w jej celi raz czy dwa razy w tygodniu, donosił jej jedzenie. Wcześniej opatrzył wszystkie zadane przez Kunglina rany. Przy okazji dużo rozmawiali i uczony dowiedział się mnóstwa rzeczy na temat działalności swojego władcy. O wielu szemranych sprawach wiedział, o innych się domyślał, ale to, o czym opowiedziała mu Imma, sprawiło, że włosy jeżyły mu się na głowie.

Teraz niósł jej ćwiartkę bochenka chleba i trochę suchej kiełbasy. Nic więcej nie udało mu się zwinąć, a wiedział, że nie ma za dużo czasu. Kunglin zjadł obfity obiad i zasnął przed wieczorem, w trakcie którego miał spotkać się z Kelerem, by omówić strategię wobec tego nowego państwa na wschodzie. Mytel poznał swojego władcę na tyle, by wiedzieć, że sen zajmie mu około dwóch godzin. Postanowił wykorzystać ten moment, by sprawdzić, jak się czuje Imma. Dotarł wreszcie do drzwi celi. Otworzył je i wszedł do środka.

– Imma? – szepnął, przyświecając sobie pochodnią. – Przyniosłem jedzenie.

– Nareszcie – odezwała się gdzieś z końca pomieszczenia. – Myślałam, że się dowiedział i cię zabił.

– Nie... – Przełknął ślinę na myśl o tym, co powiedziała. – Wydaje mi się, że niczego nie podejrzewa. Teraz zajął głowę zupełnie czymś innym, ma się spotkać z Kelerem, nawet nie pyta, czy jeszcze żyjesz.

– To dobrze. – Podeszła do niego, kulejąc. – On nigdy nie potrafił skupić się na kilku rzeczach jednocześnie. Co przyniosłeś?

– Trochę chleba i kiełbasę, nie było czasu znaleźć czegoś lepszego... – Przekazał jej zawiniątko.

– A coś do picia? – Popatrzyła na jedzenie. – Zlizywanie wilgoci ze ścian tej przeklętej celi nie jest niczym przyjemnym.

– Mam bukłak z winem, ale nie powinnaś pić w twoim stanie...

– Wino... – Westchnęła, wyrywając mu z rąk niewielki bukłak. – Oddałabym ci się za kieliszek, a ty mi mówisz, że nie powinnam pić! – Dorwała się do napoju. O czym on chce rozmawiać z Kelerem?

– Na wschodzie pojawił się nowy władca, podbił wszystkie tamtejsze kraje i Kunglin chciałby spróbować dogadać się z tym władcą, by wesprzeć go w walce z Erskinem.

– Czeka! – Odłożyła chleb. – Chodzi o tego... Hexa?

– Tak, dokładnie o niego, a skąd wiesz? – zapytał zdziwiony.

– Słyszałam jakieś plotki od rybaków... – Zamyśliła się na chwilę. – Mówili, że jest taki groźny, że nawet jego żołnierze się go boją, i wygląda jak potwór.

– To plotki... – Machnął dłonią.

– Na pewno, ale jednak coś było na rzeczy, skoro doszło to aż do rybaków na Morzu Północnym, a on miał pochodzić z Tolimurai. – Pokręciła głową. – Cały kraj i cały świat kiedyś runie przez tego grubego psa. Próbuje wszystkiego, by wyprzedzić Erskin. Ma na tym punkcie manię, oszalał już lata temu, ale teraz przechodzi samego siebie. Chwyta się chwiejnych i podstępnych sojuszy z dzikimi krajami. Myślisz, że gdyby Barbas dysponował taką siłą, by móc zaatakować i zająć część Erskinu, to oddałby mu stolicę z tym ich olbrzymim zamkiem na górze? Zastanów się.

Patrzył na nią i potrafił sobie wyobrazić, jak piękna musiała być, zanim trafiła do tej celi. Jej rude włosy straciły blask i musiały zostać przycięte do długości ledwo sięgającej ramion, nos był skrzywiony i siny, usta przecinały świeże blizny, przez które każdy uśmiech wyglądał nieco groteskowo. Kiedy opatrywał rany, widział również, że jej ciało także ucierpiało. Ponacinał i ściągnął jej skórę z klatki piersiowej, przekłuwał jej piersi gwoździem, przypalał stemplem do znakowania zwierząt, ale największe szkody wyrządził, przetrącając jej prawe kolano. Ciężkim stalowym prętem pogruchotał kości, które Mytel postarał się poskładać jak najdokładniej, wiedział jednak, że to na nic. Imma będzie kulą do końca życia tak jak jej ojciec.

– Co wiesz o Kelerze? – zapytał nieoczekiwanie.

– Niewiele – odparła. – Widziałam go tylko raz, dawno temu. Ostatnio wymieniałam z nim listy. Wiem, że szefuje tutejszym złodziejom i reszcie dziadostwa.

– Właśnie dziś ma pojawić się w zamku, by omówić, jak można...

– On ma być w zamku?! – przerwała mu gwałtownie.

– Król Kunmlin ma się z nim spotkać, by omówić sposoby na skontaktowanie się z tym Hexem i ustalenie warunków współpracy.

– To niemożliwe... – mruknęła do siebie. – On nigdy nie zaryzykowałby pojawienia się w zamku. Przecież nikt oficjalnie nie wie, że oni współpracują. Idź już i sprawdź, co się będzie działo, porozmawiamy później... – Popatrzyła na niego z przejęciem. – Tylko obiecaj, że do mnie wrócisz.

– Wrócę, obiecuję, jak tylko będę mógł.

Chwyciła go za dłoń, aż cały zadrżał.

Kunglin w obszernej białej tunice obszywanej bursztynowymi koralikami siedział w zaciemnionej, niewielkiej komnacie służącej zazwyczaj tylko do składowania mebli. Mytel wraz z kilkoma sługami musiał w pośpiechu sprzątnąć salę, by dało się w niej ustawić stolik i dwa krzesła. Władca rozsiadł się na jednym z nich i zniecierpliwiony stukał palcami w blat. Umówiona pora spotkania już minęła, więc król coraz bardziej się niepokoił.

– Wasza miłość, czy jesteś pewny, że on pojawi się osobiście? – zapytał nieśmiało Mytel.

– Pewny. – Prychnął. – Przy Kelerze niczego nie można być pewnym, ale sam napisał, że chce ustalić plan działania w związku z tym nowym władcą. Podał czas, nawet wskazał dokładnie to pomieszczenie w zamku, pozostaje czekać...

Pukanie do drzwi przerwało władcy w pół zdania. Drzwi uchyliły się i do sali weszła drobna i chuda postać zawinięta szczelnie w czarny wełniany płaszcz. Postać usiadła na krześle, a kiedy zdjęła z głowy kaptur, król poczerwieniał z wściekłości.

– Kto ci, kurwi synu, pozwolił tutaj włączyć?! – wydzierał się. – Własnymi rękami cię obedrę ze skóry i wyślę ją twojej parszywej rodzinie!

– Mam list... – Oczy zaszklily się młodemu chłopcu. – On... On kazał mi tutaj przyjść i...

– Dawaj to! – Kunglin wyszarpnął mu kartkę z wyciągniętej dłoni. – Zmiataj!

Chłopiec wybiegł z pokoju, zostawiając za sobą czarny płaszcz. Władca, drżąc z wściekłości, próbował otworzyć list, wreszcie rzucił nim w stronę Mytela. Ten zaczął czytać na głos.

Do K.B.

Wybacz, Kunglinie, że nie stawiłem się osobiście, ale na pewno zrozumiesz względy bezpieczeństwa. Spieszę poinformować, że wszyscy szpiedzy, których miałem w krajach wschodnich, przestali nadawać jakiegokolwiek meldunki zaraz po tym, jak Hex przejmował władzę w ich krajach. Nie wiem, z czego to wynika. Być może uznali, że to zbyt niebezpieczne, albo mnie zdradzili. Mogą też nie żyć. Postaram się tego dowiedzieć, ale nic nie obiecuję.

Udało mi się dowiedzieć, że niejaki Hex chce zjednoczyć cały świat. Podobno ta jego religia nakazuje mu doprowadzenie do tego, żeby na

całym kontynencie dominowała jedna wiara i jeden władca. Podobno ta religia dała mu jakieś nadzwyczajne umiejętności. Nie udało mi się tego potwierdzić, więc jego boskość można uznać za wymysł. Najważniejsze jednak jest to, że chce on zjednoczyć cały świat, więc zalecam cierpliwość. Kiedy ten nowy kraj zbliży się do granic Erskinu, wtedy można im zaproponować sojusz. Proponowałbym wysłanie do niego Immy z poselstwem, ale skoro nie żyje – Mytel przełknął ślinę – to nie pozostaje nic innego jak czekanie. Kwestią czasu jest, kiedy jego armia przybędzie w pobliże granic zachodniego świata. Ponadto uważam, że skoro Barbas przystał do sojuszu, co udało mi się potwierdzić, zupełnie dobrowolnie i bez żadnych dodatkowych warunków ze strony Hexa, to Bernstern również będzie mógł dołączyć do tej unii i zająć w nim należne mu miejsce. Jeśli uda mi się dowiedzieć czegoś więcej, to postaram się informować najszybciej, jak się da. Uściskałbym, ale nie obejmę.

K.

– Co to jest za pies... – mruknął Kunglin. – Jutro przed obiadem usiądziesz i spiszesz list do tego Hexa, który ci podyktuje.

– Tak jest, wasza miłość. – Uczony skłonił się.

– Powiedz mi, Mytelu. – Spojrzał na niego spode łba. – Czy ty, zostając uczniem, musiałeś złożyć przysięgę?

– Tak, wasza miłość – odpowiedział niepewnym głosem. – Przysięgałem mówić prawdę i służyć wiedzą władcy, na dwór którego trafię...

– Właśnie! – przerwał mu, unosząc tłusty palec. – Zatem powiedz mi, czy moja bękartka córka Imma nie żyje?

– Tak, wasza miłość. – Czuł, jak krew uderza mu do głowy. – Znalazłem ją martwą w lochu, wykrwawiła się.

– Zatem sprawa załatwiona. – Król podniósł się z trudem. – Idę do swojej komnaty, jutro przed obiadem masz być pod drzwiami. Lepiej dla ciebie, żebym nie musiał czekać nawet dwóch wdechów, zanim te drzwi się otworzą.

Kiedy drzwi zamknęły się za władcą, uczony Mytel osunął się na krzesło. Strach przed Kunglinem doprowadził go do złamania przysięgi. Wszystkie swoje ideały wyniesione z Akademii przekreślał kolejno, służąc na tym dworze. Mytel biegał po zaułkach, załatwiając ciemne interesy, przygotowywał trucizny, knuł, spiskował, zawiązywał intrygi, a wszystko to ze strachu przed Bernem. Dopiero teraz, łamiąc przysięgę, zrozumiał, że nie chce, by jego życie tak wyglądało. Do głowy wpadł mu pomysł

wysłania listu do Akademii, w którym opisałby całą działalność króla, ale szybko go odrzucił. Przecież musiałby w tym liście opisać też swoją rolę, a wtedy zostałby wyrzucony. Głowiąc się, ruszył do swojej komnaty. Przez okienka w wieży widać było mrok spowijający miasto i setki gwiazd migoczących na niebie.

Pandeyowi całymi dniami towarzyszyła któraś z kapłanek. Hex nie pozwalał na to, żeby jego nowy sojusznik zaczął cierpieć z powodu samotności. Sam niezbyt wiele z nim rozmawiał, w zasadzie poza przypadkowymi spotkaniami nie wchodzili sobie w drogę. Władca większość dnia spędzał samotnie, ewentualnie w towarzystwie jednej z kapłanek. One również w Aneti miały swoje własne rytuały, w których Pandey nie mógł uczestniczyć. Widział, że trenują sztuki walki, wiedział, że się naradzają, że się uczą. Nie mógł jednak przyjrzeć się temu z bliska. Zebrania miały miejsce wieczorem, a wtedy Pandey znajdował się już w swoim pokoju.

Wcześniej towarzyszyła mu Mossa. Spędzali razem dużo czasu, a że dziewczyna była naprawdę miła, książę Barbasu nie miał pretensji, gdy kolejnego ranka zobaczył ją w drzwiach swojej sypialni. Miała na sobie ten swój półprzezroczysty strój, od którego nie mógł oderwać oczu. Pamiętał, o czym mówił przed wyjazdem ojciec, ale z drugiej strony ilość czasu spędzanego z kapłankami sprawiła, że po głowie zaczęło mu chodzić coś, co mogło wpłynąć na pozycję Barbasu w tym sojuszu. Pandey postanowił zaryzykować i wyciągnąć nieco informacji od wesołej Mossy, z którą miał najlepszy kontakt.

– Hex chciał, bym pomogła ci wybrać konia i zbroję – powiedziała, opierając się krągłym biodrem o futrynę.

– A po co mi koń i zbroja? – zapytał zdziwiony, podnosząc się z fotela.

– Do walki, a do czego innego? – Zaśmiała się promiennie.

– Ja mam walczyć? – Podszedł bliżej. – Jestem księciem, pierworodnym synem...

– Za Sag Bas walczą wszyscy, którzy ją wyznają – przerwała mu. – Takie są zasady. Idziemy! – Pociągnęła go za szeroki rękaw żółtej szaty, na której plecach wyszyto półksiężyc z bursztynowych płatków.

Wyszli na zewnątrz i skierowali się w stronę znajdującego się niedaleko zakładu płatnerskiego. Hex potraktował Aneti jako swoje główne miasto na tym etapie podboju i sprowadził do niego wszystkich rzemieślników. Po drodze można było dostrzec hutników, kowali, stolarzy, kaletników,

krawców, garbarzy, a nawet artystów malarzy. Kolejni ściągali w pobliże miasta i rozstawiali swoje kramy. Mossa prowadziła Pandeya w kierunku rozłożystego namiotu, z którego wnętrza dobiegało głośne metaliczne stukanie, a w jego przedsionku na specjalnych drewnianych stojakach wisiały gotowe zbroje płytowe.

– Zawsze wykonujesz rozkazy Hexa? – zapytał, podążając obok niej.

– Pewnie – odpowiedziała z uśmiechem. – Nie ma innej możliwości.

– I z każdą jego decyzją się zgadzasz? – Rozglądał się po namiotach, niby nie przykładając wagi do rozmowy.

– Czasami mamy inne zdanie, kiedy ogłasza jakąś decyzję, ale wtedy potrafi być bardzo stanowczy i akceptujemy jego pomysł, bo to pomysł Sag Bas.

– Naprawdę? – Zdziwił się. – Myślałem, że działacie jak rada, dyskutujecie i w drodze kompromisu osiągacie jakieś stanowisko.

– Nie, nie. – Zaśmiała się. – Gdybyśmy chciały coś na nim wymóc, to poczułybyśmy jego gniew w naszych umysłach.

– Co? – Zatrzymał się. – Co to znaczy?

– Lepiej dla ciebie, żebyś nie poczuł, to nic przyjemnego. – Mossa uśmiechnęła się. – W każdym razie on cały czas może być w twojej głowie i nawet tego nie zauważysz. Jest w tym mistrzem. Nie wiadomo, kiedy wchodzi i kiedy wychodzi, co sprawdza i co robi.

Zimny dreszcz przebiegł po grzbiecie Pandeya. Dopiero teraz oświeciło go, że Hex mógł cały czas podsłuchiwać jego myśli, skoro Mossa mówiła, że on to potrafi robić bez trudu. Zdał sobie sprawę, że wszystkie jego pomysły mogły zostać odczytane. Wiedział, że skoro Hex potrafi być tak brutalny, kiedy tylko ktoś się z nim nie zgadza, to jego zabije za same myśli o zdradzie. Chwilę bezwiednie kroczył w zamyśleniu obok Mossy, ale gdy ta zatrzymała go przy namiocie płatnerza, zdecydował, że nie ma już nic do stracenia.

– Wybierz sobie, która ci się podoba. – Wskazała na wiszące na stojakach zbroje.

– Nie znam się na tym zupełnie... – Pokręcił głową.

– Płatnerz ci pomoże, a ja posiedzę sobie tutaj z boku. – Uśmiechnęła się.

– Dla pana najlepsza będzie taka zbroja – rzekł nieco sepleniący, niewysoki mężczyzna z masywnymi ramionami. – Pancierz jest lekki, ale wytrzymały. Nie sprawi problemów niewprawnemu wojownikowi.



– Może być. – Pandey spojrział na błyszczącą płytową zbroję bez większej uwagi. – A jak wygląda sprawa z dostosowaniem tego dla mnie?

– Pan mówi co, a ja robię. – Mężczyzna skłonił się. – Ozdoby, zmiana kształtów, ale nie wszystkich! Niektóre muszą pozostać takie, jakie są, bo inaczej pancerz będzie osłabiony.

– Pancerz może zostać w obecnym kształcie, ale chciałbym, byś z bursztynu na napierśniku utworzył półksiężyc.

– Z bursztynu... – Rzemieślnik zamyślił się na chwilę. – Nie będzie problemu, panie.

– Ile to wszystko będzie kosztowało? – Pandey popatrzył na kupca.

– Ależ nic, panie drogi! – Skłonił się niziutko. – Na chwałę Sag Bas wszystkie moje produkty i praca są przeznaczone! Grosa za to wziąć nie mogę!

– Działaj, dobrodzieju. – Mossa uśmiechnęła się. – Po konia pójdziemy później.

Grubawy urzędnik z naręczem listów zajrzał do komnaty króla Vizeya z duszą na ramieniu. Król nie znosił, kiedy coś szło nie po jego myśli, a teraz tak właśnie było. Yumin otworzył szerzej drzwi i wszedł do środka.

– Nie przeszkadzam, wasza miłość? – zapytał łagodnie. – Listy...

– Masz jakieś wieści? – Pomarszczona twarz króla wykrzywiła się w grymasie gniewu.

– Ach! – Głos mu zadrzał. – Nie przyszła żadna wiadomość od księcia Pandeya ani od księcia Visa.

– Ile to już minęło? – Niespodziewanie ton głosu króla zelżał.

– Księżyc, wasza miłość.

– Nawet gdyby list zaginął, to jeden czy drugi powinien już tutaj być. – Vizey spojrział w kąt swojej komnaty. – Chyba że cały plan wziął w łeb i ich pozabijał.

– Może po prostu zatrzymał ich u siebie na jakiś czas, by nauczyć tej religii i przekazać wszystko... – próbował odgonić najczarniejsze myśli Yumin.

– Być może. – Vizey ponownie skoncentrował się na swoim urzędniku. – Nie jestem przekonany, czy Pandey potrafi wykonać plan, który ułożyłem.

– Nie znam tego planu, wasza miłość, ale wydaje mi się, że następca tronu...

– Jest durniem – warknął, przerywając. – Przez to, że chce się wykazać, zamiast wykonywać polecenia, potrafi zniweczyć nawet najlepszą intrygę.

W Erskynie wszystko szło dobrze, dopóki nie postanowił samodzielnie wypowiedzieć im wojny. Wiesz, czym to się mogło skończyć, Yuminie? To się mogło skończyć oblężeniem Barbasu. Mieliśmy szczęście, że ten młody król nie jest tak waleczny jak jego ojciec.

– Czy działając na własną rękę, może sprowadzić na Barbas niebezpieczeństwo i w tym wypadku? – Yumin położył listy na stole, szykując się do wyjścia, gdyby pytanie było zbyt ryzykowne.

– Do tej pory o Hexie słyszałem tylko plotki, ale wyciągając z tych plotek ogólny obraz, myślę, że może sprowadzić na nas olbrzymie niebezpieczeństwo – powiedział przerażająco spokojnym tonem.

## Rozdział XXX

Uczony Iskel siedział przy stole znajdującym się w sali narad i spokojnie popijał owocowy napar. Przez otwarte drzwi zerkał do zamkowej biblioteki, w której jak poparzony biegał młody król Kastil. Wchodził i schodził z drabiny, przeglądał najstarsze tomy, odkładał je na bok, potem przeglądał znowu i wracał z nimi na półkę. Rozwijał zwoje, mapy, ale w pośpiechu, w jakim to robił, trudno było znaleźć jakieś wskazówki.

– Gdybyś, mój królu, sprawdzał to w jakimś logiczny porządku, to być może byłbym w stanie pomóc – zawołał do niego Iskel.

– Gdybym wiedział, czego szukam, twoja pomoc nie byłaby potrzebna – odpowiedział mu ze szczytu drabiny dotykającej wysokiego regału.

– Podobno wiesz, co chcesz znaleźć, i dlatego wybierasz się do Akademii.  
– Uczony odstawił kubek z naparem.

– Ty też się tam wybierasz, Iskelu. – Kastil zeskoczył z grubym tomem w dłoniach. – Nie zapominaj o tym. Zresztą dobrze wiesz, czego tutaj szukam. W całej bibliotece musi być choć jedna księga o tym Sag Bas.

– Mój królu. – Iskel podniósł się i wszedł do pomieszczenia biblioteki. – Znam tutaj każdy wolumin, zwój, księgę i mapę prawie na pamięć. Znaczną część z nich skopiowałem sam i zapewniam cię, że nigdy nie zauważyłem żadnej wzmianki o niczym podobnym do Sag Bas.

– Jednak gdzieś na wschodzie coś takiego zaistniało...

– Podobno zaistniało – poprawił go. – Nie mamy jeszcze pewności, czy to nie są zwykłe plotki, a tak to czasem z plotkami bywa, mój królu, że ktoś mógł sobie ją zupełnie sam wymyślić. Dlatego możesz przeszukać całą zamkową bibliotekę, całą bibliotekę w Akademii i nigdy się niczego o tym nie dowiedzieć. – Przetarł palcem grzbiet zakurzonego tomu.

– Mimo wszystko muszę spróbować coś znaleźć. – Przekartkował księgę.  
– Byłoby miło, gdybyś podpowiedział mi, gdzie mogę znaleźć księgi o pradawnych czasach.

– Dopiero teraz dotarło do mnie, jaki błąd popełniłem, szukając ksiąg na zajęcia. – Staruszek uśmiechnął się. – Religie, które są już wymarłe, znajdziesz na tamtej półce. Kroniki i roczniki to te dwa regały, a tam, na tej najwyższej półce, są zwoje, na których zapisano meldunki pradawnego króla z wyprawy na wschód. Zapewniam cię, że nigdzie nie ma żadnych wzmianek o Sag Bas, ale nie przeszłoby mi przez gardło odganianie cię od ksiąg.

– Twój humor z wiekiem robi się coraz mniej przystępny – powiedział do odchodzącego Iskela, który odwracając się, posłał mu ciepły uśmiech.

Powóz władców Erskinu stał na zamkowym dziecińcu tuż obok zejścia ze schodów, a Thondar w towarzystwie innych służących przygotowywał go do odjazdu. Pakowali na jego dach kufry podróżne z królewskim herbem wyrzeźbionym na wiekach. Uczony Iskel, król Kastil i księżę Tidur Dealin przyglądali się temu oparci o balustradę. Chłodne jesienne powietrze owiewało ich twarze.

– Czy ten powóz jest konieczny? – zapytał zniechęconym głosem Kastil.

– Dzisiaj nie pada, ale jutro... – Iskel zawiesił głos, patrząc w niebo. – Jutro możliwe, że popada, dlatego pojedziemy powozem.

– No właśnie! – Dealin klepnął Kastila w plecy. – Nie mam zamiaru moknąć na koniu, kiedy mogę jechać w wygodnym powozie.

– Akademia nie jest tak daleko. – Młody władca nie chciał odpuścić.

– Trzeba się szanować, Kastilu, jesteś w końcu królem. Nie możesz sobie galopować przez dukty i gościńce, bo tak ci się podoba. – Tidur uśmiechnął się.

– Deverze! – zawołał król, widząc zbliżającego się do zamku gwardzistę.

– Deverze! Podejdź tutaj!

– Tak, wasza miłość? – Żołnierz zasalutował uderzeniem w pierś po wbiegnięciu po schodach.

– Czy gwardia jest gotowa do wyjazdu?

– Od dawna, zgodnie z założeniami – odparł.

– Chodź, Deverze. – Kastil pociągnął go, odchodząc od pozostałej dwójki.

– Skąd wracasz taki zgrzany?

– Mówiłem waszej miłości o uczennicy, którą szkole w władaniu mieczem – odpowiedział zmieszany.

– A tak, pamiętam. – Kastil uśmiechnął się. – Radzi sobie?

– Tak, jest coraz lepsza – odparł z nutką dumy w głosie. – Muszę się już porządnie zmęczyć, żeby nie dać się jej trafić. Ma wyjątkowy dar do

miecza.

– Oby nigdy nie doszło do sytuacji, w której musiałaby go rzeczywiście użyć. – Westchnął, ale zaraz przeszedł do rzeczy. – Rzeczywiście musiałem nieco przesunąć wyjazd do Akademii. Szukałem najpierw jakichś informacji w zamkowej bibliotece, ale nie znalazłem tam żadnej wzmianki o Sag Bas.

– Uczony Iskel też o niczym nie słyszał? – Zatrzymali się w cieniu wysokiego muru obronnego.

– Twierdzi, że w żadnej czytanej przez niego księdze nie było słowa o tej religii, ale i tak wybierzemy się do Akademii. Jest tam tyle ksiąg, że nawet Iskel wszystkich nie przeczytał. Uczeni pomogą mi znaleźć to, czego szukam – stwierdził z pewnością.

– Wasza miłość... – zawahał się. – A co się stanie, jeśli nic nie znajdziemy?

– Deverze. – Król położył dłoń na masywnym ramieniu żołnierze. – Czy coś znajdziemy, czy nie, to nadal będziemy musieli być uważni. Pamiętaj sprawę z Pandeyem i Rollo... Nie mogę sobie teraz pozwolić na jakąkolwiek nieostrożność.

– Tak, wasza miłość, masz rację. – Spuścił głowę. – Pójdę przekazać rozkaz o jutrzejszym wyjeździe.

– Doskonale, nie zatrzymuję cię. – Klepnął go w pierś, przechodząc obok.

Dziesięciu zbrojnych poruszało się w dwuszeregu, siedząc na potężnych bojowych koniach nakrytych błękitnymi kropierzami, na których wyhaftowano królewskie herby Erskinu. Czarny niedźwiedź, stojący na tylnych nogach, widniał również na chorągwi niesionej przez jednego ze zbrojnych. Pozostali na długich pikach wieźli proporce w kolorach flagi Erskinu. Błękitno-czarne trójkąty materiału, obszyte pomarańczową wstęgą, powiewały na wietrze w rytmie końskich kroków. Owca

Za dwiema parami jeźdźców jechał królewski powóz, do którego zaprzężone były cztery konie. Wśród żołnierzy wierzchem podróżował król Kastil. Zgodził się na to, by uczony Iskel i księżę Tidur jechali powozem, ale zastrzegł, że on nie ma zamiaru do niego wsiadać. Droga prowadząca z miasta Erskin do Andskinu, w którym mieściła się Akademia, była świetnie utrzymana. Szeroki trakt wyłożony był płaskimi kamieniami tak równo, że powóz nawet nie podskakiwał. Po obu stronach drogi rosły wysokie dęby, obsypując ją kolorowymi liśćmi.

Podróż była niezwykle przyjemna i trwała krótko. Dowodzący wyprawą Dever Monerweh zdecydował, że jeśli pogoda się nie zepsuje, będą jechali cały dzień, co sprawi, że przed wieczorem znajdą się już na miejscu. Powóz był przygotowany do tego, by móc w nim nawet nocować. Szerokie i wygodne kanapy bez najmniejszego problemu mogły stanowić łóżka, a i miejsca było tyle, by w razie czego nawet pięć osób mogło znaleźć wewnątrz wygodne miejsce na spoczynek. Wypoczęte konie, które również nie były zmuszane do nadmiernej forsownego tempa, nie potrzebowały odpoczynku. Wraz z nadejściem wieczora robiło się coraz chłodniej. Nawet jeden obłok nie zasłaniał nieba nad orszakiem.

– Chyba się pomyliłeś z tym deszczem, Iskelu. – Kastil podjechał do uchylonych drzwi powozu.

– Cierpliwości, mój królu – odparł staruszek siedzący z księgą w dłoniach. – Deszcz spadnie, nim dotrzemy do Andskinu.

– Obyś się mylił, staruszkule – wtrącił Tidur rozłożony na całej kanapie. – Inaczej nasza miłość zmoknie.

– Zastanawiam się czasem, przyjacielu, dlaczego nie potrafiliście opanować zwykłego buntu chłopstwa i mieszczaństwa, ale jak tak ciebie dłużej posłucham, to przestaję się nad tym głowić. – Młody władca posłał mu zaczepny uśmiezek.

– Gdyby nie ten bunt, to teraz nie miałbyś tak oddanego doradcy – odparł Dealin.

– Wystarczy tej słownej szermierki – powstrzymał ich z uśmiechem Iskel. Kastil odjechał.

– On zawsze lubił utrudniać sobie życie. – Księżę westchnął.

– Każda moneta ma dwie strony. – Iskel zamknął księgę. – Oczywiście nie popieram tego, by marzył i nabawił się odgniotów od siodła, ale z drugiej strony kiedyś może nadejść dzień, w którym będzie musiał pokonać trudniejszą trasę, w mrozie, śniegu, bez przystanków, może samotnie, wtedy będzie już choć po części na taki wysiłek przygotowany. On nawet nie zdaje sobie sprawy, że przez swój upór uczy się i przygotowuje swoje ciało do większych rzeczy.

– Może i masz rację, ale moim zdaniem to on powinien zadbać o przedłużenie rodu. – Tidur podniósł się na łokciu. – W końcu został ostatni. Cała długa dynastia upadnie, jeśli on nie weźmie się za dziewczki.

– Mówiłem mu o tym nieraz. – Staruszek machnął ręką. – Ale nie chciał mnie nawet słuchać. Wiadomo, że Rollo nie była kandydatką na królową,

ale nawet bękart z córką rycerza jest jakimś zabezpieczeniem, marnym, ale zawsze.

– A okoliczne księżniczki? – Dealin rozłożył dłonie. – Nie ma żadnej na wydaniu?

– Nie jest z tym najlepiej. – Iskel pokręcił głową. – Na południu mamy Werdgwald. Biorąc pod uwagę to, że niedawno skończyliśmy wojnę, mogłoby to więc wydawać się nieco nie na miejscu. Ponadto król Peneth ma tylko syna, więc nawet gdyby na tamten element przymknąć oko, to pozostaje ta przeszkoda.

– Taki związek byłby jeszcze bardziej nie na miejscu niż ślub z wrogiem. – Tidur zachichotał.

– W Tasariku król Lakur ma chyba sześcioro dzieci, w tym cztery córki, ale obydwaj doskonale wiemy, że nie pochodzi ze szlacheckiego rodu, a jego władza... No cóż, żeniąc się z którąś z jego córek, sprzedalibyśmy soczysty policzek waszemu rodowi. O Bernsternie nie ma co nawet rozmawiać. Kunmlin nie ma legalnych dzieci, poza tym ożenek z jego rodem byłby mniej więcej tak samo bezpieczny dla królestwa jak wrzucanie gnijących zwłok do strumienia.

– O tak, to bardzo trafne porównanie. – Dealin zaśmiał się.

– Zasięgnąłem też języka w Utivinie i stamtąd również nie ma dobrych wieści. Król Ulf jest tak stary, że jego córki mogłyby być babkami Kastila, gdyby się postarały za młodu. Poza tym nie ma syna, który przejąłby tron, żeby nawet zastanawiać się nad jego dziećmi. Krajem rządzą członkowie gildii, którzy pożenili się z córkami i córkami córek króla, a nie możemy sobie pozwolić na to, by krew rodu Mithraidów złączyć z tak pomieszаныmi klanami. – Uczony westchnął.

– Zapomniałeś, Iskelu, o jednej dziewczce, która warta jest ręki Kastila. – Tidur usiadł prosto.

– Ach, Tidurze. – Starzec uśmiechnął się. – Z twoją siostrą mamy taki sam problem jak z córkami króla Lakura. Nerena jest piękną kobietą, pochodzi ze znakomitego rodu, jest mądra i wykształcona, ale gdyby Kastil wziął ją za żonę, to Lakur i cały Tasarik, poza Joulinem, zaczęłyby podnosić miecze przeciwko Erskinowi. Uznaliby to za dowód poparcia waszych starań o odzyskanie tronu...

– Przecież obydwaj wiemy, że to byłoby lepsze rozwiązanie. – Księżę wyglądał na lekko poddenerwowanego.

– Wiemy, ale obecnie nie mamy sił ani środków, by wiązać się w konflikt poza granicami Erskinu – odpowiadał spokojnie uczony. – Lakur patrzy spode łba na twoją długą obecność na naszym zamku, ale nie przejmujemy się tym. Takie wyrazy poparcia na ten moment muszą rodowi Dealinów wystarczyć. Myślę, że kiedy ta sprawa ze wschodem do końca się wyjaśni i król przestanie się zadreć za kolejnym problemem, a wam uda się powrócić na tron, to Nerena będzie idealną kandydatką na żonę dla Kastila.

– O ile do tego czasu nie zdąży się zestarzeć – mruknął z przytykiem.

Fragmenty tej rozmowy dotarły do uszu Kastila jadącego niedaleko powozu. Król na początku zirytował się tym, że obgadują jego przyszłość za jego plecami, i chciał od razu podjechać do drzwi, ale po chwili refleksji uznał, że przecież z rozmowy nic wielkiego nie wynika. Postanowił nie zawracać sobie głowy takimi mało znaczącymi sprawami. Zmierzał do Akademii, by szukać wskazówek w walce z przeciwnikiem, równie dobrze mogącym nie istnieć, a wszystko przez to, że w odróżnieniu od innych władców zachodu nie lubił czekać na to, co przyniesie los. Lubiał być przygotowany na to, co nadejdzie, mieć wiele rozwiązań sytuacji i nienawidził niespodzianek. Nauczył go tego Iskel, to on zawsze kazał mu rozkładać każdy problem na czynniki pierwsze i analizować jego możliwe konsekwencje. Podjechał do Devera, dowódcy wyprawy, by zamienić z nim słowo.

– Deverze. – Zrównał z nim swego wierzchowca. – Przyspieszmy trochę. Chciałem ci coś przekazać.

– Słucham, wasza miłość. – Odjechali na bok.

– Wierzę Iskelowi, że nie znajdziemy niczego w księgach, dlatego nie zamierzam w tej bibliotece siedzieć miesiąc. Pobędziemy tutaj ze dwa lub trzy dni i wrócimy, jeśli nic się nie znajdzie. Jednak bardziej od szperania w księgach interesują mnie rozmowy z uczonymi. Oni pochodzą ze wszystkich stron świata i zanim trafili do Akademii, uczyli się historii swoich krajów, geografii, biologii, wszystkiego, co mogli poznać na miejscu. Tylko mając taką wiedzę, są przyjmowani.

– Wasza miłość liczy, że któryś z tych pochodzących ze wschodu może coś o tym wiedzieć? – Dever spojrział na niego zdziwiony.

– Być może. – Kastil wzruszył ramionami. – Może słyszał jakąś legendę, baśń, opowieść przy ognisku... To są ludzie, których umysły chłoną każdą wiedzę. Skoro już będziemy na miejscu, to warto ich popytać.

– Ale czy będą chcieli rozmawiać o takich legendach?



– Właśnie w tym tkwi szkopuł. – Skrzywił się. – Uczeni, którzy żyją w zamkniętych murach Akademii, nie są tak dobrymi rozmówcami, jak na przykład Iskel. Oni mówią w bardzo wyrafinowany sposób, trudno ich zrozumieć i trzeba zadawać odpowiednie pytania, by uzyskać pożądaną odpowiedź. Jeśli pytanie będzie źle skonstruowane, to on na nie odpowie, ale nam to nic nie da, rozumiesz?

– Rozumiem, ale ja nie bardzo umiem rozmawiać z takimi ludźmi... – Dever poprawił się w siodle.

– Wiem, wiem. Dlatego ty i inni gwardziści będziecie w towarzystwie księcia Tidura przeszukiwali bibliotekę zgodnie ze wskazaniem Iskela, a ja i stary uczyony spróbujemy pociągnąć wschodnich mędrców za języki. – Puścił do niego oczko.

– Ach, tak... – Westchnął z ulgą. – W takim razie przedstawię reszcie wasze rozkazy.

– Nie musisz się z tym spieszyć, wystarczy, jak dowiedzą się tego przed wejściem do biblioteki. – Kastil wstrzymał konia. – Dołączmy do reszty.

Niebo zaszło ciemnymi chmurami i zgodnie z przewidywaniami Iskela zaczął z niego padać rześisty deszcz. Krople spływały po pancerzach gwardzistów, sprawiły również, że flagi i proporce zrobiły się ciężkie i smętnie zwisały z drzewców. Uczony i książę Tidur siedzieli w królewskiej karecie, o dach której stukały grube krople. Król Kastil wysunął się na front orszaku i w ciszy rozglądał się przed siebie. Coraz częściej pojawiające się zabudowania wskazywały, że zbliżają się do miasta Andskin. Wreszcie ich oczom ukazały się wyższe kamienice, w których zamieszkiwali mieszczaństwo, kupcy i rzemieślnicy.

Miasto Andskin nie było duże w porównaniu z Erskinem. Jego głównym punktem był zamek Akademii, którego mury okalały rozległe tereny zamieszkałe przez uczonych i służbę. Od murów Akademii odchodziły ulice, przy których wznosiły się zabudowania zamieszkałe głównie przez kupców i rzemieślników, których zadaniem było zaopatrywanie Akademii w potrzebne towary. Piętrowe kamienice stały bliżej murów, a im dalej od centralnego punktu miasta, tym zabudowa stawała się niższa i mniej zwarta. Wokół miasta znajdowały się pola, z których uprawy trafiały do Akademii. Gdy zabudowa zrobiła się już wyjątkowo zwarta, Dever dołączył do króla jadącego na przedzie.

– Wasza miłość. – Żołnierz rozglądał się. – Wiem, że jesteśmy wśród swoich, ale być może lepiej byłoby, gdybyś przesiadł się do powozu.

– Nie mam zamiaru chować się przed mieszkańcami Erskinu – odparł twardo. – Poza tym za chwilę będziemy na miejscu.

Kastil nie mylił się, bo już po przejechaniu kawałka brukowanej ulicy i pokonaniu jednego zakrętu ich oczom ukazały się mury Den Scoch Olscoyla Og Seagisit Doinea Coi Gyna zwanej w całym świecie Akademią.

– Pierwszy raz tutaj? – zapytał z przekąsem Kastil, widząc minę swojego gwardzisty.

– Tak... – odparł Dever, rozglądając się z otwartymi ustami.

Młody władca nie dziwił się reakcji wojownika pochodzącego z zalesionych terenów przy granicy z Barbasem. Architektoniczne cudo, jakim był budynek Akademii, zapierało dech w piersi każdemu, kto widział je po raz pierwszy. Mur okalający teren całego kompleksu nie miał charakteru obronnego. Stanowił raczej zabudowane korytarze, którymi można było poruszać się po budynkach. Obiegał wokół tereny Akademii i przechodził przez nie, tworząc swoistą siatkę połączeń. Centralny korytarz był dużo wyższy i szerszy, a jego front stanowił szeroki podjazd i ogromne wrota wejściowe. Zbudowano go na planie krzyża, a okrąg znajdujący się w samym centrum łączył ze sobą wszystkie skrzydła kompleksu akademickiego.

Budynek na planie koła składał się z trzech części. Wewnętrzną tworzyła wysoka wieża, środkową stanowił korytarz, a zewnętrzną tworzyła kolumnada stwarzająca wrażenie połączenia go z naturą. Korytarze doświetlone były wysokimi, wąskimi oknami. Smukłe i strzeliste wieżyczki ozdabiały zwieńczenia murów.

Królewski orszak skierował się do bramy wjazdowej. Arkady kolumnowe, zwieńczone łukami, były tak wysokie i szerokie, że powóz bez problemu mógł wyjechać z głównego korytarza na dowolny z czterech dziedzińców. Na każdym z nich stał wysoki budynek, którego dach pokrywały strzeliste wieże, podobne do tych na murach. W ścianach roilo się od wąskich i wysokich okien, a budynki na planie prostokątów z czterema niższymi dobudówkami, po jednej na każdej ze ścian, stanowiły Domy Czterech Nurtów. W każdym z nich mieszkali oraz pracowali uczeni i kandydaci na uczonych, a teren między Domem a korytarzami pokrywała idealnie równa trawa.

Nazwa Taech Sitre Foilahtir pochodziła z początków Akademii, kiedy to nauka nie była tak rozwinięta, a uczeni specjalizowali się tylko w jednej dziedzinie. Wtedy zbudowano im cztery domy, by nie przeszkadzali sobie

wzajemnie w badaniach. W pierwszym po lewej stronie zajmowano się naukami przyrodniczymi, po przeciwnej językami, kolejny zamieszkiwali medycy, a ostatni stał się miejscem przeznaczonym dla historii i sztuki. Każdy z budynków miał trzy kondygnacje oraz rozległe podziemia, gdzie znajdowały się sale przeznaczone do eksperymentów czy podręczne biblioteki.

Jednak głównym budynkiem, który stanowił serce Akademii była Laebharlamo, czyli Główna Biblioteka. Mieścił się w niej największy na świecie, przytłaczająco ogromny zbiór książek, zwojów, map, a nawet tabliczek i drewnianych płytek zapisanych w pradawnych językach. Wieża biblioteczna znajdowała się w okręgu utworzonym przez korytarze. Wznosiła się ponad mury i ponad dachy Domów Czterech Nurtów. Jej wysokość sięgała pięciu kondygnacji w górę i co najmniej trzech pod ziemią. Każda z kondygnacji była ciut mniejszym okręgiem, a na utworzonych przez to daszkach wybudowano strzeliste wieżyczki. Okna w tym budynku różniły się od pozostałych. Były niskie, ale za to szerokie. Bibliotekę wieńczyła kopuła, na szczycie której znajdowała się dzwonnica. Dzwon Rittercroi obwieszczał śmierć władcy Erskinu, wybór nowego króla albo zmianę na stanowisku rektora Akademii. Jego dźwięk był tak donośny, że przy odpowiedniej pogodzie dosięgał do samej góry Ersk.

– To jest nasz cel. – Kastil wskazał najwyższy budynek i zsiadł z konia.

Młodzi uczniowie w brązowych szatach bez kapturów wybiegli z arkad i zabrali się za witanie gości i próbowali zająć się końmi.

– Młodzi tak się pałą do pracy, że nie zauważyli, z kim mają do czynienia. – Usłyszeli za sobą niski, donośny głos.

– Telselu, bracie. – Iskel rozłożył szeroko ramiona. – Miło cię widzieć!

– Ciebie również, Iskelu. – Uściskali się. – Zdecydowanie za rzadko się widzimy. W naszym wieku trzeba dbać o relacje.

Telsel, rektor Akademii, nosił taki sam strój jak Iskel, jego obszerny kaptur obszyty był złotą nicią. Ich ubiór różniła tylko wielka, złota brosza w kształcie wijącego się smoka, którą Telsel miał wpiętą w kaptur jako symbol najwyższego stanowiska wśród uczonych. Rektor był szczupły i nieco niższy od doradcy Kastila. Miał siwe włosy opadające na kark, bladą skórę, błękitne oczy i nieznacznie się garbił.

– Mój królu. – Ukłonił się nisko Kastilowi. – Proszę wybaczyć brak manier.

– Nie szkodzi, rektorze Telselu. – Król uśmiechnął się. – W końcu wpadliśmy bez zapowiedzi, ale nie zabawimy tutaj długo.

– Dobrze wiesz, mój królu, że możesz mieszkać tutaj razem z całą świtą, ile tylko zapragniesz – stwierdził zupełnie szczerze.

– Wiem, rektorze, ale obowiązki mi na to nie pozwolą. – Kastil rozłożył ręce. – Przybyliśmy tutaj w poszukiwaniu wiedzy...

– Lepiej nie mogliście trafić – przerwał mu. – Ale pozwolę sobie przerwać i zaprosić do środka. Deszcz nie jest zdrowy dla starych uczonych, a i młodzi nie powinni za długo na nim przebywać, zwłaszcza jesienią. Uczniowie zajmą się waszymi końmi, a cały orszak zapraszam na coś gorącego. – Wskazał dłonią w kierunku wejścia do holu.

## Rozdział XXXI

Trzymała się tego małego płomyczka świecy jak ostatniej deski ratunku. Poddając się zupełnie temu, co spotykało ją w świątyni w Phedas, zamykała się wokół swoich wspomnień. Dni przestała liczyć po wieczności spędzonej w zaciemnionej celi. Wtedy straciła rachubę i postanowiła nie zwracać na to uwagi.

Po kilku tygodniach pilnowania swojej świecy ubrani w czerwień kapłani pozwolili jej wreszcie wychodzić na zewnątrz. Kapłani odzywali się tylko wtedy, kiedy chcieli jej coś przekazać, ona jednak miała całkowity zakaz używania głosu. Bycie kapłanem Ret wymagało milczenia w czasie obecności wśród wiernych, więc już na etapie nauczania musieli wyrobić ten nawyk. Nauczający Rollo kapłani nosili przy sobie cienką witkę, której uderzenia potwornie bolały i nawet rozcinały skórę. Miała już kilka porządnych cięć na plecach i udach. Dostała czerwony strój zakrywający ciało od szyi do kostek. Uczniów można było poznać po tym, że nie mieli zakrytych twarzy.

Dzień Rollo zaczynał się bardzo wcześnie. Budzono ją przed wschodem słońca, by przygotowywała posiłki dla całej świątyni, w której przebywało około czterystu kapłanów. Zajmowała się najgorszymi obowiązkami. Musiała obierać warzywa, nosić ciężkie skrzynie, mieszać we wrzących kotłach, a jeśli robiła coś nie po myśli nadzorującego kuchnię kapłana, dostawała witkę. Uderzenia bolały, ale nie dawała tego po sobie poznać. Patrosząc zwierzęta czy wynosząc ciężkie wiadra z pomyjami, myślami była zupełnie gdzie indziej.

Tuż po świcie, gdy tylko pożywienie było przygotowane, zabierano ją przed świątynię. Tam przychodził czas na medytację. Musiała leżeć niczym kłoda z twarzą skierowaną w dół. Drobnutki, pustynny piasek utrudniał oddychanie. Kiedy kaszlnęła lub kiedy zbyt duża chmurka pyłu wzbiła się wokół niej, dostawała witkę. To właśnie tych porannych medytacji nienawidziła najbardziej. Zawsze była żywa, a leżenie przez dwie godziny

w absolutnym bezruchu, kontrolując oddech, doprowadzało ją do obłądu. To właśnie w tych dwóch godzinach najbardziej potrzebowała uciec z tego miejsca myślami. Wracała wtedy do tych kilku miesięcy spędzonych na zamku w Erskinie i wszystkich uroczych chwil w towarzystwie Kastila.

Po medytacjach przychodził czas na trwającą do późnego wieczora naukę. Większość czasu dziewczyna spędzała na czytaniu ksiąg i analizowaniu rycin. Głównym zadaniem religii Ret, jak się dowiedziała, było przepowiadanie przyszłości z odpowiednio przygotowanych ognisk. Kapłani na co dzień zajmowali się również leczeniem niegroźnych schorzeń czy urazów, a także przesłuchiowaniem ludzi występujących przeciwko religii. Na razie wszystkiego uczyła się wyłącznie teoretycznie. Poza podtrzymywaniem płomienia świeczki w nocy nie miała kontaktu z ogniem.

Kilka godzin po zapadnięciu zmroku była odprowadzana do swojej zupełnie zaciemnionej celi, gdzie musiała do rana utrzymać zapalony płomień, przy okazji nabierając sił na kolejny dzień. Snu pozostawało niewiele, a i tak musiała go przerywać co godzinę, by zamieniać świece. Spała na twardym, okrutnie śmierdzącym sienniku, położonym na posadzce obsypanej piaskiem i starą słomą. Trzeba było uważać na skorpiony, które lubiły wkradać się do celi przez szczeliny w drzwiach.

Tego dnia usiadła na podłodze, wpatrując się w płomień świecy, i brudnymi, pokancerowanymi dłońmi przejechała po udach. Syknęła z bólu, a na palcach zobaczyła krew. Wystarczył jeden błąd przy układaniu rycin z kolorowymi płomieniami obok proszków, które te kolory miały wywołać, by nauczyciel wściekł się i skatował ją witką. Sztywne od krwi ubrania zabierano na noc, by rano oddać je czyste. Chociaż na to nie mogła narzekać. Gorzej było z wodą, by sama mogła się umyć. Tym, co stało w dzbanku jako woda do picia, polała sobie dłoń i przetarła rany. Zaszczypało mocno, aż jęknęła.

Wzięła kilka łyków oszczędnego przydziału wody i siedząc nago na sienniku, odpłynęła myślami daleko od świątyni w Phedas, od bólu i upokorzenia, jakie ją tutaj spotykało. Przypominała sobie uroczystości koronacyjne i to, jak razem wyszli na spacer. Wracała do miłych chwil, wyobrażając sobie ciepło dłoni Kastila, jego nieczęsto pojawiający się uśmiech, kolor jego pewnych siebie oczu, aż udało jej się zasnąć. Nie na długo jednak, bo spała czujnie, sprawdzając co jakiś czas, ile pozostało wosku, nim świeca się wypali.

Deszcz niemiłosiernie tłukł o zamknięte okiennice w komnacie Pandeya. Jak każdego ranka książę Barbasu czekał, aż Mossa przyjdzie do niego, by razem zjeść śniadanie. Te codzienne wspólne posiłki stały się tradycją, i to tradycją niezwykle przyjemną. Choć z początku kapłanka zachowywała chłodny dystans i traktowała dotrzymywanie sojusznikowi towarzystwa jako przykry obowiązek, to z biegiem czasu dało się zauważyć, że czas spędzony z Pandeyem był przyjemnością również dla niej.

Książę wstał z łóżka chwilę wcześniej. Umył się i ubrał w zielono-żółtą szatę, z drobnymi bursztynami przy krótkich rękawkach. Urazy po pojedynku z Kastilem w zasadzie wygoiły się już zupełnie. Delikatnie kulał i nadal miał problem z twardszym jedzeniem oraz zaciskaniem dłoni w pięści, ale poza tym czuł się dobrze. Przy okrągłym stoliku ustawił dwa krzesła i już po chwili rozległo się stukanie. Podniósł się całkiem żwawo i ruszył do drzwi. Po drugiej ich stronie stała niewysoka, kobieca kapłanka o kręconych czarnych włosach i dziewczęcej, nieco pyzatej twarzy, w dłoniach trzymając tacę z naczyniami.

– Wchodź, czekałem na ciebie. – Pandey zrobił jej miejsce.

– Skoro byłeś pewny, że przyjdę, to mogłeś sam przynieść tę tacę! – powiedziała z przekąsem.

– Chętnie bym ją przyniósł, ale moje dłonie mogłyby narobić więcej szkód niż pożytku. – Wzruszył ramionami. – Siadaj do stołu.

– Nie wykręcaj się! – Odstawiła tacę. – Jak tylko pogoda się poprawi, to zacznę cię uczyć walki! Zbroję masz, miecz też, nawet konia, ale to cię nie uratuje na polu walki.

– Nie wiem, czy ja w ogóle nie będę przeszkadzał na tym polu, nie czuję się na siłach, by walczyć... Co dzisiaj serwujesz? Znowu nic ciekawego? – zmienił niewygodny temat.

– A ty się znowu zapominasz? – Spojrzała na niego groźnie. – Jemy to, co jedzą ludzie w obozie. Hex postanowił, że objadanie się frykasami, podczas gdy reszta poddanych ledwo dojada, byłoby sprzeczne z zasadami Sag Bas. Dlatego dzisiaj masz ciemny chleb ze śmietaną, gotowane jajko i potrawkę z kapusty i jakiegoś zboża, zapomniałam nazwy.

– Pewnie z tissuy... – mruknął pod nosem. – To najpopularniejsze zboże w okolicy.

– O tak, dokładnie z tego! – Rozpromieniła się.

– Gdyby nie to, że śniadanie mogę zjeść w miłym towarzystwie, to nie cieszyłbym się z niego zupełnie. – Skrzywił twarz w grymasie

niezadowolenia.

– Hex mówi, że jedzenie nie musi być wykwintne, żeby spełniało swoją funkcję. – Zabrała się za smarowanie kromki chleba śmietaną. – To, co dostajemy, w zupełności wystarcza. Mówi też, że to przez takie podejście większość społeczeństwa boi się głodu.

– A co ty myślisz na ten temat? – zapytał niby od niechcienia, mieszając łyżką w kapuścianej papce.

– Ja myślę tak jak on, on jest naszym przywódcą i nie mam zamiaru mu się przeciwstawiać, to byłoby głupie, mówiłam ci już o tym. – Jej twarz przybrała nerwowy wyraz.

– A ja już ci mówiłem, że jestem rozczarowany tym, że on nie korzysta z waszych umiejętności. – Powoli przełykał kolejne kęsy potrawki. – Bo bardziej rozwijające jest chociaż wysłuchanie swoich doradców.

– Mówiłam, że on nas słucha...

– Ale nie bierze waszego zdania pod uwagę, a jeśli bardzo się z nim nie zgadza, to może was ukarać, więc wy, bojąc się bólu, mówicie to, co on chce usłyszeć – przerwał jej.

– Przestań! – Uciszyła go. – Nie mów nic takiego. Jeśli on nas teraz widzi, to obydwójce będziemy mieć problemy!

– Jeśli przeczytał moje myśli, to i tak mam już spory problem. – Pandey uśmiechnął się nieznacznie, by nie pokazać braków w uzębieniu. – Posłuchaj, Mosso, widzę, że wszystkie jesteście przestraszone. Każda z was boi się samodzielnie pomyśleć. Dobrze, jest władcą, imperatorem, ma niespotykaną moc, ale nie możecie się bać wykonywać tego, co do was należy. Przecież to kapłanki są stworzone do tego, by nauczać Sag Bas i nieść ją zwykłym ludziom. Gdyby Hexa nie było, to osiągnęłybyście to samo, a może i więcej, bo razem jesteście nie tylko bardzo mądre, ale wzajemnie uzupełniacie swoje umiejętności. Jedna lepiej zna się na wojsku, druga na dyplomacji, trzecia na architekturze, mogę tak wymieniać długo. Ja jestem tylko skromnym sojusznikiem, ale uważam, że dla świata lepiej by było, gdyby rządziła nim rada kapłanek...

– Przestań, Pandeyu! – Podniosła się. – Nie chcę mieć kłopotów przez twoje głupie gadanie! Hex jest wybrańcem i to dzięki niemu nie jestem już służącą w paskudnym pałacu...

– Też dzięki niemu prawie zginęłaś, a twoich rodziców zabito – przerwał jej z kamiennym spojrzeniem.



– To, co było, zanim zostałam kapłanką... – Broda jej się trzęsała, a w oczach stały łzy. – To nie ma żadnego znaczenia. Nie mam ochoty dłużej z tobą siedzieć...

– Przepraszam. – Podniósł się i ujął jej dłonie. – Przepraszam, zapędziłem się. Nie chciałem powiedzieć tego ostatniego, ale musisz zrozumieć, że chcę dla ciebie jak najlepiej.

– Nie rozmawiajmy już o tym. – Wyrwała mu dłonie. – Skończ jedzenie.

– Dobrze, przepraszam, już do tego nie będę wracał. – Popatrzył na swoje pokrzywione palce. – Chciałbym coś ci dać... Wiem, że Sag Bas nie przywiązuje wagi do symboli, kruszców, kosztowności, ale to nie jest nic przesadnego. Wiesz, czym jest bursztyn?

– To coś w rodzaju skamieniałej żywicy – stwierdziła niepewnie.

– Tak, to bardzo stara żywica. – Ściągnął najmniejszy z kilku pierścieni, które miał na palcach. – W jej wnętrzu zatopione są czasem pradawne robaki. Można powiedzieć, że jednocześnie jest w tym coś żywego i nieżywego, bo zachowuje się jak kamień. Chciałbym, żebyś go wzięła i nosiła na którymś z palców. – Wyciągnął ku niej pomarańczowo-brązowy pierścień.

– Nie możemy nosić żadnej biżuterii. – Pokręciła głową, patrząc na prezent. – To może nam przeszkodzić w posługiwaniu się bronią, a w dodatku Sag Bas...

– Wiem. – Wcisnął jej bursztynowy podarek do ręki. – Nie musisz go nosić w trakcie walki ani na spotkania z Hexem, ale weź go, proszę. To prezent od... przyjaciela.

– Dziękuję. – Zamknęła piąstkę po dłuższej chwili milczenia. – Jest naprawdę piękny.

– Cieszę się, że ci się podoba. – Pandey odetchnął. – Ojciec i ja lubimy te kamienie i mamy z nich bardzo dużo ozdób. Sprowadzamy je od naszego, można powiedzieć, prawie sojusznika z zachodu. Same też mogłybyście poszukać sojuszników, zamiast brutalnie...

– Miałeś do tego nie wracać! – Podniosła się zła jak osa. – Nie da się dzisiaj z tobą normalnie porozmawiać! Wychodzę! – Prychnęła, obróciła się na pięcie, aż jej całe ciało zafalowało pod jedwabistą szatą, i wyszła z komnaty.

Pandey został sam przy stole, patrząc na Mossę opuszczającą sprężystym krokiem jego sypialnię. Nie był zły dlatego, że wyszła z hukiem. Wiedział, że tak emocjonalna reakcja musiała powstać, bo słowa, które do niej

skierował, zaczęły kruszyć kamienie jej przywiązania do Hexa. Domyślał się, że niedługo te pojedyncze pęknięcia wywołane jego gadaniem spowodują rozpad więzi kapłanki z imperatorem, a wtedy jego plan będzie mógł być w pełni zrealizowany. Oczywiście jeśli do tego czasu Hex nie postanowi zabić go za to, co myśli i mówi.

Mytel poznał te schody na tyle dobrze, że gnał teraz pospiesznie, nie bacząc na ciemności i nierówności pod stopami. Strach przed gniewem swojego władcy dodawał mu pewności. Król Kunglin od czasu nieudanego spotkania z Kelerem i listu do Hexa, nowego władcy na wschodzie, nie mógł się uspokoić.

Stał się niesłychanie drażliwy i nawet nieopatrzne spojrzenie mogło doprowadzić go do furii. Uczony własnymi rękoma składał połamane kości u kilku służących. Znał władcę już jakiś czas, ale nie widział go nigdy w takim stanie. Był zupełnie rozchwiany emocjonalnie, dlatego Mytel bał się zdenerwować go w jakikolwiek sposób. Przez te nerwy nie miał apetytu i musiał coraz mocniej ścisnąć szatę sznurem. Czuł się też osłabiony, bolał go żołądek i zaczęły trząść mu się dłonie. Dlatego na rozmowy z córką Kunglina mógł poświęcić tylko chwilę. Dopadł do drzwi celi i otworzył je najszybciej, jak się dało.

– Imma – zawołał od wejścia. – Jesteś tutaj?

– A gdzie mam być?! – burknęła z oddalonego kąta. – Jestem zmarłym więźniem. Ci się raczej nigdzie nie ruszają.

– Ach... – Westchnął, zbierając myśli. – Przepraszam, nie to chciałem... Zresztą nieważne. Wpadłem tylko zostawić ci posiłek i wracam na górę.

– Wieprz dalej rozrabia? – Wysunęła się z kąta, w którym siedziała.

– Tak... To znaczy król Kunglin cały czas jest zdenerwowany i jeśli mnie nie będzie, kiedy zawoła...

– I tak cię zabije prędzej czy później. – Zajrzała do tobołka, który trzymał w dłoniach. – Co przyniosłeś? Może wino?

– Nie... Wina nie, mam miód. – Wyciągnął gąsiorek. – Poza tym mam zbożowe ciastka, trochę szynki i warzywa. W kuchni coraz dziwniej na mnie patrzą...

– Dobrze i to. – Zabrała jedzenie z jego rąk i położyła na stole, który służył wcześniej do porządkowania narzędzi tortur. – Jak twoja nauka?

– Myślę, że jestem gotowy, by przystąpić do egzaminu – powiedział bez pewności. – Przeczytałem wszystko, co jest wymagane. Miałem też ostatnio

trochę praktyki z medycyny... Gdybym mógł na jakiś miesiąc udać się do Akademii i douczyć od najwyższych uczonych, to na pewno bym zdał.

– No to na co czekasz? – Spojrzała na niego zaskoczona. – Ta tłusta, niezrównoważona świnia będzie wymyślała kolejne powody usprawiedliwiające swoje wariactwa.

– Nie powiem mu teraz. Zabije mnie, jeśli mu powiem... – Westchnął.

– To nie mów mu o tym! – Potrząsnęła nim. – Zbierz najpotrzebniejsze rzeczy, wynieś je gdzieś w bezpieczne miejsce, potem udaj się niby coś załatwić i nigdy tutaj nie wracaj. Przecież sam mi opowiadałeś, że nie chcesz być uczonym na jakimś dworze, tylko pracować w Akademii i oddać się nauce. Poza tym będziesz miał okazję opowiedzieć całej Akademii o tym, co wyprawia Kunglin i co się dzieje w całym tym zaszranym kraju.

– Nie mogę im o tym powiedzieć... – Pokręcił głową zrezygnowany.

– A to niby dlaczego?

– Wyrzucą mnie z Akademii za to, że przez tak długi czas brałem w tym udział... – Odszedł na bok, wrywając się z jej uścisku.

– Opowiesz, że cię zastraszył, że bałeś się zrobić cokolwiek, że groził ci śmiercią, jeśli coś się wyda. – Patrzyła mu prosto w oczy. – Będą musieli zareagować. Uwierzą ci, znajdą innych świadków...

– Nie wiesz, o czym mówisz – warknął, aż podskoczyła. – Znam Akademię i wiem, jak oni rozwiązują takie sprawy. Słyszając moje oskarżenia, rektor wezwie Kunglina na podstawie nakazu. Postawią go przed Radą Akademii, on się wszystkiego wyprze, wezwą świadków, którzy stojąc twarzą w twarz z nim, nie powiedzą złego słowa. Zatają prawdę, bojąc się konsekwencji. Wtedy będę tylko ja przeciwko władcy całego państwa. Akademia, nie chcąc wywoływać konfliktu, będzie wolała uznać, że jestem kłamcą, niż badać tę sprawę na tyle dokładnie, by dojść prawdy. Bo przecież co by mu zrobili? Akademia nie ma mocy, by pozbawić kogoś tronu. Nawet jeśli zapadłby wyrok, to poza problemami całego zachodniego świata niczego by to nie wniosło. Wiedząc o tym, że zabija kurwy, służących, pozwala na piractwo, zgarnia haracze, ma kontakty ze złodziejami, pozostali królowie mogliby zerwać sojusze, ale kto by na tym stracił? Ludzie! Nie Kunglin. Bernstern jest pełny przyjezdnych, więc oni po prostu by się stąd zabrali. Nie byłoby żadnego powstania, obalenia władcy. Po prostu kraj by się wyludnił i stał się wyspą dla złodziei, piratów i bandytów.

– No dobrze, dobrze. – Jej dłoń wylądowała na jego ramieniu. – To po prostu jedź zdać egzamin. Powiedz, że cię wyrzucił. Poprzedniego też odesłał oficjalnie. Mówiłam ci, że go zabił, ale w Akademii dostali list, że go odsyła i prosi o nowego. Ty piszesz te listy, może udałoby się jakiś tak spreparować, żeby wyglądał na autentyczny. Dotrzesz tam i będziesz mógł zdać egzamin, poświęcić się nauce...

– Nie mogę tego zrobić – powiedział ledwo słyszalnym tonem. – Złamałem przysięgę...

– Jaką?

– Uczony przysięga mówić swojemu władcy prawdę w każdym wypadku, a on zapytał, czy ty nie żyjesz... Skłamałem, że tak... I jest jeszcze jeden powód, dla którego nie mogę tam jechać...

– Czy dzisiaj muszę z ciebie siłą wyciągać każde zdanie? – Spojrzała z błyskiem w oku, który nie przygasł mimo tego, co ją spotkało.

– Nie mogę jechać przez ciebie. – Wziął głęboki oddech. – Nie darowałbym sobie, gdyby coś ci się stało w tych lochach. A przecież nikt inny nie wie, że żyjesz i...

– Wy, uczeni, to jednak czasem jesteście zupełnie głupi. – Roześmiała się w głos, ale po chwili uciszyła się, zakrywając usta dłońmi. – Nie wpadłeś na to, że uciekając stąd, mógłbyś pomóc także mi? Przecież uciekłabym z tobą. Znalazłbyś sposób, żeby mnie stąd wyprowadzić, a dalej... Uczni też mają swoje potrzeby. – Jej dłoń zsunęła się z jego barku na pierś.

– Tak... Tak... – Zmieszał się. – Muszę to wszystko jeszcze raz przemyśleć... Muszę już uciekać, bo jak mnie zawoła i mnie nie będzie...

Opuścił celę w takim samym pośpiechu, w jakim do niej wpadł. Zamknął drzwi na klucz i popędził na górę. Zostawił klucze znudzonemu strażnikowi siedzącemu przy wejściu do podziemi i ruszył biegiem. Słyszał niosący się po zamkowych korytarzach ryk króla Kunglina. Serce zatrzymało mu się w piersi. Uniósł swoją długą szatę i rozpędził się, gnając do jego sypialni. Wreszcie dopadł do drzwi, otworzył je prawie z hukiem i zdyszany wpadł do pomieszczenia. Kunglin siedział przy stole, trzymając w jednej dłoni kurzą nogę, a w drugiej kawałek papieru.

– Nareszcie! – ryknął, kiedy tylko zobaczył Mytela. – Czy ty sobie, durniu, wyobrażasz, że ja nie mam lepszych zajęć niż darcie gardła, byś przywlekł tutaj ten swój kaptur?!

– Przepraszam, ja... – Mytel próbował złapać oddech.

– Co ty?! Co ty?! – wrzeszczał. – Doszły mnie słuchy, że w lochach często siedzisz! Tam nie słyhać, jak wołam! Gadaj, co tam robisz! – Huknął w blat, aż z talerza posypały się pieczone ziemniaki.

– Ja... Ja... – Nie mógł wydobyć z siebie głosu. – Ja tam się uczę anatomii... Tam w celach są szkielety. Badam je...

– Badasz szkielety?! – Poczzerwieniał okropnie. – Badasz sobie zasrane kości, kiedy ważą się losy kraju?!

– Egzamin...

– Egzamin! – Król wywrócił ze złości stół, zastawa potoczyła się po marmurowej posadzce. – Myślisz o swoim kurewskim naszyciu na kaptur, a nie o tym, co powinieneś robić! Jeśli sobie wyobrażasz, że pojedziesz do tego burdelu, to jesteś w wielkim błędzie. Jeszcze raz będę musiał krzyczeć więcej niż raz, to przywiążę cię do nogi łóżka.

– To się już więcej nie powtórzy. – Uczony spuścił wzrok.

– Doskonale wiem, że to się nie powtórzy. – Rzucił w niego trzymaną w ręku kością. – Jesteś zbyt tchórzliwym ścierwem, by mi się przeciwstawić.

– W jakim celu wasza miłość mnie wezwał? – ośmielił się wreszcie zapytać.

– No właśnie. – Kunglin wyciągnął ku niemu tłustą rękę z pogniecionym listem. – Powiedz mi, czy coś w tym liście jest nie tak, jak powinno być.

– Napisaliśmy go razem, więc wydaje mi się...

– Tutaj trzeba mieć pewność! – wrzasnął. – Ile może iść list do Aneti i z powrotem?!

– Trudno oszacować dokładnie... – Rozłożył ręce. – Ptak mógł zbłądzić, mogło mu się coś stać, ktoś mógł go przechwycić... Około tygodnia w jedną stronę – odparł niepewnie.

– To odpowiedź powinna już tutaj być, nie sądzisz? – Patrzył na niego złowrogo.

– Jeśli w ogóle odesłano odpowiedź...

– No właśnie! Może w ogóle nie wysłali odpowiedzi! I co my wtedy zrobimy?

– Trzeba będzie poczekać na rozwój wypadków, tak jak radził Keler...

– Keler, Keler... – Westchnął. – Ten stary pies nie może mi mówić, co mam robić. Czytaj ten list. Może coś napisałeś źle.

– Dobrze, wasza miłość. – Znał ten list na pamięć, ale zaczął czytać raz jeszcze.

- Co o tym myślisz, uczony? – zapytał z przekąsem po dłuższej chwili.
- Uważam, że list wprost pokazuje nasze intencje i pozostaje czekać na odpowiedź króla Hexa – odpowiedział, ostrożnie dobierając słowa.
- To idź i czekaj. – Król machnął dłonią. – Tylko masz czekać gdzieś w pobliżu, cwaniaczku, bo jeśli nie, to obydwaj wiemy, co się stanie.
- Tak jest, wasza miłość. – Mytel skłonił się. – Będę tuż obok.
- Dzisiaj taki dzień, że nawet nie ma, co robić. – Karczmarka Uma przecierała blat. – Tych trzech gości na krzyż to sama mogę obsłużyć. Idź sobie, dziecko, do swoich zajęć.
- Ach, pani Umo... – Westchnęła ciężko, siedząc na beczce za barem. – Odkąd pan Dever wyjechał do Akademii, moje treningi są zupełnie nudne. Biegam, skaczę, ćwiczę uniki, wyrabiam rękę, jak to pan Dever mówi, ale to nie to samo co walka z nim.
- Przynajmniej nie masz tylu siniaków! – Zaśmiała się. – Handlarze na targu pytali mnie ostatnio, czy muszę cię bić, żeby cię przymusić do pracy, boś taka poraniona.
- Pan Dever mówił, że najlepiej się człowiek uczy, jak popełni błąd. – Skubała płamę na brązowych spodniach. – Jak trzy razy dostanę przez to, że źle trzymam gardę, to za czwartym razem będę ją trzymała tak jak trzeba.
- Prawda to. – Gruba karczmarka uśmiechnęła się do niej serdecznie. – W życiu też najlepiej się można wyuczyć na porażkach, ale to trudna droga i nie dla każdego, bo żeby coś z tego było, to trzeba myśleć! – Podniosła palec wskazujący. – Ty wiesz, że żeby nie bolało, trzeba podnieść gardę, ale nie każdy w życiu wie, że żeby było lepiej, to musi przestać powtarzać ten sam błąd. Tak było z moim ojcem, który powtarzał, że potrzebuje syna do prowadzenia karczmy, a okazało się, że córka też się nada – zakończyła z rubasznym śmiechem.
- Któryś z gwardzistów nie mówił może, kiedy król ma zamiar wrócić z Akademii? – zmieniała temat dziewczyna.
- Nic nie słyszałam, Rigo. – Kobieta położyła pulchną dłoń na jej ramieniu. – Ciemnawo już się zrobiło. Idź poćwicz, by pan Dever nie był zły, jak już wróci.
- Ma pani rację. – Zeskoczyła z beczki. – Przed wyjazdem powiedział mi, co i jak mam ćwiczyć. Gdyby się zeszło więcej gości, to proszę mnie zawołać!
- Dobrze, dziecko, biegnij. – Machnęła ścierką, którą trzymała w rękach.

Riga w biegu złapała miecz wiszący przy drzwiach prowadzących na tył karczmy i wyskoczyła w półmrok. Słońce już zaszło, a podwórko oświetlała jedynie jedna pochodnia i światło wypadające przez drzwi. Wyciągnęła miecz z pochwy, chwyciła go z pietyzmem i ustawiła się w odpowiedniej pozycji. Zaczęła od młynków nadgarstkiem symulujących pa-rowanie lekkich, krótkich ataków. Przesuwała się przy tym po piasku z gracją i delikatnością. Potem przyszedł czas na obszernie ataki z doskoku. Miecz świstał w powietrzu, przecinając je ze sporą siłą. Szybkie susy, które przy tym wykonywała, wyglądały niemal idealnie.

Kiedy poczuła głęboko w płucach chłodne jesienne powietrze, z uśmiechem na twarzy przeszła do najtrudniejszego dla niej ruchu. Przeskoki z cięciem od dołu od początku sprawiały jej najwięcej problemów. Nie umiała tak zgrać ruchu ręki z wyskokiem, by zgrabnie wylądować i w razie czego sparować kontratak. Spróbowała wyskoczyć z cięciem, ale przy lądowaniu potknęła się i wpadła kolanem w błoto.

– Patrzcie, jaki rycerz. – Usłyszała za sobą salwy śmiechu. – To błotny wojownik!

– Strzeżcie się, panowie. Posiecze nas na drobno!

Podniosła się powoli.

– Patrzcie, panowie, strój ma męski, ale widać, że to białogłowa. – Wysoki i szczupły młody mężczyzna wysunął się na przód.

Zaraz za nim kroczyło dwóch innych, równie młodych i dobrze ubranych. Na sobie mieli długie, bogato zdobione płaszcze, a przy pasach ozdobne pochwy sięgające skórzanych, wysokich butów.

– Wejście do karczmy jest z drugiej strony – odpowiedziała, wstając z kolan.

– A myśmy, panienko, nie przyszli do karczmy. – Najwyższy z nich zbliżał się powoli do Rigi.

– Słyszeliśmy za to, że jest tutaj dziewczyna, która chce zostać rycerzem. A takie dziwy obejrzeć to oczywista sprawa.

– W końcu to niepodobna, by ktoś, kto nie ma pojęcia o cnotach, honorze i walce, wygadywał o takich fanaberiach – dodał niższy, ale równie szczupły brunet.

– Zapomniałeś, Unirze, o tym, że to ktoś bez pochodzenia – dorzucił trzeci. – To już szczyt!

– Odejdźcie stąd. – Rozejrzała się nerwowo. – Nie chcę kłopotów.

– Nie chce kłopotów, a za rycerza się podaje. – Zaśmiał się najwyższy. – Panowie, myślę, że jako giermkowie musimy obronić honor naszych mistrzów, którzy przez lata pracowali na swoją renomę i dobre imię. Nie możemy pozwolić, żeby dziewczka rodzona w chlewiku stawiała równo z nimi.

– Prawdę mówisz, Teonie. – Zaczęli ją otaczać. – Wypadałoby ją słusznie ukarać.

– Ale zobaczcie, panowie, jakąż to okazję mamy. – Ohydnie uśmiechnął się chłopak zwany Unirem. – Możemy jednocześnie dziewczkę ukarać za to, że chciała wstąpić do stanu rycerskiego z łajnem na butach, dać jej porządną lekcję szermierki, a na koniec nauczyć, jak być kobietą.

– Doskonała myśl! – Klasnął w dłonie Teon. – Takie wiejskie dziewczki karczemne muszą poznać swoje miejsce. Im szybciej, tym lepiej, a jak się ją porządnie wychędoży, to jej z głowy wylecą takie pomysły.

– Odejdźcie stąd! – Ścisnęła mocniej broń. – Nie chcę z wami walczyć!

– Walczyć z nami? – zdziwił się najwyższy. – Walczyć to mogą mężczyźni, dziewczko. Ty nam sprawisz przyjemność.

Cała trójka niemal jednocześnie dobyła mieczy. Klingi błysnęły w słabym świetle pochodni. Riga, trzymając swój miecz, weszła w środek trójkąta stworzonego przez napastników. Dever uczył ją, by w takich sytuacjach nie czekać na atak, ale nie mogła się przełamać. Strach przytwierdził jej stopy do podłoża. Słyszała szum własnej krwi w uszach, a serce tłukło się w piersi. Z jednej strony chciała krzyknąć i uciec do karczmy, ale z drugiej nie chciała po sobie pokazać słabości.

Myślenie wyłączyło jej się w chwili, gdy najwyższy z napastników zaatakował jako pierwszy. Próbował uderzyć długim pchnięciem, wykorzystując swój wzrost. Treningi z Deverem nauczyły ją walczyć przeciwko większym od siebie. Odsunęła się na lewo, przepuszczając miecz, uderzyła go od góry, wbijając w ziemię, a następne cięła od dołu. Nie zastanawiała się, czy trafiła, bo musiała już parować atak jego kompanów. Uderzyli jednocześnie, ale i przed tym ostrzegł ją nauczyciel. Często brał dwa miecze i symulował takie ataki. Jednym blokiem udało jej się powstrzymać dwa uderzenia, potem wywinęła się piwotem i cięła gdzieś w okolicach kolana jednego z nich. Nie trafiła dobrze, ale siła uderzenia sprawiła, że chłopak przyklęknął. Drugi próbował szarży, ale znająca to podwórko bardzo dobrze Riga szurnęła nogą, wzbijając w górę popiół. Unir złapał się za twarz i zaklął szpetnie.



– Stać! – Głośny krzyk rozległ się na podwórzu. – Rzucić broń!

Dziewczyna oddychała ciężko i nie docierały do niej polecenia wydawane przez stojącego w progu karczmy gwardzistę. Dopiero kiedy wybiegli kolejni żołnierze z pochodniami, zobaczyła, co się dzieje. Teon leżał w piasku, który zdążył już przybrać kolor cieknącej z jego głowy krwi. Unir trzymał się za twarz obiema dłońmi, a trzeci z napastników zwijał się z powodu bólu kolana. Nie widziała krwi na jego dłoniach, ale krzyczał tak głośno, jakby co najmniej tę nogę mu obcięła.

– Wyrzuć miecz, dziewczyno! – krzyknął ubrany w strój królewskiej gwardii potężny mężczyzna.

Posłuchała go i odrzuciła broń na piasek. Dłonie drżały jej tak, że chciała schować je do kieszeni. Na niewielkim podwórzu za karczmą stłoczyło się już kilkanaście osób, w tym karczmarka Uma, która z wielce zatroskaną miną patrzyła raz na Rigę, raz na chłopca leżącego w błocie.

– Pomóżcie mi, Deirze! – zwrócił się jeden gwardzista do drugiego. – Zobacz, co z jego nogą! Ja sprawdzę co z tamtym... Fenirze, zajmij się dziewczką!

## Rozdział XXXII

Deszcz bębnił o drewniane ściany dworu w Aneti, gdzie od dawna nie widziano słońca. Jesień rozpędziła się na dobre, rozmiękczejąc drogi niemal całego kraju. Liście spadały z drzew, lądując w błotnych kałużach, a chłód i wilgoć wciskały się w kąty domostw.

Hex siedział na łóżku, wpatrując się w otwarte okno, a szum kropli deszczu wypełniał całą jego komnatę. Nie podziwiał jednak pogody, ale przemierzał myślą zjednoczone przez siebie tereny w poszukiwaniu słabych ogniw. Każdy, kto choć przez chwilę pomyślał o powrocie do stanu sprzed powstania imperium, o oddaniu czci dawnym bóstwom czy próbie odzyskania niezależności, tracił życie w brutalny sposób. Każda taka podróż Hexa była krótsza i mniej krwawa. Świadkowie tortur i zgonów tracili jakiegokolwiek chęci na spiskowanie, widząc, jak ich towarzysz błaga o śmierć, niemal rozrywając sobie czaszkę.

Jego podróż została przerwana przez Juvę, która weszła do komnaty bez pukania.

– Wezwałś Minu? – zapytała od drzwi.

– Tak – odparł Hex, nie odwracając wzroku od okna. – Przybyła tutaj, by wykonywać obowiązki generała mojej armii.

– Co? – Oparła ręce na biodrach.

– Armia, która zjednoczy świat, potrzebuje więcej niż jednego generała, a Minu doskonale się do tego nadaje. Nir jest człowiekiem znającym się na strategii wojennej, doświadczonym, inteligentnym, ale brakuje mu agresji i brawury niezbędnej do wykonania mojego planu – mówił chłodno.

– Przecież ona jest z Azu! – zaprotestowała. – Ona potrafi walczyć, ale nie nadaje się na dowódcę!

– Jest agresywna, niecierpliwa i rwie się do walki...

– No właśnie! – przerwała mu. – Dlatego nie nadaje się na dowódcę! Nikt tak bardzo się nie nadaje jak ona!

– Ma trzy cechy, które robią z niej idealnego generała, kapłanko. – Nawet jeden mięsień na jego twarzy się nie poruszył.

– Niby jakie?!

– Jest oddana, honorowa i ma niesłychany posłuch wśród żołnierzy.

– A skąd o tym wiesz? – dopiero gdy zadała pytanie, zdała sobie sprawę, że zna odpowiedź.

– Obserwowałem ją – odpowiedział. – Od kiedy przejęła władzę w Azu. Podporządkowała sobie wszystkie plemiona. Wojowników, którzy mieli coś przeciwko, pozbawiła głów. Reszta pójdzie za nią w ogień. Żołnierze z pozostałych krajów robią to samo.

– Jesteś o tym przekonany? – Złagodniała nieco. – Ostatnio w ogóle nie mówisz nam o tym, co planujesz.

– Wraz z rozwojem imperium pozostaje mi coraz mniej czasu na przyziemne sprawy. – Przymknął powieki. – Muszę dopilnować mobilizacji...

– Czego znowu?! – krzyknęła.

– Imperialna armia rozpoczyna przygotowania do wymarszu na zachód. Stanie się to jak najszybciej...

– Jesienią? Zimą? – Rozłożyła ręce. – Czy ty zapomniałeś wszystkiego, czego uczyłeś się po drodze?!

– Nie zapomniałem – mówił. – Jednak, kapłanko, czasem trzeba wyjść poza ramy tego, co już było. Nawet jeśli jest to sprawdzone. Mimo ogromnej siły, jaką dysponujemy, trzeba też doprowadzić do tego, by przeciwnik został zaskoczony. Mając otwartą drogę przez Barbas i zadeklarowane wsparcie, będziemy mogli zupełnie zniemacka stanąć na granicy zachodniego świata.

– Nikt jeszcze nie atakował zimą, ale... – Zamyśliła się na chwilę, gniotąc w dłoniach kawałek papieru. – Hex, proszę cię, musisz zacząć uczestniczyć w naszych spotkaniach. Brakuje nam twoich wskazówek...

– Postaram się, ale najpierw muszę rozwiązać inny problem. – Zmrużył nieco oczy. – Póki co będą w nich uczestniczyć Minu i Nir. Zaplanujcie, jak najlepiej zorganizować zbiórkę całej armii i jej przemarsz przez Barbas, tak by zahaczyć o Phedas, a jednocześnie zachować element zaskoczenia.

– Dobrze... – odparła mechanicznie. – Przyszedł do ciebie list z zachodu. Chcesz przeczytać?

– To ciekawe. – Wziął od niej zwitek. – Nie wysyłałaś jeszcze naszych ksiąg na zachód, prawda, kapłanko?

– Nie, są dopiero w Barbasie...

– Dobrze, sprawdzę to później. – Rozwinął kartkę i zaczął czytać bezgłośnie. – Czytałaś to?

– Tak. – Kiwnęła głową. – Bardziej służalczego listu chyba nie widziałam na oczy.

– Uważasz, że to oficjalne pismo, a nie jakiś podstęp?

– Nawet ksiązę Pandey potwierdził, że to pismo służącego króla Bernsternu, uczonego, jak ich nazywają. – Wskazała na kartkę. – Mówił też, że ten Kunglin próbował już wcześniej zawiązać sojusze na wschodzie. Dlatego uważam, że nie powinniśmy wchodzić w sojusze z takimi władcami, zresztą...

– Odpowiemy na ten list – przerwał jej. – Napisz, że dziękujemy za wiadomość, że niezwykle doceniamy ten gest i dziękujemy za propozycję. Będziemy mieć ją w pamięci, natomiast nasze spotkanie będzie musiało poczekać ze względu na zbliżającą się zimą. Latem wrócimy do tematu.

Kapłanki nie żałowały świec na oświetlenie komnaty, w której zebrały się wszystkie, by omówić sprawy zlecone im przez Hexa. Towarzyszyli im generał Nir Nait i Minu, przywódczyni plemion Azu. Na stole rozłożono wielką mapę, na której stały kolorowe klocki symbolizujące poszczególne części wielkiej armii. Zasepiony generał wpatrywał się w zamalowaną cielecą skórę z rękami założonymi na piersi.

– Zatem imperator oczekuje, że wymyślimy, w jaki sposób zebrać te wszystkie kolorowe klocki do kupy. – Nir rozłożył dłonie. – W drugim kroku musimy tę armię przeprowadzić tak, by zahaczyła o świątynię, równając ją z ziemią. Armię z Tolimuraj i Yelayinu mamy w całości na miejscu. – Stukał palcem w klocki w okolicach chorągiewki z napisem Aneti. – Wojsko Azu jest tutaj również... W całości?

– Tak – potwierdziła Minu, patrząc na niego z groźną miną.

– Zaskakujące... – Westchnął. – Czekamy zatem tylko na armię Ujary, Gotrayi i Jaramu. Czy imperator mówił, kiedy przybędą tamte armie?

– Nie – odparła Juvu. – Mówił tylko tyle, że są w trakcie mobilizacji.

– Ale jest przekonany, by atakować jesienią? – zapytał, licząc na zaprzeczenie.

– Tak, tego elementu planu jest pewny. – Juvu pokiwała głową z grymasem na ustach. – Twierdzi, że mimo ogromnej przewagi naszej armii należy również wykorzystać możliwość zaskoczenia przeciwnika.

– Z jednej strony rozsądne jest, by wykorzystywać każdą przewagę, ale z drugiej... – Generał oparł się o stół. – Późna jesień i zima na zachodzie są bardzo groźne. Śnieg zasypie nasze obozy. Mróz będzie zabijał naszych ludzi...

– Nie ma na co czekać – odezwała się Minu. – Tę wielką armię utrzymać w ryzach łatwo nie jest. Atakując szybko, skończymy szybko.

– Ona ma rację. – Juvu wstała z krzesła. – Skoro Hex chce atakować teraz, to znaczy, że tak wybrała Sag Bas, i my nie możemy tego podważać. Mamy tutaj dzisiaj ustalić, gdzie zebrać armię i jak ją dalej poprowadzić. Tylko to nas powinno interesować, generale.

– Przepraszam. – Spuścił wzrok. – Ile obecnie mamy żołnierzy?

– Z Azu przyszło cztery kupu. – Pokazała na palcach Minu.

– Czyli cztery tysiące – wyjaśniła Ahga.

– Yelayińczycy stawili się w grupie ośmiu tysięcy, z Tolimurai nadciągnęli wszyscy gotowi do walki, czyli dwanaście tysięcy – wymieniła Juvu. – Ujara jest najlepiej zaludniona w tym rejonie, więc liczymy, że będzie mogła nas wesprzeć około dwudziestoma tysiącami. – Kapłanka wyliczała na palcach. – Gotraya to kolejne dziesięć tysięcy. Łucznicy konni z Jaramu to będzie jakieś dwadzieścia tysięcy. Łącznie możemy liczyć na mniej więcej osiemdziesiąt, może dziewięćdziesiąt tysięcy.

– To ogromna armia. – Nir pokiwał głową z uznaniem. – No i mamy też obiecanie wsparcie z Barbasu...

– Pand... To znaczy Książę Pandey mówił, że Barbas ma pięć tysięcy doborowych żołnierzy i może powołać pod broń około czterdziestu tysięcy mężczyzn – odpowiedziała Mossa, jej policzki zaróżowiły się.

– To oznacza około stu trzydziestu tysięcy żołnierzy. – Generał przesunął dłońmi wszystkie klocki w jedno miejsce. – Nikt nigdy nie dowodził taką armią.

– Musimy wybrać dla niej odpowiednie miejsce... – Wszyscy przyglądali się mapie, Iv wskazała palcem twierdzę Porveget. – Może tutaj.

– To już Barbas, poza tym nasza armia miałaby daleko do świątyni... – Juvu westchnęła.

– Wiem! – Nir okazał niespotykany entuzjazm. – Zbierzmy się tutaj. Po tej stronie rzeki Pahad, obok Puchy i Kshetas. Będziemy chronieni od południa przez Nieprzebyte Góry. Jest tam też stara twierdza, w której moglibyśmy zrobić punkt dowodzenia. Z północnych prowincji będzie tam dość daleko, ale będzie można ich tam przetransportować łodziami, rzeką!

Tak samo będzie można zrobić z zapasami. Wszystko można zwozić na miejsce barkami. Pahad ma leniwy nurt, nawet po obfitych opadach, więc płynięcie pod prąd nie powinno być problemem.

– Dobrze, dobrze. – Minu popatrzyła na mapę. – Dobrze punkt. Świątynia blisko i Barbas.

– Moim zdaniem to chyba jedyne sensowne rozwiązanie. – Juvy odsunęła klocki, by lepiej przyjrzeć się temu miejscu. – Mimo że przebiega tędy granica z Barbasem, to nie jest to pustynia, więc noce zimą nie sprawią nam kłopotów. Rzeka powinna być wybawieniem przy dostawach. Powiem Hexowi, by rozkazał Ujarczykom wycinkę drzew w Azu, tuż przy rzece, spławią do nas te pnie...

– Minu pozwala. – Szturchnęła ją Azuanka. – Ale tylko przy granicy!

– Ile będzie trzeba – odparła stanowczo kapłanka. – Hex ci to wyjaśni, jeśli będziesz miała wątpliwości.

– Kapłanko. – Napięcie między kobietami przerwał generał Nir. – Czy mogę cię prosić, byś przekazała imperatorowi nasze ustalenia?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się do niego. – Zrobię to jutro rano. Zobaczcie... Mamy już środek nocy, nie będę teraz przeszkadzać Hexowi.

– Został do omówienia jeszcze plan ataku na świątynię – przypomniał Nir.

– Myślę, że wszyscy zgodzimy się, by przełożyć to na kolejny wieczór. – Juvy rozejrzała się i zobaczyła aprobatę. – Na dziś wystarczy, dobrej nocy wszystkim.

Głośny huk obudził kapłanki. Wyrwane ze snu kobiety wybiegły ze swoich sypialni na korytarz, gdzie zorientowały się, że hałasy dobiegają z komnaty Hexa. Zdezorientowane nie wiedziały, co się dzieje i co mają zrobić. Juvy pierwsza otrząsnęła się z szoku i pobiegła do komnaty. Otworzyła drzwi i w słabym świetle lampy zobaczyła Hexa roztrzaskującego meble.

– Co tu się dzieje? – zapytała, za jej plecami zebrała się reszta mieszkańców willi w Aneti.

– Wejdz. – Spojrzał na zebranych, trzymając w dłoniach potrząskane deski. – Reszta nie.

– Zostawcie nas – zwróciła się do reszty, zamykając za sobą drzwi. – Co się dzieje, chłopcze?

– Myślałem nad tym, od kiedy strażnicy go zobaczyli... – mówił, bezmyślnie wyłamując drzazgi i patrząc w dal. – Próbowałem wielokrotnie,

przez całą podróż... Jak dotarł do Aneti, próbowałem co chwila, ale nie mogę... Coś blokuje moje myśli i nie mogę wejść do jego głowy.

– O kim mówisz? – Juvi wyjęła mu z dłoni deskę.

– Mówię o księciu Pandeyu. – Spojrzał jej w oczy. – Ten człowiek potrafi zablokować moje myśli. Nie mam dostępu do jego umysłu, nie miałem nawet przez chwilę...

– To... to niemożliwe, przecież... Potrafiłeś wejść do głowy tysiącom ludzi jednocześnie, a tutaj jeden, i to niezbyt rozgarnięty... – Pokręciła głową.

– Próbowałem wszystkiego... – Hex zacisnął pięści, a stalowe linie zatańczyły na nabrzmiąłych mięśniach.

– Nie możemy się załamywać. – Pogładziła go po barkach. – Zaraz zwołam wszystkie kapłanki i przejrzymy księgi w poszukiwaniu odpowiedzi. Musi się w nich znaleźć coś, co wytłumaczy takie anomalie. A jeśli nie znajdziemy nic tutaj, to wyślemy którąś do świątyni, by zbadała te pozostawione tam. Już idę im powiedzieć...

– Czeka! – Złapał ją za nadgarstek. – To nie wszystko...

– Tak właśnie myślałam. – Wskazała zniszczone meble.

– Wydaje mi się, że mogę tracić swoją moc. – Uderzył pięścią w ścianę. – Od kiedy Mossa najczęściej zajmuje się Pandeyem, straciłem kontakt też z nią...

– Co!?! – krzyknęła. – Czyli on może wpływać też na innych?! Koniecznie muszę o tym powiedzieć reszcie. – Ruszyła do drzwi. – Sprawdzimy każdą księgę. Gdzieś musi znajdować się odpowiedź.

– Niech tak będzie. – Stał przy oknie. – Będę wam towarzyszył, ale muszę załatwić jeszcze jedną rzecz.

– Oczywiście. – Wyszła pospiesznie i już na korytarzu spotkała grupę kapłanek.

– Co się stało? – pytały jedna przez drugą.

– Mamy ważne zadanie. – Uspokoila je gestem. – Musimy przejrzeć wszystkie księgi w poszukiwaniu istotnej informacji.

– To nie będzie śniadania? – zapytała Mossa.

– Będzie – odparła Juvi. – Ty się tym zajmiesz, a zaraz potem zajmiesz się naszym sojusznikiem. Musisz przypilnować go na tyle, by nie pojawił się w komnacie, w której będziemy pracować.

– Dlaczego? – Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Ponieważ księgi Sag Bas są dostępne osobom wtajemniczonym. – Juvii spojrzała na nią stanowczo. – Pozostali mają dostęp do księgi nauczania. I tyle!

– No dobrze – odpowiedziała Mossa, zakręciła się na pięcie i odeszła.

– A my idziemy do sali bibliotecznej i bierzemy się za szukanie. – Juvii przecisnęła się przez korytarz i ruszyła przodem. – Nie ma czasu!

– Powiesz nam, o co chodzi? – zapytała Iv, niemal podbiegając do niej.

– Wszystko opowiem za chwilę – burknęła. – Właźcie!

– Jesteśmy. – Tia zamknęła drzwi. – Powiesz nam teraz?

– Siadajcie. – Juvii wskazała krzesła stojące przy niewielkim stoliku na środku pokoju bibliotecznego. – W księgach, które zostały przywiezione tutaj ze świątyni, musimy znaleźć jakiegokolwiek informacje o tym, co może wpływać na osłabienie mocy Sag Bas, co może ją blokować i czy istnieje cokolwiek, co może stanowić ochronę przed... kontrolą umysłu.

– Jesteś zdenerwowana – stwierdziła Iv. – Musimy wiedzieć, co się dzieje!

– Hex nie może wślizgnąć się do umysłu Pandeya. – Westchnęła ciężko. – A ostatnio stracił też kontakt z Mossą i chcemy się dowiedzieć, co to spowodowało...

– To niemożliwe! – W pokoju zawrzało.

– Cisza! – uspokoiła je. – Nie ma teraz znaczenia, czy to możliwe, czy nie. Trzeba znaleźć przyczynę i rozwiązanie tego problemu i to jest nasze zadanie. Musimy to zrobić jak najszybciej.

– Jakie wieści? – zapytał Hex, wchodząc do komnaty po kilku dobrych godzinach.

– Żadnych... – Pokręciła głową zrezygnowana Juvii. – Prawie wszystkie księgi, które zabraliśmy ze świątyni, przeczytałyśmy dokładnie, ale nie udało się znaleźć choćby tropu. Wspominając o mocy wybrańca i wpływie Sag Bas, nie mówią o niczym przeciwstawnym.

– Rozumiem. – Był dużo spokojniejszy niż rano. – Mossa jest z Pandeyem?

– Tak – potwierdziła. – Wysłałam ich razem ze względów bezpieczeństwa.

– To bardzo dobra decyzja. – Odwrócił się. – Szukajcie dalej i informujcie mnie na bieżąco, z wami mam jeszcze kontakt. Ja wybiorę się na spacer z tamtą dwójką.



– Och! – Mossa podskoczyła, przechodząc obok biblioteki i prawie wpadając na Hexa.

– Szukałem cię – powiedział spokojnie.

– Zajmuję się Pandeyem, tak jak kazała Juvi – wytłumaczyła się.

– To dobrze, bo Pandeya też szukam. – Położył dłoń na jej ramieniu. – Pójdziemy razem na spacer. Chcę mu coś pokazać, a ty możesz nam towarzyszyć.

– Ale pada... – Dziewczyna skrzywiła się.

– Nie szkodzi – skwitował. – Pandeyu! Załóż płaszcz i chodźmy na spacer.

– Na spacer? – Książę Barbasu wychylił się przez drzwi. – Nie odmówię imperatorowi, ale w taką pogodę...

Wyszli na zewnątrz, gdzie poza odgłosami deszczu tłukącego o namioty i ziemię rozchodziły się głosy kupców, karczmarzy, rzemieślników i żołnierzy, którzy ściągali do Aneti na polecenie Hexa i wspólnie dbali o to, by jak najlepiej przygotować całą armię do wymarszu na zachód. Rzęsisty deszcz szybko sprawił, że strój Mossy przykleił się do jej ciała, ukazując wszystkie jego atrybuty. Pandey, ubrany w zapinany płaszcz z bursztynowymi guzikami, nie mógł się powstrzymać przed spoglądaniem na wdzięki dziewczyny. Jej ciemne sutki zeszywniały od temperatury i odznaczały się na mokrym materiale kapłańskiej szaty. Hex milczał, przechadzając się wraz z nimi uliczkami, które potworzyły się samoistnie między namiotami. Zauważył jednak, w jaki sposób Pandey zerka na dziewczynę.

– Zabrałem cię tutaj, książę, byś zobaczył, na czym polega w praktyce to, o czym Sag Bas mówi. – Hex wskazał namioty szerokim gestem. – Ci ludzie przyjechali tutaj, by wspomóc armię mającą doprowadzić do rozkwitu ich świat. Sam zresztą tego doświadczyłeś. Płatnerz wykonał dla ciebie zbroję zupełnie za darmo. Również za darmo dostałeś konia bojowego i miecz. Oni nie zrobili tego, dlatego że jesteś księciem, czy dlatego, że ja im kazałem. Każdy, kto przyjedzie tutaj, by stanąć do walki w imieniu Sag Bas, otrzyma wyposażenie, bez względu na to, kim jest i ile ma pieniędzy. Świat według Sag Bas to świat, gdzie każdy jest równo traktowany.

– Zauważyłem, wasza miłość – potwierdził Pandey nieco nerwowo. – Dzięki temu armia będzie w stanie lepiej przygotować się do...

– Nie mamy jednak czasu, by przygotować armię w całości – przerwał mu, jakby nie zwracając uwagi na to, co powiedział. – Dlatego gdy

wszystkie oddziały będą już gotowe do wymarszu, nie będziemy tracić choćby godziny. Zbierzemy się w terenie do tego najlepszemu, zgromadzimy zapasy, a potem ruszymy przez Barbas w stronę świątyni w Phedas.

– Świątyni? – Książę zdziwił się.

– Oczywiście. – Delikatny uśmiech przeszedł przez zamysłoną twarz Hexa. – Sag Bas jest jedyną właściwą religią, więc przy okazji pozbedziemy się gniazda tego plugastwa zwanego Ret.

– Ale czy to nie będzie wykroczenie przeciwko sojuszowi? – zadał nieśmiałe pytanie.

– Och nie, nic z tych rzeczy. – Hex przepuścił chłopca biegnącego z naręczem owoców nitti. – Warunkiem Barbasu było pozostanie niezależnym państwem, nie wspominałeś nic o utrzymaniu innej religii, więc nie złamię danego słowa, niszcząc tamtą świątynię.

– No... tak... – Pandey poczuł dreszcz w dole kręgosłupa.

– Ustalimy, że cała armia Barbasu będzie na nas czekała gdzieś po drodze, żeby żołnierze bez potrzeby nie musieli podróżować w tę i z powrotem – kontynuował spokojnym, mentorskim tonem. – Ale do planowania ataku przyjdzie jeszcze czas. Dopiero wyznaczono miejsce zbiórki. Na plan natarcia trzeba będzie kilka dni poczekać...

– Jak to? – wtrąciła się Mossa. – Juvy zdążyła ci opowiedzieć o ustaleniach?

– Nie musiała. – Objął ją po ojcowsku, choć nie był wiele starszy. – Byłem z wami przez całą naradę.

– No tak... – Klepnęła się w czoło ze szczerym, głośnym śmiechem. – Zdarza mi się o tym zapomnieć.

– Ach, Pandeyu! – Puścił dziewczynę i złapał księcia za przedramię. – Serdecznie przepraszam, że nie poinformowałem cię o tym wcześniej, ale miałem trochę na głowie i zupełnie mi to umknęło.

– O czym wasza miłość mówi? – Pandey czuł, że dłonie mu drżą coraz mocniej.

– Ujara, która wcześniej była zależna od twojego ojca, jest już całkowicie pod kontrolą Sag Bas. – Hex puścił go. – Nauczanie Sag Bas przebiega bez najmniejszych problemów. Wszyscy czerwoni kapłani w kraju wiszą gdzieś na gościńcach, a armia za kilka dni będzie gotowa do wymarszu. Cały kraj cieszy się z tego.

– Czyli książę Vis wywiązuje się z roli namiestnika? – Pandey nie mógł też utrzymać głosu na wodzy.

– Od tego powinienem zacząć. – Hex spuścił wzrok. – Vis nie żyje. Musiałem zabić go w bardzo brutalny sposób, bo wykryłem w jego umyśle myśli o zdradzie. Dlatego kazałem jego krwi wylać się przez oczy na zewnątrz, ale bardzo powoli. Łamał sobie również kości, nim stracił życie. Trzeba było pokazać pozostałym, jaka kara może spotkać zdrajców. Taki mam już zwyczaj, Pandeyu, że co jakiś czas przechadzam się po umysłach mieszkańców imperium i sprawdzam, czy pozostałości dawnych czasów nie namąciły im w głowach.

– Rozumiem... – odpowiedział Pandey, przytrzymując jedną dłoń drugą, by ukryć ich drżenie.

– Nie przejmuj się. Takich ludzi nie szkoda. A właśnie... – Hex wskazał na jego dłoń. – Miałem zapytać, co to za pomarańczowe kamienie, które zdobią twoje dłonie i bardzo często są elementem stroju.

– Ach, to... – Pandey chciał schować dłonie, ale powstrzymał się. – To bursztyn. Wydobywany z morza kamień. Podobno to jakaś pradawna żywica, która zamieniła się w kamień. Bardzo mi się spodobał kiedyś i tak już zostało. Czasem można w środku znaleźć jakieś małe zwierzęta, jakby uwięzione na wieki. – Pokazał Hexowi żuka zatopionego w jednym z pierścieni.

– To niezwykle, że nie nosisz diamentów czy szmaragdów, ale żywicę, choć piękną, to jednak tylko żywicę...

– Przez politykę Kunglina jest niemal droższa niż diamenty. – Pandey uśmiechnął się do kapłanki.

– Zaskakujące. – Hex kątem oka zauważył, jak dziewczyna chowa za plecami dłoń, na której znajduje się pierścień z tego samego materiału. – Ma jakieś znaczenie?

– Dla mnie tylko ozdobne, ale ojciec opowiadał, że to jedyny kamień, który żyje i nie żyje jednocześnie. – Rozłożył ręce. – Nie wiem, co miał na myśli.

– Wracajmy. – Oblicze Hexa zmieniło się w mgnieniu oka. – Muszę się zająć czymś ważnym.

– Jak sobie życzysz, imperatorze. – Pandey odetchnął z ulgą, słysząc, że nie będzie musiał dłużej przebywać w pobliżu tego olbrzyma.

– Szukajcie czegokolwiek, co ma związek z bursztynem – zwrócił się w myślach do kapłanek w bibliotece. – Zaraz do was dołączę!

## Rozdział XXXIII

Schodząc biegnącą przez środek wieży okrągłą klatką schodową, mijali kolejne piętra, na których roilo się od regałów z księgami. Uczniowie w szatach z kapturami i uczniowie mijali go, skromnie pozdrawiając skinieniem głowy. W bibliotece Akademii musiała panować absolutna cisza, więc kroki stawiane na marmurowych schodach niosły się echem po całym budynku. Przyspieszył kroku, aż wreszcie znalazł się na najniższym poziomie podziemi. To tam uczniowie znieśli wszystkie księgi, które mogłyby się przydać w poszukiwaniu wiedzy o Sag Bas, i w towarzystwie Tidura Dealina i Devera Monerweha ślęczeli nad nimi.

Kastil wszedł między stoliki oświetlone lampami smolnymi, które dawały sporo światła, ale też niemiłosiernie dymyły. Kilkudziesięciu uczonych i uczniów wertowało strony starych ksiąg. Rozejrzył się i zauważył swoich kompanów siedzących niedaleko.

– Znaleźliście coś? – zapytał, podchodząc.

– Nic. – Tidur westchnął. – Przeglądają książki według jakiegoś klucza, który rektor ustalił z Iskelem, ale nic im to nie dało.

– A co to za klucz poszukiwań? – Król przysunął sobie krzesło.

– Zaczęli od przeczesania katalogów – odpowiedział Dever. – Mają tam spisane wszystkie księgi, zwoje, tablice i mapy znajdujące się w Akademii. Wyszukali i znieśli tutaj wszystkie tomy, w których były jakiegokolwiek historyczne i religijne informacje. Telsel kazał im sprawdzać również książki zawierające ludowe legendy.

– Taaak. – Tidur przeciągnął się. – Potem zebrali się tutaj różni uczniowie i w towarzystwie swoich podopiecznych przeglądali księgi. Porozdawano je tym, którzy znają dane języki, dlatego nam dali niby napisane po erskińsku, ale jest to tak stara gwara, że trudno coś zrozumieć. Zresztą zobacz sobie sam.

– Dawniejszymi czasy, kiedy jeszcze Erskin państwem jednoczonym nie był – czytał powoli, mrużąc oczy – bóstwa, wody poskapiwszy, suszami

groźnemi postraszyli. Lud ciemny bojaźń poczuł trwożną, a bóstwa ubłagać i łaskiś dostąpić chcieli... Rzeczywiście trzeba się napocić, żeby to zrozumieć.

– O tym właśnie mówiłem. – Tidur zabrał mu księgę. – Ale gdyby było tutaj cokolwiek o jakiejś wschodniej religii czy czymkolwiek ciekawszym od suszy setki lat temu, to bym to zauważył.

– W porządku. – Kastil potarł oczy. – Nie mogę mieć pretensji... Widzę, ilu ludzi przy tym pracuje i ile wkładają w to roboty, ale drażni mnie, że nic nie udało się znaleźć, nawet jednej wzmianki...

– Może to coś nie istnieje i to nadal tylko plotki, przyjacielu. – Dealin klepnął go w plecy. – A może rzeczywiście coś jest na rzeczy, ale pradawność tej religii wymyślili, żeby się lepiej sprzedała.

– A jak poszły rozmowy, wasza miłość? – zapytał Dever, przerywając ciszę.

– Do tej pory rozmawiałem mniej oficjalnie, spacerując po całym kompleksie Akademii. – Król odchylił się na krześle. – Uczeni patrzyli na mnie jak na dziwaka i pewnie gdybym nie był królem, to nawet by nie odpowiadali na moje pytania. Nikt z nich o niczym nie słyszał. Nie mają zielonego pojęcia nawet o tym, czy ta nowa religia istnieje naprawdę.

– Czyli tą drogą też nic... – Tidur położył głowę na księdze, ale po syknieniu jednego z uczonych natychmiast się wyprostował.

– Na ten moment nic, ale za jakiś czas mam udać się z Iskelem i rektorem Telselem na oficjalne rozmowy z wyznaczonymi przez nich uczonymi. Siedzą teraz w gabinecie rektora i wybierają tych, którzy ich zdaniem mogą mieć jakąkolwiek wiedzę na ten temat.

– I ty będziesz z nimi rozmawiał? – dopytał Tidur.

– Tak, ale będzie ze mną Telsel i chyba Iskel też. – Kastil zakręcił palcem w powietrzu. – Oni używają specyficznego języka, więc musi być ze mną ktoś, kto też umie się nim posługiwać.

– Tak, tak... – Księżę prychnął. – Mieliśmy już przyjemność poznania ich gwary. Tak złożonych zdań to nie używał nawet mój stryj Nirund po pijaku.

– Iskel mówił, że oni robią to zupełnie celowo, by zwykły człowiek czuł się przy nich jak... – Przerwał, gdy obok niego stanął młody uczeń.

– Wasza miłość. – Skłonił się. – Rektor Telsel prosi, byś udał się ze mną do komnaty sypialnej jednego ze starszych uczonych.

– Taki młody, a już zaczyna. – Zaśmiał się Tidur, ale syknienia szybko go uciszyły.

– Szukajcie dalej. – Kastil wstał. – Oby udało się na coś trafić.

Dwóch uczonych i młody władca przeszli korytarzem z biblioteki do jednego z Domów, by porozmawiać ze starszym uczonym. Podróżowali wewnętrznym korytarzem, a przez okna dało się dostrzec grube krople deszczu gęsto siekące zadbane trawniki.

– Sprawdziliśmy wszystkich uczonych, mój królu – odezwał się Telsel. – Nie mamy najlepszych wieści. Od dawna w Akademii panuje zwyczaj, by komnaty mieszkalne uczniów i najstarszych uczonych znajdowały się w jednym Domu. Dzięki temu młodzi uczą się szacunku dla starszych. Muszą się nimi opiekować w czasie wolnym od zajęć, co też daje im praktyczną wiedzę o starości, a starsuszkowie chętnie dzielą się z nimi różnymi opowieściami, ciekawostkami i mądrościami.

– Wiem o tym, ale dlaczego nie są to najlepsze wieści? – Starsi uczeni ledwo za nim nadążali.

– Ponieważ o ile na ilość uczniów nie narzekamy, to liczba starsuszków znacząco nam ostatnio spadła... – odparł smutno Telsel.

– Spadła do ilu? – Król zatrzymał się nagle.

– Do pięciu. – Rektor skrzywił się. – Tylu jest w stanie rozmawiać.

– A ilu z nich pochodzi ze wschodu? – Ruszył dalej.

– To akurat dobra wiadomość, bo wszyscy. – Iskel zrównał się z władcą.

– Dwóch pochodzi z Barbasu, jeden z Jaramu, jeden z Tolimurai i jeden z Ujary.

– Dobrze, idźmy do nich wreszcie. – Chwytnym za mosiężne klamki, otworzył potężne drewniane wrota prowadzące z korytarza do wnętrza Domu.

Za drzwiami mieściło się spore kwadratowe pomieszczenie, zastawione welurowymi fotelami i niskimi okrągłymi stoliczkami. Siedzieli przy nich uczniowie, którzy stanęli na baczność, odkładając czytane przez siebie książki na bok, gdy tylko zobaczyli rektora. Kryształowe żyrandole wisiały z ozdobionego malowidłami sufitu. W bocznych ścianach znajdowały się drzwi prowadzące do dalszej części domu.

– Siadajcie. – Rektor gestem wskazał im miejsca. – Czy wszystko gotowe?

– Owszem. – Jeden z uczniów wskazał drzwi. – W tej komnacie przygotowaliśmy wszystko wedle wytycznych. Oczekujemy na polecenie sprowadzenia pierwszego ze starszych uczonych.

– Dziękuję. – Rektor zmarszczył czoło. – Sprowadźcie zatem pierwszego.

– Wy macie wykłady z takiego budowania zdań? – szepnął na ucho Iskelowi Kastil.

– Myśląc, że pozjadałeś wszystkie rozumy, zaczynasz gadać jak idiota, mój królu – odpowiedział.

– Też tego nie pochwalam – dodał Telsel, otwierając drzwi. – Mam nadzieję, że zdążyliście to zauważyć.

Na środku komnaty stał stolik, wokół którego rozstawiono fotele obite zielonym suknem. Pomieszczenie było niewielkie i całkiem przytulne. Wzdłuż ścian rozstawiono regały pełne książek, a całość oświetlały świece w złotych kandelabrach. Zanim na dobre zdążyli się rozejrzeć i zająć miejsca, w drzwiach pojawił się uczeń prowadzący starszka w brązowej szacie z kapturem obszytym srebrną nicią.

– To uczony Neevin z Barbasu – przedstawił go młodzian.

– Dziękuję, wezwiemy cię po zakończonej rozmowie. – Rektor odesłał go. – Siadaj, Neevinie.

– Doszły mnie słuchy, rektorze – mówił bardzo powoli – że poszukujesz odpowiedzi na wybitnie nurtujące cię pytanie.

– Masz rację, Neevinie. – Rektor potwierdził skinieniem głowy. – Aczkolwiek pytanie to nurtuje wszystkich tutaj zgromadzonych. Ten młodzian to król Kastil, władca naszego prześwieczonego Erskinu. Iskela, mego brata, na pewno masz w pamięci.

– Ach, racz wybaczyć, mój królu. – Uczony skłonił się delikatnie. – Wzrok i pamięć już nie tak żwawe jak dawniej. Uleciało mi z głowy, że na erskińskim tronie doszło do roszady. Zamieniam się zatem w słuch, by nie mitrzyć czasu tak znamienitych osobistości.

– Szacowny Neevinie – rozpoczął Kastil, zastanawiając się nad każdym słowem – przybyliśmy tutaj, by pozyskać informację na temat starożytnej religii zwanej Sag Bas, i choć wertujemy księgi, pozwoliliśmy sobie rozszerzyć poszukiwania także o wiedzę najbardziej doświadczonych uczonych. Czy w twojej pamięci uda się znaleźć jakąkolwiek wzmiankę o tej religii?

– Zupełnie nic nie przychodzi mi na myśl, wybaczcie. – Mężczyzna podrapał się po rzadkich siwych włoskach. – Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek czytał o tak nazwanej religii.

– A czy uczyniłbyś nam tę przysługę i zaszedł do pamięci, w której mogą znajdować się baśnie i legendy zasłyszane przez ciebie nawet

w dzieciństwie? – Iskel widział, jak Kastil męczy się, formułując pytanie.

– Pozwólcie... – Ponownie zamyślił się głęboko. – Z przykrością muszę stwierdzić, że nie będę w stanie wam pomóc. Obawiam się, że nie słyszałem nigdy takich słów, a tym bardziej w kontekście religii. Będąc specjalistą od dziejów świata, nawet postarzałym, pamiętałbym, gdybym kiedyś miał okazję zapoznać się z takim kultem albo nawet mitem o nim.

– Rozumiemy to i dziękujemy serdecznie, że zechciałeś poświęcić nam nieco swojego czasu. – Kastil dwornie uklonił się.

– Ależ była to dla mnie niemożliwa przyjemność spotkać trzy tak znamienite osoby, i to jednocześnie. – Staruszek uśmiechnął się bezzębnymi dziąsłami. – Dlatego tym więcej smucę się, że nie byłem w stanie pomóc. Mam nadzieję, że rychło ponownie spotkamy się w tym gronie, ale już z lepszym skutkiem albo przy lepszej okazji.

– Wzajemnie, Neevinie. – Rektor odprowadził go do drzwi i nakazał uczniowi iść po kolejnego starca.

Kastil wyszedł z pokoju blady jak papier, ledwo powłócząc nogami. Oparł się o futrynę i ciężko westchnął. Zaraz za nim szli przygarbiony Iskel oraz rektor Telsel, po którego czole płynęła stróżka potu. Cała trójka wyglądała jak po wojnie.

– To był ostatni? – zapytał król.

– Tak, mój królu – westchnął Telsel. – Nie wiem, czy niestety, czy na szczęście.

– Jakbyś kiedyś miał mi za złe to, że nie chcę tutaj zbyt często przyjeżdżać, to przypomnij sobie ten dzień. – Iskel oparł się o brata.

– Najgorsze jest to, że nie dowiedzieliśmy się niczego... – Kastil załamał ręce. – Chyba znowu wszyscy wokół mieli rację, a ja, idąc za swoim przeczuciem, dałem z siebie zrobić błazna. W pogoni za jakąś głupią plotką wyjechałem z zamku i tracę czas...

– Ach, mój królu – próbował go pocieszyć Iskel – twoja przezorność kiedyś może okazać się zbawienna. Nie było innego sposobu, żeby zweryfikować te plotki. Wrócimy do Erskinu spokojniejsi i pewni, że zrobiliśmy wszystko...

– Nie wszystko! – Rektor Akademii klasnął w dłoń.

– Co?! – zapytali jednocześnie pozostali.

– Jest jeszcze jeden uczony. – Podrapał się po czole, mrużąc oczy. – Jest najstarszy w całej Akademii i chyba najstarszy na świecie. Nie kontaktuje już za bardzo, ale można spróbować.



– Tak! – Kastil wyrwał się. – Możemy iść do niego natychmiast?

– Oczywiście, mój królu. – Rektor wskazał dłonią drzwi prowadzące na klatkę schodową. – Na najwyższe piętro.

– Mój królu. – Iskel wstrzymał ich. – Nie nastawiaj się na to, że cokolwiek osiągniesz. Telsel mówił, że tamten jest już niedołączny.

– Idźmy tam już. – Kastil minął ich. – Jeśli to nic nie da, jutro wyjeżdżamy.

– Chociaż tyle... – mruknął pod nosem starszy uczonek i ruszył za królem.

Dotarli na najwyższe piętro Domu, gdzie młody uczeń otworzył im drzwi do komnaty na końcu korytarza. Pokoik był nieduży. Stało w nim łóżko, na którym leżała niepokładana pościel, średniej wielkości stół, trzy krzesła, szafa i kilka regałów z pojedynczymi książkami. Oświetlało go jedno podwójne okno. Na podłodze leżał gruby dywan, a ściany pomalowano na przyjemny zielony kolor. W komnacie czuć było zaduch i zapach moczu. Na łóżku siedział wysoki, ale bardzo zgarbiony ciemnoskóry mężczyzna o zupełnie siwej głowie. Miał na sobie długą, białą koszulę nocną.

– Ma na imię Lidyag. Jego opiekun powiedział, że od trzech dni siedzi i wpatruje się w stolik. – Rektor rozłożył dłonie. – Ale nie zaszkodzi spróbować, jak mawiali odkrywcy.

– Szanowny Lidyagu. – Kastil zbliżył się do łóżka. – Jestem Kastil, władca Erskinu, a to Iskel, uczonek i mój doradca. Przybyliśmy tutaj, by z tobą porozmawiać. Czy zechcesz poświęcić nam kilka minut?

– Owszem – odparł, nie spoglądając na króla.

– Jesteśmy niezwykle wdzięczni. – Król uśmiechnął się. – Dowiedziałem się, że pochodzisz z kraju zwanego Gotraya.

– Owszem – potwierdził ponownie.

– Powiedz nam zatem, czy w twoim kraju starszyzna opowiadała kiedykolwiek o zjawisku zwanym Sag Bas?

– Owszem. – Pokiwał głową.

– Powiedz zatem, o czym mówili?! – Kastil aż zadrżał z ekscytacji.

– Owszem – powtórzył staruszek.

– Wydaje mi się, mój królu, że on nie odpowiada na twoje pytania – rzekł półgłosem Iskel.

– To nie ma sensu. – Rektor załamał ręce. – Nie ma z nim kontaktu.

– Czekaj, bracie – powstrzymał go Iskel. – A czy na stoliku nie leży Triangadh?

– Tak, uczeń mówił, że dziadek niedawno grał z nimi jeszcze i nie mieli z nim szans – dodał Telsel.

– Mój królu, zaproponuj szanownemu Lidyagowi partyjkę – zwrócił się do Kastila, a ten spojrzał na niego zdziwiony.

– On nie wie nawet, że tutaj jesteśmy... Poza tym nie umiem w to grać! – zaprotestował.

– Szanowny Lidyagu – odezwał się do swojego starszego kolegi po fachu Iskel. – Wyjaśnij zasady gry naszemu władcy, a potem zagramy razem.

– Zagrajmy! – Staruszek ożywił się znacząco. – Podsuń no tutaj ten stoliczek.

– Oczywiście, już to robię. – Zaskoczony Kastil złapał za stolik, a potem dostawił do niego krzesła.

– Żeby zagrać w Triangadh, potrzeba trzech ludzi, ni mniej, ni więcej. – Uczony uniósł powykrzywiany i chudy palec. – Każdy ma trzy oddziały, a w oddziale trzy pionki. Do tego są trzy kości. Grajmy!

Nie byli przekonani, czy dziadek ich widzi, bo bielmo zajmowało jego oczy, ale sprawnie ustawił trójkątną planszę o boku długości łokcia, pokrytą kilkudziesięcioma mniejszymi trójkątnymi polami, a na niej rozstawił dwadzieścia siedem różnokolorowych pięknie rzeźbionych pionków. Jeden kolor przeznaczony był dla jednego gracza, a w jego skład wchodziły trzy figurki konnych jeźdźców, trzy łuczników i trzy tarczowników w ciężkiej zbroi. Pieczołowicie ustawiał figurki wzdłuż krawędzi planszy, po czym trzy czterościenne kości położył na środku.

– Niech najmłodszy zaczyna. – Uśmiechnął się, pokazując puste dziąsła.

– Dziękuję. – Kastil wziął kości i rzucił nimi obok planszy, wypadło łącznie dziesięć.

– Teraz możesz wybrać jednego członka swojego oddziału i przesunąć go o dziesięć pól albo trzech takich samych żołnierzy łącznie o dziesięć. – Uczony postukał palcem w planszę. – Każdy oddział jest inny. Konnica może przejść dwa razy więcej pól, niż pokazały kości. Łucznicy mogą atakować z pola oddalonego o trzy trójkąty od wroga, a tarczownicy podwajają obronę, ale przegrywają remisy.

– Chyba rozumiem... – Kastil przesunął swojego łucznika o wyrzuconą liczbę trójkątów.

– Teraz możesz zaatakować moją konnicę. – Starzec wskazał palcem jeden pionek. – Ten jest oddalony o trzy.

– Chciałbym to zrobić. – Król przeczesał włosy dłonią.

– Weź jedną kość, bo łucznik jest jeden, i rzuć nią. – Po uczonym w ogóle nie było widać objawów starości. – To będzie wynik twojego ataku.

– Dobrze. – Kastil wyrzucił dwa.

– Ja rzucam, by wskazać wynik obrony. – Uczony wyrzucił cztery. – Świetny rzut i twój atak okazał się nieskuteczny, młodzieńcze. Teraz kolej twojego starszego kolegi.

– Dziękuję. – Iskel przejął trzy kości i wyrzucił nimi osiem, przestawił swojego jeźdźca o szesnaście pól, czym zbliżył się do samotnego łucznika Kastila. – Graliśmy w to całe wieczory w trakcie nauki, mój królu. – Rzucił kością, na której wypadła dwójka, Kastil chciał się bronić, ale nie wyszedł mu rzut, bo wypadła jedna kropka.

– I teraz twój łucznik, młodzieńcze, otrzymuje cios – odezwał się Lidyag. – Trzy ciosy dla jednego pionka oznaczają śmierć. Moja kolej! – Trzema kośćmi wyrzucił dziewięć i przesunął cały swój oddział konny dalej od łucznika. Gra trwała w najlepsze przez kilkanaście minut. Staruszek przez cały czas był aktywny, dawał Kastilowi wskazówki. – Teraz zaatakowałem twojego tarczownika. – Postukał palcem w planszę. – Ich najtrudniej pokonać. Wyrzuciłem cztery punkty, ty dwa, ale twoja obrona się podwaja, więc nie zadałem ciosu.

– A tarczownicy nie mieli przegrywać remisów? – zapytał.

– Ach, no tak, wyleciało z pamięci. – Starzec uśmiechnął się. – Zatem tracisz jedno trafienie.

– A pamiętasz może jakieś legendy z domu rodzinnego? – zapytał niepozornie Kastil. – Może coś o dawnych religiach albo wybrańcach?

– Opowieści przy grze? – Zaśmiał się i zwrócił do rektora: – Jeszcze jakiś trunek by się przydał. Skocz, młodzieńcze, po coś do picia, a wy słuchajcie. To nie jest żadna legenda. Pamiętam, że zanim wybrałem się do Akademii, te wiadomości przysły do mojej wioski wraz z posłańcami spod granicy. Czarne Ziemie przesuwały się coraz bliżej, więc nasi zwiadowcy kręcili się przy granicy codziennie. Znaleźli kiedyś księgę, która leżała w trawie. Okładkę miała czarną, a na niej wyrysowano chyba czarne wieże na białym tle. Wódz odczytał jej treść. Było tam zapisane, że klątwy Czarnych Ziem nie da się powstrzymać, bo jest ona karą za odejście od równowagi. Nikt z nas nie wiedział, co to znaczy, ale zapisali tam też, że miał pojawić się wybraniec. Ktoś, kto doprowadzając do zjednoczenia wszystkich ludzi, naprowadzi świat na dobre tory. Nie pamiętam, ile lat żyję, ale żaden taki

się nie pojawił i jak ostatnio sprawdzałem, to Czarne Ziemie nadal są tam, gdzie były.

– Dziękujemy – odparł Kastil przejęty. – A czy słyszałeś o Sag Bas?

– A co to takiego? – Spojrzał na niego zaskoczony. – To jakaś twoja opowieść?

– Nie, nie. – Król pokręcił głową. – To nic takiego.

– Nic takiego? – Uczony postukał w planszę. – Właśnie wyrzuciłem cztery, zabijając ostatniego tarczownika twojego kompana. Co oznacza zwycięstwo.

– Dziękujemy za wspaniałą grę, Lidyagu i opowieść. – Kastil uściskał dłonie uczonego. – Bardzo nam pomogłeś.

– Zapraszam na partyjkę jutro – odparł starzec.

– Oczywiście – odparł Kastil, już wychodząc. – Do zobaczenia!

Królewski powóz stał przygotowany przed wejściem do Akademii. Konie w barwach Erskinu stały w deszczu, a obok nich czekali członkowie królewskiej gwardii. Król Kastil poprzedniego wieczora zarządził wyjazd z samego rana. Zebrał wcześniej wszystkich uczonych szukających na jego polecenie informacji o Sag Bas i doprecyzował zakres poszukiwań wnioskami wyciągniętymi z opowieści starego uczonego. Potem spotkał się z Tidurem Dealinem, gwardzistą Deverem, Iskelem i jego bratem. Po kilku godzinach burzliwej dyskusji ustalono wreszcie, że królewski orszak powróci do Erskinu, a uczeni nie przestaną poszukiwać informacji. Członkowie wyprawy zebrali się w korytarzu, by uniknąć zmoczenia przez gęsty i zimny deszcz.

– Szczęście, że droga utwardzona – mruknął Tidur, patrząc przez okno.

– Coś mówiłeś? – zapytał nerwowo Kastil.

– Pytałem, czy teraz też zamierzasz jechać obok powozu.

– Nie, nie zamierzam – burknął.

– Zmądrzałeś? – Spojrzał na niego zaczepnie.

– Uznałem, że szkoda czasu i już w trakcie drogi powrotnej można zaplanować, jak rozwiążemy tę sytuację. Jedźmy. – Król chwycił za kłamkę.

– Mówiłem ci już o tym w nocy. Nie ma czego planować! Nawet jeśli zadziało się coś takiego na wschodzie, to przed wiosną nie zjawią się tutaj żadne oddziały. Wiesz, jak wygląda zima na pustyni? W nocy z żołnierzy robią się sople!

– On ma racje, mój królu – wtrącił się Telsel. – Przygotowałem dla ciebie kilka ksiąg, w których znajdują się bardziej szczegółowe informacje o wschodnich rubieżach świata. Iskel mówił, że tych nie ma w zamkowej bibliotece.

– Dziękuję za książki, Telselu. – Kastil odebrał od niego całkiem ciężkie zawiniątko. – Jednak Iskel uczył mnie, że trzeba być przygotowanym na każdą ewentualność, i nie chcę wyrzucać sobie później, że przespałem zimę i zostałem czymś zaskoczony.

– Oczywiście, to zrozumiałe. – Rektor pokiwał głową. – Mój brat ma to do siebie, że lubi się zastanawiać na zapas.

– Pamiętasz, rektorze, by nie przerywać poszukiwań? – Kastil oddał księgi uczniowi, który wyszedł, by załadować je do powozu.

– Oczywiście. – Uczony skłonił się. – Wszystko zgodnie z ustaleniami.

– Wspaniale – skwitował. – Chciałbym również, by w ramach podziękowania za pomoc uczniowie grali z Lidygiem codziennie w Triangadh.

– Dobrze. – Rektor zmarszczył czoło. – Myślę, że da się to zorganizować.

– W takim razie odjadę stąd ze spokojną głową. – Kastil uściśnął dłoń rektora i ruszył do powozu, a za nim powłókł się Tidur.

– Co o tym wszystkim myślisz, bracie? – zapytał ponuro Iskel.

– Jeśli to rzeczywiście jest jakiś wybraniec i ma nadludzkie moce, to szykują nam się ciekawe czasy. – Wyciągnął dłoń w kierunku brata. – Zbyt ciekawe.

– On chce wszystko kontrolować... – Iskel westchnął. – Będzie albo najlepszym władcą od lat, albo oszaleje. Bywaj, bracie.

– Bywaj. – Telsel patrzył, jak Iskel wsiada do powozu, i nie mógł wyrzucić z głowy przeczucia, że Kastil może nie mieć okazji osiągnąć ani jednego, ani drugiego.

– Uporządkujmy to! – zarządził władca, nim powóz na dobre zdążył wytoczyć się z terenu Akademii. – Mamy legendę, zgodnie z którą zaraza Czarnych Ziem powiększyła się nagle i będzie się powiększać dalej, ale może to powstrzymać wybraniec, który zjednoczy świat – mówił, przeglądając księgi. – Mamy też informację o tym, że człowiek o podobno nadludzkich zdolnościach pojawił się znikąd i zjednoczył wszystkie krainy wschodu w mgnieniu oka.

– Nie możesz zakładać, że to nie jest zbieg okoliczności – ostrzegł go Iskel. – Na wschodzie sytuacja polityczna potrafiła się już zmieniać

w krótkim czasie i w burzliwy sposób i nie potrzebowała do tego jakichś mitycznych mocy.

– Ale nie możemy też tej wersji odrzucić – odpowiedział. – Po powrocie musimy rozesłać listy z tym, co udało się nam ustalić.

– Niczego nie udało ci się ustalić – przerwał Tidur. – Masz plotkę i legendę. Żaden władca nie będzie się tym przejmował, a ty wyjdiesz na gówniarza żyjącego w świecie baśni... Osłabisz tylko swoją pozycję.

– Mój królu! – wtrącił się Iskel, widząc coraz bardziej zdenerwowanego władcę. – Książę Tidur może nie użył najwłaściwszych słów, ale ma trochę racji. Zasygnalizowałaś sprawę innym władcom. Poza ugraniem czegoś dla siebie nie byli zainteresowani pomocą w jej rozwiązaniu. Bez twardych dowodów szkoda męczyć ptaki.

– Twarde dowody? – Kastil uniósł brwi. – To znaczy jakie? Wróg stojący na granicy?

– To by ich przekonało na pewno, ale nie zdarzy się to wcześniej niż na wiosnę – zakpił Dealin.

– Obawiam się, że to prawda. – Uczony rozłożył ręce. – Mój królu, większość władców jest na tyle pewnych siebie, że nie uznają tego za zagrożenie. Uważają, że nawet cała armia wschodu, łącznie z Barbasem, nie jest w stanie zagrozić ich krajowi. Według nich są to dzikusy bez taktyki, które da się pokonać niewielkim nakładem sił. Niedawna nieudolność Pandeya w ataku na Erskin utwierdziła ich w tym przekonaniu. Dużo lepiej rządzi się krajem, gdy jedynym zagrożeniem są jakieś niewielkie grupy prawie dzikich plemion, które może pokonać straż jednego miasta. Poddani nie muszą wiedzieć wszystkiego, a władcy często zapominają o drobiazgach. Ci na zachodzie uważają się za lepszych. Niby wiedzą, że zachód jest bardziej rozwinięty, ale co to konkretnie znaczy, już nie pamiętają. Względny dobrobyt, jaki panuje tutaj, sprawił, że społeczeństwo nie jest już tak twarde. Oni tam muszą codziennie mierzyć się z przeciwnościami losu dużo gorszymi niż my tutaj i domyślam się, że przy jednoczeniu tamtych ludów argument o wygodzie życia na zachodzie musiał paść i oddalenie się od Czarnych Ziem, od pustyni, będzie ich napędzało.

Deszcz bębnił o dach powozu, a z jego wnętrza rozbrzmiewała głośnie dyskusja. Co prawda, jadący obok gwardziści nie słyszeli, o czym dokładnie jest mowa, to jednak byli przekonani, że wydarzyło się coś na tyle poważnego, by wymagało takich rozpraw.

## Rozdział XXXIV

Ulev Throdergad siedział w oknie wykuszowym swojej pocztowej wieży i wypatrywał zlatujących ptaków. Rozglądał się po zasnutym ciemnymi chmurami niebie. Wychylał się daleko, zwłaszcza na zachód, skąd powinien nadlecieć ptak wysłany przez jego ojca, króla Bernsternu. Robił wszystko, czego ojciec od niego oczekiwał, by stać się godnym zastąpienia go na tronie Bernsternu, i wydawało mu się, że ojciec jest zadowolony z informacji, które mu dostarczał, aż nagle po ataku Barbasu kontakt się urwał. Nie mógł się z tym pogodzić.

– Czy coś mogło się stać? – szeptał do siebie, siedząc na parapecie. – Może ptak nie doleciał? Ale wysłałem najlepszego, jaki został, nie powinien zgubić drogi...

Zszedł z okna i przyglądał się ścianie zastawionej klatkami pełnymi różnego rodzaju ptaków. Milczał przez długi czas, zastanawiając się nad tym, co mogło się wydarzyć.

– A jeśli tak miało być? – Patrzył na ptaki, jakby oczekiwał odpowiedzi. – Jeśli taki był królewski plan? Zdobył potrzebne mu informacje i zapomniał o mnie zupełnie... Albo dowiedział się o czymś... O tym, że ktoś zaczął coś podejrzewać. Może król Kastil? I dlatego nie wysyła żadnych listów. Chce to przeczekać. Oj, wiele jeszcze muszę się nauczyć, żeby przewidywać takie ruchy, będąc królem. – Pokręcił głową, wsypując pojedyncze ziarenka przez kraty klatek.

Rzucił się nagle do swojego łóżka jak rażony piorunem. Wsunął dłonie pod siennik i zaczął intensywnie czegoś szukać. Powyciągał wszystkie wiadomości, które otrzymał z Bernsternu, i gniótł je agresywnie.

– Jeśli ktoś coś podejrzewa, to przecież może chcieć sprawdzić moją komnatę... – Rozglądał się, co zrobić z pogniecionym papierem. – Muszę zniszczyć wszystkie dowody. Może podrzeć to i dosypać do paszy? – Czekał na odpowiedź, ale ptaki wydawały się niezainteresowane rozmową. – Nie, nie! To by było niebezpieczne. Coś by się mogło wam stać. Może wyrzucę

to do rynsztoka, woda powinna zamazać atrament... Ale jeśli nie zamaze? Albo ktoś będzie mnie obserwował? Nie, to też zły pomysł.

Kręcił się po komnacie z listami w dłoni i rozglądał w poszukiwaniu rozwiązania. Przeszedł z części, gdzie stało łóżko, pod klatki z ptakami, potem wszedł trzy stopnie wyżej do wnęki, gdzie stało biurko, i sięgnął po gliniany głębszy talerzyk. Ustawił go na parapecie, podarł listy i wsypał do środka, następnie wziął świeczkę.

– No tak, że ja na to nie wpadłem wcześniej... – Zachichotał. – Z popiołu nic nie wyczytają...

Zastygł, widząc królewski powóz zbliżający się do zamku głównym traktem. Konie pędziły, ile miały tylko sił w kopytach, stukając głośnie podkowami, a przed nimi gnała królewska gwardia, rozpędzając tłum. Jeden z gwardzistów wyprzedził resztę i pełnym galopem mknął do zamku. Przejechał przez most zwodzony i wpadł na dziedziniec. Ulev obserwował to wszystko oniemiały. Rycerz podjechał pod jego wieżę, w pędzie zeskoczył z konia i wbiegł do środka. Pocztowy wychylił się przez okno, by śledzić królewski orszak gnający przez ostatnie metry duktu, a potem wjeżdżający na dziedziniec. Pisnął przeraźliwie i niemal wyskoczył przez okno, kiedy drzwi do jego komnaty otworzyły się z hukiem.

– Każdy list z Akademii ma pierwszeństwo! – Huknął rycerz, dysząc jeszcze. – Jeśli jakikolwiek ptak z Akademii wleci przez to okno, to masz tę wiadomość wziąć i biegiem nieść bezpośrednio do króla Kastila albo uczonego Iskela. To królewski rozkaz, nie waż się go złamać, dziwaku – rzucił na odchodne rycerz.

Aż podskoczył, kiedy płomienie ogarnęły wreszcie podarte świstki papieru. Serce kołatało mu niemiłosiernie, a dłonie drżały. Odetchnął i nieco się uspokoił, kiedy cały papier zmienił się w popiół, a podmuchy chłodnego jesiennego wiatru wywiewały go przez okno.

– Teraz nie znajdują nic.

Oparł się o ścianę. Ukrył twarz w dłoniach i ciężko oddychał, zastanawiając się nad wszystkim. Czuł, że to, co się ostatnio działo i co może się wydarzyć teraz, przerasta go, i zaczynał odczuwać potrzebę, by ktoś poradził mu, co zrobić. Chciałby wysłać list do Bernsternu, ale w tej sytuacji mógłby narobić tym kłopotów. Huknął dłońmi o parapet, rozbijając gliniane naczynie z resztką popiołu. Przestraszone ptaki szalały w klatkach.



Lochy pod zamkiem Erskin nie znajdowały się specjalnie głęboko pod ziemią ani nie były przesadnie zimne czy wilgotne. Były umiejscowione w masywie góry Ersk, pod grubą podłogą głównej sali, a dokładnie pod jedną z dwóch sąsiadujących z nią wież. Centralnie pod salą tronową znajdowały się wojskowe koszary. Zamieszkiwała je gwardia królewska oraz kowal i płatnerz, którzy na miejscu zajmowali się uzbrojeniem tej formacji. Po ich lewej stronie umiejscowiono pomieszczenia gospodarcze. Tutaj spiżarnia, kuchnia, piekarnia, rzeźnia, a nawet gorzelnia znajdowały się wewnątrz zamku i w przypadku sforsowania murów przez przeciwnika forteca nadal mogła się bronić bez obawy o żywność. Zamknięcie wrót umożliwiała obrońcom skuteczne odpieranie ataku bez wychodzenia z zamku. Korytarze były zamykane w połowie, a przez ukryte otwory obrońcy mogli kłuć i sieć napastników.

Z kolei po przeciwnej stronie koszar gwardii znajdowały się właśnie lochy. Były to dwa korytarze z celami po jednej i drugiej stronie. W czterdziestu celach w tym momencie było osadzonych tylko kilku przestępców. Prawo w Erskinie było tak zorganizowane, by nie musieć utrzymywać więźniów, więc w zasadzie za każde przestępstwo groziła natychmiastowa kara. Często były to grzywny lub kary cielesne, a za niektóre nawet kara śmierci. Dawno temu uznano, że osoba osadzona w lochu na długie lata wychodzi z niego gorsza, niż do niego trafiła, więc lepiej ukarać ją od razu i dać szansę poprawy. Jeśli popełni przestępstwo ponownie, kara ma być jeszcze dotkliwsza. Dlatego strażników było niewielu, a większość cel zapełniali oczekujący na proces.

Tak było również w przypadku Rigi Deterik oczekującej na powrót władcy. Siedziała w całkiem sporej, zupełnie ciemnej celi i płakała. Łzy niekontrolowanie ciekły jej z oczu.

– Waszmiłość wrócił. – Kulawy, stary strażnik otworzył drzwi celi. – Idziesz na proces. Ino się ruszaj, bo ni mom całego dnia.

Pociągając nosem, ruszyła za nim długim korytarzem prowadzącym do schodów na górę. Przy schodach czekał na nią gwardzista, który widząc zbliżającą się dziewczynę, prawie przykleknął.

– Riga! – krzyknął. – Coś ty nawywijała?!

– Ja... – Zacięła się, poznając Devera. – Ja tylko się broniłam...

– Zajmę się nią, Inet. – Odesłał strażnika. – A ty opowiadaj, co się wydarzyło! Mamy mało czasu.

– Trenowałam za domem po zmroku i trzech chłopaków się ze mnie śmiało i mnie zaatakowali, gwałcić chcieli, a ja wtedy ich pobiłam i... – mówiła szybko, łkając.

– Nie... nie... – Kręcił głową. – To byli giermkowie, synowie znamienitych ojców, rycerzy... Za atak na rycerza mieczem można skazać na śmierć...

– Co się ze mną teraz stanie? – zapytała, jakby nie słysząc tego, co powiedział przed chwilą.

– Idziemy. – Pociągnął ją w górę schodów. – Król nie będzie czekał, ale porozmawiam z nim, wstawię się za tobą, może uda się coś zaradzić...

Zakręcone schody prowadziły do bocznej wieży. Stamtąd przeszli do głównej sali, gdzie drogę torowali im inni gwardziści. Zgromadzony w pomieszczeniu tłum gwizdał, buczał i próbował obrażać dziewczynę. Ubrani w eleganckie ubrania ludzie zachowywali się jak rozwścieczona tłuszcza.

Kiedy udało im się przebić przez tę zbieraninę, Riga ujrzała siedzącego na tronie Kastila. Poniżej podestu stało trzech mężczyzn w średnim wieku. Silni, wysocy i postawni, prezentowali się dumnie, a na ich twarzach widać było złość. Dever podprowadził dziewczynę naprzeciw mężczyzn i stanął za nią. Wyglądała żałośnie. Miała brudne ubranie, potargane włosy i czerwoną od płaczu twarz.

– Proces królewski, który za chwilę się odbędzie, wzbudza wielkie emocje – zaczął król. – Jednak proszę wszystkich zebranych o zachowanie spokoju. Nie chciałbym, żeby gwardia musiała kogoś wyprowadzić. O co oskarżacie doprowadzoną tutaj Rigę Deterik, obywatelkę Erskinu.

– Oskarżamy ją o napaść mieczem na giermków i zadanie im ran – odpowiedział największy z mężczyzn. Potężny szlachcic miał na sobie długi czerwony płaszcz, a pod nim granatowy strój z rodzowym herbem w kształcie trójzębu. Jego włosy były już całkiem siwe, choć nadal gęste, dłuższe i zakręcone nad uszami. Wyróżniały go również siwe wąsy i odstający brzuch.

– Kto ją oskarża? – zadał pytanie zgodnie z obyczajem Kastil.

– Berin Auernerek – odpowiedział. – Rycerz z pasowania królewskiego jego miłości króla Erskinu Lameka, ojciec Teona Auernereka, giermka rycerskiego, który w ataku oskarżonej stracił oko.

– Ufar Vivendins – odezwał się drugi, trochę niższy i szczuplejszy, z długą czarną, choć poznaczoną siwymi pasmami brodą. – Rycerz

z pasowania królewskiego jego miłości króla Erskinu Lameka, ojciec Unira Vivendinsa, giermka rycerskiego, który po ataku oskarżonej ma problem ze wzrokiem.

Ubrany był bardzo podobnie, różniły ich w zasadzie tylko kolory. U niego dominował stalowy, z elementami czerni, a w herbie widniał kruk. Trzeci był najniższy, dużo grubszy od pozostałych, rudy i czerwony na okrągłej twarzy. Jego stój był w tonacjach zieleni, a w herbie umieszczony był łuk i klucz.

– Neder Escher. – Skłonił się. – Rycerz z pasowania królewskiego jego miłości króla Erskinu Lameka, ojciec Ynela Eschera, giermka rycerskiego, który po ataku oskarżonej kuleje.

– Słucham zatem oskarżycieli. – Król spojrzał na nich. – Przedstawcie swoją wersję wydarzeń.

– Nasi synowie wracali z placu ćwiczeń i przechodzili skrótem za karczmą, gdzie zostali zaatakowani przez tę dziewczkę. Wyskoczyła na nich z zaskoczenia. Sypnęła piaskiem w oczy Unirowi, uderzyła w kolano Ynela, a Teon, który w tym czasie zdążył dobyć miecza, został trafiony w oko.

– Dlaczego nie ma ich tutaj, by mogli potwierdzić tę wersję? – Kastil wydawał się zupełnie obojętny.

– Wasza miłość. – Rycerz Berin nieco się zmieszał. – Teon leży w łóżku z owiniętą głową. Nie wiadomo, czy wyżyje, a oko stracone. Ynel na razie nie wstaje. Uczony poskładał mu nogę, podobno złamana, a Unir nie może chodzić sam, bo słabo widzi.

– Czy jest zatem jakiś świadek, który potwierdziłby to, co się stało?

– Było już po zmroku, a za karczmą nikt nie chodzi... – wyrwał się z odpowiedzią Neder, ojciec Ynela.

– Będę zatem musiał uwierzyć rycerskiemu słowu. Teraz oskarżona ma prawo głosu. – Powstrzymał ich protesty gestem.

– Wasza miłość... – mówiła cicho. – To nie tak, jak moi panowie mówią... Ja trenowałam walki za karczmą, oni przechodzili i zaczęli się ze mnie śmiać. Potem wyciągnęli miecze i powiedzieli, że mnie nauczą walki i bycia kobietą... Ja się broniłam...

– Pokonałaś w walce trzech giermków szkolonych przez rycerzy? – Władca zdziwił się.

– Ja tylko... Robiłam to, czego się nauczyłam... – Spuściła wzrok.

– Rozumiem... – Kastil złapał kontakt wzrokowy z Deverem. – A czy jest ktoś, kto może potwierdzić twoje słowa?

– Nie, wasza miłość... – Łezka kapnęła na podłogę.

– Zatem nie pozostaje mi nic innego, jak ogłosić królewski wyrok. – Podniósł się.

– Wasza miłość – zabrał głos Dever – znam tę dziewczynę, to ja ją uczyłem władania mieczem. Ręczę za to, że nie zaczęła tej bójki.

– Wasza miłość, on nie jest rycerzem, jego słowo nie jest tyle warte! – warknął Berin, a reszta go poparła.

– Nie kwestionuję rycerskiego słowa, choć być może powinienem. – Spojrzał na nich surowo. – Mając zatem słowo trzech znamienitych rycerzy, których sława sięga wielu bitew, służących wiernie koronie, słowo mojego gwardzisty, którego niezwykle cenię, któremu ufam i który powstrzymał natarcie sił Barbasu, trzech poranionych giermków oraz zapłakaną dziewczynkę, która chce zostać żołnierzem, muszę wydać wyrok. Zgodnie z prawem i obyczajem zwykłemu obywatelowi za zaatakowanie rycerza mieczem i uszkodzenie jego ciała grozi kara śmierci co najmniej przez powieszenie. – Dziewczyna pobladła jeszcze bardziej. – To byli jednak dopiero giermkowie, więc kara nie będzie zastosowana. Za rozpętanie bójki z ludźmi wyższego stanu i poważne uszkodzenie ich ciała grozi ucięcie prawej dłoni. Jednak nie mam pewności, czy to dziewczyna rozpętała bójkę. – Po sali poniósł się szmer niezadowolenia. – Dbając zatem o sprawiedliwość, nie mogę wydać wyroku. Choć oskarżona jest niższego stanu, to i takie rozwiązanie przewidują obyczaje, dlatego zarządzam próbę walki między oskarżoną a jednym z oskarżycieli. Erskinem opiekuje się trójka bogów. Mieszkający na tej górze Gapur, opiekujący się wodami Linsnam oraz pani lasów i zwierzyny Beanth. W ich ręce, zgodnie z obyczajem, składam los oskarżonej. Walka odbędzie się za trzy dni. Jeśli zwycięży, zostanie oczyszczona z zarzutów, jeśli przegra... – Spojrzał w jej niebieskie oczy. – Zostanie dobita pchnięciem miecza.

Tumult, gwizdy, wrzaski i brawa wypełniły salę tronową. Nikt z zebranych nie zauważył nawet, że Dever podtrzymuje omdlewającą dziewczynę. Kastil nie zwracał uwagi na protesty rycerzy oskarżycieli. Rozkazał gwardii usunąć ludzi i zrobić miejsce dla Rigi i Devera, by w spokoju mógł odprowadzić ją do celi.

Pandey chodził nerwowo po swojej komnacie, czekając na Mosę. Ostatni spacer z imperatorem i nowiny, jakie ten mu przekazał, wstrząsnęły księciem. Zaczynał mieć wrażenie, że Hex i jego kapłanki grają z nim w jakąś grę i choć wiedzą o spisku, jaki próbuje zawiązać, to pozwalają mu

na to, wyczekując tylko odpowiedniego momentu, by go zniszczyć. Zatrzymał się i bezmyślnie patrzył przez okno, obracając w palcach orzech.

– Zabił Visa i mnie też zabije... – mruzczał pod nosem. – On na pewno wszystko wie. Jeśli nawet nie czyta w moich myślach, to czyta w jej myślach. Wie, o czym jej mówię i do czego ją namawiam... Sama mu o tym opowiedziała...

Przerwał i odwrócił się gwałtownie, aż zakręciło mu się w głowie. Drzwi do komnaty otworzyły się energicznie i do pokoju wparowała Mossa. W dłoniach trzymała miecz i sztylet. Przerazony oparł się o parapet i już miał zacząć się tłumaczyć.

– Wojna coraz bliżej, więc trzeba cię nauczyć walczyć porządnie! – zaczęła dziarsko. – Przestało padać, więc to najlepszy moment.

– Ach, tak... – Zająknął się, próbując zebrać myśli. – Tylko nie przesadzaj. Pamiętaj, że nie wróciłem jeszcze do pełni sprawności. – Przyglądał się lśniącej klindze i głowicy z bursztynu.

– Tak, tak, tak. – Zrobiła kwaśną minę. – Chodź na zewnątrz, nie ociągaj się.

– Idę. – Ruszył za nią. – Ale musimy znaleźć jakieś ustronne miejsce.

– A to niby dlaczego? – Zatrzymała się nagle, a Pandey wpadł na nią.

– Dlatego, że nie chcę się zbłaźnić i... – Ściszył głosi i rozejrzał się po korytarzu. – Chcę o czymś porozmawiać.

Odeszli od zabudowań do niewielkiego zagajnika, gdzie znajdowała się porośnięta mchem polana. Mossa nie odzywała się. Kiedy znaleźli się na miejscu, wyjęła swoje dwa sztylety i zakręciła nimi w palcach.

– Muszę ci przypomnieć, że jedna rana zadana Kati skończy twoje życie, także uważaj. – Rzuciła mu zaczepne spojrzenie.

– Prosiłem, żebyś nie szalała, ja niedawno nie mogłem utrzymać łyżki, a co dopiero miecz. – Poruszył bronią i skrzywił się.

– Hex mówi, że tylko walka o życie stanowi prawdziwą motywację i tylko wtedy człowiek pokazuje, ile naprawdę jest wart. – Zaczęła krążyć wokół niego.

– Właśnie o Hexie chciałem porozmawiać. – Uniósł miecz. – Słyszałaś, co zrobił z Visem.

– Z kim? – Przerzuciła sztylety z ręki do ręki. – A z tym władcą. Zabił go za zdradę.

– I ty tak spokojnie o tym mówisz? – oburzył się. – Przecież my rozmawiamy o zamachu stanu! Jeśli on o tym wie, to...

– Nie gadaj tyle! – Zaatakowała go. Wyprowadziła kilka krótkich energicznych pchnięć, które Pandey ledwo zdążył sparować. Obróciła się w powietrzu, wykonując cięcia, które też zatrzymał, choć wyglądało to tak, jakby pozwoliła mu na to. – Nie jest z tobą tak źle. – Uśmiechnęła się.

– Nim mnie zabijesz, musisz mnie posłuchać. – Pandey opuścił miecz i wyrównał oddech. – Ja wiem, że on trzyma mnie blisko, by mieć mnie na oku. Nie rozumiem do końca dlaczego, skoro podobno może czytać w myślach, ale jeśli nie chcecie skończyć jak Vis czy inni, to jest to ostatni moment. Ja wam pomogę, ale nie ma na co czekać. Chyba nie chcesz, żebym skończył tak jak Vis?

– Nie widziałam, jak skończył Vis, ale niektórzy wrogowie Hexa cierpią za bardzo. – Podeszła bliżej, chowając sztylety. – Widziałam, jak ludzie sami sobie wyjmowali oczy...

– O tym mówię. – Objął ją. – Każda z was posiada mądrość i siłę, by poprowadzić imperium, a w zespole będziecie nie do pokonania, ale Hex... On jest nieobliczalny. Byli władcy, którzy rządili twardą ręką, ale ich decyzje dało się przewidzieć. On... Rozmawiając z nim, boję się myśleć, bo nie wiem, czy mnie za to nie zabije, i każdy z poddanych będzie czuł to samo, a to oznacza, że żyjąc w strachu, będą chcieli zrobić coś, by obalić nie tylko króla, ale i Sag Bas. – Cały czas ją obejmował. – Żyjąc na zachodzie, nauczyłem się, że tam wolność jest najważniejsza. Oni mają króla, ale temu królowi są zupełnie oddani, wierzą mu i idą za nim na wojnę. Tutaj nie byłoby tak. Ja wiem, że on potrafi zabijać wszystkich, którzy są przeciwko niemu, ale co się stanie, jeśli ktoś się uchowa? Zabije go z zaskoczenia, nawet przez przypadek i cała idea upadnie. Świat będzie stracony... – Przypominał sobie w biegu słowa z książki, której kazali mu się uczyć.

– Co możemy zrobić? – Odsunęła się nieco.

– Musimy zaryzykować... Musimy sprawić, żeby ludzie poszli za wami, nie za nim, i to nim wyruszymy – powiedział przejęty. – Musisz znaleźć odpowiedni moment i powiedzieć o tym reszcie kapłanek. Może poza Juvii...

– Dlaczego? – Zdziwiła się.

– Ona wierzy mu bezgranicznie, trudno będzie ją przekonać. – Rozglądał się nerwowo. – Musisz spróbować je przekonać. Uda ci się, bo są tak samo mądre jak ty. A kiedy znajdziecie się z Hexem w jednej sali, wbijesz mu sztylet w nerkę. To wystarczy...

– Wasza miłość. – Dever podszedł do Kastila siedzącego na tronie umieszczonym przed wrotami do głównej sali zamku. – Mogę zająć chwilę?

– Oczywiście, Deverze. – Król odesłał zebranych wokół siebie dworzan. – Chociaż wiem, o czym chcesz rozmawiać.

– To jeszcze dziecko, nie ma szans z tym rycerzem – mówił cicho, by zgromadzeni w otoczeniu króla go nie usłyszeli. – To będzie wyrok... Lepiej by było od razu ją skazać.

– Nie, nie byłoby lepiej. – Kastil był zupełnie spokojny w odróżnieniu od gwardzisty. – Gdybym ją skazał, uznałbym ją za winną. Nie mogłem tego zrobić, nie mając pewności.

– Ale walka z dorosłym mężczyzną, w dodatku rycerzem z taką sławą? – Dever przeczesał brodę palcami, robiąc kwaśną minę.

– Wiem, że Erskin, zwłaszcza północ, nie jest za bardzo religijny, ale jeśli jest niewinna, to pozostaje zawierzyć bogom. Oni w jakiś sposób to rozwiążą, a poza tym jeśli dobrze ją wyszkoliłeś i w otwartej walce załatwiła tych trzech buców, to ta walka wcale nie musi być wyrokiem. Przyprawdź podejrzaną. – Celowo podniósł głos.

Dever zszedł z podestu i wszedł do lochów, gdzie czekała już na niego Riga w towarzystwie strażnika. Obyczaj nakazywał, by próba walki odbywała się w określony sposób. Przygotowano ogrodzony szrankami czworokąt na dziedzińcu zamkowym, a walczący nie mogli mieć na sobie żadnego pancerza. Walka toczyła się na miecze jednoręczne. Dziewczyna dostała broń ze zbrojowni gwardii. Miecz, który trzymała, wyglądał całkiem przyzwoicie, ale Dever zabrał go jej.

– Będziesz walczyć bronią, którą ćwiczyłaś. – Wręczył jej inny miecz. – Ćwiczyłaś ze mną, więc wiesz, jak walczyć z większym i silniejszym. Musisz to teraz wykorzystać.

– Boję się... – Oczy jej się zaszklily w migotliwym świetle pochodni.

– To rozsądne. – Położył olbrzymią dłoń na jej ramieniu. – Strach jest potrzebny, ale nie może tobą zawładnąć. Masz robić to wszystko, czego cię nauczyłem. Jasne?

– Tak. – Głos grzął jej w gardle.

– Pamiętaj o jeszcze jednej rzeczy, dziewczyno. – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Wojownik ginie z bronią w dłoni, na polu walki, więc jeśli chcesz zostać prawdziwym wojownikiem, to musisz zaakceptować to, że umrzesz w ten sposób. Ale musisz też wychodzić w bój z przekonaniem, że nie umrzesz tego dnia.

– Dobrze. – Posłała mu słaby uśmiech.

– To teraz idziemy tam i pokażesz wszystkim, którzy twierdzą, że kobieta nie może nosić miecza, że się mylą. – Pociągnął ją za sobą.

Po wyjściu z lochów wąską ścieżką, utworzoną przez gwardzistów utrzymujących tłum w bezpiecznej odległości od dziewczyny, dotarli do pola walki. Tam czekał już na nią Berin Auernerek. Mimo zimna panującego na zewnątrz rycerz miał na sobie tylko szare spodnie. W dłoni trzymał miecz z głowicą, na której widniał jego herb. Siwe włosy lepiły się do głowy od potu, a ciało parowało. Nerwowo przechadzał się przy ogrodzeniu, przyglądając się ostrzu. Dever wprowadził Rigę na pole walki i zamknął szranki. Król podniósł się, a tłum, który szczelnie wypełnił zamkowy dziedziniec, cichł powoli w oczekiwaniu na rozpoczęcie starcia.

– Nadszedł dzień próby walki! – rozpoczął Kastil. – Oskarżający rycerz Berin Auernerek uważa, że oskarżona Riga Deterik jest winna. Ona uważa, że jest niewinna, a dowody nie są jednoznaczne. Dlatego zgodnie z prawem i obyczajem to, kto ma rację, rozstrzygnie bój na miecze. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby w próbie walki brała udział kobieta, ale sprawdzając w prawie, nie doszukaliśmy się przeciwwskazań. Podjąłem jednak decyzję, że ze względu na to, iż nikt nie stracił życia w trakcie ataku, próba nie musi zakończyć się śmiercią. Jeśli jeden z walczących się podda, sprawiedliwości stanie się za dość. – Szmer poniósł się wśród zebranych. – Taka jest wola króla, a słowo króla jest prawem, zawierając sprawiedliwy werdykt bogom, rozpoczniemy starcie.

– Honor nie pozwala mi z niewiastą na miecze walczyć! – zawołał rycerz. – Jednak rozkaz królewski jest jasny. Dlatego przełożę miecz do słabszej ręki.

Niemal teatralnie przerzucił miecz do lewej dłoni i ruszył na środek pola walki. Riga odetchnęła głęboko i zmusiła nogi do ruszenia naprzód. Choć doskonale знаła ten miecz, tym razem zupełnie nie pasował jej do dłoni. Szum krwi zagłuszał krzyki widowni, a suchość w ustach nie pozwalała na przełknięcie śliny.

Berin nie dał jej zbyt dużo czasu na myślenie i rozpoczął atak. Był w średnim wieku, a spory brzuch nie ułatwiał mu poruszania się, ale mimo to dość szybko znalazł się tuż obok dziewczyny i z dużą pewnością siebie wykonał pierwsze cięcie. Otworzył szeroko oczy, kiedy Riga sparowała jego cios i wyprowadziła kontrę. Wywiązała się wymiana cięć i choć rycerz



uderzał dużo mocniej, to ona potrafiła się obronić, odpowiednio ustawiając tułów i balansując na nogach.

Riga w głowie miała tylko kolejne elementy, których uczył ją Dever Monerweh. Dever nie był rycerzem i nie uczył jej szermierki, tak jak robiono to wśród rycerstwa. Dla niego nie miało znaczenia, czy walczy się pięknie, liczyła się tylko skuteczność. I właśnie taki atak wyprowadziła Riga. Uchylając się przed cięciem od dołu, zamiast zablokować miecz swoją klingą, zrobiła to butem, a mieczem trafiła rycerza w ramię. Krew połała się po wilgotnej skórze.

– Oszustwo! Niehonorowo! – wykrzykiwał Auernerek.

Nie miał jednak dużo czasu na protesty, bo jego rywalka chciała wykorzystać swoją szansę. Ruszyła do ataku i ledwo zdążył sparować cios zmierzający prosto w jego głowę. Zdał sobie sprawę, że ta walka wcale nie będzie tak łatwa. Krzyknął głośno i z całym impetem natarł na Rigę. Ta broniła się, odbijając ciosy z prawej i z lewej, aż potknęła się, cofając, co wykorzystał rycerz, przejeżdżając jej ostrzem po żebrach. Syknęła z bólu i odskoczyła, trzymając się za bok. Krew przesiąknęła przez materiał jej koszuli.

Zmęczony już i zasapany Berin chwycił mocno miecz w obydwie dłonie i rozpoczął szarżę. Ciął od góry, raz za razem, wkładając w każde uderzenie potężną siłę. Iskry strzelały spod zderzających się ze sobą ostrzy, aż nagle jedno z nich wyleciało w górę i wbiło się w ziemię. Riga szybko wyrwała ostrze z trawy. Wiedziała, że nie wytrzyma takiego naporu, więc zrobiła to, czego nauczył ją Dever. Wykorzystała swoją szybkość i cięła z dołu. Nie zdążyła dobrze wycelować, po prostu uderzyła. Trafiła w trzymające miecz dłonie. Ostra stal przejechała przez nie, rozcinając skórę głęboko.

– Koniec! Poddaję! – wył Berin.

– Próba walki dobiegła końca! – Donośny głos Kastila rozległ się na dziedzińcu. – Riga Deterik jest niewinna zarzucanych jej zbrodni!

Możni zgromadzeniu na podwyższeniu byli niezadowoleni. Próbowali dyskutować z królem, odnosić się do niehonorowego zagrania. Zwłaszcza ojcowie pozostałych dwóch giermków nie mogli pogodzić się z wyrokiem. Tymczasem w tłumie zgromadzonym na dziedzińcu reakcje były podzielone. Część ludzi buczała i gwizdała, ale dało się też słyszeć głośne wiwaty. Gwardziści wbiegli na pole walki. Większość pomagała rycerzowi,

a Dever stanął przed Rigą. Z trudem wyciągnął miecz z jej zaciśniętych do białości palców. Spojrzała na niego przerażonymi oczami i zemdląła.

## Rozdział XXXV

Hex stał przed drzwiami swej siedziby i przyglądał się ćwiczącym żołnierzom. Zebrał w Aneti płatnerzy i kowali, którzy pracowali nad uzbrojeniem dla jego armii. Nie dało się jednak przyspieszyć procesu wytwarzania ekwipunku, więc spora część wojów nadal musiała walczyć tym, co ze sobą przyniosła. Ludzie walczyli kosami, widłami, siekierami, a nawet długimi nożami. Trzeba było tak prowadzić lekcje, by wykrzesać jak najwięcej z tych prostych chłopów posługujących się prymitywną bronią. Dzielił ich zatem na oddziały według uzbrojenia i wraz z kapłankami i mistrzami walk z różnych krajów uczył najlepszego wykorzystania broni w boju.

Ci, którzy nie mieli żadnego uzbrojenia, dostawali łuki i strzały. Nie liczył już nawet na to, żeby wprowadzić jednolite umundurowanie. Kobiety mieszkające w Yelayinie, a także te, które ściągnęły za wojskiem, szyły flagi i proporce, na mundury nie wystarczyło ani czasu, ani materiałów. Armie z najdalszych zakątków miały niedługo dołączyć do zgromadzonych już wojowników i rozbić olbrzymi obóz na granicy Yelayinu i Barbasu. Było to doskonałe miejsce, z jednej strony osłonięte górami, a z drugiej zaopatrzenie można było do niego dostarczać, spławiając rzeką. Pomysł, by tam ulokować wojsko, wybitnie spodobał się Hexowi. Dodatkowym atutem tego miejsca była prosta droga do świątyni w Phedas. Niezwykle cieszyły go kolejne informacje o wyżynaniu czerwonych kapłanów przekazywane z każdego zakątka imperium.

Patrząc na pojedynkujących się na długie drzewce z kosą na końcu, zastanawiał się jednak nad zupełnie inną sprawą. Cały czas męczyło go to, że nie mógł znaleźć się w umyśle Pandeya. Po ostatniej rozmowie w trakcie spaceru po Aneti przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Musiał jednak dokładnie go sprawdzić, nie znając realnych możliwości swojego gościa. Skoro miał jakiś wpływ na Mosę, to mógł być groźniejszy, niż się na pierwszy rzut oka wydawało. Kapłanki w żadnej księdze nie znalazły

niczego, co rzuciłoby jakieś światło na tę sprawę. Musiał więc zawierzyć intuicji prowadzonej przez Sag Bas. Powrócił myślami do ostatnich chwil spaceru. Przypomniał sobie drobny gest, który mógł mieć kolosalne znaczenie. Złapał za kłamkę i wparował do środka willi. Rozejrzył się pospiesznie, ale z niezadowoloną miną zobaczył tylko przechodzącą przez korytarz Iv.

– Gdzie jest Mossa? – zawołał.

– W komnacie księcia Barbasu – odparła nieco zdezorientowana.

– Idź po nią i przyprowadź do mojej sypialni. – Ruszył przed siebie. – Wszystkie się tam stawcie. Natychmiast!

Chciała o coś zapytać, ale widząc nastrój imperatora, pędem rzuciła się do sypialni Pandeya. Hex nie zwrócił na to uwagi i zamknął się w swoim pokoju. Nie zdążył dobrze się w nim rozejrzeć, a kapłanki wpadły do środka, pytając jedna przez drugą, co się dzieje.

– Milczeć! – warknął. – Mosso, podejdź tutaj.

Zaskoczona dziewczyna z przerażeniem w oczach wyszła przed grupę kapłanek i niepewnie stanęła przed Hexem. Przezornie trzymała dłonie splecione za plecami.

– Długo zastanawiałem się, co się dzieje – mówił już chłodnym tonem. – Nie mogłem znaleźć odpowiedzi na pewien mały defekt mocy Sag Bas. Dopiero spacer z kompanami podarował mi wskazówkę. Mosso, spędzasz z naszym barbaskim gościem najwięcej czasu i być może tego nie zauważyłaś, ale ostatnio nie mogłem się z tobą komunikować myślami. Teraz już wiem, dlaczego tak się działo. Pokaż dłonie!

– Dlaczego? – zapytała, ale nie miała siły się przeciwstawić demonicznemu wzrokowi wściekłego imperatora.

– Dlatego. – Stuknął palcem w bursztynowy pierścień znajdujący się na jednym z palców dziewczyny.

– Co to oznacza? – odezwała się Juvii. – To dlatego miałyśmy szukać wszystkiego, co ma związek z bursztynem?

– Tak, właśnie dlatego. – Hex spojrzył na nią. – Ten niepozorny kamień jest jednocześnie żywy i umarły, czyli może posiadać taką samą moc, jaką daje Drzewo Śmierci i Źródło Życia. Nie wiem, czy tak jest, ale tak przypuszczam. Dlatego noszenie takiego kamienia blokuje moje możliwości. To właśnie z powodu tego pierścionka nie miałem dostępu do twoich myśli.

– Dostałam go od...

– Wiem! – Huknął, aż zadrżały meble. – Wiem, od kogo go dostałaś. Nie wiem tylko, czy zrobił to celowo, wiedząc, jakie ten kamień posiada właściwości.

– Co teraz? – Iv wychyliła się zza Ahgi.

– Teraz będziemy musieli się tego dowiedzieć. – Patrzył głęboko w oczy stojącej przed nim kapłanki. – Mossa zdejmie ten pierścionek, ja sprawdzę, o czym rozmawiają z Pandeyem.

– Wspomnienia? – zapytała drżącym głosem.

– Owszem – odparł lodowato. – Przytrzymajcie ją, żeby nie upadła. Zdejmij pierścień.

Kiedy tylko zsunęła pomarańczowo-brązową ozdobę z dłoni, na jej twarzy pojawił się grymas bólu. Rozdzierający krzyk niósł się po korytarzach willi w Aneti. Krzyczała tak głośno i przeraźliwie, że pewnie było ją słychać też na podwórzu. Łzy ściekały po jej policzkach, mocząc białe strój. Pozostałe kapłanki mocno ją podtrzymywały, bo nogi nie potrafiły utrzymać jej w pionie.

– Na łóżko! – krzyknęła Juvi.

Położyły ją, nawet nie zauważając strużki krwi wypływającej z nosa. Dłonie i nogi młodej kapłanki drżały w przeraźliwych skurczach, aż nagle wszystko ustało. Hex otworzył oczy i odetchnął głęboko.

– Zajmijcie się nią. – Skierował się ku drzwiom. – Muszę się przejść.

Wrócił po dłuższej chwili, kiedy Mossa zdążyła już dojść do siebie dzięki pomocy towarzyszek. Wyciąganie wspomnień z umysłu człowieka było straszliwie bolesne. Hex nie robił tego często, zwłaszcza osobom ze swojego otoczenia. Tym razem nie miał jednak wyboru. Widząc, że kapłanka siedzi na łóżku, jest przytomna i nie wygląda strasznie, poczuł się nieco lepiej. Powitały go pytające spojrzenia reszty kobiet.

– Kiedy tylko Mossa zaczęła towarzyszyć mu częściej, zaczął mieszać jej w głowie. – Hex oparł się o parapet. – Najpierw wmawiał jej, że wszystkie razem tworzycie odpowiedni kolektyw, by poprowadzić Sag Bas. Zyskując jej zaufanie, stopniowo starał się przekonać ją, że jestem zbędny. Z każdej decyzji, którą podjąłem, wyciągał przed nią tylko to, co najgorsze. Nie mówił o celu ani o powodach, po prostu wmawiał jej, że jestem bestią, nad którą nie ma kontroli, i że prędzej czy później pozabijam również was.

– Tak... – Mossa westchnęła smutno. – Mówił o tym przy każdej okazji...

– Mówił też o tym, że imperium byłoby dużo lepiej zarządzane, gdybyście to wy się tym zajmowały same. Straszyl ją mną i namawiał, żeby

wciągnęła w to wszystko resztę.

– Ale nie chciałam o tym nikomu mówić... – zaprotestowała.

– To prawda. – Reszta kapłanek siedziała cicho. – Ale nie powiedziałaś też nic o tym, że przedstawił ci plan zabicia mnie, a ty się zgodziłaś.

– Co zrobiłaś?! – krzyknęła Juvii, a reszta kobiet poderwała się z łoża, na którym siedziały.

– To nie tak... – Mossa próbowała się tłumaczyć. – On mnie skołował... Nie wiedziałam, co zrobić.

– Zaproponował jej, by przeciągnęła na jego stronę wszystkie kapłanki poza Juvii – przerwał jej Hex.

– Dlaczego poza mną? – Juvii nie mogła opanować złości.

– Uznał, że ty się nie dasz przekonać, bo znasz mnie od początku. – Spojrzał na nią na chwilę, ale szybko wrócił do Mossy. – Przedstawił jej nawet plan obrazujący, w jaki sposób miałbym zginąć. Kiedy pozostałe znalazłyby się po jego stronie, miało zostać zaaranżowane spotkanie, na którym Mossa miała mi wbić Kati w plecy.

– I co teraz? Zabijesz go? – zapytała Ahga.

– Nie – odparł najzupełniej spokojnie. – Wiedząc już, że to bursztyn blokował umysł Mossy przede mną, wiem, jak wejść do głowy Pandeyowi. Muszę się dowiedzieć wszystkiego. Jaki ma plan, z kim współpracuje, co wie o bursztynie i Sag Bas. Nie mogę go tak po prostu zabić.

– Ale planuje na ciebie zamach! – oburzyła się Tia.

– Wiem, ale to nie jest nic groźnego – uspokoił ją. – On chce koniecznie wykorzystać do tego was, a mając was po swojej stronie, możemy wykorzystać jego plan przeciwko niemu. Tylko w jakiś sposób trzeba go zmusić do zdjęcia z siebie całego bursztynu.

– Pojmiemy go i rozbierzemy do naga – zaproponowała Ahga.

– Biorę pod uwagę takie rozwiązanie, ale najpierw chciałbym spróbować czegoś innego. – Mroczny cień przebiegł po jego groźnej twarzy. – Żeby móc obrócić jego plan przeciwko niemu, musimy robić wszystko, by myślał, że wygrywa. Dlatego Mossa pójdzie do jego komnaty wieczorem i zaciągnie go do łoża. Tam musi być całkiem nagi, dopilnujesz tego.

– Nie! – Pokręciła głową. – Nie chcę, nie zrobię tego.

– Zrobisz, co ci karzę. – Jego stanowczy ton przerwał wszelkie protesty. – Nie zapominaj, że przed chwilą dowiedziałem się, że zgodziłaś się mnie zabić, by przejąć władzę w imperium.

– Zrobisz to, co zostało nakazane – wtrąciła się Juvi. – Rozbierzesz go do naga, zdejmiesz z niego cały bursztyn, a wtedy Hex będzie mógł wejść do jego umysłu, rozumiesz?

– Ale... – Mossa opuściła głowę. – Rozumiem.

– Zrobisz to dzisiaj wieczora. Nie ma czasu do stracenia. Będę wtedy w twoim umyśle, by widzieć wszystko i wiedzieć, kiedy będzie gotowy – rzekł i wyszedł z komnaty.

Mossa zostawiła Pandeya w jego prywatnej komnacie i wyszła się przejść. Mijała masy ludzi przygotowujących się do snu. Mrok spowił już całą zupełnie nową osadę stworzoną w Aneti. Codziennie tłumy docierały do miasta i osiedlały się już daleko od centrum. Ludzie kończyli pracę, wykonując ostatnie czynności czy sprzątając swoje stanowiska, a młoda kapłanka biła się z uczuciami. Wałęsała się tak, rozmyślając, aż wszystkie ulice opustoszały. Dopiero wtedy wróciła do willi stanowiącej centrum Sag Bas. Nie chcąc narobić zbyt dużo hałasu, poszła od razu do komnaty księcia Barbasu. Wślizgnęła się do środka. Na stoliku, przy którym siedział Pandey, paliła się lampka.

– Co tu robisz?! – zapytał półgłosem.

– Po prostu... nie chcę dzisiaj spać z nimi...

– A mówiłaś im o tym, o czym rozmawialiśmy wcześniej? – Przestraszył się nieco, że to dlatego dziewczyna uciekła od reszty kapłanek.

– Tak... – Nie patrzyła mu prosto w oczy. – Tia i Iv też o tym myślały, ale bały się, że są same. Ahga uważa, że powinniśmy inaczej prowadzić nasze armie...

– To dlaczego nie śpisz z nimi, co? – Dźgnął ją lekko palcem w brzuch.

– Przecież wiesz... – Spuściła wzrok.

– Domyślam się. – Objął ją i pocałował w burzę czarnych włosów.

Powoli przesuwali się w stronę łoża. Ciało Mossy drżało pod wpływem dotyku Pandeya. Padli w pościel i książę Barbasu coraz bardziej rozpędzał się w pieszczotach. Jego palce wsuwały się we włosy dziewczyny.

– Auć! – Pisnęła.

– Przepraszam – szepnął jej do ucha, z trudem opanowując emocje.

– Musisz pozbyć się tego stroju. – Usiadła na nim okrakiem i zaczęła rozpinać grubą, wełnianą szatę o jaskrawożółtej barwie, zapinaną na guziki z bursztynu.

– Ty swojego też... – Czowała napięcie pod materiałem w miejscu, w którym siedziała.

– Moje nie ma żadnych uwierających guzików! – zaprotestowała, rozchylając poły jego szaty.

Nie mógł już wytrzymać i spróbował złapać kapłankę za piersi, ale ta szybko go skarciła.

– Poczekaj! – syknęła. – Najpierw musimy się pozbyć wszystkiego, co masz na sobie.

Zdjęła jego szatę i rzuciła z dala od łóżka, rozpięła spodnie i również odrzuciła je daleko. Został zupełnie nagi, nie licząc biżuterii na dłoniach. Ochocho zabrał się do prób rozebrania kapłanki, ale ponownie dostał po rękach.

– To boli! Musisz zdjąć ten metal z palców. – Chwyciła go za dłoń i zaczęła ściągać pierścienie, które na niej nosił.

– Po co to wszystko? – zapytał nieco zdezorientowany.

– Chcę czuć dotyk twoich palców, a nie chłód metalu. – Mocowała się z kolejnymi, ciasnymi sygnetami.

Kiedy ostatni bursztynowy sygnet został zdjęty, spodziewała się, że Pandey straci przytomność albo chociaż ból wykrzywi jego twarz, tymczasem nie widziała żadnej reakcji. Przeraziła się, że to jednak nie bursztyn dawał mu taką moc, że Hex się pomylił. Pandey chwycił ją mocno i przycisnął do siebie. Była od niego silniejsza i lepiej potrafiła walczyć, ale stres sparaliżował ją zupełnie. Czowała na sobie wilgotne i rozpalone usta mężczyzny, jego dłonie błędzące po jej ciele...

– Wyjdź stamtąd! – Usłyszała w głowie głos Hexa. – Powiedz mu, że resztę dostanie po wszystkim. Powiedz mu to i uciekaj!

– Na dziś wystarczy! – Stękając, wyszarpała się z jego uścisku.

– Jak to? – Dyszał podniecony.

– Nie mogę się oddać rozkoszy, wiedząc, że on może siedzieć w mojej albo w twojej głowie...

– Ach... – Pandey zacisnął pięści.

– Przepraszam, ale już niedługo wrócimy do tego. – Przejechała palcami po jego brzuchu i uciekła w pośpiechu.

Wbiegając do sypialni Hexa, w której zgromadzone były pozostałe kapłanki, była już cała zapłakana. Zamknęła za sobą drzwi i usiadła na łóżku, cicho łkając. Schowała głowę w kolanach i nie chciała podnieść wzroku, nawet kiedy przysiadła się do niej Juvi.

– Nie przejmuj się, dziecko – mówiła uspokajającym głosem. – Bardzo dobrze się spisałaś.



– On zachowywał się tak... – próbowała mówić, ale słowa więzły jej w gardle.

– Ach, dziewczyno, to całkiem normalne. – Juvy uśmiechnęła się nieco zakłopotana. – Kiedy mężczyźni krew odpływa z mózgu, to wstępuje w niego zwierzę. Instynkty się włączają i zwyczajnie chciał cię posiąść.

– A dlaczego nie zareagował, chociaż wszystko się udało? – zapytała tak, że kapłanka musiała chwilę pomyśleć, o co jej chodziło.

– Zapomniałaś z tego wszystkiego, że Hex potrafi poruszać się w myślach bezszelestnie. – Pogładziła ją po głowie. – Wyczytał z niego wszystko tak, jak chciał. Miał rację co do tego bursztynu.

– Później jej to wszystko opowiesz – przerwał stanowczo. – Mamy poważny problem. Z tego, co widziałem, to on chce przejąć władzę i wykorzystać zjednoczenie krain wschodu, by panować nad imperium. Dąży do tego stopniowo, a jego głównym celem jest pozbycie się mnie. Liczy na to, że dużo łatwiej będzie mu sterować wami, kiedy ja zginę. Nie przyjął Sag Bas. Nie obchodzi go to, o co walczymy. Chce tylko tronu dla siebie.

– To teraz musimy go zabić, prawda? – Ahga liczyła na potwierdzenie.

– Chodźmy, póki tam leży – dodała Iv.

– Nie. – Hex był zimny jak lód. – Mam zupełnie inny plan, który będzie dużo skuteczniejszy.

– Sag Bas i jej kręte drogi... – Juvy westchnęła, obejmując drżącą Mossę.

W ciągu kilku kolejnych dni kapłanki przekazywały Pandeyowi w sekrecie, że wspierają jego plan i chętnie pozbędą się straszliwego władcy. Urwane szepty, delikatne gesty wprawiały księcia Barbasu w świetny nastrój. Wreszcie z samego rana do jego sypialni weszła Mossa. Wydawała się bardzo przejęta.

– Hex zaprosił dzisiaj wszystkie kapłanki do głównej sali – mówiła szybko, ale cicho. – Juvy powiedziała, że ma nam tam przedstawić plan działania. Rozdzielili nas do różnych oddziałów i będziemy je prowadzić do miejsca zbiórki.

– Chce was rozdzielić, żebyście nie mogły działać wspólnie, obawia się – odparł z przekonaniem.

– Iv też tak uważa i właśnie dlatego planujemy to zrobić dzisiaj. – Ściszyła głos do szeptu.

– Tak, to może być ostatni moment. – Podeszedł do okna. – Przygotowania do wymarszu są już na ukończeniu. Później może nie być

okazji.

– Spotkanie zaczyna się za chwilę. – Mossa rozglądała się nerwowo. – Przyszłam ci powiedzieć, żebyś mógł gdzieś tam z boku wszystko obserwować.

– Tak, tak zrobię. – Pandey nie potrafił ukryć ekscytacji. – Nie ma odwrotu.

– Nie ma... – Dziewczyna westchnęła i wyszła, a przejęty Pandey ruszył za nią.

Główną salę od przejścia do pomieszczeń dla służby oddzielała gruba brązowa kotara. Księżę Barbasu schował się za nią, delikatnie ją odsuwając, i obserwował to, co działo się przy stole. Imperator siedział u szczytu stołu, a po obu jego stronach krzesła zajmowały kapłanki. Hex jak zwykle był nieobecny, spoglądał gdzieś w dal. Wyglądało, jakby zupełnie nie obchodziło go to, że jego kapłanki siedzą tuż obok.

– Skoro jesteśmy już wszystkie, to może byś powiedział, po co nas wezwwałś – zaczęła Iv.

– Wiem, że wybrałyście razem z generałami miejsce skupienia wojsk, ale muszę je zmienić – mówił chłodno, jak zawsze.

– Co!?! – oburzała się Ahga. – Przecież to najlepsze miejsce w okolicy.

– Nie podważaj moich słów, kapłanko – ostrzegł ją.

– A właśnie że będę! – Podniosła się. – Po co nas za sobą ciągniesz, skoro uważasz, że wszystko wiesz najlepiej?!

– Ahgo! – Juvy próbowała ją powstrzymać, ale Azuanka nie zwróciła na nią uwagi.

– Podważasz nasze decyzje, chociaż sam każesz nam je podejmować! – wykrzyczała Ahga.

– Nie informujesz nas o swoich planach! – wtrąciła Iv. – Nie wiemy nawet, kiedy planujesz wymarsz tych wojsk!

– Wiecie tyle, ile potrzeba. – Hex nadal zachowywał spokój, a podekscytowany Pandey nie mógł ustać w spokoju.

– Rządząc same, miałybyśmy większe szanse powodzenia! – Iv stanęła obok Ahgi.

– Przynajmniej nie mamy zamiaru wysłać ludzi na śmierć z powodu mrozu i głodu! – dołączyły do nich Mossa i Tia.

– Czy to bunt? – Hex również się podniósł.

Pandey nie mógł wytrzymać z ekscytacji, ścisnął zasłonę tak mocno, że zbieleły mu knykcie. Widział, jak kapłanki zaczynają okrążać Hexa i Juvy,

oddychał szybko i płytko, nie mogąc doczekać się ataku. Widział błyskające w ich dłoniach sztylety Kati.

– To nie bunt! – odparła Iv. – Po prostu uważamy, że imperium potrzebuje racjonalnego władcy, który nie zmienia zdania z dnia na dzień!

– Tak! – poparły ją pozostałe. – I takiego, który nie zabija ludzi w tak brutalny sposób!

– I chcecie mnie zabić, żeby przejąć władzę? – Hex rozejrzał się.

– Przestańcie natychmiast! – próbowała do nich przemówić Juvy i też sięgnęła po Kati.

– Dobrze wiesz, że mamy rację! – odpowiedziała jej Iv. – To jedyne rozwiązanie, by ludzie bezgranicznie uwierzyli w Sag Bas.

– Przecież... – Juvy chciała coś jeszcze powiedzieć, ale usłyszała głuchy dźwięk uderzenia i stęknienie. Obróciła się i ujrzała przerażone oblicze Hexa. Jego oczy były szeroko otwarte, a plecy nienaturalnie spięte. Tuż za nim stała Mossa, a należące do niej Kati wystawało z jego pleców. Imperator oparł się o krzesło, niemal tracąc równowagę. Plama krwi wypłynęła też na plecach kapłanki.

Pandey, gdy tylko zobaczył szkarłatną plamę na bielutkim stroju Mos-sy, wyskoczył zza kotary i podszedł bliżej. Juvy próbowała pomóc Hexowi, ale nie było już czego ratować.

– Wreszcie mu się postawiłyście! – odezwał się podniecony. – Teraz imperium zacznie się rozwijać tak, jak powinno od samego początku. Ten potwór już nigdy nie zagrozi waszemu bezpieczeństwu. Już nie będzie wam groził...

– Za to będę musiał zagrozić tobie, przyjacielu.

Książę zadrżał, słysząc słowa Hexa.

– Co?! – Obrócił się i prawie zemdłał.

Hex stał wyprostowany, a na jego twarzy widniał delikatny uśmiezek, co nadawało jej jeszcze bardziej przeraźliwy charakter. Sięgnął za plecy i bez mrugnięcia okiem wyciągnął z nich sztylet. Podszedł z nim do Pandeya, nie odrywając od niego stalowego spojrzenia. Wziął w dłoń kawałek jego szaty i wytarł o nią zakrwawioną broń.

– Ale jak to... – Pandey jąkał się. – Przecież to Kati...

– Owszem, przyjacielu. – Hex wyciągnął dłoń w kierunku Mossy, która zabrała swoją broń. – Jednak Sag Bas pozwoliła mi pojąć moc chroniącą przed ranami zadanymi Kati. Nie można mnie zabić nawet taką bronią. Mossa trafiła w miejsce, które jest bolesne, ale nie zginę od tego. Sag Bas

podarowało mi też dar, który pozwolił mi przeczytać twoje myśli. Dowiedziałem się z nich, że chcesz mnie zabić. Nie byłbym zły, gdyby nie to, że nie chciałeś pobrudzić sobie rąk sam, ale próbowałeś zbuntować moje kapłanki i zaczęłaś od tej najmłodszej i najbardziej podatnej. Dlatego zainscenizowaliśmy to, co widziałeś.

– Ale... – Pandey nie mógł zamknąć ust.

– Twoje zaskoczenie jest całkowicie naturalne. – Uśmiech nie schodził z twarzy Hexa. – Kapłanki świetnie to rozegrały. Jednak myślę, że będziesz bardziej zaskoczony, kiedy opowiem ci, jaką karę wymyśliłem za tak wyszukaną próbę zdrady. W takim wypadku kara też musi być wyszukana. Wezwałem Nira, generał powinien wiedzieć, jakie są rozkazy.

– Jestem, imperatorze. – Rycerz pojawił się znikąd.

– Juvy napisze list, w którym wzywa mieszkańców miasta Pandey do opuszczenia miasta w ciągu trzech dni. W liście będzie napisane, że miasto zostanie zajęte przez wojsko Sag Bas ze względu na zdradę księcia Pandeya. Ulokujesz armię dzień drogi od miasta i wyślesz posłańców z tym listem. Kiedy oni wrócą, cała nasza armia zaatakuje. Zdobędziecie miasto, wybijecie wszystkich jego mieszkańców i pojmiecie króla Vizeya.

– A trzy dni w liście? – Nir spojrzał zaskoczony.

– To tylko po to, by wywołać panikę. – Hex spojrzał na Pandeya. – Gdy Vizey zostanie pojmany, wyprowadzicie go przed mury miasta, gdzie będzie na niego czekał zdradziecki syn. Dopiero wtedy zaczniecie palić i burzyć miasto. Zniszczycie wszystko, co się da. Macie zakaz sprzątania ciał poległych mieszkańców, mają się palić razem z miastem. Czy to jasne? Potem zetniecie króla Vizeya na oczach jego syna.

– Nie! – wydarł się Pandey i próbował rzucić na Hexa, ale ten strzelił go w twarz otwartą dłonią, aż księżę wylądował na stole.

– Spokojnie, przyjacielu – zwrócił się do niego. – Właśnie miałem przejść do tego, jaka kara spotka ciebie, bo przecież zniszczenie miasta nazwanego na twoją cześć i zabicie ojca to zbyt mało. Kiedy już całe miasto wypali się, pozostaną tylko czarne ruiny i spalona ziemia, wyciągniecie księcia Pandeya z klatki i poprowadzicie na główny plac, gdzie kiedyś stał pałac. Tam odbędzie się najprzyjemniejsza część. Juvy, pamiętasz księżkę, którą mi podarowałaś na początku? Tę o historii kar cielesnych na zachodzie.

– Tak, pamiętam, ale... – Kapłanka nie dokończyła, a jej zmarszczone czoło świadczyło o tym, że w tej księdze nie było nic dobrego.

– Wyobraź sobie, Pandeyu, że oni mieli w zwyczaju zdrajców nadziewać na wysoki zaostrzony pień i ustawiać w jakimś dobrze widocznym miejscu. Generale, zaostrzycie odpowiednio wysoki pień już tutaj i weźmiecie go ze sobą. Tam rozbierzecie z szat naszego księcia, nadziejecie na pal i ustawicie na środku, żeby mógł oglądać swoje dzieło. Bo tak, mój przyjacielu, spalone miasto nazwane na twoją cześć i zabici ludzie są twoim dziełem. Ja chciałem zniszczyć tylko Phedas, ale nie pozostawiłeś mi wyboru. Taki nabity na pal człowiek może pożyć kilka dobrych dni, więc zostawisz tam nieduży oddział, żeby go pilnował. Żeby sprawdzić, czy nie żyje, niech strzelą do niego z łuku.

– Tak jest, imperatorze. – Generał skłonił się.

– Część armii z północy czeka na ciebie w okolicach Porvegetu, weź stąd tyłu żołnierzy, ilu potrzebujesz. Spotkamy się w Phedacie. – Nir zsalutował i już miał wychodzić. – A! Jeszcze jedna bardzo ważna rzecz. Żadnych kradzieży! Żołnierze nie mogą wziąć niczego z tego miasta. Jeśli dowiem się o tym, że któryś coś ukradł, to go zabiję. Będziemy w kontakcie.

Nir wyszedł z pomieszczenia, a imperator przeniósł wzrok na bladego jak ściana Pandeya. Spojrzał również na kapłanki, które wyglądały na bardzo przejęte.

– Któraś ma coś przeciwko takiej karze? – zapytał w myślach.

– Jego zabij, ale po co palić miasto, zabijać niewinnych... – odpowiedziała Iv.

– Widzisz, kapłanko, czasami trzeba zrobić coś dla przykładu. Żołnierze, którzy wezmą udział w zniszczeniu miasta, opowiedzą o tym innym, a ci poniosą te wieści dalej. Zmniejszy to ryzyko tego, że ktokolwiek inny pomyśli o zdradzie. Skoro nie wahałem się zrównać z ziemią jednego z największych i najpiękniejszych miast wschodu, to czy zawaham się przed innymi, gorszymi nawet karami? – Zawiesił mentalny głos na chwilę, ale nie doczekał się odpowiedzi. – Juvi, pójdiesz ze mną, napiszemy list do króla Vizeya. A co do naszego księcia, to, Ahgo, odprowadzisz go do tej stodoły obok namiotu kowala. Poprosiłem go, by wzmocnił klatkę do przewożenia zwierząt. Zamknijcie go tam i każcie pilnować kilku żołnierzom. A! I oczywiście zdejmijcie z niego cały bursztyn.

## Rozdział XXXVI

Szczęk stali roznosił się po zamkowym dziedzińcu. Para unosiła się z rozgrzanych ciał członków królewskiej gwardii, którzy właśnie odbywali cotygodniowy trening walki pod okiem króla Kastila. Mężczyźni pozbyli się górnej części stroju i w pocie czoła szlifowali swoje umiejętności walki na miecze. Mroźne powietrze poranka świetnie chłodziło ich rozgrzane ciała. Kilkudziesięciu wojów podzieliło się na różne grupy, w których walczyli jeden na jednego, dwójkami albo w grupach.

Gwardziści od niedawna trenowali dużo częściej, ale jeden dzień w tygodniu król Kastil przeznaczył na trening wspólny. Uznał, że musi być jak najbliżej swojej gwardii, by w wypadku konieczności podjęcia bitwy wiedział, na co ich stać, i mógł im w pełni zaufać. Walczył w trójce z Deverem i dowódcą gwardii Theusem Merikiem przeciwko trzem innym rycerzom. Ustawili się w trójkącie plecami do siebie i parowali kolejne natarcia, odcinając się groźnie. Król wreszcie skoczył do przodu między dwóch przeciwników i przewrócił jednego kopniakiem, drugiemu przyłożył miecz do żeber.

– Zwycięstwo. – Wydyszał. – Walczcie dalej, wracam za chwilę.

– Ma król kopnięcie. – Rycerz podniósł się. – To było zaskoczenie.

– I na takie zaskoczenia musicie być gotowi, bo przecież nie zawsze walczycie z honorowym rycerzem. – Kastil wbił w trawę miecz i odszedł od nich.

Skierował się ku pomieszczeniom gospodarczym znajdującym się niedaleko miejsca treningu. Jego uwagę zwróciła dziewczyna siedząca na wozie, przyglądająca się walczącym mężczyznom. Poznał ją od razu, była to ta sama dziewczyna, która wygrała próbę walki z doświadczonym rycerzem. Nie zauważyła go od razu, cały czas przyglądając się świszczącym w powietrzu ostrzom. Dopiero kiedy podszedł bliżej, niemal zeskoczyła z wozu.

– Riga, jeśli dobrze pamiętam – zagadnął.

– Tak, ech, wasza miłość. – Nie wiedziała, czy klęknąć, czy paść na twarz, czy patrzeć mu w oczy.

– Spokojnie. – Uśmiechnął się. – Jak widzisz, dzisiaj nie mam na sobie ani korony, ani nawet koszuli, więc do wysokości mi daleko. Uspokój się, dziewczyno, i patrz mi w oczy.

Podniosła głowę i zobaczyła wysokiego i postawnego mężczyznę z bardzo mocno zarysowanymi mięśniami, którego tors porastały ciemne włosy, podobnie ciemne jak broda i czupryna parujące od potu na mroźnym powietrzu. Jednocześnie czuła się przy nim bezpiecznie i czuła bijącą od niego dzikość. Na przedramionach miał skórzane karwasze, a na szyi wisior z głową niedźwiedzia.

– Widziałem, że przyglądasz się ćwiczeniom – ciągnął. – Może chciałabyś spróbować?

– To jest trening gwardii... Ja nie jestem godna, żeby z nimi walczyć... – Opuściła wzrok.

– Pokazałaś, że jesteś godna, żeby walczyć z rycerzami. – Zamyślił się na chwilę. – Skoro już jest po procesie, to powiedz mi, jak było naprawdę.

– Było tak, jak mówiłam wtedy – odpowiedziała niepewnie. – Oni mnie zaatakowali, a ja się tylko broniłam...

– Tak właśnie sądziłem. – Kastil oparł się o wóz. – Widząc zachowanie ojców tych dzieciaków, wiedziałem, że to oni są winni.

– Jak to? – zapytała przejęta.

– Widziałem na tej sali niejednego proces, jeszcze jako księżę i już jako król. – Zapatrzył się na walczących gwardzistów. – Za każdym razem poszkodowany stawiał się przede mną. Przychodzili o kulach, owinięci bandażami, przywozili ich nawet w łóżach. Tym razem się nie stawili, a przecież te obrażenia nie były aż tak wielkie. Sądzę, że wstydzili się tego, co zrobiła im dziewczyna, którą chcieli napaść.

– Tak wasza miłość myśli? – Nie mogła oderwać od niego wzroku.

– Dokładnie tak uważam. – Uśmiechnął się. – Powiem ci jednak coś więcej. Widziałem twoją walkę z tym rycerzem. Wiem, od kiedy Dever cię uczy, i uważam, że masz dar do walki. To, jak poradziłaś sobie z większym i bardziej doświadczonym przeciwnikiem, zaimponowało mi. Dlatego też chciałbym, żebyś ćwiczyła z Deverem najczęściej, jak się da.

– To... to bardzo miłe, ale... – Szukała słów pasujących do króla. – Obowiązki gwardzisty...

– Nie przejmuj się obowiązkami gwardzisty, dziewczyno. – Kastil położył jej dłoń na ramieniu, aż przeszły ją ciarki. – To ja tutaj jestem królem, a co za tym idzie dowodzę gwardią, jeśli będę chciał, to może nie mieć żadnych obowiązków poza uczeniem ciebie.

– To by było zbyt dużo... – Dłoń na jej skórze wydawała się twarda i szorstka, ale jednocześnie ten dotyk był dla niej niezwykle przyjemny.

– Zgadza się, to by było zbyt dużo, ale bądź pewna, że Dever będzie dostawał czas na twoje szkolenie, ale pod jednym warunkiem. – Uśmiechnął się zawadiacko. – Pójdziemy teraz w kierunku ćwiczących gwardzistów, weźmiesz miecz i stoczysz ze mną treningowy pojedynek.

– Nie, nie. – Pokręciła głową. – Nie mogę podnieść miecza na króla...

– Już ci mówiłem, że w tej formie nie jestem królem, tylko takim samym wojem jak tamci. – Podał jej broń. – Ale jak tak bardzo będziesz się upierać, to wydam królewski rozkaz i wtedy nie będziesz miała wyjścia. Chodźmy. Trzeba się poruszać, bo chłodno.

Szczęk broni i okrzyki walczących ze sobą gwardzistów cichły z każdym ich krokiem. Zbliżające się ku nim dwie osoby, a zwłaszcza dziewczyna idąca obok króla, wzbudzały wielkie emocje. Jedni zatrzymywali drugich i niemal niezauważalnym gestem bądź szeptem informowali o tym, kto towarzyszy Kastilowi. Władca, wchodząc na środek placu, zarządził zbiórkę. Rycerze powoli utworzyli okrąg wokół Rigi i Kastila. Potężni, wytrenowani i półnaczy parowali na mrozie, dysząc i łapiąc oddech.

– Ci, którzy byli obecni na próbie walki, na pewno poznają tę dziewczynę – zaczął Kastil. – Widziałem, jak poradziła sobie z Auernerkiem, i wy też to widzieliście. Dlatego postanowiłem, że Dever dalej będzie ją szkolił, a dziś weźmie udział w naszych ćwiczeniach.

Żołnierze zachowali milczenie, nie śmiejąc przeciwstawić się decyzji króla, ale po ich minach widać było, że nie są szczęśliwi z takiego rozwoju sytuacji. Kastil zauważył to i westchnął ciężko.

– Widzę, że wizja walki z kobietą kłóci się z waszą rycerskością. – Wyciągnął dłoń. – Dlatego pokażę wam, że nie ma to znaczenia, o ile kobieta umie posługiwać się mieczem. A ta to potrafi. Podajcie mi miecz.

Choć niemal wszyscy rzucili się do przodu z mieczami wyciągniętymi rękojeścią w stronę władcy, ten wybrał broń Devera. Wziął miecz i kilka razy zakręcił nim nad głową. Gwardziści rozstąpili się, tworząc dużo większy krąg. Riga nie czuła się pewnie, peszyło ją starcie z samym królem,



choć był dla niej miły i kazał zachowywać się swobodnie. Miecz, który dostała, był ciężki, ale nie leżał w dłoni przesadnie niewygodnie.

– Gotowa? – zapytał król.

– Tak, wasza miłość. – Głos jej drżał.

– To teraz koniec z waszą miłością i do roboty. – Uniósł miecz.

Trzema susami doskoczył do swojej przeciwniczki i spróbował cięcia z góry. Riga zablokowała uderzenie z lekkim jękiem. Nie spodziewała się, że król uderzy z taką siłą. Cofnęła się o dwa kroki, ale nie miała czasu na pozbieranie myśli. Kastil tym razem wykonał obrót w powietrzu i ciął z boku, odsunęła się, ledwo unikając ostrza. Kręcąc młynki i wywijając bronią ponad głową, nie dawał jej chwili na złapanie oddechu. Iskry sypały się z uderzających o siebie mieczy. Riga, cofając się, uciekała po okręgu, a gwardziści z coraz większym zainteresowaniem przyglądali się temu pojedynkowi.

– Grubi i starzy żołnierze mogliby nie wytrzymać takiego tempa ataku. – Kastil zatrzymał się na chwilę. – Wtedy miałybyś przewagę, walcząc tak bardzo defensywnie, ale jeśli trafisz na kogoś wyćwiczonego, to sama prędzej padniesz. Ręce pewnie już boją, co?

– Nie... – odpowiedziała bez przekonania.

– No właśnie. – Uśmiechnął się, ocierając pot z czoła. – Po to właśnie są takie ćwiczenia. My tutaj nie rozmawiamy o technice władania bronią, my tutaj tłuczemy się, by wyrobić wytrzymałość. Teraz twoja kolej, by przejść do ataku.

Nerwy wypłynęły z niej wraz z potem. Odważnie spróbowała długiego wypadu, by trafić samym szpicem miecza w okolice kolana. Kastil przesunął nogę w tył i uderzył ją w przedramię płazem miecza. Syknęła głośno i upuściła broń.

– Gdyby to była bitwa, to już nie miałybyś połowy ręki, a pewnie też głowy. – Podał jej broń. – Takie ataki nie są warte ryzyka. Nawet gdybyś mnie trafiła, to mając zbroję, mógłbym tego nie poczuć, a w tej rozciągniętej pozycji jesteś wystawiona jak na katowskim pniu. Pchnięcia są skuteczne z bliska, kiedy nie masz czasu i możliwości, by wziąć zamach. W innym wypadku musisz ciąć. Chyba że doprowadzisz te ataki do perfekcji i zawsze będziesz trafiać w przestrzeń między elementami pancerza.

– Poprawię się. – Rozcierała przedramię.

– Na to liczę, spróbujmy jeszcze raz, ale... – Rozejrzał się. – Theusie i Deverze, dołączcie do mnie.

– Tak jest! – Dever stanął obok niego ochoczo.

– Tak jest... – Generał Merik nie był aż tak entuzjastycznie nastawiony.

– Staraj się nie tylko bronić, ale też wykorzystywać każdą okazję do kontry. – Ustawili się odwrotnym klinem, by ją okrążyć.

Przestępowała z nogi na nogę, kontrolując poczynania przeciwników. Dever pierwszy zaatakował od lewej strony i cztery potężne ciosy spadły na nią z góry. Po chwili Merik natarł bocznym cięciem. Odepchnęła go butem, moment wykorzystał Kastil, przewracając Rigę barkiem. Sztychem chciał przyspilić ją do ziemi, ale zdołała się przeturlać, unikając ciosu. Trafiła jednak pod nogi Merika, który dostawił ostrze miecza do jej szyi.

– Wystarczy! – Kastil poklepał po ramieniu generała gwardii. – Bardzo dobrze! Poradziłaś sobie naprawdę świetnie. Ale musisz nauczyć się jeszcze jednej rzeczy i to jest nauka dla was wszystkich! – Podniósł głos, by każdy z gwardzistów mógł go usłyszeć. – Radziłaś sobie dobrze z dwójką przeciwników, może nawet żaden z nich by cię nie zabił, ale jak do walki wszedł trzeci. Koniec. Stąd płynie nauka, że nie możemy w walce polegać tylko na sobie. Musimy się wspierać, pilnować swoich pleców. W trakcie wojny nikt nie walczy honorowo. Na dziś wystarczy, bo zaraz południe. Dziękuję bardzo!

Saluty pożegnały władcę, który podał dłoń Ridze, pomagając jej wstać. Otrzępała się i oddała królowi miecz. Ten odrzucił go jednemu z gwardzistów.

– To tylko miecze ćwiczebne, dość tępe. – Uśmiechnął się. – Jeśli będziesz chciała, to za tydzień również możesz dołączyć.

– Byłoby cudownie. – Rozpromieniła się mimo zmęczenia. – Nie wiem, czy nie będę musiała wtedy pracować... – Na jej polikach malowały się niemal czerwone rumieńce, włosy potargały się i z misternie uplecionego warkocza zostało już niewiele. Kropelki potu perliły się na czole, a na brązowych spodniach pokryta rosą trawa zostawiła zielone ślady.

– Dever mówił, że pracujesz w karczmie. Myślę, że jeśli opowiesz Umie, co się tutaj dzisiaj wydarzyło, to za tydzień znajdzie chwilę, by cię puścić. – Kastil uśmiechnął się. – Odprowadziłbym cię, jak nakazują dobre obyczaje, ale nie wypada królowi chodzić po swoich dobrach w takim stroju.

– Dziękuję za wszystko, wasza miłość. – Uśmiech nie schodził jej z twarzy. – Dziękuję...

Dziewczyna pobiegła przez bramę zamku i zwodzony most, by zniknąć wśród mieszkańców Erskinu chodzących za swoimi sprawami. Kastil zaplótł ręce na piersi i chwilę patrzył za nią z uśmiechem. Z rozmyślań wyrwał go dopiero Thondar narzucający mu na plecy płaszcz.

– Wasza miłość się zaziębi – rzekł z troską.

– Co ja bym bez ciebie zrobił. – Uśmiechnął się w podziękowaniu i ruszył w kierunku zamku.

Niemal nie dało się pomieścić wszystkich chętnych, by wysłuchać audiencji. Po całym mieście huczało od tego, jak dobrze urodzeni, szlachta i rycerstwo zareagowali na to, że władca pozwolił, by jakaś chłopka brała udział w próbie walki z rycerzem, i to w dodatku walcząc na miecze. Dało się też słyszeć, że niezbyt podoba im się swoboda młodego króla oraz to, że pozwala sobie na zbyt bliskie kontakty z niższymi stanem. Głośne rozmowy wypełniły olbrzymią salę.

Kastil poruszał dłonią, która pobolewała go po ostatnich ćwiczeniach, niezbyt przejmując się zgromadzonymi poddanymi, a gwardziści dopilnowali, by wszelkie głosy umilkły, i zabrał głos.

– Cieszy mnie, że tak wielu z was interesuje się sprawami kraju – zaczął.

– Żeby zatem nie trzymać was tutaj bez potrzeby zbyt długo, przejdźmy do rzeczy.

– Niuewen Vorenheir – wyczytał z listy uczony Iskel.

Spośród zebranych w pierwszym rzędzie wytoczył się potężny, starszy już i bogato ubrany mężczyzna. Miał długie, białe wąsy sięgające prawie do klatki piersiowej, łysawą głowę i czerwony, gruby płaszcz obszywany niedźwiedzim futrem. Przed sobą niósł tak wielki brzuch, że chodząc, kolebał się na prawo i lewo, delikatnie przestawiając stopy w przód.

– Wasza miłość. – Skłonił się. – Zostałem wydelegowany przez kolegów z najbogatszych rodów, by poruszyć dziś temat ostatniej próby walki. Z pewnością wasza miłość raczył zauważyć, że wszyscy gorliwie protestowaliśmy przed takim wyrokiem. Nikt z nas nie chciał zgodzić się na to, by tak znamienity rycerz walczył z dziewczką karczemną, i to w dodatku na miecze. To było nie do pomyślenia nawet nie tyle ze względu na płęć, ile na różnicę stanów pochodzenia.

– Mości Niuewenie – zwrócił się do niego oficjalnie Kastil, co bardzo rzadko praktykowano w Erskinie. – Czy zatem chcesz mi powiedzieć, że ty

i twoi koledzy z bogatych rodów podważacie królewski osąd?

– Ależ skąd! – Niuewenowi zatrzęsły się wąsy. – W żadnym momencie o tym nie pomyśleliśmy. Chcieliśmy tylko uczulić waszą miłość, by bardziej...

– Chcecie zatem mówić mi, jak mam rządzić? – Jego ton był coraz ostrzejszy.

– Nie, nie, nie. – Rycerz poczerwieniał. – Chcieliśmy tylko zaznaczyć, że wasza miłość powinien bardziej zwracać uwagę na to, kto staje przeciwko komu...

– Chcecie zatem, bym nie przejmował się sprawiedliwością, tylko popatrzył, kto ma grubszą sakiewkę, i wtedy wydał wyrok?! – Kastil aż się wyprostował na tronie. – Takie rzeczy mogą się dziać w Bernsternie, ale nie w Erskinie. Nie ma najmniejszej szansy, bym spojrzął przychylniej na kogoś, bo urodził się w bogatszej rodzinie, ma więcej pieniędzy, lepsze stanowisko albo zasłużył się w boju. Mogę waszmościów zapewnić, że będzie wręcz przeciwnie. – Szmer poniósł się po sali, a gwardziści starali się go szybko uciszyć. – Będzie tak dlatego, że ludzie możni, zasłużeni, okryci sławą powinni stanowić wzór do naśladowania dla całej reszty społeczeństwa. Muszą być przejrzysti jak woda w górskim potoku, właśnie po to, żeby ci prości ludzie, którzy nie potrafią niekiedy czytać i pisać, widzieli na własne oczy, jak zachowuje się osoba, którą każe się im podziwiać. Muszą brać za wzór taką osobę bez przymusu. Dlatego też w takiej sytuacji, jeśli pojawi się choćby cień podejrzenia, będą sprawdzeni co najmniej tak samo dokładnie jak reszta. Uważam temat za zamknięty.

– Tak, tak, tak. – Kłaniał się, cofając tłuście cielsko.

– Wspaniale. – Kastil uspokoił się nieco. – Iskelu, poproś następnego rozmówcę.

– Unterwen Sarenhorst – wyczytał głośno.

Niewysoki, chudziutki mężczyzna w zielonkawej koszuli i krótkiej kamizelce nabijanej złotymi ćwiekami skłonił się nisko, wychodząc przed podwyższenie. Miał rozbiegane, małe oczka, krzaczaste brwi i długi, szpiczasty nos.

– Wasza miłość, zanim przejdę do tematu, z którym przyszedłem, to chciałbym jeszcze uzupełnić ten wcześniejszy. – Uśmiechnął się służalczo. – Myślę, że mojemu szacownemu koledze chodziło o to, że nie wypadalo, by dziewczka z karczmy pojedynkowała się z rycerzem, który tak bardzo zasłużył się dla Erskinu...

– Doskonale wiemy, o co chodziło, wypowiedział się dostatecznie jasno – przerwał mu Kastil. – Powiedziałem, że zakończyłem temat, ale zrobię wyjątek i wrócę do niego, krótko. Z całym szacunkiem i wdzięcznością za poprzednie zasługi dla kraju mości Berin Auernerek dostał szansę udowodnienia swojej słuszności przed królewskim sądem. Niestety nie przedstawił żadnych dowodów. Nie pojawili się nawet chłopcy, którzy rzekomo mieli być ofiarami, a zgodnie z rozsądem bogów okazali się napastnikami. Dlatego mówię tutaj głośno, że pomimo tego, co zrobił dla kraju z mieczem w dłoni, powinien popracować nad wychowaniem swojego dziecka, by wykorzystywało broń w walce z wrogiem, a nie do atakowania kobiet. Teraz kończę temat, jeśli jeszcze raz wrócisz do tej próby walki, to odbiorę ci głos, mości Unterwenie.

– Oczywiście. – Oślizgły uśmiech nie schodził mu z twarzy. – Nie będę już wracał do próby walki, ale chciałbym też podjąć temat z walką związany, bo wasza miłość wprowadził zupełnie niespotykaną formę ćwiczeń, a mianowicie walczy razem z gwardzistami i nie tylko, jak się dowiedziałem. Czy wasza miłość nie uważa, że nie godzi się, by władca znamienitego kraju tłukł się na miecze razem ze swoimi podwładnymi, a nawet z pospólstwem...

– Masz dużo szczęścia, że jestem cierpliwy, mości Unterwenie. – Król wziął głęboki oddech. – Podstawowym zadaniem gwardii królewskiej jest ochrona króla, z tym się chyba wszyscy zgodzimy. Ale pewnie nikt z was nigdy nie zastanawiał się, w jaki sposób oni mają ćwiczyć się w tej ochronie, skoro nie ma wśród nich ochranianego. Ja potrafię walczyć na miecze i nie wstydę się tego, dlatego jeśli kiedyś przyjdzie dzień, w którym na polu bitwy zostanę tylko w otoczeniu mojej gwardii, chcę być pewien, że oni również to potrafią i że będziemy w stanie wytrwać. Dlatego właśnie trenuję razem z nimi. Nikomu się jeszcze nic nie stało od utrzymywania odpowiedniej kondycji i szlifowania umiejętności walki. To są wspaniali rycerze, od których mogę się dużo nauczyć, ale chciałbym, żeby oni też uczyli się od siebie, działali wspólnie i byli gotowi za siebie ginąć, nie tylko za mnie, ale właśnie za swoich kompanów. A co do pospólstwa... – Przełknął ślinę. – Wszyscy doskonale wiemy, że Erskin dysponuje zawodową armią, która w każdej z wojen pokazała swoją siłę. Stanowi ona główną część naszych sił i wsparta przez ochotników pozwoliła nam bez uszczerbków zachować miano centrum kultury zachodu. Trzeba jednak wziąć pod uwagę to, że kiedyś może pojawić się

zagrożenie, na które zawodowa armia nie wystarczy. Wtedy każdy obywatel będzie w obowiązku dobyć miecza, siekiery, kosy, noża i walczyć za swoją ojczyznę. Chyba wszyscy zgodzimy się, że lepiej będzie, jeśli w takiej sytuacji obywatele będą potrafili posłużyć się tą bronią. Chyba nikt nie chce ginąć skulony pod łóżem w płonącej chałupie. Nie w Erskinie. Tutejsi ludzie są odważni i nie będą obawiali się wyjść w pole nawet przeciwko ciężkozbrojnym rycerzom, dlatego chcę ten potencjał wykorzystać i wciągnąć do szkolenia jak najwięcej ludzi. Nie ma znaczenia, czy urodzili się w zamku, czy w stajni. Jeśli staję wam odwagi, mości Unterwenie, to za pięć dni odbędzie się kolejny trening mojej gwardii, na który serdecznie zapraszam. Dostąpisz wtedy zaszczytu brania udziału w walce ramię w ramię z najznakomitszymi wojami Erskinu oraz z jego władcą.

– Ja... – Oczy przeskakiwały mu raz na króla, raz na gwardzistów za nim. – Nie wiem, czy... Nie wiem, czy obowiązki pozwolą, ale jeśli tylko będę w stanie...

– Czekamy. – Uśmiech triumfu pojawił się na twarzy króla. – Będiesz wtedy miał okazję sprawdzić, jak wyglądają twoje umiejętności walki na tle... dziewczyny z pospólstwa, jak się wyraziłeś. Czy masz coś jeszcze do powiedzenia, mości Unterwenie?

– Nie, wasza miłość, dziękuję serdecznie. – Ukłonił się niziutko i zniknął w tłumie.

– Informuję, że kolejni zapisani wycofali chęć zabrania głosu – powiedział uczony dostojnie.

– Zatem uważam audiencję za zakończoną. – Król podniósł się. – Mówiłem zupełnie poważnie z tym zaproszeniem na ćwiczenia gwardii. To tylko wzmocni obronność miasta i kraju, a także, a może przede wszystkim zapewni wam samym większe bezpieczeństwo.

Tradycyjne już głośnie wiwaty przeplecione rozmowami, pokrzykiwaniami i pchaniem się do wyjścia pożegnały władcę, który zszedł z podestu i zniknął w korytarzu prowadzącym do jego komnat.

– Co to było?! – Drzwi do królewskiej komnaty trzasnęły. – Uważasz, że przeciwstawianie się bogaczom przyniesie ci korzyści? Byłem w tłumie w czasie tej audiencji, stałem obok przyjaciół tych dwóch, którzy zabrali głos. Tamci czekali w kolejce, by zadać swoje pytania.

– No i nie zadali, do czego zmierzasz? – Kastil spojrzał na Tidura zirytowanym wzrokiem.

– Zmierzam do tego, dlaczego ich nie zadali. – Podszedł bliżej. – Nie chcieli się wdawać z tobą w dyskusję, bo wiedzieli, że to nic nie da. Oni nie będą nic zmieniać, ale przez takie podejście, jakie zaprezentowałeś ostatnio, będą działali samowolnie. Jeden mi powiedział, że skoro król tak bardzo liczy na wsparcie ochotników, to jego trzech synów zostanie w domu w czasie wojny.

– W czasie wojny wszyscy, którzy nie stawiają się na wezwanie, zostaną osadzeni w lochach, i twoi nowi koledzy doskonale o tym wiedzą. – Kastil wzruszył ramionami. – Bogaci i znudzeni życiem mają to do siebie, że lubią pogadać. Ty powinieneś doskonale wiedzieć, że poparcie możnych rodów może być niewystarczające, jeśli pozostali się zbiorą. Uczni na zajęciach z taktyki mówią na to przewaga liczebna.

– Uważaj, co mówisz! – Pogroził mu palcem.

– Chłopcy! – przerwał im Iskel. – Przestańcie natychmiast!

– O! – Tidur odwrócił się w kierunku uczonego. – Może ty przemówisz mu do rozumu!

– Ależ ja uważam, że to doskonały pomysł! – Iskel rozłożył szeroko ręce.

– Zanim zaprotestujesz, posłuchaj! Król wyraźnie pokazał, że nie ma miejsca na wspieranie nielicznych, najbogatszych, pokazał tym, że ważny jest dla niego każdy obywatel Erskinu. Wygrał tym dużo więcej, niż stracił.

– Ale możni się odwracają! – Tidur wtrącił zrezygnowany.

– Nie odwracają się. – Uczony pokręcił głową. – Oni czasem potrzebują zmanifestować swoją pozycję i próba wymuszenia zmiany zdania u króla jest tego doskonałym przykładem. Na swoich towarzyskich obiadach pomarudzą na to, że król sprzyja motłochowi, i na tym się skończy. Jeśli nadejdzie zagrożenie, to stawiają się na wezwanie, jak to robili ich ojcowie i dziadowie. Stawiają się, bo wiedzą, że nie walczą dla niego, tylko dla siebie. Jeśli Erskin by upadł, to ich majątki mogłyby zostać zagarnięte, a to byłby niewyobrażalny ból. Rozumiesz?

– Może i tak – mruknął. – Ale po co dawać motłochowi broń.

– Bo każdy żołnierz może być ważny – wtrącił się Kastil i ciągnął dalej. – Jeśli chcemy być gotowi na walkę z wściekłą tłuszcą, barbarzyńcami, dzikusami i aż strach pomyśleć, czym jeszcze, to będziemy potrzebować każdego miecza. Większość krajów zachodu bazuje na zawodowych żołnierzach, którzy są świetnie wyszkoleni i uzbrojeni, ale nie jest ich tak wielu. Jeśli zaleje nas cała masa wrogów, to samo wyszkolenie może nie wystarczyć. Dlatego też chciałem zasugerować listownie pozostałym

władcom zachodu, by zaczęli szkolić w podstawach władania bronią wszystkich obywateli swoich krajów.

– To nie przejdzie. – Tidur zaśmiał się drwiąco.

– Zgadzam się z księciem. – Iskel pokiwał głową. – Sam pomysł jest znakomity, ale obawiam się, że opór władców będzie za duży, by to wprowadzić.

– Nie przekonamy się, póki nie sprawdzimy. – Kastil uśmiechnął się. – Chodźmy pisać listy!



## Rozdział XXXVII

Każdy spacer tym korytarzem przyprawiał go o kołatanie serca, choć tym razem było ono o wiele większe. Ciasne przejście korytarzami lochu wypełniały huki i przekleństwa. Im bliżej był drzwi celi, w której zamknięta była Imma, tym głośniejsze dźwięki dochodziły do jego uszu. Płomień pochodni oświetlił wreszcie wejście, ale Mytel nie wiedział, co ma zrobić. Był przerażony tym, że hałasy ściągną tutaj strażników, a wtedy wyda się, że córka króla żyje, a on stał się kłamcą. Odwiesił pochodnię na uchwyt i z drżącym sercem podszedł do drzwi.

– Immo – odezwał się. – Immo, przestań, proszę, to ja, Mytel...

– No wreszcie! – wrzeszczała. – Gardło sobie tutaj zdzieram!

– Tak, tak... – Próbował wydobyć klucz z przepastnych kieszeni swojej szaty. – Słysząc cię prawie na górze, a to się może źle skończyć...

– Źle?! – Kopnęła w drzwi, wytrącając mu klucz, który próbował wsunąć do dziurki. – Źle!

– Uspokój się, proszę. – Zebrał klucz z zakurzonej podłogi. – Otworzę drzwi i porozmawiamy, powiesz mi, co się stało, dobrze? Tylko nie hałasuj już...

– Cham! – strzeliła go w pysk, gdy tylko wszedł do celi.

– Za co? – Złapał się za twarz.

– Za co?! Ty się, psi synu, pytasz za co?! – Zdzieliła go jeszcze raz. – Jedzenie i wino, które mi przyniosłeś, skończyło się kilka dni temu! Nie miałam do kogo otworzyć gęby! Siedzę tutaj i tracę zmysły! Już wolę, żeby tutaj przyszli i mnie zabili!

– Przestań! Przestań, proszę – próbował ją uspokoić. – Nie mogłem przyjść, bo Kunglin cały czas wścieka się o list wysłany do imperatora. Uważa, że to moja wina, że do tej pory nie przyszła żadna odpowiedź. Chyba też doszły go słuchy, że chcę jechać do Akademii, i nawet nocami pod moją komnatą stał strażnik...

– To dlaczego teraz przyszedłeś? – Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Bo śpi... – Westchnął. – Napił się miodu. Wypił tyle, że niejedna uczta mogłaby się przy tym odbyć, i zasnął. Powiedziałem strażnikowi, że król pozwolił mi zabrać się za pracę, chyba uwierzył...

– Zaryzykowałeś! – Uśmiechnęła się. – No wreszcie! Może jeszcze uda się zrobić z ciebie mężczyznę.

– Przyniosłem ci worek sucharów, w razie czego. – Wyciągał pakunki spod szaty. – Mam też bochen chleba i ser. Udało mi się też zwinąć gąsior, ale nie wiem, co jest w środku...

– Nieważne! – Wyrwała mu naczynie z rąk. – Co postanowiłeś? Przekonałeś się, że najlepiej uciekać od tego tłustego wieprza? – Pociągała łyk za łykiem.

– Mówiłem już, że to nie takie proste...

Skrzypnięcie drzwi celi przerwało mu w pół zdania. Odwrócił się i zamarł. W świetle pochodni ujrzał wielkiego najemnika. Był to potężny Tolimurajczyk o postrzępionych jasnych włosach. Miał na sobie czarny bezrękawnik z grubej byczej skóry i krótkie spodnie z wełny. Za pasem nosił dwa długie, zakrzywione sztylety.

– Parrat – syknął. – Król być zadowolony z Kalaya. Znalazł szczury.

– Spokojnie, nie z takimi walczyłam – szepnęła Imma. – Zajmij go czymś, zagadaj.

– Milczeć, muda! – warknął i sięgnął po sztylety. – Żywych kazał, ale nie mówił, że całych.

– Kalayu, dlaczego nie pilnujesz króla? – Mytel usiłował zachować spokój, ale głos drżał mu ze strachu.

– Król kazał nie słuchać uczony – odparł łamanym bernsternskim. – Kalay poczekał i zszedł tutaj, wszystko słyszał.

– Co słyszałeś, Kalayu? – Mytel przesuwiał się w stronę stołu, na którym znajdowały się nadal narzędzia katowskie.

– Co słyszał, to słyszał. – Kalay uśmiechnął się, ukazując czarne resztki zębów. – Powie dopiero królowi. Ona powinna umrzeć dawno temu, król mówił. Mówił, że uczony poy, że kłamca.

Mytel przesuwiał dłonią po stole, szukając czegoś do obrony, ale trzęsące się palce nie mogły chwycić niczego przydatnego. Imma z kolei, powłócząc nogą, próbowała zająć najemnika z boku. Stojąc w drzwiach, uważał, żeby nikt nie przemknął się obok niego. Wreszcie uczonemu udało się chwycić coś, co przypominało długi, wyjątkowo wąski nóż. Schował go sobie w jednej z kieszeni szaty i krok po kroku zbliżał się do najemnika.

– Teraz! – krzyknęła Imma i rzuciła się na mężczyznę z długą, ostrą drzazgą, którą znalazła po drodze.

Wielka dłoń chwyciła ją za szyję. Imma oderwała się stopami od ziemi i zawisała w powietrzu, walcząc o oddech. Drewniana prowizoryczna broń wypadła jej z ręki. Kalay ścisnął coraz mocniej, a dziewczyna próbowała drapać go, błędząc paznokciami po przedramieniu. Ryła w nim, zdzierając skórę, ale uchwyt ani trochę nie zelżał. Jej twarz robiła się sina, a oczy podbiegły czerwienią. Nagle, zupełnie niespodziewanie, palce rozluźniły się i spadła na ziemię, łapiąc oddech i kaszląc. Dopiero po chwili, gdy udało jej się wyrównać dech, podniosła wzrok i zobaczyła Mytela stojącego obok najemnika, z którego boku wystawała rękojeść nealu. Znała tę broń, wielu piratów jej używało.

– Wyciągnij... – wychrypiąła.

Mytel bez słowa wysunął ostrze z ciała Kalaya. Krew trysnęła cienkim strumieniem jak z przedziurawionej beczki. Najemnik zrobił dwa kroki i padł na twarz. Wyciągnął rękę ku uczonemu, ale nie był w stanie go dosięgnąć.

– Co teraz? – Mytel spojrzał na Immę trzymającą się za gardło.

– Moim zdaniem to czas skończyć się zastanawiać i zacząć działać. – Jej głos był ledwo słyszalny.

– Racja... – Przetarł mokre od potu czoło. – Nie mamy dużo czasu. Kilka dni, może tydzień...

– Nie to, że się boję, ale możesz się gdzieś pozbyć tego cielska? – Wskazała zwłoki Kalaya skinieniem głowy.

– Może wrzucić go do którejś z pustych cel. Tutaj i tak nikt tego nie sprawdzi. – Popatrzył na zakrwawioną dłoń. – Przynajmniej nie od razu.

– Uciekniemy stąd, teraz nie ma wyjścia, inaczej zabije i ciebie, i mnie. – Podeszła do niego i spojrzała mu głęboko w oczy. – Będę gotowa. Znajdź transport na wschód, do Erskinu, zbierz trochę zapasów, znajdź dobry powód i czas, żeby wyjść, i uciekniemy.

Wieczorem gwar wypełnił karczmę. Chłód na zewnątrz zagnał zmęczonych po całym dniu pracy do środka, gdzie mogli w cieple i przy dobrym trunku odpocząć. Uma, stojąc za ladą, zauważyła, że Riga uwija się jak w ukropie, by zbierać i roznosić zamówienia. Widziała, że po wspólnych ćwiczeniach z królewską gwardią, a nawet z samym królem w dziewczynę wstąpił nowy duch. Pracowała ze zdwojoną siłą. Uwijała się, żeby mieć więcej czasu na ćwiczenia.

Gwardzista Dever podpowiadał jej cały czas, uczył nowych zachowań i eliminował błędy, ale ona dodawała do tego jeszcze ćwiczenia wzmacniające jej ciało. Biegała z obciążeniem, by przyzwycząić się do zbroi, podnosiła pełne beczki, pchała i ciągnęła wozy. Było widać, że nabrała krzepy, chociaż nie traciła przy tym swojej kobiecości. Nadal była ładna, miała długi gruby warkocz jasnych włosów, pogodną twarz, a ciało tylko na tym zyskiwało.

Niestety widziała też, jak zmieniło się podejście ludzi do niej. Zwłaszcza tych wyżej urodzonych, którzy wcześniej odwiedzali karczmę. Teraz patrzyli na dziewczynę z pogardą. Kiedy tylko odchodziła od stolika, odprowadzały ją zirytowane spojrzenia. Mimo jednoznacznie rozstrzygniętej próby walki, możni nie chcieli pogodzić się z tym, że ktoś z biedniejszych mógł się im przeciwstawić. Jednak z drugiej strony właśnie biedniejsi mieszkańcy miasta częściej odwiedzali karczmę, by zamienić słowo ze swoją młodą bohaterką. Pokonanie w próbie walki na miecze rycerza sprawiło, że masa ludzi, którym mniej się w życiu poszczęściło, stała się bardziej radosna. Poczuli, że ich życie też ma znaczenie dla obecnego króla.

– Pani Umo. – Riga oparła się o blat. – Dobrze, że niedługo zamykamy, bo nie mam już sił.

– Nie masz sił? Coś podobnego! – Karczmarka zachichotała. – Ale żeby z mieczem po podwórzu pobiegać, to jeszcze by się trochę tych sił znalazło, co?

– Och, to co innego. – Dziewczyna zmieszała się nieco. – Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale pomoc tutaj to praca, a tamto...

– Pasja – dokończyła. – Znam to, dziecko, znam to doskonale. Kolejny stolik się zwalnia, idź no sprzątnij, a po zamknięciu pogadamy.

– Tak jest! – Riga dziarsko ruszyła między pustoszejące już stoły.

Kiedy ostatni gość, zataczając się, wyszedł z karczmy, a wszystkie naczynia zostały umyte w wielkiej balii, stoły wytarte, a podłoga jako tako zmyta, Riga usiadła na jednym ze stołków i westchnęła ciężko.

– Coraz większy ruch. – Napiała się wody.

– Ano. – Uma wycierała ręce w upačkany fartuch. – Chłody już nadeszły, to ludzie szukają ciepłego miejsca, gdzie można posiedzieć w spokoju.

– Nie mogą siedzieć w domu?

– A ty siedziałaś? – Spojrzała na nią zadziornie.

– Ach, no tak. – Parsknęła. – Nie pomyślałam. Chyba pójdę już spać, żeby nie ziewać przy panu Deverze.

– A właśnie. – Karczmarka powstrzymała ją, chwytając za rękę. – Miałyśmy pogadać.

– Coś się stało? – Patrzyła na nią przejęta.

– Nie, nie. – Uma uśmiechnęła się pogodnie. – Z początku myślałam, że te mrzonki o byciu rycerzem to tylko taki kaprys podlotka, ale jak zobaczyłam, jak przykładasz się do tych ćwiczeń, to zmieniłam zdanie. A jak już widziałam, jak walczyłaś z tym... Aż mi serce stawało! Dlatego myślę, że to nie w tej karczmie jest twoja przyszłość, Rigo. – Oczy zaszkliły jej się lekko. – Myślę, że w armii powinnaś wylądować. Tam się sprawdzisz najlepiej i tam będziesz najszcześniejsza.

– To bardzo miłe, dziękuję. – Rozglądała się po pustej sali, zbierając myśli. – Bardzo bym chciała wstąpić do armii, ale nie przyjmują kobiet...

– Wcześniej kobiety nie brały udziału w próbach walki, a jednak można, spróbuj! – Szturchnęła ją. – Zapytaj pana Devera, czy wstawiłby się za tobą u króla. Może znając twoje umiejętności, zrobią wyjątek. Nie dowiesz się, jak nie spróbujesz!

– Słyszałam, że tym bogatszym nie spodobało się to, jak król ze mną postąpił... – Posmutniała wyraźnie. – Nie chciałabym, żeby miał przeze mnie kłopoty.

– Ten król jest wyjątkowy. Pamiętam dwóch, ale żaden z nich nie był taki. Za Kastila warto walczyć.

– To prawda. – Riga rozmarzyła się.

– Dlatego musisz poprosić pana Devera, by porozmawiał z królem o tobie, a nuż się uda!

– Tak zrobię. – Dziewczyna zeskoczyła ze stołka. – Jutro przed otwarciem ma mnie uczyć walki na dwa miecze, to zapytam, co by można było zrobić. Dziękuję, pani Umo!

– Nie ma za co, dziecinko. – Karczmarka patrzyła, jak Riga sprawnie pokonuje strome schody, i wzdychała ciężko.

Riga następnego ranka obudziła się wyjątkowo wcześnie. Zanim Uma pojawiła się w karczmie, wszystko było już przygotowane do otwarcia. Dziewczyna pobiegła na targ warzywny, skąd przyniosła wszystko, co było na liście zrobionej dzień wcześniej. Obrała i pokroiła składniki i wrzuciła je do kotła. Wytoczyła beczki z piwem i winem, poustawiała krzesła, a nawet zamiotła raz jeszcze.

– Spać nie mogłaś, dziewczyno? – Zaśmiała się zaskoczona karczmarka.

– Denerwowałam się tą rozmową z panem Deverem i wstałam wcześniej... – Spochmurniała.

– Idź już na podwórze, twój nauczyciel na pewno zaraz się zjawi. – Uma wzięła się za rozpalanie ognia pod kotłem.

Riga wzięła swój miecz i wyszła na tyły karczmy, z daleka poznała zbliżającą się do niej postać potężnego gwardzisty. Jego długa jasna broda i gęsta czupryna pozwalały z łatwością rozpoznać go nawet pośród innych roślących rycerzy. Gruba czarna kurta przepasana była szerokim pasem, przy którym wisiał miecz, przez ramię przewieszono miał jeszcze dwie pochwy.

– Gotowa? – Rzucił jej drugi miecz. – Dziś nauczysz się czegoś, co czasami w bitwie ratuje życie.

– Tak, jestem gotowa, ale... – Zawiesiła głos. – Rozmawiałam wczoraj z panią Umą i ona mi poradziła, żebym porozmawiała z panem... – Riga zbierała się na odwagę. – Porozmawiała o tym, żeby pan przekonał króla Kastila, by pozwolił mi wstąpić do armii.

– Dziewczyno. – Spojrzał na nią stalowym wzrokiem. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, o co prosisz? Ćwiczenie w walce wręcz, nawet z całą królewską armią, a bycie w armii, to zupełnie inne rzeczy. Czy ty sobie zdajesz sprawę, jak wygląda życie żołnierza? Jak wygląda wojna?! Nie wiesz, o czym marzysz. Wstawanie codziennie przed świtem, czy jest upał, czy deszcz, czy śnieg, musztra, bieganie w pełnej zbroi, walka z brutalami, którzy wyroki odrabiają w armii, żarcie byle czego... A jak trafisz na dowódcę, który jest chamem, to będziesz błagała bóstwo o wojnę, by wyjść z koszar i zginąć. Nie muszę daleko szukać pamięcią, by powiedzieć ci, jak wygląda wojna. W trakcie ataku Barbasu na Skogskin moich ludzi było mniej, ale musieliśmy walczyć. Tym z Barbasu ucinalem głowy, kiedy tylko wystawały ponad mur. Krwi było tyle, że ślizgaliśmy się w niej. Wnętrza wylewały się i z przeciwników, i z moich ludzi. Widziałem mężczyzn, którzy płoneli oblani smołą. Do tej pory nocami słyszę ich krzyki. Patrzyłem im w oczy i widziałem przerażenie. Niektórzy nie zdawali sobie sprawy, że nie mają ręki... – Rozluźnił dłoń, którą z wściekłością zaciskał na jednym z mieczy. – I dopiero wtedy, kiedy nie mieli już sił stać, musiałem ich zmusić do walki. Musieli stanąć przed bramami zamku i stawić czoło armii wypoczętych najeźdźców... Utrzymali się tak długo, że przybyła odsiecz, ale jakby nie przybyła... Wszyscy bylibyśmy już martwi! A gdyby trafili do niewoli? Zastanawiałaś się,

dziewczyno, co dzieje się z żołnierzami w niewoli? Są przesłuchiwanie, a przesłuchania są brutalne, tortury, głód... Jesteś zbyt młoda, by wiedzieć, o czym mówię. Przychodź na ćwiczenia z gwardią, jeśli chcesz, ale uwierz mi, że nie zostaniesz żołnierzem... Koszary to nie jest miejsce dla kobiet...

Riga wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, a łzy same płynęły jej z oczu. Pierwszy raz widziała Devera w takim stanie. Zawsze był spokojny, a opowieść o byciu w środku bitwy zagotowała w nim krew. Przełknęła ślinę, wyprostowała się mimowolnie i zebrała w sobie całą odwagę.

– Mój ojciec był żołnierzem, walczył w kilku wojnach, zginął w tej z Werdgwaldem... Od dziecka biegałam z patykiem jak z mieczem, bawiłam się z chłopcami w rycerzy i banitów... Potem ojciec zginął i rodzina zabroniła mi nawet brać broń do ręki, chciała, żebym przejęła interes, farmę... Uciekłam, by zostać rycerzem. Przybyłam tutaj, by wstąpić do armii, i chcę spróbować... – Głos jej drżał. – Bardzo proszę, by porozmawiał pan z królem o możliwości mojego szkolenia w armii.

– Porozmawiam – odparł niewyobrażalnie chłodno. – Stawaj!

Od wielu dni w świątyni panowała straszliwa atmosfera. Po całym kompleksie rozeszły się plotki, które rozsierdziły najwyższych kapłanów, a resztę wprawiły w olbrzymi niepokój. Kapłani nie powinni rozmawiać ze sobą, ale ryzykowali pojedyncze szepty czy przekazywanie informacji na świstkach papieru. Bali się, że to, o czym opowiadali uciekinierzy ze wschodu, okaże się prawdą.

Podenerwowanie, jakie wprowadziły te wieści, odbijało się na wszystkich nowicjuszach. Rollo szczególnie obrywała. Całe plecy miała pocięte przez uderzenia witkami. W dodatku często kazali jej przestawiać już płonące polana, bo coś im się nie podobało. Jej dłonie pokrywały pęcherze po oparzeniach. Ogniska rozpalano na kolanach, a nauka tego zajmowała wiele godzin, więc ta część ciała również pulsowała bólem. Najgorsze jednak były proszki, które do ognisk należało dosypywać, by osiągnąć właściwy dla przepowiedni kolor. Kiedy dostawały się do jej świeżych ran, wywoływały ogromny ból. Do tego jednak Rollo zdążyła się już przyzwyczaić, bardziej niepokoiło ją to, że te proszki sprawiały, że rany zupełnie nie chciały się goić. Późnym wieczorem, kiedy zamykano ją w celi, starała się oczyścić dłonie, ale było to niezwykle trudne.

Przed wschodem słońca drzwi do jej celi otworzyły się z hukiem. Dwójka kapłanów wyciągnęła ją niemal siłą i wyrzuciła na korytarz. Nie sprawdzili, czy świeca cały czas była zapalona. Wyprowadzili wszystkich na

piaszczysty dziedziniec. Stało tam kilkuset kapłanów i kilkudziesięciu uczniów, którzy byli ustawieni w równych szeregach i oczekiwali na coś, jak się Rollo zdawało, wyjątkowego. Wreszcie na podwyższenie zbudowane z drewna przy jednej ze ścian muru okalającego świątynię wyszły trzy postaci ubrane w czerwone kapłańskie szaty. Nieznośną ciszę połączoną z gwizdami wiatru przerwała jedna z postaci.

– Jako najwyższy kapłan Ret przerywam na tę chwilę śluby milczenia – odezwał się tubalnym głosem mężczyzna. – Jest to chwila szczególnej próby dla naszej wiary, dlatego jest to uzasadnione. Ostatnimi czasy po świątyni rozniosły się plotki o tym, co stało się przybyłym niedawno kapłanom. Żeby uciąć wszelkie spekulacje i ukrócić chęci do naginania ślubów, wyjaśnię teraz wszystko. Kraje wschodu mają nowego przywódcę, który doprowadził do ich zjednoczenia. Wprowadził w nich również swoją bluźnierczą religię. W nieznanym nam sposób ludność masowo przechodziła na stronę heretyków, a naszych kapłanów i tych, którzy chcieli zostać w słusznej wierze, zabijała w bestialski sposób. Nielicznym udało się uciec. Dotarli do nas wyczerpani i opowiedzieli o tym, co się tam wydarzyło. W krajach, w których byliśmy poważani, a Ret stała na należnym jej piedestale, staliśmy się zwierzyną łowną. Ten ich nowy imperator, jak sam się nazwał, nagradza każdego, kto przyniesie głowę kapłana. Podejrzewamy, że poza tą garstką nikt nie przeżył. Dlatego mogę z całą pewnością stwierdzić, że Barbas jest ostatnią ostoją religii Ret w tym momencie. – Kapłan zrobił dłuższą przerwę. – Niestety nie są to ostatnie złe wiadomości. Z tego, co przekazał nam jeden z uciekinierów, imperator zebrał olbrzymią armię, która wkrótce ma się przetoczyć na zachód. Niestety nie ma innego wyjścia niż podróż przez Barbas. Znając już nienawiść, jaką wyznawcy tej nowej herezji pałają do nas, możemy spodziewać się, że ich armia nie ominie Phedas. Musimy zatem być przygotowani, by się bronić. Uważamy, że nie wypada nam po prostu się poddać i liczyć na litość bandy heretyków. Jeśli zginiemy w obronie Ret, to Ret nas wynagrodzi. Te mury... – Wskazał dłonią zamkowe zabudowania. – Przetrwały w swej historii kilka oblężeń. Zostały zdobyte tylko podstępem. Tym razem nie dopuścimy do podstępu, ale musimy się dobrze przygotować. Dlatego zarządzam dyspensę od ślubów milczenia dla wszystkich, włączając w to adeptów, zawieszenie nauk i wszystkich obrzędów religijnych oraz wydanie broni ze zbrojowni. Kapłani, którzy mają jakiegokolwiek pojęcie o władaniu nią, są zobowiązani do nauczania



innych. Ret nie walczy, ale w tej sytuacji nie mamy innego wyboru. Czasami, żeby móc żyć w zgodzie ze swoimi przekonaniem, trzeba najpierw wystąpić przeciwko nim. Zarządzenia będą obowiązywały od dziś do końca bitwy. Wyślę też list do Pandeyu z prośbą o wsparcie, ale jeśli rzeczywiście Barbas zostanie zaatakowany, to każdy żołnierz będzie bronił stolicy i króla, więc będziemy musieli poradzić sobie sami. Zostańcie na dziedzińcu, rozdamy wam broń. Dziś wieczorem rozpalimy wielkie ognisko, by przebłagać Ret za to, co musimy zrobić w jej obronie. Jutro, od świtu, zaczną się ćwiczenia. Bądźcie silni w wierze.

Kapłani zeszli z podwyższenia i udali się do jednego z budynków stojących między murem a budynkami mieszkalnymi. Otwarto wielkie wrota i kolejno wynoszono z nich miecze, łuki, strzały, Keechaki, włócznie, tarcze i pełno różnego, starego i zakurzonego sprzętu wojskowego. Trafiły się kolczugi, pancerze, hełmy, a nawet pawęże. Wszystko to rozdzielono między kapłanów i uczniów. Rollo dostała długi, niezbyt poręczny miecz, który ledwo mogła utrzymać ostrzem do góry, oraz zardzewiałą kolczącą koszulę, zdecydowanie za dużą.

Choć wszyscy kapłani byli przerażeni wizją walki z armią imperatora i groźbą unicestwienia ich religii, to Rollo poczuła dziwną ulgę. Na myśl o tym, że ktoś zniszczy tę świątynię, pozabija kapłanów i raz na zawsze zakończy porwania nowych adeptów, czuła radość. Nie mogła tego okazać, ale jej wewnątrz całe się śmiało. Przeszła jej przez głowę nawet tak zuchwała myśl, że być może w trakcie zamieszania uda jej się uciec i wrócić do domu albo do Erskinu, do Kastila. Złapała się tego marzenia, ledwo stojąc wokół wielkiego ogniska, po całym dniu ciężkiej pracy w kuchni. Złapała się go jak ostatniej deski ratunku na pełnym morzu i choć wiedziała, że będzie musiała się tak samo przykładać do nauki władania bronią jak do nauk Ret, to przynajmniej te umiejętności mogły jej się przydać.

Powiewy zimnego wiatru wstrząsały jego ciałem. Stalowe niebo wydawało się wisieć nad tym miejscem i czekać tylko, by zrzucić na nie lodowaty deszcz. Klatka, w której go zamknięto, była przemyślnie skonstruowana, musiał to przyznać. Znajdowała się na dwukołowym wozie, była na tyle wysoka, by dorosły człowiek mógł stanąć w niej prosto, ale na tyle krótka, by nie dało się tam położyć. Żeby usiąść bez podkurczania nóg, musiał wystawiać je na zewnątrz. Grube stalowe pionowe pręty przeplatane były poziomymi. Dach i podłogę stanowiły żelazne płyty, grubsze niż te w pancerzach. A zamek i zawiasy zablokowano tak, by nie

dało się ich otworzyć inaczej, niż wybijając je młotem. Dzień i noc pilnował go któryś z żołnierzy. Za każdym razem inny. Kapłanki widywał tylko z daleka, gdy przechadzały się między budynkami, pilnując przygotowań do wymarszu.

Wiedział, że za dzień lub dwa wyruszy w drogę do miasta, w którym przyszedł na świat, by zobaczyć, jak obraca się ono w ruiny, a potem wyzionać w tych ruinach ducha. Nie był wściekły, nie był rozgoryczony, czuł tylko ogromny zawód. Chciał, by Pandey, miasto nazwane na jego cześć, stało się centrum świata, a sprowadził na nie kataklizm. Bezwiednie przyglądał się maszerującym żołnierzom w przeróżnych mundurach oznaczonych symbolami białego drzewa na czarnym tle. Wyglądali inaczej, byli różnej postury, rasy, mieli inne uzbrojenie, ale każdy miał na sobie taki symbol. Ładowali na wozy zapasy, zwijali namioty, ostrzyli broń. Czuł się pokonany, zniszczony. O ile po pobiciu przez Kastila miał w sobie jeszcze iskrę życia, o tyle zdrada Mossy i ta cała inscenizacja z zabiciem Hexa odcisnęły na nim takie piętno, że nie mógł zmobilizować się choćby do próby walki. Pozbawili go nawet ubrań, zostawiając tylko w szarej, workowatej, długiej koszuli z bardzo gryzącego materiału, która nie zapewniała nawet krztyny ciepła przy tej późnojesiennej pogodzie.

Obok niego stał żołnierz, który również marzył. Pochodził chyba z Gotrayi. Był wysoki, miał ciemną skórę, opierał się o długą włócznię z grotem w kształcie liścia. Jego wargi były sine, a ciało wyraźnie drżało. Pandey doskonale go rozumiał. Choć żołnierz miał przerzucone przez ramię wilcze futro, niewiele to dawało, jeśli musiał stać w bezruchu.

– Żołnierzu – zagadnął do niego cicho. – Zimno, co?

Tamten nawet nie spojrzał w jego kierunku, mimo to Pandey zebrał w sobie resztę motywacji i postanowił spróbować uratować miasto. Wiedział, że dla niego nie ma już ratunku, a sam pomysł, który przyszedł mu do głowy, Hex pewnie już odczytał, ale mimo wszystko musiał spróbować.

– Czego?! – burknął, nie odwracając ku niemu wzroku.

– O widzisz, jednak mnie słyszysz. – Poczul delikatny płomyk nadziei. – To posłuchaj. Doskonale wiem, że do wymarszu zostało niewiele czasu. Wiem też, że kierujecie się do Barbasu. Macie zniszczyć stolicę, znam te rozkazy dokładnie. Wiem, że nie możecie nic stamtąd zabrać. Będziesz się zatem bił za darmo. Nie weźmiesz nic dla siebie, a w Pandeyu jest mnóstwo towarów. Złoto, srebro, kosztowne kamienie, bursztyn, materiały,

przyprawy... No wszystko, co możesz sprzedać i zostać majątnym człowiekiem, ale wasz imperator zabronił wam cokolwiek stamtąd ruszać...

– Zamilkł na dłuższą chwilę, ale podjął temat ponownie. – Nie wiem, czy ci mówili, kogo pilnujesz, ale jestem następcą tronu w Barbasi. Mogę mieć dla ciebie propozycję, dzięki której zarobisz, a nie złamiesz rozkazu imperatora, nic stamtąd nie wyniesiesz w trakcie ataku. Co ty na to?

– Mów – krótkie warknięcie musiało mu wystarczyć.

– Nie musisz mnie nawet stąd uwalniać, to by było głupie. – Zachichotał nerwowo. – Wystarczy, że kiedy tylko znajdziecie się w okolicy miasta, wykorzystasz zamieszanie i przekradniesz się do niego, zanosząc wiadomość, że atak rozpocznie się wcześniej, a nie po trzech dniach. Dostaniesz wtedy tyle kosztowności, ile będziesz w stanie zabrać ze sobą. Zorganizujesz wóz, to załadujemy je na wóz. Wszystko, jeśli tylko obrońcy dowiedzą się o ataku wcześniej. Zgoda?

– Och, nie. – Żołnierz obrócił się w jego stronę, ale sposób, w jaki patrzył i mówił, wskazywały, że w jego umyśle jest już kto inny. – Nie możemy się na to zgodzić, przyjacielu. Kwintesencją twojej kary jest to, byś obejrzał, jak miasto płonie. Usłyszał, jak krzyczą jego mieszkańcy. Ten pal na samym końcu... To już taki deser.

– Słuchałeś od początku? – zapytał, nawet nie udając zaskoczenia.

– Byłem w umyśle każdego strażnika, który cię pilnował, Pandeyu. – Żołnierz uśmiechnął się oblesnie, obnażając żółte zęby. – Byłem zawiedziony tym, że nie spróbowałeś ich przekupić wcześniej. Wybierałem tych wyglądających najgorzej, powiedzmy, na zachętę.

– Wiedziałem, że to nie ma sensu...

– Owszem, nie ma najmniejszego – odparł stanowczo, już bez uśmiechu. – Ale nie dlatego, że ja siedzę w ich umysłach, ale dlatego, że jest w nich Sag Bas. Oni uwierzyli, że idąc za mną na tę wojnę, mogą wygrać lepszy los dla siebie i swojego potomstwa. Są całym umysłem przekonani, że panowanie Sag Bas zrówna szansę wszystkich ludzi i majątki najbogatszych staną się ich majątkami. Nie wiedzą jednak tego, co ja wiem, i myślę, że ty również. Nie zdają sobie sprawy z tego, że to nie religia jest problemem. Nawet jeśli teraz, zwyciężając, zabierzemy bogatym i rozdzielimy po równo wśród wszystkich ludzi, to znajdą się wśród nich bardziej i mniej zaradni. I ci bardziej zaradni pomnożą to, co dostali, uczciwie bądź nie. Natomiast ci mniej zaradni stracą wszystko i znowu będą biedni. Zajmie to trochę czasu, mniej lub więcej, ale koniec końców wszystko wróci do stanu

sprzed wojny. Być może zmienią się tylko herby i nazwiska. Zmieni się też to, że świat będzie zjednoczony i będzie miał szansę przetrwać zagrożenie z serca Czarnych Ziem. Nie wiem jeszcze jakie, ale czuję, jak Sag Bas szepcze mi o tym wprost do umysłu. Choć coś mi też podpowiada, że ta szansa i tak będzie niewielka.

– Więc po co to wszystko? – zapytał, chwytając pręty klatki.

– Przed wizytą w świątyni byłem biedniejszy od tych, których tutaj widzisz – ciągnął. – Ta religia dała mi wszystko i dlatego zamierzam wykonać każde jej polecenie. Zjednoczę świat, dam mu szansę pokonania tej zarazy, ale przy okazji odmienię swój los najbardziej, jak się da...

Pandey został w klatce sam na sam ze słowami, które przed chwilą usłyszał, a które zmieniły jego postrzeżenie wojny, Sag Bas i samego imperatora. Hex opuścił umysł tego żołnierza albo przynajmniej przestał pokazywać, że w nim jest. Z nieba zaczęły spadać pojedyncze płatki śniegu, a żołnierze i cywile szybciej uwijali się przy swoich zajęciach.

## Rozdział XXXVIII

Hałas powodowany przez zmierzającą do miasta Phedas armię niósł się przez wiele kilometrów. Zgromadzenie połowy wojska na terenach między miastem Pucha, miastem Kshetas, rzeką Pahad i Nieprzebytymi Górami zajęło sporo czasu, a jeszcze więcej zabrało zgromadzenie zapasów, które były w stanie tak wielką armię wyżywić.

Na czele pochodu poruszał się czarny koń wiozący na grzbiecie imperatora. Mimo zimnego wiatru, który wiał wzdłuż górskich szczytów, Hex miał na sobie tylko skórzane spodnie i kamizelkę. Przy siodle przytroczony był jego topór o dwóch ostrzach. Tuż za nim jechały kapłanki w swoich zwiewnych, białych strojach. Za nimi ciągnęła się buro-brązowa masa ludzi. Najpierw poruszała się doborowa armia Tolimurai, która pamiętała jeszcze czasy króla Tolwiego i wojny domowej w Yelayinie. Nosili żółte płaszcze z czerwonymi przeszyciami. Przy siodłach trzymali długie włócznie z proporcami Imperium Sag Bas, białym drzewem na czarnym tle. Pod płaszczami błyszcząły płytowe zbroje, a u pasów wisiały długie miecze. Na głowach mieli kaptury, które chroniły przed zimnem. Ponad tysiąc jeźdźców podążało za kapłanami Sag Bas, a za nimi maszerowała piechota, której było znacznie więcej.

Tuż za Minu równym krokiem szli zmarznięci Azuańczycy. Nosili grube futra dzikich zwierząt, czapy, wełniane swetry i grube buty, wszystko, co udało się znaleźć. Ich uzbrojenie w ogromnej większości składało się z krótkich mieczy, włóczni i łuków. Ponad cztery tysiące zmarzniętych na kość, czarnoskórych wojowników zjednoczyło się pod berłem Minu. Za Azuańczykami podążali Yelayińczycy. Zmęczeni wojną domową i zamknięciem ich granic, po bitwie z wojskami Hexa dołączyli do niego i ponad osiem tysięcy mężczyzn kroczyło teraz na zachód, najpierw na Phedas, a potem dalej. Ich uzbrojenie i opancerzenie było znikome i w większości wytworzone metodą chałupniczą. Skórzane kamizele, grube kurty, siekiery, kosy, widły, a nawet cepy stanowiły cały ich ekwipunek.

Imperator zapewnił im to, co było niezbędne w trakcie bitwy, ale chcąc wykorzystać element zaskoczenia, nie mógł poświęcić więcej czasu na przygotowania.

Rzemieślnicy, którzy dotarli do Aneti, skupili się zatem na wykonywaniu średniej jakości broni, krótkich mieczy, strzał, sztyletów, ale przede wszystkim na tworzeniu zimowych ubrań, które mogły pomóc w przetrwaniu nocy na barbaskich pustyniach. Szewcy uwijali się przez ostatnie tygodnie, bo właśnie ciepłych butów brakowało najbardziej. Biedota, która stanowiła ogromną większość armii imperium, zazwyczaj chodziła bosą. Hex i kapłanki wiedzieli jednak, że mimo zahartowania ich stopy szybko odpadną z zimna, a co za tym idzie przestaną być skuteczni w walce.

Pochód zbrojnych zamykała połowa dwudziestotysięcznej armii konnych łuczników z Jaramu. W grubych zielonkawych płaszczach siedzieli na koniach, a na ich plecach wisiały długie łuki i kołczany pełne strzał z charakterystycznymi zielonymi piórami. Tempo marszu było całkiem zwawę, nie po to tylko, aby jak najszybciej dotrzeć do Phedas, ale też by rozgrzewać żołnierzy. Za nimi, dużo wolniej, poruszał się obóz. Na setkach wielkich wozów, ciągniętych przez silne, ale powolne konie o szerokich kopytach zwane Hicum, znajdowało się wszystko, co miało umożliwić funkcjonowanie tak wielkiej armii.

Część wozów wyładowano sianem i paszą dla koni, na innych jechał żywy inwentarz w postaci świń i kur, jeszcze inne wypakowane były zbożem, warzywami, drewnem na ogniska czy namiotami. Za nimi ciągnęły barakowozy, w których nadal pracowali rzemieślnicy. Nie mieli chwili odpoczynku nawet w trakcie drogi. Brakowało wszystkiego, więc trzeba było te braki uzupełniać. Imperator zadbał też o to, by dostawy na front napływały bez przeszkód. W granicach obecnego imperium zostały głównie kobiety, ale i one mogły przyczynić się do sukcesu Sag Bas. Miały dbać o to, by dostarczać na front zapasy w postaci wełny, skór, pożywienia, a nawet drewna. Za młodzi bądź za starzy, by wytrzymać trudy przemarszu przez Barbas, mieli im w tym pomagać.

– Daleko jeszcze? – Skrzywiła się Iv, podjeżdżając do Hexa. – Rzyć mnie już boli.

– Przyzwyczajaj się – burknął. – Zostało jeszcze ze sześć dni.

– To strasznie długo... – Jęknęła. – Rozbijmy obóz.

– Co wieczór to samo. – W jego głosie słychać było zdenerwowanie. – Rozbijanie i zwijanie obozu wstrzyma marsz na kolejne godziny. Nie ma potrzeby rozkładania namiotów na pustyni. Każdy dostał posłanie chroniące przez zimnem, więc będą spali tam, gdzie się zatrzymają.

– A co z nami? – Nie dawała mu spokoju.

– My nie odczuwamy zimna. – Spojrzał na nią.

– Wiem, ale nie o to mi chodzi... – Przewróciła oczami. – Moglibyśmy rozstawić chociaż jeden namiot, położyć się w pierzynach, wyprostować plecy, dać odpocząć...

– Kiedy wojna dobiegnie końca, będziemy mogli odpoczywać w pierzynach, póki co nie ma na to czasu. – Jego stalowy wzrok wbił się w nią. – Jeśli twoje marudzenie dotrze do żołnierzy, to zadbam o to, żeby było ci jeszcze bardziej niewygodnie, kapłanko, rozumiano?

– No dobrze... – Z naburmuszoną miną cofnęła konia do drugiego szeregu.

– Maszerujemy, dopóki nie zrobi się całkowicie ciemno. – Przesłał myśli do całej armii. – Kiedy zarządę postój, swoje posłania rozłóżycie w miejscu, w którym się zatrzymacie. Na warcie zostanie jeden na każdą pięćdziesiątkę. Zmienicie się w połowie nocy. Pobudka o świcie.

Tereny oddalone o dzień jazdy od miasta usłane zostały namiotami i ogniskami. Połowa wielkiej armii Imperium Sag Bas rozbiła obóz, by przygotować się do zniszczenia stolicy Barbasu. Słabo zaludniony pustynny kraj nie stawiał wcześniej żadnego oporu. Hex zadbał o to, by atak na Pandey i egzekucja księcia Barbasu były przygotowane perfekcyjnie. Dlatego wysłał pod komendą Nira Naita ponad dziesięć tysięcy gotrajskich mężczyzn uzbrojonych w długie piki z czarnego drzewa i dmuchawki, które strzelały zatrutymi czarnymi strzałkami, ponad dziesięć tysięcy konnych łuczników z Jaramu oraz pięć tysięcy doborowej barbaskiej jazdy uzbrojonej w długą broń zwaną Keechak, która stacjonowała w Ujarze. Z Ujary pochodziła też chłopska piechota uzbrojona w siekiery, widły, kosy i długie szerokie noże charakterystyczne dla rolników i hodowców trzody. Główny trzon armii stanowili żołnierze z Tolimurai. Łącznie generał poprowadził na Barbas ponad czterdzieści tysięcy ludzi.

Tak wielki obóz musiał zająć potężną połąć terenu. Ogrodzono go setkami wozów, które wiozły zapasy, podobnie jak te idące na świątynię Phedas. Poza żywnością dla ludzi i koni, beczkami z wodą i winem czy pancerzami, bronią i ubraniami wieziono również mnóstwo desek, lin,

kołków, kotwiczek, haków, pali i taranów. Hex uznał, że nie będą potrzebne, ale wolał nie ryzykować zatrzymania armii na murach Pandeyu na długie tygodnie. Podstęp, jaki mieli w planach, powinien pozwolić im zdobyć miasto bez najmniejszego problemu, ale imperator nie zostawiał spraw przypadkowi.

Nocne ogniska, rozpalane między chaotycznie rozstawionymi namiotami, powoli się dopalały, a słońce wstawało nad zmarzniętą pustynią. Wojsko, które nie nawykło do tak niskich temperatur, ledwo się ruszało. Generał Nir nocował w największym namiocie, którego ściany stanowiły grube dywany, pozwalające zatrzymać ciepło z ogniska wewnątrz. Na ziemi również rozrzucono dywany i zwierzęce skóry. Wyszedł z namiotu i poczuł na sobie chłód poranka.

– Wyślij gońców z listem, który ci przekazałem. – Usłyszał w swojej głowie słowa Hexa. – Niech dostarczą ten list jak najszybciej, a ty w tym czasie zarządzaj zwijanie obozu. W trakcie ataku będę obserwował wszystko oczami żołnierzy, gdyby coś nie szło po naszej myśli, dostaniesz wskazówki.

– Nie będą potrzebne, ale dziękuję, imperatorze – odpowiedział na głos, nie mogąc przyzwyczać się do takiej formy kontaktu.

– Działaj zatem, atak na Phedas rozpoczniemy za cztery, może pięć dni. – Głos Hexa zamilkł tak nagle, jak się odezwał.

– Birak! – zawołał donośnie Nir, a po chwili przed nim zjawił się jeden z jaramskich łuczniczków. – Stu konnych wyjedzie z obozu, by przekazać list królowi Vizeyowi do rąk własnych. – Wyciągnął zza pazuchy srebrny walec, w którym znajdował się zwój. – Nie możecie przekazać tego nikomu innemu. Jeśli nie będą chcieli was do niego dopuścić, odczytasz list strażnikowi czy urzędnikowi, ale mu go nie oddasz. Papier ma trafić do rąk króla, jasne?

– Ghaka! – Huknął się pięścią w klatkę piersiową.

– Zbierz swój oddział i ruszajcie jak najszybciej. – Przekazał mu pakunek. – Jeśli coś zrobicie źle, to nie chciałbym być w waszej skórze. A, pamiętaj, że jako posłańcy macie oczekiwać poczęstunku i noclegu. Nie możecie wyjechać z miasta, póki nie zjawimy się pod jego bramami. I zachować mi tam czujność! Imperator zadba o to, żeby plan przebiegł bez zakłóceń, ale nie chcę się za was wstydzić, jeśli wyrzną was śpiących. Jazda!



– Ghaka, ill mea! – Popędził do swojego oddziału i już po kilku minutach słysząc było rzenie koni i uderzenia ich kopyt.

– Rede! – zawołał jednego z barbaskich jeźdźców. – Rede!

– Istal? – Podbiegł do niego żołnierz w żółto-czerwonym mundurze z zakrzywionym sztykletem przy pasie.

– Co się głupio pytasz?! – warknął generał. – Zbierać obóz i to migiem! Musimy być gotowi do wymarszu w każdej chwili, jasne?!

W obozie zapanował ruch. Żołnierze biegali od namiotu do namiotu, informując zaspanych i zziębniętych towarzyszy o tym, że mają brać się do roboty i bez śniadania zacząć pakować namioty na wozy. Nir obserwował ten rozgardiasz i choć jeszcze niedawno miał dosyć wojen, to poczuł, że ma w sobie dużo więcej energii, niż kiedy siedział w zamku w Ellatiku. Nie przeszkadzały mu dni w siodle, ziąb, piasek, wiatr czy podłe jedzenie. Od niepamiętnych czasów był żołnierzem i czuł, że żyje dopiero w trakcie wojny.

W stolicy Barbasu pora roku nie wpływała na ruch na ulicach. Dalej było na nich głośno i gwarno, a kupcy i kupujący targowali się jak opętani o ceny najróżniejszych towarów. Strażnicy spokojnie przechadzali się ulicami, pilnując, by handel odbywał się w jako takim spokoju. Nagle ci stojący przy bramie wjazdowej do miasta ujrzeni chmurę kurzu wzbijaną przez zbliżających się do nich jeźdźców. Zawołali kolejnych i w grupie kilkunastu uzbrojonych w Keechaki zapanowało poruszenie. Wreszcie ustawili się w bramie, wystawili broń i czekali. Jednak jeźdźcy nie mieli zamiaru atakować bramy, wyhamowali, a jeden z nich zsiadł z konia i podszedł do strażników.

– Prowadźcie do króla Vizeya – odezwał się. – Mamy ważną wiadomość od imperatora Hexa.

– Chwila! – odparł jeden z żołnierzy, odpinając kolczą osłonę twarzy. – Nikt tak po prostu nie wchodzi do pałacu! Przyjeżdżacie tutaj całą bandą i myślicie, że was wpuścimy?

– Po pierwsze, wiadomość, którą niesiemy królowi Vizeyowi, jest niezwykle ważna i dotyczy waszego bezpieczeństwa, więc lepiej będzie, jeśli nas wpuścicie. Po drugie, jesteśmy waszymi sojusznikami, więc nie ma powodu do obaw, a po trzecie, jako posłańcy musimy dostać miejsce do spania i prowiant.

– Wjeżdżajcie! – zawołał biegnący od pałacu strażnik. – Król oczekuje jednego z was z listem.

Dowódca łuczników z Jaramu dał sygnał reszcie swojego oddziału i spokojnym krokiem przejechali przez bramy stolicy Barbasu. Przejazd stu obcych zbrojnych przez główną ulicę miasta wzbudził sensację. Mieszkańcy uskakiwali z drogi i przyglądali się im nieufnie. Niektórzy zaczęli nawet w pośpiechu chować swoje towary. Strażnicy zaprowadzili członków oddziału na zielone trawniki wokół pałacu, gdzie słudzy uwijali się, rozstawiając namioty. Jeden z nich odprowadził dowódcę Biraka, już bez konia i broni, którą musiał zostawić w obozie, do pałacu. Tuż przed wejściem czekał na niego królewski urzędnik.

– Jestem Yumin, urzędnik królewski – przedstawił się grubawy wąsaty mężczyzna.

– Birak, dowódca oddziału, poseł imperatora – odparł, przyglądając się frontowi pałacu.

– Słyszałem, że ma pan list od imperatora, proszę za mną. – Wskazał drogę do pałacu.

Stary, zasuszony władca czekał już na nich w głównej sali, siedząc na swoim tronie. Jak zwykle miał skwaszoną i nieprzyjemną minę. Żołnierz bez oddawania honorów podszedł do niego i wręczył mu srebrne opakowanie z listem w środku.

– Zgodnie z życzeniem imperatora przekazuję do rąk własnych króla Vizeya – powiedział i oddalił się z powrotem do obozu.

– Skoro imperator przysłał tutaj żołnierzy, a nie mojego syna, to znaczy, że ten dureń coś zepsuł i musimy się liczyć z konsekwencjami. – Pokręcił głową. – Otwórz to i czytaj.

Yumin pomęczył się chwilę z otwarciem pakunku, ale wreszcie zabrał się za czytanie. Rozwinął zwój i zamarł. Widać było, jak robi się bledszy od papieru, który trzymał w rękach. Klapnął wreszcie ciężko na podłogę.

– A więc aż tak... – Stary król westchnął. – Co zrobił mój syn i kiedy nastąpi kara?

– Piszą tutaj, że zdradził, a miasto zniszczą za trzy dni... – Dłonie mu drżały jak w konwulsjach. – Mamy czas na ewakuację...

– Obrona tych murów nie ma sensu, więc skorzystamy z tej możliwości. – Król podniósł się z tronu. – Wyjdiesz na Maaneer i odczytasz ten list, a potem zarządzisz ucieczkę z miasta. Nakazesz uciekać jak najdalej i kierować się do Phedas. Tam czeka na was bezpieczna przystań. Ja zostanę, by porozmawiać z tym imperatorem i obiecać mu wszystko, byle tylko nie niszczył kolejnych miast.

– A ci żołnierze? Ci co przynieśli list? Przecież oni mogą zacząć atak od środka! Musimy się bronić! – Yumin podniósł głos, podrywając się z podłogi.

– Chcesz ich zaatakować? Otruć? – Król spojrzał na niego pogodzony z losem. – Szkoda zachodu... Dobrze wiesz, jak liczną mają armię. Otrucie stu żołnierzy nic nie zmieni, a może tylko pogorszyć... Wszystkie siły zaangażuj w ucieczkę, nie ma innej rady.

Zdezorientowany urzędnik nie śmiał sprzeciwić się woli swojego króla i już po kilku minutach gramolił się po stromych schodach na szczyt wieży stojącej niedaleko pałacu. Docierając na górę, musiał chwilę odsapnąć, nim zaczął czytać. Wyszedł na balkon znajdujący się wysoko ponad ziemią i aż zakręciło mu się w głowie. Przez barierki wystawał długi róg, w który musiał zadać trzy razy, by skupić na sobie uwagę całego miasta. Nabrał powietrza w płuca i dmuchnął, ile tylko miał sił. Widział, jak ludzie zaczynają zbierać się w pobliżu wieży, by usłyszeć wiadomość, która musiała być ważna, skoro wybrano ten tradycyjny sposób. Widział też krzątających się wokół namiotów żołnierzy imperium, których nie obchodziło to, co działo się powyżej. Wyjął zwój, rozwinął go i przeszedł do rzeczy, choć serce waliło mu tak, że bał się, że go zagłuszy.

– Do króla Vizeya Gaddara, władcy Barbasu i szanownego ludu zamieszkującego stolicę tego kraju. Piszę ten list z ciężkim sercem, ponieważ coś, co zapowiadało się jako przyjaźń i długotrwały sojusz między naszymi krajami, okazało się być zwykłym zdradzieckim podstępem. Następca tronu Barbasu, książę Pandey, okazał się być zdrajcą, który proponował mi przyjaźń tylko po to, by wbić mi nóż w plecy. Próbował zbuntować moje kapłanki, by przejąć władzę, zaatakował mnie nawet, ale przeżyłem ten zamach i osadziłem go w więzieniu. Długo zastanawiałem się nad karą, jaką za coś tak okrutnego można wymierzyć. Pomyśleliście pewnie o karze śmierci, która za zdradę wydaje się być jedyną słuszną. Zgadzam się, książę Pandey zginie. – Głos załamał się Yuminowi na chwilę. – Zostanie nabity na pał, tak by śmierć nie była szybka i bezbolesna. Jednak zanim to nastąpi, przygotowałem dla niego inne udręki. Nie za zwykłą zdradę i próbę przejęcia władzy, ale za sposób, w jaki chciał to zrobić. Próbując przeciwstawić mi moje jedyne przyjaciółki, złamał moje serce, dlatego postanowiłem złamać również jego. Pandey, miasto nazwane na jego cześć, zostanie zniszczone przez moją armię. – Głos czytającego po raz drugi odmówił posłuszeństwa. – Za

trzy dni zostanie zrównane z ziemią, a sam książę będzie przyglądał się temu, jak jego miasto rozpada się w pył. Wy, szanowni mieszkańcy tego miasta, nie jesteście winni, więc proszę, byście w ciągu tych trzech dni uciekli z jego murów. Jeśli ktoś zostanie w mieście, będzie musiał zginąć, ale nie wasza śmierć jest naszym celem. Zapewniam was, że wszelki opór jest daremny. Wyjeżdżając z Pandeyu, zachowacie życie. Broniąc miasta, zginiecie. Armia Imperium Sag Bas, która jest trzy dni drogi stąd, dysponuje siłą pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy, sprzętem do prowadzenia oblężenia, zapasami i wsparciem z imperium. Wierzę, że jesteście ludźmi myślącymi trzeźwo i zostawicie otwarte bramy, chroniąc życie. Z przykrością, podkreślam jeszcze raz, zdecydowałem się na taki krok, ale zbrodnia księcia Pandeya pozostawiła ślad w moim umyśle i nie znajduję innego sposobu, by przynieść sobie ukojenie. Podpisano imperator – zakończył Yumin i spojrzał w dół.

Łzy kapały mu z oczu, widząc, jaka panika wybuchła na ulicach jego ukochanego miasta, przed urodzeniem księcia zwanego Nesyreem. Ludzie przepychali się, biegali, krzyczeli, a nawet tratowali, by jak najszybciej znaleźć się w swoim domu i zacząć pakować dobytek. Strażnicy próbowali jakoś zapanować nad przerażonym tłumem, ale nie pomagały nawet Keechaki. Nikt nie chciał słuchać ich wskazówek co do ewakuacji. Każdy po prostu spieszył się, by uratować jak najwięcej ze swojego dotychczasowego życia.

– Och, mój książę. – Westchnął ciężko, widząc rozbawionych jaramskich łuczników. – Coś ty najlepszego zrobił...

Słońce dopiero wstawało nad Barbasem, kiedy generał Nir Nait i jego armia ujrzeli mury miasta. Gdy tylko zbliżyli się na długość szarży, generał zebrał wszystkich setników. Wiedział, że doskonale znają rozkazy, bo imperator przypomniał im to jeszcze niedawno, ale zapach obozu i atmosfera oczekiwanej wojny sprawiły, że poczuł się dowódcą po raz kolejny w swoim życiu, liczył, że jeden z ostatnich.

– Imperator wskazał wam, na czym ten atak będzie polegał, ale taktykę zostawił mi – mówił po tolimurajsku. – Trzeba będzie zamknąć pierścień oblężenia. To podstawa naszego planu. Łucznicy z Jaramu, obstawicie teren za murami. Strzelać do każdego, kto spróbuje przez nie przejść. Ten oddział, który jest już wewnątrz, otworzy nam główną bramę, dlatego barbaska jazda uderzy klinem jako pierwsza. Za nią za mury wtargnie piechota z Ujary razem z tymi z Tolimurai, a Gotrayczycy zablokują

wszystkie drogi ucieczki. W mieście są cztery bramy, wiecie gdzie, tam macie stanąć i bronić przejścia, jasne?

– Eya essa! – Usłyszał w odpowiedzi.

– Teraz przekażcie to swoim podkomendnym i znajdźcie chwilę, by poprosić Sag Bas o wsparcie. – Rozeszli się, a on wrócił do wozu, który podróżował na przedzie kolumny.

– Zwierzęta – burknął Pandey siedzący w klatce.

– To wzniesienie jest idealne, byś mógł obserwować upadek miasta. – Nir nie zareagował na zaczepki. – Za chwilę grupa, która znajduje się w środku, rozpocznie atak, łamiąc obyczaje dotyczące posłów, ale nikogo to nie obchodzi, bo Sag Bas ma swoje obrzędy i odrzuca te, które były wcześniej.

– To nawet swojego generała wykorzystujesz jako marionetkę? – Pandey wyczuł, że nie rozmawia z żołnierzem.

– Mógłbym przekazać ci moje słowa bezpośrednio do umysłu, ale wtedy nie byłoby takiego zaskoczenia. – Uśmiechnął się przerażająco. – Wracając jednak do planu... Łucznicy rozpoczną rzeź, otworzą nam bramy, a wtedy miasto będzie już stracone.

– A co się stanie z moim ojcem? – zapytał, choć w gardle miał pustynię.

– Tak jak mówiłem wcześniej, pojmiemy go, a potem na twoich oczach zgładzimy, ale bez specjalnych tortur, oczywiście poza oglądaniem upadku miasta. – Wzruszył ramionami.

– Zabijcie go od razu! – Szarpnął kraty.

– Proszę się uspokoić – zupełnie niespodziewanie odezwał się generał Nait. – Zostawię tutaj kilku strażników, a sam mam poprowadzić pierwszą szarżę.

Dało się słyszeć w oddali krzyki i trąby alarmowe. Generał, mimo wieku, błyskawicznie wskoczył w siodło i pognął w kierunku murów miasta. Zaraz za nim szarżowała barbaska jazda. Drobny pustynny piasek wzbijał się wysoko, tworząc tumany kurzu. Łucznicy w ostatniej chwili zdążyli otworzyć bramy i cała jazda wpadła do środka.

Galopując brukowanymi ulicami miasta, wyżynali wszystkich, którzy nawinęli się im pod ostrze. Pęd, liczba i zaskoczenie spowodowało, że nawet świetnie wyszkoleni strażnicy królewscy nie mieli szans. Zaraz za jazdą w murach zjawiała się piechota, której zadaniem było dobijanie cywilów. Chodząc od drzwi do drzwi, po rzeźniku szlachtowali bezbronnych mieszkańców szykujących się do ewakuacji. Nie mogli

przepuścić nikomu, nawet dzieciom. Krew broczyła progi domów i bruk ulic.

Oddziały kierowane przez generała Nira zwróciły się ku pałacowi. Tam obrona była już przygotowana. Niedobitki, które przeżyły zdradziecki atak posłów i szarżę po ulicach, zebrały się po drugiej stronie mostu łączącego teren pałacu z resztą miasta.

– Teraz musimy uważać! – krzyknął. – Niejedną armię powstrzymali w takich chwilach.

Nie było jednak na co czekać, więc ruszył. Po moście konie musiały jechać pojedynczo. Zacisnął szczękę i spiął konia jeszcze mocniej. Położył się na jego grzbiecie i wyciągnął miecz gotowy do cięcia. Kiedy już miał się zamachnąć, by zadać cios, szereg obrońców rozstał się, wpuszczając całą kolumnę żołnierzy imperium na teren pałacu.

– Szkoda tracić tak walecznych ludzi. – Usłyszał w głowie głos Hexa.

Nie wszyscy jednak chcieli do nich dołączyć. Część, która miała na sobie jakiegokolwiek bursztynowe elementy, nie poddała się działaniu mocy Sag Bas i rzuciła się do walki. Nir i żołnierze najbliższej niego nie zwrócili jednak na to uwagi. Galopem wpadli do wielkiej sali w pałacu, gdzie spokojnie na tronie siedział Vizey. Przed nim stał gruby urzędnik z małym sztyłem w dłoniach.

– Nie dam króla! – Piszczął. – Nie dam!

Celnie rzucony Keechak wbił się w jego klatkę piersiową z taką siłą, że bezwładne już ciało niemal wpadło na tron. Nir zsiadł z konia i podszedł do władcy.

– Mam rozkaz pojmać was, wasza miłość – zwrócił się do niego.

– Wykonaj go – mruknął jak zwykle wrednie.

Generał Nait skinął dłonią i dwaj rośli jeźdźcy podnieśli starego władcę z tronu, związali mu ręce z tyłu i wrzucili na koński grzbiet. Wyprowadzili go z pałacu i skierowali się do bramy, by zabrać go za mury, gdzie w klatce siedział jego syn.

– Niech pierścień wokół murów będzie cały czas zamknięty – odezwał się do generała imperator. – Wyprowadź wszystkich żołnierzy z miasta i zaczniecie podpalać.

Nie minęło jeszcze południe, kiedy kłęby czarnego dymu zaczęły wzbijać się nad miastem. Łucznicy strzelali do płonących ludzi, którzy w akcie desperacji wspinali się na mury miasta, a pikinierzy blokowali niedobitków wypędzonych z kryjówek dopiero przez płomienie. Nikt nie umknął

z Pandeyu, stolicy Barbasu. Następca tronu tego kraju, widząc swojego ojca związanego niczym cielaka i rzuconego na piach, szalał w swoim więzieniu. Tłukł pięściami w kraty, szarpał je, a nawet gryzł. Na nic mu się to jednak zdało, bo żelazo nie chciało puścić. Jego ojciec leżał spokojny na piasku, pogodzony z losem.

– Miasto płonie i obraca się w ruinę. – Głosem Nira ponownie przemawiał imperator. – Wybaczcie, panowie, że nie mogę być tutaj z wami osobiście i oglądać swoimi oczami tego pięknego widoku, ale właśnie zmierzam, by zrobić to samo ze świątynią w Phedas i resztą wyznawców tej czerwonej zarazy. Z początku chciałem też, by nie został tutaj kamień na kamieniu, ale wypalone kamienne ruiny mogą być bardziej dostojne i pozostaną lepszą przestrogą na przyszłość. Postawcie króla Vizeya na nogi, chciałbym z nim porozmawiać. – Dwóch żołnierzy podtrzymywało starca, by stał prosto. – Wasza miłość. Twój syn dokonał straszliwej zbrodni, wbijając mi nóż w plecy, dlatego to musi się tak skończyć. Ja nawet byłem skłonny przyjąć propozycję sojuszu, oczywiście na warunkach Sag Bas, ale jednak. Niestety w tej sytuacji muszę zaanektować teren Barbasu i wcielić cały kraj i wszystkich jego obywateli do Imperium Sag Bas. Mógłbym cię torturować, wasza miłość, ale zaniecham tego i po prostu zetnę ci głowę, jak to się robi ze skazanymi w twoim kraju. Czy chciałbym coś powiedzieć przed śmiercią?

– Ret pokarał mnie synem, który obrócił w proch tysiąclecia. – Patrzył wprost na klatkę, w której znajdował się Pandey, a jego wzrok był przeraźliwie obojętny. – Upadek tego miasta i tego kraju jest wyłącznie moją winą. Chciałem, by ten dureń stał się godnym następcą tronu. Jest zbyt głupi, by działać samemu, i zbyt dumny, by wykonywać polecenia bez dodawania do nich swoich pomysłów. Gdyby wykonał rozkaz tak, jak należało, to teraz być może również stałbym tutaj związany, ale za mną nie byłoby zniszczonego miasta i zabitych ludzi. Być może popełniałem błędy jako władca, ale największym błędem było wychowanie tego durnia.

Błady jak ściana Pandey wpatrywał się w ojca, ściskając kraty, aż zbieleły mu dłonie, a łzy ciurkiem ściekały mu po policzkach.

– Przykłąknij zatem, wasza miłość, i schyl głowę. – Hex rękami swojego generała uniósł miecz wysoko nad głowę i opuścił z wielką siłą. Trafił idealnie w kark. Odcięta głowa potoczyła się po piasku, a wokół ciała w mgnieniu oka zrobiła się bordowa kałuża. – Dym jest już coraz rzadszy,

miasto się dopala – odezwał się do Pandeya. – Gdy tylko zgaśnie zupełnie, przyjdzie kolej na finał twojej kary. Przygotujcie pal!

Książę Barbasu wpatrywał się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał jego ojciec. Nie mrugał, nie poruszał się, po prostu stał, trzymając się krat swojej klatki.

Bramy miasta otworzono, kiedy słońce skłaniało się już ku horyzontowi. Generał poprowadził za uzdę konia, który ciągnął wóz z więźniem. Pandey cały czas wpatrywał się tępo w jeden punkt. Mijali po drodze zgliszcza drewnianych chat i wypalone, czarne skorupy tych kamiennych. Na ulicach leżały zwęglone ciała, a w powietrzu unosił się gryzący smród spalonego mięsa. Dotarli na główny plac, tuż przed ruiny pałacu. Na środku wykopano głęboki dół, a obok niego położono prosty pień drzewa długi na pięciu mężczyzn. Zaostrzono go na jednym końcu, przywiązano też do niego liny, by łatwiej dało się postawić go w pionie.

– Tutaj twoja droga dobiega końca. – Ponownie w ciało generała wstąpił imperator. – Otwórzcie klatkę i wypuście go, trzeba przygotować naszego księcia do finału.

Jeden z potężnych barbaskich jeźdźców wyszedł z tłumu z młotem w dłoniach i porozbijał zawiasy w klatce. Wyciągnął za kark księcia dalej znajdującego się w swoim świecie. Zerwano z niego łachmany i rzucono na ziemię. Do kostek przywiązano powrozy.

– Zgodnie z tym, co powiedziałem wcześniej, przyjacielu – ciągnął dalej Hex – zakończysz życie nabity na pal. Będziesz umierał, przyglądając się miastu, które zginęło przez ciebie. Zaczynajcie...

Czterech piechurów z Gotrayi wystąpiło z szeregów i zabrało się do pracy. Dwóch z nich ciągnęło za powrozy przywiązane do nóg Pandeya, a dwóch pilnowało, by pal wsuwał się tak, jak powinien. W pewnym momencie szaleńczy, głuchy krzyk rozdarł ciszę panującą w murach. Niektórzy żołnierze, nawet doświadczeni, uciekali ze wzrokiem. Kaci uznali wreszcie, że pal jest wbity wystarczająco głęboko i można go postawić. Złapali za liny przytroczone do pnia i poczęli ustawiać go w pionie. Kiedy pal znalazł się już w wykopanym dole i stanął prosto, Pandey zaczął się na niego nadziewać jeszcze bardziej pod wpływem ciężaru własnego ciała. Wyraz jego twarzy i otwarte usta sugerowały, że krzyczał nadal, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

– Wyznaczeni jeźdźcy zostają. – Generał Nir powrócił do swojego ciała. – Reszta zbiera się za murami. Ruszamy na Phedas.



## Rozdział XXXIX

– Dziękuję, Ulevie. – Iskel wziął od niego dwa zwiłki papieru. – To już wszystko?

– Tak, panie. – Skłonił się. – Żaden inny ptak jeszcze nie wrócił.

– Dobrze, jeśli coś się zjawi, to przynieś list do biblioteki. – Uczony pożegnał go i wrócił do siedzących przy stole Kastila, Devera i Theusa Merika.

– Co przyszło? – Król podniósł wzrok znad mapy.

– Odpowiedzi z Tasariku i Utvinu – odparł, przeglądając zwoje.

– O, i co tam piszą? – Kastil podniósł się i podszedł do uczonego.

– Utvin odpowiada, że ich armia jest wystarczająco dobrze uzbrojona, by poradzić sobie z obroną kraju, który przez swoje ukształtowanie terenu i tak jest trudny do zdobycia. – Przekazał królowi kartki. – A Tasarik twierdzi, że skoro udało im się przejąć władzę, pokonując rycerstwo i szlachtę z regularną armią, to nie muszą się szkolić jakoś specjalnie.

– Tak swoją drogą, to nie widzę potrzeby, by utrzymywać tutaj rycerzy księcia Dealina – wtrącił Theus Merik. – Zbyt wiele wsparcia z ich strony w przypadku ataku i tak nie będzie, a zapasy zżerają od dawna.

– Dopóki książę Tidur będzie chciał tutaj mieszkać, to zgodnie z obyczajem cała jego świta też będzie tutaj żyła. – Król rozłożył ręce. – Ale nie po to tutaj dzisiaj jesteśmy. Deverze, chciałeś poruszyć jakiś temat.

– Tak. – Mężczyzna zawahał się. – Pamiętacie wszyscy Rigę, tę dziewczynę, która wygrała próbę walki, a potem wzięła udział w ćwiczeniach gwardii... No więc ona ostatnio mnie prosiła, bym porozmawiał z waszą miłością o tym, by mogła rozpocząć szkolenie w regularnej armii...

– Co!? – Dowódca aż podskoczył. – Co ta gówniara sobie wyobraża?!

– Spokój! – warknął krótko Kastil. – Ona chce zostać żołnierzem, zgadza się?

– Tak, wasza miłość. – Przytaknął.

- Iskelu, czy w armii zdarzały się kobiety? – Spojrzał na uczonego.
- Musiałbym dokładnie sprawdzić w rocznikach, ale... – Iskel zamyślił się. – Wydaje mi się, że kobiety brały udział w oddziałach pospolitego ruszenia, tego jestem niemal pewny, ale czy w zawodowej armii. Nie sądzę, nie wydaje mi się, żeby kiedyś był podobny przypadek.
- Wasza miłość, jeśli mogę... – próbował się wtrącić Theus Merik.
- Na razie nie możesz. – Kastil wrócił do Iskela. – A czy gdzieś w prawie albo obyczaju jest zapis o tym, że w armii mogą służyć jedynie mężczyźni?
- Myślę, że w tym przypadku, podobnie jak przy próbie walki, nigdzie nie ma zapisu jednoznacznie o tym mówiącego...
- A dlaczego nie ma takiego zapisu?! – Merik poderwał się. – Bo nikt nawet nie brał pod uwagę, że kobieta może dopuścić się takich rzeczy!
- Tysiąc lat temu nikt też nie brał pod uwagę, że będziesz mógł strzelać do wrogów z kuszy, zamiast rzucać w nich dzidami – skwitował jego wypowiedź Kastil. – Deverze, czy powiedziałaś panie Ridze, jak wygląda wojsko od środka?
- Tak, wasza miłość, opowiedziałem jej wszystko o życiu w koszarach, o ćwiczeniach, o relacjach z przełożonymi, o wojnie... – Instynktownie spojrzął na Merika.
- I mimo to nadal chciała, byś ze mną porozmawiał? Odważna albo głupia, choć nie wydała mi się głupia, kiedy z nią rozmawiałem... – Kastil postukał palcami w stół. – No ale przecież nie możemy jej dać do normalnych koszar, do piechoty, nawet do ciężkiej jazdy, przecież tam by ją zamęczyli...
- Mój królu! – Głośne myślenie przerwał Iskel. – Mogę?
- Oczywiście. – Kastil spojrzął na niego z zaciekawionym wyrazem twarzy.
- To, że dziewczyna ma talent do miecza, jest oczywiste, widzieliśmy to i na próbie walki, i potem w walce ćwiczebnej, zresztą pan Dever zauważył to i dlatego ją szkoli. – Uczony rozglądał się po twarzach zgromadzonych. – Oczywiście jest też, że wpuszczanie dziewczyny między skoszarowane wojsko byłoby dla niej wyrokiem co najmniej hańby, a pewnie też i śmierci, bo nie dałaby się żywcem wziąć. Dlatego pomyślałem, że idealnym rozwiązaniem dla wszystkich będzie przydzielenie jej jako oficjalnego giermka pana Devera.
- Tylko rycerze mogą mieć giermków i taki obyczaj jest! – Merik nie mógł się uspokoić.

– Znam obyczaje lepiej niż pan, generale. – Iskel uśmiechnął się serdecznie.

– Wiem, do czego zmierzasz, Iskelu, i właśnie o taką poradę mi chodziło, jesteś niezastąpiony. – Król poklepał starca po ramieniu. – Zasług, by pasować Devera na rycerza, wystarczy, plam na jego honorze też nie widzę, więc przeszkód nie ma. A wtedy można będzie przydzielić mu pannę Rigę jako giermka. Wtedy będzie w armii, ale nie w samym jej plugawym środku. W bój, jeśli będzie gotowa i zajdzie taka potrzeba, też będzie mogła pójść. Postanowione! – Podniósł się nagle i ściągnął zakurzony miecz wiszący na jednej ze ścian. – Klęknij, Deverze!

– Ale wasza miłość... – Żołnierz nie wiedział, co począć.

– Klękaj. – Dever posłuchał wreszcie. – Jako prawowity władca Erskinu, doceniając czystość twego serca, jego odwagę i zasługi w obronie ojczyzny, przy zebranych tutaj świadkach pasuję cię, Deverze Monerwehu, na rycerza. – Przyłożył rękojeść miecza do jego czoła, jak nakazywał obyczaj. – Kiedy wstaniesz z kolan, przestaniesz być zwykłym wojem, a staniesz się wzorem do naśladowania dla innych. Dopilnuj, by przymioty, które przyprowadziły cię do tego momentu, nie opuściły cię w dalszej drodze. Bądź mężny, odważny, rozsądny i prawy, tak by cały naród mógł brać z ciebie przykład.

– Prędzej zgineę, niż sławę moją splamię – wypowiedział formułkę łamiącym się głosem. Wielki jak dąb chłop, z groźnym wyrazem twarzy, długą brodą i przeszywającym spojrzeniem podniósł się z kolan ze szklącymi się oczami i uścisnął dłoń swojego władcy. Długi uścisk wyrażał więcej niż tylko symboliczne przypięczętowanie tego obyczaju.

– Iskelu, gdybyś był tak miły i przekazał kowalowi, że trzeba wykuć nowy miecz dla Devera. – Król uśmiechnął się.

W komnatach przeznaczonych na koszary dla gwardii królewskiej mężczyźni szykowali się do wspólnych ćwiczeń. Wybierali odpowiednie dla siebie miecze, zakładali karwasze czy lepsze buty. Chłód na zewnątrz panował niemiłosierny, ale wiedzieli, że rozgrzeją się zaraz w trakcie walki, więc bluzy zostawili na posłaniach.

– Gotowi? – Król Kastil niespodziewanie zajrzał do ich głównej sali.

– Tak jest, wasza miłość! – odpowiedzieli chórem.

– To idziemy, nie ma na co czekać. – Król odwrócił się i ruszył ku wyjściu na dziedziniec.

Zgarnął dwa miecze stojące na stojaku tuż przy wyjściu i wetknął je w szlufki przy pasie wiszącym na biodrach. Podobnie jak jego gwardziści postanowił nie zakładać koszuli. Przeszli przez krótki korytarz, a kiedy znaleźli się na zewnątrz, król stanął jak wryty. Na dziedzińcu zobaczył kilkadziesiąt osób, które stojąc w różnych grupkach, szykowały się do udziału w ćwiczeniach, korzystając z królewskiego zaproszenia. Widział wśród nich zarówno synów bogatszych kupców, zwykłych rzemieślników, a nawet biedotę pracującą u innych za jedzenie i dach nad głową.

– Naspraszales, wasza miłość, motłochu – mruknął Merik.

– A teraz ty będziesz ten motłoch szkolił – odpowiedział mu i poszedł przed siebie.

Zbliżył się do ludzi, którzy widząc nadchodzącego władcę, zbili się w ciasną grupę, by lepiej słyszeć, co będzie miał do powiedzenia. Wśród zebranych zauważył Rigę, która ze swoim mieczem stała gdzieś na uboczu. Wszyscy przyklękli, oddając hołd królowi.

– Wstańcie! Wstańcie! – powiedział Kastil. – W trakcie ćwiczeń jestem takim samym żołnierzem jak reszta. Po pierwsze chciałbym podziękować, że przyszliście. Moi gwardziści rozdadzą wam broń, podzielą na grupy i pokażą podstawowe umiejętności. Generale Meriku, Deverze! – zawołał swoich gwardzistów.

– Słucham, wasza miłość? – Dever zjawił się szybciej i był pełny zapału.

– Podzielcie ludzi na niewielkie grupy i przydzielcie jedną każdemu z gwardzistów – wyjaśniał Kastil. – Niech pokażą im same podstawy. Jak załapią, to przejdźcie do walki. Sami też dobierzcie się dwójkami i ćwiczcie.

– A wasza miłość? – dopytywał świeżo pasowany rycerz.

– A ja znalazłem partnera do ćwiczeń. – Wskazał skinieniem głowy Rigę.

– Jeśli oczywiście zgodzisz się, Deverze, bym szkolił twojego giermka.

– To będzie dla niej i dla mnie olbrzymi zaszczyt, wasza miłość. – Skłonił się.

– Skończmy z tym patosem, bierzcie się do roboty! – Gwardziści ruszyli do przydzielania ludności swoim towarzyszom, a Kastil skierował kroki ku Ridze Deterik.

– Wasza miłość. – Skłoniła się zakłopotana.

– Mówiłem ci już, że bez korony, a tym bardziej bez koszuli to żaden ze mnie król. – Uśmiechnął się przyjaźnie. – Dever przekazał ci nowiny?

– Tak, wasza miło... To znaczy, tak. – Zarumieniła się. – Bardzo się cieszę, że został rycerzem i...

– Chciałem ci wyjaśnić, dlaczego nie mogliśmy cię wcielić do armii – przerwał jej. – Myślę, że powinnaś znać powód. Nie mogłaś trafić do koszar, bo jesteś kobietą. Nie ma to związku z obyczajem czy prawem królewskim, ale z twoim bezpieczeństwem. Wiem, jak walczysz i jak zadziorna jesteś, ale nie dałabyś rady grupie chłopów silnych jak byki, gdyby chcieli ci coś zrobić. Dlatego wspólnie z moim uczonym uznaliśmy, że tak będzie najlepiej. Przy Deverze bardzo wiele się nauczysz, będziesz odbywała normalne ćwiczenia dla gwardzistów, a co najważniejsze, jeżeli przyjdzie okazja stanąć do bitwy, to jako giermek pójdiesz w bój u jego boku. – Riga kilka razy nabierała powietrza, by przerwać królowi, ale nie robił dłuższych przerw i nie starczyło jej odwagi. – Odpowiada ci takie rozwiązanie?

– Tak! – Roześmiała się. – To spełnienie moich marzeń, wasza miłość! Pan Dever jest wspaniałym nauczycielem, tyle się już dzięki niemu nauczyłam i...

– Zaraz sprawdzimy, co już potrafisz – wtrącił. – Dobądź miecza!

Dziewczyna ustawiła się w pozycji wyjściowej, gotowa na odparcie ataku. Kastil tymczasem spokojnie czekał, przekładając sobie broń z ręki do ręki i przesuwając się kocim krokiem w lewą stronę. Wyczekiwał na okazję do ataku. Wreszcie ruszył i spróbował ją uderzyć cięciem z dołu od prawej. Riga zablokowała ten atak swoim mieczem i spróbowała szybko ciąć z góry, ale Kastil uchylił się, pokazując doskonały refleks. Kiedy puszczone z siłą ostrze wbiło się na chwilę w trawę, król doskoczył do niej i uderzył barkiem, przewracając ją. Przetoczyła się przez bark i szybko znalazła się znowu na nogach. Zdążyła tylko wznieść ostrze, by sparować kolejne uderzenie. Nie miała nawet chwili oddechu, bo Kastil nacierał raz za razem.

Nagle ich ostrza skrzyżowały się i zbliżyli się do siebie. Dziewczyna była dużo niższa od władcy, ale mimo to dzielnie wytrzymała napór i patrzyła mu prosto w oczy z zaciętą miną. Serce tłukło jej się w piersiach jak oszalałe, aż poczuła, że robi jej się ciemno przed oczami i ugięło jej się kolano. Poleciała w trawę, a miecz wylądował tuż obok. Chciała go szybko podnieść, ale Kastil stanął na nim.

– Nie żyjesz – powiedział z satysfakcją. – Wiesz, gdzie popełniłaś błąd? Straciłaś koncentrację. – Podał jej rękę, którą chwyciła niepewnie. – Nie

wiem, co się stało, ale przez chwilę przestałaś myśleć o tym, by mnie pokonać. To wystarczyło, bym cię przewrócił i zabił. W czasie pojedynku nie możesz tak robić. Masz myśleć tylko o jednym, o swoim przeciwniku, nie wolno ci na moment pomyśleć o czymś innym, to może kosztować cię życie.

– Przepraszam ja... Chyba jestem zmęczona, wasza miłość i... – Spoglądała wszędzie, tylko nie prosto w oczy Kastila.

– Teraz, będąc giermkim królewskiego gwardzisty, musisz zapomnieć o zmęczeniu i zawsze być gotowa. – Trzymając ją za brodę, skierował jej wzrok na siebie. – Wiesz, co się może wydarzyć, jeśli Erskin wejdzie w stan wojny?

– Nie... – Jej źrenice zrobiły się olbrzymie.

– Jeśli zostaniemy zaatakowani, to wszyscy giermkowie z miejsca stają się członkami mojej armii – mówił z zadziwiającym spokojem. – Zgodnie z prawami wojny, które ogłosił mój dziadek, tworzone są całe oddziały giermków walczące ramię w ramię ze swoimi opiekunami. Wiesz, co to oznacza? – Pokręciła przecząco głową. – To oznacza, że Dever będzie liczył na twoje wsparcie. Będzie chciał, żebyś była jego oczami z tyłu głowy, ale też będzie cię chronił. Nie może jednak być tak, żeby musiał cały czas pilnować, byś nie zginęła. Musisz myśleć o tym sama, dlatego takie błędy, jak ten dziś, nie mogą się więcej powtórzyć, jasne?

– Tak jest, wasza miłość...

– Świetnie. – Poczochrał ją po głowie. – Zobaczmy zatem, jak idzie pozostałym.

Zobaczył coś, co z pozoru wyglądało na normalne ćwiczenia. Kilkuosobowe grupki trenowały podstawowe chwytty pod okiem i przy udziale gwardzistów. Mieszkańcy miasta starali się powtarzać dokładnie to, co mówili i pokazywali im ich nauczyciele, jednak nie zawsze im to wychodziło. Wtedy dopiero dało się zauważyć, jakie gwardia ma podejście do nauczania zwykłych ludzi. Dało się słyszeć krzyki, nerwowe rozkazy, zobaczył szarpanie przy ustawianiu w prawidłowej pozycji, a co gorsza – niekiedy nawet zupełną obojętność wobec tego, czy ćwiczenia były wykonywane prawidłowo, czy nie.

– Co się dzieje, wasza miłość? – zapytała Riga, kiedy nagle zatrzymał się i aż poczerwieniał.

– Będę musiał poważnie porozmawiać z moimi żołnierzami... – mruknął pod nosem.

– Dlaczego? – zapytała śmiało.

– Dlatego, że mają problem z wykonywaniem królewskich rozkazów jak należy. – Zacisnął dłoń na rękojeści miecza. – Na dziś koniec ćwiczeń, możesz wrócić do domu.

– Ale...

Odszedł od niej, nie zwracając uwagi na to, że chciała coś jeszcze powiedzieć.

– Obywatele! – odezwał się donośnym głosem. – Jest mi niezmiernie miło, że przybyliście tak licznie. Mam nadzieję, że nauczyliście się czegoś pożytecznego, ale mam też nadzieję, że nic z tego nigdy wam się nie przyda. Za tydzień zapraszam ponownie. Tymczasem dziękuję za dziś, ćwiczenia dobiegły końca.

Ludność dziękowała gwardzistom, oddając im broń, po czym kłaniała się nisko królowi, przechodząc do wyjścia z zamkowego dziedzińca. Znudzeni i zdegustowani rycerze zbierali sprzęt i wracali do koszar. Król bez słowa minął ich i udał się pod główną salę zamku Erskin.

Hałas rozmów cichł stopniowo w zbrojowni znajdującej się w koszarach pod zamkiem. Kolejni rycerze wchodzili do sporego, ale ciemnego pomieszczenia, zastawionego rzędami stojaków na broń i pancerze wypełnionych mieczami treningowymi, tymi używanymi w bitwach, łukami, tarczami, płytowymi zbrojami i hełmami należącymi do gwardii królewskiej. Śmiechy i głośnie rozmowy urywały się stopniowo, a ich miejsce zajmowały szepty informujące kolegów z tyłu o nieco niespodziewanym gościu. A gość siedział spokojnie na taborecie ustawionym w rogu pomieszczenia, tuż obok jednej z pochodni oświetlających zbrojownię.

– Zbliźcie się wszyscy – powiedział lodowatym tonem.

– Wasza miłość, co się stało? – Na przód wysunął się Dever Monerweh.

– Właśnie o to chciałem zapytać, ale nie ciebie konkretnie, Deverze, ale was wszystkich. – Kastil podniósł się. – Chciałem zapytać, od kiedy to gwardia królewska może lekceważyć królewskie rozkazy? Od kiedy to gwardia królewska może pomiatać królewskimi gośćmi? – Z każdym pytaniem mówił coraz głośnie. – Od kiedy to wy decydujecie o tym, kto może władać mieczem i kto się tego może uczyć? Słucham!

– Wasza miłość, nie rozumiem... – Theus Merik próbował uspokoić władcę.

– Doskonale rozumiesz, Meriku! – ryknął. – Myślisz, że masz do czynienia z idiotą?! Z durniem, który nie widzi tego, co dzieje się wokół niego?!

– Wasza miłość, proszę...

– Nie! Nie interesuje mnie to, o co prosisz. Interesuje mnie jednak, w jaki sposób chcesz mi wytłumaczyć to, co miało miejsce przed chwilą na dziedzińcu.

– Uważamy, że żaden rycerz nie powinien być zmuszany do tego, by uczył szlachetnej walki na miecze jakichś wieśniaków. – Merik wyprostował się. – Jeżeli ktoś z nas ma takie życzenie, to droga wolna, ale reszta uważa, że to ujma na honorze.

– Ujma na honorze?! – ryknął Kastil. – Ujmą na honorze jest dla ciebie obrona słabszych, tak?

– Obrona nie, ale...

– A właśnie, że to jest obrona! – krzyczał, aż pogłos rozniósł się po zbrojowni. – Dając im podstawowe umiejętności obrony, możemy uratować im życie. Jeśli dojdzie do najgorszego, to każdy miecz po naszej stronie może być na wagę zwycięstwa. Znasz styl walki krajów ze wschodu, generale?

– Wiem, że nie stosują specjalnej taktyki, używają szybkości i liczebności...

– Właśnie! – Uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Jesteśmy tacy pewni, że damy im radę wspaniale dowodzoną profesjonalną armią, ale co się stanie, jeśli armia nie zdąży się zebrać?

– Nie ma takiej...

– Nie ma takiej możliwości!? – Kastil nie dawał mu dojść do słowa. – A skąd ta pewność? Jakimś cudem Barbas zdołał wedrzeć się w nasze granice.

– Wasza miłość, z całym szacunkiem, ale nawet nauczenie walki każdego jednego mieszkańca miasta niewiele zmieni, jeśli założymy najczarniejszy scenariusz – mówił cały w nerwach. – Jeśli armia nie da rady ich powstrzymać przed szturmem na miasto, to jego mieszkańcy nie będą w stanie go obronić...

– A ty dalej uważasz mnie za głupca... – Pokręcił głową. – Jeżeli uważasz, że ja chcę zostawić obronę miasta w rękach zwykłych ludzi, to właśnie tym dla ciebie jestem. Ja to robię po to, by dać im szansę



przeżycia, a jeśli uda się wspomóc regularne wojska ochotnikami, to przecież tylko lepiej dla nas. Nie uważacie tak?

Szmer niejednoznacznych odpowiedzi poniósł się po zbrojowni. Część przytakiwała, ale była grupa, która nie zgadzała się ze słowami władcy.

– Wasza miłość... – Merik nie poddawał się. – Wszyscy doskonale pamiętamy, co wydarzyło się w Tasariku... Dawanie broni do ręki pospólstwu może się obrócić przeciwko nam. W wypadku jakichkolwiek zamieszek i próby przejęcia władzy będzie trudniej opanować tłum, który wie, jaki zrobić użytek z miecza.

– Czy ty wiesz, dlaczego w Tasariku doszło do przewrotu? – Król spojrzał w oczy starszego generała. – Ale nie oficjalną wersję, tylko prawdziwą. Znasz ją?

– Nie jestem pewien... – odparł zmieszany.

– Tasarik poszedł na wojnę z Werdgwaldem całą swoją armią. – Gwardziści przysłuchiwali się każdemu słowu. – A całą armię trzeba wyżywić. Dlatego nie informując o tym chłopów czy mieszczan, zaczęli zabierać im więcej plonów niż zazwyczaj. Bitwy niszczyły pola uprawne, palono wsie, nikt jednak nie zwracał na nich uwagi. Wszyscy martwili się tylko o to, by wygrać wojnę i dać świadectwo swojej potęgi. Wojna to cierpienie przede wszystkim dla tych najmniejszych, dla mieszkańców miast i wsi, którzy nie mają czego włożyć do ust, bo wszystko zabiera raz jedna, a raz druga armia. W pewnym momencie przestało mieć dla nich znaczenie, czy są Werdgwaldczykami, czy Tasarikanami. Było im wszystko jedno, jakiego króla mają nad sobą, byle tylko wojna się już skończyła i mogli znowu żyć w spokoju. To wykorzystał jeden czy drugi handlarz rybami, który odpowiednio nastawiając ludzi przeciwko władzy, zdobywał kolejnych sojuszników. Kiedy zmęczona armia broniła się jeszcze na granicy, udało mu się dokonać przewrotu. Dlaczego? Bo ludzie poszli za nim, bo wreszcie ktoś zaczął się z nimi liczyć, ktoś chciał zadbać także o ich brzuchy, a nie tylko o opasłe brzuszyska szlachty! Więc jeśli ktoś miałby tutaj podnosić bunt, to właśnie dlatego, że czuje się odrzucony, a nie dlatego, że wreszcie król postanowił zrobić coś również dla niego.

– Ale skąd pewność, że skoro ten nowy władca tak łatwo zjednał sobie ludzi wschodu, to nie będzie w stanie przekonać też naszych wieśniaków? – krzyknął ktoś z tyłu.

– Nie mam takiej pewności i mieć jej nie mogę – odparł król. – Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że tak się nie skończy. I znowu podejrzewam, że

łatwiej byłoby mu przekonać lud stłamszony pod butem najbogatszych.

– Ale rycerzom to się nie godzi! – Dobiegł go głos kogoś innego.

– Chcę wam tylko przypomnieć, że członek królewskiej gwardii nie jest zwykłym rycerzem. – Uniósł palec w górę. – Wstępując do gwardii, przysięgaliście bronić króla za cenę swojego własnego życia. Inni rycerze w wypadku przegranej bitwy mają prawo poddać się, by chronić życie, ale nie wy! Wy obiecywaliście walczyć do końca. Skoro więc jesteście gotowi poświęcić życie dla króla, to dlaczego stawiacie taki opór przed wykonywaniem jego woli? Nie każę wam przecież biegać nago po murach... – Kastil przerwał, słysząc głośnie dyszenie i widząc zamieszanie na końcu sali.

Rycerze rozstępowali się zdezorientowani, aż wreszcie spomiędzy nich wypadł cały mokry i czerwony Ulev. Pocztowy, słaniając się na nogach, skłonił się przed królem i wyciągnął ku niemu pomięty świstek papieru.

– Wasza... miłość... – Sapał. – Szukałem... po całym... zamku... To pilne... Ledwo znalazłem... To nie list... do nas... ale...

– Dziękuję, odpocznij – przerwał mu, wyciągając z jego dłoni list. – Dajcie mu trochę wina.

Król zaczął czytać, kiedy Dever podał manierkę pocztowemu. Kastil przestał jednak zwracać uwagę na to, co dzieje się wokół niego. Z każdym kolejnym słowem zawartym w tym liście bladł i oddychał coraz ciężej. Opuścił papier i zamknął na chwilę oczy.

– Nie jestem przekonany, czy powinienem wam zdradzać treść tej wiadomości – mówił drżącym głosem. – Ale w kontekście rozmowy, jaką odbyliśmy przed chwilą... Jest to list Aunma, mieszkańca stolicy Barbasu. Napisał on, widać, że w wielkim pośpiechu, takie słowa: Kochana Nuel, nie wiem, czy dostaniesz ten list. Ptaka znalazłem przypadkowo, w wielkim pośpiechu po tym, jak dowiedzieliśmy się, że miasto zostanie zniszczone. Żołnierze imperatora ze wschodu przywieźli jego rozkazy i królewski urzędnik odczytał je z wieży. Księżę Pandey dopuścił się zdrady i za to imperator zniszczy miasto. Dał nam trzy dni na ucieczkę, ale boję się, że to kłamstwo. Pakuję na wóz tylko niezbędne rzeczy i uciekam na zachód, do ciebie, Nuel. Strasznie się boję. Podobno jego armia jest olbrzymia i nawet nie ma sensu stawiać jej oporu. Proszę Ret, by pokierował moje drogi tak, abyśmy spotkali się jak najszybciej. Jeśli nie dotrę do ciebie, to znaczy, że słusznie się obawiałem... Pamiętaj o mnie wtedy. Aunma. Właśnie dlatego musimy być gotowi – przerwał długą ciszę, jaka zapanowała po ostatnim

słowie listu. – Właśnie dlatego musimy być gotowi jak nigdy wcześniej, bo nigdy wcześniej nie mierzyliśmy się z takim zagrożeniem.

– Może to pułapka? – Usłyszał od jednego gwardzisty.

– Vizey coś wykombinował! – dorzucił inny.

– Być może macie rację. – Kastil westchnął. – Nie możemy wykluczyć tego, że ten list celowo został do nas wysłany, ale mój nauczyciel Iskel uczył mnie, że jeśli nie mogę czegoś wykluczyć na sto procent, to muszę się na to przygotować. Dlatego musimy podjąć wszelkie możliwe działania, by być w gotowości w wypadku ataku. Jeśli zaatakował Barbas, to na jego drodze do naszych granic nie ma już nic.

– Nie zaatakują zimą, wasza miłość. – Theus Merik zmienił nieco ton. – Nawet jeśli zdobędą Pandey, to przeczekają tam zimę. Mamy czas do wiosny.

– Generale Meriku, twoja niekompetencja zaczyna mnie irytować. – Kastil zgniótł mimowolnie papier, który trzymał w dłoni. – Jeśli armia, którą dysponuje tak zwany imperator, jest rzeczywiście tak ogromna, to zapewne są już w drodze do naszej granicy, a wiesz dlaczego? Bo nie da się wykarmić tylu ludzi w niewielkiej oazie na środku pustyni! Dlatego właśnie ty, generale Meriku, Dever Monerweh, ja, uczony Iskel i Tidur Dealin spotkamy się wieczorem w sali narad. Będziemy się w niej zastanawiać, jak może wyglądać struktura tej armii, jaką mogą obrać taktykę ataku oraz jak ją skutecznie zneutralizować. A wy wszyscy przemyślcie, czy wystarczy wam jeden wróg za granicą, czy chcecie sobie jeszcze zrobić przeciwników tutaj, w mieście. Dziękuję. – Ruszył sprężystym krokiem w stronę wyjścia z koszar.

Członkowie gwardii rozstąpili się, salutując swojemu władcy, ale w głowach mieli natłok myśli.

## Rozdział XL

Siedział w swojej niewielkiej komnacie tuż obok królewskiej sypialni i zastanawiał się, co ma zrobić dalej. Był przekonany, że jeśli pozostanie w zamku choć dzień za długo, to straci życie. Wiedział, że Kunglin nie daruje mu kłamstwa o Immie. Udało mu się przygotować konia, zebrał trochę zapasów, zapakował to wszystko na wóz i ukrył w ruinach częściowo spalonego domu na południe od miasta. Przeliczył wszystko i uznał, że to, co zgromadził, powinno wystarczyć na dotarcie do granicy Erskinu. Musiał jednak wybrać odpowiedni moment na ucieczkę. Król był ostatnio bardzo spięty, a zniknięcie najemnika tylko pogorszyło jego nastrój.

Świeczka w ciemnym pokoju powoli się dopalała, a Mytel dalej nie mógł się zebrać do snu. Wiedział, że w jakiś sposób musi wyprowadzić Immę z lochów bez wzbudzania podejrzeń. Gryzł się z myślami, jak to najlepiej rozegrać. Uważał, że musi bez żadnego pośpiechu wyjść do miasta, jakby nigdy nic, w biały dzień. Uciekanie w nocy, przekradanie się, może go zdradzić. Dużo gorzej było z Immą. Strażnik siedzący przy zejściu do podziemi znał go już doskonale i wiedział, że przeprowadza jakieś eksperymenty, więc nie robił problemów z wchodzeniem ani wychodzeniem z lochów z drobnymi pakunkami, ale wyprowadzenie, a nawet wyniesienie jej w jakimś worze nie uszłoby jego uwadze. Podszedł do biurka, wyciągnął plik kartek papieru i pióro. Zamoczył je w atramencie i zaczął rysować, szepcząc sam do siebie.

– Tutaj jest wyjście z lochów i jeden strażnik... – Zaznaczył go kołkiem. – Potem można przejść tędy... Wybierając odpowiedni czas i idąc przez kuchnię, można by pozostać niezauważonym... Oni są tak zabiegani przed obiadem, że nie zwracają uwagi... Z kuchni wyjście na dziedziniec. Tutaj może się kręcić jakiś strażnik, ale innej drogi nie wymyślę. Przechodząc tutaj pod murem, dostaniemy się do tej bocznej bramy na południe, potem już tylko duktem i w lewo do ruin...

– Mytel! – Donośny okrzyk przeszył nocną ciszę. – Mytel! Chodź tutaj, ty uczona łajzo!

– Dlaczego on nie śpi?! – Zezłościł się, w pośpiechu wciskając zarysowane papiery do kominka. Gdy tylko zajęły się ogniem, wyszedł z komnaty i niemal biegiem udał się do znajdującej się po drugiej stronie korytarza sypialni króla.

– Wasza miłość mnie wzywał? – zapytał najgłupiej, jak się dało.

– Wzywałem, a pewnie, że wzywałem. – Król siedział na łóżku w olbrzymiej koszuli nocnej. – Próbowałem zasnąć, ale coś mi nie daje spokoju. Powiedz mi, czy ty widziałeś ostatnio tego najemnika, który zawsze gdzieś się kręcił koło moich drzwi? Jak on tam miał na imię...

– Kayal – potwierdził Mytel. – Nie widziałem go od jakiegoś czasu. Sądziłem, że wasza miłość wysłał go gdzie indziej...

– Nie wysłałem – przerwał mu. – Wyobraź sobie, że kazałem mu kręcić się w pobliżu cały czas.

– I zignorował ten rozkaz? – Uczony starał się panować nad emocjami. – Może zarobił tyle, ile chciał, i wyjechał. Zdarzało się już tak z różnymi najemnikami...

– Owszem, zdarzało się, ale akurat ten był wyjątkowo lojalny – mówił spokojnym, ale podejrzliwym tonem Kunglin. – Myślisz, że ktoś mógłby chcieć go zlikwidować?

– Zlikwidować? – zapytał nieco zbyt nerwowo Mytel. – Nie wydaje mi się, żeby ktoś miał ku temu powód, wasza miłość. Chyba że Kayal prowadził jakieś ciemne interesy bez wiedzy Kelera...

– Myślisz? – przerwał mu. – To prawda, że Keler nie lubi, kiedy ktoś mu zabiera zyski, ale czy byłby w stanie zlikwidować mojego człowieka? Nie sądzę. Najpierw poruszyłby ten temat ze mną. To musi być coś innego, pomyśl. – Świńskie, głęboko osadzone oczka błysnęły w pół-mroku.

– Może jakiś zazdrosny mąż? – wpadł na pomysł po krótkiej chwili wytężonego myślenia. – Z tego, co słyszałem, to Kayal lubił pochędożyć, a nie lubił sprzeciwu. Mógł wziąć sobie jakąś dziewczkę, a jej mężczyźni mogło się to nie spodobać.

– Rzeczywiście był z niego ogier, ale czy jakiś chłop dałby mu radę?

– Może z zaskoczenia... albo w kilku?

– Możliwe, możliwe. Chociaż nie jestem jednak przekonany... Dlatego mam dla ciebie zadanie, Mytelu. Masz trzy dni na to, żeby odkryć, co się z nim stało. – Pogroził uczonemu palcem. – Jeśli w ciągu trzech dni nie

znajdzie się ciało, Kayal albo wiarygodny świadek potwierdzający to, że wyjechał, to będziesz tego bardzo gorzko żałował. Czy to jasne?

– Tak jest, wasza miłość – odpowiedział pewnie. – Zajmę się tym z samego rana.

– Liczę, że skutecznie. – Król klapnął na łóżko. – Spieprzaj już stąd!

Mytel szybko zniknął z sypialni, zamykając za sobą drzwi, i jeszcze szybciej znalazł się z powrotem w swojej komnacie. Serce waliło mu tak, że bał się, że uderzenia słyszać na korytarzu.

– On o wszystkim wie... – bełkotał, krążąc po pomieszczeniu. – Bawi się ze mną jak kot z myszą... Trzy dni i po mnie... Muszę to zrobić szybciej. Jutro!

Pot z czoła zalewał jej oczy. Mozolnie wyczyszczona kolczuga ponownie cała się zabrudziła, na dłoniach miała pełno odcisków od miecza. Po codziennych wielogodzinnych ćwiczeniach udawało jej się wreszcie utrzymać broń w górze i nawet wyprowadzić kilka ciosów. Rozstawieni w rzędach powtarzali ruchy pokazywane przez kapłana stojącego na podwyższeniu. Przez godziny ćwiczyli z mieczami na dziedzińcu, na którym wcześniej praktykowali medytacje. Za murami świątyni rozstawiono tarcze, do których strzelali ci, którym przypadły łuki.

Rollo była okropnie zmęczona tymi sesjami ćwiczeń od świtu do zmierzchu, ale wołała to, niż uczyć się bycia kapłanką. Nikt jej nie bił, a umiejętności walki mogły się jej przecież kiedyś przydać. Pamiętała, jak wyglądały ćwiczenia jej ojca czy nawet Kastila i jego rycerzy, i uważała, że nauka, którą kapłani raczą w świątyni, na nic nie zda się przeciwko armii. Nie mówiła jednak tego głośno, nie chcąc narażać się tym w czerwieni.

Czekała na ten atak z utęsknieniem, choć bała się potwornie. Wiedziała, że to dla niej jedyna szansa. W zamieszaniu bitwy może udać jej się uciec, a przynajmniej zginie, próbując. Tak sobie postanowiła i poczyniła ku temu przygotowania. Udało jej się przemycić do swojej celi trochę jedzenia, które miało zapewnić jej przeżycie przez kilka dni marszu. Większy problem był z wodą. Miała jednak nadzieję, że jak już się zacznie, to uda jej się ją zdobyć. Rozproszyła się na chwilę myślami o ucieczce i nie wykonała jednego z ćwiczeń.

– Jeszcze raz! – warknął kapłan z góry.

– Wołałam, jak nie mogliście mówić... – mruknęła pod nosem, ale powtórzyła ćwiczenie polegające na cięciu trzy razy znad głowy.

Zaraz potem kapłan ustawił się do obrony i pokazywał, jak sparować ciosy, które przed chwilą zadali. Wszyscy z pokorą powtórzyli jego ruchy. Podskoczył i ciął z boku, co cała grupa również uczyniła. W palącym słońcu, mimo początków zimy, trudno było wytrzymać. Niespodziewanie jednak rozległ się dźwięk trąb.

– Tippa! Tiiiiippppaaa! – wydzierał się z murów jeden z kapłanów. – Armia nadciąga!

Rollo, słysząc te słowa, zadrżała i nawet nie zwróciła uwagi na panikę rozpoczynającą się wokół niej. Kapłani i adepci, którzy jeszcze przed chwilą karnie powtarzali wszystkie ruchy nauczyciela, biegali teraz bez celu po dziedzińcu, szukając kryjówek.

– Shaaaaaaaat! – wydarł się jeden z głównych kapłanów, wchodząc na podest. – Shaat! Zachowajcie spokój! W panice nie uda się obronić naszej religii. Nie możecie pozwolić sobie na strach! Ret stoi po naszej stronie, a kiedy my staniemy w jej obronie przed ostatecznym zniszczeniem, ześle na nas ogień odwagi! Płomienie rozpalą wasze serca i nie dacie się pokonać poganom! Wytrzymajcie ich pierwszy napór, a potem Ret będzie działać waszymi rękami i zniszczy swoich przeciwników. Bierzcie więc broń do rąk i nie dajcie się hordzie! – Bramy otworzyły się i do środka wbiegli łucznicy ćwiczący na zewnątrz. – Łucznicy! Rozstawcie się tak, by mieć widok na pole z każdej strony. Zajmijcie każdy fragment muru i nie pozwólcie zbliżyć się tym heretykom do naszych serc! Na murach macie beczki ze strzałami, używajcie ich mądrze. Uzbrojeni w miecze i tarcze pójdą z wami na mur, by w razie czego odpierać ataki tych, którzy przedrą się przez nasz deszcz strzał. Reszta będzie pilnować bram. Musimy być gotowi na trudną walkę, na przelewanie krwi swojej i innych. Tnijcie, kłujcie i strzelajcie! W imię Ret!

Głośne okrzyki odpowiedziały mu i już po chwili biegli na pozycje wyznaczone chwilę wcześniej. Rollo nie miała tarczy, więc została na dziedzińcu, broniąc wschodniej bramy. Atmosfera gęstniała razem ze zbliżającymi się odgłosami armii pogan. Słyszała pokrzykiwania, rzenie koni i włosy zjeżyły jej się na karku. Widziała najwyższego kapłana wchodzącego na mur i rozglądającego się dookoła z przerażeniem w oczach.

– Najeżdźcy! – krzyczał, ile miał tylko sił. – Oduście i idźcie dalej swoją drogą! Ret pokarze was, jeśli podniesiecie rękę na jej kapłanów!

– Głupcze! – Usłyszała przeraźliwie donośny głos, który wwiercał jej się prosto w głowę. – Twoja religia zniszczyła moją rodzinę. Ta niby religia, która miała oferować ludziom pokój, spowodowała, że moja matka straciła zmysły. Wasz kapłan podejrzewał, że ona oddaje cześć innym bogom, i przeprowadził jej proces. Wiesz dobrze, kapłanie, na czym taki proces polega. Zastosował wszystkie możliwe metody, by zmusić ją do wyparcia się innej wiary. Wtedy też wyparła się rozumu i została rośliną, która ojcu tylko przeszkadzała. Patrzyłem na to całe dzieciństwo i poprzysiągłem, że jak tylko będę miał okazję, to spowoduję, że nikt już w imię religii nie będzie cierpiał. I oto jestem tutaj! Stoję pod bramą świątyni Phedas! Stoję tutaj z olbrzymią armią gotową zrównać te mury z ziemią! Gotową wyciąć życie z każdego z was! I co zrobisz? Odrzucisz swoją chorą wiarę i przyłączysz się do Sag Bas?

– Nigdy! – wydarł się piskliwie w odpowiedzi. – Nigdy!

– Zatem zginiesz, tak jak każdy za tym murem, a świątynię nie tylko spalę, ale też poświęcę czas, by ją zburzyć, wymazać z kart historii, z kronik i z pamięci ludzi!

Nagle obok Rollo zaczęły spadać ciała, a w piasku lądowały setki strzał. Dziewczyna zdążyła się schować pod niewielki drewniany daszek. Słyszała tylko kolejne groty wbijające się w jej osłonę i lądujące tuż obok. Mocno ścisnęła miecz i rozejrzała się, skąd nadlatują. Widziała, że lecą ze wszystkich czterech stron.

– Nie ucieknę... – szepnęła.

Nim wzięła następny oddech, jej osłona załamała się pod ciężarem ciała kolejnego zabitego kapłana. Deski rozleciały się w drzazgi, jedna rozcięła jej nogę. Kulejąc, próbowała stanąć jak najbliżej muru, by schronić się przed gradem pocisków, ale te tak jak nagle się pojawiły, tak nagle zniknęły. Ostrzał ustał zupełnie.

– Wystrzelanie was z łuków byłoby zbyt proste i za mało satysfakcjonujące. – Znów usłyszała ten mocarny głos w swojej głowie. – Liczyłem na twardą obronę. Mam nawet drabiny, by szturmować mury, ale nie będzie to konieczne, niestety...

Usłyszała potężny huk uderzenia w bramy. Ich obrońcy wzdrygnęli się przerażeni, ale wytrwali na pozycjach. Z murów zbiegali pojedynczy kapłani, by pomóc w utrzymaniu bram w całości. Stanęli na drżących nogach, kiedy kolejne uderzenia wstrząsały drewnianymi bramami. Rygle ledwo wytrzymały ten wściekły napór.



Rollo żałowała każdej chwili, w której miała nadzieję, że ten atak wreszcie nastąpi. Spocona ze strachu trzymała miecz przed sobą, ale drżące ręce nie wydawały się być jej posłuszne. Grube deski w bramie ustępowały stopniowo i robiły się w niej coraz większe wyrwy. Widziała już, kto jest po drugiej stronie, i ten widok nie wlał w jej serce ani krzty optymizmu. Bramy padły niemal równocześnie i na dziedziniec świątyni wlała się różnokolorowa horda wściekłych barbarzyńców.

Czarnoskórzy wojownicy, uzbrojeni w krótkie miecze i inne przedmioty, wbiegli pierwsi. Zalali teren, siekąc każdego, kto znalazł się w ich zasięgu. Zaraz za nimi wparowali poubierani w łachmany i uzbrojeni w byle co mężczyźni. Przed jej oczami mignął jeden z adeptów niesiony na widłach przez najeźdźcę. Wisiał dobre pół metra nad ziemią i krzyczał wniebogłosy, plując krwią z przebitych płuc. Zrobiło jej się słabo, pociemniało jej przed oczami. Stała w miejscu z podniesionym mieczem i tylko obserwowała, jak ludzie giną tuż obok.

Głowa kapłanki potoczyła się pod jej nogi. Bezmyślnie przyglądała się jej otwartym szeroko oczom. Do jej nosa dobiegł zapach spalenizny. Spostrzegła, że główny budynek świątyni pali się już, a języki ognia sięgają dachu. Najwyższy kapłan chciał go ugasić, ale dwóch pogan powstrzymało go, przewróciło na ziemię i zaczęło kopać, śmiejąc się przy tym rubasznie. Wreszcie jeden z nich nastąpił na głowę kapłana, a Rollo zemdłała, upadając w stertę zniszczonych desek.

Ocknęła się, jak jej się wydawało, po chwili, ale ujrzała wokół siebie przerażające pobojuwisko. Cały teren pokrywały plamy krwi i okaleczone ciała. Głowy, ręce, a nawet połowy tułowi leżały rozrzucone luźno, nie pasując do reszty leżącej tuż obok. Budynki trawił ogień, a część wrogich żołnierzy rozbijała je drewnianymi taranami. Fragmenty kamiennych bloków, stanowiących budulec świątyni, spadały na ziemię, wzbijając tumany kurzu. Kiedy świątynny budynek runął, głośnie wiwaty poniosły się w powietrzu.

Jej wzrok przykuło coś, co pojawiło się w bramie. Zobaczyła tam demona, wokół którego wirowały duchy. Demon był ogromny, jego skórę pokrywały sine linie, wyglądające niczym pioruny na burzowym niebie. A duchy... bielutkie i niewielkie w porównaniu z nim. Jeden z nich wykłócał się z demonem. Machał rękami, krzyczał, ale spokojny demon nawet nie zaszczycił go spojrzeniem. Na chwilę przeniosła wzrok w inną część świątyni, gdzie jeden obwieś krążył między ciałami z długą włócznią

i wbijał ją w okolice serca każdemu, kto leżał w całości. Niebezpiecznie zbliżał się do niej, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Nie była w stanie uciec, nie miała gdzie się schować i zaakceptowała swój los.

– Hiiy weif naega behiwyti aleao – zacharczał w nieznanym jej języku. – Yi'teki'maili?

Widząc szaleństwo w jego spojrzeniu, próbowała odczołgać się na rękach, ale był szybszy i już uniósł w górę włócznię, z której grotu kapłała świeża krew. Wziął zamach i zatrzymał się. Przez chwilę stał z wycelowaną w jej pierś bronią, ale potem wyprostował się i już łagodniejszym i mniej dzikim tonem rzekł:

– Yme'tlay. – Wyciągnął ku niej dłoń. – Negernigi yfeli liga wosiro leketime.

– Nie... rozumiem... – udało jej się wycisnąć ze ściśniętego gardła te dwa słowa po barbasku.

– Chodź – z trudem dobierał słowa, a jego akcent sprawiał, że nie było łatwo je zrozumieć. – Imperator chce cię oglądać. Nie mogę zabić cię. Masz w głowie coś... yemiasy'diken...

Była w szoku do tego stopnia, że bezwiednie chwyciła dłoń wyciągniętą ku niej i krok po kroku podążała za tym człowiekiem. Dopiero kilka metrów przed bramą zorientowała się, że prowadzi ją wprost w stronę demona i duchów. Chciała się zatrzymać, ale mężczyzna pociągnął ją mocniej i znalazła się bezpośrednio przed nimi.

– Witaj, Rollo – odezwał się po werdgdwaldzku demon. – Nie jestem demonem, a one na pewno nie są duchami. Bardziej żywych istot nie spotkałem. Wiem, że jesteś przerażona, ale to, co najgorsze, już się skończyło. Billit dokończy dobijanie kapłanów, reszta oddziałów zajmie się zrównaniem tej świątyni z ziemią i raz na zawsze zdmuchniemy kurz zwany Ret.

– Co... – Patrzyła otępiała.

– Co się dzieje, chcesz zapytać. – Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. – Nie musisz nawet otwierać ust, by zadać pytanie. Jestem Hex, najwyższy kapłan Sag Bas, wybraniec, imperator, płomień nadziei i tak dalej, i tak dalej. Te wszystkie tytuły wywodzą się z tego, że mogę wpływać na ludzkie myśli. Mogę w nich czytać, mogę w nie wejść, mogę się przez nie porozumiewać. O, na przykład kiedy ten czerwony dureń wydzierał się piskliwie, to ja odpowiadałem mu w myślach, ale każdy mnie słyszał, bo byłem we wszystkich umysłach...

– Co... – Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

– Ach, tak, za dużo emocji. – Machnął dłonią. – To wszystko dojdzie do ciebie z czasem, Rollo. Z czasem będziesz wiedziała o mnie i o Sag Bas coraz więcej, bo te oto kapłanki będą cię intensywnie uczyć, byś stała się jedną z nich. – Gestem powstrzymał komentarzy otaczających go kobiet. – Będziesz się uczyła wszystkiego, co może się przydać. Nie durnego rozpalania kolorowego ognia, ale rozpalania ognia w ludzkich sercach. Nauczysz się leczyć i zabijać. Nauczysz się wszystkiego, czego potrzeba, by szerzyć Sag Bas. Zajmijcie się nią, kapłanki. Rollo pojedzie z nami na zachód i do granicy ma być gotowa, by przejść próbę.

Schodził do lochów, a w gardle miał tak sucho, że nie mógł przełykać. Okropnie się denerwował. Żeby otworzyć drzwi do celi, musiał trzymać klucz w obu rękach. Mijając strażnika, bał się, że ten o wszystkim wie i czeka tylko, by nagle wstać i złapać go. Wydawało mu się, że każdy, kogo mija po drodze, doskonale zna jego plan i przekaże go prosto w tłuście palce króla Kunglina.

Było późne popołudnie, co o tej porze roku oznaczało szarówkę. Działo to zdecydowanie na ich korzyść. Na niekorzyść natomiast działało to, że Imma utykała i była zaniedbana. Biedni, kalecy czy brudni mieli zakaz przebywania w okolicach zamku. Kiedy jakiś włóczęga się tam zapędził, najemnicy Kunglina od razu się go pozbywali. To wszystko było ryzykowne, za bardzo ryzykowne dla spokojnego uczonego.

– Jesteś przygotowana? – zapytał, otwierając drzwi.

– Od dawna – odpowiedziała.

– To wreszcie się doczekałaś – zdziwił się, z jaką odwagą wypowiedział te słowa. – Za chwilę wyjdziemy z zamku.

– Jaki plan obmyśliłaś? – Podeszła do niego podekscytowana.

– Bardzo prosty, bez uduwniania. – Wyciągnął narysowane przez siebie mapy. – Wyjdziemy z lochów. Trzeba będzie tylko pozbyć się jednego strażnika przy wyjściu. Potem będziemy się starać przemknąć w stronę kuchni – ciągnął dalej. – Zaraz przyjdzie czas na kolację, więc w okolicy kuchni będzie rozgardiasz. Wtedy strażnicy się tam nie kręcą, a słudzy są tak zabiegani, że nikt nie zwróci na nas uwagi. Wyjdziemy kuchennym wyjściem na dziedziniec. Tam, przesuwając się pod murem, dotrzemy do południowej bramy, która jeszcze powinna być otwarta.

– Nie spotkamy po drodze strażników?

– Miejmy nadzieję, że nie. – Westchnął. – Jeśli spotkamy, to będziemy decydować... Nie wiem! Nigdy nie uciekałem z zamku!

– Spokojnie! – Jej dłoń wylądowała na jego ramieniu. – Damy sobie radę. Po prostu stąd wyjdźmy. A właśnie! Co dalej, jak już wyjdziemy z zamku?

– Tę część planu mam lepiej opanowaną... – Wyciągnął drugą kartkę. – Z tej bramy pójdziesz tutaj. Tam jest taka rudera, częściowo spalona. W niej schowałem wóz i konia. Na wozie są zapasy, nowe ubrania... Musisz się tam dostać i poczekać, aż dołączę...

– Nie idziemy razem? – Spojrzała na niego zdziwiona.

– Kunglin kazał mi zbadać sprawę zniknięcia tego najemnika, więc będę ją badał. – Błysnął nieśmiałym uśmiechem. – Udam się z samego rana do miasta, by popytać ludzi. Wtedy do ciebie dołączę i jakby nigdy nic pojedziemy do Erskinu jak zwykli kupcy.

– Dobra! – Ruszyła do wyjścia. – Nie chcę spędzić w tej celi ani minuty dłużej.

– Masz jakąś broń? – Zatrzymał ją.

– Mam. – Poklepała się po ubraniu. – Prawdziwy pirat zawsze ma broń.

– Rozumiem... To pójdę przodem. – Zamknął drzwi do celi, by nie wzbudzały podejrzeń.

Poruszali się dość zwawo, ale przy okazji uważali, by nie narobić hałasu i nie natknąć się na kogoś niepożądanego. Mytel widział, że Imma ma problemy z wejściem po stromych i nierównych schodach. Przetrażone kolano dawało jej się we znaki. Uczony kilka razy musiał ją trzymać, bo traciła równowagę. Dotarli wreszcie do wyjścia, pot perlił się na czole dziewczyny. Wychylili się przez wrota. Strażnik siedział jak zwykle na krześle, przysypiając. Kunglin wiedział, że z tych lochów ucieczki nie ma, więc postanowił, że nie będzie tracił dobrych ludzi do ochraniania wejścia. Właśnie dlatego strażnikiem lochów był stary i siwy najemnik pochodzący z Tasariku. Nazywano go Uns, był chudy i zgarbiony.

– Wystarczy się do niego podkraść i podciąć mu gardło – szepnęła uczonemu prosto do ucha. – Jesteś w stanie to zrobić?

– Ja?! – krzyknął.

– Trzeba to zrobić cicho, a ja z tym kolanem... – Stuknęła się w nogę. – Jak mam do niego dojść, kucając?

– Ach, no tak... ale nie mam broni! – szeptał.

– Trzymaj. – Błyskawicznie wysunęła krótki nóż z rękawa.

Przesuwając się krok po kroku, zbliżał się do drzemiącego strażnika. Wyciągnął przed siebie nóż i zaszedł od tyłu rozwalonego na fotelu mężczyznę. Ciężko oddychał, a dłonie drżały mu jak starcowi. Przyłożył nóż do szyi, zamknął oczy i przeciągnął go. Strażnik zacharczał i po chwili zsunął się ze swojego siedziska. Mytel ledwie powstrzymał wymioty. Imma dołączyła do niego i wyjęła mu z dłoni nóż.

– Idźmy dalej.

– W stronę kuchni... – Wskazał blady jak papier.

Przeszli przez zamkowe korytarze nie niepokojeni przez służących biegających w pośpiechu. Napotkani ludzie mijali ich, wbijając wzrok w podłogę, by uniknąć ewentualnej kary. Kuchenne pomieszczenia były rozległe. Łączyły je ze sobą krótkie, szerokie korytarze. Było tam gwarno i pachniało jedzeniem. Imma, przechodząc obok porozstawianych na tacach potraw, skubnęła nieco.

– Przestań! – skarcił ją uczony.

– Głodna jestem! – odparła, wcinając kurze udo.

Nie skomentował tego, tylko pociągnął ją za sobą w stronę wyjścia dla służby. Przedostali się na zewnątrz i tak jak się spodziewał, nie było tam żadnych strażników. Ten, który miał pełnić wartę, siedział pod murem z łapami pod uniformem jednej z kucharek. Nawet nie zwrócił uwagi na to, że ktoś inny niż służący wyszedł przez te drzwi. Odwrócili się, by ruszyć w kierunku bramy, ale niespodziewanie wpadł na nich rozgorączkowany pocztowy. Przerazona Imma zbladła w mgnieniu oka.

– Prze... przepraszam, ja muszę do króla, bo list... – Pocztowy wystraszył się jednak bardziej.

– List? – Mytel starał się jakoś naprawić ten przypadkowy błąd. – Daj mi go, właśnie zmierzałem do króla.

– Ach, oczywiście, tak. – Przekazał mu zwój. – To bardzo pilna sprawa... Dziękuję. – Skłonił się i odszedł.

– Co teraz? – zapytała Imma. – Prawie wpadliśmy.

– Ten chłopak tak bardzo boi się Kunglina, że nawet nie zauważył, że na coś wpadł, a z wdzięczności, że nie będzie musiał mu nieść listu, prawie go rozerwało – uspokoił ją. – Kontynuujemy nasz plan. Do bramy.

Przeszli wzdłuż muru, uważając na strażników kręcących się po jego zwieńczeniu. Najemnicy niespecjalnie przykładali się do swoich obowiązków. Stali oparci o blanki i najczęściej rozmawiali między sobą,

zaśmiewając się rubasznie. Wreszcie znaleźli się w cieniu tuż obok bramy. Nie było akurat żadnego z najemników, którzy mieli pilnować wejścia.

– Nie podoba mi się ten brak strażników – szepnął pod nosem Mytel.

– Co robimy? – zapytała, wspierając się mocno na jego ramieniu.

– Musimy się trzymać planu, do końca... – Objął ją, czym zaskoczył sam siebie. – Ty pójdziesz do tego domostwa, o którym ci mówiłem, a ja wrócę do króla. Dołączę do ciebie jutro przed południem.

– Obawiam się, że możesz nie mieć po co wracać. – Przerazający mroczny błysk przebiegł przez jej twarz.

– Co? – Odsunął się.

– Pewnie nawet nie zauważyłeś, ale przechodząc przez kuchnię, zostawiłam swojemu ojczulkowi prezent. – Wyjęła pustą fiolkę. – W jego winie pływa trucizna i jeśli już kolacja się zaczęła, to ten opój nie dotrwa do rana.

– Skąd... – Musiał przytrzymać się muru.

– Kobieta ma takie jedno miejsce w ciele, gdzie może coś niewielkiego ukryć. – Mrugnęła. – Kunglin tam nie szukał, a kapitan pierwszego okrętu, na którym pływałam, mówił, że trzeba mieć truciznę zawsze przy sobie. Albo przyda się, by kogoś zabić, albo by uniknąć bólu. Sprawdź, co jest w tym liście! – Potrząsnęła uczonym.

– Ach... jeszcze to. – Pogrzebał w kieszeniach. – To wiadomość z Erskinu... Piszą, że imperator zaatakował Barbas, zniszczył Pandey i proszą o mobilizację armii...

– Och! – Zachłysnęła się powietrzem.

– Jesteś pewna, że ta trucizna zadziała? – Spojrzał na nią zatrwożony.

– To najsilniejsza gotrajska trucizna, yaksayluma. Jeśli tylko umoczy w tym winie usta, to będzie martwy w kilka uderzeń serca. – Przez jej twarz przemknął uśmiech.

– W takim razie nie możemy uciec... – Przetarł twarz dłonią. – Skoro zbliża się wojna, nie może nastąpić bezkrólewie... Trzeba przygotować armię, organizować obronę... Ja muszę zostać, ale jeśli chcesz, to uciekaj...

– Zostanę – przerwała mu stanowczo. – W końcu jestem córką króla.

## Rozdział XLI

Za plecami olbrzymiej armii pozostała tylko sterta kamieni, spomiędzy których wydobywały się jeszcze stróżki szarego dymu rozwiewanego przez wiatr. Ze świątyni Phedas nie pozostały już nawet wspomnienia. Po jej zdobyciu Hex rozkazał zabić wszystkich kapłanów i adeptów, a mieszkańcy Barbasu dostali komunikat bezpośrednio do swoich umysłów, że od tego momentu zostali obywatelami Imperium Sag Bas i muszą przyjąć tę religię albo zginąć.

W miastach, wsiach i pustynnych oazach rozpoczęto nauczanie Sag Bas, a każdy zdrowy i będący w stanie utrzymać broń męczyzna został dołączony do armii imperium idącej na zachód. Dlatego różnej wielkości grupy przyłączały się do ciągnącego przez pustynne drogi korowodu.

Barbaska zawodowa armia prezentowała się jak zwykle dostojnie, natomiast ci, którzy musieli porzucić handel lub pracę w polu, by iść na wojnę, mieli na sobie zwykłe ubrania, a do walki musiały im wystarczyć narzędzia. Ciągnęli jednak za ogonem armii, bojąc się sprzeciwić rozkazom imperatora. Widzieli, co działo się z tymi, którzy się tego dopuścili zaraz po zniszczeniu stolicy. Pojedyncze przykłady w zupełności wystarczyły, by odwieść resztę od prób przeciwstawiania się nowemu władcy.

Na przedzie kolumny wojska poruszał się imperator w towarzystwie swoich kapłanek. Za nimi jechała Rollo, która jako jedyna przeżyła zniszczenie świątyni Ret. Siedziała w siodle, czytając księgę, której najważniejsze zdania tłumaczyła jej jadąca obok Tia.

- Zabiłeś kapłanów, ale żeby zaraz burzyć całe miasto... – Iv wzdychała.
- Tam były freski, były meble, księgi... Tego już się nie da odtworzyć!
- Dobrze, taki był zamysł – skwitował Hex. – Nic, co miało styczność z Ret, nie może dalej istnieć.
- Ale tę dziewczuchę oszczędziłeś?! – zaprotestowała.
- To zupełnie co innego... W jej umyśle znalazłem wiele skarbów. – Zawiesił głos. – Ona jest naszym kluczem do podbicia zachodu.

- Ciekawe, co jakaś adeptka z Phedas może mieć wspólnego z zachodem.
- Prychnęła niezadowolona.
  - Na przykład to, że przez jakiś czas mieszkała na zamku w Erskinie, a jej myśli krążą wokół uczucia do erskińskiego króla. – Spojrzał na nią z miną pokazującą wyższość.
  - Jakim cudem znalazła się tutaj? – wtrąciła się Juvi.
  - Jeszcze nie wiem, nie czytałem jej wspomnień – odparł. – Nie chcecie chyba, by nas znenawidziła już na samym początku. Wiem tylko, że zniszczenie tej świątyni było dla niej przyjemnym wydarzeniem i mimo niepewności i strachu cieszy się, że się stamtąd wyrwała i wraca na zachód. Waszym zadaniem jest ją lepiej poznać i przekonać do Sag Bas.
  - Tylko przekonać? – Kapłanka zdziwiła się.
  - Przekonanie jest pierwszym krokiem. – Delikatnie spiął konia. – Jeśli dowie się tego, co może zyskać dzięki Sag Bas, dużo łatwiej będzie przekonać ją do stania się kapłanką.
  - Kapłanką? – zapytały obie niemal jednocześnie.
  - Owszem. – Zupełnie nie przejął się ich reakcją.
  - Przecież masz pięć kapłanek – pierwsza wyrwała się Iv.
  - Wszystkie dobrze wyszkolone, w świątyni... – dodała Juvi.
  - Z tego, co wiem, to szkolenie nie musi odbywać się w świątyni. – Emanował spokojem. – Mamy tutaj ze sobą stroje kapłanek, mamy całą skrzynię Kati, jest woda ze Źródła Życia, nie widzę najmniejszej przeszkody, by przeprowadzić ceremonię.
  - To prawda, że mamy to wszystko, ale... – Juvi zamyśliła się. – Tak, nigdy nie było przypadku, by przeprowadzić rytuał poza świątynią.
  - Nie było też przypadku, by ktoś przeżył kąpiel w Źródle Życia i kontakt z Drzewem Śmierci, kapłanko. Jeśli Sag Bas zdecyduje, by ta dziewczyna przeszła próbę walki, to może się ona równie dobrze odbyć na środku morza.
  - Przepraszam – odpowiedziała Juvi, nie odpuszczała jednak. – Ale mamy do granicy z Erskinem jakieś góra dwa tygodnie. Jak mamy ją wyszkolić w tak krótkim czasie?
  - Nie traćcie wiary, to po pierwsze. – Rozejrzał się. – Dziewczyna jest mądra, szybko się będzie uczyć, pod warunkiem że przekonacie ją do tego. Szkoleniem walki zajmę się osobiście.
  - Nadal nie rozumiem o co tyle zachodu... – Iv pokręciła głową. – Przecież możemy ją po prostu zawieźć do tego króla, rzucić przed nim



związaną i powiedzieć, że zabijemy ją, jeśli się nie podda.

– On wtedy powie, że nie obchodzi go jej los. – Wzruszył potężnymi ramionami. – Nawet gdyby to była jego ukochana. Władcy na zachodzie, a zwłaszcza w Erskinie, przedkładają dobro kraju, w ich mniemaniu, ponad wszystko inne. Jeśli wejdzie do sali tronowej ubrana w Tapu i z Kati w dłoniach, przekonana, że Sag Bas jest jedynym wyjściem, to mamy większe szanse na to, że uda się przekonać króla Erskinu, by przyłączył się do nas bez rozlewu krwi. Ta szansa nadal będzie minimalna, ale musimy spróbować. – Spojrzał na nie. – Mamy wielką armię, to prawda, ale wojna z Erskinem i jego sprzymierzeńcami będzie nas drogo kosztować. Stracimy wielu wyznawców, a Sag Bas ich potrzebuje, by móc zakwitnąć. Właśnie dlatego nie możemy odpuścić tamtej szansy.

– To co mamy robić? – zapytała Juvy, przerywając ciszę.

– Dawajcie jej księgi, tłumaczcie, na czym to polega, jak działa i co chcemy osiągnąć, a kiedy zatrzymamy się na nocleg, zacznę ją uczyć walki.

– Wysunął się naprzód, kończąc rozmowę.

Armia zatrzymała się, tak jak to mieli w zwyczaju, kiedy tylko ostatnie promienie słońca zniknęły za horyzontem. Żeby nie tracić czasu na rozbijanie i zwijanie obozowiska, imperator uznał, że będą sypiać w śpiworach, kładąc się tam, gdzie stoją. Zdarzały się przypadki, że żołnierze nie budzili się rano, zamierzając na śmierć, jednak w tak wielkiej armii utrata kilku, i to w gruncie rzeczy najsłabszych, nie robiła na nikim wrażenia. Tym razem noc była wyjątkowo zimna, na tyle, że imperator pozwolił rozpalić ogniska.

Hex siedział z dala od reszty obozu zapatrzony gdzieś w przestrzeń, tymczasem kapłanki usiadły przy Rollo, by zacząć wprowadzać w życie plan swojego władcy. Dziewczyna siedziała na rozłożonej derce i patykiem przegrzebywała niewielkie ognisko. Miała smutną minę i kolana podciągnięte wysoko pod brodę.

– Całkiem udane ognisko – zaczęła przyjaznym tonem Juvy.

– Nauczyli mnie tego tam. – Skinęła głową w kierunku, z którego przyszli.

– Tej umiejętności nie musisz zapominać. – Przysunęła się bliżej. – Rozumiesz to, co czytasz?

– Nie wszystko, ale Tia mi wiele wytłumaczyła – odpowiadając na pytania, nie podnosiła wzroku.

– Macie ze sobą trochę wspólnego... – Juvy spojrzała na kapłankę.

– Trochę... – Rollo westchnęła.

– Nie masz powodu, by się nas bać – wtrąciła Mossa z charakterystyczną dla siebie radością. – To, co widziałas w świątyni, to była wojna. Każda tak wygląda. Nie jesteśmy źli. Po prostu czasem trzeba zrobić gwałtowny krok, by przeskoczyć na drugą stronę.

– Kiedy ta wojna dobiegnie końca, ludzie zrozumieją, że Sag Bas to nic złego, zresztą zobacz. – Ahga wskazała dłonią zgromadzonych żołnierzy. – Każdy z nich jest przekonany o słuszności Sag Bas. Są gotowi tracić życie, by ich potomstwo mogło żyć w dużo lepszym świecie.

– Czytałam o tym. – Humor jej się nie poprawiał. – Sag Bas równoważy wszystko i dąży do jedności.

– Dokładnie, szybko się uczysz – pochwaliła ją Juvii. – Mossa załapała to dopiero po kilku dniach!

– Ej, nieprawda! – zaprotestowała, a niewielki cień uśmiechu pojawił się na twarzy Rollo.

– Zapewne czytałaś też o tym, że kiedyś świat właśnie tak wyglądał. Był zjednoczony i szczęśliwy. Wszyscy mieli tyle, ile potrzebowali – zaczęła opowieść Juvii. – Jednak, jak to z ludzką naturą bywa, niektórym to się nie podobało. Woleli mieć więcej, a pracować mniej, chcieli być kimś. Wtedy stopniowo zaczęli podważać Sag Bas i kierować ludzi na wymyślonych przez siebie bożków. Stworzyli swoje własne małe kraje, w których to oni byli najważniejsi. Na początku wymyślali historie, dzięki którym ludzie dawali się przeciągnąć na ich stronę. Zresztą sami ludzie, widząc, że tamtym się powodzi, chcieli do nich dołączyć. Nie wpadli na to, że tylko w równowadze Sag Bas mogą mieć tyle co inni. W przeciwnym razie nigdy nie będzie równo. Ktoś musiał mieć mniej, żeby ktoś mógł mieć więcej. Tak działa świat. Stopniowo wiara w Sag Bas zanikała. Kapłanek było coraz mniej, a my nie wcielaliśmy ich siłą w nasze szeregi. Właśnie w tamtym czasie najstarsza z nas opowiedziała mi o proroczym mówiącym o pojawieniu się Hexa jako wybrańca, który przywróci świat na właściwe tory.

– Skąd to wszystko wiesz? – Rollo oderwała wzrok od ognia. – Jesteś za młoda, by to pamiętać.

– Tylko tak się wydaje. – Juvii uśmiechnęła się. – Procesy starzenia u kapłanek bardzo spowalniają.

– Ale to niemożliwe, że aż tak bardzo! – zaprotestowała. – Nikt nie pamięta świata, o jakim mówisz, nie ma nawet nigdzie kronik z tamtego

czasu, jeśli to prawda, to musiało być...

– Kilka tysięcy lat temu – dokończyła za nią. – Masz rację. Procesy nie mogą zwolnić aż tak bardzo, jestem wyjątkowa. Przez to, że przez cały ten czas byłam pod ochroną świątyni. Żyłam w oparach Wiecznego Ognia, wdychałam krople parującej Wody Życia wyciągnęło się to do tego stopnia.

– Dlaczego ja? – zapytała po dłuższej chwili patrzenia w tańczące płomienie.

– To Hex jest wybrańcem i to nim kieruje Sag Bas. – Juvi wzruszyła ramionami. – O jego mocach też już pewnie trochę czytałaś, więc wiesz, że potrafi zaglądać do ludzkiego umysłu. Z tego, co nam powiedział, to zauważył w tobie coś wyjątkowego. Nie mówił nam, co to dokładnie jest, ale właśnie to uratowało cię przed śmiercią.

– Mam mu podziękować? – Prychnęła.

– Najlepszym podziękowaniem dla niego będzie, jeśli przystąpisz do nauki, by zostać kapłanką...

– Znowu? – Obruszyła się.

– Tym razem nie będziesz do niczego zmuszana – ciągnęła Juvi. – Nauczysz się innych języków. Nauczysz się medycyny, biologii, astronomii, architektury, poznasz sztukę...

– Uczyłam się o tym dużo w domu – przerwała jej.

– Tym lepiej, będziesz mogła się skupić na nauce walki. – Wskazała Hexa. – Sam imperator chce cię w tym szkolić.

– Kapłanki walczą? – Spojrzała zaskoczona.

– O tak – włączyła się Ahga. – Jesteśmy kapłankami-wojowniczkami. Strażą przyboczną imperatora. Mamy broń, która zabija jednym draśnięciem...

– A jeśli się nie zgodzę, to umrę? – Patrzyła na nią poważnie.

– Nie, jeśli się nie zgodzisz, to pójdiesz wolno – odparła Juvi. – Iv miała taką samą możliwość, a jednak została z nami.

– Na dziś wystarczy rozmów. – Niespodziewanie tuż przy nich pojawił się Hex. – Rollo, chodź ze mną.

Dziewczyna podniosła się i niepewnie ruszyła za ogromnym mężczyzną. Oddalili się od ogniska na tyle, by nikt nie mógł usłyszeć, o czym rozmawiają. Jego przerażająca fizjonomia sprawiła, że Rollo zaczęła drżeć. Gdy pierwszy raz go widziała, pomyliła go z demonem i teraz przy słabym świetle ognisk nie miała wątpliwości dlaczego.

– Boisz się, to zupełnie normalne – zaczął. – Ale twój strach niedługo minie. Kiedy przyjmiesz do siebie Sag Bas, zrozumiesz, że to po tamtej stronie są powody do strachu.

– Dlaczego mnie oszczędziłeś? – zapytała odważnie. – One nie chciały mi powiedzieć.

– To bardzo prosta sprawa. Jakiś czas temu trafiłem do świątyni Sag Bas, gdzie przez kilka zbiegów losu posiadałem umiejętności, które pozwoliły mi zostać przywódcą tego świata – opowiadał spokojnym tonem. – Jednym z tych nowych talentów jest umiejętność wślizgiwania się do umysłów innych ludzi. Kiedy zbliżyliśmy się do świątyni, wszedłem w wasze jaźnie i zobaczyłem u ciebie coś, czego u innych nie widziałem. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy, było to, że cieszysz się ze zniszczenia tej religii. Byłaś tam wbrew swej woli, więc nie mogłem cię obwinić o zbrodnie czerwonej zarazy. Po drugie widziałem, że jesteś związana z królem Kastilem, do którego właśnie się wybieramy...

– Chcecie zaatakować Erskin?! – krzyknęła.

– Nie chcemy – odparł ze spokojem. – Chcemy zaproponować królowi poddanie się i dołączenie wraz z całym ludem do Sag Bas. Religie żyją z wyznawców, więc i nam nie zależy na tym, by zabijać. Wiem, że Erskin ma wielką armię i wojna z nimi, wspartymi przez resztę krajów zachodu, byłaby najkrwawszą w historii. Może byśmy wygrali, a może nie, ale kosztowałoby to zbyt wiele.

– Nie rozumiem... Nie idziecie na wojnę? Z tą całą armią? – dopytywała.

– Idziemy, bo musimy być na nią gotowi, ale najpierw proponujemy rozwiązanie tej sprawy pokojowo. – Zmarszczył czoło. – I właśnie dlatego chcemy, byś pojechała tam z nami.

– Nie mogę tam jechać... do niego... – Spuściła wzrok.

– Wasza znajomość nie zakończyła się najlepiej, to fakt...

– Skąd wiesz? – przerwała mu.

– Wspominałem już chyba, że potrafię wejść do czyjegoś umysłu, prawda? – Cień uśmiechu pojawił się na jego twarzy. – To nie jest wyczuwalne. Boli tylko odczytywanie wspomnień, ale tego nie chcę robić.

– Uciekłam, bo on chciał skazać mnie na śmierć i miał rację, bo przez moją głupotę całe królestwo mogło zginąć i... – Próbowwała złapać oddech.

– Myślę, że to nie ma znaczenia – zapewnił ją. – Od tego czasu upłynęło wiele wody, a twoja niespodziewana wizyta na pewno sprawi mu radość.

– Skąd ta pewność? – Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Jestem mężczyzną, wiem, co mówię. Nie będę cię oszukiwał, ale jesteś kluczem do tego, by udało się przekonać Kastila bez rozlewu krwi i oczywiście bez jego śmierci. – Nie pozwolił jej przerwać. – On ci ufał, wiem o tym. To zaufanie naruszyłaś, ale nadal nie jesteś mu obojętna. Postaw się w jego sytuacji. Do jego zamku przyjeżdża ktoś wyglądający jak ja, w obstawie tamtych kobiet, i namawia go do oddania korony i zmiany wiary jego przodków, bo inaczej zginie. Zapewne słyszał o nas najgorsze rzeczy, ma swój honor, nie zgodzi się. Nie będzie chciał nawet wysłuchać naszych argumentów. Co innego, jeśli wśród mojej świty zobaczy znajomą twarz. Wtedy przez myśl przejdzie mu, że może to, o czym mówimy, ma choć trochę sensu. Pomyśli o tym, by zachować życie swoich ukochanych poddanych, skoro jego ukochana uznała, że warto nam zaufać...

– On mnie nie kochał, przecież jest królem, a ja tylko...

– ...córką rycerza – dokończył za nią. – Może i masz rację, że ze względu na wasze obyczaje nie byłoby możliwe, byście byli razem, ale w Sag Bas tych obyczajów nie ma, to po pierwsze. A po drugie on może nie być już królem. Jeśli się zgodzi, to dalej będzie mógł mieszkać w tym zamku, opiekować się swoim ludem. Nie musisz odpowiadać dzisiaj, ale chciałbym, byś przed przekroczeniem granicy z Erskinem podeszła do próby walki lub opuściła nasz obóz.

– Zabijesz mnie, jeśli się nie zgodzę, prawda? – Jej twarde spojrzenie spotkało się z jego wzrokiem.

– Nie – odpowiedział po chwili i podał jej sztylet. – Zaczniemy ćwiczenia walki. Pokaż mi, co potrafisz.

– Nie boisz się, że mogę cię zranić i zabić? – Spojrzała na broń. – Przecież wypadki się zdarzają i...

– Nie jest łatwo mnie zabić, Rollo. – Hex stanął bez broni. – Pandey próbował, wbił mi nawet podobny sztylet w plecy, ale nic mi się nie stało.

– Znasz Pandeya? – Otworzyła szeroko oczy.

– Znałem, bo sama rozumiesz, że po wbiciu noża w plecy musiałem go zabić. – Wykonał zapraszający gest. – Zaczniemy walkę.

Dziewczyna zebrała się w sobie i spróbowała, ale Hex tylko odchylił się nieco do tyłu i uniknął ostrza. Starła się sobie przypomnieć wszystko to, czego nauczyła się, podpatrując ojca, Kastila czy nawet kapłanów w ostatnich dniach. Próbowała ciąć i kłóć na wszystkie możliwe sposoby, ale nie zbliżyła nawet swojej broni do ciała przeciwnika. Hex z kamienną twarzą i bez śladu zmęczenia uchylał się przed tymi ciosami.

– Ty wiesz, co ja zrobię! – powiedziała.

– Wreszcie zrozumiałaś koncept. – Zamarkował oklaski. – Najważniejszą lekcją z tego treningu niech będzie dla ciebie to, by w walce działać instynktownie. Możesz wrócić do obozu i przespać się, jutro wrócimy do szkolenia.

Kilka kolejnych dni upłynęło według podobnego schematu. Całe dni ogromna armia maszerowała po pustyni w kierunku zachodnich granic dawnego Barbasu. W trakcie jazdy Rollo czytała księgi podrzucane jej przez kapłanki i rozmawiała z nimi. Przekazywały jej wiedzę dotyczącą historii i kultury, medycyny, psychologii, strategii wojskowej, ale przede wszystkim nowej wiary. Opowiadały jej dużo o tym, jakie Sag Bas ma założenia, jak zamierzają je wprowadzić w życie i co zyskuje kapłanka. W międzyczasie starały się też wybadać jej stosunek do całej sprawy. Rozmawiały z nią o przeszłości, o tym, co działo się w Erskinie. Starały się poznać historię jej życia, by jak najlepiej przygotować się do wizyty na znanym tylko z ksiąg zachodzie.

Dziewczyna, choć na samym początku bardzo nieufna, z każdą kolejną godziną powoli otwierała się na nowe. Z podekscytowaniem czekała jednak wieczorów, które spędzała na szkoleniu umiejętności walki z imperatorem. Dzięki zdolności Hexa oraz temu, że podpowiadał jej bez używania słów, bezpośrednio do jaźni, szybko zdobywała umiejętności. Każdej nocy, kiedy kładła się spać, czuła się zmęczona, ale szczęśliwa. Pierwszy raz w swoim życiu sama decydowała o tym, co ma robić. Zawsze chciała się uczyć, rozwijać, ale w jej świecie nie mogła być zbyt mądra. Nie mogła przecież przerastać wiedzą męża. Dlatego rodzina zapewniła jej tylko podstawowe wykształcenie, a tutaj? Mogła uczyć się nawet o częściach ciała, które w jej okolicach uważano za nieprzyzwoite, a przecież były tak samo ludzkie jak ręka czy oko. W dodatku mogła, niczym mąż, uczyć się walki wręcz. Nie była już bezbronna jak w chwili, gdy ojciec pakował ją do powozu, w którym zaczęła drogę do Erskinu. Poczwała się silna i przez umysł przebiegały jej pojedyncze, niezbyt nachalne myśli o tym, by zostać z nimi nawet po zakończeniu szkolenia.

Tym razem wieczór zapadł jeszcze szybciej niż dzień wcześniej. Imperator zarządził rozstawienie pełnego obozu. Rozkazał otoczyć obóz kordonem strażników z dwóch stron, od zachodu i od południa. Uznał, że tylko z tych dwóch stron może nadjeść jakiegokolwiek zagrożenie. Z południowego-wschodu oczekiwali wozów transportowych, które

ciągnęły jakiś czas za główną armią, a od północy zbliżała się druga część armii, która zdobyła i zniszczyła Pandey.

– Nir jest blisko – powiedział do kapłanek. – Rozbijamy pełny obóz i poczekamy na niego. Wyruszymy dopiero jutro. Minu, przekaz dalej rozkazy, niech rozbijają namioty, rozpalają ogniska.

– Tak jest! – Azuanka ruszyła między szeregi żołnierzy.

– Rollo – zwrócił się do dziewczyny. – Weź Kati ze skrzyni i chodź za mną.

– Proszę. – Mossa podała jej jeden sztylet. – Na początek weź jeden. Na walkę dwoma przyjdzie jeszcze czas.

– Jakaś rada? – Spojrzała z nadzieją.

– Walcz nim tak jak nożami, którymi walczyłaś przez ostatnie dni. – Mossa poprawiła jej długie blond włosy.

– Głównym problemem w walce przy użyciu Kati jest strach – zaczął, kiedy tylko znalazła się obok niego. – Po pierwsze musisz się wyzbyć strachu, że możesz sama sobie zrobić krzywdę tą bronią, a po drugie przeciwnik musi poczuć strach przed draśnięciem.

– Jak to zrobić? – Przyglądała się ozdobnej rękojeści.

– Musisz mieć pewność w ruchu. – Wyciągnął sztylet z za paska. – Traktuj go tak jak zwykły nóż. Nie bój się nim zaciąć. Dopiero kiedy zwątpisz, ręka może ci zdrzeć. To jest trudniejsza część. Jeśli przyjrzesz się moim kapłankom, zobaczysz, jak one traktują tę broń. Codziennie ją czyszczą, pielęgnują, zupełnie jak własne ciała. Łatwiej jest zastraszyć przeciwnika, jeśli jest ich więcej. Wtedy zupełnie prostą taktyką jest wybranie największego i najbardziej pewnego siebie wojownika i draśnięcie go, choćby podstępem. Kiedy taki padnie, jest ogromna szansa, że reszta zupełnie straci pewność siebie.

– Ale skąd pewność, że on mnie najpierw nie zabije? – Rozłożyła ramiona. – Przecież jest wielki, ma miecz, mógłby sięgnąć, zanim ja znajdę się w pobliżu jego ciała.

– Na tym polega cała tajemnica używania Kati. – Pokręcił nim w palcach. – Oni wiedzą o tym, że walcząc sztyletem, musisz podejść blisko i wbić go w jakiś organ. Wiedzą, że będziesz celować w szyję, w brzuch, w plecy, dlatego skupią się na obronie tych części. A tymczasem wystarczy draśnięcie w przedramię, w nogę, w cokolwiek. Możesz odskoczyć od niego, przeskoczyć obok, rzucić się na ziemię, tnąc w nogi. Możesz zrobić wszystko, co przy zwyczajnym sztylecie byłoby wyrokiem śmierci. Do tego

właśnie dochodziliśmy poprzednimi lekcjami, kiedy miałaś nie myśleć, lecz działać. Instynkt! Sprawdźmy, jak zapamiętałaś te lekcje.

Rollo chwyciła mocno rękojęść i ruszyła do przodu. Spróbowała kilku pchnięć, obszernego cięcia, a nawet odskoku i próby wejścia pod ramię. Niestety żaden z tych ataków nie trafił celu.

– Bardzo ładne ataki, podręcznikowe. – W jego głosie pobrzmiwała nuta zawodu. – Gdyby to był zwykły sztylet, to bym cię nawet pochwalił, dziewczyno.

Odetchnęła i jeszcze raz spróbowała natarcia. Tym razem starała się nie myśleć o tym, co robi. Jej ruchy wydawały się bardziej płynne, szybsze i bardziej zaskakujące. Hex musiał włożyć nieco wysiłku, by zbić niektóre ciosy. Stopa usunęła jej się w miękkim piasku, ale postanowiła machnąć ręką i kiedy spojrzała na swój sztylet, przerażona odrzuciła go. Piasek przykleił się do świeżego śladu krwi.

– No wreszcie! – Spojrzał na ranę na kciuku. – Twój przeciwnik zginąłby już, a ty zasiałaś strach w szeregach jego towarzyszy. Musisz tylko pamiętać, by po udanym ataku nie wyrzucać broni. Na dziś wystarczy. Wracajmy do obozu.

Następnego dnia w okolicach południa na horyzoncie od północy ujrzeli zbliżające się wojska prowadzone przez generała Nira Naita. Połowa armii dołączyła do reszty swoich towarzyszy, tworząc ogromny obóz. Rozbili swoje namioty, a potem wszyscy wspólnie świętowali. Imperator nie popierał tego pomysłu, ale ustąpił wreszcie po namowach kapłanek. Przekonały go tym, że chwila relaksu po długim marszu i walce przyda się żołnierzom i odnowi ich wiarę w zwycięstwo.

Tymczasem w wielkim namiocie obudowanym dywanami wokół ogniska na puchowych poduchach siedzieli najważniejsi w obozie. Z pucharami w dłoniach głośno rozmawiali. Najgłośniejsze były kapłanki, które wypytywały Nira o szczegóły bitwy o Pandey. Starszy żołnierz niechętnie ujawniasz wszelkie detale, niemal przed każdym zdaniem zerkając na siedzącego w ciszy imperatora. Hex popijał lekkie wino z borówek górskich i obserwował Rollo, która nieśmiało przysłuchiwała się rozmowie.

– Stąd do Erskinu jest dzień drogi konno – odezwał się nagle, a wszyscy zamilkli. – Nir i Minu zostaną tutaj z armią, a my pojedziemy do króla Kastila porozmawiać o rozstrzygnięciu sytuacji, w której nas postawiono.

– Co?! – Juvy zareagowała pierwsza. – Nie taki był plan! To niebezpieczne!



– Wątpisz, kapłanko? – Jego spokój był porażający. – Wątpisz w to, że niezwyciężony wybraniec, otoczony przez swoje kapłanki-wojowniczkę, będzie w niebezpieczeństwie w cywilizowanym kraju, do którego udaje się jako poseł?

– Ona ma rację! – wtrąciła się Ahga. – Pojedziesz tam i powiesz im, że jeśli nie zgodzą się oddać władzy, to ich zaatakujesz. Nikt normalny po czymś takim by cię nie wypuścił!

– Rollo, podejdź tutaj – zawołał nieco zdezorientowaną dziewczynę. – Powiedz swoim koleżankom, czy król Kastil naruszyłby prawa i obyczaje i zabił lub też uwięził swoich gości, którzy przybyli do niego z poselstwem.

– Nie wydaje mi się. – Pokręciła przecząco głową. – W Erskinie, a zwłaszcza w stolicy obyczaje i prawo są niezwykle ważne. Na dworze pewnie jeszcze bardziej.

– Dokładnie. – Podniósł się. – Dlatego zupełnie nie rozumiem, czym się niepokoiacie, kapłanki. Wiele razy udowodniałem, że moje decyzje są dobre. Tym razem będzie dokładnie tak samo. Wyruszymy jutro z samego rana. Obóz zostanie tutaj pod opieką Minu i Nira. Wrócimy za kilka dni, ale decyzję Kastila armia pozna wcześniej.

– A co z dziewczyną? – Iv wskazała Rollo.

– Jedzie z nami – odparł. – Po drodze dalej będziecie ją uczyć, a ceremonia odbędzie się na zamku.

Głośne dyskusje, głosy sprzeciwu, a nawet rzucanie pucharami nie wyprowadziło z równowagi imperatora. Patrzył na to w milczeniu, a kiedy stopniowo zaczęło się wyciszać, wstał i odszedł.

## Rozdział XLII

Król Kastil wezwał do gotowości wszystkich swoich rycerzy, a ciężka jazda stacjonująca w Erskinie codziennie ćwiczyła musztrę. Składała się z tysiąca ciężkozbrojnych i doskonale wyszkolonych jeźdźców i koni, które w boju nie cofały się nawet o krok i bez zawahania rzucały się na ściany wrogich włóczni. Władca opierał się o balustradę i z góry przyglądał się galopującym poniżej koniom.

Stu rycerzy w lśniących srebrno-czarnych pancerzach, z długimi kopiami w dłoniach ćwiczyło atak w szyku. Atak, którego bał się cały świat. W pięciu rzędach po dwadzieścia koni najpierw ćwiczyli jazdę w zwartym szyku, gdzie końskie boki niemal się o siebie ocierały. W odpowiednim momencie opuszczali prawie pięciometrowe kopie, podrywali je z powrotem w górę i rozjeżdżali się na boki, a tuż za nimi to samo robił kolejny rząd. Kilka przejazdów w szyku wystarczyło i zarządzono rozstawienie w szachownicy, gdzie mimo nadal zwartych szeregów, których nie dało się rozbić, jeźdźcy mieli więcej możliwości manewru. Tym razem przekładali kopię nad głową konia, by ponownie unieść ją w górę i rozjechać się na boki.

Trzecią ćwiczoną formacją był luźny szyk. Wbrew pozorom często zdarzało się, że jazda atakowała w ten sposób. Zwłaszcza kiedy wprost z podróży musiała wjechać na pole bitwy, tak jak choćby w przypadku bitwy o Skogskin. Ostatnim elementem musztry był atak w klinie. Rozbijający szeregi przeciwnika i wbijający się głęboko na jego stronę, ale też najbardziej ryzykowny. W taki sposób front był najbardziej narażony na obrażenia, dlatego na szpicy klina jechali zawsze najlepsi.

Kiedy całe formacje skończyły swoją musztrę, rozpoczął się indywidualny trening. Każdy z jeźdźców najpierw uderzał w nie większe od jabłka tarcze ustawione na słupkach. Giermkowie uwijali się jak w ukropie, by zdążyć ustawić cztery coraz mniejsze cele przed kolejnym najazdem. Po kilku przejazdach tarcze zostały zamienione na pierścienie, a słupki

zastąpili giermkowie, którzy trzymali stalowe koła w dłoniach. Średnica pierścieni była tylko niewiele większa niż grubość kopii. W oczach przyszłych rycerzy widać było strach, kiedy w pełnym pędzie ogromny rumak zbliżał się do nich, a rycerz siedzący na nim wyciągał w ich kierunku długą, ostro zakończoną broń. Kiedy każdy z żołnierzy spróbował nanizać pierścień pięć razy, giermkowie mogli odetchnąć. Rolę celu dla kopii przejęła niewielka tarcza umieszczona na końcu obrotowego ramienia przymocowanego do słupa wbitego w ziemię. Po uderzeniu ramię obracało się wraz z tarczą.

Na turniejach rycerskich często rozgrywano taką konkurencję w formie zabawy, ale nikt nie chciał, by Erskińczycy brali w nich udział, bo byli niepokonani. Po uderzeniu kopią przez zwykłego jeźdźca ramię potrafiło obrócić się raz lub dwa, ale po trafieniu ciężkozbrojnego, jeśli zostawało na słupku, obracało się nawet pięć razy.

Król Kastil przyglądał się temu z uznaniem, ale nie mógł pozbyć się przecucia, że nawet to może nie wystarczyć w zbliżającej się wiosną bitwie.

– Mój królu. – Iskel niespodziewanie pojawił się obok niego. – Król Bernsternu Kunglin Bern nie żyje.

– Bezkrólewie? – zapytał zapatrzony na jeźdźców.

– Nie, podobno jego bękarcia córka przejęła władzę wraz z uczonym – odparł uczony.

– O! – Kastil odwrócił się ku niemu. – To zaskakujące. Kim ona jest?

– Piratem. – Wzruszył ramionami. – O uczonym nie wiem zbyt wiele, ale wysłałem list do Akademii.

– Nie mam czasu jechać na pogrzeb. Niech to załatwi ambasador.

– Tak właśnie pomyślałem, więc wysłałem już odpowiednie pismo. – Iskel uśmiechnął się. – W liście informującym o śmierci i nowej władzy zapewniamy nas, że zmobilizują całą armię, jaką tylko będą w stanie.

– Jeśli to prawda, a nie sztuczka, to może otworzyć zupełnie nowy rozdział w naszych relacjach. – Kastil stuknął pięścią w balustradę. – Kunglin był zbrodniarzem, ale czy pirat...

– Pozwolę sobie postawić śmiałą tezę, że gorzej być chyba nie może – przerwał mu Iskel.

– Może i masz rację, nie mogę od razu źle się nastawiać. – Westchnął. – A co z pozostałymi?

– Utvin, jak zwykle, zapowiedział, że stawi się na wezwanie. – Wymieniał na palcach. – Werdgwald ma to zapisane w traktacie, więc nie ma wyjścia. Książę Dealin zawiadomił ojca, który wysłał większe oddziały, a reszta Tasariku też zamierza zmobilizować armię, choć nie wspominają jak dużą, ale też zaznaczają, że tylko w razie potrzeby.

– Czyli jak wojska imperatora będą przetaczać się przez Erskin po naszej śmierci. – Król uśmiechnął się smutno. – Trudno. Nie mam zamiaru ich błagać o żołnierzy. Jeśli my upadniemy, to oni także.

– Proszę o tym nie myśleć, mój królu. – Iskel chciał coś jeszcze powiedzieć, ale na dziedziniec wpadł spieniony kary koń.

Jeździec ledwo się na nim trzymał. Był wyczerpany, a piana z końskiego pyska spadała na zmarzniętą ziemię. I zwierzę, i człowiek parowali na mrozie. Kastil zostawił uczonego i biegiem popędził ku przybyszowi. Był to żołnierz stacjonujący na granicy.

– Co się stało?! – zapytał, chwytając go niemal spadającego z siodła.

– Sam... Imperator... – Ledwo dało się go usłyszeć. – Zmierza tutaj... z poselstwem... Ma chorągiew... jadą z nim... kobiety... sześć... będą za dzień... może dwa...

– Zabierzcie go do zamku! – ryknął król. – Dać mu wody, jedzenia i pozwolić wypocząć! Konia oporządzić w stajni! Niech któryś z uczonych zobaczy, czy nic mu nie będzie. Żołnierz – zwrócił się bezpośrednio do niego – odpocznij, boś zasłużył. Cały kraj jest ci wdzięczny za poświęcenie.

Nie minęła godzina, a już wszyscy wezwani zebrali się w sali narad, by omówić wieści, jakie przyniósł żołnierz. Oprócz krążącego nerwowo po komnacie Kastila przy stole siedzieli: uczony Iskel, Tidur Dealin oraz Theus Merik, Dever Monerweh i dowódca jazdy Neuwer Nerynter. W pomieszczeniu panowała cisza rozpraszana tylko krokami podkutych butów władcy.

– Żołnierz powiedział, że on tutaj jedzie jako poseł, dlatego go nie zatrzymali – zaczął wreszcie Kastil. – Jaki władca jedzie z poselstwem osobiście?

– Szalony – wyrwał się Tidur. – Albo taki, który wywodzi się z jakichś dzikich ostępów i nie zna obyczajów.

– Uważam, że to nie jest szalona zagrywka – dorzucił swoje zdanie Iskel. – Wygląda mi to raczej na doskonale przemyślany ruch. Załóżmy, że nie jest to dzikus, skoro udało mu się zdobyć władzę nad tak wielkim terytorium. – Uczony podniósł się z miejsca. – Możemy też założyć, że

korzysta z wiedzy zdobytej wraz z terytorium. Dlatego można przyjąć, że dowiedział się, iż nasze obyczaje zabraniają zabijania posłów albo nawet ich więzienia. Mógł też dowiedzieć się, że w Erskinie nie łamie się tych obyczajów pod żadnym pozorem, więc uznał, że przybycie tutaj jest całkowicie bezpieczne. Zdecydował się przyjechać tutaj jako poseł, by przyjrzeć się terenom, przez które jego armia będzie musiała przejechać, chcąc zdobyć zamek, i samemu zamkowi również. W dodatku może liczyć na to, że pozna sposób działania króla, zobaczy armię, umocnienia. Skoro jako poseł ma zagwarantowane bezpieczeństwo, to chce ten element wykorzystać.

– Myslę, że ucony może mieć trochę racji – odezwał się Nerynter, zakrywając dłonią usta. – Zdazało się wykozystywać posłów do spiegoowania.

– Trzeba będzie zająć się całym jego pocztem tak, by nie mieli czasu się niczemu przyjrzeć, i pilnować, by nie mówić o niczym ważnym. – Kastil zatrzymał się wreszcie i usiadł przy stole.

– Jest lepszy sposób, by pokrzyżować jego plany – westchnął Tidur. – Wystarczy pozabijać ich, jak tylko przekroczą bramy zamku.

– Co?! – Król oburzył się. – O czym ty w ogóle gadasz?! Chcesz zabić oficjalnego posła?!

– Chcę zabić króla, którego armia jest na tyle silna, by mogła podbić wszystkie nasze kraje! – Tidur podniósł się, uderzając pięściami w stół. – Tylko on trzyma te wszystkie małe kraiki w kupie! Jeśli pozbędziemy się jego, to całe zagrożenie przeminie, nie mam racji?!

– Teoretycznie tak, mój książę – odpowiedział Iskel. – Jednak zabić posła... Są pewne obyczaje, których nie można łamać.

– Zdecydowanie – poparł uczonego Merik. – To by było niehonorowe.

– Niehonorowe?! – Tidur rozłożył dłonie. – A jak będą palić nasze wioski i zabijać naszych poddanych, to będzie honorowe?

– Wasza miłość, mamy potężną armię – zwrócił się do Kastila Dever. – Pokonamy w otwartym polu i w honorowej walce wszystko, co on ze sobą przyprowadzi.

– Bez względu na okoliczności nie zmieniamy się w barbarzyńców – dodał Theus Merik.

– Wiesz, mój królu, że nie zawsze ściśle trzymam się obyczajów, czasem podpowiadałem ci rozwiązania nowatorskie, czasem je popierałem, ale w tym wypadku... – Iskel pokręcił głową.

– Nie możemy tego zrobić, Tidurze... – Kastil wyglądał na przybitego. – Trzeba się zastanowić, jak go przyjąć, by jak najbardziej przeszkodzić w jego planie.

– Będziecie żałować tej decyzji, kiedy wasze obyczaje będą grzebane razem z waszymi trupami. – Tidur podniósł się i wyszedł.

– Jakieś pomysły? – zapytał nieobecny głosem Kastil, patrząc na zatrzaśnięte drzwi.

– Musimy skończyć z ćwiczeniami jazdy na dziedzińcu i przenieść je wyłącznie do koszar, pilnując przy tym, by żaden z członków jego świty nie zapuścił się tam – zaczął Theus.

– Szkolić mieszkańców i gwardii też nie możemy, wasza miłość – dodał Dever.

– Ile zwyczajowo poseł przebywa na zamku? – zwrócił się do Iskela Kastil.

– Nie ma reguły, ale biorąc pod uwagę, że zaczęła się zima, możemy założyć, że nawet do wiosny – odpowiedział uczony ze strapioną miną.

– Trzeba będzie zatem prowadzić ćwiczenia tak, by nikt z nich się w tym nie połapał...

– A co z plotkami o tym, że cyta w myślach? – wyrwał się wąsaty jeździec.

– Myślę, że można to wrzucić między bajki. – Machnął ręką Iskel. – W całej historii było wielu, którzy chwalili się taką umiejętnością, ale każdy kończył na kole za oszustwa.

– Wszystko przeniesiemy do koszar – stwierdził król. – One są na tyle oddalone od zamku, że nie będą mogli zejść tam przez przypadek. Myślę, że warto też zmniejszyć ilość gwardzistów w zamku. Niech widzą, że nie ma tutaj zbyt wielu strażników.

– Pomyślą wtedy, że polegamy wyłącznie na naturalnych walorach defensywnych Erskinu. – Iskel pokiwał głową. – To może nieco zamieszać im w głowach. Musimy jeszcze uważać na to, co mówimy przy nich.

– Tak, to wiem. – Rozejrzał się. – Trzeba zakazać rozmów z jego ludźmi i z nim samym. Tylko ja i ty będziemy z nimi rozmawiać. Reszta ma milczeć. Zajmijcie się, panowie, przenoszeniem wszystkiego, co może zdradzić liczebność obrony zamku, do koszar jazdy.

– Tak jest! – odpowiedzieli niemal jednocześnie, a po chwili byli już w drodze.

– Muszę się przejść i pomyśleć. – Kastil odszedł od stołu, przy którym został tylko uczony.

– To była mądra decyzja, mój królu. – Iskel uśmiechnął się do niego. – Historia oceni, czy słuszna, ale w walce z przeciwnikiem z innego świata najważniejsze jest zachowanie swojej tożsamości.

W pośpiechu udało się ukryć wszystko, co mogłoby naprowadzić niechcianych gości na liczebność, wyszkolenie i uzbrojenie wojsk Erskinu. Kastil przezornie rozstawił czujki na całym trakcie prowadzącym ze wschodu do stolicy, by wiedzieć na bieżąco, jak blisko jest orszak imperatora.

Ku zaskoczeniu wszystkich orszak zupełnie nie przystawał do tytułu, jaki nosił ten człowiek. Spodziewano się powozów, tabunu koni, olbrzymiej obstawy, tymczasem okazało się, że jechali po prostu wierzchem, a cała wyprawa liczyła sześć osób. Ponadto nie mieli na sobie ubrań przystosowanych do pory roku. Na zamku nie do końca dowierzali w te meldunki.

Król Kastil siedział w sali tronowej i czekał z niecierpliwością na przybycie imperatora, postukując palcami w podłokietnik. Po jego prawej stronie stali generał Theus Merik, uczony Iskel oraz Tidur Dealin. Dostali informację, że orszak wjechał już do miasta i kierował się prosto do zamku. Kastil wysłał Devera wraz z kilkoma gwardzistami, by poprowadzili posłów przez miasto.

W pewnej chwili drzwi do wielkiej sali otworzyły się, a mężczyźni czekający na posłów zbledli na widok tego, co przez te wrota przeszło. Monerweh i pozostali gwardziści nie należeli do ułomków, ale człowiek kroczący w ich kierunku przewyższał ich o głowę, był też dużo szerszy w barkach. Grozę wzbudzały nie tylko jego gabaryty, ale też wygląd. Na zewnątrz był mróz, i to srogi, tymczasem przybysz miał na sobie długie skórzane spodnie, wysokie buty i kamizelkę założoną na gołe ciało, które pokryte było czymś przypominającym sine wybroczyny. Linie, niczym pioruny, rozchodziły się po jego skórze, sięgając aż do szyi. Miał zupełnie łysą głowę, w której mroziły spojrzeniem czarne oczy.

Nie mniej intrygująco wyglądała jego obstawa. Pięć pięknych i zgrabnych kobiet ubranych jedynie w niemal przezroczysty, biały strój, przez który dało się zauważyć każdy element ich kobiecości. Te ubrania były za cienkie nawet na późną wiosnę, nie mówiąc już o srogiej zimie.

Patrząc na urodę, można było zakładać, że połowa pochodzi z zachodu, a druga połowa ze wschodu.

– Witam w Erskinie. – Kastil podniósł się i wyciągnął dłoń.

– Uznałem, że tak ważne rozmowy nie mogą zostać poprowadzone przez kogokolwiek innego niż my. – Hexowi nie drgnęła nawet powieka. – Wyprzedzając kolejne pytanie, królu, nie potrzebujemy nic na rozgrzewkę, nie jesteśmy też zmęczeni po podróży i możemy od razu przejść do rozmów.

– To zaskakujące przy takiej pogodzie... – Kastil nieco się zmieszał. – Przygotowaliśmy dla każdego z was osobne komnaty...

– To nie będzie konieczne – przerwał mu. – Wystarczą nam dwie.

– Jeśli taka jest twoja wola... – Młody władca czuł, że już w tej pierwszej rozmowie przegrywa.

– Przedstawię kapłanki, które mi towarzyszą. – Hex odwrócił się bokiem, wskazując je kolejno. – Juvii, Ahga, Mossa, Tia, Iv i dziewczyna, której szkolenie w zasadzie się już zakończyło, ale nie przeszła jeszcze ceremonii, Rollo.

Kiedy Kastil usłyszał to imię i zobaczył dziewczynę stojącą za olbrzymim władcą, niemal stracił równowagę. Kolana się pod nim ugięły, widząc jedyną ubraną odpowiednio do panującej pogody prześliczną córkę rycerza, którą przywiózł na swój zamek, polubił, a której potem groził śmiercią. Wysłał za nią żołnierzy, myślał, że zginęła, a teraz stoi przed nim i ma zostać kapłanką człowieka zagrażającego wojną całemu światu.

– Ach, bardzo miło panie gościć... – Nie mógł oderwać wzroku od Rollo, która uciekła swoim spojrzeniem. – To jest uczony Iskel, mój doradca, oraz generał Theus Merik, dowódca królewskiej gwardii, i księżę Tidur Dealin.

– Skoro uprzejmości mamy już za sobą, to chciałbym o coś prosić. – Imperator przesunął wzrok po twarzach towarzyszy Kastila. – Chciałbym wieczorem móc w tej sali przeprowadzić rytuał wprowadzający Rollo w stan kapłański. – Rozglądał się. – Nie zniszczymy pomieszczenia, masz moje słowo.

– Myślę, że nie powinno być z tym problemu... – Kastil poszukał poparcia w oczach Iskela.

– Wspaniale. – Hex delikatnym ruchem głowy podziękował. – Czy zatem możemy przejść do rozmowy na temat tego, po co tutaj przybyłem?

– Oczywiście... – Król nie mógł zebrać myśli. – Czy wszystkie panie będą uczestniczyć w rozmowie?



– Jeśli dopuszczasz taką możliwość. – Potwierdził skinieniem głowy.

– Zapraszam do sali narad. – Wskazał kierunek. – Zmieścimy się tam, ale obiad...

– Na przyjemności przyjdzie czas. Zaczynamy.

Przy stole stojącym w sali narad po raz pierwszy od dawna znajdowało się jednocześnie tyle osób. Iskel zajął miejsce po prawej stronie Kastila, po lewej zasiadł Theus Merik, a obok niego Dever. Po przeciwnej stronie stołu rozsiedli się goście, a centralne miejsce przypadło Hexowi. Rollo siedziała na skraju i jak tylko mogła, unikała kontaktu wzrokowego z Kastilem. Na stole stały kielichy ze złota oraz dzbany pełne lekkiego wina z erskińskich czereśni.

– Nie będziemy korzystać z waszej gościnności zbyt długo – zaczął Hex. – Bez względu na to, czy się dogadamy, czy nie, wyjedziemy stąd za trzy dni.

– Jesteście posłami, nie musicie się nigdzie spieszyć – zgodnie z obyczajami odpowiedział Kastil.

– Obydwaj wiemy, królu, że nasza obecność tutaj nie jest pożądana. – Lewy kącik ust Hexa uniósł się w górę. – Nie musisz o tym mówić na głos. Załatwmy sprawę, która mnie tutaj sprowadziła, i rozejdźmy się w przyjaźni lub jako wrogowie.

– Słucham zatem. Powiedz, z czym przybywasz. – Kastil zerknął na Rollo.

– Oczywiście doszły do was pogłoski o tym, że zjednoczyłem cały wschód – mówił. – Do wschodu dołączyłem też leżący w centrum Barbas i tak nastąpiło Imperium Sag Bas. To jak najbardziej prawdziwe informacje, ale zapewne nie wiecie, czym w ogóle jest Sag Bas. Jest to religia, która rządziła światem tysiące lat temu. W tamtym czasie świat był jednym wielkim wspólnym dobrem, gdzie wszyscy wierzyli w jedno, wyznawali jedno i działali dla jednego. Jak to jednak bywa, kiedy czasy są zbyt przyjazne i ludziom żyje się zbyt wygodnie, pojawiają się jednostki, które chcą dla siebie czegoś więcej. Wtedy zaczęły się rozłamy. Najpierw podważano religię Sag Bas i wymyślano nowych bożków, potem stworzono nowe plemiona, a w ich miejsce królestwa. Z czasem Sag Bas zostało zapomniane, a świat zaczął chylić się ku upadkowi.

– Masz jakieś dowody na to, że ta religia rzeczywiście kiedyś istniała? – wtrącił się Iskel.

– Oczywiście, starcze – odparł i ciągnął dalej. – Mamy ze sobą księgi z tamtych czasów. Wracając jednak do Sag Bas, jest to religia, która nie ma swojego bożka, którego rzeźby można wystawiać na rozstajach. Ma tylko

dwa obrzędy. Pierwszym jest wstąpienie w szeregi kapłanek, który zobaczycie, a drugim jest złożenie w ofierze skazanego.

– Zabijacie ludzi dla bogów? – Uczony zdziwił się.

– Nie, nie – zaprzeczył. – To nie jest ofiara dla bogów. Jeśli człowiek został skazany, był zabijany, by jego gnienie w więzieniu nie wstrzymywało ciągłego procesu przemian i dążenia do równowagi. Sag Bas to równowaga życia i śmierci. Zatem jeśli skazany nie mógł korzystać z życia, był zabijany.

– To bez sensu! – zaprotestował Iskel.

– Poznasz sens, starcze, kiedy wczytasz się dokładnie w te księgi – uspokoił go. – Nie o tym jest nasza rozmowa. Jakiś czas temu trafiłem do świątyni Sag Bas, gdzie nabyłem te znamiona i potężną moc. Jednak nie mogłem jej wykorzystać dla swoich potrzeb, a po to, by przywrócić jej świetność i odciągnąć świat od zagłady. Zjednoczyć cały świat pod panowaniem Sag Bas.

– I twoim? – zapytał Kastil.

– W społeczeństwie, które ma w umysłach Sag Bas, nie potrzeba władcy, a ja pozostanę tylko najwyższym kapłanem, kiedy już wszystko wróci do normy.

– Domyślam się, że nie przybyłeś tutaj, by nam o tym opowiedzieć, ale oczekujesz czegoś konkretnego. – Kastil spojrzał na niego twardo.

– Widzę, że nie jestem jedynym tutaj, który czyta w myślach. – Ponownie cień uśmiechu wypełził mu na usta. – Owszem. Przybyłem tutaj, by zaproponować Erskinowi dobrowolne przyłączenie się do imperium, przyjęcie religii Sag Bas i zachowanie życia.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie zgodzimy się na te żądania? – zapytał Kastil, uspokajając żołnierzy.

– Oczywiście, doskonale wiem, o czym teraz myślicie, ale po to tutaj przyjechałem. – Postukał palcami w blat. – Mogłem po prostu wysłać list albo posła z żądaniem poddania się. Jednak przybyłem tutaj, by przekonać was do zmiany zdania. Jediną korzyścią dla was będzie to, że jeśli przyjmiecie szczerze Sag Bas, to zachowacie życie.

– Być może zachowamy je także w bitwie! – wyrwał się Merik.

– Być może, ale gwarancji nie macie. – Chłód bił z wypowiedzi Hexa. – Za chwilę oddam głos swoim kapłankom, które dokładnie wytłumaczą wam, na czym polega Sag Bas i jakie płyną z niej korzyści. Będziecie mieli

czas na przemyślenie mojej propozycji, ale przed wyjazdem chcę poznać ostateczną odpowiedź.

– Skoro jesteś tutaj osobiście, imperatorze, i proponujesz nam dobrowolne poddanie się...

– To moja armia nie jest tak potężna – dokończył za Kastila. – Jest wystarczająco silna, by prowadzić wojnę z całym zachodem. Czy zwycięską? Tego nie wiem, ale wiem, że będzie to najkrwawsza wojna w historii całego świata. Będzie kosztowała setki tysięcy żyć, a ludzkość może się już po niej nie podnieść. Wiem też, że będzie prowadzona na waszych terenach, więc nawet jeśli uda wam się wygrać, to będziecie zbyt słabi, by oprzeć się napływowi kolejnych fal ludności ze wschodu. Ludności, która niesie ze sobą Sag Bas.

– Bardzo ciekawa wizja, ale nie jestem przekonany, że się spełni. – Kastil uśmiechnął się drwiąco.

– Ciekawi was, jak wielka jest moja armia – stwierdził w odpowiedzi. – Nie jest to tajemnicą. Nie musicie też wysyłać zwiadowców. Szkoda, żeby marzli. Ci, których zabrałem ze sobą, liczą około stu trzydziestu tysięcy ludzi. Dodatkowe kilkadziesiąt może dołączyć.

– To niemożliwe – zaśmiał się Merik. – Nikt na świecie nie zgromadził jeszcze takiej armii!

– Żaden z was nigdy nie był na wschodzie, nie zapuszczaliście się w dzicz – stwierdził, patrząc im w oczy. – Nie macie pojęcia, jak wielkie zasoby się tam kryją.

Imperator opuścił komnatę w towarzystwie Devera, który miał wskazać mu jego sypialnię. Pozostała trójka została z kapłankami i Rollo. Mieli wysłuchać obszernej historii Sag Bas oraz wykładu o jej działaniu, skutkach i dobroczynnemu wpływowi na ludzkość. Słuchali o tym przez długie godziny, w trakcie których mieli mnóstwo pytań. Najwięcej oczywiście uczony Iskel, który nie zadowalał się błahymi regułkami z ksiąg dla wieśniaków. Dopiero kiedy kapłanki miały zdarte gardła, a słuchacze ciężkie głowy, postanowiono, że wszystko, co potrzeba do podjęcia decyzji, już wiedzą. Thondar odprowadził wszystkie kobiety do ich sypialni, tymczasem generał Merik, Iskel i Kastil zostali jeszcze w komnacie.

– Ile by nie gadali, to nie możemy się poddać, wasza miłość – ciszę przerwał Merik.

– W założeniu zupełnie teoretycznym to, co głoszą, wydaje się być idealnym rozwiązaniem, ale wiem, że natura ludzka nie pozwoli na to, by

to się rozwinęło tak, jak chcą – dodał Iskel.

– Co się stało, że ona się do nich przyłączyła? – Kastil nie zwrócił na nich uwagi. – Muszę z nią porozmawiać...

– Mój królu, nie wiem, czy to na pewno jest odpowiedni moment, by...

– Muszę poznać powód, muszę dowiedzieć się, co się z nią działo po ucieczce z Erskinu i czy miała coś wspólnego... Czy zrobiła to umyślnie, czy ktoś ją do tego namówił, kto... – Patrzył w przestrzeń przed sobą. – Pójdę do niej...

– Kastilu! – krzyknął uczony. – Weź się w garść!

– Co? – Król spojrzał na niego nieobecny wzrokiem. – A tak, przepraszam... Nie mogę zebrać myśli.

– Jest już późno, mamy jeszcze dwa dni. – Iskel rozłożył ręce. – Rób, co musisz.

– Tak, tak chyba będzie lepiej. – Westchnął, wychodząc, zatrzymał się jednak w drzwiach. – Trzeba zająć się sprawdzeniem, czy mówią prawdę. Wysłać zwiadowców do ich obozu. Jeśli armia naprawdę jest tak liczna, to musimy o tym poinformować wszystkich władców.

– Zajmiemy się tym, wasza miłość – odparł Merik, prężąc się, ale Kastil nie czekał na jego odpowiedź i zdążył już zniknąć za drzwiami.

– Rollo! – szepnął, widząc przechodzącą dziewczynę.

– Spiesz się na ceremonię – powiedziała, chcąc go zbyć.

– Chwilę możesz poczekać! – Złapał ją za rękę. – Powiedz mi, czy byłaś w zмовie z Pandeyem?

– Nie! – Wyrwała się. – Nie byłam z nim w żadnej zмовie! On wykorzystał to, że widziałam w nim przyjaciela!

– Dobrze, spokojnie! – Złożył dłonie. – Przepraszam, musiałem to wiedzieć. Wtedy... byłem wściekły. Nie powinienem tak cię traktować. Uciekłaś przede mną i... Co się właściwe potem działo, że znalazłaś się tutaj?

– Opowiedz mu. – Usłyszała w głowie głos Hexa.

– Dobrze, niech będzie – stwierdziła nieco dezorientowana. – Chciałam uciec do domu, ale trafiłam na jakiegoś bandytę, który sprzedał mnie do świątyni czerwonych kapłanów w Phedas. Tam chcieli zrobić ze mnie kapłankę. Nauczali mnie i uczyli... dyscypliny. – Pokazała mu blizny na dłoniach. – Na plecach mam większe.

– Psie syny – mruknął. – I co dalej?

– Po kilku miesiącach Hex przybył ze swoją armią i zrównali świątynię z ziemią, zabili wszystkich... Wzięli mnie ze sobą i dali wybór. Mogę być jedną z nich lub wrócić do domu albo zostać tutaj...

– Co zdecydowałaś? – zapytał nerwowo.

– Idę na ceremonię, to chyba jasne – burknęła.

– Ale dlaczego? – Skrzywił się.

– Kiedy jestem z nimi, czuję, że mam na coś wpływ. – Jej oczy błyszczały w świetle pochodni na korytarzu. – Pierwszy raz sama decyduję o moim życiu. Najpierw ojciec wysłał mnie tutaj bez mojej zgody, potem chcieli zrobić ze mnie kapłankę torturami, a teraz? Nikt mi nie mówił, że nie mogę zostać medykiem, bo to zawód dla mężczyzn. Nikt mi nie mówił, że nie mogę walczyć, bo rycerzem może być tylko mężczyzna. Oni nie trzymają się obyczajów sprzed setek lat. Patrzą na świat zupełnie inaczej i tam czuję się wolna. Będę miała cel w życiu, ambitny, który nie będzie polegał na odchowaniu gromadki dzieci jakiegoś starego rycerza, będącego w oczach mego ojca dobrą partią dla mnie.

– A co z nami? – Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

– Chciałaś mnie zgładzić za zdradę. – Odsunęła się. – Siedząc w celi, na modłach czy płacząc z bólu, myślałam o tobie, tęskniłam, całą sobą chciałam tutaj do ciebie wrócić, wyjaśnić wszystko, usłyszeć, że to były nerwy i że szukałaś mnie przez te miesiące, ale kiedy wyrwałam się z tego bagna... Kiedy poznałam inne życie, prawdziwe, z dala od dworskich konwenansów... Myślałam, że widząc cię, będę pragnęła rzucić ci się na szyję, ale nie. Przykro mi. Nic takiego nie poczułam. Przepraszam, Kastilu. Muszę już iść.

– Zaczekaj! – zawołał za nią, ale Rollo nawet nie odwróciła się.

Młody władca przez dłuższą chwilę wpatrywał się w półmrok korytarza, w którym zniknęła dziewczyna. Czuł się zupełnie rozbity. Ciężar, jaki spadł na jego duszę, spowodował, że zupełnie zapomniał o ogromnej armii będącej niedaleko jego granic. Przestało go interesować królestwo, a jego życie się zaważyło. Bezmyślnie szedł przed siebie, stawiając ociężałe kolejne kroki. Zorientował się, gdzie jest, kiedy minął drzwi dla służby. Prowadziły do wielkiej sali prosto z pomieszczeń kuchennych. Uchylił te drzwi delikatnie i zajrzał do środka, gdzie zobaczył stojącego na podwyższeniu Hexa z ogromnym toporem w dłoniach.

## Rozdział XLIII

W głównej sali zamku w Erskinie wygaszono znaczną część pochodni. Płonęły tylko te umocowane na środkowych kolumnach, tworząc niejako krąg, w centrum którego stał Hex. Jego tors był nagi, a liniowe znamiona na jego ciele zlewały się ze splekaną rękojeścią ogromnego topora, wykonaną z gałęzi Drzewa Śmierci. Między kolumnami stały pozostałe kapłanki, wyłączając Juvi, której nie było nigdzie widać.

W pewnym momencie dało się słyszeć kroki zbliżających się osób. W krąg światła weszła właśnie Juvi prowadząca ze sobą Rollo. Dziewczyna miała na sobie krótką tunikę ułatwiającą poruszanie się. W dłoniach dzierżyła dwa ozdobne sztylety, takie same jak te noszone przez pozostałe kapłanki.

– Czas twojego szkolenia był krótki – zaczął niezwykle poważnie Hex. – Nie będzie jednak taryfy ulgowej przy próbie walki. Zgodnie z ceremoniałem walka trwa do momentu śmierci, rozbrojenia jednego z nas albo gdy uznam, że jesteś gotowa. Czy jesteś przekonana, że chcesz przystąpić do tej próby?

– Tak – stwierdziła, choć głos jej zadrżał.

– Zaczynamy więc. – Uniósł broń w obu dłoniach.

Rollo trzymała sztylet w lewej dłoni ostrzem do góry, a w prawej w dół. Zeszła nisko na nogach, przyjmując pozycję gotową do walki. Imperator nie czekał jednak na jej atak. Topór ze świstem przeciął powietrze tuż obok ucha dziewczyny. Ledwo zdążyła umknąć przed tym atakiem. Spróbowała cięcia z dołu, by wykorzystać położenie przeciwnika, ale Hex odbił jej uderzenie dłonią, wytrącając sztylet. Dziewczyna przetoczyła się po podłodze i podniosła broń błyskawicznie, ale jeszcze szybciej musiała radzić sobie z kolejnym natarciem. Kołowrotki w powietrzu, zazwyczaj wykonywane z jednoręcznym mieczem, były dużo groźniejsze, kiedy Hex używał potężnego topora. Jeden z obrotów śmignął tak blisko jej głowy, że kilka włosów spadło na podłogę.

– Przestań myśleć! – Usłyszała karcący głos Hexa.

Wzięła trzy głębokie oddechy i ruszyła do ataku. Cięła na przemian z góry i z dołu, ale imperator odtrącał jej uderzenia prawą ręką, w lewej trzymając swoją broń. W tak krótkim dystansie topór na niewiele się zdawał, więc pozostała mu tylko defensywa. Tak mogło się wydawać Rollo, która z coraz większą zawziętością próbowała tę obronę przełamać. W pewnej chwili Hex złapał ją jednocześnie za oba nadgarstki i przerzucił nad sobą, następnie rzucając nią o podłogę. Głośno stęknęła, zderzając się z twardą, wygładzoną skałą. Poczowała ogromny ból i głośno jęknęła, łapiąc się za zębra.

– Stój! – rozległo się wołanie. – Skończcie to! Zabijesz ją!

– Mój drogi królu. – Hex nie odwrócił się nawet w kierunku, z którego dobiegał głos Kastila. – Chyba niezbyt obyczajne jest przerywanie rytuałów, prawda? A poza tym jeśli się postara, to nie zginie. – Obrócił się nagle i zatrzymał ostrze topora na szyi biegnącego w jego kierunku Kastila. – Ale jeśli ty się nie wycofasz, to zginiesz na pewno – powiedział, patrząc w zaskoczone oczy młodego władcy.

– Kastilu. – Podniosła się z trudem. – Odejdź stąd! To nie jest twoja sprawa.

– Posłuchaj jej lepiej, królu. – Ostrze, mimo swojego ciężaru, nawet nie drgnęło w ręku Hexa. – Dużo większą przyjemność da mi zabicie cię w bitwie niż tutaj.

– Dobrze. – Kastil odsunął topór od szyi. – Dobrze...

– Wróćmy do tego, co nam tak brutalnie przerwano. – Hex odwrócił się od odchodzącego ze spuszczoną głową króla.

Rollo trzymała się za zębra, ale podjęła walkę. Rzuciła się do przodu głębokim wypadem i spróbowała ukłuć Hexa, ale ten cofnął się i zabrakło pół ostrza, by trafić. Już miał podnieść topór, by zadać cios, ale niespodziewanie sztylet wbił mu się w stopę. Rollo nie była w stanie utrzymać się w głębokim wypadzie i po prostu przewróciła się, wbijając broń w miejsce, w którym stał imperator.

– Zginałem – stwierdził, odkładając broń. – Jesteś gotowa, by stać się kapłanką Sag Bas. Juvii, przygotuj resztę ceremonii.

Najstarsza kapłanka przyniosła bukłak napełniony wodą ze Źródła Życia, szatę przeznaczoną dla kapłanki i białą chustę z jedwabiu, którą nałożyła na głowę nagiej już Rollo. Następnie stanęła przed nią z zamkniętymi

oczami i śpiewała starożytne inkantacje. Kiedy skończyła, namoczyła szmatkę w przygotowanej wcześniej wodzie.

– Rollo Goglediwi! – zawołała. – Przechodząc szkolenie i próbę walki, udowodniłaś, że zasługujesz na przynależność do Sag Bas. W imię walki o dobro świata twoje ciało może pokryć się bliznami. Pierwsza z nich stanie się symbolem twojego nowego życia. – Zdjęła chustę z jej głowy. – Wykonując cięcie, oddajesz swoje życie Sag Bas. – Uniosła jej dłoń i docisnęła sztylet do swojego przedramienia. Biała szata zabarwiła się krwią, a stróżka pojawiła się też na ręce Rollo. Juvy przetarła obydwie rany wodą, co spowodowało ich zabliznienie. – Załóż to i z dumą głos Sag Bas. – Wręczyła jej białą strój kapłanki i oparła się o kolumnę.

– Nic ci nie jest? – zapytała przestraszona Rollo.

– Nie, spokojnie. – Chwyciła ją za rękę. – To normalne po zranieniu Kati, inni po tym umierają.

Mimo zmiany władzy w Bernsternie sala tronowa zmieniła się minimalnie. Proporce dalej przedstawiały królewski herb rodu Bernów. Teraz jednak do przedzielonego po skosie pola z mieczem i bursztynem dołączył czarny krzyż symbolizujący piracki maszt. Imma nie chciała się wyrzekać tego, kim była. Otwarcie opowiedziała poddanym podczas ceremonii koronacji, dlaczego musiała wcześniej żyć w taki sposób i w jaki sposób przyczynił się do tego zmarły król.

Wprowadziła inne zasady. Służący nie byli już traktowani jak sprzęt, który można połamać i wziąć nowy. Zgodnie z obietnicą wysłaną do Erskinu próbowała zgromadzić jak największą armię. Bogaci kupcy chcieli wkupić się w łaski nowej władczyni, więc deklarowali, że wyślą swoich synów na wojnę, jeśli nadejdzie taka potrzeba. Biedniejsi, których w całym kraju znowu tak wielu nie było, nie mieli wyjścia. Gorzej jednak miała się sytuacja z najemnikami stanowiącymi ogromną większość całej armii Bernsternu. Postanowiła postawić sprawę jasno i ukrócić spekulacje i plotki panoszące się po mieście. Według nich najemnicy mieli żądać dużo wyższych stawek, niż dostawali od Kunlina, albo wyjechać z kraju. Nie wpływało to dobrze na samopoczucie mieszkańców przerażonych tym, że wyjeżdżając, będą chcieli złupić miasta, by nadrobić utracony zarobek. Ponadto nie wiedziała, co ma dokładnie odpowiedzieć królowi Kastilowi, który miał się stać, zgodnie z podpowiedziami Mytela, sojusznikiem Bernsternu.



W sali tronowej zebrali się wszyscy generałowie oddziałów najemnych i oczekiwali na królową mającą się zjawić lada chwila. Weszła nagle do sali ubrana w długą bordową suknię zasłaniającą każdy cal jej ciała poza dłońmi i twarzą. We włosach, które powoli odzyskiwały dawny blask, miała wpięty diadem ze srebra, ozdobiony ciemnymi bursztynami. Podeszła do tronu, przesunęła dłonią po jego brzegach, a następnie zajęła miejsce, z rozmachem zakładając nogę na nogę. Tuż za oparciem stanął uczony Mytel. Rozglądała się po sali, patrząc na kilkunastu mężczyzn o przeróżnej aparycji.

– Dziękuję za przybycie – zaczęła. – Zaprosiłam was tutaj, ponieważ Bernstern i cały zachodni świat stoją przed groźbą nowej wielkiej wojny. Wiem, że zatrudniał was poprzedni król, to z nim negocjowaliście stawki i zakres obowiązków, ale nastąpiła zmiana i w związku z tym chciałabym usłyszeć, jak wyobrażacie sobie dalszą współpracę z Bernsternem. Chcę wiedzieć, czy jesteście gotowi, by nieco rozszerzyć swoje usługi dla nas.

– Rozmówiłm się z resztą – zaczął rudawy niski żołnierz z blizną na oku. – Ustalilim, że ja będę rozmawiał.

– Dobrze, Nurusie, odpowiedz zatem na moje pytania. – Posłała mu zaczepny uśmiech.

– Już, już, kochaneczko – odparł. – Nie ma takiego pośpiechu. Pirszą sprawą jest to, że Kunglin, niech mu się wiedzie po tamtej stronie, nie zapłacił nam za jesień, a już mamy zimę.

– Przepraszam, że się wtrączę, ale sam wam wypłacałem żołąd za jesień i wiem, że wszystko zostało uregulowane – odpowiedział Mytel.

– Aż w rzyć! – Z uśmiechem huknął pięścią w otwartą dłoń. – Musielim spróbować. Dobra, kochaneczko, myśmy się umawiali, że będziem bronić Kunglina. Nie Bernsternów, Erskinów czy innych psów. Dlatego teraz wszyscy kupą uznalim, że tamta umowa przestała działać i możemy śmiało iść zarabiać gdzie indziej, chyba że nasza słodka królowa będzie chciała podpisać z nami nową umowę.

– Ciekawie stawiacie sprawę, panowie. – Rozejrzała się po sali. – Czego zatem oczekujecie za to, by stanąć do walki z wrogami zachodu?

– Złota, kochanieńka, złota i kosztowności. – Uśmiechnął się, pokazując brązowe zęby. – Uczniak wie, ileśmy dostawali za siedzenie w mieście i pilnowanie interesów Kunglina. Wy teraz chceta, żebyśmy szli w bój, a to znacząco stawkę podnosi.

– Jaką stawkę chcecie? – Poprawiła się na tronie.

– Dziesięć razy tyle, co miałem wcześniej. – Oparł ramiona na piersi.  
– Ile?! – Poderwała się na równe nogi. – Czyście się z końmi na łby pozamieniali?! Myślicie, że skarbiec to się sam napęlnia?!  
– Spokojnie, paniusiu! – warknął oschle. – Możem negocjować.  
– Trzy razy więcej niż macie teraz. – Uspokoila się.  
– Za trzy to se sama giń – prychnął, a reszta go poparła. – Osim.  
– Cztery.  
– Ni ma szans. – Pokręcił głową. – Chłopoki i ja za mniej niż siedym razy tego, co mamy teraz, iść na wojnę nie zamierzamy.  
– W takim razie możecie od razu iść się pakować. – Wróciła na swoje miejsce.  
– Cinkie te negocjacje, że tak powiem, królowo. – Zarechotał. – My robotę znajdziem, jak nie po waszej stronie, to po drugiej, dla nas jeden kutas. Tylko pamintajta, że tak czy inaczej do skarbcza się dobierzem.  
– Nie strasz, kmiecie. – Zacisnęła dłonie na poręczach tronu. – Wynoście się stąd wszyscy! A jak przyjdziecie po rozum do głowy, to dostaniecie pięć razy tyle, ale ta oferta nie będzie na was czekać wiecznie.  
Najemnicy wyszli z sali tronowej, marudząc pod nosem na to, jak potraktowała ich królowa. Dopiero kiedy sługa zamknął drzwi za ostatnim z nich, Imma ciężko westchnęła.  
– I co my teraz zrobimy, Mytelu? – Spojrzała na niego.  
– Jeśli oni rzeczywiście wyjadą, to pozostanie nam zwołać pospolite ruszenie. Wezwać pod broń każdego, kto się nada – mówił bez przekonania.  
– Przecież w zasadzie już to zrobiliśmy... – Rozłożyła ręce. – Synowie kupców wstąpią do wojska. Biedacy nie będą mogli się sprzeciwić, ale co to za armia? Przecież ten obleśny grubas nawet nie zadbał o to, by kogokolwiek wyszkolić.  
– Wezwijmy ich na szkolenie, wszystkich...  
– A jeśli nie zdążymy? – Podniosła głos. – Erskin może wezwać nas pod broń w każdej chwili. A gdzie jeszcze sprzęt! Przecież pewnie nie ma tutaj nic, bo wszystko mieli najemnicy!  
– Jest taka możliwość. – Skrzywił się.  
– Czyli jesteśmy w czarnej rzyci... – Przetarła oczy palcami. – Zajmij się zakupem broni i pancerzy i roześlij listy z wezwaniem pod broń wszystkich zdolnych do utrzymania miecza. Zorganizuj jakieś podstawowe koszary. Liczmy na to, że nie będziemy musieli spieszyć się aż tak bardzo. Chodzi

mi po głowie jeszcze jedno rozwiązanie, które mogłoby uchronić honor kraju w sytuacji, w której się znajdujemy. On jest w stanie załatwić wszystko, i to błyskawicznie. – Chwyliła za dłoń skwaszonego Mytela. – A poza tym może przekonać zbirów, którzy bronią potrafią się posługiwać...

– Nie, nie, nie, nie i jeszcze raz nie – zaprotestował, wyszarpując dłoń. – Nie możemy polegać na tym przestępcy. Mieliśmy rządzić inaczej niż Kunglin, a to będzie dokładnie to samo. Zachowajmy sobie Kelera jako wyjście ostateczne, dobrze?

– Może i masz rację. – Westchnęła. – Najpierw spróbujmy zrobić to normalnie, bez przekrętów. Ale jak nie będzie się dało, to...

W rogu łóżka oparty plecami o ścianę siedział, trzymając się za kolana podkurczone pod brodę, pocztowy Ulev i Łkał. Noc już dawno zapadła nad Erskinem, ale jemu nie spanie było w głowie. Choć ptaki, którymi się opiekował, zajęły już miejsca w swoich klatkach i spały w najlepsze, Ulev ronił rzewne łzy nad śmiercią swojego ojca.

– Nie zdążyłem go nawet poznać... – Łkał. – A mógł mnie tyle nauczyć... A on... – Zaniósł się płaczem na kilka dobrych minut. Nagle poderwał się z łóżka i zaczął krążyć po swojej komnacie. Przechadzał się od otwartego okna do drzwi, rwąc włosy z głowy. – Jeszcze jakaś kobieta... – Ocierał łzy rękawem. – Zajęła mój tron... Kim ona jest, żeby zabierać moje miejsce?! Och, gdybym tylko miał listy, w których ojciec obiecywał mi tron, to mógłbym walczyć o koronę. Tak, ojciec na pewno chciałby, żebym to ja był królem, a nie ona, ta uzurpatorka...

Padł na kolana i uderzał pięściami w podłogę, znowu płacząc głośno. Ptaki zupełnie oszalały, kiedy zerwał się nagle i wybiegł z komnaty, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Zbiegł z wieży po schodach, jakby goniła go banda dzikusów. Pędem przemierzył korytarze prowadzące do sal sypialnych króla.

– Dokąd, łajzo?! – Zatrzymał go brutalnie gwardzista stróżujący przy wejściu do królewskiej sypialni.

– To pilne i... – Próbował przekonać żołnierza czerwony od płaczu.

– Jak takie pilne, to poczekaj do śniadania! Wynoś się stąd! – Gwardzista popchnął go na ścianę, z której spadł kilim.

– Co się stało, Ulevie? – zapytał spokojnym i życzliwym tonem Iskel.

– Muszę porozmawiać z królem, on robi źle, rozmawiając z uzurpatorką z Bernsternu...

– Masz jakiś ważny powód, by twierdzić, że ta kobieta nie jest prawowitą następczynią tronu? – Uczony uniósł brew.

– Tak, wiem o tym! – Ulev aż cały się trząsał.

– Posłuchaj mnie – starał się go uspokoić uczony. – Teraz wpuszczę cię do sali narad, w której król ma zwyczaj jadać śniadania. Tam na niego poczekaś do rana. Przez ten czas nie będziemy rozmawiali z tą kobietą, więc od razu z samego rana opowiesz królowi to, co wiesz. Dobrze? Chodź, wpuszczę cię tutaj. Usiądziesz przy stole i poczekaś.

Pocztowy poszedł za Iskelem, który gestem kazał strażnikowi zostać na miejscu. Zamknął drzwi do sali narad i wrócił do siebie. Tymczasem Ulev nerwowo stukał palcami w blat stołu, nie mogąc doczekać się poranka.

– Widzę, królu, że też nie należysz do śpiochów – powitał Kastila w korytarzu imperator Hex.

– Owszem, poza tym czekają na mnie obowiązki – próbował zbyć niechcianego gościa.

– Obowiązki przed śniadaniem? To podobno niezdrowe. – Zastawił drzwi swoim ciałem. – Liczyłem, że zjemy razem.

– Zapraszam. – Kastil wiedział, że nie może odmówić gościowi wspólnego śniadania.

– Widzę, że nie będziemy jeść sami. – Hex zdziwił się, wchodząc do sali narad.

– To jest właśnie ten obowiązek, który wolałbym wykonać sam. – Król próbował manewrować.

– Chętnie zobaczę, jak sobie radzisz, królu. – Hex zasiadł za stołem.

Ulev przez chwilę leżał jeszcze na stole w niewielkiej kałuży śliny, ale kiedy głosy obydwu mężczyzn dotarły do niego, zerwał się na równe nogi. Patrzył zdezorientowanym wzrokiem, ale po chwili wszystko sobie przypomniał. Nie mógł jednak wydusić z siebie słowa, widząc Hexa. Zbladł, wcisnął się w drzwi do biblioteki i z trudem łapał oddech.

– Ulevie, podobno miałeś mi coś ważnego do powiedzenia. – Kastil wskazał dłonią stojącego obok imperatora. – To jest nasz gość, nie musisz się go bać.

– Wasza miłość... – Jego głos drżał tak, że ledwo dało się go zrozumieć. – Ta kobieta... Ona nie powinna być królem... królową Bernsternu. Ona nie ma prawa, nie rozmawiaj z nią.

– Dobrze, Ulevie, a dlaczego tak uważasz?

Hex przyglądał się w ciszy z nieodgadnioną miną.

– Bo to ja jestem następcą tronu Bernsternu. – Ulev kiwał głową. – Król Kunglin pisał do mnie listy, mówiąc, że jestem jego synem i że chce mnie przygotować do objęcia władzy...

– Masz te listy? – Kastil wykorzystał chwilę, gdy łąpał oddech.

– Nie mam, wasza miłość, ale ten uczony Mytel może to potwierdzić, on tu był na koronacji i wtedy mi powiedział, że te listy są prawdziwe i... Miałem te listy. Miałem wszystkie, ale spaliłem je, kiedy wasza miłość wrócił z Akademii, wystraszyłem się, że wiecie już, że przekazywałem ojcu wszystko... każdą informację, tak jak prosił... to, co przychodziło i wychodziło... – Zamilkł nagle i z przerażonymi oczami zasłonił usta dłońmi.

– Nie mam zamiaru się wtrącać, ale twój urzędnik właśnie przyznał się do zdrady kraju – przerwał milczenie, jakie zapadło po ostatnim zdaniu, Hex.

– Straż! – krzyknął Kastil, a po chwili w drzwiach zjawił się gwardzista. – Zaprowadź Uleva do celi, jest podejrzany o zdradę.

– Zastanawiające. – Imperator zawiesił dłonie na połach kamizeli. – Facet właśnie przyznał się, że cię zdradził. Myślisz o tym, że to on przyczynił się do tego, że Pandey próbował zaatakować twój kraj, a jednak nie zabiłeś go na miejscu, tylko kazałeś zaprowadzić go do lochu. Kilku ludzi próbowało mnie zdradzić ostatnimi czasy i powiem ci, królu, że nic nie wpływa na potencjalnych zdrajców tak, jak przykładowe ukaranie tych, którzy już się tego dopuścili. To zupełnie okropny czyn, najgorszy z możliwych. Pandeya ukarałem wyjątkowo. Najpierw zniszczyłem całe miasto nazwane na jego cześć. Zburzyłem je, zabiłem wszystkich mieszkańców na jego oczach, potem zabiłem jego ojca, a na końcu kazałem nabić go na pal na środku pustyni, która została po tej pięknej oazie. Zapewniam cię, królu, że nikt, kto widział lub nawet słyszał o tym, jak to wygląda, nie pomyśli o próbie zdrady.

– Przepraszam bardzo, ale zupełnie straciłem apetyt – mówił nieobecny Kastil. – Śniadanie podadzą ci w komnacie. Ja muszę się zająć czymś innym...

– Uważaj, królu, bo potraktuję to jako nieuprzejmość – powiedział do oddalającego się w pośpiechu Kastila.

Iskel siedział przy stole zamyślony. Szukał w swoim umyśle rozwiązania, które mogłoby pomóc wyjść młodemu władcy z patowej sytuacji, w jakiej się znalazł. Tymczasem Kastil odchylił się na krześle i zaplótł dłonie za

głową. Siedzieli w jego sypialni, by jak najbardziej oddalić się od ciekawskich gości.

– Powiedz mi, Iskelu, czy to w ogóle możliwe, żeby ten pocztowy był synem Berna? – zapytał, patrząc w sufit.

– Mój królu. – Uczony zaśmiał się. – Z tego, co wiem, to Kunglin prowadził tak rozwiązłe życie, że każdy mieszkaniec Bernsternu może być jego potomkiem.

– A jak ten dzieciak znalazł się tutaj? – Kastil przestał się bujać i krzesło wylądowało z powrotem na czterech nogach. – Od kiedy tylko pamiętam, jest na zamku, ale nigdy nie wgłębiałem się w to, skąd się tutaj wziął.

– Pojawił się tutaj jako kilkulatek, po jednej z wojenek twojego ojca. – Iskel zmrużył oczy, przypominając sobie więcej szczegółów. – Książę Strik wtedy z kimś się pokłócił i skarbiec świecił pustkami. Tak, przypominam sobie, nie chciał mi za dużo o tym mówić, ale po przybyciu chłopca skarbiec znowu się napełnił. Próbowałem dowiedzieć się czegoś więcej, ale zbywał mnie, mówiąc, że to przysługa, a chłopak został sierotą po jakiejś bitwie i żał mu było go zostawiać. Kręcił straszliwie, ale nie udało mi się wydobyć z niego prawdy.

– Czyli jest szansa, że przywiózł go z Bernsternu razem ze skrzyniami złota... – Zawiesił na chwilę głos. – Tylko jaki interes miałby w tym Kunglin? Skoro ma tyle nieślubnych dzieci, to dlaczego akurat za zajęcie się tym zapłacił.

– Nie mam pewności, ale słyszałem, że on często umieszczał swoje bękarty na różnych dworach, w domach bogatych kupców... Oni traktowali to jako wyróżnienie, a on uważał za przysługę. Słyszałem też, że miał w planach potem wykorzystywać te dzieci w nagłych wypadkach...

– Tak jak było z Ulevem... – Kastil uderzył dłonią w stół. – Może i to wszystko prawda. Pamiętasz, jak na którejś lekcji opowiadałeś mi, że na Bernstern trzeba zawsze uważać, bo przez swoje małe terytorium, ale wielkie bogactwa mają jeszcze większe ambicje.

– Oczywiście, że pamiętam, mój królu. – Uczony popatrzył na grzbiety książek stojących na regale. – Kunglina bardzo mocno uwierało, że to Erskin jest uważany za centrum zachodniej kultury. Chciał to zmienić i być może zaangażował do tego Barbas. Teraz już się nie dowiemy, bo w Barbasie nie ma z kim rozmawiać, a i Kunglin pewnie żadnych dowodów nie zostawił.

– Został ten jego uczony, znasz go?

– Nie. – Iskel pokręcił głową. – Poza chwilą na koronacji nie miałem okazji z nim dłużej rozmawiać.

– Iskelu. – Król posmutniał. – Co ja mam zrobić z tym chłopakiem?

– Znalazłeś się w trudnym położeniu, mój królu. – Uczony załamał ręce.

– Gdyby nie obecność imperatora, to moglibyśmy go wygnać, zamknąć w celi, ale tak... Moim zdaniem pozostają ci dwa wyjścia. Możesz okazać słabość przed imperatorem i jego ludźmi i nie karać Uleva śmiercią albo obciążyć swoje sumienie i samemu wykonać wyrok.

– Obyczaj... – Westchnął ciężko. – Skoro ja skazuję na śmierć, to i ja mam wykonać wyrok... A czy za zdradę nie grożą inne kary? Przecież najpierw nakazuje się go torturować...

– Racja, ale wiem, jak ten przepis obejść. – Iskel uśmiechnął się blado. – Powiesz, że z racji tego, że mamy gości i stoimy przed obliczem wielkiego wyzwania, wyrok należy wykonać szybko.

– Co byś zrobił na moim miejscu? – Jego oczy szukały pomocy.

– Wiesz, mój królu, że nie mogę doradzać w ten sposób, ale... – Iskel pokiwał głową twierdząco.

– Tak myślałem. – Kastil przetarł twarz dłońmi. – Wydaje mi się, że on ma nade mną przewagę, że wie więcej, że tylko się bawi i nie mogę mu teraz dać powodu, by bawił się jeszcze lepiej, ale... Ten chłopak nie jest w pełni zdrowy na umyśle, nie wiedział, co robi...

– To dla Hexa nie ma żadnego znaczenia. – Uczony podniósł się. – Nadchodzą czasy, gdy będziemy musieli postępować wbrew sobie i swojemu sumieniu, by osiągnąć cel. Liczyłem, że to już nigdy nie nastąpi, ale los nie był łaskawy. Uważam, mój królu, że przed wykonaniem wyroku powinieneś przesłuchać Uleva. Być może powie coś, co okaże się ważne. Jeśli pokażesz mu sprzęty do przesłuchań, to wystarczy, by opowiedział wszystko, co wie. – Położył dłoń na jego ramieniu. – Wojna nie zawsze oznacza galop z mieczem w dłoni. W większości rozgrywa się właśnie w takich drobnych elementach.

Ulev siedział w kącie celi z podkurczonymi nogami i zastanawiał się przerażony nad tym, co działo się w celi naprzeciwko. Gwardziści znieśli do niej stoły, a potem donosili kolejne narzędzia. Brzęk stali przyprawiał go o ciarki. Nie mógł powstrzymać łez spływających mu z oczu. Nagle drzwi celi otworzyły się, a do środka wszedł król Kastil.

– Ulevie. – Przysiadł na pryczy wyciętej ze skały. – Czy rozumiesz, dlaczego zostałeś tutaj zamknięty?

– Tak, za zdradę. – Ulev pociągał nosem.

– Właśnie. – Kastil pokiwał głową. – Za zdradę przewidziano tortury, a potem karę śmierci. – Uspokoił go gestem. – Takie mamy przepisy i nie mogę ich zmienić, tym bardziej że przez twoje działania wybuchła wojna i zginęli ludzie, rozumiesz? – Ulev pokiwał głową. – Ten hałas, który słyszałeś, wywołali gwardziści przygotowujący pomieszczenie do tortur. Znieśli tam stół ze specjalnymi kajdanami, którymi byłbyś skuty, oraz narzędzia niezbędne do tego, by zadawać ci cierpienie. Jednak możemy tego uniknąć, wiesz?

– Jak? – Drżał.

– Wystarczy, że opowiesz mi, w jaki sposób zostałeś w to wszystko zamieszany. Kto kazał ci szpiegować? Jak się z nimi kontaktowałeś? Wszystko, co wiesz. – Kastil usiadł wygodniej.

Zupełnie błąd Kastil, wychodząc z celi po niemal godzinnej rozmowie, zwrócił się do strażników:

– Zabierzcie go na górę, tylko delikatnie.

Tradycyjnie egzekucje odbywały się na podwyższeniu przed wejściem do głównej sali zamku. Tam też Kastil się udał i choć kroczył z ciężkim sercem, wiedział, że nie ma wyboru. Ludzie tłumnie zgromadzili się na dziedzińcu mimo srogiego mrozu. Od wielu lat nie mieli okazji zobaczyć egzekucji zdrajcy. Spore zainteresowanie wzbudzali również przybysze z dalekich krajów, których mróz wydawał się nie dotyczyć. Wyglądali dziwnie i przerażająco, a to wzmagало ciekawość.

Hex i jego kapłanki stali na schodach tuż obok wejścia do bocznej wieży. Przyglądali się wszystkiemu bez szczególnego zainteresowania. Iskel, Theus Merik i Thondar stanęli pod dachem na podwyższeniu, ale nieco z boku. Kastil podszedł do barierki i zerknął jeszcze w stronę trzymanego przez strażników skazanego.

– Rodacy – zaczął poważnie – dopuszczono się zdrady, a co za tym idzie zgodnie z prawem i obyczajem winnego powinny czekać tortury i śmierć. Ze względu jednak na to, że gościmy na dworze delegację z Imperium Sag Bas, co wiąże się z rozmowami i negocjacjami, odstąpiłem od tortur. Dlatego dzisiaj sprawa sądu nad Ulevem Throdergadem zakończy się. – Gestem poprosił strażników, by przyprowadzili skazanego bliżej.

Nie stawiał oporu, nie próbował się szarpać, a Kastil zauważył, że nawet już nie płakał. Grzecznie uklęknął we wskazanym miejscu i schylił głowę.



– Ulevie Throdergadzie – król ciągnął dalej – zostałeś oskarżony o zdradę, przyznałeś się do winy, a inne dowody nie wskazują, byś nie popełnił tej zbrodni. Zostajesz więc skazany na karę śmierci przez ścięcie. Wyrok wykonam osobiście.

Wyciągnął swój długi lśniący miecz z pochwy i wzniosł go ponad głowę. Czuł, że tym razem broń waży kilka razy więcej niż zwykle. Ciężko mu się oddychało, a mroźne powietrze powodowało ból, wpadając do płuc. Wiedział, że nie może się zawahać, a cięcie musi być precyzyjne i mocne, by głowa od razu odpadła od reszty ciała. Czuł, że oczy zaczynają mu się szklić, zamknął je więc i upuścił broń z pełną siłą. Słyszał, jak zgromadzeni widzowie wstrzymują oddech, a potem wiwatują. Nigdy nie rozumiał tego, jak można wiwatować na widok czyjejś śmierci, choćby był to przestępca. Otworzył oczy i zobaczył ciało leżące obok niego w kałuży parującej krwi. Głowa potoczyła się kilka łokci dalej. Oddał miecz Thondarowi i zniknął za zamkowymi wrotami.

## Rozdział XLIV

Kilka beczek ustawionych przed wejściem dla służby okazało się idealnym miejscem na rozmowy w prywatnej atmosferze. Śnieg prószył delikatnie, podkreślając zimową aurę. Mieszkańcy Erskinu chodzili ubrani w grube futra, rękawice, ocieplane buty i wysokie czapy. Tym bardziej byli wrogo nastawieni do przybyszów, którym mróz wydawał się zupełnie nie przeszkadzać. Hex ani jego kapłanki nie zmienili tradycyjnych ubrań. Nawet Rollo, która spodziewała się, że będzie straszliwie marzła w tym stroju, pozytywnie się zaskoczyła. Czuła palące od wewnątrz ciepło, które nie pozwalało przebić się mroźnej temperaturze. Imperator zebrał tutaj wszystkie swoje kapłanki, by w spokoju porozmawiać.

– Jutro nasz młody król da odpowiedź – zaczął. – Jednak znam ją, od kiedy go pierwszy raz zobaczyłem.

– Taki hardy jest? – Ahga zaśmiała się.

– Nie, nic z tych rzeczy. – Hex pokręcił głową. – On jest bardzo inteligentnym człowiekiem i dokładnie przeanalizował sytuację, w jakiej się znalazł.

– I nie chce się zgodzić na nasze warunki? – zdziwiła się Iv. – Chyba przeceniasz jego intelekt.

– To wy go nie doceniacie. – Spojrzał na kapłanki. – Ten człowiek dokładnie ważył konsekwencje swojej decyzji. Wiedział, że jego poddani w ogromnej większości są bardzo przywiązani do tradycji i kultury. Religii również. Wiedział, że zgadzając się na przyjęcie Sag Bas, skarże ich na śmierć. Przewidział to, że oni nie będą chcieli po prostu porzucić wszystkiego, co znają, i przejść na naszą stronę. Doskonale zna charakter swoich ludzi. Wybierając wojnę, daje im i sobie szansę na zachowanie dotychczasowego życia. Wie, że mając choć cień szansy, jego ludzie będą chcieli wybrać walkę.

– To po co tutaj jeszcze siedzimy? – Ahga zeskoczyła z beczki. – Wracajmy do obozu i zaczynamy szturm!

– Zaczekajmy, aż powie nam o swojej decyzji oficjalnie – wtrąciła się Juvi. – Jeden dzień nie robi różnicy.

– Poczekamy, to oczywiste, ale co do tego, że jeden dzień nie robi różnicy, to się mylisz, kapłanko. – Dłonie imperatora zawisły na połach kamizelki. – Nir melduje mi codziennie rano, że po każdej nocy nie budzi się kilkudziesięciu naszych. Zamarzają we śnie.

– To jaki masz w takim razie plan? – zapytała Juvi.

– Rozłożymy nasze siły na trzy i zaatakujemy od północy, południa i na środku granicy. Nir poprowadzi jedną część, Minu weźmie drugą, a my wjedziemy na czele trzeciej. Rozproszenie zmusi ich do podzielenia swoich sił. Zresztą to, co tutaj widzimy, nie prezentuje się imponująco, ale to też sztuczka.

– Jak to? – wtrąciła się Mossa.

– Kastil ukrył przed nami najważniejsze oddziały. – Wskazał dłonią ponad ich głowami. – Są tam, w koszarach poza miastem. W dodatku sami jeszcze nie wiedzą, jaką siłą dysponują. Przeorganizowanie wojsk i rozesłanie ich w trzy punkty ataku może zająć im dużo więcej czasu. Dlatego uważam, że przyjdzie nam walczyć głęboko wewnątrz Erskinu.

– Też tak uważam – odezwała się Ahga. – Nie zdołają zorganizować obrony tak szybko, by powstrzymać nas na granicach.

– A to zadziała na naszą korzyść, bo tutaj noce nie są aż tak zimne jak na pustyni – dodała Tia.

– Musicie... Znaczący musimy wziąć pod uwagę to, że na granicy są posterunki, a i mieszkańcy wsi i miast po drodze będą chcieli stawić opór – niespodziewanie odezwała się Rollo.

– Tym drugim bym się nie przejmował – uspokoił ją Hex. – Kiedy pokonamy posterunki graniczne i opróżnimy ich twierdze, przetoczymy się przez tereny Erskinu niczym powiew wiatru. Powiem więcej. My po drodze powiększymy nasze oddziały. Ci, którzy przeżyją atak, dostaną możliwość pójścia dalej jako niosący Sag Bas. Jednak im wyboru zostawić nie będę mógł. Zmuszę ich, by obrócili ostrza przeciwko swojemu królowi.

– Nie wiem, czy to możliwe... – Rollo uśmiechnęła się, niedowierzając. – Oni są oddani temu rodowi... Nawet nie widząc nigdy na oczy żadnego z władców, są gotowi...

– Zapomniałaś, kapłanko, że Sag Bas obdarzyło mnie umiejętnościami, przeciwko którym nie można się przeciwstawić. – Lewy kącik ust uniósł się niemal niezauważalnie. – Spójrz.

Hex skierował wzrok w stronę jednego ze służących, który rąbał drewno w oddali. Po chwili tamten wziął siekiere w dłonie i zamiast w pień wbił ją sobie w kolano. Nawet nie krzyknął, ale zupełnie spokojnie wyjął narzędzie z nogi i kontynuował pracę.

– Masz wątpliwości? – Spojrzał na nią i dopiero w tym momencie mężczyzna padł na zaśnieżony dziedziniec i zaczął wyć z bólu.

– Nie... – Zbladła.

– Zatem udajmy się na obiad, by poznać ostateczną wolę naszego gospodarza. – Hex wstał i nie czekając na kobiety, skierował się do głównej sali.

Na twarzach kapłanek wymalowało się wielkie zaskoczenie, kiedy przekroczyły próg wielkiej sali. Komnata była oświetlona tak, jakby w jej środku świeciło słońce. Wszystkie uchwyty zostały zapełnione pochodniami, a na wysokich kandelabrach płonęły świece. Na samym środku rozstawiono długi stół nakryty bielutkim obrusem i zastawiony najlepszą, złotą zastawą. Na stole stały też wazy, z których unosiła się aromatyczna para. Miejsca na szczycie stołu zostały już zajęte przez Kastila, jego uczonego i dowódcę gwardii. Pozostałe były wolne.

– Zapraszam, czekaliśmy na was – zawołał pewnie król. – Siadajcie i częstujcie się zupą. Nie wiem, czy w waszych stronach zupy są popularne, ale podobno podróże kształcą również kulinarnie.

– Dziękujemy. – Hex skłonił się delikatnie. – Chętnie spróbujemy waszych specjałów. Z jakiej okazji ten obiad?

– To pożegnalna uczta. – Uśmiech nie schodził z twarzy młodego władcy. – W końcu dziś mijają trzy dni od waszego przybycia. Założyłem, że imperator dotrzyma słowa.

– Ach, to naprawdę bardzo miłe. – Zajęli miejsca. – Właśnie przyszliśmy tutaj po to, by poznać twoje ostateczne zdanie.

– Poznacie, taki jest zamysł tego obiadu, ale najpierw zjedzmy. – Kastil wskazał wazy. – Tutaj jest zupa zwana krupnikiem, na którą składa się wywar z kurcząt i warzyw oraz kasza. W tamtej wazie jest zupa kminkowa, a tam dalej zupa rybna z winem.

– Chyba nic nie kombinują? – pomyślała Juvi, licząc, że Hex wyłapie jej myśl.

– Nie, to zwykły obiad – odparł po chwili.

– Smakuje? – zapytał Kastil, odsuwając od siebie pusty już talerz.

– Bardzo smaczne, musisz koniecznie zdradzić przepis – odparł najbardziej kurtuazyjnie, jak się tylko dało.

– Zaraz będziecie mieli okazję skosztować kolejnych dań. – Kastil uśmiechnął się i gestem dał znać Thondarowi stojącemu niedaleko, by podano kolejne dania.

Służący kuchenni raz-dwa posprząтали głębokie talerze i wazy z resztkami zupy, a po chwili kolejni wnieśli półmiski z przystawkami. Na lśniących naczyniach znalazła się parująca i aromatyczna potrawka z kapusty kiszonej, grzybów i mięsa, paszteciki czy kulebiak z rybą.

– Szczególnie polecam tę potrawę z kapusty. – Iskel wskazał palcem. – Jest to ogromne zaskoczenie dla każdego obcokrajowca.

– Na pewno spróbuję. – Hex podziękował ukłonem.

– Tradycją jest, by w czasie zimnych dni do obiadu popijać coś mocniejszego. – Kastil przegryzał pasztecik. – Ośmieliłem się podać alkohole również dzisiaj. Nalewka jarzębinowa, nalewka miodowa, a także wino z owoców leśnych.

– Skosztujemy, królu, ale muszę rozwiązać twoje wątpliwości i zapewnić, że nie padniemy tutaj ani z przejedzenia, ani z przepicia – odparł.

– Wielu tak mówiło przed ucztą w Erskynie. – Iskel zachichotał.

– Nie taki jest nasz zamiar – dodał Kastil. – Poza tym to tylko obiad. Gdybyśmy rzeczywiście chcieli was upić, to zaczęlibyśmy od śniadania, a skończyli na śniadaniu jutro, jak to zazwyczaj u nas bywa.

Kilka chwil później na stole pojawiły się dania główne. Obok różnych rodzajów kasz i klusek podano kotlety z dzika pieczone w piecu z szarym sosem, pieczoną nad ogniem baraninę, przepiórki i perliczki nadziewane podrobami i suszonymi owocami, a także sztukę wieprzowego mięsa z obłędną ilością chrzanu, idealną na zimowe dni. Były też ryby, a wśród nich głównie karpie, które królowały na stołach zimą.

– To kiedy dowiemy się, jakie jest twoje stanowisko, królu? – Hex nałożył sobie kolejną porcję dziczyzny. – Obiad już się prawie kończy.

– Spokojnie, jeszcze deser, imperatorze – odparł z błyskiem pewności w oku. – I do słodkiego deseru dołożę naszą odpowiedź. Tymczasem do mięsa proponuję już mniej słodkie trunki. Gorzałka, choć w niektórych kręgach uważana za pospolitą, idealnie zgrywa się z pikantnymi i dobrze doprawionymi mięsami.

– Co on taki pewny siebie? – Do Hexa dotarły myśli Iv.

– To tylko poza – odpowiedział wszystkim. – W środku aż się trzęsie z nerwów. Nie jest pewny, czy robi dobrze, ale wie, że nie ma wyjścia.

– Jakby się nie odwrócić, to rzyć zawsze z tyłu. – Pomyślała jeszcze i wróciła do jedzenia.

– W takim razie nie mogę się już doczekać deseru. – Hex podniósł w górę puchar. – Chciałbym wznieść toast za to, by wasza decyzja była podjęta z pełnym przekonaniem.

– Za to się napiję! – odezwał się Merik, który wyglądał tak, jakby pił nie tylko za to i to od dłuższego czasu.

Po kilku toastach służący wynieśli główne dania, a w ich miejsce pojawiły się deserowe słodkości. W stożki ułożono kawałki piernika, który też uwielbiano, zwłaszcza zimą. Obok niego postawiono baby posypane kandyzowanymi owocami i polane lukrem. Podano także marynowane w miodzie gruszki oraz konfitury ze śliwek i marchwi, a do nich razowy chleb z bakaliami.

– Chcielibyśmy jeszcze dziś wyjechać, więc gdybyś był łaskaw nie przeciągać tej decyzji w nieskończoność... – Hex wrzucił w siebie gruszkę. – Choć muszę przyznać, że umiesz uprzyjemnić oczekiwanie.

– Kultura i tradycja Erskinu wymaga tego, by gości podejmować najlepiej, jak się da. – Kastil podniósł się i spoważniał. – Nawet jeśli są nieproszeni. Dobrze, imperatorze, nie będę przedłużał. Przemyślałem dokładnie waszą propozycję. Zagłębiłem się w to, o czym mówiłeś ty i twoje kapłanki. Przeanalizowałem wszelkie za i przeciw. Skonsultowałem się ze wszystkimi zaufanymi ludźmi w moim otoczeniu i podjąłem jedyną możliwą decyzję. Tak jak mówiłem, dla Erskinu nasza kultura i tradycja jest święta, religia także. Dlatego nie możemy przyjąć waszych propozycji. Honor i oddanie ojczyźnie nie pozwala żadnemu z nas po prostu się poddać, nawet jeśli w perspektywie jest wojna, jakiej jeszcze świat nie widział.

– Rozumiem. – Hex również się podniósł po chwili zupełnej ciszy. – Szanujemy twoją decyzję, królu. Chciałem tego uniknąć, ale widać, że tak już musi być. Dziękujemy za pożegnalną ucztę, ale będziemy się zbierać w podróż do naszego obozowiska. Możesz mieć jednak pewność, że spotkamy się dużo szybciej, niż myślisz. – Minął stół, nie zerkając nawet na pozostających przy nim mężczyzn.

Kapłanki w pośpiechu dojadły to, co miały na talerzach, i dopiły resztki napojów z kielichów, a później niemal biegiem dołączyły do swojego

władcy.

Król Kastil upierał się, by wysłać razem z Hexem i jego świtą drużynę gwardzistów, mającą odprowadzić ich do samej granicy Erskinu. Tłumaczył im, że taki jest obowiązek gospodarza, że musi odprowadzić posłów, których gościł u siebie, ale imperator nie chciał o tym słyszeć. Nawet argumenty o tym, że mogą być w niebezpieczeństwie, nie zmieniły ich zdania. Twierdzili, że nie boją się żadnego zagrożenia, a cały poczet tylko wstrzymywałby ich podróż powrotną.

Wyjechali zaraz po obiedzie, nie przejmując się także tym, że zimą zmrok zapadał wyjątkowo szybko. Straszliwy mróz ścisnął tego wieczora Erskin, ale to zwiastowało bezchmurne niebo nocą. Para wydobywała się z końskich chrap i z ust jeźdźców. Mknęli jednak rozgrzewani przez Sag Bas, niezwykle skupiony Hex nie brał udziału w rozmowach kapłanek. Był zajęty wydawaniem rozkazów swoim generałom. W tym czasie jadące z przodu kapłanki zaaferowane były rozmową.

– Co mu powiedziałaś? – dopytywała Mossa.

– Nic takiego, po prostu chciałam się z nim pożegnać. – Próbowała się bronić Rollo.

– Nie wyglądało to na zwykłe pożegnanie! – Zachichotała.

– Oj... – Dziewczyna uciekała wzrokiem. – Chciałam go jeszcze przekonać, żeby zmienił zdanie i się do nas przyłączył. Próbowałam mu tłumaczyć, że z tą liczebnością armii to prawda, że nie ma szansy, by z nami wygrał, ale nie chciał słuchać.

– Źle na tym wyjdzie – dorzuciła Ahga. – Zginie razem ze swoim ludem, broniąc wymysłów.

– Przede wszystkim szkoda wyznawców – niespodziewanie odezwała się Tia. – Zginie wielu naszych i wielu nowych.

– To prawda. – Dobiegł głos zbliżającego się do nich Hexa. – Zginie wielu ludzi, ale Sag Bas jest gotowa na takie poświęcenie. Zapewniam was, że ich ofiara nie pójdzie na marne. Stanie się podbudową lepszego świata, za co kolejne pokolenia będą wielbić ich jak bohaterów.

– A co, jeśli przegramy? – zapytała przewrotnie Iv.

– Wtedy przyszłe pokolenia będą chwalić poległych po tamtej stronie jako obrońców jedyne go słusznego porządku. – Spojrzał na nią. – Kapłanko, historię piszą zwycięzcy. Czytając stare księgi, dowiadujesz się z nich o tym, co miało miejsce z perspektywy kogoś, kto to przeżył. A jest dużo większa szansa, że przeżył to ktoś, kto był po stronie wygranych. To

wszystko jest bardzo proste. Dla ludzi mieszkających w Erskinie to my jesteście tymi złymi najeźdźcami, którzy chcą ich zabić, okraść, zgwałcić, a po tym wszystkim jeszcze niedobitkom kazać zmieniać religię. Poznałem myśli młodego króla dość dokładnie i jestem przekonany, że uprzedził wszystkich rajców, by rozpowiadali po miastach i wsiach jak najgorsze rzeczy o naszej armii.

– Dlaczego? – zapytała Mossa zaciekawiona opowieścią.

– Dlatego że kiedy mieszkańcy tych miast i wiosek zobaczą zbliżającą się ku nim armię, strach zapanuje w ich umysłach – ciągnął dalej. – Ludzie w strachu przestają myśleć, a działają instynktownie, jak dzikie zwierzęta zagonione przez sforę myśliwskich psów. Kastil jest młody, ale nie jest głupi. Wie, że w takiej sytuacji nawet zwykły wieśniak z sierpem w dłoni będzie w stanie zabrać ze sobą do grobu kilku napastników, że w takiej sytuacji nikt nie ośmieli się przejść na naszą stronę. Ludzie, którym zaszczepili strach przed nami, nie uwierzą nawet w jedno nasze słowo. Przewidział to, że możemy chcieć przekonywać ludność wiodącą życie z dala od stolicy i nie do końca zainteresowaną tym, kto rządzi i jakie ma obyczaje. Wiem, że w Erskinie nawet parchaty wieśniak szanuje swojego króla i swoje tradycje, ale nikt nie ma pewności, że obietnica poprawy życia nie złamałaby w nim tej honorowej postawy.

– To co my teraz zrobimy? – Rozłożyła ręce Tia. – Zamordujemy ich wszystkich?

– Nie będzie takiej potrzeby, kapłanko. – Zwrócił na nią lodowate spojrzenie. – Przed chwilą przekazałem rozkazy generałom i powiedziałem im, by żołnierze walczyli tylko z regularną armią, a jeśli się da, to zabijali tylko dowódców.

– Chcesz w trakcie bitew przejmować nad nimi kontrolę?! – Juvii zdziwiła się. – To przecież...

– Niewykonalne? – dokończył za nią. – A czy wykonalnym było przekazanie wiadomości całemu krajowi? A czy wykonalnym było kontrolowanie tego, co działo się w Pandeyu, będąc w drodze do Phedas? Sprawdzałem to przez ostatnie tygodnie, kapłanko, i wiem, że jestem w stanie być myślami w kilku miejscach jednocześnie, a tam mieszać w umysłach całych rzesz ludzi. Mówiłem już wiele razy, ale powtórzę znów, nie możecie wątpić w to, jaką drogę wybrała dla nas Sag Bas. Nie możecie wątpić we mnie...



Zostawił wstrząśnięte kapłanki nieco w tyle, a sam spiął konia i zakończył rozmowę. Im również nie w głowach było już rozpytywanie o rozmowę Rollo z Kastilem. Imperator ostatnimi zdaniami wystarczająco zamieszał w ich umysłach.

Droga powrotna zajęła im mniej czasu. Mroźne, choć bezchmurne noce ułatwiły im jazdę. Gdy z daleka mogli dostrzec obóz, pierwsze, co rzuciło im się w oczy, było to, że zmałał on zdecydowanie. Przez te kilka dni obwarowano go płotami z pali i wszystkiego, co choć trochę chroniło przed zimnym wiatrem. Łuna płonących ognisk była widoczna z wielu kilometrów, zdradzając lokalizację obozu każdemu, kto choć zbliżył się do niego na dzień drogi. Nir każdego poranka meldował o kolejnych zamarzeniach mimo grubych namiotów i wielkich ognisk.

– Dojedziemy tam przed zmrokiem? – zapytała Juvii.

– Dojedziemy – odparł beznamiętnie.

– I co wtedy zrobimy? – dopytywała.

– Z samego rana zwiniemy obóz i wyruszymy w dalszą drogę – dalej odpowiadał nieobecny.

– Chyba sobie żartujesz?! – oburzyła się. – Zaraz nam nogi odpadną od jeżdżenia na tym zwierzęciu. Nie dasz nam nawet dnia na odpoczynek?

– Nie mamy na to czasu. – Spojrzał na nią. – Każdy dzień zwłoki to zwiększenie szans naszych przeciwników. Po przejechaniu granicy zwiążemy ich walką. Kiedy dotrzemy do obozu, przedstawię wam dokładny plan na mapie. Dzięki podzieleniu armii stworzymy front, który z łatwością wedrze się na teren Erskinu. Problem zacznie się później. Doskonale wiemy, że Kastil ma sojuszników, którym też zależy na tym, byśmy polegli. Dlatego będziemy musieli uważać na skrzydła.

– No dobrze, ale w jaki sposób chcesz się przed tym bronić?

– Wszystkiego dowiedzie się w obozie, kiedy będę miał przed sobą mapę.

– Hex popędził nieco konia. – Tłumaczenie tego tutaj mija się z celem. Oddziały prowadzone przez generałów już niedługo znajdą się na dogodnych pozycjach i zaatakują, kiedy tylko ruszymy.

– Dlaczego oni mają atakować pierwsi? – W Ahdze odezwała się wojownicza natura.

– Żeby Kastil i jego sojusznicy musieli podzielić swoją armię na pół i wysłać ją w dwa krańce swojego kraju. Jeśli mój plan się powiedzie, to będziemy mieć ułatwioną drogę niemal do samego zamku w stolicy.

– Skończmy te gadki i przyspieszmy trochę, bo jestem bardzo ciekawa szczegółów. – Iv wysunęła się naprzód i nadała zdecydowanie szybsze tempo.

Słońce nie zdążyło do końca schować się za horyzontem, kiedy przejechali przez bramy obozu, a przywitały ich wiwaty. Żołnierze wychodzili na drogi i zbierali się coraz bliżej wejścia do najważniejszego namiotu. Hex zsiadł z konia i wszedł na skrzynie ustawione niedaleko. Wiwatujący tłum powoli cichł w oczekiwaniu na słowa swojego imperatora.

– Wyruszając z waszych rodzinnych domów na zachód, szliście w nieznane – zaczął mówić głośno, by nawet na końcu obozu było go słychać. – Ja i kapłanki również nie wiedzieliśmy, co może nas czekać po przekroczeniu każdej kolejnej granicy. Wiedzieliśmy jednak, że prowadzi nas Sag Bas, a skoro tak jest, to nie może tam być nic, z czym byśmy sobie nie poradzi. Wyruszyliśmy do Erskinu, by przekonać tamtejszego władcę do ustąpienia z tronu i dobrowolnego przyłączenia się do Sag Bas. Chcieliśmy uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi. Niestety ludzie po tamtej stronie nie chcą nawet słyszeć o tym, by wyrzec się swoich plugawych bożków. Król odmówił naszej propozycji i wzgardził Sag Bas. Dlatego naszym obowiązkiem stało się podbicie jego kraju siłą. – Okrzyki podniosły się na moment, ale Hex uciszył je gestem. – Właśnie dlatego podzieliłem naszą armię na trzy oddziały. Zaatakujemy w trzech miejscach, by dezorientowane wojska nie mogły wykorzystać swojej siły i znajomości terenu. Te dwa oddziały już jutro rano będą przechodzić przez granice i zaczną ataki na wsie i miasta. My nie będziemy czekać długo, bo też jutro o świcie wyruszymy w stronę Erskinu! – Ponownie musiał uciszyć wiwaty. – Z tego powodu już niedługo będziecie mieli okazję wykazać się w boju. Każdy niewierny, który padnie pod waszym ostrzem, to kolejny krok ku naszemu triumfowi. Jednak musicie zdawać sobie sprawę z tego, że po tamtej stronie żołnierze są nie mniej zmotywowani i będą za wszelką cenę chcieli was pozabijać. W czasie wojny śmierć jest nieunikniona, ale pamiętajcie i miejcie w umysłach to, że każdy poległy w imię Sag Bas będzie bohaterem przyszłych pokoleń. Dlatego nie bójcie się tego boju! Nie bójcie się wchodzić w tłum wrogów! Nie bójcie się wskakiwać w ogień! – Tłum szalał przez dłuższy czas, a Hex napawał się tym, trzymając dłonie na połach kamizeli. – Dowódcy przekażą wam szczegółowe rozkazy w trakcie marszu, ale chciałbym, byście wiązali się walką tylko z regularną armią

i starali się zabić jak najszybciej dowódców i chorążych. Resztę zostawcie w moich rękach. Teraz wyśpijcie się, bo przed nami długa droga, która będzie tylko pierwszym z kroków, a każdy kolejny może być trudniejszy.

Po skończonej mowie Hex pierwszy wszedł do namiotu. Rzucił w kąt swój topór i z wielkiego stołu na środku jednego z pomieszczeń namiotu zrzucił wszystko. Na podłogę wyłożoną grubymi dywanami poleciała srebrna zastawa, misa z owocami i bukłak z winem, na szczęście szczelnie zamknięty. Kiedy tylko zwolnił miejsce, rzucił na blat mapę zachodniej części świata.

– Chodźcie tutaj – zwrócił się do kapłanek. – Teraz wam pokażę i opowiem, na czym dokładnie polega plan ataku. Zaczniemy od oddziałów prowadzonych przez Minu. Spójrzcie tutaj. – Postukał palcem w południe mapy. – Tutaj macie góry zwane Muti Katak w moim języku, a znaczy to Nieprzebyte Góry. Zaraz za granicą zaczynają się wielkie lasy, które osłonią naszą armię od zimna pustyni. W tym miejscu jest twierdza Watrah. Stary zamek, w którym możemy spodziewać się sporego oddziału Erskińczyków. Kiedy zdobędziemy ten zamek, armia zacznie się przesuwać nieco w górę, na północ, kierując się do miasta Reimrah. Tam między miastem, jeziorem Fadloch i twierdzą Abrah muszą umocnić swoją pozycję, czekając na wojska sojuszników nadciągające z południa i z zachodu. Ich zadaniem będzie związanie ich walką i powstrzymanie najdłużej, jak się da.

– Nie pokonają ich? – Zwątpienie w głosie Ahgi wybrzmiało z wielką mocą.

– Nie wiem – odparł, podnosząc wzrok znad mapy. – Wiem tylko, że muszą wytrzymać do momentu, w którym nie zdobędziemy zamku w Erskinie. A mogę założyć, że władcy, nie widząc zagrożenia na własne oczy, nie wyślą od razu całej armii, więc trzeba się spodziewać, że posiłki mogą nadciągać cały czas.

– I co dalej? Co potem, jak już skończą z posiłkami? – Ahga nie dawała za wygraną.

– Część zostanie na pozycjach, a część dołączy do nas w Erskinie lub pójdzie dalej na zachód, w zależności od rozwoju sytuacji. – Przesunął palec na górę mapy. – Nir ze swoimi oddziałami kieruje się tutaj. Hofskin jest nad samym Morzem Północnym i nie jest do końca przystosowana na obronę od stronu lądu. Po jej zdobyciu będą dalej poruszać się na zachód w kierunku Kolmskinu i granicy z Bernsternem. Wtedy nadejdzie czas na

najtrudniejsze zadanie. Będą musieli utrzymać szlak na wschód również po to, żeby powstrzymać posiłki z zachodu i z północy.

– A co z nami? – spytała Iv.

– My idziemy na Skogskin. – Wbił palec w mapę. – Zdobędziemy twierdzę, która jest w trakcie odbudowy po bitwie z Barbasem. Jednak przez to jest obsadzona dużo większym oddziałem niż wcześniej. Kiedy zdobędziemy tę twierdzę, to pozostanie nam prosta droga na Erskin. Pójdziemy pędem pod zamek. Tam rozstrzygnie się wszystko.

## Rozdział XLV

Mroźny zimowy wiatr łopotał połamami jego grubego czarnego płaszcza. Wyszedł na dach jednej z wież, by w spokoju przemyśleć to, co stało się w trakcie wizyty imperatora. Wyrzucał sobie, że pojawienie się Rollo sprawiło, że pogubił się zupełnie i zaniedbał swoje obowiązki. Oparł się o blanki i ciężko oddychał.

– O co jej chodziło z tym bursztynem... – Westchnął. – O czym ona w ogóle mówiła... Czy mogę jej ufać?

– Mój królu! – Usłyszał zdyszany głos za swoimi plecami. – Wiedziałem, że cię tu znajdę... ale za stary już jestem, żeby tutaj włązić. Uch, jak tu wieje...

– Coś się stało, Iskelu? – Kastil odwrócił się do niego, mrużąc oczy.

– Stało się – potwierdził. – Przyszedłem z ważnymi meldunkami.

– Zaczęło się? – Musiał przytrzymać się muru.

– Nie, przynajmniej jeszcze nic o tym nie wiem, ale meldunki dotyczą wojny. – Wyciągnął zwój z zakamarków swojej szaty. – Pamiętasz, mój królu, jak po przyjeździe imperatora kazałeś nam zająć się kilkoma sprawami?

– Niezupełnie. – Zmarszczył brwi. – Nie przypominam sobie, żeby...

– No tak, miałeś wtedy w głowie zupełnie co innego. – Iskel uśmiechnął się smutno. – W każdym razie wysłaliśmy zwiadowców w kierunku granicy z Barbasem od razu pierwszej nocy. Dojechali w okolice obozu i stamtąd przysłali meldunki. Armia, którą znaleźli na miejscu, nie była tak wielka, jak mówił imperator, ale na zmrożonym piasku dostrzegli ślady, które mogą wskazywać na to, że armia rozjechała się w dwie różne strony. Na północ i na południe...

– To trzeba tam przesunąć nasze wojsko! Wzmocnić straże w twierdzach! – krzyknął.

– Już to zrobiliśmy – odparł spokojnie. – Theus Merik wydał odpowiednie rozkazy.

– Co jeszcze zrobiliście? – Spojrzał podejrzliwie.

– Zejdźmy z tego zimna, mój królu, to opowiem ci dokładnie, co robiliśmy przez ostatnie dni. – Wskazał zejście z dachu wieży.

– Może i masz rację. – Kastil skierował się ku schodom. – Lepiej porozmawiać przy kuflu grzanego piwa miodowego.

– Wreszcie mówisz z sensem, mój królu. – Uczony zaśmiał się i podszedł do mapy. – Mam tutaj gdzieś odpowiedzi od wszystkich władców z informacjami o stanie przygotowań...

Wyciągał kolejno z kieszeni przeróżne zwitki papieru i rzucał je na stół. Kastil przyglądał się temu, zarzucając sobie w myślach, że to uczony zajmował się tym wszystkim, gdy on biegał za dziewczyną. Wreszcie Iskel wyjął z rękawa ostatni zwój zabezpieczony rzemieniem z bursztynowym herbem Bernsternu.

– Zaczniemy od Utvinu. – Wskazał obszar na mapie i sięgnął po jeden z listów. – Jak to zwykle z nimi bywa, musiałem wymienić kilka ptaków, zanim uwierzyli w zagrożenie. Listy podpisywał Ulf, ale wiadomo, że to Rada podejmowała decyzje. Zebrali dwa tysiące górskich piechurów, tyle samo łuczników, tysiąc toporników i trzy tysiące ochotników z głębi kraju.

– Och, jak hojnie z ich strony – zakpił Kastil. – Idą tajną ścieżką przez góry?

– Część tak. – Iskel wskazał na mapę. – Jednak ci z najdalszej części przechodzą przez Bernstern szlakiem handlowym. Rozkazałem im zająć okolice miasta Kolmskin i w razie czego zabezpieczyć tereny między Kolmskinem i Erskinem.

– Dobrze. To póki co mamy osiem tysięcy, co dalej? Werdgwald? – zapytał z nadzieją.

– Zgodnie z traktatami pomogą nam, ale nie ma co liczyć na ogromne wsparcie. – Rozłożył ręce. – Po ostatniej wojnie nie wrócili jeszcze do siebie... Zostało im półtora tysiąca ciężkozbrojnych rycerzy i z tego, co mi wiadomo, wyślą do nas wszystkich. – Przesuwał dłonią po mapie. – Można doliczyć drugie tyle giermków, czeladników i paziów, jakąś wartość w bitwie mogą mieć. Król Peneth ponadto zapewnił, że udało mu się zebrać ponad siedem tysięcy ochotników.

– Oni na pewno wiedzą, jak wielkie to zagrożenie? – Kastil pokręcił głową. – Tam jest sto tysięcy wściekłych dzikich, a on mówi o siedmiu tysiącach.

– Wiedzą, ale znasz ich, mój królu – odparł smutno. – Zebraliby więcej, ale boją się zostawić kraj zupełnie bez obrony, na wypadek gdyby sąsiad postanowił wykorzystać okazję. Kazałem im ulokować się między jeziorem Coiloch a miastem Reimrah. Są tam wzgórza, które pozwolą wcześniej dostrzec zagrożenie wychodzące z puszczy.

– Słusznie... – Westchnął. – Tasarik?

– Książę Tidur wezwał ojca, by wysłał wszystko, co się da... – Uczony uśmiechnął się, choć w jego oczach nie było radości. – Łącznie z drużyną, która gości tutaj z księciem, ród Dealinów wspomógł nas dwoma tysiącami ciężkiej jazdy. Król Lakur zwołał wszystkich i oddziały ludowe stawią się w liczbie dziewięciu tysięcy. Niecały tysiąc rycerzy z Kvilinu również nas wspomóżę. Oddziały Dealinów wesprą Werdgwaldczyków, a reszta zajmie tereny między jeziorem Fadloch i Erskinem. Na koniec został Bernstern...

– Nie mam do nich za świński włos zaufania – mruknął. – Jednak najemnicy mogą się przydać.

– Nie ma najemników... – Rozwinął zwój i podał go królowi. – Piszą, że po śmierci Kunglina chcieli ich oszukać i wydębić dużo więcej. Pozbyli się ich.

– Wierzysz im? – Czytał po cichu.

– Nie mamy wyjścia, poza tym potwierdziłem to u jednego znajomego. Statki odpływały całe dni...

– Przyślą tylko pięć tysięcy piechoty!?! – Kastil zgniótł list. – Sucze syny...

– Na to wygląda. – Iskel postukał palcem w mapę. – Kazałem im kierować się tutaj, by pomóc tym z Utvinu.

– To nie ma znaczenia... – Władca klapnął ciężko na fotel. – A co z naszymi oddziałami?

– To wygląda lepiej. W samym Erskinie jest pięć tysięcy doborowej jazdy. Do tego dochodzi tysiąc gwardzistów. Wraz z ich przybocznymi możemy zatem wystawić jakieś dwanaście tysięcy konnych. Idąc z północy na południe, Hofskin ma trzy tysiące ciężkiej piechoty. Kolmskin dysponuje tysiącem piechoty i czterema poborowych, Noreskin to dodatkowy tysiąc górskich łuczników i pięciuset kuszników. Andskin ma straż akademicką, która stanowi całkiem dobrą jednostkę. Tych strażników jest tysiąc pięćset. Abrah to kolejny tysiąc jazdy i trzy piechoty. Z Reimrahu zgłoszono, że gotowa do walki jest drużyna ochotników w liczbie prawie czterech tysięcy. W Duthbeinie stacjonowało trzy tysiące łuczników, tysiąc jeźdźców

i tysiąc pikinierów. W Colbeinie mieliśmy prawie trzy tysiące jazdy. W Myrbeinie i Lubeinie razem dwa tysiące toporników i tysiąc kuszników. Watrah i Skogskin to twierdze obsadzone naprawdę dobrymi żołnierzami. Jest ich tam łącznie prawie siedem tysięcy.

– To razem będzie... – Kastil zamyślił się na moment, licząc w pamięci.

– Prawie osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy – powiedzieli niemal jednocześnie, po czym rozgorączkowany uczony ciągnął dalej. – Poza tym walczymy na swoim terenie, mamy lepsze wyposażenie i w większości lepiej wyszkoloną armię. Nie raz i nie dwa byliśmy świadkami tego, jak mniejsze oddziały rozbijały przeciwników z przewagą liczebną. Nasi żołnierze zostali dołączeni do pozostałych na tej linii. – Iskel przejechał palcem przez środek kraju. – Tutaj możemy się bronić z powodzeniem. Oddziały są dość blisko siebie, więc jeśli zaczniesz się atak, to będziemy mogli je w miarę szybko przemieścić. Działania koordynują nasi najlepsi dowódcy i...

– A co, jeśli to prawda i on potrafi czytać w myślach? – Spojrzał na Iskela zgaszony. – A jeśli on dokładnie zna nasz plan i szykuje teraz coś, żeby nas przechytrzyć? Nic z tym nie zrobimy przecież... Chwilę przed odjazdem wzięła mnie na bok. Powiedziała, że to prawda i że źle zrobiłem, ale jest szansa jeszcze, tylko muszę mieć przy sobie bursztyn... Mówiła, że nie wie wszystkiego, ale słyszała, że to może mi pomóc... Nie mam pojęcia, czy w ogóle mogę jej ufać, czy to ma jakiś sens... Iskelu, to mnie przerasta. – W oczach władcy błysnęły łzy.

– Mój królu. – Uczony podszedł do niego. – Żyję na tym świecie dłużej niż ty i również nie spotkałem się z tak trudną sytuacją. Ciężko mi doradzać, a co dopiero tobie podejmować decyzje, ale nie mamy wyjścia. Musimy to dźwignąć na swoich barkach ze wszystkimi konsekwencjami. Nawet jeśli czyta w myślach, to ty nie miałeś żadnej wiedzy na temat tego planu, a ja miałem to cały czas przy sobie. – Podrzucił do góry rzemyk, którym związany był list z Bernsternu. Jeśli zatem w jednym lub w drugim Rollo miała rację, to nasza szansa nie przepadła. Nie wiem, czy możemy jej zaufać, czy nie, ale wiem, że bursztyn nie waży za wiele, więc napiszę do Bernsternu, by przysłali wozy pełne malutkich bursztynów. Rozdamy je żołnierzom, zaczynając od tych, którzy mogą mieć w myślach coś poza strachem i wykonywaniem rozkazów.

– Masz rację, to nie zaszkodzi... – Zawiesił głos. – Chyba że ten kamień mu pomaga...



– Wiem, że zawsze kazałem ci rozważać wszystkie możliwości, ale jesteśmy w takim miejscu historii, że nie ma na to czasu i sposobności. – Postukał w mapę. – Całą moc swego rozumu musisz włożyć w to! W zarządzanie wojną, a nie rozmyślanie o kamieniach. Jeśli ma dar czytania w myślach, to czy ten kamień pod pancerzem będziemy mieć, czy nie, nie będzie to robiło różnicy. Natomiast różnicę zrobi to, czy zaprzątniesz sobie głowę drobnostkami.

– Masz rację, jak zwykle... – Kastil podniósł się.

– Przygotowałem wszystkie najlepsze ptaki, by zapewnić łączność z oddziałami na całej linii – wymieniał dalej. – Zaopatrzenie w żywność, drewno na opał i wszystko, co potrzebne, zleciłem mojemu bratu. On tym zarządza z Akademii, więc nie musimy się o to martwić. Pozostaje tylko czekać na ruch ze strony imperatora i doświadczenie mi podpowiada, że nie będzie trzeba długo czekać. Każdy woli walczyć w zalesionym i pagórkowatym terenie, niż siedzieć w obozie na środku pustyni, zwłaszcza zimą.

– Też tak uważam... – Król spojrział na mapę. – A co z miastami i wsiami między linią naszej obrony a granicą?

– Wysłałem listy do rajców i zarządców, by zarządzili ewakuację, ale czy to coś da...

– Nie będą chcieli zostawić dobytku i zginą. – Westchnął. – Niestety siłą ich stamtąd nie zabierzemy.

– Słyszałem, że niewielkie grupy już przechodzą za nasze obozy, więc nadzieja jest. – Iskel uśmiechnął się.

W ciągu kolejnych kilku dni napięcie dosłownie unosiło się w powietrzu. Kastil wzdrygał się na każdy głośniejszy dźwięk. Każdy meldunek, który dostawał, wywoływał u niego skurcze żołądka. Do tej pory jednak do Erskinu spływały jedynie dobre wiadomości. W obozach panowała bojowa atmosfera, a mróz nieco zelżał, przez co nie było kłopotów z odmrożeniami. Iskel zadbał o to, żeby w każdym obozie było co najmniej dwóch uczonych na wypadek konieczności zajęcia się rannymi. Zmobilizowano też felczerów, a nawet znachorów, by ich wspomagali w pracy.

Kastil kazał też wyznaczyć kilku najlepiej wykształconych żołnierzy, by odpowiadali za łączność z zamkiem i przekazywali pocztowym meldunki jak najszybciej. Władcy, poza uzbrojeniem i wyżywieniem oddziałów, mieli zapewnić też pocztowego wraz z najlepszymi ptakami. Na wszelki wypadek

Kastil rozkazał też, by zamki w okolicach linii obrony były przygotowane na wycofanie się do nich wojsk i długie oblężenie. Dlatego z miast i wsi przenoszono za mury wszystkie zapasy zgromadzone przed zimą. Cały czas trwał też przerzucanie ludności w głąb kraju.

Król siedział przy stole i przeglądał meldunki, oświetlając je płomieniem świecy. Cienie pod oczami wskazywały, jak bardzo jest zmęczony. Drzwi otworzyły się z delikatnym skrzypnięciem i do komnaty wszedł Iskel niosący przed sobą świecznik.

– Tak sądziłem, że cię tutaj spotkam, mój królu. – Przysiadł się.

– Nie mogę zasnąć – poskarżył się Kastil.

– To zupełnie tak jak ja. – Iskel odstawił świecznik na stół. – Czuję w kościach, że niedługo się zaczniesz.

– Ja też i nie wiem, czy jesteśmy przygotowani... – Westchnął.

– Armia rozlokowała się w najlepszych miejscach do obrony. – Uczony zaczął wyliczać z przekonaniem. – Jest doskonale zaopatrzona i wyposażona. W zamkach za linią obrony możemy się bezpiecznie schować i bronić przez długie tygodnie. Zorganizowaliśmy to najlepiej, jak się dało. Nic więcej nie można zrobić teraz. Dopiero później będą liczyć się umiejętności, serce do walki, odwaga...

– Mam przeświadczenie, że powinienem być tam z nimi w którymś z obozów... – Kastil pokręcił głową.

– I na to być może przyjdzie czas. – Uczony rozłożył ręce. – Kiedy tylko będziemy wiedzieć, gdzie dokładnie uderzy ta armia. Póki co, nie ma sensu, byś siedział w namiocie.

– Może i racja. – Przetarł oczy. – Złości mnie, że władcy wysłali żołnierzy i umyli ręce... Powinni ich poprowadzić sami.

– To nie oni rozmawiali z Hexem. – Iskel rozłożył ręce. – Nie widzieli jego potęgi, nie mieli okazji przerazić się na jego widok. Z tego powodu nie wysłali do nas każdego, kto potrafi unieść broń, tak jak prosiliśmy. Oni nadal nie są przekonani o tym, że ta wojna zdecyduje o losach świata. Uważają, że dzikusy ze wschodu nie mają szans w walce z połączonymi wojskami zachodu, dlatego nawet nie ruszają się ze swoich zamków. Podróż, życie w obozie, bitwa, a w niej przypadkowa strzała... To wszystko jest niebezpieczne. Oni nie sądzą, żeby to ryzyko było konieczne.

– Podejrzewam, że niektórzy liczą na to, że ta przypadkowa strzała trafi mnie – mruknął. – Zastanawiam się, ilu z nich może wbić nam nóż w plecy i wykorzystać tę wojenną zawieruchę, by ugrać coś dla siebie.

– Każdy, ale nie warto zaprzętać sobie tym głowy. – Podniósł się i skierował w stronę szafki, gdzie znajdowała się podręczna karafka z nalewką. – Będąc królem, nie możesz ufać nikomu w stu procentach. Zawsze musisz brać poprawkę na ich osobiste interesy.

– Dostaw puchar i dla mnie. – Przez drzwi wślizgnął się Theus Merik. – Mam meldunki, które zupełnie na trzeźwo mogą wydać się jeszcze gorsze.

– Co się dzieje? – Blady władca bezwiednie przyglądał się uczonemu rozstawiającemu naczynia.

– Okazało się, że przeniesienie naszych wojsk z granicznych twierdz było bardzo rozsądnym rozwiązaniem – zaczął. – Obserwatorzy, których kazałem zostawić w okolicach twierdz, wysłali mi meldunki niemal w tym samym czasie. Imperialna armia przekroczyła nasze granice w trzech miejscach. – Wskazywał podstawką pucharu na mapie. – Tutaj na północy, tutaj w centrum i tutaj na południu. Zrobili to prawie jednocześnie.

– A więc i decyzja o rozproszeniu armii w linii była trafna – dorzucił Iskel.

– Na to wygląda – ciągnął dalej gwardzista. – Nie byli w stanie podać ich liczebności. Przesuwają się dość szybko...

– Ile mamy czasu? – wtrącił król.

– Trudno powiedzieć, ale szacując po tempie, z jakim spływały meldunki od kolejnych... Sądzę, że pierwsze starcia mogą nastąpić już jutro wieczorem.

– Myślisz, że od razu uderzą? – Iskel obracał nerwowo puchar w palcach.

– Nie mam wielkich doświadczeń z tymi ze wschodu, ale z tego, co wiem, to raczej nie lubią się czaić. – Wzruszył ramionami. – Minęli nasze twierdze, jakby wiedzieli, że w środku nie ma nikogo. Po prostu przeszli obok i...

– Czy zwiadowca wysłał coś jeszcze po tym, jak minęli jego pozycję. – Iskel przeniósł wzrok na niego.

– Nie, nie zdarzyło się... – odparł niepewnie.

– Bijcie na alarm – stwierdził cicho król. – Roześlij wici po wszystkich władcach. Wyślij ptaki do każdego obozu. Niech będą cały czas gotowi na atak. Iskelu, czy udało się już rozdać ten bursztyn?

– Jeszcze nie do końca. Brakuje go na samej północy, a dostawy zajmą kilka dni...

– To może być ostatnia noc starego porządku. – Kastil nie słuchał odpowiedzi uczonego. – Bijcie na alarm, a kiedy skończycie i wszystkie

ptaki wylecą, wróćcie tutaj. Przyprawdźcie Thondara, Devera i Rigę...

– Wszystko jest omówione, nie ma potrzeby rozmawiać o planie, lepiej się wyspać...

– Nie o plan chodzi, generale – przerwał mu król, a jego głos brzmiał tak, że Iskela przeszły ciarki. – Być może już od jutra będziemy spali snem wiecznym, więc jedna nieprzespana noc nic nie zmieni. Chciałem, byśmy się wszyscy tutaj zebrali i posiedzieli wspólnie, być może po raz ostatni. Wypijemy coś mocniejszego, dodamy sobie otuchy...

Trzepot ptasich skrzydeł co chwilę wypełniał komnatę pocztowego, w której młodzi uczeni zajmowali się wysyłaniem kolejnych listów do innych władców i do dowódców obozów. By utrudnić ewentualne poznanie planów obrony, wszelkie meldunki pisano w sposób niezwykle skrótowy, a rozwinięcie tych skrótów znali tylko wtajemniczeni. Mieszkańców każdego miasta w Erskinie obudziło głośnie wycie rogów alarmowych, które nigdy nie obwieszczały niczego dobrego. Przeciągłe sygnały rozbrzmiewały długo, by na pewno każdy usłyszał o zbliżającym się zagrożeniu.

Dźwięki alarmu doskonale dało się słyszeć również w sali narad schowanej we wnętrzu góry Ersk. W komnacie siedzieli dwaj gwardziści Theus Merik i Dever Monerweh, jego podopieczna, Riga Deterik, Thondar, wieloletni opiekun i osobisty służący króla Kastila, oraz Iskel i sam Kastil. Wszyscy milczeli, trzymając w dłoniach puchar z winem, siedzieli tylko ze strapionymi minami, wpatrując się gdzieś we własne myśli. To ogromne skupienie przerwała dziewczyna, która nagle zaczęła chichotać.

– Jakie to wszystko jest szalone. – Nie mogła się opanować. – Przecież jeszcze niedawno, nawet nie rok temu, siedziałam pod drzewem w Myrbeinie, marząc o tym, by zostać rycerzem, a właśnie siedzę tutaj, tuż przed wielką wojną, z mieczem przy pasie jako giermek.

– Rzeczywiście życie potrafi być zaskakujące – odparł Iskel. – Przyznaję, że w całym moim długim życiu nie spotkałem dziewczęcia tak odważnego jak ty, Rigo. Żeby w tym świecie uciec z domu, dotrzeć do miasta oddalonego od niego o wiele dni jazdy i w dodatku uprzeć się, żeby zostać rycerzem... Niepojęte.

– Jak się teraz nad tym zastanawiam, to też jestem pod wrażeniem tego, że się na to zdecydowałam. – Zaśmiała się, ale po chwili posmutniała. – A teraz mogę zginąć w bitwie.

– Tak jak każdy z nas – odezwał się Dever. – Najważniejsze, by się nad tym nie zastanawiać.

– Racja – dorzucił Merik. – Nic tak nie płacze nóg w boju jak strach przed śmiercią.

– Najlepiej walczy się, działając instynktownie – dołączył do dyskusji Kastil. – Im mniej żołnierz zastanawia się na polu walki, tym większe ma szanse na przeżycie.

– Tak, pan Dever nieraz wspominał mi o tym, żebym działała, a nie zastanawiała się nad kolejnym ruchem. – Ożywiła się. – Mówił, że jeśli zacznam myśleć nad kolejnymi ciosami, to doświadczony przeciwnik jest w stanie odgadnąć nawet po oczach, co zamierzam zrobić. Nie rozumiem, jak można to odgadnąć po oczach, ale za każdym razem wiedział, gdzie uderzam!

– W tej wojnie instynkt będzie jeszcze ważniejszy. – Iskel pokiwał głową. – Rycerze wszystkich zachodnich krajów są uczeni swojego rzemiosła mniej więcej w ten sam sposób. Dla nas w walce, co do zasady, ważny jest honor. Używamy podobnej broni, znamy chwyt i sztuczki, więc zazwyczaj o zwycięstwie przesądza po prostu wyszkolenie, siła czy taktyka całej armii. Natomiast na wschodzie trudno mówić o szkoleniu w ogóle...

– Myślę, że przeszłość nie ma dla nich znaczenia. – Król kręcił trunkiem w pucharze. – Sam mnie, Iskelu, uczyłeś, że tam nawet wewnątrz granic państw dochodziło do bardzo częstych konfliktów, nie mówiąc już o niemal ciągłych wojnach na granicach. Nie potrafili żyć w pokoju i zwyczajnie się dogadać, ale on to zmienił. W jakiś sposób przekonał ich do opuszczenia domów i wyruszenia w nieznanne im tereny w imię jakiegoś bóstwa. Skoro więc zmienił ich mentalność, to może i nauczył ich innego działania w boju.

– Dla nas to chyba lepiej, jeśli zaczną walczyć normalnie, prawda? – zapytała po chwili Riga.

– Niekoniecznie. – Kastil wzruszył ramionami. – Jeśli do przewagi liczebnej dojdzie w miarę skoordynowana taktyka, to na pewno nie będzie to dla nas dobra wiadomość.

– Zebraliśmy się tutaj po to, żeby rozmawiać o taktykach? – zupełnie niespodziewanie odezwał się Thondar. – Wasza miłość mówił, że chce spędzić ostatnią noc przed wojną w towarzystwie i...

– Masz rację, Thondarze. – Kastil uniósł kielich. – Zaprosiłem was tutaj nie po to, żeby zastanawiać się nad naszymi szansami, ale po to, by dodać nam wszystkim otuchy.

– Trudno świętować, kiedy takie czasy... – Dever westchnął.

– Nie czas świętować, ale chyba lepiej przed bitwą mieć dobry nastrój – dodał Iskel. – Nie możemy spuszczać głów! Wychodząc na pole bitwy przed swoich ludzi, każdy z was musi dawać świadectwo tego, że wierzy w zwycięstwo, zapomnieliście?!

– Racja! – Merik, który nie miał mocnej głowy, huknął pucharem o blat stołu. – Pokażemy tym psim synom, co znaczy Erskin!

– Tak jest! – Riga podchwiciła jego entuzjazm, a po chwili reszta dołączyła, stukając pucharami o stół.

– Po tej wojnie odejdę z gwardii – mówił Merik, wznosząc trunek. – Znajdę wreszcie żonę i zamieszkam na południu!

– Dostaniesz całą wieś, jeśli się dobrze spiszesz. – Kastil zaśmiał się.

– Ja marzę o tym, żeby na dworze doszło do zaślubin – dorzucił Iskel, a król zmierzył go wściekłym spojrzeniem. – No co? Każdy władca po pokonaniu swoich wrogów musi zapewnić ciągłość rodu.

– Nie mam zamiaru kłaść się na stos pogrzebowy, więc o ród nie musisz się na razie martwić – odparł naburmuszony.

– A ja chcę w trakcie wojny zdobyć chwałę, by zbliżyć się do pasowania na rycerza! – wypaliła dziewczyna.

– Oby wszystkie plany się spełniły. – Uniósł kielich Dever.

– Abyśmy mogli wychylić jeszcze jeden w tym samym składzie! – dodał Iskel.

– Midian grinahmar – zaczął śpiewać Merik. – Nuir da oscialu moem shule.

– Matar milijs – wyśpiewała reszta.

– Midian grinahmar, nuir da oscialu moem shule – dołączali kolejno następni. – A dirut gutur sbrih chorneir tosoih.

Wreszcie wszyscy zgromadzeni w komnacie śpiewali z całych sił pieśń towarzyszącą Erskińczykom w najważniejszych momentach. Był to stary hymn skomponowany jeszcze w czasach, gdy kraj dopiero się jednoczył. Pieśń ta opowiadała historię młodego woja wysłanego na wojnę. W jej tekście wspomina on swój ostatni dzień w domu, wymarsz, tęsknotę, to, jak bitwa wyglądała, aż wreszcie śmierć w chwale wygranej wojny i cudowne uczucie oddania życia za ojczyznę połączone jednak z goryczą tęsknoty za matką. Słowa pieśni zwanej „Słodka Matko” wypełniały salę narad, a nawet najtwardszym i zaprawionym w bojach gwardzistom oczy szkliły się nieco.

Midian grinahmar, nuir oscialu moem shule.

Matar milijs.

Midian grinahmar, nuir oscialu moem shule, a'dirut gutur sbrih denere.  
A'dirut to og rahisien dulma hun cogaidh.

Matar milijs.

A'dirut to og rahisien dulma hun cogaidh, marog hbuilf anri agaloh.  
Insiodse claimoh glacadh siu og pallah.

Matar milijs.

Insiodse claimoh glacadh siu og pallah, riehnd thel nab abs.  
Faihd riehnd glacadh un pallah.

Matar milijs.

Faihd riehnd glacadh un pallah, asgu fargaf isan gandora.  
Taan bohtar decair arm fargaf.

Matar milijs.

Taan bohtar decair arm fargaf, ach onir pannst gandora.  
Dulme tachet els maihn og lipoai.

Matar milijs.

Dulme tachet els maihn og lipoai, arie fedbhea amod tabhiert.  
Thitan mahnaid foi shiedhar oir glacadh.

Matar milijs.

Thitan mahnaid foi shiedhar oir glacadh, ach cuig shroh shaig an bhrol.  
Mirulit chubs feihl tin dushairs.

Matar milijs.

Mirulit chubs feihl tin dushairs, ach crehta tin diit cuhma nios ab deanh.  
Matar milijs.

Matar milijs1.

## Rozdział XLVI

Śnieg sypał grubymi płatkami, sprawiając, że noc wyglądała na jeszcze bardziej spokojną. Większość żołnierzy spała w namiotach, tylko wartownicy ogrzewali się przy niewielkich ogniskach, obserwując okolicę z niewielkiego wzniesienia. Wielki obóz, zamieszkały przez ponad dwadzieścia tysięcy żołnierzy, otoczono stanowiskami wartowniczymi, za które odpowiadali górscy łucznicy. Utwińczycy i Erskińczycy doskonale widzieli wszystko, co było w oddali. Radzili sobie także z obserwowaniem terenu przed pierwszymi wysokimi drzewami, stanowiącymi początek prastarej puszczy porastającej znaczny obszar Erskinu.

Nagle ciszę i spokój zmącił sygnał rogu nadawany z namiotu dowództwa. Dowódcy poszczególnych oddziałów w pośpiechu zapinali kurty i zakładali buty, biegnąc w stronę głównego namiotu, by dowiedzieć się, co przekazać swoim podkomendnym. Przed namiotem czekał już kapitan ciężkiej piechoty z Hofskinu – Gryn Auerwen. Ubrany w lśniącą w płomieniach pochodni zbroję płytową miał jasne, nieco przerzedzone włosy i gęstą brodę. Surowym spojrzeniem mierzył nadbiegających żołnierzy.

– Przed chwilą dostałem depezę z Erskinu, że wróg wdarł się już na nasze terytorium. – W jego głosie było słycać wysokie urodzenie. – Stąd alarm. Wiemy, że minęli już Hofskin, więc ruszcie swoje oddziały biegiem. Macie być gotowi do boju jak najszybciej! Zwijać namioty! Wszystko, co da się zapalić, zepchnąć na tyły! Załadujcie to na wozy i zepchnijcie ze wzgórza...

– Odetniemy sobie drogę ucieczki, jeśli zapalą wozy i namioty za naszymi plecami – powiedział jeden z górskich piechurów, ubrany w lekki pancerz z grubej karbowanej skóry.

– Owszem. – Kapitan kiwnął głową. – Jeśli będziemy próbowali się wycofać, to możemy mieć problem, by przejść przez ogień. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że Utwińczykom brakuje odwagi w boju, więc zabezpieczyliśmy się i na tę ewentualność. Zgodnie z rozkazem króla



Kastila, pod którego komendę zostaliście przysłani, macie uciekać nie do tyłu na wprost, ale po skosie na południe, wprost pod Erskin. Król uznał, że stolica nie może upaść, a będzie głównym celem naszych wrogów, więc możemy odpuścić pilnowanie ścieżki dalej na zachód.

– A co, jeśli się pomylił? – Usłyszał gdzieś z cienia.

– Jeśli nie powstrzymamy ich tutaj, to uciekając, nie zdążymy ustawić obrony w innym miejscu – warknął. – Czy wy w rzyci mieszkaliście przed wojną?! Jak zobaczę, że któryś oddział się ociąga ze składaniem namiotów, to zamknę go w środku i osobiście podpale. Czy to jest jasne?!

Głośny okrzyk odpowiedział na jego wezwanie, gestem więc rozkazał im rozejść się do swoich oddziałów. Rozpoczęło się pospieszne przekazywanie wytycznych dalej. Namioty padały jeden po drugim. Łądowały na wozach, a te były spychane ze wzniesienia. Nie udało się do końca wypełnić rozkazów, kiedy przez obozowy zgiełk przebiły się gwizdy wartowników ostrzegające o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Żołnierze w mgnieniu oka zostawili to, co wynosili z obozu, i chwycili za broń.

Plan obrony ustalono wcześniej, a dzięki ruchowi pochodni na długich żerdziach mogli łatwiej odnaleźć się w ciemnicy. Rozproszyli się, tak jak należało, na obszarze całego płaskowyzu. Zapadła tak charakterystyczna dla momentu przed bitwą cisza. Kusznicy naładowali już swoją broń, łucznicy mieli strzały nałożone na cięciwę. Część z nich była wyznaczona do strzelania podpalonymi strzałami, żeby ułatwić ocenę ruchów przeciwnika. Ogniska były już przygotowane, a obok nich kucał żołnierz gotowy do rozpalenia ognia krzesiwem. Zagaszono nawet sygnałowe pochodnie, gdy tylko wszyscy znaleźli się na swoich pozycjach. Zupełnie zaciemniony obóz gotowy był do przyjęcia szarży przeciwnika.

Wartownicy wyteżali wzrok, by dać sygnał odpowiedzialnym za ostrzał. Dwa krótkie gwizdnięcia i jeden przeciągły świst oznajmiły żołnierzom, że pora rozpocząć ostrzał. Iskry błysnęły przy ziemi i płomienie momentalnie ogarnęły przygotowane ogniska. Łucznicy zabrali się za robotę, posyłając kolejno płonące strzały w stronę zbliżającej się armii. Ogniste punkty wyleciały wysoko w niebo, a potem spadły na zaśnieżone pole u stóp niewysokiego wzgórza, które rozświetlało się przez ciągły ostrzał. Między płonącymi strzałami latały też zwykłe, których groty odbijały się od tarcz i pancerzy tych lepiej osłoniętych, a wbijały w ciała pozostałych. Jednak, ku przerażeniu strzelających, nie powstrzymało to impetu, z jakim wbiegali pod górę.

Biegła na nich chmara obdartych i uzbrojonych w sprzęt rolniczy, a nawet w zaostrzone kije mężczyzn o przeróżnej karnacji. Jeszcze więcej pieszych zaczęło ich oskrzydlać. Pojawili się na bokach wzgórza i byli lepiej uzbrojeni. Mieli na sobie skórzane pancerze, trafiały się też elementy z metalu, kolczugi, a nawet napierśniki czy hełmy. W dłoniach dzierżyli piki, długie noże, a niektórzy nawet miecze i niewielkie okrągłe tarcze. Łucznicy byli zdumieni, że nawet na zwykłego obdartusa potrzebowali kilku strzał. Widząc, że zbliżają się do nich, zarzucili łuki na plecy, a sięgnęli po krótkie toporki, którymi walczyli wręcz.

Przez tumult, jaki powstał w środku bitwy, przebił się ledwo słyszalny sygnał wzywający do walki piechotę schowaną w zaroślach w najbardziej oddalonej od miejsca walki części wzniesienia. Ruszyli wściekłym pędem i z okrzykiem na ustach. Już mieli wpaść w sam środek bitwy, ale spadły na nich strzały, a po chwili z północy wjechali na wzgórze konni łucznicy, którzy trafiali celnie we wszystkich lepiej uzbrojonych i lepiej wyglądających żołnierzy Erskinu. Trudno było policzyć będących w ciągłym ruchu konnych, ale zaroilo się od nich w wirze bitewnej zawieruchy. Gryn Auerwen wykrzykiwał rozkazy, a rozpalone na nowo pochodnie na długich tyczkach pokazywały je zaaferowanym żołnierzom. Walczył z mieczem w dłoni, tnąc raz za razem. Przeciwnicy wokół niego padali co chwila, ale ciągle nadbiegało ich więcej. Pot zmieszany z krwią lał się z jego głowy. Na jego pancerzu było widać mnóstwo śladów od uderzeń przeciwnika. Przez chwilę wydawało się, że zaczęli osiągać przewagę, ale wtedy z oddali dało się słyszeć tętent nadciągającej jazdy. Spojrzał tylko na zalane krwią i pokryte śniegiem wyplaszczanie i dostrzegł zbliżające się tysiące konnych. Część z nich była dobrze opancerzona, miała maski na twarzach, a w dłoniach długą broń zakończoną wielkim ostrzem. Pozostali nosili skóry i kolczugi, ale dysponowali długimi, zakrzywionymi nożami i piką w drugiej dłoni.

Widział, że nie tylko on zauważył zbliżający się atak, spojrzał na swoich żołnierzy, którzy z przerażeniem w oczach zaczęli odsuwać się mimowolnie od nadciągającego natarcia. Rozglądając się, wpadło mu w oko coś zastanawiającego. Wydawało mu się, że on musi sobie radzić z tłumem przeciwników, podobnie inni dowódcy oddziałów, tymczasem zwykli żołnierze musieli sobie szukać przeciwnika. Zwrócił uwagę szczególnie na łuczników, którzy precyzyjnie mierzyli każdy strzał i nie zwracali uwagi na zwykłych wojów, wybierali tych, którzy mieli najlepsze uzbrojenie.

– Odwrót! – ryknął, ile miał tylko sił w płucach. – Odwrót! Uciekać do Erskinu! Do Erski... – Zacharczał, a koniec zdania ugrzązł mu w gardle zablokowany przez strzałę wbitą w kark. Jej grot wyszedł z drugiej strony. Krew zaczęła wyciekać mu z ust z każdym kolejnym oddechem. Klęknął w śniegu, a miecz wypadł mu z dłoni. Przejeżdżający obok łucznik, na którego grubej kamizeli widniało białe drzewo wyrastające z kamienia, szył do niego jeszcze raz, trafiając w oko. Siła uderzenia przewróciła go na plecy. Upadł na śnieg, patrząc jednym okiem w zachmurzone niebo, a białe, udeptany puch wokół niego zaczął zmieniać kolor na karmazynowy.

Siwowłosy rycerz początek szturmego oglądał z daleka. Został wraz z resztą jazdy między drzewami – zgodnie z poleceniem imperatora. Według Hexa zbyt wczesne pokazanie całego potencjału mogłoby skończyć się szybkim odwrotem i utratą szansy na realizację ich planu. Imperator wściekł się, że Erskińscy zostawili za sobą puste twierdze i niemal w całości opuszczone miasta i wioski. Zastawali tam tylko pojedyncze rodziny, które nie miały dla nich wielkiej wartości bojowej. Udało się zasilić szeregi armii jedynie niecałą setką mężczyzn. Krucho wyglądała też sprawa z zapasami żywności. Liczono, że uda się zebrać ich jak najwięcej po drodze, ale okazało się, że twierdze i miejskie spichlerze były puste. Nir sprawdził mapy i zauważył, że w okolicach miasta Kolmskin teren jest nieco pagórkowaty. Od razu wpadł na to, że zastosowali taktykę spalonej ziemi. Opuścili wszystkie grody, miasta i zamki, chowając się na tej linii. Nie zostawili też ani ludzi, ani żywności, by w żaden sposób nie pomóc wrogowi.

Stary rycerz doskonale zdawał sobie sprawę z wartości znalezionej w trakcie marszu pełnego spichlerza, a jeszcze większą wartość miał dobrze poinformowany człowiek, który przy odpowiednich metodach przesłuchania mógł wydać położenie, strukturę i zaopatrzenie całej wielkiej armii. Zachowali się tak jak trzeba, zgodnie z wszelkimi zasadami prowadzenia obrony w trakcie wojny, ale nie wiedzieli, że nie mają wpływu na to, czy imperium pozna ich plany. Nie mieli pojęcia, że imperator Hex wciela do swojej armii wszystkich, którzy zostaną na placu boju. Głównym założeniem była szybka eliminacja dowódców, by wprowadzić jak największy chaos w szeregi obrońców, a potem przejmowanie ich umysłów przez imperatora.

Nir nawet nie chciał myśleć o tym, jaką mocą dysponuje jego władca, skoro chciał zmusić do posłuszeństwa całe oddziały. Jego zadanie było proste, miał przeć do przodu i zająć Erskin od północy. Wiedział, jak mogą być rozstawione oddziały na wzgórzu, więc nie ryzykował i na początek, w zupełnych ciemnościach, wysłał w bój piechotę. Jazda czekała na sam koniec. Efekt, jaki konnica wywoływała wśród piechoty, miał wspomóc strach po utracie dowódców. Widział, jak jego ludzie padają pod strzałami przeciwników, ale oddziały jego łuczników miały inne zadanie, więc nie mógł ich wypuścić na pomoc.

W pewnym momencie zobaczył poruszenie wśród oddziałów na wzgórzu. Wiedział, że udało się zaskoczyć ich manewrem oskrzydającym. Łucznicy przestali strzelać, a wzięli się za walkę wręcz. Sygnałowe pochodnie przewracały się, wtedy wydał rozkaz ataku łuczników konnych. W galopie wpadli na wzgórze między walczącą piechotę i z pełnym spokojem i precyzją eliminowali każdego, kto mógł być dowódcą. Najmniejszy element umundurowania czy broni wyróżniający się spośród innych sprowadzał na nich błyskawiczną śmierć.

Wreszcie mógł ruszyć do akcji jak za starych dobrych czasów. Poczuł szum krwi w uszach, pęd wiatru na twarzy. Z mieczem w dłoni popędził konia co siłą, a za nim ruszył tysiąc barbaskich jeźdźców uzbrojonych w Keechaki i prawie pięć tysięcy lekkich jeźdźców z Gotrayi, którzy w jednej dłoni dzierżyli zakrzywiony miecz, a w drugiej krótką pikę z długim grotem w kształcie kropli wody. Widział uciekających z pola bitwy żołnierzy, nie popędził więc szarżą wprost w kocioł, lecz skręcił w lewo, by odciąć im możliwość ucieczki. Dzięki temu manewrowi udało mu się zablokować drogę wielu setkom żołnierzy przeciwnika. Tylko nielicznej garstce udało się zniknąć w niedalekich zaroślach i uciec na południe w stronę góry Ersk. Przegonił uciekinierów znowu na wzgórze, gdzie bitwa dobiegła końca. Armia Sag Bas otoczyła przerażonych i pobitych żołnierzy.

– Żołnierze! – Wyjechał przed szeregi swoich ludzi i zaczął mówić łamanym erskińskim. – Wasi dowódcy nie żyją! Wy jesteście więźniami! Oddajcie broń!

– Nie. – Usłyszał głos w głowie. – Szkoda na to czasu. Ja się wszystkim zajmę.

– Tak jest... – Zdążył tylko pomyśleć, kiedy stracił kontrolę nad tym, co działo się z jego umysłem.

Imperator w ciele starego rycerza zmusił konia do wolnego przechadzania się wokół zbitych w zwartą grupę pojmanych żołnierzy. Poznał język swoich wrogów na tyle, że nie musiał uciekać się do przekazywania im myślami tego, co miał do powiedzenia. Wyprostował się dostojnie i wzrokiem pokazującym wyższość spoglądał na jeńców, którzy już za chwilę mieli stać się nowymi członkami jego armii. Zostało ich około dziesięciu tysięcy, co stanowiło doskonałe wzmocnienie.

– Żołnierze – zaczął raz jeszcze generał, ale tym razem jego głos brzmiał nieco inaczej. – Zostaliście pokonani przez wielką armię Imperium Sag Bas. W trakcie bitwy nasze wojsko głównie pozbyło się waszych dowódców. Zastanawiacie się zapewne, dlaczego tak się stało. Nie dlatego, że stanowili oni dla nas największe zagrożenie, ale dlatego, że stanowili największe zagrożenie dla was. Dla prostych ludzi zmuszonych do poświęcania zdrowia i życia dla tych, których nigdy nie widzieli. Krwawicie tutaj dlatego, że człowiek, który przysięgał was bronić, nie chciał się poddać przeważającej sile. Uznał, że lepiej będzie, jeśli choć spróbuje utrzymać się przy tronie i przy skarbcu, nie biorąc pod uwagę, czy wy zginiecie, czy nie. Wasi dowódcy dostaną od niego nowe wsie, dostaną materiały na zamki, na dwory, a wy wróćcie z poucinanymi kończynami do swoich rodzin. My nie walczymy tutaj o to, żeby podbić wasze ziemie i zaludnić swoimi. Nie walczymy o to, co jest w skarbcach, w spichlerzach. Walczymy o to, żeby nikt więcej nikogo nie wykorzystywał dla własnych celów. Wojna, którą rozpoczęliśmy, będzie ostatnią wojną przywracającą ład i porządek Sag Bas, czyli czegoś, co dawno temu dawało wszystkim szczęście. Mam dla was szczególną propozycję. Możecie teraz dołączyć do nas i wyruszyć na Erskin...

Słowa te rozsierdziły pojmanych żołnierzy do tego stopnia, że wzniesli broń i chcieli rzucić się na otaczające ich oddziały, ale nim zdołali zrobić krok, padli na kolana, chwytając się za głowy. Przerażliwe jęki rozdzierały ciszę zbliżającego się poranka.

– Dałem wam szansę, byście wybrali dobrą stronę dobrowolnie, ale nie skorzystaliście z niej – ciągnął dalej Hex głosem generała Nira. – Nie ma niestety możliwości, byście wrócili do swojej armii i utrudnili nam później zdobycie miasta, dlatego dołączycie do nas, ale z jednym, drobnym zastrzeżeniem. Ten potworny ból rozdzierający wasze głowy to tylko przyjemne łaskotanie w porównaniu z tym, co się z wami stanie, jeśli choć pomyślicie o tym, żeby mnie zdradzić. Jeśli przez myśl choć przejdzie wam

walka z mniejszym zaangażowaniem przeciwko reszcie wojsk Kastila, jeśli przejdzie wam przez myśl ucieczka, rzucenie broni... Wtedy ten ból będzie was zabijał powoli i będzie niewyobrażalnie silniejszy. Zobaczcie...

Wszyscy powoli podnosili się, krzywiąc się strasznie i nie mogąc jeszcze złapać tchu, tylko jeden z rycerzy w obtłuczonej zbroi wił się po ziemi, wrzeszcząc w niebogłosy. Próbował uciskać czaszkę, przykładając do niej wydeptany śnieg, prostował się i kulił, a reszta patrzyła na niego z przerażeniem.

– Co gorsza, to, co zostało w waszych głowach, nie pozwoli wam popełnić samobójstwa. – Hex spokojnie przyglądał się torturowanemu mężczyźnie. – Nie będzie sposobu, by skrócić cierpienie. Dlatego dobrze wam radzę, jako moim nowym przyjaciółom i nowym wyznawcom Sag Bas, nie próbujcie niczego, co może być przeze mnie uznane za zdradę, bo skończycie jak on. Wystarczy. – Rycerz wyprężył się, a oczy pękły mu niczym pęcherz pławny małej rybki. – Szykujcie się do wymarszu na południe.

Przesuwając się po terenach południa Erskinu, część armii Sag Bas nie napotykała w zasadzie żadnego oporu. Maszerując od wsi do wsi i od miasta do miasta, mijali jedynie opuszczone domostwa i przykryte śniegiem puste pola. Minu jednak nie pozwalała swoim podkomendnym na chwilę rozluźnienia. Czterech zostało wychłostanych za odejście od kolumny, by splądrować oddalony nieco od szlaku folwark. Kazała zmierzyć, ile kroków musieli przejść, żeby dotrzeć od skraju kolumny do zabudowań, i wymierzyć tyle razy długim skórzanym batem. Żaden z szabrowników nie przeżył dwustu osiemdziesięciu siedmiu uderzeń w plecy.

Hexa nie interesowało, w jaki sposób dba o porządek w swoich szeregach, ale poparł taką karę. Stwierdził, że fizyczne przypomnienie, na czym polega dyscyplina w armii, nikomu nie zaszkodzi, a czterech chłopów z prowizoryczną bronią nie stanowiło żadnej straty. Kolumna prawie czterdziestu pięciu tysięcy żołnierzy zbliżała się do miasta, które wyróżniało się spośród wszystkich mijanych przez nich do tej pory. Nad zamarzną i pokrytą śniegiem taflą jeziora wznosiły się umocnienia otaczające gród.

– Mapa! – warknęła Minu.

Już po chwili jeden z azuańskich wojowników wyciągnął zwitek skóry z kosza przytroczonego do końskiego grzbietu i podał jej. Rozwinęła ją, nie

schodząc z wierzchowca, i przyglądała się przez chwilę, przesuwając palcem po skórze.

– Patrz tutaj – zawołała go. – To jest Coiloch, ede, a tam jest ebedo Lochtair. Patrz uważnie, Ezu. Miasta były puste, a to ktoś ogrodził palisadą. Musimy uważać.

– Zaatakujmy! – Ezu podniecił się.

– Mtiki! – Syknęła, uciszając go. – Może lepiej będzie, jeśli spróbujemy obejść jezioro od drugiej strony i minąć to miasto.

– Sprawdźcie to. – Usłyszała w głowie. – Nie chcemy, żeby jakiś oddział dobrał się potem do naszych tyłów.

– Tak jest! – odpowiedziała w myślach.

– Wyślij tam niewielki oddział, najlepiej chłopski, niech sprawdzą, co się dzieje w mieście.

– Tak jest! – odparła i czekała na kolejne informacje, ale te nie nadeszły, zwróciła się więc do Ezu. – Pojedź na tył i wyślij jedną orakę chłopów w stronę miasta. Niech sprawdzą, czy jest zamieszkałe i co się w nim dzieje.

Już po chwili mogli przyglądać się z bezpiecznej odległości grupie pięćdziesięciu mężczyzn, dierzących w dłoniach siekiery, sierpy, kosy i widły, maszerującej w stronę palisady wokół miasta. Wysoki drewniany płot szczelnie okalał zabudowania miejskie, nie pozwalając zobaczyć nikomu, co dzieje się wewnątrz. Jednak brama była otwarta na oścież i właśnie tam kierowali się żołnierze Sag Bas. Palisada była wysokości trzech dorosłych mężczyzn, a w niej powycinano małe okienka. Minu nie zauważyła w nich żadnego ruchu, ale czuła przez skórę, że coś z tym miastem jest nie tak. Oddział chłopów zwolnił kroku i niepewnie rozglądał się, podchodząc pod otwartą bramę. Rozproszyli się i wtargnęli na teren miasta Lochtair. Kiedy tylko ostatni z nich przeszedł przez bramę, ta zatrzasnęła się za nim.

– Wiedziałam! – krzyknęła Minu, zeskakując z konia.

Już po chwili od zamknięcia miasta dobiegły do nich dźwięki walki. Szczęk broni i jęki mordowanych poniosły się po zamarzniętym jeziorze. Azuanka dowodząca tym skrzydłem armii Sag Bas pobladła. Jej hebanowa skóra zbliżyła się odcieniem do śniegu, na którym stała.

– Uderz – Głos Hexa rozbrzmiał w jej głowie. – Nie możemy pozwolić na to, by zaatakowano nas z tyłu. Musisz zdobyć to miasto. Spal je i zabij wszystkich.

– Ale miałam zablokować południe...

– Najpierw miasto. – Aż nią wstrząsnęło. – Nie trać czasu.

– Ezu! – zawołała swojego podkomendnego. – Przekaż reszcie dowódców, że ruszamy szturmem na zamek. Niech przygotują całe drewno, łuki i płonące strzały. Spalimy to miasto, zaczynając od palisady.

Atak przygotowano niesamowicie szybko. Nim słońce minęło południe, dziesięć tysięcy konnych łuczników w towarzystwie chłopów z płonącymi pochodniami otoczyło miasto. Pozostała część jazdy i lepiej uzbrojona piechota z Barbasu, Ujary i Yelayinu czekała w odwodzie na to, co wydarzy się w okolicach palisady. Minu przechadzała się pod zamkniętą bramą, zbierając w sobie siły, by przemówić do tych, którzy stawili opór armii Sag Bas.

– Mieszkańcy miasta Lochtair! – zaczęła mówić, pilnując, by nie popełniać błędów. – Poddajcie się! Wyjdźcie! Otwórzcie bramy! Oddajcie broń, a przeżyjecie!

Cisza oczekiwania przeciągała się. Nagle jakiś przedmiot przeleciał nad palisadą i spadł pod nogami jednego z jeźdźców. Po chwili kolejne lądowały między żołnierzami. Konie podskakiwały nerwowo, widząc, a przede wszystkim czując to, co spadło obok ich kopyt. Minu zobaczyła, że pod ich nogami leży pięćdziesiąt obciętych głów ich niedawnych towarzyszy. Zrozumiała odpowiedź i gestem dała sygnał do ataku. Łucznicy wyciągnęli strzały w kierunku płonących pochodni trzymanych przez chłopską piechotę. Owinięte nasmołowaną szmatką groty zajęły się w momencie i już po chwili tkwiły w drewnianej palisadzie, powoli rozpalając się. Tysiące strzał trafiały w ogrodzenie, ale wysokie pnie nie chciały zapalić się do końca.

– Drzewo jest mokre. – Usłyszała. – Nie zapali się. Strzelajcie ponad palisadą.

Przekazała ten rozkaz gestem i kolejne strzały przelatywały już nad drewnianymi ścianami. Ten manewr spowodował, że wreszcie na górze umocnienia pojawili się przeciwnicy. Nie zalewali napastników deszczem strzał. Skupili się na tym, by zadać jak największe szkody, nie marnując strzał. Minu zerwała się i popędziła konia w stronę schowanych w lesie za jeziorem odwodów piechoty.

– Atak! – krzyczała, pędząc. – Atak! Wszyscy na miasto!

Z głośnym okrzykiem ruszyli jeźdźcy z Barbasu, którzy z Keechakami w dłoniach pomknęli w stronę bramy, a zaraz za nimi popędziła pozostała



piechota. Kilka oddziałów Yelayińczyków gnało, niosąc na barkach grube zaostrzone pnie, które miały stanowić tarany do rozbicia murów. Konni łucznicy odjechali na bezpieczną odległość i prowadzili ostrzał płonącymi strzałami, wykorzystując siłę wiatru, posyłali strzały wysokim łukiem ponad palisadą. Zza murów zaczęły miejscami podnosić się stróżki dymu.

Piechota dotarła pod bramy z taranami i rozpoczęła kruszenie drewnianych murów. Kolejne potężne uderzenie pnia trzymanego przez co najmniej dwudziestu ludzi wstrząsały bramą. Drzazgi sypały się zarówno z tarana, jak i z bramy, ale ta nie chciała ustąpić. W pewnym momencie brama otworzyła się sama, a rozpędzeni żołnierze wpadli do środka. Na ziemi jednak nie było śniegu, tylko gęsta smoła, do której zaraz się przykleili. Z góry spadły na nich płonące strzały, być może wystrzelone przez łuczników z Jaramu. Ponad setka żołnierzy stała po kolana w płonącej mazi, a języki ognia ogarniały ich zimowe ubrania i pancerze, przepalając się do ciała. Przeróżny ryk płonących ludzi roznosił się echem po okolicy. Mimo otwartych bram pożar nie pozwalał na przeprowadzenie szturm.

– Atakuj! – Usłyszała niepodważalny rozkaz.

– Ale ogień... – Pomyślała, ale ból przerwał jej dalsze rozmyślenia.

– Atak! – Ledwo utrzymała się w siodle, kiedy jej mózg odebrał ten rozkaz.

– Ezu! – zawołała. – Piechota, atak!

– Jak? – Wskazał dłonią płonące niedaleko wrota.

– Imperator kazał! – odpowiedziała mu i ruszyła do przodu.

Azuańczyk pojechał za nią, wykrzykując rozkazy sygnałowym. Ci natychmiast porońcami przekazali je piechocie, która zawahała się na dłużej. Rozkazy powtórzono. Gryzący czarny dym wisiał w bramie. Po chwili jednak pierwsi z nich zaczęli kierować się w stronę palisady. W bitwie wszystko działo się wyjątkowo szybko, ale ten szturm piechoty wydawał się ciągnąć w nieskończoność. Minu widziała, jak ci żołnierze z okrzykiem na ustach wpadają w dopalającą się smołę, w której dymią jeszcze ciała ich towarzyszy, i grzęzną w lepkiej mazi podpalającej ich ubrania. Jednak każdy kolejny przewracający się w bramie żołnierz powodował, że pożar przygasał.

– Jazda! – krzyknęła Minu. – Atak! Atak!

Z trupów spalonych w bramie utworzył się pomost, przez który mogli przejechać rozpędzone konie. Pięć tysięcy szarżujących wierzchowców

wpadło w nadpalone ciała. Niektórzy z leżących pod ich kopytami jeszcze żyli, kiedy gniotły ich podkowy. Minu, jako dowódca, wjechała do miasta pierwsza i ujrzała coś, czego zupełnie się nie spodziewała. Na drabinach przy palisadzie nie było nikogo, podobnie jak na ulicach. Jeźdźcy wyhamowali i ostrożnie zaczęli rozdzielać się, wjeżdżając między parterowe drewniane domki z dwuspadowymi dachami. Drogi były piaskowe, więc nie dało się na nich usłyszeć zbliżającego się zagrożenia.

– To pułapka – zauważył Ezu.

– Wiem, iberre! – Syknęła na niego. – Nie wiem tylko, co się stanie zaraz.

Wypowiedziała te słowa w złym momencie. Kiedy tylko skończyła zdanie, okiennice niemal wszystkich domów otworzyły się, a łucznicy zaczęli szyc do najeźdźców. Konie wpadały w panikę, nie czując jeźdźca na grzbiecie. Biegały po wąskich ulicach, utrudniając walkę. Żołnierze imperium rzucili się do walki. Piechota oczyszczała domy wewnątrz, a jeźdźcy skupili się na przeciwnikach wybiegających na ulice. Byli to rośli mężczyźni, w większości nosili długie i gęste brody, a ich uzbrojenie poza łukiem stanowiły zwykłe siekiery, jakimi posługiwali się drwale. Nie było ich wielu, ale walecznością nadrabiali ten fakt.

Minu zeskoczyła z konia i chwyciła za krótki miecz. Natarł na nią olbrzymi drwal o niemal białych włosach. Próbował ciąć z góry, ale ostrze jego siekiery omsknęło się tylko po ramieniu Azuanki i wbiło głęboko w piasek. Wykorzystała to i podcięła mu gardło płynnym ruchem. Obróciła się i kolejnego uderzyła w obojczyk. Otworzyła szeroko oczy, widząc, że jej przeciwnikiem była blondwłosa kobieta o twarzy pokrytej zmarszczkami. Rozejrzała się i zobaczyła, że wśród obrońców miasta kobiet nie brakuje. Wyciągnęła włócznię z klatki piersiowej jednego z Erskińczyków i cisnęła nią w okno pobliskiego domu, gdzie do oddania strzału szykował się łucznik. Trafiła go w ramię, unieszkodliwiając na dobre. Zaraz przez otwarte okno wskoczył ktoś z piechoty, by dobić go i zabrać jego broń.

Przedzierała się przez ulice pogrążone w chaosie i widziała, że mimo przytłaczającej przewagi jej jednostki nie potrafią sobie poradzić z przeciwnikiem. Obrońców miasta było może ze dwa tysiące, ale walczyli tak dzielnie, że każdy, nim zginął, zabił co najmniej pięciu wrogów. Mimo tego, że wykorzystywali każdą okazję, by zadać cios z ukrycia, nie mieli szans i przed wieczorem miasto padło. Wszyscy jego obrońcy zginęli po ciężkiej walce. Wzniesiono pożary w wielu częściach Lochtairu. Ogień łatwo roznosił się po ciasno zabudowanych drewnianymi budynkami

ulicach. Tylko nowa palisada, zbudowana ze świeżo ściętych drzew, nie poddawała się łatwo i padła jako ostatnia.

– Przejeźdź wzdłuż kolumny i sprawdź straty – zwróciła się Minu do swojej prawej ręki.

– Już to zrobiłem – odparł, wycierając zakrwawiony miecz. – Najmniej strat wśród barbaskiej jazdy. Tam zginęło trzydziestu. W piechocie prawie cztery oraki. Dwie oraki Yelayińczyków, trzy Ujarczyków, jedna jeźdźców z Ujary. Łuczników konnych zabili pół tysiąca, a chłopów... – Zawahał się. – Połowa.

– Co? – wrzasnęła, aż koń pod nią zgubił krok. – To ponad pięć tysięcy!

– No i też tyle ich zostało. – Wzruszył ramionami. – Ci, co zostali, zebrali wyposażenie tamtych.

– Jakim cudem taka garstka ludzi mogła zrobić aż takie szkody. – Westchnęła.

– To waleczny naród. – Jego ramiona ponownie się uniosły. – Widziałem w nich prawdziwych wojowników.

– Ja też... – Otarła krew z czoła.

## Rozdział XLVII

Armia imperatora przesuwiała się dużo wolniej, niż to zakładał, ale przy padającym od kilku dni śniegu piechota nie mogła utrzymać tempa marszu. Jechał w siodle z zamyśloną miną, kapłanki wiedziały, że lepiej mu teraz nie przeszkadzać. Cały czas obserwował to, co dzieje się w innych miejscach frontu. Był w kontakcie z Nirem i Minu, wydawał im na bieżąco rozkazy i przejmował kolejnych żołnierzy. Jednak plan wzmocnienia wojsk w dużej mierze wzięt w łeb.

Nie sądzili, że Kastil będzie w stanie poświęcić niemal połowę swojego terytorium, by doprowadzić do walk na wygodnym dla siebie terenie. Hex, rozmawiając z młodym władcą, wyczuł, że ten nie jest gotów do tego, by poświęcić cokolwiek. Okazało się jednak, że przygotowany przez niego plan pozwalał imperium zdobyć bez walki wszystkie twierdze na granicy, zając niemal cały las, który był przecież podstawą przemysłu Erskinu, i niemal bez żadnego oporu dojść do połowy kraju. Hex założył, że jego i tak już liczna armia będzie się powiększać w trakcie marszu na Erskin. Zwykli, szeregowi żołnierze mieli być do niej wcielani, by potem ruszyć w pierwszych liniach na zamek. W ten sposób miał zaoszczędzić życie swoich ludzi, rozpoznać, jaką obronę będą stosowali Erskińczycy, a w dodatku wywołać u nich potężne zaskoczenie tym zagranieniem.

W bitwie na północy Nirowi udało się zdobyć niecałe dziesięć tysięcy żołnierzy. Nie była to jednak liczba, którą Hex sobie wymarzył, a raczej zaplanował. Liczył, że jego armia rozrośnie się do dwustu tysięcy, zdobędzie dużo lepsze uzbrojenie, a przede wszystkim będzie mogła żyć z zapasów zdobytych na wrogu. W środku mroźnej zimy to właśnie żywność mogła stanowić kluczowy element całej wojny. Kiedy maszerując, natrafiali na opustoszałe wsie i miasta, zasypane śniegiem puste pola czy spichlerze, w których nie zostało nawet jedno ziarno, imperator zaczynał tracić kontrolę nad swoim gniewem. Jadł to, co dostawali jego żołnierze, by wiedzieć, ile mają sił. Nie byli wykarmieni odpowiednio. Co prawda, za

armią ciągnęły setki wozów, a z całego terenu imperium spływały kolejne, ale to było za mało. Na wschodzie również była zima, więc mogli im dostarczyć tylko to, co zebrali jesienią.

Otrzymał sygnały, że w niektórych rejonach zaczynało brakować żywności nawet dla ich mieszkańców. Jego oddziały miały za zadanie zabijać każde zwierzę, które pojawiło się w zasięgu wzroku. Rozglądali się nawet za jagodami, grzybami i wszystkim, co tylko mogło nadawać się do jedzenia. Nie rozwiązywało to jednak kłopotu z żywnością, a w dodatku w lesie na południu pojawił się kolejny problem. Minu natrafiła tam na miasto, które nie było opuszczone. Żeby je zdobyć, stoczyła krwawą bitwę, w której straciła sporą część wojsk pod swoją komendą, jej marsz został zatrzymany niemal na cały dzień. W mieście nie było prawie nic do jedzenia, znaleźli tam tylko jakieś resztki. Dodatkowo nie wiedział, co dzieje się w obozie wroga, bo zupełnie nie mógł nawiązać kontaktu z Kastilem ani z nikim w zamku.

– Kiedy ten las się skończy, będziemy dwa dni drogi od zamku – odezwał się niespodziewanie.

– Nareszcie. – Ahga westchnęła. – Siodło doprowadza mnie do szału.

– Jak planujesz rozegrać atak? – spytała Juvi, wykorzystując to, że Hex przerwał milczenie.

– Wykorzystamy, co się da – odparł. – Na razie jednak to nie ma znaczenia. Nie wiem, czy oni zamierzają bronić się w zamku, wydać nam bitwę... Nie mogę wejść do umysłu żadnego z nich...

– Jak to? – wyrwało się Iv.

– Nie wiem! – ryknął. – Po prostu coś mnie blokuje. Tak jak bursztyny Pandeya...

– Może to ta góra... – podzuciła Rollo.

– Myślałem nad tym, ale to nie to. – Widać było, jak żyły pokazują się pod skórą na jego łysej głowie. – Wtedy mógłbym wskoczyć do głowy komuś w Lochtairze i nie musielibyśmy tracić tyle czasu i ludzi...

– Nie kazałeś przeszukać zwłok tych ludzi? – Juvi zdziwiła się. – Mogli mieć przy sobie...

– Wiem! – Konie położyły uszy po sobie. – Zabroniłem żołnierzom zabierać czeokolwiek poza bronią, więc wszystko, co mieli ze sobą mieszkańcy tego miasta, zostało spalone razem z nimi.

– Nieważne. – Najstarsza kapłanka starała się go uspokoić. – To nie ma znaczenia. Mieszkali nad jeziorem, w lesie, mogli posiadać bursztyny,

traktować je jako amulety albo ozdoby, nie musieli wiedzieć o tym, że one mają moc...

– A tych, którzy walczyli z Nirem, udało ci się przejąć – wtrąciła Mossa.

– Właśnie! – dodała Ahga. – To może być przypadek.

– A może nie – odezwała się zupełnie niespodziewanie Tia. – Bo zobaczcie, wszystkie miasta, które mijaliśmy, nawet twierdze, były zupełnie puste. Nikt tego nie bronił. Gdzieś na pojedynczych wsiach udało się spotkać staruszki, ale poza tym nic. A tutaj nagle miasto w środku lasu, w którym broni się kilka tysięcy ludzi. Mają nowe umocnienia, nie posiadają niczego, co miałyby dla nas wartość w razie porażki, a w dodatku...

– Może i jest w tym trochę racji – przerwała jej Juvi. – Ale tylko co do tego, że miasto miało zatrzymać nasz marsz od południa.

– Przekonamy się o tym wkrótce – skwitował Hex. – Drogi powrotnej nie ma. Gdzie my, tam granice Sag Bas.

Nocami nie maszerowali. Hex bał się poruszać leśnymi szlakami bez światła dziennego. Nie znał terenu, więc nie chciał narażać swojej armii na ryzyko pobłądzenia, a w dodatku w zwartym obozie ewentualna obrona mogłaby być łatwiejsza. Wozy z zaopatrzeniem dojechały na miejsce jako ostatnie. Ogromna armia rozlokowała się w lesie, wykorzystując każdą polanę do rozbicia namiotów. Rozpalanie ognisk było bardzo ryzykowne, ale trzaskający mróz nie pozwolił na to, by zachować ostrożność. Dlatego co krok drewno trzaskało objęte płomieniami, dając przyjemne ciepło.

Obóz rozstawiany w pośpiechu wyglądał niedbale i chaotycznie. Armia Imperium Sag Bas nie była nauczona porządku, ale Hex pilnował tego, żeby namioty dowództwa rozstawione były w samym centrum i otoczone resztą wojska. Między namiotami krążyli wartownicy, którzy pilnowali spokoju wypoczywającej armii. Wszyscy poza wartownikami pogrążyli się we śnie, grzejąc się pod pledami i przy ogniskach.

Nie spał tylko Hex. Słyszał miarowe oddechy kapłanek leżących obok i patrzył w płócienny sufit. Nie dawało mu spokoju to, że nie może podejrzeć myśli nikogo w zamku. Przypominał sobie krok po kroku swoją wizytę w twierdzy wykutej w skale. Do ostatniego dnia pobytu mógł siedzieć w głowie Kastila, nie zostawiając tam po sobie żadnego śladu. Podobnie było z każdym innym mieszkańcem zamku i nie miało znaczenia, czy był to uczonec, czy służka. Nic mu nie przeszkadzało w kontrolowaniu zachowania Erskińczyków, w czytaniu ich myśli. Nie mógł sobie darować

błędu, który popełnił, kiedy odjeżdżali. Tak bardzo skupił się na komunikacji ze swoimi oddziałami za granicą Erskinu, że przestał zaglądać do myśli Kastila i reszty. W momencie, w którym chciał do nich wrócić, było to już niemożliwe.

Skłaniał się ku temu, że w jakiś sposób Kastil dowiedział się o kamieniu neutralizującym moc Sag Bas. Mógł się o tym dowiedzieć tylko na dwa sposoby. Albo w tej ich Akademii znajdowała się księga opisująca Sag Bas i wszystko, co się z nią wiązało, albo któraś z jego kapłanek wspomniała o tym komuś na zamku. To były jego kapłanki i najważniejsze osoby w jego życiu, ale nie miał do żadnej z nich pełnego zaufania. Nikomu na świecie nie ufał do końca. Nie mógł sprawdzić, czy uczeni odkryli cokolwiek, ale mógł sprawdzić, co zapisało się we wspomnieniach kapłanek. Odkrywanie wspomnień to bolesny proces, który powinien wykorzystywać w ostateczności, i dobrze o tym wiedział, dlatego wpadł na zupełnie inny pomysł.

– Alarm! – krzyczał głośno żołnierz na zewnątrz. – Alarm! Alarm!

– Co jest?! – Hex wybiegł ubrany tylko w spodnie, trzymając w prawej dłoni swoją broń.

Żołnierz wskazał palcem w stronę zachodu obozu, gdzie rozpętała się śnieżna zamieć wdzierająca się coraz bardziej do jego centrum. Powoli wybudzający się wojownicy w pośpiechu chwyтали broń, którą mieli pod ręką, i szykowali się na to, co nadejdzie. Obserwujący to wszystko imperator mocniej chwycił topór i ugiął nieco kolana, by być gotowym na to, co nadejdzie. Tuman śniegu zbliżał się w zatrważającym tempie. Namioty przewracały się, a krzyki ludzi niosły się po całym obozie. Kapłanki, dzierżąc Kati w dłoniach, stanęły po bokach Hexa, który przeskakiwał z jaźni do jaźni żołnierzy znajdujących się jak najbliżej tego przedziwnego zjawiska. Wreszcie udało mu się dojrzeć w głowie umierającego piechura jeźdźców pędzących konno z wyjątkowo długimi kopiami pod pachą oraz drzewcami przymocowanym do pancerza na plecach, na których powiewały proporce w czarno-niebieskich barwach. Nim miał choćby szansę spróbować oszacować, ilu tych jeźdźców mknęło przez jego obozów, człowiek zginął nabity na kopię.

– Idą ławą – powiedział nerwowo. – Kopijnicy, nie wiem ilu.

– Musimy uciec na bok! – zawołała Juvii. – Oni nacierają na wprost, to jedyna szansa...

– Nie. – Ton jego głosu sprawił, że ciarki przeszły jej po kręgosłupie. – Imperator nie ucieka z pola walki. Sag Bas poprowadzi groty ich kopii tak, jak będzie uważała za stosowne. Jeśli prosto we mnie, to nie pozostanie mi nic innego, jak tylko to zaakceptować.

– Jada prosto przez środek obozu, teraz to widać. Uciekajmy! – Iv zaczęła je pospieszać.

– Uciekajcie... – Patrzył w jeden punkt znajdujący się gdzieś na środku śnieżnej zamieci pędzącej na niego.

Juvi cały czas oglądała się za siebie, ale widok zbliżającej się szarzy kopijników sprawił, że wszystkie kapłanki uciekały, ile miały tylko sił w nogach. Tymczasem chwilę później nawałnica uderzyła w samo centrum obozu. Namiot, w którym niedawno wszyscy spali, padł pod kopytami pędzących rumaków. Pierwszy rząd jeźdźców zderzył się wreszcie z przeciwnikiem, jakiego jazda Erskinu nigdy nie spotkała. Hex wyczekał do ostatniej chwili. Dopiero kiedy tuż przed twarzą zobaczył długi i ostry grot kopii, uderzył w nią z całej siły lewą ręką. Broń wbiła się w ziemię przed pyskiem konia. Zwierzę nie miało szans wyhamować, więc wpadło w cienki, ale niespotykane mocny kij, przewracając się. W tym samym czasie imperator uderzył toporem, ucinając drugiemu z koni kopyta. Przerażliwe kwiki zwierząt zagłuszyły harmider panujący w obozie. Jeźdźcy spadli w śnieg, ale nauczeni takiego sposobu walki towarzysze broni ominęli ich zgrabnie i niemal nie gubiąc kroku, cwałowali dalej, siejąc postrach i zniszczenie. Rycerze, których z siodeł wyrzucił Hex, podnieśli się błyskawicznie z ziemi i chwycili za miecze, dłuższe niż zwykle. Poczęli krążyć wokół imperatora, wykorzystując to, że mieli przewagę liczebną. Ten spróbował wkraść się do ich myśli, ale został powstrzymany.

– Starajcie się ich przepuścić przez obóz! – rozkazał wszystkim, którzy byli jeszcze przed frontem szarzy. – Potem na koń i jazda za nimi! Nie dać im nawrócić! Ścigać morgę i wrócić, jeśli ich nie złapiecie!

W większości czarne zbroje odbijały się na tle padających płatów śniegu. Wyciągnęli drzewce przytwierdzone do napleczników i wbili je w świeżo zrytą kopytami ziemię. Koń, którego zaatakował Hex, wykrwawił się, zostawiając na śniegu ogromną czerwoną plamę. Drugi okulał i wolno odszedł w stronę, z której przybył. Kątem oka imperator zobaczył, jak złapali go jego żołnierze. Jeden z rycerzy zaatakował go, nacierając obszernymi cięciami. Uderzał z góry, z prawej, z lewej, ale wszystkie ciosy



zostały zablokowane trzonem wykonanym z gałęzi Drzewa Śmierci. Szczęk broni był bardziej podobny do uderzeń metalu o kamień niż o drewno. Gruby pancerz na piersi rycerza ugiął się od kopnięcia, jakim odrzucił go od siebie imperator. Zrobił to w ostatniej chwili, by obrócić się i zbić pchnięcie wyprowadzone przez drugiego z mężów.

Hex odbijał ciosy z jednej i z drugiej strony, a to, że nie mógł odczytać zamiarów napastników, sprawiało, że robił to z trudem i w ostatniej chwili. Mięśnie na jego nagim torsie napięły się do granic możliwości. Skóra, przypominająca spękane i nieurodzajne Czarne Ziemie, wyglądała jak pancerz z fantastycznym malowaniem. Musiał przyznać, że wyszkolenie tych rycerzy było perfekcyjne. Jego topór mijał ich zbroje o włos, ale jakimś cudem za każdym razem udawało im się uciec. Wreszcie przypomniał sobie to, co wpajał kapłankom w trakcie nauki. Musiał przestać myśleć, a zacząć działać instynktownie. Rycerz po jego prawej ręce próbował cięcia z góry z wyskoku. Hex powinien sparować to uderzenie, gdy tylko ostrze zacznie spadać, i spróbować wykonać kontrę na lądującym przeciwniku. Postanowił jednak nie robić zwykłej zasłony, ale unik. Odskoczył w bok, wyciągając przed siebie lewą rękę, którą chwycił rycerza za zasłonę przyłbicy. Zyskał tym jednak znacznie więcej, bo rycerz zupełnie zaskoczony takim zachowaniem zapomniał o obronie. Topór spoczywający w prawej dłoni Hexa spadł na jego kark z ogromną siłą. Nie pomógł gruby pancerz, który pod ostrzem pokrytym symbolami Sag Bas zachował się jak pergamin. Trafił tak, że niemal cała odległość między barkami została przecięta.

Odrzucił zwłoki na śnieg, wyciągając z nich swoją broń, i natychmiast ruszył w kierunku drugiego napastnika. Ten, widząc, co spotkało jego kompana, nieco się cofnął. Widać było, że jego nogi nie stały już tak twardo na ziemi. Imperator ruszył szybkim krokiem, trzymając broń w dłoni. Rycerz cofał się, unikając walki, ale natrafił na zwłoki konia, o które się potknął. Wpadł w kałużę krwi, co chciał z kolei wykorzystać Hex. Nie przewidział jednak tego, że Erskińczyk rzuci mu w oczy śniegiem zmieszany z krwią. Nim otarł twarz i odzyskał widzenie, jego przeciwnik zdążył się podnieść. Wyczuł na karku jego obecność i w ostatniej chwili rzucił się przed siebie, wpadając w krew. Rycerz stał tuż za nim i już zaczął ruch mający wbić ostrze prosto w nerki przeciwnika. Hex szybko zerwał się na nogi, pomagając sobie toporem, i z wielką wściekłością rzucił się na

kopijnika. Ten znów był zmuszony do obrony, odskakując do tyłu. Jeden z ciosów był już zbyt mocny i jego broń została przecięta w połowie ostrza.

Przerażony rycerz odrzucił to, co zostało mu w dłoni, i próbował ucieczki. Pospiesznie ściągnął z głowy hełm i biegł przed siebie. Nagle gwałtownie poleciał w przód. Ledwo utrzymując się na nogach, zatrzymał się po kilku krokach i spojrzał w dół. Zobaczył fragment ostrza w kształcie półksiężyca wystający z jego klatki piersiowej. Po ciemnym napierśniku popłynęła stróżka krwi. Klęknął, a potem upadł twarzą w śnieg. Żył jeszcze i słyszał skrzypienie śniegu pod nagimi stopami potwora, z którym przed chwilą walczył. Hex postawił stopę na jego plecach i wyciągnął topór. Kilka nerwowych chrząknięć zakończyło żywot jednego z wojowników erskińskiej jazdy. Imperator patrzył prosto w głęboką bruzdę wybitą w zbroi rycerza, oddychając coraz spokojniej. Jego potężne barki wznosiły się i opadały miarowo, a krew, którą był pokryty, spływała po ramieniu, przez trzonek i ostrze, skapując na czerwony już śnieg.

Tętent kopyt i krzyki żołnierzy stopniowo oddalały się. Hex stał w śniegu, ociekając krwią. Płatki spadającego białego puchu osiadały na jego ciele, natychmiast zabarwiając się na czerwono. Rozgrzany po walce parował niczym kocioł z gorącą wodą. Jego topór opierał się ostrzem o ziemię. Obok niego leżało ciało jednego z najeźdźców, kawałek dalej drugie. Nieopodal ludzkich zwłok leżał martwy koń. Kapłanki wróciły na miejsce przerażone. Ledwo łąpały oddech, zbliżając się do imperatora.

– Ta krew... – Juvy wzdygnęła się, widząc stan, w jakim był Hex.

– Nie moja – odparł, odwracając się do nich.

– Co się tutaj właściwie wydarzyło? – zapytała Iv, rozglądając się wokół.

– To chyba jasne – odpowiedziała jej Ahga. – Erskińczycy urządzili zasadzkę. Dowiedzieli się, gdzie obozujemy, i wpadli tutaj nas pozabijać!

– Gdyby chcieli nas pozabijać, to nie wysłaliby takiej garstki – stwierdziła przytomnie Tia. – Wydaje mi się, że to było coś na kształt rozpoznania.

– Obawiam się, że możesz mieć rację, kapłanko. – Hex przetarł twarz, jeszcze bardziej rozmazując na niej krew. – To było wojsko, o którym czytałem jeszcze w świątyni. Ci jeźdźcy są szkoleni od dziecka w posługiwaniu się tymi długimi włóczniami. Potrafią pędzić z pełną prędkością i przejeżdżać przez oddziały pikinierów, ciężkozbrojnej piechoty, przez umocnienia, tak jak przejechali przez ten obóz.

– Ale przecież taka szarża jest jednorazowa! – Mossa machnęła ręką. – Połamią te swoje kopie i jest po nich.

– Kiedy strąci się ich z konia albo stracą swoją główną broń, sięgają po miecz – ciągnął imperator. – To dłuższa wersja zwykłego miecza. Trudniejsza do zablokowania. W dodatku oni naprawdę dobrze się tą bronią posługują. Walczyłem z nimi i wiem, że zwykły piechur nawet ich nie tknie. Będziemy musieli się poważnie zastanowić, jak ich powstrzymać.

– Nie wystarczy, że nakazesz im się zatrzymać? – Rollo rozłożyła ręce.

– Nie wystarczy! – warknął. – Nie mogę wejść do ich umysłów. Coś mnie blokuje i... – Przerwał nagle i kucnął przy leżących obok niego zwłokach erskińskiego rycerza. Przewrócił go na plecy i sięgnął pod napierśnik, spod którego po chwili wyciągnął wisiołek. Rzucił nim w Juvii.

Kapłanka ledwo chwyciła ciśniętą w jej stronę biżuterię.

– To bursztyn... – Spojrzała na niewielki kawałek kamienia przytwierdzony do rzemyka.

– Też ma coś takiego. – Tia podniosła zawinięty wokół dłoni rzemyk.

– Przynajmniej wiem, na czym stoję – powiedział pod nosem. – Muszę pomyśleć. Ahgo, zajmij się naprawą namiotu. Weź ludzi, niech się tym zajmą i naprawią wszystko jak należy. Iv, ty poczekaj, aż wrócą jeźdźcy, i zdasz mi raport z tego, co zrobili. Reszta niech sprawdzi, jakie szkody ten atak poczynił w obozie. – Oparł się o topór. – Chcę wiedzieć, co zostało zniszczone i ilu ludzi nie nadaje się do walki.

– Oczywiście, a mogę jeszcze o coś spytać? – Mossa nieśmiało podniosła rękę.

– Tak. – Westchnął.

– Skoro chcieli zrobić rozpoznanie – tłumaczyła, gestykulując – to dlaczego nie przysłali szpiega, który by obserwował obóz z daleka? Dowiedziałyby się tyle samo, a byłoby mniejsze ryzyko, że wpadnie w nasze ręce, że zginie...

– Kastil zaryzykował – odparł. – Wiedział, że ktoś z jego jazdy może odnieść obrażenia, może nawet wpaść w nasze ręce, ale wiedział też, że taki atak odniesie skutek. Wiedział, że teraz będziemy stali tutaj w tym zrujnowanym obozie i obawiali się, co zrobi następnej nocy.

– Może i tak. – Podrapała się po czarnej czuprynie. – Ale my wiemy, że oni mają te bursztyny i wiedzą, do czego one służą...

– I co nam to da? – odpowiedział pytaniem. – Nie mogłem wejść do ich umysłów, nie mając dowodów na to, że znają prawdę. Teraz nadal nie

mogę tego zrobić. Nie ryzykował niczym, a zyskał przewagę morale. Na nas to nie wpłynie. – Wskazał palcami zebranych. – Weźcie jednak pod uwagę tych prostych ludzi, którzy muszą się ogrzewać, muszą spać i jeść... Oni najwięcej stracili na tym podstępny ataku. Właśnie dlatego zaryzykował i wysłał podjazd swoich najlepszych żołnierzy. Idźcie już!

Imperator siedział na beczce i wpatrywał się gdzieś w dal, w czasie kiedy żołnierze piechoty uwijali się, by ponownie postawić sporych rozmiarów namiot dowództwa. Hex zupełnie nie zwracał na nich uwagi zapatrzony w swoje własne myśli. Pracę żołnierzy nadzorowała Ahga, która z wściekłością w oczach pokrzykiwała na nich. Nie brała pod uwagę tego, że rozłożenie namiotu, po którym przebiegły setki kopyt, bardziej przypomina rozwiązywanie logicznej zagadki niż zwykłą obozową robotę. Troki, ścianki, podłoga i sufit nie były tam, gdzie być powinny, i nie wystarczyło po prostu wbić kołków. Musieli wymieniać połamane deski, a nie było to proste w chaosie, jaki po ataku zapanował w całym obozie. W pewnym momencie rozproszyli się, słysząc zbliżających się jeźdźców. Żołnierze Imperium Sag Bas minęli jednak centrum obozu i wrócili w okolice swoich namiotów, do swoich oddziałów. Po czasie ze strony, w którą pojechali, wróciła Iv.

– Nie udało im się doścignąć nikogo... – mówiła wolno, ostrożnie dobierając słowa. – Erskińczycy uciekli. Mieli szybsze konie, znali teren, łucznicy nie mogli się przebić przez zbroje...

– Powiedz mi, czy uciekali zbitą grupą, tak jak nacierali? – Spokój w jego głosie był przytłaczający.

– Nie. – Pokręciła głową. – Podobno rozbili się na mniejsze grupki i skręcali w różnych momentach w różne strony...

– Zatem plan ucieczki też opracowali – powiedział już do siebie.

– Mam zrobić coś jeszcze? – Czekwała na odpowiedź dłuższą chwilę, ale Hex nie odezwał się już do niej.

Odeszła, mijając się z pozostałymi kapłankami, które wróciły z obchodu obozu. Wymieniła z Juvi zrezygnowane spojrzenia i zmęczona, niewyspana usiadła na skrzyni. W tym czasie Mossa, Juvi, Rollo i Tia stanęły za Hexem. Spojrzały po sobie, nie wiedząc, która z nich ma opowiedzieć o tym, czego dowiedziały się przed chwilą. Najodważniejsza była Juvi.

– Hex ... – zaczęła. – Zginęło prawie półtora tysiąca ludzi, z różnych oddziałów... Rannych jest około dwustu...

– Trzeba będzie ich tutaj zostawić. – Odwrócił się w ich stronę. – Zniszczenia?

– Kilkadziesiąt namiotów, parę wozów, trochę broni – odparła Tia. – Celowali w ludzi...

– Rozumiem. – Cały czas miał na sobie zaschniętą już warstwę krwi. – Czy można zatem uznać, że straciłem dwa tysiące ludzi, ale mobilność mojej armii nie jest zagrożona?

– Tak, można tak powiedzieć... – Juvi nie była przekonana.

– Wspaniale – odparł, zaskakując kapłanki. – Niech oni przestaną walczyć z tym namiotem. Słońce niedługo podniesie się na tyle, by dało się wyruszyć w dalszą drogę. Zajmijcie się tym, by obóz był gotowy do wymarszu przed świtem.

– Dobrze, ale ludzie są niewyspani, zmęczeni, przestraszeni... – zaprotestowała Tia. – Może chociaż część powinna móc przespać się do rana. Jesteśmy osłabieni...

– Wyśpią się, kiedy wojna dobiegnie końca. – Spojrzał na nią. – Wyprzedzę ruch Kastila i nie pokażę po sobie najmniejszego uszczerbku. Ale być może któraś z was uważa, że powinniśmy tutaj poczekać, aż nas zaatakują ponownie?

– Nie, ale... – Rollo zamilkła, widząc jego wzrok.

– Ale co? – Zbliżył się do niej. – Lepiej poczekać? Czy może lepiej przekazać Kastilowi jakąś tajną, ale wybitnie kluczową wiadomość?

– O co ci chodzi? – wtrąciła się Juvi.

– Zapytajmy Rollo. – Była na wyciągnięcie jego ręki. – Być może będzie w stanie opowiedzieć nam więcej o tym, dlaczego cały Erskin nosi ze sobą bursztynowe błyskotki.

– Masz na to jakieś dowody? Nie pozwolę oczerniać jednej z kapłanek! Nawet tobie!

– Pomyśl tylko. – Odłożył broń, którą cały czas trzymał w prawej dłoni. – Jaka jest szansa, że mają u siebie księgę, która opisuje, jak bronić się przed wybrańcem Sag Bas, a jaka jest szansa na to, że ona, żegnając się ze swoim ukochanym, wyszeptala mu najbardziej skrywaną tajemnicę.

– To nie jest dowód, tylko twoje domysły! – zawołała Iv, podchodząc do grupy.

– Przecież wszystkie doskonale wiecie, w jaki sposób mogę wyciągnąć z niej informację o rozmowie z Kastilem przed naszym wyjazdem. – Niebezpieczny błysk pojawił się w jego oku.

– A ty dobrze wiesz, z jakim cierpieniem się to wiąże! – zaprotestowała Ahga.

– Właśnie! – dodała Mossa.

– O czym on mówi? – zapytała przerażona Rollo. – Co to za sposób?

– Widzisz! – Wskazał palcem. – Gdyby nie miała nic na sumieniu, to nie byłaby teraz tak zdenerwowana! Widzę w jej myślach ogromne przerażenie...

– Boi się, bo nie wie, o czym mówisz, a widzi, jaki jesteś roztrzęsiony! – Szturchnęła go Iv.

– Słuchaj, kapłanko – zwrócił się do Rollo, ignorując resztę. – Jeśli przyznasz się teraz do tego, co uczyniłaś na zamku w Erskinie, to kara, jaka cię spotka, nie będzie tak wysoka i ominie cię cierpienie związane z czytaniem wspomnień.

– Nic takiego nie zrobi. – Juvy objęła ją. – Nie próbuj tego! Masz sześć kapłanek, a jeśli to zrobisz, możesz nie mieć żadnej! Wierzę w to, że ona nie powiedziała temu chłopakowi nic ważnego, i ty też w to uwierz.

– Uważajcie na swoje słowa – ostrzegł je zimnym tonem. – Daję ci ostatnią szansę, kapłanko. Później przestanie być miło i poznasz, co znaczy prawdziwy ból.

– Hex, błagam cię – nie odpuszczała Juvy. – Opanuj emocje. Mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Nawet jeśli oni się o tym dowiedzieli od kogoś, to... No przecież karząc ją, nie cofniesz ich wiedzy, nie wymażesz im z głów tego, co już w nich mają!

– Oczywiście, że nie, ale przykładna kara powstrzyma innych przed jakąkolwiek próbą zdrady...

– Masz obsesję na punkcie zdrady! Dziewczyna nic nie zrobiła...

Zachłysnęła się powietrzem i wypuściła z objęć młodą kapłankę. Upadła w śnieg i zwinęła się w kłębek, z trudem łapiąc oddech. Pozostałe kolejno robiły to samo. Iv trzymała się najdłużej na nogach, mrużąc jedynie oczy, ale po chwili krew pociekła jej z nosa i również upadła.

Rollo przeskakiwała wzrokiem z jednej na drugą i odsuwała się mimowolnie od stojącego przed nią imperatora. Łzy kapały na jej bielutką szatę. Błyskawicznym ruchem Hex złapał jej głowę w obydwie ręce. Nie ścisnął jej, tak jak się spodziewała. Po prostu trzymał ją na tyle, by stała stabilnie w jednym miejscu. Nie zdążyła mrugnąć, a poczuła oszałamiający ból głowy, zrobiła się wiotka i tylko sękaty ramiona imperatora sprawiały, że nie upadła bezwładnie. Tymczasem on przemierzał jej wspomnienia

w poszukiwaniu tego właściwego. Natknął się w jej myślach na wspomnienia dzieciństwa, beztroskiego, ale zawsze ściśle kontrolowanego przez ojca, nerwowego oczekiwania na to, co zastanie w zamku, pięknych chwil w Erskinie, przerażenia ucieczką z miasta, porwania, strachu, bólu, cierpienia i nienawiści do czerwonych kapłanów w czasie jej pobytu w świątyni. Nigdzie jednak nie mógł znaleźć tego, co było dla niego najważniejsze. Przebył całą drogę z Phedas do Erskinu, wszystkie lekcje, jakie odbyła z nim i kapłankami. Ta podróż przez wspomnienia dla wszystkich obok nich trwała mgnienie oka, ale dla niego była to prawdziwie wymagająca droga. Wreszcie natrafił na to, co chciał.

– Słyszałam, że on boi się bursztynu, podobno to ma jakąś moc blokującą możliwość wejścia do myśli – mówiła na głos zmuszona przez Hexa. – To wasza jedyna szansa, żeby ta wojna była sprawiedliwa. Kastilu, proszę cię, niech każdy z was ma przy sobie ten kamień, a w szczególności ty... Błagam... – Głos urwał się nagle, uścisk zelżał i wycieńczona okropnym bólem dziewczyna upadła na ziemię. Imperator dyszał głośno. Zupełnie przestał kontrolować pozostałe kapłanki, które podnosiły się ze śniegu, potrząsając głowami i rozmasowując skronie.

– Słyszałyście – odezwał się. – Chciała, żeby było sprawiedliwie.

– Co teraz? – Juvi sprawdziła stan dziewczyny. – Czyba jej nie zabijesz?

– Nie. – Minął je, przechodząc w stronę wozu, na którym znajdowały się jego rzeczy. – Ona już karę odbyła.

## Rozdział XLVIII

W mieście i na dziedzińcu zamkowym panowało wielkie poruszenie. Mieszkańcy przenosili zapasy żywności, wody i innych napojów za mury zamku. Niestety większość dobytku musieli zostawić na zewnątrz, bo choć Erskin był potężnym zamczyskiem, to nie byłby w stanie pomieścić wszystkiego, co było dla mieszkańców wartościowe. Król i jego doradcy doskonale wiedzieli, że usytuowanie miasta sprawi, że zostanie ono zniszczone. W końcu, żeby dostać się pod mur twierdzy, trzeba było przejechać głównym traktem. Właśnie dlatego prawie trzy tysiące kobiet i dzieci znalazło schronienie za murami. Wszyscy, którzy byli na tyle sprawni, by chwycić za miecz, zostali wcieleni do oddziałów obrony.

Kastil, zarządzając ewakuację, miał w głowie jeszcze jeden pomysł. W Akademii jakiś czas temu odkryto substancję, która na wolnym powietrzu wytwarzała bardzo dużo gryzącego, czarnego dymu, ale zamknięta w szczelnych glinianych słojach wybuchiała. Transporty tego proszku, który zwany był dingh, jechały do Erskinu co koń wyskoczy, by móc stać się częścią królewskiego planu. A plan był taki, by wypełnić wszystkie drewniane domy stojące przy ulicach jak największą ilością dinghu zamkniętego w glinianych wazach. Gdy armia imperium zaleje ulice, łucznicy będą wzniecać ogień, pod wpływem którego dingh wybuchnie, raniąc najeźdźców i wprowadzając w ich szeregi chaos. Każdy dom, którego mieszkańcy znaleźli się już za murem, został w taki sposób przygotowany.

Drugą sprawą, którą Kastil postanowił rozwiązać, było utrzymanie naturalnych osłon zamku. Zimą rzeka Issint potrafiła w tym fragmencie zamarznąć, co z pewnością ułatwiłoby szturm. Zbliżające się do siebie brzegi nie były dobrą informacją, dlatego Iskel i Kastil postanowili wylać na wały i gruby lód warstwę smoły, która ukryta pod śniegiem czekała na podpalenie. Wysoka temperatura miała szybko stopić lód i uwolnić wartki



nurt rzeki, a w dodatku powstrzymać pierwszą szarżę przeciwnika na mury zamku.

Król Kastil z końskiego grzbietu doglądał rozkładania słoików w domach, przejeżdżając wąskimi ulicami miasta. Towarzyszył mu Dever Monerweh, który stał się głównym doradcą w sprawach oblężenia.

– Ile to jeszcze zajmie? – zapytał król.

– Dzień, góra dwa – odparł gwardzista. – Nie wszyscy opuścili jeszcze swoje domy, czekamy też na ostatni transport z Akademii.

– Bardzo dobrze. – Skręcił w drogę prowadzącą na północ. – A co z niespodziankami na północy i południu?

– Prawie gotowe. – Przytaknął. – Czekamy, aż powrócą oddziały z północy, i zostawimy to przygotowane na przyjęcie gości.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze. – Kastil pokiwał głową. – Miejmy nadzieję, że to się sprawdzi. Widzisz to? – Król zmrużył oczy, wpatrując się w horyzont przed nimi.

Dever przysłonił dłonią oczy, by lepiej widzieć kształty wyłaniające się z oddali. Obydwaj pogonili swoje konie wąską drogą w kierunku zbliżającej się w ich stronę bezkształtnej masy.

– Dlaczego nas nie zawiadomiono! – krzyknął Kastil, poganiając konia. – Pędź do zamku, niech się przygotowują!

– A wasza miłość?!

– Wyjadę im naprzeciw! – Rzucił się galopem.

Nim Dever zdążył cokolwiek powiedzieć, król oddalił się w stronę tego zjawiska. Jego koń mknął, ile tylko miał sił, a sam Kastil ścisnął lejce tak mocno, że skórzane pasy wrzynały mu się w urękawiczone dłonie. Aż serce go kłuło, kiedy widział twarze żołnierzy wysłanych po to, by bronili drogi od północy. Z ponad dwudziestu tysięcy, które wyjechały w okolice Kolmskinu, powróciło tylko kilka tysięcy. Byli poobijani, zmęczeni. Widać było, że uciekali z pola walki, w pośpiechu gubiąc po drodze części uzbrojenia.

– Żołnierze! – Zatrzymał się przed nimi. – Dlaczego nie meldowaliście? Wysłałbym po was...

– Wasza miłość... – Skłonił się jeden z toporników. – Nie było czasu nawet zabrać ze sobą wody... Musieliśmy uciekać prędko. Nie szło inaczej. Zalali nas, pozabijali dowódców...

– W jaki sposób? – Zsiadł z konia i doszedł do nich.

– Mieli takich łuczników na koniach... – dodał inny, siny na twarzy. – Oni pędem wjechali w nasze szeregi i strzelali do każdego, kto wyglądał na ważnego... Trafiali nawet w ciężkozbrojnych...

– Tak, wasza miłość – dorzucił ktoś z drugiego szeregu. – Nie chybili ani razu. Jak ruszyła szarża konnicy, to usłyszałem tylko, żeby ucie-kać.

– Była noc... – dodał inny, któremu z ucha pozostała tylko czerwono-czarna chropowata dziura. – Nie mieliśmy nawet chwili na zastanowienie, po prostu ruszyliśmy na południe, głównym traktem.

– A co z resztą? – dopytywał król. – Idą za wami?

– Nie wiem. – Pokiwał głową topornik. – Nikt za nami nie szedł, sprawdzalim. Dużo poginęło już w trakcie bitwy, a co z tymi, co nie zdążyli uciec, to nie wiemy.

– Chodźcie do zamku. – Król machnął ręką. – Musicie się ogrzać. Opatrzmy was i nakarmimy, a potem... Potem chwycicie w dłonie broń i pomożecie nam w walce z tymi psami.

Mroźny wiatr rozwiewał poły płaszczy mężczyzn przechadzających się po zamkowym murze. Przyglądali się przygotowaniom do oblężenia prowadzonym na dziedzińcu. Nie wiedzieli jeszcze, kiedy nastąpi atak, ale wiedzieli, że muszą być na niego przygotowani. Żeby móc umieścić wszystkich potrzebujących schronienia, musieli wynieść całą broń przed zamek. Poustawiano ją więc wraz ze stojakami, a koszary i lochy zostały przygotowane na tymczasowe mieszkania dla potrzebujących. Gwardziści, wraz z zamkową służbą, pilnowali tego, by zapełnianie tych schronów przebiegało w spokojny i bezpieczny sposób.

– Wróciło ich tylko pięć tysięcy. – Kastil oparł się o blanki, zerkając na dziedziniec, po którym poruszały się małe postaci. – Mają odmrożenia, rany... A przecież to ludzie z gór, ludzie z północy, dla nich takie temperatury to nic wielkiego.

– Próbowałem z nimi porozmawiać, ale nie powiedzieli nic więcej, ponad to, co już wiemy, mój królu. – Iskel stanął obok niego, szczelniej otulając się swoją szatą.

– Wiem, tylko martwi mnie to i zastanawia, dlaczego celowali głównie w dowódców albo w wojowników wyglądających na ważniejszych. – Przetarł oczy.

– Co się dzieje, kiedy na polu walki oddziały tracą dowódców? Wpadają w panikę i nie wiedzą, co robić dalej, myślę, że taki właśnie cel mieli i teraz. – Uczony wzruszył ramionami.

– To oczywiste, ale co, jeśli mają w tym jakiś głębszy zamysł? Coś, co nam wszystkim umyka...

– Nie możemy tego wykluczyć, ale zatapianie się w tych myślach nic nie da. – Potężny górski masyw, na którym czerń skał mieszała się z bielą śniegu, wzbudził w Iskelu trwożę, jak zawsze od niepamiętnych już czasów. – Trzeba się skoncentrować na tym, co wiemy, czego jesteśmy pewni i jak możemy przeciwdziałać zagrożeniu.

– Tak, tak, tak. – Kastil przytaknął. – Wszystko wiem, Iskelu, ale nie daje mi to spokoju. Nie daje mi też spokoju to, że skazałem tamtych ludzi na śmierć...

– Tak było trzeba... – Westchnął. – Lochtairczycy wybrali taki los.

– Wybrali... – Parsknął. – A mieli jakieś wyjście? Dostali od nas zadanie. Mieli spróbować zatrzymać jak najdłużej maszerującą od południa armię. W jaki inny sposób mieli to zrobić?

– W tak krótkim czasie trudno było cokolwiek wymyślić. – Starszy uczonek uciekał wzrokiem. – Meldowali, że postawili palisadę wokół miasta i mają plan, jak wykorzystać swoją przewagę.

– Jak się ten ich plan zakończył? – Kastil spojrzał ze złością w oczach.

– Nie ma od nich żadnego meldunku od kilku dni, a nasi zwiadowcy musieli się wycofać.

– Za to mamy meldunki z linii obrony. – Huknął pięścią w mur. – Pisali, że widzieli dym i czuli spaleniznę. Co innego mogło się palić w tym rejonie, jeśli nie miasto z drewna?

– Mój królu... – Uczony westchnął. – Nie zapomnimy o ich bohaterstwie bez względu na to, co tam się wydarzyło. Jednak toczymy wojnę i ofiary są w niej rzeczą normalną. Ja wiem, mój królu, że dla ciebie to nie jest łatwe. Dla nikogo nie jest. Jednak czas na darcie szat i opłakiwanie zmarłych przyjdzie po tym, jak pokonamy naszych wrogów.

– Jakież nowe meldunki? – Odetchnął głęboko, przymykając oczy. – Coś z północy?

– Nie, z północy już nic – odparł smutno. – Poza tymi, co wrócili, chyba próżno czekać na kolejnych.

– Dlatego musimy spodziewać się ataku z północy lada chwila. – Pokiwał głową.

– Można to założyć – potwierdził uczonek, wyciągając zwoje z kieszeni.

– Dobrze, że wszystko przygotowane, czytaj, proszę. – Kastil starł śnieg z blanek i usiadł na murze.

– Duthbein napisał, że twierdza została zabezpieczona, a wszyscy potrzebujący są za jej murami. – Uczony schował list.

– To bardzo dobrze, co dalej?

– Generał Unyk z Reimrahu napisał, że armia rwie się do walki, aż trudno ich utrzymać w szeregach, żeby nie wyrwali w pole. Zwiadowcy, którzy wrócili do tej pory, nie spotkali nigdzie przeciwników. Piszą też, że wszyscy już zostali wyposażeni w bursztynowe wisioriki. Mam jeszcze jeden list.

– Skąd? – Kastil zdziwił się.

– Z Bernsternu – odparł. – Piszą, że mają gotowy kolejny transport bursztynu, ale na razie odpisałem, żeby się wstrzymali, bo każdy z naszych ma już swój amulet.

– Trzeba im było odpisać, żeby przysłali więcej wojska – mruknął król.

– Myślę, że nie mamy się co spodziewać choćby pół oddziału więcej. – Iskel wzruszył ramionami. – I to nie tylko z Bernsternu, ale z każdego kraju.

– Tacy sojusznicy... – Pokręcił głową. – Czas zejść na dół. Chodź, Iskelu. Napijemy się gotowanego piwa z przyprawami, bo wicher zimny.

– Przy takim wietrze łucznicy będą potrzebowali porządných ognisk, by tutaj wytrzymać całe oblężenie. – Wyjrzał na drugą stronę. – Chyba piwo będzie musiało poczekać, mój królu.

Zobaczyli jadących spokojnie jeźdźców z proporcami Erskinu przypiętymi do pleców. Cała kolumna kroczyła głównym traktem w kierunku bramy do zamku.

– Schodzimy! – zawołał wyraźnie podekscytowany. – Muszę posłuchać ich meldunków.

Król popędził przodem, zgrabnie schodząc po wykutych w kamiennym murze schodach, i zostawił za sobą starszego uczonego. Przeskakiwał po dwa schody naraz, a serce chciało mu się wyrwać z piersi. Z muru nie dało się dostrzec, ilu jeźdźców wróciło i w jakim byli stanie. Kiedy wylądował na dziedzińcu po skoku z ostatnich kilku stopni, giermkowie i służba odbierali już konie od rycerzy. Kolejni pomagali im zdjąć pancerze i pozbyć się broni. Konie prowadzono do ogromnych stajni obok zamku, gdzie od czasu mobilizacji zrobiło się wyjątkowo tłoczno, bo poza zwierzętami nocowali tam również giermkowie i służba elitarnych rycerzy. Z powodu zamieszania panującego na dziedzińcu zauważyli króla dopiero

w ostatniej chwili. Przyklęknęli przed nim na prawe kolano niemal równocześnie.

– Wstawajcie, wstawajcie! Powinniście odpocząć, a nie klękać.

– Spokojnie, wasza miłość – odparł jeden z nich. – Jakby trzeba było, to byśmy mogli zaraz wyjeżdżać drugi raz!

– Nie ma takiej potrzeby. – Machnął ręką, rozglądając się. – Gdzie kapitan Neyk? Chciałbym odebrać meldunek z podjazdu.

– Wasza miłość. – Wysoki, barczysty młody chłopak o czarnych włosach wyprostował się. – Kapitan Neyk nie wrócił z nami. Jeśli wasza miłość pozwoli, to ja złożę meldunek.

– Nie wrócił... – Twarz Kastila przybrała kolor śniegu. – Melduj...

– Podjazd rozpoczął się zgodnie z planem – zaczął. – Wyjechaliśmy w luźnym szyku w dwustu konnych. Do obozu było trzy dni spokojnej jazdy. Był dokładnie tam, gdzie wypatrzył nasz zwiadowca, i wyglądał dokładnie tak, jak nam go opisano. Otoczyli go wozami, tak jak my to robimy, ale nie spięli ich jak należy, zostawiając spore luki. Namioty też stały luźno i z pozoru bez ładu. Wysłani przodem dwaj jeźdźcy zdjęli strażników, przez co udało się zaszarżować, w pełni zaskakując śpiący obóz. Zwarliśmy szyk kolano w kolano, opuściliśmy kopie i wcisnęliśmy się między wozy. Cwałem jechaliśmy przez obóz do samego centrum, tak jak było zaplanowane. Alarm podniesiono dopiero wtedy, gdy cały podjazd był już w obozie. Tratowaliśmy namioty, nadziewaliśmy tych, którzy z nich wybiegli. Wszystko szło zgodnie z planem...

– Co się stało dalej? – Kastil zacisnął szczękę wyjątkowo mocno.

– Dojeżdżaliśmy do środka obozu – ciągnął młody kapitan, uciekając wzrokiem. – Widziałem, jak kapłanki uciekają spod namiotu. Wtedy wydarzyło się coś, czego nawet nie jestem w stanie pojąć, wasza miłość... W zwartym szyku, z opuszczonymi kopiami pędziliśmy przez środek tego obozu, uciekali albo ginęli, ale imperator nawet nie drgnął. Stał jak ściana na wprost gnających koni... Kapitan Neyk i inni w pierwszym szeregu nie mogli zwolnić, więc uderzyliśmy... Potem wszystko działo się tak szybko. – Sposób, w jaki mówił, nie przypominał meldunku. – On złapał kopie w dłoń, przeciął końskie nogi... Kapitan spadł z konia, obok niego jechał Unert, który też upadł... Reszta rozluźniła szyk, by ich ominąć, ale nie mogliśmy się zatrzymać. Ruszyliśmy dalej i nikt nie oglądał się za siebie.

– Jak wyglądał atak dalej? – Iskel położył dłoń na ramieniu Kastila.

– Przebiliśmy się przez obóz do końca, zgodnie z rozkazem. – Odetchnął.  
– Ruszyli za nami w pościg. Jednak zanim się dobrze zorganizowali, udało nam się odjechać dostatecznie daleko. Zgodnie z planem dzieliliśmy się w lesie na mniejsze grupy, by ich zmylić. Nie mieli szans nas złapać na naszym terenie, wasza miłość. Spotkaliśmy się w punkcie zbornym o wyznaczonym czasie, ale brakowało Unerta i kapitana... Pozwoliłem sobie przejąć dowództwo nad podjazdem...

– Dobrze zrobiłeś. – Uczony widział, że Kastil mocno przeżywa stratę dwóch ludzi. – Powiedz nam jeszcze... Czy kapitan i towarzysz mogli podjąć walkę z Hexem?

– Jestem przekonany o tym, że podjęli walkę – odparł zdecydowanie. – Jeśli tylko podczas upadku nie skręcili sobie karków, to nie zginęli z mieczem w pochwie.

– A czy mogli zostać wzięci do niewoli? – zapytał Kastil. – Czy mogą zdradzić jakieś nasze tajemnice?

– Wasza miłość... – Rycerz aż zadrżał, a za nim wyprostowali się wszyscy jego towarzysze. – Bycie jeźdźcem w tej formacji to coś więcej niż honor. Żaden z nas nie poddałby się do ostatniej kropli krwi. Jeśli w jakiś sposób udałoby się przeciwnikowi nas pochwycić, to nawet gorącym żelazem nie wyciągnie z nas żadnej tajemnicy, służba tutaj...

– Nie żelazo jest ich bronią, kapitanie – przerwał mu Kastil. – Dziękuję za meldunek i za podjazd, panowie. Zapraszam do sali tronowej, gdzie będziecie mogli ogrzać się przy ciepłej strawie. Iskelu, każ Thondarowi wszystko przygotować.

Młody władca cały wieczór spędził na doglądaniu swoich poddanych rozmieszczonych w zakamarkach erskińskiego zamku. Ogromne sale zapełniły się ludnością i trzeba było zadbać o to, by ich podstawowe potrzeby były zaspokojone jak najlepiej. Król nie chciał zawieść zaufania, jakim go obdarzyli. Dlatego właśnie osobiście zszedł do lochów, gdzie w obszernych, zimnych celach zgromadzili się mieszkańcy. Pomieszczeń było na tyle dużo i były na tyle przestronne, że udało się tam zmieścić prawie sześćset osób. Dodatkowo sto pięćdziesiąt osób znalazło miejsce w pomieszczeniu przed celami, stanowiącym miejsce zbiórki na wypadek ataku. Opróżniono też magazyny na broń, rozdając ją wszystkim zdolnym do obrony, więc dodatkowe miejsce wykorzystano na zapewnienie schronienia kolejnej dwusetce. Jeszcze więcej ludzi udało się zmieścić w koszarach. Mogły pomieścić prawie dwa tysiące żołnierzy w pełnych

pancerzach. Zmieściło się tam ponad dwa i pół tysiąca ludzi niezdolnych do obrony. Kobiety, dzieci i starcy przyglądali się przechadzającemu się wśród nich władcy z wdzięcznością. Kastil przechodził wśród nich, rozdając pieczone kukurydziane placki.

Przewidując długie oblężenie, magazyny wypełniono żywnością. Pod kuchnią wydrążono obszerne piętrowe piwnice wgryzające się jeszcze bardziej w głąb góry. Było tam zimno i wilgotno, a poruszać się po tym labiryncie potrafili tylko pracownicy kuchni. Zapełniono je żywnością po sufit, ale już teraz zaczęto wydzielać racje. Iskel nie chciał dopuścić do tego, by w razie długiego oblężenia zabrakło żywności. Poza tym była zima, wojna mogła się przeciągnąć do wiosny, co oznaczało kolejny rok bez plonów. Spędzono na dziedzińcu również zwierzęta hodowlane, by mieć dostęp do świeżych jaj, świeżego mleka czy mięsa. Znaczną część zwierząt zabito, a ich mięso zakonserwowane solą składowano w magazynach. Głód mógł stać się kolejnym wrogiem, nawet groźniejszym niż samo imperium. Dlatego tak dokładnie zaplanowano wydawanie racji żywnościowych. Ludzie dostawali raz dziennie posiłek ciepły, a dwa razy zimny. Porcje były wyważone na tyle, by nie opadali z sił, ale też by nie marnować nawet kęsa.

Kastil pomagał rozdawać placki, by przy okazji zobaczyć, jakie panują wśród nich nastroje. Kiedy wrócił do swojej sypialni, upadł ciężko na fotel, ukrywając twarz w dłoniach.

– Oczekiwanie jest najgorsze, prawda? – W drzwiach stanął Tidur.

– Co się z nimi wszystkimi stanie, jeśli podjąłem złą decyzję? – Kastil spojrzał na niego.

– Tak zupełnie szczerze mówiąc, mój szanowny królu, to jeśli podjąłeś złą decyzję i my tę wojnę przegramy, to nie będzie to już twój problem. – Postawił na stoliku antałek i klapnął na drugi fotel.

– Picie teraz to chyba nie jest dobry pomysł, Tidurze – odparł smutno.

– Po pierwsze. – Księżę uniósł palec wskazujący. – Jeden antałek to nie jest picie. A po drugie, to słabe wino z jabłek. Nawet ty musiałbyś wypić ze trzy takie antałki, żeby chociaż w głowie zaszumiało. Przyszedłem pogadać, a od gadania zasycha w gardle...

– Skoro tak stawiasz sprawę... – Westchnął i wyciągnął puchary spod stolika. – Chciałem pobyć sam, ale może i przyda mi się rozmowa...

– Pewnie, że ci się przyda! – Tidur odkorkował butelkę. – Widzę, jak ostatnio wyglądasz. Łazisz struty, oczy podkrążone. Nie śpisz pewnie, co?

– Zgadłeś. – Król pokiwał głową. – Każdej nocy rozgrywam w głowie tę wojnę. Śnią mi się mieszkańcy Lochtairu, jak tylko zamknę oczy. Widzę tych ludzi tłoczących się pod podłogą. Widzę ich pełne nadziei oczy... Nie wiem, czy zdołam spełnić ich nadzieje...

– Kastilu! – Tidur trzasnął w stół. – Ty jesteś królem, i to młodym. Nie żadnym pradawnym bóstwem. Nie sprawisz, że wszystkie ich problemy znikną. Nie masz takiej mocy i musisz się z tym pogodzić, bo zgnuśniesz. Zatracisz całą radość z życia, nie pozostanie ci absolutnie nic poza zamartwianiem się każdym kolejnym problemem.

– Mój problem może zaraz stanąć u bram...

– To stanie! – przerwał mu błyskawicznie. – To stanie, a my wyjdziemy się z nim zmierzyć! Będziemy walczyć, aż wygramy albo poumieramy. Taki jest świat i takie jest życie. Walczysz albo umierasz. Jeśli nie umrzesz, to za chwilę nadejdzie kolejna rzecz, z którą musisz walczyć, i tak do usranej śmierci. Ale wiesz, co jest najważniejsze?

– Oświeć mnie – mruknął, patrząc na ciecz w pucharze.

– Najważniejsze jest, żeby walczyć z jedną rzeczą naraz! Jeśli weźmiesz na siebie za dużo... To tak jak w walce na miecze. Jeden nie ma szans z dziesięcioma. Ty też teraz myślisz o tym, czy oni mają co jeść, czy jest im ciepło, czy Hex czyta w twoich myślach, czy jedzie od południa, czy od północy, co będzie, jak przegrasz, co będzie, jak wygrasz... Powinieneś skupić się tylko na tym, że czeka cię największa bitwa w dziejach świata. To, co będzie po niej, może cię już nie dotyczyć...

– Wiem o tym – wtrącił.

– Nie zachowujesz się tak, jakbyś wiedział. – Książę oparł się o stolik. – Wyrzuć z głowy wszystko inne i zajmij się bitwą. Masz wokół siebie najlepszych ludzi w całym kraju. Iskel swoją wiedzą i doświadczeniem wspomogą wszystko i wszystkich. Masz Merika, masz Devera, masz mnie! Jesteśmy przygotowani do obrony. Mamy wszystko, czego trzeba, żeby to przetrwać i zwyciężyć, ale potrzebujemy wodza, rozumiesz?

– Tak, ale...

– W rzyć sobie wepchnij to ale! – wrzasnął. – A zresztą... Powiedziałem, co miałem powiedzieć. Mogę sobie pójść...

– Zostań. – Kastil przytrzymał go za ramię. – Ale pogadajmy o czymś innym niż ta cała zaszana wojna.

Po przegadaniu całej nocy Kastil zasnął dopiero nad ranem. Obudził się przed obiadem zupełnie rześki. Nie pamiętał, czy cokolwiek mu się śniło,



ale pierwszy raz od dawna nie obudził się tak samo zmęczony, jak się kładł. Szczera rozmowa z przyjacielem pomogła mu pozbierać myśli i choć nie był przekonany, czy w tym wypoczynku rolę odegrało także wino jabłkowe, to był Tidurowi wdzięczny za wizytę.

Zjadł porządne śniadanie, co sprawiło wiele radości Thondarowi, po czym udał się do biblioteki, gdzie na stole rozłożono mapę miasta Erskin. Na kolorowym płótnie rozstawiono niewielkie drewniane klocki różniące się do siebie kształtem. Przyglądał się temu wszystkiemu przez dłuższą chwilę, aż wreszcie sięgnął po leżący obok woreczek, w którym znalazł kolejne klocki. Wysypał je obok mapy i każdy kolejny długo obracał w palcach, nim zdecydował się go położyć. Na północ od zamku ustawiono zielone drewnienka. Między domami leżały żółte, a obok mapy rozsypał jeszcze czerwone, czarne i te w kolorze drewna. Ustawiał je, przekładał, usuwał z mapy i dokładał na nowo. Tę układankę przerwało mu skrzypnięcie drzwi.

– Słyszałem, że późno wstałeś, mój królu. – Iskel podszedł do stołu.

– Zagadaliśmy się wczoraj wieczorem z Tidurem i tak jakoś wyszło... – Król wzruszył ramionami.

– To bardzo dobrze, wypoczęty umysł lepiej pracuje. – Iskel wskazał na mapę. – I widzę, że już go zaprząłeś do pracy.

– Trochę... – Pokręcił głową. – Zastanawiam się, jak to rozegrać. W końcu bitwa będzie na naszym terenie...

– Masz doskonałą wiedzę i jeszcze lepsze wyczucie, jeśli chodzi o taktykę wojenną, ale obawiam się, że tym razem do bitwy w ogóle nie dojdzie. – Doszedł do stołu.

– Jak to? – zapytał, zanim uczony zdążył dokończyć myśl.

– Już wyjaśniam. – Sięgnął po wskaźnik leżący obok mapy. – Zaczniemy od strony przeciwnika. Weźmy pod uwagę, że oni zbliżają się do nas z trzech stron. Mogę przypuszczać, że wszystkie grupy są skoordynowane tak, by rozpocząć atak mniej więcej w tym samym momencie. W jaki sposób miałbyś wydać im bitwę w otwartym terenie, by nie znaleźć się w środku trzech wrogich armii? Po drugie – kontynuował – zastanówmy się, jak daleko od miasta musielibyśmy wysłać nasze oddziały, by bitwa miała sens. Najbliższe pola są za Erskinem. Jeśli musielibyśmy się wycofać, to będzie nas czekała daleka droga przez kręte zabudowania. Takie rozwiązanie nie będzie miało sensu i wiesz o tym doskonale, mój królu, tylko za dużo myślisz. Jeden z twoich przodków nie bez przyczyny

postanowił ustalić tę górę centralnym punktem świata. Nie bez kozery zamek zbudowano właśnie w taki sposób. Chroni cię sama góra, rzeka, ogromne mury, grube niczym domy. Nikt nie zdobył tego zamku i imperator też będzie musiał się nad tym bardzo mocno napracować. Po co mu to ułatwiać? Przygotowaliśmy dla armii imperatora kilka prezentów po drodze. W trakcie bitwy panuje taki chaos, że niechcący to nasze oddziały mogłyby się stać ofiarami tego planu.

– No tak. – Kastil podrzucił drewnienko i złapał je prawą ręką. – Zatem sugerujesz, że powinniśmy siedzieć za murem jak królik w norze i czekać na rozwój wypadków.

– Nie, nie. – Uczony roześmiał się. – Gdyby króliki miały takie nory i taki plan obrony, to nigdy byśmy nie spróbowali, jak smakuje ich mięso. Chodzi mi o to, że to oni będą stali w śniegu na terenie, gdzie nie zostało nic do jedzenia, we wrogim kraju, przed czarnymi murami, które wywołają w ich sercach trwogę. To oni będą musieli przejść rzekę, wspiąć się po tych murach i pokonać naszą obronę.

– Dobrze, dobrze... – Kastil zmrużył oczy. – Pozwolimy im podejść tutaj, nadzieć się na pułapki, wykrwawić się, paść z głodu i mrozu, a potem nie damy im chwili oddechu. Wiemy, jak funkcjonuje ich obóz, a tak rozległa armia raczej nie rozbije go pod samymi murami.

– Tak, tak, dokładnie o to chodzi. – Uczony klasnął w ręce. – Jednak weź pod uwagę, że oni też nie są bezmyślni i że każdy nasz plan spotka się z ich kontrplanem. Dlatego nie napalaj się na myśl o szarżach na obóz. Najlepiej zostaw już tę układankę, weź miecz i idź poćwiczyć z żołnierzami. Niech widzą, że ich władca jest w formie.

## Rozdział XLIX

Ulice stolicy Bernsternu wyludniły się w znacznej części. Mężczyźni, którzy byli w stanie chwycić za miecz, zostali wysłani do Erskinu. Dlatego w mieście pozostały tylko kobiety, dzieci i starcy.

Imma Vatkrieg przechadzała się między kamiennymi budynkami ciasno wypełniającymi centrum miasta leżącego u podnóża zamku. Była ubrana w długą, srebrną suknię, na tle której odcinały się jej rude włosy z kilkoma siwymi kosmykami. We włosach lśnił srebrny diadem ozdobiony bursztynem. Towarzyszył jej uczony Mytel w charakterystycznym dla swojego zawodu stroju z obszernym kapturem. Kilka kroków za nimi podążało dwóch strażników w zwyczajnych ubraniach. Suknia królowej zasłaniała jej ciało od szyi do stóp, a długie rękawy sięgały do nadgarstków. Materiał przylegał do ciała, ukazując pełnię jej kobiecości. Szli powoli, rozmawiając, Imma z trudem poruszała nogą uszkodzoną wcześniej przez Kunglina Berna.

– Uważasz, że jest szansa, by te ulice znowu zatętniły życiem? – zapytała.

– W Akademii uczyli mnie, że życie się nie zatrzymuje, więc kiedyś na pewno, wasza miłość – odparł uczony. – Pytanie tylko, czy będą to nadal obywatele Bernsternu, czy może już wielkiego imperium.

– Sądzisz, że przegramy tę wojnę? – Spojrzała na niego.

– Myślę, że moneta stoi na krawędzi. – Rozłożył ręce. – Nasze wojska mają bardzo wiele atutów, z kolei przeciwnik jest nieznan. Nie wiadomo, czego się po nich spodziewać, no i... Te plotki o czytaniu w myślach.

– No tak, ale nasz bursztyn miał przed tym zabezpieczać. Nosisz swój naszyjnik? – spytała z troską.

– Noszę, jednak, wasza miłość, nie wiem, czy kamień może przed czymś chronić, i nie wiem, czy człowiek może mieć taką moc. – Mijali jubilera, którego witryna świeciła pustkami. – Dlatego nie jestem w stanie powiedzieć, kto wygra.

– Myślałam nad tym, co się stanie, jeśli opór Erskinu zostanie złamany, miasto zdobyte, a Kastil zginie. – Stała blisko niego, poprawiając futrzane obszyte kołnierza sukni. – Wtedy trzeba będzie myśleć o ratowaniu siebie. Uważasz, że z tym imperatorem będzie można się dogadać?

– Z tego, co o nim słyszałem, to wystarczy przyjąć jego wiarę i stać się mu bezwzględnie posłusznym. Nie zależy mu na tym, żeby nas wszystkich tutaj pozabijać, ale bardziej na tym, by przekonać nas do swojej koncepcji świata. – Mytel wydawał się być dużo pewniejszy swoich słów niż w trakcie rozmów z Kunplinem. – Jest przekonany o tym, że jego wizja świata jest jedyną słuszną, co może nastęrczyć trudności przy negocjacjach.

– Co przez to rozumiesz? – Patrzyła mu głęboko w oczy.

– To, że negocjacji nie będzie. – Pokręcił głową. – Jeśli wygra wojnę, to albo pójdziemy na to, czego on pragnie, albo padniemy trupem. To oczywiście wiedza wynikająca tylko z tego, co usłyszałem na jego temat. Zginiemy lub staniemy po jego stronie.

– Myślisz, że Keler mógłby się o nim dowiedzieć czegoś więcej? – Ruszyła dalej.

– Wiesz, wasza miłość, co o nim myślę. – W jego głosie zabrzmiała złość.

– Wiem i to jest druga sprawa, którą chciałam z tobą omówić poza zamkiem. – Imma rozejrzała się. – Chciałam ci powiedzieć, że podjęłam decyzję. Jeśli imperator wygra wojnę, to spróbuję się z nim dogadać, by uratować nasze rzyci. Pomyślałam jednak o tym, że przy okazji przygotowań na tą ewentualność warto by było pozbyć się jednego z problemów.

– Słucham. – Ściszył głos.

– Keler jest jedyną osobą, która wie, jak działają bandyci w tym mieście – mówiła niemal wprost do ucha uczonego. – My nie mamy zbyt wielu strażników, większość poszła na wojnę, zostaliśmy z małą garstką, więc gdyby coś kombinował, to nie mamy szans. Ma ludzi, o których istnieniu nawet nie wiem. Są w mieście, są w zamku i informują go o wszystkim. Znam tę szumowinę jak zły szeląg i uważam, że musimy postarać się go znaleźć i z zaskoczenia wtrącić do więzienia. Który z nich by tej wojny nie wygrał, to taki więzień będzie dobrym prezentem na początek współpracy.

– Wiesz, że to będzie bardzo trudne. – Spojrzał na nią poważnie.

– Nawet nie wiesz jak bardzo. – Uśmiechnęła się zadziornie. – Jednak mam plan, jak można to znacznie uprościć.

– Zdradzisz mi szczegóły? – Uniósł brew.

– Jeszcze nie, ale za dzień czy dwa się o tym dowiesz. – Oczy jej błysnęły. – Ale dzisiaj też poznasz jedną z tajemnic.

– Nie mogę się doczekać.

– Mam jeszcze jeden pomysł na to, w jaki sposób możemy wkupić się w łaski jednego czy drugiego władcy. – Trąciła go barkiem.

– Mówiono mi, że to uczony jest od podrzucania pomysłów swojemu władcy, ale widzę, że ty mnie zupełnie nie potrzebujesz, wasza miłość. – Mytel zatrzymał się.

– Oj, już się nie dąsaj – rzuciła zaczepnie. – Po wojnie ogromne połacie świata będą bez żywności, wtedy najważniejszy będzie handel morski, a co w nim najbardziej przeszkadza?

– Piraci... – Wciągnął powietrze.

– Dokładnie tak. – Wyciągnęła palec wskazujący przed nos Mytela. – I moim pomysłem jest walka z piractwem. Chcę skończyć z napadaniem na statki raz na zawsze.

– I w jaki sposób chcesz to osiągnąć, wasza miłość? – zapytał zaskoczony.

– A tego też się dowiesz za dzień czy dwa. – Puściła do niego oczko. – Wiesz, że lubię przeciągać sprawy i patrzeć, jak nie możesz się doczekać ich finału.

– Nie przy ludziach... – szepnął.

– Już nie bądź taki wstydlivy! – Parsknęła głośnym śmiechem. – Wracajmy lepiej do zamku, bo zrobiło się strasznie zimno.

Nie minęły dwa dni, a w sali tronowej królowa Imma oczekiwała w towarzystwie Mytela na zaproszoną delegację. Mytel stał za tronem, jak nakazywał obyczaj, w tradycyjnym dla siebie prostym stroju. Na jego tle strój królowej zupełnie się wyróżniał. Miała na sobie szmaragdową suknię z wysoką stójką, która zakrywała całą szyję. Góra sukni dokładnie przylegała do ciała, a rękawy zwieńczono koronką. Z kolei od pasa w dół rozpościerały się rozłożyste falbany, przeszywane srebrną nicią, sięgające do podłogi. Opadające na ramiona włosy ozdabiał diadem, którego ostatnio prawie nie zdejmowała.

– Powiesz mi wreszcie, na kogo czekamy? – zapytał zniecierpliwiony Mytel.

– Zaraz sam zobaczysz, będą tutaj lada chwila. – Przesunęła dłoń po jego ramieniu. – Nie ma co się pieklić, Mytelu.

– Kunglin zaskakiwał mnie co chwila i to nie były przyjemne niespodzianki, więc nie dziw się, że czuję się z tym niekomfortowo – mówił nerwowo. – Wolałbym wiedzieć, z kim i o czym mam rozmawiać, żeby jak najlepiej doradzić...

– Oj, nie przejmuj się. – Zachichotała. – Niczego tym razem nie będziesz musiał doradzać. Wszystkim zajmę się ja. Ty po prostu sobie tutaj stój i słuchaj. To będzie rozmowa, w której twoja mądrość nie będzie przydatna.

– Nawet nie chcę wiedzieć, z kim mamy rozmawiać...

Przerwał w pół zdania, bo drzwi otworzyły się i do sali weszła hałastra, która pasowała do sali tronowej jak wół do karety. Prowadził ich niewysoki mężczyzna ubrany w czerwony, zdecydowanie za duży płaszcz z grubej wełny, ciągnący się za nim po marmurowej posadzce. Spod rozpiętego płaszcza wyzierała nieco przybrudzona jedwabna koszula. Uwagę przyciągały niepasujące do niczego złote spodnie z szerokimi nogawkami i wystające spod nich buty z zawiniętymi ku górze noskami. Na jego szyi wisiały złote łańcuchy o różnej grubości i przeróżnych zawieszkach. Zaraz za nim szedł barczysty mężczyzna w grubym, długim futrze z wysokim kołnierzem i czapą z wilczej skóry. Pozostała kilkunastoosobowa zgraja wyglądała podobnie karykaturalnie.

– Tyt. – Podniosła się. – Ty stary kurwisynu. Obwiesiłeś się złotem i zgrywasz kapitana?!

– Widzę, że i tobie się poszczęściło. – Zaśmiał się, pokazując czarne zęby.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz. Wszyscy tak mówili. Przecież kiedy ludzie tego Kelera wyciągnęli cię z karczmy i zaczęli ciągnąć do króla, tośmy myśleli, że już po tobie.

– A ja ci, psi synu, pozwoliłam do siebie po imieniu mówić? – Spojrzała na niego z błyskiem w oku.

– Aye! – Pokręcił głową. – To znaczy nie, ale to jak mam mówić...

– Żartowałam, durniu. – Zaśmiała się głośno. – Widzę, żeś został kapitanem po tym, jak mnie niby zabili.

– A tak żeśmy ugadali, że skoro ja byłem pani kapitan prawą ręką, to powinienem wziąć statek. Trent był innego zdania. – Spuścił wzrok.

– No właśnie nie widzę tej rudej małpy wśród was. – Rozejrzała się. – Domyślam się, że zrobiłeś tak, jak cię uczyłam?

– Tak, nie miałem wyjścia. – Uśmiechnął się lekko. – Poszedł na dno i jeszcze dwóch z nim.

– I prawidłowo. – Uśmiechnęła się. – Co ze statkiem?

– A wszystko dobrze, śmiga jak śmigał! – Rozpromienił się pirat. – Żagiel nowy założyłem, to jeszcze mocniej na wiatr reaguje. Tylko dmuchnie, a od razu prędkość czuć.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze. – Gestem zaprosiła ich bliżej. – Przyda wam się prędkość.

– A właśnie, boś nas szukała z pilną sprawą. – Wskazał palcem. – Obstawiam, że nie po to, żeby o statek pytać.

– Ano nie po to. – Uśmiechnęła się zadziornie. – Jest interes do zrobienia. Dobrze płatna robota, chociaż trudna.

– O, widzisz i teraz już poznaję, że to kapitan, a nie jakaś cizia z koroną!  
– Piraci wybuchnęli gromkim śmiechem. – Słuchamy!

– Ale chyba na wojna nas nie chcesz wysłać? – zapytał Azuańczyk w futrze.

– Nie, nie. – Spojrzała na Mytela. – Ci, co mieli iść na wojnę, to już poszli. Dla was mam zadania tutaj.

– Co i za ile? – Resztki zębów błysnęły spod kosmatego zarostu Tyta.

– Zadania są dwa, ale jedno ważniejsze – zaczęła poważnym tonem. – Ja wam powiem, co jest do zrobienia, a wy powiecie mi za ile. Weźcie pod uwagę, że trwa wojna. Widzieliście, co stało się w karczmie, nie będę wam pokazywała, jak to się dla mnie skończyło, bo królowej nie wypada, ale wiedźcie, że to wszystko sprawka Kelera. Zadanie jest jasne, macie go pojmać i przyprowadzić do mnie.

– Kelera?! – wyrwało się Tytowi. – Przecież jego nikt nie widział. Nikt nie wie, gdzie on siedzi.

– Nie interesuje mnie, w jaki sposób to zrobicie, macie wolną rękę, żeby go znaleźć. Tylko pamiętajcie. – Uniosła palec wskazujący, nieco wykrzywiony po złamaniu. – Ja wiem, o czym Keler powinien wiedzieć, więc jeśli będziecie chcieli mnie oszukać i przyprowadzić kogoś innego, to wy zawiśnięcie, jasne?

– Aye! – Kapitan piratów pokiwał głową. – Tylko widzisz, królowo, nam się teraz bardzo dobrze powodzi. Ludzie pakują majątki na statki i szukają miejsca, gdzie można przeczekać wojnę, i nie wiem, czy nam się takie siedzenie w mieście i szukanie szczura po norach będzie opłacało.

– Policz tak, żeby się opłacało. – Rozsiadła się wygodnie na tronie. – To nie jest propozycja, którą możecie odrzucić. Możecie na niej zarobić albo

stracić wszystko. Mam nadzieję, że nie zapomnieliście jeszcze, jak działa wasza pani kapitan, chamy?

– Nie, nie. – Szmer rozszedł się po sali. – Ale to Keler i jest wojna... No będzie kosztowało... Pięć tysięcy złotych monet – odpowiedział po chwili zastanowienia.

– Trzy. – Odbiła piłeczkę.

– Cztery.

– Trzy i pół i okazja do zarobienia dużo większej kasy na następnym zleceniu. – Kącik ust królowej uniósł się.

– A widzisz, czyli transakcja wiązana... – Tyt zmrużył oczy.

– A skąd ty takie słowa znasz? – Parsknęła. – Tak, wiązana. Chodzi o to, że po morzach pływa zbyt wielu piratów i waszym zadaniem będzie ich zatopienie.

– Do swoich mamy strzelać? – obruszył się.

– Gwarantuję ci, Tyt, że jeśli się nie zgodzicie, to za trzy dni przyplynie tutaj Półręki, Dun czy inny gnój i przyjmie to zlecenie z pocałowaniem ręki, a potem was zatopi albo wybije podczas abordażu. – Nawet nie drgnęła jej powieka.

– No może i tak... – Westchnął. – A jak by to miało dokładnie wyglądać?

– Po pojmaniu Kelera wracacie na morze i możecie zaatakować każdy piracki statek, jaki spotkacie. Możecie go zatopić, zabić załogę, zrobić abordaż, przejąć okręt i sobie na nim pływać. To mnie nie obchodzi. Nie obchodzą mnie też łupy, jakie z tych statków sobie zgarniecie. Z każdego chcę dostać tylko trzy rzeczy.

– Jakie trzy? – Tyt nie wytrzymał w ciszy.

– Galion, banderę i głowę kapitana – odparła, a Mytel głośno wypuścił powietrze z płuc.

– A ile na tym zarobimy? – zapytał pirat, unosząc krzaczaste brwi.

– Ile sobie wywalczycie – odrzekła pewnie. – Dostaniecie trzy i pół tysiąca złotych monet za Kelera i przyrzeczenie, że żaden inny statek piracki nie będzie przeze mnie zatrudniony do tego zadania. To, co znajdziecie na statkach i jaki zarobek z nich wyciągniecie, to wasza sprawa.

– To jaki mamy w tym interes? – zachnął się Tyt.

– Taki, że zostanieie jedynym statkiem piratów na obydwu morzach i zyskami nie będziecie musieli się z nikim dzielić. – Podniosła się. –



W jadalni na dole przygotowano dla was poczęstunek. Po nim chcę poznać odpowiedź.

– Ale po co czekać. – Roześmiał się. – Bierzem obydwie roboty!

– I to mi się podoba. – Podeszła do niego i wyciągnęła dłoń. – Masz królewskie słowo, że to zadanie jest tylko dla was.

– Konkretna jak zawsze. – Tyt uścisnął wyciągniętą rękę. – Ale ta wieczerza...

– Idźcie jeść. – Uśmiechnęła się. – Strażnik was zaprowadzi.

Piraci kłaniali się w pas swojej dawnej kapitan. Widać było, że do tej pory darzą ją sentymentem i respektem, choć nie bardzo wiedzieli, jak zachować się w obliczu królowej. Stłoczyli się przy wrotach, wychodząc na korytarz. Tyt szedł na samym końcu.

Mytel zbliżył się do Immy na tyle, by jego szeptu nie słyszała hałastrą piratów.

– Miałaś się pozbyć piractwa, a chcesz im dać monopol... – powiedział jej wprost do ucha.

– Jeśli przeżyją walkę z całą flotą piratów, to skończą z tym – odpowiedziała, opierając głowę o jego policzek. – Będą na tyle bogaci i zmęczeni, że nie będzie im się chciało dalej w to bawić. A jeśli nie, to albo zginą na morzu, albo zarżniemy ich tutaj, kiedy przywiozą ostatni galion. – Pożegnała Tyta pirackim salutem. – Poza tym do tego czasu to Hex może wszystkim rządzić, a nas może nie być. Po co się zamartwiać na zapas, mój mądrusiu?

W ciągu dnia na dziedzińcu erskińskiego zamku panował straszny rozgardiasz. Tysiące ludzi kręciły się po nim, by zaczerpnąć odrobinę świeżego powietrza, sprawdzić, co dzieje się w mieście, czy po prostu wyjść z ciemnych i zimnych pomieszczeń zadymionych pochodniami i świecami. Poza ewakuowanymi z miasta ludźmi na zamku był ogrom żołnierzy. Żeby zapanować nad tym wszystkim, cywile wychodzili i wracali na rozkaz żołnierzy w niewielkich grupach. Zarówno dziedziniec, jak i większość sal w wieżach zamkowych zamieszkiwali żołnierze. Byli w gotowości cały czas, oczekiwali tylko sygnału zwiastującego pojawienie się wroga w zasięgu wzroku zwiadowców.

Wśród nich była też Riga. Obyczajem było, że giermkowie towarzyszyli swoim nauczycielom w trakcie bitwy. Jednak teraz, kiedy to Dever spędzał mnóstwo czasu u boku króla Kastila, musiała sama się sobą zajmować. Właśnie dlatego zaoferowała się do pomocy w nadzorowaniu mieszkańców

miasta. Czekwała obok wrót, by poprowadzić ludzi na bok, nie tworząc zbyt wielkiego zamieszania. Kolejne piątki wychodziły na powietrze, a ona, ubrana w niebiesko-czarne szaty giermka rycerza należącego do gwardii królewskiej, kierowała ich na prawo.

– Proszę tutaj! – pokrzykiwała. – Przechodźcie dalej! Nie blokujcie wyjścia!

Kiedy wszyscy już zgromadzili się w prawej części dziedzińca, a poprzednia grupa spokojnie weszła do środka, Riga mogła zająć się tym, co należało do jej zadań.

– Proszę państwa! – zaczęła. – Słońce jest teraz nad pierwszą wieżą. Kiedy znajdzie się nad drugą, proszę, by wszyscy wrócili w to miejsce i ustawili się piątkami. To nam ułatwi wasz spokojny i bezpieczny powrót do koszar. Proszę, byście nie wchodzili w drogę żołnierzom. Jeśli wszystko jest jasne i nie ma żadnych pytań, to możecie się rozejść.

Ludzie nie do końca rozumieli, po co te instrukcje i obostrzenia. Wiedzieli, że przeciwnik jeszcze nie nadszedł, więc średnio widziało im się spędzanie całych dni i nocy w zatłoczonych lochach. Zagubienie, strach i niepewność mieszały się z irytacją i zniecierpliwieniem. Ci, którzy od razu po ogłoszeniu planów ewakuacji całego miasta zjawili się za murami, mieli prawo czuć zmęczenie całą sytuacją. Ta wisząca w powietrzu groźba dla wielu była gorsza niż rzeczywiste zagrożenie.

Riga również nie mogła się doczekać tego, by walczyć. Czuła się stworzona do posługiwania się bronią i była w pełnej gotowości, by stawić czoła armii imperium u boku swojego rycerza i – na co bardzo liczyła – u boku króla. Usiadła na schodach prowadzących do głównego wejścia do zamku i uciekła myślami na pole nadchodzącej bitwy.

– No jeszcze tego brakowało, żebyś na tych zimnych kamieniach siedziała! – Usłyszała znajomy głos.

– Pani Uma! – Poderwała się na równe nogi. – Zastanawiałam się, gdzie się pani podziała!

– Miło cię widzieć w zdrowiu! – Ubrana w futro karczmarka wyglądała na jeszcze grubszą.

– Panią również! – Dziewczyna uściskała ją mocno. – Jak to się stało, że nie widziałam pani tutaj wcześniej?

– Ach, dziecko, wiesz, jak to jest. – Zaśmiała się głośno. – Gospoda musiała działać do końca. Żołnierze, którzy coś tam do tych domów kładli, musieli mieć co jeść i pić.

– To dlatego tak długo im zeszło! – odparła Riga, śmiejąc się, ale po chwili spoważniała. – Jak się pani trzyma?

– Co tu dużo opowiadać. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Ta karczma to dzieło mojej rodziny. Pokolenia na to pracowały. Teraz musiałam stamtąd odejść bez niczego i... Może jestem tylko karczmarką, ale wiem, co się dzieje. Nie wrócę już do niej. Przecież jak ta armia podejdzie pod mury, to z miasta nie zostanie kamień na kamieniu...

– Nie tak głośno! – upomniała ją dziewczyna. – Jakby tutaj wybuchła panika, to bylibyśmy zgubieni przed bitwą.

– Racja, racja. – Uma zasłoniła usta. – Żal mi tego, czego się tam dorobiłam, ale muszę żyć dalej. Po wojnie wystawię nowy budynek karczmy. W sumie i tak chciałam ją rozbudować, mówiłam ci.

– Pamiętam! – potwierdziła Riga.

– A jak ty się trzymasz, dziecko? – zapytała z troską.

– Nie mogę się doczekać, aż dobędę miecza! – Powstrzymała ekscytację.

– Siedzenie tutaj strasznie mnie męczy. Wolałabym już szorować podłogi w karczmie.

– Nie tylko ty – dodała Uma. – Nie tylko...

– Mam tylko jeden taki problem... – Riga spuściła wzrok.

– Rodzina?

– Tak... Nie wiem, co się z nimi dzieje. Nie możemy wysyłać listów prywatnych...

– Rozumiem to, ale nie martw się. – Pogłaskała ją po włosach. – Najgorsza bitwa będzie tutaj. Być może twojego miasta nawet nie zaatakują...

– Niby wiem, ale i tak się martwię... – Dziewczyna miała smutne spojrzenie. – Tata zginął na wojnie z Werdgwaldem, a teraz na pewno powołali mojego brata... Każdy musiał iść do wojska, więc on też. Jeśli coś mu się stanie, to jak mama...

– Przestań! – skarciła ją. – Ani tobie, ani twojemu bratu nic się nie stanie! Po wojnie ty dalej będziesz się szkolić na rycerza, a on poprowadzi rodzinny interes, tak musisz myśleć!

– Dobrze. – Na jej twarzy pojawił się blady uśmiech. – Zawsze dobrze na tym wychodziłam, jak pani słuchałam.

– Tym razem też tak zrób! – Karczmarka puściła do niej oczko.

– Rigo! – Ze szczytu schodów dobiegł ich głos.

– Tak? – Dziewczyna obróciła się i natychmiast ukłoniła, niemal zsuwając się ze stopnia.

– Przepraszam, że przeszkadzam wam w rozmowie. – Młody władca skłonił głowę również w kierunku zaskoczonej Umy. – Mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie i ono niestety nie może czekać.

– Tak, oczywiście, wasza miłość, już – mówiła szybko i bez składu.

– Proszę korzystać ze świeżego powietrza, póki jest to możliwe, pani Umo – zwrócił się do starszej kobiety.

– Dziękuję bardzo, wasza miłość – odparła, ledwo wydając z siebie słowa.

– Rigo – zaczął Kastil, kiedy znaleźli się na podwyższeniu – wcześniej pracowałaś w karczmie i robiłaś zakupy, dobrze pamiętam? – zapytał. – Potrzebuję kogoś zaufanego, kto zna bardzo wielu ludzi. Z pewnością poznałaś handlarzy, prawda?

– Tak, tak. – Pokiwała głową. – Poznałam i handlarzy, młynarzy, rzeźnika, kowala, wszystkich, ich rodziny też...

– Doskonale. – Król położył dłonie na jej ramionach. – Zatem chciałbym, żebyś pochodziła po pomieszczeniach pod nami i rozpytała wszystkich znajomych o to, jak się czują, czy czegoś im nie brakuje, czy chcieliby czegoś więcej. Dowiedz się wszystkiego, a potem przyjdź do mojej biblioteki. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak jest, wasza miłość. – Riga czuła, że mimo mrozu jest jej straszliwie gorąco.

– Dobrze. – Wyprostował się. – Bardzo bym nie chciał, żeby jeszcze przed obłężeniem zaczęły się jakieś kłopoty, więc razem zadbamy, żeby wszystko było jak najlepiej.

– Tak jest, wasza miłość – powtórzyła.

– Nie zatrzymuję cię. – Uśmiechnął się. – Wracaj do swoich zadań.

– Tak... – Machnęła dłonią, jakby odganiała natrętą muchę sprzed nosa.

– Postaram się jak najszybciej wrócić z odpowiedzią.

– Dobrze, bardzo to doceniam. – Kastil skierował się w stronę schodów. – Do zobaczenia więc!

– Do zobaczenia... – Westchnęła.

Kiedy słońce znalazło się we właściwym położeniu, mieszkańcy Erskinu grzecznie stawili się w wyznaczonym miejscu. Poprowadziła ich do koszar i została tam na dłużej, by wykonać powierzone jej zadanie. W pomieszczeniach pod zamkiem panował niezbyt przyjemny półmrok

rozganiany przez pochodnie. Trzeba było je jednak ograniczyć, bo gryzący dym nie pozwalał w spokoju oddychać masie znajdujących się tam ludzi. Siedzieli oni na siennikach, kocach, dywanach i stołkach, gdzie tylko się dało. W pomieszczeniach było duszno i ciepło, więc przynajmniej czapy i szale nie przeszkadzały w rozpoznawaniu twarzy. Wreszcie, zaglądnąc do trzeciej komnaty, zauważyła żonę młynarza. Pulchna, ale niewysoka kobieta siedziała w rogu, tuląc do piersi niemowlę. Tuż obok niej krzątała się dwójka innych dzieci, trochę starszych.

– Pani Pulur! – Podeszła z uśmiechem.

– Cicho, dopiero co go uspokoiliam – szepnęła żona młynarza. – W ogóle nie może tutaj spać.

– Dlaczego? – Ściszyła głos.

– Też pytanie – mruknęła. – Dym, duchota, ludzie, ciemno... Dziecko to wszystko czuje.

– Można to jakoś poprawić? – zapytała z nadzieją.

– Poprawić? – Prychnęła, odwracając się plecami do Rigi. – Skończcie tę wojnę i dajcie mi wrócić do domu i do męża.

Zdezorientowana dziewczyna chciała zadać jeszcze jakieś pytanie, ale widząc zachowanie kobiety, postanowiła zostawić ją w spokoju. Wróciła do przechadzania się wśród mieszkańców miasta i co krok spotykała kogoś, kogo znała z pracy w karczynie u Umy. Pytała, tak jak kazał król, ale nie mogła się dowiedzieć niczego konkretnego. Nikt nie mówił wprost, czego potrzebuje, tylko ogólnie narzekał na ciasnotę, na liczbę ludzi, na duchotę. Wypytała już wszystkich, których choćby kojarzyła jako żony klientów, które czasem wieczorami odbierały swoich mężów spod karczmy. Uznała, że nie ma co przesiadywać wśród tych ludzi i trzeba powiedzieć królowi o tym, że zawiodła.

Weszła bocznymi schodami prowadzącymi do jednej z wież, a potem do sali tronowej. Żołnierze siedzieli przy długich ławach ramię przy ramieniu, jedząc kolację. Nie zauważyła wśród nich Kastila, więc poszła korytarzem, którym dotarła do biblioteki. Przed nią stał jeden z członków królewskiej gwardii.

– Wchodź, czekają tam na ciebie. – Odsunął się, otwierając jej drzwi.

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale brakło jej powietrza. Weszła do pomieszczenia, nie rozglądając się zbyt długo. Widząc siedzącego za stołem przykrytym mapą króla, od razu spuściła wzrok.

– No i czego się, Rigo, dowiedziałaś? – zapytał z uśmiechem.

– Ja przepraszam, ale... niczego. – Głos jej drżał. – Niczego konkretnego, narzekali tak ogólnie, ale pomoc może im tylko zakończenie wojny i powrót do domu.

– Jak nam wszystkim. – Zaśmiał się. – Dziękuję, że to dla mnie sprawdziłaś.

– Przecież nic nie zrobiłam...

– Zrobiłaś bardzo wiele. – Podniósł się i podszedł bliżej. – Dałaś im poczucie tego, że interesujemy się ich losem. To może być bardzo ważne, jeśli ta wojna potrwa długo.

– Wasza miłość! – Drzwi otworzyły się na oścież, a do sali wpadł rozgorączkowany gwardzista. – Wasza miłość! Uczony przekazał mi wiadomość z południa. Zauważyli wielkie oddziały wroga, szykują się do bitwy...

– Kiedyś musiało do tego dojść. – Wziął od niego zwitek papieru i smutno spojrział na Rigę.

## Rozdział L

Po spaleniu miasta Lochtair armia Sag Bas pod dowództwem Minu wysunęła się z gęstej puszczy porastającej wschód Erskinu. Hex nie mógł pojąć tego, w jaki sposób tak słabo obsadzone miasto mogło bronić się tak zaciekle i zadać jego armii takie straty. Co prawda, większość strat odniesiono w oddziałach chłopskich, ale imperator liczył się z tym, że w oblężeniu erskińskiego zamku może być potrzebna każda ręka.

Po wysunięciu się spomiędzy linii drzew oczom Minu ukazały się niewielkie wzgórza. Na jednym z nich zauważyła obóz umocniony dość wysokimi wałami i palisadą. Widziała rozstawione namioty z powiewającymi chorągwiami. Proporce składały się z dwóch pasów, górny był błękitny, a dolny zielony. Gdy tylko strażnicy stojący na wałach zobaczyli armię wynurzającą się z gęstwiny, wszczęli alarm. Minu zauważyła od razu, że jedyna droga do miejsca wskazanego jej przez imperatora prowadziła przez wąwóz przebiegający między wzgórzami. Wiedziała, że próba przejścia przez wąwóz bez walki skończy się rzezią jej ludzi.

– Imperatorze. – Pomyślała. – Musimy zdobyć to wzgórze, żeby przejść dalej. Widzę, że do Abrahu prowadzi ścieżka...

– Wiem. – Usłyszała odpowiedź. – Musisz przejść dalej. I to jak najszybciej. Skoro droga jest tylko jedna, to wiesz, co robić.

– Tak jest! – Przez głowę przemknęła jej myśl, że rozmawiała z Hexem po raz ostatni.

Rozejrzała się wokół siebie i zobaczyła oddziały gotowe do walki. To trochę podbudowało w niej pewność siebie i wezwała dowódców poszczególnych oddziałów. Po chwili przed nią stał najstarszy stopniem konny łucznik w długim i grubym zielonkawym płaszczu, a obok niego oparty o Keechak barbaski jeździec w żółto-czerwonym mundurze, pod którym miał grube futro chroniące przed mrozem. Na jego głowie w promieniach zimowego słońca błyskał hełm połączony z maską

zasłaniającą twarz, przy pasie wisiał zakrzywiony sztylet. Dowódca ujarskiej jazdy stanął nieco z boku. Nosił szarą pikowaną kurtę, pod którą znajdowała się kolczuga z kapturem, a przy pasie wisiał jednoręczny miecz. Wśród nich stanęli też dowódcy piechoty z Ujary, Barbasu i Yelayinu. Było też dwóch chłopów z długimi i siwymi brodami. Wśród tych oddziałów nie było starszeństwa, ale imperator uznał, że rozkazy będą przekazywać najstarsi i najbardziej szanowani.

– Niech poczekają. – Usłyszała w głowie. – Nie mogę pozwolić na to, byś ponownie mnie zawiodła, dlatego przedstawię ci plan ataku. Południowy stok jest łagodniejszy, więc tamtędy musisz posłać konnicę. Cała! Mają zdobyć te umocnienia jak najszybciej i popędzić dalej! – Czuła, że imperator nie jest zadowolony. – Cała reszta ruszy wschodnim stokiem.

– Cała reszta? – Zaczęła się bać.

– Mówiłem już, że nie ma czasu do stracenia. – Dłonie trzęsły jej się z nerwów. – Nie znamy ich liczebności, a nie możemy wysłać tam niewielkiego zwiadu, bo zanim podejda na tyle blisko, by sprawdzić, ilu ludzi jest w tym obozie, to wszyscy zginą. Rozumiesz? Musimy przejść dalej, nie tracąc zbyt wielu ludzi. Jeśli będziemy wysyłać mniejsze oddziały, to szansa na przebicie się przez umocnienia też będzie mniejsza – ciągnął Hex. – Zalewając ich z dwóch stron, spowodujemy to, że będą musieli się rozdzielić. Konie mogą przeskoczyć nad wałem. Jeden jeździec może spowodować mnóstwo zamieszania, a to może sprawić, że szala zwycięstwa przechyli się na naszą stronę. Konnica od południa, reszta od wschodu, niech łucznicy strzelają podpalonymi strzałami w te namioty. Nawet jeśli nikt nie zginie, to nie jest przyjemne walczyć, kiedy obóz płonie.

– A sprzęt? – Zebrała się w sobie i pozwoliła myślom przebić się ponad tymi przesyłanymi do niej przez Hexa. – Mamy przecież na wozach drabiny, liny z kotwicami...

– Użyjcie ich, przecież nie kazałem wam się wspinać, gryząc trawę... – Poczowała ogromną irytację w tym zdaniu.

– Tak jest, imperatorze. – Nie chciała pytać o nic więcej.

– Liczę, że poprowadzisz ludzi tak, by zdobyli ten obóz bez kłopotów. – Głos, który słyszała wewnątrz swojego umysłu, był znowu spokojny i lodowaty. – Zostawię ci wolną rękę w trakcie prowadzenia szturm, ale wiedz, że będę zerkał na wasze poczynania. Teraz możesz przekazać rozkazy reszcie.



– Tak jest... – Poczwała, jak całe napięcie opuszcza jej ciało.

Po przekazaniu wszystkich rozkazów dowódcom poszczególnych oddziałów Minu czekała na dobry moment. Konnica wykorzystała osłonę drzew i odjechała nieco na południe, by na sygnał błyskawiczną szarżą wyskoczyć z lasu i z zaskoczenia zaatakować południowym stokiem. Reszta wojska stała w gotowości tuż przed linią ostatnich drzew. Widziała, że żołnierze z obozu na wzgórzu obserwowali poczynania jej oddziałów, dlatego drabiny schowała za drzewami. Tam właśnie chłopskie jednostki czaiły się, by wbiec na wzgórze i zaczepić na murze drabiny i liny ułatwiające szturm.

Minu opierała się o włócznię, w drugim ręku trzymając miecz. Łapała oddech, a para wylatująca z jej ust zmieniała się w gęsty obłok.

– Wahati! – krzyknęła z całej siły, wznosząc w górę miecz.

Po jej lewej stronie rozległ się tętent kopyt, który zmieszał się z krzykiem atakujących żołnierzy. Płonące strzały wyleciały w powietrze. Wszystkie trafiły do celu, wpadając za drewnianą palisadę. Już po chwili dało się zauważyć podnoszące się stróżki dymu. Oddziały piesze ruszyły w stronę wzgórza. Tysiące mężczyzn biegło pod górę, ostrzał płonących strzał nie kończył się, a każda salwa trafiała tam, gdzie miała trafić. Kiedy piesza część armii Sag Bas była w połowie odległości do największej stromizny, koło ich głów zaczęły latać krótkie i nieznane im wcześniej strzały, przebijające nawet najgrubszy pancerz. Ciężki ostrzał kładł pokotem kolejnych żołnierzy.

– Nie zatrzymywać się! – krzyczała Minu, ale nie miała pewności, że było ją słychać.

Uchyłała się przed strzałami, jednocześnie starając się przyjrzeć strzelcom. Widziała tylko nieznaczny ruch, błysnięcie zbroi między zaostrzonymi palami, a już kolejny pocisk leciał z góry w ich kierunku. Ich strzały wysokim łukiem wpadały za umocnienia, nie wiedziała jednak, czy były skuteczne. Chłopi z bardzo długimi i szerokimi drabinami nie mieli szans, by uchylać się przed lecącymi w ich kierunku pociskami. Padali więc co chwila, a kolejni przejmowali ich obowiązki.

Azuanka spojrzała w lewą stronę, chroniąc się za wystającym głazem. Pędzące konie nie radziły sobie tak dobrze z pokonaniem zbocza, jak zakładano. Z tamtej strony również prowadzono ostrzał, który osłabiał oddziały szturmujących. Konie zsuwały się po zboczu, ciągnąc za sobą rannych jeźdźców. Krew spływała po zaśnieżonym stoku, a Minu nie miała

pomysłu, w jaki sposób temu zapobiec. Wychyliła się zza kamienia i ruszyła do przodu. Pomagała sobie włócznią i z trudem parła pod górę.

Dwie drabiny były już ustawione w wyznaczonych miejscach, kolejne trzy montowano właśnie, ale mocny ostrzał sprawiał, że nie było to łatwe zadanie. Kilkanaście kotwic zaczepiono już o palisadę i kolejni żołnierze wspinali się przy ich pomocy na sam szczyt wzgórza. Kiedy byli już przy wale, obrońcy wychylili się, trzymając w dłoniach wiadra z parującą ciecżą. Wylali ją na najbliższych żołnierzy, a gęsta chmura pary wzbiła się w powietrze. Krzyk poparzonych zagłuszył odgłosy z pola walki. Spadli z drabin, puścili liny, a ich ciała leciały w dół zbocza, bezwładnie odbijając się od kamieni. Ledwo uskoczyła przed jednym z Ujarczyków. Mknąc w górę szybkimi susami, zobaczyła konie przelatujące nad palisadą.

– Teraz! – krzyknęła. – Wszyscy do drabin! Przestać strzelać!

Sama rzuciła się do szturmu jako pierwsza. Gdy tylko znalazła się na tyle blisko, by móc złapać się palisady, spomiędzy pni wystrzeliła długa włócznia, która grotem przejechała po jej udzie. Uderzyła mieczem w drzewiec, łatwo go łamiąc, ale po chwili kolejny grot przemknął obok jej głowy.

– Uważajcie na dzidy! – krzyknęła, ale za późno.

Wspinający się na wał żołnierze odpadali od niego, brocząc krwią. Celne sztychy zadawane przez obrońców nie pozwalały na przedarcie się przez zaporę. Kolejni jeźdźcy przeskakiwali nad wałem obronnym, ale opór na ścianie nie malał. Konie, zatrzymane na południowym stoku, stłoczyły się w połowie zbocza, nie mogąc jechać w górę. Jeźdźcy nie do końca wiedzieli, co się dzieje z przodu, więc próbowali nacierać dalej, spychając innych. Wierzchowce, nie mogąc znaleźć twardego gruntu pod kopytami, zsuwały się, łamiąc nogi lub zrzucając jeźdźców. W tym samym czasie oddziały piechoty próbowaly wdrzeć się do obozu mimo kłujących je włóczni. Jednak nagle wszystko ucichło. Cały opór ustał, włócznie bezwładnie opadły. Słyszała tylko niewyraźny ruch po drugiej stronie, jakby coś się wylewało, ale nie zwróciła na to większej uwagi. Azuanka była przekonana, że to imperator użył swojej mocy i złamał broniących.

– Naprzód! Teraz! – krzyczała.

– Nie! – Donośny głos Hexa przeszył jej mózg, ale było już za późno.

Drewniana część umocnień zajęła się ogniem w mgnieniu oka, a wszyscy, którzy próbowali przez nią przejść, płonęli razem z nią. Drewno musiało

być polane jakąś łatwopalną cieczą, która potrzebowała byle iskry, by całkiem zapłonąć.

– Wycofajcie się! Czekać, aż zgaśnie! – Gniew imperatora wlewał im się prosto do myśli.

Olbrzymie płomienie i krzyk rozrywający głowy od środka spowodowały panikę wśród nacierających. Jeźdźcy pędzili konie ze wzgórza na złamanie karku. Piesi również ruszyli z powrotem ku podnóżu wzniesienia, nie zwracając uwagi na stromiznę. Spadali, rozbijając się o kamienie i łamiąc kończyny. Minu miała poparzoną dłoń, ale zachowała spokój na tyle, by zejść bez szwanku do połowy wzgórza, tam gdzie nachylenie nie było jeszcze tak wysokie. Spojrzała na pole walki, które zostawiła za sobą, i serce jej zamarło.

Południowy, łagodniejszy stok pokrywały ciała koni i ich jeźdźców, natomiast ten, którym ona się wspinała, usłany był zwłokami piechoty. Niektóre były trafione tą dziwną, krótką strzałą, inne powykręcane na skutek upadku. Zmrożona, kamienista, biała ziemia spływała krwią. Zobaczyła, że na jej spodniach również widnieje ciemna plama wokół rozcięcia.

Pozostali żołnierze uspokoili się już i powoli zbierali wokół niej. Kłęby jasnego dymu i wysokie płomienie zasnuły szczyt wzgórza za jej plecami. Minu błyskawicznie rozkazała przegrupować oddziały i pomóc rannym na tyle, by byli zdolni do kontynuowania walki jak najszybciej. Bardzo wielu żołnierzy miało w ciele te krótkie strzały. Przyjrzała się jednej z nich. Była długości połowy łokcia, nie miała tradycyjnego grotu, ale coś na kształt szpica utwardzonego metalem.

– Wiem, że coś poczułaś! Wiem! Widzę to w twoich myślach! – Zadrzała.

– Poczulałam, ale to było... Pomyślałam, że tylko mi się wydawało... Myślałam...

– Wiem, co myślałaś! – ryknął, ale po chwili ton głosu słyszany przez nią wrócił do normy. – Za chwilę dopali się palisada i zostanie im tylko wał. To znacznie ułatwi szturm, ale uważaj! Oni mogą dalej coś kombinować. Przegrupuj oddziały, dowiedz się, ilu zginęło i ilu jest rannych. – Odbierała jego myśli, jakby stał nad jej głową.

– Wydałam już rozkazy...

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze, Azuanko. – Poczula, że napięcie w jej skroniach odpuszcza powoli. – Jak wygląda sytuacja?

– Ezu to sprawdza... Jak tylko będę wiedziała, to...

– To ja też się dowiem – przerwał jej. – Bądź czujna.

– Ezu! – zawołała, jak tylko zobaczyła go w zasięgu wzroku. – Co się dzieje?!

– Straty nie są aż tak duże, jak się wydawało w trakcie – mówił azuański wojownik. – Zginęło ze trzy tysiące, ze dwa jest rannych na tyle ciężko, że nie mogą walczyć.

– A konie? – Odruchowo spojrzała w stronę wzgórza.

– Poza tymi – wskazał głową na wzgórze – kilkadziesiąt okulało.

– Przesadź najlepszych jeźdźców, którzy stracili konie, na te wolne. – Przesunęła dłonią po ranie na udzie. – Jeśli dla kogoś braknie koni, to niech dołączy do piechoty. Kiedy tylko ogień zgaśnie, ponawiamy atak. Nie ma czasu do stracenia.

– Biegnę! – Ruszył w kierunku siedzących, gdzie się tylko dało, żołnierzy.

Nie zdążył jednak zrobić kilku kroków, kiedy głośny krzyk rozległ się na szczycie wzgórza. Minu odwróciła się i zobaczyła płonące nadal pnie drzew i dym podnoszący się z wierzchołka. Języki ognia tańczyły ponad nimi, a pomiędzy nich wybiegła chmara ciężkozbrojnych, roztrącając gorzejące jeszcze drewna. Mężczyźni z uniesionymi ponad głowę mieczami pędzili w dół zbocza w pełnych zbrojach.

– Alarm! – wydarła się, ile tylko miała sił w płucach. – Do broni!

Jej żołnierze poderwali się do walki w ostatniej chwili. Rozpędzona siła uderzyła w nich z pełną mocą. Minu uchyliła się przed ostrzem miecza jednego z rycerzy, potem drugiego i trzeciego. Nie miała jak wyprowadzić kontrataku. Erskińczycy wpadli w sam środek oddziałów imperium i dopiero wtedy zatrzymali swój bieg. Szczęk broni wypełnił okolicę. Żołnierzy Erskinu było może trzy tysiące, ale doskonale radzili sobie w walce z przeważającymi siłami wroga. Wbiegli klinem w sam środek rozproszonej armii i czekali, aż ich otoczą. Dopiero wtedy rozgorzała właściwa bitwa.

Minu wykrzykiwała rozkazy, ale nikt nie słyszał jej głosu. Jej miecz zwał się z bronią wielkiego rycerza z długą czarną brodą. Nie miał hełmu na głowie, przez co widziała w jego oczach determinację. Zaatakowała raz, drugi od góry, od dołu, ale wszystko zablokował. Tuż obok jej ucha przeleciała włócznia, która wbiła się w łączenie zbroi na barku. Miecz rycerza spadł na śnieg, a Azuanka cięła go w głowę. Mężczyzna złapał się za czoło i padł na kolana. Minu już w następnym uderzeniu serca musiała się bronić przed kolejnym, który wyskoczył z koła, nie zauważyła nawet,

kiedy rycerz złapał ją za kostkę i przewrócił na ziemię. Nie spodziewała się tego i wypuściła miecz z dłoni. W zamieszaniu bitewnym nie mogła go ponownie chwycić, a napastnik wyrwał sobie włócznię z barku i próbował ugodzić nią Minu. Instynktownie odtrąciła broń na bok, ale siła rycerza była nieprawdopodobna. W mgnieniu oka wypuścił włócznię z dłoni i uderzył ją w twarz ciężką stalową rękawicą. Poczowała słodkawy smak krwi w ustach i świat wokół niej zrobił się zupełnie czarny.

Ocknęła się po chwili ciągnięta po ziemi na tyły. Spojrzała na Ezu, który w miejscu ucha miał krwawy otwór, a mimo to przedzierał się przez stłoczonych żołnierzy, próbując odciągnąć ją od zagrożenia.

– So się stało? – zapytała, plując krwią.

– Uciałem mu głowę w ostatniej chwili. – Wskazał na ucho. – Ale drugi z nich mnie trafił.

– Musimy fracać. – Sprawdziła językiem stan zębów, przednich brakowało.

– Oni walczą jak górskie pantery – mówił, nie zwracając uwagi na jej słowa. – On miał włócznię w barku, a wyjął ją i walczył dalej. Zginął dopiero, jak obciałem mu łeb... Jest nas więcej, ale nie na długo...

– Dlatego musimy fracać! – Próbowała się podnieść, ale klapnęła w wydeptany śnieg.

– Żeby zginął jeden z nich, musi paść pięciu naszych... – Ezu kręcił głową.

– Idź, fycofaj fszystkich jeźdźców. – Tym razem udało jej się zachować równowagę. – Niech biegną do koni. Piechota niech ich trzyma w tym miejscu. Na mój znak rozstąpi się, a w nich wpadną konie...

Ciężkozbrojni rycerze z Werdgwaldu i prywatna armia rodu Dealinów z Tasariku świetnie radzili sobie w boju u podnóża wzniesienia Tum. Mimo tego, że byli otoczeni, nie tracili wielu sił. Ci będący na zewnątrz formacji co jakiś czas wchodzili do środka, zmieniając się z tymi, którzy mieli chwilę na odpoczynek. Ich świetne pancerze, wykonane w większości przez doskonałych płatnerzy, opierały się broni używanej przez najeźdźców. Każdy wróg, który zbliżył się na wyciągnięcie miecza, musiał się liczyć ze śmiercią.

Minu słyszała wypowiedzi imperatora i starała się wykonywać je jak najlepiej. Pochwalił pomysł z wpuszczeniem w środek okrążenia szarzy konnicy, widząc, jak topornie idzie eliminowanie kolejnych przeciwników. Choć szturm zaczął się chwilę po wschodzie słońca, to teraz robiło się już

szaro. Dowodząca wojskiem straciła przednie zęby, ale mimo to zawzięcie walczyła, próbując jak najbardziej przerzedzić szyki wroga.

Wojujący po stronie Erskinu radzili sobie nawet w pojedynkę z kilkoma żołnierzami imperium. Potężny stary rycerz z siwą brodą dostał od kogoś cios w czoło, ale poza tym, że krew zalewała mu oczy, nie zrobiło to na nim wrażenia. Dalej jego oburęczny miecz trzymał na dystans Minu i jej towarzyszy. Azuańska wojowniczką szukała luki w jego defensywie, ale wściekły i zdeterminowany mężczyzna nie pozwalał się nikomu zbliżyć. Wreszcie usłyszała upragniony dźwięk nadciągającej jazdy. Dodało jej to tyle werwy, że zaskoczyła rycerza potężnym uderzeniem bezpośrednio w miecz. Długie ostrze opadło gwałtownie, wbijając się w ziemię. Wykorzystał to inny z ujarskich wojów i skoczył na niego, podcinając mu gardło.

– Miejsce! – krzyknęła, a piechota ustawiona w okrążeniu od południa rozstąpiła się, tworząc korytarz wprost do żołnierzy przeciwnika.

Na przedzie jechało kilka setek jeźdźców z Barbasu. Ich złoto-czerwone płaszcze powiewały na wietrze, a zasłonięte maskami twarze sprawiały, że nawet Minu miała ciarki na plecach. Pędzili klinem, pochylając przed siebie Keechaki. Spojrzała w stronę Erskińczyków, którzy nie wyglądali na przerażonych, a nawet na zaskoczonych. Widziała, jak ustawiają się, by przyjąć szarżę, usłyszała ich głośny okrzyk w momencie, kiedy konie były tuż przed nimi. Potem, kiedy te dwie siły zwały się ze sobą, dało się tylko usłyszeć szcęk broni, krzyki i rżenie koni. Szeroka ława jeźdźców przebiła się przez zbitą i ciasną formację. Minu zarządziła, by piechota ruszyła zaraz za ostatnim rzędem koni. Choć nawet przeciwko konnicy bronili się zaciekle, nie mieli szans wytrzymać tej szarży.

Kiedy kurz wzniecony przez kopyta opadł, Azuanka zobaczyła, że nikt nie próbował uciekać z pola walki. Każdy z rycerzy stał do końca z bronią w ręku. Podnóże wzgórza usłane było ciałami poległych. Między srebrnymi zbrojami leżało też wielu ubranych w kolory Barbasu oraz wiele koni. Strat w jednostkach piechoty nawet nie chciała liczyć. Zapadła już noc, nim wszyscy zebrali się wokół ognisk. Żołnierze byli tak zmęczeni, że nie mieli siły jeść. Nie mogli też spać.

– Chcą iść dalej. – Ezu dosiadł się do ogniska, przy którym siedziała Minu. – Mówią, że to miejsce jest straszliwe, i chcą iść naprzód.

– Nocą? Na nieznanym terenie? – Podniosła zakrwawioną twarz.

– Wolą zaryzykować, niż zostać tutaj, tak powiedzieli. – Wyciągnął dłonie do ognia.

– Konie muszą odpocząć... – Miała zupełnie nieobecny wzrok. – Ludzie też.

– Wiem, ale może mają trochę racji? Może chociaż ten wąwóz byśmy przeszli. – Wskazał głową na górę za sobą. – Te wszystkie ciała...

– Uważasz, że nie ma tutaj już więcej pułapek?

– Chyba gdyby został im ktoś w obozie, to nie pozwoliłby swoim kolegom tak zginąć...

– Jakie straty? – zapytała bardziej z obowiązku niż z ciekawości.

– Ten szturm jazdy kosztował nas prawie dwustu, jeszcze więcej koni. – Dorzucił patyk do ogniska. – W piechocie... Razem ponad dwa tysiące dwieście, z tego tysiąc tych z Barbasu. Dwustu konnych z Ujary też nie będzie mogło pójść dalej i łucznicy...

– Nie przeciągaj, Ezu! – wykrzyknęła.

– Wysłani do szturmów nie bardzo wiedzieli, co robić, i zginęło ich prawie tysiąc, większość stratowanych... – Spuścił wzrok, jakby nie chciał się narażać swojemu dowódcy.

– A co z chłopami? – Rozejrzała się. – Widzę, że co rusz ich ubywa.

– Zostało może ze dwa tysiące... – Westchnął.

– To nadal ponad trzydzieści tysięcy. – Jak okiem sięgnąć, widziała niewielkie ogniska, przy których siedzieli jej żołnierze. – Noc jest widna, każ im się zbierać, skoro chcą wymarszu.

Armia sprawnie ustawiła się w szyku, by wyruszyć w dalszą drogę. Wycieńczeni całodzienną walką żołnierze woleli pójść dalej, niż nocować w cieniu wzgórza skąpanego we krwi ich towarzyszy. Zimowa noc była mroźna, ale bezchmurne niebo zapewniało światło gwiazd. Minu zdecydowała, że można maszerować w takich warunkach, mimo że nie znała dokładnie drogi przez wąwóz. Przyjrzała się jej początkowi i stwierdziła, że jest dobrze utrzymana i nie powinny na niej występować naturalne przeszkody.

Szyk wyglądał zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Wozy z zaopatrzeniem i lżej rannymi pojechały jako pierwsze, choć zgodnie ze sztuką powinny zamykać pochód. Ranni wskoczyli na te, które były puste, i wysłano je przodem. Żołnierze potrzebowali trochę więcej czasu, by przygotować się do wymarszu. Zmęczone konie rozsiodłano i poprowadzono luzem za wozami. Musiały być gotowe do walki, więc skoro już trzeba było

podróżować, to przynajmniej nie na ich grzbietach. Mężczyźni nie musieli trzymać równego szyku, maszerując wąwozem. Wozy i konie dojechały do połowy wąwozu, nim pierwsi żołnierze wkroczyli na trakt między wzgórzami. Co pięćdziesiąty miał w dłoni pochodnię. Ci, którzy nieśli światło, musieli trzymać się obydwu skrajów drogi. A droga, mimo nocnej pory, robiła duże wrażenie. Dwie pionowe ściany po obu stronach, choć niewysokie, były niemal całkowicie czarne, przez co wydawała się drogą przez ciemny tunel. Podłoże wykute w skale było równe, przystosowane do ruchu wyładowanych towarem wozów przejeżdżających z południowego wschodu kraju.

Minu zerkała w górę, ale nie widziała nic niepokojącego. Będąc odpowiedzialną za tę część armii, stanęła pod ścianą i patrzyła na przechodzących przed nią żołnierzy.

– Ostatni weszli między skały – zameldował Ezu. – Jazda z Barbasu zamyka pochód.

– Nikt nie został? – Ruszyła z grupą.

– Pewnie, że nikt. – Błysnął białymi zębami, uśmiechając się. – Nikt o zdrowych zmysłach nie chciał tam być ani chwili dłużej.

– Muszą przywyknąć do widoku trupów – odparła ponuro. – Ta wojna może potrwać jeszcze bardzo długo.

– Jak twoje zęby? – zmienił temat, nie chcąc rozmawiać o wojnie. – Mniej seplenisz.

– Trafił mnie, psi syn, rękawicą. – Splunęła. – Trzy u góry wypadły, dwa złamane. Usta napuchły, ale żułam tuun i przeszło.

– I tak miałaś szczęście. Widziałem, jak jeden z nich zabił woja z Ujary uderzeniem w twarz.

– Szczęście... – Chciała prychnąć, ale gwizdnęła.

Usłyszała kamienie spadające po zboczach wąwozu. Gestem uciszyła Ezu, który chciał coś powiedzieć, i zaczęła przyglądać się szczytom. Zauważyła minimalny ruch, jakby cienie przesuwwały się tuż przy krawędzi.

– Musimy przyspieszyć! – Spojrzała na Ezu. – Biegnij do przodu!

– Co się dzieje? – Rozejrzył się zdezorientowany.

– Biegnij! Nie gadaj! – krzyknęła.

Nim azuański wojownik zdążył ruszyć na przód kolumny, z góry zaczęły sypać się na nich krótkie strzały, które raziły armię Sag Bas w trakcie szturm na wzgórze.

– Biegiem! Do przodu! Do wyjścia! – wykrzykiwała Minu.



Pociski spadały na nich z nieba, a przerażeni żołnierze nie wiedzieli, co się dzieje. Rozglądali się wokół. Ci, którzy jeszcze nie zobaczyli, że ktoś ich ostrzeliwuje, kręcili się w miejscu, patrząc ze zdziwieniem na swoich spanikowanych towarzyszy. Napastnicy przede wszystkim celowali w żołnierzy z pochodniami, więc już po chwili w wąwozie zrobiło się całkowicie ciemno.

Minu podniosła jedną z pochodni i wymachiwała nią, pokrzykując. Zaskoczona armia wreszcie zaczęła biec w kierunku wyjścia z wąwozu. Azuanka, widząc, że w końcu zareagowali tak, jak powinni, wzniosła pochodnię wysoko nad głowę i biegła, ile sił w nogach. Poza krzykiem i odgłosem szybkich kroków na skalnym podłożu słyszała świst strzał obok siebie i ich uderzenia o skały. Mknąc, przeskakiwała nad żołnierzami upadającymi po trafieniu. Nie zatrzymywała się ani na chwilę, aż wreszcie jej oczom ukazały się wozy z rannymi pozostawionymi przez woźniców. Niektórzy z nich musieli uciec, ale część leżała na kozłach ze strzałami wbitymi w ciało. Nie było czasu, by się przy nich zatrzymać.

Ruszyła dalej i po chwili wypadła na polanę pokrytą śniegiem. Dopiero kiedy przestała słyszeć świst, zatrzymała się i rozejrzała. Z przejścia między dwoma wzgórzami cały czas wybiegali kolejni żołnierze. Widziała na szczycie wzniesień sylwetki strzelców z bronią, której nigdy wcześniej nie miała okazji zobaczyć. Był to łuk, ale trzymany poziomo, a w jego środku zauważyła coś przypominającego krótką belkę. Widziała wiwatujących na szczycie ludzi, unoszących broń ku niebu.

– Co dalej? – zapytał zdyszany Ezu.

– Wszyscy już wybiegli? – odpowiedziała pytaniem.

– Ci, którzy byli w stanie... – Rozłożył ręce.

– Ruszajmy stąd – powiedziała, łapiąc oddech. – Ruszajmy jak najdalej.

– Co z wozami?

– Chcesz tam wejść i je wyciągać? – warknęła. – Ile zostało?

– Połowa...

– Będzie musiała wystarczyć... – kończąc zdanie, skrzywiła się mocno.

– Będzie musiała wystarczyć, bo przez nieudolność Minu straciliście zapasy, straciliście ludzi i jeszcze zostawiliście za sobą żywych Erskińczyków, którzy tylko czekają, żeby zaatakować wasz obóz nocą. – Imperator przekazywał myśli wszystkim swoim żołnierzom. – Pomogła mi zdobyć zaufanie ludów Azu. Dlatego postanowiłem powierzyć jej część mojej armii. Niestety popełniłem wielki błąd. Widziałem już w trakcie

zdobywania miasta nad jeziorem, że nie powinna dowodzić, ale uznałem, że każdy zasługuje na drugą szansę. Popełniłem kolejny błąd, a wy za niego zapłaciliście. Kajam się przed wami, żołnierze, i obiecuję, że wynagrodzę wam wszystkie trudy. Minu popełniła niewyobrażalne błędy w dowodzeniu waszą grupą. Puściła do szturmów was wszystkich jednocześnie, przez co tratowaliście się nawzajem. Pozwoliła, by wróg zaskoczył was ogniem, by zaatakował was, kiedy odpoczywaliście, a potem dopuściła się czegoś, co według mnie można porównać do zbrodni zdrady. Nie wysłała nawet jednego zwiadowcy, żeby sprawdził, czy wrogi obóz na pewno jest pusty. Wiecie, jak wygląda kara za zdradę...

– Nie... – Jęknęła.

– Jednak ze względu na poprzednie zasługi przy tworzeniu imperium mogę złagodzić karę. – Jego myśli płynęły bez przerwy do jaźni zgromadzonych na polanie żołnierzy. – Jeśli zabijesz się sama, to unikniesz cierpienia. W przeciwnym razie kara będzie bolesna. Weź nóż i wbij sobie w serce...

Strach przed imperatorem był większy niż lojalność wobec Minu i nawet Ezu nie odezwał się słowem w jej obronie. Ręce trzęsły się jej tak, że nie mogła wyciągnąć sztyletu z pochwy przy pasie. Łzy spływały jej po twarzy szerokim strumieniem. Dwoma rękoma przytrzymała go przy piersi, zacisnęła powieki i docisnęła broń do ciała. Ostra stal bez kłopotu wsunęła się w ciało, a Minu upadła na kolana. Po chwili leżała już w wydeptanym śniegu, brocząc krwią.

– Kiedy nadejdzie czas, wydam wam rozkazy osobiście – przemówił do wszystkich Hex, kiedy Azuanka przestała drgać. – Idźcie dalej od tego miejsca. Ta droga doprowadzi was do celu.

## Rozdział LI

Główna część armii Imperium Sag Bas, prowadzona przez kapłanki i samego imperatora, zbliżała się do otaczających stolicę pól uprawnych. Wojsko maszerowało dzień i noc, nie chcąc ponownie narażać się na atak na obóz. Nie forsowali tempa, by wozy z zaopatrzeniem mogły trzymać się blisko kolumny. Juvi wołała nie zostawiać ich w tyle bez nadzoru. Transport zaopatrzenia z głębi imperium był o wiele trudniejszy w praktyce, niż zakładano. Konwoje miały długą drogę do pokonania, która zimą była szczególnie uciążliwa. Spichlerze w kraju wysyłającym wyprawę wojenną świeciły pustkami, a ogromna armia wymagała olbrzymiej ilości żywności.

Konie zatrzymały się na popas i armia mogła chwilę odpocząć w bezpiecznym miejscu. Puste, zaśnieżone pola i łąki położone na płaskim terenie doskonale nadawały się na chwilowy postój. Kapłanki zajęły się swoimi końmi, spoglądając tylko na wpatzonego w horyzont Hexa.

– Dlaczego się nie odzywa? – Mossa, szcztokując konia, wskazała głową imperatora.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami Juvi. – Zamilkł po tym ataku na obóz.

– W ogóle się nie odzywa do nikogo, nawet myślami... – dodała Iv.

– Nie wiesz tego – wtrąciła Tia.

– Wiem! – stwierdziła agresywnie. – Wiem też, że nic tutaj nie idzie tak, jak on zakładał, i coraz mniej mi się podoba siedzenie tutaj zimą.

– Przecież mróz...

– Wiem, że mróz nie ma na nas wpływu, ale zobacz! – Wskazała dłonią pola.

– Nie jesteśmy tutaj, by podziwiać widoki – uspokoila ją Juvi. – Myślę, że Hex kontaktuje się z Minu i z Nirem. Być może toczą jakieś bitwy i musi nad tym czuwać. Tak przypuszczam.

– W rzyć z tym wszystkim. – Iv pociągnęła konia na bok.

– Myślę, że możesz mieć rację, Juvi – odezwała się Ahga. – Tutaj ma nad wszystkim bezpośrednią kontrolę, więc nie musi poświęcać temu czasu, a tam? Nie wiadomo, co się dzieje.

– Co by się nie działo, to my o tym nie wiemy i tutaj się zgadzam z Iv. – Juvi pokiwała głową, robiąc smutną minę. – Postaram się z nim porozmawiać.

– Jesteś pewna, że chcesz ryzykować? – zapytała Tia. – Po tym, co się ostatnio stało...

– Zrobił, co uznał za stosowne. – Kapłanka uciekła wzrokiem. – Nawet jeśli to było nieumyślne, to może przesądzić o naszych dalszych losach.

– Tak, tylko czy kara coś zmieniła? – Tia przytrzymała lejce swojego wierzchowca.

– Zmieniła... – Juvi westchnęła. – Teraz ma pełną kontrolę nad tym, co Rollo robi, o czym myśli...

– Jeśli w ogóle jeszcze myśli – mruknęła Ahga.

– No właśnie! Co tak właściwie się stało? – wtrąciła swoje pytanie Mossa.

– Wszystkie jesteście ciekawe, bo żadna wcześniej o tym nie wiedziała – dodała Tia.

– Wierście mi, że przeczytałam wszystkie księgi zgromadzone w świątyni. Studiowałam je przez długie lata, ale w żadnej nie było opisane nic takiego. – Juvi rozłożyła ręce. – Jest przecież księga opisująca Sag Bas i wybrańca. Jest w niej opisane wszystko, co on może osiągnąć i jak ma się tego nauczyć. Szkoliłam go, nauczałam i wydawało mi się, że wiem, jakie ma możliwości...

– Nigdy cię nie zaskoczył? – przerwała jej Ahga.

– Zaskoczył, i to nie raz, ale nie tak, nie w ten sposób. – Dłonie nieco jej drżały. – Zaskakiwał mnie swoją siłą, ale nie umiejętnościami. Wiedziałam, że może wejść do ludzkiego umysłu, ale nie sądziłam, że może wejść do jaźni wszystkich mieszkańców kraju jednocześnie. Wiedziałam, że może zmuszać ludzi do wykonywania jego rozkazów, że potrafi zadawać okropną śmierć, ale nie wiedziałam, że umie zrobić coś takiego.

– Nie wiem, co o tym myśleć... – Mossa westchnęła ciężko.

– Najlepiej przestać się nad tym zastanawiać. – Juvi spojrzała na nią. – Zajmijcie się swoimi zadaniami, a ja postaram się dowiedzieć, co się dzieje z resztą naszej armii.

– Uważaj na siebie – szepnęła Tia.

– Nie boję się wybrańca Sag Bas. – Uśmiechnęła się. – Wszystko, co robi, wypływa z Sag Bas, więc jeśli zdecyduje się mnie zabić przed zachodem słońca, to przyjmę to bez strachu. Jestem kapłanką Sag Bas i zdecydowałam się bronić tej wiary za cenę życia. Wy też się na to zdecydowałyście, więc nie żyjcie w strachu przed naszym przewodnikiem.

– Łatwo się mówi – mruknęła Azuanka. – On zachowuje się coraz bardziej nieprzewidywalnie.

– Wie, że zbliża się ostateczne rozwiązanie – odparła spokojnie. – Dla nas to najważniejszy moment w historii, a jesteśmy tylko pionkami, pyłkiem. On jest centralną postacią tego wydarzenia. Nie zdajecie sobie sprawy, jak trudno nieść to brzemień na barkach. Iv jest impulsywna i nie gryzie się w język, ale nawet irytując Hexa, nie jest w stanie zbliżyć się do wywołania uczuć, jakie w nim walczą. Znam go od dawna. Poznałam, kiedy był jeszcze chuderlawym chłopcem, przymierającym z głodu, żyjącym w świecie, w którym nikt żyć nie powinien, i domyślałam się, co może czuć. Dlatego rozumiem to, że teraz milczy. Rozumiem to, jak reaguje na przeciwieństwa losu, i dlatego w pełni akceptuję każdą jego decyzję. Wiem, że wam nie jest z tym łatwo, ale proszę tylko o to, byście nie traciły wiary. Kiedy tylko Hex pokona przeciwników Sag Bas, znowu będzie człowiekiem, którym był, zanim opuściliśmy mury świątyni. – Ruszyła w stronę potężnego mężczyzny stojącego niczym posąg.

Imperator nie zwrócił uwagi na to, że ktoś się do niego zbliża. Patrzył daleko poza cień góry mający na horyzoncie. Dłonie trzymał na połach kamizelki i nawet nie drgnął, kiedy kapłanka stanęła obok niego. Mroźny wiatr ciągnął od pól, porywając ze sobą kryształki zmrożonego śniegu. Juvy splotła ręce na piersiach i w milczeniu patrzyła w dal. Tuż obok niej stał potężny imperator. Potężny zarówno fizycznie, jak i dzięki władzy, którą posiadał. Zbierała się w sobie, by zacząć rozmowę. Choć sama była mu w całości oddana, rozumiała, że pozostałe kapłanki, młodzieńki jeszcze, które nie mogły żyć w świątyni w czasach jej świetności, nie mogły być tak przepełnione wiarą. Ich wątpliwości uznawała za coś zupełnie normalnego i wiedziała, że najlepiej będzie je rozwiązać już teraz.

Hex nie pomagał jej w tym swoim ostatnim zachowaniem. Po przeszukaniu wspomnień Rollo i ukaraniu jej za zdradę zamknął się w sobie. Ignorował wszelkie pytania i próby podjęcia dialogu. Juvy żyła na tyle długo, by wiedzieć, że zdrada jest czymś naturalnym w ludzkim społeczeństwie, ale wiedziała, że dla tych młodych ludzi, dla Hexa również,

jest to gorsze niż uderzenie sztyletu. Miała gorącą nadzieję, że jego myśli nie krążyły wokół Rollo i tego, co zrobiła, ale wokół planu ataku.

Zdawała sobie sprawę, że tylko przemyślana strategia może dać im zwycięstwo. Poznała zamek w Erskinie na tyle dobrze, by wiedzieć, jak trudny jest do zdobycia. Domyślała się, że to, co widać na zewnątrz, i to, co goście mogą zobaczyć, to tylko część całej fortecy. Widząc puste pola po drodze i teraz patrząc na to, które miała przed sobą, była przekonana, że za murami czarnej twierdzy zgromadzili zapasy wystarczające na wiele miesięcy oblężenia. Oni nie mieli takiej swobody. Tego, co ze sobą wieźli, wystarczyłoby maksymalnie na trzy miesiące, a dostawy napływające z imperium nie były w stanie ich uratować. Wojna, którą rozpoczęli, miała być ostatnią wojną na świecie. Ona miała dać światu pokój i równowagę, jakiej mu od dawna brakowało, ale zastanawiała się, czy mając takie środki, walcząc zimą, mając za przywódcę człowieka, który nie mówi im o niczym, są w stanie doprowadzić tę wojnę do końca w jedyny słuszny sposób.

– Ta czarna góra była twoim przeznaczeniem od dawna – zaczęła wreszcie. – Teraz zbliżasz się do niej już nie jako poseł, ale jako wódz wielkiej armii. Armia ma to do siebie, chłopcze, że potrzebuje rozkazów, żeby dobrze funkcjonować.

– Właśnie rozkazami się zajmuję, kapłanko – mruknął, nie zmieniając punktu, w który wbił wzrok.

– Jak to? – Zdziwiła się.

– Nir ze swoimi oddziałami jest dzień drogi od stolicy – mówił, niemal nie poruszając ustami. – Pilnuje, by żadne posiłki z północy nie przedarły się do zamku. Armia widzi tę górę, prawie widzi początek miejskich zabudowań, rwie się do szturm, dlatego muszę być z nim w kontakcie niemal cały czas, muszę ich pilnować, by nie zniweczyli mego planu, rozumiesz, kapłanko?

– Tak, ale...

– To jeszcze nie pora, by atakowali. – Nie zwrócił uwagi na jej słowa. – Dołączą dopiero wtedy, kiedy zdecyduję, że pod zamkiem brakuje mi ludzi. Nirowi udało się zdobyć dodatkowych żołnierzy. Wykonał powierzone mu zadanie niemal perfekcyjnie. Straty po jego stronie były minimalne. Zlikwidowali dowódców, tak jak prosiłem, a pozbawieni przewodnictwa żołnierze woleli zachować życie. Złamali się dość szybko, widząc, co może ich spotkać. Oni byli poinformowani o tym, że mogą próbować ich złamać

w przypadku porażki. Wiedzieli, że mogę to na nich wymusić brutalnością... Nie byli jednak świadomi tego, jaki błąd popełnili, nie mając ze sobą bursztynu. W ich głowach siedział plan, by w razie porażki w bitwie poddać się mojej woli, a potem, w środku nocy, wyciąć cały obóz. Chcieli w skrytobójczy sposób pokonać oddział Nira, ale nie mieli bursztynu...

– Teraz słuchają tylko naszych rozkazów? – chciała się upewnić.

– Są równie wierni co Tolimurajczycy, Ujarczycy czy wy, kapłanki – odparł.

– A na południu? – Stała przed nim, ale patrzył ponad jej głowę.

– Powierzenie trzeciej części armii Nirowi Naitowi było jedną z najlepszych decyzji, jakie można było podjąć, natomiast Azuanka nie spełniła pokładanych w niej nadziei. Straciła znaczną część wojsk i zapasów. Popełniła okropne błędy w taktyce prowadzenia bitwy. Gdyby nie moja interwencja, to cały plan ległby w gruzach niczym Pandey.

– Jak to?

Opuścił głowę, wbijając w nią przytłaczające spojrzenie.

– Przejąłem kontrolę nad całą południową armią – ciągnął. – Od momentu przejścia przez wąwóz między dwoma wzgórzami, który prowadzi szlakiem handlowym na zachód. Tam, na polanie pokrytej śniegiem, niemal takiej jak ta, na którą patrzę, przejąłem władzę w każdym aspekcie. Minu okazała się zbędna, a nawet niebezpieczna dla osiągnięcia celu.

– Co z nią... – Wciągnęła powietrze.

– Pozwoliłem jej wybrać samobójstwo lub śmierć w torturach. – Patrzył jej prosto w oczy. – Nie chciała popełnić samobójstwa, nie miała tyle odwagi, ale żołnierze patrzący na to wszystko doświadczyli wiele złego tego dnia. Nie chciałem, by musieli ponownie oglądać ogromne cierpienie, więc zmusiłem ją do wbicia sobie sztyletu w serce.

– Ale dlaczego? – krzyknęła. – Przecież była świetnym żołnierzem i...

– Świetni żołnierze nie wygrywają wielkich wojen – przerwał jej stanowczo. – To stratedzy potrafią przechylić szalę na jedną ze stron. To ich trzeba nazywać bohaterami, a ona marnowała moje zasoby. Próbowałem jej podpowiedzieć, próbowałem naprowadzić ją na właściwie tory. Podsuwałem myśli, które powinna wykorzystać, ale robiła to w niezwykle nieudolny sposób. Jej śmierć zdjęła brzemię strachu z całej armii.

– Ale co dalej? – Rozłożyła ręce. – Jak sobie wyobrażasz jednoczesne dowodzenie armią tutaj, na północy i na południu?!

– Gdy wszystko się zacznie, Nir będzie radził sobie sam. – Przerazający cień przebiegł przez jego oblicze. – Poza małymi podpowiedziami wszystko pozostawię jemu. Przynajmniej dopóki nie będę przekonany, że potrzebuję tego oddziału pod zamkiem. Na południu czeka ich trudniejsza przeprawa, ale doprowadzę ich do miejsca, w którym mają powstrzymać posiłki. Wszystko zgodnie z planem.

– A co z nami?! – oburzyła się. – Kapłanki martwią się tym, że się nie odzywasz. Boją się, że coś jest nie tak, ale nie chcesz powiedzieć. To młode kobiety, które potrzebują informacji. Wiara w nich jest silna, ale nie jest niepodważalna. Jedną już straciłeś...

– Straciłem? – Uniósł brew. – Nie powiedziałbym, że straciłem Rollo. Dopiero teraz jest dla mnie niezastąpiona.

– Co ty... – Otworzyła szeroko usta, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

– Tak, kapłanko. – Jego twarz rozciągnęła się w najbardziej przerażającym uśmiechu, jaki kiedykolwiek było jej dane zobaczyć. – Kiedy tylko zobaczyłem tę dziewczynę w ruinach świątyni tej czerwonej zarazy, wiedziałem, że mogę ją wykorzystać do czegoś wielkiego. Mój plan w stosunku do niej rozkwitał z każdym dniem. Doznawałem kolejnych olśnień i wreszcie wiedziałem, co mam robić. Nauczyłem ją bycia kapłanką, zabrałem ze sobą na zamek, by zobaczył ją Kastil, by powiedziała mu wprost, że chce iść ze mną, po mojej stronie, by widział próbę walki...

– Ona nie miała go przekonać do tego, by przystąpił do Sag Bas pokojowo? – zapytała z przerażeniem w oczach.

– Miała spróbować, ale wiedziałem, że szansa na to jest bardzo niska. – Spokój, jaki od niego bił, przerażał jeszcze bardziej. – Miała podrzucić mu pomysł, jak mnie pokonać, i podrzuciła. On został tam w zamku i zastanawiał się nocami, co się stało. Nie mógł pojąć, dlaczego odeszła z nami, ale mimo wszystko podała mu cenną informację.

– Chciałeś mu z jej pomocą namieszać w głowie? – Zmrużyła oczy, niedowierzając w to, co słyszała.

– Tak, ale nie do końca, kapłanko. Chciałem zamieszać mu w myślach, ale to była tylko zanęta... Kamyk rzucony ze szczytu wydmy. Ona poniosła karę za zdradę, słuszną, bo zdrada się dokonała, ale nie o karanie



przestępstwa chodziło w tym wypadku. Teraz jest podległa mojej woli całkowicie. Nie liczy się dla niej nic innego na świecie poza wykonywaniem moich poleceń. Wygląda... no cóż... Ale to też dobra informacja, bo kiedy dojdzie do realizacji ostatniego etapu tego planu, będzie bardziej wiarygodna i użyteczna.

– Czy ty chcesz... – Zasłoniła usta, bojąc się wypowiedzieć na głos myśli.

– Dokładnie tak. – Położył olbrzymie dłonie na jej ramionach. – Dokładnie to chcę zrobić. Tkwienie tutaj zimą, odbijanie się od czarnego muru... Mogę czasami zachowywać się jak szaleniec, ale to tylko pozór, kapłanko. Tym razem również tak jest. Mówiłem już, że szala zwycięstwa waha się nadal. Być może udałoby się zdobyć ten zamek, hm... tradycyjną metodą, ale moja pozwoli ocalić życie znakomitej większości naszych ludzi, naszych późniejszych wyznawców.

– Ale mówiłeś, że oblężenie, że jego ludzie atakujący jego zamek... – nie potrafiła skłecić normalnego zdania.

– To wszystko też będzie, oczywiście. – Poklepał ją po ramionach, dodając otuchy. – Jednak będzie to tylko dodatek, przystawka do dania głównego. Występ tańczącej małpy przed pokazem ogniomistrzów. Opowiedz o tym kapłankom. Niech się nasze młode nie martwią, niech ufają i wierzą, bo imperator działa natchniony Sag Bas.

Popas nie trwał długo, ale Juvy wykorzystała ten czas, by opowiedzieć o wszystkim, czego dowiedziała się od Hexa. Dziewczyny dopytywały o każdy najdrobniejszy szczegół. Trudno było im uwierzyć w to, co opowiadała im Juvy. O ile część o tym, jak przebiegały losy armii na północy i południu, oraz część dotycząca dalszych ruchów tych armii była w miarę zrozumiała, to plan dotyczący Rollo wzbudzał ogromne emocje. Nie mogły uwierzyć w to, że imperator zaplanował tak dokładnie każdy krok i chciał w tym wszystkim wykorzystać dziewczynę. Nie chciały wierzyć w to, że postąpił z nią tak okrutnie po to, by lepiej dopasować ją do swoich zamiarów. Juvy musiała się mocno wysilić, by przekonać je do tego, że to poświęcenie jest niezbędne. Nie były zachwycone tym, jak Hex potraktował jedną z nich, ale w końcu ustąpiły.

Konie spokojnie kroczyły naprzód, a zmarznięta ziemia trzeszczała pod kopytami. Imperator jechał kawałek przed resztą grupy, dalej nie zwracając uwagi na kapłanki. Ciągnął wprost na zamek majaczący w oddali, w połowie między Hexem a resztą jechała Rollo.

– Myślisz, że to się po wszystkim da odwrócić? – zapytała cicho Mossa.

– Co? – burknęła Iv.

– No to z Rollo... – mówiła dalej. – To, w jakim jest stanie. Myślisz, że Hex potrafi to też odwrócić?

– Nie wiem. – Iv spojrzała na nią. – Skoro potrafił zrobić to, to może i będzie umiał zrobić odwrotnie. Nie mam pojęcia.

– Byłoby dobrze, bo polubiłam ją i...

– Nie rozpędzaj się – przerwała jej brutalnie. – Nie wiesz, czy ona przeżyje, nie wiesz, czy ty przeżyjesz, nie wiesz, czy ktokolwiek z nas przeżyje tę wojnę. Zastanawianie się nad tym, co będzie po wojnie, jest bez sensu.

– Daj jej spokój – wtrąciła się Ahga. – W Azu od lat walczyliśmy cały czas i mieliśmy takie powiedzenie: kaoge olu hare y ubu, kaoge ahga hare y nodini. Po waszemu to znaczy: w czasie pokoju myśl o terażniejszości, a w czasie wojny o przyszłości.

– Twoje imię oznacza wojnę? – Mossa zdziwiła się.

– No tak, tak mnie nazwali rodzice. – Wzruszyła ramionami. – Tak to sobie obmyślili.

– W sumie mieli rację, rwiesz się, żeby komuś dowalić – nie chciała odpuścić Iv.

– Spokój! – wkroczyła w to wszystko Juvi.

– A co ty o tym myślisz? – zwróciła się do niej Mossa. – Hex będzie potrafił naprawić Rollo?

– Mówiłam wam już, że nie wiem, jakie są granice jego mocy. – Patrzyła na dwa konie jadące przed nimi. – Sądzę, że jeszcze nie raz nas wszystkich zaskoczy.

– Oby kolejne zaskoczenia nie były takie jak do tej pory – mruknęła Iv i zwolniła konia, by nie jechać obok reszty kapłanek.

Reszta dnia upłynęła szybko, ale zanim słońce zupełnie schowało się za horyzontem, dotarli do pierwszych zabudowań Erskinu. Niewielkie i niezbyt gęsto rozstawione drewniane domy musiały należeć do chłopów, którzy uprawiali okoliczne pola. Budynki mieszkalne wyglądały bardzo podobnie do siebie. Cztery ściany i spadzisty dach pokryty słomą. W oknach zamknięto okiennice, a drzwi zabito deskami na krzyż. Przy domach często stały szopy i komórki, których drzwi również zabezpieczono.

– Spodziewają się nas tutaj – powiedziała pod nosem Tia.

Wokół domów stały nieco pokrzywione drewniane płoty, a po braku śladów na śniegu można było wnioskować, że mieszkańcy opuścili te zabudowania już jakiś czas temu. Juvi zauważyła, że Hex przygląda się każdemu krzakowi. Znał tę drogę, przecież niedawno pokonywał ją w obie strony, ale tym razem był bardziej wyczulony. Spodziewał się kolejnej zasadzki. Im bliżej byli zamku, tym domy stały coraz ciasniej. Choć nadal były wokół nich spore ogrody, a same budynki nie różniły się niczym od pierwszych, które tutaj widzieli.

– Rozbijemy obóz tutaj. – Zupełnie niespodziewanie zawrócił konia i podjechał do kapłanek galopem.

– Tak daleko od zamku? – Ahga nie kryła zaskoczenia.

– Przede wszystkim nie pośród zabudowań – odparł. – Musimy rozlokować armię tutaj, na tym odkrytym terenie. Miasto jest bardzo blisko, a tutaj będziemy mogli dostrzec ewentualne zagrożenie. Oni mieli czas, żeby się przygotować, i na pewno się przygotowali, a ja nie chcę ponownie dać się zaskoczyć.

– To rozsądne. – Juvi pokiwała głową z uznaniem. – Na zamek możemy robić podjazdy, a z dala od budynków będziemy bardziej bezpieczni i zajmiemy tyle miejsca, ile będzie trzeba.

– Rozstawiamy stały obóz? – zapytała Ahga.

– Tak – potwierdził. – Niech rozbiją namioty i ocieplą je tak jak trzeba. Niech wykopią rowy z dala od obozu, by smród nas nie zabił...

– W tej zmarzniętej ziemi? – obruszyła się Iv.

– Będiesz to nadzorować, kapłanko. – Spojrzał na nią groźnie. – Wybierz dobre miejsce, bo inaczej nowe rowy będziesz kopała sama.

– Każ im rozpalić ogień w miejscu, w którym mają kopać. To zmiękczy ziemię – półgłosem podpowiedziała jej Juvi.

– Trzeba rozstawić wozy wokół obozu, ale najpierw niech je opróżnią i zapasy poskładają w bezpiecznych miejscach – mówił dalej Hex. – Wyślijcie oddział do rozbierania płotów i budynków tutaj. Drewno zawsze się przyda, a nie wiadomo, co siedzi w środku. Kiedy wozy będą ze sobą powiązane i osłonią obóz okręgiem, to wykopcie przed nimi rowy. Mają być szerokie na dwa łokcie i głębokie co najmniej na cztery. Rozstawić posterunki we wszystkie strony i wartowników wokół całego obozu. Gęsto! Tak gęsto, żeby widzieli się nawet nocą.

– Tak jest! – zachichotała podekscytowana Mossa.

– Woły i wielbłądy, które ciągnęły wozy, mogą stopniowo być dawane pod nóż – ciągnął. – Ale niech to będzie z głową, bo nie wiadomo, na ile będzie nam musiało wystarczyć mięsa.

– Jak rozstawić wojsko w obozie? – Juvy nie chciała podejmować tej decyzji sama.

– Najmniej wartościowe jednostki na obrzeżach. – Zastanowił się chwilę. – Potem konie... Jeśli wystarczy miejsca i środków, to niech wybudują im jakieś stajnie albo chociaż poupychają w namiotach. Nie mogą stać beczynnym na takim mrozie. W centrum daj najlepszych żołnierzy.

– Dobrze, ale wiesz, że jest już ciemno, zaraz noc i...

– Niech rozpalą ogniska, wezmą pochodnie i działają – przerwał. – Nie obchodzi mnie to, czy są zmęczeni i czy jest ciemno. Chcę, by ten obóz był gotowy jak najszybciej. Stoimy u bram jego twierdzy, nie możemy pozwolić sobie na opóźnienia, które on mógłby wykorzystać.

– Bierzmy się do roboty! – zwróciła się do kapłanek. – Trzeba przekazać rozkazy dalej i zająć się obozem. Nie ma chwili do stracenia!

– Tak jest! – krzyknęły wszystkie poza Iv, która tylko westchnęła.

Mimo zmęczenia podróżą i późnej pory żołnierze uwijali się przy rozbijaniu obozu. Ogniska płonęły w miejscach, w których miano wykopać rowy. Mężczyźni podawali sobie z rąk do rąk pakunki z wyładowanych po brzegi wozów. Każdy opróżniony wóz był dołączany do poprzedniego, przez co okrąg wokół obozu był coraz szczelniejszy. Jeden po drugim wyrastały również namioty. Dźwięk uderzania młotem o drewniane kołki naciągające liny namiotów niósł się po okolicy. Podobnie było z toporami rozbijającymi deski domów, stodół i płotów przeszkadzających w rozlokowaniu armii.

Kapłanki czuwały nad tym, co dzieje się w obozie, przejeżdżając konno między pracującymi mężczyznami. Pokrzykiwały na pracujących, by wymusić na nich jeszcze szybsze tempo. Iv oddaliła się najbardziej na północny wschód, gdzie kazała rozpaść ogromne ognisko. Żołnierze rozkładali niewielkie stosy drewna na długości kilkuset kroków, a gdy tylko ogień zgasł, zajmowali się kopaniem. Kapłanka była wściekła, że Hex odesłał ją do kopania latryn, ale Juvy wyjaśniła jej spokojnie, że wbrew pozorom jest to jedna z ważniejszych rzeczy w obozie w czasie długiego oblężenia. Gdyby tak wielka armia przez kilka miesięcy załatwiała swoje potrzeby tam, gdzie popadnie, to w końcu wymarliby z powodu zarazy albo nie wytrzymałoby smrodu. Nadal była naburmuszona, ale

przynajmniej zabrała się do pracy. Żeby ruszyć zmarzniętą ziemię, musieli się sporo namęczyć. W ruch poszły kilofy, motyki, zaostrzone kije, a dopiero na samym końcu łopaty. Przez to, jak długie musiały być rowy kloaczne, ulokowano je poza obozem. Nie spodziewano się ataku z tej strony, bo oddział Nira pilnował drogi z północy, ale mimo wszystko nad pracującymi czuwali wartownicy.

– Możesz mi powiedzieć, z czym masz problem? – Obok Iv niespodziewanie pojawił się Hex.

Dziewczyna wzdrygnęła się do tego stopnia, że koń pod nią stanął dęba i zrzucił ją z siodła. Imperator zsiadł ze swojego wierzchowca i podał jej dłoń. Ta po chwili wahania pozwoliła mu postawić się na nogi.

– Chcesz, żebym skrzyła kark? – burknęła zirytowana.

– Kapłanka nic sobie nie robi, spadając z konia – odparł. – Potrzeba znacznie więcej, by was zabić.

– Podjechałeś bezszelestnie... Jak to możliwe? – Z jej oczu strzelały iskry.

– Można powiedzieć, że wyłączyłem ci słuch. – Kącik ust nieznacznie uniósł się w górę.

– Właśnie z tym mam problem! – krzyknęła. – Robisz z nami, co chcesz! Wykorzystujesz te swoje moce na nas. Na kapłankach, które miały cię wspierać i ci doradzać! Po co my ci w ogóle jesteśmy potrzebne, co?! Żebyś miał z kogo zrobić przynętę?! Czy żebyś mógł sobie trenować swoje sztuczki?! Na pewno nie po to, żeby ci doradzać! W księgach pisali, że kapłanki muszą towarzyszyć wybrańcowi, że są jego wsparciem. Do rzyci z takim wsparciem! Nie wzięłaś pod uwagę nawet jednego naszego pomysłu! Wszystko robisz sam! Nawet jeśli coś jest dobre i na coś ci zwracamy uwagę, to i tak robisz inaczej. Sama już nie wiem, czy to, o czym myślę, to moje myśli, czy ty mi je podsuwasz... – Ramiona opadły jej i spuściła wzrok.

– Iv... – Położył dłoń na jej talii i przyciągnął do siebie. – Wiele czasu minęło od naszych rozmów w świątyni. Może nie w perspektywie dziejów, ale w perspektywie naszej misji. Jesteście mi niezbędne... To wy sprawiacie, że rozmyślam nad najlepszym rozwiązaniem każdego problemu. To wasza zasługa, że dotarliśmy tutaj. Wiem, że wydaje ci się, że nie biorę pod uwagę waszych pomysłów, ale to nieprawda. Każdą waszą myśl dokładnie analizuję i wyciągam z niej to, co najlepsze. W trakcie tego rozmyślenia nad waszymi pomysłami spływają na mnie rozwiązania

podsyłane przez Sag Bas. Sam nigdy bym nie wpadł na to, co podsuwacie mi wy. Poza tym... Jeśli zwyciężymy w tej wojnie, to będę potrzebował każdej z was nie tylko do szkolenia kolejnych kapłanek, ale przede wszystkim do zarządzania ogromnym krajem.

– Czekaj... – Odsunęła się i spojrzała na niego podejrzliwie. – Przecież po zwycięstwie Sag Bas ma zapanować równowaga i świat ma ruszyć w dobrą stronę...

– Tak się stanie, ale każdy proces wymaga czasu. – Wzruszył ogromnymi ramionami. – Ludzie zaczną rozumieć działanie Sag Bas, ale zanim wdrożą je w swoje życie, minie trochę czasu. Do tej pory przyzwyczaili się, że jest określony status społeczny, że jest bogaty albo biedny, że nie ma nic albo ma bardzo dużo, a po naszym zwycięstwie ten porządek zostanie przewrócony do góry nogami. Znikną struktury państw, w których do tej pory żyli, więc trzeba będzie zbudować je od nowa. Wiesz doskonale, że w czasach świetności Sag Bas to kapłanki sprawowały coś na kształt władzy. O ile nie było wojen w kontekście międzypaństwowym, o tyle ludzie nadal się ze sobą spierali. Taka ich natura, wtedy to kapłanka rozstrzygała taki spór. Z czasem ludzie zaczną żyć na nowo coraz bardziej, zaczną brać odpowiedzialność na siebie, nie oglądając się na władców, ale do tego czasu ktoś musi nad nimi czuwać.

– A jeśli nie wygramy? – spytała smutno.

– A jeśli nie wygramy, to będziecie mi potrzebne, by zginąć u mego boku – odparł beznamiętnym tonem.

– A czy to... jest konieczne? – Wskazała w stronę Rollo siedzącej na koniu kilkanaście korków od nich.

– Nie jest. – Pokręcił głową. – Mówiłem o tym Juvii. To nie było konieczne, ale skoro Sag Bas postawiło tę dziewczynę na naszej drodze, to musiałem wykorzystać okazję. Powiedzmy, że ta wojna jest jak rzut monetą. Los rzuca, a ja i Kastil obstawiamy, co wypadnie, tak jak na festynach w miastach. Kuglarz zawsze wie, co wypadnie, tylko czasami daje wygrać, żeby ludzie nie tracili zainteresowania – mówił. – To dlatego, że jego moneta jest specjalnie obciążona po jednej ze stron. Właśnie tym obciążeniem jest dla nas Rollo. Dzięki niej moneta spadnie tak, jak my obstawiliśmy.

– Ale aż tak... – Brakło jej słów.

– To nie było łatwe. – Spojrzał na siedzącą na koniu kapłankę. – Sam biłem się z myślami, co z nią zrobić. Nie chciałem tego, ale postanowiłem

poświęcić jedno istnienie, by uratować cały świat i nie przelewać bezsensownie krwi na tych czarnych murach.

– A jeśli to się nie uda? – Patrzyła mu prosto w oczy.

– To będę tego bardzo żałował. – Odwrócił głowę.

## Rozdział LII

Płatki śniegu zatrzymywały się na jego czarnych włosach. Dłonią podpierał brodę, wpatrując się w oddalony od zamku punkt. Zmrożone powietrze szczypało w uszy, ale zamyślony Kastil nie zwracał na to uwagi. Wszystko, co było zaplanowane przed rozpoczęciem oblężenia, zostało zrealizowane. Cały plan, ułożony wraz z Iskelem i pozostałymi doradcami, wisiał na ścianie w sali narad. Jak zwykle nie miał jednak pewności, czy nie da się zrobić czegoś jeszcze. Tym bardziej że wreszcie był w stanie dojrzeć zagrożenie.

Z murów swojego zamku widział powstający w oddali ogromny obóz. Podjechali nocą, co dało się zauważyć jedynie po ogniskach i pochodniach majaczących na końcu głównego miejskiego traktu. Zwiadowcy, których od razu wysłał, donieśli, że fortyfikują obóz i przygotowują się do długiego oblężenia. Kastil dowiedział się też, jakimi zapasami dysponują. Wysłanie ludzi tak blisko obozu przeciwnika, nawet ludzi znających teren i pod osłoną nocy, było niezwykle ryzykowne. Zdawał sobie z tego sprawę i ogromny kamień spadł mu z serca, kiedy wszyscy stawili się z powrotem. Nie chciał do końca wierzyć w ich meldunki, ale teraz, widząc to wszystko w świetle dnia, musiał zmienić zdanie. Z wysokości muru ledwo dostrzegał brązowy okrąg wypełniony kolorowymi namiotami i postaciami wyglądającymi jak mrówki. Zastanawiał się, dlaczego zbudowali obóz tak daleko, jakie mają plany i kiedy wreszcie zaatakują.

– Wasza miłość. – Tuż za nim pojawił się jeden z gwardzistów. – Uczony Iskel prosi do komnaty narad.

– Dobrze, już idę. – Rzucił okiem za mur. – Nie spodziewam się ataku już teraz, ale miejcie się na baczności. – Klepnął żołnierza w ramię i ruszył schodami w dół.

Iskel stał nad stołem, na którym leżała mapa. W sali narad był sam i gdy tylko zobaczył wchodzącego przez drzwi Kastila, uśmiechnął się do niego.



– Mam dla ciebie dwie wiadomości – zaczął, podając królowi parujący napar.

– Jest wśród nich jakaś dobra? – Kastil powąchał zawartość glinianej czarki.

– Jest, jest. – Uczony usiadł. – Napij się najpierw.

– A powiesz mi, co to jest? – Jeszcze raz powąchał niepewnie.

– Napar z kilku różnych ziół. – Machnął ręką. – Chroni przed przeziębieniem, pomaga na koncentrację. Twój ojciec i dziadek popijali go przed bitwami.

– Pamiętam, że ojciec pił coś, co mogło tak śmierdzieć... – Odstawił czarę.

– Wypij to i daj mi wreszcie przekazać wieści – ponaglił go.

– No już dobrze. – Wlał w siebie zawartość naczynia i mocno się skrzywił. – Co to za wieści?

– Przyszedł meldunek z wąwozu. – Iskel wyciągnął zwinięty w rulon niewielki kawałek papieru. – Nie zatrzymali całej armii imperium, ale zadali im spore szkody.

– Co to znaczy? – Król zmarszczył czoło.

– Nie piszą w liczbach o tym, ilu zabito, ale nie to jest najważniejszą informacją. – Podał królowi zwój. – Polegli wszyscy rycerze z Werdgwaldu i z Dealinu. Bohatersko wykonali nasz plan. Po tym, jak wytrzymali natarcie z dwóch stron i utrzymali wzgórze, musieli ratować się podpaleniem palisady...

– To miała być ostateczność. – Kastil czytał list, przeskakując wzrokiem po papierze.

– I była – kontynuował uczony. – Podpalając ją, powstrzymali natarcie i skontrolowali. Rycerze dokonali szarży ze wzgórza, którą zadali spore szkody tamtej armii, niestety to była misja samobójcza.

– Czyli przejście przez wąwóz zostało bez opieki... – Westchnął.

– Tak, ale nie do końca. – Iskel uniósł palec wskazujący. – Giermkowie i ochotnicy uzbrojeni w kusze pozostali na górze. Pod osłoną dymu zajęli miejsca do ostrzału wąwozu i kiedy armia zaczęła przechodzić, poczęstowali ich gradem bełtów. W wąwozie poza trupami zostały także wozy z zaopatrzeniem.

– To bardzo dobra wiadomość. – Nie odrywał wzroku od raportu. – Trzeba zawiadomić Tidura i króla Werdgwaldu.

– Do króla list już wysłałem, ale rozmowę z księciem zostawiłem dla ciebie, mój królu. – Uczony wyraźnie posmutniał.

– Słusznie. – Kastil odłożył list. – Takie wiadomości król przekazuje osobiście, zwłaszcza przyjaciółom. Wiesz, co się dzieje dalej z tą armią na południu?

– Zbliżają się do ostatniego z naszych posterunków w tamtej części kraju, jeśli wygrają bitwę, będą mieć wolny dostęp do zamku...

– Ale pewnie zatrzymają się tak jak ci na północy – wtrącił Kastil.

– Jest taka szansa – potwierdził uczony. – Wydaje mi się, że oni takim manewrem starają się zablokować jakąkolwiek odsiecz.

– Słusznie. – Król podniósł się i stanął nad mapą. – Tylko nie wiedzą o tym, że żadna odsiecz nie przybędzie.

– Może by to w jakiś sposób wykorzystać... – Uczony zamyślił się.

– Można o tym pomyśleć, ale najpierw trzeba zająć się tym obozem. – Król odłożył listy.

– A co, mój królu, chcesz zrobić z obozem? – Iskel wyglądał na zaskoczonego.

– Wysłałbym na nich jazdę. – Podrapał się po głowie. – Chłopaki i konie rwą się do ataku, a gdyby wszystko się udało, to dałoby nam dużą przewagę.

– Jest za późno na atak na obóz. – Uczony podniósł wskaźnik. – Po pierwsze oni już zdążyli go obstawić połączonymi wozami i okopać. Po drugie nie po to obstawiliśmy całą drogę niespodziankami, żeby teraz przez przypadek sami w nie wpaść. Cierpliwości, mój królu. Trzymajmy się planu – uspokajał go. – Dajmy im połamać sobie zęby na mrozie i czarnych murach. Dajmy im poczuć głód. Hex myśli, że to on nas oblega, ale nie zdaje sobie sprawy, że to on jest z dala od posiłków. Dajmy im zmierzyć się z naszymi pułapkami. Ich technologia wojenna nie może się równać z tym, co przygotowaliśmy. To podkopie morale i co by Hex nie mówił o tej ich religii, to widok płonących kolegów z oddziału zawsze łamie serca.

– Masz rację, wiem, że masz rację, ale martwię się o tych na południu... Czuję, jakbym ich porzucał na pastwę tych łotrów.

– To wojna...

– Wiem.

Siedzieli w milczeniu niemal do pory obiadowej. Kastil nie miał apetytu, ale wmusił w siebie pół miski zupy z soczewicy i kawałek kury. W głowie miał już to, w jaki sposób powiedzieć o stracie żołnierzy Tidurowi. Byli

w takiej samej sytuacji. Tidur znał każdego z tych rycerzy, trenował z niektórymi od dziecka, inni go uczyli, jedli przy wspólnym stole i spali we wspólnej sali. Wiedział, że to go zaboli, był tego pewien, bo jego taka informacja okropnie by zabolą. Gdyby gwardziści, z którymi bawił się jako dziecko, biegając z drewnianym mieczem, zginęli, to serce by mu pękło.

Zobaczył Tidura idącego w kierunku wieży i ruszył za nim. Księżę wszedł po schodach na dach i nieco się zdziwił, widząc Kastila wychodzącego z wjazdu.

– Czyżby król nie ufał nikomu i nawet śledził? – zażartował na powitanie.

– Nie wiedziałem, że tutaj będziesz – skłamał. – Dobrze wiesz, że od dziecka lubię przesiadywać na dachach tych wież.

– Wiem, wiem. – Uścisnęli sobie dłonie. – Mój ojciec strofował cię, żebyś tu nie włąził, bo spadniesz i wygaśnie linia rodu.

– Nie spadłem, a ród i tak może wygasnąć. – Kastil wzruszył ramionami.

– Też prawda. – Tidur usiadł na podstawie ogromnej kuszy ustawionej na dachu. – To się sprawdzi?

– Mam wątpliwości, bo strzały z tego spokojnie doleciałyby do obozu Hexa, więc jak podejda pod mur to na niewiele się zda. – Król oparł się o ramię broni.

– To może postrzelamy do obozu? – W oku Tidura pojawił się błysk. – Niech wiedzą, że ich widzimy.

– Może i strzelimy, ale jeszcze nie teraz. – Kastil posmutniał. – Skoro już się spotkaliśmy w tym zamieszaniu, to chciałbym ci coś powiedzieć. Dostałem raport z południa, z wąwozu – ostrożnie dobierał słowa. – Armia Sag Bas tam również dotarła. Musieli przebić się przez ten jar i zaatakowali wzgórze. Rycerze z Werdgwaldu i twoi wykonali rozkazy i okryli się wielką sławą...

– Ale? – Spojrzał na niego już bez uśmiechu.

– Po tym, jak spalili palisadę, zostawili giermków i ochotników w odwodzie i ruszyli szturmem na ogromną armię – mówił, starając się utrzymać królewski ton głosu. – Zadali im spore straty i powstrzymali przejście przez wąwóz, jak długo się dało...

– Ale?! – Tidur podniósł się i zacisnął pięści.

– Niestety poległ w walce z przeważającymi siłami...

– Przestań pierdolić! – wrzasnął, aż echo się odezwało. – Wszyscy polegli?!

– Niestety. – Kastil spuścił wzrok. – Zabrali ze sobą wielu wrogów, ale jednak...

– Ale wszyscy... – Opadł ciężko na podstawę.

– Z raportu wynika, że po szarży zostali otoczeni – opowiadał Kastil, zabijając ciszę, jaka zapadła. – Bronili się długo i zaciekle, ale wypuścili na nich konnicę. Mieli tylko miecze, żadnej długiej broni... Po szarży na polu zostało równo naszych i wrogów. Dzięki temu, co zrobili, kolejny oddział zdążył się przygotować, a giermkowie mieli czas, by ostrzelać marsz tej armii z góry, stracili zapasy przez to i...

– Jakie to ma znaczenie? – Spojrzał na niego zaczerwienionymi oczami.

– Tam zginęli moi mentorzy, moi kuzyni, moi przyjaciele... Już ich więcej nie zobaczę, nie napiję się z nimi miodu... Czy ty w ogóle zdajesz sobie z tego sprawę?

– Zdaję, straciłem ojca na wojnie – odparł ponuro.

– Tak, wiem, przepraszam, ja... – Drżał.

– Wiem, Tidurze. – Król usiadł obok niego.

– Tkwię za tym murem i do niczego się nie przydadę. – Tidur schował głowę w dłoniach. – Dokąd dalej pojechała ta armia? – Wyprostował się nagle.

– Na północ, w kierunku Erskinu – powiedział zaskoczony.

– Nasz obóz jest oddalony jakiś dzień i noc jazdy stąd, tak?

– No tak, ale...

– Pozwól mi wyjechać z moimi ludźmi i dołączyć do tamtych oddziałów.

– Tidur chwycił króla za barki. – Chcę ruszyć do boju, żeby pomścić swoich przyjaciół, pozwól mi to zrobić. – Jego wzrok wyrażał ogromne cierpienie.

– Tidurze, ja... – Zabrakło mu słów.

– Musisz się zgodzić! – Chciał klęknąć, ale Kastil go powstrzymał. – Błagam...

– Ale twój ojciec by mnie zabił, gdyby coś ci się stało! – Kastil wyrwał się z jego uścisku.

– Mój ojciec żyje z bólem tego, że nie mógł zemścić się na tych, którzy ukradli mu tron, więc doskonale mnie zrozumie. – Podeszedł do krawędzi wieży. – Napiszę do niego list.

– Dobrze, ale przecież tutaj też dojdzie do walki z tą armią, też będziesz miał okazję do pomsty – starał się tłumaczyć spokojnie Kastil.

– Tutaj jest oblężenie... – Tidur pokręcił głową. – Nim dojdzie do walki, w której będę mógł się zemścić, mogą minąć miesiące. Moja drużyna też nie będzie chciała czekać. Tam będzie bitwa w otwartym polu, przydamy się tam bardziej.

– Liczyłem, że wesprzecie mnie tutaj...

– Dwustu ludzi i dwieście koni musiałbyś wyżywić w trakcie oblężenia, co byłoby sporym obciążeniem, a nasza pomoc w walce mogłaby nie być aż tak wielka. Wiesz, że to prawda, Kastilu. – Ukradkiem otarł łzę.

– Dobrze. – Kastil wypuścił powietrze, tworząc wielki obłok pary. – Jak chcesz to zrobić, żeby się nie narazić na niebezpieczeństwo?

– Nocą – odparł bez zastanowienia. – Otworzysz bramę, przejedziemy mostem...

– Osiemset kopyt wywoła sporo hałasu – wtrącił król.

– Owiniemy je w szmaty, słuszna uwaga – stwierdził i ciągnął swój plan dalej. – Ruszymy bez żadnych posiłków i zapasów, od razu ubrani w zbroje i uzbrojeni. Nie będziemy ze sobą ciągnąć żadnego bagażu. To zdecydowanie przyspieszy jazdę.

– Prawda, ale będziecie bardziej zmęczeni, kiedy dotrzecie na miejsce. – Kastil usiadł na blankach, patrząc na zasnuty odrobiną mgły obóz.

– Nie będzie to miało znaczenia, pamiętasz, jak nie zwracałeś uwagi na zmęczenie, jadąc z odsieczą w trakcie ataku Barbasu? – Spojrzał na niego i nie czekał na odpowiedź. – Właśnie! Z nami będzie bardzo podobnie. Gdybym mógł tylko prosić, żeby każdy mój rycerz dostał pakunek z jedzeniem.

– Oczywiście, dostaniecie wszystko, czego będziecie potrzebować – zapewnił Kastil.

– Dziękuję, przyjacielu. – Tidur wyciągnął dłoń. – To wiele dla mnie znaczy.

– Nie wiem, czy postępujesz słusznie, ale nie mogę cię tutaj zatrzymać siłą. – Uścisnął mu dłoń. – Obyśmy tylko mieli okazję się jeszcze spotkać.

– Kiedyś na pewno. – Tidur uśmiechnął się.

Nim noc zapadła nad Erskinem na dziedzińcu zamkowym zapanował rozgardiasz. Przygotowania do wyjazdu dwuosobowego oddziału wywołały niemałe zamieszanie. Giermkowie i służba uwijali się przy siodłaniu koni i pakowaniu prowiantu na drogę. Rycerstwo i książę Tidur chcieli wziąć jak najmniej ze sobą, by nie opóźnić marszu. Iskel doradził, że najlepsze będą worki z przytroczonymi sznurkami, które zarzucają na

ramię. Do worków włożono suchą kiełbasę z dziczyzny oraz po pół żytniego chleba. Na drugim ramieniu każdy z nich miał bukłak z rozwodnionym winem. Kiedy konie były już przygotowane do drogi, rozpoczęto owijanie ich kopyt szmatami. Musieli wyciszyć odgłos stukotu podków o żelazno-drewniany most zwodzony. W tym samym czasie żołnierze zakładali zbroje. Tidur podjął decyzję, że pojedą w pełnym rynsztunku bez postojów.

Gdy tylko zgromadził w głównej sali swoją drużynę i powiedział, co stało się na wzgórzach, w mgnieniu oka podjęli decyzję. Dał im wolną rękę i każdy, kto chciał, mógł zostać na zamku bez podejmowania ryzyka przejazdu na południe. Żaden jednak z takiej możliwości nie skorzystał. Wszyscy zgodnie, bez wahania, postanowili ruszyć i szukać zemsty. Czekali już w pełnych zbrojach, stojąc obok swoich wierzchowców. Każdy z rycerzy miał na plechach worek z prowiantem i choć ich zbroje różniły się od siebie, to każdy na hełmie miał zatknięty pióropusz w barwach Joulinu. Tidur Dealin stał przy bramie w towarzystwie króla Kastila.

– Jeszcze wszystko można odkręcić – zaczął władca.

– Zawsze można, ale podjęliśmy decyzję, przyjacielu. – Tidur uśmiechnął się, trzymając hełm pod pachą. – Długo rozmawiałem z moją drużyną. Opowiedziałem im o bitwie, przekazałem dalej to, co powiedziałaś mi na wieży. Nie musiałem prosić, by pojechali ze mną. Każdy z nich doskonale wie, że tak bohaterski czyn wymaga tego, by godnie go uhonorować. Jesteśmy w czasie wojny, więc co może lepiej go uhonorować niż zemsta w boju. Nie zamierzamy chować się po krzakach i napadać na wozy. To zostawimy ochotnikom i giermkom, niech oni uczą się takiej walki, bo i ona jest potrzebna. My pójdziemy z otwartą przyłbicą na pierwsze linie.

– Nie mów tak, Tidurze, nie chcę o tym wiedzieć. – Kastil spojrział na niego smutno. – Otwieram bramę, bo wiem, że nie da się utrzymać rycerzy w zamknięciu, jeśli goni ich pragnienie zemsty, ale wierzę w to głęboko, że jeszcze wejdiesz przez tę bramę i po wojnie spotkamy się na biesiadzie.

– Oczywiście, że tak będzie. – Tidur zaśmiał się. – Kiedy tylko pogonimy te psy z powrotem na ich pustynię, wrócę tutaj uratować twoją rzyć.

– Oby tak było! – Kastil klepnął go w ramię. – Zobaczymy wtedy, czyj miecz będzie bardziej ubrudzony krwią.

– Mógłbyś wreszcie ubrudzić swój, tak między nami mówiąc. – Puścił do niego oczko. – Czas na nas!

– Noc odpowiednio ciemna. – Król rozejrzał się. – Lepszej okazji możecie nie mieć. Zwiadowcy w mieście przekazali informacje, że z obozu nikt się nie ruszył. Siedzą za swoimi umocnieniami i czekają.

– To otwieraj bramę. – Wyciągnął dłoń, ale kiedy tylko Kastil ją złapał, uściskał go. – Do zobaczenia, przyjacielu!

– Do zobaczenia. – Władca dał znak do opuszczenia mostu zwodzonego.

– Na koń! – wydał rozkaz Tidur i sam wskoczył na gniadego wierzchowca. – Zgodnie z planem, mości panowie. Pojedynczo na most i w prawo wzdłuż rzeki. – Skinął jeszcze głową Kastilowi i ruszył pierwszy.

Za nim w rzędzie jechali kolejni rycerze. Ostrożnie przejeżdżali przez zwodzony most, który był opuszczony nad zamarzną rzeką. Bloki, na które spadał most, przykryto futrami, a łańcuchy oblane porządną porcją oleju, żeby nie zdradził ich najmniejszy hałas. Owinięte szmatami kopyta nie stukały tak głośno, by nocna cisza mogła ponieść dźwięki do obozu wroga. Wokół zamku i na murach nie zapalano żadnej pochodni. Jeźdźcy również jechali po ciemku, a warstwa chmur nie przepuszczała nawet światła księżyca. Tidur ostrożnie prowadził konia po wale pokrytym śniegiem. Kolejni rycerze podążali jego śladami, nie zbaczając z kursu choćby na krok. Dziedziniec pustoszał, kiedy konni przejeżdżali przez długą bramę pod masywnym murem. Kolumna, w której jechali, miała przejść na drugą stronę rzeki zaraz za miastem, gdzie znajdował się inny most, a potem ruszyć na południe. Iskel dał Tidurowi szkic mapy, na której zaznaczył najszybszą trasę prowadzącą do obozu armii zachodu. Wcześniej oczywiście wysłał tam ptaka z meldunkiem, że oddział jedzie w ich kierunku.

Gdy tylko ostatni z członków dawnej królewskiej drużyny z Joulinu przejechał za most, zaczęto go podnosić. Teraz byli to tylko rycerze, którzy nie są posłuszni królowi Tasariku. To właśnie dlatego honor w nich był tak głęboki. Służyli swemu panu wiernie, kładąc na szali życie, nie bacząc, czy nadal był władcą, czy nie. Dla nich przewrót Lakura i reszty pospólstwa nie miał znaczenia. Teraz znaczenia dla nich nie miało też to, czy przeżyją tę wojnę, czy nie. Liczyła się tylko zemsta za resztę rycerskiej rodziny zamieszkującej twierdzę Joulin.

Świt wstawał już nad zimowym Erskinem, kiedy Kastil wreszcie dotarł do swojej komnaty. Najpierw chodził po murach, ale gdy wiatr zmroził go porządnie, zszedł do podziemnych korytarzy łączących wieże zamku. Snuł się po nich, mijając śpiących tam żołnierzy, dla których brakło miejsca

w pokojach. Otworzył drzwi do komnaty i zatrzymał się w progu, widząc, że świece w kandelabrach płoną jasnym płomieniem i rozświetlają całe pomieszczenie.

W fotelu koło łóżka kimał Iskel. Stary uczony owinał się grubym pledem i spał z otwartymi ustami zwinięty na fotelu. Król zakradł się do niego. Schował się za fotelem, wychylił i klepnął uczonego w czoło. Staruszek zerwał się na równe nogi i zdezorientowany zaczął rozglądać się wokół. Nie zauważył nikogo i począł drapać się po głowie.

– Bu! – Kastil wyskoczył z za fotela, a starzec wzdrygnął się porządnie. – Nie masz gdzie spać?

– Ale mnie nastraszyłeś! – Zaśmiał się. – Przypomniały się zabawy z dzieciństwa?

– A tak mnie jakoś naszło. – Wzruszył ramionami.

– Robi się coraz zimniej – zmienił ton na dużo poważniejszy. – Podejrzewam, że niedługo nastąpi próba ataku.

– Też tak uważam. – Kastil klapnął na zwolniony fotel. – Co prawda, zwiadowca zameldował, że obóz jest ogromny i dobrze wyposażony, ale drewno kiedyś im się skończy, a w takiej pogodzie trzeba go zużywać więcej.

– Słyszałem kiedyś o królu, który wolał szturmować mury, niż stać w oblężeniu, bo wychodził z założenia, że albo zdobędą zamek, albo będzie miał mniej gęb do wyżywienia. – Uczony podszedł do kominka.

– Miejmy nadzieję, że on pomyśli podobnie, bo czekanie za tym murem doprowadza mnie do oblędu – odparł król. – Zdecydowanie bardziej odpowiadała mi pozycja z drugiej strony murów.

– To zabawne, bo tak samo mówili niemal wszyscy mężczyźni twojego rodu, mój królu. – Iskel odwrócił się do niego. – O twoim ojcu i dziadku nie będę opowiadał, bo ich historię doskonale znasz sam. Natomiast jeśli nie jesteś jeszcze śpiący, to mogę opowiedzieć ci o jednym z dawnych władców Erskinu.

– Chętnie posłucham. – Kastil usiadł wygodnie.

– Było to trzech króli przed twoim dziadkiem. – Uczony podsunął sobie drugi z foteli bliżej kominka i usiadł. – Ten przodek nazywał się Aunin i bardzo mocno skonfliktował się z ówczesnym królem Utvinu, Ymmem. Poszło o to, że król Aunin chciał wziąć za żonę córkę Ymma, ale ten nie chciał pakować się w sojusz z potężnym już Erskinem. Wolał zaryzykować i połączyć siły z Bernsternem. Mieli stworzyć jedno większe państwo, które



nieco równowazyłoby mocarstwowe zapędy naszej ojczyzny. Jak doskonale się orientujesz, nasze kraje dzieli pasmo górskie dość trudne do sforsowania przez jakąkolwiek armię. Twój dziad wpadł na pomysł, że wykorzysta te góry tylko jako przynętę. Wysłał jeden nieduży oddział na granicę z Bernsternem, drugi wysłał przez góry, a trzeci wysłał do Hofskinu. W tamtych czasach to była zaledwie niewielka wieś zamieszkiwana przez zwykłych rolników. Kilka tysięcy żołnierzy brzegiem Morza Północnego przedostało się przez granicę i wzdłuż koryta rzeki Issint dotarło do miasta Timant. Stolica Utvinu była wówczas ogrodzona drewnianą palisadą zbudowaną z najwyższych pni. Nawet najlepsi łucznicy mieli problem, by posłać strzałę ponad tym murem. Za palisadą, poza zabudowaniami miejskimi, które w tej historii nie są ważne, znajdował się drewniany zamek. Obok tego zamku budowano dopiero ten stojący tam nadal. Kamienne mury sięgały dopiero wysokości dorosłego mężczyzny. Żołnierze po drodze nie napotkali większego oporu, bo niemal cała armia Utvinu siedziała w twierdzy Etel, czekając na atak ludzi idących przez góry. Sojusznik Utvinu, Bernstern, też nie mógł im pomóc, bo był zajęty rozbójnickimi atakami naszych żołnierzy na ich granicy. Król Aunin poprowadził wojska na stolicę osobiście i podjeżdżając pod mury, zażądał poddania miasta i wydania mu księżniczki Els. Władca Utvinu wyśmiał go i wyzwiał do bitwy. Jednak nie natychmiast. Chciał odwlec w czasie walkę, by dać szansę na powrót swoich wojów z Etelu. Na to Aunin nie mógł sobie pozwolić i zaatakował od razu. Tak wysoka palisada w tamtym czasie miała zasadniczą wadę. Łucznicy nie mogli ostrzeliwać napastników, którzy podeszli już pod ostrokół. Erskińczycy wykorzystali to i podłożyli ogień pod kawałek palisady. Grube pnie wypalały się raz za razem, mimo tego, że oblewano je wodą. Pożar wypalił część pni na tyle, że udało się przez nie przebić. Nasi wojowie wtargnęli za mury i choć Timant był gotowy na wojnę, to nie miał szans w starciu z doborowym rycerstwem. Aunin zdobył miasto w miarę szybko i zagroził, że spali zamek z mieszkańcami w środku. Król Ymm długo się wahał, ale w końcu otworzył wrota swej drewnianej twierdzy i wypuścił córkę. Els nie chciała jechać do Erskinu, opuszczać rodzinnego domu. Przede wszystkim jednak bała się Aunina, który wyglądał jak czarny niedźwiedź. Był ogromnym mężczyzną, przy którym Thondar wyglądał na ułomka, a w dodatku miał długie i potargane czarne włosy i brodę. Dziewczyna bała się też tego, że miała zamieszkać w jaskini wykutej w skale. Ludzie rozpowiadali wtedy, że

w Erskinie nie ma zamku, tylko właśnie jaskinia. W końcu jednak przyzwyczaiła się do życia w naszym kraju. Była dobrą królową, urodziła Auninowi piątkę dzieci i z tego, co wyczytałem, w pewnym sensie go pokochała. Utvin natomiast stał się ogromnym sojusznikiem Erskinu i ta przyjaźń trwa do dziś.

Zamyślił się na moment po zakończeniu swojej opowieści. Kiedy skierował wzrok na fotel, na którym siedział król, zobaczył, że Kastil zasnął. Uśmiechnął się tylko pod nosem i podniósł z fotela. Uważnie stawiając kroki, dotarł do łoża, na którym leżała futrzana narzuta. Zdjął ją i delikatnie przykrył króla. Pogasił wypalone prawie do końca świece i wyszedł, cicho zamykając drzwi.

Kastil zerwał się na równe nogi, kiedy dźwięk trąb rozległ się w całym zamku. Zrzucił z siebie futrzaną narzutę i rozejrzał się po pokoju. Chwilę mu zajęło dojście do siebie i zorientowanie się w tym, co się dzieje. Drzwi do sali otworzyły się z hukiem i wpadł do niej jeden z gwardzistów.

– Atak? – zapytał król.

– Zauważyliśmy ruch na trakcie – odparł zdyszany żołnierz. – Generał Merik nakazał dać w trąby.

– Biegnę na mury!

Gwardzista zasalutował i wybiegł z komnaty, a Kastil zaraz za nim. Korytarze zamku, dziedziniec i schody prowadzące na szczyt muru ponad bramę pokonał błyskawicznie. Nie zauważył nawet, że słońce stało już w zenicie. Nie zauważył też, że wszyscy żołnierze znajdujący się za murami byli w gotowości bojowej. Pędził na złamanie karku po kamiennych schodach wyrzeźbionych w grubym murze. Gdy już znalazł się na górze, nie mógł wydusić z siebie słowa. Dopiero po uspokojeniu oddechu odezwał się do stojących tuż obok Theusa Merika i Devera Monerweha.

– Co się dzieje? – Wychylił się poza krawędź blanków.

– Dzięki temu wynalazkowi z Akademii udało nam się zobaczyć koniec traktu. – Merik podał mu skórzaną tubę ze szkiełkami z obu stron.

– I co? – Król spojrział jednym okiem przez urządzenie.

– Rozsunęli wozy i nic się nie działo, a teraz jedzie tutaj jeden koń – odparł Dever.

– Jeden jeździec – poprawił go generał. – A wozy zsunęli z powrotem.

– Właśnie widzę. – Kastil odłożył lunetę. – Co to może znaczyć?

– Podejrzewam, że wiezie nam jakąś wiadomość – stwierdził Iskel, który dopiero co wszedł na mur.

– Zaraz będziemy wiedzieć. – Kastil stanął na samej krawędzi i czekał.

Jeździec popędził konia i pół królewskiego traktu pokonał w pełnym cwale. Zatrzymał się przed rzeką i wyciągnął ku niebu miecz głownią do góry, co miało symbolizować pokojowe zamiary. Koń wyglądał na chorego. Krótki cwał zmęczył go do tego stopnia, że nie podnosił nawet łba. Z wysokiego muru trudno było wszystko dostrzec gołym okiem, ale wydawało się, że był przeraźliwie chudy. Zresztą jeździec nie wyglądał lepiej. Mimo wielkiego mrozu nie miał na sobie futer. Ubrany był w brązowy wór, który miał stanowić płaszcz. Na głowie nosił chustę. Zsiadł z konia i stanął na środku zamarznętej rzeki. Gdyby chciał, spokojnie podszedłby bliżej muru, ale nie ruszył się z tego miejsca nawet o krok.

– Żeby tylko któremuś nie przyszło do głowy ognistej strzały wypuścić! – warknął na łuczników Merik.

– Królu Kastilu! – Usłyszał z dołu łamany erskiński. – Królu Kastilu!

– Jestem! – krzyknął.

– Mam wiadomość od imperatora Sag Bas – jeździec przykładął dłonie do ust i krzyczał, ile miał sił w płucach. – Imperator wzywa cię do poddania zamka i wypuszczenia wszystkich żołnierzy bez broni – krzyczał, łapiąc oddech co zdanie. – Wszystkie, co wyjdą i poddają się, będą mogli przyjąć Sag Bas i dołączyć do wielkiej armii imperium. Te, co nie wyjdą, zginą. Ty, królu, będziesz żył, jak oddasz imperatorowi swoją koronę i miecz i położysz się na tej rzece, by mógł po tobie przejść do zamka. Wtedy zostaniesz jego prawa ręka. Czas na otwarcie bram macie do jutra do południa.

Kastil nie zdążył nawet nic powiedzieć, kiedy poseł odwrócił się i wrócił do konia pozostawionego na brzegu. Przekreślił trzymany w dłoniach miecz i wbił go w klatkę piersiową zwierzęcia. Koń nawet nie parsknął, tylko padł na bok, brocząc krwią, która zaczęła rozlewać się na bielutki, niczym niezmacony śnieg. Jeździec obrócił się i ściągnął z głowy chustę. Wyszukał wzrokiem młodego władcę stojącego na szczycie muru. Kastil zobaczył w spojrzeniu charakterystyczny dla Hexa błysk grozy. Władca wychylił się jeszcze bardziej, wyrwał z dłoni Merika lunetę i przyjrzał się stojącemu na dole człowiekowi. Był to zwykły mężczyzna, starszy, z pooraną zmarszczkami twarzą, ale w jego oczach było coś straszliwego. Żołnierz Sag Bas uniósł miecz i z uśmiechem na ustach przejechał sobie ostrzem po szyi. Krew trysnęła na śnieg, a on jeszcze przez chwilę trzymał się na nogach,

nie zrywając kontaktu wzrokowego z Kastilem. Dopiero kiedy jego oczy zmieniły wygląd, padł na śnieg obok martwego zwierzęcia.

– To Hex – odparł król, wracając na środek muru. – Widziałem, że to on był w głowie tego człowieka.

– Co z tą propozycją? – zapytał Merik.

– To nie jest propozycja – odpowiedział Iskel, nim król zdążył otworzyć usta. – To był pokaz. On chciał nam pokazać, jaką ma moc i do czego jest zdolny. Atak może nastąpić jutro, za tydzień albo dziś wieczorem. Nie wiemy tego nadal.

– Pokazał, do czego jest zdolny. – Kastil bezmyślnie wcisnął lunetę Iskelowi i ruszył w kierunku schodów.

## Rozdział LIII

Królowa Imma zajęła sypialnię po swoim ojcu, ale zupełnie ją przemeblowała. Zamiast olbrzymiego łoża z baldachimem wstawiła równie duże łóżko, ale niższe i bez zadaszania. Było proste, choć na zagłówku wyrzeźbiono herb Bernsternu w towarzystwie statków toczących morską bitwę. Stolik, przy którym samotnie jadał Kunglin, również został wyrzucony. Jego miejsce zajął dużo większy stół z zestawem sześciu krzeseł. Imma korzystała z niego również do przyjmowania niektórych gości. Mimo wielu sal w zamku lepiej nadających się do tej funkcji, jakoś najpewniej czuła się właśnie tam. Pustą do tej pory przestrzeń kazała zastawić regałami wypełnionymi księgami i mapami.

Do wystroju wnętrza użyła też kilku artefaktów, które zgromadziła na swoim pirackim statku. Tyt rozstał się z nimi bez sentymentu, wygrażając, że zdobędzie jeszcze ładniejsze. Dlatego pod oknem ustawiła długą lunetę zdobytą kiedyś na statku wypełnionym uczonymi po same burty, który pływał pod banderą Erskinu. Obok lunety stał złoty sekstans, który służył jej wiernie przez lata do wyznaczania kierunków na morzach. Po drugiej stronie komnaty stała busola – wymontowana ze statku płynącego z Barbasu. Była wykonana z czarnego drewna, lśniącego i grawerowanego, okuta złotem i wysadzana kolorowymi kamieniami szlachetnymi. W nogach łoża postawiła wielki kufer obity srebrem.

Między dwoma regałami zawiesiła coś, co było bardziej wartościowe niż całe wory złota. Kryształowe lustro w srebrnej ramie było najbardziej pożądanym przedmiotem na wszystkich dworach i zamkach, w których mieszkały kobiety. Problem polegał na tym, że tylko jeden uczoney posiadał umiejętność produkowania szkła odbijającego obraz rzeczywistości. Uczonego wyrzucono z Akademii za sprzedawanie swoich wyrobów i nieodprowadzanie połowy zysków na potrzeby uczelni, więc wszystko robił sam. Nawet jeśli kogoś było stać na lustro, to musiał czekać prawie rok, aż będzie gotowe. Dlatego właśnie ten artefakt był najcenniejszym

w jej kolekcji. Imma stała właśnie w oknie i spoglądała przez lunetę na opustoszałe miasto. Do komnaty wszedł rozgorączkowany Mytel.

– Twoi piraci idą tutaj z człowiekiem przywiązany do drąga! – krzyknął od progu. – Niosą go tutaj jak upolowanego jelenia!

– Kogo niosą?! – Podeszła do okna.

– Nie wiem kogo, ale kazałaś im polować na Kelera! – Uniósł ramiona w górę.

– Myślisz, że mogą nieść właśnie jego? – zapytała podekscytowana.

– Zaraz się dowiemy, bo widziałem ich, jak wchodzili do zamku, dlatego tutaj przybiegłem! – Pukanie do drzwi przerwało ich rozmowę.

Do komnaty wszedł służący, skłonił się nisko i nim spróbował odezwać się choć słowem, Imma nakazała mu wpuścić tych, którzy czekali w korytarzu, odwrócił się więc na pięcie i zniknął za drzwiami. Po chwili podwójne wrota otworzyły się z dużo większym hukiem. Do komnaty weszło ośmiu mężczyzn, dwóch z nich niosło na barkach drewniany pień, do którego za ręce i nogi przywiązany był mężczyzna z workiem na głowie. Przed nimi kroczył Tyt ubrany jak tropikalny ptak. Miał na sobie długi płaszcz zszyty z wielu kolorowych kawałków materiału, a na głowie nosił kapelusz z szerokim rondem i długim czerwonym piórem.

– Trochę to potrwało, bo się szczer w kanałach zaszył, ale pojmalim go. – Dał znak głową, a jego ludzie rzucili pakunek na marmurową posadzkę. – Teraz twoja kolej.

– Dzień dobry – odpowiedziała z uśmiechem. – Miło, że wpadliście, i to nie z pustymi rękami.

– I też z pełnymi byśmy chcieli wyjść. – Tyt wyszczerzył się. – Na ileśmy się tam umówili?

– Obydwoje doskonale pamiętamy i tyle dostaniecie, ale najpierw muszę zweryfikować, czy to aby na pewno moje zamówienie. – Uśmiechnęła się zalotnie.

– No pewno, przecież my nie oszukujemy – oburzył się.

– Wy może i nie – parsknęła. – Jednak ten, którego tutaj niby przynieśliście, jest większym cwaniakiem, niż się wam wydaje. Sprawdzę, czy to on, a jeśli okaże się, że tak, to dostaniecie swoje złoto i będziecie mogli wracać na morze, by wypełnić resztę naszej umowy.

– Tylko nie próbuj nas orznać! – Tyt podniósł palec.

– Gdybym chciała was orznać, to za drzwiami tej sali stałaby już moja straż z przygotowaną bronią, a tak nie jest – stopniowo podnosiła głos. –

Więc nie próbuj mi tutaj podskakiwać, ty mała wszo, bo nadal jesteś nikim pod moim butem.

– Poczekam na korytarzu – mruknął i odwrócił się czerwony na twarzy.

Kiedy ostatni z piratów zamknął za sobą drzwi, podekscytowana Imma doskoczyła do leżącego na podłodze człowieka. Ściągnęła mu worek z głowy, a Mytel rozciągnął więzy łączące więźnia z pniem. Posadzili go na posadzce i królowa zaczęła się przyglądać. Mężczyzna, który miał być Kelerem, był całkowicie przeciętny. Miał rzadkie siwe włosy, pomarszczoną twarz, jasne oczy, był średniego wzrostu i takiej samej budowy. Był ubrany w zwyczajne, skórzane spodnie, koszulę i gruby, pikowany kaftan, wszystko utrzymane w odcieniach brązu.

– Co tak patrzysz, piratko? – odezwał się wreszcie. – Nie poznajesz?

– Widziałam cię tylko raz, byłam wtedy dzieckiem – odparła z obrzydzeniem.

– Bardzo ładnym dzieckiem. – Oblizał wargi.

– To on – zwróciła się do Mytela.

– Skąd ta pewn...

– Po prostu to wiem – warknęła, przerywając mu. – Zawołaj piratów i strażników. Idź!

– Dalej nerwowa. – Keler uśmiechnął się. – Wyrosłaś, ale charakterek pozostał...

– Umrzesz w mękach – wycedziła przez zęby. – Za wszystko, co zrobiłeś mnie i innym...

– Jestem na to przygotowany i niczego się nie boję. – Uśmiechnął się półgębkiem. – Przeżyłem wiele lat, żyjąc tak, jak chciałem. Król jadł mi z ręki. Miałem własną armię... To ja rządziłem tym, co działo się za murami waszego zamku. Tam to ja byłem królem. Każdy sklep, kram czy stragan płacił mi za ochronę przed atakami moich ludzi. Każdy złodziej oddawał mi część łupów, każdy pirat płacił mi za to, że mógł wpłynąć do portu, ale było też coś ważniejszego, czyli informacje. To za to płacili najczęściej. Twój ojciec też. Chciał wiedzieć, gdzie jesteś, to pytał mnie. Jeśli jakaś dziewczka wpadła mi w oko na ulicy, to jeszcze tego samego wieczora chędożyłem ją w swojej kwaterze. Sprzedawałem i kupowałem wszystko, od ziemniaków po dzieci. W czasach głodu jadłem jak pan...

– Zamknij już ten ryj. – Odwróciła się od niego i zwróciła do strażników:

– Zabierzcie go do lochu, w którym ja siedziałam. Skujcie mu nogi i podwieście za ręce przy suficie. Jeden cały czas wewnątrz celi, drugi

przed drzwiami. Macie się zmieniać co dwie godziny. A wy spisaliście się świetnie. – Spojrzała na piratów. – Otrzymacie umówioną zapłatę i możecie wracać na wody wypełnić resztę kontraktu.

– I nie wykiwasz nas? – zapytał Tyt. – Nie będzie nas ścigał inny statek? Nie będziesz chciała, żebyśmy się wzajemnie powyrzynali?

– Mój plan polega na tym, żeby na wodzie została jedna piracka jednostka. – Spojrzała na niego wściekłym wzrokiem, który doskonale znał. – Jeśli to będziecie wy, będę zadowolona, ale jeśli zginiecie, to już nie moja wina. Działajcie tak, żeby przeżyć. Mysel wypłaci wam należną kwotę.

Tyt chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Imma odwróciła się do niego plecami i podeszła do okna. Uczony poprosił piratów, by poszli za nim. Królowa była przygotowana na to, że może im się udać złapać Kelera, więc kazała schować trzy i pół tysiąca złotych monet w miejscu jak najdalej oddalonym od skarbcza. To była jej załoga, ale już teraz nie ufała im za grosz. A już na pewno nie w kwestii tego, że zapomnieliby o tym, jak do skarbcza dojść. Strażnicy chcieli zająć się Kelerem, ale ten nie dał się wyprowadzić. Zaczął wydzierać się w niebogłoso.

– Myślisz, że mnie złamiesz?! – krzyczał, wyrывая się strażnikom. – Myślisz, że mnie złapałaś, kurwo! Mam swoich ludzi w zamku, mam ich wszędzie, wyjdę stąd szybciej, niż myślisz!

– Myślę, że twoi ludzie nie zdążą się nawet o tym dowiedzieć, bo zginiesz za kilka godzin – odpowiedziała mu najzupełniej obojętnie, choć w środku aż nią rzucało. – Zabierzcie go już, a jak będzie tak krzyczał, to możecie uciąć mu język.

Konie gnały, ile tylko miały sił. Poganiane przez rycerzy siedzących na ich grzbietach pędziły przez śnieżne zasy w kierunku wzgórz leżących dzień jazdy od Erskinu. Właśnie tam rzeka Pigjok wpływała do Issint i tam rozlokowano ostatnią linię oporu przed atakiem z południa. Tidur Dealin jechał na samym przedzie kolumny, nie patrząc nawet, czy ostatni nadążają za nim. Jechali całą noc, więc do obozu powinno być niedaleko. Nie szczędził swojemu wierzchowcowi ostróg.

Kiedy dotarli w okolice obozu, echo niosło ze sobą odgłosy bitwy. Podjechał na wzgórze i zatrzymał się między drzewami na jego szczycie. Spojrzył na oddalone doliny, podzielone zamarznętymi rzekami, i z trudem złapał powietrze. Konie, które ustawiły się tuż obok niego, parowały na mrozie, a w zasięgu ich wzroku toczyła się zażarta bitwa.



Tidur doskonale wiedział, ilu żołnierzy Erskinu powinno się tam znajdować. Brał przecież udział w ich rozlokowaniu. Widział chorągiew rycerzy z Kvilinu, których był niecały tysiąc, siedem tysięcy konnych pochodzących z Duthbeinu, Myrbeinu i Abrahu, do tego oddziały łuczników, pikinierów i drużyny lekkiej piechoty z całego południa. Łącznie miało tam walczyć około trzydziestu tysięcy wojów. Mniej więcej tyle samo ludzi liczyła druga strona. Na wzgórzu po prawej stronie płonął obóz. Po namiotach i usytuowaniu poznał, że to obóz, do którego zmierzał.

– Panowie! – odwrócił konia i zawołał. – Jechaliśmy całą noc i pół dnia, by trafić do obozu naszej armii. Jak widzicie, ten obóz płonie. W dole toczy się bitwa, w której możemy dokonać naszej zemsty. Nasze konie są zmęczone, my jesteśmy zmęczeni, ale nie ma czasu ani na popas, ani na odpoczynek. Możemy tylko wyciągnąć miecze i prosić bogów, przodków czy kogo tylko mamy w sercu, by nasza ręka nie drgnęła, a kopyto naszego wierzchowca nie usunęło się. Musimy się liczyć z tym, że to ostatni wieczór naszego życia, ale pamiętajmy, o co tutaj walczymy. Znaliśmy rycerzy, którzy polegli w wojnie z Sag Bas, więc teraz dopilnujmy, żeby ich oprawcy polegli w wojnie z nami. Jedźmy tam i zabierzmy ich ze sobą jak najwięcej! Niech śpiewają o nas pieśni!

Wyciągnął miecz ku górze, a w odpowiedzi usłyszał gromki okrzyk. Błyszcząca broń wystrzeliła ku niebu i dwusetka ciężkozbrojnych rycerzy runęła ze wzgórza ku polu bitwy. Niezbyt stromym stokiem pomknęli w dół. Pędząc po płaskim zaśnieżonym terenie, wpadli w środek bitwy. Tidur gnał na samym przedzie klina i kiedy tylko zobaczył wrogich żołnierzy, wjechał między nich. Towarzysze broni, widząc nadciągające posiłki, poczuli przypływ sił.

Szczęk broni otaczał Tidura, który obrócił swojego konia i ściął głowę komuś uzbrojonemu w widły. Wokół niego leżało wielu poległych. Trudno było rozpoznać, kto był w jakiej armii, bo śnieg wymieszany z krwią i błotem pokrył ich ciała. Kolejni nadbiegali w jego kierunku, a od zbroi odbijały się strzały. Jednego usiekł ciosem z góry, inny stracił rękę, próbując uderzyć w kark jego konia. Niestety nie zdążył już obrócić się ku kolejnemu, który przeciął tylne pęciny zwierzęcia. Głośny kwik konia trafił do jego uszu, a po chwili leżał już na plecach obok ciał innych rycerzy. W głowie światała mu tylko jedna myśl. Musiał podnieść się najszybciej, jak to możliwe, nie zwracając uwagi na śliski śnieg i ciężką zbroję. Poczł, jak ostrze jakiejś broni osuwa się po jego ramieniu. Zdążył tylko odwrócić się

i machnąć mieczem, ścinając przeciwnika z nóg. Dobił go, przyszpilając mieczem do ziemi, czym ułatwił sobie powrót na nogi. Przedramieniem odbił zacierające w jego stronę szerokie ostrze na długiej sztycy. Poczłł ogromny ból, ale drugą ręką wyprowadził śmiertelny cios. Cały czas słyszał wokół siebie świst strzał. W chaosie widział, jak kolejne chorągwie upadają.

Czytał meldunki mówiące o tym, że duzo mniejszy oddział długo utrzymywał swoją pozycję i dziesiątkował dokładnie tę samą armię. Według tamtych meldunków każdy z rycerzy walczących w okolicach wąwozu zabierał wielu wrogów. Tutaj tego nie widział. Armia Sag Bas walczyła jak sfora wściekłych wilków. Rzucala się do gardeł grupami, które mimo utraty członka czy dwóch zabijały ofiarę. Widział też, jak wybierają cel do kolejnego ataku. Nie uderzali na członków oddziałów ludowych, nie rzucali się na słabiej uzbrojonych rycerzy. Wybierali tylko najlepszych, zdobywali chorągwie, zabijali przywódców. Nie dali mu jednak czasu, by dłużej się mógł nad tym zastanawiać. Otoczyła go siódemka przeciwników. Wszyscy byli z jednego oddziału, każdy osłaniał twarz złotą maską, a w dłoniach trzymał długą broń z szerokim ostrzem na samym końcu. Zrzucił z głowy hełm, by nic nie ograniczało mu widoczności, i chwycił miecz w obie dłonie.

– Jeśli choć jedna pieśń wspomni to starcie... było warto. – Westchnął i ruszył.

Uderzył jednego, odbijając jego broń na bok, sparował kolejny cios i jeszcze jeden. Nie mógł zbliżyć się do żadnego z wrogów. Trzymali go na dystans swoją bronią, ale sami też nie mogli mu nic zrobić. Doskonałe wyszkolenie w walce na miecze sprawiało, że wyprzedzał ich ruchy. Przerzucił swoją broń z prawej dłoni do lewej i ciął od dołu. Przeciwnik w ostatniej chwili zdążył zabrać dłoń z miejsca, w którym ostrze uderzyło o drzewiec. Wytrącony z równowagi cofnął się, co wykorzystał Tidur. Skoczył naprzód, uderzając w broń. Nie dał rady utrzymać jej w jednej dłoni. Rycerz rzucił się głębokim wypadem i trafił pod pachę, krew połała się na śnieg, a mężczyzna zakołysał się na nogach i upadł. Inni próbowali wykorzystać chwilę i zaatakować od tyłu, ale Tidur zbił szybkimi ruchami trzy uderzenia. Czuł ogromne zmęczenie, ale walczył z całego serca. Złapał za drzewiec, rozcinając sobie dłoń o ostrze, i pociągnął przeciwnika ku sobie. Wbił mu miecz w brzuch i odrzucił kopnięciem.

– Jeszcze pięciu... – Strząsnął krople krwi z dłoni.

Cały czas trzymali go w zamkniętym kręgu. Przesuwali się – niczym drapieżniki – raz w prawo, raz w lewo. Rzucali się do ataku dwójkami, jeden z przodu, a drugi z tyłu, ale doskonały refleks Tidura blokował ich zamiary. Zaśmiał się głośno i ruszył przed siebie w kierunku jednego z nich. Reszta nie bardzo wiedziała, jak na to zareagować. Żołnierz w złotej masce cofał się, blokując ciosy wyciągniętą przed siebie bronią, ale Tidur wreszcie uderzył tak mocno, że drzewiec okuwany stalą pękł. Już po następnym uderzeniu serca ostrze jego miecza wbiło się pod maskę. Natychmiast odwrócił się i uderzył z całej siły w kolejne ostrze. Tym razem ze stali posypały się iskry, a jego ręce odrzuciło. Na moment stracił równowagę, ale napierśnik wykonany przez królewskiego kowala wytrzymał cios. Stalowe ostrze wbiło się w metal zbroi i wróg nie mógł go wyciągnąć. Tidur skorzystał z tego zawahania i popchnął go na śnieg, wykorzystując jego własny drzewiec. Sam wyszarpnął ostrze ze zbroi i wbił w piersi rywala. Pozostali trzej rzucili się na niego, uderzając gdzie popadnie. Kolejne ciosy odbijał mieczem i przedramionami, a zbroja wyglądała już jak stary obtłuczony garnek. Następny wypad trafił w pachwinę wroga, z której krew lała się niczym z wiadra. Kolejnego złapał za rękę i przyciągnął do siebie. Resztę sił włożył w cios od góry, który trafił prosto w złoty hełm. Miecz pękł z jękiem, a spod maski połała się krew. Tidur wyrzucił rękojeść i chwycił leżący na ziemi drzewiec.

– Wyrzuc broń, tak jak ja wyrzucam. – Usłyszał głos przeciwnika. – Zdejmę maskę, Tidurze, żeby było uczciwie.

– Skąd znasz...

– Twoje imię? – dokończył żołnierz Sag Bas. – Poznaliśmy się na zamku. Bo wiesz... Zauważyłem, że podczas poprzedniej bitwy moi żołnierze nie do końca poradzili sobie z pokonaniem przeciwnika i teraz sam postanowiłem wszystkiego dopilnować prawie osobiście.

– Jak to możliwe? – zapytał zdeorientowany.

– Sag Bas. – Śniady mężczyzna uśmiechnął się, a jego oczy błyszczały zupełnie przeraźliwym blaskiem. – Sag Bas jest odpowiedzią na wszystko, mój drogi. Poznałem twój umysł, będąc w zamku, i wiem, że jesteś inteligentnym człowiekiem. Zapewne domyśliłeś się już, że zabijamy tylko ludzi wyglądających na dowódców. To dlatego, że pragnę dołączyć do Sag Bas jak najwięcej wyznawców. A jednak żywi wyznawcy są bardziej pożądani. Nie ukrywam też, że wasi żołnierze są na tyle waleczni, że

przydadzą mi się w zdobyciu zamku i podbiciu kolejnych zachodnich krajów.

– Zabiję! – krzyknął.

– Mógłbyś zabić co najwyżej to ciało, ale i tak ci się nie uda – odparł obojętnie. – Jesteś dowódcą, księciem, doskonale wiem, że musiałbym mocno pilnować twoich pomysłów. Przy tworzeniu jednego olbrzymiego imperium nie będzie na to czasu. Dlatego wolę cię zabić tutaj, to nic osobistego.

– Stawaj! – Tidur odrzucił broń i rękawice, wyciągając przed siebie pięści.

– Staną, ale uprzedzam, że choć ciało nie należy do mnie, to siła, umiejętności i umysł są nadal moje. – Zrobił krok do przodu. – Nie ma dla ciebie nadziei.

Tidur Dealin z wściekłością zaczął. Uderzał raz prawą, raz lewą ręką, ale imperator w ciele swojego żołnierza uchylał się przed ciosami bez specjalnego wysiłku. Choć nie mógł czytać jego myśli, to znał sposób walki rycerzy zachodu. Pięści księcia trafiały w powietrze, aż wreszcie otwarta dłoń zamknęła się wokół jego palców. Chciał jeszcze uderzyć drugą, ale ta również ugrzęzła w dłoni Hexa. Imperator huknął go głową prosto w nos, roztrzaskując kości. Kopnięciem odrzucił na śnieg i skoczył na leżącego przeciwnika. Potężne uderzenie łokciem przestawiło szczękę Tidura i pozbawiło go przednich zębów. Przed oczami widział tylko czern. Nie był już w stanie się bronić.

– Polubiłem cię, Tidurze, więc nie będziemy tego przeciągać. – Zacisnął palce na jego karku i zgniótł krtań.

Bitwa toczyła się w najlepsze, a Hex pilnował, by jego wojsko nie popełniało tak głupich błędów jak wcześniej. Wślizgiwał się w umysły żołnierzy, którzy toczyli trudniejsze pojedynki, i przechylał szalę na swoją korzyść. Siedząc w obozie na skraju miasta Erskin, czekał na dobry moment na atak. Miał więc wolną głowę, by brać udział w bitwie na południu. Biegł przez pole walki w towarzystwie kilku innych piechurów z Ujary i wyszukiwał wyglądających na dowódców.

Zauważył jednego po swojej prawej stronie, rycerza w stalowej zbroi łączonej połączanymi ćwiekami. Bronił się mieczem, którego rękojeść lśniła złotem. Jeden z chłopów próbował go zabić postawioną na sztorc kosą, ale tamten, doskonale wyszkolony i opancerzony, radził sobie z prowizoryczną bronią. Hex wyciągnął miecz przed siebie i wskazał reszcie cel. Otoczyli go,

tak jak Tidura, ale tym razem nie pozwolono rycerzowi z Erskinu na rozwinięcie się w walce. Hex podświadomie rozkazał zaatakować dwóm swoim towarzyszom z przodu. Kiedy skupili jego uwagę na sobie, natychmiast podszedł z tyłu i wraził ostrze między płyty pancerza.

– Ezu! – Hex zawołał Azuańczyka, którego mianował swoją prawą ręką. – Eliminujcie ostatnich dowódców. Zdobywajcie ostatnie flagi i zapędzajcie wszystkich w okrążenie. Szkoda czasu.

– Tak jest, imperatorze. – Usłyszał w odpowiedzi.

Obserwował, jak kolejne chorągwie padają. Poznał już na tyle sposób dowodzenia zachodnich armii, że wiedział, iż to właśnie ruchy chorągwi przekazują rozkazy na polu walki. Wyłączając je, sprawiał, że wojsko traciło zmysły. W dodatku niedaleko chorągwi zawsze kręcili się dowódcy. Przejmując zupełne dowodzenie nad tą częścią armii, chciał również wykorzystać swoją siłę i zrobić to, co udało się dzięki Nirowi na północy. Po pokonaniu dowódców i wszystkich ważniejszych rycerzy chciał wcielić do swojej armii pozostałych. Dorznięcie reszty zajęło jeszcze sporo czasu. Zimowy zmrok już dawno zapadł, nim wszyscy przeciwnicy rzucili broń i klęknęli otoczeni szczelnym murem stworzonym z żołnierzy Imperium Sag Bas. Każdy poddający się został policzony i okazało się, że przy życiu pozostało ponad dwanaście tysięcy mężów.

Sag Bas straciło dziesięć tysięcy własnych żołnierzy, ale to już nie miało większego znaczenia. Wiele czasu zajęło również przeszukanie każdego z jeńców. Hex rozkazał szukać bursztynów, które teraz leżały na wielkiej stercie, a obok niej przechadzał się zakrwawiony Ezu. Cały skórzany pancerz pokrywały strugi zaschniętej krwi. Azuańczyk wiedział, że teraz nadszedł czas na przemówienie do pojmanych, ale to nie on będzie przemawiał. Patrzył na poobijanych, poranionych i złamanych mężczyzn. Widział w ich oczach niepewność, strach, ale przede wszystkim wielki zawód. Azuańskie plemiona zachowywały się podobnie. Kiedy przeciwnik zmusił ich do poddania się, pierwszą myślą było to, że zawiedli i splamili swój honor. Doskonale rozumiał tych mężczyzn. Czekanie na kolanach, w śniegu, z krwawiącymi ranami nie było dla nich najgorsze. To świadomość, że zostali zmuszeni do rzucenia broni i niewypełnienia rozkazu swojego króla, była największą tragedią. Nagle poczuł, że traci władzę nad swoim ciałem i umysłem.

– Czcigodni żołnierze! – zaczął przemówienie ustami Ezu Hex. – Nie mogę być tutaj obecny ciałem, ponieważ właśnie oblegam stolicę kraju

zwanego Erskinem, ale jestem obecny myślą. Doceniając wasz kunszt i zmysł taktyczny, nie mogłem pozwolić zarządzać moją armią nikomu innemu. Doskonale pamiętam, w jaki sposób straciłem znaczną część wojów i zapasów. Szczerze gratuluję wam tego, co osiągnęliście tutaj, na południu. Jestem dumny, że mogłem zmierzyć się z tak zacnym przeciwnikiem. Niestety moja armia okazała się silniejsza i udało nam się zmusić was do poddania się. Domyślam się, że dla tak dzielnych wojów klęknienie i oddanie miecza jest straszliwym przeżyciem. Dlatego właśnie chciałem, żebyście powstali. – Ręka Ezu gestem nakazała, by podnieśli się z kolan. – Dokładnie tak! Wstańcie wszyscy, wyprostujcie się. Od razu lepiej, prawda? – Zdezorientowani jeńcy spoglądali po sobie, prostując ścierpnięte kończyny. – Jeszcze lepiej poczujecie się, kiedy odzyskacie swoją broń, zapewniam was. Zapewniam was też, że będziecie mogli chwycić za nią jeszcze tej nocy. Nie wymagam wiele w zamian. Wystarczy, że przyjmiecie do swojego umysłu Sag Bas i razem z resztą mojej armii pomożecie przywrócić na świecie właściwy porządek. Uznajcie mnie swoim władcą, pójdźcie za Sag Bas, a plama złożenia broni zniknie z waszego honoru bezpowrotnie...

Ogromne larum podniosło się wśród jeńców. Wykrzykiwali przekleństwa, grozili, pluli i wymachiwali pięściami. Otaczający ich żołnierze przystąpili kilka kroków naprzód, wyciągając przed siebie broń. Hex w ciele Ezu powstrzymał ich gestem. Podniósł jeden z bursztynów i podrzucał jedną dłonią.

– Na północy było tak samo. – Westchnął. – Oddziały waszych sojuszników, towarzyszy, które miały bronić północy, również dostały ode mnie tę szlachetną propozycję i również mnie obraziły, odtrącając ją. Na szczęście ja nie chowam urazy i teraz stoją u północnych granic waszej stolicy, czekając na mój rozkaz. Wiecie, moi przyjaciele, sprawa z Sag Bas jest o tyle prosta, że pozbawiając was tych sprytnych kamyczków, nie muszę mieć waszej zgody na wstąpienie w nasze szeregi. Wystarczy, że poczujecie część bólu, jaki mogę wam zadać, a będziecie błagać, bym dał wam walczyć w pierwszych szeregach. Choć ufam moim żołnierzom, to doceniam też waszą przebiegłość, dlatego podejrzewam, że nie każdy z was nosił ten amulet w widocznym miejscu. Bardzo mi też przykro z tego powodu, ale będę musiał to zweryfikować. Choć jeden bursztyn zawieruszony gdzieś wśród was mógłby napsuć mi wiele krwi. Łucznicy! – Wśród otaczających pojmanych żołnierzy wojowników Sag Bas zaroiło się

od naciągniętych cięciw. – Teraz dam wam delikatną, ale naprawdę delikatną próbkę tego, co was spotka, jeśli spróbujecie przeciwstawić się mojemu rozkazowi albo choćby przez myśl przejdzie wam knucie.

W jednej chwili niemal wszyscy jeńcy chwycili się za głowy i z przeraźliwym jękiem padli w wydeptany śnieg. Kręcili się i ściskali skronie, uszy i oczy, byle tylko choć trochę uśmierzyć przeszywający ból. Żywy ogień rozpalający się w ich czaszkach nie dawał się jednak uciszyć. Tylko kilkunastu mężczyzn stało na równych nogach, rozglądając się wokół. Nie wiedzieli, co się wydarzyło, i nim zdążyli się zorientować, że też powinni upaść dla niepoznaki, padli rażeni deszczem strzał. Kiedy ostatni grot przeszył ciało rycerza, ból u pozostałych ustąpił. Podnosili się, wspierając się jedni na drugich. Kręciło im się w głowach i ledwo stali, ale ogień palący ich czaszki zgasł.

– Teraz mam już pewność, że nikt z was nie ma przy sobie tych kamieni. – Odrzucił bursztyn na stertę. – A wy macie pewność, że moje słowa nie są żartem i częścią groźby. To, czego doświadczyliście, mógłbym śmiało nazwać pieczętami. Cierpienie... – przerwał i zmienił wątek. – Teraz chciałbym, byście klękli ostatni raz i przyjęli do serca Sag Bas. Zapewniam was, że będę wiedział, jeśli ktoś mnie oszuka. Mnie i Sag Bas. Wtedy poczuje, czym jest ból. Klęknijcie i uwierzcie.

Mąż za mężem, rząd za rządem klękał i spuszczał głowę. Ci twardzi ludzie, wychowani w ciężkich warunkach, pozbywali się właśnie swoich tradycji i wiary w strachu przed najstraszliwszym bólem, jakiego kiedykolwiek doświadczyli. Hex patrzył na to czarnymi oczami Ezu. Przemierzał wzrokiem morze klęczących, aż zatrzymał się w jednym punkcie. Pośród nich stał jeden wyprostowany mężczyzna. Miał długą, rudą brodę, gęstą czuprynę związaną na karku, szeroką klatę i zakrwawioną twarz.

– Jak to doskonale się złożyło, że jeden z was nie zechciał wykonać mojego polecenia. – Zatarł dłonie. – Chodź do mnie, mężu.

Potężny mężczyzna w pancerzu toporników z Myrbeinu przedzierał się między klęczącymi towarzyszami, nie odrywając stalowego spojrzenia od Hexa. Ezu, którego ciało imperator zajmował, był wielkości połowy tego człowieka. Gdy wreszcie dotarł na miejsce, patrzył na niego z góry.

– Mimo bólu, jakiego doznałeś, mimo szansy, jaką otrzymujesz, nie chcesz przyjąć do siebie jedynie słusznej wiary? – zapytał go ze szczerym przejęciem.

– Służę jednemu panu – mruknął i splunął pod nogi Ezu.

– Widzicie – zwrócił się do reszty Hex – mógłbym teraz tego twardego jak gład człowieka zmusić, by rozebrał się do naga i stanął na głowie, by wyrwał sobie zęby, by rozerwał sobie policzki, by wyjął oczy... Jednak nie zrobię tego. Nie zrobię tego, bo zaimponował mi swoim niezłomnym charakterem. Jest głupcem i jak głupiec umrze, ale na pewno pozostanie w naszej pamięci.

Z oczu, uszu i ust tego mężczyzny zaczęła wypływać krew. Strugi bordowej posoki spływały po ubraniu i kapały na śnieg. Stał jeszcze przez chwilę, po czym runął jak pień ściętego drzewa. Ezu poczuł, że znowu ma kontrolę nad swoim ciałem, wiedział też, co ma robić. Rozkazał wszystkim jeńcom podnieść się, a jego ludzie ponownie rozdawali im broń. Ta noc była już za połową, więc nie pozostało mu nic innego, jak zarządzić nocleg na jednym ze wzgórz nad rzekami. Wzgórz, u stóp których leżały tysiące ciał. Obóz miał zostać wzmocniony na tyle, by był w stanie obronić się przed ewentualnymi posiłkami z południa.

– Ezu? – Usłyszał.

– Tak, imperatorze – odezwał się na głos, choć wystarczyła tylko myśl.

– Z początku chciałem, żeby armia prowadzona przez Minu zajęła te wzgórza i broniła ich przed wsparciem z południa, pamiętasz ten plan? – Nie czekał na odpowiedź. – Jednak teraz, kiedy przejrzałem ich umysły, wiem, że nie ma potrzeby zostawiać tutaj tak wielkiego oddziału. Mam zatem dla ciebie bardzo ważne zadanie, Ezu. Zostaniesz tutaj z resztą naszej armii. Zbudujesz obóz, umocnisz go i będziesz pilnował, by żadne żywe stworzenie nie przeszło w stronę zamku. Rozumiesz?

– Tak jest, imperatorze – odpowiedział pewnie.

– Bardzo się cieszę. – Poczuł całkiem przyjemny dreszcz w kręgosłupie. – Liczę, że mnie nie zawiedziesz. Choć możesz mieć pewność, że w każdej wolnej chwili będę tutaj zaglądał. Jeńców, którzy dziś dołączyli do naszego ruchu, zabiorę ze sobą. – Ezu poczuł, jakby głos w jego głowie stał się bardziej radosny. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo zaskoczony będzie król, kiedy jego własne oddziały będą szturmować jego zamek... A, jeszcze jedna rzecz, Ezu. Zakop cały ten bursztyn w rowie, który wykopiecie jako latryny. Nie chcę, żeby komuś to świecidełko przyczepiło się do ręki. Ufam ci.

– Tak jest! – Pomyślał, ale nie doczekał się odpowiedzi.



## Rozdział LIV

Śniegowe czapy zaległy na namiotach i stajniach wybudowanych w obozie. Słupy dymu wydobywały się z otworów w dachach, a strażnicy pilnowali ścieżek prowadzących do obozu. Ostatnim rozkazem Hexa było to, by obserwować bramę zamku i uliczki w mieście, ale nie zbliżać się do murów. Z obozu można było wyjść jedynie do latryn. Kapłanki pilnowały żołnierzy i starały się nie wchodzić w drogę imperatorowi, który nie ruszał się ze swojego namiotu, gdzie zajmował się armią na południu. Leżał na stercie grubych futer z szeroko rozłożonymi ramionami, grubymi jak pnie drzew. Nagi, pokryty sinymi śladami tors przykrywała tylko jedna, cienka narzutka. Patrzył w płócienny sufit z miną, która nie zdradzała żadnej emocji.

Noc zapadła już nad Erskinem i kapłanki wróciły do namiotu. Mimo że był przestronny, to jego zdecydowanie większą część zajmował stół, na którym rozłożono mapę, oraz skrzynie z księgami Sag Bas, sztyletami Kati i strojami kapłanek. Właśnie dlatego część sypialnianą oddzielała od reszty wisząca, gęsto tkana zasłona. Tam, na grubych barbaskich dywanach, rozłożono futra, które stanowiły jedno wielkie łóże dla imperatora i kapłanek. Kolejne dołączały do niego i wreszcie wszystkie znalazły się w obozowym łóżu. Po prawej stronie imperatora leżała Juvi, obok niej Mossa, Tia, Ahga i Iv, a po lewej, przy samej ścianie namiotu, Rollo.

– Zmierzają ku nam duża część armii Erskinu – odezwał się niespodziewanie.

– Co?! – Poderwały się wszystkie.

– Z południa – mówił dalej. – Będą tutaj za dzień lub dwa.

– A co z naszą armią? – dopytywała Juvi.

– Została tam, gdzie planowaliśmy. Bronią miejsca, gdzie spotykają się rzeki. – Dalej patrzył w sufit.

– Musimy podnieść alarm! Szykować się do obrony! – Juvi już chciała wstać.

– Leż, kapłanko. – Przytrzymał ją za nadgarstek. – Będziemy się przygotowywać od jutrzejszego poranka, ale do ataku.

– Nie rozumiem... – Zatrzymała się.

– Jutro zaatakujemy mury, by zobaczyć, jak wygląda ich obrona. – Spojrzał na nią. – Wyślemy kilka oddziałów, tych mniej przydatnych w otwartym boju, i sprawdzimy, w jaki sposób zamierzają się bronić. Nie rzucimy się od razu wszystkimi siłami, bo może się to źle skończyć i...

– Ale co ma wspólnego atak na zamek z ich armią idącą z południa? – przerwała mu Iv.

– Właśnie! – dorzuciła Ahga.

– A, bo nie powiedziałem wam wszystkiego. – Usiadł. – Zwyciężyliśmy w bitwie przy rzekach, a ponadto udało się zdobyć pokaźny oddział erskińskich żołnierzy.

Przez dłuższy moment w namiocie panował niesamowity harmider. Kapłanki przekrzykiwały się jedna przez drugą, zarzucając Hexa pytaniami o przebieg bitwy. Przepychały się między sobą, by być bliżej niego. Imperator w ciszy czekał, aż się uspokoją, i dopiero kiedy głosy ustały, zaczął opowiadać. Nie szczędził im żadnych szczegółów, nie pomijając okoliczności śmierci Tidura, którego miały okazję poznać na zamku. Opowieść o wszystkim, co wydarzyło się na polu bitwy położonym między dwiema rzekami, zajęła pół nocy.

Po całej euforii spowodowanej tym wielkim zwycięstwem kapłanki zasnęły twardym snem. Hex nie czuł się jednak senny. Sag Bas pozwalała mu korzystać ze swojej siły w ciałach innych ludzi bez poczucia zmęczenia, zupełnie jakby to było jego własne ciało. Podniósł się więc ostrożnie i wyszedł przed namiot. Bosymi stopami stanął na śniegu i przyglądał się śpiącemu obozowi. Nieliczni żołnierze patrolowali wewnątrz, pozostali strażnicy byli skupieni przy wozach okalających obóz. Pochodnie przytwierdzone do słupów naciągających liny większych namiotów oświetlały ścieżki. Para wydobywała się z jego ust z każdym oddechem.

Rollo stanęła tuż za jego plecami, nie odzywając się ani słowem, a płomienie pochodni oświetlały jej posępne oblicze. Długie jasne włosy, które wcześniej dodawały jej kobiecości, pokryły całe pasma sinych i kruchych. Dużo gorzej prezentowała się jednak jej twarz. W miejscach, w których ścisnął jej głowę dłońmi, skóra popękała i pokryła się sinymi śladami, zupełnie jak wypalona czarna ziemia. Ślady rozciągały się wokół oczu, na policzkach, zahaczając o czoło i szyję. Spękane powieki

przykrywały czerwono-sine oczy pozbawione dawnego blasku, chęci życia i ciekawość świata. Teraz patrzyły zupełnie bez blasku, raczej chłodno i obojętnie.

– Naprawdę bardzo mi przykro, że tak się to potoczyło – odezwał się Hex. – Nie sądziłem, że ta moc będzie miała aż takie skutki. Chciałem tylko cię przygotować do zadania, które może pomóc Sag Bas w zwycięstwie niemal bezkrwawym. Doskonale wiesz, bo przecież świetnie przyswoiłaś wiedzę, że każda młoda religia potrzebuje wyznawców. Sag Bas nie jest młoda, jest najstarsza, ale po powrocie na należne jej miejsce będzie musiała mieć wyznawców. Nie chcę zabić wszystkich... Właśnie dlatego musiałem to zrobić. Tylko... Nie miałem pojęcia, jakie to szkody wyrządzi na twojej twarzy. Ale już niedługo nadejdzie czas na twoją wielką rolę, Rollo. Już od świtu przygotowujemy się do rozpoczęcia natarcia na zamek. Wyślę tam rozpoznawcze oddziały, które pokażą mi, w jaki sposób oni planują się bronić. Pójdiesz z nimi, Rollo, poprowadzimy razem ten atak. Niezależnie od tego, jak on się skończy, zostaniesz gdzieś w pobliżu bramy. Zwrócimy ich uwagę, a wtedy wejdiesz do środka. Za murami będę miał idealny wgląd w to, co tam się dzieje, a ty będziesz miała okazję pozbyć się jednego z niewielu elementów, który może nas zatrzymać. Czy to się uda? Nie mam pojęcia, to wie tylko Sag Bas, ale spróbujemy. Spróbujemy też zasnąć. Chodź do namiotu.

Odetchnął jeszcze głęboko, patrząc na odległe dachy, i wrócił do swojego łóża, a Rollo poszła tuż za nim. Kapłanki dalej spały, nie zwracając uwagi na dwójkę wchodzącą do łóża. Hex położył się na plecach, zaplótł dłonie za głową i zamknął oczy. Jak zawsze przed snem jego umysł poszybował do jaźni podwładnych.

Z samego rana w obozie rozpoczęły się przygotowania do pierwszego szturm. Imperator chciał wykonać atak siłami, które nie są aż tak wartościowe, ale jednocześnie nie chciał, by przeciwnicy mogli łatwo odkryć jego zamiar. Dlatego zdecydował się na wysłanie dwóch tysięcy wojowników z Azu w towarzystwie pięciu tysięcy ujarskiej piechoty. Dowodzić nimi miała kapłanka Rollo siedząca na swoim gniadym koniu i bez słowa oczekująca na zbiórkę żołnierzy. Kapłanka zgodnie z tradycją Sag Bas była uzbrojona jedynie w dwa sztylety Kati. Nie nosiła również żadnego pancerza, a jedynie swój zwiewny jedwabny kombinezon.

Zupełnie inaczej wyglądały jednostki z Azu. Oni nosili grube futra dzikich zwierząt, na głowach w większości mieli równie ciepłe czapy,

a uzbrojenie stanowiły krótkie miecze, włócznie i łuki przełożone przez ramię. Oddziały ugarskiej piechoty składały się głównie z ochotników, czyli dorosłych mężczyzn będących w stanie utrzymać broń. W dodatku sami musieli zadbać o broń czy zbroję, więc w większości mieli tylko kolczugi, a na to zarzucone żółte, brązowe lub zielone suknie przepasane niebieskim pasem. Dzięki kowalom i innym rzemieślnikom pracującym dla Sag Bas dużo więcej żołnierzy mogło posługiwać się mieczami i szablami, zamiast przyniesionych z domu toporów czy długich noży, choć i takie nadal się zdarzały, podobnie jak hełmy, kolczugi czy inne elementy pancerza zdobyte gdzieś w przeszłości.

Imperator przyglądał się zbierającym się żołnierzom. Ustawiali się w kwadraty, czekając na rozkaz wymarszu.

– Przyjaciele! – zaczął, wskazując na skrzynię. – Już wystarczająco dużo czasu zmitreżyliśmy w tym obozie. Nadszedł moment, by ruszyć te czarne mury. Macie okazję jako pierwsi wśród wielkiej armii umoczyć miecze we krwi mieszkańców tej twierdzy. Możecie przejść do historii i jako pierwsi zdobyć ten zamek. Daję wam szansę, jakiej już w życiu nie dostaniecie. Zdobądźcie dla mnie ten zamek, skruszcie te mury i wyrznicie obrońców. Bądźcie odważni i bezlitośni dla niewiernych! Ale przy tym pamiętajcie, że to Sag Bas ma prowadzić wasze dłonie, wasze miecze, więc miejcie w sercach i umysłach wiarę. Wiem, że jesteście świetnymi żołnierzami, i nie muszę się obawiać o waszą postawę, ale chcę przypomnieć naszą strategię. Dowodzi wami kapłanka Rollo i jeśli każe któremuś z was podciąć sobie gardło, to macie to bezdyskusyjnie zrobić. Czy to jasne? – Żołnierze odpowiedzieli zgodnym okrzykiem. – Pamiętajcie też, że będziecie przechodzić przez teren miasta. Ich miasta, więc musicie strzec się zasadzki na każdym kroku! Miejcie oczy dookoła głowy i pilnujcie swoich pleców. Nie chcę żadnych strat po drodze. Wszyscy macie dotrzeć na mur i wszyscy macie zacząć się na niego wspinać. Będę z wami na każdym kroku, więc nie obawiajcie się o nic! Wyciągnijcie miecze i ruszajcie ku chwale Sag Bas!

Rollo szturchnęła konia i ruszyła traktem przez środek obozu. Żołnierze równym krokiem podążali za nią, mijając kolejne namioty. Strażnicy rozsunęli wozy i wypuścili całą armię na trakt prowadzący wprost do zamkowej bramy. Długie włosy Rollo powiewały poruszane lodowatym wiatrem wiejącym od góry Ersk. Kapłanka przemierzała trakt, stopniowo wchodząc między coraz gęstsze zabudowania. Czerń zamkowych murów

przytłaczała, odcinając się na tle białego, niczym niezmaconego śnieżnego puchu zalegającego na ulicach i dachach domów. Prowadziła konia powoli, by móc dokładnie obserwować ulice prostopadłe do głównego traktu. Na żadnej z nich nie widziała choćby śladu ludzkich stóp, ale przez cały czas starała się zachować ostrożność. Jej głowa obracała się wolno na prawo i lewo, obserwując każdy dom, każdą okiennicę. Niepokojącą ciszę wypełniało jedynie skrzypienie butów żołnierzy na zmrożonym śniegu.

Kiedy znaleźli się w połowie drogi, uniosła dłoń i wykonała nią gest, który nakazał żołnierzom rozproszenie się. Mężczyźni rozluźnili szyk i sprawdzali każde drzwi, ale żadne nie były otwarte. Zachowywali ciszę, zbliżając się do ogromnego muru wyrastającego przed nimi. Rollo przyglądała się czarnej ścianie, która częściowo była litą skałą, a częściowo tworzyły ją czarne kamienne bloki. Nie dostrzegła na szczycie muru żadnego ruchu. Nie strzelali do nich łucznicy, choć z takiej wysokości ich strzały mogłyby dolecieć do celu.

– Ta cisza jest podejrzana. – Usłyszała w głowie głos Hexa. – Idźcie dalej, ale ostrożnie.

Kapłanka dłonią wysłała jeden oddział przodem. Pięćdziesięciu azuańskich wojowników ruszyło przed Rollo. Trzymali przed sobą włócznie i idąc nisko schyleni, zaglądali w każdy zakamarek. W mieście jednak nie było nikogo.

– Przyspieszcie – powiedział Hex. – Biegiem do muru!

Rollo pogoniła swojego konia i to samo nakazała reszcie żołnierzy. Wszyscy ruszyli pędem. Oddziały Azuańczyków i Ujarczyków wymieszały się w biegu. Nadal nikt ich nie niepokoił, aż nagle Rollo usłyszała świst lecącej strzały. Spojrzała w niebo i zobaczyła jeden płonący pocisk. Leciał na dach, na który nie zwrócili uwagi. Była to mała komórka dostawiona do ściany jednego z drewnianych domów przy ulicy. Ten jeden pokryty słomą dach był oczyszczony ze śniegu. Dopiero teraz kapłanka zauważyła powbijane w niego strzały.

– Gnaj! – Hex wymusił na jej ciele, by przyległo do końskiego grzbietu, a nogi popędzały zwierzę do granic możliwości.

Strzała opadła, a słoma na dachu zaczęła się palić nienaturalnym ogniem. Iskry strzeliły wysoko w górę, a dym zdawał się być dużo gęstszy i ciemniejszy niż powinien. Kapłanka nie oglądała się za siebie. Słyszała tylko niespotykane dotąd skwierczenie, które niosło się echem po pustym mieście, a zaraz po nim grzmoty rozdarły ciszę. Huk za hukiem rozlegały

się za jej plecami. Odwróciła głowę, by zobaczyć, co się dzieje. Dym, kurz i fragmenty domów latały w powietrzu, a krzyk żołnierzy, którzy biegli za nią, nie mógł się przedostać przez kolejne grzmoty. Koń zatrzymał się dopiero przed rzeką, piana spływała po jego skórze. Rollo zsiadła i dokładnie przyjrzała się temu, co stało się za nią. Chmura pyłu powoli opadała, a z miasta pozostały tylko płonące zgliszcza. Pojedynczy żołnierze wychodzili z dymu, sami płonąc. Padali po chwili na śnieg bez życia. Kolejni byli otepiali, kręcili się, szukając drogi, inni ledwo powłóczyli kończynami, brocząc krwią.

Ten przeraźliwy widok sprawił, że Hex na chwilę zapomniał o reszcie planu. Patrzył na to jej oczami i nie wiedział, co ma powiedzieć i co robić dalej. Dopiero po chwili otrząsnął się.

– Drugi raz tej broni już nie użyją, ale trakt jest zablokowany – starał się zachować spokój w głosie. – Muszę przemyśleć następny krok... Ale ty... idź do zamku. Ta część planu musi zostać zrealizowana bezsprzecznie. Będę tam z tobą. Działaj! Co to była za magia...

Ta ostatnia myśli tylko mgliście przewinęła się przez jej jaźń i uleciała wraz z obecnością Hexa. Doskonale wiedziała, co ma robić dalej. Ten plan miała wryty w pamięć niczym ślady wypalone na twarzy. Spojrzała w górę, gdzie ledwo mogła dostrzec zarysy postaci wyglądających przez blanki. Zakołysała się na nogach i krzyknęła, ile tylko miała sił w płucach.

– Kastil! – Padła na śnieg.

Leżała na plecach, patrząc w niebo. Czuła dziwny zapach spalenizny. W woni tej mieszały się płonące ciała, drewno i coś, czego nigdy wcześniej nie czuła. Delikatnie przymknęła oczy, by wyostrzyć pozostałe zmysły, i usłyszała ciche stęknienie łańcucha zwalniającego zwozdzony most.

Ocknęła się pod dachem. Widziała nad sobą sufit wymalowany w geometryczne wzory. Oparła się na łokciach i rozglądała dalej. Komnata nie była wielka, ale gustownie umeblowana. Przy ścianach stały szafki i regały, a na stoliku obok szerokiego łóża paliły się świece w srebrnym kandelabrze. Leżała w wygodniej pościeli z miękkiego pierza, przykryta grubą kołdrą z czerwonego materiału z wyhaftowanym złotą nicią herbem Erskinu. W kominku strzelały płonące polana.

Poznała, że znajduje się wewnątrz góry Ersk – w zamku należącym do Kastila. W czasie, w którym mieszkała na zamku i była częścią pokojowego paktu między Werdgwaldem i Erskinem, poznała każdy zakamarek tego ogromnego kompleksu jaskiń i tuneli wyżłobionych tylko częściowo ręką

człowieka. Zrzuciła z siebie kołdrę i zobaczyła, że nie ma na sobie szaty kapłanki. Ubrano ją w koszulę nocną podobną do tej, którą nosiła przed ucieczką z zamku. Podniosła się i wstała z łóżka. Rozejrzała się dokładnie, czy w pobliżu leżą jej sztylety. Nie mogła ich nigdzie znaleźć.

– Nie ma Kati. – Pomyślała.

– Nie przejmuj się – odpowiedział jej imperator. – Znajdą się, kiedy będą potrzebne. Najważniejsze, że jesteś wewnątrz.

Rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzała na nie, ale nie odezwała się. Ponownie zastukano, tym razem głośniejsze. Kiedy nadal panowała cisza, klamka uchyliła się, a do pokoju wsunęła się czarna czupryna. Zaraz za nią z niepewnym uśmiechem na twarzy w komnacie zjawił się Kastil. Od kiedy widziała go po raz ostatni, broda zdążyła mu zgęstnieć, a włosy urosnąć. Zarzucił na ramiona czarny długi szlafrok z błękitnymi lampasami i stał przed nią ze świecą w dłoni.

– Chciałem sprawdzić, czy się obudziłaś... – zaczął niepewnie. – Znaleźliśmy cię przed bramą zamku i kazałem cię wnieść do środka. Byłaś nieprzytomna, Iskel sprawdził, ale nie miałaś żadnych ran, więc służące cię umyły i położyły tutaj. To nie jest komnata, którą zajmowałaś wcześniej, ale tamte są zajęte, została tylko ta mała... Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, że cię tutaj wpuściłem. Mówili, że biorę wilka między owce... Może będę tego żałował, ale nie mogłem pozwolić na to, byś zmarła tam w śniegu pod murami...

– Dziękuję – przerwała mu jednym słowem.

– Nie wiem, czy to, co wtedy mówiłaś, to była prawda, z tym bursztynek, ale jeśli tak, to my dziękujemy. – Wyciągnął wisiołek zza koszuli. – Chciałbym... Czułbym się pewniej, gdybyś to założyła i nosiła cały czas. – Na otwartej dłoni podał jej rzemyk z owalnym brązowo-pomarańczowym kamieniem.

Bez słowa chwyciła podarunek i przełożyła rzemyk przez głowę. Przez chwilę trzymała wisiołek na dłoni.

– Dałbym ci coś ładniejszego, ale obecnie nie ma...

– Nie szkodzi, ten jest odpowiedni. – Podniosła na niego oczy. – Dziękuję.

– Podoba ci się? – Nie odrywał do niej wzroku. – Wiem, że to nie temu ma służyć, ale...

– Gdzie są moje rzeczy? – wtrąciła. – Tutaj ich nie zauważyłam.

– Ach... Ten twój strój został wyprany, ale nie mam pojęcia, gdzie go schowała służąca. – Zmieszał się. – Pewnie do któregoś z kufrów albo skrzyń. Musisz poszukać...

– A noże? – Poczł ostrość w jej głosie.

– Mam je u siebie. – Schował dłonie do kieszeni szlafroka. – Pozwolili mi cię zabrać do środka, ale gdybym zostawił ci broń, to już na pewno uznaliby, że oszalałem.

– Kiedy nadejdzie atak, to przydam się wam z bronią – stwierdziła. – Tylko ja wiem, jak można pokonać kapłanki i samego Hexa.

– Wybacz, ale na razie nie mogę ci ich oddać. – Nie mógł spojrzeć jej w oczy. – Musimy mieć pewność, że nie powbijasz nam tych noży w plecy. Usiądźmy, porozmawiajmy, mam mnóstwo pytań...

– Przesłuchanie? – spytała, siadając przy stoliku.

– Nie... To znaczy, nie do końca. – Zajął drugie krzesło. – Wziąłem cię pod swój dach, chociaż prowadziłaś wrogi atak i...

– W porządku. – Skinęła głową. – Pytaj.

– Muszę zacząć od tego, czy prowadziłaś atak na mury zamku. – Patrzył jej prosto w oczy.

– Tak – odparła.

– Służysz Hexowi?

– Teraz. – Usłyszała w głowie szept.

– Służyłam... – Wbiła wzrok w dywan. – Służyłam i naprawdę wierzyłam w to, o czym on mówi. Dał mi nadzieję i nowe życie, ale... Kiedy tylko zaatakowaliśmy Erskin, zupełnie się zmienił. Nie odzywał się nawet do kapłanek, a jak tylko któraś coś powiedziała nie po jego myśli, to... Po tym, jak zaskoczyliście nas na południu, w tym wąwozie, chwycił mnie za głowę. – Łzy kapały na jej podolek. – Chciałam umrzeć z bólu, to jest nie do opisania, ale on utrzymywał mnie przy życiu, nie pozwolił odejść, rozrywając mój umysł i ciało. Kiedy mnie wypuścił z rąk, przez tydzień nie mogłam nawet otworzyć oczu. Potem uznał, że po tym, co przeszłam, najlepiej nadam się do poprowadzenia pierwszego ataku. Spójrz, Kastilu, jak ja wyglądam! Nie mogę spać, budzę się z krzykiem... Nie chcę mu już służyć. Kiedy to miasto wybuchło, żałowałam, że byłam tak bardzo z przodu, a przerażony koń poniósł mnie jeszcze dalej. Spadłam z niego, ale nie rozbiłam sobie głowy, a wolę umrzeć, niż mu służyć.

– Spokojnie. – Pogładził ją po dłoni. – Tutaj jesteś bezpieczna. Opowiesz mi o waszej armii?



– To nie jest moja armia. – Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Tak, przepraszam... – Zawstydział się. – O armii Sag Bas?

– Nie znam kolejnych planów. – Wzruszyła ramionami. – Miałam poprowadzić ten atak i zadać wam największe szkody, jakie tylko były możliwe. Sprawdzić obronę. Ta pułapka sprawiła, że nie wiem, co oni dalej planują.

– A liczby? I te oddziały na północy i południu? – dopytywał.

– Sto tysięcy ogółem, znaczna część jest tutaj, ale pilnują też dróg z północy i południa, żeby nie dotarły tutaj żadne posiłki.

– Posiłki?! – prychnął. – Pozostali królowie nie są skłonni wyzbyć się ostatniego żołnierza. I tak dobrze, że przysłali to, co przysłali. Wychodzą z założenia, że jeśli podołam i odpędzę zagrożenie, to wystarczy mi to, co dali, ale jeśli przegram, to wolą mieć zabezpieczenie w swoich granicach. Poza tym boją się, że któryś z sąsiadów wykorzysta moment i najedzie na ich tereny. Władcy tutaj to banda zbójów, tylko w pięknych ciuszkach.

– Jak wszędzie... – Westchnęła.

– Nie wydaje mi się, żeby Hex nosił piękne ciuszki! – zażartował Kastil.

Śmiech wypełnił komnatę. Rozmawiali jeszcze długo, a Kastil próbował dowiedzieć się wszystkiego, co Rollo mogła wiedzieć o armii Imperium Sag Bas. Kapłanka opowiadała dużo, ale nie podawała żadnych znaczących szczegółów. Nie mówiła zupełnie nic o planach ataku. Tłumaczyła się tym, że Hex trzymał je tylko dla siebie i nie dzielił się nimi z nikim, aż do ostatniej chwili. Mówiła, że o prowadzeniu ataku, dowiedziała się tego samego poranka, a o planowanym szturmie poprzedniego wieczora.

Wreszcie służąca zapukała do drzwi. Wniosła obiad dla Rollo. Kastil życzył jej smacznego i prosił, by jeszcze dziś wypoczywała. W końcu przespała całe dwa dni po tym, jak znaleźli ją pod bramą. Kiedy została sama, odetchnęła z ulgą. Spojrzała na miskę parującego rosółu z kaczki i zrobiła się głodna. Przysunęła sobie tacę z jedzeniem i przypomniała pyszne smaki poznane w trakcie pobytu w tym zamku. Poczwała się dobrze po posiłku. Doskonała kuchnia nie zmieniła się mimo wojny. Odsunęła od siebie zastawę i przeciągnęła się. W komnacie i na korytarzu panowała zupełna cisza. To jej zawsze przeszkadzało w tym zamku. Brakowało jej w nim dziennego światła i okien, przez które mogła wyrzeć na dziedziniec. I ta przytłaczająca cisza, którą tworzyła masa góry wokół niej. Rozglądała się po sypialni, nie zauważając jednak nic interesującego.

– Bardzo dobrze się spisałaś – szepnęła jej wprost do jaźni Hex.

– Dziękuję, nie było łatwo. – Pomyślała w odpowiedzi.

– Wiem, ale nie bój się, Rollo, cały czas jestem przy tobie i jak tylko pojawi się kwestia, której nie ustaliliśmy, to podpowiem ci, co masz zrobić.

– Spokojny głos imperatora sączył się do jej umysłu. – Skoro udało nam się dostać za mur, a pierwszą rozmowę z Kastilem mamy za sobą, to czas na kolejne kroki naszego planu. Przez najbliższe dni musisz być bardzo ostrożna, ale trzeba działać. Im więcej dowiemy się o tym, co jest za murem, tym łatwiej będzie nam ich pokonać.

– Czego mam się dowiedzieć? – zapytała w myśli.

– Mocno mnie zaskoczył, niszcząc miasto, by tylko powstrzymać moje oddziały... – Głos Hexa był trochę bardziej ostry. – Przygotował bardzo udaną pułapkę, to muszę przyznać, i właśnie dlatego musisz się dowiedzieć, czy ma jeszcze coś w zanadru. To jest najważniejsze. Nie mogę sobie pozwolić na kolejną stratę armii bez walki. Zlikwidowali nam tysiące żołnierzy, tracąc tylko budynki.

– Tak jest, imperatorze – odparła. – Trakt jest zawałony. Jak zamierzasz przenieść armię pod mury?

– Na początku chciałem zaryzykować i posłać żołnierzy bocznymi uliczkami, ale jeśli nie tylko domy przy głównej drodze stanowiły pułapkę? W ciasnych ulicach stracę jeszcze więcej. Dlatego już teraz pracują nad odgruzowaniem traktu. Nie wiem, co wykorzystali do zrobienia takich zniszczeń, ale jestem przekonany, że gruzy nie wybuchną. A właśnie! – kiedy krzyknął, zmrużyła oczy. – Spytaj, co to było i czy mają tego więcej... To też można by było wykorzystać.

– Postaram się...

– Za dzień Kastila czeka niespodzianka. – Uspokoił się zupełnie. – Do tego czasu nie planuję żadnego ataku, ale możesz mu wspomnieć, że po nieudanej szarży na pewno przystąpię do kolejnej bez żadnej zwłoki.

– Tak zrobię. – Skinęła głową, choć odpowiadała myślą.

– Wyjdź teraz z tej komnaty i rozejrzyj się w zamku. Zobaczę go twoimi oczami. – Nie usłyszała już nic więcej.

Podniosła się z fotela i zaczęła szukać w kufrach. Przejrzała wszystkie szafki w komnacie i dopiero w jednej ze skrzyń pod ścianą znalazła swoją szatę. Rzeczywiście była wyprana i świeża. Choć materiał, z którego szaty kapłanek Sag Bas były uszyte, nie płamił się, to jednak tygodnie podróży sprawiły, że czuła się w nim niekomfortowo. Zrzuciła z siebie koszulę

nocną i założyła szatę. Śliski, delikatny i świeży materiał prześlizgnął się po jej ciele, sprawiając, że wszystkie włoski stanęły dęba.

– Jeszcze tylko Kati... – Westchnęła i ruszyła do drzwi.

Wyszła na korytarz oświetlany przez świece umieszczone w zagłębieniach w ścianach. Jej oczom ukazały się maszerujące w obie strony postaci. Gwardziści w mundurach Erskinu krzywo na nią patrzyli, szepcząc do siebie. Przypomniała sobie drogę i skierowała kroki do wielkiej sali. Skręciła w prawo, popchnęła ciężkie drzwi i znalazła się w ogromnym, zazwyczaj zupełnie pustym, pomieszczeniu. Stała w progu, przyglądając się gwarnej gromadzie mężczyzn w mundurach. Nie widziała jeszcze tylu ludzi w jednej sali. Kolejni zaczęli ją dostrzegać i przekazywać tę informację dalej. Wkrótce coraz więcej oczu patrzyło wprost na nią i nie były to przyjazne spojrzenia. Ręka wciągnęła ją z powrotem na korytarz.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł, żebyś chodziła po zamku w tym ubraniu – odezwał się, gdy tylko spojrzała mu w twarz.

– Iskel... – Złapała powietrze.

– Znacznie bezpieczniej będzie, jeśli przebierzesz się w coś zwyczajnego.

– Odsunął ją od siebie i przyjrzał jej się. – Znacznie, znacznie bezpieczniej. Z daleka widzą szatę wroga, a z bliska widzą ciało kobiety. Siedzą tutaj już jakiś czas, bez kobiet, w większości, więc...

– Rozumiem. – Spuściła wzrok.

– Kastil przekazał mi, o czym rozmawialiście. – Uczony przyglądał się jej dokładnie. – Opowiedział mi o tym, jak Hex cię potraktował. Z tego, co widzę, to ślady na skórze są nieodwracalne, nic się z tym nie da zrobić. Myślę jednak, że gorsze mogą być zmiany w psychice.

– Dziękowałam mu już za to, że nie zostawił mnie tam, na śniegu. Powrót do Hexa po przegranej szturmie byłby chyba jeszcze gorszy... – Broda zaczęła jej się trząść.

– Och, zapewne byłoby to straszliwe przeżycie, Rollo. – Na jego pomarszczonej twarzy pojawił się niepokojący uśmiešek. – Problem w tym, że ja jestem za stary, by twoje, bądź co bądź, uroczyste wdzięki na mnie działały, i patrzę na to wszystko zdecydowanie chłodniejszym okiem. Dlatego możesz mieć pewność, że będę ci się przyglądał. Będę patrzył ci na ręce każdego dnia i jeśli tylko zobaczę, że dzieje się coś podejrzanego, to będziesz pierwszą osobą, którą o to posądzę.

– Wiedziałem, że na tego starucha trzeba uważać. – Dziewczyna usłyszała w głowie głos imperatora, ale sama się nie odezwała, minęła

Iskela i popędziła do swojej komnaty.

## Rozdział LV

Stojący na murze łucznicy ogrzewali się przy rozpalonych tuż obok nich niewielkich ogniskach. W pewnych odstępach stały też stalowe kosze wypełnione płonącymi węglami. Niewiele to jednak dawało, bo okrutny śnieg zacinał, zalepiając im nawet oczy. Grube płaty sypały się na nich niesione silnym wiatrem. Ich płaszcze łopotwały niczym proporce na maszcie w czasie sztormu. Niewiele było widać na samym murze. Patrząc w dal, widzieli tylko białą zawieruchę. Obserwali trakt prowadzący do bramy, choć nie miało to wielkiego sensu. Wypatrywali choćby najmniejszego śladu, błysku zbroi, światła pochodni, czegokolwiek, co może zdradzić ruch przeciwnika. W takiej zamieci musieli polegać bardziej na słuchu, więc nawet ze sobą nie rozmawiali.

Z powodu zamieci Kastil zarządził częstsze zmiany warty. Przemarznięci i obsypani śniegiem żołnierze wracali do zamkowych pomieszczeń, gdzie w kominkach płonął ogień. Od razu dostawali gorącą zupę i grzane wino z przyprawami, zbawienne na wychłodzenie ciała. Przy kolejnej zmianie król osobiście wszedł na mur. Chciał zobaczyć, jakie warunki tam panują. Kiedy tylko wychylił głowę ponad poziom podłogi, wielkie płaty śniegu uderzyły go w twarz. Wiatr wiał z taką mocą, że ledwo mógł otworzyć oczy. Zasy pyły się przy blankach, a czarna skała, z której mur był stworzony, stała się niezwykle śliska. Młodzi żołnierze wysypywali popiół na drogę, by nikt nie spadł, ślizgając się na śniegu. Przy schodach stał Theus Merik nadzorujący zmianę warty.

- Nic nie widać, nie ma po co tutaj wchodzić – zwrócił się do Kastila.
- To jaki sens w tym, by oni tutaj stali? – odparł, stając obok.
- To myśliwi, wasza miłość. – Wzruszył ramionami. – Potrafią w takiej zamieci usłyszeć, jak jeleni łamie gałązkę kopytem. Jeśli coś podejdzie blisko murów, usłyszą.
- Oby, bo jeśli marzną tutaj na darmo, to będę na siebie wściekły i na ciebie też. – Stuknął palcem w napierśnik ukryty pod grubym płaszczem

gwardzisty.

– Co z tą dziewczyną? – zapytał, zmieniając temat. – Powiedziała coś?

– Nic, czego byśmy już nie wiedzieli, niestety... – Zawiesił głos na chwilę. – Oddziały na północy i południu od miasta blokują posiłki. Hex myśli, że spodziewamy się odsieczy.

– Dureń. – Merik prychnął.

– Durniami są pozostali władcy – odparł Kastil. – Teraz, kiedy armia Sag Bas jest podzielona, a jej największa część zajęta jest nami, mogłoby się udać przeprowadzić odsiecz. Wystarczyłoby z zaskoczenia zaatakować tamte obozy, a potem z dwóch stron ruszyć na miasto. Atakując z trzech stron, zdobylibyśmy ten obóz.

– Możemy sobie tylko o tym pogadać, wasza miłość – wtrącił Theus. – Musimy radzić sobie sami i jak na razie poszło dobrze.

– Pospieszyliśmy się z użyciem dingh. – Pokręcił głową. – Rollo powiedziała, że to był tylko atak na rozpoznanie. Wysłał ją ze słabymi oddziałami, które miały mu pokazać, jak wygląda nasza obrona. Najlepsza pułapka poszła za wcześnie.

– Ośmielę się nie zgodzić, wasza miłość. – Musieli stać blisko siebie, by ich rozmowa nie rozpraszała wartowników. – Po pierwsze zabiliśmy im kilka tysięcy wojów, bez żadnych strat po naszej stronie. Po drugie zablokowaliśmy im główne przejście do zamku. Zanim sobie z tym poradzą, mróz wykończy niejednego niezwyčajnego. No i po trzecie nie zdradziliśmy się z tym, co jeszcze mamy dla nich przygotowane. A jakby podeszli pod mur, to mogłoby być różnie.

– Jest w tym trochę racji, ale i tak uważam, że akurat to powinno zostać wykorzystane później. – Kastil zrzucił śnieg z murku. – Gdybym wtedy wiedział tyle samo co teraz...

– Nie było jak tego przewidzieć – przerwał mu. – Przynajmniej wiemy, że to na pewno działa. Zostało coś?

– Nie, Iskel uznał, że trzymanie tego w zamku pełnym ludzi jest zdecydowanie zbyt niebezpieczne i wszystko rozstawiliśmy w domach. – Zacierał dłonie w niedźwiedzych rękawicach.

– No tak, ale trochę szkoda. Myślę, że można by było wykorzystać wazy z dingh jak pociski. To mogłoby się sprawdzić. Kamień upada i zabija tylko tych, których trafi, a tutaj... Nie dość, że huk, że ogień, to jeszcze jakieś odłamki by tam było można wsypać i...

– Nie mamy więcej i w tej chwili więcej mieć nie będziemy, ale jeśli czeka nas jakaś przyszłość, to twoja wizja warta jest wypróbowania. – Władca uśmiechnął się.

– Wasza miłość! Generale! – Podbiegł jeden z obsypanych śniegiem łuczników. – Widać pochodnię! Przechodzi przez gruzy.

– Jedną?! – zdziwił się Merik.

– Tak, jedną, ale zbliża się – potwierdził żołnierz.

W bieli sypiącego śniegu dało się zauważyć przesuwany się dość sprawnie jasny punkt. Ogień pochodni zbliżał się do muru, aż wreszcie stanął nad brzegiem rzeki Issint. Kastil wyteńczył wzrok i udało mu się dostrzec figurę, której nie mógł pomylić z nikim innym.

– To Hex... – powiedział pod nosem.

– Chciałbym rozmawiać z Rollo, kapłanką Sag Bas! – Usłyszał donośny głos.

– Podaj lunetę – zawołał do Merika. – Rollo Gogglediw jest pod moją opieką i nie wyjdzie poza mury mego zamku!

– Jeśli dobrze poznaję po głosie, to sam król Kastil siedzi na murze i wygląda ataku! – Imperator zaśmiał się. – Zatem skoro pojmałeś moją kapłankę, to, jak nakazują wasze obyczaje, należy przystąpić do negocjacji i wymiany więźniów!

– Wymiany więźniów dokonuje się po podpisaniu traktatu pokojowego! – Kastil obserwował go przez lunetę. – Jeśli przyszedłeś się poddać, to możemy go spisać od razu!

– Żarty dalej się ciebie trzymają, królu – mimo głośnego krzyku trudno było zrozumieć każde słowo na murze. – Miałem dla ciebie propozycję! Chciałem wymienić jedną kapłankę na prawie dwanaście tysięcy twoich żołnierzy, ale skoro odmawiasz, to wykorzystam ich w inny sposób.

– Kłamie! – Merik nachylił się nad Kastilem z łukiem w dłoni.

– Co chcesz zrobić? – Władca spojrzął na niego zaskoczony.

– Trafię go w oko i będzie po sprawie – mówił przez zęby. – Nie przyszedł jako poseł, nie ma żadnego oznaczenia, żaden obyczaj go nie chroni!

– Jeśli odtrącasz wyciągniętą dłoń, Kastilu, to licz się z tym, że następnej takiej szansy nie dostaniesz! – Usłyszeli z dołu. – Wracam do obozu, ale zostawię wam pewną niespodziankę. Nie tylko ty lubisz się tak bawić!

Merik nałożył strzałę na cięciwę i czekał na odpowiedni moment. Zmieniający kierunki wiatr nie ułatwiał mu zadania. Kastil obserwował

imperatora trzymającego w dłoni dymiącą na wietrze żagiew. Wydawało mu się, że on nadal ma na sobie tylko spodnie i kamizelkę.

– Strzelaj... – szepnął, a strzała natychmiast wyleciała w dół.

Hex odwrócił się plecami, a strzała przeleciała tuż koło jego ucha. Uniknął jej, uchylając lekko głowę. Kastil jęknął, widząc to pudło przez lunetę. Imperator odchodził spokojnym krokiem, trzymając w lewej dłoni pochodnię, prawą wyciągnął w bok, wskazując na coś. Władca wychylił się nieco bardziej i skierował wzrok na południe. Śnieg padał głównie z tamtego kierunku, więc nie widział nic konkretnego. Przetarł szkiełko na końcu lunety i spojrzał raz jeszcze. Dopiero wtedy dostrzegł gdzieś w oddali tysiące małych, świetlistych punktów powoli zbliżających się do zamku.

– Czy to możliwe... – Przekazał urządzenie Merikowi.

Generał też przez chwilę nie mógł znaleźć tego zjawiska, ale kiedy wreszcie skierował lunetę w dobry punkt, oparł się plecami o blanki.

– Trzeba bić na alarm. – Popatrzył na króla.

– To wielki oddział... Może to Tidur prowadzi armię z południa. – Kastil z trudem sklecał zdania. – Nie dostaliśmy meldunku, bo w zamieci ptak zgubił drogę.

– Wasza miłość. – Merik złapał go za barki. – Nie dostaliśmy meldunku, bo nie miał kto go wysłać, to jest niestety bardziej prawdopodobne. Nasze ptaki latały nie w takie zimy i nigdy nie gubiły drogi do domu. Poza tym... Skąd on by wiedział, że nasze oddziały wracają?

– Może i racja, ogłoś alarm. – Kastil pokręcił głową i ciężko westchnął. – Najwyżej go odwołamy.

Generał ruszył, by wykonać rozkaz, a król jeszcze raz wychylił się poza krawędź muru. Zawierucha nie pozwoliła mu dostrzec nic poza tysiącami świateł.

Wystarczyło kilka chwil, a na szczycie zaroilo się od erskińskich żołnierzy. Mur był na tyle szeroki, że całe kolumny mężczyzn mogły się na nim minąć bez strachu o to, że spadną. Byli gotowi do walki w liczbie pięciu tysięcy, a kolejni czekali na dole, by uzupełnić ewentualne straty.

Na początku plan zakładał, że żołnierze Erskinu dołączą do sojuszników rozstawionych na linii pasma wzgórz biegnącego przez kraj i tam zatrzymają cały front ataku. Jednak sposób, w jaki poruszała się armia Sag Bas, sprawił, że szybko trzeba było przerzucać całe oddziały. Zostawiono tylko jednostki na południu, które dowodziły obroną, a reszta wróciła za



mury zamku w stolicy. Monstrualny zamek ledwo zmieścił niemal dwadzieścia pięć tysięcy zbrojnych. Z każdą chwilą dobiegały do nich coraz głośniejsze sygnały bojowe.

Dwa tysiące doborowej jazdy składającej się z najlepszych rycerzy z całego kraju stanowiło główną linię obrony muru. Choć ich koronnym zadaniem była ofensywna szarża na końskich grzbietach, to dzięki doskonałemu i wszechstronnemu wyszkoleniu spełniali się także w roli obrońców. Towarzyszyli im łucznicy i kusznicy w liczbie tysiąca oraz reszta piechoty i dwustu gwardzistów ochraniających króla, który uparł się, że musi być obecny w trakcie ataku. Kastil obserwował zbliżających się przeciwników. Z bliska dało się zauważyć, że idzie tam, lekko licząc, ponad dziesięć tysięcy ludzi. Nieśli ze sobą wielometrowe drabiny.

– Oni chcą tym zdobyć nasze mury? – Kastil zdziwił się. – To drewno nie wytrzyma.

– Mogą próbować, ale się nie damy – odparł Merik. – Ale co to...

– Co? – Król wychylił się za mur i nakierował na podchodzący pod zamek oddział. – Oni mają nasze mundury! To podstęp!

– Wasza miłość. – Jeden z gwardzistów niemal w połowie wychylił się poza mur. – Wydaje mi się, że to nie tylko mundury. Znam niektórych...

– Ma rację! Tam jest piechota z Abrahu i Reimrahu, są pikinierzy z Duthbeinu! – wykrzykiwał Merik.

– To nasi ludzie! Tylko! – Kastil podniósł się. – Nie strzelać!

– Poczekaj! – Theus Merik krzyknął na króla. – Oni nas atakują!

– Ma rację! – włączył się Iskel, który przecisnął się między żołnierzami. – Nie wiem, co się tam wydarzyło, ale widzisz przecież, że maszerują tutaj tylko po to, żeby zdobyć zamek. Oni wyszli stąd, służąc Erskinowi, ale wrócili, służąc czemu innemu.

– Nie strzelajcie, poczekajcie chwilę! – Rozgorączkowany władca gestem wstrzymywał łuczników. – Dajmy im chwilę! Jeszcze nie zaczęli, dopiero podchodzą...

– Słyszałeś słowa imperatora, wasza miłość – próbował przekonać władcę. – On doskonale wiedział, skąd oni nadchodzą i w jakim celu.

– Nie będę strzelał do swoich ludzi bez absolutnej pewności – kategorycznie stwierdził król.

– To już nie są twoi ludzie, Kastilu! – ryknął starszy uczonec.

– Zaczekamy! – odpowiedział.

Zarówno Iskel, jak i generał Merik wiedzieli, że nie ma sensu spieranie się wśród żołnierzy. Spoglądali tylko na ustawiające się przed murem tysiące mężczyzn. Oni doskonale wiedzieli, że tak nie ustawiają się oddziały, które wróciły do macierzystej twierdzy. Żołnierze stojący na drugim brzegu rzeki nie byli ustawieni zgodnie z pochodzeniem czy przynależnością do poszczególnych rodzajów armii. Wszyscy stali razem, wymieszani, w nierównych szeregach. Śnieg zelżał nieco, pozwalając obserwować ich poczynania. Porozkładali niesione ze sobą drabiny i zaczęli je łączyć. Oparli o mur i stopniowo podnosili coraz wyżej.

– Dalej chcesz czekać? – Uczony chwycił króla za poły płaszcza. – Tak się wraca na swój zamek? Drabinami przez mur?

– Strzelajcie... – mruknął, spuszczać głowę.

Łucznicy podeszli do brzegu muru i zaczęli ostrzał. Kolejne salwy tysięcy strzał spadały na przedmurze. Jedna z dziesięciu stawianych drabin padła, ale pozostałe dalej pięły się ku górze. Przeciwnicy byli przygotowani na ostrzał i osłaniali się tarczami. Niektórzy mieli nadal tarcze swoich rodów, na innych wymalowano symbole miast, a pozostali osłaniali się choćby kawałkiem drewna. Ostrzał nie był tak skuteczny, jak się spodziewali. Drabiny dalej wzrastały, a przeciwnicy zaczęli odpowiadać na ostrzał swoimi strzałami. Te jednak nie przelatowały ponad murem, odbijając się od jego ściany kilka łokci poniżej blanek.

– Wstrzymajcie ostrzał! – krzyknął Merik. – To bez sensu. Szkoda strzał.

– Dajmy im wejść – rzekł Kastil. – W dziesięć drabin nic wielkiego nam nie zrobią.

– A może podpalić brzeg? – Theus spojrział na władcę.

– Nie, w żadnym wypadku – odparł stanowczo. – Obronimy się bez tego. Nie dam się sprowokować do spalenia kolejnej pułapki. Ona będzie użyta w ostateczności. Ten atak nic nam nie zrobi. Nie jest dla nas groźny.

– Wchodzą! – Usłyszeli krzyk jednego z gwardzistów.

– Pilnujcie! Twardo! – pokrzykiwał Merik.

– Idą na bramę! – krzyknął ktoś inny.

– Pilnuj wszystkiego tutaj, zejść na dół! – krzyknął Kastil do generała gwardii i zniknął na schodach, a za nim pobiegł oddział gwardzistów.

Władca zeskakiwał po dwa stopnie, by jak najszybciej znaleźć się na dole. Tuż za nim podążali gwardziści, mając nie lada kłopot, żeby utrzymać to tempo. Na dziedzińcu oczekiwała pozostała część armii. Kastil minął tych żołnierzy, nie zwracając na nich uwagi, i popędził w kierunku bramy.

Tam niewielki oddział bronił dostępu do korytarza prowadzącego pod grubym murem. Tunel zwieńczony łukiem ciągnął się na tyle, że dwa czterokonne wozy mogły się w nim schować.

Wewnątrz znalazł się oddział pikinierów z tarczami, którzy mieli zatrzymać wojsko po przełamaniu bramy. Sama brama nie ustępowała potęgą murom zamku. Nie był to słaby punkt. Grube niczym ludzka noga sztaby żelaza łączyły ze sobą co łokieć dębowe deski. Drewno było tak grube, że z pnia dorodnego dębu wycinano tylko jedną deskę. Deski te ułożono tak, że sztaby znajdowały się pomiędzy dwiema z nich, a całość złączono nitami zakuwanymi na gorąco. Kowale i cieśle wspólnie tworzyli tę bramę, która jednocześnie stanowiła most zwodzony na rzece Issint.

Brama była tak wysoka, by sięgnęła drugiego brzegu szerokiej rzeki. Kiedy była otwarta, zdarzało się, że w kolejce, by wjechać do zamku, stało na niej osiem wozów z zaopatrzeniem. Dlatego wymagała specjalnego systemu podnoszenia i opuszczania. Ogniwa łańcuchów były grube jak przedramiona kowali, którzy je wykuli. Łańcuchy były nawijane na bębny połączone systemem zębatek z dźwigniami. Dwóch żołnierzy stojących na warcie mogło z niewielkim wysiłkiem zamknąć wejście do zamku, a do otwarcia jej wystarczył jeden ruch i odrobina cierpliwości. Potężna konstrukcja, szczękając trybami, otwierała się dość wolno.

– Żołnierze! – zakrzyknął Kastil. – Wróg zbliża się do bramy. Obrona na murze pilnuje, żeby tutaj nie podszedł, ale bądźcie w gotowości.

– Tak jest! – odpowiedziały mu gromkie okrzyki.

Kastil uderzył pięścią w napierśnik ukryty pod grubym płaszczem i pobiegł w drugą stronę. Wrócił schodami na szczyt muru, a z rozgrzanego ciała zaczęła unosić się para. Dobiegł do Merika, który nie zauważył go, zajęty wykrzykiwaniem rozkazów.

– Uważajcie tam! – krzyczał. – Strzelać!

– Meriku! – Kastil złapał go za ramię. – Brama jest gotowa do obrony, ale nie możemy im pozwolić podejść. Mamy wrzątek?

– A co, jak zmyje smołę? – Spojrzał niepewnie.

– Wylejmy tylko jeden kocioł, na bramę. – Kastil uniósł palec. – Ale dopiero jak podejda!

Merik wysłał kilku ludzi na koniec muru, a po niedługim czasie z komory stojącej za osłoną skały wtapiającej się w mur wyjechał wielki kocioł. Opracowany przez uczonych w Akademii kocioł był połączony z wozem o czterech kołach trójkątnymi nogami ze stali. Dzięki temu, w jaki sposób

był przytwierdzony do podstawy, wystarczyło pociągnąć za łańcuch i zawartość kotła wylewała się na cel. Wóz był ciągnięty przez żołnierzy, a pozostali usuwali mu się z drogi. Kastil prowadził ich gestami, by zatrzymali się w odpowiednim miejscu. Stanęli idealnie ponad bramą, a gęste kłęby pary unosiły się ku niebu.

– Czekać! – Wstrzymał ich. – Jeszcze nie podeszli!

Wychylił się za mur i przyglądał zbliżającym się do bramy topornikom. Pierwsze uderzenia toporów trafiły w grube deski, Kastil jednak nadal trzymał uniesione przedramię z otwartą dłonią. Dopiero po chwili opuścił je gwałtownie, a żołnierze pociągnęli za łańcuchy. Para buchnęła jeszcze wyżej, a strumień wrzącego oleju spadł w dół, uderzając w ziemię w okolicach bramy z potężnym hukiem. Krzyki poparzonych poniosły się echem w górę muru.

– Trafione! – zameldował Theus Merik.

– Walczcie z tymi na drabinach, oszczędzajcie strzały i pilnujcie bramy! Ja wracam za chwilę. – Nie czekając na odpowiedź, popędził schodami w dół.

Rozglądał się po drodze w poszukiwaniu charakterystycznej sylwetki swojego zaufanego gwardzisty. Dostrzegł go po chwili i ruszył w jego kierunku. Przeszedł między oddziałami czekającymi, by wymienić te walczące na murze, i szarpnął Devera za naramiennik pancerza.

– Oni nie odejdą! – powiedział mu wprost do ucha.

– Co? – Obrócił się zaskoczony.

– Te wojska nie mają zamiaru odstąpić. – Trzymał go za zbroję. – Hex nie ma zamiaru ich włączać do swojej armii. Chce, żebyśmy się wykrwawili na tych oddziałach, na naszych oddziałach. Nie wspomóż ich ani nie wycofa. Oni mają tutaj umrzeć od naszej broni, przy okazji sprawdzając, jakie mamy pułapki. On chce, żebyśmy pokazali wszystko. Żeby potem mógł wysłać kolejny atak, który będzie miał bezpieczne przejście.

– Może i racja, bo co to za oblężenie bez taranów, bez katapult, tylko z linami i z drabinami... – Zamyślił się na chwilę. – To ma sens. Dla niego te oddziały nie są nic warte. Wykorzysta je, by zrobić rozpoznanie.

– Tak, dlatego pomyślałem, że nie możemy ani zacząć korzystać z pułapek, ani trwać tutaj, po prostu strącając ludzi z drabin, bo osiągnie swój cel i...

– Chyba się domyślam, co wasza miłość chce zrobić – przerwał z zatroskanym spojrzeniem.

– To byłoby zaskakujące, a nie zdradziłoby żadnego szczegółu. – W jego oczach płonęła ekscytacja. – Trzeba przygotować ludzi.

– Są gotowi od dawna – stwierdził stanowczo.

– Będziemy musieli to zgrać. – Rozejrzał się. – War na bramę, potem opuszczenie i natarcie.

– Zajmę się tym, wasza miłość, ale mam jedną prośbę. – Wyprostował się.

– Jaką? – Kastil chciał już wracać na mur.

– W zasadzie dwie, pierwsza to nie do końca prośba. Po prostu uważam, że po wypuszczeniu armii lepiej podnieść bramę, a to, jak potoczy się bitwa, obserwować z muru. – Wziął głęboki oddech. – A druga jest taka, że chcę poprowadzić ten atak.

– Zamkniemy bramę. – Wyciągnął dłoń. – Nawet nie wyobrażam sobie, by ktoś inny mógł poprowadzić moje wojsko, ale ja też mam prośbę.

– Słucham, wasza miłość. – Ucisnął wyciągniętą rękę.

– Wróć stamtąd żywy z jak największą liczbą moich ludzi. – Puścił go i odwrócił się, ale przystanął jeszcze na moment. – I żadnych jeńców.

Walki na murze trwały, choć napastnicy nie mieli wielkiej szansy, by się przedrzeć. Pojedynczy żołnierze, którzy zdołali dotrzeć na szczyt drabiny, byli od razu spychani przez obrońców. Jednak z uporem kontynuowali ataki, nie patrząc na straty. Część usiłowała zarzucić na mur linę z kotwicą, ale nie mogli dorzucić do jego szczytu. Ginęli kolejni, ale nie obyło się też bez strat wśród obrońców. Niektórzy poświęcali się, nie próbując nawet atakować mieczem, tylko chwyтали pierwszego z brzegu i spadali razem z nim.

Kastil doskonale zdawał sobie sprawę z planu Hexa. Nie licząc się z życiem zdobytych żołnierzy, chciał jak najbardziej wykrwawić oddziały broniące Erskinu. Dever Monerweh przygotował pięciuset jeźdźców ze sławetnej erskińskiej jazdy. Nie mieli jednak przy sobie długich kopii będących ich najlepszą bronią. Uzbrojenie stanowiły tylko miecze. Zadaniem dobrze opancerzonych i doskonale wyszkolonych jeźdźców było wyjechanie za bramę i wycięcie wszystkich oblegających zamek. Król Kastil pilnował kotła na szczycie muru, Theus Merik stał z drugiej strony, by dać znak żołnierzom odpowiedzialnym za otwarcie bramy. Sto rzędów po pięć koni czekało przed bramą, by ruszyć w bój. Wierzchowce gotowały się do boju, nerwowo grzebiąc kopytami w zaśnieżonej trawie dziedzińca.

– Wylewajcie! – krzyknął Kastil, a kolejna fala spadła w okolice bramy.

Para poniosła się ku górze wraz z okrzykami poparzonych żołnierzy. Kiedy wiatr rozwiął powstałą mgłę, na brzegu rzeki leżeli żołnierze, część jeszcze się ruszała. Kolejni cały czas próbowali wdrzeć się na mur. Król dał znak, który przekazał dalej generał Merik. Łańcuchy szczęknęły i brama zaczęła się otwierać. Rycerze aż stawali w strzemionach, trzymając miecze w gotowości. Brama otwierała się coraz szerzej, Dever trzymał broń nad głową, powstrzymując szeregi za nim. Prześwit robił się większy i na krawędzie bramy zaczęli wskakiwać przeciwnicy. Próbowali podciągnąć się na grubej konstrukcji i wtargnąć do środka. Dever zobaczył, że prześwit jest wystarczający, by zmieścić się w nim koń, i dał znak do natarcia.

– Atak! Tylko głowy nisko! – krzyknął i spiął konia.

Pochylił się, chowając głowę za koński kark. Kopyta stuknęły o deski mostu zwodzonego i wierzchowiec wyskoczył w powietrze. Monerweh skręcił w lewo i rzucił się w wir walki. Cały oddział przebiegł przez bramę, nim ona opuściła się do końca. Piechota z pikami zablokowała wejście na dziedziniec, a żołnierze zwijali łańcuchy, podnosząc bramę. Zdezorientowani tym atakiem żołnierze imperium nie skorzystali z możliwości szturm. Tylko nieliczni próbowali się wdrzeć pod mur, ale zostali pokonani przez pikinierów. Brama podnosiła się szybciej, niż opadała i tylko jeden z toporników złapał się krawędzi, wciągając się wysoko, spadł jednak wprost na przygotowane piki.

Za zamkniętą bramą rozgorzała walka, którą z góry obserwował król Kastil w towarzystwie generała Merika i reszty żołnierzy. Ataki z drabin ustały i cała walka przeniosła się pod mur. Tam Dever i jazda rozpędzali się na boki, spychając przeciwników na drugi brzeg, gdzie odcięci przez gruzy nie mieli dokąd uciec. Ustawieni w rzędy jeźdźcy przeskoczyli przez zamarznąłą rzekę, zostawiając za sobą brzeg pokryty ciałami pokonanych wrogów.

Oddział wbił się szerokim klinem w plecy uciekających żołnierzy. Kolejni ginęli cięci mieczami i rozdeptywani przez końskie kopyta. Śnieg zmienił się w czarno-czerwoną breję. Armia Sag Bas w końcu przyparta do ściany nie miała wyjścia i chwyciła ponownie za broń. Wybiegli na spotkanie konnemu oddziałowi i zwarli się w walce, a zgrzyt stalowych mieczy dotarł aż na szczyt muru. Dever obracał konia, ścinając kolejne miecze próbujące dosięgnąć jego boków. Widział, że kilku z jego towarzyszy straciło konie i walczy pieszo. Skierował więc swojego rumaka w tamtą stronę. Sięgnął mieczem jednego z przeciwników, ścinając mu głowę, jednak drugi,

odwracając się, zdołał przejechać ostrzem po końskim udzie. Zwierzę wierzgnęło wysoko, a gwardzista z trudem utrzymał się w siodle. Zeskoczył z konia, gdy tylko go opanował. Wolał walczyć pieszo niż na okulałym wierzchowcu.

Wylądował tuż obok martwego przeciwnika i już po chwili musiał bronić się przed atakiem. Sparował dwa ciosy zadane z góry i wyprowadził kopnięcie, po nim wbił ostrze w pierś leżącego. Każdy z pięciuset jeźdźców już w trakcie pierwszej szarży zabił co najmniej dwudziestu przeciwników. Siły wroga topniały w mgnieniu oka, a Erskińczycy docinali resztki, które jeszcze próbowały walczyć. O dziwo, nikt nie odłożył miecza, nie klęknął, błagając o życie. Wszyscy bili się z ogromną zaciętością. Padali jednak w starciu z potęgą najlepszej armii świata. Zostało ich coraz mniej, aż wreszcie, kiedy ciemność zaczęła okrywać Erskin, ostatni padł. Dłonie z zaciśniętymi w nich mieczami wyrzucili w górę, a okrzyk radości połączył się z okrzykami zgromadzonych na murze.

– Przegrupować się i wracamy! – zarządził Dever.

Żołnierze ponownie ustawili się w rzędy po pięciu. Tym razem na samym początku stanęli ci, którzy nie stracili koni. Była ich znaczna większość. Choć pancerze mieli brudne i powgniatane, niektórzy krwawili, ale wyprostowani siedzieli w siodłach. Stracono mniej niż sto koni. A zginęło tylko dwunastu jeźdźców, poza nimi czterdziestu było rannych. Wspomagali ich koledzy, którzy nie zostawili na polu walki nawet martwych towarzyszy. Ich ciała zebrano i położono na końskich grzbietach, by z godnością oddać im ostatnie honory. Pochód zamykali zdrowi, którzy nie mogli jechać konno. Prowadzili okulałe wierzchowce. Ze względu na koszt wyszkolenia konia nadającego się do użytku erskińskiej jazdy zabierano nawet te ranne i starano się je wyleczyć. Dobijano dopiero w ostateczności, bo nawet niezdolny do walki służył do nauki młodych koni. Brama powoli otwierała się, Dever wysunął się na front.

– Plan się powiódł, wasza miłość – odezwał się do króla Merik.

– Tak, straty są mniejsze, niż gdybyśmy czekali, aż skończą im się ochotnicy do wejścia na mur – odparł bez entuzjazmu.

– Myślę, że mamy chwilę oddechu – ciągnął generał. – Po takiej porażce trzeba przemyśleć kolejne kroki planu.

– Też mi się tak wydaje, generale. – Kastil odsunął się od krawędzi. – Planował zająć nas dłużej i spowodować większe straty. Nie udało mu się

to, więc zechce... – Przerwał w pół zdania i oparł się o blanki. Zobaczył na dole coś bardzo niepokojącego.

Idealnie ustawione wojsko nagle rozpiezchło się na boki. Konie rozbiegły się w popłochu.

– Zamknąć bramę! – wydierał się Dever, ile tylko miał sił w płucach. – Zamknąć bramę!

Merik rzucił się do krawędzi muru i zobaczył, że spomiędzy gruzów miasta wyjeżdżają jeźdźcy, którzy szyjąc łukami, celowali do koni.

– Zamykamy bramę! – Generał chwycił króla za ramię. – Mrowie ich!

– Zdążą się wycofać! – odkrzyknął władca. – Nie zostawimy ich tam!

– Nie możemy ryzykować walki z otwartą bramą! Przecież oni cały czas stamtąd wychodzą. – Generał wskazał ręką na miasto.

– W rzyć! – Król huknął pięścią w mur. – Nie zamknę ich tam!

Zostawił zaskoczonego generała i pobiegł w dół, do bramy. Susami pokonywał rzeźbione w litej skale schody i wpadł do tunelu. Po opadających deskach wyskoczył na zewnątrz. Patrzył na to, co działo się na terenie walk. Kolejne oddziały wyjeżdżały na pole, świst strzał był coraz donośniejszy.

– Do bramy! – krzyczał. – Biegiem! Wszyscy!

Konni łucznicy przeciwnika pędzili w stronę otwierającej się bramy, szyjąc strzałami we wszystko, co się ruszało. Jeźdźcy, którzy zostali na koniach, zmusili je do najszybszego biegu i dzięki temu udało im się wskoczyć do zamku. Byli jednak nieliczni. Ranni starali się, ale nie mieli szans uciec przed świeżymi końmi. Stanęli więc z mieczem w dłoni i przygotowywali się do walki.

– Nie! – krzyczał Kastil, stojąc tuż obok opuszczonego już mostu. – Wszyscy do zamku! Odwrót!

Kolejni dobiegali, ale łucznicy byli coraz bliżej. Kastil wiedział, że nie może dłużej czekać. Ryzyko było zbyt wielkie. Dał sygnał do podniesienia mostu. Łańcuchy napięły się, ciężka konstrukcja ruszyła w górę. Rycerze wskakiwali na deski i do wnętrza zamku. Pozostali starali się zatrzymać tysiące nadciągających przeciwników. Walczyli na miecze, nierzadko zrzucając łuczników z koni, ale ich przewaga liczebna była zbyt duża. Kastil spojrzął za siebie i niemal w ostatniej chwili chwycił się krawędzi unoszącego się mostu. Dever zdążył przebiec przez zamarzną rzekę i wślizgnął się bokiem niewielką szczeliną. Król podciągnął się i z hukiem spadł po drugiej stronie domykającej się bramy. Podnosił się obolały, a za



nim słyhać było strzały uderzające o deski. Nim wyszedł na dziedziniec, jeźdźcy ustawiali się do przegrupowania. Koni było niewiele, została ich połowa. Rycerze mieli więcej szczęścia i brakowało ich stu czterdziestu siedmiu.

– Odjechali – zameldował Merik, schodząc z muru. – Ale nikt z tych, którzy zostali na polu nie przeżył.

– Tyle było z oddechu – mruknął pod nosem Kastil, trzymając się za żebra. – Chędożony Hex...

## Rozdział LVI

Imperator stał w przestrzeni między wozami, zaciskając dłonie na połach kamizelki. Patrzył na czerniejące w oddali mury zamku z delikatnie uniesionym lewym kącikiem ust. Szadź osadziła się na żerdziach wozów i linach namiotów. Cały obóz przykryty był jeszcze bielą poranka. Nieliczni, jak na wielkość obozu, strażnicy przechadzali się, trzymając swoją wartość. Obóz jeszcze spał, a słońce dopiero zbliżało się do horyzontu, zmieniając barwę nieba.

Mroźne powietrze wpadało mu do płuc. Za sobą zaczynał słyszeć uderzenia młotów i cięcie pił. Zastanawiał się nad tym, jak toczył się jego plan. Kastil przewidział to, że chce grać na czas i jednocześnie zająć ich na dobre ich własnymi ludźmi. Potrzebował czasu, by skończyć choć kilka katapult więcej, kilka wież strzelniczych więcej.

Wszystkie maszyny spokojnie budowały się na polach za obozem. Zamarznięte łąki idealnie nadawały się, by rozłożyć na nich warsztat. Jego oddziały pozbyły się już niemal całego gruzu zalegającego na głównym trakcie. Wykorzystywali wszystkie deski, wszystkie kamienie, które nadawały się do użycia w maszynach oblężniczych. Jednak w głównej mierze dostarczali drewno z drzew porastających okolicę. Przez czas, który spędzili w obozie, zdążyły do niego dojechać absolutnie wszystkie wozy z zaopatrzeniem, a także wszystkie wozy rzemieślników. Cieśle pracowali dniami i nocami nad tym, by zbudować maszyny mogące choć naruszyć mur potężnego zamku wbudowanego w górę Ersk.

– Prace postępują powoli – zaczął, nim Juvi zdążyła się odezwać. – Musimy przyspieszyć.

– Rzemieślnicy pracują dzień i noc, wymieniają się, więcej już nie zrobią. – Wzruszyła ramionami.

– Przyspieszą, zaufaj mi. – Odwrócił się do niej. – Ale mam też inny pomysł.

– To znaczy? – zapytała, patrząc prosto w oczy imperatora.

– Widziałem, że jego armia jest doskonale wyszkolona i świetnie radzi sobie w szarzy, ale kiedy nasi łucznicy ich zaskoczyli, nie było dobrze – zawiesił głos na chwilę. – Chciałbym wyciągnąć część jego armii z za tego muru i chyba wiem, jak to zrobić.

– Wykorzystasz Rollo?

– Nie, ona ma inną rolę. – Spojrzał ponad głowę kapłanki. – Z północy nie zaatakuje nas nikt. Dlatego zostawię tam niewielki oddział, a resztę wystawię przed zamkiem. Żadnego ataku. Będą tam stali w odpowiedniej odległości, żeby strzały nie mogły do nich dotrzeć.

– Po co?! – krzyknęła.

– Po to, by nie dali im spokoju. Będą nad nimi wisieć jak burzowa chmura, nie dając im zasnąć. Będą tam tkwić, co da nam czas na to, by przygotować się do ostatecznego natarcia, a przy okazji zabezpieczą nas przed kontratakiem – ciągnął. – Jeśli wyjdą, opuszczą mury, to ten oddział ich powstrzyma. A w tym czasie wyjedzie nasze wojsko, które rozbiegnie się pomiędzy zabudowaniami i ich oskrzydli.

– A co z pułapkami? Nie boisz się, że...

– Właśnie tutaj pojawia się zadanie dla Rollo – wyprzedził jej pytanie. – Ona usiłuje dowiedzieć się, jak wygląda ich plan. Jeszcze jej nie zaufali, ale to się zmieni. Już niedługo się zmieni.

– Hex... – Zebrała się w sobie. – Miałaś spowodować, by wojna była rozstrzygnięta z jak najmniejszą liczbą ofiar, a tutaj...

– Spokojnie. – Położył dłoń na jej ramieniu. – Nim te śniegi stopnieją, będzie po wszystkim.

Zostawił ją i udał się w głąb obozu, kierując swoje kroki do namiotu. Bezradna kapłanka mogła tylko powłóczyć za nim wzrokiem. W obozie robił się coraz większy gwar. Żołnierze stawiali się na zbiórkach przy swoich namiotach, konie domagały się jedzenia, dym wylatujący z kominów zagęszczał się. Westchnęła ciężko i udała się do swoich zajęć.

Mrozy nie odpuszczały nawet na chwilę, a zwykłe żołnierskie namioty słabo chroniły przed lodowatym powietrzem. Siedzenie od długiego czasu w obozie, zupełnie beczynnie, nie wpływało dobrze na morale żołnierzy będących pod komendą Nira. Obóz nie był tak rozległy i liczny jak ten w samym Erskinie, ale zarządzanie nim było jeszcze trudniejsze. Stary generał był przygnębiony, gdy każdego ranka z namiotów wynoszono kilku kolejnych zamarzniętych żołnierzy. Jego ludzie nie robili nic poza kopaniem dołów na latryny w zmarzniętej ziemi i paleniem zwłok.

Z północy nikt nie nadciągał, a jego doświadczenie podpowiadało mu, że skoro do tej pory żadne posiłki pod Erskin nie przybyły, to już nie ma się co ich spodziewać. Czekał z wytęsknieniem na sygnał od imperatora. Siedział na głazie przy niewielkim ognisku i obserwował jak żołnierze, których Hex wcielił do armii po bitwie na północy, wynoszą z namiotów kolejne cztery ciała.

– Generale. – Poczł w swojej jaźni czyjąś nieskrywaną obecność. – Widzę, że w obozie bez zmian.

– Czekamy, choć nie jest dobrze z żywnością i ilością zamarznęć. – Pomyślał.

– Wasze czekanie dobiegło końca – kontynuował imperator. – Przygotujcie się do wymarszu jak najlepiej. W tym obozie zostaw tysiąc ludzi i cały sprzęt. Nie będzie już potrzebny.

– Jakie mamy zadanie, imperatorze? – Roztarł zgrabiące dłonie nad ogniem.

– Przejdziecie na południe traktem prowadzącym przez tereny koszar. Zajdziecie do miasta i ustawicie się przed murami zamku. W szyku bojowym.

– To wszystko? – Pomyślał, nie kryjąc zdziwienia.

– Będziecie prowokować ich do otwarcia bramy i wyjścia z kontratakem – ciągnął. – A kiedy już otworzą bramy i ruszą na was...

– Będziemy musieli wytrzymać aż do przybycia reszty naszych sił – dodał Nir.

– Takie jest twoje zadanie, generale – potwierdził imperator. – Pod żadnym pozorem nie możecie przepuścić ich wojska na trakt w stronę naszego obozu. Nie jesteśmy jeszcze gotowi do przypuszczenia ostatecznego szturmu, potrzebujemy czasu i spokoju, a ty, Nirze, jesteś w stanie nam to dać.

– Tak jest, imperatorze – odparł w myślach. – Kiedy armia ma być gotowa do wymarszu?

– Dziś – stwierdził. – Im szybciej, tym lepiej, generale.

– Więc nie ma czasu do stracenia. – Podniósł się znad ogniska, nie czekając na pozwolenie od swojego rozmówcy.

– Ruszać się, wszarze! – krzyknął do dowódców oddziałów siedzących przy ognisku i grającym w Habakarda. – Szykować oddziały do wymarszu! Biegiem!

Żołnierze zerwali się, zostawiając karty na pieńku, i rozbiegli się we wszystkie strony obozu. W momencie rozległy się sygnały ogłaszające zbiórkę. Rozgardiasz zapanował w do tej pory sennych koszarach. Mężczyźni w pośpiechu zarzucali na siebie elementy pancerza, które zdjęli dla wygody. Szukali broni w wyrastających przy namiotach stożkach, siodłali konie, pakowali rzeczy osobiste. Nir przyglądał się temu bez większego entuzjazmu. Nasiedział się już w swoim życiu na granicy, pilnując sąsiadów. Nasiedział się w tym obozie, pilnując północy obleganego miasta, a teraz miał się jeszcze nastać przed bramą zamczyska, pilnując, by wrogowie nie przypuścili szturm na obóz.

Przeżył w życiu niejedno i znał się na sztuce wojennej. Był przekonany, że jeśli nie wydarzy się coś nieprzewidzianego, to pozwolą im stać w śniegu i mrozie, nawet nie myśląc, by uchylić bramę. Przez moment nawet chciał o tym wspomnieć imperatorowi, ale uznał, że z myślą Sag Bas nie powinien dyskutować. Widział, jak źle mogło się skończyć choćby drobne nieposłuszeństwo. Wiedział też, że nawet najdrobniejszą myśl przepływającą przez jego umysł Hex mógł odczytać, więc zdał się na los i mimo braku przekonania do tego planu zamierzał go wykonać.

Owinięty grubymi futrami patrzył, jak chaos powoli zmienia się w wojskowy porządek. Kolejni żołnierze ustawiali się w wyznaczonych miejscach zbiórki. Kolejne drużyny i oddziały były gotowe do wymarszu. Kiedy wszyscy już czekali na rozkaz, stanął przed nimi, wspinając się na pnie leżące obok namiotów.

– Żołnierze! – zaczął tradycyjnie. – Czas naszego oczekiwania minął! Nasza cierpliwość i poświęcenie zostały nagrodzone przez Sag Bas i imperatora! Dostąpiliśmy zaszczytu obrony naszego głównego obozu przed podjazdami z zamku. Wiecie, co to oznacza? – zapytał, ale zaraz sam odpowiedział. – Będziemy stać pod wielkim czarnym murem, będziemy tam marznąć, będziemy tam jeść, spać i srać, ale jeśli tylko brama uchyli się, to zaatakujemy. Zaatakujemy i oddamy życie, próbując zdobyć zamek ku chwale Sag Bas!

Włócznie stukały o zamarznąłą ziemię, miecze o tarcze, a okrzyki niosły się w górę. Nir zszedł z pnia i wskoczył na przygotowanego do jazdy konia. Zwierzę obróciło się z nim na grzbiecie.

– Nie możemy jednak opuścić naszego posterunku wszyscy – mówił dalej. – Tysiąc mężów zostanie tutaj, a będzie to od nich wymagało nie tylko wielkiej siły, ale też wiary i odwagi. Ten tysiąc będzie musiał

zatrzymać wszystko, co nadejdzie z północy. Czy będą to setki górskich wojów wielkich jak niedźwiedzie, czy też niedźwiedzie we własnej osobie. Zadanie całego naszego oddziału jest trudne, ale obrona tej drogi może być o wiele trudniejsza, dlatego liczę, że zgłosicie się na ochotnika. Imperator i cała wiara Sag Bas nie zapomni waszych imion. Wystąpcie z szeregu i przejdźcie na lewo, bohaterowie. – Wskazał kierunek.

Na początku z tłumu wychodziły pojedyncze jednostki. Potem jednak dołączało do nich coraz więcej mężczyzn. Różnili się nie tylko przynależnością do oddziałów, narodowością, ale również stroną konfliktu, a przynajmniej początkową stroną. Wśród tysiąca ochotników łatwo można było znaleźć tych noszących na sobie mundury Erskinu i jego sojuszników. Nir zastanawiał się nad tym, w jakim stopniu takie zachowanie spowodowała moc Hexa i narzucenie jego woli, a w jakim ciężkie tygodnie wspólnego życia w obozie, wspólna praca, posiłki, noclegi, a także palenie ciał towarzyszy. Znał wojsko od podszewki i wiedział, że właśnie takie warunki mogły mieć największy wpływ na zjednoczenie się wszystkich jego podkomendnych. Rozmowy przy ognisku i pędzonym w jednym z namiotów samogonie czasami działały lepiej niż nawracanie ludu z księgą w jednej dłoni i dostępem do jego jaźni w drugiej. Doliczył do tysiąca i wzniósł swoją lśniącą broń ku niebu.

– Dziękuję wam, ochotnicy – zwrócił się do zebranych po jego lewej stronie. – Zorganizujcie obóz tak, by łatwiej było wam w nim żyć, łatwiej się bronić. Umocnijcie go, zadbajcie o wszystko, wybierzcie spośród siebie dowódców i pamiętajcie, że Sag Bas i imperator cały czas nad wami czuwają. Jeśli tylko zajdzie taka potrzeba, usłyszycie jego głos. Do zobaczenia po wojnie. – Obrócił konia i wskazał kierunek mieczem. – Reszta za mną.

Kapłanka z ciężkim sercem schowała swoją szatę do skrzyni. Jednak nawet imperator namawiał ją do tego, by przywdziała strój pasujący do zamku w Erskinie. Założyła suknię z zielonego weluru ściągniętą szerokim pasem ze złotymi ornamentami. Suknia miała długie rękawy, niewielki dekolt w kształcie prostokąta, a jej rozłożysty dół sięgał do podłogi. Jasne włosy, przetykane sinymi pasami, splotła w warkocz.

– Rollo. – Zatrzymała się w pół kroku. – Musisz spróbować zebrać informacje o planach Kastila.

– Staram się, imperatorze, ale ten stary uczonec...

– Wiem, na niego trzeba uważać, ale znaleźliśmy się w sytuacji, w której musisz nieco zaryzykować – mówił. – Spróbuj. Może starzec będzie czymś zajęty, może uda ci się odciągnąć króla gdzieś na bok, może znaleźć nieco ustronniejsze miejsce.

– Dobrze, zrobię, co będzie trzeba. – Pomyślała stanowczo i ruszyła do drzwi. Nim złapała za klamkę, rozległo się pukanie. Wzdrygnęła się i odsunęła dłoń, zachowując spokój. Po chwili dźwięk stukania ponownie wypełnił pomieszczenie. Usiadła na łóżku dla niepoznaki i zaprosiła do środka.

– Już myślałem, że panienki nie zastałem. – Do komnaty wszedł potężny sługa króla Kastila.

– Szykowałam się – odparła zaskoczona. – Co cię tutaj sprowadza?

– Uczony uznał, że skoro król jest zajęty i on też, to ktoś powinien z panienką posiedzieć, coby nam tutaj z nudów nie umarła. – Uśmiechnął się ciepło.

– Staruch... – Zmrużyła oczy, czując złość imperatora.

– Dziękuję – wycedziła przez zęby. – To bardzo miło z jego strony, że tak o mnie pomyślał. Właśnie zamierzałam wyjść z komnaty i poszukać króla Kastila.

– Król planuje w swojej sali narad. – Zamknął za sobą drzwi i wszedł głębiej do komnaty. – Zebrali się tam z generałami i uczonym.

– Dziękuję za twoje towarzystwo, Thondarze, ale mimo wszystko mam ochotę na spacer, więc...

– A to ja pójdę z panienką – zaoferował się radośnie. – Uczony mówił, żeby nie puszczać panienki samej na zamek. Mówił, że tu chłopca tyle, że jeszcze by się coś złego stało.

– Thondarze, ja naprawdę dam sobie radę – mówiła spokojnie. – Od kiedy byłam tutaj jako element traktatu, wiele się zmieniło. Nauczyłam się walczyć, bo kapłanki głównie tym mają się zajmować, więc naprawdę się nie boję.

– A ja wiem, że panienka jest odważna. – Machnął dłonią wielką jak bochen chleba. – Ale jak uczony kazał mi panienki pilnować, to tak zrobię. Idziemy?

– Trzeba jakoś wyciągnąć Kastila z tej sali. – Usłyszała głos Hexa. – I musisz się pozbyć tego osiłka.

– Próbuję...

– Próbujesz go przekonać, a ja mam na myśli to, żeby się go pozbyć. – Czuła większą presję.

– Nie zabiję Thondara! – zaprotestowała.

– Oczywiście, że go nie zabijesz – odparł niemal rozbawionym tonem. – Będziesz się tylko bronić przed nim i przypadkowo uderzysz go w głowę świecznikiem.

– Nie... – Spojrzała na stolik.

– Rollo. – Napięcie w jej głowie zwiększało się. – Nie mam czasu na sentymenty. Musimy przyspieszyć. Musisz dowiedzieć się wszystkiego o pułapkach i ten mężczyzna nie może cię przed tym powstrzymać.

– Ale to jest zwykły sługa! – protestowała w myślach. – On o niczym nie ma pojęcia, nie tak działamy, zabijamy tylko najważniejszych i...

– Zadałem sobie wiele trudu, by móc się z tobą kontaktować, nawet kiedy będziesz obłożona bursztynem od stóp do głów. Zadałem sobie wiele trudu, przygotowując ten plan, i nie pozwolę, by twoje wyrzuty sumienia mi w nim przeszkodziły. – Z każdym słowem czuła coraz większy nacisk. – Nie chciałem tego robić, ale nie pozostawiasz mi wyboru.

Przeraźliwe krzyki i hałas rozniosły się po zamkowych korytarzach. Wszyscy znajdujący się w nim zatrzymali się w pół kroku, nasłuchując, czy to atak, ale rozpoznali w tym krzyku wołanie kobiety o pomoc. Jednej kobiety. Ten rumor dotarł też do sali narad, w której król Kastil, generał Merik, Dever Monerweh i uczonec Iskel dyskutowali nad tym, czy nie lepiej wyjść przed mur i spróbować zaatakować nocą obóz przeciwnika.

– Co to? – Kastil zmarszczył brwi. – Słyszeliście? Atak...

– Nie, nie. – Gwardzista przysłuchiwał się. – To raczej wołanie o pomoc, ale kobiety.

– Tak, to zdecydowanie kobiecy głos – dodał Merik.

– Rollo! – Król poderwał się.

– Jest z Thondarem, nic jej nie będzie – próbował go uspokoić Iskel.

– Muszę sprawdzić... – Kastil zostawił ich przy stole i wybiegł z sali narad.

Musiał przedzierać się przez korytarz zatłoczony rycerzami grzejącymi się przy parujących napojach. Minął jedne drzwi, potem drugie, a w trzecie wpadł z impetem. Otworzył je i zamarł. W pokoju było pobożowisko. Poprzewracane krzesła, szafki, wywrócone nawet wielkie łóżka. Na środku leżał olbrzym w charakterystycznych dla siebie szatach. Z jego głowy na



podłogę wyływała bordowa ciecz. Król nie mógł złapać oddechu. Zasłonił dłońią usta, tłumiąc krzyk rozpacz, oczy zaczęły mu się szklić.

Rozejrzył się dokładniej i zobaczył siedzącą w rogu dziewczynę. Trzęsła się, chowając głowę między kolanami, i zwinięta w kłębek cicho łkała. Jej suknia była porozdzierana. Władca opanował nieco nerwy i wszedł głębiej. Zbliżył się do ciała swojego służącego. Przykucnął tuż obok i spróbował go obudzić, ale bez żadnego rezultatu. Dopiero z tej perspektywy dostrzegł, że w głowie Thondara zieje głęboka rana, z której jeszcze sączy się krew. Dokładnie na skroni było widać uderzenie rozcinające skórę i gruchoczące czaszkę. Kawałek dalej, niemal na wyciągnięcie ręki leżał ciężki kandelabr z marmurową podstawą. Zostawił to i skierował się w stronę nieprzestającej łkać kobiety. Usiadł ciężko na podłodze tuż obok niej.

– Rollo, co tu się stało? – zapytał ze ściśniętym gardłem.

– Nie wiem... – Pokręciła głową, nie podnosząc jej. – Nie wiem...

– Powiedz mi, proszę. – Położył dłoń na jej splecionych na kolanach dłoniach.

– On tutaj przyszedł i... – Podniosła oczy i zobaczył, jak porozbijaną ma twarz.

Z wargi ciekła jej stróżka krwi, oko podeszło czerwienią, niemal w całości zmieniając kolor, do tego miała siniaki na policzkach. Najgorzej jednak wyglądała szyja. Niemal bordowe pręgi, wyglądające jak ślady palców, pokrywały ją w całości.

– Mów, proszę. – Nie mógł powstrzymać łez ciekących mu z oczu.

– Przyszedł i powiedział, że będzie mnie ochraniał, bo na zamku może być niebezpiecznie. – Zebrała się w sobie. – Zgodziłam się, nawet ucieszyłam, bo zawsze go lubiłam. Poprosiłam, żebyśmy poszli do ciebie, chciałam ci powiedzieć o tym, co może szykować Hex... Przypomniałam sobie jedną rozmowę... – Łapała oddech co kilka zdań. – On wtedy powiedział, że jesteś w podziemiach, tam, gdzie są kuchnie. Mówiłeś mi kiedyś o tych starych tunelach... Powiedział, że mnie tam zaprowadzi. Nie chciałam, powiedziałam, że poczekam na ciebie, że to nie aż tak pilne... Uparł się, chwycił mnie za rękę. – Pokazała ślad na nadgarstku. – Wyrwałam się, ale wtedy... Uderzył mnie w twarz. Byłam zaskoczona, upadłam... Powiedział, że uczonego go przysłał, że on o wszystkim wie, że mnie przejrzał, że przejrzał Hexa i najwyższy czas się mnie pozbyć, żebym nie mieszała ci w głowie... Powiedział, że robi to tutaj, skoro nie chcę iść. Chciał mnie udusić, ja się wyrywałam, ale nie wiedziałam, co robić. Bez

Kati nie wiedziałam, co robić. Uderzył mnie raz czy kilka... nie pamiętam... żebym się nie wyrywała. Poprzewracaliśmy meble, rzucił mną o ścianę, wtedy złapałam ten świecznik i uderzyłam, ile tylko miałam sił. Trafiłam w głowę, zatoczył się jeszcze, wypuścił mnie i upadł... Ja nie chciałam, Kastilu, nie wiedziałam, co robić. Krzyczałam, ale nikt nie przybiegł...

Straszliwie się rozpląkała. Młody władca siedział, wpatrując się gdzieś w przestrzeń, z jego oczu także płynęły łzy. Nie mógł wypowiedzieć nawet słowa.

– Co tu się stało?! – Usłyszał za swoimi plecami podniesione głosy.

– Wasza miłość... – Jego doradcy byli w równie wielkim szoku.

– Nie żyje – stwierdził smutno Iskel, sprawdzając, co z Thondarem. – Wiesz, co się tutaj wydarzyło?

– Zostaw go. – W jego głosie dało się wyczuć olbrzymi ładunek emocji. – Zabierzcie go stąd, zamknijcie w jego komnacie i pilnujcie, by z niej nie wyszedł.

– Kogo?! – zdziwił się Merik.

– Uczzonego Iskela – odparł niezwykle formalnie. – Zabierzcie go stąd. Jest oskarżony o próbę zabójstwa królewskiego gościa i zdradę.

Starzec pobladł i przytrzymał się blatu stołu, żeby nie paść obok Thondara. Otworzył szeroko usta, ale nie potrafił z nich wydobyć żadnego dźwięku. Gwardziści niechętnie złapali go za ramiona i wyprowadzili z sali. Iskel nie bronił się nawet. Patrzył tylko w kierunku swojego króla, który nie odpowiedział na spojrzenie. Błądził wzrokiem po ścianach komnaty.

– Nie martw się, Rollo – zwrócił się do dziewczyny, stojąc do niej tyłem.

– Od teraz nikt już nie nastanie na twoje życie. Przeniesiesz się do mojej komnaty, będzie jej pilnował zaufany gwardzista. Winny tego, co tutaj zaszło, poniesie zasłużoną karę. Przyślę do ciebie młodszego uczonego, który specjalizuje się w leczeniu. Chodź ze mną.

Nieśmiało chwyciła wyciągniętą dłoń i mijając zwłoki służącego, opuścili komnatę. Czuł, że dziewczyna trzęsie się jak osika i nie może opanować płaczu. Sam też miał ochotę rozpląkać się, rozbić coś, ale otarł łzy rękawem i przyjął królewską postawę. Do pomieszczenia natychmiast zbiegli się gwardziści, którzy zabezpieczyli miejsce, by nikt z mieszkańców nie natknął się na ten straszny widok.

Samo maszerowanie po tak długim przebywaniu w obozie dodało całej armii animuszu. Pogwizdywali, idąc równym krokiem szeroką drogą prowadzącą z północy pod sam zamek na górze Ersk. Mijali pagórki i lasy na obrzeżach miasta łączące się z pojedynczymi gospodarstwami. Wśród nich z daleka dało się zauważyć główny punkt tej części miasta, jakim były zabudowania koszar. Od wieków znajdowały się w tym miejscu i wybudowano je w szczególny sposób.

W żadnym innym mieście koszary nie wyglądały tak okazałe i zagadkowo jednocześnie. Trakt prowadził dokładnie przez ich środek, a droga z obu stron była zablokowana płotem – z jednej strony opartym na kole, który wartownicy otwierali i zamykali za każdy razem, gdy ktoś chciał wejść lub wyjść. Nir podjechał do jednej z takich bram i zatrzymał się. Po obydwu stronach traktu stały niewielkie chatki z drewna, od nich biegła wysoka palisada.

– Zachowajcie ostrożność! – krzyknął za siebie. – Miejcie oczy dookoła głowy.

Wyciągnął miecz z pochwy i popchnął furkę. Koło z trudem przebiło się przez śnieżne zasy, otwierając drogę do koszar. Przeszedł dalej, zatrzymując gestem całą kolumnę. Długie drewniane budynki za ogrodzeniem stały w równych odstępach po obydwu stronach drogi. Były niskie, miały spadziste dachy i niewielkie okna. Kilkanaście takich baraków wypełniało znaczną przestrzeń, generał Sag Bas wskoczył więc na konia i zawołał resztę swojej kompanii. Cała armia spokojnie wjechała na teren placówki. Rozglądali się i prowadzili swoje wierzchowce ostrożnie. Piechota również stąpała uważnie, niewielkie oddziały oddalały się, by sprawdzić, czy w barakach nie czają się żołnierze Erskinu. W koszarach było jednak całkowicie pusto.

– Widać wezwali wszystkich do zamku – stwierdził jeden z żołnierzy jadących obok Nira.

– Mogło tak być, ale nie rozłazić się! – warknął generał. – Musimy do końca być czujni.

– Ale przecie widać na śniegu, że nie było tu chodzone. – Wskazał na ziemię inny z konnych.

– No widać, ale to nie znaczy, że jest tutaj bezpiecznie, to teren wroga! – Skarcił ich spojrzeniem.

Kiedy tylko minęli tereny usłane barakami, ich oczom ukazał się plac ćwiczebny. Owalne pole przecinał trakt. Obok placu znajdowały się stajnie,

zbrojownie i wszystkie inne niezbędne w wojskowych koszarach budynki. Na samym placu stały przyrządy potrzebne do treningu jazdy, ale nie dało się ich rozpoznać, bo przykrywały je zasy śniegu. Zaraz za placem i niewielkimi budynkami znajdowały się dwie chatki połączone furką na kole.

W oddali dało się już zauważyć szczegóły czarnego muru i zarys wież zamkowych. Żołnierze rozochoceni tym widokiem dali sygnał koniom i ruszyli ostrzej. Śnieg wzbiał się spod kopyt i cała armia runęła w kierunku wyjścia z koszar. Piechota, nie chcąc zostać z tyłu, biegiem rzuciła się za nimi. Nagle rozległ się przeraźliwy ryk koni, który mieszał się z krzykami ludzi. Śnieg zasłonił widok Nirowi, jego koń, czując krew i słysząc krzyki, kręcił się w powstałej zamieci. Kolejni, nie wiedząc, co się dzieje z przodu, napierali dalej. Dopiero kiedy kurzawa opadła, zdał sobie sprawę z tego, co zaszło. Niemal cały owal placu ćwiczebnego zawalił się, a setki koni i żołnierzy leżały na jego dnie nabite na zaostrome drągi i włócznie. Para z gorącej przelanej krwi unosiła się nad wilczym dołem.

– Stać! – darł się z całych sił. – Stać!

Zeskoczył z konia i doszedł do krawędzi. Widok z bliska był jeszcze gorszy. Pręty i ostrza wystawały z ciał zwierząt i ludzi. Niektórzy szarpali się, próbując wydostać się stamtąd, i jeszcze bardziej nadziewali się na te szpikulce. Szamotali się, rozcinali swoje ciała. Nie było sensu nawet próbować ich ratować. Tak dobrze przygotowana pułapka nie dawała szans na wyjście z niej.

– Imperatorze – pomyślał Nir. – Wpadliśmy w zasadzkę.

– Poczułem, co się stało – odparł. – Nie mogłeś tego przewidzieć, nie było widać nawet śladu. Spójrz na te grubsze pręty, to kolumny. Na nich trzymały się te wzmocnienia z kory. Wystarczył ciężar jeźdźca i stało się.

– Co dalej, imperatorze? – Nir poczuł się strasznie zmęczony.

– Omińcie ten dół, ale sprawdzając drogę przed sobą włócznie, i idźcie dalej – mówił Hex z zupełnym spokojem. – Straty nie są aż tak wielkie, plan nadal można wykonać.

– Każdy z was złazi z konia i bierze w rękę kij, włócznie, miecz czy cokolwiek innego – mówił głośno. – Będziecie wbijać je w śnieg, sprawdzając, czy nie ma więcej wilczych dołów. Plan Sag Bas jest niezmienny, musimy stanąć pod murami zamku, dlatego nie zatrzymamy się teraz. Ruszamy! A o nich w przyszłości napiszą pieśni...

Złapał konia za uzdę i zaczął okręgać owal placu. Sprawdzał przy tym grunt przed każdym kolejnym krokiem, a towarzyszył mu akompaniament lamentów, krzyków i jęków tych, którym za prędko było pod mur.

Kastil zniknął gdzieś, gdy tylko odprowadził ją do komnaty. Za drzwiami postawił dwóch gwardzistów i zalecił im, by nie ruszali się z miejsca aż do jego powrotu. Chciał zostawić przy niej jednego z młodszych uczonych zajmującego się leczeniem, ale zaprotestowała. Stwierdziła, że skoro najważniejszy uczony chciał ją zabić, to jego podwładni również mogą chcieć to zrobić, a poza tym ucząc się bycia kapłanką, poznała również sekrety leczenia i sama opatrzy swoje rany. Król przystał na to po chwili dyskusji i zostawił ją samą.

Rollo usiadła przy szafce, na której stało niewielkie lustro. Maczała kawałek lnianej ściereczki w wodzie i ocierała nim rozbitą wargę. Gdy tylko pozbyła się krwi i otarła twarz z pozostałych śladów walki, odłożyła tkaninę i rozejrzała się po komnacie.

– Gdzie mógł je ukryć? – szepnęła pod nosem.

Sprawdziła szafkę z lustrem, ale nie było w niej tego, czego szukała. Podniosła się i stopniowo przeszukiwała każdy mebel znajdujący się w królewskiej sypialni. Dokładnie sprawdzała każdy zakamarek, ale nigdzie nie mogła znaleźć sztyletów, które zabrał jej Kastil.

– Przecież mówił, że schował je w swojej komnacie – narzekała, przeszukując jeden z kufrów.

Przestronna komnata sypialna wypełniona była wieloma meblami i w każdym z nich mógł ukryć jej broń.

– Nie spodziewał się przecież, że tutaj trafię... – Wsuwała ręce pod kaftany poukładane w kufrze. – Musi być gdzieś na wierzchu...

Trafiła na coś innego niż noże. Pod palcami poczuła na samym dnie coś skórzanego i zwiniętego ciasno. Wyciągnęła to i zobaczyła, że trzyma w dłoniach mapę murów zamkowych. Wszystko się zgadzało. Umieszczenie bramy, wież, blanków... Zauważyła tylko jeden drobny szczegół. W północnej części muru, w miejscu, w którym stanowiła go lita skała, była zaznaczona furtka. Niemal niewidoczna na tym rysunku. Usłyszała hałas przed drzwiami komnaty, poznała głos Kastila. Szybko wrzuciła do środka wyciągnięty zwój, zamknęła kufer i wróciła przed lustro. Drzwi otworzyły się, a do środka wszedł król ze strapioną miną. Ciężko opadł na fotel i przez długą chwilę patrzył ponad głową Rollo.

– Stało się coś jeszcze? – zapytała wreszcie.

– Odbyłem rozmowę z Iskelem, długą i trudną rozmowę. – Widać było po nim zmęczenie.

– Dowiedziałeś się czegoś? – Odsunęła miseczkę i spojrzała wprost na niego.

– Tak. – Westchnął. – Opowiedział mi o swoich podejrzeniach wobec ciebie i o tym, że obserwował twoje zachowanie.

– Widzisz! – przerwała mu. – On to planował, od kiedy tylko się tutaj pojawiłam. Wymyślił, że jestem szpiegiem i chciał się mnie pozbyć za wszelką cenę...

– Spokojnie. – Usiadł na łóżku i zaprosił ją gestem, by zrobiła to samo. – Winni tego wszystkiego poniosą taką karę, jaka należy się za zdradę. Usiądź przy mnie, chciałbym jeszcze o czymś ci powiedzieć.

Rollo usiadła tuż obok, ocierając się o ciało króla. Spojrzała mu głęboko w oczy i czekała na to, co powie.

– Długo rozmawiałem z Iskelem, znam go od dziecka, zawsze był dla mnie ważny, niemal tak ważny jak ojciec, a czasem nawet ważniejszy – mówił, patrząc przed siebie. – Thondar... On się mną opiekował, zawsze. Teraz nie żyje. Wiem, że trwa wojna i ofiary są częste. Chciałem, bezdusznie i samolubnie, by nie ginęli ludzie, których kocham. Resztę byłem gotów poświęcić, ale nie ich. To przechyła czarę, ja jestem jeszcze młody, nie jestem taki, jakim mnie portretują...

– Chcesz się poddać? – W oczach kapłanki błysnęło.

– Przysięgałem ich chronić, ale nie wiem, czy jestem w stanie to zrobić...

– nie odpowiedział na jej pytanie. – Mamy jednak czasy, w których nie mogę okazać żadnej słabości. A ją okazałem, nie pierwszy raz, ale to się musi skończyć.

Kapłanka nagle wypuściła powietrze ze świstem. Rozwarła szeroko usta, a przerażone oczy wpatrywały się prosto w smutne spojrzenie króla. Jednocześnie wbił w jej ciało dwa sztylety o bardzo smukłych ostrzach. Czują, że to jej własna broń. Ta, której szukała w komnacie.

– Bardzo mi przykro, Rollo – mówił nadal, trzymając dłonie na rękojęściach. – Naprawdę sądziłem, że wróciłaś do mnie, że nie jesteś już w tej sekcji. Popełniłem błąd, wierząc ci. Widziałem, jak snujesz się po zamku, próbujesz się czegoś dowiedzieć, ale nie chciałem tego do siebie dopuścić. Iskel zauważył to i obserwował cię, ale nie wysłał Thondara. Sługa nie nadawał się do walki, on nigdy nikogo nie zabił. Miał cały zamek rycerzy, którzy wykonaliby tę robotę z przyjemnością. To cię zdradziło.

Zabiłaś mojego przyjaciela, kapłanko, i za to wykonałem wyrok. Sama mówiłaś, że twoje sztylety zabijają błyskawicznie, choć tyle chciałem ci dać. Szybka śmierć.

– To prawda, że te noże zabijają szybko, ale tylko w rękach kapłanek, które przeszły rytuał – niespodziewanie spokojnym tonem odpowiedziała Rollo. – W innych rękach są zwykłym kawałkiem zaostzonego żelaza. Jesteś sprytny, królu. Wbiłaś sztylety w nerkę i w wątrobę. Wyciągnięcie któregokolwiek spowoduje śmierć. Kłopot w tym, że dałeś się nabrać, bo zabiłaś Rollo, ale nie za jej zbrodnię...

– To ty! – Kastil odskoczył.

– Zgadłeś. – Oślizgły uśmiech wypełził na twarz kapłanki, zmieniając ją w zupełnie szkaradną.

– Ale jak to?! Wyrzuciła bursztyn!

– Nie, cały czas miała go przy sobie. – Wyjął biżuterię.

– Czyli to było kłamstwo?! – Kastil pobladł.

– Drugie pudło. – Podniósł się, zostawiając za sobą ślady krwi. – To prawda. Bursztyn blokuje możliwość mojego wchodzenia do umysłu, ale jest rytuał, który temu zapobiega, i Rollo go przeszła. Nie wiedzieliśmy tylko, że tak to wpłynie na jej wygląd i zachowanie.

– Więc to... – Nie mógł złapać tchu.

– Ona nie chciała zabić tego olbrzyma. – Hex zbliżał się krok po kroku do Kastila. – Odmówiła wykonania tego rozkazu. Przez cały pobyt tutaj szpiegowwała was. Dała mi dużo ważnych informacji, ale to było za mało. Musiałem pilnie dowiedzieć się, czy planujesz jakieś pułapki na północy miasta. Niestety byłeś niedostępny, prowadziłeś naradę. Chciała iść do ciebie, ale napatoczył się ten sługa. Przyszedł jej pilnować, wysłał go twój uczonec, ale nie chciał jej zabić. Wręcz przeciwnie. Sługa miał jej dotrzymać towarzystwa. Nie pozwolił jednak przeszkodzić w naradzie. Potem ona nie mogła już się stawiać, bo przejąłem kontrolę nad jej ciałem. Walnąłem go w głowę, zrobiłem burdel w pomieszczeniu, zadałem jej rany i krzyczałem. Dalej już wszystko wiesz. Niestety nim przybyłeś, informacje o pułapce przestały być potrzebne. Tak to bywa z planami w czasie wojny, że trzeba je często zmieniać. Przysłałem ją tutaj, by zabrała ci bursztyny, ale nie dałeś się podejść.

– To nie ona... – Kastil pokręcił głową.

– Niestety. – Hex wzruszył ramionami i z ran pociekła krew. – Drugi raz źle ją oceniłeś. I nawet jeśli przez myśl przeszła ci nadzieja, że mnie

również zabiłeś, wbijając noże w jej ciało, to wyprowadzam z błędu. Nie da się mnie zabić, królu. Gdybyś chciał się poddać, to przed zamkiem za moment pojawią się moi żołnierze. Wystarczy, że otworzysz bramy i wojna dobiegnie końca.

Złapał za obydwa noże i wyciągnął je jednocześnie, stojąc krok przed Kastilem. Krew poląła się szerokimi strumieniami, a po chwili oczy dziewczyny wywróciły się białkami do góry i wpadła wprost w objęcia króla. Jego ręce trzęsły się przeraźliwie, a z oczu płynęły łzy.

– Przepraszam, przepraszam... – mamrotał, łkając.

– Ja przepraszam... – Westchnęła, a po chwili charcząc, wydała ostatnie tchnienie.



## Rozdział LVII

Kiedy wyszli spomiędzy zabudowań na plac przed zamkowym murem, ich oczom ukazało się pole usłane powykręcanyymi z mrozu zwłokami. Skostniałe trupy patrzyły na nich bladymi oczami. Nir nieraz widział już takie zjawisko, ale mniej doświadczeni żołnierze odchorowali ten krajobraz. Ustawili się na linii zniszczonych domów, zwrócili się twarzami do czarnego muru i czekali. Słyszeli, jak za nimi trwają prace przy odgruzowywaniu ostatniego fragmentu traktu. Widzieli poruszenie, jakie zapanowało na szczycie muru na ich widok.

Dowódca podzielił swój całkiem spory jeszcze oddział na dwie części. Pierwsze piętnaście tysięcy żołnierzy ustawiono w równych szeregach, natomiast druga połowa miała czas, by ogrzać się przy ogniu, zjeść i wypaść się w domach stojących nadal w okolicy traktu. Nir nie miał w zwyczaju wywyższać się ponad zwykłych żołnierzy, z którymi służył, więc stanął krok przed nimi w szeregu. Owinięty grubym futrem czuł przejmujące zimno. Zastanawiał się, ilu stojących w tym szeregu nie doczeka do zmiany.

– Nie przejmuj się, generale. – Usłyszał szept w swojej głowie. – Od naszej ostatniej rozmowy wydarzyły się rzeczy, które przyspieszą zdarzenia. Nie postoićcie tutaj długo, zapewniam.

– Mamy spodziewać się ataku? – zapytał.

– W każdej chwili – odparł z pełnym przekonaniem Hex.

– Skąd ta pewność, imperatorze? – dociekał.

– Powiedzmy, że włożyłem kij w mrowisko. – Nir niemal wyczuł uśmiech pojawiający się na twarzy swojego władcy. – Po tym, co wydarzyło się za murami, na które patrzysz, tylko bezduszny posąg utrzymałby swoje nerwy i siedział za osłoną. Pragnienie zemsty wykurzy ich przez tę bramę wkrótce.

– A, proszę wybaczyć, jeśli nie wyjdą...

– Wtedy zaczną ostatnie oblężenie – stwierdził. – W ramach wdzięczności za poświęcenie będziecie mogli zaatakować mury jako pierwsi.

– Dziękuję, imperatorze – odparł.

– Wiem, że jesteś oddany swoim podkomendnym, ale idź do jakiegoś budynku, siądź przy ogniu, zjedz coś i idź spać, Nirze – próbował go przekonać Hex. – Dużo bardziej przydasz mi się z jasnym umysłem niż odmarzniętymi palcami.

– Z całym szacunkiem, imperatorze, ale nie jestem jeszcze tak stary i postoję tutaj do końca zmiany – stwierdził.

– Chyba muszę wam przypomnieć, co znaczy sprzeciw rozkazowi imperatora... – Hex nie wysłał już żadnej myśli.

Bezchmurne niebo powoli zmieniało kolor na czerwony, zwiastując mroźną noc. Słońce kryło się już za górą Ersk, rzucając ostatnie promienie na szczyt muru, na którym ruch nie ustawał. Stary rycerz przyglądał się temu spokojnie, wiedząc, że nie ma wpływu na to, jakie decyzje podejmie jego władca i jego przeciwnik za tą monumentalną ścianą.

Wieczór całkiem zapadł nad Erskinem, ale w obozie armii Sag Bas nadal słychać było uderzenia młotów. Rzemieślnicy, popędzani przez samego imperatora, nie odchodzili od pracy przy maszynach oblężniczych nawet na chwilę. Dlatego kolejne konstrukcje pięły się w górę bez ustanku. Nie były piękne i równe, ale miały spełnić swoją funkcję, czyli pozwolić pokonać niezdobyty mur. Hex siedział na jednym z wozów tworzących ogrodzenie obozu i przyglądał się pracom postępującym na jasno oświetlonym gęsto rozstawionymi pochodniami i ogniskami terenie. Kolejne kapłanki dosiadały się do niego po wykonaniu swoich obowiązków. Kiedy wszystkie były już na miejscu, zeskoczył z wozu i stanął przed nimi.

– Narzekałyście, że nie informuję was o tym, co się dzieje z naszą armią.

– Chwycił dłońmi poły swojej kamizeli. – Dlatego teraz opowiem wam o tym, co się wydarzyło dziś, a wydarzyło się dużo.

– I dopiero teraz... – chciała się wtrącić Iv, ale Juvi powstrzymała ją, ściskając za rękę.

– Zaczniemy od tego, że nasze wojska z północy stoją już pod murami Erskinu. – Spojrzał twardo na kapłankę. – Na północnych rogatkach miasta zostawiłem mały oddział. Reszta stoi tam i pilnuje. A jak tylko otworzą bramy, to mają szarżować bez opamiętania. Niestety po drodze zdarzył się mały wypadek i część naszej armii wpadła w pułapkę.

– Znowu?! – Ahga aż podskoczyła.

– Król Kastil przygotował dla nas sporo niespodzianek. Śnieg ukrył ślady wilczych dołów w koszarach. Mimo ostrzeżeń generała Nira żołnierze, widząc mur, pognali naprzód i wpadli do nich. Straty nie są duże, nie ma się czym przejmować, grunt, że dotarli na miejsce. – Spojrzał na Juvi, która miała niewyraźną minę. – Tak, kapłanko?

– Skąd pomysł, że otworzą bramy? – Juvi rozejrzała się po reszcie zgromadzonych. – Po co mieliby to robić, nawet jeśli nasi tam stoją? Przecież możemy ich oblegać miesiącami, a oni miesiącami nie mają po co otwierać tej bramy!

– Właśnie do tego zmierzam – odparł i ciągnął dalej. – Druga informacja wiąże się z tym otwarciem bramy. Kastil jest młody, zakochany... A to, co miało miejsce w zamku, powinno zadziałać jak iskra rzucona na suche siano.

– Czyli co?! – krzyknęła Mossa, nie mogąc utrzymać nerwów na wodzy.

– W związku z pewnym przesunięciem planu postanowiłem przyspieszyć działanie Rollo. – Hex przechylił głowę do tyłu. – Niestety nie mogła się spotkać z Kastilem w tym momencie, a potrzebowaliśmy informacji. Ten stary uczoney też zaczął mieć co do niej podejrzenia, więc postanowiłem wykorzystać okazję. Przesłał sługę, by ten się nią opiekował, choć oczywiście bardziej chodziło o to, by miał oko na jej zachowanie. Rollo, no cóż, nie chciała go zabić, więc musiałem przejąć nad nią kontrolę. – Zignorował westchnięcie Juvi. – Zabiłem go, upozorowałem wszystko tak, by wyglądało, jakby to on zaatakował biedną dziewczynę. Będąc w jej ciele, wyznałem potem, że to Iskel wszystko ukartował. Kastil był bardzo wstrząśnięty i aresztował swojego uczonego, zaopiekował się też dziewczyną. W czasie przeszukiwania jego komnaty znalazłem mapę, która pokazywała małe, zapomniane przejście w murze. Taką furtkę znajdującą się w łączeniu muru z resztą góry, nie do wypatrzenia z daleka. Niestety potem Kastil zabił Rollo za szpiegostwo i zabójstwo, używając Kati.

– Co?! – Juvi doskoczyła do niego, chwytając za kamizelkę. – I ty o tym tak spokojnie mówisz?!

– A czy to nie ty uczyłaś mnie, że Sag Bas to ciągły przepływ dążący do równowagi? – Chwycił ją za nadgarstki. – Widać taka była wola Sag Bas, by w tym momencie przeszła na stronę Drzewa Śmierci. Wracając jednak do najważniejszego... Opowiedziałem mu o tym, że dziewczyna nie chciała

mordować, a za wszystko jestem odpowiedzialny ja. Powiedziałem mu, że zabił nie tego człowieka, co trzeba.

– Zaraz, zaraz... – Tia podniosła się z wozu. – Ty z nim rozmawiałeś w ciele Rollo? A bursztyn? Nie dali go jej, wiedząc, jaką ma moc?

– Dali, oczywiście, że dali, ale ta deformacja wyglądu była spowodowana rytuałem połączenia. – Obrócił Juvi twarzą w kierunku kapłanek. – Ona opowie wam o tym dokładnie, ale w skrócie ten rytuał pozwalał na to, by być niejako jednością niezależnie od przeszkód. Było widać, jak bardzo Kastil jest tym wszystkim wstrząśnięty, i jestem przekonany, że będzie chciał się zemścić za to, co zrobiłem z jego ukochaną.

– To może mieć sens... – Ahga westchnęła.

– Jest młody, zagotowała się w nim krew, będzie chciał rzucić mi się do gardła i pomścić śmierć dziewczyny, która była jego pierwszą miłością, to dość naturalne. – Wypuścił z ramion Juvi. – Co prawda, Rollo nie wykonała swojego zadania do końca, ale pozyskałem dzięki niej kluczową informację.

– Powiesz nam teraz, jakie było jej zadanie? Zabicie Kastila? – zapytała przygnębiona Juvi.

– Zabicie?! – Zdziwił się. – Nie, oczywiście, że nie. Gdybyśmy go zabili, władzę przejąłby uczoney, który nie jest podatny na żadne bodźce i nie da się go zmusić do błędu z emocji. Ona miała dowiedzieć się jak najwięcej o ich obronie, wszystkich pułapkach, planach, a potem pokrzyżować je, jeśli by się udało. Przeciąć jakąś linę, zgasić ogień pod kotłem, cokolwiek. Może zabrać mu bursztyn... Niestety nie udało się tego dokonać, ale i tak zapamiętamy ją jako kapłankę, która otworzyła nam furtkę do zamku Erskin.

– Skąd pewność, że to nie jakiś stary szkic? – wątpiła Iv. – Może tej furtki już dawno tam nie ma?

– Może nie ma, ale ja bym postawił na to, że jest. – Skinął głową. – Głupotą byłby brak drugiego, tajnego wyjścia z takiej fortecy. Gdyby jakimś cudem przeciwnik sforsował mur, to jak mają uciekać? Tylko takim przejściem.

– Prawda – dodała Tia. – Czytałam o tym w jednej z ksiąg. Każda twierdza ma drugie wyjście, a niektóra więcej niż jedno.

– Może późną nocą wstąpię w któregoś z żołnierzy i podkradnę się pod mur, by to sprawdzić... – Zmrużył oczy. – Chociaż nie, to zbyt ryzykowne.

Jeśli ktoś mnie spostrzeże, dowie się, że wiemy o tym przejściu. Trzeba będzie jakoś odwrócić uwagę całej obrony...

Znów przerwał na chwilę, ale tym razem obrócił się tyłem do kapłanek. Przez jakiś czas przyglądał się miejscu, w którym stawiano maszyny, ale tam dźwięki pracy zupełnie ucichły. Rzemieślnicy krzatali się tylko wokół stworzonych przez siebie maszyn i sprząтали niepotrzebne resztki. Na placu stały trzy dość koślawe trebusze, obok nich dwie mniejsze katapulty i pięć balist. Za nimi zbudowano równie krzywe i ledwo trzymające się wieże z drabinami, które chroniły wchodzących przed ostrzałem. Tych wież było osiem. Leżało tam też kilka wielkich taranów zrobionych z pni drzew, z zamontowanymi uchwytami dla całego zastępu wojska. Wreszcie jeden z cieśli podszedł do nich i ze wzrokiem wbitym w ziemię zameldował:

– Imperatorze, panie kapłanki, więcej materiału nie znajdziemy w pobliżu. To, co jest, mamy gotowe do walki.

– Idealnie – odparł Hex. – Teraz możecie odpocząć, zasłużyliście.

Budowniczy podziękował głębokim ukłonem i odszedł, by przekazać nowinę swoim towarzyszom. Tymczasem imperator odwrócił się do kapłanek, a przez jego twarz oświetlaną pochodniami przeleciały dziwne cienie, tworząc ją jeszcze straszniejszą.

– Wiecie, co oznacza ten meldunek? – Nie czekał na odpowiedzi. – Jutro zaatakujemy.

Kiedy tylko słońce wychyliło się zza horyzontu wielka armia Imperium Sag Bas zaczęła gotować się do wymarszu pod zamek. Kolejne oddziały opuszczały obóz, zajmując całą szerokość traktu. W obozie zostawały tylko niewielkie grupy mające trzymać wartę. Tysiące żołnierzy w przeróżnych mundurach i z jeszcze różniejszą bronią zalewały drogę prowadzącą do wielkiej góry. Na samym przedzie kolumny jechał konno imperator w towarzystwie swoich kapłanek. Za nim zmierzała konnica, a zaraz za konnymi szła piechota. Cały barwny pochód zamykały maszyny oblężnicze skonstruowane na miejscu. Ciągnęli je żołnierze, z trudem stawiając kolejne kroki na zaśnieżonej drodze. Część wojska rozdzielała się, znikając między zabudowaniami, które przetrwały wybuch. W wąskich ulicach odchodzących od głównego traktu chowały się wielkie oddziały mające stanowić odwód dla tych, którzy dotrą do murów. W wąskiej miejskiej zabudowie trudno było dobrze rozstawić maszyny, więc stopniowo zostawiano je wraz z obsługą. Za każdym trebuszem i każdą katapultą jechały wozy wypełnione głazami przeznaczonymi do miotania.

Pod sam zamek zajechała tylko część armii oraz wieże służące do szturmowania murów. Przed szeregi stojącej w wyznaczonym miejscu drużyny Nira wyjechał imperator. Zatrzymał się w połowie pustego placu między brzegiem rzeki a swoimi żołnierzami.

– Szanowni mieszkańcy i obrońcy tego zacnego zamku! – zaczął głośno, a z tyłu odpowiedziały mu śmiechy. – Jako najeźdźca i wróg namawiam was po raz ostatni, byście otworzyli bramy, przyjęli Sag Bas i poszli z nami dalej, żyjąc w przepięknym świecie równowagi! Jeśli nie otworzycie, przystąpimy do szturm. – Stał, wypatrując, jak na szczycie muru nastąpiło poruszenie. Jednak przez dłuższą chwilę nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Odwrócił konia w kierunku swoich i wzruszył ramionami. – Widać życie w pięknym świecie nie jest marzeniem tych ludzi – powiedział i odwrócił się ponownie w stronę muru. – Mam jeszcze jedną propozycję. Możecie też otworzyć bramy i wyjść do walki w otwartym polu. Słyszałem historię o wspaniałej jeździe Erskinu, którą nazwano niezwyciężoną. Szkoda, by taka siła siedziała w zamknięciu! Wyjdźcie i walczcie, a my nawet ustąpimy wam pola, by jazda miała gdzie nabrać prędkości. Czekam na odpowiedź do południa.

Słońce przechodziło po niebie, zbliżając się coraz bardziej do zenitu. Na murach ruch nie ustawał, ale nikt nie pofatygował się do odpowiedzi. Hex nie okazywał zniecierpliwienia. Raczej znudzony patrzył na blanki. Wreszcie zauważył, że poruszenie ustało, a znajoma postać zbliża się do krawędzi muru.

– Imperatorze! – Dobiegł ich głos Kastila. – Po raz kolejny przychodzisz do naszego domu i namawiasz nas, byśmy go opuścili, poddali się najeźdźcy i porzucili nasze tradycje. Liczysz, że twoje fortele i kpienie z naszej armii spowoduje, że otworzymy bramy i podążymy za twoim planem. Liczyłeś też, że chęć zemsty pchnie mnie do otwarcia bram i rzucenia się na ciebie. Niestety twój plan nie zostanie zrealizowany. Choć jestem przekonany, że moja jazda zmiotłaby was stąd, to nauczyłem się już nie łapać twoich przynęt. Jeśli chcesz zdobyć ten zamek, to musisz przebić się przez ten mur.

– Skoroś taki pewny swojej jazdy, to chociaż spróbujmy się w polu – odparł Hex. – Twój najlepszy oddział zmierzy się z moim, a resztę rozstrzygniemy oblężeniem, tak jak sobie życzysz.

– To bardzo hojna propozycja, ale życie moich ludzi jest zbyt wiele warte, by ryzykować takie cyrkowe starcia. – Kastil oparł jedną nogę

o blanki.

– Skoro życie twoich ludzi jest tak cenne, to co powiesz na pojedynek między mną i tobą? – Hex rozłożył szeroko ramiona. – Wystarczy już rozlanej krwi.

– Jeśli krwi ci szkoda, to odstęp i wracaj do siebie. – W głosie króla słychać było zdenerwowanie. – Na pojedynek między nami czas może jeszcze nadejść, teraz jednak nie masz na co liczyć. Poza tym szkoda by było trudu twoich budowniczych, gdyby ich maszyny nie zostały użyte. Byłoby to straszne marnotrawstwo.

– Bardzo mnie smuci to podejście, ale skoro chcesz przelać krew swoich ludzi, zrujnować rodową siedzibę i boisz się stanąć ze mną oko w oko, to nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wydać rozkaz ataku.

Kiedy skończył zdanie, pierwsze kamienie ze świstem przecięły powietrze. Dwa huknęły w mury, spadając do rzeki, a trzy poleciały ponad murem, trafiając w zbocze góry i zatrzymując się gdzieś między skałami. Świsnęły też strzały wypuszczone z balist. Te jednak wycelowane były idealnie i pięciu żołnierzy zostało trafionych ogromnymi pociskami. Wylecieli w powietrze i spadli gdzieś za murem prosto na dziedziniec. Żołnierze czekali dalej, w spokoju obserwując ostrzał zamku. Kolejne kamienie trafiały już lepiej, ale odbijając się od muru, nie czyniły mu nawet najmniejszej szkody. Na czarnej skale nie było widać choćby zarysowań.

Imperator patrzył na to z końskiego grzbietu. Widział, jak rycerze na murze chowali się za blankimi przed potężnymi balistami. Podniósł wreszcie dłoń i niedbałym gestem wskazał w kierunku murów. Rozpoczął się szturm. W ruch poszły wieże oblężnicze, tarany i mrowie wojska.

Co chwilę kolejny kamień uderzał w mur, a śnieg zalegający na skałach zsypywał się na dziedziniec. Żołnierze na szczycie chowali się za blankami przed strzałami przelatującymi nad ich głowami. Długie na cztery łokcie pociski z ogromnym stalowym grotem odbijały się od kamieni. Król Kastil przykucnął obok generała Merika.

– Przygotowali się, psie syny – zaklął gwardzista.

– Co robimy? Stoją za daleko na łuki – powiedział władca.

– Poczekajmy, aż podejdą z wieżami. – Wychylił się. – Zapalimy wtedy brzeg!

– Nie za wcześnie? – Kastil też spojrzął za mur.

– Lepszej okazji nie będzie! – odparł stanowczo Merik. – Żołnierzy wybijemy mieczami i strzałami, a wież nie! Jak ustawią wszystkie jednocześnie, to ich to zaboli! Trzymaj głowę nisko, wasza miłość, a ja zawiadomię łuczników. – Ruszył wzdłuż blanek, zatrzymując się przy łucznikach.

Kastil wyjrzał zza osłony i patrzył na pole przed zamkiem. Mrowie wojsk imperium szykowało się do ataku. Wieże zbliżały się do murów pchane przez mężczyzn w łachmanach.

– Nie przejadą przez nabrzeże... – powiedział do siebie z nadzieją.

Jednak część z mężczyzn wyciągnęła długie i szerokie deski z podstawy wież i odbiegła na brzeg. Mimo ostrzału ułożyli je, łącząc obydwie brzegi Issint, a wieża, która jechała najszybciej, przejechała przez nie, dostając się pod mur. Konstrukcje, choć niebywale chwiejne, dobijały do muru i sięgały jego szczytu. Platformy z hakami opadały i zaczepiały się o skałę. Ostrzał z machin oblężniczych został przerwany, a do ataku ruszyła piechota, wspinając się po drabinach umieszczonych wewnątrz wież, i wylała się na mur. Obrońcy byli na to przygotowani, ale i tak rozgorzała krwawa walka. Kastil wyszarpnął miecz z pochwy i ruszył wspomóc swoich rycerzy. Barkiem zrzucił dwóch napastników. Następnego trafił mieczem.

– Teraz! – krzyczał Kastil, a za nim powtórzył to Merik.

Łucznicy ruszyli osłaniany przez piechotę wycinającą kolejnych napierających mężczyzn. W tym czasie podpalono strzały i zaczęto ostrzeliwać brzeg. Groty odbijały się od zamrożonej rzeki, trafiały w żołnierzy biegnących wzdłuż muru, ale żadna nie chciała trafić w odpowiednie miejsce. Kolejne strzały wylatywały z łuków, a wokół łuczników rozpętała się piekielna bitwa. Szczęk stali nie pozwalał im się skupić, a krzyki i jęki wybijały ich z równowagi. Wreszcie ogień zaczął tlić się koło jednej z wież. Smoła rozpałała się powoli, ale nikt z napastników nie zauważył tego i wkrótce w innych miejscach powstawały ogniska rozpościerające się na całe nabrzeże.

Kiedy zabrali się za próby gaszenia pożaru, było już za późno. Wysokie płomienie zaczęły obejmować drewniane konstrukcje. Żołnierze będący wewnątrz wież mieli odciętą drogę powrotu. Ci, którzy przebrnęli na drugi brzeg, również nie mieli już jak uciekać. Tysiące zostały uwięzione przez płomienie. Ich krzyki wznosiły się ku górze. Wieże płonęły od spodu, co wymusiło jeszcze szybszy napływ żołnierzy na szczyt muru. Doskonale wyszkoleni obrońcy musieli mierzyć się z niekonwencjonalnym stylem



walki, który polegał na szaleńczych szarżach. Napastnicy zupełnie nie liczyli się ze swoim życiem, za to walczyli do upadłego. Nawet ucięte kończyny czy zalane krwią głowy nie przeszkadzały im w zabijaniu. Rozbrojenie również ich nie wstrzymywało. Rzucali się z gołymi rękami na miecze i topory. Spadając z muru, potrafili chwycić któregoś z obrońców, by zabić choć jednego więcej.

Kastil czuł już mrowienie w przedramionach i pot skapujący na oczy. Bronił jednak zaciekle, wykopując co rusz kolejnych przeciwników w ogień. Pierwsze wieże zaczęły upadać, a z nimi wielu wojów. Płomienie trawiły niestabilne i naprędcie zbijane konstrukcje, a kiedy tylko ich najniższe piętra osłabił ogień, całość zapadała się. Padały jedna po drugiej, a każdy upadek poprzedzony trzaskami, hukami i krzykami uwięzionych wewnątrz ludzi był witany wiwatami rycerstwa na murze.

Kastil obejrzał się za siebie i ledwo zdążył schować głowę. Kosa przeleciała tuż nad jego włosami. Odpowiedział pchnięciem w tułów i pobiegł dalej, zrzucając jeszcze wroga kopnięciem. Zauważył, że na środku muru przewagę zaczęli uzyskiwać napastnicy. Bez cienia namysłu rzucił się pędem w ich stronę. Siekł kilku po plecach, przedzierając się do własnego oddziału. Poczł uderzenie w lewy bark, ale pancerz zamortyzował je zupełnie. Odwinął się, rozcinając twarz napastnika. Nawet nie zauważył, jak on wyglądał, bo bezwładne już ciało spadło w płomienie.

Po długiej walce żołnierze Erskinu stopniowo zdobywali przewagę. Coraz mniej napastników próbowało walczyć na murze. Wieże dopalały się na brzegu, a rozgrzana smoła i płonące drewno stopiły śniegi nabrzeży i warstwę lodu kryjącą rzekę Issint. Szeroki i wartki nurt zdecydowanie utrudniał dojście do murów zamku. Podniesiony most odcinał górę od wschodniej części miasta. Głośny okrzyk zakończył walki na murze. Zmęczony Kastil przysiadł na blankach, ocierając pot z czoła. Patrzył w dół i widział, jak Hex i jego kapłanki odjeżdżają wzdłuż traktu do swojego obozu. Towarzyszyła im spora część armii. Pod murami jednak zostawili wielki oddział i maszyny oblężnicze.

– Wasza miłość. – Merik podszedł do niego. – Jakie rozkazy?

– Strzelajcie z balist w stronę ich obozu – odparł i końcówką płaszcza przetarł ostrze miecza. – Widziałem, że część armii imperium wycofała się razem z Hexem i tymi kapłankami. Możemy odetchnąć.

– A co... – Wskazał głową za siebie.

– Wiesz, co robić, generale. – Kastil spojrział we wskazanym kierunku. – Rannych znieść na dół i oddać uczonym, a zabitych złożyć na stosie.

– Zorganizujesz ceremonię teraz? Przecież nie możemy wyjść za mur. – Zdziwił się.

– Nie możemy też czekać, aż trupy czernieją. Jak tylko przyjdzie odwilż, będziemy mieli problem z obydwu stron muru, a nie wiadomo, czy uda się rozstrzygnąć wojnę do wiosny. – Podniósł się. – Zorganizujemy ceremonię tutaj, nie nad rzeką. Myślę, że duchy i bogowie nie będą miały nam tego za złe. Zrozumieją, w jakiej jesteśmy sytuacji.

– Myślę, że zrozumieją. – Merik pokiwał głową. – Przygotuję wszystko. Ach, wasza miłość...

– Tak, generale? – Król spojrział na niego zmęczonym wzrokiem.

– Powinieneś zejść na dół, odpocząć, dać się zbadać uczonemu, to jeszcze nie koniec walki. – Wskazał na armię pod murem.

– Tak zrobię, generale, tak zrobię. – Pokiwał głową i powłócząc nogami, ruszył ku schodom.

Przechodził obok leżących i siedzących rycerzy, którym pomagali inni. Rannych sprowadzano stopniowo na dziedziniec, a potem do wielkiej sali. Tam uczeni zajmowali się nimi, by postawić ich na nogi. Mijał też martwych, leżących w kałużach zamarznętej krwi, i takich, którzy skonali przed chwilą. Przytłaczał go ten widok, choć nie była to dla niego pierwszozna. Zszedł po schodach i zobaczył, że na dole także leżały ciała zarówno jego rycerzy, jak i wojów Sag Bas. Uczeni chodzili między nimi, wskazując których gdzie zanieść. Zajmowali się tym chłopcy niepotrzebni do walki. Minął ich i udał się wprost do zamku, przechodząc przez salę, zerknął tylko na leżących na podłodze rannych starannie opatrywanych przez uwijających się wokół nich mężczyzn w brązowych szatach. Wszedł do swej komnaty i rzucił miecz na stół. Usiadł ciężko w fotelu i zasnął, nim głowa zdążyła dotknąć oparcia.

Ocknął się, słysząc szczęknięcie klamki. Rozejrzył się zdezorientowany i zobaczył, że siedzi w fotelu, trzymając miecz na kolanach. Był przekonany, że go odrzucił, ale nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Do komnaty wszedł Iskel, na jego brązowej szacie widział ślady krwi.

– Mój królu – odezwał się. – Obudziłem?

– Nie, chyba nie spałem – odparł Kastil. – Coś się stało?

– Theus Merik powiedział, żebyś na ciebie spojrział. – Podeszedł bliżej, trzymając kandelabr w dłoni. – Bitwa była...

– Nie trzeba, nic mi nie jest poza jakimiś siniakami. – Pokręcił głową. – Zajmij się lepiej innymi.

– Zajmowałem się, tak jak reszta, przez całą noc. – Odstawił świece na stolik. – Chciałem przyjść tutaj od razu, ale przechodząc przez salę... Pierwszy raz w swoim długim życiu widziałem takie rany. Oni używali zwykłej broni?

– Używali wszystkiego, a jak brakło im broni, to gryźli i drapali. – Kastil patrzył prosto w płomienie świec. – Nikt wcześniej nie walczył tak zawzięcie. Na zachodzie nie ma tak zacieklej armii. Jeśli podstawią te wieże raz jeszcze, to możemy ich nie odeprzeć. Nasi ludzie nie są przyzwyczajeni do takiego stylu walki. Oni zachowują się zupełnie inaczej niż my...

– Mój królu, zdejmij ten pancerz, umyj się, sprawdzimy wtedy, czy krew jest twoja, czy nie. – Iskel położył dłoń na jego ramieniu. – Potem ma się odbyć ceremonia pogrzebowa, którą zarządziłeś.

– Uważasz, że to błąd? – Podniósł wzrok na uczonego.

– Nie. Myślę, że to najlepsza decyzja w tych warunkach. Nie możemy sobie pozwolić na składowanie tutaj ciała. – Podał dłoń królowi. – Teraz do mycia. Służki przygotowały już wodę.

Kastil podniósł się i wyszedł do pokoju kąpielowego. Tam zrzucił z siebie ciężki od krwi i potu czarny płaszcz. Pod nim miał swoją rodzową zbroję, która naznaczona została kilkoma poważnymi rysami. Głęboka bruzda na ramieniu przecięła pancerz niemal na wylot. Miał też sporo ran na nogach i piersi. Z napierśnika wystawał nawet kawałek złamanego grotu. Zdejmując kolejne elementy zbroi, zauważał dopiero, jak wiele ciosów przyjął. Jego ciało też to czuło. Syczał i stękał, czując siniaki i ból w mięśniach.

Wszedł wreszcie do kamiennej wanny wypełnionej wodą i westchnął głęboko. Po wyjściu poczuł się o wiele lepiej. Obejrzał się dokładnie i nie zauważył żadnych otwartych ran. Założył przygotowane odświętne szaty, a na ramiona zarzucił niedźwiedzie futro, czyli tradycyjny element ceremonii pogrzebowych. Wrócił do swojej sypialni, gdzie czekał na niego Iskel.

– Miałem cię zbadać, a ty już gotowy. – Zaśmiał się.

– To nie była moja krew. – Król wzruszył ramionami. – Ruszajmy, szkoda czasu.

Kastil w towarzystwie Iskela przeszedł przez główną salę, widząc poukładanych na kocach, dywanach i siennikach żołnierzy, wokół których krążyli młodszy uczeni. Nie zatrzymywał się, starał się nawet na nich nie patrzeć. Mknął przed siebie prosto do wrót. Otwarto je przed nimi, a zaraz za balustradą, między schodami, piętrzył się stos pogrzebowy. Tysiące ciał leżały ułożone jedno na drugim, przekładane warstwami suchego drewna. Słońce świeciło, a mróz szczypał w twarz. Na dziedzińcu, w bezpiecznej odległości od stosu, zgromadzili się wszyscy przebywający w zamku. Zarówno wojsko, jak i chroniący się w nim mieszkańcy Erskinu i okolic.

– Mieszkańcy Erskinu, waleczni rycerze, żołnierze i wojowie przybyli tutaj z całego zachodniego świata! – zaczął głośno władca. – Wczoraj wieczorem dobiegła końca pierwsza bitwa o nasz zamek, o serce tego kraju i całego zachodniego świata. Zwyciężyliśmy ją dzięki waleczności naszych serc i pomysłowości naszych umysłów. Zwyciężyliśmy ją także dzięki poświęceniu ludzi, których tutaj widzicie. Zgodnie z obyczajami panującymi w Erskinie powinniśmy rozpalić ten stos poza zamkiem, nad rzeką Issint, ale obecnie nie mamy takiej możliwości. Wróg u bram nie pozwoli nam na odprawienie rytuału. Biorąc pod uwagę to oraz fakt, że na tym stosie znajdują się ludzie różnej wiary, zdecydowałem, by odprawić ceremonię tutaj. Dlatego ofiaruję dusze poległych w boju dzielnych mężów ich bogom. Poległych Werdgwaldczyków ofiaruję Nikesi i Morblaidowi. Poległych Tasariczan oddaję Sadze. Poległych Bernsternczyków oddaję Mynowi. Poległych Utvińczyków ofiaruję Sotilowi, bogowi żołnierzy oraz pozostałym bogom, których wyznawali. Erskińczyków ofiaruję Gapurowi, Linsnamowi oraz Beanth. Ponadto poległych wrogów oddaję ich bogom, albowiem jako żołnierze walczyli dzielnie i choć przeciwko nam, nie możemy pozbawić ich za to szacunku. Niech duch każdego z osobna poleci do boga, którego w sobie nosił. Zapalcie.

Przedstawiciele armii każdego z sojusznicznych krajów podeszli dostojnie do stosu i podłożyli ogień z pochodni trzymany do tej pory nad głowami. Suche gałęzie, doprawione odpowiednio olejami, zajęły się szybko. Po chwili płomień ogarnęły już cały stos, tworząc ogromne ognisko, z którego ku niebu wzbijał się czarny dym. Na twarzach zgromadzonych widać było zadumę, aż nagle murami wstrząsnęło potężne uderzenie, potem kolejne. Rozbrzmiał alarm wygrany przez strażników na murach.

– Ostrzał! – krzyknął ktoś z góry. – Strzelają z katapult!

– Schowajcie się – polecił zebrany król. – Ceremonia dobiegła końca.

## Rozdział LVIII

Z namiotu dowódców dochodziły trzaski i krzyki, a ściany wyginały się od uderzeń. Żołnierze omijali centrum obozu z daleka, nie chcąc narażać się wściekłemu imperatorowi. Hex tymczasem tłukł pięściami we wszystko, co wpadło mu pod rękę, i wydierał się przy tym wniebogłoso. Kapłanki stały tylko w przedsionku z opuszczonymi głowami, nie wiedząc, jak zareagować.

– Ile jeszcze! – ryczał. – Ile jeszcze pułapek!

Rzucił stołkiem w kierunku wyjścia z namiotu. Kapłanki rozsunęły się i mebel wyleciał na zewnątrz. Na jego twarzy malowała się dzika furia, a wszystkie żyły na wielkich mięśniach nabrzmiały do granic możliwości, pulsując pod skórą poznaczoną sinymi bruzdami. Wokół niego leżał przewrócony stół, częściowo złamany, wywrócony regał, kilka krzeseł, w dłoniach trzymał pogniecioną mapę.

– Miała się dowiedzieć wszystkiego o jego pułapkach! – wrzeszczał. – Miała! Nie zrobiła tego! Nie... – Nagle uspokoił się. Emocje zupełnie z niego zeszły, wyprostował się i odetchnął. Wypuścił z dłoni zwiniętą mapę i popatrzył na nią. Poprawił kamizelkę, wyprostował się i spojrzał na kapłanki. – Będziemy ich ostrzeliwać z katapult i trebuszy – odezwał się już zupełnie zimnym tonem. – Przegrupujemy się i zaatakujemy raz jeszcze. Choć nie mamy już wież, to uda się zrobić zamieszanie. Będziemy musieli tylko poczekać, aż rzeka zamarznie.

– W jaki sposób wdrzemy się na mury? – zapytała Ahga.

– To nie ma znaczenia. Usiądźcie... – Rozejrzał się po połamanym meblach i wskazał miejsce sypialne za kotarą. – Opowiem wam dokładnie, jaki mam plan.

– Oby tym razem wypalił w całości... – Iv westchnęła natychmiast skarcona spojrzeniem Juvii.

– Wspomniałem wam o luce w murze, z której Kastil być może nawet nie zdaje sobie sprawy – mówił do siedzących kapłanek, chodząc i patrząc

w sufit. – Żeby móc z niej skorzystać, musimy skupić całą ich uwagę w jednym miejscu. Poleciałem przed chwilą rzemieślnikom, by zaczęli zbijać drabiny. Im będzie ich więcej, tym lepiej, choć nie będziemy czekać długo.

– Dlaczego nagle zaczęło się nam tak spieszyć? – zapytała Juvii.

– Dlatego że Sag Bas wymaga tego, byśmy działali sprawniej i szybciej. – Patrzył jej prosto w oczy. – Świat niebezpiecznie przesuwa się ku zagładzie. Balansuje na linie i potrzebuje równowagi, a tylko pokonanie Kastila może ją nam dać, rozumiesz?

– Tak, to mi wystarczy. – Mimowolnie skuliła ramiona.

– Wracając do planu... Znalazłem tę mapę na dnie kufra stojącego w komnacie sypialnej króla. Myślę, że leżała tam od czasu panowania ojca Kastila i on może nawet o tym nie wiedzieć. Plany były rozłożone na dnie...

– To może w ogóle nie są plany? Tylko jakieś szkice? – przerwała Iv.

– Prawda – podkreśliła Ahga. – Było już tyle pułapek i podstępów...

– Macie rację i dobrze, że jesteście czujne, ale w trakcie pierwszego szturm, nim płomienie ogarnęły cały brzeg jeden z żołnierzy pobiegł w tamtą stronę i zobaczył, że rzeczywiście jest tam coś, co wygląda jak niewielki tunel w murze. – Jego dłonie powędrowały na poły kamizelki, a oczy odpłynęły gdzieś daleko. – Poza nami będą potrzebne jeszcze ze dwie setki najlepszych ludzi. Przedostaniemy się niepostrzeżenie w cieniu góry i wejdziemy tamtędy. Reszta będzie musiała odciągnąć uwagę, a kiedy w środku dobijemy się do bramy i ją otworzymy...

– Wtedy nasze wojsko wleje się na dziedziniec i będzie po ich obronie – dokończyła Mossa.

– Dokładnie. – Kiwnął głową. – Spalił nasze wieże, więc jest przygotowany na wiele, ale czy na to też? Musimy być na to gotowi i wyprzedzić wszystkie jego kolejne kroki. Drugi raz tego samego brzegu nie spali, chyba że to jakieś czary. – Pokręcił głową, odganiając tę myśl. – Wiem też, że on bardzo chce zmierzyć się ze mną. Widziałem to wtedy w komnacie, jeszcze w ciele Rollo, chciałby mieć okazję mnie zabić... Zatem skoro chciałby to zrobić, to damy mu taką szansę.

– Miałeś przecież iść z nami do środka?! – Juvii podniosła się.

– I pójdę...

– Sag Bas pozwala być nawet ciałem w dwóch miejscach naraz? – Mossa zrobiła wielkie oczy.

– Znajdziemy największego chłopca w całym obozie. – Puścił to pytanie mimo uszu. – Ogolicie go na łyso, pomalujecie jego skórę, by wyglądała jak moja, ubierzecie go w moje szaty... Z wysokości muru nie będzie widać różnicy... A może. – Zamarł. – A może znaleźć takich kilkunastu... Mam chyba tyle szat, a jeśli nie, to zaraz zabiorą się za szycie. Przecież wbiegając po drabinie, może od razu zginąć. A jeśli wypuścimy takich tuzin, to Kastil pomyśli tak jak Mossa...

– To jest w rzyć kopany genialny pomysł. – Iv roześmiała się.

– Biegnijcie szukać odpowiednich ludzi. – Klasnął w dłonie i zwrócił się bezpośrednio do kapłanki z Azu. – Ahgo, znajdź dwustu najlepszych wojów i niech się zbiorą przed namiotem.

– Tak jest, imperatorze. – Błysnęła białymi, kontrastującymi z karnacją zębami.

– Hex – odezwała się Juvii – zdajesz sobie sprawę, że trzeciego natarcia może nie być?

– Nie będzie, zapewniam cię. – Przeszyło ją stalowe spojrzenie.

Nim zapadł zmrok, wszystko było przygotowane. Ahga doskonale wywiązała się ze swojego zadania, wybierając dwustu najlepszych wojów z całego obozu. Byli wśród nich azuańczycy, członkowie elitarniej piechoty Barbasu, rycerze z Tolimuraj oraz wielu żołnierzy z krajów składających się na Imperium Sag Bas. Rozstawiła ich w dwuszeregu na placu przed namiotem, gdzie czekali na dalsze rozkazy imperatora.

Tymczasem wewnątrz namiotu Hex przyglądał się sprowadzonym przez pozostałe kapłanki mężczyznom, którzy mieli stanowić jego sobowtórów. W kufrze znalazł pięć strojów, dwa dodatkowe zrobił w pośpiechu jeden z rzemieślników. Kapłanki sprowadziły czternastu roślących chłopów. Imperator przyglądał się im dokładnie.

– Tych dwóch na pewno odpada. – Wskazał potężnych Azuańczyków. – Aż tak źle z góry nie widać.

– Mieli być najwięksi... – Mossa posmutniała.

– Mamy siedem szat, reszta może pójść w samych spodniach – zaproponowała Juvii.

– Chyba że poczekamy i uda się doszyć te brakujące kamizele, przecież to długo nie potrwa. – Iv wzruszyła ramionami.

– Niech szyją – stwierdził Hex. – Zanim ich przygotujemy, powinno się to udać.

– To co mamy jeszcze zrobić? – zapytała Tia.

– Chyba nie muszę wam tłumaczyć. – Popatrzył na nie. – Ogolić, umazać czymś czarnym tak, żeby przypominali mnie.

– A jakie jest nasze zadanie, imperatorze? – zapytał jeden z nich nieco nieśmiałym głosem.

– Wasze zadanie, żołnierze, przekażę wam, kiedy będziecie gotowi. – Hex zmierzył go wzrokiem. – Bierzcie się do pracy, szkoda czasu.

Kapłanki bez zbędnej zwłoki zabrały się za przygotowywanie sobowtórów. Mężczyźni ustawili się w kolejce, pierwszy z nich poszedł pod nóż. Juvii ogoliła mu głowę na łyso i ścięła cały zarost, a także brwi. Pozbyła się również owłosienia na torsie, plecach i rękach. Kiedy skończyła, zabrała się za kolejnego, a ten przeszedł w ręce Mossy i Tii. Dwie kapłanki miały misy pełne czarnej substancji, składającej się w głównej mierze z popiołu i smalcu. Nakładały ją palcami na ciało mężczyzny, tworząc na nim wzory bardzo oględnie przypominające te znajdujące się na ciele Hexa.

Mężczyźni bali się odezwać choćby słowem, znając siłę kapłanek, a przede wszystkim imperatora. Choć dla niektórych z nich zgolenie brody czy pozbycie się włosów na ciele było plamą na honorze, to nie ośmielili się przeciwstawić rozkazom. Po skończonych przygotowaniach stanęli przed namiotem wraz z resztą zgromadzoną przez Ahgę. Mając na sobie tylko skórzane kamizelki i zwykłe nieocieplane spodnie, drżeli z zimna. Imperator wyszedł do nich wreszcie w towarzystwie swoich kapłanek.

– Zebrałem was tutaj razem, choć wasze zadania zupełnie się różnią – zaczął. – Część z was będzie musiała zachować absolutną ciszę, a druga część wręcz odwrotnie. Będziecie musieli wywołać największe zamieszanie, o jakim słyszał świat. Żeby plan doprowadzenia Sag Bas na należne jej miejsce się powiódł, będzie jednak potrzebna niezwykła współpraca między obiema grupami. Dlatego musicie dobrze zrozumieć, o co was proszę. Dwusetka wybrana przez kapłankę Ahgę pójdzie ze mną i resztą kapłanek wąskimi uliczkami miasta, by dostać się pod sam mur od północnej strony. Tam znajduje się wejście, które może okazać się dla nas bramą do ostatecznego triumfu. W trakcie tego marszu trzeba będzie zachować absolutną ciszę i być niezwykle uważnym. Dlatego właśnie Ahga przeprowadziła selekcję wśród całej armii. Są w niej tysiące niezwykle walecznych, silnych ludzi, ale to wy nadajecie się do tego zadania najlepiej. W drodze musimy być niezauważeni, inaczej cały plan upadnie. Po tym, jak dotrzemy do tego wejścia, wtargniemy za mury zamku, a tam



będziecie musieli walczyć jak nigdy wcześniej. Bić się za dwóch, za trzech, a nawet za czterech, bo ich przewaga liczebna będzie zatrważająca. Jednak nie będziemy bić się bezmyślnie. Naszym celem będzie brama. Otworzymy ją od wewnątrz, a wtedy siły się wyrównają. W tym, żeby nikt nas nie zauważył, rolę odegra wasza dwunastka. To wy poprowadzicie szturm na mury. Nie będzie to jednak zwykły szturm. Ma to być najbardziej chaotyczny atak w historii. Macie rozpętać tam burzę. Możecie wykorzystywać maszyny, tarany, strzały, drabiny, ogień, wszystko, co tylko zechcecie. Dlatego upodobniliśmy was do mnie. To jest sztuczka, której się nie spodziewają. Sag Bas jest dla nich nieznana i nie mają pojęcia, że nie mogę powielić swojego ciała, tylko umysł. Ucieszą się, jeśli zabiją mnie, a wtedy po drabinie wpadnie kolejny ja, łamiąc ich morale. Nie przyjdzie im nawet do głowy rozglądać się po okolicy w poszukiwaniu grupy ludzi przedzierającej się ulicami. Będą zajęci walką z całą potęgą mojej armii i ze mną w wielu osobach. Pamiętajcie tylko, że wcielacie się w niepokonanego wojownika. Choć na początku musicie sprawiać takie wrażenie. Nie pozwólcie się zabić byle kmiotowi. Bądźcie brutalni i skuteczni. Zapewniam was, że jest to ostatni akt tej wojny. Zwycięzimy lub polegniemy, to zależy tylko od Sag Bas, ale miejcie w głowach to, o co walczymy. O lepszy, równy świat!

Zakończył słowa wyrzuceniem w górę swojego topora. Wiwaty żołnierzy odpowiedziały na jego wezwanie. Widział, że byli gotowi, choć jego wcielenia marży przeraźliwie. Obok tego zgromadzenia siedział na beczce generał Nir Nait, którego ściągnął do obozu po nieudanym ataku. Hex przywołał go gestem.

– Poprowadzisz szturm, Nirze – powiedział. – Może i wyglądają jak ja, ale muszę mieć tam kogoś, kto wie, jak to zrobić.

– Tak jest, imperatorze. – Ukłonił się. – Choć wolałbym...

– Wiem i zabrałbym cię ze sobą, ale wyższy cel nam przyświeca. – Hex położył potężną dłoń na jego ramieniu. – Spotkamy się na dziedzińcu tego szkaradnego zamczyska. Nie ma czasu do stracenia. Ruszajcie. Ostrzał z naszych machin już trwa, oni odpowiadają swoimi.

Rycerz oddalił się, mieczem nakazując wymarsz. Wszyscy, którzy byli jeszcze w obozie, ruszyli za nim, podążając za upodobnionymi do imperatora towarzyszami broni. Hex popatrzył na to zamyślony, a po chwili zarzucił topór na ramię i skierował się do wyjścia przygotowanego

specjalnie dla jego grupy. Kapłanki poszły za nim, zabierając ze sobą wybranych żołnierzy.

Liny trebuszy świszczały w powietrzu, wypluwając z siebie kamienie. Ciężkie głazy odbijały się od muru lub grzęzły gdzieś daleko na skałach. Zamek był tak skonstruowany, że strzał musiałby być bardzo precyzyjny, żeby przelecieć nad murem i spaść na dziedziniec. Armia Sag Bas nie zwracała uwagi na uderzające ponad ich głowami kamienie i lecące w ich stronę pociski. Strzały z balist odbijały się od blanek, za którymi chowali się obrońcy zamku. Z kolei ich ostrzał starał się trafić w maszyny, co nie należało do najprostszyc

Kastil zadbał o to, by szukający schronienia w zamku poddani znaleźli się w bezpiecznym miejscu i wrócił na mury. Ponownie założył na siebie rodowy pancerz i z mieczem w dłoni wychylał się zza osłony. Dever Monerweh kuczał obok niego.

– Wasza miłość – odezwał się – kazałem nagrzewać olej w kotłach. Teraz już nie mamy się czego obawiać, smoła się nie zmyje.

– Dobrze, Deverze. – Kiwnął głową. – Nie dociągnęli nowych wież, mają tylko drabiny. To nasza szansa.

– Odeprzemy ich, wasza miłość. – Dever wychylił się, by zerknąć na zbliżającą się armię. – Oni będą ginąć przy każdym natarciu...

– My też – przerwał mu król. – Miejmy nadzieję, że oni szybciej wyginą. Głośny okrzyk dobiegł do ich uszu i zauważyli drabiny opierające się o mur. Haki zaczepiły o blanki i obrońcy Erskinu rzucili się w te miejsca. Próbowali, jednak łucznicy pędzący na przedzie szturmujących oddziałów strzelali i skutecznie utrudniali te próby. Tylko jedną drabinę udało się przewrócić, a wspinający się po niej żołnierze spadli na zmarznięty brzeg, łamiąc sobie kończyny. Nic sobie z tego jednak nie zrobili i szybko kolejni podnieśli drewnianą konstrukcję i ustawili ją ponownie. Ustał ostrzał z machin, ale na mur zaczęły wlewać się kolejne fale żołnierzy Sag Bas.

Kastil ramię w ramię ze swoim gwardzistą ruszyli ku jednej z drabin. Zabrzęczała stal mieczy, które skrzyżowały się z różnymi rodzajami broni przeciwników. Dever tłukł gdzie popadnie, strącając z muru kolejnych przeciwników. Kamień pokrył się kałużami krwi. Kastil ściał głowę jednemu, zablokował cios z prawej strony i przeskoczył nad kolejnym, odbijając się od ściany. Walczył zaciekle, choć cios toporem w plecy powalił go z nóg. Szybko wstał, uchylając się przed kolejnym uderzeniem,

i wbił ostrze w pierś napastnika. Nagle, mimo chaosu, usłyszeli, jak taran uderza o bramę. Król ściał dwóch kolejnych napastników w złotych płaszczach i wychylił się. Grupa obdartusów uderzała wielkim, zaostrzonym pniem. Dziesiątki żołnierzy operowały taranem, przechodząc przez zamarzną rzekę. Kolejne uderzenia wywoływały drgania całego muru.

– Trzeba zrobić przejście dla kotła! – krzyczał Dever.

– Przejście dla kotła! – powtórzyli żołnierze.

Erskińczycy i ich sojusznicy walczący na krańcach muru zbili się w grupy i zaczęli przeć naprzód, kierując się do środka. Między dwiema grupami jechał kocioł wydzielający kłęby pary. Dopchnęli go do środka i od razu wylali na nacierających na bramę. Poparzeni żołnierze upuścili taran i starali się schłodzić piekącą skórę w śniegu. Ich krzyki dobiegały na górę. Choć wielu wojów zginęło, nim udało się go odprowadzić, był niezbędny w przypadku kolejnej próby ataku na bramę.

Wojsko imperium cały czas nacierało, ale wśród tłumu mężczyzn władca dojrzał coś, co na moment zbiło go z tropu. Wśród walczących mignęła mu potężna sylwetka łysego mężczyzny bez pancerza. Rzucił jednak okiem za mur i spostrzegł, że imperator siedzi na koniu obok katapulty i obserwuje wszystko z daleka. Wrócił do walki, broniąc się przed kosą i sztyletem. Złapał nożownika za nadgarstek i rzucił przed siebie, nadziewając na kosę. Kosyniera z kolei trafił prosto w głowę, rozcinając mu czaszkę. Trudno było utrzymać równowagę na murze pokrytym krwią i wnętrznościami. Zrzucili dwie drabiny, ale napór nie słabł. Jeszcze raz zatrzymał się, widząc tego człowieka, który już wcześniej przykuł jego uwagę. Tym razem miał szansę przyjrzeć mu się lepiej. Poza łysą czaszką zauważył jeszcze sine ręce i linie sięgające samej szyi.

– To Hex! – krzyknął, wskazując go mieczem.

Przeciwnik usłyszał to i spojrział na niego. Ruszył biegiem, zabijając po drodze kilku rycerzy. Kastil lepiej chwycił miecz i wybiegł mu naprzeciw. Ich broń zwarła się, krzesząc salwy iskier. Potężne uderzenia imperatora były blokowane przez króla Erskinu. Wyprowadzał kontry, wykorzystując swoją szybkość. Ciął raz z góry, raz z dołu. Złapał miecz ostrzem do dołu i próbował tak zaskoczyć rywala, ale ten bronił się doskonale. Wymiana ciosów trwała długo, a żaden z nich nie chciał ustąpić. Wreszcie Kastil zastosował wypad znany z szermierki turniejowej. Wystawił nogę daleko przed siebie i niemal robiąc szpagat, ciął w kolana. Hex odsunął się, ale nie

utrzymał równowagi po poślizgnięciu się na kałuży krwi. Ten moment zawahania wystarczył, by król przejechał klingą po klatce piersiowej, uderzył z góry w głowę, a na koniec obracając się, przeciął gardło. Potężne cielsko imperatora upadło, a huk wiwatów ogłuszył młodego władcę.

O dziwo, zapął do walki żołnierzy imperium zupełnie nie ostygł. Jakby nie zwrócili uwagi na to, że ich władca nie żyje. Na szczęście śmierć Hex dodała wiary obrońcom, którzy z większym animuszem walczyli z najeźdźcami i własnym zmęczeniem. Kastil wrócił w wir walki, ale kątem oka dostrzegł, że postać wyglądająca jak Hex cały czas siedzi na koniu. Pokręcił głową i uciał dłoń trzymającą siekierkę, drugi cios dobił Azuańczyka, rozcinając mu twarz. Zobaczył, że przy jednej z drabin zrobiło się luźniej. Skierował się tam, by odepchnąć ją, ale kiedy tylko schylił się do haków, odskoczył od krawędzi muru, niemal spadając z jego drugiej strony. Po drabinie na szczyt wchodził Hex. Miał taki sam strój, wygląd, znamiona... Nawet chód miał identyczny jak ten, którego przed chwilą zabił.

– Co do kurwy... – Kastil westchnął.

– To niemożliwe! – Usłyszał w oddali.

Nim się podniósł, słyszał przerażone szepty stojących najbliżej niego żołnierzy. Widzieli przecież, jak ich przywódca ubija tego bydlaka, a tutaj on stoi znowu przed nimi. Wielu przypłaciło życiem tę chwilę rozproszenia. Kastil zdążył się pozbierać w ostatnim momencie, by uskoczyć przed uderzeniem. Hex od razu go zaatakował. Zdezorientowany i przerażony król odskakiwał tylko, zapominając zupełnie o kontratakach. Postać na koniu dalej była tam, gdzie wcześniej. Zwarli się, ale nim Kastil zdołał spojrzeć mu prosto w oczy, Hex kopniakiem odrzucił go od siebie.

Król, wstając, zobaczył, że kawałek dalej na murze również stoi postać wyglądająca jak jego wróg. Patrzył raz na jednego, raz na drugiego i przez otwartą wizurę, pot zalewający oczy i krew szumiącą w głowie nie widział między nimi żadnej różnicy. Widział za to coraz większe przerażenie w oczach żołnierzy walczących u jego boku. Poprawił hełm zakrwawioną rękawicą i ruszył do ataku.

Zmrok na wąskich ulicach nie ułatwiał marszu, ale zapalenie pochodni nie wchodziło w grę. Nie chcieli ryzykować zdradzenia swoich pozycji. Imperator liczył, że wojna będzie dużo prostsza, tak wyglądała w jego planach, ale waleczność żołnierzy zachodu przerosła jego najśmielsze

oczekiwania. Dlatego cały czas rozmyślał nad fortelami, które pomogłyby mu odnieść zwycięstwo.

Ulice bliżej centrum były brukowane, ale im bardziej oddalali się od głównego traktu, tym trudniej się szło. Musieli maszerować przez wysokie zasy, bo od początku oblężenia nikt tymi drogami nie chodził. Domy, które mijali, były coraz mniej okazałe, ale póki co trzymali się kierunku północnego. Dopiero po dłuższym marszu skręcili na zachód na jednym ze skrzyżowań. Prowadził ich Hex, za nim szły kapłanki, a potem żołnierze. Juvi zamykała pochód, pilnując, by nikt z wybranych wojów nie zgubił się po drodze. Z oddali widzieli mur, na którym toczyły się walki. Imperator zatrzymał się na chwilę, by przyjrzeć się temu. Słyszał, że kamienie przestały już spadać na mur. Drabiny powoli podnosiły się i opierały o czarną skałę. Mrowie żołnierzy wtargnęło po nich na szczyt, a huk uderzających o siebie skał zastąpił szcęk stali.

– Dlaczego stoimy? – szeptem zapytała Iv.

– Zaczęło się natarcie – odparł. – Teraz możemy przyspieszyć i poruszać się sprawniej. Nie powinni zwrócić na nas uwagi.

– Może zapalimy pochodnie? – do rozmowy dołączyła Mossa.

– Nie. – Hex ruszył dalej. – Aż tak nie będziemy ryzykować.

Wyraźnie przyspieszył kroku i choć nadal droga zasypana była śniegiem aż do okien, maszerował dużo szybciej. Jego oddział musiał podbiegać po ścieżce wydeptanej przez imperatora, by utrzymać jego tempo. Minął niewielki parterowy dom z drewna, a potem kolejny i po długim marszu w kierunku zachodnim dotarli do koryta rzeki. Issint od zabudowań dzieliła niewielka polana. Hex wstrzymał swoją grupę na granicy ostatnich płotów. Choć do początku murów było daleko, a przed nimi znajdowała się ściana góry Ersk, nie chciał, by przebiegali za rzekę bezmyślnie. Po ich lewej stronie na murze cały czas toczyła się zacięta bitwa. Udało mu się zauważyć, że część jego sobowtórów wtargnęła na szczyt.

– Co dalej? – zapytała Juvi, kiedy cały oddział połączył się już na granicy ostatniego z domostw.

– Upodobnieni do mnie są już na szczycie, tam toczy się walka, która nie da im szansy rozglądania się po całym mieście – mówił. – Będziecie teraz przebiegać na drugi brzeg niewielkimi grupami. Potem spokojnie przejdziemy do miejsca, w którym jest to wejście. Ja pobiegnę ostatni. Zapadł już zmierzch, więc uważajcie, gdzie stawiacie kroki. Pierwsza piątka, biegiem.

Nieco zaskoczeni żołnierze przebiegli przez śnieżne zaspę. Przeskoczyli nad wałem i wspięli się na drugi brzeg. Przywarli do skał i czekali na resztę. Kolejne grupy ruszały jedna po drugiej i również bez kłopotów docierały na drugą stronę polany. Dopiero jeden z wojów w ostatnich grupach upadł po drodze. Wpadł w śnieg, a kapłanki aż jęknęły. Na szczęście żołnierz z Barbasu szybko się zebrał i dołączył do towarzyszy po drugiej stronie rzeki, gdzie po chwili wylądowały kapłanki, a na końcu imperator. Przeszedł wzdłuż zbocza na przód i prowadził do tajnego przejścia w litej skale.

Zbocze w tym miejscu było wyjątkowo strome, a czarna góra strzeliście wzbijała się ku niebu. Po tej stronie rzeki nie było żadnej ścieżki. Musieli zatem radzić sobie nie tylko ze śniegiem zalegającym w wielkich zaspach, ale też kamieniami leżącymi na nabrzeżu. Niektóre głazy były tak wielkie, że musieli schodzić na zamrożone wody rzeki, by je obejść, albo przedzierać się ponad nimi, wspinając na skały. Droga była trudna, ale napędzały ich odgłosy bitwy narastające tym bardziej, im bliżej zamku byli.

– Teraz musimy wejść w to zagłębienie, oddalając się od rzeki – przekazał swoje myśli wszystkim. – Zaraz za tym załomem rozpoczyna się zamkowy mur.

– Trzymamy się blisko ściany? – pomyślała Tia.

– Tak – dostała odpowiedź. – Właśnie teraz nie możemy się wychylić. Wystarczy jeden zabłąkany łucznik, by nas wypatrzeć w tym miejscu. Jesteśmy już niedaleko, teraz najtrudniejsze.

Krzyki, jęki i huk bitwy były coraz lepiej słyszalne. Hex co jakiś czas spoglądał ku górze, by sprawdzić, jak to wygląda. Z tego miejsca jednak nie dało się dojrzeć zbyt dużo. Dotarł wreszcie do punktu, który był oznaczony na szkicu znalezionym w kufrze Kastila. Dokładnie w tym załomie skalnym miało znajdować się wejście do zamku, o którym nie wiedzieli nawet jego mieszkańcy.

– Nie podchodźcie! – zakomunikował. – Znajdę wejście. Trzymajcie się ściany i postarajcie nie rzucać w oczy.

Ciemność całkowicie spowiła górskie podnóże, a nawet świeca była ryzykiem, którego nie chciał podjąć. Nie pozostało mu nic innego, jak przeszukiwanie ściany dłońmi. Przesuwał je po chropowatych kamieniach, szukając na swojej wysokości, i niczego nie mógł znaleźć. Starał się sobie przypomnieć dokładne umiejscowienie tego przejścia i był przekonany, że musi być gdzieś w tym miejscu. Schylił się i szukał bliżej ziemi. Wreszcie

trafił na dziurę, do której omal nie wpadł. Otwór jednak był na tyle niewielki, że zdołał przytrzymać się łukowatego sklepienia wejścia. Zbadał go dokładniej i zdał sobie sprawę, że to przejście było nieużywane od tak dawna, że kamienie i ziemia osuwająca się z góry zasypały je niemal całkowicie. Kiedy wcześniej widział to przejście, było szersze.

– Jest prawie zasypane – zwrócił się tylko do Juvi. – Ostrzał musiał obruszyć ziemię.

– Człowiek się zmieści? – Podeszła do niego, ale rozmawiali w myślach.

– Tak, ale będziemy musieli przechodzić pojedynczo.

– Nie ma czasu na kopanie, prawda? – Kucnęła obok wejścia.

– Nie, przechodzimy – powiedział szeptem i zsunął się po piachu do tunelu. – Zawołam was, jak będę po drugiej stronie.

Otarł z twarzy pajęczyny i w całkowitej ciemności parł przed siebie, badając drogę po omacku. Tunel był długi, tak jak gruby był mur. Na samym początku musiał się kulić ze względu na zalegającą w nim ziemię. W dalszej części gruzu już nie było, jednak przejście nie robiło się szersze. Wyglądało, jakby zwężało się i rozszerzało zupełnie jak naturalna jaskinia. Wreszcie trafił dłonią na coś zimnego. Zimniejszego niż reszta gołych kamieni. Wyczuł, że to krata. Z kieszeni kamizelki wyciągnął krzesiwo, którym skrzesał iskry. W krótkich chwilach, w których korytarz rozświetlały snopy isker, zdołał zauważyć, że nie była to lita krata, a drzwi zamknięte na gruby łańcuch pokryty warstwą rdzy. Chwycił mocno ogniwa łańcucha i rozerwał je bez większego problemu. Jednak pękająca stal wydała dźwięk, który poniósł się echem po całym przejściu. Odrzucił łańcuch na bok i otworzył drzwi. Te stawiały niewielki opór, a od wieków nieruchome zawiasy niemiłosiernie zapiszczały. Na całe szczęście odgłosy walki było słychać nawet tutaj, więc nie martwił się tym, że ktoś zwróci uwagę na ten pisk.

Po pokonaniu przeszkody wystarczyło kilka kroków, by zobaczyć światła pochodni zapalonych na dziedzińcu. Wyjrzał z tunelu, który był zastawiony starymi beczkami, niesprawnym wozem i stertą siana. Rozgardiasz, jaki ujrzał, radował go niezmiernie. Żołnierze biegali od zamku do muru, nie zwracając nawet uwagi na to, co działo się wokół nich. Trwające natarcie zajmowało ich kompletnie.

– Wchodźcie – przesłał myśl do reszty swojej grupy. – Tylko pojedynczo.

Nim głowa Iv wychyliła się z dziury w murze, minęło kilka dobrych chwil. Do tego czasu Hex siedział za beczkami i obserwował sytuację. Gdy

tylko dołączyła do niego dziewczyna w bieli, ściągnął ją w dół, nim ktokolwiek zdążył ją zauważyć.

– Nisko głowy! – Jego myśl przeszła umysły całej drużyny.

Następni, wychylając się z otworu, trzymali się blisko ziemi i stopniowo wypełniała się przestrzeń przy murze. Kolejni żołnierze armii Sag Bas dostawali się na teren dziedzińca zamku, do którego żaden najeźdźca nie potrafił się dostać od początku jego istnienia.

– Co robimy? – zapytała szeptem Juvi, która weszła jako ostatnia. – Będziemy się tak tutaj chować?

– Musimy przerąbać się do bramy – odpowiedział, nachylając się nad jej uchem. – Nawet my nie damy rady takiej liczbie żołnierzy.

– Co? – Spojrzała na niego bardzo zaskoczona.

– Przecież nie przeczytam ich myśli – szeptał dalej. – Ktoś mnie w końcu trafi. Dlatego trzeba przebić się do bramy i ją otworzyć.

– Klinem? – Ścisnęła w dłoni jedno z Kati.

– Klinem, ale w odpowiednim momencie. – Przytrzymał ją za nadgarstek.

– To znaczy? – Rozejrzała się po twarzach żołnierzy, którzy rozglądali się niepewnie.

– Kiedy rozlegnie się sygnał do zmiany na murze, ruszymy. – Zerknął między beczkami. – Wtedy będzie szansa, by zaatakować z zaskoczenia. Zmęczeni będą schodzić z góry, a ci ze świeżymi siłami wbiegną na mur. Będziemy ich atakować z dwóch stron. To może ich złamać, a nam dać okazję dobiegnięcia do bramy.

W pewnym momencie zagrał sygnał. Trąby głośno huknęły określoną melodię, ale Hex przytrzymał Juvi za rękę, a do reszty niemal krzyknął w myślach, by się nie ruszali.

– To nie jest sygnał zmiany! – wołał. – To alarm!

Wychylił się mocniej i zobaczył, że w ich kierunku zbliża się cała chmara erskińskich żołnierzy. Nim dobył swoją broń, rozejrzał się jeszcze i zauważył wiszącego na szczycie muru mężczyznę, który z trąbą w rękę i włócznią wystającą z pleców wskazywał swoim miejsce, w którym chował się oddział Hexa. Imperator splunął i podniósł się, dobywając swojego topora.

– Klinem! – ryknął, ile miał tylko sił w płucach, a jego głos przebił się przez dźwięki bitwy.

Kopnięciem przewrócił stojące przed nim beczki, ich stare drewno rozpadło się na kawałki. Wybiegł spomiędzy nich, trzymając ogromny



topór w jednej dłoni. Tuż za nim ruszyły kapłanki. Po prawej stronie Juvi, za jej plecami Mossa i Ahga, a po drugiej stronie Iv i Tia. Dalej z gromkim okrzykiem szarżę rozpoczęło dwustu wybranych mężczyzn. W ich stronę nadbiegała masa wojów w przeróżnych mundurach i pancerzach. Parli do przodu ławą. Imperator uderzył jako pierwszy, rozcinając głowę wraz z hełmem niemal na pół. Błyskawicznie wyciągnął broń i obrócił się z nią dwa razy, a głowy czterech przeciwników spadły na ziemię. Potoczyły się pod nogami ścierających się ze sobą wojsk, nim ciała zdążyły upaść. Parował wściekle uderzenie i unikał ich, wykorzystując nadzwyczajny refleks. Każdy, kto choć próbował go zaatakować, w mgnieniu oka tracił kończynę lub nawet życie.

Klin stworzony przez jego oddział wbił się głęboko w środek atakującego ich oddziału i choć po skrzyżowaniu mieczy szyk nieco się rozluźnił, to i tak przedzierali się przez wojsko. Na białych szatach kapłanek pojawiało się coraz więcej krwawych plam. Ich Kati celnie trafiały w odkryte miejsca na ciałach przeciwników, zabijając ich choćby draśnięciem. Imperator parł do przodu, ale obrócił się przy jednym z ataków i zobaczył, że jego oddział zostaje nieco z tyłu uwikłany w walkę. Kapłanki również zostały, pojedynkując się z rycerzami zakutymi w pełną zbroję. Wbił topór w plecy jednego z nich i w wyciągnięciu broni z rany pomógł sobie kopnięciem. Rzucił okiem na szczyt muru i wpadł w sam środek bitewnego kotła, niosąc ze sobą potężną furję.

## Rozdział LIX

Kolejny obłok pary wzbił się w niebo po tym, jak olej wylądował na ciałach dobijających się taranem do bramy żołnierzy imperialnych. Drabiny przewracały się i były stawiane na nowo. Erskińczycy walczyli zaciekle, a Dever Monerweh doskonale dowodził obroną. Jego żołnierze nie potrafili jednak zupełnie zepchnąć z murów armii Sag Bas.

Król Kastil walczył z dwoma mężczyznami wyglądającymi zupełnie jak imperator. Wokół nich zrobiło się sporo miejsca. Żaden zwyczajny rycerz nie ośmielił się zaatakować Hexa. Ci dwaj zachowywali się tak, jakby byli połączeni. Uderzali w taki sposób, że młody władca ledwo był w stanie blokować i odskakiwać. Ich broń co uderzenie serca zwierzała się ze sobą, krzesząc snopy iskier.

W pewnym momencie Kastil nie zdążył sparować jednego z cięć, a ostrze zatrzymało się dopiero na naramienniku. Przeszywający ból wykręcił mu rękę i dopiero w ostatniej chwili odskoczył przed kolejnym ciosem. Rzucił okiem na bark, spodziewając się rozrąbanej ręki. Jednak jego zbroja nie była nawet przecięta do końca. Zerwał się na nogi i skoczył ku jednemu z nich z dużo większą odwagą. Trzy szybkie uderzenia z góry wytrąciły z równowagi imperatora, a Kastil kopnął go w klatkę piersiową, niemal rzucając z muru. Wróg przytrzymał się blank i wrócił do walki. Król przepuścił go w idealnym momencie, by uderzył w drugiego z Hexów. Wykorzystał ten moment i wbił jednemu z nich miecz głęboko pod żebra. Wyciągnął broń i chwycił przeciwnika za kołnierz, odrzucając na bok. Drugi podniósł miecz i z zacięciem na twarzy był gotów do walki. Nagle uwagę obydwu zwróciła melodia alarmu wygrywana z końca muru.

Król popatrzył tam i zobaczył rannego trębacza zwieszającego się z blank, który wskazywał dłonią coś na dziedzińcu. Kastil chciał podbiec do krawędzi muru, ale zatrzymał go Hex. Przyklęknął po krótkiej wymianie i ciął go w nogi, a rywal upadł na zakrwawioną podłogę. Władca widział, jak próbując zatamować krwawienie z więzadeł w kolanach, ścierał z dłoni

czerni. Wstał szybko i dobił go, wbijając miecz w klatkę piersiową, a potem rzucił się do krawędzi muru i patrzył na dziedziniec. Dopiero po chwili dostrzegł to, co wskazywał jego żołnierz. Kolejny Hex, ale w towarzystwie kapłanek i niewielkiego oddziału zbieraniny wojów, chował się na dziedzińcu, w rogu za starymi beczkami. Spojrzał w stronę schodów, po których w dół pędził już Merik. Władca zobaczył, że obok niego znalazł się Dever prowadzący kolejny kocioł wrzątku.

– To fortel! – krzyknął, chwytając go za barki. – Oni nie są prawdziwi!

– Co? – Dever zajęty prowadzeniem drużyny z kotłem nie zrozumiał, o co chodzi królowi.

– Ci mężczyźni tutaj. – Król wskazał palcem kolejnego mężczyznę wyglądającego jak Hex. – To przebierańcy! Mistyfikacja! Oni mieli tylko utrzymać naszą uwagę, a prawdziwy jest tam!

Monerweh spojrział na dziedziniec i pobladł. Rzucił rozkaz do jednego z rycerzy, którzy obsługiwali kocioł, by przejął jego obowiązki. Kiwnął głową na Kastila i razem ruszyli ku schodom. Nie przyszło im to jednak z łatwością. Kolejna drabina dostawiona do murów tuż obok nich stanowiła zbyt duże zagrożenie. Próbowali ją odrzucić, ale nie zdążyli. Broń Kastila i Devera zwarła się z bronią napastników. Siekli, ile tylko sił im pozostało.

Kastil po wielu godzinach walki ze zwykłymi wojami Sag Bas musiał się mierzyć jeszcze z sobowtórami Hexa i nie było mu łatwo utrzymać miecz. Wiedział jednak, że ze wszystkich obrońców zamku to właśnie on nie może się poddać do końca. Walczył więc, zagryzając zęby i ocierając pot zmieszany z krwią z czoła. Hełm spadł mu gdzieś, nawet nie zdawał sobie z tego sprawy.

Dever, który ćwiczył się w rycerskim rzemiośle więcej i częściej, nadal wykazywał wiele chęci do walki. Wyprzedził więc Kastila o krok i rozrzucał na boki przeciwników. Jego wielki miecz spływał krwią aż po rękaje. Azuańczycy stawiali zaciekle opór, walcząc nawet z uciętymi dłońmi. Jeden wyróżniający się wzrostem walczył, trzymając w dłoniach dwa miecze.

– W kleszcze go! – krzyknął Dever.

– Byle szybko! – odpowiedział Kastil i zaatakował.

Ciężkie ciosy spadały na Azuańczyka, ale ten bronił się umiejętnie, wreszcie Dever wbiegł na niego, uderzając barkiem. Wybity z równowagi zachwiał się, co było idealną okazją dla Kastila, który przejechał mu ostrzem po plecach. Jeden miecz wypadł z dłoni czarnoskórego woja, ale

rana była zbyt płytka i nie przecięła kręgosłupa. Chciał odwrócić się do Kastila, ale Dever poprawił, ścinając mu głowę.

– Biegiem! – krótkie okrzyki przebijały się przez zgiełk walki.

Do schodów mieli dość daleko, więc przejście trzeba było sobie wyrąbać. Para, która powstała po wylaniu waru na atakujących bramę, zawisła nad murem niczym złowroga mgła. Król poczuł kolejne uderzenie w plecy, potknął się, żegnając się z życiem, ale nie poczuł drugiego ciosu. Tylko gorąca struga zalała mu kark. Gwardzista podał mu dłoń i pociągnął za sobą. Dever zauważył kątem oka łucznika, który celował do nich z niewielkiego łuku. Szybko podniósł jakiś miecz leżący na murze i rzucił w niego. Ostrze wbiło mu się w klatkę piersiową, a siła rzutu sprawiła, że spadł wprost na zamarzną Issint.

Stając na szczycie schodów, zatrzymali się na chwilę i popatrzyli w dół. Teraz Kastil nie miał już żadnych wątpliwości, że to tamten Hex jest tym prawdziwym. Przebijał się przez szeregi jego żołnierzy ogromnym toporem, jakby wyrąbywał zwyczajne zarośla. Głowy latały w powietrzu, a żadne ostrze nie mogło go dosięgnąć. Uchyłał się, wyprzedzał ciosy, blokował i kontrował bez zgubienia choćby kroku. Zaraz za nim biegły kapłanki, choć ich stroje nie były już białe. Wyglądały, jakby powstały z martwych po masakrze. Oblane krwią od stóp do głów przedzierały się krok za imperatorem, nie pokazując po sobie choćby śladu zmęczenia. Wyglądały, jakby odniosły masę ran, ale ich styl walki był taki, że niemożliwe było je trafić. Szybkie uderzenia niewielkimi sztyletami zabijały od razu. Mieszanka żołnierzy różnych ras i różnych krain również walczyła tak, że wojsko Kastila nie mogło ich zatrzymać. Spojrzał, w którą stronę kieruje się ten śmiercionośny klin.

– Oni biegną do bramy! – krzyknął i ruszył w dół.

Na dziedzińcu bitwa rozgorzała nie gorzej niż na murach, a śmiertelny taniec Hexa trwał w najlepsze. Bronił się przed ciężkozbrojnymi rycerzami, rozrąbując ich pancerze bez większego wysiłku. Przy okazji osłaniał swoje kapłanki, które miały trudności w walce z zakutymi w żelazo wojami. One z kolei wycinały wszystkich mających choć część ciała pozostawioną bez pancerza. Na potężnych półksiężycowych ostrzach imperatorskiego topora co chwilę pojawiała się świeża krew, a symbole wyryte na drzewcu pochodzącym z gałęzi Drzewa Śmierci wydawały się jaśnieć w mroku nocy.

Obrońcy stawiali wielki opór, wznosząc się na wyżyny swoich umiejętności. Ich odwaga pozwalała nieco zmniejszyć oddział atakujący od

środku. Wspierani przez samego imperatora starali się mu dorównać w walce i obrońcy musieli poświęcić wiele sił, by pokonać choć jednego z nich. W jednej chwili Juvi została odcięta od reszty grupy przez kilku ciężkozbrojnych. Broniła się przed ostrzami ich mieczy, uskakując i uchylając się. Cały czas pracowała też nad tym, by znaleźć choć centymetr wolnego ciała i w niego uderzyć. Chwila dekoncentracji sprawiła, że jeden z rycerzy ciął z góry i tylko odruch pozwolił jej zablokować ostrze zmierzające wprost na jej głowę. Skrzyżowała Kati i rękojeściami wyhamowała siłę uderzenia. Dużo silniejszy wielki mężczyzna w zbroi nie odstąpił jednak i naparł na nią całą swoją masą. Inni próbowali doskoczyć z boku, by pozbawić kapłankę życia. Szukała wzrokiem jakiegoś wyjścia, ale pełne zbroje nie odsłaniały choćby kawałeczka. Nagle napór zupełnie ustał, a rycerz przyklęknął i upadł. Dwaj obok zatrzymali się i spojrzeli na swojego towarzysza. Z jego pleców wystawał ogromny topór. Hex podszedł i wyciągnął broń ze zwłok rycerza.

– Mów – odezwał się. – Mogłem nie zauważyć.

Juvi nie zdążyła nawet odpowiedzieć, a kolejni dwaj zalegli obok towarzysza. Imperator ociekał krwią wrogów, nie zważając na to zupełnie. Odwrócił się od kapłanki i skierował ponownie w stronę bramy. Zauważył jednego z rycerzy w czarnej zbroi, który doskonale dowodził obroną. Kierował żołnierzy Erksinu tak, by odpychali napastników od bramy. Zupełnie, jakby wiedział, co jest ich celem.

– Nie oddalaj się! – Odwrócił się jeszcze na chwilę do kapłanki. – Wszyscy w stronę bramy!

Uderzył jednego słabo opancerzonego mężczyznę atakującego toporem, który przy broni używanej przez Hexa wyglądał jak mała siekierka. Rozciął mu klatkę piersiową na skos, a siła uderzenia odrzuciła tego człowieka na stojący nieopodal wóz. Juvi rzuciła się za nim, wykorzystując tunel, który wyrąbywał sobie, przechodząc przez armię krajów zachodu. Imperator widział, że jego formacja zupełnie się już rozleciała i wszyscy wdali się w swoje pojedynki, niejako zapominając o głównym celu. Wrogie siły spychały ich w stronę wrót pod zamkiem.

– Odbudować formację! – ryknął w myślach, aż stojąca najbliżej Juvi potknęła się o leżącą w krwawym błocie rękę. – Klin za mną w stronę bramy!

Kapłanka była tuż za nim, więc od razu pojawiła się w formacji na swoim miejscu. Jej szata nasiąkała krwią coraz bardziej i tylko

gdzieniegdzie pozostały białe ślady. Reszta stała się istnym szkarłatem. Po krótkiej chwili dołączyły do nich pozostałe kapłanki Sag Bas, a ich stroje wyglądały prawie tak samo jak szata Juvi. Nawet Tia, która wolała wstrzymać się od zabijania, musiała zadać swoimi Kati setki ran. Kolejni członkowie oddziału stopniowo dołączali do klina, a jego ostrze wbijało się coraz głębiej w dziedziniec. Choć niemal połowa z nich zginęła, to trzymając się za plecami imperatora, dużo sprawniej pokonywali kolejne kroki i kolejnych przeciwników. To Hex swoją nadludzką siłą i umiejętnościami walki rozbijał kolejnych nadbiegających rycerzy. Reszcie pozostali tylko ci, którzy nadciągali z boków.

Rycerz w czarnej zbroi wykrzykiwał rozkazy coraz głośniej i gestykulował coraz bardziej zapamiętale. Widać było po nim, że ten przemyślany atak był bliski powodzenia. Jeden z rycerzy w podobnej zbroi zatrzymał Hexa na moment. Próbował cięcia na dół, ale imperator przydepnął jego miecz, łamiąc ostrze. Toporem rozbił mu czaszkę razem z hełmem, a swoją broń wyciągnął z jego klatki piersiowej.

Wtedy poznał, że z góry nadbiega Kastil. Jednak zadanie było jedno. Musiał otworzyć bramę, żeby wpuścić do środka tysiące swoich żołnierzy. Wtedy dopiero będzie mógł skupić się na zabiciu króla. Władca Erskinu zniknął jednak między innymi żołnierzami tak szybko, jak się pojawił. Kolejni przeciwnicy nie pozwolili mu na szukanie wzrokiem Kastila. Musiał przeć naprzód, a otwór w murze stanowiący bramę był coraz bliżej. Czuł, że kolejni z jego żołnierzy giną, ale nie zatrzymywał się. Wiedział, że w tym tunelu liczba nie będzie miała żadnego znaczenia.

– Wejść tam sam. – Pomyślał w trakcie walki. – Wy będziecie musieli zatrzymać posiłki.

– Tam będzie ich za dużo... – odpowiedziała Juvi.

– Dlatego nie potrzebuję tam ludzi – ciągnął, zabijając kolejnych rycerzy bez większego wysiłku. – Zablokujcie wejście, kryjcie moje plecy, z resztą sobie poradzę.

Kiedy byli już blisko, Hex wyskoczył z formacji. Zdzielił ostrzem w głowę jednego z rycerzy i wpadł do tunelu pod murem. Reszta armii dobiegła tam chwilę później, blokując wejście. Odwrócili się i starali się utrzymać zwarty szyk. Kapłanki przepchnęły się na front mający zmierzyć się z setkami gotowych do walki.

Tymczasem wewnątrz imperator, wpadając z wielkim animuszem, powalił czterech rycerzy jednym ciosem. Nim zaskoczenie minęło, ćwierć

oddziału pilnującego bramy od tej strony leżała już martwa. Reszta jednak stawiała czoła przeciwnikowi. Leżące na ziemi zwłoki utrudniały walkę w zamkniętym korytarzu. Hex wysilał się bardzo mocno, parując kolejne ataki. Broń krzesła iskry, przejeżdżając po ścianach, i rozświetlała mroczny tunel. Strącone w trakcie walki pochodnie gasły powoli w kałużach krwi.

Imperator złapał jedną wiszącą jeszcze na ścianie i rzucił w kierunku końca muru. Pozostało mu do zabicia jeszcze wielu rycerzy, ale pochodnia pokazała mu mechanizm zamykający bramę. Wystające z muru ogromne ogniwa łańcucha były tym, co trzymało zwodzony most w górze. Czuł, że kontakt z kolejnymi żołnierzami znika. Rzucił się więc w kierunku tego łańcucha. Jednym potężnym ciosem powalił kolejnych obrońców i przechodząc po ich ciałach, skoczył w stronę bramy. Zamachnął się toporem, ostrze trafiło idealnie w środek ogniwa. Łańcuch pękł, wypełniając tunel jękiem stali. Brama natychmiast opadła z hukiem, wzbijając tumany śniegu zalegające na brzegu. Imperator odbił się od ściany i wylądował na moście.

– Atak! – Pomyślał tylko i odwrócił się w stronę dziedzińca, a jego oddziały popędziły za nim z dzikimi okrzykami.

Huk mostu zwodzonego spadającego na mur po drugiej stronie rzeki niósł się echem po całym zamku. Bardzo mocno przetrzebiony już oddział napastników wybiegł ponownie na dziedziniec, a tuż za nimi wlały się tysiące żołnierzy armii imperialnej. Ich wycie zagłuszało trąby sygnałowe wygrywające melodię oznaczającą upadek bramy. Ta melodia nigdy wcześniej nie wybrzmiała na tym zamku i sygnaliści grali ją niepewnie, nie mając okazji do częstszych ćwiczeń. Wszyscy przebywający w zamku wiedzieli jednak, co ten sygnał oznacza.

Każdy, kto tylko mógł utrzymać broń, ruszył do walki. Z zamkowych podziemi wybiegli wszyscy zdolni do walki. Nawet kobiety chciały pomóc swojej ojczyźnie i dobiły broni. Te, które pojawiały się na lekcjach u króla Kastila, nie czuły strachu przed najeźdźcą. Armia Sag Bas zalewała jednak dziedziniec z każdą chwilą. Rozwścieczone, niemal dzikie hordy rozbijały ostatnich obrońców. Poobijanych, rannych i zmęczonych rycerzy, słabiej opancerzonych wojów, starców, zwykłych mieszczan, a nawet kobiety i dzieci. Obrońcy walczyli, ile tylko mieli sił, ale nie dało się tego nazwać wyrównaną walką. Upadek bramy złamał ich morale, a Sag Bas było napędzane przez swojego przywódcę i jego towarzyszek.

Hex wydawał się płynąć przez dziedziniec, zabijając kolejnych żołnierzy. Ostrze jego broni wirowało w powietrzu w śmiercionośnym tańcu. Nikt nie mógł go zatrzymać. Gwardziści dowodzeni przez Theusa Merika zostali połączeni w jedną drużynę ze sławną erksinską jazdą. Merik dowodził obrońcami z wysokości schodów prowadzących na mur. Nakazał wszystkim ciężkozbrojnym i najlepiej wyszkolonym zająć się powstrzymaniem Hexa i jego kapłanek. Po ciele imperatora spływała krew zabitych, która w połączeniu z sinymi znakami na jego skórze tworzyła przeraźliwy obraz boga śmierci. Kapłanki dopełniały tego obrazu. Ich przesiąknięte krwią szaty nie przypominały już zupełnie śnieżnobiałych zwiewnych kombinezonów. Erskińczycy przebijali się przez oddziały imperium, by zapisać okrążenie wokół Hexa i kapłanek.

– Zatrzymajcie ich! – krzyczał ze schodów Merik, choć jego głos mógł nie dotrzeć do żołnierzy. – Zatrzymajcie ich za wszelką cenę!

Kolejni zbrojni atakowali Hexa. Kapłanki miały trudność w odpieraniu ataków zakutych w stal rycerzy, ale ich imperator wystarczał, by powalać kolejnych zbrojnych. Teraz symbole na konarze z Drzewa Śmierci wyraźnie już jaśniały, a w oczach dzierżącego broń nie było widać niczego poza furją. Rękojeść zatrzymywała ciosy miecza, nie doznając żadnego uszczerbku. Wyłapywał zatem ostrza mieczy drewnem, a potem błyskawicznie kontrował, nie zwracając uwagi na pancerz. Topór w tak silnych rękach przecinał stal niczym ciało, a ciało niczym papier.

Jeden z gwardzistów podniósł miecz swojego martwego towarzysza i spróbował rzucić nim w imperatora. Ostrze przesunęło się po jego ramieniu, nie robiąc w zasadzie żadnej szkody. Hex spojrział na niego z wściekłością i w trzech susach znalazł się tuż przy nim. Topór spadł z góry, ścinając głowę wraz z lewym ramieniem. Pozbawione głowy ciało stało jeszcze przez chwilę, a pozostali rycerze z furją rzucili się do kolejnego ataku. Pierścień, który zamknęli wokół najważniejszych osób w imperium Sag Bas, zacieśniał się, ale Hex i kapłanki radzili sobie z każdym przeciwnikiem. Co prawda, jedna kapłanka miała trudności z opancerzonym wojem, o tyle zbierając się w zespół, bez kłopotów pozbawiały życia ciężkozbrojnych. Jedna skupiała na sobie agresję, druga szybko ściągała mu hełm, rękawicę czy cokolwiek innego, co pozwoliło na odkrycie kawałka ciała, a kolejna wbijała sztylet. Szybkość ruchów, gracia i współpraca nie pozwalały przyzwyczajonym do indywidualnych



pojedyneków z ciężkimi i powolnymi rycerzami skutecznie się przed tym bronić.

– Na wszystkich bogów... – Merik westchnął, ściągając hełm.

– Musimy im pomóc! – zakrzyknął Kastil, zatrzymując się na chwilę obok. – Walka ze zwykłym wojskiem nie ma sensu, jeśli nie powstrzymamy jego!

– Wasza miłość. – Generał wyprostował się. – To zbyt wielkie ryzyko. Jeszcze nie czas, byś się z nim mierzył. Musisz prowadzić całą armię...

– A ty? – Popatrzył na niego zaskoczony.

– Królewska gwardia stawia mu czoła, tam jest też moje miejsce. – Głos mu drżał. – Dever przejmie moje obowiązki.

Kastil nie mógł wypowiedzieć słowa, skinął tylko głową i Merik ruszył w dół, zostawiając na schodach władcę i Monerweha. Dever rozglądał się po polu bitwy, szukając sposobu, by jak najlepiej wykorzystać malejące siły. Przetarł dłonią czoło. Nie miał już ani hełmu, ani rękawic, a zbroja niemal cała pokryła się śladami uderzeń.

– Wasza miłość... – Przełknął ślinę. – Obawiam się, że tutaj już żadna taktyka nie pomoże. Musimy liczyć na to, że wytrzymamy ten napór.

– Co ty gadasz! – krzyknął na niego król. – Działaj! A jeśli nie chcesz dowodzić, to odejź!

– Wasza miłość, proszę – starał się go uspokoić. – Są na murach, są wewnątrz... Musimy wytrzymać, nie ma już żadnych pułapek, nie ma taktyki, każdy walczy o swoje życie. Cała gwardia, cała jazda, kwiat naszej armii, a oni...

– Widzę! – ryknął. – Nie zostawię tak tego!

Pognał w dół schodów, w sam środek bitwy. Dever nie zdążył nawet krzyknąć w jego stronę. Kastil zeskoczył z ostatnich stopni, wpadając między walczących. Ciął z góry, zabijając jednego z grubo ubranych wojów. Następny stojący obok niego również szybko zginął, a kolejny stracił głowę po tym, jak król z wściekłym rykiem obrócił się z mieczem w powietrzu. Po chwili jednak stracił władcę z pola widzenia.

W miejscu, w które Kastil skoczył, wytworzyła się potężna zawierucha i trudno było rozpoznać, kto jest kim. Gwardzista stał rozdarty, nie wiedząc, co czynić. Dowodzenie armią nie miało już sensu. Oddziały przestały istnieć, szereg rozpadł się, a chorągwie wymieszały się między sobą. Jego wzrok przykuł znajomy widok. Miecz, który ofiarował swojej podopiecznej, błysnął niedaleko. Riga walczyła w towarzystwie mieszczan,

którzy chwycili za broń. Była jednak osaczona przez dzikusów mordujących jej kolejnych towarzyszy. Dever przestał się zastanawiać w tym momencie i bez żadnego planu ruszył w to miejsce. Zbiegł ze schodów i wbił się w wir walki. Jego miecz przecinał powietrze na prawo i lewo. Wycinał sobie drogę do walczącej Rigi, spiesząc się, ile tylko miał sił. Nie chciał dotrzeć na miejsce, gdy będzie już za późno. Między blokowaniem i zadawaniem ciosów podnosił głowę wysoko, sprawdzając, czy dziewczyna nadal walczy.

W bitewnej zawierusze Kastil przepadł zupełnie. Wykrzesał z siebie resztki energii i rzucił się w bój. Nie zwracał uwagi na to, z kim walczy i jaką jego oponent dysponuje bronią. Nie zwracał też uwagi na ciosy, które spadały na jego pancerz. Wokół niego inni żołnierze bronili się co sił. Kolejni imperialni cały czas napływali przez otwartą bramę. Na dziedzińcu zdobyli już przewagę, spychając obrońców coraz bliżej murów samego zamku. Barkiem wpadł w niego jeden z azuańskich wojów. Kastil wytracony z równowagi ciął mieczem na oślep, ale jego cios chybił. Poczł ból głowy, a jego przeciwnik zaczął mu się rozmywać. Potrząsnął jednak głową, szeroko otwierając oczy, i zablokował kolejne ciosy. Wróg nie był duży, ale nadrabiał to niesamowitą szybkością. W dłoniach miał długą włócznię zakończoną ostrzem w kształcie łyzy. Wyprowadzane przez niego pchnięcia o grubość paznokcia mijały ciało władcy. Zbijał mieczem uderzenia, które dał radę osiągnąć, ale kolejne nadciągały błyskawicznie.

Kastil cofał się przy każdym ataku, aż wreszcie oparł się plecami o wóz stojący pod murami zamku. Szpic wyrywał kolejne drzazgi, trafiając w deski tuż obok jego głowy. Król balansował i bronił się, ale nie miał możliwości wyprowadzenia kontrataku. Wreszcie włócznia wbiła się głębiej, a władca wraził miecz głęboko w trzewia napastnika. Krew zalewała mu prawe oko i czuł, że powoli traci siły. Zobaczył, że Merik walczy z Hexem i chciał ruszyć mu na pomoc. Nie dał jednak rady i przytrzymał się koła, ale po chwili coś pociągnęło go za nogi. Upadł w błoto i został wciągnięty pod wóz. Dobył miecza, próbując się bronić, ale poznał znajomą twarz.

– Iskel! – syknął. – Prawie cię zabiłem!

– To było ryzykowne, wiem, ale nie ma czasu. – Starzec patrzył na jego głowę. – Ty się jeszcze trzymasz na nogach?

– A co? – Przetarł dłonią po głowie i zobaczył, ile ma na niej krwi. – Musiał mnie trafić tą w rzyć szarpaną włócznią...

– W takim stanie nie możesz walczyć! – Badał jego czaszkę, leżąc w błocie. – Jeśli nie zemdlejesz, to przynajmniej krew zaleje ci oczy i trafi cię widłami jakiś wieśniak.

– Nie mogę teraz zejść z pola! – Kastil odsunął ręce uczonego. – Moi ludzie tam giną, walcząc do ostatka!

– Giną za przegraną sprawę, mój królu...

– Jeszcze nie! – warknął. – Dopóki żyje choć ostatni z Erskińczyków, to miasto się nie podda!

– Wiem o tym, mieszkam tutaj dłużej od ciebie! – Stuknął go palcem w zbroję. – Ale zrozum, że za godzinę czy dwie nie będzie żywego Erskińczyka! Nigdy nie ćwiczylśmy takiego rodzaju walki. Byliśmy doskonali w obronie za murami, od wieków, ale nie w walce wewnątrz. Oni są potęgą, on jest potęgą. Ta walka jest już przegrana.

– Nie jest...

– Jest! – przerwał mu gwałtownie starzec. – Widziałem setki bitew w swoim życiu i wiem, kiedy bitwa jest przegrana! Nie mamy już wiele czasu, więc zamień się w słuch, póki zostało jeszcze trochę krwi w twoim mózgu.

– Jestem królem i...

– I będziesz słuchał, co ma do powiedzenia twój uczonec, bo to może być ostatnia lekcja w twoim życiu. – Iskel zacisnął pięści, a jego oczy błyszczały ogniem mimo panujących pod wozem ciemności. – Twój ojciec nigdy nie zrozumiał tej lekcji, ale liczę, że do ciebie dotrze. Bywają takie wojny, które nie mogą być wygrane od razu. Nie da się ich wygrać samą taktyką, samą armią, trzeba wykazać się też cierpliwością. Trzeba wycofać się, schować się gdzieś, ukryć i przemyśleć kolejne kroki.

– Po co mi kroki, jak stracę armię?! – Kastil chciał ruszyć z powrotem na plac.

– Armia to tylko ludzie! – Huknął go pięścią w pancerz. – To brutalne, ale prawdziwe stwierdzenie. Widziałeś, co zrobił Hex! Zebrał zgraję ludzi, którzy nie mają ze sobą nic wspólnego, ale dał im wspólny cel i poprowadził sam. To stworzyło jego armię. Dlatego ty też możesz stworzyć nową, zebrać ludzi, poprowadzić ideą, ale nie zrobisz tego, jeśli zginiesz tutaj za chwilę. Wycofasz się, zaszyjesz...

– Nie, nie, nie, nie... – Potrząsał głową, czując się coraz słabiej. – To się nie może tak skończyć, on nie może zasiąść na moim tronie, podbić całego świata...

– To nieuniknione, mój królu. – Uspokoił się. – Jedynym sposobem, by go powstrzymać, jest wycofanie się i obalenie go fortem, kiedy nie będzie się tego spodziewał.

– Pomożesz mi w tym? – zapytał.

– Nie. – Iskel uśmiechnął się. – To była ostatnia lekcja, jakiej ci udzieliłem, mój królu. Nie jestem w stanie uciekać. Moje ciało jest za stare.

– Przestań! Trzymasz się doskonale...

– Wiem, co mówię – przerwał. – W końcu znam się na leczeniu. W zamku jest tunel prowadzący na drugą stronę góry. Nikt nie wie, gdzie on się mieści. Zaczyna się pod kuchnią i teraz stanowi część spiżarni. Zanim się zorientują, zanim bitwa dobiegnie końca, będziesz już daleko stąd. Zabierz ze sobą Devera, on może ci pomóc. Poza tym nawet ja nie wiem, jak świat będzie wyglądał, kiedy on dojdzie do władzy. Przyda ci się ktoś zaufany...

– Mogłeś mi o tym powiedzieć wcześniej, przed atakiem... – Kastil otarł krew z oka. – Mogliśmy to zaplanować...

– Nie sądziłem... Nie mogłem przewidzieć... – Szukał odpowiednich słów. – Nie wiem, jakim cudem on dowiedział się o tym przejściu. Sam o nim zapomniałem... Nie było otwierane od czasów młodości twojego dziadka. Powinienem był o tym pamiętać...

Nagle wzdrygnęli się, widząc ciało upadające tuż obok wozu. Kastil zasłonił usta dłonią, rozpoznając Merika. Generał miał twarz zalaną krwią zmieszaną z błotem. Jego zbroja była w kawałkach. Wyciągnął dłoń, w której brakowało dwóch palców. Przesuwał ją w stronę Kastila, pchając przez krwawe błoto.

– Uciekaj... – wyszeptał, patrząc prosto na swojego króla oczami pozbawionymi nadziei.

Kastil chciał wyciągnąć rękę i wciągnąć go pod wóz, ale nim wykonał jakikolwiek gest, ogromne ostrze w kształcie półksiężyca wbiło się prosto w głowę Merika, dzieląc ją idealnie na pół. Już uderzenie serca później ktoś to ostrze wyciągnął i odszedł.

Deverowi udało się wreszcie dotrzeć do drużyny, która walczyła pod dowództwem Rigi Deterik. Niewielka już grupa mieszkańców miasta z trudem odpierała napastników. Uzbrojeni w to, co podnieśli z ziemi, walczyli, ile tylko mieli sił, ale kilka ćwiczeń pokazanych im na dziedzińcu nie mogło przeciwstawić się zaprawionym w bojach żołnierzom. Przyparciu do muru ginęli kolejno, a Riga jako jedyna odgryzała się napastnikom,

kontruując co chwila. Kilku padło pod ciosami jej miecza, ale przewaga liczebna zaczęła odgrywać główną rolę. Dever zaatakował ich z tyłu, szlachtując kolejnych bez opamiętania. Dopadł wreszcie do Rigi i chwycił ją za bark.

– Co tu robisz?! – krzyknął. – Miałaś siedzieć pod zamkiem i pilnować ludzi!

– Przecież był alarm, że brama padła i wszyscy do broni! – odpowiedziała, dysząc. – Złapałam miecz i wybiegłam, a oni poszli za mną.

– Powinni uciekać stąd jak najdalej! – Szarpał dziewczyną. – Ta bitwa jest już przegrana, zamek stracony! Ich śmierć na nic się nie zda!

– Jak... – Złość błyszczała w jej oczach. – Musimy walczyć do końca! Dopóki król żyje, jest nadzieja!

– Dziewczyno. – Parsknął. – Uciekaj stąd, póki żyjesz! Znajdź jakąś lukę w bramie albo wywalcz sobie drogę i pędź stąd!

– Nie mam zamiaru! – Wyrwała się. – Zginę, broniąc króla!

– Kurwa – zaklął i obrócił się, by odeprzeć kolejnych.

Kilka szybkich ciosów i twarz jednego z żołnierzy Sag Bas została przecięta na pół. Riga również podjęła walkę i we dwoje szybko rozbili kolejną niewielką grupkę. Jednak widzieli, że nadciągają następni.

– Dever! – usłyszał z daleka. – Dever!

– Wasza miłość... – Złapał Rigę za kołnierz i pociągnął za sobą w stronę króla.

– Biegnijcie za mną! – władca krzyknął do nich i zmienił kierunek.

Gwardzista nie wiedział, co się dzieje, ale wykonał rozkaz, ciągnąc za sobą swojego giermka. Riga widziała, jak oddział Sag Bas wpada w jej niedawnych towarzyszy. Odwróciła wzrok i zrównała się w biegu z Deverem. W zamieszaniu nikt nie zwrócił na nich większej uwagi i w mgnieniu oka dotarli do stojącego przy jednej z wież Iskela. Stary uczoney chował się za leżącymi tam deskami.

– Wasza miłość, co się stało? – zapytał Dever, łapiąc oddech.

– Iskel wam opowie. – Wskazał niedbale.

– Bitwa jest przegrana, zamek upadł i król musi uciec, by zaplanować, jak odzyskać tron, to tak w skrócie – mówił, patrząc, czy nie nadciągają żołnierze.

– Zgadza się. – Kiwnął głową Dever.

– Co? – Iskel spojrzał szeroko otwartymi oczami, ale machnął ręką i ciągnął dalej. – Przez górę prowadzi tajny tunel, którym uciekniesz.

– Prowadź, na wszystko się zgadzam – popędził go Dever.

Iskel zastukał określoną liczbę razy we wrota wieży. Te uchyliły się po chwili i cała czwórka wślizgnęła się do środka. Zaraz za nimi jeden z młodszych uczonych ponownie zaryglował wrota. Popędzili żwawym krokiem po zamkowych korytarzach, by trafić do kuchni. Stamtąd starzec poprowadził ich do systemu jaskiń tworzącego spizarnię. Obleżenie nadszarpnęło zapasy, ale było ich jeszcze tyle, że nie dało się przejść dalej.

– To ten tunel. – Iskel wskazał jaskinię po lewej stronie.

– Sama pomagałam ustawiać tutaj zapasy, one się ciągną jeszcze długo! – odezwała się Riga, rozkładając ręce.

– Trzeba zrobić przejście, nie ma rady, nie ma rady. – Uczony zabrał się do odrzucania worków.

Pozostali bez zawahania wzięli się do roboty. Podawali sobie kolejne worki z rąk do rąk, a ostatni w kolejce Dever wyrzucał je na środek kuchni, gdzie rosła nowa sERTA. Odgłosy bitwy zaczęły się nasilać i dochodziły już prawie z wnętrza zamku.

– Musimy się spieszyć, zaraz się tutaj wedrą! – poganiał ich uczony.

– Robimy, co możemy, Iskelu – burknął Kastil.

– Wasza miłość. – Riga zebrała się na odwagę. – Ja chciałam zostać do końca i bronić...

– I to by miało tyle sensu, co nabieranie wody sitem – parsknął Iskel.

– Prawda – dodał Dever.

– Tunel gotowy. – Starzec wyprostował się z trudem. – Musicie iść prosto do końca, potem przecisnąć się na prawo. Będzie przejście, ale wąskie. A potem już tak, jak prowadzi droga. Wyjdziecie idealnie po drugiej stronie góry.

– I co dalej? – Król miał pół twarzy zalane zakrzepłą krwią.

– Nie wiem, jak będzie wyglądał świat po tym, jak Hex zasiądzie na tronie... – Pokręcił głową. – W końcu udowodnił, że potrafi czytać w myślach. Będzie trudno, ale trzeba znaleźć sposób, by go pokonać. Innej drogi nie ma. Nie jestem przekonany, czy to się powiedzie, ale wiem, że wchodząc do tego tunelu, przynajmniej dajecie światu szansę.

Głośne krzyki rozległy się całkiem niedaleko nich. Wrzaski napastników i jęki obrońców niosły się podziemiami zamku. Popatrzyli na siebie, a strach wymalował się na ich twarzach.

– Nie ma czasu, musicie biec! – krzyknął Iskel. – Zaraz tutaj będą!

– Wasza miłość, weźcie Rigę, a ja zatrzymam pościg. – Gwardzista dobył miecza.

– Nie, nie! – zaprotestowała dziewczyna. – Pan Dever bardziej się przyda, ja ich zatrzymam!

– Nikt nikogo nie będzie musiał zatrzymywać, jeśli się pospieszycie! – Uczony wepchnął władcę do jaskini i zawołał kolejnych. – Biegiem!

– A ty? – Kastil popatrzył na niego, a oczy zaczęły mu się szklić.

– Mówiłem, że jestem za stary. – Iskel uśmiechnął się. – Biegnijcie, głupcy!

Popchnął ich jeszcze dalej, a potem wyciągnął z jednej z wielu kieszeni w swojej upačkanej błotem szacie długą tubę z gliny. Wystawał z niej kawałek sznurka. Uczony podpalił sznur od pochodni wiszącej na ścianie kuchni.

– Nie! – wydarł się Kastil, a głosy zbliżających się żołnierzy były coraz lepiej słyszalne.

Dever pociągnął go i niemal siłą wcisnął w szczelinę, którą wskazał im Iskel. Riga stała obok zupełnie bezradna, nie mogła zrobić nawet kroku. Czuła, że przed oczami robi jej się ciemno. Zacisnęła dłoń na rękojeści miecza, ale potężne ręce Devera ją też wrzuciły za zwężenie.

– Dziękuję – szepnął uczony, uśmiechając się smutno.

– Zajmę się nimi – odparł gwardzista i wcisnął się do tunelu.

Wybuch nastąpił, nim zdążyli odbiec. Poczuli tylko, jak skalne ściany drżą. Kastil chciał się wrócić. Rzucił się nawet w tamtą stronę, ale Dever powstrzymał go. Król, płacząc, huknął pięścią w nierówną ścianę.

## Rozdział LX

Słońce mroźnego poranka zdążyło wzejść nad miastem, nim zamek został całkowicie zdobyty. Armia Sag Bas zalała zamkowe korytarze po tym, jak sposobem udało im się sforsować obronę w bramach prowadzących pod główną salę. Ukryte okna do walki nie pozwalały zwyczajnie wyważyć wrót. Pozostali w zamku obrońcy kłuli napastników pikami i włóczniami. Generał Nir Nait rozkazał wprowadzić przez bramę pozostałe tarany i wrzucić do środka siano, a następnie je podpalić. Duszący dym i ogień zmusiły ostatnich obrońców do otwarcia wrót. Chcieli uciekać, ale wtedy przez płomienie do wnętrza komnat wtargnęli imperialni. Ten jeden fortel pozwolił wdrzeć się do wnętrza zamku w Erskinie, a to oznaczało, że cały kraj od upadku dzieliły tylko godziny. Napastnicy brutalnie kończyli życie każdego, kto stawiał opór. Szperali w każdej najmniejszej nawet komnacie, otwierali szafy, kufry i skrzynie. Sprawdzili podziemia i każde piętro w wieżach.

– Imperatorze – zameldował Nir, podchodząc do stojącego na szczycie muru Hexa. – Melduję, że zamek zdobyty.

– Wiem, Nirze. – Patrzył w dal. – Wiedziałem, że tak będzie od samego początku. O stratach i zyskach zameldujesz mi później. Niech żołnierze zagonią wszystkich żywych niewiernych na środek dziedzińca. Wypada przedstawić im, jak będzie wyglądało ich nowe życie, prawda?

– Tak jest – odparł. – Jeszcze jakieś rozkazy?

– Nie teraz. – Odwrócił się. – Możesz odpocząć.

– Dziękuję bardzo. – Zasalutował. – Chciałem jeszcze powiedzieć, że w kuchni znaleźliśmy zawaloną odnogę korytarza wykutego w skale. Pod gruzem leżał ten ich mędrzec.

– Uczony? – zainteresował się. – A jaki? Wiecie już?

– Tak, jeden z innych pobladł i wyszeptał jego imię, jak wyciągnęliśmy zwłoki na zewnątrz. – Otarł czoło. – Powiedział, że nazywał się Is-kel.



– Iskel. – Hex odwrócił się w stronę góry. – Zanieście te zwłoki na podwyższenie. Potem możesz odpocząć, Nirze.

Generał skłonił się i odszedł. Imperator tymczasem oparł się o blanki i spojrzał na dziedziniec. Na dole dopalało się kilka niewielkich pożarów, ale to, co przede wszystkim rzucało się w oczy, to czerwone błoto i tysiące ciał leżących w nim. Widział zwłoki swoich ludzi, opancerzonych rycerzy przeciwnika, zwykłych mieszkańców, flagi i chorągwie.

Drzwi każdej z wież były otwarte na oścież, podobnie jak wielkie wrota prowadzące do sali tronowej. Szedł prosto do niej, jakby był tam zupełnie sam. Wszedł na podwyższenie i przyjrzał się dokładnie zwłokom znalezionym przez jego ludzi. Poznał obszycia na kapturze. Z twarzą było gorzej, bo wybuch i kamienie, które go przygniotły, znacznie ją zmieniły, jednak dało się przypuszczać, że był to rzeczywiście Iskel. Imperator oparł się o balustradę i ze spokojem patrzył na zbierający się tłum przerażonych ludzi. Byli brudni, zakrwawieni, niektórzy ledwo trzymali się na nogach. Wśród nich znajdowali się mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci. Wszystkich spędzono przed oblicze imperatora, do którego dołączyły kapłanki w przesiąkniętych krwią strojach.

– Szanowni mieszkańcy Erskinu i jego sojusznicy – zaczął głośno przemawiać – jak pewnie zdążyliście już zauważyć, wasz zamek upadł. Moja armia zdobyła go, co jednoznacznie kończy wojnę, której chciał wasz król. Nie ma go tutaj z nami, bo bał się swojego losu po tym, jak zasiądę na jego tronie. Właśnie dlatego wraz ze swoim uczonym postanowili popełnić samobójstwo. Użyli tej wybuchowej broni, którą wcześniej zniszczyli miasto i wysadzili się w jednej z komnat. Ciało uczonego leżało tylko trochę przysypane. – Podniósł zwłoki i oparł o balustradę. – Król jest głębiej, ale i jego zwłoki wydobędziemy w swoim czasie. Nie martwcie się, będziecie mogli jeszcze na niego popatrzeć. Zawiesimy go nad bramą, przed otwarciem której tak zaciekle się bronił. Ale dość już o przeszłości. Zebrałem was tutaj, żeby przedstawić wizję świata, który wam przyniosłem. Świata lepszego, zrównoważonego, który nie będzie dzielił ludzi ze względu na to, w jakim domu się urodzili. Wszyscy będą pracować na swój los, ale też na los całego wielkiego imperium. Imperium Sag Bas rozciąga się od Nillan Karrup po Kermu Latak i od Tava Latak po Muti Katak, tak jak to być powinno. Dowiedcie się wszystkiego i o imperium, i o Sag Bas, której wyznawcami się staniecie, ale nie teraz i nie ode mnie. Tym zajmą się kapłanki. Natomiast ja chciałem was poprosić, byście nam tego

nie utrudniali. Proszę o to dla waszego dobra, bo przecież dla mnie i dla Sag Bas to lud jest najważniejszy. Wiem, że macie przy sobie bursztyn. Wyrzucie go, wyrzeknijcie się swojej dotychczasowej wiary i przyjmijcie Sag Bas.

– A jak nie, to co?! – Usłyszał krzyk ze środka zbiegowiska.

– Wojna dobiegła końca. – Wzruszył ramionami. – My jesteśmy zwycięzcami. Doskonale wiecie, że władcy pozostałych krajów wysłali tutaj większość swoich wojsk. Wszyscy liczyli, że niezdobyty Erskin powstrzyma nas przed marszem dalej. Nie powstrzymał. Kiedy tylko się o tym dowiedzą, to sami do mnie przybiegną, ślubując wierność. Armie, które im zostały, nie są w stanie przeciwstawić się nam. Nie macie co liczyć na odsiecz, więc jeśli nie będziecie chcieli się podporządkować, to zginiecie. Jesteście otoczeni przez moich ludzi, więc jeśli nie odrzucicie bursztynów, zginiecie straszliwą śmiercią. Macie na to moje słowo.

Zawiesił w powietrzu ostatnie zdanie i po chwili pierwsze kamienie poleciały w stronę podwyższenia. Kolejne bursztyny lądowały w zamarzającym powoli błocie. W tłumie zaczęły się przepychanki, spięcia między tymi, którzy się poddali, a trwającymi przy swoim. Dopiero kiedy kamienie przestały spadać, nakazał myślami klęknąć. Fala ludzi padła na kolana, ale ponad setka nadal twardo stała, głównie starsi rycerze.

– Zabijcie ich – powiedział. – Tylko tak, żeby to poczuli.

Odwrócił się i wszedł do komnaty, a zaraz za nim ruszyły kapłanki i generał Nait. Pożegnały ich krzyki rozbrojonych rycerzy stawiających daremny opór gołymi rękami. Imperator mijał ciała zabitych, które leżały w rzędach w wielkiej sali. Cała podłoga usłana była zwłokami. Kierował się prosto na podest, gdzie czekał na niego pusty tron. Zasiadł na nim wreszcie, rozpierając się i moszcząc.

– Strasznie to niewygodne – mruknął pod nosem.

– Co teraz? – zapytała Juvi, próbując odkleić od ciała swoją szatę.

– Po pierwsze, Nirze – zwrócił się do rycerza – zagoń naszych nowych obywateli do posprzątania trupów. Przyda im się trochę ruchu po tym siedzeniu w zamknięciu. Niech żołnierze uprzątną całe błoto z dziedzińca, a zwłaszcza to, w którym leżą bursztyny, i niech wywalą je do rzeki.

– Tak jest. – Wyprostował się Nir.

– A co do was... – Popatrzył na wszystkie stojące przed nim kapłanki. – Jak już się przebierzecie i wykąpiecie, bo na pewno nie możecie się tego doczekać, to chcę, byście rozesłały listy do wszystkich większych miast.

W tych listach poinformujecie o tym, że Kastil przegrał wojnę i od teraz są obywatelami Imperium Sag Bas, że mają wyrzucić bursztyny, bo zginą, a wkrótce dotrze do nich zarządca wraz z księgą nauczającą wiary. Wiecie, co trzeba tam napisać, żeby było jak najlepiej.

– Myślisz, że posłuchają? – zapytała rozbawionym tonem Iv.

– Zawsze się znajdzie ktoś, kto posłucha. – Rozglądał się po suficie. – A wtedy cała wioska czy miasto będą już po naszej stronie. To, że wygraliśmy tu, to dopiero początek naszej drogi. Przed nami jeszcze wiele kroków, które cały świat musi przejść, żeby stanąć w równowadze.

– Co to znaczy? – zapytała Mossa.

– Wytłumaczę wam to wszystko za jakiś czas. – Zbył je gestem. – Teraz trzeba odpocząć i zrobić to, co najpilniejsze. Wyślecie również listy do wszystkich władców zachodu. Będą prawie takiej samej treści, ale wspomnicie, że każdy władca musi się tutaj pojawić osobiście, składając mi hołd. Bo jeśli nie, to armia najedzie jego królestwo i zrówna je z ziemią.

– Panie... – odezwał się Nait. – Tej armii nie zostało aż tak wiele.

– Wiem, Nirze. – Spojrzał na niego. – Ale oni tego nie wiedzą. Przez wieki to Erskin był najpotężniejszy, to on zawsze chronił resztę przed najazdami ze wschodu i to on wygrywał tutejsze wojny wewnętrzne. Zostali podbici, więc reszta boi się teraz i nie zaryzykuje. Poddadzą mi całe swoje królestwa i przyjadą tutaj klękając przede mną. W tym liście wspomnijcie, że każda prowincja imperium będzie miała namiestnika. Czytałem w którejś z ksiąg, że kiedyś tak robiono w większych krajach. Oni będą sądzić, że zostaną na tej pozycji, więc jeszcze chętniej się zgodzą. Do każdego listu dorzucicie oczywiście księgę. Zostało chyba tyle.

– Dobrze. Hex, ale co dalej? – dopytywała Juvi.

– A dalej... – Westchnął. – Krok po kroku doprowadzimy Sag Bas na szczyt. Zaczniemy szkolić kapłanki, zaczniemy odbudowywać miasta, zakładać nowe wsie, wspomagać rodzenie się dzieci, ale to wszystko w swoim czasie. Idźcie, wykonajcie moje polecenia i odpocznijcie.

Nir bez dyskusji ruszył przekazać rozkazy, które wydał imperator. Kapłanki jeszcze chwilę marudziły, ale w odpowiedzi usłyszały tylko ciszę, więc zgodnie stwierdziły, że kąpiel się przyda. Poszły w poszukiwaniu królewskiej komnaty, w której łazienka była odpowiednia dla nich wszystkich. Tymczasem Hex patrzył przez wielkie wrota wprost na czarny mur i pogrążył się w zadumie.

Milczenie maszerującej trójki było przytłaczające. Przejście przez ciasne i kręte korytarze ukryte we wnętrzu góry Ersk zajęło im większą część nocy. Będąc na zewnątrz, nie słyszeli już odgłosów bitwy. Nie słyszeli też trąb sygnalizujących utratę zamku czy też jego udaną obronę. Żadne z nich nie odezwało się od wyjścia z grotu. Szli wpatrzeni w zaśniewaną ścieżkę pod stopami. Kastil trzymał się na nogach, choć krew, która uciekła z jego ciała przez ranę na głowie, mogłaby spokojnie zapełnić cebrzyk na mleko. Był blady i czasem tracił równowagę, ale odtrącał każdy gest pomocy. Pochód otwierał Dever wspierający się kosturem znalezionym gdzieś w jaskini. Na końcu szła Riga, nerwowo odwracając się za siebie raz za razem. Podążali przed siebie bez żadnego planu, aż na horyzoncie zaczęły majaczyć jakieś zabudowania.

– Przed nami jakaś wieś – odezwał się gwardzista.

– To Inyse – burknął Kastil.

– Słyszałam o tej wsi za górą, jest malutka, bo wszyscy przeprowadzili się do Erskinu – zwołała Riga, dołączając do Devera. – Może zatrzymamy się tam na chwilę.

– To dobry pomysł – dodał Monerweh. – Jeśli mamy się ukrywać, to chodzenie w zbroi gwardzisty i rodowej zbroi Erskinu nie jest dobrym pomysłem.

Król tylko skinął głową i podążył za resztą grupy. Musieli przejść przez młody las liściasty, gdzie mijali nagie drzewa przykryte śniegiem. Dotarli do pierwszych zabudowań. Choć nie było ich wiele, to domki wyglądały na zadbane, a ogrody przy nich pełne były pozbawionych liści drzew owocowych. Dever wyprzedził nieco Rigę i Kastila i zajrzał do pierwszego z domostw. Była to nieduża chata ze spadzistym dachem, do którego sięgały śnieżne zasy, zasłaniając okiennice.

– Poszukajmy dalej – krzyknął. – Wchodząc tutaj, zostawimy za dużo śladów. Pójdę do tego ustawionego wzdłuż drogi.

Minął kolejne dwa domki stojące frontem do nich i podszedł do jednego stojącego szczytem. Tam nie było aż tyle śniegu i dużo łatwiej można było wejść do środka niepostrzeżenie. Otworzył drzwi, wyłamując sztabę barkiem, i wpadł do środka. Wnętrze było niemal puste. Zostały tylko meble, których uciekający z wioski nie zabrali ze sobą. W kominku były jeszcze ślady popiołu z ostatniego ogniska.

– Nie rozpalimy ognia, dym może być zbyt podejrzany. – Wskazał na stertę drewna. – Trzeba poszukać normalnych ubrań. Jeśli mieszkańcy

poszli do Erskinu, to nie zabrali ze sobą wszystkiego.

– Ja pójdę! – zgłosiła się Riga i zaczęła szperać w kufrach.

Dever przyjrzał się królowi z bliska, mimo że ten próbował się wyrwać. Rozchylił palcami ranę na głowie władcy i krew ponownie zaczęła z niej wyciekać.

– Muszę rozpalić mały ogień i zagotować wodę – powiedział, krzywiąc się. – Jak się w tę ranę wda choróbsko, to umrzesz szybciej, niż ci się zdaje.

– Mówiłeś, że dym może nas zdradzić – syknął.

– Dlatego rozpalę mały ogień na polepie, a nie na palenisku. – Dever rozglądał się w poszukiwaniu wiadra. – Wtedy będzie trochę duszno, ale nie wydobędzie się na zewnątrz. Idę po śnieg.

Gwardzista złapał kociołek wiszący nad paleniskiem i wyszedł na zewnątrz, w tym czasie Riga wróciła do króla siedzącego na taborecie z naręczem różnych ubrań.

– Zostawili całkiem sporo, coś z tego wybierzemy. – Stęknęła, rzucając łachy na stół.

– Zbroje musimy gdzieś ukryć, żeby nie rzucały się w oczy – dodał Dever, wchodząc z kotłem pełnym śniegu.

– Gdzie? – prychnął Kastil. – Chcesz je zakopać w śniegu?

– Jeśli będzie trzeba, to tak. – Ustawił niewielkie ognisko, a nad nim na trójnogu powiesił kociołek.

– Powodzenia. – Władca ukrył twarz w dłoniach.

– Riga, przypilnuj wody – zawołał dziewczynę. – Przyniosłaś ubrania?

– Tak, to te na stole. – Ukucnęła przy słabym ogniu.

– To się nada. – Wyciągnął lnianą koszulę. – Zrobię z tego opatrunki. Wygotuj je.

Podarł koszulę na pasy szerokości dłoni i dał dziewczynie, która wrzuciła je do kociołka i zamieszała w nim dłuższą drzazgą. Woda powoli zaczynała wrzeć.

– Podaj mi ten grubszy. – Wziął w dłoń bandaż.

Kastil syczał, jęczał i wiercił się, klnąc siarczyście, kiedy parującym kawałkiem materiału rycerz ścierał z jego głowy zakrzepłą krew zmieszana z grudami błota. Co chwila maczał szmatę w wodzie i dopiero kiedy oczyścił ranę zupełnie, rzucił materiał na piaskową podłogę.

– Będzie blizna – mruknął. – Widać czaszkę. Zdałoby się to zszyć, ale chyba nie mamy żadnej nici.

– Nic takiego tutaj nie znalazłam – smutno odparła Riga.

– No trudno, będzie blizna. – Wyciągnął bandażę i mocno ścisnął nimi czaszkę króla.

Żeby dokładnie zabezpieczyć ranę, ciągnącą się od połowy czoła nad prawym łukiem brwiowym niemal do końca czaszki, zawinął mu oko, czoło, ucho i pół głowy.

– W takiej masce nikt waszej miłości nie rozpozna. – Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Prawda, ale niestety musimy też przestać zwracać się do króla jak należy. – Dever przyglądał się swojemu dziełu. – Jak przebierzemy się w zwykłe łachy, to trzeba też mówić do siebie jak do zwykłych ludzi, po imieniu.

– Jak to? – Zachłysnęła się powietrzem.

– Ma rację, inaczej ta cała maskarada będzie bez sensu. – Kastil wreszcie zebrał się do dłuższej wypowiedzi. – Musimy zmienić ubrania, zmienić wygląd choć trochę... Ukrywając się z dala od dworów, jest spora szansa, że nikt nas nie rozpozna. W końcu zwykli ludzie widzieli mnie tylko z daleka, a dalej od stolicy to nawet i to nie. Trzeba będzie poszukać studni i tam wrzucimy pancerze i broń...

– Broń też? – zdziwiła się.

– Widziałaś kiedyś zwykłego wieśniaka z takim mieczem? – Wyciągnął swoją rodową broń. – No właśnie. Dlatego nie pozostawimy po sobie żadnego śladu. Iskel zadbał o to, by ten wybuch dał nam odpowiednio dużo czasu. Myślę, że jeśli nawet będą chcieli odkopać ten tunel, to zajmie im to tyle, że zdążymy się oddalić.

– Ale dokąd pójdziemy? – zapytał Dever. – Masz jakiś plan, wasza...

– Kastilu – przerwał. – Musicie się przyzwyczaić, oboje. – Myślę, że w Joulinie ojciec Tidura udzieli nam schronienia.

– Z całym szacunkiem, ale nie wiem, czy to jest dobry pomysł. – Rycerz zaczął rozpinać swoją zbroję. – On jest już leciwy, a w swoim kraju ma słabą pozycję po wojnie. Może być tak, że nim tam dojdziemy, to obecny król Tasariku pozbędzie się go ostatecznie. Na pewno wie, że wysłał do nas całą swoją armię.

– Uważacie, że oni się poddadzą temu Hexowi? – zupełnie niespodziewanie wypaliła Riga, a mężczyźni popatrzyli na nią zaskoczeni. – No czy ci władcy, co zostali na zachodzie, poddadzą się bez walki? Czy będą wydawać tych, co nie chcą żyć w nowej religii i pod nową władzą?

– Polityka nie jest prosta. – Król wzruszył ramionami. – Poznałem i tych władców, i Hexa i wiem, że oni będą woleli nagiąć karku, niż dać się pozabijać. Będą liczyć, że on zostawi ich w ich zamkach dalej jako władców. Będą liczyli, że się z nim dogadają, ale wiem też, że on się nie będzie dogadywał, tylko weźmie to, co będzie chciał.

– To co my możemy zrobić? – Załamała się. – Przecież on na pewno będzie chciał zabić każdego, kto ma bursztyn lub kto nie wierzy w tę jego religię...

– Dlatego musimy być bardzo ostrożni i najlepiej unikać ludzi w ogóle, chociaż... – Zmrużył jedno oko, które było widać spod opatrunku.

– Tak? – Dever w międzyczasie zrzucił z siebie cały pancerz, zostając tylko w ocieplanych spodniach i bluzie.

– Nieważne, jak wielką armię udałoby się zebrać – mówił nieco nieobecny myślami Kastil – on, mając te swoje moce, i tak będzie w stanie ją pokonać. Trzeba znaleźć inny sposób. Wymyślić coś, co pozwoli zabić Hexa. Przecież żeby pokonać imperium, nie musimy zabijać każdego, kogo do niego wcielił, wystarczy pozbyć się imperatora...

– To prawda. – Rycerz pokiwał głową. – Iskel mówił, że trzeba się wycofać i pomyśleć. Nie zawsze walka jest jedynym rozwiązaniem. Tylko jak znaleźć ten sposób? Widziałem, jak on walczy... Nawet atak z zaskoczenia czy skrytobójstwo...

– On gdzieś zdobył te swoje umiejętności i skoro jakoś je nabył, to musi istnieć sposób, by go pokonać. – Kastil kiwał głową i stukał nerwowo o blat. – Jeszcze nie wiem, jak to zrobić, ale chyba wiem, dokąd się udamy.

– Dokąd? – Riga mocowała się z paskiem trzymającym nagolennik.

– Do Bernsternu – stwierdził.

– Jak to? – obruszył się Dever. – Przecież oni nie wystawili porządnej armii, nie wsparli nas tak jak trzeba, zawsze coś knuli...

– Wiem o tym, ale po zmianie władcy... – Cmoknął, szukając słowa. – Dostałem list, w którym przeproszali mnie, że nie dadzą więcej wojska, bo najemnicy uciekli. Zapewniali mnie w nim o pełnym wsparciu i pomocy, więc będę chciał z tego skorzystać. Poza tym mają dostęp do pirackich okrętów. A na morze jeszcze się chyba Hex nie wybrał, więc to właśnie na takim statku będziemy najbardziej bezpieczni.

– To wielce ryzykowne, ale...

– Ale może się udać! – Dziewczyna zrzuciła z siebie ostatni fragment poobijanej zbroi. – Przecież on będzie miał teraz za dużo zajęć, żeby przejmować się piratami.

– Tak, ona ma rację. – Kastil też próbował się pozbyć pancerza, ale opatrunek mu to utrudniał. – Poza tym... Myślę, że możemy spróbować prześledzić jego drogę z Tolimurai aż tutaj. Gdzieś po drodze znajdziemy sposób. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Nic nam więcej nie pozostało. – Dever wziął się za rozpinanie pasów utrzymujących zbroję króla na miejscu.

Przez kilka dni nad Erskinem unosiły się kłęby czarnego, gryzącego w oczy i gardła dymu. Ci, którzy przeżyli bitwę o zamek, zostali zapędzeni do pracy przy porządkowaniu terenu. Imperator osobiście nadzorował roboty, przeskakując z umysłu do umysłu i ściśle kontrolując każdą myśl i każde działanie nowych obywateli wielkiego Imperium Sag Bas. Po niewyobrażalnej dla nich tragedii, jaką była ta wojna i utrata najbliższych, musieli zająć się zbieraniem zwłok z pola walki i paleniem ich na ogromnych stosach. Nie mogli nawet pomyśleć, by poległym mieszkańcom krajów zachodu urządzać pogrzeby zgodnie z ich dawnymi obyczajami. Imperator nakazywał palić wszystkich jednakowo. Nie wyróżniał nawet dowódców swojej własnej armii. Słupy dymu unosiły się z wielu miejsc na dziedzińcu i na przedmurzu.

Wielki strach padł na wszystkich mieszkańców miasta, bo Hex karał nawet najdrobniejsze nieposłuszeństwo w straszliwy sposób. Twierdził, że ludzie zachodu nie są tak stłamszeni jak ci ze wschodu, których bardzo łatwo było przekonać do Sag Bas. Tutaj musiał stosować inne zachowania, by wymóc na nich bezgraniczne posłuszeństwo i otwarcie się na nową wiarę.

– Czy ty zupełnie oszalałeś?! – krzychała Iv przez całą salę tronową, aż się echo niosło.

– Dlaczego zakłócasz mój odpoczynek, kapłanko? – Otworzył oczy, dopiero gdy była dwa kroki przed tronem.

– Spokój?! – warczała. – Spokój?! Właśnie mijałam faceta, który klęcząc w śniegu, wyrywał sobie serce gołymi rękami, krzyząc, że skoro nie otworzył serca dla Sag Bas, to nie jest godzien go nosić.

– Ach, ten. – Spojrzał na nią. – Rzucając ciała na stosy, uparcie modlił się do swoich dawnych bogów, więc musiałem go ukarać. Jego szeptu słyszeli



pozostali pracujący przy tym stosie. Z kolei jego krzyk usłyszano dużo dalej. Tak właśnie miało być.

– A nie wystarczyłoby go wychłostać?! – Nie mogła się uspokoić. – Nie wiem, nawet powiesić czy zakuć w dyby, czy co oni tutaj jeszcze robili! Przecież on gołymi rękami otworzył sobie pierś i wyciągnął stamtąd serce, dopiero potem umarł!

– Musiałem mu pomóc w wykonaniu tej finezyjnej kary. – Mrok w jego oczach błysnął.

– Żadnej z nas nie podoba się to, co robisz! – wrzeszczała na niego dalej.  
– Jak stosy się wypalą, to zaczniesz tworzyć kolejne?! Sag Bas miała rosnać, miała mieć wyznawców, a nie stosy trupów!

– Chodź ze mną. – Podniósł się z tronu. – Pozostałe kapłanki czekają już w komnacie.

Minął królewski fotel i udał się w kierunku korytarza, a zdezorientowana i wściekła Iv mruknęła pod nosem przekleństwo i poszła za nim. W komnacie, w której jeszcze niedawno Kastil naradzał się ze swoimi doradcami, przy stole siedziały kobiety w bieli i przyglądały się leżącej na nim mapie.

– Wreszcie jesteście – powitała ich niezadowolona Juvii.

– On znowu to zrobił! – mruknęła Iv.

– Nie wierzę... – Juvii schowała twarz w dłoniach. – Mieliśmy...

– Tak, tak, wiem... – Usiadł swobodnie. – Mieliśmy mieć wyznawców i będziemy ich mieli, ale najpierw trzeba pozbyć się tych zepsutych. Nie muszę wam chyba tłumaczyć, że jedno zepsute ziarno może zakazić cały plon. Oni tutaj wymagają innego podejścia. U nas wystarczyło pokazać raz, że nie ma sensu się buntować. Tutaj każdy z nich zbyt długo żył wolny. Ich królowie nie trzymali nad ich głowami bata. Żyli w luksusach w swoich własnych pałacach i zamkach, a obywatele robili to, co chcieli, o ile nie wtrącali się do rządu. Dlatego każdy jeden z tych rycerzy ma w sobie skłonność do buntu, a tę skłonność można stłumić, tylko karcząc ją, jak będzie trzeba, to setkami.

– Ale...

– Nie będę tego dalej tłumaczył – przerwał Juvii ostro. – Nie po to się tutaj zebraliśmy. Czy mamy jakieś odpowiedzi na listy?

– Tak, przyszło sporo odpowiedzi od zarządców i burmistrzów tych mniejszych miast – odpowiedziała Tia.

– No i co w nich piszą? – dopytał.

– Wszyscy odpisali, że pozbyli się kamieni i czekają na kogoś, kto przybędzie, by nauczać ich Sag Bas. – Położyła na stole okazały stosik papieru.

– Wezmę później te listy i sprawdzę, czy aby na pewno zrobili to, co w nich napisali. – Postukał w mapę. – Będę musiał znaleźć te miasta na mapie. Czy nauczyciele już do nich wyruszyli?

– Tak, większość jest już w drodze. Niedługo będą na miejscu – dodała Ahga.

– Dobrze, sprawdzę to. – Popatrzył na Juvi. – A co z władcami?

– Oni dziękowali za księgi i przyrzekali, że rozpoczną nauczanie w stolicy od razu – mówiła, przewracając kartki. – Wyrzucili wszystkie bursztyny i obiecują, że jak tylko pogoda pozwoli, to przyjadą na zamek złożyć hołd.

– Przyjadą od razu, napisz im to. Nie będę czekał na to, aż pogoda dla tych dziadów będzie odpowiednia. Zimą za zimno, wiosną za mokro, latem za gorąco... Nie. Napisz im, że mają natychmiast wyruszyć w drogę i poganiać konie w powozie, bo jeśli nie przyjadą tutaj przed wiosennymi roztopami, to wybiorę się do nich osobiście, ale wtedy nie po to, by przyjąć hołd, tylko by nabić ich na pal.

– Dobrze, zaraz się tym zajmę. – Chciała się podnieść.

– Poczekaj. – Powstrzymał ją, chwytając za nadgarstek. – Zebrałem was tutaj, bo mam pomysł, w jaki sposób zarządzać tak rozległym imperium jak nasze. Zastosujemy podział na prowincje, nad którymi pieczę sprawować będziecie wy.

– Co?! – oburzyła się najstarsza kapłanka. – Żadna z nas nigdy nie była u władzy! My zawsze zajmowałyśmy się szerzeniem wiary, nauczaniem nowych kapłanek, dbaniem o świątynie...

– I dalej będziecie się tym zajmować – przerwał jej. – Tylko każda w swojej prowincji. Opowiadałaś mi kiedyś, że najważniejsze z was dbały o to, by świat był urządzony tak jak trzeba, by nie przekraczano zasad Sag Bas, by przestrzegano praw narzuconych przez nią. I właśnie teraz chcę, żebyście robiły to samo. Mogę być w wielu miejscach jedynie myślami, nie mogę pojawiać się tam ciałem. Musze podróżować normalnie, jak każdy człowiek. Wy będziecie moimi dłońmi w każdym zakątku imperium.

– Jest nas za mało! – zaprotestowała, kiedy inne słuchały w milczeniu z szeroko otwartymi oczami.

– Będzie was więcej, zajmiecie się tym wkrótce – uspokoił ją. – A kiedy kolejne będą gotowe, zajmą się nauką następnych. Rozbudujemy kapłaństwo Sag Bas do tego stopnia, że w każdym mieście znajdzie się jedna z was, ale to wymaga czasu. Dopóki nie będzie nas aż tyle, to wszystko będzie trudniejsze.

– Jak chcesz to podzielić? – zapytała Iv.

– Zbliżcie się. – Stanął nad mapą. – Juvi zostanie tutaj ze mną i zajmie się obszarem do połowy Erskinu, od północy i zachodu. Ten południowy obszar obejmie Tia. Ahgo, dla ciebie będzie największy teren, czyli dawny Barbas. Wierzę, że sobie z tym poradzisz. Mosso, zajmiesz się północą przy wschodniej granicy, a Iv południem. Granicę zrobimy tutaj, w połowie. Iv, będziesz musiała zająć się też świątynią. Podołasz?

– Tak, tak. – Pokiwała głową, choć jej poliki były blade.

– Będą nas dzieliły wielkie połacie terenu – ciągnął dalej. – Jednak cały czas będziemy w kontakcie i wszystkie decyzje będziecie mogły ze mną omawiać.

– Nie wracasz do świątyni? – Juvi wpatrywała się w mapę.

– Wrócę tam i odwiedzę was w każdej z prowincji, ale nie od razu. Najpierw muszę uspokoić nastroje tutaj i przypilnować tego, by żadne zepsute ziarno nie miało szans wykiełkować. Nie chcę się z wami rozstawać, ale nie ma innej opcji. Zgadza się?

– Myślę, że to rozsądne. – Iv wzruszyła ramionami. – Dobrze, że Juvi tu z tobą zostanie. Może nie pozabijasz wszystkich.

– Kiedy wyruszamy? – zapytała Tia.

– I dokąd dokładnie? – dodała Ahga.

– Za dzień czy dwa. – Westchnął. – Jak będziecie gotowe, to możecie ruszać. Nie dam wam jednego terminu. Pożegnajcie się ze sobą, weźcie, co chcecie i jakich ludzi chcecie. A dokąd? Iv do świątyni, Mossa do Vantaray w Gotrayi, Ahga... – Zamyślił się na dłużej. – Może do Porveget? Albo gdzieś bliżej, jeśli znajdziesz coś odpowiedniego po drodze.

– No bo przecież zniszczyłeś stolicę – prychnęła Iv.

– Tia może zamieszkać w Joulinie. – Nie zareagował na zaczepkę. – A Juvi zostanie tutaj. W Erskinie, na zamku. Świat dopiero teraz zacznie ustawiać się na drodze do równowagi i osiągnięcia celu, który przed nami postawiło Sag Bas. Droga od świątyni w Tolimurai do tego zamku i końca wojny była długa i trudna, ale była niczym w porównaniu z tym, co czeka nas teraz. Będziemy musieli pilnować, by bogacze nie chcieli odzyskać

swoich pozycji, by chłopci nie bali się zdobywać świata ciężką pracą, by rzeczywiście wszyscy stawali się sobie równi, by wszyscy ciągnęli wóz w jednym kierunku, tym wyznaczonym przez Sag Bas. Wiem, że trzeba będzie niektórych do tego kierunku przymusić rozgrzanym żelazem, niektórym wyrwać serca i wezmę to brzemie na siebie. Wezmę, bo zostałem wybrany do tego przez Sag Bas. Niby niedawno, ale czuję, jakby to było wieki temu. Sag Bas poprowadziła mnie do świątyni, z której wyszedłem już nie jako dzieciak z biednej wsi, ale władca świata. Takim władcą jestem i będę, a każdy, kto spróbuje to podważyć, poczuje mój gniew.

Kapłanki patrzyły na jego stalową twarz pozbawioną emocji i zerkały na siebie zdenerwowane. Wiedziały doskonale, że wojna miała być ostatnim elementem przemocy na drodze do równowagi. Koniec tej rozmowy wlał w ich serca niepokój.

– Panie, usunęliśmy gruz z tej niszy w kuchni. – Naradę przerwał jeden z żołnierzy. – Nie było tam więcej ciał, a za tym zawaliskiem jest jakiś tunel.

Kapłanki po kilku dniach wyjechały długimi taborami do wyznaczonych im przez imperatora prowincji. Choć powoli robiło się cieplej, to zima trzymała jeszcze w swoich okowach, więc drogi były przejezdne. Każda z nich dostała własny powóz z królewskiej wozowni, kryty i niezwykle wygodny. Mróz im nie dokuczał, ze względu na Sag Bas, ale musiały prezentować się dostojnie i godnie, choćby poprzez powóz i orszak. Ich zadaniami na miejscu było pilnowanie, by nauka Sag Bas przebiegała tak jak należy, znalezienie i wyszkolenie nowych kapłanek oraz umacnianie władzy imperium.

Sam Hex, nie znajdując zwłok Kastila, rozkazał rozesłać zwiadowców we wszystkie strony świata. Zbadali tunel, który ciągnął się pod górą, ale za nim nie znaleźli nic. Od kiedy dowiedział się o tym, że w gruzach zginął tylko uczonec, nie mógł znaleźć sobie miejsca. Skakał po umysłach wszystkich, do których miał dostęp. Bardzo chciał znaleźć choć ślad Kastila, jednak nigdzie go nie było. Znalazł natomiast wielu, którzy nie pozbyli się bursztynu. Zabijał takich rękami ich bliskich czy sąsiadów, nie miał nawet odrobiny litości. Te jego kontrole sprowadziły na cały świat poczucie strachu i terroru. Ludzie bali się myśleć o czymkolwiek, żeby nie wzbudzić gniewu swojego władcy.

W tym czasie trójka uciekinierów z erskińskiego zamku przekradała się nocami w stronę stolicy Bernsternu, miasta Warfstad. Starali się trzymać jak najdalej od ludzkich siedzib i jak najbardziej w cieniu. Nie było im łatwo zdobywać pożywienia w lasach i na polach pokrytych śniegiem. Wojna sprawiła, że głód zaglądał w oczy wszystkim mieszkańcom, a im szczególnie. Riga wykazywała się zwinnością i potrafiła ukraść coś do jedzenia z gospodarstw, które nie były opuszczone, z czym nie mógł pogodzić się Kastil. Serce bolało go z tego powodu. Nie wyobrażał sobie, żeby mógł okradać swoich poddanych, jednak nie było innego wyjścia. Zdarzało im się widzieć z oddali niewyjaśnione śmierci niektórych ludzi, a także brutalne samosądy na sąsiadach. To sprawiało, że uważali jeszcze bardziej i podróż do celu trwała dłużej. Mozolnie brnęli przez topniejący śnieg ku jedynej szansie na odwrócenie losu.

# Spis treści

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV  
Rozdział XXVI  
Rozdział XXVII  
Rozdział XXVIII  
Rozdział XXIX  
Rozdział XXX  
Rozdział XXXI  
Rozdział XXXII  
Rozdział XXXIII  
Rozdział XXXIV  
Rozdział XXXV  
Rozdział XXXVI  
Rozdział XXXVII  
Rozdział XXXVIII  
Rozdział XXXIX  
Rozdział XL  
Rozdział XLI  
Rozdział XLII  
Rozdział XLIII  
Rozdział XLIV  
Rozdział XLV  
Rozdział XLVI  
Rozdział XLVII  
Rozdział XLVIII  
Rozdział XLIX  
Rozdział L  
Rozdział LI  
Rozdział LII  
Rozdział LIII  
Rozdział LIV

Rozdział LV

Rozdział LVI

Rozdział LVII

Rozdział LVIII

Rozdział LIX

Rozdział LX